PRZEWODNIK NAUKOWY I LITERACKI

PRZEWODNIK

NAUKOWY I LITERACKI

DODATEK MIESIĘCZNY DO „GAZETY LWOWSKIEJ“

Rocznik XXXVI. — 1908.

Odpowiedzialny redaktor: Adam Krechowiecki.

L W Ó W.

NAKŁADEM WYDAWNICTWA „GAZETY LWOWSKIEJ“

1908.

Z drukarni Władysława Łozińskiego. — Zarządca J. Niedopad.

SPIS RZECZY.

zawartych w trzydziestym szóstym roczniku 1908.

I. Historya, Archeologia, Podróże i Szkolnictwo.

Antoni Karbowiak. Zarys dziejów edukacyjnych Polski porozbiorowej na obczyźnie, str. 1, 113, 223, 319. 435, 509. 601, 710, 802, 902, 1010, 1112.

Stanisław Kłobukowski. Wycieczka do Parany (stanu rzeczypospolitej Brazylii). Dziennik podróży, str. 22, 131, 237, 367. 444, 535, 624, 732, 828, 925, 1032, 1158.

Wołyniak. Wołoczyska, str. 81.

Michał Rolle. Włodzimierz Antonowicz, str. 359.

Władysław Kierst. Mieleccy, dziedziczni na Mielcu panowie, str. 401.

Michał Rolle. Żywot polityczny Michała Grabowskiego, str. 419, 494, 588, 683.

Fr. Rawita-Gawroński. Materyały do historyi polskiej XIX. wieku. Działalność emigracyi z r. 1831 na terenie Turcyi do pokoju Paryskiego, str. 673, 781, 883, 983, 1083.

Antoni Prochaska. Województwo Ruskie wobec rokoszu Zebrzydowskiego, str. 769, 872, 961, 1057.

II. Literatura, Muzyka i Sztuka.

Stanisław Kossowski. Z życia Kajetana Węgierskiego. Pamiętniki i listy, str. 41, 154, 261, 336, 456, 549, 641, 741, 813, 911, 1018, 1121.

Henryk Ochenkowski. Kilka uwag o Albercie Duererze na podstawie zbiorów monachijskich, str. 64.

Józef Flach. Stanisław Wyspiański, str. 97, 206, 300, 385.

Stanisław Schneider. Sofiści a oświata helleńska, str. 178, 278.

Bronisław Czarnik. Wystawa Rembrandttowska w Lejdzie w r. 1906. Notatki turysty, str. 523, 612, 719.

Adolf Chybiński. Stosunek muzyki polskiej do zachodniej w XV. i XVI. wieku, str. 792, 893, 993, 1096.

Adam Stodor. Ostatnie dramaty Ibsena, str. 845, 939.

Karol Kwieciński. „Ostatni“ Zygm. Krasińskiego, str. 856, 948.

III. Prawo i nauki społeczne.

Stanisław Starzyński. Prawo wyborcze kobiet, str. 193, 289.

Stanisław Starzyński. Reforma Izby Panów, str. 481, 577.

Przemysław Dąbkowski. Zezwolenie księcia względnie pana na zawarcie małżeństwa według dawnego prawa polskiego, str. 865.

IV. Górnictwo i Kopalnictwo.

k. z. Przemysł górniczo-hutniczy w Galicyi w roku 1906, str. 567, 664, 759.

Zarys dziejów edukacyjnych Polski porozbiorowej na obczyźnie.

WSTĘP.

Treść: 1. Stan badań dziejów oświaty szkolnej w Polsce porozbiorowej. — 2. Podział tychże dziejów.

1. Józef Łukaszewicz, zasłużony autor „Historyi szkół w Koronie i w Wielkiem Księstwie Litewskiem“, wydanej w Poznaniu w latach od 1849 do 1851, zamknął pracę swą rokiem 1794. Dziejów oświaty szkolnej w Polsce porozbiorowej nikt dotąd nie opracował i nie ujął w jeden jednolity obraz. Wydano co prawda sporo monografij, a obok dość dużo materyału źródłowego, ale to wszystko w stosunku do rozległości dziedziny jest za mało. Głównie skupiono uwagę tylko na pewne ważniejsze momenty tych dziejów, a pozostawiono odłogiem resztę pola. Na ogół biorąc, dziejów oświaty szkolnej w Polsce porozbiorowej nie znamy. Nawet pedagogowie z zawodu i ludzie, przykładający bardzo czynną rękę do bieżących reform szkolnych, nie mają o wartości pedagogicznej tych dziejów należytego pojęcia, owszem wygłaszają o nich czasem wręcz fałszywe zdania.

Pan Kazimierz Lutosławski, jeden z najruchliwszych i najświatlejszych reformatorów szkolnych doby obecnej, poucza nas

błędnie, że, chcąc budować nowy system wychowania na polskich tradycyach pedagogicznych, trzeba usunąć „olbrzymie rumowisko XIX. wieku, w którym nic twórczego w Polsce na tem polu nie powstało". [1]) To się nie zgadza z prawdą. Kto reformuje wychowanie doby obecnej, od tego mamy wszelkie prawo żądać, aby pierwej pogłębił działania i dzieła pedagogiczne bodaj takich mężów jak Czartoryski, Czacki, Wielopolski i tylu innych, których szereg jest długi.

Właśnie porozbiorowa część dziejów edukacyjnych polskich może dla reform pedagogicznych bieżącej chwili dostarczyć niejednej praktycznej wskazówki, z niej właśnie możemy zaczerpnąć niejeden „najnowszy" ideał i środek pedagogiczny, który dziś bierzemy z zagranicy, każąc sobie samym i obcym wierzyć, że byliśmy i jesteśmy na niwie pedagogicznej narodem nieproduktywnym a zdolnym tylko do naśladowania.

U nas niwa historyczno-pedagogiczna leży niestety nieomal całkiem odłogiem, bo to, co się na niej robi, jest w stosunku do ogromu przedmiotu prawie niczem. Pracuje na niej zaledwie kilku badaczy a między nimi znaczna część tylko dorywczo. Za granicą uprawiają tę dziedzinę dziejową nietylko długie szeregi fachowo wyszkolonych jednostek, lecz także liczne towarzystwa naukowe.

W Niemczech n. p. dla zbadania dziejów oświaty szkolnej niemieckiej, założono w Berlinie w r. 1890 osobne towarzystwo p. n. „Gesellschaft für deutsche Erziehungs- und Schulgeschichte", które dotąd rozrosło się do olbrzymich rozmiarów i rozwinęło bardzo owocną działalność. Towarzystwo liczy obecnie około 2.000 członków, płacących rocznie po 5 M. Towarzystwo dzieli sie na grupy, obejmujące wszystkie kraje, „wo die deutsche Zunge klingt". Niemiecki Reichstag uchwalił dla tego towarzystwa w r. 1899 stałą roczną subwencyę w kwocie 30.000 M. Poszczególne grupy pobierają subwencye od miejscowych rządów. Grupa austryacka ma od swego rządu ośmset koron stałej rocznej zapomogi.

Mając do dyspozycyi tylu pracowników i rozporządzając tak bogatymi środkami materyalnymi, mogło Towarzystwo zdziałać bardzo wiele.

Dotąd staraniem Towarzystwa wyszły „Documenta Germaniae Paedagogica" w 35 grubych tomach, wydano 17 roczników: „Mit-

[1]) Zob. Polskie Ognisko wychowawcze wiejskie, Lwów 1906, str. 3.

teilungen“, przynoszących rozprawy drobniejsze, a 14 sporych „Beihefte zu den Mitteilungen“, wydano i inne przygodne publikacye. Prócz tego grupa austryacka Towarzystwa ogłosiła własnym nakładem 8 sporych niekiedy tomowych zeszytów p. t. „Beiträge zur oesterreichischen Erziehungs- und Schulgeschichte.

W odezwie, wzywającej do przystąpienia do Towarzystwa i popierania jego celów, umieścili organizatorowie ustęp charakterystyczny, który pozwalam sobie powtórzyć w dosłownem brzmieniu: „Die würdige Aufgabe kann in wissenschaftlich genügender Weise nur durch das Zusammenwirken vieler Kräfte gelöst werden. Es gilt den vereinzelten Bemühungen auf diesem Gebiete einen Mittelpunkt zu schaffen, durch geeignete Veröffentlichungen den Weg der deutschen Bildung die Jahrhunderte hindurch aufzuhellen und *hierdurch die Bestrebungen der Gegenwart zu fördern*“. Kiedy my przyjdziemy do tego rozpoznania, że zadań pedagogicznych bieżącej chwili nie można należycie rozwiązać bez gruntownej znajomości historyi oświaty narodowej?! Za tem rozpoznaniem pójdzie dopiero organizacya pracy historyczno-pedagogicznej, a zatem nareszcie kroczenie w przyszłość po drodze nieomylnej. Z tego też powodu badanie dziejów edukacyjnych polskich a zwłaszcza porozbiorowych uważam za pilne zadanie historyografii narodowej.

Aby zaś studya historyczno-pedagogiczne mogły się stać niezawodnym regulatorem naszych dzisiejszych działań i dzieł reformatorskich na polu wychowania, aby jednocześnie mogły nas uwolnić od błędnego przekonania, że na niwie pedagogicznej jesteśmy tylko naśladowcami, trzeba koniecznie rozszerzyć ich zakres, trzeba objąć niemi nie tylko właściwą historyę szkół, lecz zarazem i historyę pedagogiki polskiej, owszem na historyczną ewolucyę pojęć pedagogicznych w Polsce, a zwłaszcza w Polsce porozbiorowej trzeba położyć silny nacisk.

2. W ten sposób trzeba traktować każdą część dziejów edukacyjnych Polski porozbiorowej. Dzieje edukacyjne polskie dotąd jednolite, zaczęły się bowiem z chwilą pierwszego rozbioru rozbijać na kilka równoległych ale niejednolitych prądów. Dzieje te trzeba przedstawić w tylu osobnych obrazach, ile było odrębnych dzielnic.

W jednym obrazie trzeba odtworzyć d z i e j e p o r o z b i o r o w e w y c h o w a n i a P o l a k ó w n a o b c z y ź n i e: 1. Polaków na emigracyi politycznej; 2. Polaków na emigracyi ekonomicznej;

3. Dzieje peregrynacyi młodzieży polskiej dla nauki i 4. Dzieje literatury pedagogicznej polskiej na obczyźnie.

Drugi obraz powinien objąć dzieje wychowania i nauczania w ziemiach zaboru pruskiego.

W toku dziejów wychowania i szkół dzielnicy pruskiej uwydatniły się wyraźnie *trzy okresy*. W ziemiach polskich, zabranych w r. 1772, rząd pruski rozpoczął od razu bezwzględną germanizacyę szkół i przeprowadzał ją z wielkim pospiechem i niesłychaną energią i bezwzględnością. To *okres pierwszy*.

W ziemiach polskich drugiego i trzeciego zaboru pruskiego a następnie w dzielnicy, wytworzonej przez kongres wiedeński w r. 1815, zdążał rząd pruski stale do zgermanizowania szkół, ale działał ostrożnie, aby z powodu nieustalonych jeszcze stosunków politycznych nie drażnić umysłów polskich. Zakładając szkoły niemieckie, utrzymywał obok nich polskie z organizacyą pruską. Ta wytrwała ale oględna polityka szkolna pruska w ziemiach polskich skończyła się z chwilą, gdy Prusy dzięki wielkim powodzeniom oręża swego wybiły się na stanowisko pierwszorzędnej potęgi europejskiej. Pogrom Austryi a zwłaszcza upokorzenie Francyi to kres okresu drugiego dziejów edukacyjnych polskich w zaborze pruskim. Z r. 1873, z nastaniem ministeryum Falka, rozpoczął się *okres trzeci*, okres bezwzględnej germanizacyi wychowania i szkół, który się dotąd nie skończył. W dzielnicy pruskiej niema dziś ani jednej szkoły polskiej, niema nauki języka polskiego, niema dla żadnego przedmiotu języka wykładowego polskiego. Nad szkołami dzielnicy pruskiej powiewa sztandar z złowrogim średniowiecznym krzyżackim napisem „exterminare idioma polonicum“, wytępić wszystko, co polskie.

Wręcz odwrotny obraz przedstawiają dzieje edukacyi publicznej w dzielnicy austryackiej. Zaraz po roku 1773 zaczął rząd Habsburgów przeprowadzać radykalną germanizacyę szkół, która dokonywała niemałego spustoszenia, padając na grunt, nietknięty dobroczynnym wpływem reform Komisyi edukacyi narodowej. Szkoły polskie poznoszono, a w ich miejsce pozakładano austryackie z językiem wykładowym niemieckim. Ucisk szkolny i germanizacya wychowania i nauczania słabły w dzielnicy austryackiej w miarę kurczenia się i wątlenia siły i znaczenia monarchii austryackiej. Porażka z r. 1866 położyła kres zapędom germanizacyjnym. Rok 1867, w którym Galicya otrzymała naczelną Radę szkolną krajową i w którym rozpoczęło się unarodowianie nauczania i wychowania, zamknął okres pierwszy

dziejów edukacyi w dzielnicy austryackiej a rozpoczął drugi, który się dotąd nie skończył.

Zanim się przejdzie do dzielnicy rosyjskiej, trzeba zatrzymać się przy szkolnictwie organizmów politycznych, wytworzonych z cząstek dawnej Polski z rządem autonomicznym polskim.

W osobnym obrazie wystąpią dzieje wychowania i szkół Księstwa warszawskiego, utworzonego w r. 1807 z ziem polskich, odebranych Prusom, a powiększonego w r. 1809 terytoryami, odebranemi Austryi. Władze szkolne Księstwa warszawskiego poszły torem, wytkniętym przez Komisyę edukacyi narodowej, a z drugiej strony korzystały z pozostałych urządzeń szkolnych pruskich, zwłaszcza przy organizowaniu szkół ludowych.

Kongres wiedeński z r. 1815 utworzył wolne miasto Kraków z okręgiem i Królestwo polskie.

Dzieje wychowania i szkół wolnego m. Krakowa i okręgu czyli Rzeczypospolitej krakowskiej (1815 do 1846) złożą się na mały, miniaturowy obrazek edukacyjny. Rzeczpospolita krakowska była organizmem niewielkim a przytem słabym a w dodatku ubogim i jako taki nie mogła w dziedzinie wychowania zdziałać nic wybitniejszego i większego. W dziejach edukacyjnych Reczypospolitej krakowskiej rysują się dwa okresiki, przedzielone r. 1833. W pierwszym oparło się szkolnictwo na wzorach edukacyjnych Księstwa warszawskiego a zatem pośrednio na dorobku Komisyi edukacyi narodowej. W r. 1833 zaczyna się dokonywać pod naciskiem rezydentów trzech państw rozbiorowych reorganizacya szkół na modłę austryacką. W roku 1846 zabrała Kraków Austrya.

Osobny wielki obraz wypełnią dzieje edukacyjne Królestwa polskiego, utworzonego w r. 1815 razem z Rzecząpospolitą krakowską. W dziejach tych rozróżniamy kilka odrębnych faz czyli okresów rozwoju. Mając konstytucyjnie zagwarantowany samorząd szkolny, rozwijało Królestwo skrzętną działalność na polu edukacyi. Przerwało pracę tę i zamknęło okres pierwszy powstanie listopadowe.

Po upadku powstania rozpoczął się okres drugi, okres tłumienia szkół polskich.

Poprawiły się stosunki po wstąpieniu na tron Aleksandra II. w r. 1855. Zaczął się okres trzeci. W r. 1861 objął w Królestwie polskiem dyrekturę wyznań i oświaty Aleksander Wielopolski. W r. 1862 przywrócono Uniwersytet warszawski pod nazwą „Szkoły głównej“. Wydana niebawem ustawa szkolna jest

trwałym pomnikiem rozumu tych, którzy ją utworzyli: samego Wielopolskiego i licznych jego doradców i pomocników. Kres temu krótkiemu ale pięknemu rozkwitowi szkoły polskiej w Królestwie polskiem położyły skutki powstania z r. 1863. Rok 1869 zniweczył jednym zamachem wszystkie szkoły polskie w ziemiach Królestwa polskiego i zainaugurował okres czwarty, okres srogiego ucisku szkolnego, który doprowadził do niesłychanego w dziejach oświaty zjawiska, do strajku szkolnego. Oby chwila obecna była początkiem nowego okresu, pomyślnego dla oświaty narodowej.

W osobnym i ostatnim obrazie wypadałoby odmalować dzieje edukacyi w t. z. Krajach zabranych t. j. na Litwie, Wołyniu, Ukrainie i Podolu. Trzeba je podzielić na trzy okresy. Pierwszy okres kończy się z chwilą wystąpienia księcia Adama Czartoryskiego i Tadeusza Czackiego, drugi z chwilą zamknięcia Uniwersytetu wileńskiego (1832) i Liceum krzemienieckiego (1833), trzeci jest zupełnem pognębieniem całego szkolnictwa polskiego w tych zabranych krajach.

W obrębie okresu pierwszego trzeba będzie odrębnie traktować zabór, dokonany w r. 1772, a osobno zabory z r. 1793 i 1795. Statut szkolny litewski, wydany przez cara Pawła w r. 1797 uwzględnił do pewnego stopnia dawne ustawy Komisyi edukacyi narodowej.

Okres drugi dziejów edukacyjnych w krajach zabranych jest wprawdzie jednolity, jako oparty na duchu i dorobku Komisyi edukacyi narodowej, musi być jednak rozdzielony na dwa osobne obrazy. Na jednym będzie głównym działaczem ks. Adam Czartoryski, a punktem centralnym działania Wilno, na drugim wysunie się naprzód silna indywidualność Tadeusza Czackiego a jako główne ognisko oświaty Krzemieniec.

Nie chcąc poprzestać na kreśleniu pięknych programów pracy, o co u nas tak łatwo, oddaję niniejszem na własność publiczną „Zarys dziejów edukacyjnych Polski porozbiorowej na obczyźnie“.

CZĘŚĆ PIERWSZA.

Na emigracyi politycznej.

I.

Pierwsze ogniska oświatowe polskie na emigracyi politycznej.

Treść: 1. Szkoła kadetów w Luneville. — 2. Szkoła oryentalna w Stambule. — 3. Emigracya po r. 1831. — Ulgi rządu francuskiego dla uczącej się młodzieży. — Odezwa Henryka Nakwaskiego. — Towarzystwo naukowej pomocy w Paryżu. — Jego cele, skład, źródła dochodu i prace: Stypendya i zapomogi dla uczącej się młodzieży; wspiera kursa czyli szkoły wojskowe polskie; zakłada pierwszą Bibliotekę polską; organizuje szkoły polskie w Nancy i Orleanie. — Upadek Towarzystwa. — Podobne towarzystwa w Chateauroux i Besançon. — 4. Towarzystwo Dam polskich w Paryżu. — Jego udział w pracach wychowawczych. — 5. Towarzystwo politechniczne polskie. — 6. Towarzystwo Pań w Edynburgu. — 7. Towarzystwo literackie przyjaciół Polski w Londynie. — Ubocznie zajmuje się dziatwą szkolną polską. — 8. Towarzystwo naukowej pomocy dla dzieci emigrantów polskich w Anglii. — Jego działalność. — 9. Polacy w Portugalii.

1. Jeszcze Rzeczpospolita polska istniała, a już rozpoczęło się przesuwanie ognisk oświatowych polskich do ziem obcych. Była to mała przygrywka do tego, co niebawem miało przybrać wielkie rozmiary. O tych pierwszych instytucyach naukowych polskich na obczyźnie, zorganizowanych jeszcze za bytu Polski, wspomnę pokrótce.

Pierwszy polski wychodźca polityczny, król Stanisław Leszczyński, założył pierwszą szkołę polską na ziemi obcej. Była nią *Szkoła kadetów w Luneville w Francyi* a raczej konwikt dla dwunastu młodzieńców polskich. Instytucya ta utrzymała się stosunkowo długo, od r. 1738 do 1766, i wychowała szereg młodych Polaków, którzy, wróciwszy do ojczyzny, wywarli zbawienny wpływ na zmianę pojęć i tok spraw politycznych w Polsce.

Literatura i źródła. Benoit A.: L'école des cadets-gentelhommes du roi de Pologne à Luneville 1738—1766, Luneville 1867.

2. Kiedy się kończył byt szkoły lunewilskiej organizował się na wschodnich kresach Europy innego rodzaju zakład polski na obczyźnie.

Rzeczpospolita polska miała z Turcyą ciągłe stosunki zarówno w sprawach wielkiej polityki jak drobnych zatargów sąsiedzkich i interesów handlowych. Z tego powodu potrzebna była w Polsce znajomość języka tureckiego. Posługiwano się w razie potrzeby tłómaczami, opłacanymi drogo.

Król Stanisław August powziął zamiar założenia *Szkoły oryentalnej w Stambule,* w którejby się młodzież polska uczyła języków wschodnich. Wykonawcą myśli królewskiej był Karol de Boscamp.

Projekt zrealizował się w r. 1766. Sejm uchwalił potrzebne na szkołę wydatki: zakład otwarto na przedmieściu stambulskiem Pera. Kierownictwo nad szkołą objął tłómacz Rzeczypospolitej Antoni Łukasz Crutta rodem z Albanii. Na początek umieszczono w szkole czterech uczniów.

Pierwszymi uczniami byli: Lwowian Jan Nikorowicz, Michał Dederkało, dalej syn byłego tłómacza Rzeczypospolitej Piotr Giulani i Stanisław de Pichelstein. Oprócz nauki języków wschodnich mieli pobierać lekcye języka francuskiego i polskiego. Obowiązani byli ćwiczyć się przedewszystkiem w stylu urzędowym, aby się wykierować na tłómaczów i urzędników poselstwa polskiego w Stambule. Utrzymanie szkoły kosztowało z początku 2460 piastrów czyli około 615 dukatów czyli 12300 złotych polskich XVIII. wieku. Sejm z r. 1768 wyznaczał na nią 40000 złotych. Fundusz ten szedł na utrzymanie i kształcenie wspomnianych czterech uczniów i ich dozorcy. W dobie konfederacyi barskiej głucho o tej szkole.

W r. 1772 ułożono dla szkoły nową instrukcyę a liczbę uczniów zredukowano do trzech. Instrukcyę opracował sekretarz wielki koronny Jacek Ogrodzki.

Uczniowie otrzymywali mieszkanie. stół, światło i pranie; prócz tego każdy pobierał po 200 piastrów rocznie na ubranie i drobne wydatki, 120 piastrów wyznaczono dla dwu służących, Ormian lub Greków, mówiących po turecku i przynajmniej nieco

po włosku. Do języków arabskiego, perskiego i tureckiego mieli być osobni metrowie, płatni po 4 piastry na miesiąc od ucznia, z zapewnieniem osobnej małej gratyfikacyi za sumienne i pilne pełnienie obowiązków.

Uczniowie mieli poznać celniejsze dzieła literatury wschodniej, przedewszystkiem jednak zgłębić tajemnice firmanów i przyswoić sobie język dyplomatyczny i stylistyczny ministeryum spraw zagranicznych państwa ottomańskiego. Obowiązani też byli uczyć się języków europejskich: francuskiego i włoskiego; na metrów tych języków wyznaczyła instrukcya 100 piastrów rocznie.

Przełożonemu szkoły Zygmuntowi Ewerhardowi, agentowi Rzeczypospolitej w Konstantynopolu, dodał sekretarz Ogrodzki do pomocy dragomana agentury Zygmunta Pohla Pangaliego.

Po zredukowaniu liczby uczniów i wydaniu nowej instrukcyi Rzeczpospolita płaciła na szkołę 30.000 zł. czyli 1500 dukatów.

Stanisław August nie zapominał o szkole. W r. 1782 posłał do Konstantynopola Józefa Mikoszę, powierzając mu nietylko dozór szkoły lecz zarazem obowiązek ćwiczenia uczniów w języku polskim i obznajamiania ich z instytucyami Rzeczypospolitej.

Mimoto szkoła rozwijała się opornie. Pobierało z funduszu Rzeczypospolitej dwóch czasem jeden młodzieniec po 700 piastrów rocznie na doskonalenie się w językach wschodnich, lecz szkoła w właściwem tego słowa znaczeniu przestała istnieć.

W r. 1790 przybył do Konstantynopola jako rezydent Rzeczypospolitej Piotr Franciszek Potocki celem zawarcia z Turcyą traktatu handlowego. Przy tej sposobności zajął się szkołą oryentalną. Opracował projekt uregulowania tej szkoły i posłał go do Warszawy Deputacyi interesów cudzoziemskich.

Projektował, aby połowa uczniów była narodowości polskiej a druga połowa innych narodowości, ile można Francuzów. Razem mieli się wszyscy uczyć języków: tureckiego, perskiego, arabskiego, a prócz tego uczniowie polscy francuskiego i włoskiego, jako powszechnie w Stambule używanych, zaś uczniowie cudzoziemcy języka polskiego. Wszyscy też mieli się uczyć historyi, geografii handlowej, ustaw oraz zwyczajów obu państw: polskiego i tureckiego. Uzdolnieni i chętni mogli pracować przytem w kancelaryi ministra rezydenta Rzeczypospolitej i zaprawiać się w ten sposób praktycznie do spraw politycznych i handlowych. Dozór nad szkołą miał mieć kanclerz misyi polskiej w Stambule.

Potocki oświadczył się za pensyonatem i podał projekt wydatków na utrzymanie szkoły z pensyonatem, obliczając go na 33.290 złp.

Nie czekając na decyzyę Deputacyi, urządził Potocki szkołę oryentalną według swego uznania. Wybrał czterech uczniów, ubrał ich w kostiumy oryentalne, i łożył z własnych funduszów na ich utrzymanie i nauki.

Deputacya zgodziła się na projekt Potockiego, zredukowawszy wydatki do 30.000 złp.

W zorganizowanej na nowo szkole kształcił się jeden Polak, jeden Francuz, jeden Ormianin i jeden Włoch. Kierownictwo szkoły objął tymczasowo kanonik smoleński ks. Janowski.

Wydatki skarbu publicznego na szkołę dzięki prywatnej hojności Potockiego były niewielkie.

Potocki, niezadowolony z fundowanej przez siebie instytucyi, wystąpił po pewnym czasie z nowym projektem, doradzając przeniesienie szkoły z Stambułu do Warszawy. Projekt ten upadł, utrzymała się pierwotna organizacya.

Szkoła istniała do końca Rzeczypospolitej, ale nie przyniosła jej oczekiwanych korzyści. Jeden tylko jej uczeń Ormianin Kirkor służył gorliwie upadającej Ojczyźnie,

Literatura i źródła. Smoleński W.: Szkoła oryentalna w Stambule na koszcie Rzeczypospolitej w Kwartalniku hist., I. str. 584.

3. Już przed trzecim rozbiorem Polski wyruszyły liczne zastępy patryotów i żołnierzy polskich za granicę do państw, które z mocarstwami rozbiorowemi żyły w nieprzyjaźni: do Turcyi, Wołoszczyzny a najwięcej do Francyi. Ale wtedy myślano tylko o prędkiem odzyskaniu utraconej wolności politycznej. W okresie legionów, spodziewając się bliskiego powrotu, wychodźcy polscy nie organizowali na obczyźnie szkół własnych.

Uczyniła to dopiero emigracya polityczna po roku 1831, która przybrała ogromne rozmiary i przeciągnęła się na dłuższy czas.

Powiedziano słusznie, że wychodźctwo polskie z r. 1831 przedstawiało cały organizm narodowy w skróceniu.

Wchodzili w skład jego członkowie rządu i naczelnicy wojsk a obok biedni wyrobnicy i prości żołnierze, najwyżsi geniusze poezyi i nauki a obok maluczcy w duchu, książęta a obok prostaczkowie z gminu, młodzież wieśniacza, owa chluba walki o niepodległość w r. 1831.

W dziejach narodów nieraz zdarzały się wychodźctwa, ale zwykle po niedługim czasie wychodźcy wracali do swoich ognisk albo też rozpraszali się i wsiąkali w społeczeństwa, wśród których znaleźli schronienie. Inaczej emigracya polska: trwała ona przez lat dziesiątki, nie wsiąkła w żaden obcy żywioł i do końca pozostała sama sobą.

Główna fala wychodźców polskich po r. 1831 popłynęła do Francyi. Znalazło ich się tam około dziesięciu tysięcy.[1]) Reszta rozproszyła się po rozmaitych krajach i częściach świata, znajdując przytułek w Belgii, Anglii, Hiszpanii, Szwajcaryi, Algierze, w Stanach Zjednoczonych Północnej Ameryki i gdzieindziej.

Przed przybyciem emigracyi naszej do Francyi Izby tego kraju dla wychodźców hiszpańskich, włoskich i portugalskich zawotowały były w budżecie 1832 roku 600.000 fr. Po przybyciu emigrantów polskich rząd musiał zażądać powiększenia kredytów. Przedtem jednak przeprowadził prawo o cudzoziemcach, prawo ograniczające ich swobodę osobistą i wyjmujące ich w pewnym względzie z pod prawa ogólnego. Prawo to dawało rządowi t. j. ministrowi spraw wewnętrznych moc gromadzenia wychodźców w jednem lub kilku miejscach, na to specyalnie wyznaczonych, i przymuszania ich do stałego pobytu w tychże. W razie nieposłuszeństwa lub w razie, jeśliby zachowanie się wychodźców zagrażało zakłóceniem porządku i spokoju publicznego, upoważniało władzę do wydalania ich z granic Francyi drogą administracyjną t. j. bez wszelkiego wyroku sądowego. Tym sposobem nowe prawo oddawało poniekąd wychodźców a w pierwszym rzędzie Polaków na łaskę i niełaskę organów władzy wykonawczej t. j. policyi. Na uchwalenie tego prawa wpływała dyplomacya rossyjska. Dnia 19. kwietnia 1832 roku przeszło to prawo i w Izbie panów francuskich.

Rząd, otrzymawszy tę uchwałę, którą emigracya polska przyjęła z niesłychanem rozgoryczeniem, przeprowadził niebawem ustawę o utrzymaniu Polaków. Zawotowano 3 miliony fr. Te trzy miliony to był chleb codzienny naszych tułaczy, to była spłata

---

[1]) Demokrata polski, tom II. 1839, str. 231 i 232 oblicza ogół wychodźców polskich w Francyi na 9.472, z tego uczniów, rozrzuconych po rozmaitych szkołach było 449: a w szczególności uczących się medycyny 202, prawa 61, aptekarstwa 22, górnictwa 31, języka francuskiego 31, matematyki 20, rolnictwa 48, weterynaryi 16. sztuk pięknych 12 itd.

Według tegoż „Demokraty" (Rok IV. 1842, str. 272) było na początku roku 1842 we Francyi emigrantów Polaków 4.471.

długu, który Francya winna była Polsce za utrzymanie armii francuskiej.

Obie ustawy, uchwalone na rok jeden, przedłużono i na następny. Ale rok 1833 przyniósł dotkliwe rozporządzenie rządowe, oddające wychodźctwo polskie, które dotąd podlegało ministerstwu wojny, pod zarząd władz cywilnych, ministerstwa spraw wewnętrznych. Nad emigrantami rozciągnięto bardzo ścisły dozór. Nareszcie i taryfa żołdu, jak nasi stale nazywali pobierane subsydya rządowe, która już nieraz była zmieniana, teraz znacznemu uległa zniżeniu. Według niej przeznaczono odtąd miesięcznie: generałom dywizyi 150 fr., generałom brygady 100 fr., pułkownikom, podpułkownikom i majorom 60 fr., kapitanom, porucznikom i podporucznikom 45 fr., podoficerom i żołnierzom po 75 centimów dziennie i racyę chleba. Emigrantom cywilnym: profesorom, urzędnikom, lekarzom, akademikom i t. p. przeznaczono od 45 do 70 fr. miesięcznie.

Z początkiem r. 1833 zaczęto też zwijać wielkie zbiorowiska emigrantów, zwane w języku urzędowym francuskim „depôts“ a po polsku powszechnie „zakładami“, i rozdzielać je i rozdrabniać po różnych miejscach, tak, że nigdy w liczbie znaczniejszej się nie znajdowali.

W ten sposób przez lato r. 1833 wychodźctwo polskie zostało rozsypane na sto kilkadziesiąt, potem na więcej jeszcze zakładów.

Rozdzieliwszy Polaków po miastach na tak zwane „depôts“ czyli „zakłady“, rząd francuski pilnował, aby się nie przenosili z miejsca na miejsce. Dopiero po długich staraniach zezwolił, by młodzież, pragnąca się oddać nauce, mogła z „zakładów“ przenosić się do większych miast na studya. W praktyce rząd stawiał jednak sporo trudności. Dopiero Thiers, objąwszy w r. 1835 ministeryum spraw wewnętrznych, poczynił rozmaite ulgi. Uzyskali je Polacy głównie dzięki zabiegom ks. Adama Czartoryskiego i jenerała Kniaziewicza.

Zabiegając o te ulgi u rządu, wpływano jednocześnie na młodzież, aby, nie tracąc czasu, imała się pracy i nauki. W r. 1833 ukazała się w Paryżu broszura p. t. „O najkorzystniejszem użyciu czasu w emigracyi“, skierowana głównie do młodzieży. Nie wymieniony na niej autor, poseł Henryk Nakwaski, wołał, aby emigracya zwróciła wszystkie swe siły, wszystkie swe widoki ku dobru Ojczyzny, a to nietylko pracując nad jej odzyskaniem, lecz nadto kształcąc i sposobiąc się, aby jej być prawdziwie użyte-

czną. Trzeba się uczyć na emigracyi. Kto wróci nieukiem, ten Ojczyźnie służyć nie potrafi.

Młodzież emigracyjna ma dobrą sposobność nauczenia się wiele. Młodzieńcy, wysyłani dawniej za granicę przez różne magistratury, uniwersytety i towarzystwa, mało co większe pobierali zasiłki nad te, jakie dziś pobierają oficerowie polscy od rządu francuskiego, a dawniej nie było takiej jak dziś łatwości nabywania nauki. Francya, powiada autor, we wszystkich prawie gałęziach nauk przedstawia sposobność dobrego kształcenia się. Każdy młodzieniec miał sobie obrać jakiś kierunek naukowy, jakiś zawód, i poświęcić mu pogłębioną i skupioną uwagę i wytrwałą pracę, aby go mógł opanować i dojść w nim do możliwej doskonałości.

Rozwijając dokładniej myśli swoje, zastanawiał się autor szczegółowo nad poszczególnemi gałęziami zatrudnień, jakim Polak z pożytkiem dla swej Ojczyzny może się oddawać na wychodźctwie. Dzieli je na rolnictwo, przemysł, handel, na nauki wojskowe, rządowe czyli polityczne, filozoficzno-matematyczne, nakoniec na nauki i sztuki piękne. Przy każdej poucza młodzież, w jaki sposób najkorzystniej może się w niej kształcić tak teoretycznie jak praktycznie. Przy tej sposobości wymienia Polaków, którzy już się wzięli do uczenia się i do pracy, i wskazuje na nich jako na przykład dobry. Wymienia też zakłady francuskie, angielskie, niemieckie, gdzie młodzież może się nauczyć czegoś dobrego.

Odezwa podziałała na młodzież dobroczynnie. Przestawszy marzyć o zbrojnym powrocie do kraju, zaczęła się garnąć do nauki i do pracy praktycznej.

Ponieważ zastępy młodzieży polskiej emigracyjnej, garnącej się do nauki a nie mającej środków do jej zdobycia, były bardzo znaczne, przeto grono patryotów zawiązało dn. 29. grudnia 1832 r. T o w a r z y s t w o n a u k o w e j p o m o c y w P a r y ż u, które w odezwie, wydanej w styczniu roku 1832, określiło dokładnie swe cele.

Rząd rosyjski po upadku powstania listopadowego używał wszelkich środków, aby zniweczyć narodowość polską. Zakłady nauczania publicznego były jednym z głównych przedmiotów jego nienawiści i srogiego ucisku. Pozamykał szkoły polskie, zniweczył uniwersytety, przywłaszczył sobie dla celów rusyfikacyjnych fundusze, przeznaczone na edukacyę młodzieży polskiej, i uwiózł z Polski do Rosyi biblioteki i zbiory sztuk pięknych.

Młodzież polska, zmuszona do tułaczki na obczyźnie, nie miała środków egzystencyi i mimo zapału do nauki musiała w bezczynności oczekiwać losu, który jej przyszłość gotowała, lub

najmować się do służby u obcych lub szukać przytułku w zakładach naukowych francuskich, w których, pozostawiona bez opieki, wyzuwszy się z uczuć narodowych i zapomniawszy mowy macierzystej, byłaby prędzej czy później przepadła dla ojczyzny.

Ten właśnie stan rzeczy był powodem założenia Towarzystwa pomocy naukowej. Założyli je: Książę Adam Czartoryski, generałowie Karol Kniaziewicz i Pac, były prezydent rządu narodowego B. Niemojowski i kasztelan Ludwik Plater razem z byłymi deputowanemi Cezarem Platerem i Aleksandrem Jełowickim oraz Adamem Mickiewiczem i dr. Karolem Marcinkowskim.

Celem zawiązanego towarzystwa było ułatwianie studyów młodzieży polskiej wszelkimi możliwymi środkami: materyalnie, niosąc pomoc pieniężną jednym uczniom, którzyby pragnęli poświęcić się studyom specyalnym i uczęszczać z tym zamiarem na kursa publiczne; moralnie, umieszczając innych w zakładach publicznych lub prywatnych jakichbądź w Francyi, Anglii i Niemczech; dalej zamierzano działać przez organizowanie kursów specyalnych w języku wykładowym polskim dla umiejętności najniezbędniejszych, oraz nareszcie przez założenie osobnego instytutu, w którymby młodzież polska znajdowała prócz pomieszczenia także wychowanie i nauczanie prowadzone w duchu narodowym.

Towarzystwo naukowej pomocy w Paryżu, założone w r. 1832. składało się z Rady kierującej, liczącej pierwotnie 10 członków, i z stowarzyszonych w liczbie 18. Przewodnictwo w Radzie objął książę Adam Czartoryski, a sekretaryat Jełowicki a po nim Feliks Wrotnowski. W latach następnych liczba członków powiększyła się. Weszli do Rady prócz wyżej wymienionych lub w ich miejsce między innymi Julian Niemcewicz, Ignacy Domejko, generał Dembiński.

Rada podzieliła się na dwa komitety: finansowy i edukacyjny.

Działalność rozpoczęło Towarzystwo od zbierania składek pomiędzy członkami a jednocześnie zwróciło się z odezwą publiczną o poparcie.

Ofiary na cele towarzystwa płynęły z początku obficie i od rodaków z emigracyi i kraju oraz od przyjaciół Polski: Francuzów, Amerykanów a przedewszystkiem od Anglików. Towarzystwo pomocy naukowej nawiązało stosunki z Towarzystwem literackiem przyjaciół Polski w Londynie oraz z Towarzystwem Dam angielskich w Edynburgu. W ciągu lat dwunastu sama Anglia złożyła na rzecz Towarzystwa 21.431 fr. Skutecznie także współdziałało Towarzystwo Dam polskich w Paryżu.

Pomiędzy ofiarodawcami i dobrodziejami towarzystwa spotykamy nazwiska hr. Montalemberta, lady Byron, miss Cruikshank i lady Gibson Graigh.

Najofiarniejszymi członkami Towarzystwa byli generał Kniaziewicz i Jełowicki. Niezmordowani w gromadzeniu funduszów Czartoryski. Niemcewicz, Kniaziewicz i inni. Znaczne sumy płynęły z dzielnicy rosyjskiej. ale anonimowo z obawy przed rządem rosyjskim, który pilnie kontrolował każdy krok emigracyi.

Dzięki szerokiej ofiarności Towarzystwo naukowej pomocy w krótkim czasie od r. 1832 do 1844 oddało sprawie wychowania narodowego znaczne usługi.

Na same wsparcia dla uczącej się młodzieży wydało w ciągu tego czasu 80.287 fr. 36 centimów. Udzielało zasiłków ciągłych i jednorazowych. Pomoc ciągła, z razu hojniejsza, później musiała się ograniczać do 15 franków miesięcznie. Wsparcia jednorazowe wynosiły od 35 do 100 fr.

Realizując dalszy punkt programu, udzielało Towarzystwo pomocy naukowej moralnego i materyalnego poparcia Kursom wojskowym, organizowanym w samym początku emigracyi po „zakładach“,

Pierwotnie osiedlono Polaków tylko w sześciu „zakładach“: w Bourges, Besançon, Dijon, Avignon, Chateauroux i w Cahors.

W tych właśnie miastach urządzano kursa czyli szkoły wojskowe dla młodzieży polskiej w języku polskim. Oficerowie polscy lub osoby świeckie wykładały w nich nauki wojskowe a obok historyę, geografię, statystykę, literaturę polską i inne przedmioty.

Towarzystwo pomocy naukowej spieszyło według możności z pomocą tym szkołom. płacąc za najem sal wykładowych, kupując dla nich książki i sprzęty. Pod tym względem nastały gorsze dla działalności Towarzystwa warunki, gdy nieliczne dotąd wielkie zakłady rozdrobniono na mnogie małe. Wyłoniły się przytem i inne przeszkody.

Była szkoła wojskowa w Cahors. Towarzystwo pomocy naukowej udzieliło jej w 1833 roku 100 fr. zasiłku.

W Besançon organizowała się za pozwoleniem ministra wojny a staraniem generała Kniaziewicza Szkoła artyleryi. Kniaziewicz przysłał na jej użytek szkrzynię książek naukowych. kosztem jego nabytych lub otrzymanych od ministra wojny. Pani Komarowa ofiarowała dla tej szkoły 196 tomów dzieł i 20 atlasów. Nareszcie po dłuższych wahaniach rozpoczęto 25. września 1832 roku z zasiłkiem Towarzystwa pomocy naukowej wykłady. Pro-

gram ich obejmował kurs artyleryi, fortyfikacyi, strategii, matematyki, fechtunku oraz służby piechoty i jazdy.

Na Kursie wojskowym w Bourges, otwartym w lutym r. 1833, wykładano strategię, fortyfikacyę, historyę polską i język francuski. Historyę i statystykę wykładał poseł Ksawery Godebski.

W Dijon zebrała się nieliczna ale wykształceńsza garstka Polaków. Byli między nimi młodzi akademicy z Warszawy i Krakowa, żądni wiedzy. Miejscowy uniwersytet dawał im do jej nabycia dobrą sposobność.

Zebrało się w Dijon około 50 Polaków, przyjmowanych przez miejscową ludność bardzo życzliwie. Mer miasta udzielił na zebrania obszernej sali w ratuszu, a Klub miejscowy pozwolił im korzystać z Czytelni swej. Nadarzała się też w Dijon dobra sposobność do wykształcenia się w kierunku praktycznym; młodzież polska nie korzystała z niej jednak, omaniona nadzieją rychłej wojny europejskiej. Myślano o wykształceniu wojskowem. Już w r. 1832 Jakób Malinowski, były profesor szkoły marymonckiej, wykładał w Dijon geografię i statystykę. Zamierzano nadto zorganizować kurs taktyki wojskowej i kilku innych przedmiotów, ale szybki bieg wypadków zwrócił młodzież w inną stronę. W kwietniu r. 1833 wyruszyło kilkudziesięciu młodych na t. zw. wyprawę frankfurcką. Po ich wyjściu pozostało w Dijon tylko 15 Polaków.

Na Kursach wojskowych w Paryżu, które Towarzystwo popierało najwydatniej, wykładał generał Sznajde taktykę kawaleryi, pułkownik Paprocki taktykę piechoty, kapitan Pogonowski rysunki topograficzne, kapitan Hauke artyleryę, Rymgayłło architekturę a generał Chrzanowski, znany autor wielkiej mapy Polski, kurs piechoty i sztuki wojennej.

Kursa wojskowe trwały wszędzie krótko. Paryskie zamknięto po pięciu miesiącach.

Towarzystwo pomocy naukowej zebrało dostarczone tym kursom książki i otwarło w Paryżu w październiku r. 1834 Bibliotekę polską, pierwszą na wychodźctwie, powierzając dozór nad nią Feliksowi Wrotnowskiemu.

Innym środkiem działania Towarzystwa pomocy naukowej było zakładanie szkół dla dziatwej emigracyjnej, aby ją kształcić i wychowywać w duchu narodowym a przez to chronić przed wynarodowieniem. Towarzystwo zorganizowało dwie takie szkoły.

Szkoła polska w Nancy powstała dn. 29. listopada 1833 roku. Dzieci, pomieszczone w pensyonacie francuskim, pobierały

przepisane dla ich wieku i stopnia wykształcenia przedmioty w szkołach publicznych. Niezależnie od tego nauczyciele polscy uczyli je języka, historyi i geografii polskiej; i religię wykładano im w języku ojczystym a nadto powtarzano z nimi w języku polskim przedmioty, wykładane po francusku w pensyonacie, a względnie w szkołach publicznych.

Towarzystwo płaciło nauczycieli i lokal, dostarczało szkole potrzebnych jej książek i przyznało każdemu dziecku zapomogi miesięczne po 5 fr. Towarzystwo dokładało też wszelkich starań, aby wyjednać u rządu przeniesienie rodzin polskich, mających dzieci w wieku szkolnym, do Nancy, aby zgromadzić w szkole około 40 dzieci. To się nieudało

Dozorcą honorowym szkoły w Nancy był ks. kanonik Józef Niezabitowski, kapelan żmudzkiego powstania, a po jego śmierci (w roku 1837) Włodzimierz Gadon, prezes rządu powstańczego w powiecie telszewskim.

Szkoła miała z początku do nauki polskich przedmiotów trzech nauczycieli, pod koniec tylko jednego. Uczyli w niej Morawski, dr. Dziewoński i Rajewski.

Uczniów liczyła od 18 do 21. Korzystali z niej chłopcy i dziewczęta. Pobierali w niej nauki elemantarne jedni, a inni przechodzili kurs gimnazyalny.

Prócz Towarzystwa pomocy naukowej popierało szkołę tę i miasto Nancy. Pod koniec podtrzymywały jej byt przeważnie tylko panie angielskie. Szczególnie opiekowała się nią Miss Anna Cruickshank. Jej zgon napełnił Polaków w Nancy głębokim smutkiem. Zarządzono, aby dziatwa i nauczyciele szkoły oraz rodzice dzieci nosili przez pewien czas po zmarłej żałobę. Uczczono pamięć jej nabożeństwem żałobnem i osobną jeszcze uroczystością (19. stycznia 1837), w czasie której wygłoszono dwie mowy na cześć zmarłej opiekunki. Przemawiali Włodzimierz Gadon i Józef Rymkiewicz.

Szkołę zwinięto po dziesięciu latach istnienia, wydawszy na nią 18.434 fr.

Podobną S z k o ł ę p o l s k ą podtrzymywało Towarzystwo pomocy naukowej w O r l e a n i e. Ta powstała w r. 1834 a zaczęła upadać już w r. 1837 z powodu braku funduszów. Szkoła ta kosztowała Towarzystwo 11.750 fr.

Dozorcą honorowym szkoły orleańskiej był ks. Dąbrowski, późniejszy dyrektor szkoły polskiej batyniolskiej w Paryżu.

Dzięki staraniom Towarzystwa pomocy naukowej minister spraw wewnętrznych Thiers nie tylko zezwolił na przesiedlenie się rodziców, mających dzieci a przez towarzystwo wskazanych, do Orleanu lecz poniósł nawet część kosztów przesiedlania tychże. Wskutek tego szkoła zgromadziła liczniejszy zastęp dzieci. Liczyła ich od 11 do 22. W r. 1837 było w niej 17 uczniów w wieku od 5 do 23 lat.

I tu urządzono naukę jak w Nancy, i tu dla polskich przedmiotów opłacało Towarzystwo trzech profesorów. Prócz ks. Dąbrowskiego uczyli w szkole były profesor gimnazjalny wileński Gerard Gronostajski i Chrząszczewski.

Nie mogąc utrzymać osobnej szkoły w Orleanie, zamierzało Towarzystwo przenieść ją do Nancy. Szkoła orleańska utrzymała się czas jakiś jeszcze po utracie subsydyów Towarzystwa.

Towarzystwo pomocy naukowej zamierzał zorganizować podobne szkoły polskie i w innych miejscach n. p. w Besançon, Tours i t. d. Wykonaniu tej myśli stanął na przeszkodzie brak funduszów oraz niemożność zgromadzenia większej liczby dzieci na jednem miejscu.

Aby uchronić młodzież od utraty uczuć religijnych i narodowych, od zepsucia światowego i od umysłowego zwichnięcia dążyło Towarzystwo do utworzenia osobnej w Paryżu instytucyi naukowej. Dyrekcyę najwyższą miało zatrzymać Towarzystwo, a bezpośrednie kierownictwo miało przejść w ręce Rady nadzorczej. Instytucya miała być skromna i tajemna, aby nie obudzać uwagi nieprzyjaznych nam rządów, miała nosić nazwisko pensyi prywatnej, jak gdyby była własnością jej kierownika. Opłata roczna miała wynosić 3000 fr. a miała się zmniejszać w miarę wzrostu liczby pensyonarzy.

Młodzież miała chodzić na kursa poza dom a w domu miała pobierać korepetycye w języku polskim, a uczyć się języka i literatury polskiej, historyi i geografii polskiej, prawa polskiego oraz filozofii katolickiej.

Zamiar ten zrealizował się w innej nieco formie, ale już po rozwiązaniu się Towarzystwa.

W r. 1841 ogłosiło Towarzystwo naukowej pomocy konkurs na napisanie książki, obejmującej kanon wiedzy o rzeczach polskich p. t. Szkoła domowa. O książce tej a raczej o jej projekcie będzie mowa tam, gdzie przyjdzie do oceny literatura pedagogiczna polska na obczyźnie. Z tej akcyi powstał tylko Elementarz polski.

Na tak różnorodne i liczne potrzeby nie miało Towarzystwo stałych dochodów; fundusze wpływały tylko z dobrowolnych ofiar i składek, które z początku napływały dość hojnie a z biegiem czasu coraz słabiej. Z początku miało Towarzystwo przeszło 25.000 fr. rocznego dochodu, pod koniec zaledwie 2.000 fr. Przy roztropnem szafarstwie unikło deficytów z wyjątkiem r. 1836.

Towarzystwo naukowej pomocy dawało jeszcze r. 1847 słabe znaki życia i upadło ostatecznie nie tyle dla braku poparcia materyalnego, ile raczej wskutek nierozumnej opozycyi, z którą przeciw niemu wystąpiła pewna garstka wychodźców polskich, uprawiających pseudopolitykę emigracyi, wmawiających w młodzież, że ten rodzaj zajęcia t. j. oddawanie się nauce, jest przeszkodą dla „życia publicznego“ na emigracyi. Oto, co mówi były pedagog wileński i były sekretarz Komitetu grudniowego Walery Pietkiewicz w liście do przyjaciela: „Nie uwierzysz, jak prędko nasi tu głupieją, szczególniej młodzi, co się uczą; prawnictwo, ekonomia zabija ich okropnie. Kilku porządnych przedtem chłopców rozumieć już nie mogę, tak derezonują, tak zdoktrynoszeli. To okropna! Wolałbym, żeby się nic nie uczyli: żeby próżnując w zakładach siedzieli: a będąc w kupie, polskiem żywili się czuciem“.

Do tego domieszały się potępieńcze swary i nieznośna podejrzliwość. Towarzystwo padło ich ofiarą. Głoszono wśród emigracyi, że imię Towarzystwa służy tylko jego prezesowi za pozór do szafowania sumami, przysłanemi mu dla Emigracyi. Zarzucono mu nawet „zwolennictwo i przedajność“, choć Towarzystwo ogłaszało dokładne raporty i sprawozdania, a jego księgi stały dla każdego otworem u kasyera, w mieszkaniu generała Paca. Tak n. p. ogłoszono w Tuluzie, że Czartoryski obudza zgrozę przez „oszustowskie trwonienie pieniędzy emigracyjnych, że przez pośrednictwo Towarzystwa naukowej pomocy rozsyła wsparcia swoim zwolennikom, po większej części próżniakom“.

Głośny warchoł i potwarca emigracyjny, J. B. Ostrowski, zwany „Ibusiem“, zapamiętale poduszczał, zaręczając, że Czartoryski ma 140.000 fr., nadesłanych mu dla Emigracyi. Książę, zapytany przez Dwernickiego, odpowiedział, że żadnych pieniędzy emigracyjnych nie posiada, a jeśli co ma, to dane mu są one do własnego rozporządzenia albo z celem wyraźnie oznaczonym.

Gdy Ostrowski wołać nie przestawał, gdy wskutek tego wołania niektóre Zakłady udawały się wprost z zapytaniem do księcia Adama, wtedy ten odpowiedział w liście z dn. 30. stycznia 1834 roku, że nie on sam funduszami rozrządza, lecz wspólnie

z wyznaczoną przez stowarzyszonych Radą, która ogłasza sprawozdania swoje drukiem i podlega tem samem kontroli publicznej. Fundusze te były zawsze szczupłe, a powieść o kilkunastu tysiącach dukatów jest czczem tylko wymyśleniem.

Na czele Towarzystwa pomocy naukowej stał Czartoryski, a więc Lelewelici i Demokraci głosili, że jest ono „zamachem na ogarnięcie tułactwa“, utworzone tylko, by „kupować stronników dla arystokracyi“

Towarzystwo jednak służyło najwięcej tym właśnie, którzy wcale „arystokratami“ nie byli, służyło przez spory szereg lat i posłużyło wielbionej pamięci Karolowi Marcinkowskiemu za wzór do założenia podobnego Towarzystwa do dziś dnia w Poznańskiem błogo działającego.

Dr. Marcinkowski rozpoczął szczytną działalność już w Paryżu znamiennym czynem. W konkursie, rozpisanym przez Akademię medyczną w Paryżu, zdobył medal złoty. Uzyskawszy zezwolenie instytucyi, zrzekł się medalu, a wartość jego, 1.000 fr., przekazał Towarzystwu pomocy naukowej na wsparcia dla uczniów polskich, uczących się medycyny.

I gdzieindziej na emigracyi powstały podobne Towarzystwa, ale te miały byt bardzo krótki.

W Chateauroux zawiązało się w lutym r. 1833 Towarzystwo wzajemnego oświecenia z celem „doskonalenia się wzajemnego i dążenia ku pożytkowi ogółu Polaków“. Prezesem tego Towarzystwa był Franciszek Kranas, a sekretarzem Semenenko.

Towarzystwo z taką samą nazwą uformowało się i w Besançon pod przewodnictwem Józefa Meyznera, a sekretaryatem Henryka Kałusowskiego i wydało kilka numerów pisemka pod imionami żołnierzy polskich.

Literatura i źródła. Akt utworzenia Instytutu naukowej pomocy 1832, rkps Muz. XX. Czartoryskich w Krakowie. — Compte-rendue de la Société polonaise des études, établie à Paris od 1834 do 1844. — Dziennik narodowy, Paryż 1842. — Gadon L.: Emigracya polska, 1901. — Kalendarz, Paryż 1838. — Komisya funduszów edukacyjnych emigracyi. Paryż 1834. — Krosnowski: Almanach historique, Paryż 1846. — Kronika emigracyi polskiej 1836. — Muzeum XX. Czartoryskich w Krakowie: Materyały rękopiśmienne. — (Nakwaski H.): Uwagi o użyciu najkorzystniejszem czasu w emi-

gracyi, Paryż 1833. — Noworocznik demokratyczny, Paryż 1842. — Rocznik emigracyi polskiej. Paryż 1836. — Rocznik Tow. hist.-lit. w Paryżu z r. 1866—1878. — Statut Instytutu polskiego pomocy naukowej, rkps Muzeum XX. Czartoryskich. — Wiadomości krajowe i emigracyjne, Paryż 1837. — Wielogłowski W.: Emigracya polska wobec Boga i narodu. Wrocław 1848.

ANTONI KARBOWIAK.

(Ciąg dalszy nastąpi).

Wycieczka do Parany

(stanu rzeczypospolitej Brazylii).

Dziennik podróży.

SŁOWO WSTĘPNE.

Wychodźctwo z ziemi polskiej nie ustaje. Trwają wciąż przyczyny, które je wywołują, a mianowicie: szybkie rozmnażanie się ludności i jeszcze szybciej rosnące jej potrzeby kulturalne a zarazem brak dostatecznie obfitych źródeł dochodu i zarobku, któreby czyniły zadość tak pierwszemu jak drugim (t. j. pospiesznemu mnożeniu się ludności i wzrostowi jej potrzeb cywilizacyjnych).

Jest to zjawisko powszechne w każdym żywotnym narodzie lądu europejskiego, zawierającego 422 miliony ludności na przestrzeni 9,896.790 kilometrów kwadratowych.

W ciągu ostatnich lat 30 naród polski pomnożył się w dwójnasób co najmniej. Stało się to skutkiem dwu zdarzeń, które bardzo wpłynęły na zwiększenie środków utrzymania ludności naszej: uwłaszczenie włościan i rozwój przemysłu wraz z postępem gospodarstwa rolnego. Pomnożyły się i zwiększyły dochody i zarobki — nastał lepszy ich podział. Jednak rozrost środków do życia nie posuwa się z szybkością dorównywującą przyrodzonej sile rozrodczej narodu.

Wynikiem takiego stanu rzeczy musi być bezwarunkowo wielka śmiertelność a, ponieważ opasały kulę ziemską nieznane przedtem ułatwienia komunikacyjne, przeto rozpoczął się wielki odpływ ludności polskiej do krajów, gdzie ona znajduje większe dochody i zarobki niż na ziemi rodzinnej. (Na mniejszą skalę odbywa się ruch przesiedleńczy za życiem w samych krajach polskich ze wsi do miast oraz w daleko mniejszym stopniu odwrotnie, z Galicyi zachodniej do siedzib przemysłu naftowego we wschodniej — ze wschodnich gubernii Królestwa Polskiego i Galicyi do Poznańskiego, Ślązka, Prus zachodnich i wschodnich).

Wychodźctwo będzie zawsze istniało i to na wielką skalę, dopóki nie nastaną w Polsce stosunki szwajcarskie, belgijskie, amerykańskie, australskie, saskie, nadreńskie, gdzie jest przewaga immigracyi nad emigracyą, a przynajmniej równowaga między tymi dwoma przeciwnymi prądami.

Wychodźcy nasi są wprawdzie nędzarze, lecz nie najbiedniejsi z biednych. Najwięksi biedacy marnieją pod płotem rodzinnym (w rodzinnych strzechach, lepiankach i suterenach). Tak najlepsze maszyny i narzędzia nieużyte i zaniedbane rdzewieją po składach fabrycznych. Cenniejszy od najdroższych maszyn pracownik ludzki ginie u nas w straszniejszej mierze bez pożytku dla siebie i drugich, niż na zachodzie Europy i w zeuropeizowanych częściach świata.

Aby magnesy, pociągające ludność polską, przestały działać, nie ma innego sposobu, jak tylko, żeby albo w krajach dopływu wychodźctwa zapanowały stosunki nasze, albo żeby nasze upodobniły się do tamtejszych. Trzeciego wyjścia nie ma.

Miejmy wiarę w postęp ludzkości i w to, że pierwsze nie nastąpi, lecz raczej drugie, t. j. że kraje polskie, niepowstrzymane przez żadne pęta zastoju i niewoli, zakwitną na podobieństwo tych krain błogich, wytwarzających dla siebie miliardy z pomocą wychodźctwa naszego.

Ale i wówczas nie będzie zażegnana sprawa wychodźcza a tylko będzie mniej więcej równowaga między odpływem i przypływem ludzkim. Wychodźctwo będzie zawsze istniało, choćby dla ciekawości i nauki, dopóki w społeczeństwie będzie tliło życie.

Nie dający się odmienić życiowy fakt wychodźctwa powinniśmy wyzyskać tak, jak to czynią inne narody, bardzo doświadczone w tej mierze. One nie tylko nic nie tracą na licznych wędrówkach swych obywateli, lecz korzystają w lichwiarski sposób

z ich rozproszenia i skupienia w celach rozszerzenia swego jestestwa drogą handlu, przemysłu i innych wpływów. Wszak Ameryka, Australia i znaczne części Azyi i Afryki są dalszym ciągiem państw i społeczeństw europejskich — obszerniejszych zwykle i potężniejszych od macierzy odnośnych. Nie marnujmy poważnego już zaczątku nowopolskich społeczeństw. Przyrodzony iście amerykański przyrost ludności polskiej woła głośno:

Z żywymi naprzód iść
Po życie sięgać nowe!

W południowej Ameryce, którą zwiedziłem, jako wysłannik Polskiego Towarzystwa Handlowo-Geograficznego, najliczniej i pomyślniej osiedla się żywioł polski w brazylijskim stanie Parana. Inne stany sąsiednie zawierają go mniej i gorzej skupionego pod względem prawdopodobieństwa zachowania właściwości swojskich. Poznałem też i inne kraje prawie pustynne, gdzie nic nie stoi na przeszkodzie bujnemu rozrostowi osadnictwa polskiego.

Praca niniejsze jest tylko opisem wycieczki do Parany. Jest ona gruntowną przeróbką drukowanych urywkowo m. i. we Lwowie „Wspomnień“, które spisałem był prawie zupełnie z pamięci. Albowiem większa część notatek i wszystkie klisze fotograficzne poginęły mi w niewygodach podróży... na deszczu brazylijskim. To, co zostało ogłoszone drukiem, jest właściwie pierwszą notatką, zupełnie na nowo przerobioną. Ta przeróbka czy uzupełnienie „Wspomnień“ polega na przypomnieniu sobie wielu faktów i wrażeń osobistych, nie ujętych z powodu pośpiechu, a nie będących bez wartości, jak mi zaręczają. Ztąd otucha moja i odwaga stawienia się z pracą niniejszą przed sądem szerszej publiczności polskiej, a zarazem obowiązek zdania sprawy przed nią, obowiązek nie całkiem dotąd wypełniony.

Dr. Stanisław Kłobukowski.

ROZDZIAŁ I.

Lwów — Rio de Janeiro. — 19. sierpnia — 13. września.

Lipcowym rankiem we Lwowie, w chwili kiedy mogło mi się śnić o wszystkiem, tylko nie o podróżach, budzi mnie przyjaciel i zaraz po przywitaniu rzuca mi pytanie: „Czy nie pojechalibyście do Ameryki południowej? Towarzystwo św. Rafała[1]) potrzebuje przewodnika dla tysiąca wychodźców, ruszających do Brazylii. Przyjąwszy obowiązki takiego kierownika, będziecie mieli zapewnioną wolną jazdę przez ocean i z powrotem“. Nie wahałem się długo. Po kilku minutach istnego zesztywnienia z powodu natężonego myślenia odpowiedziałem, że jadę.

Postanowienie moje, mimo swej szybkości, nie należało do lekkomyślnych. Nieraz bowiem rozmyślałem o stanowisku takiego przewodnika i podróżnika. Przesunął mi się błyskawicznie cały szereg obrazów tego, co można było widzieć i zdziałać w ciągu takiej podróży. Lwów potrzebował wówczas wiadomości dokładnych o wychodźctwie do Ameryki południowej. Wycieczka moja mogła się do ich zebrania przyczynić. Zwłaszcza potrzebowało ich nowo powstałe Polskie Towarzystwo Handlowo-Geograficzne. Jako członek tegoż, miałem moralny obowiązek korzystania z nadarzającej się sposobności, aby mu tych danych dostarczyć.

Wyjazd mój jednak, zamiast nastąpić nagle, opóźnił się na szczęście o kilka tygodni. Miałem więc choć trochę czasu porobienia przygotowań do podróży, aby była jak najobfitsza w skutki.

Wypadało zaopatrzyć się w różne polecenia, ułożyć plan zwiedzania osad naszych na południowej półkuli, oraz porozumieć się w pewnej mierze z światem kupieckim i przemysłowym celem ewentualnego nawiązania stosunków handlowych z polskiemi zamorskiemi koloniami, rokującemi niemałe nadzieje. Po kilku tygodniach rozjazdów, długich konferencyi i wogóle przygotowań, które w sprawie tak ważnej a niedocenionej mogły być niestety tylko bardzo dorywcze, zebrawszy trochę poleceń i próbek towarów (głównie z Warszawy) i wiele błogosławieństw na drogę, wyjechałem na czele jednej z bieżących partyi wychodźców, uda-

---

[1]) Katolickie towarzystwo niemieckie, mające na celu pieczę nad wychodźcami. Filie jego istnieją w Austryi. Jedna z nich powstała we Lwowie za staraniem kilku arystokratów galicyjskich.

jących się za Atlantyk pod opieką lwowskiej filii Towarzystwa św. Rafała.

Lwów — Wiedeń. — 9.–13. sierpnia 1895 r.

9. sierpnia opuściłem Lwów, wyprzedzając o kilka dni wyprawę tysiąca wychodźców. W Wiedniu chciałem koniecznie poczynić w dalszym ciągu przygotowania do czekającej mnie podróży na drugą połkulę.

Tymczasem tysiąc przyszłych obywateli południowo amerykańskich przybyło do Wiednia o kilka dni wcześniej, niż można było przypuszczać i unicestwiło mi zamierzenia przygotowawcze m. i. widzenia się z ministrem spraw wewnętrznych hr. Gołuchowskim, rodakiem jawnie popierającym sprawę, której się oddawałem. Trzeba było bez zwłoki udać się w dalszą podróż, aby nie narażać wychodźców na wydatki i szkody związane z pobytem przedłużonym w Wiedniu.

Albowiem Towarzystwo Św. Rafała Wiedeńskie w porozumieniu z filią Lwowską zajęło się rano przeprawianiem ludzi naszych, nieumiejących po niemiecku, z dworca północnego do południowego, przeżywieniem ich, zakupieniem im biletów i wysłaniem ich tego samego dnia wieczorem z Wiednia w dalszą drogę. Chodziło o to, aby wychodźcy jaknajmniej zatrzymywali się w Wiedniu tak z powodu kosztów, jak gawiedzi wielkomiejskiej, która zachowywała się względem nich jak względem zwierząt w menażeryi a nie obywateli tego samego państwa.... wreszcie trzeba było unikać zatrzymywania się ze względu na policyę austryacką, niewyczerpaną w pomysłach krępujących ruch taki, jak wychodźctwo. I istotnie już pod wieczór „policaje“ jęli się przyczepiać do roślejszych parobków mówiąc, że pewnie uciekają od wojska, nie mają papierów w porządku i t. p.

Szczęściem udało mi się przy nieocenionej pomocy i inicyatywie p. Adama Kłoskowskiego, pełnego ofiarności urzędnika kolejowego, wyzyskać współzawodnictwo istniejące między koleją południową a państwową w ten sposób, żem osiągnął od jednej z nich dla mego tysiąca emigrantów zniżkę ceny biletów jazdy 3 klasą z 12 złotych reńskich i 59 centów na 6 złr. 29 c. za przejazd z Wiednia do granicy włoskiej.

„Państwowa“ droga żelazna mija granicę pod miastem Pontebbą; tam też oczekiwało wychodźczy hufiec nasz dwóch ajentów

emigracyjnych p. p. Nodari oraz ks. Duda, aby go przenocować i ułatwić mu przejazd do Genui. Niestety trzeba było tę drogę zaniechać i wybrać „południową“, znacznie dłuższą, prowadzącą do granicy włoskiej przez miejscowość Cormons, gdzie nas nikt nie oczekiwał.

Ta zmiana marszruty wytworzyła wielkie trudności, gdyż przyjęcie tysiąca emigrantów, ich przenocowanie, ułatwienie im kupna biletów i t. p. były przygotowane w Pontebbie a nie w Cormons. Obawiałem się, że niedam sobie rady z umieszczeniem i wyprawieniem tak wielkiej ilości ludzi, bardzo biednych i mało oświeconych w kraju włoskim, obcym mi zupełnie.

Jeszcze przed wyruszeniem z Wiednia zaznałem pierwszych przyjemności przewodnika emigrantów. Nadzwyczajny pociąg, wiozący 1000 wychodźców naszych, wyruszał o kwandrans po zwykłym osobowym, którym ja miałem jechać naprzód. Dla uproszczenia expedycyi bagażów dołączyłem moje 4 kuferki do emigranckich: wyszedłem na tem prawdziwie, jak Zabłocki na mydle. Okazało się bowiem, że po za ulgami i ułatwieniami takich drapieżników, jak zarządy kolejowe w Austrji, stoi zwykle zasadzka; dano wprawdzie zniżkę ceny biletów jazdy wychodźcom, lecz nie tylko cofnięto im zwykłą wolną wagę 25 kilo od osoby, ale kazano jeszcze opłacić bardzo drogo za przewóz pakunków, oddanych na wagę (10 złr. od kuferka). Każdy, którego bilet po zniżocej cenie kosztował 6 złr. 29 ctn., płacił 10 złr. za 1 kuferek, 20 za 2 kuferki i t. d. Ja zaś, który miałem całkiem „wolną“ jazdę, musiałem zapłacić 40 złr. na 4 niewielkie pakunki. Dowiedziałem się tedy, co nazywają w Austryi zniżoną cenę i wolną jazdę.

Zbliżyłem się do okienka kasy, aby otrzymać kwit wyprawionych kilkudziesięciu kufrow, których na szczęście było mało, bo każdy nie omal poszedł za radą p. K. i zabrał do wagonu, tyle rzeczy, ile tylko mógł. Przywitał mnie ujmująco słodki uśmiech kasjera. Znając zbyt dobrze te „dobrotliwe“ typy wiedeńskie, których uśmiech pokrywą bardzo często zdradę, przeczułem instynktowo coś niedobrego. Jakoż nie omyliłem się, Pan kasjer pieszczotliwym głosem oświadczył, że mam zapłacić 215 złotych reńskich. Struchlałem. Za 20 minut odchodzi mój pociąg. Istne zachodziło niepodobieństwo w tym czasie od kilkudziesięciu włościan wydobyć na pakunki po 10, 20 i więcej złotych reńskich. Wytłómacz że chłopu, że niezarabiam na tym interesie, że za rzeczy każdy płacić musi więcej niż za bilet! Postanowiłem nie płacić wcale wobec szczupłych funduszów, jakiemi rozporządzałem.

Lecz z drugiej strony zwłoka mogła sprawić, że moje 1000 emigrantów zatrzymałoby się 24 godzin dłużej w Wiedniu. Gawiedź i policya stanęły mu na mysli. Altruizm wziął górę nad samolubstwem. Zapłaciłem. Zdołałem w ciągu 10 minut wycofać całe 110 złr. nadspodziewanie — przypuszczałem, że nie wycofam ani jednego. Ale słyszałem głosy: Pakunki nie warte 10 złr., lepiej niech przepadną".

Wieczorem z uderzeniem 9-tej godziny wyjechałem. Nadzwyczajny zaś pociąg, unoszący wychodźców, opuścił o kwadrans później stolicę naddunajską. O ten przeciąg czasu ustawicznie aż do granicy włoskiej wyprzedzałem swych towarzyszy podróży.

Simmering — Cormons — Udine. — 14.—16. sierpnia.

Wielkie gorąco w wagonie 2 klasy przygotowało mnie nieźle do klimatu brazylijskiego. Po kilku godzinach przebywania w atmosferze pieca od chleba, zasnąłem. Zbudziło mnie zimno dotkliwe i kazało się domyślać, że przejeżdżamy przez szczyty alpejskie Simmeringu. Niestety tylko za pomocą skury swojej, odczuwającej tę zmianę temperatury, a nie za pomocą wzroku swego czułem, że w ciemnościach nocy przejeżdżamy słynną i malowniczą drogą. Dane mi było jedynie oczyma duszy przedstawiać sobie widoki gór, dolin, wąwozów, przepaści, skał, białych arkad, kamiennych mostów i innych świetnych dzieł sztuki inżynierskiej, po których przelatywałem z szybkością sokoła.

Nazajutrz rano znalazłem się na południowej stronie głównego pasma Alp i mogłem zachwycać się tym razem dowoli pięknemi widokami. Niestety usposobienie wewnętrzne przeszkadzało mi korzystać w pełni z czaru obrazów górskich. Od samego wyjazdu z Wiednia trawił mnie niepokój i im więcej zbliżałem się do granicy włoskiej, tem silniej szarpał memi nerwami. Jakkolwiek zdążyłem zawiadomić telegraficznie ks. Salezyanina Dudę i agentów emigracyjnych Nodarich, wyczekujących naszego przybycia na granicy włoskiej w Pontebbie, że jedziemy koleją południową na Cormons a nie państwową na Pontebbę, nie miałem jednak pewności, czy włoski mój telegram doszedł, lub został zrozumiany należycie.

Objeżdżaliśmy tymczasem wielkiem półkołem znaczną przestrzeń państwa austryackiego, przebiegając przez Grac, Lublanę,

Nebresinę i Cormons w ciągu całych 24 godzin; pomykając zaś prosto na Leoben i Willach do Pontebby przebylibyśmy tę drogę w ciągu 12 godzin.

Od czasu do czasu, gdy pociąg mój zatrzymywał się dłużej niż kwadrans na stacyi, pociąg nadzwyczajny towarzyszy-wychodźców doganiał mnie. Korzystałem z tego, by zapoznać się wtedy z nimi, służąc im za tłómacza; wyszukiwali mnie na stacyach, darząc mnie swojem zaufaniem. Jak głównodowodzący mianuje generałów i oficerów. tak też i ja wypatrywałem intelligentniejszych pomiędzy nimi. Chciałem bowiem, o ile można, wszystko wiedzieć, co się wśród nich dzieje, i urządzić się tak, aby to, co miałem im do udzielenia, niezwłocznie wszystkim było wiadomem.

Przejeżdżałem przez ziemie, gdzie toczy się walka uciśnionej Słowiańszczyzny z rozpanoszoną Niemczyzną; dotknąłem się palcem tej wojny podczas pokoju. Jakiś otyły niemiec czy zniemczony odmieniec, brał mnie za jakąś wysoką osobistość i o mało nie złamał krzyża, gnąc się w ciągłych ukłonach przedemną. Ja zaś przybrałem postawę Excellencji. Byłem z nim wyniosły w miarę, lecz zarazem grzeczny i popularny, raczyłem się go spytać, co za czasopisma w nieznanym mi języku ma przy sobie. Były to, jak spostrzegłem od razu, gazety słoweńskie, ludowe i robotnicze. Spiekł raka, jak panna, i zaczął się tłómaczyć z „winy“ czytania takich bezeceństw. „W kraju, przez który jedziemy,“ mówił, są tacy, którzy nie umieją dobrze po niemiecku i włosku, a nawet, o zgrozo! niechcą się wyuczyć tych języków cywilizowanych. Trzeba jednak wiedzieć, co ci Słowianie pisują. Niemógł się dość wydziwić niepojętej łagodności rządu austryackiego, który pozwala w słowiańskiem piśmie socjalistycznem deklamować przeciw militaryzmowi; przypuszczał, że chyba tylko przez nieuwagę przepuszczono bezkarnie frazes rewolucyjny: „Matka, która nie przeklnie militaryzmu, niech sama będzie przeklęta.“ Starał się ująć mnie ten mąż czarnożółty zapewnieniem, że Włosi w ogóle niezmiernie żałują panowania austryackiego. „Są to bardzo dobrzy ludzie ci Włosi,“ powtarzał, ale Słowian, to ja strasznie nienawidzę.“ Gdy, zmarszczywszy brwi, powiedziałem mu sucho, że jestem słowianinem, niechciał wierzyć, zamilkł i patrzał na mnie osowiały, lecz zawsze z największym szacunkiem. Na stacyi następnej wybiegł jak oparzony, bijąc ustawicznie nizkie ukłony przedemną; brał mnie wciąż za wysokiego urzędnika austryackiego.

W Nebresynie i stacyach, bliższych granicy włoskiej, miałem istny atak niepokoju z powodu odpowiedzialności za obrócenie

drogi wychodźców z Pontebby na Cormons. Niemogąc nic jeść z powodu zdenerwowania podnieconego głodem, straciłem na chwilę jakby władzę myślenia. Na jednej stacyi wypadłem z wagonu i naczelnika tejże, urzędnika austryackiego, zagadnąłem lichą włoszczyzną, zaczerpniętą ze słownika: „Signor Capostazione i t. d.“ aby go nie obrazić dźwiękiem niemczyzny i dowiedzieć się dokładnie, kiedy dojeżdżamy do Udine; sądziłem że już przejechaliśmy granicę. „Capostazione“ grzecznie odpowiada lichą włoszszyzną, że przedtem dłuższy czas zatrzymam się na granicy w Cormons, gdzie będzie rewizya pakunków i t. p. Silił się być zrozumiałym przezemnie w języku Danta. Wtem ujrzałem na jego czerwonej czapce i na szklannych drzwiach napis „Stationsvorsteher“. Roześmiałem się serdecznie. Śmieszność takiego swego wystąpienia przywróciła mi więcej spokoju, niż szynka i wino czerwone, łapczywie spożyte zaraz po włoskiej rozmowie z austryackiem naczelnikiem stacyi.

Wreszcie po zachodzie słońca dojeżdżamy do granicy włoskiej, do „Cormons“. Myśl o tej miejscowości niepokoiła mnie, choć wyczekiwałem chwili ujrzenia jej, jak zakochany kochanki. Okazało się, że była to stacya kolejowa i komora wcale nie pierwszorzędna.

Ludzie zdenerwowani w obec nagłego małego niebezpieczeństwa bywają tchórzliwi a w obec wielkiego i nieuniknionego stają się odważni; podobnież i ja przybyłem tam spokojny i wesół, nie bardzo nawet zdziwiłem się temu, że nikt na nas nie czekał.

Naczelnik stacyi, gdy zapytałem go o księdza Dudę i Nodarich, zaraz domyślił się, w jakim interesie przyjechałem. Obecny temu żandarm austryacki wziął mnie na poufną konfenrencyę i wypytywał się z zaciekawieniem i udaną obawą, czy rząd sprzyja emigracyi, czy nie ma chorych i drżał na myśl, żeby Włosi nie cofnęli całej partyi wychodźców z powodu cholery (niby interesował go „Rafał“). Zapytywał wciąż, czy stowarzyszenie to jest w dobrych stosunkach z rządem austryackim. Nie omieszkałem mu na to wyniośle powiedzić, że konferowałem z jego Excellencyą Ministrem spraw zagranicznych, hr. Gołuchowskim, że kierownik nawy państwowej Austro-Węgier rad był mym odwiedzinom, że był bardzo łaskaw na mnie za to, iż podjąłem się tak uciążliwego zadania jak transport wychodźców, że Excellencya Minister sprzyja rozsądnej opiece wychodźctwa t. j. takiej, jaką roztaczają Tow. św. Rafało i Polskie Tow. Handlowo Geograficzne we Lwowie, że właśnie te towarzystwa mnie wysłały i t. d. Słowa me wywierały

wrażenie ogromne na stróżu porządku publicznego.... miękł i topniał jak wosk. Wprawdzie próbował mnie przekonać, że właściwie, gdyby ściśle pełnił swój obowiązek, powinienby bez wątpienia wstrzymać wyjazd tych ludzi, ale że już zarezykuje ich puścić, bo jest człowiekiem wyższego poglądu na świat. Korzystam, powtarzał, z tej okoliczności, że Pan jedziesz z nimi; to mi bardzo ułatwia moralne zadanie nie stawiania przeszkód przejazdowi tych ludzi przez granicę austryacką; tylko każ im Pan zataić wszelkie choroby żołądkowe, albowiem Włosi boją się cholery i z błahego powodu skorzystają, aby cofnąć ich z Udine. Mówię to przez życzliwość i współczucie dla tych biedaków, opuszczających ojczyznę.

Jeszcze nie upłynęło 20 minut od tej rozmówki a pociąg nadszedł i zwaliła się na mnie góra całego tysiąca głów chłopskich.

Wydałem niezwłocznie rozkaz, przyjęty z wesołością i fantazyą, że „nie wolno chorować“; następnie zabrałem się do całogodzinnej pracy wykupywania wszystkim biletu do Udine. Mało kto umiał po niemiecku a nikt zgoła po włosku. Przy okienku kasy, jako znający języki, z łatwością odliczałem pieniądze i odbierałem oraz wręczałem bilety. Wreszcie skończyła się ta praca wśród ciepło kwaśnego zapachu kożuchów rodzinnych i potu mało mytych ciał ludzkich. Lecz był to niejako godzinny spoczynek i zagłuszenie trawiącego mnie niepokoju, który mnie znów opanował. Przechadzałem się szybko po peronie, wypytując się gorączkowo czy nie przybyli nieznani mi ks. Duda i Nodarowie.... niestety nie było ich nigdzie.

Wreszcie ostry głos dzwonka kolejowego rozdarł powietrze. Wszedłem do wagonu 3 klasy, znajdującego się w środku olbrzymiego pociągu emigranckiego, naszykowanego dla nas. Znalazłem się ze swymi wychodźcami, i zacząłem coraz niespokojniej rozmyślać nad tem, jak na ziemi włoskiej umieścić, choćby przez noc, takie mnóstwo mężczyzn, kobiet i dzieci. W głowie układałem plany, a w recznym kufereczku papiery. W tem zwiastują mi, że ks. Duda i Nodarowie proszą mnie do „sąsiedniego“ wagonu. Wyleciałem jak z procy na ich przywitanie, nie zamknąwszy nawet kuferka.

Byłem pewny, że za chwilę w ciągu biegu pociągu wrócę do swych rzeczy. Tymczasem „sąsiedni“ wagon okazał się mniej więcej 20-stym, nieposiadającym wewnętrznej komunikacyi z innemi wagonami.

Przywitałem się z nieznajomymi a upragnionymi. Byli to: Ks. Salezjanin Duda, mały, rozmowny i bardzo sympatyczny, oraz dwóch wysmukłych i elegancko przyodzianych pp. Nodari, wreszcie elegant z morskiej piany, otyły i przystojny agent okrętowy Gavotti. Zajęli jeden z ostatnich wagonów długiego niepomiernie pociągu.

Tematu nie brakło nam do rozmowy w ciągu półtorej godziny jazdy z Cormons do Udine. Zbliżyłem się naturalnie najwięcej do ks. Dudy, pochodzącego z Królestwa Polskiego. Zupełnie odżyłem w towarzystwie gorliwego i światłego kapłana, który prawdziwie po nowoczesnemu rozumiał sprawy emigracyjne, i był z niemi znakomicie obeznany.

Do Udine przybyliśmy około 9-tej wieczorem. Gdy olbrzymi nasz pociąg wtoczył się do dworca, wyskoczyłem pospiesznie, by odszukać wagon, w którym zostawiłem kuferek z papierami. Daremny wysiłek! Nim przebiegłem odległość 20 wagonów, aby trafić do tego, w którym pozostawiłem swe manatki, już towarzysze emigranci zaczęli wychodzić z pociągu gromadnie. Peron, coraz więcej zaludniał się naszą biedotą różnego wieku i płci. Powstały stosy pstrych i dziwacznych pakunków a wśród nich kupa ludzi różnego wzrostu w takiej samej pstrej i dziwacznej odzieży. Guńki i burki brązowe, chusty, i spódnice czerwone, bielizna biała i szara czy brudna, twarze ogorzałe, okurzone i przydymione, oczy niekiedy skośne tatarskie a przeważnie rusińskie i polskie (typu rusińskiego chłopa od polskiego nigdy nie umiałem rozróżniać): krzyki i nawoływania jakieś barbarzyńskie — cała ta masa na skąpo oświetlonym peronie robiła nie tylko na Włochach lecz i na mnie wrażenie zakładającego się obozowiska Eskimosów czy dzikich czerwonoskurych. Włosi, urzędnicy kolejowi i wojskowi, przeważnie młodzi i przystojni, stanowili olbrzymi kontrast a z piersi ich wyrywał się okrzyk: „Povra gente!“ (biedni ludzie).

Im dalej i spieszniej posuwałem się, jakby pod wodę rzeki coraz więcej skalistej, do poszukiwanego wagonu, tem większe przeszkody stawały mi na drodze. Kilka razy przewróciłem się i obejmowałem nieponętnie woniejące postacie oraz pagórki miękich i twardych pakunków. Konduktor wstrzymał mnie ostatecznie, obrzucając uszy moje potokami barwnych frazesów włoskich, w których przeważało słowo „bagagli“ (czytaj bagalji). Ujrzałem w jego ręku moje pakunki i kufereczek z papierami.

Napatrzywszy się do syta tłumowi, spływającemu powoli z dworca na ulicę Udiny aż do baraków przygotowanych dla niego,

zaszliśmy spokojnie z ks. Dudą do lokalu na przeciwko dworca. Lecz zamiast upragnionego spoczynku doznałem nagle znów niepokoju z innego atoli powodu. Sprowadziwszy bowiem ręczne pakunki ze stacyi, spostrzegam, że brakuje mi w niezamkniętym na klucz kufereczku wielki żółty portfel nabity najpotrzebniejszymi papierami, jak paszport, listy polecające, notatki i t. p.

Nademnie poszukiwałem zguby w hotelu i na dworcu. Straciwszy nadzieję jej odzyskania, rozpisałem listy do władz policyjnych i dyrekcyi kolejowych w Bolonii, Tryeście, Wiedniu i Lwowie. Skutek tych zabiegów okazałby się świetnym, gbyby ni troche spóźnionym. Portfel z papierami dostał się do policyi Lwowskiei a ztamtąd do Towarzystwa Handlowo Geograficznego i do mnie do Kurytyby... po kilku miesiącach. Na razie musiałem jechać w świat daleki bez papierów swoich, niby jak człowiek bezbronny i nagi wśród kolców i pokrzyw niepewnej drogi. Niepodobna było zatrzymać się w Europie celem poszukiwań. Okręt wyjeżdżał za dni parę. Stałem bezsilny i jakby sparaliżowany tą stratą papierów legitymacyjnych — bardzo budowałem na nich — miałem o ich niezbędności i czarodziejskiej sile zacofane pojęcia środkowo i wschodnio europejskie.

Sen w nocy z 14-go na 15-sty uleciał z mych powiek bezpowrotnie. Zabawiałem się chodzeniem po miasteczku, przypatrywaniem się błaznowaniu kupca owoców a w końcu że śmiesznym uporem wciąż znowu poszukiwałem papierów po tych samych ubraniach, kufrach i kryjówkach pokoiku hotelowego do nieskończoności i naturalnie bez skutku.

15-sty i 16-sty sierpnia przeszły nam na odbywaniu różnych formalności paszportowych, zakupnie biletów kolejowych do Genui, sprawdzaniu biletów wolnej jazdy morskiej i wreszcie obliczaniu kosztów przeżycia kilku dni, a dla niektórych kilku tygodni w Udine. Niektórzy bowiem musieli pozostać do wyjazdu następnych okrętów: jedni pod pozorem, że na okręcie wszystkie miejsca już były zamówione, drudzy znów chcieli się doczekać krewnych i przyjaciół z Galicyi, przybywających z następną partyą emigrantów.

Każdy wychodźca powinien był otrzymać bilet wolnej jazdy przez morze do Brazylii. Te bilety różni włoscy agenci rozrzucali po Galicyi niby „darmo“, lecz właściwie za opłatą 10 złr., które to pieniądze miały być fantem z góry powziętym na rachunek kosztów przejazdu z Udine do portu i życia na ziemi włoskiej podczas wyczekiwania statku. Całej tej masie ludzkiej trzeba więc

było obliczyć, ile każdy miał otrzymać z owych 10 złr. lub też do nich jeszcze dołożyć.

Nasłuchałem się z tego powodu skarg co nie miara, bo przy tem obliczaniu siedziałem pilnie z obowiązku w salach dusznych i niejasnych, w których przez dzień cały nie było słychać nic innego jak włoskie i polskie wywoływania liczb i nazwisk, sprzeczki, wymyślania i przekleństwa. Zaświadczam jednak, że wszystko odbyło się formalnie i że uwzględniano wedle możności wszelkie zażalenia; czy zaś nie zakradło się przy tych czynnościach nieco wyzysku ze strony agentów, trudno zaświadczyć. Zdaje mi się, że było tego trochę przy przetrzymywaniu ludzi do następnego statku. Zatrzymywano, zdaje się, tych, którzy mieli za co zapłacić koszt przeżywienia się w przeciągu tego czasu.

Pogoda sprzyjała zwiedzaniu miasta i okolicy — czułem się prawdziwie w kraju gorącego Południa, piekłem się na upale, widziałem ruch uliczny bardzo ożywiony, życie całkiem na świeżem powietrzu po za murami kamienic, zauważyłem przytem zupełny zanik dźwięków mowy niemieckiej — mimo pobliża Niemiec, Austryi i Szwajcaryi.

W dzień 15. sierpnia Wniebowzięcia Matki Boskiej nazajutrz po naszem przybyciu, tłumy ludu pojawiły się po kościołach, ogrodach, ulicach, restauracyach 40-stotysięcznego grodu Udine. Zaroiło się świątecznie w całem mieście. — Niestety troski i zajęcia nie spadły na mnie w postaci delikatnego pyłku; pozbawiały mnie one swobodnego odbierania wrażeń wśród tak niezwykłego dla mnie otoczenia.

Pod wieczór 16. sierpnia opuściłem Udine. Przebiegaliśmy płaszczyznę lombardzko wenecką, piękną, uprawną, ludną, zieleniejącą najpiękniejszemi w świecie pastwiskami, umiejętnie nawadnianą strumieniami, spływającemi z Alp siniejących w oddali. Wśród zielonego obszaru sterczały na miedzach rzadkie drzewa, sadzone na opał. Mrok wieczony coraz więcej zasłaniał nam widoki tego uroczego morza zieloności i potężnego muru gór w głębi. Już było zupełnie ciemno, gdy dojechaliśmy do stacyi bardzo bliskiej (niemal przedmieścia) Wenecyi. Ciemną nocą przejechaliśmy przez Veronę i Brescię t. j. część północną słynnego czworoboku fortecznego austryackiego, składającego się, oprócz powyższych 2 fortec niezdobytych, z Mantuy i Cremony. Kraj ten jęczał długo pod despotyzmem austryackim. Zroszony on jest prawdziwie potokami krwi ludów, każda miejscowość przypomina tu

jakąś bitwę, okrucieństwo i męczeństwo. Obecnie ziemia ta włoska jest wolna, najwięcej przemysłowa i najbogatsza we Włoszech.

Medyolan — Liguria — Genua. — 17. sierpnia.

Po nocy, nieszczególnie przespanej a raczej przegawędzonej z ks. Dudą, znaleźliśmy się nazajutrz o świcie w Medyolanie. Przesiadłszy się do innych wagonów, wyruszyliśmy ze stolicy Lombardyi o 6-tej rano. O Medyolanie zdołaliśmy tylko nabrać pojęcia, że to wielkie i piękne miasto.

Krajobrazy od tego grodu stawały się mniej płaskie, aż otoczyły nas zewsząd wyniosłe góry i przepaściste wąwozy pasma Appenin Ligurskich. Zabielał wapień skał i wspaniałych dróg bitych, Tunele, przez które przejeżdżaliśmy, były czemś niesłychanie ciekawem dla siedzących obok nas wychodźców. Wyglądali oknem, wykrzykiwali kiedy „do dziury" mieliśmy wpadać i to często mylnie, bo kolej żelazna przed górą niespodzianie skręcała w bok, okalając ją, zamiast zanurzać się w jej łono. Uderzały ich wyobraźnię niezwykłe widoki dzikich szczytów skalistów i przepaści oraz dolin i tarasów będących w najwyższej kulturze. To, co się przedstawiało ich oczom, było zupełnie nowe, bo nie widzieli nawet Semmeringu, przez które w noc ciemną przejechali, a nikt z nich nie był góralem. Ligurja okazała się nam, dzieciom płaszczyzn niższej kultury rolniczej, w całej okazałości swych przepychów przyrody i cywilizacyi.

O godzinie 12 w południe stanęliśmy w Genui niemal przy samym porcie.

Genua, po włosku Genova (wymawiaj: Dżenowa) jest to miasto wielkie, liczące blisko 250.000 mieszkańców, lecz miejscami ma pozory małego o uliczkach ciasnych i krętych. Gród ten rozłożył się nad wielką zatoką o brzegach górzystych. Ulice, im dalej brzegu, tem wyżej są położone. Przekonałem się, że niczem jest spadzistość najnierówniejszych części Lwowa albo ulicy Karowej i Oboźnej w Warszawie w obec istnej Szwajcaryi, na której osiadła Genua. Jestto prawdziwe miasto przyszłości, może niedalekiej, skoro zaprowadzoną zostanie komunikacya balonowa... tramwaje na niektórych ulicach musiałyby być systemu wind używanych w wieży Eifel.

Po głównej ulicy nadbrzeżnej, położonej nisko i mającej prawie tylko z jednej strony domy a otwarty widok na przystań,

panuje ruch wielkomiejski, południowy. Ciągnie się ona brzegiem ogromnego półkola zatoki.

Niezwykły dla mieszkańca północy ruch uliczny zmusza co chwila przystawać i przypatrywać się. Szczególnie bawiły mnie majestatycznie kroczące a dziwacznie przy łbie przystrojone muły. Ciągnęły one powoli wózki z owocami i jarzynami.

Wystawiony na afrykański upał musiałem się uwijać za swemi i obcemi sprawami. W mieście nieznanem i z nieszczegójną znajomością dziwacznej włoszczyzny genuańskiej, załatwiałem sprawunki dosyć opornie. Jednak rozpocząłem bieganinę pod dobrą wróżbą. W hotelu „Smith“ zastałem telegram od p. Kłoskowskiego z Wiednia, zawiadamiający mnie. że minister Gołuchowski polecił mnie swemu ambasadorowi w Rio de Janeiro.

Z ks. Dudą wybrałem się do konsulatu austryackiego. Zastałem tam zastępcę Konsula, młodego człowieka, bardzo uprzejmego Niemca. Zdawał mi się mało obeznanym z stosunkami brazylijskiemi, lecz zresztą nie tuzinkowym i niezwykle przyjaznym dla naszej narodowości.

Z paszczy komory celnej wydobyłem wielkie 4 paki z próbkami towarów, przysłane z Warszawy. Pół dnia zeszło, jak jedna chwila, na zakupach, wymianie pieniędzy i parokrotnej z ks. Dudą wędrówce do portu; wciąż tam trzeba było pomagać. radzić, tłómaczyć w odurzającym hałasie i chaosie. Wieczorem dopiero ustały nasze czynności. wypływające z obowiązku przewodników. Ks. Duda odjechał do swego klasztoru Salezyańskiego w Sanpierdarena, przedmieściu Genui, oddalonem nieco od środka miasta; ja zaś wróciłem do Hotelu Smith, pono najlepszego w tem mieście.

Po drodze zaczepiły mnie przypadkiem przez pomyłkę 2 przystojne i wytworne damy. Jak się okazało z rozmowy, były to Wenecyanki. Popijając wspólnie w kawiarni czekoladę i wodę gazową (gasosa), usłyszałem z ich ustek surowe potępienie rządu włoskiego za jego postępowanie z Watykanem a jeszcze surowszą naganę kobiet Genueńskich za ich gust, złe obyczaje, otyłość i duże nogi. Jakiś średniego wieku elegant (mąż, brat, kuzyn czy coś podobnego), z którym wypadło mi się zaznajomić, przerwał miłą rozmowę, zabierając panie ze sobą.

Niedziela, 18. sierpnia. — Genua. — Organizacya przedsiębiorstwa przewozowego. — Wyjazd. — Na morzu. — Przyjemności przewodnika wychodźców.

W tym dniu nie świętowaliśmy. Ciągłe bieganiny w sprawie wychodźców zajęły nam zupełnie czas a szczególnie ks. Dudzie. Umówiliśmy się spotkać między 8-mą a 9-tą w porcie, a potem razem jechać do Neapolu. Zeszliśmy się punktualnie o oznaczonym czasie.... by się pożegnać może na zawsze. Zacny ten kapłan całkiem oddany na usługi bliźnim, musiał się niezwłocznie zająć takiemi sprawami jak: chrzest, odwożenie do szpitala, wyrobienie jazdy wolnej, usuwanie przeszkód paszportowych i t. p.

Mimo moich i ks. Dudy zabiegów, 20 rodzin wychodźców nie przyjęto na pokład parostatku Alacrita, którym odjeżdżaliśmy. Porozdawałem zrozpaczonym rodakom listy do ks. Dudy, które były dla nich słabą pociechą w nieszczęściu. Nie należy bowiem do wielkich rozkoszy czekać w nędzy na następny statek i wydawać ostatni krwawo zaoszczędzony grosz.

Organizacya przewozu wychodźców do Brazylii polega na podstawie następującej: rząd brazylijski wchodzi w umowę z kapitalistą i przyobiecuje płacić mu pewną sumę za dostarczanie Brazylii wychodźców; kapitalista zaś przewozi ich za opłatą tańszą. I tak w chwili, kiedy wyjeżdżałem do południowej Ameryki, „Compania Metropolitana“, spółka mająca swą siedzibę w Rio de Janeiro, zobowiązała się przewieść w ciągu 10 lat, milion wychodźców z Europy, (rocznie 100.000) pobierając od biura emigracyjnego w stolicy Brazylii:

za dostarczenie osoby dorosłej	. . .	120	franków
„ „ dziecka (5—10 lat)	. .	60	„
„ „ „ (2—5 „)	. .	30	„

Należność przypadającą spółce tej rząd wypłaca „Companii“ w ciągu 20 dni po wylądowaniu wychodźców w Rio de Janeiro.

Na wyjezdnem dowiedziałem się, że przejazd okrętem Alacrita nie kosztuje właściwie więcej niż 70 franków od osoby dorosłej i odpowiednio też niższe ceny „Compania“ płaci za małoletnich. Zarobek jej jest tedy niezgorszy, skoro zamiast 70 fr. pobiera od rządu brazylijskiego 120 fr. i tak dalej w tej proporcyi.

Porobiła też ona umowy z towarzystwami i spółkami okrętowemi na przewóz jaknajtańszy mas ludzkich i utworzyła sobie w celu wywołania wychodźctwa ajencye głównie w Lizbonie i Genui; te zaś spłodziły mnóstwo pomniejszych celem dostarczania wolnych biletów jazdy jaknajwiększej ilości ludzi. Częste były nadużycia tego rodzaju że, jak widzieliśmy, agenci kazali sobie płacić nieprawnie, choć tylko nie wielkie, sumki, lub żądali poręczeń n. p. 10 złr. za dostarczenie biletu; poręczeń zaś tych nigdy nie zwracali, zawcześnie kazali ludziom przed odejściem statku przybywać do portu i płacić sobie za ich ugaszczanie przez ten czas; pod różnemi też pozorami opóźniano ich wyjazd aż do chwili, kiedy wychodźcy mieli już tylko mało pieniędzy i t. p. Z tych powodów czy innych, więcej usprawiedliwionych, w porcie Genueńskim pozostało 20 rodzin, które jednak za staraniem ks. Dudy wyjechały za nami statkiem w dwa tygodnie później.

Od dwóch dni na naszym statku „Alacrita“ żuraw parowy był czynny, hałasując nieznośnie i podnosząc na pokład bezustannie towary i pakunki. Wychodźcy nasi byli w złotym humorze, podziwiając wszystko, co widzieli: ogromną wodę niebieską, las masztów i kominów w zatoce, wielkoportowy ruch. Kobiety śmiały się i rozwierały szeroko oczy, skoro z rozmaitych oznak na statku zaczęły podejrzywać, że woda morska jest słoną. Jedne drugim udzielały tej wiadomości nadzwyczajnej, rozważniejsze i starsze niechciały wcale wierzyć w takie „głupie gadanie“ młodych.

W klasie I. zebrała się starszyzna okrętu Alacrita: zaproszono mnie i kilku młodzieńców z miasta do grona. Przy znakomitym kruszonie z wina czerwonego rozpoczęły się śpiewy chóralne odprowadzających i odjeżdżających; przerwał je gruby ryk gwizdawki okrętowej.

„Alacrita“ o 3-ciej ruszyła, posuwając się niezmiernie wolno naprzód. Całe pół godziny przepływaliśmy przez zatokę. Port oddalał się od nas a za nim w głębi wyrastały góry i występowało coraz malowniczej olbrzymie półkole. Jak na dłoni ujrzeliśmy miasto, zalegające podnóża górskie, wybitniejsze jego gmachy, warownie i piętrzące się w głębi pasmo Appenin Ligurskich — wszystko na tle błękitnem nieba i wód. Jestto z pewnością jedna z piękniejszych zatok na świecie. Dopiero, gdyśmy ją minęli, śruba statku poruszyła się szybciej i w krótkim przeciągu czasu widniały już tylko niewyraźne kontury przystani, zatoki i miasta.

Płynęliśmy o parę mil od brzegu Ligurskiego, wykrojonego bardzo zębato z pasma powyższego Appenin nadmorskich. Tylko

przez lornetkę można było dostrzedz ślady nadbrzeżnych siedzib ludzkich. Morze było lazurowe i wcale nie burzliwe, ale dalekie od nieruchomości płyty zwierciadlanej. Kołysaniem statku dawało ono nam zawsze dobitnie uczuć godność swą morską, przypominając bezustannie, że nie jest stawem ani jeziorem. Lecz zachwyt mój nad piękną przyrodą wkrótce zakłócony został burzliwością żywiołów.... znajdujących się nie w okół statku, lecz na nim samym.

Pierzchło usposobienie anielskie, jakie przeważało od chwili wyjazdu pomiędzy wychodźcami. W miarę kołysania się statku powaga wyganiała wesołość — anielskość, wyparowało z serc jakieś dziwne zniecierpliwienie. Na domiar złego nikt ze służby okrętowej nie rozumiał po polsku a nawet po niemiecku.

To też w chwilach koniecznych porozumiewania się z naszymi ludźmi powstawał nieopisany chaos, krzyki i objawy złości. Straszne piekło nieporozumień zapanowało na statku. Ja zaś, ze wszystkimi wygodnie rozmawiając po francusku i trochę po włosku, byłem jedynym pośrednikiem w porozumiewaniu się naszych ludzi z kimkolwiek z wyższej i niższej służby okrętowej. Wszelkie skargi obustronne oraz znoszenia się z lekarzem i zarządem okrętu ze strony niemal tysiąca ludzi, podniecanych nowością wrażeń, musiały się tedy oprzeć o tę jedyną oś pośrednictwa.

Godziny całe przechodziły mi na rozpatrywaniu skarg. Jedni wydziwiali, że nie dostali jeść z kuchni, drudzy, że im inni zabrali jedzenie, trzeci nie chcieli zajadać z drugimi wspólnie i t. p.

Razem z gospodarzem czyli rządcą (commissario) spisujemy rodziny i pojedyncze osobistości. Wszystkich zapisujemy, przeznaczając, kto z kim wspólnie ma jadać, tworząc kółka po 10 osób. Głośne nieporozumienia, skargi, kłótnie zagłuszały nawet hałas śruby okrętowej. Wszyscy byli skwaszeni i rozjuszeni jedni na drugich, wymyślali sobie a najwięcej władzy okrętowej, omal że się nie bili z sobą i marynarzami włoskimi, którzy patrzyli na nich, jak na waryatów. Miałem wrażenie, żem przeniesiony w zamierzchłą przeszłość, kiedy to psotne chochliki, czarownice i bóstwa złośliwe, zadawały czary i trucizny, działające bezpośrednio na mózg i serce; albowiem widziałem najstarszych i znanych ze spokoju, rozwagi i bierności chłopów, rzucających się jak opętani.

Uspakajamy rozzłoszczonych. Nic nie pomaga. Opozycya rośnie głównie przeciwko rozporządzeniu okrętowemu, tworzącemu grupy dziesiętne dla wspólnego odbioru żywności. Upierano się koniecznie, by można było brać jedzenie osobno dla każdej ro-

dziny; bo ci, z którymi ich złączono, często nie znali się ze sobą lub nienawidzili się z całego serca.

Upadam ze zmęczenia wśród wrzasku i ogłupiających zażaleń i zapytań. Chcę się odświeżyć na osobności imponującym zaiste widokiem górzystych brzegów Liguryi i morza. Na próżno! Wynajdują mnie w każdej kryjówce.

Położenie moje staje się coraz przykrzejsze. Z jednej strony nie mogę zezwolić na krzywdę naszych ludzi, z drugiej nie chcę się zbytnio narazić komisarzowi, który mnie wciąż prosi, abym mówił, czego właściwie chcą moi rodacy. Gdy zdawało mi się, że mu powiedziałem co przykrego, przepraszam go, on mnie. Wydaje mi się ten Genueńczyk człowiekiem zimnym, cierpliwym i praktycznym, któremu chodzi, abym miał dobre wyobrażenie o statku. Jest on dla mnie zagadką: poczciwiec to, czy przewrotny. Miewałem z nim przy największem rozdrażnieniu chwile wesołe, n. p. gdy mówił o bosej Kaśce lub Zośce: „Cette Dame“ a o Bartku lub Hryciu: „Ce Monsieur“. Nie mogłem się wówczas uspokoić ze śmiechu, mimo swych przekonań demokratycznych o równości wszystkich ludzi ze sobą.

Dopiero noc a za nią sen obezwładniły i uspokoiły ostatecznie rozdrażnione nerwy podróżników na Alakrycie.

Dr. Stanisław Kłobukowski.

(Dalszy ciąg nastąpi).

Z życia Kajetana Węgierskiego

Pamiętniki i listy

WYDAŁ

Dr. Stanisław Kossowski.

Z dotychczasowych opracowań historyi życia i twórczości Węgierskiego[1]) było wiadomem, że poeta w r. 1779 opuścił Polskę, by nigdy już w życiu granic jej nie ujrzeć. Porzucał ojczyste strony, z żalem w sercu i poczuciem, że stała mu się krzywda, że w rzeczy pospolitej dla sprawiedliwości miejsca niemasz. Śmiałe słowa, rzucone w oczy królowi i trybunałom polskim w „Uwagach w sprawie Węgierskiego z Wilczewskimi“: „ale niech jak kto chce myśli, żadne uwagi ust mi zamknąć nie potrafią, kiedy o sprawiedliwość, o całość obywatela chodzić będzie, i jeżeli mię kiedy przemoc, czego się nigdy nie spodziewam, przyci-

---

[1]) Bibliografia zestawiona sumiennie u Estreichera w wydaniu poezyi Węgierskiego: Pisma wierszem i prozą Kajetana Węgierskiego. Lwów 1882. Tam też jako wstęp obszerne i do dziś najlepsze studyum o Węgierskim. Uzupełnień od tego czasu jest bardzo niewiele: Batoski Zygmunt Dr.: Węgierskiego wiersze drobne w stosunku do poezyi Woltera. Czasopismo akademickie. Lwów 1897; Szyjkowski Maryan Dr.: Organy K. Węgierskiego. „Przewodnik nauk.-liter.“ Lwów 1907 (styczeń) i w odbitce.

śnie, z pod ciężaru jej usłyszy świat skargi moje", zapędziły poetę i jego wydawcę Dufoura do wieży. Przez rok i sześć tygodni mógł w niej poeta rozmyślać o wszystkiem, co go spotkało. Stosunki z dworem i królem, nigdy zbytnio serdeczne, były zerwane, do ich naprawy wszelkie mosty spalone, w społeczeństwie warszawskiem, tem rojnem i gwarnem, wśród mieszkańców syreniego grodu, był znienawidzony, bo smagał ich nielitościwie biczem swej satyry. Głośny był wprawdzie i znany, wyszczególniany nawet przez innych braci w Apollinie, jak Trembeckiego i Zabłockiego, lecz u innych wierszorobów pośledniejszej miary, czepiających się skwapliwie królewskiego dworu, jakoteż u ogółu warszawskiego, miał herostratową sławę; ciskał gromy i pociski, i sam był ich celem. Zachęcał go wprawdzie Trembecki, by wytrwał na tej drodze: (Do Kajetana Węgierskiego):

„A choć wszystkich spodlone i myśli i sprawy
Zemstą grożą objawcy miasto jej poprawy,
Niech jednak to Węgierski, ciebie nieodstręczy,
Śpiewaj rozum i cnotę, niech błąd w błocie brzęczy,
Ja ci równie przyrzekam, nie odmienię tonu,
Bym się żywił z jednego wraz z tobą zagonu."

lecz w tym samym wierszu jasno mu przepowiadał, że dla niego niema właściwie miejsca w rzeczy pospolitej:

„Twój dowcip wierszopiski już na śmierć sądzony
Bez względu, że obfite mógłby wydać plony,
Ojczyźnie, gdyby znała sposób rozkrzewienia
Twych przymiotów, szczepionych ręką przyrodzenia.
Lecz w jakiejże cię zbrodni w tym czernią obrazie?
Oto żeś wiersz poświęcił Satyry urazie,
Horacy, Juwenalu!..."

Wśród takich stosunków, dotknięty nadto głęboko wielką a niezasłużoną karą, poeta opuszcza ojczyznę. Rzucili mu ostatnie pożegnanie na drogę Trembecki i Zabłocki, lecz echa te już — zdaje się — poety nie doszły: a w ojczyźnie swej, jak szybko zajaśniał, stał się głośnym i strasznym, tak też szybko przeminął i przebrzmiał; wiersze jego, satyry i paszkwile, te sławne, rozrzucane z fiakrów po ulicach Warszawy a nie oszczędzające jej pierwszorzędnych osobistości, krążyły w odpisach — przeważnie bezimiennie — i ulegały zniszczeniu, a poetę ogół zabijał milczeniem. Darmobyśmy szukali jego imienia u Krasickiego, Adama

Potockiego lub Dmochowskiego. Węgierski tymczasem rozpoczął swą wędrówkę, która miała skończyć się ostatecznie złożeniem głowy na obcej ziemi. Z tej wędrówki zachował się nam materyał stosunkowo obfity; miał go w ręku Lucyan Siemieński, jednak tylko w części pewnej:[1]) na tych znanych sobie pamiętnikach i listach oparł swą charakterystykę poety; za nim poszedł w omawianiu ostatnich lat życia poety Estreicher w swem doskonałem i do dziś jedynem prawie studyum o Węgierskim; jednak obaj znali te pamiętniki i listy tylko w części, dalekiej od jakiejś całości, a przechowywanej zrazu jako własność prywatna ś. p. Żegoty Paulego, dziś wśród rękopisów Bibl. Jagiellońskiej (nr. 5634). Jednak wśród pamiętników tych były tak wielkie braki (dziejów rękopisu niepowtarzam, bo są podane u Siemieńskiego), że o wyrobieniu sobie z nich jakiegoś obrazu ostatnich lat życia poety, prócz pewnych ogólnych danych, nie było mowy; ponadto zarówno Siemieński, jak i Estreicher, nie potrafili wyzyskać ich jako materyał literacki, nie ustrzegli się nadto w ich omawianiu i opisie — co i niedziwne wobec mocno zdefektowanego ich stanu — od zasadniczych błędów. Tymczasem wśród rękopisów biblioteki hr. Chreptowicza-Buteniewa w Szczorsach na Litwie, która stała się dostępną dla pracy naukowej dzięki prof. Stanisławowi Ptaszyckiemu i wydanemu przez niego katalogowi rękopisów, znalazły się dwa rękopisy pamiętników i podróży Węgierskiego, które znamienicie uzupełniają braki rękopisu jagiellońskiego. Jest to rękopis nr. 48: Voyage en Italie de Mr. Cajetan Węgierski. T. I.—II. i nr. 49: Voyage dans l'Amerique septentrionale du Comte T. V. Polonais. Przez skombinowanie tych rękopisów z jagiellońskim można stworzyć z nich pewną całość, zwłaszcza, że nietrudno stwierdzić na podstawie partyi wspólnych, że rękopisy szczorsowskie są kopią jagiellońskiego z tego stadyum, gdy był jeszcze w całości. Są one wprawdzie kopią niedbałą, niedorównującą rkp. jagiellońskiemu, przeznaczonemu widocznie do druku, lecz cenne przez to, że przechowały nam z większej części pamiętników te miejsca, które uległy w rkp. jagiell. zniszczeniu. Z pamiętników tych i listów rozpoczynamy dziś druk rzeczy chronologicznie późniejszych, historyę życia poety w r. 1783, ujętą

---

[1]) Siemieński: Portrety literackie. I. 147—185.
Tenże: Wieczornice, powiastki, charaktery, życiorysy i podróże, zebrane przez ... Wilno 1854. T. I. str. 112—162: Podróże i pamiętniki Tomasza Kajetana Węgierskiego.

w formę „Listów do przyjaciółki w Paryżu w czasie podróży do Martyniki“, list paryzkiej kochanki Julii, stanowiący doskonałe uzupełnienie pamiętników z podróży do Martyniki i „Dziennik z podróży do Ameryki północnej“. Wszystkie trzy stanowią całość, dają obraz jednego roku — jak powiedziałem — w życiu poety. Następnie pójdą rzeczy inne: „Dziennik podróży po Włoszech z r. 1779 i 1780“, listy prywatne poety z ostatnich miesięcy życia i pamiętnik jego z ostatnich niemal chwil. Ogłaszane pamiętniki i listy nie mają — bez wątpienia — jakiejś wartości rzeczowej; zawierają jednak całe mnóstwo szczegółów do życia poety i stosunku jego do ojczyzny, zmieniają pod niejednym względem zasadniczo dotychczasowe o nim mniemanie, stanowią cenny materyał biograficzny, nie pozbawiony tu i ówdzie bystrych spostrzeżeń obyczajowych, a okraszony bogato tem wszystkiem, co nadało Węgierskiemu nazwę „polskiego Woltera“. Wobec zamierzonego druku dalszych części pamiętników, nie wdaję się na razie w bardziej szczegółową ich ocenę: znajdzie to wszystko miejsce w obszernej przedmowie przy publikacyi, obejmującej rzeczy czasowo-wcześniejsze i tam będziemy się starali dać na podstawie tych materyałów duchowy profil poety, omówić obszernie ich znaczenie, dać objaśnienia krytyczne. Pojawiająca się obecnie część podana jest jako materyał surowy, „in crudo“; niech sam poeta mówi za siebie.

Nie jest winą wydawcy, że pamiętniki pojawiają się równocześnie w przekładzie polskim. Przy dokonaniu przekładu staraliśmy się, by był on nie tyle pięknym stylistycznie, ile możliwie wiernym co do treści, od któréjto zasady odstępowaliśmy tylko wówczas, gdzieby to było ze szkodą języka ojczystego.

W końcu uważam za swój obowiązek złożyć szczere podziękowanie p. Jurgensonowi, plenipotentowi dóbr szczorsowskich, za łaskawe udzielenie mi rękopisów do wyzyskania.

I. Lettres écrites en forme de journal à une amie à Paris pendant le Voyage à la Martinique en 1783.[1]

Par le 37° 47' de Latitude Nord.
le 22. Mai. 1783. á bord de la Ville du Cap.

I'ai été si cruellement malade, les premiers jours de notre navigation qu'il ne m'a pas été possible de sortir de mon hamac. C'est là où dans les courts intervalles de mes souffrances, je me suis occupé de toi. Je te devidais, je te déroulais et quand j'avais fait passer dans mon esprit la gallerie agréable des momens delicieux que j'ai éprouvés auprès de ma chere Julie, je recomencais sur nouveaux fraix. Tu ne peux point te figurer les maux

[1]) U dołu rękopisu: „Tome II. 1ere partie" i słowa: „ey jointe une carte de cette isle". Karta ta w rękopisie się nie zachowała, uległa zdaje się zniszczeniu wraz z większą jego częścią; jest to jednak jeden z dowodów, że rękopisy te były przeznaczone do druku.

I. Listy do przyjaciółki w Paryżu, pisane w formie dziennika podczas podróży do Martyniki w r. 1783.

Pod 37° 47' szerokości półn.
22. maja 1783, w mieście Cap.

Byłem tak strasznie chory, że w pierwszych dniach naszej żeglugi było mi niemożliwem wychodzić z mego hamaku. Wówczas to, w czasie krótkich przerw moich boleści, zajmowałem się Tobą. Przywoływałem Cię pamięcią, snułem myśl o Tobie, i kiedy przesunąłem w moim umyśle przyjemną kolej miłych chwil, które doznałem koło mojej drogiej Julii, rozpoczynałem na nowo. Nie możesz sobie wyobrazić wcale bolów, w jakie ta nieszczęśliwa po-

que ce malheureux voyage a accumulés sur moi. Je prens depuis long-tems sur mon courage ce qui manque à mes forces, mais je ne prévois pasqu'il puisse y resister, si cela continue. J'ai vomi pendant cinq jours avec de si grands efforts, qu'outre le dégout et la fatigue que cela me cause, il ne m'est pas possible de digerer la plus legere nourriture, tant mon estomac est affaibli. Aujourd, hui qu'un calme absolu a diminué le roulis du vaisseau, je me suis trainé sur le pont pour prendre l'air et pour t'écrire un mot. Je ne prévois pourtant pas, quand cette lettre t'arrivera. Si ce calme continue nous serons peut-être deux mois en mer, et il en faut autant pour qu'elle te parvienne: elle ne pourra partir que de la Martinique. Tu sauras au moins un jour ce que j'ai fait depuis mon embarquement et tu pourras juger par l'emploi de mon tems si tu as occupé mes pensées. Au reste si s'entendre parler de soi, ne t'amuse pas, ce journal sera assez ennuyeux: car à moins que quelque tempête ne viene nous tirer de l'uniformité, dans la quelle nous végétons, tous les jours se ressembleraient les uns aux autres. Les vents nous ont servi à souhait les premiers jours; nous faisions 60 lieues dans les 24 heures, et nous avons decapé facilement, mais tout d'un coup ils ont

---

dróż mnie wpędziła. Od dawna dopełniam moją odwagą to, na czem zbywa moim siłom, ale nie przewiduję, aby mogły one oprzeć się, jeżeli tak dalej pójdzie. Wymiotowałem podczas pięciu dni z taką siłą, że oprócz wstrętu i zmęczenia, jakiego doznaję, niepodobna mi strawić najlżejszego pokarmu; tak dalece mój żołądek jest osłabiony; dzisiaj gdy zupełny spokój zmniejszył kołysanie okrętu, zawlokłem się na pokład, aby odetchnąć świeżem powietrzem i skreślić parę słów do Ciebie. Nie przewiduję jednak, kiedy ten list Ciebie dojdzie. Jeżeli ten spokój będzie się przedłużać, będziemy może dwa miesiace na morzu i tyleż czasu potrzeba, aby ten list Ciebie doszedł: nie będzie mógł wyjść, jak tylko z Martyniki. Będziesz przynajmniej wiedziała kiedyś, co ja robię od mego wejścia na okręt i będziesz mogła sądzić po użyciu mego czasu, czy zajmowałaś moje myśli. Zresztą jeżeli nie bawi Cię słyszeć mówiącego o sobie, to ten dziennik będzie dość nudnym; bo chybaby jakaś burza wyrwała nas z jednostajności, w której żyjemy; wszystkie dnie podobne są jedne do drugich. Wiatry służyły nam wedle życzenia w pierwszych dniach: robiliśmy 60 mil w 24 godzinach i opłynęliśmy łatwo przylądek, ale raptem wiatry przestały dąć i niema już o nich mowy. Morze

cessé de souffler, et il n'en est plus question. La mer est aussi unie que cette glace qui servait à répéter nos plaisirs et à multiplier notre bonheur. Que ces deux situations se ressemblent peu! Quand serai — je assez heureux pour me retrouver dans tes bras? et faut-il, que mille obstacles viennent prolonger mon absence, et m'ôter même les illusions de l'espérance? Mais, si tu m'es fidelle, si ton coeur n'est point changé pour moi, il viendra ce tems désiré, et je retrouverai les delices de mon ame pour ne plus jamais les quitter.

23. Mai.

Nous avançons à pas de tortuë, quoique le vent ait fraichi un peu; nous ne faisons qu'une lieuë par heure. L'uniformité de nos occupations a été interrompuë par l'arrivée d'un assez joli oiseau, qui est venu se perchez sur les Mats; cela a mis du mouvement dans le vaisseau. Tout le monde s'est acharué après la pauvre bête, qui était presque morte de fatigue, et ne se transportait qu'avec peine d'un cordage à l'autre. On l'a attrappé

---

jest tak gładkie, jak to lustro, które służyło do powtarzania naszych przyjemności i do pomnażania naszego szczęścia. Jak te dwie sytuacye mało są do siebie podobne! Kiedy będę dość szczęśliwym, aby się napowrót znaleść w Twoich ramionach? I czy potrzeba, aby tysiące przeszkód przyczyniało się do przedłużenia mojej nieobecności i do odjęcia mi nawet złudy nadziei? Ale jeżeli Ty mi jesteś wierną, jeżeli Twoje serce nie jest wcale dla mnie zmienione, to przyjdzie ten czas upragniony i ja odnajdę rozkosze mojej duszy, aby ich już nigdy nie opuścić.

23. maja.

Postępujemy żółwim krokiem, chociaż jest trochę wiatru: robimy tylko jedną milę na godzinę. Jednostajność naszych zajęć przerwało przybycie dość ładnego ptaka, który usadowił się na masztach: to wprawiło w ruch towarzystwo obecne na okręcie. Wszyscy uwzięli się złapać biedne stworzenie, które było prawie martwe ze zmęczenia i tylko z wielkim trudem przenosiło się z jednej liny na drugą. Złapano je wkońcu. Był to zdaje się wróbel

à la fin; c'est je crois, un moineau de Madere: mais nous n'en jouirons pas long-tems. Un être accoutumé à la liberté ne supportera pas long-tems les grilles de la cage, où on l'à enfermé. Á Paris l'arrivée d'un Prince Souverain ne fait pas tant de sensation qu'en a fait ici celle de ce pauvre animal. C'est l'événement le plus marqué qui nous soit arrivé depuis notre voyage. Ce matin on a vu passer une tortue: elle semblait nous défier à la course, mais le pari n'a point été accepté. Nous avons aperçu aussi de très loin un vaisseau, qui a disparu une demi heure après; c'est le quatrieme, que nous avons vû depuis la traversée. Un objet quelconque qui arrête un instant nos regards, sur cette vaste pleine, sur laquelle nos yeux errent sans cesse, est un point de vuë très — intéressant.

Je vous donnerai de nouvelles de la pêche que nous projettons: celle que nous avons tentée depuis deux jours, ne nous a pas réussi. Des marsouins sont venu nous insulter: nous avons vû aussiquelques souffleurs, qui nous ont jetté de l'eau aux yeux; mais ils n'ont point été tentés de venir à bord. Il est vrai, que la vie, que nous y menons, n'est guères seduisante. Après dix ou onze heures de sommeil, interrompu à chaque instant, on de-

---

z Madery: ale nie będziemy się nim długo cieszyć. Istota przyzwyczajona do wolności nie zniesie długo krat klatki, gdzie ją zamknęli. W Paryżu przybycie panującego księcia nie zrobi takiego wrażenia, jak tu zjawienie się tego biednego stworzenia. Był to wypadek najbardziej znamiennny, jaki się nam zdarzył w naszej podróży. Dziś rano widziano przepływającego żółwia, zdawał się nas wyzywać do wyścigu, ale zakład nie został wcale przyjęty. Spostrzegliśmy także z bardzo daleka okręt, który znikł w pół godziny potem; był to czwarty jaki widzieliśmy od naszego wyjazdu. Jakikolwiek przedmiot, który zatrzymuje choćby na chwilę nasze wejrzenia na tej rozległej równinie, na której nasze oczy błądzą bez przerwy, jest widokiem bardzo zajmującym. Opiszę wam połów, jaki mamy w zamiarze: ten który projektowaliśmy od dwóch dni, nie udał się. Świnie morskie przyszły nas obrażać: widzieliśmy także kilka wielorybów, które ciskały nam wodę do ócz; ale one nie miały ochoty wejść na pokład. To prawda, że życie, które tu pędzimy nie jest wcale pociągające. Po dziesięciu lub jedenastu godzinach snu, co chwila przerywanego, śniada się.

jeune. La toilette vient ensuite. C'est une occupation qui ne m'a pas pris, jusqu'à present, beaucoup de tems. Je n'ai pas encore quitté ma robe de chambre. Ma barbe est d'une longueur prodigieuse.

Hier à la sollicitation de la compagnie, j'ai resolu de m'en separer, mais au premier essai, Richard a mangué de m'emporter la moitié de la levre: et un gros emplâtre, appliqué sur la playe a augmenté le nombre de mes agrémens, sans diminuer celui de mes poils. J'aurai bientôt l'air d'un Fleuve — cela ne cesse pas d'être plaisant en Mer. Cette episode m'a empêché de rendre compte du reste de la journée. A midi on dine. Rien n'est comparable à la saleté de nôtre nappe, que l'on ne change que tous les huit jours. Le mouvement du vaisseau fait que les sauces s'y repandent en abondance; cette profusion de différentes couleurs qui la fait ressembler à la palette d'un peintre, ajoûte au dégout qu'inspirent nécessairement et le genre des mets, qui y sont servis, et la maniere de les accommoder. Tout cela pourtant ne commence à m'intéresser que dès aujourd'hui; car c'est le premier jour, que j'ai paru à table. Nous soupons à six heures et demie; et puis on ne fait qu'un saut de la salle au lit. J'ai

---

Potem przychodzi toaleta. Jest to zajęcie, które do obecnej chwili nie zabrało mi dużo czasu. Jeszcze nie porzuciłem mego szlafroka. Broda moja jest nadzwyczajnej długości.

Wczoraj, na życzenie towarzystwa, postanowiłem rozstać się z nią, ale przy pierwszej próbie, Ryszard o mało mi nie odciął połowy wargi, a wielki plaster, przyłożony do rany, powiększył liczbę moich wdzięków bez zmniejszenia ilości włosów mego zarostu. Wkrótce będę miał wygląd rzeki, co będzie dość zabawnem na morzu. Ten epizod przeszkodził mi zdać sprawą z reszty dnia. O dwunastej obiaduje się. Nic nie da się porównać z brudem naszego obrusu, który zmieniają tylko raz na tydzien. Ruch okrętu jest przyczyną, że sosy rozlewają się po obrusie obficie; ta obfitość rozmaitych kolorów, która czyni go podobnym do palety malarza, przyczynia się do obrzydzenia, jakie naturalnie wzbudza gatunek potraw, na nim podawanych i sposób ich przyprawienia. Wszystko to jednak zaczyna mię zajmować dopiero od dziś; dziś bowiem po raz pierwszy zjawiłem się u stołu. Jemy kolacyę o pół do siódmej; potem daje się tylko jeden skok ze sali do łóżka.

oublié de te dire, que l'on prie Dieu trois fois le jour. Moi, j'employe ce tems à t'adresser des voueux, que tu n'entends pas, à l'exemple de toutes les Divinités, du monde. Tous mes soupirs se perdent dans l'immensité de la distance qui nous separe: et peut-être quelqu'un plus heureux que moi te fait agréer l'encens qu'il brûle à les pieds.

27. Mai Mardi. 32° 26" Latit. Nord.
à peuprès la hauteur de Madére.

Nous menons une vie si ennuyeuse, si monotone qu'avec la meilleure volonté du monde il me serait impossible de remplir une page avec ce que cette façon de vivre m'inspire. La vie du moine le plus oisif est pleine d'activité, en comparaison de la nôtre. Les heures s'écoulent et nous retrouvent à la même place, et à la même occupation; et le cours des astres n'est pas plus réglé que nos passe tems. Nos repas sont les epoques les plus remarquables de notre vie, et sans que les Syrenes semêlent de la metamorphose, nous allons être bientôt changés en pourceaux —

Zapomniałem ci powiedzieć, że modlą się tu do Boga trzy razy dziennie. Ja używam tego czasu, aby zwrócić ku tobie moje życzenia, ale ty ich nie słyszysz na wzór wszystkich bóstw świata. Wszystkie moje westchnienia gubią się w ogromie odległości, która nas dzieli; i może ktoś szczęśliwszy odemnie każe Ci przyjąć kadzidła, które pali u twoich nóg.

27. maja, wtorek, 32° 26". Szerok.
półn. prawie na wysokości Madery.

Prowadzimy życie tak nudne, tak monotonne, że z najlepszą wolą i pomimo jej trudno by mi było zapełnić jedną stronicę tem, czem ten rodzaj życia może natchnąć. Życie zakonnnika, najbardziej próżnującego, jest pełnem czynności w porównaniu z naszem. Godziny upływają i odnajdują nas na tem samem miejscu i przy tem samem zajęciu; a bieg gwiazd nie jest regularniejszym od naszego zabijania czasu. Nasze posiłki — to najbardziej różne epoki naszego życia, i bez wmieszania się syren do metamorfozy, zostaniemy wkrótce zamienieni w prosiątka — mamy już ich nie-

nous en avons déja la malpropreté et la gourmandise. Cependant notre vaisseau au lieu de „fendre les flots de sa proue aimantée“ se balance mollement sur une mer tranquille: Ni les voiles nombreuses, ni les ardentes prieres des matelots ne le font avancer d'un pas; les vents assistent sans doute à quelque conseil à la lour sombre, ou sont employés à former quelque ouragan désastreux, ou preparer quelque terrible tremblement de terre. Le fait est, que nous n'en avons pas et que nous sommes depuis deux fois 24 heures à la même place. Comment ne pas s'impatienter? comment ne pas s'ennuyer d'un contretems aussi deplacé? Toutes ces heures sont dérobées à la masse du tems, que j'ai destiné à être absent de toi, ou reculent peut-être le moment heureux de mon retour. Les craintes les soupçons, la connaissance de ma mauvaise fortune — agitent mon ame; et je souffre, quand je ne m'ennye pas. Une grande partie de ma journée est pourtant enlevée par l'étude de l'anglais, et sans me vanter, j'y ai fait de jolis progrès. Je suis à la moitié d'un très gros livre, que je comprends très — aisément, à l'aide d'un di-

---

czystość i łakomstwo. Jednak nasz statek zamiast „przerzynać fale swoim namagnesowanym przodem“ kołysze się miękko na spokojnem morzu: ani mnogość żagli, ani gorące modły majtków, nie posuwają go ani o jeden krok; wiatry znajdują się zapewne na jakiemś zebraniu na dworze ciemności lub też są użyte do utworzenia jakiegoś niszczącego huraganu lub przygotowania jakiegoś strasznego trzęsienia ziemi. Faktem jest, że wiatrów nie mamy i że znajdujemy się od dwóch dób na tem samem miejscu. Jak tu nie niecierpliwić się, jak się nie nudzić ze zwłoki tak nie na czasie. Wszystkie te godziny odjęte są całej ilości czasu, który postanowiłem spędzić zdala od Ciebie, oddalają być może szczęśliwą chwilę mego powrotu. Obawy podejrzenia, świadomość mego pechu — wzruszają moją duszę; i ja cierpię, kiedy się nie nudzę. Jednak wielka część dnia jest zajęta przez naukę angielskiego, i bez chwalenia się, zrobiłem w nim znaczne postępy. Jestem w połowie bardzo grubej książki, którą z pomocą

ctionaire; j'en pourrais donner une traduction comme un Académicien. Tu permettras, que je te quitte pour aller le reprendre.

P. S. J'ai oublié de te dire, que notre oiseau est mort.

Le 1. Juin Dimanche.

C'est assurement un démon ennemi, ou un genie malfaisant qui m'a inspiré l'idée de ce voyage; rien n'égale les désagrémens que j'y éprouve. Au calme, dont je t'ai parlé, a succédé un vent affreux mais contraire; la mer, étant devenue très-grosse je tombais malade presque sans connaissance, et après avoir vomi des torrens, je restais 24 heures anéanti. La nuit du 29 au trente nous essuyames une tempête horrible, qui nous obligea de mettre à la cape, où nous avons resté soixante heures. Le vent a molli un peu depuis, mais il ne se range pas du bon côté; et nous reculons au lieu d'avancez. L'état où je suis depuis quatre jours, me rend indifférent à tout; et l'impatience d'être contrarié, est à peine compté pour quelque chose, quand on souffre aussi cruellement. — Je ne puis me tenir débout, et le lit m'échauffe sin-

---

słownika rozumiem bardzo łatwo; mógłbym jak akademik zrobić jej przekład. Pozwolisz, abym Cię opuścił, do niej wrócić.

P. S. Zapomniałem Ci powiedzieć, że nasz ptak zginął.

1. czerwca, Niedziela.

Był to z pewnością nieprzyjazny demon albo złośliwy geniusz, który mię natchnął myślą tej podróży; nic nie da się porównać z przykrościami, jakich w niej doznaję. Po ciszy, o której Ci mówiłem, nastąpił straszny, ale przeciwny wiatr; morze wezbrało bardzo; chory, prawie bez zmysłów, upadłem i wydawszy ze siebie całe potoki pozostawałem 24 godzin zupełnie wzburzony. W nocy z 29 na 30 przetrzymaliśmy straszną burzę, która zmusiła nas użyć największego żagla, pod którym zostawaliśmy przez 60 godzin. Odtąd wiatr trochę ustał, ale nie zwraca się w dobrą stronę i my cofamy się zamiast postępować. Stan w jakim się znajduję od czterech dni czyni mię obojętnym na wszystko; i niecierpliwość przeciwieństwa zaledwie może być liczona za coś, gdy się cierpi tak strasznie. — Nie mogę ustać na nogach a łóżko

gulierement; la nourriture est mal-saine, l'eau gâtée; et je ne vois ni le moyen de remettre mon estomac, ni celui de m'accoutumer à ce genre de vie. Depuis trois semaines, que je suis à bord, je ne sais que souffrir, et aller de mal en pis: je ne sais ce qui en resultera. Ce qui me rend cette façon d'étre plus insupportable, c'est qu'elle me rend incapable de m'apliquer à la moindre chose. — Les heures se trainent lentement, et je ne trouve rien, qui puisse me derober quelques instants à la douleur, à la tristesse, à l'ennuy.

Le 3. Juin.

Les vents continuent d'être contraires, et nous soufflent la rage dans le coeur. Il est vrai, qu'avec la moitié de mes raisons, il y aurait dequoi être au déses poir' de ce contretems. — Ne sois pas etonnée de trouver du noir dans ce que je t'écris. Je succombe sous la quantité des maux qui m'accablent. Aucun soulagement, aucun rayon d'espérance, ne se presentent à mon esprit — qui est abbatu et incapable de sécourir le corps dans ses souffran-

---

dziwnie mię rozgrzewa; pożywienie jest niezdrowe, woda zepsuta; nie widzę sposobu przyprowadzenia do porządku mego żołądka, ani też możności przyzwyczajenia się do tego rodzaju życia. Od trzech tygodni, jak jestem na statku, umiem tylko cierpieć, i czuję się coraz gorzej: nie wiem, co z tego wyniknie. To, co mi czyni ten rodzaj stanu jeszcze nieznośniejszym, to jest uczucie niezdolności zajęcia się najmniejszą nawet rzeczą. Godziny ciągną się powoli, a ja nie znajduję nic, co mogłoby mnie usunąć choć na chwilę, od bolu, smutku i znudzenia.

3. czerwca.

Wiatry są przeciwne i wdmuchują nam wściekłość do serca. Prawdą jest, że z połową moich przyczyn byłoby czego rozpaczać nad tem opóźnieniem. Nie bądź zdziwioną, że znajdujesz ponurość w tem, co piszę. Upadam pod ilością cierpień, które mię przygniatają. Żadnej ulgi, żadnego promienia nadziei nie widzę w moim umyśle, który jest przybity i niezdolny podtrzymać ciało w jego

ces. Il y a des momens, où la rage s'empare de moi. surtout quand je pense, que je t'ai quitté, que je suporte toutes ces calamités pour manquer peut-être le but; principal de ce voyage. — qui est de voir le Nord de l'Amérique. Faut-il donc, qu'un guignon marqué préside à toutes mes entreprises et n'y aurait-il pas un instant de ma vie, où je ne doive maudire l'heure, qui m'a donné naissance. Mais je blaspheme. — Tu m'aimes, Julie! et si ton amour est à l'epreuve du tems — s'il est tel, que je le desire, tu repareras et les injustices du sort, et mes propres inconséquences. Tu peux bien croire, qu'abandonné, comme je suis à mes reflexions, j'ai repassé le court espace de ma vie: je me suis arrêté sur chaque instant dont j'aurais pû tirer parti; j'ai réfléchi sur ma conduite, sur mes vuës, sur mes projets. J'ai fait cet examen avec une parfaite impartialité. — eh bien! il en est resulté un nouvel enchainement de pensées; et si je ne puis me vanter de m'être tracé la meileure route, j'ai eu du moins le plaisir de voir, qu'en m'enfançant le plus loin dans l'avenir, rien ne s'est presenté à mon esprit, qui dût l'éffrayer. Mais tu es nécessaire indispensable à consolider, à embellir cet edifice. Il n'y a point d'etre, qui puisse tirer son bonheur de sois-même: c'est

---

cierpieniach. Są chwile, w których wściekłość opanowuje mię, szczególnie gdy myślę, że opuściłem Ciebie, że znoszę wszystkie te plagi, aby nie dosięgnąć — być może — głównego celu tej podróży, którym jest ujrzeć północ Ameryki. Potrzeba, aby wyraźny pech przewodniczył wszystkiem mym przedsięwzięciom, i czy nie będzie ani chwili w moim życiu, w której bym nie musiał przeklinać godziny. która mi dała życie? Ale ja bluźnię. Ty mię kochasz Julio! I jeżeli twoja miłość wyrówna próbie czasu, jeżeli jest taką, jakiej ja pragnę, ty naprawisz i niesprawiedliwość losu i moje własne niekonsekwencye. Ty możesz łatwo uwierzyć, że zostawiony własnym rozmyślaniom, przebiegłem myślą krótki przeciąg mego życia: zatrzymywałem się przy każdej chwili, z której mogłem był skorzystać; zastanawiałem się nad moim postępowaniem, nad moimi widokami, nad mymi zamiarami. Zrobiłem ten egzamin z doskonałą bezstronnością. I cóż! wynikło z niego nowe zagmatwanie myśli, i jeżeli nie mogę się pochwalić, że sobie wytknąłem najlepszą drogę, miałem przynajmniej przyjemność widzieć, że zagłębiając się jak najdalej w przyszłość, nic nie przedstawiło się memu umysłowi takiego, co mogłoby go przestraszyć Ale ty jesteś potrzebną, niezbędną do utrwalenia, do upiększenia

le plus bel apanage de' cette abstraction — qu'on nomme Dieu, et le plus grand sujet de désespoir de l'homme raisonnable. Adieu, ma chere ame; que ne donnerais — je pas pour être avec Toi?

4. Juin, Mercredi.

Toujours contrarié par les vents! Agamemnon et sa suite n'en esuyerent pas de plus obstinés. Nous reculons sans cesse — si c'etait encore pour mieux sauter. Etre balloté continuellement, succomber à la fatigue vers la fin du jour, sans avoir avancé un pas et par dessus cela, vomiz horriblement; voilà le joli tableau que doit vous presenter mon voyage. Ah Julie! combien je suis heureux de croire, que vous aves perdu l'idée de l'entreprendre. Je 'serais mort de chagrin, en pensant que j'aurais été la cause de tous ces maux, aux quels votre santé n'aurait surement pas resisté. Je ne savais pas ce que je te conseillais. Pour un Royaume, je ne voudrais pas, que ma chere ame s'exposa au quart

---

tego gmachu. Nie ma wcale istoty, któraby mogła wyciągnąć swoje szczęście sama ze siebie: jest to najpiękniejszą właściwością tej abstrakcyi, którą nazywają Bogiem, i największym przedmiotem rozpaczy rozsądnego człowieka. Żegnaj, moja droga duszo; czego bym nie dał, aby być z Tobą?

4. czerwca, Środa.

Zawsze drażniony przez wiatry! Agamemnon i jego otoczenie nie cierpieli [do] bardziej upartych. Cofamy się bezustanku — gdyby to było przynajmniej na to, aby lepiej skakać. Być kołysanym bezustanku, upadać ze znużenia ku końcowi dnia, nie postąpiwszy ani kroku, i ponadto wymiotować straszliwie, oto jest piękny obraz, który Ci musi przedstawić moja podróż. Ach Julio! jak jestem szczęśliwy na myśl, że Ty straciłaś chęć podjęcia jej. Byłbym umarł ze zmartwienia myśląc, że sam byłym przyczyną tych wszystkich cierpień, którym Twoje zdrowie nie oparłoby się z pewnością. Nie wiedziałem, czego Ci doradzałem. Za królestwo nie chciałbym, aby moja przyjaciółka narażała się na czwartą

de ces fatigues. Si tu voyais, comme je suis fait, pâle, défait, épuisé; j'ai l'air d'une momie et nous ne sommespas au moitiers du chemin. — Je suis interrompu par un panore pigeon, qui est tombé à l'eau, et qui se noye. C'est précisément à l'instant que j'allais penser à la belle fable de La Fontaine. Le pauvre animal! — mais il est encore plus heureux que moi. Dans une minute il cessera de souffrir: — et moi, quand te reverrai — je?

5. Juin, Jendi.

Les dieux ont enfin pitie de nous, et sans exiger des sacrifices, ils ont apaisé les vents, qui nous repoussaient: il faudrait qu'ils fussent entierement genéreux, et nous accordassent des favorables. Pour nous preparer à ce bonheur,, ils nous le font acheter par un calme ennuyeux, mais nécessaire — aux yeux de nos marins.

Nous sommes au moins — en route, depuis ce matin. Nous esperons, que la premiere brise qui va s'eléver, sera favorable, et durera jusqu'aux vents alises, qui sont, à ce qu'on dit, invaria-

---

część tych trudów. Żebyś Ty wiedziała, co się ze mnie zrobiło; blady, mizerny, wycieńczony; mam minę mumii, a nie jesteśmy jeszcze ani w połowie drogi. Przerwał mi biedny gołąb, który wpadł do wody i tonie. I to właśnie w chwili, kiedy miałem myśleć o pięknej bajce La Fontaina. Biedne stworzenie! ale ono jest jeszcze szczęśliwsze odemnie. Za jedną minutę przestanie cierpieć: a ja kiedy Cię ujrzę na nowo?

5. czerwca, Czwartek.

Bogowie mają wreszcie litość nad nami, i nie wymagając ofiar uspokoili wiatry, które nas odtrącały: trzebaby, żeby byli całkiem wspaniałomyślni i użyczyli nam sprzyjających. Aby nas przygotować do tego szczęścia każą nam je okupić przez ciszę nudną, ale potrzebną w oczach naszych marynarzy.

Od dzisiejszego ranka jesteśmy przynajmniej w drodze. Spodziewamy się, że pierwszy wietrzyk, który się podniesie, będzie sprzyjającym, i potrwa aż do wiatrów stałych, które są, jak mó-

bles. Depuis deux on trois heures, une quantité de plus beaux poissons flottent au tour du navire: ce sont des dorades, qui nuancés des couleurs les plus variées et brillantes, viennent à fleur d'eau, étaler leur beauté, et presenter leurs têtes et leurs gueules à nos harpons et à nos lignes. Notre maladresse surpasse encor leur imprudence. Ennuye' de n'en point prendre, j'ai quitté mon poste pour causer un peu arec toi. L'espérance de pouvoir te faire plaisir, en te donnant des marques continuelles de ma tendresse et de mon amour, est la seule juissance que le Ciel me permet de goûter, loin de tes yeux. Mais combien serais — je à plaindre, si avant que ce journal t'arrive, tu changeas de façon de penser ou plutôt — de sentir. Julie, cela serait — il possible? — Rejettons cette idée, quoiqu'elle me tourmente sans cesse, et que des songes ennemis en troublent mon sommeil. — Mais cela serait — il possible? A qui se fierait — on desormais? — Non, je ne crois pas être asser malheureux pour cela: — Moi, qui m'occupe uniquement du bonheur de passer ma vie avec Toi, et de placer exclusivement ma felicité dans ton coeur... Julie! n'est-ce pas que tu m'apartiendras toute ta vie? et à qui pourrais-tu être? Y-a-t-il quelqu'un un qui sçut t'aimer avec autant de ten-

---

wią, niezmiennie. Od dwóch czy trzech godzin mnóstwo najpiękniejszych ryb pływa wokół statku: są to dorady, które cieniowane najpiękniejszymi i najświetniejszymi kolorami wypływają na powierzchnię wody, aby pokazać swą piękność i prezentować swoje głowy i swoje pyski naszym harpunom i naszym wędkom. Nasza niezgrabność przechodzi jednak ich nieostrożność. Znudzony tem, że nie mogłem złowić, opuściłem moje stanowisko, aby pomówić trochę z Tobą. Nadzieja, że mogę zrobić Ci przyjemność, dając ci ciągłe oznaki mojej czułości i mojej miłości, jest jedyną radością, której nieba pozwoliły mi kosztować zdala od Twoich oczu. Ale jakże byłbym godnym pożałowania, gdybyś — nim ten dziennik dojdzie rąk twoich — zmieniła sposób myślenia albo raczej uczucia. Julio, czy to byłoby możliwem? Odrzućmy tę myśl chociaż ona mię męczy bezustanku a sny nieprzychylne mącą mój sen. Ale czy to byłoby możliwem? Na kim by odtąd polegano? Nie, ja nie myślę, abym był dość nieszczęśliwym na to. Ja, który zajmuję się wyłącznie szczęściem spędzenia życia z Tobą i umieszczenia mojej radości wyłącznie w twoim sercu... Julio! nieprawdaż, że będziesz do mnie należeć całe życie? i czyjąż mogłabyś być? Czy jest na świecie ktoś, ktoby umiał kochać Cię z taką czułością?

dresse? — Oh! que ne puis-je entendre dans cet instant, de la bouche, l'aveu de ta passion! Pourquoi dois-je craindre ce que ne peut point arriver? et augmenter la somm de mes souffrances réelles, par des chagrins imaginaires?

6. Juin, Vendredi. 31° 20' Lat. N.

Tu ne seras pas toujours incommodé par mes plaintes et mes Ieremiades. Les vents sont bons; je me porte mieux, et il ne me reste que le grand déplaisir d'être loin de toi, et de voir, qu'il se passera encore bien du tems, avant que nous soyons ensemble. Mais pour me tromper moi-même sur le chagrin, que cette absence me doit causer, je t'écris des volumes. A force de m'occuper de toi, j'oublie que j'en suis loin: mon attention fixée plus positivement sur la personne, m'ôte les moyens de m'apercevoir — qu'lle me manque. C'est un secret innocent, que j'ai imaginé, pour me rendre ton éloignement plus supportable. Je cherche des remedes dans le mal même. Mais Toi, qui seras condamnée à lire ce tas d'inutilités, me pardonneras-tu d'abuser ainsi de ta patience-

---

Och! dlaczego nie mogę usłyszeć w tej chwili z twoich ust wyznania twojej miłości! Dlaczego muszę się bać tego, co się stać wcale nie może i powiększać sumę moich rzeczywistych cierpień przez urojenie zmartwienia?

6. czerwca, Piątek. 31° 20' sz. półn.

Nie będziesz zawsze nudzoną przez moje skargi i moje narzekania. Wiatry są dobre; ja mam się lepiej, i pozostaje mi tylko wielka nieprzyjemność być zdala od ciebie i widzieć, że przejdzie jeszcze wiele czasu, nim będziemy razem. Ale żeby oszukać samego siebie w tem zmartwieniu, które ta rozłąka musi mi czynić, piszę do Ciebie całe tomy. Zajmując się tobą, zapominam, że jestem od ciebie oddalony: uwaga moja sprowadzona bardziej stanowczo na osobę, odejmuje mi środki spostrzeżenia się, że mi jej brak. To jest sekret niewinny, który ja wymyśliłem, aby uczynić sobie twoje oddalenie możliwszem do zniesienia. Szukam środków w samem złem. Ale Ty, która będziesz skazaną czytać stos tych nieużyteczności, czy mi przebaczysz, że nadużywam Twej cierpli-

car si mon coeur peut meriter quelque eloge, tu devras de la pitié à mon esprit. Il est sûr, qu'il n'apoint d'occasion de s'exercer et de s'entretenir par la conversation de mes compagnons de voyage. S'il est vrai, que c'est un feu, qui a besoin d'alimens, il devait s'éteindre depuis long tems. Tu connais ce que c'est que l'homme, qui est parti avec moi; il parait que ses facultés diminuent à mesure qu'il s'eloigne de Paris, comme l'air se raréfie, quand il n'est plus nourri par les vapeurs de la terre. Combien de vos Parisiens lui ressemblent à cet égard! S'ils étaient transportés tout d'un coup hors de leur ville, où prendraient — ils leurs idées? Ils dinent de ce qu'ils ont ramassé le soir, et soupent de leur diner; et l'on pourrait taxer chacun à une certaine quantité de mots: „Ces bavards n'étant point ceux qui en disent le plus, mais qui les respectent le plus souvent (comme on taxe une terre à tant de livres dans vos pays d'election; excepte, que l'estimation serait plus juste:)“ Mon homme pourtant est un aigle ici; — imaginezvous ce que doivent être les hiboux. Tous ces hiboux sont autant de gascons: aussi n'ai-je pas fait peu de progrés dans leurs accens. Tout le tems que je puis derober à leur conversation intéressante, je le donne à l'etude de l'anglais, et à la

---

wości — bo jeżeli moje serce może zasłużyć na jaką pochwałę, ty będziesz winną litości dla mego umysłu. To jest pewnem, że nie ma wcale sposobności ćwiczenia się i rozmawiania z towarzyszami podróży. Jeżeli to prawda, że jest to ogień, który potrzebuje podniecenia, to musiał on zgasnąć od dawna. Ty wiesz, co to za człowiek pojechał ze mną: zdaje się, że jego zdolności zmniejszają się w miarę, jak on się oddala od Paryża, tak jak powietrze rzednie, gdy nie jest już podsycane parami ziemi. Ilu z waszych Paryżan podobnych jest do niego w tym względzie! Gdyby byli przeniesieni nagle za obręb swego miasta gdzieby oni brali swoje pomysły? Oni jedzą w południe to, co spożyli wieczór, a wieczór to, co w południe; i można by było ocenić każdego według pewnej ilości słów: „Te gaduły nie są wcale tymi, którzy o tem najwięcej mówią, ale tymi, którzy je najczęściej szanują; (jak się ocenia ziemia na tyle funtów w waszych wybieralnych krajach; z wyjątkiem, że ocena byłaby sprawiedliwszą“). Mój człowiek jednakże jest tu orłem; wyobraźcie sobie, czem muszą być puszczyki. Wszystkie te puszczyki są tyloma gaskończykami: to też zrobiłem niemałe postępy w ich akcencie. Cały czas, który mogę odjąć ich ciekawej rozmowie, poświęcam na naukę angielskiego i na

lecture des lettres de M-de de Sevigné, le seul livreque j'ai avec moi. J'ai aussi relu „l e s S a i s o n s de S t. L a m b e r t“ c'est, je vous assure un trés-beau peëme, et qui, n'en déplaise a vous et aux vôtres, vaut mieux, que les Jardins de notre Abbé. A propos des Lettres de Mad-e de Sevigné je viens d'y lire une question, que je vais te proposer. Je me souviens de l'habileté, avec laquelle tu en resolus une de ce genre, qui avait été mise dans le journal de Paris. Celleci serait digne de la plus auguste Cour d'amour. Je te la raporte dans les propres termes de La Rochefaucaule „Aimés-vous mieux avoir, fait une infidelité à votre amant, que vous aimés pourtant toujours; ou qu'il vous en ait faite une, et qu'il vous aime aussi toujours“. Il ne m'est point permis de parler, apres l'Epictete françois — et je te quitte pour aujourd'hui.

8. Juin, 29° 20' Jour de la Pentecôte.

Il y a de cela à peu prés dix-huit siecles, que l'esprit saint descendit, comme tu sais fort bien, sur de pauvres ignorants, et en fit des predicateurs, des ecclesiastes, des apôtres enfin. Puisse un rayon échappé de cette celeste essence, illuminer ce que je vais t'écrire, et rendre ma lettre moins ennuyeuse! Mais je vois

---

czytanie listów Pani de Sevigné, jedynej książki, którą mam ze sobą. Odczytałem także „P o r y r o k u S t. L a m b e r t a“: jest to — upewniam was — bardzo piękny poemat, a który, za przeproszeniem was i waszych, wart więcej niż ogrody naszego opata. A propos listów Pani de Sévigné, tylko co w nich przeczytałem o kwestyi, którą mam Ci przedstawić. Przypominam sobie, z jaką zręcznością rozwiązałaś jedną w tym guście, która była umieszczoną w dzienniku paryskim. Ta ostatnia byłaby godną najdostojniejszego dworu miłości. Powtarzam Ci ją we właściwych wyrażeniach Roche-Foucaule. „Czy wolałaś popełnić niewierność swemu kochankowi, którego jednak zawsze kochasz, czy żeby on popełnił niewierność i także Cię zawsze kochał“. Nie wolno wcale mówić po francuskim Epiktecie, więc opuszczam Cię na dziś.

8. czerwca. 29° 20“. Dzień Zielonych Świąt.

Minęło prawie ośmnaście wieków od chwili, gdy duch święty zstąpił, jak Ty wiesz bardzo dobrze, na biednych nieoświeconych i zrobił z nich przepowiadaczy, duchownych, apostołów w końcu. Oby promień wymknąwszy się z tej niebiańskiej woni, oświecił to, co Ci mam napisać i uczynił mój list mniej nudnym! Ale

avec chagrin, que le tems des miracles est passé, et qu'il faudra que tu te ressentes de la secheresse du tems, et de celle de mes idées. J'ai envie pour rendre mon journal plus intéressant, de traduire quelque morceaux d'un livre charmant, que je lis actuellement, et qui s'apelle: „Letters from an American Farmer". C'est un tableau delicieux de la vie heureuse des habitants de l'Amerique Angloise, et surtout des cultivateurs Pensylvaniens, tracé avec une simplicite, digne de meilleurs tems, et que je n'ai encore trouvé nulle part. Je ne me rapelle pas d'avoir jamais été si touché, si persuadé de la vérité d'un recit, et jamais peinture ne m'a autant séduit. Ce n'est pas des couleurs recherchées ce n'est point le ton fastueux de nos declamateurs il ne se charge point de penser pour vous, il vous epargne les reflexions. Point de leçons de morale rien de ce qui sent l'auteur; c'est un vrai fermier mais aimable, mais honnête, surtout grand ami de la proprieté et de l'indépendance. Mais ce n'est point au milieu de Paris, et avec une education, comme la tienne, que tu en gouteras les charmes. Je me reserve de te le faire admirer un jour dans cette retraite où nous ne vivrons que pour votre bonheur, et où tu pourras trouver des plaisirs, dont l'idée même ne t'est

---

widzę ze smutkiem, że czas cudów przeszedł i że potrzeba będzie, abyś uczuła suchość czasu i suchość moich myśli. Mam ochotę, aby uczynić mój dziennik bardziej zajmującym, skreślić kilka ustępów z zachwycającej książki, którą obecnie czytam a która nazywa się „Letters from an American Farmer". Jest to zachwycający obraz szczęśliwego życia mieszkańców Ameryki angielskiej, a szczególnie rolników Pensylwanii, nakreślony z prostotą godną lepszych czasów i jakiej nigdzie jeszcze nie znalazłem. Nie pamiętam, abym kiedykolwiek był tak wzruszony, tak przekonany o prawdzie opowiadania; i nigdy obraz nie zachwycił mię tak bardzo. To nie były wyszukane kolory, nie jest to wcale przesadny ton naszych deklamatorów; on nie podejmuje się myśleć za was, oszczędza wam rozmyślań. Nie ma wcale nauki moralnej, nic coby pachło autorem; jest to farmer prawdziwy, ale uprzejmy, uczciwy, szczególnie wielki przyjaciel własności i niezależności. Nie jest to wcale z atmosfery Paryża i z wychowaniem podobnem Twemu, abyś mogła odczuć ich urok. Zastrzegam sobie dać Ci je ocenić pewnego dnia w ustroniu, gdzie będziemy żyć tylko dla Twego szczęścia i gdzie Ty będziesz mogła znaleść przyjemności, o których pojęcie nawet nie jest Ci znane. Oby czas,

point encore connue. Que le tems, qui doit nous tenir éloignés, s'écoule avec rapidité, et que je puisse me retrouver près de toi, et t'initier dans les mystères d'une felicité, à qui, pour être parfaite, il ne manquerait que d'être eternelle.

10. Juin. 27° 36".

La journée d'hier a été une journée d'événements. A six heures du matin il ventait bon frais, et nous etions dans la joye de marcher si vite, lorsque tout d'un coup le vent sauta du Nord au Sud, et coëffa nos mats-c'est un accident très dangereux et qui nous aurait exposé davantage, si le grain avait été plus violent. Heuresemeut on s'en apercut de bonne heure et on eut le tems de carguer les voiles. La premiere frayuer passée nous nous desésperions de ce nouveau retard, lorsque le vent cula peu à peu, et retourna à son poste: — A onze heures, nous aperçumes un vaisseau, qui portait sur nous à pleines voiles — Une heure après le Capitaine fit mettre en pane pour l'attendre. Tu ne saurais t'imaginer la fermetation, que l'espoir de voir, deparler à des etrangers occasiona d'abord: le moindre petit appas, jetté à la curiosité, lorsqu'elle est resserrée dans des bornes aussi etroites,

---

który ma nas trzymać w oddaleniu, upłynął z szybkością i obym mógł znaleść się przy Tobie, i wtajemniczyć się w tajniki szczęśliwości, której, aby była doskouałą, brak, że nie jest wieczną.

10. czerwca. 27° 36".

Dzień wczorajszy był dniem wypadków. O szóstej godzinie zrana powiewało świeżo i byliśmy rozradowani, płynąc tak szybko, gdy naraz wiatr przerzucił się z północy na południe i poplątał nasze maszty — jest to wypadek bardzo niebezpieczny i byłby nas więcej naraził, gdyby nawałnica była gwałtowniejszą. Na szczęście spostrzeżono się za wczasu i zdołano zwinąć żagle. Po pierwszym strachu zaczęliśmy rozpaczać nad tem opóźnieniem, gdy wiatr oziębił się zwolna i powrócił na stanowisko. O jednastej godzinie spostrzegliśmy okręt, który pędził na nas wszystkiemi żaglami. W godzinę potem kapitan kazał przygotować okręt, aby go oczekiwać. Nie umiałabyś sobie wyobrazić zamieszania, jakie najpierw sprowadziła nadzieja zobaczenia obcych i mówienia z nimi: najmniejsza przynęta rzucona ciekawości, gdy ona jest zcieśniona w granicach tak wąskich, każe jej występować i działać żywiej. „Skąd on przybywa? W jaki sposób znajduje się on tam, z jakiej

la fait ressortir et agir plus vivement. „D'où vient-il? Comment se trouve-t-il là? de quelle nation? qui est ce qui le commande? — et puis les conjectures. C'est un Anglais — Non c'est un Espagnol-un Ameriquain". Enfin vers les trois heures-le vaisseau parut un bateau à un mat, doublé en cuivre; et un grand quart d'heure après. nous aprimes. qu'il était français, qu'il venait de Bordeaux, qu'il s'appelait l'Orchestre, qu'il allait à la nouvelle Angleterre, et que des vents contraires l'avaient chassé trop au Sud. Je m'étais flatté un instant, qu'il allait en France; et que j'aurais l'occasion de t'écrire: mais je n'etais pas long-tems dans cette douce illusion; et je regrettais le tems que nous avions perdu à l'attendre. Depuis que nous l'arovs quittié, nous allons très-vite, et ce matin nous fimes trois lieuës à l'heure. Ne voila-t-il pas des choses bien intéressantes, que je te maude? Ma lettre serait surement la plus inutile cargaison du bâtiment qui la porterait en France, si elle ne te dirait mille fois combien tu m'es chere-et combien l'idée dêtre aimé de toi, fait le bonheur de'mes jours. S'ily a quelque vaisseau dans le monde chargé de la même commission de ta part pour moi-il m'est plus cher sans doute que tous Galions, qui portent les richesses du Perou et du Mexique.

---

narodowości? Kto nim dowodzi? I za tem wnioski. To jest Anglik. nie, to jest Hiszpan Amerykanin". Wreszcie około trzeciej godziny ukazał się okręt. żaglowiec o jednym maszcie, obity miedzią; i w kwadrans potem dowiedzieliśmy się, że był on Francuzem, że przybywał z Bordeaux, a nazywał się Orkiestrą, że płynął do nowej Anglii i że wiatry przeciwne spędziły go nadto na południe. Łudziłem się przez chwilę, że on płynie do Francyi i że będę miał sposobność napisać do Ciebie; ale nie długo zostawałem w tej słodkiej złudzie i żałowałem czasu, jaki straciliśmy na jego oczekiwaniu. Od chwili, gdyśmy go opuścili, płyniemy bardzo szybko i dziś rano robiliśmy trzy mile w godzinę. Czy nie są to rzeczy bardzo zajmujące, które ci przesyłam? List mój byłby z pewnością najbardziej nieużytecznym ładunkiem statku, któryby go wiózł do Francyi, gdyby on nie miał Ci powiedzieć tysiąc razy, jak bardzo jesteś mi drogą — a więc myśl być kochanym przez Ciebie stanowi szczęście moich dni. Jeżeli jest okręt na świecie obarczony taką samą posyłką od Ciebie do mnie — jest mi on droższym bez wątpienia, niż wszystkie okręty, które wiozą bogactwa Peru i Meksyku.

(Ciąg dalszy nastąpi).

Kilka uwag o Albercie Dürerze,

na podstawie zbiorów monachijskich.

Skrócenia: B = Bartsch, Le peintre Graveur, 1803—1821.
L = Lippmann, Zeichnungen von Albrecht Dürer, Berlin, 1883.

Daremnie święty Franciszek upatrywał w przyrodzie dzieło Boga. Szmer strumyka był mu bratem, kwitnące drzewo siostrzycą. Ogół nie poszedł za nim. W swej głębokiej czci dla piękna pozostał odosobnionym. hymny do słońca i do stworzenia odbijały się niewysłuchane od twardego ducha wszechwładnej Ascezy i powracały w pierś rozspiewaną poety z Assyżu.

Wzloty Petrarki w podniebny świat otaczającego go piękna napotykają na reakcyę w dziele: O znikomościach świata. Dusza Dantego znajduje ukojenie nie w przyrodzie, lecz w wewnętrznem uczuciu. Io sono in pace.

„Kwitnąca lipa, to piekło uosobione, a słowik w listowiu jej „spiewający, to szatan kusiciel. Adjuro te per eum, qui venturus „est iudicare vivos et mortuos — zgiń przepadnij kusicielu. Biczujmy się bracia.“

Ten ustęp z opowiastki cytowanej przez H. Heine'go w jego „Essays zur Geistesgeschichte Deutschlands“ doskonale charakteryzuje epokę poprzedzającą odrodzenie.

Nagle następuje zwrot; gwałtownej fali humanizmu, z Włoch płynącej, nie oparły się Alpy; przeniknęła na północ, w Ojczyznę Dürera.

Wzmacnia się sztuka i nauka, zakwitają duchowe popędy, tobie o Barbarzyństwo pozostaje stryczek [1]) — woła w „Triumphus doctoris Reuchlini" poeta laureatus i mówca uniwersytecki Ulrich von Hütten (* 1488 r.) wraz z współczesnymi mu Reuchlinem, znakomitym znawcą języka hebrajskiego, z Erazmem z Rotterdamu i wielkim reformatorem Lutrem, walczy za prawa serca, duszy i prawdy; otrząsano się z pod pręgierza kontemplacyi, wglądano w rzeczy ludzkie, imponowały ludzkie czyny, powracało prawo człowieka.

Walczono różną bronią, zarówno mieczem, jak piórem, często razem, czasem przeciw sobie, lecz idea była jedna.

Opozycya przeciw wszystkiemu, co było.

Nie dogmatów i kategoryj, ale faktów chciano słuchać, nie w pomoc boską wierzyć, lecz w siłę ludzkiego ducha.

Odkrycia Kopernika, (* 1473 r.), stwierdzenie kształtu i potrójnego ruchu ziemi, wywołuje wprawdzie przez długie lata jeszcze obłudny uśmiech na usta jezuickiego wychowawcy, natomiast pobudza ducha do czynów doniosłych i przełomowych w dziejach ludzkości. Krzysztof Kolumb postanawia okrążyć ziemię (1492); olbrzymiość zdobyczy na polu naukowem wywołuje coraz to nowe reakcye; Uniwersytet w Tübindze otrzymuje pozwolenie sekcyi ciał umarłych w r. 1482 [2]). Wkrótce Andri Vesal, lekarz francuski XVI wieku stwarza metody anatomii, do naszych czasów podstawowe, a żarliwość naukowa dochodzi czasami do przesady, jak tego świadkiem rozkaz magistratu miasta Pragi do kata miejscowego (XVI w.). „Abi! et trucida unam ex inclusis reis, ejusque corpus medum in teatrum anatomicum deporta". (Idź! i zamorduj jedną z oskarżonych, a ciało jej nagie zanieś do teatru anatomicznego).

[1]) Es blühen die Studien, die Geister regen sich,
Du nim den Strick, Barbarei...
U. v. Hütten.

[1]) W średnich wiekach sekcya trupów ludzkich była uważana jako zbeszczeszczenie; Pietro d'Albano w XIII. w. oskarżony o sekcyę, został skazany na śmierć na stosie. Wprawdzie umarł podczas procesu, lecz ciało jego odgrzebano i wyrok nad niem wykonano.

Sztuka wbrew tradycyi powraca do studyów nagiego ciała: czysto kościelne tematy, zgodnie z duchem czasu, przybierają pod ręką artysty światową sukienkę. Powstają dzieła tak mało kościelne, jak cudne kobiety Rafaela, groby Medyceuszów, Melancholja i św. Hieronim Dürera.

Czarowne opowieści o odkryciach na niebie i ziemi podawano sobie z ust do ust, spisywano na pargaminie, chęć podróżowania wyraża się w niezliczonych, energicznych wędrówkach uczonych, poetów i artystów. Pomału, odpowiadając potrzebie ogółu, powstają nowe szkoły specyalne, drukują się nowe książki: w roku 1507 rozchodziły się po całych Niemczech. „Anatro viagii di Amerigo Vespuci“, w 1508 wychodzi w druku pierwszy niemiecki opis podróży Krzysztofa Kolumba, w tymże roku opisuje Baltazar Sprenger z Augsburga wyprawę na wchód: odkrycie Indyj.

Norymberga staje się siedliskiem ruchu naukowego, posiadając instytut astrologiczno-matematyczny, zaopatrzony we wszystkie najnowsze środki naukowe. Tam szukają wiedzy znakomici matematycy: Bernard Walther, Jan Schoner, Steinvogel i przyjaciel Dürera, Wilibald Pirkheimer, a on sam, mistrz nad mistrze, wielki teoretyk sztuki, nie przypadkowo szuka rozwiązania swych problematów malarskich w ścisłej wiedzy matematycznej. Pod wpływem otoczenia tworzy, z dziedziny teoryi, dzieła wówczas niemało cenione: „Unterweisung der Messung“, „Von menschlicher Proportion“, „Der ästhetische Exkurs“ i dotąd w Londynie w rękopisie leżące: „Von der Farbe“, „Von der Perspektive“ i inne.

Humanizm rozpanoszył się w umysłach wybitnych jednostek narodu, ulegającego chętnie odrodzonym prawom: prawu człowieka, prawu rozwoju, wynalazczości w wiedzy, twórczości w sztuce. Artyści norymberscy narówni z innymi poczynają wyzwalać sztukę z pętów rzemieślniczych. Veit Stoss (Wit Stwosz), Adam Krafft, Piotr Vischer roznoszą sławę swego dzieła hen, na wschód do Krakowa i Magdeburga.

Hans Pleydenwurf i Michał Wolgemuth dają podwaliny temu kierunkowi w sztuce malarskiej, który, jako „szkoła norymberska“ miał najwyższy swój wyraz w twórczości Dürera.

Niestety warunki nie odpowiadały duchowemu napięciu. Artyści dawali chętnie folgę natchnieniu, lecz obstalunków nie było. Cesarz Maksymiljan okazuje się nieudolnym mecenasem; nie posiada pieniędzy, nadto zużywa siłę twórczą mistrzów, pod jego opieką pracujących, na dzieła rzemieślnicze, niewiele z wolnym duchem

twórczym wspólnego mające; jedynem dziełem sztuki, którego zaczątki pod jego wpływem powstały, jest nagrobek w Insbrucku. Z całego zastępu książąt panujących, hrabiów i baronów feodalnych, jeden tylko kardynał książe Albrecht, aczkolwiek skromnie, zajmuje się sztuką; pozostali nie posiadają odpowiedniej kultury, a zasoby ich nie wystarczają na skromne nieraz utrzymanie głodnego dworu. Sporadycznie dają obstalunki możni mieszczanie, znane rodziny Hellerów, Pirkheimerów, Imhoffów, Holzschuherów. Czasem obraz większych rozmiarów obstalowują u mistrza, jako votum do kościoła, w domu zaś, ku ozdobie ścian starczyły wówczas tkaniny, półki w drzewie, naczynia cynowe lub miedziane, powoli rozwija się zamiłowanie portretu.

Względnie najwięcej odgłosu znajdowała sztuka w prostaczych duszach małomieszczaństwa norymberskiege, które szczególnie ukochało, odpowiednie zresztą środkom finansowym, sztychy i drzeworyty.

Energiczny, wielostronny umysł Dürera nie pozostaje głuchym na wpływy zewnętrzne. Twórczy duch szamoce się sam z sobą, wrażliwy na łoskot oddalonej burzy zarówno, jak na palące promienie słoneczne w cichy dzień pogodny. Zachwycony Wenecyą i jej sztuką, przeraża się na myśl powrotu na północ; „wie wird mich nach der Sonne frieren; hier binn ich ein Herr, daheim ein Schmarotzer", pisze w jednym z listów. A jednak wziął z Włoch tylko to, co mu niezbędnie potrzebnem było, pozostał do końca życia indywidualnym, niemieckim artystą, rozmiłowanym w tysiącznych szczegółach kompozycyi, gotyckim w pojmowaniu zadania sztuki malarskiej.

Niepoślednim, a ujemnym czynnikiem w rozwoju jego twórczości był brak środków, ciągła walka o byt. Wymarzoną podróż do Włoch, w końcu 1505 roku, mógł przedsięwziąć tylko dzięki pożyczce, udzielonej mu przez Pirkheimera. Jak bardzo dług ten przytłaczał go moralnie nawet wówczas, w chwilach najwyższego rozśpiewania się duszy, świadczy ustęp z listu jego, pisanego z Wenecyi do Pirkheimera w święto Trzech Króli (d. 6. stycznia 1506 roku): „Und ich bitt Euch, habt Mitleiden mit meiner Schuld, ich gedenke öfter daran, denn Ihr".

Dzięki przyjaciołom, kupcom niemieckim, zamieszkałym w Wenecyi, otrzymywał obstalunki na obrazy kościelne i portrety, nadto znajdywał popyt na sztychy i drobne obrazki, znane zresztą w północnych Włoszech jeszcze przed jego przybyciem do We-

necyi. Vasari wspomina o akwarelli ofiarowanej przez Dürera Rafaelowi: „la quale parve maravigliosa a Rafaello; perche eli mandò molte carte disegnate di man'sua, le quali furono carissime ad Alberto (Durero)“ (G. Vasari, Vite de' pittori).

Po skończeniu wielkiego obrazu dla niemieckiego kościoła świętego Bartłomieja w Wenecyi, wspomina w odręcznym liście do Pirkheimera, pisanym w dzień święta Matki Boskiej dnia 8. września 1506 r. „Spricht Iderman sie haben schoner (schönere) Farben nie gesehen. Ich habe gross Lob dordurch überkomen, aber wenig Nutz“. Chwalono go zatem i ceniono zdolności, lecz do kieszeni mało wpływało.

W liście do tegoż Pirkheimera z dnia 13. października 1506 roku wspomina o „nieszczęściu“, jakie go spotkało. „Es ist mir innerhalb 3 Wochen ein Schuldner mit VIII Dukaten entlofen“, widocznie ta, nawet na owe czasy, suma była w jego położeniu poważną stratą.

W walce z losem, darzony czasami bladym uśmiechem Fortuny, dojrzewał talent Dürera podczas dwuletniego pobytu we Włoszech. Epoka ta miała być przełomową; rozwinęła nagle potężny już przedtem talent wielostronny malarski, rysunkowy i rytowniczy. Który z tych trzech działów wyżej stawiać należy w twórczości mistrza, trudno orzec; to pewna, że obrazów olejnych na najwyższym szczeblu stawiać nie należy.

Celem ułatwienia oceny istotnej wartości dzieł Dürera, oraz celem ujęcia w pewne ramy wrażenia, jakie one wywierają dzisiaj, nie od rzeczy będzie wspomnieć o sposobach technicznych, którymi rozporządzał ich twórca.

Dzisiejszego sposobu wyżerania rysunku na miedzi za pomocą kwasów nie znano wówczas. Mistrz uzbrojony w rylec, żłobił wprost na płycie, niepowleczonej woskowatą masą, jak to ma miejsce dzisiaj. Miedzioryty, podziwiane przez nas na licznych odbitkach, są zatem „własnoręcznem“ dziełem Dürera tak samo, jak jego rysunki i nieliczne akwarelle, nieprzemalowane przez późniejszych adeptów sztuki, jak wszystkie prawie obrazy. Inną jest technika drzeworytnicza; przygotowany odpowiednio klocek drzewny, po wykonaniu na nim rysunku przez artystę, przechodzi w ręce rzemieślnika-snycerza, który, jak łatwo się domyśleć, niejednokrotnie uszkadza rysunek. W ten sposób powstały autentyczne drzeworyty Dürera.

Chcąc rozpatrywać rodzaj twórczości, najrozmaitsze wpływy zewnętrzne i wewnętrzne, wreszcie zdobycze artystyczne i rozwój duchowy jednostki twórczej, należy mieć do rozporządzenia możliwie największą ilość autentycznych dzieł, uporządkowanych chronologicznie. Dla nas miedzioryty stanowią pierwszorzędny materyał.

„Syn marnotrawny“ B. 28, z roku 1495, powstaje pod wpływem zanikającego średniowiecza: to jeszcze czasy wewnętrznej kontemplacyi i pokuty za grzechy, poniżenia godności osobistej, bez śladu podziwu dla przyrody; człowiek, proch marny, miejsce jego między trzodą chlewną, świat jego zamykają proste szopy ubogiej, wiejskiej zagrody. W roku 1505 powstaje sztych „Święty Eustachy“ B. 57, to czas walki i niepewności; nowe prądy ścierają się z starymi: Światowy rycerz, otoczony psiarnią, spostrzega świętego jelenia, zsiada z konia, przyklęka, bez poniżenia; po skończonej modlitwie znów dosiądzie rumaka i pomknie rozkoszną doliną ku czarownemu zamkowi na skalistem wzgórzu. Wreszcie dumny „Rycerz mimo śmierć i piekło“ (B. 98 1513 r.), ufający w potęgę swego miecza, wyrusza w świat, zbrojny od stóp do głów drwi z śmierci, chociaż jadąc obok, na kudłatej szkapie, ukazuje mu czas, cienkim sznureczkiem sypiący się w klepsydrze; drwi z potwora-dyabła, który tuż za nim postępuje, uzbroił się przeciw niemu w amulet niezawodny, otaczając hełm wiankiem z rożdżeńca.[1]) Dürer uległ wpływowi humanizmu, daje mu potężny wyraz w tym sztychu.

Przez całą twórczość Dürera wije się, jak nić barwna w tkaninie, chęć pokonania trudności, jaką mu nasuwała różnorodność kształtów i rozmiarów ludzkiego ciała. Nie zadawalniał się wiernem uchwyceniem d a n e g o m o d e l a, pomnażał trudności rozwiązania problematu, dążąc do stworzenia i d e a l n e g o t y p u c z ł o w i e k a. Należy przeto odróżniać liczne rysunkowe studya nagiego ciała oraz te sztychy, które za studya służyły. („Cztery czarownice“ B. 75, nagą postać kobiecą w „Śnie“ B. 76, wnętrze „Łaźni męskiej“ i w. i.), od tych dzieł różnorodnej techniki, w których wyraźnie znać dążenie do odtworzenia idealnego człowieka, jak miedź. zwany „Małą Nemesis“, B. 78, drzew. „Wniebowzięcie św. Magdaleny“ B. 121, miedź. „Adam i Ewa“, B. 1,

[1]) Lycopodium clavatum.

z roku 1504, miedź. „Wielka Nemesis", B. 77, olejne obrazy „Adam" i „Ewa" w muzeum w Prado, i inne, kończąc na półnagich dziewicach z „Pochodu tryumfalnego cesarza Maksymiljana" z roku 1522.

Ulegając podwójnym wpływom dochodzi do podwójnego, prawie wprost na przeciwnych sobie biegunach stojącego pojmowania aktu kobiecego. Ewa z Prado to ideał smukłej dziewczyny o miękich kształtach, zarysowanych lekko spływającemi liniami, to wpływ włoskiego malarstwa. Przeciwnym prądom ulegając, stworzył już przedtem typ tęgiej, muskularnej kobiety germańskiej w „Nemesis" (1504) B. 77. Typ ten pozostaje ulubionym przez niego indywidualnym, dürerowskim typem kobiety, powtarzanym często zarówno przed, jak po włoskiej podróży; do końca jego twórczości odnajdujemy go w „Adamie i Ewie" z roku 1510, B. 17 i B. 18, (Kleine Holzschnittpassion), w obu sztychach na żelaznej płycie z roku 1516, B. 70 i B. 72, wreszcie w „Rysowniku" B. 149, z ostatnich lat życia.

Życie i twórczość Dürera przywykliśmy dzielić na kilka epok; podział ten, znany od pierwszych niemal zaczątków badań nad sztuką Dürera, wypadł szczęśliwie. Wpływy zewnętrzne: światowe, rodzinne, religijne, finansowe, zarówno jak niezależny stan jego ducha, bezpośrednie odczuwanie odbijały się na jego twórczości tak rozmaicie, że wytworzyły pewne jasne okresy o wybitnych cechach, znamionujących każdą z osobna. Pierwsze trzy okresy sięgają po rok 1513. To lata młodzieńcze najpierw, o zdecydowanym średniowiecznym (gotyckim) charakterze twórczości; potem czasy walki i niepewności, wywołane wpływami włoskich kopij i oddalonem echem renesansu imperatywnie sprowadzają podróż do Włoch. Następuje okres ulegania temu, co widział we Włoszech, do stopnia równającego się chęci naśladownictwa. Ten trwa do roku 1512, w którym cesarz Maksymiljan przerywa intenzywną twórczość Dürera obstalunkami niewiele z wyzwoloną sztuką wspólnego mającymi. Nagle, jako reakcya, następuje epoka, w której twórcze napięcie mistrza może się równać tylko chwilom tworzenia idealnego Autoportretu (Monachium). Niedościgniony w sztychu sięga głęboko w problematy duchowe, tworząc „Rycerza mimo śmierć i piekło" w roku 1513 B. 98, zaraz w następnym roku „Świętego Hieronima w Komnacie" B. 60, oraz „Melancholię" B. 74. Dwa ostatnie okresy obejmują lata przed i po podróży do Niderlandów, około roku 1520.

Zbiory monachijskiej Starej Pinakoteki posiadają materyał do studyów prawie wszystkich okresów twórczości Mistrza: Obrazy olejne, miedzioryty i drzeworyty w odbitkach rozmaitej wartości, wreszcie kilka własnoręcznych rysunków. Część „Modlitewnika Cesarza Maksymiljana“ znajduje się w zbiorach Biblioteki państwowej.

Portrety.

W jednym z bocznych gabinetów (N. V.) Starej Pinakoteki wiszą cztery portrety pędzla Dürera. Pochodzą one z jednego chociaż okresu, wartość ich różna, nadto przedstawiają wszystkie popiersia męskie; brak podobizny kobiecej ujemnie wpływa na dokładność krytycznej oceny twórczości mistrza z pierwszego, barwnego okresu. Pomimo, że portret własny wybiega daleko po zawartość pozostałych trzech, te stanowią ciekawy dodatni materyał do studyów, jako mniej przemalowane i cieńszą, lub wcale warstwą pokostu niepokryte. Nadto wszystkie trzy są dobrze zachowane, co pozwala w zaufaniu śledzić rękę mistrza zarówno w rysunku, jak w barwnem wykonaniu.

Obrazy te mało odpowiadają gustowi, jaki długowiecznie w ściśle plastycznym kierunku rozwijające się malarstwo europejskie w nas wyrobiło; jednakże dały one Dürerowi sławę największego współczesnego portrecisty niemieckiego, a podobizna ojca jego, malowana w roku 1497, była tak cenioną przez mecenasów wszech krajów, że sporządzono z niej, jeszcze za życia Dürera, kilka kopij (niektóre może on sam), z których jedna znajdowała się w Monachium, obecnie przeniesiona do małego muzeum w Burghausen.

Niewielkie tuż pod szyją zakończone popiersie tak zwanego Hansa Dürera przedstawia ogorzałego, szczupłego, lecz muskularnego młodzieńca, twarzą ukośnie zwróconego do widza. Początkowo na wąskiej drewnianej tafli założone malowidło, zostało poszerzone w formę kwadratu, dodanemi po obu bokach listewkami. Głowę okrywa czapka ciemno bronzowa, dziwacznego kształtu, spadająca z fantazyą na prawe ucho, nad lewem ukazując szczelnie do włosów przylegającą jarmułkę siatkowej roboty, o wielkich okach. Połysk starej, złotawej patyny na szerokim bronzowym kołnierzu

od płaszcza, obudza w krytycznym widzu zainteresowanie tem większe, że szczególny ten powab dawnego malarstwa nie daje się zauważyć na innych obrazach Dürera w Starej Pinakotece.

Starannie pędzlem rytowane cieniowania nad górną wargą, na podbródku i na lewym policzku,[1]) na szyi i mało widocznym muskularnym obojczyku, zarazem twardo, szczecinowate traktowanie brwi zdaje się usprawiedliwiać przypuszczenie, że obraz ten powstał wcześniej niż wiszące obok podobizny Wolgemutha i Oswalda Krella. W takim razie data 1500, umieszczona z prawej strony, w górnym kącie nie byłaby autentyczna.

Wierzchnia barwna powłoka na dolnej części obnażonej szyi została zdjętą przy nieostrożnem odczyszczaniu obrazu, ukazując lekkie, wodniste podmalowanie cielistego koloru; z drugiej strony brak wszelkiego przemalowania obcą ręką pozwala na swobodną obserwacyę indywidualnego dürerowskiego pojmowania techniki: subtelne zarysowanie nosa, potężna, prawie zwierzęca kość szczękowa niedostatecznie modelowana, linja prawego policzka, o wężowatym konturze, zbyt ostro odcinającym się od ciemnego tła, wreszcie fałszywa perspektywa i twarz zamała w porównaniu do szerokiej czaszki, oto cechy znamienne dla młodego Dürera. Jednakże poważny, piękny wyraz oczu daje przeczucie owej głębokiej, tęgiej, często ostrej, lub szorstkiej charakterystyki, która przyczynia się decydująco do późniejszego wyrobienia znanej odrębności stylu Dürera.

Portrety Oswalda Krella, Wolgemutha i Autoportret znajdują się od roku pod szklanną szybą, co utrudnia oczom badacza bezpośredni dostęp do warstwy barwnej. Badacz dzisiejszy, z konieczności powodowany pewną powściągliwością w wyrażeniu swego zdania, musi ograniczyć się do omówienia tylko tych szczegółów, które po przez szkło wpadają w oko; przezornem byłoby zastrzeżenie sobie prawa częściowej zmiany zdania, gdy nadarzy się sposobność ujrzenia obrazu nie zasłoniętego tarczą ochronną.

Portretowi Oswalda Krella, z roku 1499, brak owej jedności w rysach twarzy, która znacznie dodatniej wypadła w podobiznach Elżbiety Tucher (muzeum w Kassel), w Autoportrecie z muzeum

---

[1]) Określenia prawo i lewo rozumieć należy od strony obrazu, nie od strony widza. Uwaga ta dotyczy całej pracy niniejszej.

w Prado, a nawet u wspomnianego wyżej t. tw. Hansa Dürera. Ostre, prawie dzikie spojrzenie, zwrócone w bok, po przez widza, uwydatnia niedokładny a priori rysunek nosa. Te szczegóły nie odejmują jednak nic silnemu wrażeniu, jakie wywiera twarz, oraz całość kompozycyi o urozmaiconem tle, którego brak w portretach Hansa Dürera i Wolgemutha. Czerwona kotara, stanowiąca trzy czwarte tła, otwiera w jednej czwartej widok na krajobraz w głębi; grupa wysokich drzew na przodzie zasłania jednak dalsze plany, czyniąc je prawie niedostępnymi oku; w porównaniu z szerokim, górzystym krajobrazem, urozmaiconym symboliczną ciemnicą chmurnego nieba na portrecie Elżbiety Tucher, (z tego samego roku), ten ostatni wypadł dodatniej.

Na kotarze rozróżnić łatwo dwa koloryty różnego pędzla: z lewej strony to lekka, połyskliwa barwa Dürera, od strony krajobrazu uderza, rażąc oko, nieudolne przemalowanie gęstym cynobrem, o matowym tonie: szczegóły barwnego modelowania na piersiach i białej wypustce od koszuli zniknęły wraz z wierzchnią warstwą farby przy odczyszczaniu niewprawną ręką, brak ten nie razi zbytnio, natomiast ogólna staranność kompozycyi podnosi wartość artystyczną nisko zakończonego portretu, imponującą postawę przyozdabia bogate futro, zarzucone na prawe ramię, a ręce bez zbytniego przymusu ułożone, dodają wdzięku całości.

Na przeciwległej ścianie wisi głowa surowego starca, tonącego w głębokiem zamyśleniu: na obnażonej szyi charakterystyczne dla późnego wieku fałdy, policzki zapadnięte na bezzębnych szczękach: to Michał Wolgemuth, nauczyciel Dürera. Czarne jedwabne nakrycie głowy zdaje się być misternie zawiązaną chustką raczej, niż czapką i końce jej prawdopodobnie swobodnie opadają na plecy, lub zostały schowane pod fałdy, celem zupełnego naśladowania mycki, używanej w domu. Wszelkie porównanie ze sztychami i drzeworytami Dürera daje powyższemu przypuszczeniu trwałą podstawę: w cyklu „Mniejsza Pasya“ (Kleine Holzschnittpassion), na sztychu B. 11, żołnierz postępujący obok Chrystusa z prawej strony, ma za okrycie głowy chustkę, której końce opadają nisko na plecy; postacie św. Weroniki na sztychu z tego samego cyklu B. 12, mężczyzny, stojącego z książką w ręku pośrodku drzeworytu „Obrzezanie“ B. 86, wreszcie starzec na rysunku L. 144, mają to samo ubranie głowy. Natomiast Hans Dürer, Hans Tucher i młody człowiek z Hampton Court (1506) noszą zdecydowane czapki. Celem poparcia niniejszego twierdzenia nie

należy się uciekać do rysunkowej kopii z portretu Wolgemutha, znajdującej się w muzeum Albertina w Wiedniu; kopia ta jest zbyt nieścisłą, nadto rysownik, opuszczając charakterystyczne dla lekkiego, związanego materyału urozmaicone fałdowanie, widocznie uważał nakrycie głowy Wolgemutha za przedmiot zatrzymujący pewną, zdecydowaną formę nawet po zdjęciu z głowy. Wyraźnego w oryginale skrzyżowania materyi tuż nad czołem, nie oddaje rysunek.

Omówienie niniejsze wpadałoby ściśle w zakres Historyi Kultury, gdyby nie spostrzeżenie, że stanowisko kopisty zajął również malarz, któremu niegdyś powierzono restauracyę portretu; nie uwzględnił on techniki Dürera w pojmowaniu świateł na załamaniach jedwabnej materyi; miasto pozostawić, — za ręką mistrza, — czerwonawe podmalowanie, przeglądające z podspodu celem uwydatnienia efektów świetlnych na cienkim jedwabiu, zamalował je miejscami gęstym stalowo-szarym kolorem, odejmując przez to materyałowi wrażenie lekkości.

Na ciepłem, zielonem tle obrazu, z lewej strony u góry znajduje się napis: „das hat albrecht durer abconterfet noch seine Lermeister michel wolgemut im jor 1516 und er war 82 jor und hat gelebt bis das man zelet 1519 jor. Do ist er ferschieden an sant endres dag fru, ee dy sun auff gyng“ Z tej samej strony u dołu widnieje data 1516, pod nią znany dürerowski monogram; niejednokrotnie stwierdzonem zostało, że data ta jest sfałszowaną; z pod jedynki między cyframi 5 i 6 wyraźnie przyświeca zero. Spostrzeżenie to wpływa bezpośrednio na zakwestyonowanie autentyczności długiego napisu u góry, przynajmniej w części, i obala jedyne źródło, na mocy którego oznaczono datę urodzin Wolgemutha i jego śmierci; zgodnie z napisem przypadałyby urodziny na rok 1437, zaś śmierć jego na „dzień św. Andrzeja“, 30. listopada 1519 roku. Dostatecznem było, by nieuważny odnawiacz zmienił możliwą dwójkę w dacie śmierci na obecną dziewiątkę, nieznaczna ta poprawka zmuszała do dalszego fałszowania cyfr w napisie. Według innego przypuszczenia, nie jest niemożliwem, by Wolgemuth został sportretowany w młodszym wieku, gdyż nie często spotykamy starca osiemdziesięcio dwuletniego o włosach blond, z kilkoma zaledwie srebrzystemi nitkami. Siwy kosmyk, wyglądający z pod ucha, zawdzięczamy późniejszemu przemalowaniu. Wspomniany rysunek wiedeński jest złą kopią z dürerowskiego oryginału, powstałą dopiero na początku XVIII wieku; pomysł obcięcia szyi nakształt plastycznego medalionu, bez ubrania mógł

powstać dopiero w czasie rozkwitania Baroku, pod przemożnym wpływem sztuki starożytnej: używanie ołówka, nieznanem było w XVI wieku, co obala przypuszczenie Ephrussi'ego, że rysunek ten jest własnoręcznym szkicem Dürera do portretu Wolgemutha [1]), nadto sposób, w jaki nałożono białe światła na ciemny papier, spotyka się znacznie później, dopiero około roku 1700. Od pierwszego rzutu oko znać, że poczciwy człowiek o głupowatem spojrzeniu daleko odbiega od potężnego stylu Dürera; jeśli barwna podobizna jest malowaną z żywego modela, co nie ulega wątpliwości, to trudno by było obronić twierdzenie tegoż o rysunku, który tak dalece różni się w ogólnym charakterze, że nasuwa się zapytanie: czy rysunek przedstawia tego samego człowieka, co portret z monachijskiej Pinakoteki? Odpowiedź łatwa: twarz jest ta sama, tylko różni się zasadniczo w wymiarach; jest znacznie węższą i dłuższą na rysunku, inne są poszczególne momenty w konturach i plastyce. [2])

Pomimo wielu niedokładności musimy uważać rysunek z Albertiny za dokument, służący do stwierdzenia zmian, jakie zaszły w oryginale przez późniejsze poprawki i przemalowania. Zniknęło potrójne, wyraźne na rysunku zaokrąglenie ucha, dolny brzuszek został ścięty w kierunku policzka, a na jego miejscu powstała szara, szeroka plama, w niczem nie podobna do drobiazgowo traktowanych włosów Dürera, a jednak przyjmowana za takie. Na fotografii Bruckmann'a podniesionem jest za pomocą retuszu podobieństwo do pukla szpakowatych włosów, wierniejszą jest fotografia Haufstaengl'a. Szeroki zarys kości szczękowej zatrzymany został na rysunku; pierwotnie biegł on może pod niczem nieusprawiedliwioną plamą świetlną na szyi, niżej ucha; przypuszczenie, że Dürer wyjątkowo odstąpił tu od zwykłego sobie pojmowania szczęki, że domniemane zmodyfikowanie konturu przez późniejsze przemalowanie nie egzestuje, jest trudnem do stwierdzenia po przez szklanną szybę. Natomiast pewnikiem jest, że plastyczne cieniowanie, zgodne z rysunkiem z Albertiny i portretami Paumgartnerów (Monachium) zostało w tem miejscu częściowo zdjęte przy odczyszczaniu, wydobywając na wierzch wy-

[1]) Charles Ephrussi, Albert Dürer et ses dessins. Paris 1882, Cap. VIII. str. 180.

[2]) Powyższe dane, zaszerpnięte są z dzieła K. Voll'a, Vergleichende Gemäldestudien 1907. Monachium — Lipsk u G. Müllera, str. 120.

ważne, a niemożliwe w twardej kości, załamanie się linii. Przez zdjęcie wierzchniego lekkiego pokładu farb zaniknęły również plastyczne szczegóły na lewym policzku i blask lewego oka, odpowiadający prawemu.

Pierwowzorem ust dürerowskich były zawsze jego autoportrety; w całej twórczości mistrza zarówno barwnej, jak graficznej, znajdujemy, wąskie, zawiędłe starcze wargi tylko w trzech portretach; u Jakóba Fuggera (Monachium), u Jakóba Muffel'a (Berlin) i u Wolgemutha: w pierwszych dwóch wypadkach usta są rozmyślnie odmiennie traktowane, celem podniesienia ogólnego charakteru starczej głowy; jest to dowodem wyższej dojrzałości artystycznej w latach 1518 i 1526. Usta Wolgemutha — podobne ustom ojca Dürera z obu portretów, — znamionują odrębne cechy z młodych lat Dürera tem więcej, że brak im dzisiaj pierwotnych szczegółów cieniowania, które podnosiło względną pełność warg.

Ogół powyższych spostrzeżeń służy za dowód, że portret Wolgemutha nie powstał w roku 1516, jak jest datowany, lecz znacznie wcześniej, może równocześnie z portretami Hansa Dürera, Oswalda Krella i Tucherów, a w każdym razie w tym samym okresie twórczym, czyli między rokiem 1499 a 1502. Ku przyjęciu drugiej daty zdaje się skłaniać uderzające podobieństwo rysów twarzy do Łukasza Paumgartnera, zaś cechy poszczególne w traktowaniu głowy są równe odpowiednim cechom na podobiźnie Stefana Paumgartnera (Tryptyk Paumgartnerów) (Monachium). [1])

Gruby pokład pokostu, twardniejąc z biegiem lat, pokrył całą powierzchnię autoportretu Dürera szklistą powłoką, utrudniającą dokładne badania; wywołało to w pewnych kołach naukowych stokrotnie powtarzane żądanie zdjęcia powłoki za pomocą, używanych zwykle przy odnawianiu obrazów, środków technicznych. Kołatania o uprzystępnienie obrazu pozostały niewysłuchane, a wypadek zdarzył, że ochroniło to pomnikowe dzieło od zniszczenia. Oto wiosną roku 1906 ktoś, przypuszczalnie umysłowo chory, nie mogąc znieść przenikającego go do głębi wzroku Dürera, ostrem narzędziem kilkakrotnie raz koło razu uderzał w oczy portretu.

---

[1]) Portrety braci Paumgartnerów są zbyt świeżo i dokładnie omówione w dziele K. Voll'a, Vergleichende Gemäldestudien, str. 20. „Die Flügel des Paumgartner-Altares vor und nach der Restauration", by dopuszczały dalsze krytyczne studyum.

przecinając je podłużnymi rysami. To samo spotkało portret Oswalda Krell'a a sprawca uszedł bezkarnie stróżom muzealnym.

Zdaniem Prof. Voll'a, konserwatora Starej Pinakoteki, uszkodzenia te, acz szybkim i gwałtownym ruchem wykonane, nie przebiły grubej, szklistej powłoki; pokład farb został zatem nieuszkodzony i gdy Rada muzealna zadecyduje kiedyś zdjęcie pokostu, ukażą się pod spodem nieuszkodzone ślady pędzla mistrza. Narazie, w celu ochrony przed nową napaścią, pokryto obraz szybą szklanną, czyniąc go podwakroć niedostępnym oku.

W portrecie własnym wzniósł się Dürer na najwyższy szczebel twórczego napięcia z lat młodych; niestety twarz uległa późniejszemu przemalowaniu kolorem zimnym, niebieskawo-szarym, przypominającym nowożytne sposoby malowania, a nie mającym nic wspólnego z ciepłymi, żółtawymi tonami na ręku. Jednakowoż przemalowanie jest mistrzowskie, — nie odbiera nam rozkoszy, jakiej doznajemy na widok autentycznego dzieła, nie niszczy niektórych cech kolorytu. Światła padające na czoło i nos, zdają się być zaznaczone przez Dürera, odpowiadają bowiem grubo nałożonym światłom na twarzy Oswalda Krella; w portrecie własnym są one więcej odczute, łagodniejsze, zlewające się bardziej z otoczeniem. Znać tu wprawniejszą rękę o szerszym rozmachu, byłoby to jednym z dowodów nieautentyczności daty 1500, gdyby dokładne odróżnienie śladów pędzla Dürera było tu możliwem.

Pomijanie krytycznego omówienia twarzy, z powodu pokrywającego ją pokostu, jest niedostatecznie usprawiedliwioną ostrożnością: warstwa stwardniałego pokostu, jednakowej grubości na całej płaszczyźnie obrazu, zmieniając cechy dürerowskiego kolorytu w twarzy, zmieniałaby je w jednakowym stopniu na ręku. Ręka zaś nietylko zasadniczo różni się w tonie, szare rysowane pędzlem nierówne w liniach i nieraz krzyżujące się cieniowania są również odmienne od zdumiewająco równych, lekkich linijek na nosie z prawej strony i pod dolną wargą. Ręka o sztucznym układzie palców, lekko muskająca futrzany kołnierz, zawiera w sobie wszystkie znamienne cechy gotyku; taka ręka mogła powstać tylko w pewnem określonem stadyum twórczości Dürera, bezpośrednio przed wyjazdem jego do Wenecyi, gdyż ani w „Święcie Matki Boskiej różańcowej“, wykończonem w sześć miesięcy po przyjeździe, ani w obrazie „Chrystus pomiędzy mędrcami“, malowanym w tym samym 1506 roku w Wenecyi, nie odnajdujemy ręki o podobnym układzie; również mniej gotycką, komponowaną w duchu wpły-

wów renansowych, jest ręka „Matki Boskiej ze szczygłem“ (Berlin) i „Adama“ z Prado: ta zdobycz, nie rozwijając się dalej, miała pozostać Dürerowi przez czas jego najwyższego rozwoju aż do portretów cesarza Maksymiljana (Wiedeń) i Erazma z Rotterdamu. (B. 107). Natomiast w okresie z przed roku 1505, spotyka się często rękę o kompozycyi podobnej ręce z autoportretu: akt kobiecy w „Śnie“ B. 76 z roku 1504, lub dziewczyna porwana przez „Morskiego potwora“ B. 71, z tegoż roku.

W galeryi peszteńskiej przechowuje się ciekawy arkusz papieru, zapełniony różnymi szkicami Dürera, a oznaczony u Lippmanna numerem 185. Znajdująca się na nim ręka jest uderzająco podobną do ręki z autoportretu, ten sam układ palców, podobny kąt nachylenia dłoni, jednak rysunek, który jest wierną i swobodną w ruchu kopią z natury, został zmieniony, wedle ówczesnego pojmowania, pozbawiony cech bezpośredniego studyum, sztucznie ułożony.[1]) Niewątpliwie za model służyła tu ta sama własna lewica Dürera, która w autoportrecie, widziana w lustrze, stała się prawą ręką. Również interesującymi dla nas są inne drobne szkice na tym samym arkuszu; pierwszy z pięciu profili, to profil Ewy z roku 1504 B. 1, ostatni, to szkic do głowy mężczyzny w „Śnie“ B. 76 1504; dwa szkice hełmów rycerzy niemieckich u dołu i pobieżny rysunek Madonny, prawdopodobnie użyty później do rysunku „Matka Boska między zwierzętami“ z Albertiny. Szkice te powstały zatem przed rokiem 1504 i zostały niedługo użyte.

Inny rysunek (L 23), przedstawiający portret własny w całej postaci z roku 1505, pomimo silnego uszkodzenia papieru, zachował kilka zajmujących szczegółów; kędzierzawe loki luźno spadają na ramiona, ręka jest wierną kopią z natury, prawie nieznać na niej wpływu quatrocenta, rękaw nieumotywowanie zawinięty po nad dłonią odnajdujemy w autoportrecie z Pinakoteki monachijskiej. Powróćmy do niego. Okalające twarz, wspaniałe we wrażeniu, a do lwiej grzywy podobne włosy, nie mogły powstać po doświadczeniach włoskich z roku 1506. Samo założenie czupryny, w zdecydowany trójkąt ujętej, świadczy raczej o wpływie norymberskich studyów teoretyczno-matematycznych, jak o wrażeniach włoskiej

[1]) Ten sam los spotkał studyum do rąk Chrystusa (L. 137) z pałacu Barberini.

niezależnej sztuki. Te same włosy na portrecie własnym z „Święta różańcowego“ są znacznie ostrożniej ułożone, raczej jako studyum z natury traktowane.

Rękaw fantastycznie, bez uzasadnienia zawinięty nad dłonią stanowi kontrast z naturalnymi fałdami wyżej i niżej łokcia, futrzane podszycie wyraźnie wypełnia bufiaste zaokrąglenie na wierzchniem suknie. Wiszący obok portret Oswalda Krella, o dziwacznie pomarszczonym rękawie, ułatwia porównanie na korzyść autoportretu, w którym sposób fałdowania znajduje pierwowzory w płaszczu św. Józefa z „Tryptyku Paumgartnerów“ (1502?), alba w szacie anioła grającego na harfie z drzeworytu „Adoracya Najświętszej Panny“ (1504). Na podstawie powyższych danych odnaleść można, obok starannych studyów nad włoskiem malarstwem, zdecydowane wpływy niemieckie z XV. wieku. Autoportret monachijski wytrzymuje w szczegółach najszersze porównanie z epoką twórczą mistrza, w której staranne i długoletnie kopjowanie Leonarda i Mantegnii otwiera mu nowe horyzonty zcierające się w zapamiętałej walce z dawniejszymi nabytkami.

Jednakże całość kompozycyi nie mogła powstać w roku 1504.

Intenzywność duchowego napięcia u mistrza nie sięgała wówczas dość wysoko, wyrażała się w niespokojnych, gotycko na bok skręconych głowach, — w sztuce graficznej, lub w twarzach prawie pozbawionych trzeciego wymiaru, nieudolnie w trzech czwartych zwróconych od widza — w malarstwie. Podróż włoska modyfikuje te przeżytki w takim stopniu, że nie mogłyby się z nową siłą odrodzić w szczegółach ręki, białych wypustek na ramieniu i włosów momentalnej, po zatem, kompozycyi en face. Wprawdzie wegetują one w twórczości Dürera do samego końca, ale złagodzone znacznie.

Wobec tego przypuszczenie, że autoportret powstał w roku 1505, bezpośrednio przed podróżą włoską, zdaje się znajdywać dostateczne usprawiedliwienie.

Wprawdzie Prof. Henryk Wölfflin powiada: „gleichgültig, ob es in Venedig selbst, oder nachher in Nürnberg gemalt wurde.... Das Dürer im Typus so hoch greifen konnte, wäre ohne Italien nicht möglich“, [1]) lecz portret ten jest dziełem natchnienia, wspa-

---

[1]) H. Wölfflin, Die Kunst Albrecht Dürers. Verl. F. Bruckmann, München 1905, str. 136 i 139.

niale odosobnionem, nie znajdującem równego, nawet w zwycięskim pochodzie twórczym z ostatnich lat piętnastu życia Dürera.

A takie dzieła powstają nierzadko, jako przepowiednia przyszłości.

Monachium, 15. kwietnia 1907 r.

Henryk Ochenkowski.

WOŁOCZYSKA.[1]

Quis est, quem non moveat rerum gestarum memoria, consignataque antiquitas?

Wołoczyska, dawniej Wołoczyszcza, jest to dziedzina kniaziów Zbaraskich, którzy otrzymali nazwisko ad Zbaraża, a ich protoplastami byli kniaziowie Nieświeccy, potomkowie książąt Pińsko-Turowskich (Wolff, Kniaziowie litewsko-ruscy, p. 276).

Wasyl Nieświcki, żyjący w XV w., miał trzech synów, dzielących się w Łucku d. 9. lipca 1463 r. ojcowizną, (Arch. Sławuckie t, I. p. 54); Wasyl, najstarszy z nich, wziął Zbaraż i jakie 30 wsi przeważnie w powiecie teraźniejszym zbaraskim, tarnopolskim i kilka w krzemienieckim, pomiędzy niemi są też Wołoczyszcza, ale to albo Podwołoczyska obecne, albo Wołoszczyzna w podhajeckiem lub bobreckiem: Semen otrzymał miasteczko Kodeń a przytem jakich 20 kilka wiosek, głównie w krzemienieckiem, kilka w zbaraskiem i brodzkiem i Porochnie w teraźniejszym powiecie starokonstantynowskim i w tymże powiecie Wołoczyszcza, późniejsze Wołoczyska nasze: Sołtana własnością stały się obydwa Wiśniowce, miasteczko Dwór, Maniów, Grodek i 20 wsi innych w powiecie krzemienieckim.

[1]) Ustęp z większej całości, obejmującej opis całego powiatu starokonstantynowskiego.

Semen umarł przed r. 1481 zostawiając żonę Maryę, nieznanego de domo nazwiska, później występującą pod nazwą księżny Rówieńskiej (1 voto za Jakóbem Wojną Niemirowiczem); miał on z niej córkę Nastazyę, żonę Semena Jurjewicza, kniazia Holszańskiego, zmarłą w 1516 roku, której znowu córka Tatyana, poślubiła kniazia Konstantego Iwanowicza-Ostrogskiego i opuściła ten świat w 1522 roku (Wolff l. c. p. 608). Tym sposobem znaczna część majątków zbaraskich, scheda Semena, przeszła do kniaziów na Ostrogu i Zygmunt I. potwierdził d. 14. maja 1518 roku Konstantemu Ostrogskiemu spuściznę po Semenie Wasilewiczu (Arch. Sław. III. p. 166). Są tu wymienione: Wołoczyszcza, Porochnia, Kołodno, Czernichów, Iwaczów Wierzchni, Dworzec, obydwa Maniowy, Łopuszna i wiele innych wsi i wiosek; znaczna jednak ich część potem znowu do Zbaraskich powróciła, może na mocy jakiego układu familijnego; pomiędzy niemi znalazły się też i Wołoczyszcza, odtąd już stale do kniaziów należące na Zbarażu.

Otóż od Semena i Sołtana pozostały same córki, a tylko Wasyl, najstarszy syn Wasyla, miał kilku synów, z tych Michał stał się protoplastą kniaziów Wiśniowieckich, Fedor — Woronieckich, Porycckich i Trysteńskich, a Semen (t. z. drugi), ojciec Andrzeja, żonatego z Anną Herburtówną, prowadzi dalej ród kniaziów Zbaraskich.

Andrzej miał 5 synów (Wolff l. c. p. 609) — Mikołaja Stefana, Jana v. Janusza, Władysława i Michała — i dwie córki: prawdopodobnie on też odzyskał Wołoczyszcza.

Dlatego dorozumiewamy się, że Andrzej już posiadał tę włość, bo syn jego najmłodszy Michał, zmarły młodo, przed rokiem 1554 (Wolff p. 609) razem z matką, bo może jeszcze nie miał własnej schedy, w r. 1545 w Zbarażu, Wołoczyszczach i Wżychowcach (Ożohowcach, alias Nowym Zbarażu) pobierał od wozu po dwa grosze myta (Jabłonowski t. V. p. 93).

Potem panem na Wołoczyszczach został Władysław Andrzejowicz, starszy brat Michała, otrzymawszy przywilej na założenie miasta w Wołoczyszczach w 1557 roku (Wolff l. c.). Ten Władysław, starosta botocki, sprawca województwa kijowskiego w 1570 roku (Jabłonowski, Wołyń i Podole p. 27) „z imienia swego Wołoczicz“ i wiosek do nich należących, opłacił z dymów 104, ogrod. 64, bojarów 16, kół młyńskich 8, kotłów gorzałczanych 8. Żonaty on był z Zofią Przyłuską i umarł pomię-

dzy 1581—1582 rokiem, mając trzech synów: Stefana, Konstantego, Piotra i tyleż córek: Magdalenę Szemetową, Katarzynę Charlińską i Annę, zmarłą w panieństwie jako z rodu ostatnia 1637 roku.[1])

Po śmierci Władysława Zbaraskiego dzieci jego opiekunem został brat jego Stefan, od r. 1566 wojewoda trocki, — uczczony mową pogrzebową w 1585 r. przez słynnego Jezuitę O. Benedykta Herbesta (Wolff p. 615) — majątki więc Władysława „trzymał“ właśnie ów wojewoda trocki i miasteczko Wołoczyska w 1583 roku tak wyglądało (Jabłonowski, Wołyń i Podole p. 127): domów w rynku 23, ulicznych 70, nędznych chałup 42; rzeźników 2, przekupniów 3, skomorochów 2, (kuglarz, śpiewak też), luźnych 5, piekarzy 3, sług żydowskich tyleż, ogrodników 23, komorników 10, rzemieślników 8, dwa koła w. 1 fol.: w tem miasteczku, powiedziano tam, „od zapalenia żołnierzów w 1580. które ludzie będąc zubożeni na majętnościach swoich w niwecz się obrócili, dlaczego i poboru oddać nie mogli“.

We wsi zaś Starych Wołoczyszczach (Podwołoczyska?): dymów 3, ogrodników 8, ogrodników innej kategoryi 5, komorników 6, 3 koła d., bojarzyn 1 i pop. 1.

Wszyscy synowie Władysława Zbaraskiego pomarli bezpotomnie; zapewne oni, może kolejno, władali tą włością; wiemy np., że należała ona do Piotra Władysławowicza (Arch. J. Z. R. VI. l. p. 233), żonatego z Ewą Aleksandrówną Wiśniowiecką. nawrócili się oni w 1595 r. (Wolff l. c. i Niesiecki), a pomiędzy 1603—1604 r. Piotr już nie żył, żona zaś jego umarła w 1618 r.; czy do śmierci posiadała Wołoczyszcza, nie wiemy, ale 1607 r. już żadnego z Władysławowiczów Zbaraskich nie było na świecie, lecz żyła jeszcze Anna, jak mówiliśmy o tem wyżej. Może być, że do niej właśnie do śmierci należały Wołoczyska, bo gdyby która z jej sióstr, czy Szemetowa, czy Charlińska, miała te posiadłości, to przeszłyby one na potomków sióstr owych, ale się tak nie stało.

Otóż kiedy już wymarli wszyscy Zbarascy, to dobra ich spadły na Wiśniowieckich, a to tym sposobem.

Ciotka rodzona ostatnich dwóch z tego rodu — Krzysztofa zm. 1627 i Jerzego zm. 1631 roku, nagrobki u Dominikanów w Kra-

[1]) Żychliński, Złota księga, IV. p. 168, mówi o jakiejś Zbaraskiej za Mateuszem Małyńskim, zresztą nikomu nieznanej...

kowie, synów Janusza — Marusza Mikołajówna Zbaraska, wyszła była za Wasyla Zahorowskiego, kasztelana bracławskiego (prędko ją potem porzucił i pojął K. Czartoryską, a po jego śmierci obie jego małżonki długo się spierały o prawowitość małżeństwa), i miała jedyną córę Hannę, nie wiadomo w jaki sposób, ale już katoliczkę; Marusza umarła w 1620 r., a jeszcze wcześniej jej córka, żona Konstantego Konstantynowicza, Wiśniowieckiego (ur. 1564 zm. 1641), którego nawrócił Jezuita O. Kacper Nahaj przy pomocy żony, odznaczającej się wielką gorliwością (O. St. Załęski). Z tego małżeństwa był Janusz, ur. 1598 zm. 1636, starosta krzemieniecki, koniuszy koronny, żonaty z Eufemią Katarzyną Tyszkiewiczówną, wojewodzianką wileńską i jego potomstwo otrzymało spadek po Zbaraskich (Wolff l. c. p. 570 et 599).

Przy końcu 1651 roku synowie Janusza Wiśniowieckiego — Dymitr Jerzy i Konstanty Krzysztof — dzielili się fortuną Zbaraskich (Wolff c. p. 573) i pierwszy z nich otrzymał Niemirowszczyznę, Berszadę, Wołoczyska et alia; miał on trzy córki: Eugenię Katarzynę Koniecpolską, zmarłą bezpotomnie, Zofię Leszczyńską (żonę Wacława, dwie ich córki, Teofila Konarzewska, 2 v. Januszowa Wiśniowiecka a ostatecznie Dominikanka i Wiktorya za Józefem Potockim, kasztelanem krak.) i Salomeję w Zakonie św. Benedykta, które te majątki Zbaraskich odziedziczyły.

Salomeja, urodzona w 1659 r., wstąpiła do Benedyktynek we Lwowie, obrana ksienią w Przemyślu 1698 r. przeniosła się do wieczności w Przemyślu d. 15. kwietnia 1716 r. (z kroniki Benedyk. przemyskich, rękopis). Otóż Matka Salomeja ustąpiła swoją schedę swojej rodzonej siostrzenicy Wiktoryi Leszczyńskiej i mężowi jej Józefowi Potockiemu, natenczas tylko staroście śniatyńskiemu, halickiemu i kołomyjskiemu w 1695 roku; w tę schedę wchodziły: Czartorysk, Kołki, Rafałówka, Niemirów, Zbaraż, Założce, Manaczyn, Łachężyn, Wołoczyszcza i inne jeszcze dobra (akta grodz. lwowsk. liber inscript. an. 1695 p. 884). Józef zaś Potocki, zmarły 1751 r., wszystkie te majątki przekazał synowi Stanisławowi (zmar. 1760) dwa razy żonatemu: z Maryą Łaszczówną i Heleną Zamoyską.

Ów Stanisław zostawił kilku synów, którzy władali tą fortuną, ulegającą kilkukrotnym działom i zmianie dziedziców. I tak w 1762 r. należały Wołoczyska czas jakiś do Wincentego (akta grodzkie lwow. liber relationum an. d. 1762 p. 1818), a w 1771

roku na mocy nowego działu (akt. grodz. lwow. liber relat. fas. cap. 83. Nr. exp. 404) Wincenty otrzymał: Brody, księstwo Zbaraskie, Leszczyn (na Ukrainie); klucz Obodowski w Bracławszczyźnie; Franciszek Ksawery: Tarnopol, Rudniki (w Sandomr.), Studenicę, Niemirów i Otenię; Piotr: Józefów, Zalesie, Dunajowce, Berszadę i Pieczarę; Józef klucz Wołoczyski, Kułaczkowski, Magnuszew, Tyśmienicę, Stanisławów, Łysiec et alia. Franciszek Ksawery prędko umarł, więc znowu dział inny, a po śmierci Piotra toż samo (Bibl. Warsz. 1855. t. I.).

Majątki były ogromne, ale i długów na nich ciężyło mnóstwo. Józef Potocki, ostatecznie krajczy koronny, (zmarł 1802 r.), nie długo zostawał panem na Wołoczyskach: w 1772 r. przedał je, razem z innemi dobrami, Frydrykowi Moszyńskiemu za 1, 700.000 zł. (akta grodz. lwow. liber insbriet. an. D. 1772 p. p. 396). Jednocześnie z kluczem wołoczyskim nabył też on od Potockiego klucz monasterzyski i karabczyjowiecki.

Frydryk Moszyński, znana dobrze osobistość (Bartoszewicz, Znakomici Mężowie; Rolle, Sylwetki i Szkice, IV).

Jan Kanty Moszyński h. Nałęcz, podskarbi w. k. żonaty z Augustą Cosel, zostawił dwu synów: Augusta Frydryka i Frydryka Józefa, następnie marszałka w. k.; August miał syna Jana, ożenionego z Maryanną Sadowską i z niej dwie córki — Frydrykę i Joannę; Frydryk zaś żenił się dwa razy (z Barbarą Grudzińską i Salomeją Rzyszczewską) i umarł bezdzietnym d. 22. stycznia 1817 r. Liczono mu wtedy 79 lat (pomnik w kościele wołoczyskim); jedynymi więc sukcesorami były owe 2 córki Jana Moszyńskiego, ale marszałek koronny pragnął bardzo, aby majątki nie wychodziły z tego nazwiska, więc szukał krewnych po mieczu po całej Polsce i znalazł ich w Sandomierskiem (mówiono, że raczej to byli nie krewni, lecz tylko tego samego nazwiska), Ignacego Hilarego i syna jego Piotra.

Otóż temu Ignacemu Hilaremu z Łoniowa zapisał dobra dolskie (powiat kowelski), wnuczce Frydryce klucz ternowicki (na Ukrainie), a Joannie berszadzki i niestoicki:[1]) według wyrachowa-

[1]) Berszada — teraz w p. olhopolskim, miasteczko, mające obecnie dymów 1.353, mieszkańców 15.620, a Niestoika — wieś w p. bałckim, domów 652, mieszkańców 3.040; obydwa majątki należą do sukcesorów Joanny Moszyńskiej.

nia Rollego stanowiło 4 miasteczka, 54 wioski, 30.682 poddanych i 338.742 morgów ziemi; ale to jeszcze nie były wszystkie marszałka koronnego majątki ziemskie, nie mówiąc już o kapitałach, klejnotach, kopalniach miedzi w Saksonii etc. Ignacy Moszyński (ur. 1763 r. d. 13. maja, zmarł 1827 r. d. 5. lutego, pomnik w kościele wołoczyskim) tymczasem owdowiał, był on żonaty z Zofią Romiszewską; nagrobek jej znajduje się u Reformatów w Krakowie; na nim czytamy: Zofia z Romiszewskich hrabina Moszyńska, zmarła 3. sierpnia 1812 roku, żyjąc lat 37, zostawiając w smutku Hilarego Ignacego męża i syna jedynego Piotra lat 13 mającego.

„Smutek“ ten nie musiał być bardzo wielki, bo prędko później poślubił on Frydrykę Moszyńską, a marszałek dał znowu klucz wołoczyski i karabczyjowiecki (Karabczyjów Wielki w p. kamienieckim), zbudowawszy rezydencyę pod Wołoczyskami i nazwawszy od swego imienia Frydrykówką (mianują też i Frydrykowem). Była to pierwsza rezydencya, gdyż dotąd dziedzicy nigdy tam stale nie mieszkali.

Około roku 1813 w kluczu wołoczyskim liczono poddanych płci męskiej 2.382, a kahał żydowski[1]) wynosił głów 305 (współczesne notatki w ręku piszącego).

W roku zaś 1823 Ignacy Moszyński posiadał w kluczu wołoczyskim poddanych 2.352 opłacając podatków rub. asyg. 16.181 i kop. 75 (współczesne notatki).

Nowy ten dziedzic wołoczyski z drugiego małżeństwa nie miał dzieci, a tylko syna Piotra, z pierwszej żony, urodzonego w sandomierskiem w Łoniowie, według wszelkiego prawdopodobieństwa jeszcze w XVIII w. (w 1799, a może nawet przy końcu 1798 r.), chociaż zwykle podają rok jego urodzenia 1800. ale nie słusznie. Uczył się on w Krzemieńcu (Pamt. Bobrowskiego II. p, 408) i w młodym wieku poślubił Joannę Moszyńską, siostrę młodszą swojej belle-mère'y, wziąwszy następnie prawie całą marszałka koronnego fortunę (Rolle szacuje ją na trzydzieści kilka milionów zł. polsk.).

Odznaczał się on wielkimi przymiotami serca i rozumu, patryotyzmem, przywiązaniem do kraju, dla którego chciał pracować, nie szczędząc ofiar i poświęceń. Po r. 1823 obrano go na marszałka

---

[1]) W 1765 r. głów żydowskich w Wołoczyskach miało być 384, a w całej ich parochii 390 = 774; Arch. J. Z. R. V. 2, p. 104. Przy końcu XVIII. w. w Wołoczyskach jakoby było c. 300 dymów.

gubernii wołyńskiej (Heleniusz, Wspomnienia lat minionych I. t. p. 280 et sqq.), był on wtedy jeszcze bardzo młodym; ale jaśniał zaletami, co go zdobiły w życiu prywatnem i publicznem. W swoim czasie wiele mówiono o świetnym balu, który on wydał w Żytomierzu w nowo restaurującej się siedzibie Sióstr miłosierdzia nad Teterowem, inaugurując swoje urzędowanie; wystąpił w bogatym stroju polskim, a młoda jego małżonka wszystkim się bardzo podobała, uprzejmość zaś gospodarzy zachwyciła gości bardzo licznie zebranych; dom ich w Żytomierzu był nader miły, gościnny i wesoły: mieli oni wtedy kilkoletnią córeczkę Józefę, co się potem takiem odznaczyła gorącem do ojca przywiązaniem i poświęceniem się dla niego ogromnem.

L. Dębicki tak powiada o Piotrze Moszyńskim (Wspomnienie pośmiertne, Kraków 1879, p. 6 et sqq.): skromny, cichy, oddał się naukom, pracy nad ludem, mało wyjeżdżał i nie lubił błyszczeć, choć miał wszelkie do tego warunki; tworzył on reakcyę przeciw powierzchownemu i lekkiemu trybowi życia: surowy dla siebie; poważnych usposobień, a gorących uczuć. Przez lata swego urzędowania oddał olbrzymie usługi... Nie był stworzony na spiskowca, choć następnie padł ofiarą konspiracyi.

Jest tu mowa o spisku rossyjskim, do którego wciągnięto i Polaków z towarzystwa patryotycznego, nie mającego na celu ruchu zbrojnego, lecz utrzymanie i rozwijanie zagrożonej narodowości polskiej. Bądź co bądź sprawa ta dotąd nie jest jeszcze wyjaśniona należycie.

W styczniu 1826 roku aresztowano Piotra Moszyńskiego, męczono go długo w fortecy petropawłowskiej, nękano niezmiernie i ostatecznie, cesarz Mikołaj przeznaczył dla niego dziesięć lat wygnania w Tobolsku.

Po roku 1834 pozwolono Moszyńskiemu zbliżyć się do kraju i następnie zamieszkać w Kijowie, dokąd zjeżdżali się rodacy i przyjaciele, aby swego powitać marszałka; nakoniec nastąpiła zupełna amnestya. Moszyński jednak nie mógł pospieszyć do Wołoczysk, bo dom tam został dla niego zamknięty; żona jego w gruncie nie tyle zła, jak słaba kobieta, korzystając z praw rossyjskich w kwestyi zesłańców na Sybir, bez rozwodu kościelnego wyszła za Jurjewicza. Bobrowski utrzymuje, że Moszyński potem otrzymał 2.000,000, a córka jego spadek po ciotce Ignacowej Moszyńskiej.

Otóż w Kijowie w 1839 r. wstąpił Piotr Moszyński w związki małżeńskie powtórne (jak tam tę kwestyę rozwiązano kanonicznie —

nie wiemy) z Anną Malinowską z Weremijówki w powiecie starokonstantynowskim, będącą prawie w wieku jego córki, gorąco namawiającej ojca do tego małżeństwa, chcąc go powołać tym sposobem do nowego życia i odrodzenia. Wreszcie w 1840 r. państwo Moszyńscy opuścili zabór rosyjski i przenieśli się do Krakowa, gdzie niemal lat 40 Moszyński przebywał, ciesząc się szacunkiem i poważaniem, zajmując wybitne stanowisko, a zostawiwszy ślady swojej działalności szlachetnej na różnych polach.

Patryotyzm, — powiada Dębicki — i wiara tak się zespoliły w jego duszy, że jedną utworzyły potęgę moralną wielkiej cnoty, ciągłej ofiary i poświęcenia. Ale bliższe szczegóły z życia Piotra Moszyńskiego nie wchodzą w zakres naszego opisu i zaznaczywszy, że w 1879 r. pobożnie w grodzie Podwawelskim świat ten opuścił, powracamy do Wołoczysk znowu, mając do zanotowania jeszcze parę momentów z ich przeszłości.

Dziedziczką klucza wołoczyskiego została teraz Józefa, córka Piotra Moszyńskiego, która w 1842 poślubiła Józefa Macieja Szembeka, 1818 — 1889, syna też Józefa i Katarzyny Patelskiej (Monog. heraldyczne Kossakowskiego). O tym Szembeku Bobrowski powiada (Pamt. II. p. 408): był on bardzo piękny, młody, ogładzony człowiek, ale zajęty sobą, swoim tytułem i przeznaczeniem do rozporządzania ogromną fortuną; na Wołyniu nie podobał się nikomu i w 1862 roku stał się niewypłacalnym, bo chociaż dobrze majątkami administrował, lecz wydawał sumy bajońskie, zbytkując i będąc bardzo kochliwy, umarł, straciwszy resztki fortuny żoninej.

Około roku 1860 pani Szembekowa posiadała w kluczu wołoczyskim poddanych płci męskiej 2.911, ziemi zaś, wogóle wszelkiej, zgórą 600 włók (notatka współczesna).

Rychło potem potrzeba było przedać ten majątek; nabywcą był Michał Gwidon Korzeniewski, t. z. generał, z Kodni.

Po śmierci Wincentego Ledóchowskiego żona jego, Anna de domo Głębocka herbu Doliwa, poszła powtórnie za Michała Gwidona Korzeniewskiego, swego szwagra, ale dzieci z nim nie miała, posiadając potomstwo z pierwszego małżeństwa: z tych Jan vel Janusz Ledóchowski, marszałek dubieński na Smordwie, zaślubił Anielę Małyńską herbu Poraj, krewną Korzeniewskiego; [1]) dla niej to kupił t. z. generał klucz

[1]) Siostra rodzona Michała Korzeniewskiego, Aniela, była drugą żoną Władysława Franciszka Czarneckiego, chorążego litewskiego i je-

wołoczyski, który następnie stał się własnością jej syna, Leona, ur. c. 1853 r., ożenionego około roku 1873 z Maryą Swiejkowską, (ur. w 1860 r.): do nich też dotąd klucz ten należy i stanowi jeden z większych majątków w powiecie starokonstantynowskim.

W Wołoczyskach z Frydrychówką teraz ziemi dworskiej c. 230 włók (Pamiatnaja knižka wołynsk. gubernii na r. 1901).

Miasteczko to położone nad Zbruczem, rozgraniczającym gubernię wołyńską od Galicyi: od miasta powiatowego, Starego Konstantynowa, oddalone o jakie mil 13, a od stacyi kolei żelaznej, tejże nazwy, prawie pół milki.

W miasteczku jest zarząd gminy, mieszka sędzia śledczy-notaryusz, jest zarząd policyjny, apteka, lekarz, dwa młyny, pewna ilość jakich-takich sklepów, kilka domów zajezdnych i jeden — niby hotel. Od roku 1796 znajduje się tutaj komora celna. Miejscowość bezleśna, pagórkowata, przerżnięta dolinami, nad rzeką, od strony rossyjskiej jest długi wał piaszczysty na jakie $^1/_5$ kilometra. Niedaleko od miasteczka cukrowarnia Zbrucz zwana, przy której dużo ludzi zajęcie i utrzymanie znajduje: jest tam domów 13 i ze stu mieszkańców, a w samych Wołoczyskach 300 z czemś domów i kilka tysięcy ludności.

Naturalnie wschodni obrządek jest starszy, dawniejszy w Wołoczyskach. Jużeśmy to wyżej wspominali, że w spisie ludności w XVI. wieku wymieniony też i pop, a zatem musiała tam być już cerkiew, dalsze jednak jej losy — nieznane. Aż dopiero znajdujemy o niej wieści w połowie XVIII wieku (Teodorowicz, Opisanie prichodow woł. eparchii starokonstant ujezd.). Józef Potocki, dziedzic wołoczyski, wydał erekcyę d. 25. lutego 1765 roku: cerkiew ta była pod wezwaniem opieki N. M. P. Unia tu zawitała

---

dna z ich córek, Julia, ur. około 1797 r., wyszła za Józefa Kalasantego Małyńskiego, urodz. około 1785 r., wniósłszy mu Ożohowce; mieli oni kilkoro dzieci, z tych Aniela, — przyszła na świat około 1821 r. w Ożohowcach, 22. czerw. 1840 r. poślubiła Janusza Ledóchowskiego, któremu liczono wtedy lat 31. — Michał Korzeniewski słynął w swoim czasie z ogromnych kapitałów, posiadał też Bereżno, miasteczko w pow. rówieńskim, w którem obecnie dymów 178 i 4.181 mieszkańców: oprócz bogactw, ów Korzeniewski dodatnich wspomnień po sobie nie zostawił; cf. Stecki, Z Boru i stepu, p. 321.

zapewne w pierwszej ćwierci owego wieku. Znani są niektórzy parochowie uniccy tej cerkwi: ks. Mikołaj Chotowicki, 1748—1763, ks. Konstanty Hukowski 1764—1768, ks. Stefan Dorosiewicz 1768—1784; ks. Jakób Niedzielski w ciągu roku 1784; Teodor Borecki od r. 1785, który dysunię przyjął przy końcu XVIII. w. (Teodorowicz l. c.). Ale Unia wtedy jeszcze tu nie zupełnie zaginęła: niektórzy księża uniccy (jeszcze o nich będzie mowa) tulili się czas jakiś przy kościołach łacińskich, wiernie się katolicyzmu trzymając.

Za to bez porównania więcej posiadamy szczegółów o świątyni łacińskiej.

Terytoryum, na którem Wołoczyska się znajdują, pod względem kościelnym należało do biskupstwa łuckiego. W połowie XVIII. w. w województwie wołyńskiem[1]) następujące były dekanaty: włodzimierski, dubieński, zasławski i zbaraski z świątyniami w Teofilpolu, Szumsku, Jampolu, Łanowcach, Ożohowcach, Białożorce, Szumbarze, Bazalii, w Kupielu, w Wołoczyskach.

Po pierwszym rozbiorze kraju, kiedy Zbaraż zabrano, przy końcu XVIII. stulecia, dokonano nowego podziału: utworzono oficyalat ołycki, do którego należał archidyakonat krzemieniecki z trzema dekanatami: dubieńskim, krzemienieckim i bazalijskim; w tym ostatnim wyliczone w 1798 roku takie kościoły: w Białozórce, w Ożohowcach, w Wołoczyskach. w Kupielu, w Bazalii, w Tereszkach, w Kulczynach, w Starym Konstantynowie dwa, w Białogródce, Lachowcach, Szumsku. Szumbarze, w Dederkałach, Jampolu, Wyżgródku, Kołodnem, Łanowcach i w Teofilpolu. Później nastąpiło nowe rozgraniczenie dekanatów, których obszar bywał identyczny (chociaż niezupełnie i nie zawsze) z granicami powiatów nowo urządzonych.[2])

Zamiast dekanatu bazalijskiego występuje potem — starokonstantynowski, nieco większy od powiatu tej nazwy. W 1801 roku w tym dekanacie zaznaczone następujące kościoły i kaplice, prawie zawsze mające swoich kapelanów: 1. w Bazalii, 2. w Wołoczyskach, 3. w Teofilpolu, 4. w Kulczynach, 5. w Starym Kon-

---

[1]) Wszelkie te wiadomości i szczegóły o kościele wołoczyskim poczerpaliśmy z archiwum tam parafialnego, dzięki uprzejmości proboszcza, ks. kanonika Burby, za co Mu wdzięczni jesteśmy.

[2]) Chociaż ludność się teraz zwiększyła, ale kościołów mniej znacznie; z tych wymienionych już zabrane: w Białozórce, Ożohowcach, w Starym Konstantynowie Dominikanów, w Lachowcach, w Dederkałach, w Wyżgródku i Kołodnem.

stantynowie Dominikanów, 6. w Starym Konstantynowie Kapucynów, 7. w Ostropolu, 8. w Skowródkach, kapl., 9. w Michałowcach kapl., 10. w Butowcach kapl., 11. w Junaczkach kapl., 12. w Krasiłowie kapl., 13. w Kupielu, 14. w Ożohowcach, 15. w Kulczynach, 16. w Tereszkach kapl., 17. w Kobyli kapl., 18 w Antoninach kapl., 19. w Jaworowcach kapl., 20. w Świnnej kapl., 21. w Wolicy kapl., 22. w Malaczynie (?) kapl., 23. w Zozulińcach kapl., 24. w Sewrukach kapl., 25. w Samczykach też kaplica.

Przy końcu 1794 roku podzieliła Katarzyna gubernie południowe: mińską i wozniesieńską na dwa biskupstwa — pińskie i latyczowskie, na czele tego ostatniego stanął smutnej pamięci Roman Michał graf Sierakowski, do niego należał dekanat bazalijski. On to w 1796 r. urzędownie nakazał, aby w litanii do N. M. B. opuszczano „Królowo korony polskiej“, aby też nie śpiewano po kościołach: „Stroskana Polsko“ i innych pieśni patryotycznem uczuciem się odznaczających.

W lipcu r. 1798 powrócił ten dekanat znowu do biskupstwa łuckiego, do życia powołanego powtórnie.

Pierwotny kościół w Wołoczyskach już istniał na początku XVII. wieku, zbudowany przez Mikołaja Małyńskiego (żonatego z Anną Łahodowską): wspomina on o nim w swoim testamencie, sporządzonym 3. maja 1627 r. (Łoziński, Prawem i lewem, Akta grodz. lwow. t. 387, p. 192—199, z r. 1627), lecz dalsze jego losy — nieznane; w archiwum kościelnem nigdzie żadnej o nim niema wzmianki; tylko Józef Potocki w swojej erekcyi, już w XVIII. w., mówiąc o fundacyi świątyni, nazywa ją „de nova radice“. Otóż ten drugi tam już kościół datuje swoje istnienie prawie we sto lat po napisaniu testamentu M. Małyńskiego. Pomyślał o domie Bożym i zamiar swój urzeczywistnił dopiero Józef Potocki, natenczas wojewoda kijowski.

Nie ulega zaprzeczeniu, że powstała tam świątynia w 1722 roku: świadczy o tem erekcya, wydana 27. lutego tego roku, księga pierwsza metryczna, zaczęta wtedyż, (której jednak już w archiwum niema) i są jeszcze inne wskazówki. Dom ten Boży pod wezwaniem Matki Najświętszej i św. Józefa, był drewniany, mały, nader ubogo wyglądający; zapewne bytował on niedługo; wzmianki są, że drugi, zbudowany także z drzewa przez tegoż dziedzica w 1739 roku, a gdy się już bardzo i ten ku starości pochylił i zrujnował, to Frydryk Moszyński na tem samem miejscu wymurował nowy kościół św. Trójcy, w 1817 roku, do

dziś dnia tam się znajdujący, konsekrowany przez J. K. Podhorodeńskiego, sufragana łuckiego.

Pierwsze uposażenie otrzymał ten kościół od Józefa Potockiego: na utrzymanie księdza 400 zł., na organistę — 60 zł.. wolne mlewo dla obu w młynach dworskich; pola ornego we trzy ręce tyle, ile 10 pługów na dzień wyorać może, sianożęci tyle, ile 12 kosarzy na dzień skosić zdoła; od każdego domu w rynku po groszy 6, a z ulicznych po — 3 gr. na potrzeby kościelne: na światło kamień wosku i łoju nietopionego 2 kamienie rocznie. Potem nastąpiły zapisy inne. Wnuk fundatora. Józef, krajczy koronny, w 1769 roku wyznaczył miejsce na pasiekę: 459 łokci wzdłuż i 765 łokci wszerz, przytem nadany stawek, ale bez młyna, z „chaszczami“ dębowymi.

W r. 1771 zapisał kościołowi Antoni Witwicki — 2.000 zł.. a 500 zł. na szpital; w 1774 r. Stanisław Bąkowski, major w. p. zapisał na kościół 5.000 zł.: ks. Michał Rutkowski, proboszcz wołoczyski, zostawił ofiary domowi Bożemu — 8.000 zł. w 1776 r.: Józef Niemiłowicz legował 3.414 zł.: Magdalena Dobrzyńska na szpital — 3.000 zł. w 1792 r., od Frd. Moszyńskiego w tymże celu — 1.000 zł., a w 1807 roku tenże Moszyński na szpital przeznaczył 10.000 zł.: ks. Jan Ignatowski, proboszcz wołoczyski, w 1818 r. zapisał na rzecz kościoła i różnych instytucyj dobroczynnych — 20.000 zł.; jeszcze inne były legacye, które przed rokiem 1820 wynosiły 32.000 zł., a procent od tego 1.420 zł. i annuata (zwiększona następnie) — 860 zł. = 2.280 zł.

Poddanych własnych kościół nie posiadał, a ponieważ po pierwszym rozbiorze kraju grunty jego w znacznej części odeszły do Austryi, to F. Moszyński dał 136 morgów: pola ornego, sianożęci i pasieczyska.

Ale były i późniejsze zapisy: w 1830 r. od Karola Sokolińskiego, parafianina, 150 rubli; od Marcina Majewskiego — 250 r. w 1831 roku: w 1835 r. od Jana Hilferdynga — 9.000 zł.: w roku następnym od Joanny Aksiukowej — 4.000 zł. pl. i inne jeszcze. Niektóre z nich przepadły w późniejszych latach, gdy dobra, na których je ubezpieczono, uległy eksdywizyi za długi: tak np. w 1839 r. te wszystkie zapisy wynosiły już tylko 28.000 zł. pl. Po roku 1842 rząd zabrał wszystkie majątki i sumy kościelne, wyznaczywszy kościołom niewielką stałą pensyę.

Na cmentarzu kaplica murowana św. Rocha, a drugą wymurował Jan Hilferdyng w 1822 r., złożywszy tam zwłoki swej żony, Maryanny z Kocińskich: i w tej i drugiej był ołtarz i odprawiało się czasem nabożeństwo kiedyś, obecnie są one bardzo zrujnowane.[1])

Szpital z funduszów wyżej zanotowanych i innych jeszcze istniał czas jakiś, teraz go niema; szkółkę też utrzymywano z zapisów Frd. Moszyńskiego i ks. Ignatowskiego: po roku 1831 zniesiono ją urzędownie.

Z początku kościół wołoczyski był filią zbaraską, lecz miał jednak własny obszar parafialny, do którego należały wsi następujące (oprócz miasteczka Wołoczysk): Staromiejszczyzna (teraz to w Galicyi), Wołoczkowce, Dorofiejówka, Korostawa, Balkowce, Januszowce, Manaczyn, Pisarzówka, Zielone, Krzysztofówka, Medwedówka, Broniówka, Kaczorzyńce, Petrykowce, Sarnów, Kurniki, Zawaliki, Porochnia, Fedórki, Niemierzyńce, Polany, Hołochwasty, Mysłowa, Kaniówka, Łozowe, Suprymówka, Jacowce, Kopaczówka (Kopraczówka), Koziary, Klimkowce, Skoryski, Kurówka, Kołyjówka.

Z tego wyliczenia wsi widzimy, że granica województwa wołyńskiego szła inaczej, niż teraz gubernia tej nazwy, ponieważ niektóre wioski (nie mówiąc o tych, co się teraz po tamtej znajdują stronie Zbrucza), są obecnie w gubernii już podolskiej, (gdyby były w województwie podolskiem, toby należały do biskupstwa kamienieckiego).

I tak w teraźniejszym powiecie płoskirowskim, gubern. podolskiej, znajdują się: Zielone (obecnie Zielona), Krzysztofówka, Medwedówka, Broniówka, Kaczorzyńce (v. Kaczuryńce), Petrykowce, Sarnów, Kurniki, Zawaliki (Zawalijki), Kaniówka, Klimkowce, Kurówka.[2])

W późniejszych czasach w Medwedówce[3]) była nawet osobna kaplica, filia wołoczyskiego potem parafialnego kościoła i wyraźnie

---

[1]) Jan Hilferdyng, starosta zaleszczycki, major, ur. c. 1773—74 r.: kupił Kopaczówkę od Józefa Lendzi, dyrektora komory wołoczyskiej po roku 1820, zostawił bardzo dużo dzieci, zm. przed r. 1847; synowie wyzuli się z tego majątku już po r. 1850, a ich potomstwo (niektórych synów przynajmniej) nie należy już do naszej wiary i narodowości.

[2]) Nie mogliśmy dojść, gdzie były niektóre wioski, niewyraźnie napisane.

[3]) Medwedówka teraz w gminie tretelnickiej, pow. płoskirowski, o $2^1/_2$ mili od Czarnego Ostrowia i $1^1/_2$ mili od Wojtowiec.

powiedziano, że ta świątynia była w dyecezyi łuckiej. Kiedy owa kaplica powstała — nie wiemy, ale istniała już w 1770 roku, była konsekrowana, budował ją zapewne dziedzic tej wsi, Aleksander Dzierżanowski, podczaszy bilski, żyjący jeszcze w 1781 r. Kościółek ten był drewniany, mały, o „jakie 100 kroków od bramy dworskiej" (dziś nawet tradycya o nim zaginęła!), o trzech ołtarzach: M. B. Częstochowskiej, z prawej strony św. Antoniego, a z lewej św. Józefa; powiedziano, że tam wisiał też portret hetmana Potockiego, nie wymieniając imienia; okien 4, dwa dzwony, sygnaturka, pokryty gontami. Wzmiankowano, że swoje obowiązki religijne spełniali tam, pomiędzy innymi, mieszkańce wsi — Bokijówki, Tretelnik, Krzywaczyniec, Widawy, Geletyniec etc.; można więc wnioskować, że i te wioski należały też do parafii wołoczyskiej, a wszystkie tylko co wymienione wsi, są teraz też w powiecie płoskirowskim, a prawdopodobnie znajdowały się w obrębie województwa wołyńskiego. Parochowie uniccy tych wsi pracowali w winnicy Pańskiej razem z kapłanami łacińskimi, a metryki wyznawców rzymskiego obrządku odsyłali prawowitym pasterzom, bierzmowania nie udzielając przy chrzcie.

Pierwszym kuratem wołoczyskim był ks. Michał Fostek, zainstalowany już w 1722 roku. Z jego następców znamy: ks. Ignacego Strutyńskiego, kanonika łuckiego, który zrezygnował z tej prebendy w marcu 1763 roku; po nim nastąpił ks. Adam Jan Rutkowski, też zrezygnowawszy dnia 21. sierpnia 1771 r.; jego miejsce zajął brat jego Michał Rutkowski, następnie dziekan bazalijski: około roku 1795 był proboszczem ks. Franciszek Zieleniewski, kanonik inflancki, (rodził się około 1735 roku); potem prawdopodobnie ks. Jan Ignatowski już w roku 1803 (przyszedł na świat około r. 1761); bardzo długo rządził tą parafią i tam umarł przed rokiem 1836: jego zastępcą został ks. Tomasz Więckowski, też długi czas proboszczował w Wołoczyskach i tam Bogu ducha oddał 9. grudnia 1885 roku, przeżywszy lat 86; następnie powołano tam ks. Antoniego Burbę, kanonika obecnie, dotąd chwalebnie gorliwym pasterzem zostającego, który też teraz (1907 r.) otrzymał advitalitatem w tem probostwie.

W rezydencyi Moszyńskich, w Frydrykówce, wymurowano kaplicę, która przez kilka lat (1819—1824) obsługiwana była przez ks. Jana Kreyca, unitę, niechcącego zaprzeć się swej wiary; w owym czasie był jeszcze drugi kapłan unicki, ks. To-

masz Kreyc, mieszkający w bliskim Manaczynie, przyjeżdżający w niedziele i święta do Wołoczysk na posługę proboszczowi.

Parafia wołoczyska obecnie bardzo obszerna, zwłaszcza po skasowaniu kościoła w Ożohowcach i przyłączeniu do niej miasteczka Ożohowiec i ludnej wsi Jachnowiec, gdzie obecny proboszcz wybudował kaplicę pod wezw. św. Michała w 1895 roku.

Otóż teraz ta parafia składa się (w 1904 r.) z 5.171 wiernych (2.502 mężczyzn i 2.669 kobiet), mieszkających w 1164 domach, a mianowicie:

1. W miasteczku Wołoczyskach domów 50 i katolików płci obojej 227: na dworcu kolei żelaznej dom. 15 — dusz 116: w Zbruczu (cukrowarnia) domów 13 — katolików 69; w Frydrykówce — dom. 53, kat. 312: co stanowi razem domów 113, katolików 724.

2.	W Wołczkowcach	domów	99.	katolików	425:
3.	„ Garniszówce	„	27,	„	111:
4.	„ Balkowcach	„	10.	„	60:
5.	„ Korostawie	„	216,	„	856:
6.	„ Łozowej	„	83.	„	355:
7.	„ Manaczynie	„	14.	„	49:
8.	„ Januszowcach	„	37,	„	184:
9.	„ Hołochwastach	„	15.	„	89:
10.	„ Kopaczówce	„	44.	„	202:
11.	„ cegielni kopaczowieck.	„	33,	„	120:
12.	„ Kuryłowcach	„	2.	„	6:
13.	„ Niemierzyńcach	„	38,	„	190:
14.	„ Ożohowcach	„	11.	„	43:
15.	„ Porochni	„	55,	„	255:
16.	Polanach	„	4,	„	12;
17.	„ Fedórkach	„	22,	„	123:
18.	„ Jachnowcach	„	323.	„	1.367.

(W tej wsi wszystkich razem mieszkańców 2.067).

Oprócz klucza wołoczyskiego, 8 pozycyj zajmującego w tym spisie, Ożohowiec i Jachnowiec, należących do Polaków, w naszych rękach są jeszcze posiadłości: w Hołochwastach, w Porochni, kolokacya, w Fedórkach i Kuryłowcach (niby)... Dawniej stosunek był inszy — wszystkie te wsi zostawały w rękach polskich.

Ludności zaś katolickiej stosunkowo liczono więcej. Tak np. w Wołoczyskach, samem miasteczku tylko, było w 1799 roku,

domów 61 i katolików 300; w 1801 r. nawet 313; w 1823 już ta liczba nie dochodziła do 300, a w r. 1829 — 276; w 1843 roku — 271; w r. 1850 — 260; w 1857 — 225.

Ogólna zaś ludność w całej parafii tak się przedstawia:

W r. 1797: domów 597, katolików płci obojga 2.814; w r. 1799 już spada na około 2.400; w 1801 — 2.346; potem zaczyna się trochę podnosić: w 1802 roku — 2.660; w 1829 r. — 3.116; później znowu się zmniejsza: w r. 1843 — 2.833; w 1845 — 2.793, w rok potem — 2.709, o rok później — 2.669; w roku 1850 — domów 545 — ludności katolickiej 2.066 spowiadającej się, małoletnich — 582 = 2.648; w pięć lat potem — domów 449, katolików 2.423; w 1857 roku — domów 432, ludności 2.415.

Wołyniak.

ODP. REDAKTOR ADAM KRECHOWIECKI. — NAKŁAD „GAZETY LWOWSKIEJ“.

STANISŁAW WYSPIAŃSKI.

Bądź jak meteor — jak błyskańce,
Które pociska Zeus i Bóg,
Bądź jak te gwiazdy-opętańce,
Co same swych szukają dróg.

Zorze za tobą idą, zorze, —
Zorzana płynie krasa z róż...
Chaosu lotem zmierz przestworze
I pal i depc i siecz i płuż. [1])

Ktokolwiek obecnie pisać zamierza o Stanisławie Wyspiańskim, musi sobie zdawać sprawę z niezwykle wielkich trudności swego zadania.

Nie na tem one polegają, że mówić ma o artyście, który działał nie tylko na polu poezyi, lecz był także w równej mierze i malarzem, a nawet i w plastyce sił próbował. Krytyka literacka bowiem w dzisiejszych czasach obejmować musi cały zakres sztuki, literacki charakter zaznaczając jedynie wyborem punktu obserwacyjnego. Zapewne zabraknie jej znajomości wielu technicznych szczegółów, ale też nikt ich od niej nie będzie żądał. Z całym natomiast spokojem krytyk literacki z chwilą, gdy wogóle nazwy tej godnym się być mieni, podjąć się może wyprowadzenia i malarskich objawów z duszy artysty, jak i na odwrót spożytkowania malarskich dzieł artysty do wyjaśnienia jego zasadniczego ducha.

---

[1]) Wiersz St. Wyspiańskiego, ogłoszony ze spuścizny pozgonnej w Krytyce za styczeń 1908 r. — (Przyp. aut.).

I nie na tem także polegają trudności naszego przedsięwzięcia, że i w poetyckiej twórczości St. Wyspiańskiego niektóre momenty są niejasne. Nie dodajemy: n a m niejasne, bo śmiemy twierdzić, że zupełnie jasnemi nie są one dla nikogo, a ci, którzy przeciwnie o sobie samych głoszą, albo nie są szczerymi, albo właśnie tą zuchwałością składają dowód, iż jeszcze mniej przenikają tajniki poety niż tamci, skromniejsi. Bezwzględnie biorąc, istnienie owych niejasności nie stanowi jeszcze nic o wartości ich twórcy. Pomijając już fakt, że nawet u tak przejrzystego poety jak Mickiewicz, niejedno słowo niewątpliwie na zawsze pozostanie zagadką nie do rozwiązania — choćby owo sławne, tylekroć bezskutecznie wyjaśniane „czterdzieści i cztery“ — przytoczyć trzeba z literatury światowej dwa przzkłady, które posłużyć mogą do określenia charakteru ciemności Wyspiańskiego. W H a m l e c i e, jak wiadomo, nie ma ani jednej sytuacyi zagmatwanej, ani jednego słowa niezrozumiałego, natomiast setki już uczonych komentarzy napisano bezowocnie celem wyświetlenia i charakteru bohatera i zasadniczego problemu tragedyi. Wprost przeciwnie ma się rzecz z drugą częścią F a u s t a: tam wiemy dokładnie, jaką myśl poeta chciał przez wszystkie ustępy dzieła przeprowadzić, lecz błąkamy się z chwilą, gdy każdą z cząstek utworu pragniemy szczegółowo zbadać. Niejasność Wyspiańskiego nie jest zagadką H a m l e t a, podobną jest natomiast do tajników F a u s t a: czasem z łatwością i z zupełną pewnością, czasem z trudem i z pewnemi wątpliwościami, zawsze jednak ostatecznie i z dużem prawdopodobieństwem zdołamy określić ideę utworu, a męka i zwątpienie ogarnia nas dopiero wobec wielu poszczególnych scen, obrazów, nawet zdań i słów. Podobny w tem do Goethego, Wyspiański jednak nie jest zupełnie takim samym. Najprzód, zastanowiwszy się nad jego i nad F a u s t a niejasnością, dostrzeżemy, że źródła ich daleko od siebie leżą. Goethe, jak w całem swem arcydziele, tak i w ciemnych dotychczas jego ustępach czerpał z olbrzymich zasobów w i e d z y, wiedzy przyrodniczej, filozoficznej, historycznej, w niemałym zakresie także demonologicznej; im bardziej zatem i my do tych dostępnych i dla nas skarbów dotrzemy, tem więcej na tej podstawie zagadek rozwikłać potrafimy; ztąd widzimy, jak z roku na rok mapa F a u s t a w miarę postępu badań coraz mniej ma czarnych plam i z całą pewnością przewidzieć możemy, że prędzej czy później i najgłębiej położone krainy tej poetyckiej Afryki przestaną być nieznanemi. Inaczej

jest z Wyspiańskim. Jego twórczość, mimo istniejących oczywiście związków z realnym światem, jest szczególnie właśnie w tych zawiłościach płodem niesłychanie bogatej ale przytem dziwnie rozbujałej wyobraźni, której chaotycznego biegu żaden badacz, żaden krytyk określić nie zdoła. Nie koniec na tem. Uprzedzając już tutaj dalsze wywody stwierdzić trzeba, że wszystkie Wyspiańskiego utwory a przynajmniej ich grupy są z sobą ściśle spojone, każdy następny jest dopowiedzeniem poprzedniego, ale dopowiedzeniem jeszcze nie zupełnem, jeszcze dalszego ciągu wymagającym (dowodem tego jest fakt, że poeta często albo kilkakrotnie ten sam motyw opracowywał n. p. rapsod o Bolesławie Śmiałym, dramat o nim a potem Skałka, albo myśl jednego utworu dalszemi wyjaśniał, podkreślał lub rozszerzał n. p. Wesele, Wyzwolenie, Akropolis). Dzięki temu, póki żył, zawsze można było spodziewać się od przyszłych dzieł odpowiedzi na pytania, poprzedniemi wywołane; dzisiaj, gdy umarł, któż dopowie nam brakującą część? Ale zestawiając go z Goethem, nie podobna nie poruszyć i innych także różnic, choćby się i sobie i drugim miało tą bezwzględną analizą przykrość sprawić. Oto, cokolwiek się powie o sile geniusza Wyspiańskiego, musi się stwierdzić, że duch jego był potężniejszym niż artystyczne środki jego wypowiadania się, że więc niejedna niejasność zwłaszcza jest skutkiem tej dysproporcyi między zamiarem i wykonaniem. Z prawdziwym bólem i tej sprawy dotknąć trzeba — którą dotychczas, o ile wiemy, jeden p. Kotarbiński w swem studyum o Wyspiańskim miał odwagę określić — że prawdopodobnie na kilku dziełach położyła swą straszną rękę niszcząca organizm poety choroba, zapewne nie na przejrzystych ale właśnie na ciemnych ustępach tych utworów. Dwie ostatnie przyczyny oddziaływują fatalnie na czytelników i krytyków Wyspiańskiego, paraliżując ich wysiłki, zdążające do wyświetlenia tajników: gdyby nie te dwa momenty, szukałoby się klucza z nadzieją, że przecież w końcu go się znajdzie; tak zaś brak otuchy osłabią nasz wzrok, a nawet, gdzie zdaje się nam, żeśmy tajemnicę przeniknęli, pytamy się z trwogą, czy to nie ułuda, czy sztucznie nie czynimy jasnem, co z natury jest ciemnem, nie zasługujemy i my w zmienionym nieco sensie na drwiące skarcenie słowami Goethego:

„Im Auslegen seid frisch und munter!
Legt Ihr's nicht aus, so legt was unter!"
„Legt ihr nicht aus
So legt nur fleissig unter."

Jeśli więc nie w dwoistej naturze poety-malarza i nie w niejasnościach jego dzieł tkwi główna trudność pracy o nim, to gdzież się ona znajduje? Oto w tej okoliczności, że piszemy o artyście świeżo zmarłym. Prawda, ma się w ten sposób *privilegium* zaiste *odiosum,* że leżą przed krytykiem wszystkie utwory Wyspiańskiego, że nie dopisze on do nich już ani słówka, że ogłoszone będą z pozostałych po zmarłym papierów drobne chyba już tylko urywki, które według wszelkiego prawdopodobieństwa nie zmienią sądu o poecie (najważniejszą może cząstkę tej spuścizny, listy do przyjaciół zna się z charakterystycznej próbki, w *Czasie* przez p. Rydla ogłoszonej, z pięknego opisu katedry w Chartres). Ale to wszystko, cały ten obszerny a zamknięty w sobie materyał dostępny będzie i za dziesięć lat i w jakiejkolwiek odleglejszej przyszłości. Dzisiaj zaś mamy go wprawdzie, lecz z nim razem wspomnienie niedawnej śmierci, śmierci tak przedwczesnej. Ztąd wyłania się pierwsza trudność: za życia Wyspiańskiego byłoby nieprzyzwoitością mówić o człowieku, o kolejach i przejściach jego zwykłego ludzkiego żywota; przy zmarłym już ten czynnik trzeba uwzględnić; bo przyznając, że biografia jego nigdy nie będzie w tym stopniu kluczem, otwierającym świątynię jego twórczości, jak n. p. u Heinego lub Byrona, niepodobna jej jednak pominąć milczeniem przy rozważaniu jego dzieł, czego dowodem są bodaj nieliczne ale tak bardzo charakterystyczne jego liryki. Zresztą kto wie, czy Wyspiański, nawet gdyby był nie był poetą, nie byłby niesłychanie zajmującą osobistością, — tyle w nim było pozornej sprzeczności: niebiańska słodycz złączona z bezlitosną ironią, cicha skromność z wygórowaną pewnością siebie, mistyczne zadumanie z błyskawicami dowcipu. To wszystko kiedyś przyszły jego biograf zanalizuje. Ale krytyk, piszący o nim w dwa miesiące po jego zgonie? Od niego domagać się wolno więcej niż od tych, którzy pisali za życia Wyspiańskiego, jemu samemu zaś powstrzymuje pióro niejednokrotnie uzasadniona obawa, by z tego żywota nie ukazać za wiele, choćby najmniej drażliwych szczegółów, bo choć poeta spoczął na Skałce, życie jego jeszcze prawie do teraźniejszości należy. Więc może w takim razia lepiej byłoby wcale dzisiaj nie pisać? Nie. Odwołanie się do sądu przyszłości zachowa niewątpliwie znaczenie w sprawach artystycznych, mimo to jednak nawet dla tej potomności pożądanym będzie sąd współczesnych. Wobec Wyspiańskiego zaś znaczyć on będzie tem więcej, bo poeta ten wywarł na współczesnych ogromny wpływ. Lecz zdawałoby się, że sąd

ten już dostatecznie wyraźnie został wypowiedzianym, że zatem nie ma potrzeby ogłaszania go jeszcze raz. Zapewne, o Wyspiańskim pisano już wiele, bardzo wiele, szczególnie o niektórych najgłośniejszych jego dziełach. Popierwsze jednak, wszystkie te książki, broszury, rozprawy dzisiaj już nie są zupełne, bo pisane były przed zakończeniem życia i twórczości poety, więc nietylko nie znają jeszcze ostatnich jego utworów, lecz ponadto z góry dostępny sobie materyał uważają za fragmentaryczny. Powtóre zaś niemal wszystkie pisane są z niedostateczną dozą przedmiotowości, albo *cum studio* albo *cum ira,* częściej, daleko częściej w pierwszym nastroju niż w drugim. W jednym z lirycznych wierszów Wyspiańskiego czyta się te nietylko bezwzględne, ale — jakby się zdawało — i niesprawiedliwe słowa:

„Niech nikt nad grobem mi nie płacze
Krom jednej mojej żony,
Za nic mi wasze łzy sobacze,
I żal ten wasz zmyślony.“

Wbrew pozorom ośmielamy się twierdzić, że ostatni wiersz nieco prawdy zawiera. W ogromnie wybujałym kulcie Wyspiańskiego widzimy jednak mimo wszystko — naturalnie obok wielu akcentów szczerych — niemało „zmyślenia“. Objawia się ono nie tyle pozytywnie: głosami krytyki, ile negatywnie: milczeniem, milczeniem nietylko tych, którzy w Wyspiańskim wogóle wielkiego poety nie uznawali, ale nawet tych, którzy mając go za takiego, wiele wad i niedomagań w nim widzieli. Co było przyczyną tego milczenia: czy niechęć mącenia powszechnego uwielbienia, czy obawa przed namiętnemi protestami — nie poety samego i nie z jego ramienia, tylko ze strony dobrowolnych jego obrońców, — czy wreszcie zamiłowanie wygody, rozstrzygnąć nie umiemy, nikt jednak nie zdoła zaprzeczyć, że jednak milczenie faktem było i... jest, że dalej dzięki temu w głosach o Wyspiańskim, dotychczas wyrażonych, nie wszystkie odcienia były reprezentowane. Istnieje wprawdzie kilka prac odmiennych od bardzo licznych bezkrytycznych panegiryków, lecz z rozmaitych względów nie są one zupełnie zadowalniającemi. Tak n. p. bardzo rozsądnie mówi p. Ostap Ortwin o niektórych dziełach w Krytyce — zwykle wywołując zastrzeżenia ze strony redakcyi czasopisma — lecz mówi tylko okolicznościowo i o kilku jedynie. Z dwóch obszerniejszych rozpraw, ogłoszonych w ostatnich czasach, każda ma swoje wybitne zalety, mimo to jednak pisać się na żadną

z nich w zupełności nie możemy. P. Józef Kotarbiński drukował w Bibliotece warszawskiej z r. 1906 i 1907 kilka rozdziałów większej pracy o St. Wyspiańskim, pisanych z wytrawnością i zrozumieniem rzeczy, spotęgowanem znajomością praktyki teatralnej, lecz cenne to zresztą studyum skażone jest świadomemi objawami lub instynktownemi odruchami goryczy, z Krakowa po sześciu latach kierowania tamtejszą sceną wywiezionej. Rozbioru twórczości Wyspiańskiego, dokonanego przez profesora Tarnowskiego, najprzód w Przeglądzie polskim, później w ostatnim tomie historyi literatury polskiej, mimo wielu świetności pióra, mimo licznych bardzo bystrych spostrzeżeń, nie można jednak uważać za spokojny przedmiotowy sąd: autor bowiem występuje tutaj *a priori* jako przeciwnik t. zw. modernizmu. Obie te prace zresztą aczkolwiek tak niedawne, całokształtu twórczości poety nie obejmują (p. Kotarbiński może tylko na razie).

Wobec tego stanu rzeczy podjąłem się napisania spokojnej, przedmiotowej charakterystyki Wyspiańskiego, zbadania jakości jego dzieła, określenia jego znaczenia na dzisiaj i — przypuszczalnego — na jutro, podjąłem się tego szczerze bez jakiegokolwiek uprzedzenia na korzyść lub niekorzyść omawianego przedmiotu. W tem, że chcę dać to, czego mojem zdaniem krytyka dotychczas nie dała, zarozumiałości nie ma, chyba tylko o tyle, że „zarozumiałym“ jest każdy krytyk w najdrobniejszej bodaj recenzyi, bo przecież na *sui generis* „zarozumiałości“ polega cała krytyka, tak jak „bezwstydnym“ jest każdy liryk, bo przecież wszem wobec rozpowiada o swoich bólach i radościach, które inny człowiek chowa w skrytości własnego serca lub zaledwie zaufanym przyjaciołom zwierza.

* * *

Rok 1869 w dziejach ducha Polski porozbiorowej pozostanie na zawsze pamiętnym dzięki dwom doniosłym wydarzeniom: otwarciu grobu Kazimierza Wielkiego w katedrze na Wawelu i narodzinom Stanisława Wyspiańskiego. Związek pomiędzy niemi jest istotny i znaczący. Nie tylko dlatego, że poeta, który w tym roku przyszedł na świat, w rapsodzie o ostatnim z Piastów uwiecznił tamtą wstrząsającą chwilę. Związane są ponadto te dwa momenty mistycznem niemal spojeniem: innym byłby Wyspiański, rzec można, gdyby się nie był narodził pod auspicyami tej chwili,

w której sam nie uczestniczył, lecz z którą osobą swego mistrza, Matejki, jej świadka duchowo był złączonym.

Dziwnie osobliwą musiała być ta chwila, kiedy w zniszczonym grobie ujrzano rozsypane kości króla, z koroną władzcy i resztkami płaszcza monarszego. Zjawiła się mara przeszłości, dumnej i wielkiej, zjawiła się na tle czasu upokorzonego i małego. Przypomnijmy sobie, że w tymże samym roku 1869 w Przeglądzie polskim ukazała się Teka Stańczyka, ironiczny manifest i obrachunek nowego stronnictwa narodowo-politycznego, które postanowiło uprzątnąć gruzy przeszłości, obalone ostatnią niefortunną walką o wolność, a na oczyszczonym gruncie wznieść gmach przyszłości, tak odmiennej od przeszłości. Co się wtedy musiało dziać w sercach tych kilku ludzi, którzy byli świadkami otworzenia grobu Kazimierza W. — żyje z nich jedynie prof. Tarnowski — i tych tłumów, które szły później w pogrzebie wielkiego króla, tego my młodsi prawie odczuć nie potrafimy. Na szarość współczesnych dni, w których my dzisiaj, po przeszło czterdziestu latach widzimy zaranie odrodzenia, ale oni tylko straszną ruinę widzieć musieli, na prostracyę ducha i wymuszoną trzeźwość rozsądku padł promień, lecz nie jasny i pogodny, tylko ponury i błyskawiczny. Zmartwychwstała na chwilę przeszłość wspaniała, ale stanęła nie z pełną siłą życia, lecz w grozie pruchniejącego szkieletu: ci ludzie oddawali wtedy pokłon przeszłości, lecz równocześnie musieli widzieć, że ona w proch się rozpada, nadzieja walczyła w ich sercach z trupią martwotą i rezygnacyą, kult pamiątek — z przeświadczeniem, że trzeba po życie sięgać nowe, jeśli nie mamy się stać tylko grobowców strażnikami.

Dzieckiem tej chwili jest Stanisław Wyspiański. Odnajdziemy jej materyalne wspomnienie i w rapsodzie i w witrażu, poświęconym Kazimierzowi W.: tam poetyczne a wierne odtworzenie wypadku, tutaj groźny majestat szkieletu, który powtarza się i w witrażu św. Stanisława. Ale wznosząc się od samego zdarzenia w górę ku jego symbolicznemu znaczeniu, ma się prawo twierdzić, że pod jego znakiem kształtuje się zasadnicza linia ducha artysty. Więc najprzód wszędzie doszukamy się szczytnego i mistycznego pojęcia śmierci, jako tryumfującej nad życiem potęgi, a z drugiej strony ztąd także wywieść można cały stosunek Wyspiańskiego do przeszłości, do jej wszechwładnego kultu:

„To tak dawność z nami walczy,
My jesteśmy jak przeklęci,
Że nas mara — widmo nęci.“

Szczegółowe objawy tego poglądu, przeniesienie go z pola ściśle historycznego na grunt historyczno-literacki, poznamy później, jak również i wtedy dopiero z tego stanowiska odpowiemy na rozstrzygane zazwyczaj apryorystycznie a pospiesznie pytanie: czy przeszłości czy przyszłości poetą jest Wyspiański, — na teraz wystarczy genetyczny wywód tej idei.

Pośrednikiem pomiędzy Wyspiańskim a otwarciem grobu Kazimierza był Matejko. Był także jego pierwszym mistrzem w malarstwie. I nie tylko na artystę wywarł wpływ, lecz i na poetę i na Polaka, bo tak szeroko i głęboko oddziaływał na cały naród, bardziej więc jeszcze na umiłowanego ucznia. Że Wyspiański żył w świecie postaci Matejki, tego dowodem choćby Wesele z poczętemi z ducha mistrza figurami Stańczyka i Wernyhory. Że i w technice artystycznej mu ulegał, o tem świadczy bodaj ołówkowy rysunek, przedstawiający dwór Bolesława Śmiałego. Lecz temi łatwemi spostrzeżeniami nie wyczerpało się bynajmniej oddziaływania Matejki, długo poza lata, spędzone w krakowskiej Szkole sztuk pięknych. Widocznem jest ono i w tem, w czem Wyspiański jest podobny do Matejki, i w tem, w czem jest od niego różny, a różny z całą samowiedzą, może z umyślnem przeciwieństwem, tak jak wogóle twórca Kazania Skargi zaważył ogromnie na sztuce polskiej i w tem, co było jego naśladowaniem i w tem, co z walki z nim powstało. Wziął po nim zmarły artysta-poeta wielki rozmach, gigantyczność zarysów, z niesłychaną śmiałością u mistrza rozsadzających ramy obrazów, u ucznia kształt poetycki i sceniczne formy. Przejął z niego dążność do namacalnego uzmysławiania idei w figurach, dziwnie, czasem dziwacznie cielesny realizm łączących z bujną fantastycznością. Poszedł w tych obu kierunkach nawet jeszcze dalej, pchany tak żywą u wielu współczesnych artystów skłonnością do baroku, zjawiającą się zawsze, ilekroć sztuka usiłuje wyzwolić się od oschłej prozy a nie ma dość sił, by wznieść się do wyżyn, gdzie prostota króluje: u Matejki w Dziewicy Orleańskiej troje świętych w obłokach, u Wyspiańskiego w Bolesławie Śmiałym chodząca trumna — podobne objawy, idące w tym samym kierunku, tylko w znacznem od siebie oddaleniu.

Uczeń Matejki, dziecko Krakowa, z pod stóp Wawelu, wtedy tylką smutną ruiną przeszłości będącego i z wyżyn pagórku na martwe miasto spoglądającego, wyjechał po raz pierwszy w świat, na Zachód. W tem miejscu jedno zastrzeżenie jest koniecznem. Badając rozwój ducha Wyspiańskiego, nie znamy jednego bardzo

ważnego czynnika: nie wiemy, co czytał, co studyował, co przemyślał. Podobno nie wiele czytał: Kto wie, czy nie ztąd wywodzi się istniejąca u niego niejednokrotnie niezdolność jasnego sformułowania myśli filozoficznej, skutek może niedostatecznego wykształcenia w tej dziedzinie wiedzy. W każdym razie nie wiedząc nic pewnego o tych naukowych i literackich wpływach, narażamy się może na pomyłkę, gdy oddziaływanie wszystkich w ogólności prądów zachodniej kultury łączymy — z technicznych poniekąd względów — z jego pobytem zagranicą, chociaż w rzeczywistości odnieść by je może trzeba częściowo bądź do wcześniejszego, bądź do późniejszego okresu.

Pierwszy wylot z gniazda musiał mu nie tylko otworzyć szersze horyzonty duchowe, a zetknięcie z żywą kulturą Zachodu nie tylko ukazało mu całą martwotę ciasnych polskich stosunków, lecz podróż ta przedewszystkiem wzbogaciła jego artystyczną wyobraźnię nowemi pojęciami i poglądami. Romańskie i gotyckie katedry niemieckie i francuskie nauczyły go znajomości dawniejszej sztuki, równocześnie zaś rozbudzone życie teraźniejszości wprowadziło do jego świadomości mnóstwo nieznanych przedtem pierwiastków. W malarstwie i rysownictwie uwielbiano wtedy Japonię, której naiwność tak ogromnie wyrafinowana, uczniowi Matejki, w inne zgoła poglądy wdrożonemu, stała się nowym, nieprzeczuwanym światem. Zdobnictwo i sztuka stosowana z zasobem tysiąca świeżych motywów, przemówiły również do jego artystycznego zmysłu, sprawiły, że sam tym działom sztuki później często się oddawał jako artysta, a jako autor tak troskliwie, prawie przesadnie dbał o typograficzną stronę swych książek, jako pierwszy a przynajmniej najkonsekwentniejszy u nas wyznawca tych zasad.

Jeszcze obfitszym był czysto literacki plon tej podróży, szczególnie pobytu w Paryżu. Wieczorami Wyspiański zapewne nieraz bywał w teatrze, prawdopodobnie najgorliwiej na przedstawieniach klasycznych dramatów. Oczywiście w pierwszym rzędzie szedł na przedstawienia francuskich klasyków, czy też pseudoklasyków. Wywarli oni na niego silny wpływ, od czasów Felińskiego i Osińskiego może w naszej literaturze i scenie nie spotykany. Prawda, dopiero w ostatnich latach tłumaczył, raczej przerabiał C i d a Corneille'a, zamierzał nawet i rozpoczął przekład jeszcze bardziej pogardzanego Voltaire'a (Z a ï r e), ale prace te przypadają na smutny jego okres, kiedy nie tworząc nowych pomysłów, przetwarzał tylko dawniejsze, być może więc, że i tu-

taj zawiązki obu tłumaczeń dawniejszych sięgają czasów. Zresztą, jak długo i jak silnie działał wpływ francuskiego teatru, tego dowodem jego bardzo wyraźne ślady w jednem z piewszych dzieł, w Warszawiance, słabsze wprawdzie, ale bądź co bądź widoczne w jednym z ostatnich fragmentów, w Zygmuncie Auguście. Dziwić się temu upodobaniu niepodobna. Wyspiański był naturą nawskróś patetyczną, tragicznie stylizowaną, instynktowo szukającą wspaniałego giestu, majestatycznej wymowy, choćby nieraz nadmiernie szumnych słów używającej, a w francuskiej poezyi dramatycznej siedmnastego i ośmnastego wieku to wszystko znalazł. Szacunek i pociąg dla Corneille'a i Voltaire'a objawia się u niego, jak u tylu innych, negatywnie chłodniejszym stosunkiem do Szekspira. Prawda, „przekłada" później a raczej omawia Hamleta, ale obchodzi się z nim z tak wszechwładną swobodą, że mniej tutaj jeszcze zostawia oryginału niż przy Cydzie; podobnie nie przeczy poprzedniemu twierdzeniu Śmierć Ofelii, owoc rozmiłowania się nie w Szekspirze, ale w tragicznej sytuacyi; wreszcie i nieznana dotychczas, w krakowskiem archiwum teatralnem spoczywająca inscenizacya Juliusza Cezara Szekspira nic przeciwnego nie dowodzi, bo wszak ten dramat ze wszystkich szekspirowskich jest może najbardziej „francuskim" (szczególnie Brutus i jego żona, zamordowanie Cezara). Nawiasowo dodajmy, że bez wpływu pozostała komedya francuska, komiczność wogóle tak, że u Wyspiańskiego nie ma nigdy ani odrobiny śmiechu, albowiem spotykana w kilku rymowanych listach do przyjaciół, okolicznościowa humorystyka jest artystycznie bezwartościową, w treści zaś przypomina stare, typowo krakowskie dowcipy.

Wbrew Lessingowi od francuskiego dramatu wstecz do klasycznego nie jest tak daleko. Wyspiański zastał już trzeci z kolei renesans antyku. Podczas gdy po raz pierwszy za dni humanizmu zmartwychwstał cały świat starożytny, a zwłaszcza jego sztuki plastyczne i filozofia: podczas gdy w epoce Winckelmanna zachwycano się ponownie rzekomą „szlachetną prostotą i cichą wielkością" antyku, wiek dziewiętnasty wywołał ponowny renesans greckiej tragedyi, we Francyi i w Niemczech najsilniej występujący, nie obcy jednak i innym krajom, między niemi i Polsce. Czy słusznie niektórzy temu trzeciemu renesansowi dodają pogardliwy przymiotnik „histeryczny", nie rościmy sobie prawa rozstrzygać. Pamiętamy jednak trafne określenie jednego z najbardziej wolnych od wszelkiego doktrynerstwa krytyka, Herdera,

który powiedział, że naśladować Homera, to nie znaczy pisać tak, jak on pisał, ale tak, jakby był pisał, gdyby był za naszych czasów, w naszej ojczyźnie, w naszych warunkach pisał. Z tego punktu widzenia ten trzeci renesans, choćbyśmy go nazwali histerycznym, ma literackie uprawnienie, bo ten przymiotnik właściwie nie do niego, ale do jego epoki odnieść należy. Jakkolwiek się rzecz ma, Wyspiański wchłonął w siebie jego idee: w antyku widział zapewne jeszcze wspanialszy giest, niż u Francuzów, a olśniewająca malowniczość i rozmaitość starożytnego świata mitologii, podań i fantazyi dla pożądliwej jego wyobraźni była znakomitą podnietą. Lecz działały tu i inne, głębsze przyczyny. Filozofia Wyspiańskiego w antyku znalazła źródło, z którego ustawicznie mogła moc czerpać. Pojęcie nieubłaganego Fatum, od ludzkich postępków niezależnego, ta zasadnicza podstawa klasycznej tragedyi, dziwnie i ostatecznie mimo tylu dociekań w niewytłumaczony podziemny sposób złączone z surową strukturą związku winy i kary — ono Wyspiańskiego łączyło ze starożytnymi. Objawili mu oni także i inną jeszcze myśl, w nim samym nurtującą: majestat śmierci, ofiarną i tryumfującą zarazem jej rolę. A wreszcie kompozycya greckiego dramatu, oparta na wzajemności mówionego dyalogu i śpiewanych chórów podjętą została przez Wyspiańskiego, bo odpowiadała jego technice, tak często doprowadzającej do starcia jednostki — potężnej dlatego, że jest jednostką, z tłumem, — potężnym dlatego, że jest tłumem. I styl klasycznej tragedyi był mu dogodnym: jej wstrzemięźliwość, nieraz stokroć wymowniejsza od francuskiej retoryczności, w rękach nowoczesnego poety jest nieraz bronią, osłaniającą słabe miejsca, bo dzisiejszy czytelnik, ile razy poetę widzi małomownym, zawsze przypuszcza, że to właśnie jest niemym wyrazem najgłębszej mądrości, najwyższej piękności. (U Wyspiańskiego nieraz, może bezwiednie, francuska retoryczność i grecka małomowność idą na przemian, wywołując zazwyczaj u czytelnika to samo nastrojowe wrażenie). Chóry zaś specyalnie pożądane były dla polskiego poety, bo mogły stać się naczyniem wszelkich rozmyślań filozoficznych, zwłaszcza niejasnych przewidywań, które bez nich z trudnością tylko dałyby się w rozmowie działających osób wypowiedzieć. Zmienne objawy „trzeciego renesansu“ oglądać będziemy przy rozpatrywaniu poszczególnych dzieł poetyckich. Tutaj wskazujemy tylko na rysunki do Iliady, bo w nich on występuje najwyraźniej i najczyściej, bez wszelkich narodowościowych i literacko-historycznych domieszek. Że nie jest to ów Homer,

który żył i pisał kilka tysięcy lat temu, to pewna: czy nie takiemi jednak szlakami szłaby jego wyobraźnia, gdyby był jak Wyspiański dzieckiem wieku chorego a do wielkości i mocy się rwącego, wieku, uważającego za typową ale i najsroższą tragedyę huragan własnych niezgłębionych myśli, nienasyconych pragnień? Jeśli „histerycznemi“ są te illustracye, to są doskonałem odźwierciedleniem „histerycznego“ renesansu i jako takie pozostaną dokumentem artysty i czasu.

Mówiąc o odrodzeniu i zmodernizowaniu greckiej starożytności weszliśmy już w krąg ówczesnych prądów literackich. Wydzielmy z nich najprzód te, którym wtedy wielu ulegało, a które na Wyspiańskiego wcale nie albo tylko słabo oddziaływały. Do nich należy przedewszystkiem filozofia Nietzschego, już z tego samego powodu, że poeta wogóle, jak wnosić wolno, ścisłym studyom filozoficznym nigdy się nie oddawał, co przynosiło mu czasem korzyść — jak w tym wypadku, — częściej szkodę. Od Nietzschego, gdyby go był nawet dobrze znał, odpychało go zresztą wiele: i żywy u niego a u niemieckiego filozofa nieistniejący duch narodowy i wyraźne przeciwieństwo do hasła amoralności, i stanowcza, w praktyce poetyckiej opozycya do tezy Nietzschego o „wiecznym powrocie“. Jeśli mimo to Wyspiański wydaje się niekiedy podobnym do Nietzschego, zwłaszcza w zbolałej dumie, to ma się tu do czynienia z wrodzonem podobieństwem ludzkich temperamentów i artystycznych geniuszów, nie z nabytym wpływem filozofii samotnika z Sils Maria. A tak samo nie dotknęły go płynące z północy prądy drobiazgowej analizy psychologicznej, ani wdzierające się do nas z Zachodu orgiastyczne uniesienia demonicznego erotyzmu. Pierwszym nie uległ, bo wykuwał zawsze posągi z wielkich brył granitowych, nie cyzelując ich; drugie nie miały do niego przystępu, bo był naturą bądź co bądź pierwotną, moralnie zdrową, a ztąd miłość u niego często działa żywiołowo, z życiodajną lub niszczącą potęgą, lecz nigdy ani się nie ociera o satanizm lub seksualne zwyrodnienie; ten moment jeszcze w dalszym ciągu podkreślimy, tutaj w związku z innemi go notując. Nie uchronił się natomiast Wyspiański przed mgławicą współczesnego symbolizmu, tak w malarstwie jak i w poezyi. Jak tam składa mu hołd w S k a r b a c h S e z a m u, lub w afiszu na przedstawienie W n ę t r z a Maeterlincka, tak tutaj nie napisawszy wprawdzie ani jednego utworu wyłącznie symbolicznego, we wszystkich, zwłaszcza w dawniejszych, w jego charakterystyce odszuka się ślady nastrojowości Maeterlincka, owych sławnych

niedomówień, mistycznych tajemnic, denerwujących przerw i innych środków i środeczków symbolistycznej apteczki.

Na uboczu, ale tem wyraźniej stoi wpływ Ryszarda Wagnera. Znać go w pierwszym ogłoszonym utworze poetyckim, w Legendzie, w samym wyborze tematu z narodowego mytu, znać go i później w mitycznych motywach innych dzieł, przedewszystkiem zaś w iście po wagnerowsku pojętem spojeniu mitycznego zewnętrznego kształtu z wewnętrzną ogólno-ludzką treścią. Osobnego studyum wymagałoby skrupulatne wykazanie zależności języka i wiersza Wyspiańskiego od języka i stylu Wagnera — szczególnie jego Pierścienia Nibelungu, zależności raczej szkodliwej niż zbawiennej, bo dzięki jej polski poeta narzucał polskiej mowie wiązanej obcą jej *Wucht* (polskiego określenia na to pojęcie nie ma) właściwą archaistycznemu i alliterowanemu niemieckiemu wierszowi Wagnera. Ale najsilniej wpłynął Wagner na Wyspiańskiego, zyskując w nim wyznawcę swego genialnego marzenia o wszechsztuce, zogniskowanej w teatrze. Malarz-poeta nie mógł tą ideą pogardzać, nie mógł nawet nie usiłować jej urzeczywistnić. Jego wyobraźnia, snująca wspaniałe obrazy, widziała niejednokrotnie, że ani pendzel sam ani pióro same ich w nieskażonej piękności i sile odtworzyć nie zdoła: ztąd myśl Wagnera, gdyby była nawet nie przekonała go, przyjętąby przez niego została jako nadzieja wybawienia z męki tworzenia. Wiernym jej więc pozostaje od początku do końca, z tą tylko zmianą, że zrazu, od Legendy do Bolesława Śmiałego obok poezyi punkt ciężkości leży w muzykalnych elementach, później przenosi się do czynników malarskich. W tem oddziaływaniu Wagnera na Wyspiańskiego tkwi tragiczna sprzeczność. Z jednej strony bowiem poeta pisze właściwie tylko scenaryusze dramatów, którym dopiero scena z grą aktorów, dekoracyami, maszyneryą, oświetleniem, muzyką itd. zdolną jest dać życie; z drugiej zaś strony nieznająca niemożliwości wyobraźnia poety, żąda od teatru tyle i tego, czego i ile dzisiejsza scena dać nie może, a kto wie, czy przyszła, idealna kiedykolwiek w całej pełni dać będzie mogła. Skutkiem tego nie tylko o przedstawieniu wielu jego dramatów na długo marzyć, ale tylko marzyć można, lecz w jednym szczegółowym wypadku, przy sposobności Legendy, okazało się, że autor chcąc koniecznie rzecz wystawić, musiał wdać się w kompromis z realnemi warunkami teatru, w danym razie bądź co bądź kosztem piękności i wyrazistości dramatu. Teatr uważał w teoryi za wszechwładnego pana, dla niego n. p. Dziady uscenizował niewątpliwie zadzi-

wiająco świetnie teatralnie, lecz dość swobodnie w kilku miejscach zmieniając kształt poetyckiego utworu, co bezwzględni Wyspiańskiego wielbiciele skarciliby niechybnie jako brak pietyzmu, gdyby miało dotknąć jego samego... Tutaj, gdzie rozważamy jedynie to, co istotnie zdziałał, nie ma miejsca na obszerniejsze omówienie niepomyślnych starań jego o objęcie kierownictwa krakowskiej sceny. Niechaj nam wolno będzie tylko mimochodem wyrazić przypuszczenie, że polska scena straciła na tem wiele, Wyspiański zyskał znacznie więcej: „Pegaz w jarzmie“, to widok zawsze przykry; w tym wypadku do wzruszającej tragedyi życiowej, z innego źródła pochodzącej, byłoby się przyłączyło mniej podniosłe codzienne udręczenie...

* * *

Wyspiański, gdy wrócił do Krakowa i wystąpił po raz pierwszy na polu literackiem, był więc sumą zanalizowanych danych z Krakowa wrażeń zachodnich (z zastrzeżeniem powyżej zrobionem) i oczywiście tej niewymiernej ale największej liczby, która była wrodzonym jego geniuszem. Teraz przybywa do tego już nie wiele. Najmniej w dziedzinie narodowych nowych myśli. Nie znaczy to, by nie były się one w tym czasie, koło r. 1895 i po nim, rozwijały; owszem ewolucya ich dokonywała się w kierunku od dawnego „stańczykostwa“ do nowego „wszechpolskiego“ *credo*. Ale on sam na te przemiany był mało wrażliwym, raz dlatego, że zbyt był duchowym samotnikiem, by iść z tłumem, (tłum szedł za nim), powtóre dlatego, że w narodowym poglądzie podlegał nie ewolucyi ale rozwojowi własnych idei, które wywiózł z Krakowa, a których symbolem w oczach naszych jest r. 1869 i otwarcie grobu Kazimierza Wielkiego. Jest on może jedynym z naszych, przez ogół czczonych poetów, który żyje obok nas, ale zdala od naszych bieżących spraw, choćby najważniejszych: nie ma nikogo innego, obok którego byłyby przeszły tak bez śladu w poezyi wszystkie koleje Polski w ostatnich latach, od rugów pruskich przez rewolucyę w Rossyi i Królestwie aż do nowych katastrof w Poznańskiem — przyczem zastrzegamy się, że nie myślimy tu bynajmniej o okolicznościowych poezyach, lecz o tych przejściach i przemianach narodowego uczucia, których doznał każdy z nas przez tę parę lat a których plastycznym wyrazem była współczesna poezya, czy Sienkiewicza czy Żeromskiego lub Orzeszkowej, Kaspro-

wicza tak dobrze, jak Tetmajera lub Rydla. Wyjątek można zrobić chyba dla pytania: czem lud wiejski jest, czem będzie dla Polski. To zagadnienie, rozważane teoretycznie i praktycznie przez polskie mózgi i polskie czyny, odźwierciedliło się i w Wyspiańskim, najsilniej w Weselu i w fragmencie Piasta. (O ludu robotniczym jest wprawdzie w Wyzwoleniu mowa, lecz tylko w końcowem objaśnieniu scenicznem).

Bliższym jest już stosunek Wyspiańskiego do współczesnych prądów i zapatrywań artystyczno-literackich. Zrazu jest zewnętrznie ściśle związanym z krakowskiem Życiem: tu występuje jako illustrator, tutaj drukuje Warszawiankę i Klątwę. Ale mimo to pomiędzy nim a „Młodą Polską", zwłaszcza jej wówczas najwybitniejszym przedstawicielem, Stanisławem Przybyszewskim, wspólności duchowej dopatrzyć się nie można: oddziela go od niej i to, co zaporą było pomiędzy nim a Nietzschem, i hasło „sztuki dla sztuki", sprzeczne z jego poetycką działalnością. Zewnętrzny stosunek trwał jakiś czas, a dodajmy: Wyspiańskiemu, ściślej mówiąc, nie jemu samemu, lecz naszemu z nim pożyciu, zaszkodził: część społeczeństwa polskiego, i to nie najgorsza, patrzyła na niego jako na zaciężnego hufcu Przybyszewskiego, a raz dawszy się pozorom uwieść, trwała uparcie przy fałszywem mniemaniu nawet wtedy, gdy pierzchły i te pozory. Bo w rzeczywistości drogi Przybyszewskiego i Wyspiańskiego wiodły i społeczeństwo polskie w przeciwne strony, konsulat obu „mistrzów Stanisławów" musiał się rychło skończyć, a wiadomo, czyjem jedynowładztwem się skończył; gwiazda Przybyszewskiego gasła w miarę, jak coraz silniej jaśniała gwiazda Wyspiańskiego. I to nawet, co powszechnie uważa się za najoczywistszą spójnię pomiędzy Wyspiańskim a „Młodą Polską": kult Słowackiego, w naszych oczach nie jest nią. Śladów wpływu twórcy Króla Ducha jest może mniej, niż się zazwyczaj sądzi: rapsody powstały jako poetyckie domówienie witrażów, ze Słowackiego wzięły tylko formą stroficzną, bo sama wizya zmarłych królów gotową była w poczęciu już wtedy, gdy uczeń Matejki z ust mistrza słyszał opowiadanie o owej pamiętnej chwili r. 1869; tak samo u narodzin Legendy nie Słowackiego widzimy lecz Wagnera. Co więcej, pozwalamy sobie wypowiedzieć domysł, że Wyspiański wobec poety Słowackiego umyślnie w swych własnych dziełach nie zajmuje stanowiska, znaczenia jej dla Polski, dla narodowego ducha nie określa, ani nie rozważa: podczas gdy n. p. znamy dobrze z wielu utworów, szczególnie z Legionu, jego stanowisko wobec syntezy ducha Mickiewicza lub Krasiń-

skiego, odnośnie do Słowackiego te źródła zawodzą zupełnie, (bo wspomnienie Anhellego w Wyzwoleniu jest przelotnem). Że mimo to jest on właśnie najpodobniejszym do autora Dantyszka — z umysłu to dzieło wymieniamy — to pewna: podobnym mu temperamentem, ideą, rodzajem talentu poetyckiego, ale kto wie, czy właśnie z tego powodu, może nawet z rozmysłu, nie zbliża się do jego poezyi.

Zanalizowaliśmy dotychczas wszystkie wybitniejsze składniki, z całą świadomością tego, że w żywym organizmie poezyi Wyspiańskiego tak ściśle ich od siebie odróżnić niepodobna. Tak jest zresztą ze sztuką każdego artysty, tutaj jednak w daleko silniejszym stopniu niż gdzieindziej. Jeśli u Słowackiego co krok spotyka się „zapożyczania się" u obcych poetów tak, że jego dzieła często są przedziwną mozaiką, ręką mistrza z tysiąca zewsząd zebranych kamyczków złożoną, to poezyi Wyspiańskiego charakterystyczną cechą jest tłok wyobrażeń i pojęć, zaczerpniętych z rozmaitych źródeł kultury samowładnie przetworzonych i razem spojonych. Podziwiając w tem potęgę fantazyi, niepodobna jednak zamykać oczu na fakt, że działalność jej zbyt często wkracza w granice oszołomiającego chaosu. Pomieszanie różnorodnych wyobrażeń, łączenie kilku naraz symbolów, ucieleśnionych w danych postaciach lub zdarzeniach historycznych, mitologicznych, religijnych itd., nie może uchodzić za zaletę. Albo bowiem nic sobie przy tych chaotycznie nagromadzonych obrazach i pojęciach nie myślimy i nie przedstawiamy — a w takim razie są to tylko puste słowa i nazwy, albo każde z nich wywołuje w naszej duszy i w mózgu silny oddźwięk — a zawsze są to doniosłe wołania. — a wtedy jesteśmy pastwą szarpania nas na wszystkie strony, mątaniny beznadziejnej. Ta chaotyczność, wrodzona Wyspiańskiemu, rozwinęła się u niego nadmiernie w dalszych latach, zapewne po części skutkiem niszczącej go choroby. Jej szczytem zawrotnym jest Akropolis, gdzie „Skamander połyska, wiślaną świetląc się falą".

Dr. Józef Flach.

(Ciąg dalszy nastąpi).

Zarys dziejów edukacyjnych Polski porozbiorowej na obczyźnie.

(Ciąg dalszy).

---

4. Prócz Towarzystwa naukowej pomocy i inne organizacye polskie w Paryżu zajmowały się w pierwszych latach emigracyi wspieraniem uczącej się młodzieży polskiej. Do takich należało Towarzystwo Dobroczynności Dam Polskich w Paryżu.

Założyła je według pomysłu Hipolita Błotnickiego dn. 12. marca 1834 r. księżna Anna z Sapiehów Czartoryska. Ustawę Towarzystwa napisała Klementyna z Tańskich Hoffmanowa. Głównym celem Towarzystwa było zapobieganie cierpieniom i nędzy Polaków na emigracyi, a w szczególności zamierzało Towarzystwo nieść pomoc chorym, opiekować się wdowami i sierotami emigrantów, wspierać starców, kaleki i tych, co rządowych zasiłków nie otrzymali, obmyślać będącym w niedostatku środki zarobku, dawać zapomogi na rozpoczęcie jakiego sposobu życia itd.

Towarzystwo składało się z prezydującej, z sekretarki, z członków t. j. dam polskich, które sobie miano „sióstr" obrały, z dystrybutorów i lekarzy. Pierwszą prezydentką była księżna Anna Czartoryska: po jej śmierci objęła kierownictwo jej córka hr. Izabela Działyńska; obecnie stoi na czele tej instytucyi emigracyjnej,

jednej z niewielu, które ocalały do dziś dnia, Aleksandra z Wołowskich Leonowa Faucher.

Pierwszą sekretarką była Hoffmanowa. Na pierwszej liście sióstr zapisane były panie: księżna Ogińska, L. Platerowa, Rautenstrauchowa, Wołowska, Małachowska i Łuszczewska.

Dochód stanowiły: kwesty, koncerty, bazary i loterye doroczne oraz datki dobroczynne zamożniejszych emigrantów, rodaków z kraju i życzliwych cudzoziemców. W pierwszym roku było przychodu 18.000 fr. W latach następnych bywało od 20.000 do 30.000 fr. dochodu.

W łonie Towarzystwa ale niezależnie od niego skupiło się około przewodniczącej grono dam, które trudniły się zbieraniem funduszów dla wspomagania młodzieży polskiej, uczącej się w różnych zakładach naukowych w Paryżu. Samemu Towarzystwu naukowej pomocy dostarczyło Towarzystwo dam polskich w Paryżu 5.800 fr. w ciągu lat dwunastu.

Literatura i źródła. Instytucye naukowe i dobroczynne, założone i wspierane przez ks. Czartoryskich w Paryżu w czasie emigracyi, Paryż 1862. — Kronika emigr. polskiej, 1836. — Rocznik Tow. hist.-lit. za rok 1866 i dalsze.

5. Młodzieżą w szkołach specyalnych zajmowało się Towarzystwo politechniczne polskie w Paryżu, założone przez generała Bema w r. 1835. Opieka nad uczącą się młodzieżą była tylko jednem małem polem jego działania. Cele jego określiła ustawa z r. 1835. Między innemi miało Towarzystwo „przyczyniać się, ile możności, do rozwijania wszelkiego rodzaju talentów w Polakach; ułatwiać rodakom, oddającym się sztukom, kunsztom i rzemiosłom wstęp do zakładów im właściwych, oraz wynajdywać miejsca tym, którzy chcieli zarabiać udzielaniem lekcyi.

Lista członków z r. 1835 wykazywała 40 fundatorów czynnych i 18 honorowych. Między założycielami błyszczy imię Fryderyka Chopina.

Na czele tego Towarzystwa stał jego główny założyciel, generał Bem. Prócz niego do zarządu należał w r. 1836/7 jako wiceprezes kasztelan hr. Olizar i pięciu radców.

W pierwszym roku wyjednało Towarzystwo u rządu francuskiego pomoc naukową dla 60 uczniów w rozmaitych szkołach specyalnych. Pomoc ta wynosiła dla poszczególnego ucznia 75 fr.

kwartalnie prócz zwyczajnych subsydyów oficerskich po 45 fr. miesięcznie.

Byt Towarzystwa został podkopany w samym zarodku przez brak funduszów. Pierwszy rok administracyjny wykazał niedobór 4.243 fr. Towarzystwo musiało się rozwiązać.

Literatura i źródła. Kalendarz na rok 1838, Paryż 1838. — Muzeum XX. Czartoryskich w Krakowie: Materyały rękopiśmienne. — Ustawa Tow. polit. pol., zawiązanego w Paryżu dnia 15. marca 1835 (litografowana).

6. Poza Francyą tylko w Anglii organizowano w pierwszym okresie emigracyi polskiej towarzystwa, mające na celu wychowanie młodzieży polskiej a względnie udzielanie jej materyalnej pomocy.

Bardzo ożywioną i wydatną działalność w tym kierunku rozwinęło Towarzystwo Pań w Edynburgu w Szkocyi. W ciągu lat dwunastu od 1832 do 1844 dostarczyły panie edynburskie 11.336 fr. samemu Towarzystwu Naukowej Pomocy w Paryżu, za co im wyrażano w dorocznych sprawozdaniach serdeczną wdzięczność.

Literatura i źródła. Materyały rękopismienne w Muzeum XX. Czartoryskich w Krakowie. — Zob. nadto wykaz literatury pod I. 3.

7. W Londynie dzięki zabiegom ks. Adama Czartoryskiego zawiązało się w r. 1832 Towarzystwo literackie przyjaciół Polski (Literary association of the friends of Poland), które dotąd wegetuje.

Głównym jego celem było poznanie przeszłości Polaków. Obok tego popierało Towarzystwo emigrantów polskich materyalnie i moralnie niezależnie od pomocy rządowej, którą im przyznał parlament angielski, a którą Towarzystwo szafowało. Założycielem i pierwszym prezesem tego Towarzystwa był lord Dudley Coutts Stuart.

Sekretarzami polskimi w Towarzystwie byli kolejno: dr. Krystyn Lach Szyrma, niegdyś profesor filozofii w uniwersytecie warszawskim, a później pułkownik w gwardyi dyktatora Chłopickiego, major Szulczewski, Naganowski, Jardowski i obecnie ks. Lach-Szyrma, syn pułkownika.

Według brzmienia statutu niosło Towarzystwo pomoc materyalną głównie wychodźcom polskim wiekowym, ale także i ich dzieciom (affording education to their childern). Umieszczało je w szkołach angielskich, dając im przy tem odpowiednie zapomogi.

W r. 1853 Towarzystwo to miało dochodu 876 f. sterling.[1]) Z tego wydało na stałe zapomogi dla dziesięciu osób, między niemi ośmioro dzieci, 57 f. st., a na wychowanie 1 chłopca 20 funt. st.

W odezwie z r. 1886, podpisanej przez honorowego sekretarza Williama Lloyd Birkbeck'a i sekretarza polskiego, Edmunda S. Naganowskiego, odniosło się Towarzystwo z prośbą o wsparcie potrzebne „dla ogromnej i codzień się zwiększającej liczby biednych Polaków, wystawionych na najokropniejszą nędzę w ulicach Londynu i kilku innych miast w Anglii".

Żyło jeszcze wtedy 16 weteranów z r. 1831, do nich przybyli biedni Polacy po r. 1848, po wojnach węgierskiej i krymskiej, po roku 1863/4 i po ostatniej wojnie rossyjsko-tureckiej. Do nich przyłączyły się nieszczęśliwe ofiary germanizacyjnej polityki rządu pruskiego. Między ostatnimi było sporo wyrostków w 16—20 latach, którzy jeszcze nie pokończyli edukacyi. I ci byli przedmiotem opieki Towarzystwa.

L i t e r a t u r a i ź r ó d ł a. K r ó t k i r y s wypadków, zaszłych w Ogóle emigracyi polskiej w Londynie, Londyn 1834. — M a t e r y a ł y rękopiśmienne w Muzeum XX. Czartoryskich w Krakowie. — O d e z w a Tow. Przyj. Polski, Paryż 1886. — S p r a w a młodej emigracyi polskiej po r. 1848 w latach od 1850—1851 do Anglii przybyłej, Londyn 1852. — U s t a w y Tow. polskiego w Londynie, Londyn 1886. — W i a d o m o ś c i listowne, udzielone mi przez panią Zofię Pace'ową i przez Wielebnego księdza Lacha-Szyrmę w Londynie, którym tu składam gorące podziękowanie.

8. Do roku 1852 nie było jednak w Anglii żadnego polskiego zakładu naukowego, chociaż zakład taki był tam bardzo potrzebny. W Anglii było wielu ubogich wychodźców polskich, pracujących ciężko na kawałek chleba, których dzieci nie miały żadnej opieki i pomocy. Towarzystwo Literackie Przyjaciół Polski zajmowało się dziatwą tylko ubocznie i udzielało pomocy tylko dzieciom, zrodzonym z ojca i matki Polaków. Tymczasem stwier-

[1]) Funt sterling = około 25 koron austryackich.

dzono, że liczba dzieci polskich, zrodzonych z Angielek wynosiła w samym Londynie 97, a w Portsmouth 26. Tą dziatwą zajęło się grono Polaków zamożniejszych i założyło z początkiem roku 1852 dwie szkółki: jednę na West-End, a drugą na City, w punktach, gdzie najwięcej Polaków mieszkało. Nauka była bezpłatna, a dzieci uczyły się czytać, pisać, początków arytmetyki i geografii. Po kilku miesiącach pokazało się, że rezultaty były pomyślne. W szkółkach było 30 uczniów i uczennic.

Po tych pomyślnych początkach zawiązało się dnia 11. kwietnia 1852 r. Towarzystwo Naukowej Pomocy dla dzieci emigrantów polskich w Anglii.

Na czele Towarzystwa stanęła Rada, złożona z prezydującej Maryi Falkenhagen-Zaleskiej i wiceprezydującej K. Giełgudowej i siedmiu członków; między nimi był major J. Giełgud i Piotr Falkenhagen-Zaleski jako kasyer.

Według ustawy, wydanej z chwilą założenia, celem Towarzystwa była edukacya dzieci emigrantów polskich, tych mianowicie, którzy się sami nie mogli tem zająć.

Towarzystwo prócz szkoły polskiej w Londynie, urządziło później podobne zakłady w Portsmouth i w innych miejscowościach Anglii.

Do programu szkółek polskich zamierzano wprowadzić: zasady religii i moralności, język polski, angielski, francuski i niemiecki, kaligrafię, arytmetykę i geografię, historyę polską i angielską, oraz rysunki i śpiew. Oprócz tego dziewczęta miały się uczyć szycia i innych robót kobiecych.

Nowe Towarzystwo odniosło się od razu do ofiarności publicznej. Do Towarzystwa mogli należeć Polacy i cudzoziemcy. Wkładka wynosiła 1 funt st. na rok. Towarzystwo przyjmowało prócz tego ofiary w gotówce, odzieży itd.

O założeniu internatu własnego w Anglii nie mogło marzyć z powodu braku funduszów.

Walczyło też Towarzystwo z brakiem odpowiednich polskich nauczycieli.

W r. szkolnym 1852/3 korzystało z pomocy Towarzystwa razem 70 dzieci, z tych w Londynie 45, a w Portsmouth 14, reszta po kilkoro w innych miejscowościach.

Zdolniejsze dzieci, zarówno chłopców jak dziewczęta, wysyłało Towarzystwo do Paryża, bądź to do szkoły batyniolskiej,

bądź też do Hotelu Lambert, bądź do innych zakładów naukowych.

W r. 1857 było na koszcie Towarzystwa ośmnaścioro dzieci, a mianowicie siedmiu uczniów w szkole batyniolskiej i dwie panienki u jakichś zakonnic w Paryżu, a w Anglii w szkołach dziewięcioro dzieci.

Towarzystwo doznawało wydatnego poparcia ze strony pp. Maryi i Piotra Falbenhagen-Zaleskich, którzy się jednak z niego usunęli w r. 1857. Towarzystwo miało uledz reorganizacyi.

Towarzystwo rozporządzało funduszem anonyma, który przynosił rocznie 2.850 fr. Wystarczało to na utrzymanie 7 uczniów z emigracyi angielskiej w Szkole batyniolskiej w Paryżu. Fundusz ten przeszedł w r. 1857 na rzecz tejże szkoły z zastrzeżeniem, aby go głównie obracano na cele edukacyi dzieci emigrantów polskich w Anglii.

L i t e r a t u r a i ź r ó d ł a. A s s o c i a t i o n for promoting the instruction of young polish exiles, 1852. — L i s t o w n e informacye z Anglii. — R a p o r t Rady Tow. Nauk Pomocy w Anglii, Londyn 1858. — T o w a r z y s t w o Nauk. Pomocy dla dzieci emigr. polskich w Anglii, Londyn 1852. — U s t a w a Tow. Nauk. Pom. dla dzieci emigr. pol. w Anglii, Londyn 1852. — Z d a n i e sprawy Rady Tow. Nauk. Pom. dla dzieci pol. w Angli (1853).

9. Bodaj krótka wzmianka należy się projektom portugalskim.

Generał Bem zawarł w imieniu legii polskiej w Portugalii z Don Pedrem, księciem Bragancyi, rejentem w zastępstwie królowej Maryi II. portugalskiej konwencyę, mocą której Polacy mieli wstęp do armii portugalskiej jako samoistna legia królowej Maryi a w zamian za to mieli wejść w posiadanie wszelkich praw obywatelskich, jakich tylko cudzoziemcy naturalizowani używać mogą.

Między innymi 24 młodych Polaków miało być przypuszczonych do szkoły marynarki a po skończonych naukach wszyscy mieli być przyjęci do służby morskiej na tych samych warunkach, co rodowici Portugalczycy.

Legia miała od razu wziąć udział w wojnie, prowadzonej wtedy przez Don Pedra. Emigracya paryska, a w szczególności Towarzystwo litewskie i ziem ruskich podniosło głośny protest. Sprawa pozostała w dziedzinie projektów.

L i t e r a t u r a i ź r ó d ł a. P o l a c y w Oporto, Paryż 1833.

II.

Szkoła polska batyniolska w Paryżu.

Treść: 1. (1842—1844). Towarzystwo wychowania narodowego dzieci wychodźców polskich. — Program szkoły. — Rada szkoły. — Dyrektor W. Kraiński. — Hojny dar J. Ledóchowskiego. — Szkoła polska w pensyonacie Chapusot'a w Châtillon sous Bagneux 1842. — Szkoła polska w Paryżu przy ul. Fossés St. Jacques 1844. — Dyrektor Ksawery Bronikowski. — Organizacya szkoły. — Profesorowie. — Statut Towarzystwa. — Organizacya Rady. -- Skład Rady. — Instrukcya dla dyrektora. — Przepisy dla rodziców.

2. (1844—1848). Szkoła polska na Batignolles. — Mała burza. — Nowa organizacya szkoły 1845. — Cała nauka tylko w samym zakładzie. — Program naukowy. — Dyrektor ks. Dąbrowski. — Subwencya rządowa. — Stanisław Malinowski mistrzem studyów. — Malinowski dyrektorem prowizorycznym. — Ustępuje. — Nowa burza. — Niesłuszne zarzuty. — Rozwój szkoły. — Nowe subsydya rządu francuskiego dla nowych 50 uczniów. — Rozszerzenie gmachu szkolnego. — Główni promotorowie szkoły. — Rozrost szkoły w cyfrach. — Dyrektorem Hipolit Klimaszewski. — Rok 1848.

3. (1848—1870). Rada odnowiona. — Miskiewicz w Radzie. — Dr. Seweryn Gałęzowski. — Szkoła w własnej realności. — Dalsze powiększenie gmachu szkolnego. — Bohdan Zaleski. — Julian Klaczko. — Inni członkowie Rady z przed roku 1870. — Członkowie honorowi Rady. — Ofiary na rzecz szkoły. — Subwencya rządowa. — Protektorem szkoły książę Napoleon Bonaparte. — Szkoła uznana za zakład użyteczności publicznej. — Nowy statut szkoły. — Zakres działania Rady. — Majątek i dochody szkoły. — Organizacya szkoły. — Dyrektor. — Inspektor i egzaminatorowie. — Dozór ze strony rządu. — Statystyka uczniów. — Budżet wydatków. — Dymisya dyrektora Klimaszewskiego. — Dyrektor Malinowski. — Personal nauczycielski. — Reforma szkoły w r. 1852. — Reformy liceów francuskich z r. 1852. — Organizacya szkoły po reformie. — Nauczanie przedmiotów polskich. — Wychowanie narodowe. — Reforma nauki języka polskiego. — Rok 1861. — Nagrody za dobre postępy w języku polskim. — Biblioteka szkolna.

4. (1870—1908). Rok 1870. — Stowarzyszenie byłych uczniów szkoły polskiej w Paryżu. — List jego do Rady w sprawie utrzymania szkoły. — Rada po r. 1870. — Sprawozdanie Rady za czas od 1.

paźdz. 1869 do 30. września 1872 r. — Wybitni dobrodzieje szkoły. — Statystyka byłych uczniów szkoły. — Sprzedaż dawnej realności. — Szkoła w nowym własnym budynku na Batignolles. — Część biblioteki złożono w Kurniku. — Dzisiejszy materyalny stan szkoły. — Rada szkolna. — Dr. Ksawery Gałęzowski. — Skład Rady dzisiejszy. — Zasługi dyrektora Malinowskiego. — Dyrektorowie: Stępiński, Saniewski, Różycki, Budzyński. — Frekwencya zakładu. — Wychowanie narodowe i społeczne. — Zmiany w organizacyi szkoły z roku 1890/1. — Zakończenie. — Literatura i źródła.

1. Przewidywany upadek Towarzystwa Pomocy Naukowej i dokonane już cofnięcie zasiłków założonym przez nie szkołom, skłoniło emigracyę francuską, zamieszkałą zwłaszcza w Paryżu, do podjęcia nowej akcyi szkolnej.

Myśl zakiełkowała w ciasnem kółku. Głównymi jej promotorami byli były poseł na sejm Henryk Nakwaski, i były inspektor szkół Królestwa polskiego, Wincenty Kraiński. Po dłuższych naradach zawiązało się dnia 16. maja 1841 roku „Towarzystwo wychowania narodowego dzieci wychodźców polskich“.[1]) Akt założenia podpisali: Generał Józef Dwernicki; poseł i były minister skarbu Królestwa polskiego Alojzy Biernacki; poseł Wincenty Tyszkiewicz; poseł Wincenty Chełmicki; poseł Henryk Nakwaski; marszałek Leon Stempowski; Wincenty Kraiński; Antoni Górecki; Stefan Niezabitowski i Antoni Michalski.

Pierwszem zadaniem Towarzystwa było zebranie funduszów. Dnia 22. maja 1841 roku wystąpiło Towarzystwo z „uwiadomieniem“ czyli odezwą, w której uzasadniało potrzebę założenia szkoły polskiej na emigracyi.

Jedne dzieci wychodźców polskich przybyły do Francyi, nie znając ojczystej ziemi, inne zrodziły się na ziemi francuskiej po wielkiej części z matek cudzoziemek. Jedne i drugie, wychowywane wśród cudzoziemców bez opieki narodowej, wynarodowiłyby się i przepadłyby dla macierzy. Młodzież polska może się w szkołach obcych wszystkiego nauczyć, ale nie nauczy się miłości ojczyzny Polski, nie wyrośnie na Polaków, żyjących sercem

---

[1]) Pierwotnie instytucya miała mieć inną nazwę: „Stowarzyszenie ojców rodzin polskich w wychodźtwie“.

i duszą tylko życiem Polski, kochających ją tem więcej, im jest nieszczęśliwszą.

Na to potrzeba wychowania narodowego: „potrzeba w każdem uczuciu dotykać Polski, w każdej myśli ją pojmować, w każdym wyrazie pić miłość do niej; potrzeba żyć wśród swoich, mówić językiem rodzinnym, uczyć się na przeszłości swojego kraju, kształcić się jedynie dla jego przyszłości, stosownie do jego potrzeb“.

Towarzystwo wychowania narodowego powstało właśnie z zamiarem dostarczenia dzieciom wychodźców polskich narodowej części wychowania, chciało ułatwić im to wychowanie, założyć w Paryżu szkołę, która miała nosić nazwisko: Szkoła narodowa wychodźtwa polskiego, a której jedynym celem miało być: wychowywać dzieci w duchu najczyściej narodowym, na Polaków, jakich Polsce potrzeba.

Oprócz tych nader ważnych pobudek, Towarzystwo miało jeszcze inne, o których mówi w pierwszem sprawozdaniu ogólnem, z dnia 8. lutego 1844 roku. Obraz wychowania publicznego w samej Polsce był wtedy bardzo smutny. Na całym obszarze Polski nie było wtedy „szkoły prawdziwie narodowej, nauki szczerej, wychowania prawdziwie człowieczego“; nieprzyjaciele tępili i niszczyli nasz język w szkołach, krzywili na swoje kształty serca i pojęcia młodzieży, obchodzili się z nią po barbarzyńsku; otóż w tej dla narodu krytycznej epoce Towarzystwo chciało stworzyć szkołę narodową, szkołę rządzącą się zupełnie innemi zasadami, niż te, któremi się kierują zakłady naukowe pod zarządem naszych wrogów.

Aby to szczytne zadanie przeprowadzić, odwołało się Towarzystwo o pomoc materyalną do ziomków na emigracyi i w kraju.

Jednocześnie z uwiadomieniem czyli odezwą rozesłano bardzo szczegółowy „Program szkoły“ wydany po polsku i po francusku.

Opiekę nad zakładem — czytamy w programie — poruczono osobnej władzy, złożonej z członków Towarzystwa, podzielonej na dwie Rady: na Radę wychowania czyli władzę zarzadzającą i na Radę opiekuńczą czyli dozorującą.

Dzieci, umieszczone w Szkole, miały w niej mieć prócz nauki także mieszkanie, ubiór, zgoła całe opatrzenie i wygody.

Roczne utrzymanie ucznia w zakładzie czyli bursę obliczono na 600 fr. prócz jednorazowej opłaty przy wstępie, wynoszącej 200 fr. Liczono utrzymanie tanio, aby ułatwić jak największej

liczbie uczniów przystęp do szkoły; spodziewano się zresztą, że oszczędności późniejsze pokryją początkowe niedobory.

Uczniowie, raz przyjęci do instytutu, pozostawali w nim, jeżeli nie zasłużyli na wydalenie, aż do zupełnego ukończenia nauk; po ukończeniu studyów w instytucie, Towarzystwo zamierzało starać się o umieszczenie celujących uczniów w wyższych szkołach wojskowych, handlowych, rękodzielniczych itp.

Zakład przyjmował dzieci od 6 do 14 lat włącznie; starsi wiekiem mogli uczęszczać jako przychodni czyli eksterniści.

Uczniów podzielono według Programu na pięć kategoryi; na takich, którzy płacili: całą bursę, 3/4, 1/2, 1/4 bursy i którzy nic nie płacili.

Uczniowie przychodni mieli opłacać 4 fr. miesięcznie za uczęszczanie na lekcye; ubogich uwalniano.

Towarzystwo liczyło głównie na poparcie ogółu polskiego, a przedewszystkiem bogatych, i zamierzało otworzyć szkołę, gdy zbierze 32.000 fr. najmniej na lat trzy zapewnionych czyli stałych dochodów, i pomieścić w niej 40 wychowańców, utrzymywanych kosztem Towarzystwa.

Rodzice, których synowie umieszczeni byli w szkole bezpłatnie, musieli Towarzystwu odstąpić subsydya, jakie na nich od rządu pobierali.

Po urządzeniu szkoły męskiej zamierzało Towarzystwo w razie możności założyć podobny zakład narodowy dla córek wychodźców polskich.

Program zapowiadał, że wszystkie nauki wykładane będą, ile możności, przez Polaków i w języku narodowym z wyjątkiem języków obcych: francuskiego, niemieckiego i angielskiego. Nauczycielom obiecano po franku od godziny.

Wybór nauczycieli należał do połączonych rad Towarzystwa.

W program nauk szkoły wstawiono pierwotnie aż 26 a względnie 27 rozmaitych przedmiotów a właściwie pozycyi, bo niektóre pozycye zawierają po dwa a nawet po trzy przedmioty.

Między innemi miały wejść do programu nauk: rysunki, geologia, chemia z manipulacyą, fizyologia z hygieną, technologia, buchalterya, ekonomia polityczna, retoryka i poetyka, architektura, nauki wojskowe z ćwiczeniami, fechtowanie, pływanie i muzyka głosowa. Język grecki i łaciński pozostawiono do wyboru.

W skład pierwszej Rady zarządzającej, wchodził jako prezes Józef Dwernicki, generał dywizyi, a jako członkowie: były wizy-

tator szkół Królestwa polskiego Wincenty Kraiński, major Antoni Gorecki, były profesor krakowski Ludwik Królikowski, poseł bracławski Mirosław Henryk Nakwaski, marszałek uszycki Leon Stempowski i generał brygady Franciszek Sznajde.

Do Rady dozorującej należał jako prezes dawny minister skarbu Kr. pol. Alojzy Biernacki, a jako członkowie: poseł praśnicki Wincenty Chełmicki, były deputat sądu głównego wołyńskiego dr. Cyryl Grodecki, poeta Seweryn Goszczyński, Andrzej Słowaczyński i Wincenty hr. Tyszkiewicz.

Zjednoczone Rady wyjednały od razu zezwolenie ministra oświecenia na otwarcie szkoły, a Uniwersytet Francyi zamianował pierwszym dyrektorem mającej się założyć szkoły, członka Rady d-ra praw, byłego generalnego wizytatora szkół Król. pol. Wincentego Kraińskiego.

Tymczasem na ogół biorąc, emigracya przyjęła i odezwę i program szkoły dość obojętnie, a nawet po części nieprzychylnie. Składki, zebrane poza członkami, przyniosły z początku zaledwie sto franków. Ale przedsięwzięciu sprzyjał los.

Poseł Jan Ledóchowski odziedziczył w tym czasie kilkamilionowy majątek i ofiarował z tego spadku na rzecz szkoły 50.000 złp., umożliwiając w ten sposób otwarcie projektowanej instytucyi, której i ze względu na jej doniosłe znaczenie i ze względu na jej typowy rozwój poświęcimy wyjątkowo więcej miejsca, aniżeli innym zakładom na wychodźtwie.

Ofiarodawca Ledóchowski był osobistością z wielu względów ciekawą. Z urodzenia arystokrata, był w życiu politycznem gorącym demokratą. Jako poseł na sejm z r. 1830/1 gorąco przemawiał za detronizacyą cara Mikołaja I., jako króla polskiego. Wymową porywał słuchaczy. Był szczodrym aż do rozrzutności, był pełnym typem lekkomyślnego szlachcica polskiego. Umarł w Paryżu w stanie graniczącym z nędzą, strwoniwszy miliony. Jemu przedewszystkiem zawdzięczało Towarzystwo, że mogło cel swój urzeczywistnić prędzej, aniżeli się spodziewało. Ledóchowski wspierał szkołę wydatnie aż do roku 1850. W uznaniu jego zasług zamianowano go pierwszym protektorem szkoły narodowej polskiej w Paryżu, do której organizacyi przystąpiono od razu.

Towarzystwo mimo tego wydatnego zasiłku nie mogło otworzyć szkoły w tych rozmiarach i z tym programem, które pierwotnie były zaprojektowane.

Ale dar Jana Ledóchowskiego pozwolił zrobić początek. Dnia 1. października 1842 roku umieściło Towarzystwo najprzód 18,

a potem 27 chłopców wychodźców polskich w jednym z najlepszych instytutów francuskich, zostającym pod kierunkiem Chapusot'a, w Châtillon sous-Bagneux o pół mili od Paryża.

Młodzież nasza stanowiła w tym instytucie oddział polski, przebrany po polsku, [1]) zostawała pod dozorem bezpośrednim nauczyciela Polaka, a oprócz nauk, spólnych całemu zakładowi, uczyła się czytać i pisać po polsku, gramatyki polskiej, historyi i geografii polskiej. Ksiądz Polak wykładał jej naukę religii w języku ojczystym, a lekarze polscy czuwali nad jej zdrowiem.

Zakład Chapusota pod wielu względami odpowiadał potrzebom naszej młodzieży, miał jednak tę niedogodność, że był cokolwiek za daleko oddalony od Paryża i że wychowanie polskie dzieci nie mogło być należycie przeprowadzone z powodu ogromnej przewagi uczniów Francuzów.

Te niedogodności trzeba było usunąć, trzeba było stworzyć instytucyę wyłącznie narodową polską. Towarzystwo przeniosło zakład polski do Paryża, pomieściło go w oddzielnym budynku i wzięło go pod swoją wyłączną ciągłą opiekę, wyjednało dla niego jako dla pensyi wyłącznie polskiej upoważnienie rządu francuskiego i urządziło tak, iżby celowi swemu, którym było wychowanie polskie, najskuteczniej odpowiadał.

Przeprowadzono szkołę do Paryża dn. 1. stycznia 1844 r. i pomieszczono ją w wynajętym dla niej budynku przy ulicy Fossés St. Jacques. Szkoła liczyła wtedy 30 uczniów internistów i 5 eksternistów. Dyrekcyę powierzono Ksaweremu Bronikowskiemu, byłemu wiceprezydentowi miasta Warszawy w czasie rewolucyi listopadowej.

Stosownie do potrzeby przygotowania i wieku uczniów, podzielono szkołę na dwa oddziały: na wyższy i niższy.

Oddział wyższy, liczący 14 uczniów, pobierał naukę w Collège Henri IV. w trzech klasach stosownie do przygotowania.

Oddział niższy, w którym było uczniów 21, uczył się na miejscu w szkole polskiej i był przedmiotem szczególnych starań pod względem polskiego ukształcenia. Nauki przedmiotów polskich udzielali prócz dyrektora dwaj miejscowi stali dozorcy młodzieży Leon Biliński i Antoni Domański, a oprócz tego Ludwik Mierosławski. Profesor Pfeifer powtarzał i objaśniał w języku polskim

---

[1]) W Muzeum XX. Czartoryskich w Krakowie jest piękna litografia, przedstawiająca tęż młodzież na przechadzce.

nauki wykładane w Collège a znany w świecie naukowym towarzysz Pestalozzego Szmid wykładał nauki matematyczne. W ogrodzie szkoły odbywali uczniowie ćwiczenia gimnastyczne. Stefan Grotkowski dawał uczniom bezpłatne lekcye muzyki wokalnej, a ks. Borkowski uczył religii.

Z systemu wychowawczego szkoły wyłączono wszelkie kary poniżające, a zakład mógł się słusznie chełpić, że był pod owe czasy jedyną szkołą, w której z młodzieżą polską obchodzono się jak z ludźmi bez żadnego nadwerężenia karności, owszem z korzyścią dla niej.

Do wewnętrznego zarządu gospodarczego szkoły i macierzyńskiej pieczy Towarzystwo wybrało Erazma Kwaskowskiego, byłego kapitana wojsk polskich i jego małżonkę.

Przy założeniu szkoły polskiej w Paryżu Towarzystwo wychowania narodowego wypracowało dla siebie statut, określający jego wewnętrzną organizacyę.

Z tego statutu wyjmuję niektóre szczegóły. Towarzystwo wychowania narodowego składało się z 15 członków czynnych z nieograniczonej liczby członków honorowych.

Członkowie czynni odtąd stanowili Radę Towarzystwa i mieli w niej równy, stanowczy głos, a mogli nimi być tylko emigranci zamieszkali w Francyi z wyłączeniem profesorów i urzędników szkoły narodowej. Rada wybierała z pośród siebie prezesa, wiceprezesa, kasyera. Na sekretarza powoływano kogoś z członków honorowych.

W myśl tego statutu wybrano prezesem Rady jenerała Dwernickiego, bohatera z pod Stoczka. Zastępcą prezesa został były minister skarbu Królestwa polskiego Alojzy Biernacki, który miał sobie zdobyć w dziejach pierwszego okresu szkoły niespożyte zasługi jako jej gorliwy opiekun, główny organizator i reformator a zarazem i profesor.

Obowiązki kasyera Rady objął generał Franciszek Sznajde.

Sekretarzem Rady zamianowany został Henryk Jaroszewski.

W skład Rady wszedł między innymi i Jan Ledóchowski.

Po ukonstytuowaniu się Rada wychowania narodowego wydała szczegółową „I n s t r u k c y ę d l a d y r e k t o r a s z k o ł y n a r o d o w e j“. Ważny to dokument pedagogiczny. Omówię go obszerniej razem z inną literaturą pedagogiczną emigracyjną. Tu wyjmuję z niego jedynie to, co potrzebne do zrozumienia organizacyi szkoły.

Instrukcya nie krępowała swobody dyrektora, pozostawiając mu wolną rękę w tem wszystkiem, co się tyczyło urządzenia wewnętrznego szkoły, zaprowadzenia w niej porządku, karności i harmonii, rozkładu nauk, klasyfikacyi uczniów, podziału zatrudnień i ćwiczeń, jednolitego toku instrukcyi i stosowania najwłaściwszych metod uczenia.

Za czynności swe dyrektor był odpowiedzialny przed Radą.

„Przepisy dla rodziców, wydane jednocześnie z Instrukcyą dla dyrektora, zapowiadały, że dzieci, pozbawione opieki rodzicielskiej, mogą przedewszystkiem ubiegać się o przyjęcie do szkoły. Osoby, płacące bursę całkowitą, wynoszącą odtąd dla dzieci wychodźców 700 fr. a dla dzieci niewychodźców 800 fr., miały prawo przedstawiania własnych kandydatów. Eksterniści mogli uczęszczać do szkoły bezpłatnie z pewnemi zastrzeżeniami. To pierwszy okres dziejów szkoły batyniolskiej (1842—1844).

2. Nowe zmiany niekoniecznie były dobre. Okazało się, że uczniowie polscy, posyłani do liceum Henryka IV., nie korzystali należycie z nauki z powodu niedostatecznego przygotowania, a w samej szkole chwytano się nieproduktywnych metod naukowych. Okazało się też, że utrzymanie zakładu w centrum Paryża przechodzi możność materyalną emigracyi.

Przytem zmiana statutu Towarzystwa budziła w pewnych sferach niezadowolenie. Statut pierwotny z r. 1841 dopuszczał do wpływów na szkołę i do kierowania jej losami wszystkich ojców rodzin emigracyi. Statut nowy z r. 1843 oddawał zakład pod opiekę i kierownictwo tylko 15 czynnych członków Towarzystwa, z pośród których wyłączył profesorów i urzędników szkoły. Chodziło reformatorom o uchronienie szkoły od chwiejnej polityki rozmaitych partyi politycznych; ale reformy te nie podobały się opozycyi.

Opozycya, pozbawiona tym sposobem wpływów na szkołę, chwyciła za inną broń: zarzuciła Radzie szkolnej cały szereg nadużyć w sprawie nauczania, rachunkowości i administracyi. Wywiązała się przykra polemika. Sprawa wytoczyła się przed ministra oświaty. Rada szkolna wyszła z walki zwycięsko. Minister przysłał na prośbę Rady wizytatora swego do szkoły, osobę zaufaną i fachowo wykształconą, przekonał się, że zarzuty, czynione szkole, są bezpodstawne i surowo nakazał opozycyi przez prefekta policyi paryskiej milczenie.

Po tej burzy dokonała Rada rozmaitych zmian i reform. Ze względów oszczędnościowych przeniesiono szkołę z śródmieścia

na przedmieście Paryża. Dyrektorowi, który sobie uzurpował więcej praw, aniżeli mu przyznawała Instrukcya, dano dymisyę i zamianowano w jego miejsce dyrektorem ks. Dąbrowskiego, magistra teologii Uniwersytetu warszawskiego, byłego kapelana wojsk polskich, osobistość na emigracyi lubianą.

Posyłanie uczniów do zakładów francuskich wstrzymano, wszyscy mieli odtąd pobierać naukę w samej szkole.

Szkoła przeniosła się na przedmieście Batignolles dn. 8. paźdz. 1844 r i odtąd nosi miano batyniolskiej; a nowa organizacya szkoły weszła w życie dnia 1. stycznia 1845 roku. Naukę rozdzielono na lat sześć. Liczba uczniów dobiegła do 65 internistów i trzech eksternistów.

W program nauki wchodziła odtąd: religia, łacina i greka, język francuski, historya i geografia, arytmetyka i geometrya, historya naturalna i fizyka, rysunki odręczne, architektoniczne i topograficzne, kaligrafia, śpiew i gimnastyka.

Z przedmiotów polskich prócz śpiewu polskiego uczono: języka polskiego, literatury i historyi polskiej.

Program szkoły obejmował więc, mówiąc krótko, przedmioty wykładane w ówczesnych kolegiach francuskich, a prócz tego przedmioty polskie.

Szkoła polska przyjęła, dla tego program kolegiów francuskich, aby jej wychowankowie na wypadek przedłużania się pobytu za granicą po wyjściu z szkoły polskiej, mogli kontynuować nauki w szkołach specyalnych francuskich w zawodzie cywilnym lub wojskowym. W tym też celu uzupełniono plan naukowy językami angielskim i niemieckim.

Byt materyalny szkoły zaczął się utrwalać coraz silniej. Rząd francuski przyznał był zakładowi polskiemu roczną subwencyę w kwocie 1.000 fr., którą wnet podwyższył do 2.000 fr., potem do 7.200 fr., a przy otwarciu szkoły w nowym lokalu do 22.500 fr., zaokrągloną wnet do 23.000 fr. na utrzymanie 50 uczniów. Ofiary prywatne nadpływały regularnie i wcale obficie, zwłaszcza z Poznańskiego.

Grono nauczycieli, znacznie powiększone, składało się w części z emigrantów polskich, a w części z ukwalifikowanych nauczycieli szkół publicznych.

Nad młodzieżą zamieszkałą w internacie czuwało dwóch mistrzów studyów. W charakterze takiego mistrza wszedł do zakładu po raz pierwszy w styczniu r. 1845 Stanisław Malinowski, który miał w dziejach szkoły niebawem odegrać tak ważną rolę.

Stanisław Malinowski, urodzony w r. 1812 w Królestwie polskiem, ukończył świetnie studya w szkole wojewódzkiej kieleckiej z świadectwem dojrzałości w r. 1828 i udał się na nauki do Uniwersytetu warszawskiego. Studya przerwał z powodu powstania listopadowego, w którem wziął czynny udział. Po upadku powstania emigrował do Galicyi, gdzie rozwijał energiczną czynność agitatorską i brał żywy udział w tajnych naradach politycznych rozmaitych towarzystw. Zetknął się tu i zaprzyjaźnił z rozmaitemi głośniejszemi osobistościami. Śgigany przez policyę wyjechał z Galicyi w r. 1838 razem z Sewerynem Goszczyńskim, Lucyanem Siemieńskim i innymi.

Przybywszy do Paryża, wziął Malinowski od razu czynny udział w życiu politycznem i w pracach emigracyi. Zalecony przez Leona Bilińskiego, profesora szkoły polskiej, przyjaciela swego, z którym konspirował w Galicyi i obcował w Paryżu i w Wersalu, zajął Malinowski stanowisko w szkole polskiej. na razie dozorcy i mistrza studyów.

Malinowski nie nadawał się na ten posterunek o tyle, że nie znał języka niemieckiego i angielskiego, ale za to odznaczał się wybitnemi zdolnościami pedagogicznemi, był dobrym wychowawcą. Energia, zjednoczona z spokojem, jednały mu poważanie u uczniów, a sumienne spełnianie obowiązków uznanie ze strony przełożonej Rady, któremu ona niebawem miała dać praktyczny wyraz.

Pomiędzy Radą a dyrektorem szkoły, ks. Dąbrowskim, przyszło do poważnych nieporozumień. Rada usunęła go, a zamianowała w jego miejsce, dnia 9. lutego 1846 r. dyrektorem prowizorycznym właśnie Stanisława Malinowskiego. Na tem stanowisku pozostał Malinowski jednak bardzo krótko, bo zaledwie do końca r. szk. 1846/7.

Ustąpił z własnej woli, zatrzymawszy nadal stanowisko ochmistrza studyów. Pobudki ustąpienia były rozmaite ale niekoniecznie słuszne.

Z końcem roku szkolnego 1846/7 uczniowie najwyższej czyli szóstej klasy, ukończywszy studya programem przepisane, mieli przystąpić do egzaminu bakalarskiego z nauk klasycznych albo do egzaminu w szkole centralnej. Uczący orzekli, że znaczna część kandydatów nie była należycie przygotowana, zwłaszcza do egzaminu z matematyki w szkole centralnej. Profesor matematyki wystąpił z wnioskiem, aby klasę najwyższą odtąd podzielić na dwa oddziały i aby w jednym przygotowywać uczniów do egzaminu

baccalauréat-és-lettres, a w drugim do szkoły centralnej więcej w kierunku techniczno-realnym. Wniosek ten upadł mimo poparcia dyrektora Malinowskiego. To był jeden z powodów jego rezygnacyi.

Przy tej sposobności zerwała się nad szkołą nowa burza. W toku walki zarzuciła opozycya, że „atmosfera wyższa szkoły nie jest religijną“, a raczej że „jest religijną na swój sposób“. Głoszono, że „Rada wychowania, kierująca szkołą, w większej połowie składa się z członków Towarzystwa demokratycznego, więc i cały prawie urząd szkolny należy do tego związku“; słowem, że szkoła batyniolska przeszła pod kierunek Towarzystwa demokratycznego. Bez podania powodów wysnuła opozycya z tych premis wniosek, że demokratyczny kierunek szkoły „wywiera szkodliwy wpływ nie tylko na ukształcenie religijne, lecz także na ukształcenie obywatelskie“.

Były to zarzuty wręcz wysane z palca, całkiem niezgodne z rzeczywistym stanem rzeczy. Rada zajmowała stanowisko szczerze religijne i wybitnie narodowe i w tym duchu prowadziła szkołę. Polityki w zakładzie nie uprawiano. Niedostatki zaś wspomniane w przygotowaniu do egzaminów końcowych przypisać trzeba dawniejszym anormalnym warunkom, w których się uczniowie znajdowali. Obecnie dokonywał się powolny ale stały rozwój zakładu pod każdym względem. Towarzystwo powoływało coraz lepszych profesorów, powiększyło bibliotekę, kompletowało zbiory naukowe, urządziło laboratoryum chemiczne, jednem słowem zaopatrzyło zakład w wszystkie niezbędne środki naukowe.

Pierwsze egzamina w zreorganizowanej szkole wypadły wcale pomyślnie.

Równolegle z rozwojem naukowym dokonywał się rozwój materyalny szkoły. Mobilia jej, zabezpieczone w r. 1846 w Towarzystwie ogniowem, oszacowano, nisko licząc, na 100.000 fr.

Dla pomieszczenia zwiększającej się ciągle liczby uczniów w r. 1846 rozszerzono znacznie lokalności szkoły.

Ten piękny, pierwszy rozwój zawdzięczała szkoła głównie pracom, staraniom i zabiegom Alojzego Biernackiego, generała Dwernickiego i posła Ledóchowskiego. Oni głównie przyczynili się do położenia trwałych fundamentów egzystencyi i wzrostu szkoły przez wyrobienie u rządu francuskiego stałej pomocy na utrzymanie bezpłatne w szkole 100 uczniów i przez spieszne dokonanie pierwszej jej organizacyi.

Z Francuzów skuteczne poparcie zawdzięczała szkoła Pailletowi, szefowi bióra wychodźców politycznych przy ministeryum spraw wewnętrznych; deputowanym Izby francuskiej Vavin'owi i Lasteyriemu, dawnemu profesorowi i dyrektorowi nauk w Szkole politechnicznej oraz inspektorowi Szkoły polskiej z strony ministra spraw wewnętrznych Moyencourt'owi.

Antoni Karbowiak.

(Ciąg dalszy nastąpi).

Wycieczka do Parany

(stanu rzeczypospolitej Brazylii).

Dziennik podróży.

(Ciąg dalszy).

19. sierpnia. Dalszy ciąg podróży morskiej do Neapolu.

Następnego dnia zamieszanie od samego rana dochodzi do ostatnich granic. Jeden głupiec, widząc od paru dni szczere moje zabiegi około emigrantów, wyzyskuje po swojemu moją dobrą wolę grożąc. że skoro nie dostanie zaraz więcej kawy, to rzuci dzieci do wody, aby już raz skończyły z tym głodem. Poradziłem mu, aby zaczął od siebie wodą morską głód zaspakajać.

Zasiadam znów z komisarzem do tworzenia nowego spisu osób, poczem nakłaniam energicznie do zgody, dowodząc, że narażamy się na wstyd i najgorszą opinię w obec „Talianów" (Włochów). Jeszcze przy rozdawaniu kawy niezgoda zaznaczała się silnie. Starałem się ją łagodzić, używając wszelkich środków, które zdawały mi się do tego celu prowadzić. Istotnie też już przy obiedzie zauważyłem z wielkiem swem zadowoleniem większą harmonię pomiędzy nimi. Jakoż przekonałem się, że nie rzucam grochu na ścianę i że wcale nie poszły w las moje namawiania, nawoływania

i łajania. Uspokoili się znacznie, tylko 2 rodziny a raczej 2 głowy rodzin (o ile o głowach przy bezdennej głupocie może być mowa), jedna o historycznym dźwięku „Mazepa“ i druga o mniej skomplikowanem nazwisku „Hadada“, nie mogły się w żaden sposób pojednać ze sobą i nie podobna było ich nakłonić do wspólnego biesiadowania.

Nie było dla mnie prawie chwili odpoczynku. Czas miałem niezgorzej zajęty. Od 7 do 9 rano i od 3 do 5 po południu musiałem być codziennie tłómaczem lekarza i chorych. Zaręczam zaś, że napracowałem się przytem znacznie więcej niż doktór a prócz tego w sprawach wszelkich tak drobnych, jako i ważniejszych, przychodzili do mnie o poradę, niewyłączając starych bab, w dolegliwościach najpoufniejszych. Znużony bardzo, umykałem do kryjówek takich, że mnie nikt nie mógł odnaleźć; przez krótki przeciąg ten czasu przynajmniej, żywo odczuwałem jaka to jest rozkosz, samotność i spokój.

Skutkiem zapewne poprzedniego denerwującego trybu życia, a przedewszystkiem w następstwie zmęczenia dni poprzednich i gorączkowego pisania listów wśród skarg i przekleństw dopełniła mi się miara znużenia. Pisać zaś listy musiałem, aby je nazajutrz w Neapolu rzucić do skrzynki; Neapol jest bowiem ostatnią stacyą okrętu naszego w Europie: następna dopiero będzie za jakie 10 dni na wyspie św. Wincentego archipelagu przylądka Zielonego (capo Verde) na samym środku Atlantyku.

Pod wieczór już z bólu głowy i gorączki nie mogłem prawie kreślić piórem, listy przeto musiały być niedokończone. Walczyłem jednak zawzięcie z napadającą mnie sennością, aby zobaczyć w nocy wybuchający Wezewiusz. Dla roztrzeźwienia się zagadywałem swych towarzyszy, badając, jakie wrażenie robi na nich podróż. Oni zaś wypytywali się, czy brzeg, który ciągle widać z daleka po lewej stronie biegu statku, to wciąż Włochy. Gdy odparłem, że to dopiero ich połowa, dziwili się niezmiernie nad ogromem tego kraju, mówiąc: „Co to za potężne państwo być musi“. Nie znali jeszcze wcale obszarów amerykańskich; nie domyślali się, że niezadługo brzegami Brazylii lub Argentyny, wypadnie każnemu z nich jechać całemi tygodniami a nie jakieś 2 doby zaledwie.

Minęliśmy tymczasem wyspę Ischia już dobrze po zachodzie słońca. Z nastaniem ciemności nocnych cisza zapanowała na statku. Była to noc południa cudowna, boska, pełna tajemniczych błękitów i księżycowych półświateł. Czar takiego otoczenia zrobił na

mnie wrażenie potężne, nie przypuszczałem, żebym w ogóle był zdolny wpaść w taki zachwyt przez samo napawanie się widokiem niewyraźnym wód i nieba. Oparłszy się więc o barjerkę parostatku, stałem nieruchomy... bodaj zahipnotyzowany. Morze było niezwykle spokojne tak, że statek posuwał się po ciemnym granacie jego wód, jak po rzece lub spokojnem jeziorze. Wszystko wydawało mi się unieruchomione, majestatyczne, wspaniałe; tylko ruch maszyny udzielał lekkich dreszczy okrętowi. Jednakże ognia wulkanicznego od Wezuwiusza nie mogłem się doczekać. Zawiedziony, udałem się na spoczynek.

Sen miałem bardzo nieskopojny, najdziwaczniejsze halucynacye nawiedzały mnie. Widziałe białe postacie, z tamtego świata, słyszałem ich krzyki, to bitwa morska. Białe duchy wrzeszczą, wytaczają armaty, strzelają z moździerzy, jakieś nieprzyjacielskie postacie czarne, wkraczaja na pokład. Stanąwszy po stronie białych rzucam się na czarnych, strzelam, rąbię pałaszem, spycham do wody, czarny dyabeł pali mi w łeb z ogromnego jak armata rewolweru. Budzi mnie ta pieszczota, znów zasypiam, znów na nowo jeszcze dziwaczniej śnię o bitwach morkich. Powtarzały się te majaczenia w ciągu paru nocy pierwszych na okręcie, lecz coraz słabiej, aż ustały.

Stanęliśmy późną nocą w zatoce neapolitańskiej.

20. sierpnia. — Neapol.

Od samego rana rój przekupniów z owocami i taniemi towarami zalega port.

Wychodźcom kapitan nie pozwolił udawać się na miasto ani przekupniom wstępować na pokład statku. Wtedy powstały liczne porozumiewania się telegraficzne bez drutu i elektryczności a za pomocą sznurków. Nie obyło się bez skarg na Neapolitańczyków, którzy, otrzymawszy pieniądze, zapominali przesunąć towar. Kapitan uznaje się bezsilnym w zaradzeniu takiej nierzetelności i radzi w ogóle nie kupować owoców, jako bardzo niezdrowych. Gdy rada nie skutkuje, zabrania wprost wszelkiej komunikacyi... lecz z częściowym tylko skutkiem, nie podobna było upilnować wszystkich sznurków.

Otrzymawszy pozwolenie wyjścia na miasto, musiałem uprowadzić ze sobą o 9-tej rano Mikulskiego, męża zaufania ludzi naszych, którym wciąż powtarzałem od Lwowa i Wiednia, że trzeba

pieniądze austryackie zmienić na złoto jaknajprędzej, korzystniej we Lwowie i Wiedniu niż w Udinie, korzystniej tamże niż w Genui, korzystniej w Neapolu niż w Brazylii. Nie poszła nauka w las. Sam nie podjąłem się tej zamiany austryackich i włoskich pieniędzy na złoto; objuczono poleceniami zmian monetarnych Mikulskiego. Pomagałem mu rozmówić się z kankierami w Neapolu i jaknajkorzystniejszych dokonać transakcyi. Lecz następnie całe piwo, nawarzone na statku ze skarg na tę zmianę, pił on nie ja. On także łatwiej mógł się porozumieć z prostym ludem.

Zaczęliśmy błądzić po wielkiem a pięknem mieście. Uderzyło nas mnóstwo księży na ulicy. Co 5-ty przechodzień był kapłan lub kleryk. Sprawiało to zawód krótkowidzowi, domyślającemu się z dala kobiety w czarnej sukni, a nadawało miastu pozór średniowieczny. Jeden z księży uprzejmie nas zagadnął po włosku i poradził wziąść tramwaj do piazza del Municipio, gdzie pono najlepiej dokonywać zakupów i zmiany pieniędzy.

Istotnie tramwaj dowozi nas do olbrzymiego placu, niby warszawskiej kombinacyi Żelaznej Bramy z Nalewkami. Zakupiwszy francuski opis i plan Neapolu oraz słowniki włosko francuskie, poczułem się panem położenia i z pewnością rodowitego Neapolitańczzka kłócę się i targuję po francusku i włosku w bankach, sklepach i bazarach.

Znalazłem ze zdziwieniem Włochów wszystkich bardzo uprzejmych i uczciwych, wszelkie zakupy wypadły nam niezmiernie tanio; choć rozmawialiśmy z niewiastami, żaden Włoch nie pchnął nas nożem, jak tego by wypadało doświadczyć na mocy tylu dokładnych opisów podróży po Włoszech.

Neapol, to stolica wspaniała o szerokich ulicach, wielkich placach, może tylko trochę za mało polewana wodą a przeto zaopatrzana więcej, niż potrzeba, w tumany kurzu.

Gdy po południu powróciliśmy na statek, zastaliśmy go obiążonego wagą 451 Neapolitańczyków i Kalabryjczyków. Lud ten południowo włoski okazał się w ciągu podróży porywczym, gorącym i bodaj czy nie mniej cywilizowanym od ludu polskiego i rusińskiego. Kilka razy nawet słyszałem potem zdanie wyższej służby statku naszego, że to „skończone bydło“ w porównaniu z najgorszymi naszymi rodakami. Południowcy ci i nasi zaraz zaczęli porozumiewać się ze sobą, przyczem pokazywali sobie szkaplerze, przysięgali sobie, robiąc znaki krzyża, podnosząc prawicę do góry, przykładając ręce do serca.

Na pokładzie pod wieczór zapoznaję się z miłym człowiekiem, Wilhelmem Falcone, adwokatem w Neapolu. Zamieniwszy ze sobą bilety wizytowe, rozmawiamy po francusku i włosku o wielkiej polityce. Dziwnie dobrze rozumiałem wszystko, co tylko mówił do mnie po włosku. Nawzajem uczyłem go po polsku. Potrzebował niezbędniejszych wyrazów polskich dla rozmówienia się z wychodźcami. Wypisałem mu je i wskazywałem, jak się wymawiają a on powtarzał je od razu dobrze.

Komisarzowi wystawiam na piśmie świadectwo, że pomiędzy wychodźcami niema już kłótni i porządek został przywrócony.

Wyruszamy w drogę po 10-tej wieczorem, zachwyceni zatoką neapolitańską, zawsze piękną czy w dzień czy w nocy. Wezuwiusz jest wciąż spokojny i nie wydaje z siebie nic, prócz dymu z ledwo dostrzegalnem w nocy światełkiem u szczytu. Zawsze jednak przejmuje grozą i czuje się, patrząc na niego, potęgę mowy mistrza Adama, „dymiącego, jak wulkan, niekiedy przez słowa“.

21. sierpnia. — Na morzu Śródziemnem.

Około 5-tej rano budzi mnie znaczne kołysanie statku. Morze jest mniej spokojne, niż przedwczoraj między Genuą a Neapolem. Widać jakieś wyspy skaliste po prawej stronie, bodaj Pontyjskie.

Porządek przy obdzielaniu jedzenia jest wzorowy. Komisarz chwalił nasze plemię i przyznawał mu wyższość nad Neapolitańczykami, których nazwał najgorszymi Włochami. Rozczulił się lis nad wychodźcami naszymi i wziął mnie na spytki, abym go objaśnił, jakie potrawy nasi ludzie jedzą najchętniej n. p. czy z ziemniaków, makaronu, mięsa, ryb. Opowiadałem mu o rozmaitych potrawach polskich, wychwalając ich znakomitość, prostotę i powszechne używanie. Przytaczałem jajecznicę z kiełbasą, różne polewki, zacierki, mamałygę rusińską z kukurydzy, groch z kapustą, zrazy, kołduny i t. d., ale w ten sposób, aby nic z tego nie rozumiał i w niczem nie mógł się dostosować do kuchni polskiej. Albowiem wstyd mi było przyznać się, że moi współtowarzysze na statku byli lepiej żywieni, niż u siebie w kraju. Twierdziłem tylko, że niektóre dania włoskie miały podobieństwo do polskich z tą różnicą, że nasze są posilniejsze, jak tego wymaga klimat chłodniejszy, i że przeto emigranci polscy muszą jeść więcej od Włochów... dopóki ich nie osłabi gorąco.

Niedługo potem po południu przebiegły „Commisario“ chwalił mi się z chytrym uśmiechem, że musiał im do smaku trafić, bo odznaczają się niezwykłym apetytem i to takim. jakiego nigdy nie mają Włosi. Mówiłem mu wtedy, że my należymy do innej rasy, silniejszej, o grubszych kościach, potrzebującej zatem silniejszego pożywienia. Starannie taiłem okoliczność, że lud nasz jest wygłodniały przez szereg generacyi, przyzwyczajony nawet do tyfusów głodowych, że jest ludem o szalonej płodności, lecz też i o przerażającej śmiertelności, szczególnie dzieci, z niewygód i braku dostatecznego pożywienia. Zarządca kazał wprawdzie podwajać porcyę tym, którzy o to prosili. jednak nie mógł pozwolić, aby dawano każdemu zupełnie dowoli; zjedliby wszystkie zapasy przed przyjazdem do Brazylii.

Stosunek służby okrętowej wyższej i niższej do Neapolitańczyków nie zapowiadał się czule. Po południu byłem obecny rozmowie wice-kapitana z Włochem średniego wieku o rysach bardzo regularnych i spokojnem a poważnem zachowaniu się. Mówili do siebie szybko, jeden drugiemu zdawał się przerywać. ale miałem wrażenie, ze gawędzili ze sobą grzecznie i zgodnie tak, jakby się wzajemnie o czemś zapewniali lub zaklinali się na coś, w dowód wysokiego szacunku i szczerej przyjaźni. Uderzyło mnie tylko powtarzane często słowo „testa“ (głowa). Gdy się rozeszli, pokombinowałem wyrazy i zrozumiałem, że wice kapitan obiecywał rozwalić mu głowę.

Pod wieczór kapitan musiał kazać uwięzić jednego Neapolitańczyka za krnąbrność i zniewagę majtka. W ogóle zaraz od pierwszego dnia Neapolitańczycy nie zachowali się przykładnie, w obec czego naszym łatwo było stać się wzorem porządku. Włosi n. p. zakradali się do przedziału kobiet, przebrawszy się za kobiety, nasi wyciągali ich za nogi z pod łóżek. Nastąpiło zupełne oddzielenie obydwóch narodowości. Neapolitańczyków przeniesiono na piętro wyższe, zkąd rzucali różne paskudstwa na naszych, wcale nie przez figle, lecz z prostego niechlujstwa.

Stosunek naszych ludzi do załogi okrętowej, stał się jak najlepszy; przez całą podróż w sporach z Neapolitańczykami dawano naszym słuszność z góry, bez rozsądzania sprawy. Nasi istotnie zaczęli być lubiani z powodu swej uczynności: pomagali w kuchni skrobać kartofle, utrzymywali porządek około 8 wołów i 2 osłów.

Miałem w obszerniejszym zakresie wykład o kolonizacyi w Brazylii, po skończeniu którego, zarzucony pytaniami, dostałem

aż chrypki od bezustannych objaśnień. W zamian i ja dowiedziałem się od nich ciekawych rzeczy m. i. o tem, że Nodarowie (agenci emigracyjni) dobrze się obchodzili z tymi, którzy przez miesiąc czekali w Udine. Nic dziwnego! Zarabiali na wyczekiwaniu okrętu przez naszych.

Tuż przed zachodem słońca zarysowały się wyraźnie przed nami po prawej stronie biegu okrętu górzyste brzegi Sardynii — przy zmierzchu prześcigamy jakiś włoski parostatek z objawami powszechnej radości i okrzykami.

22. sierpnia. — Dalszy ciąg na morzu Śródziemnem.

Morze o wschodzie słońca bardzo niespokojne, — żadnego lądu nie widać, prócz po prawej stronie za nami znikających skał nadbrzeżnych Sardynii; o 7-mej rano wołają mnie jak zwykle, abym był tłumaczem w szpitalu; tego dnia objawiły się liczniej u płci pięknej choroby: tyfoidalno-gastryczne, bronchitis, kaszle, a głównie choroba morska... z przyczyny większego kołysania się okrętu.

Dopiero w tym dniu ceremonialnie zamieniłem bilety wizytowe z kapitanem Nobaresco i lekarzem Benedetti przy towarzyszących wzajemnych objawach wysokiego szacunku i przychylności oraz obfitym poczęstunku własnego jakiegoś, nie okrętowego wina, ze strony kapitana. Zawiązanej w ten sposób przyjaźni nic nigdy nie zamąciło; musiała ona tylko urwać się przez rozłączenie w Rio de Janeiro.

Pod wieczór inteligentniejsi z wychodźców zagadują mnie o Kolumba: przez godzinę prawię im o odkryciu Ameryki, o geologii, wulkanach i morzu.

Jako współtowarzysz podróży znalazł się wśród nas Kroat, mówiący trochę po polsku, niemiecku i włosku; dokładał wszelkich starań, aby namówić naszych ludzi do przyjęcia robót w brazylijskim stanie Sao-Paulo (wym. Są-Paulo) na „kawie“. Jakkolwiek nie sprzeciwiali mu się wyraźnie, zaznaczali jednak ochotę udania się do brazylijskiego stanu Parany. Kroat wściekał się, że żadnego skutku nie wywarła jego namowa.

Zabrawszy ze sobą próbki konserw jarzynowych i owocowych fabryki w Bochni, dałem je p. „comisario“ (rządcy okrętowemu) Józefowi (Giuseppe) Romagnole, aby je skosztował. Spróbowawszy, bardzo je chwalił i oświadczył, że konserw takich na

okrętach daje się uczuwać wciąż wielka potrzeba. Szczególnie pewna firma genueńska (Felippo Gambino, negociante, Genova, via del Campo) dostarcza je masami okrętom, chętnie zakupuje, zkąd tylko może na wielką skalę. — Wystawił też tym próbkom bocheńskim bardzo pochlebne świadectwo, oraz wystosował list do firmy genueńskiej, polecając je. Zawiadomienie o tem przesłałem Polskiemu Towarzystwu Handlowo-Geograficznemu we Lwowie, które je dostarczyło, jak się dowiedziałem później, interesowanym, t. j. fabryce konserw w Bochni.

23. sierpnia (piątek). — Na morzu Śródziemnem w pobliżu Hiszpanii.

Morze dziś znacznie spokojniejsze. Od 7-mej rano praca moja w szpitalu stała się uciążliwszą, gdyż zwaliło się doń sporo chorych na głowę i brzuch. Były to skutki owoców neapolitańskich, zakupionych ukradkiem, wbrew zakazowi kapitana. Wraz ze spokojem morza nastała burzliwość dusz ludzkich. Jeden drugiego uderzył pięścią pod oko i poszedł za to do kozy, żona uciekła od męża, który chciał ją bić i t. p.

Najwięcej zmartwiło mnie to, że własność w niewielkiem poszanowaniu znajdowała się u naszych: albowiem okazało się kilkakrotnie, że jeden drugiego okradł, że znikały nawet rzeczy znajdujące się w kieszeniach. Wyciągali jeden drugiemu tytoń — a nawet monetę (raz w ilości 5-ciu złr.).

W ciągu dnia postanowiłem ściągnąć należność za przesyłkę pakunków z Wiednia do Genui. Mając spis tych, ktorzy mi jej nie zwrócili, przystąpiłem do tej czynności, prosząc Mikulskiego, by mnie wyręczył i należność tę odebrał. Zaczęto się zapierać tych pakunków, twierdząc, że one nie są warte 10 złr., że mi je oddadzą, abym je sobie sprzedał w Rio de Janeiro — ostatecznie trzech zapłaciło. Z tych jeden twierdził, że płaci podwójnie, bo już raz opłacił, co się należało, dwaj inni zaś zapłacą dopiero w Rio de Janeiro, jak zobaczą, że kuferki nie pozostały w Genui. — Nie bardzo to zachęcało mnie, abym w przyszłości płacił z góry za wszystkich, a potem dopiero powoli przychodził do swego. Główne winowajczynie w tej sprawie, powtarzam, były drapieżność i nałóg podstępu kompanii kolejowej austryackiej; niewyćwiczony bowiem w zręcznych żdzierstwach prosty umysł

chłopa naszego nie mógł się pomiarkować, kto z inteligentów go obdziera.

Widać bardzo górzyste brzegi Hiszpanii oraz światła latarni morskiej i okrętów, które spotykamy i wyprzedzamy. Zbliżamy się do przylądku Palos (słupy po hiszpańsku). Około 9-tej godziny przejeżdżamy w pobliżu Kartageny, największego portu wojennego hiszpańskiego. Spodziewanych wielkich świateł nie widać z powodu pory spóźnionej.

24. sierpnia. — Ostatni dzień na morzu Śródziemnem. — Gibraltar.

Morze bardzo się uspokoiło, jakby oszczędzając chorych — szczególnie względne okazało się dla jednej mężatki, o której rozeszła się rano wiadomość, że odbywa słabość. Idę do piętra dolnego i w oddziale kobiecym widzę brunetkę o cerze oliwkowej, stojącą i nieco tylko nachyloną... a nawet nie stękająca. Domyśliwszy się, co się dzieje, zachęcam ją do cierpliwości i mówię, że doktór zaraz przyjdzie, odpowiada mi: „nie potrzebuję doktora“, potem jednak dała się zaprowadzić do szpitala, gdzie przyszły na świat bliźnięta. Przeniesiono je na inne miejce i gdy doktór kazał jej wyciągnąć się na łóżku sąsiedniem, wygodniejszem, skrzywiła się, jakby coś niesmacznego zjadła i nieruszyła się z miejsca. Doktór wtedy zauważył, że 3-ci obywatel przychodzi na świat, co rzeczywiście miało miejsce. Urodziły się 3 dziewczynki zdrowe..., a i matka wkrótce była zdrowa. Ludność rusińska się mnoży: za chwilę meldują nam boleści połogowe innej Rusinki.

Życzliwa mi mazurka (Grdeniowa) wypowiada swoją radość z powodu bardzo wyraźnego snu, który u niej zawsze się sprawdza; widziała dokładnie, że na nową kolonię sprowadzam się, jako nauczyciel. Jeszcze trzebaby koniecznie ściągnąć ks. Jaszczuka z Chodorowa, lecz o tem nie śniło jej się: bardzo więc wątpi, czy się to uda. — Grupa Rusinów, usłyszawszy to, chce też być na kolonii, gdzie będę nauczycielem. Ale Mazury wyrażają ochotę oddzielenia się od Rusinów, nawet na tej samej kolonii — przystaję na to wszystko bardzo chętnie.

Około 12-tej znika nam całkiem z oczu brzeg hiszpański, zwracamy się cokolwiek na południe ku Gibraltarowi. Pobliże cieśniny gibraltarskiej zapowiada się silnym wiatrem. Mimo dość pomarszczonej przez wiatr powierzchni morza, okręt idzie równo,

jakby po jeziorze. Wiatr wprawdzie nie na żarty dął między lądami europejskim i afrykańskim, ale bałwany były małe i szły w krótkich odstępach, jeden za drugim, na okręt wprost z przodu w kierunku północno-wschodnim tak, że okręt prawie wcale się nie kołysał.

Około 3-ciej odbyła się ceremonia chrztu 3 dziewczynek i 1 chłopca. W braku duchownego ochrzcił je kapitan.

Lekarz okrętowy opowiada mi drobny fakt, który wzmocnił jego sympatyę dla naszych. Ubolewał nad nieuczynnością swoich rodaków: prosił Neapolitanki, aby mu zeszyła drobnostkę — odmówiła... udał się do Mazurki — ta mu najchętniej wyświadczyła zaraz tę małą przysługę, a jeden z podkapitanów powiedział wprost, że Neapolitańczycy przynoszą tylko hańbę włoskiej ojczyźnie.

Około 6-tej wieczorem widać już cieśninę. Oba lądy stałe sterczą wielkiemi górami ponad powierzchnią wód — płyniemy środkiem. O zachodzie słońca mijamy Ceutę, wojenny port hiszpański w Afryce, następnie płyniemy pod warownią angielską Gibraltarem.

Olbrzymia skała gibraltarska mieści w sobie kilkopiętrowe galerye, najeżone armatami: w 2 sekundy mogą one wyrzucić 1.000 pocisków. Armaty przesuwać dowolnie we wszystkich kierunkach i kierować niemi może dziecko — maszynerya odpowiednia ułatwia ruchy tych żelaznych potworów. Na przodzie skały świeci miarowymi błyski latarnia morska. Mijamy forteczną skałę, odległą od nas o milę i przez to odkrywamy sobie widok na skały z drugiej strony, małe miasteczko Gibraltar, okręt wojenny i jakieś ognie forteczne.

Warownia angielska z kawałkiem ziemi oddzielona jest od terytoryum hiszpańskiego szczupłą przestrzenią neutralną, wolną, niezaludnioną i dla żadnego żołnierza obu sąsiadów niedostępną, wedle umowy. Jest ona za to zamieszkałą przez małpy. Jedyne to miejsce w Europie, gdzie te zwierzęta żyją na swobodzie.

Minąwszy zatoczkę Gibraltarską, płyniemy potem niewyraźnym już z powodu wieczornych ciemności brzegiem górzystym hiszpańskim ku granicy portugalskiej, tracąc też z oczu góry nadbrzeżne afrykańskie.

Niedziela 25. sierpnia. — Pierwszy dzień na Atlantyku.

Jesteśmy nareszcie na pełnym oceanie. Pogoda prześliczna; błękity nieba, przeglądające się w nieprzejrzanej przestrzeni wód, przedstawiały dla artysty niedoścignione wzory piękna. — Morze jest niby spokojne; lecz, mimo to, dość znaczne bałwany, powstałe po burzy, biją od zachodu w bok okrętu, skoro zwróciliśmy wyraźniej bieg nasz na południe. Okręt przeto mocno się kołysze i wszystkie kobiety oraz wielu mężczyzn dostaje choroby morskiej.

Dziecko jedno, nieżywo urodzone, zostało natychmiast wrzucone do wody, wedle przepisów. Lud nasz o tem nie wiedział i przypuszczał, że z powodu niepochowania go morze jest niespokojne. Wystosowano do mnie podczas obiadu list z prośbą, abym przyczynił się do uwolnienia statku od trupa: brzmiał on dosłownie: „Żona Pawła Rudego urodziła dziecko nie żewe. Prosze pilno pochować. Żeczeniem ludzie“. Oświadczyłem, że zostało wrzucone do morza i istotnie około godziny 5-ej po południu morze się uspokoiło. Oficerowie statku pocieszali mnie, że Neapolitańczycy są jeszcze zabobonniejsi.

Znów napływają ludzie do szpitala i to rzeczywiście cierpiący, lecz wcale nie niebezpiecznie, choć im się wydawało, że już konają z choroby morskiej. Wcale trudno było wytłumaczyć naszym, że na takie cierpienie nie wynaleziono dotąd lekarstwa; musiałem objaśniać bez końca w kółko jedno i to samo. Co innego było z przystojnym i zdrowym zupełnie młodzianem neapolitańskim, który udawał wciąż od paru dni, że go bolą brzuch i głowa, aby wyłudzić lepszy wikt dla siebie, jako chorego. Lekarz zniecierpliwiony nalał mu szklannicę oleju rycynowego i podał. Pacyent wychylił ją do dna... i od tego czasu nie przychodził do szpitala.

26. sierpnia. — Na Atlantyku dzień drugi.

Morze spokojne, choroby przeto morskiej niema; lecz za to inne cierpienia zaczynają nawiedzać statek; napływ chorych do szpitala zwiększa się. Tłok.

Denerwująca scena odbyła się w moich oczach przy ratowaniu dziecka duszącego się. Matka wrzeszcząc i trzymając dziecko,

przeszkadzała lekarzowi dokonać operacyi, który przez to ledwie wydarł je śmierci.

Atlantyk staje się miejscem urodzenia dla coraz większej ilości obywateli; aż do Rio de Janeiro nie będzie pewnie prawie dnia bez wizyty bociana. Przestaję zatem od tej chwili czynić nadal wzmianki o zaludnianiu się statku.

Tymczasem wspomniany wyżej Kroat burmistrzuje inaczej: zaprzyjaźnił się z kucharzem i kuchcikami, — zaczynają się odtąd dziać niesprawiedliwości przy obdzielaniu porcyi z korzyścią dla tych, którzy skłonniejszymi okazywali się do folgowania jego radom; w ten sposób namówił i zapisał do stanu São Paulo na plantacye kawy 15 rodzin; prócz tego spekuluje na zmianę pieniędzy, sprzedaje drogo wódkę i jabłka.

Ruch ludności odbywa się na statku nie tylko przez jej stałe powiększanie się, lecz niestety i przez żniwo śmierci: 6-letnia dziewczynka wieczorem o 10-tej skonała, zawinięto ją w białą płachtę i w nocy, gdy wszyscy spali. statek wstrzymał się nieco, a biały przedmiot podłużny wpadł do wody, poczem parowiec powoli przybrał znów szybki swój bieg pierwotny.

27. 28. 29. sierpnia. — Między wyspami Kanaryjskiemi a wyspami Zielonego Przylądka (Kapwerdyjskiemi). „Parchy“.

Morze przez cały dzień 27-go było jeszcze spokojniejsze, a nadto znów nastąpiła zmiana kierunku biegu okrętu do fal morskich, czy też odwrotnie; skutkiem tego bałwany nie biły w bok, lecz w tył statku, nie sprawiając prawie żadnego kołysania.

Zwracamy się dziś więcej na zachód. Już pojawiają się latające ryby o pletwach wyrosłych w skrzydła. O ile są mokre, wzlatują i przebiegają przestrzeń wynoszącą nawet parę set kroków, — nieodwołalnie zaś wpadają do morza, skoro obeschną. Lecą do światła okrętowego w nocy i pełno ich jest na okręcie bezwładnych, ku uciesze naszych podróżników.

Mijamy wyspę Kanaryjską „La Gran Canaria“. Widzimy po prawej stronie kolej żelazną i pociąg w biegu oraz główne miasto tego archipelagu, Las Palmas.

Znikła „Gran Canaria“ a natomiast zjawia się po tej samej stronie prawej we mgle szczyt góry ogromnej, Teneryfy, na mniejszej wyspie tej samej nazwy. Imponująca góra rzadko wyso-

kie oblicze swoje odsłania z woalki mgieł, w które się stroi bezustannie. Nie mieliśmy szczęścia widzieć obnażonej jej postaci górnej, dochodzącej do wysokości 3.720 metrów — daremnie wypatrywaliśmy, azali wulkan ten nie zionie dymem i ogniem.

Wyspy Kanaryjskie odznaczają się wielką zdrowotnością; podobno są one najzdrowszą miejscowością na kuli ziemskiej, gdyż warunków lepszych dla organizmu ludzkiego nie znaleźli lekarze dotąd nigdzie; to też mnóstwo chorych, zwłaszcza piersiowo, przybywa tam z obydwóch półkuli; pomiędzy pacyentami najliczniejsi są Anglosasi. Las Palmas (45.000 mieszkańców) jest uzdrowiskiem tłumnie uczęszczanem i z wszelkiemi wygodami urządzonem. Na wyspach Kanaryjskich uprawiają europejskie i tropikalne rośliny; wszystkie się udają na różnej wysokości i pochyłości gór.

Drobne zajecia i nieporozumienia dostarczały nam pewnego urozmaicenia w podróży. Rusini zaczęli śpiewać pieśni nabożne chórem cicho i nie ładnie. Włosi wyśmiewali się z nich i przedrzeźniali śpiew, a jeden oficer, zajęty pisaniem w sali jadalnej, wybiegł z niej i wpadł na naszych biedaków z łajaniem włoskiem, by przerwali chór, „Il canto opprime me" (ten śpiew mnie gnębi) — wołał.

Służący ze szpitala rzucał się i niecierpliwił, gdy „wyraźnie" mówił (po włosku) a nasi, nie rozumiejąc, w nos mu się śmiali; skarżył się o to przed lekarzem i kapitanem, wywijając rękoma jak małpa. — Kucharz znów nie wydał jednej słabej kobiecie naszej lepszego pożywienia; kapitan z tego powodu głośno złajał kuchtę i, przy ludziach rozkazał mu natychmiast zrobić osobno dla niej rosół i befsztyk, choć było późno, oraz wydać jej butelkę wina Marsali. Zadośćuczynienie było zupełne.

Pojawiły się na okręcie krosty, lekarz twierdził, że to parchy („la galla"), tylko jakieś odmienne od tych, które znał i badał kiedyś pod mikroskopem; ja zaś nie mogłem się opędzić myśli, że to były wyrzuty z gorąca. Wyszło surowe rozporządzenie, aby każdy, dotknięty tą słabością, zjawiał się niezwłocznie do szpitala. Zachodziła bowiem obawa, abyśmy w Rio de Janeiro nie odsiadywali bardzo długiej kwarantanny. Kapitan prosił mnie, abym ogłosił, że: kto z zarażonych nie uda się natychmiast do lekarza, pozostanie na wyspie Przylądka Zielonego, dokąd przybywamy za kilka dni.

Żądaniu jego uczyniłem zadość, choć wiedziałem, że tego nie zrobi. Zaczęto się wtedy coraz bardziej kryć z tą chorobą.

Aby zapobiedz temu, użyłem fortelu, rozpowiadając im o bardzo złem traktowaniu więźniów przez czarnych na tej wyspie, dodając, że murzyni policyanci, którzy przez kilka tygodni lub miesięcy będą mieli pod swoją opieką zaparszywionych, są niewątpliwie ludzie dobrzy i weseli, ale bardzo lubią za byle co bić laskami bambusowemi w obnażone pięty i są okrutnie łasi na białe kobiety, zresztą poczciwi ludziska i serdeczni... szkoda tylko, że tak porywczy, jak dyabli... skutkiem czego zdarza się często, że połamią kości lub nawet zabiją, za co nie grozi im żadna odpowiedzialność.

To poskutkowało, lekarz nie mógł się nazajutrz opędzić od chorych i zdrowych, życzących sobie lekarskiego rozpoznania, czy są istotnie chorzy.

Ilość parszywych stała się taka, że właściwie nie było zdrowych; tylko najgorzej zarażeni zostali odosobnieni — było ich 20.

Po paru dniach doktór przestał się całkiem troszczyć o chorych i ich odosabniać; utwierdziło mnie to tylko w tem, że się pomylił i o swej pomyłce wiedział.

Po opowiedzeniu dykteryjki o policyantach murzynach, zaniepokojenie wśród wychodźców wzrosło; byłem ciągle w tej sprawie zagadywany i zaczepiany; łapano mnie za ręce i całowano po nich, wszyscy bardzo obawiali się pozostać na wyspie. Nie usuwałem rąk, aby nie okazywać strachu przed takim dotykiem. Wolałem w takich okolicznościach narazić się na chorobę skórną, niż okazać się niedostępnym paniczykiem o niepokalanym puchu łabędzim.

Ponieważ namowy Chorwata do kawy w São Paulo nieco skutkowały, trzeba było koniecznie temu zaradzić. Kazałem jednemu zaufanemu chodzić z wielkim arkuszem i zapisywać, kto sobie życzy jechać do Parany, a kto do S. Paulo na kawę. Zrozumiano powszechnie, że jedzie się do tego ostatniego stanu na ciężką uprawę rośliny kawowej za karę. Zapisywanie na ogromnym arkuszu rzuciło postrach pewien i przeciwdziałało skutecznie propagandzie kawowej Kroata.

Pod wieczór 29-go odbyła się ogólna kąpiel dla kobiet na pokładzie z starannie rozwieszonemi prześcieradłami, zakrywającemi ten widok przed niedyskrecyą mężczyzn. Słychać było głośne śmiechy, pluskanie, wylewanie na siebie nawzajem mnóstwa kubłów. Gdy ściany prześcieradeł opadły, znalazłem przedstawicielki płci pięknej w białych ubraniach, zastosowanych do najgo-

rętszego klimatu i w złotych humorkach. Brały mnie między siebie, całowały po rękach, jakby ojca swego lub „anioła“ opiekuńczego a nawet dotykały żartobliwie łopatek czy nie mam skrzydeł. Zarzucały mnie licznemi pytaniami i opowiadaniami; siedzieć musiałem to w tej grupie, to w owej, a gdzie tylko usiadłem, wszędzie obok mnie, nademną i w nogach były białe postacie wpatrzone we mnie. Tak rozmawiając, Rusinki domagały się cerkwi i swego księdza rusińskiego w Brazylii. Czyż im można było co odmówić? Przyrzekałem wszystko wedle możności — one mi wierzyły szczerze i, jak się okazało, bez zawodu.

30. i 31. sierpnia. — Na samym środku Atlantyku. Wyspy Zielonego Przylądka czyli Kapwerdyjskie. „Szajka“. Opowiadania.

Morze dość spokojne — niebo trochę pochmurne. Spisywanie na arkuszu dokonywa się w dalszym ciągu. Sprawia to wielkie zaciekawienie i zaniepokojenie — zarzucają mnie pytaniami, tłumaczę, że na kolonie potrzeba tylko zgodnych i porządnych ludzi, inaczej kolonia upada... hołota więc niech sobie idzie na robotę do plantacyi kawy w S. Paulo.

Pod wieczór około 6-tej dojrzeć już można było wyspy Zielonego Przylądka: na prawo św. Antoniego, na lewo św. Wincentego. Około 7-mej przepływamy blisko pierwszej, o 9-tej zaś, kiedy już było zupełnie ciemno, zawijamy do portu drugiej.

Kapitan jest mocno zgryziony tem, że nie zdążyliśmy przybyć wcześniej, gdyż chodzi mu bardzo o to, aby nabrać węgla jeszcze tej nocy. Sam uznaje jednak, że to się nie da wykonać, jak tylko nazajutrz. A szkoda czasu, gdyż możnaby było wyruszyć jutro od samego rana, gdybyśmy o godzinę wcześniej przybyli za dnia i rozpoczęli ładowanie węgla.

Tymczasem wśród ciemności nadjeżdża mały parowiec od angielskiego składu węgla. Zjawiają się na pokładzie naszym miejscowy urzędowy lekarz, portugalczyk, mały, w bielutkim od stóp do głów mundurze, uprzejmy, rozmowny po portugalsku oraz bardzo młody Anglik, niemówiący po włosku; trawił jednak nieźle międzynarodową sałatę, jaką jest mowa genueńska, w której nie brakuje słów angielskich, a nawet tureckich. Kapitanowi naszemu młokos angielski, który zawiadywał składem węgli, oznajmił, że można natychmiast rozpocząć nabieranie węgla, bo on już wszystko do tego przygotował. Możność roboty w nocy, kiedy wychodźcy

wszyscy będą „spali", rozjaśniło oblicze kapitana. Rozpromieniony zaczął wszystkich częstować wermutem, winami, owocami i ciastkami; mówił po genueńsku, angielsku, francusku i portugalsku.

Skoro goście odjechali, rozpoczął się niezadługo hałas od windowania węgla. Żóraw parowy skrzypiał przeraźliwie, łańcuchy dźwięczały piekielnie; spać mógł tylko głuchy od urodzenia.

Wyspa S. Antonio ma góry wysokie i żyzne. Wyspa św. Wincentego za to jest skalista i nieurodzajna, ale ważna z powodu stacyi węglowej, trzymanej przez synów Albionu. Anglików na wyspie S. Vincente jest ze 100; reszta ludności, to Portugalczycy lub murzyni, używający portugalskiego języka. Mowa statystyki o Wyspach Zielonego Przylądku brzmi: 3.822 kilometrów kwadr., 147.422 mieszkańców, trochę więcej niż 38 głów na 1 kilometr kwadr.

Sympatycznie przedstawiły się typy portugalskie i murzyńskie: wysocy, szczupli, pracowici, silni, uczynni, serdeczni — i, zdaje się, uczciwi: zyskali serca wychodźców naszych. Ostro pracowali całą noc. Nasi znajdowali, że łatwiej jest z nimi rozmówić się po portugalsku, niż z „talianami". Gdy od „portugala", murzyna lub mulata chciano kupić tytoniu, dawał go darmo.

31. sierpnia rano. — Wyjazd z wyspy S. Vincente.

Wyprawiamy mnóstwo listów. Niemal zbankrutowałem na papierze i kopertach, tyle ich odemnie zażądano — sam pisałem całą noc — hałas i nawoływania odbierały mi sen lepiej, niż mocna kawa lub herbata. Oprócz tego drugim trzeba było wciąż pisać listy i adresy. Wystawiłem też komisarzowi rzetelne drugie świadectwo, że wychodźcy nasi są dobrze żywieni i że się z nimi dobrze obchodzi służba wyższa i niższa okrętu.

Nikt nie chce wysiąść na ląd. Wychodźcy bali się, by ich tam nie zatrzymano; mnie zaś wytłumaczono, że wcale nie opłaca się przeprawiać na gołą skałę, by widzieć tylko skład węgla i lichą wioskę. W tem odradzaniu było cokolwiek niechęci ze strony wyższej służby do pożyczenia mi łódki; najęcie jej zaś od Portugalczyków kosztowałoby sumy bajońskie i to monetą portugalską, której nie posiadałem.

Zaopatruję się w banany; smak ich jest słodki, zapach mają cukierków angielskich; owoc to wilgotno mączysty, jak zarobiona

mąka do chleba. Zapoznajemy się z pomarańczami zielonemi, niezbyt smacznemi, oraz z dwiema ogromnemi rybami, które ułowili nasi na wędkę, niemal w chwili wyruszenia statku. Były jadalne i bardzo smaczne, jak mnie zapewniano.

Wyprawiwszy listy do Europy, nabrawszy węgla, zabawiwszy się widokiem chłopaków murzyńskich, zbierających z dna morskiego sztuki monety, które im się rzucało, wyruszamy wolno z zatoczki. Przejeżdżamy obok żaglowca angielskiego, pełnego owiec australskich, który przez cieśninę Magiellańską przybył z Sidney w drodze do Anglii. Była to próba nowej drogi, ażali nie okaże się tańszą i dogodniejszą dla towarów, nie potrzebujących wielkiego pośpiechu, niż dotychczasowa z wygórowaną opłatą przez Kanał Suezki.

Mijamy na środku zatoki małą i dziwaczną skałę zwaną „Merda do diabo“, (łajno czarcie), dźwigającą latarnię morską. Po lewej stronie (wciąż jeszcze na wyspie św. Wincentego) ukazuje się nam „głowa Napoleona I śpiącego“. W pobliżu statku widać olbrzymie jasno szare ryby. Są to rekiny, łakome na białe mięso ludzkie; podobno brzydzą się czarnem murzyńskim.

Zataczamy półkole naokoło wyspy św. Wincentego i kierujemy się na południe. Kapitan zwierza mi się, że dzieją się złodziejstwa na statku i że oddawna musi wciąż walczyć z tymi, którzy bezpośrednio mają do czynienia z materyałami spożywczemi. Chce on mieć namacalne dowody nieuczciwości a mianowicie dokumenta podpisane przez kilku naszych, stwierdzających, że im sprzedano to, czego nie wolno sprzedawać, lecz dawać tylko darmo np. chleb. Dostarczam mu na razie jeden taki dokument.

Emigranci ciekawe legendy opowiadają sobie o szlachcie i księżach. O hr. Stanisławie B. słyszałem opowieść zamaszystą, jak babę zastrzelił, idącą do lasu po drzewo do miejca przez niego wzbronionego. Został skazany za to na 20 lat więzienia, które odsiaduje, ale, jako wielki pan, tylko niektóre dnie w ciągu roku każdego. Nie wolno mu już jeździć na polowania i bryczką po polach i lasach; to też nie widać go tam nigdy; a, choć krótko i wygodnie, jednakże rokrocznie odbywa pokutę, która jest dla niego dotkliwą. Bajdurzyli też o pobiciu rządcy przez małego jurnego chłopaka, którego tenże rządca chciał obić za to, że szedł do lasu ku miejscom zakazanym, a tymczasem sam został obity; o księdzu który rozjeżdżał się, nie dbając o to, że woźnica był przez cały dzień głodny; woźnica więc wpadł na koncept, zaczął

błądzić, sam wyszukiwał wsie i najadał się, a księdza przyprowadzał do wsi, kiedy już nic nie było do jedzenia — ksiądz się pono poprawił z czasem. Nic jadu i walki klas. w tych opowiadaniach nie dostrzegłem.

1. września niedziela. — „Tedescos“. Opowiadania.

Morze spokojne. Ludzie nasi śpiewają cały dzień pieśni nabożne... i tym razem ładnie. Kapitan z przyjemnością przysłuchuje się chórom i wypytuje, co to za śpiewy. Dostarczam mu 2-go świadka, który kupił od piekarza chleb.

Wznawiają się skargi na złodziejstwa — skradziono bowiem komuś kapelusz i nóż ogrodniczy. Żądają odemnie, abym zarządził rewizyę. Stanowczo odmawiam takiemu żądaniu ze względu na opinię władzy okrętowej o naszych ludziach, opinię dotąd dla nich bardzo przychylną. Neapolitanie przeto skarżą się, że ich upośledzają a popierają „niemców“ (Tedescos) — ludzie nasi oceniają to i są z tego dumni, a dobrze to na nich wpływa. Przyznają, że „Taliany“ pod Udine i Artegna, są o wiele lepsi i zgodniejsi, niż Neapolitanie. Dowiaduję się, że pod Udine nienawidzą żydów i często którego z nich mieszkańcy tamtejsi zabijają, a mordercy nikt nie wydaje policyi.

Mikulski rozdaje z mego polecenia broszurkę o wychodźctwie. Odczytują z zajęciem opowiadania o Kośmińskim, który na czele oddziału ochotników polskich w 1894 r. zginął w południowej Brazylii w stanie Rio Grande do Sul pod Cruz Alta, zamieszawszy się niepotrzebnie w tamtejszą rewolucyę.

2. września. — Okolica wiecznych deszczów pod równikiem.

Wjeżdżamy do okolic dżdżystych pod równikiem. Istotnie niebo jest pochmurne, deszcz wciąż mży, morze jest niespokojne, kapitan przepowiada, że na widnokręgu ku wschodowi, utworzy się pewnie trąba morska z wiatrów dmących pod kątem prostym do siebie: południowego i wschodniego. Połączenie takie w lejek wód morskich z chmurami nie jest bardzo niebezpieczne dla parowca, gdyż ten, szybką jazdą manewrując, może uniknąć spotkania z trąbą a nadto można łatwo ją rozbić, urządzając silny prąd

powietrza w miejscu najcieńszem lejka; strzela się doń kulą armatnią, próżną i pełną dziur.

Na samym równiku podobno deszcz ustaje. Tymczasem bałwany mniej rzucają statkiem, choć są większe niż te, które były 7 czy 8 dni temu, bo jedziemy prostopadle do nich; nie biją więc w bok statku, bujają nim raczej wzdłuż tyłem i przodem a cokolwiek tylko bokami. Butelki nie przewracają się na stole, jak tydzień temu, jednak wszystkie kobiety cierpią na chorobę morską.

Nieprzyjemność ta, jakiej doznaje się przez kołysanie na morzu leży w tem, że nigdy nie wiesz dokładnie, kiedy i na jaką stronę statku pochyli się podłoga pokładu, na którym stoisz. Odpoczynek byłby znaczny, gdyby np. statek kołysał się regularnie to na prawo to na lewo lub naprzód i w tył — ale tak nigdy nie jest; zawsze podłoga ustępuje wprawdzie przeważnie raz na prawo i po chwili przeważnie na lewo, lecz wciąż z domieszką kierunku innego niespodzianego i niedającego się wcale przewidzieć. Gdy się okręt nachyli na jedną stronę, ma się wrażenie jazdy sanną, w największym pędzie pod górę lub z góry. Wjeżdża się na bałwan i zjeżdża z niego, jakby po jakim pagórku podolskim.

Jedziemy z szybkością 20 kilometrów na godzinę, t. j. 440 na dobę.

3. i 4. września. — Równik. Zaćmienie księżyca. Wyspa św. Piotra i Pawła.

Pod samym równikiem deszcz istotnie zupełnie ustaje, jak to z góry zapowiedziano. Nasi dziwią się, że w południe żadnego cienia niema — istotnie słońce pada zupełnie prostopadle. Ciepło nie jest tak bardzo nieznośne: łatwo się nawet zaziębić wieczorem. gdy zawieje wietrzyk cokolwiek świeższy, jak tego sam doświadczyłem. Słońce w pobliżu równika wschodzi i zachodzi szybko bez przejść żadnych, t. j. bez żadnych zórz i półświateł, oraz wieczornych półcieni. Odrazu w ciągu kilkunastu minut, skoro tylko zaczyna dnieć, pojawia się gwiazda dzienna ponad morzem i w te pędy grzeje a świeci, jak u nas w samo południe.

Między godziną 3 a 4-tą w nocy, (z 3-go na 4-tego września) było jasno na morzu, świecił księżyc w pełni, światło było niebiesko elektrycznej barwy. Naraz około 4-tej zrobiło się cie-

mno. cień naszej kuli ziemskiej pokrył księżyc i nastąpiło zupełne jego zaćmienie. Mniej efektowny był koniec: gęste bowiem chmury pokryły cały obraz, a tymczasem słońce wzeszło, ukryte za niemi.

Mało kto z naszych widział owe zjawisko; jednak znaleźli się tacy, którzy, skoro się dowiedzieli, że będzie zaćmienie, przepędzili noc na jawie i zdołali mnie obudzić na czas.

Bałwany morskie stały się mniejsze, jakby tknięte częściowym paraliżem po zaćmieniu, a niebo wypogodziło się. Dzień zrazu zapowiadał się jasny i pogodny, ujrzeliśmy przez lunetę mały żaglowiec a właściwie górne jego części, gdzieś na krańcu widnokręgu morza, o jakie 8 mil geograficznych, (56 kilometrów). Pomimo tak wielkiej odległości, zamieniliśmy z nim sygnały porozumiewawcze. Dowiedzieliśmy się, że to statek angielski z Australii, oczekiwany w S. Vincente.

Przy średnio pogodnem niebie przejeżdżamy w pobliżu skał, zwanych wyspą św. Piotra i Pawła. Zamieszkują ją tylko fabrykańci guana, ptaki: jest ich tam mnóstwo — cała wyspa wybieliła się skorupami jaj, jajami i guanem. Zdala przez lunetę widać na niej jakby fantastyczne miasto o dziwacznych budynkach śnieżnej białości — zwłaszcza wyróżniają się 2 ogromne skały z szaremi stożkowatemi basztami, niby średniowieczne wieżyce. Wyspa ta leży pod szerokością północną 0·59, oraz długością 29·18 Greenwicha. Na wielu mapach niemieckich naznaczone są 2 wyspy św. Piotra i Pawła — na specyalnej morskiej mapie angielskiej jest tylko jedna pod tą nazwą. Okiem rozróżnić można tylko jedną, a i kapitan okrętu naszego, który często jeździ tamtędy, twierdzi, że to jedna, a nie dwie.

Wieczorem 4-go września przejeżdżamy równik. Przy tej sposobności miały miejsce jakieś ceremonie, figle wśród wychodźców; lecz temu się nie przyglądałem, jako też i tańcom, które odbyły się z udziałem Neapolitańczyków. Kapitan ugaszczał winem i jedzeniem; to też okrzykom i toastom (niech żyje nam, mnohaja lita i evviva), nie było końca.

*

5. września. — Pierwszy dzień na południowej półkuli. Zimno. Wyspa Brazylijska Noronha (wym. Noronia).

Morze po przebyciu równika stało się istotnie tak spokojne, jak wtedy, kiedy dojeżdżaliśmy do Neapolu. Małe bałwanki nie

wpływały na ruch parostatku, który pędził jak po jeziorze, nie chwiejąc się prawie na żadną stronę.

Ponieważ od początku podróży pełnię faktycznie obowiązki sędziego, zgłoszono się do mnie w sprawie sprzeniewierzenia 12 złr. (20 marek). Sprzeniewierca, człowiek zamożny, upierał się, jak muł, przy tem, żeby nie oddać zabranych pieniędzy. Po stosownem z mej strony napomnieniu i groźbie, przez całą dobę się namyślał i ostatecznie wręczył mi złotą monetę, 1 f. szterling angielski. Ze strony pokrzywdzonego radość była głośna, a później wykwitła nawet czuła przyjaźń z krzywdzicielem.

Nudzi mnie trochę wielka uprzejmość kapitana; ile razy zbliżam się do niego w czasie jego obiadu lub śniadania (jadał w innej porze niż wszyscy), częstuje mnie winem i owocami. Żenuje mnie przystępować wtedy do niego: wyglądało bowiem na to, że czynię to, podbudzony apetytem do jego wina i pomarańcz; lecz jest to jedyna chwila, kiedy chętnie wdaje się w pogawędkę, a opowiadał wciąż rzeczy ciekawe. Rozmowa między nami toczy się po francusku. Opowiada np. jak Włosi szybko zmieniają w Brazylii narodowość, zwłaszcza na plantacyach kawy. Przyczynia się do tego to, że właściciele fazend (t. j. większych dóbr ziemskich) i cała ich administracya nie mówią wcale językiem włoskim, lecz pokrewnym portugalskim i zmuszają przez to robotników włoskich do poduczania się portugalszczyzny, a właściwie do psucia sobie tylko języka ojczystego w bardzo krótkim czasie. Kapitan jest świadkiem tego, przewożąc ich wciąż przez ocean.

Choć jesteśmy pod równikiem, gorąco wcale nam nie dokucza... przeciwnie, cierpiemy trochę zimna pod wieczór. Na południowej półkuli jest w pełni zima i od wielkich płaszczyzn argentyńskich, uruguayskich i brazylijskich powstaje wiatr zwany Pampero czyli stepowy (od pampa, step), który obecnie dosięgnął nas pod równikiem przy pochmurnem niebie.

W nocy 5 września przejeżdżamy koło wyspy Fernando Noronha (wym. Noronia): jest to więzienie przestępców politycznych, skazanych na całe życie. Wyspa ta należy do Brazylii — zaledwie ją można było dostrzedz. Odtąd będziemy płynęli wzdłuż brzegów brazylijskich. Lądu wszakże nie widać dotąd z powodu oddalenia i ciemności nocnych.

6. 7. i 8. września. — Pobliże Nowego Świata. Bahia. Wciąż Pampero. Śpiewy ludowe.

Pobliże lądu brazylijskiego zapowiada się morzem burzliwem i zachmurzonem niebem. Pampero sprowadził burzę na morzu — wiele osób, zwłaszcza kobiet, choruje znów na morską chorobę. Co do mnie, to ani razu nie doznałem tej słabości; przeciwnie bujanie statku sprawiało mi przyjemność. Przed drugiem śniadaniem około 10-tej rano czułem zwykle szalony głód — potem walczyłem z sennością i wielkiem zmęczeniem, które ustępowały nieco po południu. Jestto właściwość morza, że z początkiem każdego nieprzyzwyczajonego rozstraja.

Po paru dniach jazdy od wyspy Fernando Noronia dojeżdża się do pobliża stanu i miasta Bahia. Jestto trzeci gród brazylijski co do liczby mieszkańców po Rio de Janeiro i S. Paulo. Liczy ich przeszło 200.000. Pod miastem znajduje się skała olbrzymia, pokryta orchideami.

Bahia — to cudo piękności przyrody; po Hawanie stan bahijski ma najlepsze tytonie na świecie. Nasienie tej rośliny z tamtąd sprowadzają, nie tylko do całej Ameryki południowej, lecz do samej Hawany i Antylów, zastępując niem własny tytoń, który od czasu do czasu niszczeje.

Kapitan opowiada ciekawe szczegóły o Bahijczykach. Podobno nigdzie w Ameryce niema takiej nienawiści do cudzoziemców, jak w sercu tych Brazylijczyków północnych; przytaczał jej liczne przykłady, mało zachęcające do zwiedzenia tego kraju. Rządy, stanowy miejscowy i centralny riożaneirowski, bywają w obec tych niechęci zupełnie bezsilni. Francuz pewien np. miał oddane w przedsiębiorstwo od rządu owego stanu trasę i budowę kolei gdzieś w głębi kraju. Wybrał się tam z paruset ludźmi; lecz wciąż mu ich po trochu zabijano, a ci, których posyłał o pomoc do rządu bahijskiego, nie wracali. Sam z trudem uszedł śmierci. On i paru towarzyszy zaledwie dotarli do miasta Bahii — wszystkich innych wystrzelano. Skarżącemu się francuzowi odpowiedzieli, że rząd nie może narazić się na niepopularność, popierając choćby najsłuszniejszą skargę. Francuz zrujnował się do szczętu.

Mimo tak rozkosznych stosunków w tej części Brazylii, kapitały europejskie i północno-amerykańskie wciąż się tam pchają, zachęcone bogactwami przyrody tamtejszej, szczególnie po bawełnę.

Wiatr Pampero opóźnia naszą podróż. Przed jego nastaniem, t. j. 6-go września jechaliśmy 276 mil morskich (550 kilometrów) na dobę, czyli 11·41 mil morskich (23 klm.) na godzinę, dnia 7-go już tylko 232 (460 klm.) na dobę, przeto jedziemy wolniej o 44 mil (80 klm.) na dobę. (Jedna mila morska wynosi trochę mniej niż 2 kilometry. Dokładnie: 1 mila morska angielska i niemiecka równa się 1854 metrom. 1 mila morska francuska = 1850 metrom. — Kilometr jest cokolwiek mniejszy od wiorsty — dokładnie: wiorsta = 1.069 metrów).

Dnia 8-go września morze najburzliwsze. Trudno chodzić, jeszcze trudniej ubierać się i rozbierać bez potłuczenia się. Osoba leżąca przewraca się z boku na bok i bije o ścianę lub kres łóżka.

Choć przejeżdżamy strony najgorętsze, ciepła niema wcale. Na półkuli południowej, wrzesień jest dokładnie to samo, co na północnej marzec, więc końcem zimy i ledwie początkiem wiosny. Miejsca, gdzie się rodzi Pampero, bywają lodowate; zrywa się on czasem aż od stepów patagońskich, mających klimat Europy północnej.

Miałem sposobność porównywać do woli śpiewy ludowe. Neapolitańskie są bardzo wesołe. Kalabryjskie zaś brzmią dosyć pierwotnie; nic w nich niema rzewnego, choć wydały mi się poważniejsze od neapolitańskich. Już to Włosi pod względem śpiewu górują nad wszystkiemi innemi narodowościami — dla tego też śpiewacy nasi, nawet rusińscy, nie mogli im dorównać.

Dr. Stanisław Kłobukowski.

(Dalszy ciąg nastąpi).

Z życia Kajetana Węgierskiego

Pamiętniki i listy

WYDAŁ

Dr. Stanisław Kossowski.

(Ciąg dalszy).

12. Juin. 25° 49″.

Nous avons en ces jours-ci, un temps d'orage qui a fini par un calme, dont nous nous somes impatienté très fort, puisque nous n'avons fait que quinze lieues dans les 24 heures. Hier, pour la première fois, le soleil s'est couché sans nuages; tu ne saurais te figurer la beauté majestueuse de ce coup d'oeil: L'horison paré des couleurs les plus majestueuses et plus brillantes

---

12. czerwca, 25° 49″.

Mieliśmy w tych dniach czas burzliwy, który skończył się ciszą, niecierpliwiącą nas bardzo, ponieważ zrobiliśmy tylko 15 mil w przeciągu 24 godzin. Wczoraj po raz pierwszy słońce zaszło bez chmur; nie mogłabyś sobie wyobrazić majestatycznego piękna tego widoku: horyzont przystrojony kolorami najbardziej majestatycznymi i najświetniejszymi roztaczał przed zdziwionym

étalait à l'oeil étonné des nuances si variées, si agréables, que les plus beaux paysages de Claude Lorrain, des Berghem, des Salvators Rosa — n'eussent été que de faibles esquisses, des traits informes — auprès de ce spectacle ravissant. Combien j'ai désiré, que tu fusses témoin de cette merveille ravissante; l'air était si pur, le firmament si transparent, que la faible lumiere des étoiles perçait déjà au travers, et adoucissait le gris sombre, dont la retraite du soleil avait couvert la terre. La lune brillait dans toute sa beauté, et aucun de ses rayons n'était dérobé à nos yeux. Il est impossible de rien voir de pareil dans nos villes ni même dans nos campagnes d'Europe. La chaleur n'a pas assez de force pour fondre les vapeurs grossieres, qui s'élèvent dans la journée: la terre d'ailleurs en exhale plus que l'Océan. Je ne me souviens pas d'avoir vû rien d'aussi parfait à Naples, ni en Sicile. A peine le soleil eut plongé, que la voûte celeste parut éclairée de mille flambeaux: la lune perdit alors un peu de son éclat: elle prit une teinte plus pâle, plus douce — son visage ressemblait à une beauté abbatue que sa langueur rend encore plus intéressante. Les nuages légers formaient mille tableaux agréables: ici on voyait des prairies couvertes de troupeaux, là

---

okiem urozmaicone cienie, tak przyjemne, że najpiękniejsze krajobrazy Claude Lorrain'a, Berghem'a, de Salvators Rosa byłyby tylko słabym zarysem, rysami bez kształtu — przy tem zachwycającem widowisku. Jak bardzo pragnąłem, abyś Ty była świadkiem tego zachwycającego dziwu; powietrze było tak czyste, firmament tak przejrzysty, że słabe światło gwiazd przebijało już przez nie i łagodziło szarą ciemnię, jaką ustąpienie słońca pokryło ziemię. Księżyc świecił w całem swojem pięknie i żaden z jego promieni nie był skryty przed naszemi oczyma. Niepodobna widzieć coś podobnego w naszych miastach — ani nawet w naszych wsiach europejskich. Upał nie ma dość siły, aby stopić niekształtne pary, które podnoszą się podczas dnia; ziemia zresztą wydaje ich więcej, aniżeli ocean. Nie przypominam sobie, abym widział coś równie doskonałego w Neapolu, ani w Sycylii. Zaledwie słońce zanurzyło się, gdy sklepienie niebieskie okazało się oświecone tysiącami pochodni: księżyc stracił wtedy trochę ze swego blasku: przyjął on odcień bledszy, łagodniejszy — oblicze jego podobne było do zgnębionej piękności, którą jej zmęczenie czyni jeszcze bardziej zajmującą. Lekkie chmury tworzyły tysiące przyjemnych obrazów; tu się widziało łąki pokryte stadami,

des rochers garnis d'arbres, un lion couché majestueusement; un charletan, faisant danser un singe, des bachantes echevelées: Je croyais lire l'Arioste, ou suivre Pindare dans ses élans; mon imagination perfectionnait ces ébauches, et rien ne manquait à l'illusion. Ne crois pas, que j'exagére, ou que je me présente des fantômes: les expressions les plus recherchées de la poësie ne sauraient atteindre à cette magnificence de la nature — et les plus chaudes descriptions en seraient toujours de froides copies. Quelle raisonnable melancolie, que de pareilles situations inspirent — mais des reflexions sont actuellement une marchandise, si commune, qu'on ne saurait trop les epargner aux lecteurs; — et de dire tout ce qu'on a senti dans telle ou telle position, c'est donner, pour ainsi dire, la liste des mets, dont on s'est nourri dans la journée... Il s'y trouve rarement des phaisans, ou des ortolans; — et le boeuf y fait une trop grande figure.

Ce 15. Juin.

Je ne puis te dire le degrés de latitude, où nous nous trouvons, n'ayant pu prendre hauteur aujourd'hui, à cause de la

---

tam skały otoczone drzewami, dalej lew, majestatycznie leżący; szarlatan każący tańczyć małpie, bachantki z rozpuszczonymi włosami. Zdawało mi się, że czytam Ariosta albo gonię Pindara w jego uniesieniach; wyobraźnia doskonaliła te szkice i nic nie brakowało do złudzenia. Nie myśl, żebym przesadzał albo żebym przedstawiał sobie widma: najbardziej wyszukane wyrazy poezyi nie mogłyby dorównać tej wzniosłości przyrody i najgorętsze opisy byłyby zawsze tylko zimnemi kopiami. Jaką rozsądną melancholią może natchnąć podobna sytuacya, ale rozmyślania są obecnie towarem tak pospolitym, że nie możnaby nadto oszczędzać ich czytelnikom; i powiedzieć wszystko, co się odczuło w takim lub owem położeniu, jest to dać, że tak powiem, spis potraw, któremi się żywiono w przeciągu dnia... Rzadko tam się znajdują bażanty albo trznadle; a wół stanowi tam rzecz nadto ważną...

15. czerwca.

Nie mogę Ci podać stopnia szerokości, gdzie się znajdujemy, ponieważ nie mogłem dzisiaj zrobić wymiaru z powodu spotkania

rencontre d'un vaisseau, que nous avons avaisonné à midi même. Il allait au Port au Prince, et nous avons voulu. Mr. de Fontenille et moi, profiter de cette occasion pour nous rendre plutôt a St. Domingue; et par conséquent, abréger le voyage. Mais sous pretexte de manquer de bois, il s'est défendu de nous prendre à bord. et m'a privé du bonheur de te voir peut-être un mois plutôt. Il s'apelle le Sully, il vient de Nantes — je te le nomme pour que tes imprecations portent plus particulièrement sur lui. C'est la première fois, que ce beau nom sera maudit.

Depuis que je ne t'ai écrit, c'est à dire, depuis trois jours, il est arrivé ici desévenements très importants. D'abord hier nous avons passé le tropique; nous nous trouvons par conséquent sous des Zones différentes. Le soleil darde perpendiculairement ses rayons sur nos têtes à midi; et les clochers de Notre Dame ne sauraient trouvez assez d'ombre pour couvrir la tête d'une fourmi. Je ne sais, si c'est la roue torride — ou quelque autre cause, qui a échauffé la tête du pauvre Richard, de manière à me manquer par des impertinences réiterées.

J'ai été obligé de le faire mettre aux fers, où il est depuis deux jours. Il a eu la bêtise de casser hier son cadenat, et faire

---

się z okrętem, który spostrzegliśmy o samem południu. Udawał się on do Port au Prince i chcieliśmy, pan Fontenille i ja, skorzystać z tej sposobności, aby udać się wcześniej do San Domingo, i wskutek tego skrócić naszą podróż. Ale pod pozorem, że mu brakło drzewa, wzbraniał się wziąć nas na pokład i tym sposobem pozbawił mię szczęścia zobaczenia Cię, być może, miesiąc wcześniej. Nazywa się on Sully; jedzie z Nantes. Nazyzywam Ci go dlatego, aby Twoje złorzeczenia padały wyłącznie na niego. Będzie to piękne imię po raz pierwszy przeklętem.

Od kiedy do Ciebie nie pisałem, t. j. od trzech dni, wydarzyły się tu bardzo ważne zajścia. Najpierw przebyliśmy zwrotnik, wskutek czego znajdujemy się w strefach różnych. Słońce rzuca w południe promienie pionowo na nasze głowy i dzwonnice Panny Maryi nie mogłyby dostarczyć dość cienia, aby okryć głowę mrówki. Nie wiem, czy to strefa gorąca, czy jakaś inna przyczyna, która rozpaliła głowę biednego Ryszarda do tego stopnia, że uchybiał mi ciągłemi niegrzecznościami.

Byłem zmuszony kazać go okuć w kajdany, w których się znajduje od dwóch dni. Wczoraj posunął swoją głupotę do tego

mine de se revolter: Son sort n'a fait qu'aggraver depuis; et je suis obligé de servir malgré moi. Outre l'incommodité, d'être sans domestique. J'ai eu encore le déplaisir de glisser avant hier et de me donner un coup très fort à la tête: cela n'a pas laissé de m'allarmer, la chute ayant été très violente. Mais comme il n'y a aucun mal visible, et que je ne sens plus de douleurs, je suis plus tranquille sur les suites. Il fallait sans doute des evénements pour faire diversion à l'ennui de notre voyage; mais j'aurais voulu, qu'ils ne partassent pas tous sur moi. Je commence pourtant à être beaucoup moins sensible aux contrarietés, et je crains que tu ne voies en moi un sage parfait à mon retour. Je te recomande en attendant de l'être Toi-même, et de te souvenir, que tu as à me consoler de tous les malheurs de ma vie passée, et que c'est du jour de notre connaissance, que je dois dater le bonheur de ma vie. Adieu, ma très divine amie: Je t'embrasse cent mille fois.

---

stopnia, że rozbił kłódkę i udawał buntującego się: z tej przyczyny los jego pogorszył się; a ja jestem zmuszony usługiwać sobie pomimo woli. Prócz niewygody znajdywania się bez lokaja, miałem jeszcze przykrość, że poślizgnąłem się przedwczoraj i uderzyłem się bardzo silnie w głowę: wypadek ten przeraził mnie srodze, gdyż upadek był bardzo gwałtowny. Ale ponieważ niema żadnej widocznej skazy i że już nie czuję bolu. jestem spokojniejszym co do następstw. Potrzeba było bez wątpienia wydarzeń, aby rozerwać nudę naszej podróży, ale wolałbym, aby nie wszystkie spadły na mnie. Zaczynam jednakże być znacznie mniej czuły na przeciwności i boję się, abyś za moim powrotem nie ujrzała we mnie doskonałego mędrca. Zalecam Ci tymczasem, abyś sama była taką i abyś pamiętała, że do Ciebie należy pocieszyć mię po wszystkich nieszczęściach mego przeszłego życia i że od dnia naszej znajomości ma się datować szczęście mego życia. Żegnaj moja bardzo boska przyjaciółko. Całuję Cię sto tysięcy razy.

17. Juin. 19⁰ 55".

Je vois avec chagrin, que je ne suis pas fait pour la mer, je croyais, ma foi, être bon à tout. Il ne s'est point passé de jour depuis mon embarquement, que je n'aie souffert, plus ou moins, mais depuis trois jours, je suis tout à fait malade, quoiqu'il fasse três beau, et que la mer ne soit pas grosse; Les yeux la tête. l'estomac. tout cela est dérangé. Il n'y a que mon coeur. dont je suis content; il est toujours plein de tes charmes, de tes vertus, et d'amour pour toi. Ton image lui est sans cesse présente. et tu en fais toujours les plus cheres delices, tandisque tu le soupçonnes peut-être d'ingratitude ou que tu l'accuses de tiedeur. Julie! Je veux, qu'en lisant ceci, tu te repentes, et que ta tendresse me venge de ton injustice. Je veux, que mon bonheur croisse à mesure de tes fausses allarmes; et puis que tu as osé descendre jusqu'aux soupçons, tu m'éleves au comble de la felicité, par la plus complette persuasion. C'est vers ce bonheur, que tous mes regards se tournent actuellement. C'est sur cet avenir charmant, que mes yeux sont attachés; et quand je pense, qu'à mon retour je te retrouverai aussi tendre, aussi ai-

---

17. czerwca. 19⁰ 55".

Widzę z przykrością, że nie jestem stworzony dla morza, a myślałem na prawdę, że jestem do wszystkiego. Nie przeszedł ani jeden dzień, od chwili, kiedy wsiadłem na okręt, abym nie był cierpiącym mniej lub więcej, ale od trzech dni jestem zupełnie chory, chociaz pogoda jest piękna, bardzo piękna. i morze niewzburzone. Oczy, głowa, żołądek, wszystko to jest rozstrojone. Jedno tylko serce, z którego jestem całkiem kontent. Ono jest zawsze pełne Twoich wdzięków, Twoich cnót, i miłości dla Ciebie. Twój obraz jest mu ciągle obecny i stanowisz jego najdroższą rozkosz — podczas, gdy Ty podejrzywasz je, być może, o niewdzięczność lub obwiniasz o oziębłość. Julio! ja chcę, abyś czytając to, żałowała, uczuła skruchę i aby Twoja czułość pomściła mię za Twą niesprawiedliwość. Ja chcę, aby Twoje szczęście rosło w miarę Twoich fałszywych obaw; a ponieważ śmiałaś zejść aż do podejrzeń, abyś mnie podniosła do szczytu szczęśliwości przez zupełne zaufanie. Ku temu to szczęściu, wszystkie moje spojrzenia zwracają się obecnie. Oczy moje wpatrują się w tę zachwycającą przyszłość i gdy pomyślę, że za powrotem odnajdę Cię

mable, aussi passionnée, que tu l'as été pour moi, je suporte tout avec la plus grande resignation; et je chanterais, — si j'avais de la voix: „Allons, allons j'ai du courage; le travail ne me fait pas peur". Quoique les vents nous servent à souhait et que nous avançons très promtement, je suis cruellement impatienté de notre maniere de vivre. On ne fait aucun exercice: on respire souvent un air infecte; on se nourrit des choses malsaines. Ce matin, pour la premiere fois, on a pris quatre bonites; c'est une espèce de thon, d'un goût assez mediocre, mais d'une bien belle apparence. Ce poisson est sans écoille, mais vêtu d'une tres belle robe, bleu et argent, qui au soleil fait un effet merveilleux. Tu vois bien, que je te mets au fait de tous nos divertissements — et de nos chagrins; et que tu trouveras ici un registre exact de mes moindres actions. Comme tu es ma Divinité, il faut que tu saches tout ce que je fais, et en pensant que mon but principal est — de te plaire, et de te rendre heureuse, tu reconnaitras aisément le resultat de mes pensées.

---

równie czułą, równie uprzejmą, równie zakochaną, jak nią byłaś pierwej dla mnie, znoszę wszystko z największem poddaniem się; śpiewałbym gdybym miał głos: „Dalej, dalej mam odwagę; praca nie przestrasza mię". Chociaż wiatry służą nam według życzenia i chociaż postępujemy bardzo szybko, jestem okrutnie zniecierpliwiony naszym sposobem życia. Nie robimy żadnego ćwiczenia, oddychamy często powietrzem cuchnącem, żywimy się rzeczami niezdrowemi. Dziś rano po raz pierwszy złapano cztery bonity; jest to rodzaj thona, miernego smaku, ale bardzo pięknej powierzchowności. Ryba ta jest bez łuski, ale ubrana w bardzo piękną błękitną i srebrną suknię, która na słońcu robi cudny efekt. Widzisz więc, że wtajemniczam Cię we wszystkie nasze rozrywki i zmartwienia i że znajdziesz tu dokładny spis najmniejszych moich czynności. Ponieważ jesteś moim bóstwem, potrzeba abyś wiedziała wszystko, co ja robię i myśląc, że głównym celem moim jest podobać się Tobie i uczynić Cię szczęśliwą, poznasz z łatwością wynik moich myśli.

19. Juin, Jeudi.

Je suis bien chagriné, quand je pense, que tu seras trois mois sans avoir de mes nouvelles; et j'ai bien peur, que tu ne me rendes trop tard justice sur mes sentiments. Entourée comme tu es, de gens, qui ne pensent qu'à me nuire, comment pourras-tu résister? Ta facilité, ta bonté serviront même à la rendre injuste; et personne ne se trouvant là pour défendre mes droits, je ne manquerai pas à être condammé. Puissent du moins les décrets n'être pas irrevocables et ton dernier arrêt suspendu! — Je te connais assez pour croire, que tu ne te pardonnerais jamais une légèreté, commise par trop de précipitation dans ta manière passionée de juger ma conduite; mais à quoi serviraient ces remords tardifs? — à troubler seulement tes plaisirs pour un instant et à justifier peut-être à tes yeux de nouveaux egarements. Si Julie m'est inconstante, elle le sera pour dix autres... Non, que je crois valoir mieux, mais parceque ma situation, les circonstances, mon amour vif et vrai divent me garantir son coeur et que la raison même doit la porter nécessairement à être persuadée, que

---

19. czerwca, czwartek.

Jestem bardzo zmartwiony, gdy pomyślę, że przez 3 miesiące nie będziesz miała wiadomości o mnie; bardzo się boję, że nie oddasz mi sprawiedliwości co do moich uczuć, jak tylko za późno. Otoczona ludźmi, którzy myślą tylko, aby mi zaszkodzić, jakże mogłabyś się oprzeć? Twoja łatwość, Twoja dobroć, posłużą właśnie, aby uczynić Cię niesprawiedliwą; a ponieważ nikt się tam nie znajdzie, aby bronić moich spraw, będę musiał koniecznie być skazanym. Oby przynajmniej Twoje wyroki nie były nieodwołalnemi i Twoja ostatnia decyzya została w zawieszeniu. Znam Cię dosyć, aby wierzyć, że nie przebaczyłabyś sobie nigdy lekkości, popełnionej przez zbytek pospiechu w Twoim namiętnym sposobie sądzenia mego postępowania; ale do czegoby posłużyły te spóźnione wyrzuty? Do zmącenia tylko Twoich przyjemności na chwilę i do usprawiedliwienia, być może, w Twoich oczach nowych błędów. Jeżeli Julia jest mi niestałą, będzie ona taką dla dziesięciu innych... Nie, żebym sądził, że jestem wart więcej, ale ponieważ moje położenie, okoliczności, moja miłość żywa i prawdziwa, powinny mi zapewnić jej serce i że sam rozsądek powi-

personne autre ne pourra faire son bonheur, et l'assurer. Elle a déjà senti des passions, elle a eu des liaisons plus ou moins durables; — il est à croire que celles qui pourront suivre, ayant bien plus de désagrements, ne lui feront sûrement pas éprouver ces transports, cette ivresse, que les premières lui ont procurés. Cette personne, qui a du être destinée à devenir la source premiere et unique du bonheur d'un être honnête et sensible, ne sera tout au plus que la cause de quelques plaisirs passagers, qui seront effacés, au moment même d'être goutés.

Je ne veux point prodiguer ici les serments, mais je puis te le dire en honneur que ce n'est pas la sotte vanité de fixer un coeur, qui me fait tenir ce langage, mais le prix que je mets au tien, et l'espoir d'une félicité durable et parfaite. Il sera inutile, si ce journal arrive avant le coup porté. Je te considere assez pour ne pas douter un instant qu'à la lecture des premières pages, tu ne me rendes toute ta tendresse — si elle n'est qu'altérée ou suspendue: mais si malheureusement elle est détournée sur un autre objet, tu pleureras, mais tu me laisseras malheureux et ce qui pis est tu le seras le reste de ta vie. Je ne puis envisager sans une extrême emotion, la possibilité de cet evénement; et les

---

nien usposobić ją do przekonania, że nikt inny nie będzie mógł stworzyć jej szczęścia i je zapewnić. Ona już odczuwała miłości, miała już związki mniej lub więcej trwałe, można więc sądzić, że te, które mogą nastąpić, mając o wiele więcej przykrości, nie dadzą jej uczuć tych uniesień, tych upojeń, których pierwsze jej dostarczyły. Ta osoba, która musiała być przeznaczona, aby być pierwszem i jedynem źródłem szczęścia istoty uczciwej i czułej, będzie tylko co najwyżej przyczyną kilku przyjemności przejściowych, które zostaną zatarte w samej chwili ich doznawania.

Nie chcę wcale posługiwać się tu przysięgami, ale mogę Ci powiedzieć na honor, że to nie jest głupia próżność ustalenia pewności serca, która mi każe mówić w ten sposób, ale cena, którą przykładam do Twojego serca i nadzieja szczęśliwości trwałej i doskonałej. Będzie to daremnem, jeżeli dziennik ten dojdzie przed ciosem zadanym. Szanuję Cię dosyć, aby nie wątpić ani na chwilę, że czytając pierwsze jego karty, oddasz mi całą swoją czułość, jeżeli ona jest tylko zmniejszoną albo zawieszoną; ale jeżeli na nieszczęście ona jest odwróconą na inny przedmiot, Ty będziesz płakać, ale mnie zostawisz nieszczęśliwym, a co gorsza, będziesz nią sama przez resztę swego życia. Nie mogę sobie wyobrazić

faibles doutes, qui s'elèvent dans mon coeur la-dessus, sont des traits perçants, qui me blesseront sans cesse, jusqu'à ce que je n'aie des preuves incontestables de l'amour, que tu me dois et que tu m'as juré.

Je t'avais écrit ce matin, mais en revoyant mes papiers, l'envie de causer avec toi me reprit. Ne m'en tiens aucun compte! Qu'aurais-je à faire de mieux que de m'entretenir avec ma très chere. Il est vrai, que je viens tout dire à ton portrait, que je quitte dans l'instant, mais il en a agi très incivilement avec moi, et je n'ai pu obtenir de lui un mot de reponse; et comme je voulais t'entendre absolument, je me suis jetté à lire les lettres, et cela m'a fait passer quelques moments heureux. Mon Dieu, que n'aurais-je pas donné pour pouvoir t'embrasser, te baiser, te sucer, à chaque expression tendre, que j'y trouvais... Mais que je suis loin de ce bonheur! Et quand le retrouverai-je? Il faut faire quatre mille lieues, s'ennuyer dans cent endroits, supporter des fatigues sans nombre, courir des dangers, avant de me revoir auprès de mon amour. Conçois-tu le plaisir que j'aurai à mon retour et que je sentirai ma bouche contre la tienne, et mes

---

bez nadzwyczajnego wzruszenia możliwości tego wypadku; słabe wątpliwości, które podnoszą się w mym sercu w tym względzie, są przenikającymi ciosami, które będą mię razić bez ustanku, póki nie będę miał niezaprzeczalnych dowodów miłości, jaką mi winnaś i którą mi poprzysięgłaś.

Pisałem do Ciebie dziś rano, ale spojrzawszy na moje papiery, ochota rozmawiania z Tobą ogarnęła mnie na nowo. Nie rachuj mi tego wcale! Cóż miałbym do czynienia innego, jak rozmawiać z moją ukochaną. Co prawda przychodzę wszystko mówić Twemu portretowi, który przed chwilą opuściłem, ale on postąpił ze mną bardzo niegrzecznie i nie mogłem otrzymać od niego ani słowa odpowiedzi, a ponieważ chciałem koniecznie Cię usłyszeć, rzuciłem się do czytania Twoich listów i to mi pozwoliło spędzić kilka chwil szczęśliwych. Mój Boże, czegobym ja nie dał, abym mógł ucałować Cię, uściskać Cię, wycisnąć pocałunek za każdym czułym wyrazem, który tam znalazłem... ale ja jestem daleki od tego szczęścia! I kiedyż je odnajdę? Potrzeba zrobić cztery tysiące mil, nudzić się w stu miejscach, znosić niezliczone trudy, narażać się na niebezpieczeństwa, nim ujrzę się znowu przy mojem szczęściu. Czy wyobrażasz sobie przyjemność, którą za moim

bras autour de ton corps; que je sentirai battre ton coeur, et des larmes de joie couler sur mes joues. Suis-je bien loin de ce moment? Oh! Oui. Combien? Un mois? Deux mois? — Eh non malheureusement; c'est presque le double. Il faut avaler ce calice amer, et desirer que je sois seul puni de mon imprudence.

Je ne puis pourtant me plaindre des vents: il nous sont, on ne peut pas plus, favorables: il s'epoumonent à souffler du bon côté, apparemment pour nous recompenser du temts qu'ils nous ont fait perdre. Je compte, que vers le milieu de la semaine prochaine, nous serons débarqués à la Martinique; Le premier vaisseau qui en partira sera chargé de mes depêches... Puisse-t-il voguer heureusement et apporter à ma chere amie des nouvelles d'un être, qui ne respire qu'après le moment d'etre auprès d'elle.

22. Juin.

Il y a aujourd'hui deux mois, que je t'ai quitté, et mon coeur, dans cet intervalle, n'a point à se reprochez de t'avoir

---

powrotem mieć będę i czuć będę, z ustami przy Twoich ustach i ramionami w około twego ciała, gdy będę czuć bicie Twego serca i gdy łzy radości popłyną na moich policzkach? Czy jestem bardzo daleki od tej chwili? O tak! Ile? Miesiąc? Dwa miesiące? O nie, na nieszczęście; prawie 2 razy tyle. Potrzeba wypić ten gorzki kielich i pragnąć, abym ja tylko był ukarany za moją nieostrożność.

Nie mogę jednakże skarżyć się na wiatry, one są nam, jak nie mogą być, pomyślniejsze: wysilają się, aby dać z dobrej strony, prawdopodobnie, aby nam wynagrodzić czas, który przez nie straciliśmy. Rachuję, że koło środka przyszłego tygodnia wylądujemy w Martynice. Pierwszy okręt, który stamtąd odejdzie, będzie obciążony moimi depeszami... Oby one mogły płynąć szczęśliwie i przynieść mojej drogiej przyjaciółce wiadomości od istoty, która tylko wzdycha za chwilą znalezienia się przy niej.

22. czerwca.

Dziś 2 miesiące, jak Cię opuściłem i serce moje w tym przeciągu czasu nie ma sobie do wyrzucenia, żeby choć na

oublié un instant. Je n'ai jamais désiré que les jours s'avançassent rapidement, et qu'une partie de ma vie disparaisse sans laisser aucune trace dans ma memoire; mais maintenant je voudrais, que le temps que j'ai à passer loin de Julie, fut reserré en un seul point; et que le bonheur de revenir près d'elle, se trouvat pour ainsi dire, au bout de mes désirs. Mon amour seul égale mon impatience; et je ne pense jamais sans un vrai chagrin, et au temps et à la distance qui nous separent; mais la recompense, qui m'attend, est au-dessus du temps et de mes maux. C'est une perspective charmante au bout d'un chemin triste et penible.

Plus nous approchons de notre isle, plus le temps traine et s'allonge. Vendredi midi nous étions en latitude, et nous courons dessus depuis 48 heures. toujours entre l'espérance de voir cette terre promise. et le chagrin de ne pas la trouver. Nous passerons encore, quelques jours ennuyeux et quelques nuits désagréables. Il pleut continuellement, le temps est couvert; et l'on est obligé de diminuer les voiles toutes les fois, de crainte d'échouer: ces manières allongent le voyage et impatientent beaucoup. J'ai passé toute la journée d'hier à jouer aux échecs — et toute la nuit sans dormir. Il n'y a pas moyen de fermer l'oeil dans une

---

chwilę zapomniało o Tobie. Nigdy nie pragnąłem, aby dnie płynęły szybko i żeby część mego życia znikła. nie pozostawiając żadnego śladu w mojej pamięci, ale teraz chciałbym, aby czas, który mam przepędzić zdala od Julii, został ściągnięty do jednego punktu i żeby szczęście powrócenia do niej znalazło się, że tak powiem, przy końcu moich życzeń. Moja miłość jedna dorównuje mojej niecierpliwości; nigdy nie myślę bez prawdziwego zmartwienia o czasie i odległości, która nas dzieli, ale wynagrodzenie, które mię czeka. przechodzi czas i moje męczarnie. Jest to perspektywa zachwycająca przy końcu drogi smutnej i uciążliwej. Im więcej się zbliżamy do naszej wyspy, tem więcej czas ciągnie się i przedłuża. W piątek o południu byliśmy w szerokości i odtąd biegniemy po niej 48 godzin zawsze między nadzieją zobaczenia tej ziemi obiecanej i przykrością nie znalezienia jej. Przepędzimy jeszcze kilka dni nudnych i kilka nocy nieprzyjemnych. Deszcz pada ciągle, czas jest posępny i wciąż jesteśmy zmuszeni ściągać żagle z obawy, aby nie osiąść na mieliźnie; tę czynności przedłużają podróż i niecierpliwią bardzo. Cały dzień wczorajszy spędziłem na graniu w szachy, a całą noc bezsennie. Nie ma sposobu, aby zmrużyć oko w pokoju, gdzie spi siedm osób —

chambre où couchent sept personnes — dont la moitié a peur. Ces craintes quelquefois comiques me donnent souvent le moyen de rire, au milieu de mon impatience — et du regret, que je ne peux trouver le sommeil, et goûter le seul plaisir, dont un ennuyé soit susceptible.

24. Juin, jour de la St. Jean.

Hier, au soleil couchant, on eut quelques soupçons de la terre; et le capitaine fit mettre le vaisseau à le cape. La brise était très forte, et nous fumes séconés toute la nuit d'une terrible manière. Les gens, qui n'ont jamais éprouvé de grosse mer, ne sauraient se former une idée de cette manière de ballotement. Lits, chaises, tables, coffres, tout danse et culbute, et ce choc continuel produit un tintamarre, un bruit si singulier, que cette situation serait plaisante, si elle ne durait pas. Quoiqu'il en soit, nous passâmes ainsi toute la nuit moitié à rire, moitié à nous impatienter: il ne fut pas question de dormir, le sommeil une fois chassé revient difficilement et Morphée sacrifié à Neptune,

---

z których połowa lęka się. Te obawy, niekiedy konieczne, dają mi sposobność uśmiania się wśród mojej niecierpliwości i żalu, że nie mogę zasnąć, a tem samem skosztować jedynej przyjemności, możliwej dla człowieka znudzonego.

24. czerwca, dzień św. Jana.

Wczoraj o zachodzie słońca miano pewne podejrzenie, że ziemia blizko: kapitan kazał okręt obrócić przodem. Wiatr był bardzo silny, całą noc kołysaliśmy się w straszny sposób. Ludzie, którzy nigdy nie znajdywali się na wzburzonem morzu, nie potrafiliby sobie wyobrazić tego rodzaju podrzucania. Łóżka, krzesła, stoły, kufry, wszystko skacze i przewraca się i to uderzenie ciągłe powoduje stukot, hałas tak szczególny, że położenie byłoby śmiesznem, gdyby nie trwało długo. Bądź co bądź, przepędziliśmy w ten sposób całą noc na śmianiu się i na niecierpliwieniu się. O spaniu nie było mowy, sen raz odegnany powraca z trudem, a Morfeusz poświęcony Neptunowi opuścił nas zupełnie. Ale

nous abandonna tout à fait. Mais à la pointe du jour, quand nos forces et notre patience etaient à bout on cria: Terre, du haut des mâts. Ce bruit agréable nous fit oublier toutes nos peines. D'abord on ne voyait qu'un nuage fixe et épais, mais dans une demi-heure nous parvinmes à distinguer les maisons, les arbres, et même les habitants. L'isle du côté de la basse pointe, et de celle de Macouba offrait des paysages agréables et des sites pittoresques: Du haut des mornes tombent des cascades sans nombre, qui vont se précipiter dans la mer; les plantations disposées en amphithéâtre contrastent très bien avec les rocs steriles, dont ils sont couronnés. Parmi les arbres, dont la plaine est parsemée, on aperçoit de loin le palmiste; sa tête touffue et majestueuse se balonce sur un corps droit et élancé. Il a d'ailleurs un air de propreté, de grâce et de grandeur, qui le font distinguer bien facilement du commun. C'est une espèce de palmier, dont la tige, toujours droite et unie et luisante, n'a ni branches, ni noeuds jusqu'au sommet; là plusieurs rameaux garnis de feuilles de 9 à 10 pieds de long, lui forment un parasol ou une espèce de couronne. C'est un arbre d'un effet merveilleux; et sa vue m'a fait grand plaisir. A neuf heures nous doublâmes „la pointe

---

z brzaskiem dnia, gdy nasze siły i nasza cierpliwość były wyczerpane, zawołano: Ziemia, z wysokości masztów. Ten wykrzyk przyjemny kazał nam zapomnieć o wszystkich naszych trudach. Z początku widziało się tylko nieruchomą i gęstą chmurę, ale w pół godziny zdołaliśmy rozróżnić domy, drzewa a nawet mieszkańców. Wyspa ze strony niskiego punktu i ze strony Macoub'a przedstawiała widoki przyjemne i położenia malownicze. Z wysokości wzgórz spadały mnogie kaskady, które wpadały do morza; plantacye urządzone amfiteatralnie stanowiły silny kontrast z nieurodzajnemi skałami, któremi są ukoronowane. Pomiędzy drzewami, któremi równina jest zasiana, spostrzegano z oddali palmę; jej gęsta i majestatyczna głowa kołysze się na ciele prostem i wysmukłem. Ma ona zresztą wygląd czysty, pełen wdzięku i wielkości, który ją łatwo wyróżnia od pospolitych. Jest to gatunek palmy, której łodyga, zawsze prosta, równa i błyszcząca nie ma ani gałęzi ani sęków do samego wierzchołka; tam kilka gałązek, okrytych liśćmi od dziewięciu do dziesięciu stóp długości, tworzy dla niej parasol albo rodzaj korony. Jest to drzewo robiące cudne wrażenie, jego widok sprawił mi wielką przyjemność. O dziewiątej godzinie opłynęliśmy „szczyt mowcy".

du precheur". Pour vous rendre ces endroits plus intéressants, vous pouvez les voir sur la carte de la Martinique à l'atlas de l'abbé Raynal. Et je comptais mouiller à St. Pierre sur les 2 ou 3 heures de l'après midi mais comme on ne peut y entrer qu'en louvoyant et que notre vaisseau marche très-mal de cette manière, nous nous sommes vûs reponssés par le vent de terre, et maintenant (à trois heures) nous en sommes plus loin, que nous n'en étions à midi. Je crois, que nous coucherons encore cette nuit à bord — et j'en suis pour ma toilette et mes espérances. S'il y a moyen de me rendre à terre dans un canot, j'en profiterai, et je te l'ecrirai demain.

25. Juin, à 10 heures.

Cela n'est-il pas bête? Cela n'est-il pas ridiicule? Cela n'est-il pas pitoyable? Nous ne nous somes pas conché de la nuit — et nous voilà encore à la même place a 3 heures et demie après minuit. Les courants nous emportaient droit contre un rocher qu'on nomme la Perte (quoique sûrement nous n'étions

---

Ażeby wam uczynić to miejsce bardziej zajmującem, możecie je widzieć na mapie Martyniki w atlasie księdza Raynal. Miałem nadzieję wylądować w Saint-Pierre, około drugiej lub trzeciej godziny po południu. Ale ponieważ dopłynąć tam można tylko jednym lub drugim bokiem i że nasz okręt płynie w ten sposób bardzo źle, zostaliśmy odepchnięci przez wiatr od ziemi i obecnie (o trzeciej godzinie) jesteśmy od niego dalej, aniżeli byliśmy o połuduiu. Sądzę, że tę noc przepędzimy jeszcze na statku — i stracona moja toaleta i moje nadzieje. Jeżeli będzie sposób udania się na ląd w łódce, skorzystam z niego i napiszę Ci o nim jutro.

25. czerwca, 10 godzina.

Czy to nie jest głupie? Czy to nie jest śmieszne? Czy to nie jest godne politowania? Nie kładliśmy się przez całą noc — i znajdujemy się na tem samem miejscu o pół do czwartej po północy. Prądy unosiły nas prosto na skałę, którą nazywają Zguba (chociaż z pewnością nie byliśmy tam, aby w nie wje-

pas là pour les enfiler). L'équipage est harassé: la chaleur est excessive, et on n'a pas discontinué de manoeuvrer depuis 24 heures.

à 1 h heure, à la rade de St. Pierre, isle de Martinique.

Nous voilà enfin mouillés. Nous avons déjà vingt negres à bord: le navire entouré de pirogues remplies de toute sorte de fruits. J'en ai goûté avec avidité de toute sorte d'espèces, mais je les ai trouvé très-mediocres. Il n'y a que des Ananas qui me plaisent. — Les carossols, les figues, les bananes, les avocats, les abricots, tout cela me parait immangeable.

Nous sommes à 20 pas du Triton, vaisseau de 64 tonneaux, commandé par Mr. de Tungor qui doit partir bientôt pour la France. Je t'ecrirai par cette occasion: j'espére pourtant qu'il y en aura d'autres plus prochaines. Nous allons descendre dans l'instant à terre: on nous dit que nous y verrons le V-te de Laval.

żdżać). Załoga iest zmordowana: upał nadzwyczajny i nie przestaliśmy lawirować od 24 godzin.

1 godzina, w przystani św. Piotra, wyspa Martynika.

Oto wreszcie wylądowaliśmy. Już mamy dwudziestu murzynów na pokładzie: statek nasz otoczony łodziami, napełnionemi różnymi rodzajami owoców. Skosztowałem z chciwością wszystkich gatunków, ale znalazłem je bardzo mierne, jedne tylko ananasy smakują mi. Carossole, figi, banany, morele, wszystko to wydało mi się niemożliwem do jedzenia.

Jesteśmy o 20 kroków od Tritonu, okrętu o 64 beczkach, dowodzonego przez pana de Tungor, który ma wkrótce odpłynąć do Francyi. Napiszę do Ciebie przez tę okazye. Mam jednak nadzieję, że nadarzą się inne okazye prędzej.

Natychmiast wysiadamy na ziemię; mówią nam, że zobaczymy tam V-te de Laval.

26. Juin, à St. Pierre.

Je suis très content de me trouver à terre; tout mal qu'on y soit on y est toujours mieux que dans un vaisseau. La nouveauté des objets, que l'on rencontre d'ailleurs dans ce pays-ci, a une espèce d'attrait, qui satisfait, pour un instant la curiosité. L'endroit où nous sommes, est un bourg bâti le long de la mer, et acculé contre une montagne, la vue, par conséquent, en est très bornée. En y arrivant, nous avons été avec Fontenille, nous promener sur le port. J'y ai trouvé peu d'activité: il est vrai qu'il n'y a qu'une trentaine de vaisseaux en rade. Il y en a un, qui est arrivé hier du Senegal et porte plus de 500 negres. On a débarqué ces malheureux en notre presence. Ce sont tout de tres beaux hommes, et à la fleur de l'âge: Ils m'ont paru être — on ne peut pas plus, gais et contents. Vraiment la nature humaine est trop inconséquente. Nous ne sommes entourés que de visages noirs ou jaunes; ton goût pour ceux-ci aurait de quoi se satisfaire — car la couleur du chev. de Narbone serait alors l'albatre à tes yeux. A notre retour à la maison nous avons fait un souper agréable, sous un bosquet d'orangers. La

---

26. czerwca, w St. Pierre.

Jestem bardzo zadowolony, że znajduję się na ziemi; jakby się na niej nie czuło źle, zawsze się jest lepiej jak na okręcie. Nowość przedmiotów, które się spotyka zresztą w tym kraju, ma rodzaj uroku, który zadawalnia na chwilę ciekawość. Miejsce, gdzie się znajdujemy, jest miasteczkiem, zbudowanem wzdłuż brzegu morza i opartym o górę, to też widok z niego jest bardzo ograniczony. Przybywszy tu, poszliśmy z Fontenillem na przechadzkę w porcie. Znalazłem tam mało ruchu, prawda i to, że jest tylko około trzydzieści okrętów w przystani. Jeden z nich, który przybył wczoraj z Senegalu, mieści więcej jak 500 murzynów. Wysadzono tych nieszczęśliwych w naszej obecności. Wszyscy oni są ludźmi bardzo pięknymi, i w kwiecie wieku. Wydali mi się bardzo weseli i zadowoleni. Rzeczywiście natura ludzka jest zanadto niekonsekwentną. Jesteśmy otoczeni tylko twarzami żółtemi albo czarnemi; twój gust do żółtych miałby się czem zadowolić — ponieważ płeć pana de Narbonne byłaby wtedy w Twoich oczach biała jak alabaster. Powróciwszy do domu, zjedliśmy przyjemnie kolacyę w pomarańczowym gaju. Dom, gdzie się znajdujemy,

maison où nous sommes, a un petit jardin où il n'y a que d'orangers, des citroniers, des grenades, des ananas, du jasmin. Tu n'as aucune de ces raretés dans le tien, mais tu y es toi-même, cher objet de mon amour! Et qu'est-ce que toutes les delices de la terre, à côté du bonheur d'être couché près de toi sur ce gazon, tant de fois témoin de mon bonheur.

Ce matin, en me levant, j'ai été me fourrer dans un bain froid. C'est ici un grand plaisir et une nécessité indispensable. La chaleur y est très violente. On fonderait sans cette ressource. Celle d'hier du moins a été charmante. Je te quitte pour aller voir l'intendant de l'isle pour qui j'ai une lettre.

Cette partie du journal a été envoyée par le vaisseau „La Terre" du Havre le 27. Juin.

J'ai fait partir hier par un vaisseau du Havre, nommé la Terre, un cahier de 30 pages d'écriture, qui renfermait un jour-

---

posiada mały ogród, w którym są tylko drzewa pomarańczowe, cytrynowe, granaty, ananasy i jaśmin. Ty nie masz żadnej z tych rzadkości w Twoim, ale Ty nie jesteś sama, drogi przedmiocie mojej miłości! A cóż znaczą wszystkie rozkosze ziemi, w porównaniu ze szczęściem leżenia przy Tobie na tym trawniku, który tyle razy był świadkiem mego szczęścia. Dziś rano wstając poszedłem zanurzyć się w zimnej kąpieli. Stanowi to tu wielką przyjemność i niezbędną potrzebę. Gorąco tu jest nadzwyczaj gwałtowne. Stopionoby się bez tego środka. Wczorajsza przynajmniej kąpiel była zachwycająca. Opuszczam Ciebie, aby się udać do zarządcy wyspy, dla którego mam list.

Ta część dziennika była posłana przez statek „Ziemia" z Hawru 27. czerwca.

Wczoraj [1]) przez okręt z Hawru, nazwany „Ziemia", przesłałem zeszyt składający się z 30 stronic pisma, który zawierał

---

[1]) Jakkolwiek ten ustęp dziennika nie ma daty, można jednak z łatwością z treści jego oznaczyć, że pisany był 28. czerwca.

nal de ma route, et te donnait avis de mon arrivée ici. Je l'ai adressé au baron de Stael; j'espére qu'il te parviendra avant cette lettre-ci. S'il se perdait par malheur tu en trouveras ici un resumé, car je n'ai ni le temps, ni la possibilité de copier des volumes, vû que le vaisseau qui doit porter cette lettre, part demain, et qu'elle doit être remise aujourd'hui. Nous avons mis en mer le 16. du mois de Mai, et après avoir décapé avec une grande facilité, les vents contraires nous ont arrêté par le 31° degrés: les calmes ont succédé ensuite. Toutes ces contrarietés ont fai, que la traversée a été de 40 jours; J'en ai passé une grande partie dans mon hamac, souffrant du mal de mer, et de mille autres incommodités. Nous vîmes la terre le 24. Juin Mardi, au lever du soleil et après avoir resté 36 heures à la vue de la rade sans pouvoir y entrer, nous mouillâmes enfin le lendemain à midi, je descendis à terre une heure après.

On ne met pas une grande recherche à se loger. Les maisons sont toutes à un étage, avec de grandes salles basses, qui ont plusieures ouvertures sur la rue. Les meubles sont mesquins, et mal tournés: ils ne connaissent, ni les carreaux ni ces sophas des Perses, des Turcs et d'autres peuples orientaux: et quoique

---

dziennik mojej podróży i miał ci oznajmić o moim tu przybyciu. Zaadresowałem go do barona de Stael; mam nadzieję, że dojdzie do Twoich rąk przed tym listem. Gdyby się przez nieszczęście zgubił, znajdziesz tutaj jego streszczenie, bo nie mam ani czasu ani możności przepisywać tomów, ze względu, że okręt,| który ma zabrać ten list, odpływa jutro i że mam oddać go dzisiaj. Wypłynęliśmy 16. maja i okrążyliśmy przylądek z wielką łatwością; przeciwne wiatry zatrzymały nas pod 31°. potem nastała pogoda. Wszystkie te przeciwności spowodowały, że przejazd trwał 40 dni. Większą częć tego czasu spędziłem w hamaku, cierpiąc na chorobę morską i na tysiąc innych dolegliwości. Ziemię ujrzeliśmy 24. czerwca we wtorek, o wschodzie słońca i pozostawszy przez 36 godzin w pobliżu przystani, gdyż nie mogliśmy do niej wejść, wylądowaliśmy nareszcie nazajutrz o południu; ja w godzinę potem opuściłem okręt.

Nie robi się wielkich poszukiwań, aby się umieścić. Wszystkie domy są jednopiątrowe, z wielkiemi, niskiemi salami, które mają kilka wyjść na ulicę. Meble są nędzne i niezgrabne: nie znają oni ani szyb ani sof perskich, ani tureckich i innych narodów wschodnich i chociaż wyspa obfituje w drogie drzewo, mie-

l'isle abonde en bois precieux ils n'ont point apris des colons Anglais, leurs voisins à les façonner en meubles simples et élégants. Les tables sont proprement servies, à en juger par celle des auberges, qui sont ordinairement le siege de la mal propreté. Il y a de quoi faire bone chère. Tu sera très-peu sensible à la derniere observation' mais tout le monde n'est pas egalement philosophe sur cet article.

Nous avons été hier un moment au spectacle; on y donnait „les Fourberies de Scapin" et „les deux Avares". Tu peux juger du talent des acteurs de St. Pierre par la médiocrité de ceux de Paris. C'est qu'il y a d'étonnant, c'est de trouver, des êtres assez peu raisonnables, pour aller s'enfermer pendant trois heures dans un vilain tandis, pour doubler l'extrême chaleur sous laquelle ils succombent. l'air empoisonné par leur haleine et leurs exhalaisons. Nous avons vû au spectacle le V-te de Laval très occupé d'une dame de ce pays-ci, dont on prétend qu'il possede les faveurs. A notre retour nous avons soupé avec plusieurs negociants, et on n'a parlé que de speculation, de denrées, de barriques, de marchandises seches etc.

---

szkańcy jej nie nie nauczyli się od kolonistów angielskich, swoich sąsiadów, robić z niego meble proste i eleganckie. Stoły są czysto zastawione, sądząc po stołach w oberżach, które bywają zwykle stekiem nieczystości. Jest czem dobrze się najeść. Ta ostatnia uwaga wzruszy Cię nie wiele, ale nie wszysey są równie filozofami w tym względzie.

Wczoraj byliśmy na chwilę na przedstawieniu; dawano „les Fourberies de Scapin i „Dwóch skąpców". Po miernocie paryskich aktorów możesz sądzić o talencie aktorów z Saint Piere. Co jest zadziwiającem, że znajdują się tu istoty tak mało rozsądne, aby pójść zamknąć się przez 3 godziny w brzydkiej dziurze, aby doznawać nadzwyczajnego gorąca od którego upadają, wdychiwać powietrze zepsute ich oddechiem i wyziewami. Widzieliśmy na przedstawieniu V-te de Laval'a bardzo zajętego pewną panią tego kraju, której względy, jak powiadają, posiada. Po powrocie jedliśmy z kilku kupcami kolacyę i mówiono tylko o spekulacyi, cłach, baryłkach, o towarach suchych i t. p.

Ce matin nous nous sommes occupés à arrêter notre passage pour St. Domingue, pour où nous partirons en quelques jours. Je m'en vais les passer à la campagne dans l'habitation d'un homme, avec le fils du quel j'ai fait connaissance. Il faut voir un peu la manière de faire le sucre, et tous les details d'une plantation.

Je m'en vais, de ce pas diner cher l'intendant et le soir nous partons pour le Fort Royal, et de là à cette campagne; enfin nous revenons ici pour nous embarquer. J'aurai sûrement l'occasion de t'écrire une troisieme lettre avant mon départ; mais quoi? Quand reverrai-je ces caractères si chers? Et surtout, quand pourrai-je baiser la main, qui les trace? — Á moins, que je me noye — ou que je meure, je serai à Paris, à la fin du mois de Novembre — c'est à dire, trois mois après que tu auras reçu cette lettre. Je t'embrasse de tout mon coeur... sens-tu l'ardeur de mes baisers?

Dziś rano zajęliśmy się zamówieniem miejsca na przejazd do San-Domingo, gdzie udamy się za dni kilka. Spędzę je na wsi, w mieszkaniu człowieka, z którego synem poznajomiłem się. Muszę zaznajomić się trochę ze sposobem robienia cukru i ze wszystkiemi szczegółami plantacyi.

W tej chwili idę jeść obiad u zarządcy, a wieczorem jedziemy do Fort Royal, a stamtąd do tej wsi; wreszcie powracamy tu, aby wsiąść na okręt. Będę mógł z pewnością napisać do Ciebie trzeci list przed moim wyjazdem; ale cóż? Kiedy ujrzę na nowo to pismo tak drogie, a szczególnie, kiedy będę mógł ucałować tę rękę, która je pisze? — Chybabym się utopił lub też umarł, w przeciwnym razie będę w Paryżu przy końcu listopada — to znaczy we trzy miesiące po otrzymaniu przez Ciebie tego listu. Całuję Cię z całego serca... czy czujesz ogień moich uścisków?

1. Juillet, Mardi, à l'habitation de Mr. Pocquet, Quartier du Lamentin.

En partant avant hier de St. Pierre. j'ai laissé une lettre pour toi: elle devait partir le lendemain par le Pégase, navire Bourdelais; et il y a quatre jours que le brigantin normand, nommé la Terre, en a emporté une de 30 pages: il est à croire qu'au moins une des deux te parviendra. Notre départ a été reculé; et nous sommes presque décidés de nous embarquer sur l'Amphion de 64 canons, qui doit partir, au plus tard, le 10 de ce mois.

Si quelque obstacle imprévu empêchait ce vaisseau de sortir, nous chercherions alors à nous acrocher à quelque marchand; mais quoiqu'il en soit, nous ne serons plus ici au commencement de l'hivernage qui est le 15 du courant.

Je suis bien impatient d'arriver à St. Domingue: j'espère d'y trouver de tes lettres. Je suis vraiment malheureux de n'avoir aucune nouvelle. Cette incertitude empoisonne tous mes plaisirs, et me tient dans une inquietude nuisible à ma santé. Tu ne conçois pas, ma chere amie, combien je t'adore. Si mon malheureux

---

1. lipca, wtorek, w posiadłości p. Pocquet, dzielnica Lamentin.

Wyjeżdżając wczoraj z Saint Pierre zostawiłem list dla Ciebie: miał on odejść nazajutrz „Peguzem", okrętem Bourdelais; a cztery dni temu fregata normandzka, zwana Ziemią, zabrała mój list składający się z 30 stronnic: można zatem mieć nadzieję, że przynajmniej jeden z dwóch dojdzie do Ciebie. Wyjazd nasz został odłożony i jesteśmy prawie zdecydowani wsiąść na Amphion. statek o 64 działach, który ma odpłynąć najpóźniej 10 b. m.

Gdyby nieprzywidziana przeszkoda nie pozwoliła temu okrętowi wypłynąć. staralibyśmy przyczepić się wówczas do jakiego kupca; ale choćby tak nie było, nie będziemy już tu w początkach zimowania statków, które przypada 15 b. m. Jestem bardzo niecierpliwy, aby przybyć do San Domingo: mam nadzieję że zastanę tam twoje listy. Jestem naprawdę nieszczęśliwy nie mając wiadomości. Ta niepewność zatruwa wszystkie moje przyjemności i trzyma mię w niepewności, szkodliwej memu zdrowiu. Ty nie wyobrażasz sobie, moja droga przyjaciółko, jak ja Cię czczę.

sort voulait que je perdisse ton coeur, ou qu'il t'arrivat quelque chose de sinistre, je ne reviendrais jamais en France, et je finirais ma triste vie dans quelque pays éloigné inconnu à mes parents et détestant le jour. Tout mon bonheur est fondé sur toi, et je n'ai aucun doute sur la réussite de mes projets, aucun retour, si je te retrouve dans les mêmes dispositions.

Que nous serons heureux! Que de plaisirs nous goûterons! Quel genre inconnu de jouissances viendra embellir notre vie? Et combien nous serons recompenses des privations et des contrarietés que nous avons été obligés d'essuyer? Pourquoi le temps de mon voyage ne s'ecoule-t-il rapidement et pourquoi dois-je sentir aussi cruellement sa durée? N'as-tu pas en peur, que je ne cherche à me marier ici? Je t'assûre, je te jure, que je te préférerai à des millions et à la beauté de Venus — que le coeur et l'ame de ma chere Julie sont de plus grands trésors à mes yeux, que les revenus des deux Indes. Je veux être le dernier des hommes, si jamais j'oublie cette maniére de penser. Sois donc tranquille, mon cher amour, et sois persuadé, que jamais tu n'as inspiré de passion plus vraie et plus tendre que la mienne, et qu'il m'est impossible de vivre sans toi. Je suis ici chez le

---

Gdyby mój nieszczęśliwy los chciał, abym stracił Twoje serce lub żeby Ci się wydarzyło coś złowrogiego, nie powróciłbym nigdy do Francyi i zakończyłbym moje smutne życie w jakimś kraju, oddalonym i nieznanym moim krewnym i nienawidząc dnia. Całe moje szczęście złożone jest w Tobie i nie mam najmniejszej wątpliwości co do osiągnięcia mych zamiarów, ani obawy zmian, jeżeli Cię odnajdę w jednakowem usposobieniu. Jak my będziemy szczęśliwi! Ile przyjemności zakosztujemy, jaki nieznany rodzaj uciech ozdobi nasze życie? I jak bardzo będziemy wynagrodzeni za przykrości i odmawianie sobie, jakie musieliśmy wycierpieć? Dlaczego czas mojej podróży nie płynie szybko i dlaczego ja muszę odczuwać tak okrutnie jego długość? Czy nie bałaś się, abym nie starał się tu ożenić? Upewniam Cię, przysięgam Ci, że wolę Cię nad miliony — i nad piękność Wenery, że serce i dusza mojej drogiej Julii są większymi skarbami mojej duszy, niż dochody obu Indyi. Chcę być ostatnim z ludzi, jeżeli kiedy zmienię ten sposób myślenia. Bądź więc spokojna, moja droga miłości i bądź przekonaną, że nigdy nie wzbudziłaś uczucia prawdziwszego i czulszego, niż jest moje i że niepodobnem mi jest żyć bez Ciebie.

père d'un officier du regiment du roi, avec lequel j'ai fait connaissance dans la traversée. Le fils est un garçon bien élevé, de bonne compagnie, et très aisé à vivre. Le père est un homme simple, honnête, sensé et instruit. Il a de la fortune, et nous y sommes à merveilles: Il est doux et humain avec ses nègres, et parait en être aimé. Le spectacle d'une habitation est une chose très-curieuse; je tâcherai de t'en donner une idée, mais on vient m'interrompre. On me dit que le Reflechi est arrieré, que l'Amphion, qu'il releve, dait partir incessamment; et qu'il nous faut aller demain au Fort Royal. Notre départ est par conséquent très prochain; et nous ne serons pas obligés d'attendre jusqu'au 10.

Jestem tutaj u ojca pewnego oficera pułku królewskiego, z którym się poznajomiłem w drodze. Syn jest chłopcem dobrze wychowanym, z dobrego towarzystwa i bardzo łatwy w życiu. Ojciec jest człowiekiem prostym, uczciwym, rozsądnym i wykształconym. Ma majątek i dobrze mam u niego: jest łagodnym i ludzkiem w postępowaniu ze swymi murzynami i zdaje się być od nich kochanym. Widok posiadłości jest bardzo ciekawy; postaram się dać ci o niej wyobrażenie — ale idą przerwać mi. Mówią mi, że Reflechi jest spóźniony, że Amphion, którego on zmienia, musi odpłynąć natychmiast i że musimy jutro jechać do Fort Royal. Nasz odjazd jest więc bardzo bliskim i nie będziemy zmuszeni czekać do 10-go.

(Ciąg dalszy nastąpi).

Sofiści, a oświata helleńska.

Po „średniowieczu“ greckiem, w którem Homer zajmował miejsce Dantego, nastąpiło w Helladzie na wszystkich polach twórczości ducha ludzkiego „odrodzenie“ z początkiem w. VI. przed Chr. Sofiści, którzy dopiero w drugiej połowie V. w. się pojawiają po różnych stronach Grecyi, są tego umysłowego prądu wytworem i dobitnym wyrazem. Wspólności w ich rozbieżnych dążeniach i przekonaniach niema, prócz podstawowej zasady najstarszego z nich Protagorasa, że człowiek jest probierzem wszechrzeczy. Można o nich, pomimo znacznych pomiędzy nimi różnic, powtórzyć to powiedzenie, które zastosowano do humanizmu i odrodzenia włoskiego, że przyczynili się do odkrycia człowieka wraz z jego wewnętrznym światem i życiem.

Skąd się wzięła tak osławiona z czasem nazwa sofisty i co oznacza? Eschyl oraz Sofokles zwą sofistami zręcznych muzyków, nadto Eschyl mieni sofistą Prometeusza. Pindar używa tego wyrazu o muzykach i poetach. Komedyopisarz Kratynos zagarnia wszystkich poetów z Homerem i Hezyodem pod jedno miano „ula“ czy „roju sofistów“. Siedmiu mędrców tak zwano; zwłaszcza o jednym z nich, o Solonie, Herodot wyraża się jako o należącym do cechu greckich sofistów, podobnie o Pitagorasie i orfikach. Dyogenes z Apollonii nazywał swych poprzedników sofistami i t. d. Sam Protagoras, głowa sofistów, w dyalogu platońskim tegoż imienia wskazuje na starodawność sofistyki, którą przed nim ukradkiem pielęgnowali: Homer, Hezyod i Symonides, następcy

Orfeusza i Muzajosa, gimnastycy tudzież muzycy. Wyraz tedy sofista *(sophistés)*, pochodzący od sophídzomaj (mądrze wymyśleć), określa tego, który w zawodzie swoim odznaczył się, gdyż dokonał jakiejś nowości, jakiegoś odkrycia lub wynalazku.

Pole działania sofistów odmierzył młodszy cokolwiek od Protagorasa, Prodykos w następujący sposób, że między mędrcem *(sophós)* a miłośnikiem mądrości *(philósophos)*, umieścił pośrodku sofistę i zdefiniował go jako coś pogranicznego między politykiem a filozofem, którym się sam nazywał. Z tej definicyi wynika, że chcąc należycie zrozumieć cel i zakres sofistyki, trzeba ją wyodrębnić na tle epoki podwójnie, z jednej strony od politycznej czyli praktycznej mądrości i z drugiej strony od teoretycznych dociekań lub też filozoficznych systemów. Zacznijmy od t. zw. praktycznej i politycznej mądrości, od wiedzy rzeczy boskich i ludzkich, krzewionej w szkole Pitagorasa i skreślmy ją pokrótce.

O ile wnosić można, mądrość i wielowiedza Pitagorasa były istotnie wielkie, lecz opierały się na mylnem i złudnem założeniu, że matematyka jako jakaś specyalna umiejętność, nauka nauk, potrafi wytłumaczyć z pomocą liczb najściślej i jak najpewniej ustrój wszechświata. Tymczasem liczby nie rządzą światem, ale wskazują tylko, w jaki sposób świat jest rządzony; mają zatem jedynie formalne, nie rzeczywiste znaczenie. Ład i harmonia w świecie, w kosmosie, do których sam założyciel pitagorejskich bractw czy zakonów przystosowywał swoje etyczne i polityczne poglądy, były czemś przedustanowionem, skostniałem, zewnętrznem, nie uwzględniającem porywów duszy ludzkiej i tego świata dla siebie, mikrokosmosu, jakim się staje człowiek przez własną indywidualność duchową.

Mamy ślady, że sekta pitagorejska opanowała w Atenach system edukacyjny rady w Areopagu, który zasadzał się na ciągłych a uciążliwych ćwiczeniach i długoletniem zaprawieniu od dziecka do uległości wobec nakazów, tudzież etycznych przepisów. Wprawdzie nie jest nam znany ów tryb wychowania w szczegółach, jednak utyskiwania na niego Prodykosa (w pseudoplatońskim Axiochosie), a nadto wzgarda Temistoklesa dla muzycznych produkcyi i wychowawczej metody Pitagorejczyków, dowodzą, że asceza w ich szkole odbywała się kosztem pogwałcenia natury ludzkiej. Toteż Temistokles więcej zawierzył swej przyrodzonej sile oraz potędze umysłu, niż pedagogicznej rutynie, której szczęściem nie przeszedł; Prodykos zaś niewątpliwie ucierpiał przez

nią, gdyż w jednem ze swoich dzieł — prawdopodobnie: „O naturze człowieka“ — roztoczył tak rozpaczliwy obraz ludzkiej niedoli, w którym poświęcił osobne miejsce żalom i skargom na ciemięzców i dręczycieli młodzieży, że go nazwano w nowszych czasach najstarszym pesymistą. O tyle słusznie, o ile on był pierwszym, który chwilami posępny nastrój Homera i Hezyoda, a stale smutny w poezyi lirycznej, ujął teoretycznie i uzasadnił w metafizycznym poglądzie.

Prodykos był antypodą Pitagorasa; jeśli więc sam się mianował filozofem, to w przeciwieństwie właśnie do mędrca takiego, jak Pitagoras, który był wprawdzie polymatą i polyhistorem, lecz filozofem mimo to nie był. Tego tytułu odmawia mu się dziś słusznie; natomiast przyjąć trzeba, że filozofia wraz z swoją nazwą powstała w Jonii i że wyrazy: philósophos i philosophía, jak tyle innych złożonych z philos, upowszechnili za Heraklitem sofiści, jako oznaczające dopiero poszukiwanie mądrości przez miłośników mądrości, w przeciwstawieniu do już rzekomo zdobytej mądrości pitagorejskiej. Podkład w nauce Pitagorasa był popularny i religijny, czego dowodem chociażby wiara w metempsychozę, czyli pokutowanie dusz ludzkich w różnych ciałach i kształtach. Pogląd zaś Prodykosa opierał się na filozoficznym monizmie i panteizmie jońskim, a skłaniał się do religii nowej, którą w sprzeczności do zadowolonego oddania się światu i jego porządkowi boskiemu, nazwano religią wyzwolenia. Rzecznikiem tej religii poetów w rodzaju Eurypidesa i filozofów na wzór Prodykosa był Eleata Xenofanes, którego pojęcie Boga bezosobowe nie mogło między ową najwyższą istotą a duszą ludzką nawiązać serdeczniejszego stosunku. Nazwijmy tamtą, pitagorejską religię, polegającą na wstrzemięźliwości i zaparciu się siebie, od jej patrona apollinową albo religią „zdrowego rozsądku“ (znaczy to tyle, co grecka sophrosyne); tej nowej zaś religii od bóstwa, które na liryce i tragedyi helleńskiej wycisnęło swe piętno, nadajmy miano dyonizyjskiej czyli religii „boskiego szału“ *(thymós)* — a wskazaliśmy drogę pośrednią, między miarą Apollina a obłędem Bakcha, na którą weszli sofiści z Protagorasem na czele.

Jak w „Orestei“ Eschyla Pallas Atena rozstrzyga spór Apollina delfickiego z Erinyami i głosem swoim uwalnia Orestesa od winy, tak występuje ona podobnie w szczytnej akcyi rozjemczej, jaką jej przypisała legenda. Gdy Tytanowie ciało Dyonizosa poszarpali na sztuki, Atena uratowała jego serce gorące i kochające ludzi, pomimo wielu błędów i szaleństw, a chłodne zwłoki dała

do pogrzebana — Apollinowi. W tej pomysłowej legendzie mieści się cierpka i wymowna ironia: jasnowidzący i rozsądny Apollo jawi się w roli grabarza szału, bogini zaś mądrości. Atena, spełnia czyn miłosierny jako potężna orędowniczka i litościwa opiekunka „rozumnych szałem“. Jako myśl gromowładną, kierującą wszechświatem, przedstawił ją Heraklit; a jego gnome, odbłysk Ateny w umyśle ludzkim, wziął za punkt wyjścia Protagoras i przygotował reformę, większą od dwóch poprzednich: apollinowej i dyonizyjskiej, reformę ateńską, która nie wyłączała żadnej z dotychczasowych, lecz obie sprzeczne ze sobą w wyższej rozwiązywała harmonii, głoszonej przez Heraklita.

Prócz myśli (gnome) wogóle, była Atena przedstawicielką szczególnie „dobrej myśli“ czy „dobrej rady“ *(eubulía)*, a tę myśl dobrą w czynie i słowie, w zarządzaniu sprawami domowemi i państwowemi, uczynił pierwszy Protagoras osią swojej nauki. Wiadomościom i sztukom, jak: arytmetyka, geometrya, astronomia i muzyka, nabywanym przez młodzież w zakładach pitagorejskich, przeciwstawiał on jedną, jedyną sztukę obywatelską *(politiké techne)* i zapowiadał, że za pomocą tej sztuki dobrych wykształci ludzi i członków państwa. To wysunięcie na sam przód wychowawczej sztuki, związanej z życiem jednostki i społeczeństwa, wbrew nieruchomej wiedzy pitagorejskiej, którą uprawiał dalej sofista Hippias, albotež wbrew filozofii, odwodzącej od życia, w której pogrążył się Prodykos, jest niewątpliwą zasługą Protagorasa. Dla niego wiedza i filozofia nie miały celów same w sobie, lecz były tylko dźwigniami sztuki i artystycznej twórczości.

W zbiorze pism Hippokratesa, twórcy szkoły medycznej na wyspie Kos, odkryły badania nowsze znaczną część rozpraw t. zw. iatrosofistów, lekarzy, zostających pod wpływem sofistyki i filozofii przyrody. Jeden z publicznych wykładów tego rodzaju, który nawet przypisać chciano samemu Protagorasowi, ma napis charakterystyczny: O sztuce *(Perí technes)*. Autor tego traktatu zarzuca przeciwnikom brak sztuki i zniesławianie przyrody, natomiast w przeciwieństwie do kształtujących z zewnątrz przepisów uwydatnia wewnętrzne jej ujęcie i mieni idee kierownicze wykwitem przyrody, nie prawidłami w wyrazach. Przeciw prawu, prawidłu stanowionemu *(nomos, nomothétema)*, wytacza tedy ów

niewątpliwie zwolennik Protagorasa przyrodę *(physis),* ale nie materyalną tylko i mechaniczną. Sztuka bowiem w pojęciu Protagorasa zasadzała się na przeduchowieniu przyrody; na tem, co Goethe, z którym go zestawiono, nazwał *„höher als die Natur“* lub co *„als höhere Natur in der Natur erscheint“* — na obopólnem przeniknięciu się sztuki i przyrody: *„das Künstliche ganz in die Natur und die Natur ganz in die Kunst zu verwandeln“.* W rozumieniu sofistów i filozofów przyrody, wykształconych w nauce Heraklita i Protagorasa, natura jest dynamiczną, ruchliwą, czynną; nie naturata ale naturans, raczej twórczą, niżeli stworzoną. Tymczasem dla tych, którzy zdaniem autora rzeczonego wykładu „O sztuce“ zniesławiali przyrodę, była ona czemś statarycznem, stałem, niezmiennem.

Taką, fatalistycznie stężałą, przedstawia się przyroda w tych dziełach, które na pewne przyznaje się Hippokratesowi samemu, jak oto w „Przykazaniu Hippokratesa“, „O lecznictwie pierwotnem“ i „O powietrzu, wodach i okolicach“. W tych wymienionych rozprawach, przetłumaczonych także na język polski p. t. „Dwie księgi Hippokratesa“ przez dra Henryka Łuczkiewicza (Warszawa 1890), rozwinął autor metodę, którą w przeciwstawieniu do filozofii jońskiej śmiało nazwaćby można pozytywną, gdyż broniąc empiryi wraz ze starą sztuką lekarską, zwraca swe polemiczne ostrze w stronę młodszych lekarzy, przeciw sofistom i Empedoklesowi i wszystkim im ryczałtowo zarzuca skłonność do zapuszczania się w hipotezy filozoficzne przy braku zupełnym doświadczalnego dowodu na ich poparcie. Ściśle i zasadniczo odróżnia Hippokratesa od filozofów, a zbliża do stanowiska Pitagorejczyków, wyłączne poleganie na wiedzy *(episteme),* rzekomo pewnej i rzeczywistej, wolnej od złudzeń podmiotowego mniemania *(doxa).* Jak Pitagoras o matematykę, tak Hippokrates o medycynę oparł cały gmach wiedzy. Co wykraczało poza granice wiedzy, to dla nich obu nie stanowiło osobnej, samoistnej dziedziny sztuki, poezyi lub filozofii, lecz nazywało się niebylicą, czemś nieistniejącem, w najlepszym razie tajnym obszarem wiedzy *(orgia epistemes).* Trzeba było zwodniczej stałości i niewzruszoności wiedzy coś przeciwstawić zmiennego i ruchomego. Uczynili to za przewodem poety i filozofa Empedoklesa oraz sofistów przedstawiciele młodszej szkoły lekarskiej w Knidos, którzy wbrew przedmiotowej wiedzy na pierwszy plan wysunęli pogląd na świat i osobiste mniemanie, liczące się ze zmysłami i ich wielorakiem, indywidualnem świadectwem.

O naturze, a w szczególności o naturze człowieka, mieli uczniowie zarówno Pitagorasa jak Hippokratesa wspólne zapatrywanie, że od przypadku i szczęśliwego losu zależy, czy ktoś się rodzi zdolnym do wykształcenia. Natura ludzka to niby gleba, w którą nauczyciele za przykładem rolników wsiewają ziarna prawideł. W dobre natury można zaszczepiać cnotę i zaorywać wiedzę i to za pomocą żmudnych i długotrwałych ćwiczeń, wobec rzekomo złych i opornych na nic się wszystko zdało. O melioracyi zaś tej natury ludzkiej i gruntów nic nie wiedzą uczeni wychowawcy dawnego kroju, obracający się jakby w zaczarowanem kole rolnictwa. Przeciwnie Plutarch czy Pseudo-Plutarch, który w rozprawie o wychowaniu chłopców widocznie się zapożyczył z obfitej w swoim czasie literatury sofistycznej, przytacza w duchu Protagorasa wymowną apologię nauki i sztuki wychowawczej w tych polemicznych i paradoksalnych, złotych słowach: „Jeżeli ktoś utrzymuje, że braku przyrodzonego uzdolnienia pomimo trafnej nauki i zaprawienia należytego wcale nie można usunąć, niech wie, że wielce a raczej całkiem się myli. Albowiem to, co naturze przeciwne, praca silniejszem czyni od tego, co naturalne. Im coś jest lepszem z natury, tem gorszem staje się przez zaniedbanie, np. dobry grunt bez uprawy jałowieje tem bardziej, im lepsze są jego przyrodzone zalety. A natomiast: skalista, nawet nad miarę licha, lecz uprawiona rola zaraz wydaje szlachetne plony“. Grunt marynarski tymczasem, na którym się rozwinęła nauka Protagorasa, mniej pewnym jest i chwiejniejszym od gleby rolnej, za to wymagał większej biegłości w sterowaniu umysłem i opanowaniu przezeń okoliczności zewnętrznych. Sposób kształcenia sofistów miał swoje źródło nie we wpajaniu z góry gotowych reguł, praw i przepisów, lecz owszem z wnętrza ludzkiego wychowańców wysnuwał i wywiązywał drogą rozwoju nowe idee i nowe siły.

Dawny pogląd społeczno-państwowy, wykarmiony na wiejskiej glebie, umiarkowany, pokorny i karny, śmiało zastąpił Protagoras świeżym, domagającym się uwzględnienia indywidualizmów w miarę ich rzeczywistej wartości. Teren, na którym on się porusza, jest nowy, stworzony po wojnach perskich przez panowanie Ateńczyków na morzu. Chwalił ich Protagoras za to, że nie poprzestając na mimowolnych darach przyrody, starają się o osobiste nabytki przez naukę i wprawę. Nie przyroda, lecz sztuka, jest punktem wyjścia dla niego; nie bez danych przyrody, stosownie do „Przykazania“ Hippokratesa i pitagorejskich przekonań, ale bez ludzkiej sztuki, wszelkie ćwiczenie jest niczem.

I odwrotnie, dowodził tenże Protagoras, wszelka sztuka jest niczem bez ćwiczenia. Kulturę, artyzm i życie czynne obywatelskie, wynosił ponad naturę zmechanizowaną i wiedzę ścisłą, uwzględniającą w szechświecie stronę formalną i materyalną, a ukrócającą w nim stronę głębszą, duchową i ideową.

Gdyby Grecy, a zwłaszcza Ateńczycy, przeważnie byli rolniczym pozostali narodem i za przykładem wschodnich agrarnych ludów, Egipcyan i Babilończyków, uprawiali wyłącznie prawie sędziwą wiedzę, to może byliby im dorównali pomimo swej kulturalnej młodszości; ale Grecy woleli zamiast być naśladowcami, właśnie ponieważ byli młodsi na duchu i na siłach, zdobyć się na coś niebywałego w dziejach świata i wyczarować z siebie, mówiąc słowami Welckera (Götterlehre I. 249), „*die menschliche gottbewuszte Freiheit, aus welcher alle Kraft und Freudigkeit zum Besten und Edelsten fleiszt*", a czego ani semicki ani aryjski Wschód nie przeczuwał. Wiemy przynajmniej co do Aten za Peryklesa, że innym państwom chciały przyświecać wzorem, jak bez trapiących trudów i ćwiczeń, uprawianych na podobieństwo Spartan już od samego zarania młodości, można nie mniej skutecznie osiągnąć cel wychowania. Dlatego demos ateński uznając za zbyt żmudną i przykrą długoletnią tresurę gimnastyków i muzyków, pousuwał ich z państwa. Kiedy to nastąpiło? Prawdopodobnie wtedy, gdy lud przez ostracyzm Tucydydesa starszego w r. 444. rozbił pitagorejską heteryę t. zw. pięknych i dobrych, ukróciwszy już przedtem ich polityczny wpływ przez zamach na radę z Areopagu w pamiętnym r. $46^{2}/_{1}$. Jednak społecznie i dialektycznie nikt inny, tylko Protagoras, przez swą gnome i techne złamał oddziaływanie pitagorejskich dążności i pośrednicząc między burzliwem napięciem ducha u młodych zapaleńców a przestrzeganą w misteryach pitagorejskich oschłą wiedzą i ciszą, zaprowadził tem samem zwrot w wyrażaniu myśli, dalekiem od wszelkiego sekciarstwa, a ten sposób myślenia i mówienia ogólnie się rozpowszechnił za sprawą Ateńczyków.

Metodę rozumowania Protagorasa w braku dzieł własnych najlepiej poznać można z dwu dochowanych utworów, pozostających pod silnym wpływem wielkiego Abderyty, choć wyszły nie z jego koła, a mianowicie: z Dialexeis i Athenaion politeia.

Twórca doryckich Rozmówek (Dialexeis), powstałych według moich obliczeń wkrótce po r. 445., był wprawdzie Pitagorejczykiem i mistykiem, ale zarazem sofistą, za jakiego go miano już w XVIII. w. Młodszy od niego autor pseudoxenofontowej Ustawy ateńskiej do niedawna uchodził za oligarchę i wstecznika, nim dopatrzono w nim słusznie modernistycznie wykształconego sofisty. Obaj to mają wspólne, że chociaż nie są zwolennikami demokracyi, sprzyjają demosowi i stoją silnie na gruncie stworzonej w wojnach perskich i wywalczonej przez lud ateński symmachii morskiej, czy też unii delijsko-attyckiej, przeciw zakusom i uroszczeniom konserwatywnej Sparty. Oprócz tych nowatorskich zasad społeczno-państwowych wspólną jest także im obu pewna właściwość, polegająca na ciągłej przeciwstawności dwóch sprzecznych zdań, z których żadne bezwzględnej prawdy w sobie nie mieści, lecz każde tylko cząstkową i względną. Zwłaszcza wynik ostatniej rozprawki (diálexis) wielce jest charakterystyczny. Chodzi w niej o rzecz sporną i wciąż poruszaną przez sofistów w debatach, czy mądrości i cnoty można nauczyć. Zbiwszy tedy kolejno — zgodnie ze sofistami — wszystkie dowody, przeciwne ich nauczaniu, kończy nasz dialektyk w ten sposób, że nie twierdzi, jakoby można kogo nauczyć mądrości i cnoty, ale nie wystarczają mu szczegóły, przytoczone przeciw ich nauczaniu. Najbardziej jednak uderza u tego pitagorejskiego rozjemcy podrzędna rola, jaką dość od niechcenia wyznaczył nieświadomym czynnikom przyrody w wykształceniu i wychowaniu. Ten rys znamienny odstręcza go od własnego obozu, w którym przyrodę owszem na pierwszy plan wysuwano, a godzi z Protagorasem. Tegoż wynalazczości i pośrednictwu, wskazanemu przez niego, wrażeń zmysłowych oraz umysłu *(gnoma)* między starą mądrością *(sophia)* a młodem umiłowaniem mądrości i myślicielswem (*philosophia*), poświęca autor entuzyastyczny ustęp, w którym dwadzieściakroć w kilkunastu zdaniach konjugowane słowo: epístasthai (wiedzieć) zogniskowuje się w jednem gnoma, podobnie jak osobisty umysł i umiejętność własna były dla Heraklita wszystkiem, a wielowiedza pitagorejska niczem.

Zastanawiając się nad dobrem i złem w rozprawce pierwszej, dochodzi autor Rozmówek do przekonania, że zło i dobro nie są czemś zgoła odrębnem ani tem samem, ale dwujednią *(hekáteron)*. Również twórca Ustawy ateńskiej, gdyby go ktoś był zapytał, czy samo dobro skupiło się po stronie „najlepszych", a samo zło zagnieździło sie w t. zw. „złych" i „nikczemnych",

byłby niechybnie odpowiedział, że tak to jak tamto stronnictwo nie jest wyłącznie złem ni dobrem, ale potrosze jednem i drugiem: hekáteron. Dla demosu przynajmniej więcej warta życzliwość — przewrotnego nieuka, niż cnotliwego mędrca — nienawiść. Zawsze autor wychodzi od zdania przeciwników demosu, potem zwalcza je, stając na gruncie demokracyi, choć sam jest lojalnym opozycyonistą względem jej rządów, a nie wrogiem bynajmniej zwierzchniczej władzy demosu. Swą metodę rozjemczą i syntetyczną, wynikłą z porównywania wszelkiej tezy z jej antytezą, zawdzięcza on — podobnie jak twórca Rozmówek — pierwszemu, który wynalazł ten rodzaj dowodzenia, sofiście Protagorasowi. Słyszymy wprawdzie o tej metodzie, jakoby Sokratesowej i znamy jej zastosowanie przez Sokratesa bardzo naśladownicze w platońskim „Protagorasie", nawet w tej samej kwestyi uczenia cnoty, co w Dialexeis; godzi się jednak przypomnieć wbrew powadze Platona, że Protagoras właśnie napisał dzieło p. t. Antilogíai lub Alétheia, w którem znajdował się wykład tej odmówionej jemu metody. Wreszcie terminologia, użyta w obu tych dziełkach, przywodzi żywo na myśl gnome i eubulia Protagorasa, przez które on równoważył ślepą namiętność i nieuctwo szaleńców z zdrowym rozsądkiem mądrych poczciwców, jak wnosić można z ich zgodnej przeciwstawności w Rozmówkach i Ustawie ateńskiej.

Kiedy u dwu wspomnianych, anonimowych pisarzy, za przewodem Protagorasa i jego Prawdy (Alétheia) jasno przebija to przekonanie, że nieodzownie trzeba sobie przyswajać świeże warunki bytu i siebie do nich przystosowywać, sofista Antyfont w swojej Prawdzie wystąpił ze spóźnioną obroną stanu prawnego z czasów Solona. Temuż bowiem sofiście i jego Prawdzie, konkurującej z Prawdą Protagorasa, należy mojem zdaniem przypisać ustępy, które w rozd. 20. Protreptyku Jamblichosa Blass odnalazł, pomimo że Diels w pomnikowem wydaniu: „Die Fragmente der Vorsokratiker" (Berlin 1903) odmówił Antyfontowi ich autorstwa i pod napisem: Anonymus Jamblichi przed Dialexeis śród pozostałości starszej sofistyki je zamieścił. Przeto podług sofisty Antyfonta stan prawny *(eunomia)* jest czemś najlepszem w świecie, a stan bezprawny najgorszem. Genealogię ma jego eunomia poczesną: w Teogonii Hezyoda pochodzi ona od Zeusa, jako pierwsza z sióstr, z Diką i Ejreną; opiewał ją Tyrteusz w osobnej elegii, wielbił gorąco Solon. Prawa pisane formalnie utożsamił sofista Antyfont z przyrodzonemi i wraz z poetą Eurypidesem niemal

w tych samych słowach uważał je za jedyną spójnię społeczną i państwową. Wskazanym torem Solona i Antyfonta uwydatnił następnie Eurypides stan trzeci: ludność rolniczą, strzegącą w państwie ładu i statku, wolności i równości, na mocy praw spisanych. Agrarna ta demokracya przemówiła traktatem Antyfonta, p. t. Prawda, za którym Eurypides potępił ruch sofistyczny z Protagorasem na czele w imię tych właśnie haseł ojczystej tradycyi, które służyły za pokrywkę reakcyi oligarchicznej.

W śmiałych i wolnomyślnych słowach bezimiennego autora broszury o Ustawie ateńskiej nie waham się upatrywać ostrej ironii i ciętej polemiki z niefortunnym rzecznikiem stanu prawnego, Antyfontem, którego tyczyć się zdaje następująca apostrofa: „Demos nie chce być sam niewolnikiem w prawnem państwie, lecz wolnym chce być i panować, a mało dba o złe urządzenia. Właśnie bowiem lud z tego bierze siłę i wolność, co ty mianujesz bezprawiem. Jeśli zaś szukasz stanu prawnego, zobaczysz, że zrazu najbieglejsi nadają im prawa, potem dobrzy poskramiać będą złych obywateli i będą radzili dobrzy nad rzecząpospolitą i nie dopuszczą ludzi szalonych do rady, słów i zgromadzeń. Dzięki tedy tym dobrodziejstwom demos wkrótce popadłby w niewolę". Rzekomy oligarcha i arystokrata przyznał słuszność swym ziomkom, jak później mowca Isokrates pod koniec życia w Panatenaiku, że mocarstwową potęgę morską przenieśli nad przewodnictwo lądowe, mimo iż dobrze wiedzieli, że stary ład i porządek, skromność i karność, muszą uledz w koniecznym rozkładzie zmianie zupełnej i przeobrażeniu. Natomiast uwzględnijmy, że przedstawiciel agrarnej demokracyi: sofista Antyfont, był liberałem, pysznym ze swej mniemanej mądrości i cnoty, wyniośle spoglądającym z wyżyny materyalnego zbytku i wystawności na ubogich nieuków i przewrotnych szaleńców — a zrozumiemy sarkazm, jaki się mieści w paradoksalnych antitezach autora Politei ateńskiej, oraz w jaskrawem przeciwstawieniu moralnych dóbr zachowawców i ich posiadłości ziemskich dobrom wyższego rzędu, wynikłym z potęgi morskiej Aten.

Krajem klasycznym i ziemią obiecaną takiego ustroju demagogiczno-możnowładczego, jakiego pragnął Antyfont, jeśli uwierzyć mamy świadectwu Isokratesa, była — Sparta. W niej to kwitnęła szczególnie owa demokratyczna równość i sprawiedliwość, którą Isokrates i Eurypides retrospektywnie przenieśli w zamierzchły wiek Tezeusa, Antyfont zaś upodobnił ze stanem

naturalnym i organizacyą pszczół, stworzoną przez Zeusa podług wielkich praw przyrodzonych. Plutarch w żywocie Likurga porównywa spartański ustrój państwowy z ulem pszczół i mianuje Spartan rojem rozumnych obywateli. Zwolennik „złotej wolności“, sofista Antyfont upatrzył natomiast w wolnych obywatelach ateńskich dążność jakby do „absolutum dominium“. Przecież to był właściwy powód do wydzielenia z łona demosu frakcyi Tucydydesa z Alopeki, ażeby zwalczać rodzące się niby jedynowładztwo, monarchię czyli tyranię, którą Antyfont mienił wytworem bezprawia i zaborczości. Ani jednak sofista Antyfont, ani idący za nim pod tym względem, jak pod wieloma innymi, Eurypides, widocznie tego nie rozumieli, że w cieżkich zapasach Peryklesa z koteryą Tycydydesa nie o to szło, czy ma ostać się demokratyczna idea czy nastać absolutyzm, lecz o to, czy możnowładztwo ma rządzić w formach demokratycznej ustawy czy demos sam, przedstawiony w osobie pierwszego — a nie jedynego — męża.

Kiedyż panował większy ład i porządek w państwie, czy wówczas, kiedy za władztwa Areopagu demos był „sam niewolnikiem w prawem państwie“, a oligarchowie jego obrońcę Efialtesa skrytobójczo zabili, czy może wówczas, kiedy ten demos — nikt inny — posiadł istotnie naczelną władzę przez panowanie na morzu, Perykles zaś go prowadził, strzegąc jego wolności? Żądza zaborcza, jeżeli była w demosie, większą nie była zapewne od osobistej chciwości oraz prywaty możnych. A jednak wykrzykiwała koterya tych możnowładców z Tucydydesem, synem Melezyasza, na czele, że demos traci sławę, gdyż straszną wyrządza krzywdę i gwałt zadaje helleńskim grodom, każąc im składać pieniądze na upiększenie i wystrojenie Aten. Ten zarzut płytki i powierzchowny ciągnie się jakby nić czerwona przez wszystkie krytyki demokracyi i symmachii ateńskiej. Chciano zagłuszyć słowa prawdy, głoszone przez Peryklesa, że do płaconych tylko pieniędzy, zamiast posług wojskowych, stracili prawo związkowi. Winę ich niewątpliwą w tem wytknął dziejopisarz Tucydydes, że się dali wyręczać w spełnianiu swych obowiązków czujnym i czynnym Ateńczykom. Przez zbytek i nierozwagę doszli do tego, że odwykłszy od broni a nawykłszy się bać i schlebiać, stali się wnet poddanymi i niewolnikami ateńskiego demosu. Tenże demos ateński usamowolnił się pracą, przez nią bowiem osiągnął panowanie na morzu; natomiast sprzymierzeńcy przez gnuśność i opieszałość spadli w poddaństwo oraz niewolę. Uznał tę ewolucyę wbrew głosom innych Hellenów twórca traktatu o Ustawie ateń-

skiej, wcale nie pragnąc politycznego rozdarcia, które mąż stanu i mowca Tucydydes przygotował, następnie sofista Antyfont ujął w dogmat i jednostronną doktrynę o stanie prawnym, o eunomia. Jeśli mój domysł jest słuszny, że autor Politei ateńskiej dał odprawę obrońcy stanu prawnego z czasów Solona, to mielibyśmy w dochowanych wyimkach z Prawdy Antyfontowej jeszcze starszy zabytek z przed r. 424., który uchodzi za czas wydania najdawniejszego pomnika prozy attyckiej, pseudoxenofontowej broszury.

Całkiem inny, niż z marzycielskich poglądów Antyfonta o naturalnym kontrakcie wolnych obywateli, jakby podług Umowy społecznej Rousseau'a, o wiele rzeźwiejszy i trzeźwiejszy duch widje z przemówień sofisty i retora Gorgiasa z Sycylii. Stamtąd, jak wogóle z Zachodu, szedł prąd przeciwny miękkości jońskiej i kosmopolityzmowi, popęd do wytwarzania państw wielkich za przykładem Gelona i Hierona. Owóż prawidło Sikeliotów w redakcyi Gorgiasa tak opiewało, że przyrodzoną siłą rzeczy nie słabszy przewodzi nad mocniejszym, lecz mocni stale dochodzą do władzy nad słabymi. Powyższa ta zasada powtarza się niejednokrotnie w literaturze greckiej, a przyswoili ją sobie Ateńczycy w poselskiej mowie u Tucydydesa (I. 76), gdzie t. zw. „słusznemu wywodowi“ w obłudnych słowach spartańskich przeciwstawione jest zdanie, że raczej chwalić należy tych, co według przyrodzonego ludziom usposobienia, mając możność po temu, nie gwałcą sprawiedliwości i władzy nie nadużywają. Perykles w swojej ostatniej mowie u Tucydydesa wyborny ukuł wyraz o takich, co dobrodusznie radziby wyrzec się panowania nad zgnuśniałymi i zniewieściałymi sprzymierzeńcami; używa o nich słowa andragathídzesthai, udawać dobrych ludzi (II, 63) i ciska im w oczy zarzut, że gdyby gdzie zamieszkali rządząc się sami dla siebie, wnetby zaprzepaścili państwo. Skutkiem bowiem ich bezczynności miasto rządzące musiałoby spaść do poziomu poddanych grodów, których to właściwością jest: służyć bezpiecznie.

Kosmopolita Arystyp w rozmowie z Sokratesem u Xenofonta (Memor. II. 1) nie chciał należeć ani do miast rządzonych ani rządzących. Pierwsze bowiem pragnęłyby mieć na usługi rządzących, aby im tylko jak najwięcej dobrego wyświadczali, a sami nie korzystali z niczego. Natomiast ci rządzący ochoczo biorą na siebie wiele zajęć i nakładają na drugich. Siebie samego zalicza

jednak Arystyp do chcących żyć jak najłatwiej i najprzyjemniej. Przeto obiera jakąś drogę pośrednią między niewolą a panowaniem, która przez wolność prosto ma wieść do szczęścia! Na to Sokrates dał pamiętną odpowiedź Arystypowi, że uwzględniając trafnie stosunki ludzkie, takiej drogi środkowej między rządcami a rządzonymi nie znajdzie nigdzie śród ludzi. Zawsze i wszędzie silniejsi opanowują słabszych, prywatnie czy politycznie. To stanowisko realne, jakie zajął Sokrates wbrew czcicielowi wygody i przyjemności, na wskróś się sprzeciwia indentycznej doktrynie Eurypidesa w tragedyi: Hiketydy. W tej sztuce właśnie tragik ateński zaleca pewien umiarkowany środek, coś na kształt juste milieu, którego trzymanie się utopijne ma przywrócić na świecie wolność, równość, braterstwo i zapobiedz wszelkiemu jedynowładztwu, wojnom i uciskaniu jednych przez drugich. Takież marzenia o prawnopaństwowym porządku i sprawiedliwym ustroju znane nam są z fragmentów sofisty Antyfonta. Bogactwo, pokój i sztuki piękne — oto bożyszcza tego odłamu sofistów, którego sprawcą był niewątpliwie Prodykos, Antyfont krzewicielem, a Eurypides gorącym wyznawcą i zwolennikiem. Możnaby ten kierunek sofistyki porównać z sentymentalnym i romantycznym prądem w Europie. Najlepiej go cechuje praktyczna bezradność. Inną drogę obrano w Atenach, mniej idealną, ale pewniejszą i przeciwstawiono sobie wyraźnie: silnych z jednej, a słabych z drugiej strony.

Jak romantyczna szkoła niemiecka z Schellingem oraz braćmi Schleglami od wolnomyślnych wyszedłszy zasad, skończyła na ortodoksyi, tak Prodykos w swym Heraklesie na rozdrożu przedstawił ideał prawowiernego Heraklesa, któremu zwłaszcza w Sparcie i Tebach nie szczędzono poklasku. I nie dziwota. Kto, jak niemiecka romantyka lub wcielona przez Prodykosa w postać kobiety cnota, uwzględnia tylko naturę obok przeszłości i tradycyi, w przyrodzie dostatecznego nie znalazłszy oparcia dla ducha, musi się nieodzownie wstecz cofać. Całkiem przeciwnie do szkoły, której pierwocin szukać należy w moralnym i estetycznym dekadentyzmie warstw oświeconych, cynik Antystenes ujął w system etykę ludzi oddanych pracy i czynom. Zmiana pomiędzy tamtym a tym sposobem zapatrywania uwydatniła się nawet w stylu i kolorycie i miejsce prozy rytmicznej, kwiecistej i przesyconej poetyckimi zwrotami zajęła proza potoczna, codzienna, niewyszukana, którą Antystenes miał po mistrzowsku władać. Takiejże prozy używał Sokrates w przeciwieństwie do Prodykosa,

o którego wysoce strojnej mowie wyraził się on z podobną ironią, z jaką swój własny zwyczaj mówienia porównał z napuszonością innych. Najlepiej uwidocznia różnicę dwóch stylów i charakterów, Prodykosa i Protagorasa, porównanie ich opowieści o Heraklesie (Xen. Mem. II, 1, 21—33) i Prometeuszu (Plat. Protag. 320 D — 322 D). Prodykos starał się być naturalnym i wielbił cnotę, zdobną naturalnością, a pisał ekscentrycznym i egzaltowanym językiem; tymczasem prostszym chciał być Protagoras od przyrody, jakoż istotnie osiągnął wyższą i poprawniejszą od przyrodzonej prostotę słowa i myśli.

Błyskotliwością antitez i retorycznych figur celował Gorgias, któremu zarzucić trzeba, że zdegradował sferę umysłowego poznania, tak rozumując: prawdy bezwględnej niema, a zatem wszystkie zdania są mniej więcej omylne; jeśli zaś jest przedmiotowa prawda, to drogą podmiotowych dociekań nie da się zbadać; albo jeżeli jest prawda objektywna i subjektywnie można ją zgłębić, to niepodobna jej innym objawić. W negacyi tedy zupełnej bytu, albo przynajmniej w uznaniu niedostępności jego pojęcia, Gorgias prześcignął Heraklita i Protagorasa, którzy twierdzili wprawdzie, że wszystko istnieje, a oraz nic nie istnieje, bo wszystko staje się we wszechświecie, lecz nie twierdzili wcale, iżby ów niebyt tyczył się także myśli ludzkiej i tego mikrokosmosu, jakim jest człowiek, miara wszechrzeczy, tak tych co istnieją, jak tych co nie istnieją. Zbadanie nawet istoty bogów Protagoras tylko do czasu uważał za utrudnione, a nie bynajmniej za niemożebne. Przeciwnie cynik Antystenes, którego twierdzenia są odwróceniem paradoksów Gorgiasa, wierzył w prawdę bezwzględną, z góry daną i objawioną, co do której nie wolno się mylić, nie trzeba sprzecznych wygłaszać poglądów i nie można mieć naukowo utworzonego przekonania. Sceptyczną była podstawa rozumowań Gorgiasa, Antystenesa zaś dogmatyczną, Lecz uroszczeniem przedwczesnem i nieumiejętnem jest mniemanie, że prawdę bezwzględną już się posiada, albo że się jej nigdy posiąść nie zdoła. Toteż Protagoras strzegł się uogólniania, a dążenie i dojście do absolutnej prawdy czynił zawisłem od oświaty i od dłuższego nad życie ludzkie okresu. Stał się dlatego właśnie szermierzem społecznego rozwoju i utorował drogę etycznej reformie Sokratesa.

Nie przemawiały im obu do przekonania żadne teorye słabych, głoszone przez Prodykosa i Antyfonta, o absolutnej i przyrodzonej niby równości jednostek ludzkich, aniteż sprytna i wyrafinowana teorya gwałtu rzekomo naturalnego u zbyt pochopnych

uczniów Gorgiasa: Polosa i Kalliklesa, którzy zdrową zasadę w umiarkowanym realizmie samego mistrza spaczyli. Obaj - tak Protagoras jak Sokrates, wiedzieli o tem, że „gwałt i słabość bronią wchodu“ do normalnego funkcyonowania ludzkich spraw i stosunków w państwie i społeczeństwie; wiedział o tem szczególnie pierwszy z sofistów, że prawo mocniejszego ma swą odwrotną stronę w haśle, którego bronił przez swą naukę, by sprawę słabszą czynić silniejszą i dopomagać jej do zwycięstwa. Tej genetycznej strony problemu, ustawicznego stawania się, ruchu, ciągłej przemiany i wymiany pomiędzy teoretycznie równymi a praktycznie różnymi, tego współzawodnictwa i współdziałania ogółu i jednostek na wspólnym gruncie państwowym, nie uznawały i nie uznają wszelkie doktryny skrajne przeciwpaństwowe, n. p. o nadludziach Nietzschego lub Kalliklesa i antikulturne wsteczne à la Tołstoj-Rousseau lub Prodykos-Antyfont. Tło i metoda przeciwnie, tak u Protagorasa jak Sokratesa, były etyczno-polityczne, te same. Współcześni nie robili pomiędzy nimi wcale różnicy, którą dowolnie stworzył Platon, wyodrębniając mistrza swojego, wzorowego sofistę, od wszystkich innych sofistów. Nie ich działalność była szkodliwa, zgubna, rozkładcza; lecz rozwinięty program w platońskich dziełach: w Państwie i Prawach, oznaczał zastój i ubezwładnienie greckiej kultury.

Stanisław Schneider.

(Dokończenie nastąpi).

Prawo wyborcze kobiet.

W kilku ostatnich latach poczyniła kwestya politycznych uprawnień kobiet znaczne postępy. Od czasu, kiedy przedstawiałem stan tej kwestyi w rozprawce ogłoszonej w r. 1898 w „Słowie polskiem“,[1]) zmieniło się już bardzo wiele. Wprawdzie na mocy nowej austryackiej ordynacyi wyborczej do Rady Państwa (ustawa z dn. 26. stycznia 1907 Nr. 17 dz. p. p.) utraciły kobiety to częściowe prawo wyborcze, jakie posiadały w Austryi przy wyborach do Rady Państwa w kuryi wielkich posiadłości ziemskich, a to z powodu zwinięcia tej kuryi, ale natomiast uzyskały one prawo wyborcze, a nawet i prawo wybieralności w innych państwach, a mianowicie w australskiem państwie związkowem (Commonwealth) w r. 1902, w Finlandyi w r. 1906 a w Norwegii w r. 1907.

Commonwealth australski, zwany także Stanami Zjednoczonymi australskimi, składa się z sześciu państewek, z których pięć przyznaje kobietom czynne i bierne prawo wyborcze przy wyborach do własnych sejmów (południowa Australia od r. 1895, zachodnia Australia od r. 1899 a nowa południowa Walia od r. 1902), Tasmania od r. 1903, a Quensland czyli kraj królowej od r. 1905. W szóstem państewku, Victoria, oświadczyła się dotychczas Izba niższa już ośm razy za przyznaniem kobietom prawa

[1]) „O udziale kobiet w wyborach do ciał reprezentacyjnych w Austryi i w ogólności“ (Nr. 182, 183 i 187 z r. 1898). Patrz także Radek Karol: Prawo wyborcze kobiet („Nowe Słowo“ 1905).

wyborczego, ale Izba wyższa unicestwiła za każdym razem tę uchwałę. Natomiast mają wszystkie wyżwymienione państewka prawo wyborcze kobiet, na mocy ustawy wyborczej z maja 1902. przy wyborach do parlamentu związkowego czyli do Sejmu całego Commonwealth, a to zarówno prawo wyborcze czynne jak i bierne, zarówno do Izby poselskiej jak do Senatu. O ile jednak nasze informacye sięgają, niebyły kobiety dotąd faktycznie wybierane ani do Sejmów poszczególnych państewek ani do Sejmu związkowego, pomimo że przy wyborach z r. 1903 trzy kobiety kandydowały do Senatu.

Kobiet-wyborczyń było tam wtedy 856.000, mężczyzn 97.000. Kobiety-wyborczynie popierały partyę robotniczą, występowały stanowczo przeciw socyalizmowi: prawie połowa ich nie stanęła do urny wyborczej, a wszystkie objawiały stanowczą niechęć do głosowania za kobiecemi kandydaturami i nawet na wiecach przedwyborczych zapadały rezolucye, że na to jeszcze nie pora.

Jako program wyborczy, ustanowiony przez przywódczynie ruchu wyborczego (centralny komitet wyborczy) przyjęły kobiety następujące punkta:

1) zupełna równość obu płci wobec prawa i urzędu, 2) równoprzystępność wszystkich urzędów państwowych dla obu płci: 3) zakaz dowozu i sprzedawania opium, używania napojów spirytusowych w dnie świąteczne, palenia tytoniu poza domem, 4) ustanowienie sądów rozjemczych dla spraw przemysłowych, 5) organizacya sił zbrojnych, tak lądowych jak morskich, jedynie dla celów odpornych, i popieranie systemu wolnozaciężnego, 6) równość wobec prawa także co do małżeństwa i rozwodu, 7) badanie wszystkich dowożonych środków żywności pod względem hygienicznym.

W Anglii, gdzie kwestyę prawa wyborczego kobiet patronizował głównie John Stuart Mill [1]) nie schodzi ta sprawa już od r. 1867 z porządku dziennego. Interesujący referat o niej wygłosiła Miss Garret-Fawceth z Londynu na międzynarodowym kongresie kobiecym, odbytym w Berlinie w r. 1904; odczytać go można w wydawnictwie p. Maryi Stritt, zawierającym główne referaty, wygłoszone na kongresie. [2])

---

[1]) Patrz n. p. prof. Winternitz: John Stuart Mill und die-Frauenbewegung (Oesterreichische Rundschau Bd. VII., Heft 82 u. 83).

[2]) Wydawnictwo p. Stritt nosi tytuł: Der internationale Frauenkongress in Berlin 1904; Bericht mit ausgewählten Referaten, heraus-

Skutkiem pomyślnych doświadczeń, poczynionych w Anglii z prawem wyborczem kobiet do różnych lokalnych ciał samorządnych, np. do rad ubogich, w których nawet wiele kobiet zasiada, rozszerzono analogiczne prawa kobiet tak daleko, jak daleko wogóle sięga państwo angielskie. Tak np. wkrótce po ukończeniu wojny w południowej Afryce utworzono w Johannisburgu radę municypalną, w której zasiadają zarówno mężczyzni jak i kobiety.

Pierwszem stronnictwem, które nadało kobietom organizacyę polityczną, było stronnictwo konserwatywne. Dziś już ma każda partya swą organizacyę kobiecą *(Primrost League, the Woman's Liberal Federation, the Women's Liberal Unionisl Association* i t. p.). Najskuteczniejszą działalność na polu kobiecego prawa wyborczego rozwinął drugi z wyżwymienionych związków *(the Women's Liberal Federation),* który powziął uchwałę, nie użyczać swego poparcia żadnemu liberalnemu kandydatowi, który by się nie zobowiązał do popierania w Izbie niższej politycznego prawa wyborczego kobiet.

Zauważono też pomiędzy robotnicami bardzo żywe zainteresowanie się tą kwestyą; — i niebawem wręczyły one członkom Izby niższej szereg petycyi z dziesiątkami tysięcy podpisów, domagających się prawa wyborczego.

Od chwili, gdy sprawa kobiecego prawa wyborczego weszła na porządek dzienny Izby deputowanych, znalazła ona poparcie tak w kołach konserwatywnych jak i liberalnych. W rzędzie pierwszych jaśnieją tu nazwiska trzech byłych premierów: Lorda Beaconsfielda, Markiza Salisbury'ego i W. Artura Balfoura. Ci mężowie stanu nieznaleźli jednak poparcia całej swej partyi, a nawet każdy napotykał w Izbie lordów na przeważającą opozycyę; przeto i próba nadania kobietom prawa wyborczego i wybieralności do londyńskiej Rady municypalnej zakończyła się porażką, mimo potężnej wymowy Lorda Salisbury'ego. W ogóle znajduje polityczne prawo wyborcze kobiet coraz silniejsze poparcie w kołach liberalnych, tracąc równocześnie zwolenników w szeregach konserwatywnych.

Wniosek o przyznanie kobietom czynnego prawa wyborczego do parlamentu stawiany był w Anglii już przeszło 30 razy w Izbie posłów, a w r. 1897 był już nawet uchwalony w drugiem czyta-

---

gegeben in Auftrage des Vorstandes des Bundes deutscher Frauenvereine.

niu, i dopiero trzeciemu czytaniu wniosku przeszkodzono przez obstrukcyę. Zupełnie to samo powtórzyło się w r. 1904. D. 17 marca 1904 uchwalono w drugiem czytaniu w Izbie posłów rezolucyę, domagającą się czynnego i biernego prawa wyborczego dla kobiet, 186 głosami przeciw 68; liberali głosowali za nią mniej więcej w stosunku 10 do 1, konserwatyści zaś w stosunku 3 do 2. Trzecie czytanie zostało jednak uniemożebnione przez obstrukcyę mniejszości.[1]) O trzeciem zaobstruowaniu projektu obecnego premiera, Campbell-Bannermanna, w r. 1907 będzie zaraz niżej mowa.

Głównym bodźcem dla kobiet angielskich jest nietyle przykład czterech Stanów amerykańskich (Wyoming, Utah, Colorado, Idaho) tudzież angielskiej wysepki Man, w których hasło sufrażystek: „*Votes for women*“, jest przeprowadzone w całej rozciągłości, jak raczej przykład Nowej Zelandyi, gdzie prawo wyborcze kobiet funkcyonuje od r. 1893 bardzo poprawnie,[2]) tudzież skutki korzystne, osiągnięte w Commonwealth australskiem.[3]) W swym optymizmie w ocenianiu błogich skutków tego prawa posuwają się kobiety aż do twierdzenia, że ono działa wszędzie dobroczynnie także i na rodzinne życie kobiety, co naszem zdaniem jest wprost mylne (patrz np. mowę p. Anny Shaw na kongresie berlińskim 18 czerwca 1904).

We wyżej wspomnianych czterech Stanach Ameryki północnej mają kobiety tak czynne jak i bierne prawo wyborcze.

Historya ostatnich dwóch lat walki o kobiece prawo wyborcze w Anglii przedstawia wiele interesujących momentów i zawiera szereg nader drastycznych epizodów, które szkodaby było pominąć milczeniem.

Pouczone przykładem innych państw, w których tylko terrorem coś zdobyć można, a świadome przytem, że kobietom uchodzi wiele rzeczy, któreby nie uszły mężczyznom, postanowiły liczne grona kobiet angielskich rozpocząć walkę czynną i ulegać w niej tylko fizycznej przemocy, a zarazem inscenizować różne efektowne demonstracye w parlamencie i jego pobliżu. Urządziły

---

[1]) Patrz Elise Ichenhäuser: Das Frauenwahlrecht. Berlin W. 1906, str. 25. Klara Zetkin j. n. str. 59.

[2]) O Zelandyi patrz referat Miss Sheppard Christchurch p. t.: „Skutki prawa wyborczego kobiet w Nowej Zelandyi“, ogłoszony we wspomnianem wydawnictwie Maryi Stritt.

[3]) Patrz William Pember Reewes: Das politische Wahlrecht der Frauen in Australien, Leipzig 1904.

w marcu 1906 hałaśliwą scenę przed mieszkaniem prezydenta ministrów, a następnie, gdy d. 25. kwietnia 1906 Keir Hardie postawił w Izbie wniosek na rzecz kobiecego prawa wyborczego, panie te podniosły na galeryi damskiej ogromny krzyk i wrzuciły do sali posiedzeń chorągiew z napisem: „prawo głosowania dla kobiet“. Liberalny poseł Ewans, który właśnie wtedy przemawiał przeciw wnioskowi Hardiego, przerwał swe wywody słowami: „niepodobna wogóle przytoczyć silniejszego argumentu przeciw przyznaniu kobietom prawa wyborczego, jak ta scena, którą właśnie przeżyliśmy“; poczem odroczono rozprawy nad wnioskiem Keir-Hardiego na czas nieograniczony. Damy demonstrujące, w liczbie około 30, wyprowadziła z galeryi dopiero policya.

Już w kilka miesięcy później w maju 1906 mogły się jednak angielskie suffrażystki (Suffragettes) poszczycić rezultatem wcale pomyślnym. Angielski premier, Sir Campbell-Bannermann, przyjął ich deputacyę, eskortowaną przez blisko 40 posłów i oświadczył jej, że jeszcze tylko na krótki przeciąg czasu potrzebują się uzbroić w cierpliwość, premier sądzi bowiem, że niewiele lat minie, a prawo wyborcze kobiet zostanie wprowadzone w drodze prawodawczej. Suffrażystkom trudno, jednak było, na tę cierpliwość się zdobyć. Gdy minister skarbu Asquith, którego one uważały za swego głównego wroga, odbywał w czerwcu 1906 zgromadzenie publiczne w Northampton, zjawiły się tam suffrażystki w gronie licznych zwolenników i w chwili gdy minister począł mówić, podniosły ogłuszający hałas i czyniły taki zgiełk, że aż policya wyprowadziła około sto pań ze sali. Niektóre stawiały czynny opór, rzucały się na ziemię, a te szpetne sceny powtarzały się potem na ulicy. W kilka dni później udały się one znów pod przewództwem Miss Ellen Kenney i Miss Billington przed mieszkanie Lorda Asquitha i urządziły mu tam kocią muzykę; a gdy policyant chciał powstrzymać panią Billington w jej zapale, został przez nią wypoliczkowany. Policyant zato zaaresztował ją, ale Miss Billington, prowadzona do stacyi policyjnej w Marlybone, potrącała policyanta gwałtownie, a następnie, powołana do przesłuchania, wzbraniała się uznać kompetencyę sądu policyjnego. „Wszystkie wasze ustawy — mówiła — są fabrykowane przez mężczyzn, a zasadom sprawiedliwości sprzeciwia się stosowanie do kobiet takich przepisów ustawowych, przy których wydaniu one nie współdziałały. Dopóki kobiety nie współdziałają w ustawodawstwie, niema żaden angielski sędzia prawa, sądzić mnie lub inną kobietę“. Orzekający sędzia nie podzielał jednak

tych poglądów i skazał panią Billington na 10 fl. szt. grzywny względnie na 2 miesiące aresztu.

W kilka miesięcy później, d. 14 października 1906, przyjmował tenże sam lord Asquith deputacyę suffrażystek i oświadczył jej, że bynajmniej nie jest nieprzychylny ich żądaniom, pomimo nieprzyjaznej demonstracyi jaką mu kobiety przed niedawnym czasem urządziły i mimo nieżyczliwej wobec niego podstawy kobiet. Wkrótce potem, zapewne wskutek oświadczenia Asquita, starał się Campbell-Bannermann usprawiedliwić listownie przed centralnym komitetem kobiecego związku politycznego i społecznego, że rząd nie może już podczas nadchodzącej jesiennej sesyi 1906 podnieść w parlamencie sprawy głosowania kobiecego. A jako że niewiastom zwykle nie jest łatwo coś wyperswadować, wzięły suffrażystki to tłomaczenie się Campbell-Bannermanna za wykrętną wymówkę i odpłaciły mu się za kilka dni przy otwarciu parlamentu nową awanturą. Wtargnęły do samej sali posiedzeń Izby gmin, poczęły tam wznosić okrzyki na intencyę głosowania kobiet, rozwinęły sztandar z odpowiednim napisem, uczyniły ogromny zgiełk i hałas i nie chciały ani ustąpić ani poddać się zarządzeniom policyi, stawiając jej czynny opór i znieważając ją, tak że przyszło do czynnych starć i że wszystkie uczestniczki tej sceny zostały przyaresztowane. Były zaś między nimi i bardzo poważne kobiety, np. pani Anna Sanderson, córka Ryszarda Cobdena. Postawione przed sąd policyjny, zostały skazane na kary dziesięciu funtów szterlingów, albo dwumiesięcznego więzienia i wszystkie wybrały więzienie, w którem też przesiedziały się, zamknięte w Holloway, aż do d. 31 grudnia 1906.

Pani Ellen Key, opisując tę scenę[1]) na podstawie opowiadań dwu jej uczestniczek, skreślając losy jakie one przechodziły w więzieniu i konstatując że polityczna i socyalna unia kobiet w Anglii (The Womens Social and Political Union) postanowiła rozpocząć otwarcie propagandę czynu w sprawie kobiecego prawa wyborczego, oświadcza całkiem seryo że jedynym skutecznym wedle jej zdania środkiem uzyskania tego prawa byłby powszechny strejk kobiet od przysparzania społeczeństwu nowych obywateli, czyli od macierzyństwa. Czy ten strejk rozciągaćby się miał i na

---

[1]) Das Frauenstimmrecht. („Die Zeit", Nr. vom 9. Februar 1907).

wszystko, co się z macierzyństwem łączy, zapomniała autorka, w swej skromności, dodać.

Wkrótce potem wywiązał się rząd z danego słowa i bill o przyznaniu kobietom prawa wyborczego do parlamentu pod tymi samymi warunkami pod którymi posiadają je mężczyzni, przyszedł pod obrady Izby Gmin w drugiem czytaniu d. 8 marca 1907. Sir Campbell-Bannermann oświadczył, że rząd pozostawia całkowicie Izbie decyzyę w tej sprawie, że jednak on sam osobiście jest za przyjęciem billu, gdyż jego zdaniem wykluczenie kobiet od prawa głosowania niejest ani wskazane ani usprawiedliwione lub politycznie uzasadnione. Whitehead ze stronnictwa liberalnego wnosił odrzucenie bilu. Ponieważ jednak dyskusya nad bilem przeciągnęła się poza godzinę, do której wedle regulaminu powinna była zostać ukończoną, a ponieważ nie będzie już sposobności do prowadzenia dalszej nad bilem dyskusyi, przeto należy uważać przedłożenie za odrzucone wskutek obstrukcyi, która uniemożliwiła Izbie wypowiedzenie w tej mierze swego zdania przez głosowanie. Przez to nie został jednak jeszcze usunięty dalej idący wniosek Ch. Dilkego (ze stronnictwa robotniczego), żądający wprowadzenia w Anglii powszechnego głosowania bez różnicy płci.

Pod wrażeniem tego wypadku nastąpiły dalsze starcia sufrażystek z Izbą gmin i z policyą. D. 12 marca 1907 odbyło się zgromadzenie publiczne z wieloma mowami i uchwalonemi rezolucyami, po którem około 800 jego uczestniczek usiłowało wtargnąć do gmachu Izby gmin, przyszło do starcia z policyą, przyczem 49 z nich aresztowano, a 76 policyjnie zasądzono na grzywnę względnie na więzienie. Wszystkie kobiety wybrały to ostatnie, z wyjątkiem jednej malarki norwegskiej, która oświadczyła, że niema czasu siedzieć w więzieniu i woli zapłacić, co też zaraz uczyniła. — A w chwili, w której te słowa piszemy, wyczytaliśmy znów w dziennikach, że suffrażystki londyńskie dokonały d. 17 stycznia 1908 ataku na pałac prezydenta gabinetu, korzystając z odbywającego się posiedzenia rady ministrów.

Aby policya nie mogła przeciw nim wystąpić, przybyły dorożkami. Kiedy pojawił się minister skarbu, sufrażystki rzuciły się na niego, policya tylko z trudem je odparła. Niektóre z nich przywiązały się łańcuchami do żelaznych sztachet pałacu, tak, że policya miała dość roboty, aby je z tych więzów uwolnić. Jedna z kobiet zdołała się dostać do mieszkania prezydenta gabinetu,

ale służba natychmiast ją wydaliła. Policya wreszcie opróżniła ulice i aresztowała wiele kobiet.

Podobne demonstracye suffrażystek odbywały się i później, aż dn. 28. lutego 1908 uchwaliła Izba gmin. na wniosek p. Stangera, odesłać sprawę prawa wyborczego kobiet do specyalnej komisyi, dla zdania sprawy.

Jako zadatek przyszłego prawa wyborczego może można uważać uchwaloną już przez obie Izby d. 12 sierpnia 1907 ustawę nadającą kobietom prawo wybieralności do rad municypalnych i rad hrabstwa. — Czynne prawo wyborcze do tych rad mają kobiety już od dłuższego czasu.

Lucien W o l f: Die „Suffragettes“ *(Neue freie Presse* z 7. kwietnia 1907) twierdzi, że powód do nowej ostrej taktyki kobiet angielskich w walce o prawo wyborcze dała okoliczność, iż ostatnia mowa tronowa w Anglii przemilczała zupełnie tę kwestyę, a żaden z 420 deputowanych, którzy byli dali uroczyste przyrzeczenie podniesienia kwestyi kobiecego prawa wyborczego podczas obrad nad adresem do tronu, niedotrzymał obietnicy i ani jednem słowem nie dotknął tej sprawy w dyskusyi. Jakkolwiek Wolf nazywa obecną taktykę suffrażystek „senzacyjną“, i składa znaczną jej część na karb „hysteryi“, to jednak konstatuje on, że publiczna opinia nie jest bynajmniej dla tej rzeczy obojętną, i że ruch feministyczny na tle prawa wyborczego cieszy się w kraju rozległem i rozgałęzionem poparciem; opisuje też szczegółowo objawy tego poparcia tudzież dzieje i formy organizacyi i działań, w których się ono objawia. Obszerne to exposé warte jest odczytania.

Wspomnieliśmy już, że w r. 1906 Sejm finlandzki uchwalił ustawę, przyznającą kobietom prawo wyborcze na równi z mężczyznami, a więc nietylko prawo wyborcze czynne, ale i prawo wybieralności do Sejmu Finlandyi. Kobiety finlandzkie nie były tak wstrzemięźliwe, jak ich koleżanki-wyborczynie w Commonwealth australskiem: odrazu zgłosiły liczne kandydatury i w obecnym Sejmie finlandzkim zasiada ich już 19. Wedle stronnictw należy je podzielić w następujący sposób: 1 ze szwedzkiego stronnictwa, 1 ze stronnictwa agrarnego, 2 ze stronnictwa młodo-fińskiego, 6 ze stronnictwa staro-fińskiego, 9 socyalistek. Według stanu cywilnego jest między niemi 9 mężatek a 10 panien i wdów. Wedle stałego zajęcia i zawodu wreszcie spotykamy w ich gronie 7 nauczycielek, 4 agitatorki zawodowe, 2 redaktorki, 2 robotnice przemysłowe, 1 chłopkę, 1 żonę księdza proboszcza ewangelickiego,

wreszcie 2 z nieokreślonego bliżej stanu średniego.[1]) Cztery z pomiędzy tych posłów-kobiet należy do „wielkiej komisyi“ mającej przygotowywać i opracowywać najważniejsze sprawy dla Sejmu; jedna, p. Hagemann, jest przewodniczącą komisyi petycyjnej. Czytamy w dziennikach, że posłowie-kobiety złożyły w Sejmie petycyę żądającą podwyższenia wieku, w którym wolno kobiecie wchodzić w związki małżeńskie. Gdy dotychczas mogą kobiety wychodzić za mąż już po ukończonych 15 latach, zażądały kobiety-posłowie podwyższenia tego wieku w drodze ustawy na lat 18, z powodów fizyologicznych, ze względu na duchową niedojrzałość kobiet 15-letnich i wreszcie ze względu na wymogi obecnego ustroju naszego życia kulturalnego. Wyjątki mogłyby być dopuszczone tylko na mocy specyalnego zezwolenia monarchy.

W English Woman's Review (angielskim przeglądzie dla spraw kobiecych) wyraża się hrabina Grippenberg bardzo niekorzystnie o działalności kobiet zasiadających w sejmie finlandzkim. Autorka twierdzi, że te panie biorą wprawdzie żywy udział w przeprowadzaniu ustaw popierających emancypacye kobiet, a mianowicie w przesunięciu o 3 lata — z 15 na 18 — wieku, w którym kobietom wolno wstępować w związki małżeńskie i w zapewnieniu kobietom niezamężnym prawa do rozporządzania majątkiem; — po za temi zasługami wszelako posłowie żeńscy nie wielkie przyniosą krajowi korzyści. Brak im wiadomości z dziedziny prawa i ekonomii politycznej. Po większej części kobiety, zwłaszcza ze stronnictwa socyalistycznego, zostały wybrane dlatego tylko, że są — kobietami. I tak np. w pewnej komisyi, zajmującej się sprawami konstytucyjnemi, zasiada kucharka; w komisyi, rozpatrującej budżet finansowy, bierze udział przekupka. Nic więc dziwnego, że mężczyzni zaczynają drwić, gdy kucharka rozprawia o zmianie ustaw konstytucyjnych, a kobieta, która dotychczas sprzedawała jaja i ser na targu, zabiera głos w sprawie budżetu państwa.

Nie chcemy bynajmniej twierdzić, jakobyśmy się z tym surowym poglądem autorki zgadzali, gdyż nie zawód i zatrudnienie, ale inteligencya, rozsądek i zdrowy rozum każdego osobnika — nietylko płci żeńskiej, ale i męskiej — decyduje o tem, czy kto

[1]) Powyższe daty wyjęte z artykułu Hjalmara-Brantinga: Das Wahlrecht der Frauen, umieszczonego w „Sozialistische Monatshefte“, August 1907.

może sobie urobić trafne zdanie i działać korzystnie w sprawach publicznych.

Norwegski Storthing uchwalił d. 15. czerwca 1907 ustawę o głosowaniu kobiet. przyznając kobietom czynne prawo wyborcze do Storthingu pod tymi samymi warunkrmi, pod którymi przyznano je kobietom już przed kilkoma laty przy wyborach gminnnych. Również nadano kobietom i bierne prawo wyborcze czyli wybieralność. Uchwała ta zapadła w Storthingu 96 głosami przeciw 25. Obecnie mogą więc kobiety oddawać swe głosy przy wyborach na członków Storthingu, jeżeli mają najmniej 25 lat i posiadają rocznego dochodu najmniej 300 Koron po wsiach a 400 Koron w miastach. Na tej samej podstawie mogą zostać wybrane deputatkami. Oprócz tego ustawa orzeka, iż nie jest obowiązkowe, aby oznaczony powyżej dochód roczny był wynikiem własnej pracy kobiety. Dość jest, aby taki dochód miał jej mąż. Ponieważ zaś dochód roczny 300—400 koron stanowi minimum dochodu rocznego mężczyzny w Norwegii, przeto wszystkie niemal kobiety zamężne norwegskie uzyskują prawo polityczne. Oparto się przytem na zasadzie, że kobieta zamężna i gospodyni domu „przykłada się do utrzymania rodziny nakładem pracy, za którą nie otrzymuje żadnego wynagrodzenia“. Ogólna liczba kobiet, które czynią zadość ustanowionemu cenzusowi. wynosi w Norwegii około 300.000. Przy uchwalaniu praw politycznych kobiety 48 członków Storthingu głosowało na rzecz prawa powszechnego bezcenzusowego, 49 za utrzymaniem cenzusu, a tylko 25 członków oświadczyło się przeciw wszelkim prawom wyborczym kobiety. Ponieważ zwolennicy prawa wyborczego powszechnego bez cenzusu majątkowego sami nie byli w możności przeprowadzić swego wniosku, mając przeciw sobie 49+25=74 przeciwników, przeto połączyli się z wnioskiem cenzusowym i przeprowadzili go większością 97 głosów przeciw 25. [1])

Odrzucono jednak w Storthingu wniosek domagający się przyznania kobietom powszechnego prawa głosowania. w tych rozmiarach w jakich je mają mężczyzni.

W Szwedzkim Riksdagu czyli Sejmie był także stawiany w r. 1906 wniosek analogiczny z norwegskim co do prawa wyborczego kobiet. Wnioskodawcami byli posłowie socyalistyczni i socyalno-radykalni. Wniosek upadł jednak większością głosów

[1]) Patrz Zeitschrift für Sozialpolitik, herausgegeben von Prof. Dr. Julius Wolf in Breslau, Heft 7/8 vom 1907, s. 499.

133 (pomiędzy którymi było i 15 głosów socyalistycznych) przeciw 91.[1]) Mimo to żywiono nadzieję iż w krótkim stosunkowo czasie Storthing zechce się okazać przychylniejszym tej myśli i zapowiadano czy nawet rozpoczęto powszechne kursa ludowe, mające kształcić kobiety w zasadach ekonomii społecznej i administracyi i przygotowywać je w ten sposób do życia publicznego. Nadzieja jednak zawiodła na razie, gdyż mowa tronowa którą nowy król Gustaw otworzył w styczniu 1908 Riksdag, oświadcza, iż wprawdzie projekt ustawy wyborczej, przyjęty przez poprzedni parlament, przedłożony będzie do ostatecznego zredagowania teraźniejszemu parlamentowi, nie można atoli spodziewać się projektu ustawy w sprawie głosowania politycznego kobiet.[2])

We Francyi utworzył deputowany Henry Chéron w lecie 1907 r. grupę parlamentarną, mającą dążyć do urzeczywistnienia praw kobiety i wygłosił przy tej sposobności mowę programową, wykazującą, jak dalece kobiety francuskie są wobec prawa upośledzone pod każdym względem, a zwłaszcza w kierunku prawa wyborczego.

Ostatnia wiadomość, jaka nas dochodzi o prawie wyborczem kobiet, przybywa z Holandyi. Rząd tamtejszy przedłożył w październiku 1907 r. Izbom niederlandzkim projekt zmiany konstytucyi, uchylający istniejące ograniczenia wyborcze, celem wprowadzenia powszechnego prawa głosowania, tudzież udzielający także kobietom czynnego i biernego prawa wyborczego.

W roku 1906 odbyło się wiele zjazdów i kongresów kobiecych, na których kwestya prawa wyborczego kobiet odgrywała pierwszorzędną rolę. W Kopenhadze otwarto 7. sierpnia 1906 r. obrady międzynarodowego stowarzyszenia dla kobiecego prawa wyborczego, odbywające się za współudziałem reprezentantek prawie wszystkich państw europejskich, tudzież Stanów Zjednoczonych Ameryki północnej. Prezydowała p. Carry Chapman Catt, Amerykanka, która w ruchu kobiecym objęła miejsce zmarłej w podeszłym wieku p. Zuzanny Anthony. Jednym z najbardziej interesujących referatów było opracowane przez p. Amundsonn exposé o stosunkach Islandyi. Zdawano także sprawę z walki

---

[1]) Patrz Hjalmar Branting j. w.

[2]) Ma to być prawo wyborcze proporcyonalne, równe i bezpośrednie. patrz Starzyński: Różne projekta reformy prawa wyborczego, Lwów 1906, str. 270.

o prawo wyborcze w Stanach Zjednoczonych i w Niemczech, gdzie związek suffrażystek wręczył Sejmowi bawarskiemu petycyę dotyczącą przyznania prawa wyborczego kobietom. Uchwalono, że najbliższy kongres tego stowarzyszenia odbędzie się w r. 1908 w Holandyi. W Mannheim odbyło się we wrześniu 1906 r. socyalistyczne zgromadzenie kobiet, za współudziałem znanego niemieckiego deputowanego Bebla, zajmujące się głównie kwestyą uzyskania prawa wyborczego przez kobiety w Austryi, ze względu na dokonywującą się tam właśnie wtedy reformę wyborczą. We Wiedniu odbyło się dnia 17. października 1906 r. ogólne zgromadzenie kobiet w sali gremium związku kupieckiego. Na porządku dziennym stał temat: „Dlaczego kobiety muszą się domagać prawa głosowania?“ Jako referentki funkcyonowały znane przywódczynie feministycznego ruchu emancypacyjnego, Mrs. Chapman-Call z Nowego Yorku, prezydentka międzynarodowego światowego związku dla prawa wyborczego i p. dr. Aletta Jacobs z Amsterdamu, prezydentka holenderskiego stowarzyszenia dla prawa wyborczego; przewodniczyła wreszcie obradom znana austryacka przywódczyni ruchu kobiecego i autorka, p. Maryanna Hainisch. W obradach uczestniczył także poseł do Rady Państwa dr. Ofner, który zauważał, że kobiety Austryi zrobiły dotychczas o wiele za mało dla wywalczenia sobie prawa wyborczego. Prezydentka p. Hainisch zakomunikowała zgromadzeniu, że kobiety wiedeńskie wniosą do ciał ustawodawczych petycyę pokrytą tysiącami podpisów, domagającą się zniesienia postanowienia, zawartego w §. 30. ustawy o stowarzyszeniach z 15. listopada 1867 r., wedle którego kobiety nie mogą być członkami stowarzyszeń politycznych. Podobne petycye wpłynęły istotnie, a dnia 19. października 1906 r. jawiła się deputacya wiedeńskiego komitetu dla kobiecego prawa wyborczego, przed obliczem różnych wybrańców ludów austryackich i doręczyła im dwa memoranda; jedno dotyczące przyznania kobietom prawa wyborczego wogóle, a drugie żądające skreślenia wyrazu „kobieta“ w §. 30. ustawy o stowarzyszeniach z 15. listopada 1867. Posłowie oświadczyli, że o pierwszym postulacie trudno teraz myśleć, natomiast gotowi są wstawiać się ile możności za drugim. I rzeczywiście postawił już w nowej Izbie w czerwcu 1907 r. poseł Sustersič wniosek odpowiedniej zmiany cyt. §-u 30-go.

Tu należy nadmienić, że Namiestnictwo Dolnej Austryi zabroniło w styczniu 1907 r. zawiązania stowarzyszenia kobiecego dla wywalczenia prawa wyborczego, mającego w myśl statutu na

celu „uzyskanie zupełnego równouprawnienia kobiet z mężczyznami pod względem prawno-państwowym i zdobycie dla kobiet czynnego prawa wyborczego do wszystkich ciał reprezentacyjnych“, a zakaz swój motywowało Namiestnictwo właśnie powyższem postanowieniem §.[1] 3go, iż kobiety nie mogą należeć do stowarzyszeń politycznych, stowarzyszenie zaś, o którego zawiązanie chodzi, jest właśnie politycznem w najpełniejszem tego słowa znaczeniu.

Stanisław Starzyński.

(Dokończenie nastąpi).

STANISŁAW WYSPIAŃSKI.

(Ciąg dalszy).

Korzystając z poczynionych dotychczas spostrzeżeń, przystępujemy do rozbioru poszczególnych dzieł Wyspiańskiego. Nie układamy ich w porządek chronologiczny: nie zawsze dałby się dokładnie oznaczyć, bo nieraz utwór wydany później, koncepcyą sięga wcześniejszych czasów (tak n. p. Sędziowie, ostatni dramat powstał, a przynajmniej rozpoczęty był dawniej). Lecz obalając chronologiczne następstwo, wyciągamy tylko wniosek z zasadniczego naszego wobec autora stanowiska: widzimy go od początku do końca tym samym, zmiany, dostrzegalne i w nim, są naszem zdaniem nieznaczne. Chronologicznego porządku trzymamy się tam tylko, gdzie i w podstawowej idei utworów widocznym jest rozwój, postęp; tak n. p. Wesele, Wyzwolenie, Akropolis w tym porządku muszą iść po sobie, jak wychodziły, ale nie z materyalnych tylko lecz przedewszystkiem z wewnętrznych przyczyn. Grupujemy liczne skończone dzieła i ogłoszone dotychczas fragmenty według ich treści i związanego z nią stylu, bo w ten sposób unikniemy przeskoków a ducha poety w obrębie każdej z grup plastyczniej uwydatnimy. Szeregujemy zaś te grupy tak, by zacząwszy od względnie najbardziej przedmiotowej, dostarczającej najwięcej sposobności do czysto artystycznych uwag, posuwać się coraz dalej ku subjektywniejszym, dojść do najosobist-

szych dzieł, gdzie celem krytyki będzie nie tyle już analiza estetyczna, ile usiłowanie wniknięcia w tajnie ducha twórcy. A więc od dramatów, z realistycznego podłoża wyrosłych, powiedzie droga do klasycznych motywów, ztąd przez historyczne a potem historyczność z coraz większą swobodą przetwarzające, dojdzie się do ostatniej grupy, w której już niepodzielnie panuje zmagająca się z sobą myśl poety. Zarzutu „szufladkowania“ za słuszny nie uważamy, bo ostatecznie bez niego nie obejdzie się nigdy krytyka, mówiąca o wielu rożnorodnych objawach a chcąca nie tylko sobie przyjemność, lecz i czytelnikowi korzyść przynieść.

* * *

Dramatów na tle realistycznem napisał Wyspiański dwa. Dziwić się trzeba, nie że tylko, ale że aż dwa, że je wogóle pisał. Myśl Wyspiańskiego z natury koturnowa, wyobraźnia z natury wizyonerska, stroni od widoku zwykłych ziemskich rzeczy, a nawet wtedy, gdy na nie patrzy, wnet wzrok zapuszcza w dal i wzwyż, jak tego *Wesele* dowodzi. Co dziwniejsza jeszcze, oba te dramaty realistyczne należą do celniejszych dzieł autora, pierwszy jest jednem z najcelniejszych. Zagadka staje się jaśniejszą, gdy się uwzględni czas ogłoszenia pierwszego a przypuszczalnie i poczęcia drugiego, czas, kiedy Wyspiański był jeszcze więcej artystą niż wieszczem, wyładowywał z siebie moc tworzenia, a myśl jego obejmowała szerokie kręgi, by później dopiero skupić się w jednem palącem ognisku.

Poza tem ogłoszona w r. 1899 w *Życiu* tragedya *Klątwa*, w zupełności znajduje miejsce w obrębie ogólnych ram portretu autora. Realistyczna w wyborze osnowy, sięga najwyższych szczytów wzniosłością idei, a sposobem wykonania jest rodzoną siostrzycą innych jego dramatów, duchem klasycznym owianych. Temat jeden z tych, które się „drażliwemi“ nazywa: ksiądz, żyjący z chłopką i mający z nią dzieci. Nie jeden Wyspiański go w dramacie opracował: znamy drukowany w r. 1900 dramat niemiecki *Das Unabwendbare* Maksymiliana Dauthendey'a, a cytujemy go, by z krótkiego porównania skorzystać przy ocenie *Klątwy*. Oto Dauthendey układa rzecz na wyraźnem tle historycznem, nazywając ją „sceną z czasów wprowadzenia celibatu“ (zatem wiek XI., panowanie papieża Grzegorza VII.) i rzeczywiście historyczny koloryt chwili maluje. Wyspiański natomiast dra-

mat stawia poza obrębem jakiegokolwiek czasu, chociaż zapewne o tym samym myśli, podaje tylko określenie lokalne: „we wsi Gręboszowie pod Tarnowem“, a w przepisach dekoracyi odtwarza plebanię bez żadnych cech historycznych, tak dobrze „starą jak i dzisiejszą. Dauthendey trafniej postąpił niż Wyspiański. Pomińmy już to, że polski poeta, dopuszczając domysł, jakoby dzisiejsze stosunki przedstawiał, utrudnił dramatowi wstęp na publiczne sceny — co przecież bądź co bądź nie powinno być dążeniem autora. Ale co ważniejsza, wprowadził do sztuki niejasność, bo stanowczo czasu akcyi nikt nie zdoła podać, a przez to także i osłabił tragiczność sytuacyi. Bo bez względu na stanowisko, jakie się zajmuje wobec kwestyi celibatu duchowieństwa, przyznać się musi, że inaczej wygląda ksiądz, żyjący z kobietą w wieku XI., inaczej tak samo postępujący w wieku XIX., nie mówiąc już o tem, że w tym ostatnim rzecz zakończyłaby się inaczej, bo interwencyą przełożonej władzy kościelnej.

Z temi zastrzeżeniami *Klątwa* jest istotnie wspaniała tragedyą. Jej tragizm jest naturalny, dla każdego zrozumiały, nie naciągnięty, a rozwija się stopniowo, załamując się dopiero przy końcu. Idzie to stopniowanie przez szemranie ludu, który spiekotę uważa za karę grzechów księdza, przez surowe słowa pustelnika i ból matki, w synu zawiedzionej aż do postanowienia gromady, by dla przebłagania Bóstwa spalić stos ofiarny i do postanowienia Młodej, by z dziećmi na tym stosie spłonąć. Tutaj jednak się załamuje. Matka rzuca w płomień dzieci, sama nie ma odwagi iść za niemi, lecz porwawszy gorejącą żagiew, szalona pędzi na wieś, podpalając chaty, aż pada pod razami kamieni, ciskanych przez tłum. Zakończenie niewątpliwie efektowne, być może, że jedyne możliwe z teatralnych względów, mimo to jednak znając Młodą, przypuszczałoby się raczej, że sama spłonie a nie będzie mieć odwagi poświęcić dzieci. Nad tem wszystkiem unosi się ponura myśl klątwy, kary za grzechy, kary dobrowolnie sobie wymierzonej, strasznej jak strasznym był popełniony grzech. Myśl to w swej surowości bezlitośnie twarda, oświecona błyskawicami zabobonów i wierzeń ludowych, przenosząca czytelnika w zamierzchłe czasy nieubłaganego pojęcia winy i kary, to też tutaj powtórnie żałować przychodzi, że historyczne tło wyraźniej nie zostało podmalowanem. Poeta myśl tę wypowiada rozmaitemi słowy przez usta prawie wszystkich osób dramatu, przez co słuchaczowi narzuca ją suggestywnie tak, że dopiero ochłonąwszy z pierwszego wrażenia, pytamy się, czy też ta idea istotnie

w utworze, w losach akcyi znajduje swój wyraz. Dobrowolnie nikt nie ponosi kary: dzieci idą na stos, prowadzone poniewolnie przez matkę, ona sama ginie ukamienowana przez tłum, chcąc poprzednio uratować życie; a ksiądz? ten, bądź co bądź jeśli nie jedynie, to najbardziej winny, uchodzi z życiem: pędzi szalony na oślep, za nim gonią chłopi, którzy prawdopodobnie nie dopuszczą, by z rozpaczy popełnił samobójstwo. Czyż więc sąd jest sprawiedliwym, czy kara w każdym wypadku odpowiada winie? Pytać o to wolno, w tym właśnie utworze, z góry osadzonym na moralnych pojęciach. Prawda: Ksiądz w bolu woła:

„O Panie! Ty ponad odmętem,
Co sądzisz niezbłaganie,
Jakichżem godzien inszych kar,
Jak te, co patrzę na nie!...“

mimo to jednak oczekiwało się jakiejś namacalnej kary na niego, bo wszak dramat zresztą w całości nie zadowala się ideą moralną, lecz zawsze żąda zmysłowego, prawie brutalnego jej kształtu. Więc może poeta umyślnie wypowiedział tu, ratując księdza od materyalnej kary, ironiczny pogląd, że kara spada na mniej winnych, najwinniejszych oszczędza? Odpędzić trzeba to przypuszczenie precz od siebie, bo najlżejszy przejaw ironii z zasadniczą surową powagą Klątwy nie licuje.

Poważne to zarzuty i przemilczeć ich nie możemy. Ale przyznajemy, że gdybyśmy widzieli Klątwę w teatrze, nawet nam samym by one na myśl nie przyszły, tyle suggestywnego tragizmu bije z tych scen. Niemałą część tego czasu przypisać należy językowi dramatu, pełnemu twardej zwięzłości, umiarkowanego archaizmu, pierwotnej a tak nastrojowej dosadności, wolnemu zaś od wszelkiego nadmiaru obrazowości i zmanierowania, które każą inne utwory. Ma Klątwa przepyszne miejsca, zwłaszcza w słowach księdza i chóru, jak n. p. wzorowany na Bogarodzicy hymn:

„Straszny Sędzio
spuść srogości.
Ziści nadzieję. —
Jakoś dawał w obfitości,
dziś mej Skrusze zwól Litości,
grzeszny boleję.“ —

Przytem zaś pozostaje zawsze w obrębie naturalnego zabarwienia, stosownie do kulturalnego stanu osoby, która się nim

posługuje, raz tylko przeciw temu grzesząc: tam. gdzie Młoda tak za dziatkami Boga prosi:

„Weźmij je do się w niebo twoje,
gdzie złote słońce w ogniach wre,
za Empirejskich bram podwoje.“

A tak Klątwa z pod surowej oceny wychodzi z małym zaledwie uszczerbkiem, jako wzruszający dramat, jako niezbity dowód tragicznej siły Wyspiańskiego, tem bardziej przekonywujący, że odwołujący się do naszego ludzkiego a nie narodowego uczucia, do którego apel zazwyczaj bywa łatwiejszym.

O Sędziach (z r. 1907) tych pochwał już powtórzyć nie można. Podobni do Klątwy realistycznem tłem, różnią się od niej w treści tem, że realizm tutaj czasami trywialnością trąci. Żyd karczmarz, chłop zrozpaczony nałogowy pijak, dziewczyna dzieciobójczyni — to są elementa naturalistycznego dramatu w stylu niektorych dramatów Hauptmanna. lecz nie nadające się do stylu Wyspiańskiego, zawsze na koturnach chodzącego. Jeśli jest prawdą, że autor osnuł rzecz na wspomnieniach jakiegoś niedawnego procesu w Galicyi, to szczegół to oczywiście dla krytyki estetycznej obojętny, dla badacza psychologii Wyspiańskiego już cenniejszy, bo w takim razie byłby to dowód, że bezpośrednie zetknięcie się poety z codziennem pospolitem życiem dobrych owoców nie wydawało. Opracowanie tematu podobne jak w poprzednim dramacie, tylko tutaj wskutek tego istnieje przykry rozdźwiek pomiędzy formą a treścią, stylem tamtej a bezstylowością tej. Odnosi się to przedewszystkiem do wspomnianych już trzech osób, które dźwigają na swoich barkach większą część zewnętrznej akcyi: żyd rozpija chłopa i robi z niego żebraka; Jewdocha, kochanka syna Samuela, Natana. zabija dziecko. Do nich przyłączają się inne postaci, z których jedna, Jukiel, właściwie jest zbyteczną, druga, Urlopnik, brat Jewdochy. jako postać jest bladą kopią Valentina z Fausta i tylu innych braci, mszczących krzywdę sióstr, a potrzebny jest autorowi do zamknięcia materyalnej treści kryminalistyczną zagadką: podczas sprzeczki pomiędzy bratem, siostrą i kochankiem wypala rewolwer jednego z mężczyzn — ale którego? — i dziewczynę kładzie trupem; trzecia wreszcie osoba, sensytywny Joas, drugi syn Samuela, odmienny od otoczenia, jest narzędziem w ręku poety do przeprowadzenia idei utworu: Joas umiera z bólu na widok nieprawości

ojca. Samuel jest złamany stratą syna, dla którego te nieprawości popełniał. I tu jest więc „klątwa“ grzechu, postulat kary za winy. Z etycznego punktu widzenia problem jest konsekwentniej przeprowadzony, niż tam. Kara spotyka winnych (dla Joasa śmierć nie jest karą, lecz ucieczką ze świata, w którem to, co miał najdroższego, błotem się splamiło); artystyczny sąd jednak Sędziów ustawi bez porównania niżej niż Klątwę, odmawiając im jej prostolinijnego a tak wzniosłego tragizmu.

W Klątwie echa klasycznego dramatu odzywają się dosłyszalnie: ztąd się wywodzi nieubłagany przymus tragiczny, ztąd bierze także początek chór włościan, przemawiający w jego duchu. Na gruncie klasycznych mitów i motywów, Wyspiański czterykroć stawał: w dwóch samodzielnych dramatach i w dwóch opracowaniach homerowskiego eposu.

W Meleagrze (z lat 1894—1897), na tle starogreckiego mitu osnutym, Wyspiański miał poprzedników w kilku poetach, że wspomnimy tylko ze starożytnych Euripidesa, z nowoczesnych z obcych Heysego, z polskich Faleńskiego *(Althea)*, zależnym jednak od nich nie jest. Punktem wyjścia była dla niego zapewne sytuacya matki Meleagra, Altei, która wie, że syn jej tak długo będzie żyć, dopóki nie spłonie głownia, a zagniewana na niego teraz ją, niegdyś przy jego urodzeniu własną jej ręką wyrwaną z ogniska, w ogień rzuca i patrzy straszliwym wzrokiem, jak płomień drzewo pożera: sytuacya ponętna dla malarza. W dalszym ciągu poeta musiał w micie dostrzedz przejawu zasadniczej swej idei o karze za popełnione winy. Chór kończący tragedyę wypowiada przekonanie, że „wszystkie się winy muszą zrównać i wypłaty czas nadejść musi“, a słowa te są syntezą wszystkich poprzednich chwil dramatu: winną w obliczu bogów jest Altea, bo poświęcona dziewiczej Dyanie, została żoną Oineusa; przeklętym jest owoc jej małżeństwa, Meleager, a skutki tej klątwy bogów: miłość Meleagra i amazonki Atalanty, zazdrość matki o nią; spór jej braci z siostrzanem, zabicie ich przez Meleagra, jego i kochanki śmierć, samobójstwo matki — to wszystko jest koniecznem, by dopełniły się wyroki przeznaczenia.

Wyspiański uległ złudzeniu, gdy w tej opowieści widział ilustracyę swego pojęcia o winie i karze. Nowoczesny czytelnik dostrzeże w tem jedynie działania fatalizmu, a ostatecznie z ca-

łego mitu przyjmie tylko ową jedną sytuacyę: matkę z głownią, nie tłumacząc jej wcale, biorąc ją tylko jako malowniczy obraz (chyba, że wzorem Heysego podłoży pod nią konflikt pomiędzy matką, z nadmiernej miłości synem zbytecznie się opiekującą, a synem, w młodzieńczem dążeniu do samodzielności zrywającym nawet te drogie kajdany). Meleager Wyspiańskiego cierpi na organiczną wadę, na sprzeczność w samym sobie: figury ma starożytne i starożytny fatalizm, mimo to jednak poeta wtłoczyć w niego usiłuje zasadniczo odmienne własne idee, a przybiera dramat w poetycką szatę, która ani nie ma szlachetnej prostoty antyku — bo zalatuje tu i ówdzie modernistycznem przerafinowaniem, ani nie ma nowoczesnej charakterystyki indywidualnej — bo ziębi nieraz antycznym chłodem.

Szczęśliwszą próbą neoklasycznego dramatu jest Protesilas i Laodamia (z r. 1899 jak Klątwa). Dramatu? Może nie. Nie ma dramatycznego pierwiastku w micie starogreckim: Protesilaos, mąż Laodamei, padł pod Troją; wdowa uprosiła u bogów, że zmarły wrócił do niej na chwilę z podziemnego świata, a potem sama się zabiła, by się z nim połączyć. Nie ma dramatycznego pierwiastku u Wyspiańskiego, który, jak w Meleagrze, mitowi wiernie towarzyszy, podciągając go pod swoje pojęcie winy i kary o tyle, że wczesne wdowieństwo jest karą dla Laodamii, ponieważ Protesilasa poślubiła wbrew woli rodzica i za to przez niego przeklęta została. Nie dramat więc mamy przed sobą, ale jedną jego scenę, od początku do końca w lirycznym tonie trzymaną: żale młodej wdowy, tęsknotę za małżonkiem, samobójstwo jako rezultat obu. Erotyzm tej lirycznej sceny, bardzo wyraźny, może jak nigdzie zresztą u Wyspiańskiego, ma odrębną cechę wskutek tego, że tu młoda wdowa opłakuje młodego małżonka, z którym niedawno jeszcze miłosne szczęście dzieliła:

„Płomienne ramion twych uściski
w mych snach mnie dzierżą, gonią;
namiętne w oczach żary, błyski
w mych snach me lica płonią;
wróć do mnie, wróć,
        choć jedną chwilę
niech będę z tobą zespolona,
wróć do mnie, wróć
        choć jedną chwilę, —
niech nieszczęśliwa, zszczęśliwiona
rozkoszy zaznam, ja wzgardzona,
która samotna legam w łożu.“

Przez to poemat wprowadza do polskiej literatury rodzaj erotyzmu dotychczas nieznany, co ważniejsza zaś, dzięki gorętszemu zabarwieniu (nigdy jednak do jaskrawości nie dochodzącemu) nie spostrzega się tak prędko jednostajności tych wdowieńskich skarg i płaczów. Piękność ich wyrażania się jest niezaprzeczoną. Ktoby tu wystąpił z zarzutem, że takim językiem nie mogła mówić mityczna Laodamia, tego odsyłamy do przytoczonego zdania Herdera. — Miasto dramatycznego pierwiastku Wyspiański wprowadza czynnik obrazowy: Protesilaos i Laodomia to najcudniejszy ze znanych nam tekstów do żywych obrazów. Więc zjawiska Snu, Nudy i Zmory, więc widzenie zbrojnego korabiu i śmiertelnej walki bohatera, przez swoich zdradzonego, więc Hermes z otwartego grobowca prowadzący zmarłego ku wdowie, więc łódź Charona i zamykające się wrota katakomby. W teatrze to wszystko pod ręką poety, którego barokowe skłonności już znamy, przybrało kształt zbyt wypukły, w obrazach świetlnych zachowałoby charakter wizyonerski a licowałby z niemi także lepiej na wskróś liryczny nastrój poematu.

W obu dramatach, bezpośrednio starogrecki mit odtwarzających, Wyspiański okazał niezwykłą u poetów powściągliwość; w obu utworach parafrazujących opowiadanie Homera w charakterystyczny dla siebie sposób rządzi materyałem i jego zarysami z samowolą, nie znającą granic. Z tych powodów zarówno Achilleis (z r. 1904), jak i Powrót Odyssa (z r. 1907) są ważnym przyczynkiem do psychologii czy patologii artysty, ktory ilekroć zetknął się z tradycyą poetycką: z Homerem czy Corneille'm, z Szekspirem czy Mickiewiczem, zawsze z umyślną dumą samodzielność swej osobistości podkreślał, natomiast jako dzieła poetyckie nie wiele ważą. W pierwszem z nich Wyspiański nie zdołał opanować epickiego wątku, nie tylko obficie, zbyt obficie z Iliady czerpanego, lecz powiększonego ponadto dalszemi podaniami o zdobyciu Troi. Ztąd rozwielmożnił się w Achilleidzie chaos denerwujący, bo często bezcelowy i z nieudolności twórcy wynikający, szczególnie w mnóstwie scen, poświęconych sprzeczkom greckich wodzów o porwane trojańskie dziewczęta, chaos dziwaczny tem bardziej, że poeta skupił tę gmatwaninę wydarzeń na modłę francuskiej tragedyi w przeciągu bardzo krótkiego czasu. Pierwszy to w naszym przeglądzie przykład zgubnych skutków, braku uprzedniego skrystalizowania całokształtu budowy dramatu, a że ich około tego czasu jest więcej, że ich zaś nie było jeszcze w epoce Klątwy a nawet Warszawianki, to zmusza do

smutnych wniosków o wstecznym pochodzie rozwoju techniki Wyspiańskiego. Wadliwy w kompozycyi dramat ten jest nim także w pojęciu bohatera. Zajęliśmy nader liberalne stanowisko wobec neoklasycznych sztuk, nie wymagając od nich bynajmniej, aby pisały się jako kopie Sofoklesa i Eurypidesa. Lecz Achilles Wyspiańskiego nie jest ani Achillesem Homera ani przypuszczalnym Achillesem Homera wieku dwudziestego. Ten sentymentalno-moralizatorski Achilles, blady i zamyślony, nie jest Achillesem wogóle, podszywa się pod jego nazwisko, nie był pod Troją, ani pod Troją Homera, ani pod Troją naszych pojęć. Fale śpiewają mu (nawiasem mówiąc: jak te dwanaście fal na przemian śpiewających w teatrze przedstawić?):

„Przemóż Śmierć! — Ducha
twego siłą zgonu mierzą!“

i w tych słowach, będących zasadniczą myślą utworu i Wyspiańskiego wogóle, w tych słowach literalnie wziętych, może być dająca się zastosować do Achillesa i innych bohaterów prawda: gdy już masz umierać, umieraj godnie. Ale fałszywemi są one w dramacie bohaterskim w znaczeniu pełniejszem, jak je poeta wypowiedział: bo Achilles ani żaden jemu podobny bohater nie będzie dążył *a priori* do śmierci, w niej celu swoich wojennych czynów widzieć nie będzie, chyba, że... nie jest Achillesem, ale n. p. cierpiącym na „weltschmerz“ romantykiem.

W porównaniu z tym utworem P o w r ó t O d y s s a jest znacznie lepszym. Nie „sceny dramatyczne“, jak tam, ale rzeczywiście „dramat“, chociaż ściśle biorąc, nie „w trzech aktach“ ale w dwóch. Powrót Ulyssa i jego rozprawa z zalotnikami zamykają się bowiem w pierwszych dwóch odsłonach, trzecia, o charakterze lirycznym, jest jedynie ideowem dopełnieniem tamtych. Rozdział pożądany o tyle, że przynajmniej dwa akty dzięki niemu, zachowały swoją spoistość, z drugiej jednak strony znowu dowód niedostatecznego opanowania techniki, bo przecież wprawniejszy poeta byłby oba elementy z sobą sprzągł. I bohater dramatu nie razi tu fałszem, wypełniającym postać Achillesa. Wyspiański pojmuje Odyssa już w A c h i l l e i s bez tej sympatyi, jaką się ma dla niego zazwyczaj, tutaj złowrogie cechy jego charakteru jeszcze uwydatnia. Odysseus jest u niego „straszliwą, mściwą ręką Boga ścigany“ jest przeklęty:

„Ja to mojego ojca precz wyzułem
z władzy, ja psami precz za dwór wyszczułem,
chciwy władzy, — pierwszeństwa chciwy i sytości.“

Mit o tem, o ile wiemy, nic nie mówi, ale że ten rys, choćby był przez poetę wymyślony, zasadniczego typu Odyssa nie krzywi — jak to jest w Achilleidzie — przyjąć go w końcu można. Wyspiańskiemu potrzebny on jest do skonstruowania tragizmu bohatera i umotywowania jego śmierci. U Homera Teiresias przepowiada Ulyssowi spokojną śmierć w starości, późniejsza saga opowiada, że wylądowawszy w Itace, został zabity przez zrodzonego z Kirką syna Telegona. U polskiego poety Odysseus oczekuje, czy boi się, że skutkiem ciążącego na nim przekleństwa za sponiewieranie Laertesa:

„że śmierć mnie — czeka, synu, z twojej ręki!“

mówiąc te słowa do Telemaka. W trzecim zaś akcie na skalnem pustkowiu nad morzem ścigany widmami, (Harpii rzuca rozpaczliwą obronę: „ja nie zabiłem ojca, — nie!“), wabiony przez Syreny wbiega w fale morza, w jego nurtach znajdując „wybawienie“. Katastrofa zgodna i z podstawą filozofii Wyspiańskiego i z konstrukcyą bohatera, wrażenie jej jednak jest słabe, bo chociaż nie ma w tem fałszu, to jest jednak rozbieżność pomiędzy tem pojęciem Odyssa a mityczną i poetycką tradycyą, od czego autor ustrzegł się i w Meleagrze i Protesilasie.

Zarówno więc Powrót Odyssa, jak w wyższym jeszcze stopniu Achilleis są tworami nieudałemi. Stwierdzając fakt, nie przypisujemy mu bynajmniej wielkiego znaczenia. Wniosku, że Wyspiański starożytnego świata bądź nie rozumiał, bądź odtworzyć nie potrafił, wysnuć ztąd nie wolno. Przeciw fałszom tych dwóch dramatów staje bowiem prawda dwóch innych, wprost z mitu wziętych (taki znawca antyku jak profesor Morawski „podziwia Wyspiańskiego intuicyę greckiego dramatu w Meleagrze i Protesilaosie“). Podwójne niepowodzenie dowodzi tylko, że specyalnie homerowskiego mitu nowożytny poeta tknąć się nie powinien, bo zaciąży nad nim „klątwa“: „Klątwa“ tylu wieków humanistycznej kultury, przerobionej w krew naszych żył a każącej nam tego właśnie bajecznego pieśniarza uważać za *noli me tangere.* Może kiedyś się to zmieni, na razie jednak „klątwa“ ścigać będzie każdego poetę, choćby nim był nawet z wielkich największy: sam arcymistrz Goethe. Miał on przecież łatwiejsze

zadanie, bo zachował epickość a mimo to jego Achilleis jest dalibóg nie lepszą od Wyspiańskiego. I dlatego w sądzie o nim ani Achilleis ani Powrót Odyssa nie zaważą nic, trzeba je tylko wogóle za nawias postawić.

Porzucając neoklasyczne utwory Wyspiańskiego, a przechodząc do „polskich“ (bo fragment Juliusza II., jedyna próba dramatu na tle obcych historycznych stosunków jest zbyt drobnym ułamkiem), ma się przed sobą już grupy z liczniejszych ogniw złożone. Wydzielmy i tutaj jeszcze fragmenty Zygmunta Augusta i Barbary oraz Samuela Zborowskiego: oba jako urywki oceniane być mogą tylko zewnętrznie, a wtedy przedstawiają się jako odnogi omówionej już sympatyi poety dla pseudoklasycznej tragedyi francuskiej. W dwóch kierunkach idzie ten wpływ w obu fragmentach: z Francyi wzięły one szeroki, wspaniały giest, ztamtąd także rozlewną wymowę. Zwłaszcza bardziej znany Zygmunt August ma świetną retoryczność, lubującą się w bogatem stylizowaniu jednego i tego samego momentu, w akcyi czy w uczuciu.

Pozostają więc dwie wielkie grupy: jedna „piastowska“, od zamierzchłej przeszłości Polski aż do śmierci ostatniego z rodu króla, druga, zapatrzona w listopadowe powstanie a stanowiąca pomost do najosobistszych dramatów.

Legenda jest najdawniejszym dramatem Wyspiańskiego i jest owocem najdłuższego czasu, bo zaczęta w Paryżu w r. 1892, skończoną została dopiero w Krakowie r. 1897. Śladów tych dwóch okoliczności nie wiele ma: jest dziełem jednolitem, jest także prawie zupełną ilustracyą twórczości Wyspiańskiego bez względu na datę. Że w niej są tak silne echa Ryszarda Wagnera, o tem już była mowa; że wprowadzone tu po raz pierwszy symbolistyczno-fantastyczne postaci — Łopuch, Śmiech — pojawią się i później, o tem jeszcze nieraz będzie mowa. Jej najłatwiej dostrzegalną oryginalnością, odróżniającą ją od wszystkich Wand — łącznie z dramatami Krasińskiego i Norwida — jest usunięcie Rytygiera za kulisy. Ani to kaprys poety, ani przypadek, tylko konieczność. Tragedya nie darmo zwie się Legendą: jest nią rzeczywiście, chce nią być i w mowie i w stylu i dlatego musi oddalić jedyną postać, którą inaczej trzebaby traktować realistycznie, (bo na tani „symbolizm“, na przedstawienie w Ry-

tygierze uosobienia dzikości teutońskiej, Wyspiański bądź co bądź zanadto jest prawdziwym artystą). Wobec tego stanowiska poety, dobrowolnie ograniczającego się, nie można mu, jeśli się chce być bezstronnym, żadnych czynić zarzutów, że w obrębie legendarności jest swobodnym, że legendę własnemi dodatkami uzupełnia. Jak przy neoklasycznych dramatach jedynym hamulcem wyobraźni mogła być tylko konieczność zachowania przekazanych od wieków zarysów akcyi i charakteru, tak tutaj tem bardziej nie ma się prawa bronić poecie swobody, byleby konturów mitu o Wandzie nie sfałszował. Gdzież są te dodatki?

Krak z boleścią wspomina:

„moje syny...
nieszczęsna dumo,
żądz niesyta chciwość
niegodną miłość zapala we krwi
ze serc krew strugą toczy."

A Łopuch i Śmiech śpiewają w balladzie o Wandzie:

„— brat od miecza zabity
miecz u ciebie ukryty
pod kożuchem,
ty idziesz za marami
zawodzisz, ręce łamiesz
brata płaczesz, a kłamiesz.
— — — — — — — —
— siostrzyco urodziwa
ty jedna nieszczęśliwa
przyczyną,
że była z bratem zwada,
że brat od miecza pada;
mnieś twoich ust broniła
a jemu byłaś rada,
miłosna."

Zatem zdrożna miłość braci do siostry, jednemu przez nią odwzajemniana, skutkiem tego walka między synami Kraka i bratobójstwo. W legendzie tego nie ma. Że Wyspiański to dodał, i dlaczego, to zrozumie się, domyślając się, że i tutaj chciał wprowadzić czynnik kary za winę, działanie klątwy, ustępującej dopiero przed wszechmocą śmierci. Dodatek ten uważać można by za dozwolony, chociaż nie niezbędny, w obec tego, że — jak niebawem zobaczymy — ofiarna śmierć Wandy gdzieindziej jest do-

statecznie uzasadnioną. Ale odpycha nas od tego motywu jeden bardzo ważny jego szczegół: Wanda odwzajemniająca zdrożną miłość jednego z braci. To już krzywi legendową postać córki Kraka, a da się tylko wytłómaczyć tem, że poeta zapatrzony w klasyczny dramat w inceście widział poetycki motyw. Drugi dodatek zawarty jest w dalszym ciągu ballady:

„matka nam powiadała,
że cię znajdę chowała
porzuconą w szuwarach:
tyś jest rusałna wodna
o ciebie się upomni
woda.“

Znowu wymysł, ale bardzo szczęśliwy: poecie idzie na rękę, bo wyjaśnia katostrofę dramatu, legendowej zaś charakterystyce Wandy nie tylko nie szkodzi, lecz owszem znakomicie ją uzupełnia. Temu bowiem bajecznemu pochodzeniu Wanda zawdzięcza zwycięstwo nad przemożnym wrogiem, ale ono także wymaga od niej dobrowolnej śmierci, bo „Wisła woła“, by jej „wróciła wianek“. A tak w całości Legenda jest dziełem pięknem i z małemi zastrzeżeniami, stylowem. Ma tragizm prosty a wyniosły, ma język poetyczny i nastrojony, rzadko chyba tylko sztuczny, ma wiersz doskonale modulowany. Nadewszystko zaś ma cudowną malowniczość: dekoracya drugiego aktu ze skalistem dnem Wisły z Krakiem, leżącym martwo w koronie z krzaków koralowysh, a w górze z promem, wieńcami ozdobionym — w teatrze, jak się okazało, niewykonalna, w wyobraźni czytelnika tworzy przepiękne ramy utworu.

Z bajecznych czasów czerpie ogłoszony w Krytyce w r. 1903 fragment rapsodu o Piaście, lecz sięga dalej i nowszych lat, nawet o przyszłość zawadza. Jak w III rapsodzie Króla Ducha Słowackiego widmo Piasta opowiada o swoich przeszłych dziejach. Opowiada o dwóch pielgrzymach, co w imię Boga przyszli do niego, a tacy byli, iż przeczuł,

„że tajemnicę wnieśli w dom mój kmiecia
i że ta pójdzie klątwą przez stulecia.“

Przyjął ich gościnnie, a oni pobłogosławili mu syna ciężkiemi rękami; potem syn zabija knezia Popiela i z chłopstwem na czele rzeź czyni wśród królewskiej świty. Tu przerwa gwałtowna. W dru-

gim fragmencie, ponurą datą „1846“ opatrzonym, Piast „ocknął się wśród krwi rozlewu“, jako gromadzki król, otoczon tłumem chłopstwa z kosą z pod Racławic. „Stała się zdawna rzeź przepowiadana, rzeź za pieniądze“. Przeklina ich Piast, ale zarazem pyta:

„Kiedyż zobaczę was zmartwychwstających,
wy z polskiej gleby rodzeni polscy święci.“

i wierzy, że nadejdą czasy, kiedy oni wezmą „wództwo narodu“. I na tę przyszłą chwilę ich wzywa, „mściciele natchnionych“:

„Kiedyż was ujrzę wstałych w złotej dumie,
we świętym blasku pychy nieugiętych;
was, którzy twarzą przepadliście w tłumie
pokornej nędzy ducha, was przeklętych;
których duch dziś z podłości wzróść nie umie
do wielkich czynów, wam przed Bogiem świętych.
Kiedyż zerwiecie się na rzeź Kainy,
byście dowiedli, że zmyć chcecie winy?!
— — — — — — — — —
Chcę rzezi, żeby wszystko krwią spłynęło,
żeby się podłość Polski w niej obmyła,
by się zbliżyło k'nam spragnione dzieło,
na którem przyszłość narodu spoczęła;
by krwią i ogniem pożarów objęło
wszystko, co pamięć w przeszłości przeklęła;
i pokolenia szły pokoleniami,
już niepamiętne hańby, co nas plami.“

Przytoczyliśmy większe wyjątki Piasta, by zyskać podstawę do oceny jego myśli. Najprzód ci wysłańcy Boga, co przynieśli z sobą klątwę, przez stulecia idącą: oczywiście święci Cyryl i Metody. „Klątwę?“ Czy dlatego, że przynieśli z sobą chrześcijaństwo? czy dlatego, że obrządek rzymski? Ale niepewni, jak Wyspiański ten ustęp rozumiał, możemy pojąć dokładnie sens dalszych zwrotek drugiej części fragmentu, tam gdzie jest mowa o rzezi. Ze znanych nam krytyków Wyspiańskiego jeden p. Kotarbiński nad temi wierszami się zastanawia (prof. Tarnowski Piasta, niestety zdaje się nie zna...) i wybucha tu nadzwyczaj silnem oburzeniem, zwiąc to miejsce „najdzikszym, najokrutniejszym odzewem w całej naszej współczesnej poezyi“, potępiając „szał przewrotowy“ i oddanie poezyi „na usługi najkrwawszego radykalizmu rewolucyjnego“. Oburzenie byłoby aż nadto słusznem, i sami w zupełności przyłączylibyśmy się do niego, gdyby...

gdyby Wyspiański w tych słowach istotnie wzywał do rewolucyi społecznej, do bratobójczej rzezi. Ale tak nie jest, dzięki Bogu nie jest. Bo oto kilkanaście wierszy przed zacytowanem miejscem czytamy w Piaście słowa, przeoczone zapewne przez p. Kotarbińskiego:

„Jak mu kazano kosą rzezać braci,
podłym cezarom czterykroć odpłaci.
— — — — — — — —
A gdy weźmiecie wy wództwo narodu,
to pamiętajcie, jaka wasza dola:
iść tam, gdzie byli legli bracia rodu,
na Racławickie i grunwaldzkie pola
i sycić krwią poległych żądzę głodu.“

Co to znaczy? To znaczy, że nie do bratobójczej rzesi Wyspiański chłopów wzywa, ale do walki o niepodległość narodu, do walki, którąby z ludu wiejskiego zmyła hańbę roku 1846. Bo kogóż to bić będą wieśniacy pod Racławicami i Grunwaldem? Chyba nie swoich... Obroniwszy pamięć poety od zarzutu, któryby byłby najcięższym w naszych oczach, gdyby był słusznym, możemy w Piaście stwierdzić najsilniejszy może wybuch temperamentu poety, który był istotnie „jak meteor, jak błyskańce“. Ze stanowiska estetycznego natomiast krótki ten fragment znaczy mało, bo potężne myśli przyobleczone są w skromny i konwencyonalny tylko płaszcz poetycki.

Inaczej jest z ogłoszonym w r. 1900 rapsodem o Bolesławie Śmiałym, obok którego stawiamy tu zaraz złączone z nim treścią dramaty: Bolesław Śmiały (z r. 1903) i Skałka (z r. 1907). Nie mając powodu nie wierzyć samemu poecie, trzeba odłączyć ten cykl od Króla Ducha, który zresztą przerwany jest jeszcze przed dokonaniem zabójstwa biskupa. Za punkt wyjścia należy raczej uważać własny witraż Wyspiańskiego: wtedy rapsod będzie poetycką jego parafrazą czy illustracyą, oba dramaty zaś dalszem jej rozwinięciem, spowodowanem może ustawicznem w ostatnich czasach roztrząsaniem tej dziejowej zagadki przez historyków polskich. Jeśli to jest prawdą, to i tak pobudzenie było jedynie zewnętrzne, bo Wyspiański poza tem jest zupełnie niezależnym zarówno od licznej rzeszy poprzedników, piszącym powieści, epopee i dramaty o Bolesławie Śmiałym, jak i od uczonych, rozważających zawiłe pytanie, po której stronie był właściwie Rzym i stolica papieska: z zabójcą-królem czy

z zabitym biskupem. Pierwsza niezależność od razu zyskuje uznanie, druga z początku gotuje rozczarowanie, przywykło się bowiem żądać od poezyi odpowiedzi na pytania, poruszone lecz ostatecznie nie rozstrzygnięte przez historyografię. Wyspiańskiego ta szczegółowa sprawa nic nie obchodzi. z tragicznego epizodu historycznego wydobywa on tkwiącą w nim żywiołowość, potęguje ją twórczą siłą aż do ostatecznych granic obustronnie, by w końcu dać tragiczne zwycięstwo tej sile, która materyalnie ulega, w myśl swej zasadniczej idei o wszechmocy śmierci. Czytając bowiem te utwory, doznaje się wrażenia, że idea ich byłaby wprost przeciwną, gdyby kroniki były zapisały nie zabójstwo biskupa przez króla, lecz odwrotnie. Skutkiem tego wrażenia katastrofa, w dramatach szczególnie, mimo całej swej potęgi, widzowi chwilowo się narzucającej, pod skalpelem chłodnej analizy wydaje się przypadkową, efektowną ale nie przekonywującą.

Najmniej odczuwa się to w rapsodzie, gdzie wskutek przewagi malarskiego i opisowego stylu idea utworu w oderwaniu od następnych dramatów stosunkowo słabo się zaznacza. Z poematu pozostają bowiem w pamięci i wyobraźni czytelnika ostatecznie dwa tylko momenty: scena przeklinania króla przez biskupa — jedna z najświeiniejszych, jakie stworzył, a raczej odtworzył poeta, bo wszak jej groza leży już w jej materyalnej treści i chwila, gdy Bolesław na zwłoki zabitego wypuścić każe chowane w zwierzyńcu orły:

„Kazałem ptaki puścić, by pożarły
a potem siec rózgami i rozgonić;
a tu mnie mówią, — że się lekko wsparły
na trupie, — i że jakby chciały bronić
przystępu; że wszerz skrzydła rozpostarły
strzegąc, by żadnej części nie uronić;
że ich nie śmiano tłuc: — już gniew mnie budzi;
bardziej mi było ptaków wstyd niż ludzi.“

— obraz popsuty i osłabiony wtrąconemi słowami, „a tu mnie mówią“, które osłabiają bezpośredność treści, ideowo mało ważny, bo kto wie, czy orły byłyby tak samo tknęły bądź króla bądź innego człowieka. Również nie można się doczytać jakiejś konkluzyi dalszych strof rapsodu. Król ubezwładniony opuszcza kraj, ale obiecuje, że wróci, nie do Krakowa, tylko do „Gniezdna i Lednicy“: czemu tam, i czy w tem jest tylko wstręt do miejsca popełnionej zbrodni, czy wyższa jakaś myśl, nie wiadomo, bo

wiersze są tutaj tylko kropkowane... Ostatnie słowo rapsodu pojednawcze: Król będzie

„wieczność całą zawieszon z mieczem gotowym do cięcia“,
„aż cię powoła róg do wniebowzięcia:
na Sąd twój biskup dla cię zmógł cmentarze
Jemuż Sąd Boga przeżegnać cię każe!

Przedtem jest kilka zwrotek bardzo pięknych i silnych: błąkanie się króla po tatrzańskich turniach, gdzie śpią rycerze Chrobrego, szczególnie zaś wzruszający jest opis wizyi śmierci syna Mieczysława, przez brata otrutego; ballada o tej zbrodni, na krakowskim zamku podczas weselnych godów popełnionej, trzymana w czystym ludowym tonie jest jednym z najpiękniejszych wierszy Wyspiańskiego.

Dr. Józef Flach.

(Ciąg dalszy nastąpi).

Zarys dziejów edukacyjnych Polski porozbiorowej na obczyźnie.

(Ciąg dalszy).

Szkoła stała się w Paryżu popularną, zaczęto jej nawet używać do reklamy. Na sesyi dn. 12. maja 1847 roku musiała Rada szkoły nakazać perukarzowi paryskiemu Leonowi usunąć z szyldu swego napis reklamowy: Perruquier de l'Ecole polonaise.

Najlepiej uwydatni się rozrost szkoły w cyfrach:

R. 1842/3	było uczn.	18,	a utrzymanie	szkoły	kosztow.	33.432	fr.
„ 1843/4	„	35,	„	„	„	36.433	„
„ 1844/5	„	65,	„	„	„	54.713	„
„ 1845/6	„	105,	„	„	„	73.289	„
„ 1846/7	„	140,	„	„	„	99.203	„
„ 1847/8	„	170,	„	„	„	81.836	„

W dn. 1. października r. 1847 objął po Malinowskim dyrekcyę Hipolit Klimaszewski, dawny profesor gimnazyum wileńskiego, a zatem ukwalifikowany pedagog. Klimaszewski odegrał ważną rolę w ruchu umysłowym młodzieży wileńskiej przed r. 1830. Autor wielu pism ulotnych, wielu poezyi i popularnych piosenek, śpiewanych szeroko po kraju, należał do oso-

bistości swego czasu bardzo ciekawych. J. I. Kraszewski skreślił swego czasu żywot jego i zachęcił go pod koniec życia do spisywania pamiętników swoich.

„Jest to podług mnie — pisze Kraszewski — postać godna uwagi psychologa“. Ojczyznę kochał z zaślepieniem na jej błędy. „Życie jego intelektualne skamieniało od chwili, gdy opuścił Polskę“. „Wyborny filolog, obdarzony poczuciem poetycznem, pisarz poprawny i dbały o czystość stylu, zaniedbał rzadkie te przymioty i nie posunął się ani o krok dalej“. „Miłość ojczyzny takiej, jaką znał i jaką uniósł ze sobą, unicestwiała wszystko inne“. „W swoim bólu wygnańca otaczał wszystko, co się tyczyło Polski, promieniami idealnie czystymi“. „Na wychodźtwie bólem skamieniał“.

Dla dzieci, zrodzonych na wychodźtwie, kierownik taki, jak Klimaszewski, stawał się jakąś opatrznościową postacią, zesłaną im przez los na to, żeby ich ratować z niewoli cudzoziemskiego ducha. „Ten skamieniały bólem“ Litwin nie pozwalał dzieciom ani na chwilę zapominać o klęskach ojczyzny, o pięknościach dalekiej ziemi obiecanej, do której wrócić mają, i o ciężkich obowiązkach, jakie każde z nich czekają. Serca wszystkich chłopców zapaliły się świętym ogniem i płonęły coraz silniej“.

Z jego wstąpieniem do szkoły nastała prawdziwie owocna nauka polska. Szkoła stanęła na stopie rzeczywistej instytucyi narodowej, uczniowie ubóstwiali dyrektora.

Przybywszy do Francyi, zamieszkał w Wersalu, gdzie zakładał bibliotekę, aby ją przewieść potem do kraju. Zostawszy dyrektorem szkoły batyniolskiej, zabrał ze sobą cały księgozbiór, liczący już 5.000 dzieł. W młodzieży rozbudził zapał do czytania książek. „Po dwanaście godzin co tydzień wykładał w szkole bez żadnego za to wynagrodzenia język i literaturę polską“. W młode umysły wpajał zasadę, że na zdobycie karyery zawsze będą mieli dość czasu, jeżeli zaś nie wyuczą się języka polskiego w młodzieńczych latach, jeżeli za młodu nie rozgorzeją wielką miłością do tej dalekiej i nieznanej im wcale ojczyzny, nigdy już potem dobrymi Polakami stać się nie będą mogli.

W pierwszym roku dyrekcyi Klimaszewskiego doznała szkoła niemałego wstrząśnienia. Rewolucye z r. 1848 odbiły się w niej głośnem echem. Kilku funkcyonaryuszów Towarzystwa i szkoły oraz 10 starszych uczniów wyruszyło do Polski na plac walki. W klasie czwartej pozostało tylko sześciu uczniów, których posyłano odtąd do liceum Bonapartego na naukę matematyki, łaciny,

francuskiego i historyi powszechnej, ucząc ich w samej szkole tylko języka polskiego, historyi polskiej, rysunków i religii.

Ale i pozostali, uczniowie i profesorowie, popadli w rodzaj febry patryotycznej i republikańskiej, która normalnemu tokowi studyów widocznie nie sprzyjała.

Dnia 28. lutego wzięła szkoła polska udział w manifestacyjnym pogrzebie ofiar rewolucyi. Uczniowie polscy w uniformach polskich i z chorągwiami narodowemi polskiemi kroczyli na czele pochodu z okrzykami: „Vive la Pologne!" Po pogrzebie odprowadziły tłumy polską młodzież aż do samej szkoły na Batignolles, śpiewając Warszawiankę Kazimierza Delavigne'a („Il est levé; voici ce jour sanglant etc."). Szkoła polska interesowała się żywo i innymi wypadkami, zapominając o właściwych swoich celach. Braków, spowodowanych w nauce tymi wypadkami, nie można było wyrównać przez dłuższy czas. Jeszcze przy końcu roku szkolnego 1850/1 stwierdzono z ubolewaniem w klasach średnich i wyższych mierne postępy w naukach, a wyśmienite tylko w elementarnych, któremi kierował energicznie znany nam już Stanisław Malinowski. W uznaniu tych zasług zamianowano Malinowskiego z początkiem r. szk. 1851/2 prefektem studyów, przydzielając go do pomocy dyrektorowi Klimaszewskiemu. Z r. 1848 kończy się drugi okres dziejów szkoły batyniolskiej (1844—1848).

3. Rok 1848 był w dziejach szkoły batyniolskiej chwilą krytyczną, i trzeba było dołożyć niemałych starań, aby spoić na nowo, co się na dobre zaczęło rozprzęgać. W protokołach Rady Towarzystwa zapisano w r. 1848 jako pewnik, iż zbliża się chwila bliskiego powrotu do oswobodzonej ojczyzny. Nadzieja była złudną, ale niemniej psuła porządek w szkole. Najpoważniejsi ludzie ulegli temu zwodniczemu marzeniu.

Z Rady, kierującej losami szkoły, pozostali tylko ci członkowie, którym wiek podeszły nie pozwolił wyjechać z Paryża. Pozostał tylko zasłużony jej wiceprezes Alojzy Biernacki oraz były generał polski, Franciszek Sznajde — a obok nich dwaj majorowie Mierzejewski i Roguski. Aby szkołę utrzymać, trzeba było przedewszystkiem skompletować i ożywić Radę. Prezydentem Rady wybrano Biernackiego, który urząd ten piastował aż do roku 1854, w którym umarł. On szkołę w najtrudniejszych dla niej warunkach utrzymał, nie zrażając się największemi trudnościami.

Rada sama odświeżyła się dopiero po nowym przypływie emigrantów, po upadku powstania w Poznańskiem, w Krakowie i po wojnie węgierskiej.

W miejsce zmarłego generała Sznajdego wstąpił do Rady w r. 1850 Ksawery Godebski, który w dziejach szkoły batyniolskiej odegrał także ważną rolę.

Godebski był prawą ręką jej prezydenta, Biernackiego: on dokonał rewizyi programu naukowego, przeprowadzał go z całą troskliwością, prezydował na egzaminach i sam uczył nieco później historyi i literatury polskiej z doskonałym skutkiem.

W tym czasie nawiązał stosunki ze szkołą Adam Mickiewicz. Pomiędzy eksternistami szkoły w r. 1850/1 byli trzej synowie wieszcza: Władysław, Aleksander i Jan. W r. 1853 powołany do Rady brał Mickiewicz w jej pracach czynny udział. Na wniosek poety powzięła Rada uchwałę, aby w przyszłości każdy uczeń, opuszczając szkołę, a raczej jego rodzice lub opiekunowie, którzy nie pokryli kosztów utrzymania syna w szkole lub zalegali z zapłatą, podpisywali honorowe zobowiązania, że uiszczą dług, winny zakładowi.

W maju tegoż roku przeprowadził Mickiewicz w Radzie bardzo znamienną uchwałę. Aby w duszach dzieci polskich, urodzonych na wygnaniu, zaszczepić od samej młodości kult ludzi zasłużonych około dobra ojczyzny, zalecił wieszcz nasz poprowadzić uczniów, odznaczających się wytrwałą pracą i wzorowymi obyczajami, na mające się odprawić nabożeństwo żałobne za dusze senatora kasztelana Niemcewicza, generała Kniaziewicza i wszystkich Polaków, zmarłych na wygnaniu.

Aby króla poezyi polskiej uczcić, wybrała go Rada już w kwietniu r. 1853 wiceprezydentem Rady, w miejsce Ksawerego Godebskiego, który z tej godności ustąpił dobrowolnie.

Gdy po śmierci Alojzego Biernackiego cała Rada chciała poetę obrać jednomyślnie prezydentem swoim, uchylił się od tego zaszczytu, tłumacząc się licznemi osobistemi zajęciami oraz obowiązkami, które na nim ciążyły jako na urzędniku biblioteki arsenalskiej. Rada uznała podane przez wieszcza powody za słuszne.

Mickiewicz brał nadal żywy udział w pracach Rady, jako wiceprezydent aż do wyjazdu do Konstantynopola.

Gdy nadeszła smutna wiadomość o śmierci wieszcza, uchwaliła Rada złożyć hołd jego zwłokom po ich nadejściu do Paryża, i wziąć udział razem z młodzieżą szkoły i jej profesorami w nabożeństwie żałobnem, a uczniowie szkoły mieli nosić przez czas pewien żałobę.

Mickiewicz, uchylając się osobiście od prezydentury, polecił na nią, jednego z najbardziej zasłużonych członków Rady, d-ra Seweryna Gałęzowskiego.

Gałęzowski, profesor Uniwersytetu wileńskiego, wziął udział jako naczelny chirurg w powstaniu listopadowem, następnie jako emigrant, wyjechał do Meksyku, gdzie dzięki wybitnym zdolnościom i wiedzy dorobił się znacznej fortuny.

Wróciwszy ztamtąd do Paryża, stał się od razu prawdziwym protektorem szkoły polskiej, jakim był do niedawna Ledóchowski: do Rady szkolnej wybrano go w lutym r. 1852. Odtąd nie puszczał z opieki szkoły aż do zgonu, świadcząc jej prawdziwie szczodre dobrodziejstwa.

Już w marcu r. 1852 zobowiązał się opłacać sekretarza, któryby jednocześnie pełnił obowiązki archiwisty i bibliotekarza Rady.

Dzięki ofiarności i zabiegom d-ra Gałęzowskiego i poparciu kilku jego przyjaciół i bogatych rodaków nabyła szkoła realność na Batignolles, za którą zapłaciła 200.000 fr. i mogła przez dobudowanie nowego piętra pomieścić o pięćdziesiąt uczniów więcej.

W r. 1852 mógł prezydent Biernacki słusznie wyznać publicznie, że usiłowania d-ra Seweryna Gałęzowskiego zostały już uwieńczone pomyślnymi skutkami, że czyny jego zapisały się głęboko w sercach Polaków, którym droga jest przyszłość narodu, a złotemi literami w aktach szkoły.

Adam Mickiewicz, polecając kandydaturę Gałęzowskiego na prezydenta Rady, mówił szczerze, że ten kandydat może najlepiej zagwarantować rozwój i przyszłość zakładu.

Wybrany prezydentem dn. 12. listopada 1854 roku, nie zawiódł Gałęzowski pokładanych w nim nadziei. A tę trudną i odpowiedzialną godność piastował bardzo długo, bo aż do roku 1878, w którym umarł.

Szkoła liczyła w r. szk. 1856/7 internistów 210. Większej liczby już pomieścić nie mogła. Dr. Gałęzowski, zachęcony powodzeniem dotychczasowych swoich usiłowań, dokupił w r. 1859 niezabudowany obok szkoły grunt za sumę 230.000 fr. Część potrzebnych na to funduszów zgromadził za pomocą ofiar i składek oraz za pomocą akcyi po 2.000 fr., wypuszczonych pośród zamożniejszych, resztę dopełnił pożyczką.

Po tem rozszerzeniu szkoła miała dwanaście sal wykładowych, refektarz, infirmeryę, osobne dziedzińce do zabawy dla

uczniów starszych i młodszych i mogła przyjąć na mieszkanie o 50 uczniów więcej.

Prócz tego dzięki staraniom Gałęzowskiego przyszła szkoła w posiadanie dobrze urządzonego laboratoryum chemicznego z gabinetem chemicznym i fizycznym oraz przyrządów do ćwiczeń gimnastycznych.

Dzięki zabiegom Gałęzowskiego szkoła batyniolska miała w dwudziestuleciu przed wojną francusko-pruską najpiękniejszy okres rozwoju i rozkwitu.

O innych członkach Rady przed r. 1870 wspomnę krótko.

Rozległe obowiązki sekretarza Rady pełnił począwszy od r. 1852 z przerwą w czasie wojny krymskiej przez długie lata Ildefons Kissiłowski. Oddał on szkole znaczne usługi, zwłaszcza po wojnie francusko-pruskiej.

Równocześnie z Adamem Mickiewiczem powołano na czynnego członka Rady poetę Józefa Bohdana Zaleskiego. Żywszy udział w pracach Rady Zaleski zaczął brać po wyjeździe Mickiewicza do Konstantynopola. W imieniu Rady wygłosił znaną mowę dn. 21. stycznia 1856 przy chowaniu zwłok Adama Mickiewicza na cmentarzu paryskim Montmorency. Zaleski przemawiał prócz tego przy dorocznych egzaminach w szkole, brał udział przy organizowaniu nauki języka polskiego. W r. 1862 złożył imieniem Stowarzyszenia Czci i Chleba, którego był głównym założycielem, 1.000 franków do kasy szkoły na cele edukacyi najbardziej potrzebujących sierót emigrantów polskich. Członkiem Rady pozostał aż do końca życia, ale w ostatnich latach nie mógł już brać czynnego w jej pracach udziału.

Pracował w Radzie jako jej członek przez pewien czas także i Julian Klaczko.

Już w r. 1852 rekomendował go dr. Seweryn Gałęzowski na profesora szkoły, pragnąc do niej wprowadzić nowe, świeże siły. I rzeczywiście dał ten znany krytyk w r. szkolnym 1858/9 w wyższych klasach kurs literatury. Wykłady te były według żywej jeszcze tradycyi za szczegółowe i więcej poetyczne aniżeli praktyczne, obudziły jednak w duszy uczniów żywszy interes dla poetów nowszej szkoły a zwłaszcza Zygmunta Krasińskiego, który właśnie w owym czasie umarł.

Do Rady szkolnej wszedł Klaczko razem z Feliksem Wrotnowskim w grudniu r. 1860. Kilkakrotnie przemawiał w imieniu Rady przy rozdawaniu nagród po egzaminach końcowych. W mowie z r. 1865 sławił system wychowania, który nie próbuje uśpić

młodego pokolenia illuzyami efemerycznemi i karygodnemi, lecz owszem ją uprzedza, że droga życia uczciwego jest pełna kolców, że cnota nie zawsze wieńczy się szczęściem, że zło nie zawsze doczeka się na tym świecie kary... że ten, co tu miał serce, czuwał i kochał, zbiera często jako nagrodę knut i Sybir".

Klaczko dodał, że opustoszenie otacza nas, że widnokrąg zasępił się ze wszystkich stron, że wzrok może spocząć tylko na śniegu Syberyi lub na ponurych równinach zasianych szubienicami i rusztowaniami egzekucyjnemi.

Klaczko ustąpił z Rady w r. 1869, wyjeżdżając z Francyi.

Dalej wstąpili do Rady szkolnej przed r. 1870: redaktor dziennika katolicko-demokratycznego p. t. „Demokracya XIX. wieku" Józef Ordęga (od 1852), Teofil Januszewicz, jako skarbnik (1854—1870, umarł 1876), Stanisław Poniński, Ludwik Wołowski (obaj od 1854 r.), Karol Sienkiewicz, autor Skarbca historyi polskiej i poeta, znany pod pseudonimem Karola z Kalinówki (od r. 1857), Eustachy Januszkiewicz (od 1860), Władysław Ordęga (od 1860), Artur Sienkiewicz (od 1866), Aleksander Chodźko, profesor literatury słowiańskiej w kolegium francuskiem (1866—1891), Karol Edmund Chojecki i Franciszek Duchiński (obaj od roku 1869).

Prócz czynnych wchodzili w skład Rady członkowie honorowi, osoby w szczególny sposób zasłużone około dobra szkoły. Takimi byli n. p. hr. Ksawery Branicki, hr. Arnold Skórzewski, generał Gawroński, Ksawery Godebski, Feliks Wrotnowski, Adam Sienkiewicz, Bronisław Zaleski i inni.

Społeczeństwo nie szczędziło szkole poparcia. Niektóre ofiary dochodziły do poważnej wysokości.

Jenerał Tadeusz Tyszkiewicz przekazał jej znaczny legat. Hr. Justyn Ostrowski zapisał w r. 1863 na rzecz szkoły około 10.000 franków.

Ofiarność na rzecz szkoły zmniejszyła się bardzo po roku 1863. Dzielnica rossyjska, zrujnowana doszczętnie, przestała popierać szkołę, której pomagała dotąd skutecznie acz potajemnie przez lat dziesięć.

Najwydatniejszą była do roku 1870 pomoc rządu francuskiego i subskrypcye, zebrane w Poznańskiem i w Galicyi przez prezydenta Rady Gałęzowskiego w czasie jego dwukrotnej podróży z r. 1868 i 1869.

Rząd francuski cofnął subwencyę raz tylko, w r. 1851, a to wskutek nikczemnych denuncyacyi w prefekturze, skierowanych

przeciw członkom Rady przez jednego z emigrantów polskich, a dopiero dzięki zabiegom hr. Ksawerego Branickiego, a zresztą i z powodu zmiany rządu przywrócił ją w dawnej, a następnie powiększonej wysokości.

W r. 1853 książę Napoleon Bonaparte przyjął protektorat nad szkołą i otaczał ją moralną opieką aż do roku 1870. Od roku 1857 wyznaczył trzy medale, złoty, srebrny i bronzowy, dla laureatów Polaków w liceum i w Sorbonie i kazał się stale reprezentować przez swego adjutanta generalnego w czasie uroczystego aktu rozdawania nagród, któremu przewodniczył wysoki funkcyonaryusz Uniwersytetu, delegowany przez ministra oświaty.

Dzięki wpływom protektora, a głównie dzięki rzeczywistemu stanowi rzeczy, rząd francuski uznał dekretem z dn. 8. kwietnia 1865 r. szkołę batyniolską za instytucyę użyteczności publicznej. Jednocześnie zatwierdzono statuta szkoły, które odtąd nie mogły być zmienione bez upoważnienia rządu. Majątek szkoły, obliczony przy tej sposobności, wynosił około 3.000.000 fr.

Statut pozwala nam wniknąć głębiej w organizm szkoły.

Administracya szkoły spoczęła i nadal w rękach Rady, złożonej z 12 członków, która wybierała z pośród siebie prezydenta, wiceprezydenta, skarbnika i sekretarza. Radcy nie pobierali żadnego wynagrodzenia. Na wakujące miejsca powoływała Rada nowych członków, mogła też mianować członków honorowych z pomiędzy Polaków i cudzoziemców, którym stanowisko dawało możność popierania interesów szkoły.

Rada reprezentowała szkołę; w sprawach prawnych przedstawiał szkołę i Radę tylko sam prezydent.

Do Rady należało kierownictwo pod względem moralnym, intellektualnym i materyalnym; ona orzekała o wydatkach i o wszelkich działaniach w kierunku utrzymania szkoły oraz jej wewnętrznego rozwoju. W tym celu podzieliła się Rada na dwie komisye: administracyjną i edukacyjną.

Majątek szkoły składał się w r. 1865 z gruntu i gmachu oraz z urządzenia szkoły i biblioteki przy bulwarze des Batignolles, a dochody płynęły z walorów, będących własnością szkoły, z ewentualnych opłat pensyjnych uczniów, z sum, płynących z ofiar, went i dobroczynnych uroczystości, organizowanych na rzecz szkoły, oraz z legatów i ewentualnie przyznawanych jej subwencyi.

Regulamin wewnętrzny i program naukowy zastosował się do przepisów powszechnych, obowiązujących w liceach Cesarstwa.

Prócz przedmiotów wspólnych uczono w szkole i nadal przedmiotów polskich.

Prócz tego zorganizowano naukę zawodową dla chłopców pragnących się poświęcić przemysłowi lub handlowi.

Rada wybierała i mianowała dyrektora, profesorów, ochmistrzów i innych funkcyonaryuszy szkoły. Do dyrektora należało bezpośrednie kierowanie naukami i zarządzanie wewnętrzne szkołą.

Oprócz tego miała Rada własnych inspektorów i egzaminatorów płatnych lub honorowych, czuwających nad wykładami profesorów i postępem uczniów.

Szkoła polska poddała się inspekcyi rządu francuskiego, jak wszystkie publiczne zakłady, a Rada szkolna zobowiązała się posyłać na końcu każdego roku ministrowi oświaty publicznej sprawozdania o postępie nauk i dyscyplinie wewnętrznej szkoły.

W razie rozwiązania zakładu Rada miała rozporządzić jego majątkiem.

Uznanie szkoły polskiej za instytucyę użytku publicznego, było nie tylko aktem szczególnych względów rządów cesarskich względem wychodźców polskich, lecz zarazem stwierdzeniem istotnego stanu rzeczy. Szkoła polska na Batignolles'ach była naprawdę zakładem bardzo pożytecznym.

O użyteczności zakładu i o jego rozwoju w ciągu dwudziestolecia przed r. 1870 świadczy najlepiej rosnąca z roku na rok frekwencya oraz liczba zdobywanych przez uczniów nagród, bądź to w samej szkole, bądź też w zakładach publicznych, do których młodzież polska starsza uczęszczała. Nagrody uważane są dotąd w systemie wychowania francuskiego za ważny czynnik wychowawczy.

Pod koniec roku szkolnego 1853/4 liczył zakład 250 uczniów; z tych było 180 internistów a 70 eksternistów. W tym roku po raz pierwszy dopuszczono Polaków do powszechnego konkursu w Sorbonie, w którym dwóch odniosło zwycięstwo. W anałach zapisano, że była z tego powodu ogromna radość w całej emigracyi polskiej.

Przy zamknięciu studyów roku 1860 mówił reprezentant rządu o szkole batyniolskiej z niekłamanem uznaniem, powiedział, że szkoła polska nie tylko przez sukcesy, uzyskane w konkursach, lecz także przez swoją organizacyę wewnętrzną, przez karność, przez ducha wybornego, który przenika wszystkie jej prace, stanęła w rzędzie najlepszych zakładów publicznych Francyi.

Zakład liczył w tym roku szkolnym 280 uczniów. Diwizya wyższa składała się z 35 uczniów, uczęszczających do cesarskiego liceum im. Bonapartego, w którem zdobyli 71 wyszczególnień a między niemi 14 nagród. Na konkursie generalnym w Sorbonie żniwo było jeszcze obfitsze, a mianowicie uzyskano tam 6 wyszczególnień, a między niemi 1 nagrodę.

W roku szkolnym 1860/1 liczył zakład 301, w roku 1861/2 304, a w r. 1862/3 mimo ubytku spowodowanego powstaniem styczniowem 301 uczniów.

W roku 1865/6 było w szkole 307 uczniów, a dotąd przeszło przez zakład od chwili jego założenia 856 młodzieży, których znaczna część chodziła na kursa w liceum Bonapartego. W tym czasie uczniowie szkoły polskiej zdobyli 216 nagród i 753 akcesytów (accessits): 90 zdało egzamin bakalareacki. Więcej aniżeli 50 zajmowało już wtedy stopnie w wojsku francuskiem.

Z końcem roku szkolnego 1867/8 osiągnął zakład najwyższą frekwencyę, liczył 309 uczniów. Odtąd frekwencya powoli spadała na 297 w r. 1868/9, a na 276 w r. 1869/70.

Utrzymanie tak licznego a zatem tak kosztownego zakładu, było walną zasługą wychodźctwa. Trzeba było niezwykłej energii, aby zebrać na ten cel potrzebne sumy.

O kosztach utrzymania dają nam dokładne pojęcie budżety wydatków. W roku szkolnym 1852/3 zakład liczył 200 uczniów, a na utrzymanie jego preliminowała Rada 92.500 franków, a mianowicie na utrzymanie 170 internistów, licząc na każdego po 600 franków, razem 85.000 franków, a na utrzymanie 30 eksternistów, licząc na każdego po 250 franków, razem 7.500 franków.

Wewnętrzny rozkwit i rozwój zawdzięczał zakład głównie dyrektorowi swemu Stanisławowi Malinowskiemu.

Do końca r. 1852/3 kierował szkołą jeszcze H. Klimaszewski z pomocą Stanisława Malinowskiego, jako prefekta studyów. Wpływ Malinowskiego rósł, a stanowisko Klimaszewskiego stawało się coraz bardziej chwiejne, a to z powodu cichej opozycyi przeciw nowemu członkowi Rady, doktorowi Sewerynowi Gałęzowskiemu.

Publicysta J. B. Ostrowski, nie poprzestając na intrygach w prefekturze policyi, gdzie się cieszył pewnym zaufaniem, jako tłumacz przysięgły, wciągnął w wir walki podjazdowej i dyrektora Hipolita Klimaszewskiego.

Ogłoszono pamflety na Radę szkoły, które ją pozbawiły subwencyi rządowej, i rozdano je pomiędzy uczniów szkoły, aby ich

zbuntować. Dyrektor temu nie przeszkodził. Równocześnie stanął dyrektor w opozycyi do całego szeregu zarządzeń Rady, a w szczególności odmawiał jej prawa powoływania profesorów, których ona uważała za odpowiednich.

Rada mogła mu też zrobić zarzut, że dostarczył Ostrowskiemu różnych szczegółów z posiedzenia Rady.

Klimaszewski już po usunięciu z dyrektury napisał ostrą protestacyę. Zaprzeczył, jakoby go łączyła przyjaźń z Ostrowskim i jakoby był jego informatorem. Przy tej sposobności zjadliwie uderzył na Radę i poszczególnych jej członków. Z Mickiewicza, który w Radzie dymisyę jego zaproponował, natrząsał się, iż pomścił się na nim za artykuł, wymierzony przeciw jego towianizmowi.

Bohdana Zaleskiego nazwał faryzeuszem, który głosi piękne zasady a działa podstępnie.

Doktorowi Antoniemu Hłuśniewiczowi wypominał w sposób wstrętny oddane mu niegdyś przysługi koleżeńskie.

Zasłużonemu protektorowi szkoły, doktorowi Gałęzowskiemu, który nalegał na dymisyę Klimaszewskiego z powodu jego nieudolności jako profesora i nieczynności jako dyrektora, podniósł autor Protestacyi cały szereg nieuzasadnionych zarzutów. Potępiał go, że chciał wykład historyi polskiej powierzyć Julianowi Klaczce, brał mu za złe, że chciał nad szkołą umieścić napis „Szkoła polska" z opuszczeniem narodowa. Wszystkim zabiegom Gałęzowskiego o utrwalenie bytu i podniesienie poziomu naukowego szkoły podsuwał niskie, egoistyczne zamiary, przyczem kalał imię jego z przeszłości. Gałęzowski nie szczędził ofiar osobistych na szkołę, Klimaszewski wołał, że zrobił ze szkoły dojną krówkę dla siebie.

Klimaszewski nie darował żadnemu zgoła członkowi Rady; znalazł zarzuty nawet przeciw najcichszemu z Rady, Biernackiemu.

Miejsce usuniętego Klimaszewskiego zajął wspomniany już Stanisław Malinowski.

W przemówieniu wstępnem nowy dyrektor zaznaczył pokrótce powody, które głównie jego poprzednika obaliły. Powiedział, że rodzice, którzy sami kierują edukacyą dzieci swoich, mają prawo absolutne wybierania nauczycieli i zmieniania ich według własnego widzimisię. Przy nauczaniu zbiorowem w szkole przysługuje takież same prawo Radzie administracyjnej, owszem ciąży na niej obowiązek dobierania takich nauczycieli, aby cel wytknięty osiągnąć jak najkrótszą i najlepszą drogą.

Malinowski przyjmował urząd dyrektora z niemałym lękiem. Głośno oświadczył, że brak mu pogłębionego wykształcenia naukowego i pedagogicznego, że nawet brak mu zewnętrznej postawy. Rada była innego zdania, wiedziała przedewszystkiem z doświadczenia: że nowy dyrektor potrafi utrzymać szkołę w karbach karności i tchnąć w uczniów ducha patryotyzmu polskiego. Malinowski widział w szkole cel swego życia. Dobrowolnie zrzekł się większej pensyi, aby ulżyć kasie szkoły.

Aby wzbogacić dotychczasowe swoje doświadczenia pedagogiczne, zwiedził już jako dyrektor rozmaite zakłady francuskie publiczne stolicy i przeprowadził na podstawie zebranych spostrzeżeń rozmaite reformy w zakładzie swoim.

Z początku miał do walczenia z rozmaitemi trudnościami, z manifestacyami uczniów, z opozycyą personalu szkoły, sympatyzującymi z dawnym dyrektorem. Te wszystkie trudności pokonał z taktem i energią.

Malinowski był stworzony na kierownika zakładu takiego, jakim była szkoła polska na obczyźnie. Pochwały, których swego czasu inspektor Akademii francuskiej p. Filon szkole nie szczędził, odnosiły się przedewszystkiem do dyrektora szkoły: p. Filon stawił organizacyę wewnętrzną, karność i wybornego ducha szkoły.

Malinowski doprowadził szkołę do rozkwitu przed r. 1870 i kierował nią długo po wojnie francusko-pruskiej, która ją bardzo zrujnowała.

Kierownictwo zakładu nie było sprawą łatwą, zwłaszcza, że zakład połączony był z licznym internatem.

Grono nauczycielskie było bardzo liczne.

Już w r. 1857/8 składało się z dyrektora, prefekta, dwóch kapelanów, lekarza, sekretarza i z 15 profesorów, zamieszkałych w szkole (9 Polaków, 6 Francuzów), oraz 9 przychodnich (3 Polaków, 6 Francuzów). Osób służby i administracyi liczył zakład 23, wogóle 53 osoby (23 Polaków a 30 Francuzów).

Trudne było zadanie utrzymać harmonię w tem tak licznem gronie nauczycielskiem i rozmaitymi funkcyonaryuszami szkoły. Prócz licznych profesorów, uczących w szkole średniej, zbifurkowanej w wyższych klasach na szkołę gimnazyalną i techniczną, należeli do grona nauczyciele oddziałów szkoły elementarnej, należało trzech dozorców młodzieży, między nimi generalny, należeli korepetytorzy.

Grono nauczycielskie tak liczne nie przedstawiało nigdy jednolicie i ściśle spojonego ciała. Nie mogąc mieć stałych własnych sił, Rada musiała je brać, zkąd mogła.

Łatwiej było o profesorów dla przedmiotów niepolskich, bo ich był w Paryżu wielki zapas w zakładach publicznych. Ale profesorowie ci mogli wykładać tylko w języku francuskim.

Przedmioty polskie musieli brać tylko Polacy, i tu był brak sił należycie ukwalifikowanych. Brano osobistości nieraz znane w literaturze i w życiu publicznem polskiem zasłużone, ale nie mające niekiedy pojęcia o szkole i pedagogii oraz o jej zadaniach. W dodatku były to osobistości przychodzące i odchodzące.

Grono nauczycielskie szkoły polskiej w Paryżu z tego okresu robi wrażenie płynącej ciągle fali. Przed rokiem 1870 rzadko który profesor uczył przez czas dłuższy w szkole. Te ciągłe i nie zawsze szczęśliwe zmiany psuły normalny tok nauki i ciągłość wychowania, a dyrektorowi przysparzały nieraz bardzo wiele kłopotu. Dyrektor Malinowski umiał sobie dać jakoś radę z tą pstrą i różnorodną masą pedagogów.

Przytem przeprowadzano w szkole w ciągu tego dwudziestolecia dość częste reformy, których wykonania musiał dyrektor dopilnować z urzędu, a prócz tego w ich obmyślaniu brać czynny udział.

Zakład składał się pierwotnie z szkoły elementarnej, podzielonej od r. 1852 na dwa oddziały i z liceum czyli gimnazyum klasycznego o siedmiu oddziałach.

Plan naukowy gimnazyalny obejmował jako przedmioty: religię, język i literaturę oraz historyę i geografię polską, łacinę i grekę, języki francuski, angielski i niemiecki, matematykę, fizykę, chemię, nauki przyrodnicze, rysunki, gimnastykę i śpiew.

W roku szkolnym 1852/3 przeprowadzono radykalne reformy. Do opracowania tych reform wydelegowała Rada osobną komisyę, złożoną z dyrektora Klimaszewskiego, prefekta studyów Malinowskiego, wychowańca szkół francuskich Władysława Ordęgi oraz Juliana Klaczki. Komisyi przewodniczył Ksawery Godebski.

Reformy te pozostawały w ścisłym związku z ówczesnemi reformami szkolnemi francuskiemi.

Licea francuskie doznały dekretem z dn. 10. kwietnia i rozporządzeniem z dnia 30. sierpnia 1852 roku znacznego przeistoczenia.

Liceami zowią się zakłady utrzymywane przez rząd dla odróżnienia od kolegiów, utrzymywanych przez miasto.

Licea były połączone z pensyonatami. Liceum każde dzieliło się na trzy oddziały: Początkowy, złożony z uczniów klasy wstępnej czyli 9, oraz 8 i 7 w wieku od 7—12, gramatykalny (klasa 6, 5 i 4, wiek 12—15) i wyższy (klasa 3, 2 oraz klasa retoryki i klasa logiki, wiek 15—21).

Oddział wyższy rozszczepiał się w dwu kierunkach: literackim i umiejętnościowym. Wstępujący na oddział wyższy uczniowie musieli wybrać jeden z dwu kierunków. Niektóre przedmioty były wspólne, niektóre oddzielne dla każdego kursu. Uczniowie kursu literackiego zdawali, by wstąpić do szkół najwyższych, egzamin na stopień bakałarza literackiego (bachalier ès-lettres), a uczniowie kursu umiejętności na stopień bakałarza umiejętności (bachalier ès-sciences).

Antoni Karbowiak.

(Ciąg dalszy nastąpi).

Wycieczka do Parany

(stanu rzeczypospolitej Brazylii).

Dziennik podróży.

(Ciąg dalszy).

9. września. — Zajścia i sceny.

W dniu tym burzliwość morza mogłem porównać z gwałtownością usposobienia południowo-włoskiego. Okręt przechylał się na wsze strony. Co chwila ktoś się przewracał przy śmiechu towarzyszy. „A to się nakrył nogami i zupą!“ — krzyknęła jakaś poważna nasza matrona. widząc chłopaka neapolitańskiego przewracającego się i parzącego zupą wrzącą, którą niósł dla 10-ciu swych towarzyszy stołu.

Byłem w tym dniu świadkiem wypadku dla mnie bardzo niezwykłego. Młoda i niezwykle przystojna Neapolitanka głośno zaczęła się skarżyć i rękoma wymachiwać na jakiegoś otyłego rodaka, zanosząc się od płaczu; lewą rękę przykładała do ucha, powołując się na mnie, jako na świadka. Lekarz, który ją badał ze współczuciem, nieco dla mnie podejrzanem, zapytał mnie po francusku. czy co widziałem. Odparłem, że nic zgoła takiego nie dostrzegłem, coby mogło spowodować płacz tej ładnej dziewczyny. „Grubas ten, niezbyt szpetny, jak pan widzisz, poprostu ją pocało-

wał; jabym to samo uczynił chętnie — dodałem żartobliwie — lecz ona musi być chora, bo żadna zdrowa niewiasta nie płacze przecie, gdy się ją pocałuje“. Lekarz pokazał mi wtedy ślady pocałunku, podobnego do ukąszenia psa... ujrzałem wyraźnie na naderwanem uchu krew i ślad zębów. „Nie domyślasz się pan zapewne, rzekł doktor, że to jej rodzony ojciec. Tacy to są nasi Neapolitańczycy!“

Inna scena. Tłum na pokładzie. Kapitan z wysokości swego obserwatoryum gwałtownie przemawia. W środku tłumu Neapolitańczyk stoi hardo i nieruchomie jak słup. W kącie jeden z naszych wychodźców szybko oddycha, jakby zmęczony wielkim wysiłkiem; koło niego płaczą kobiety. Powoli do Neapolitańczyka podchodzi krokiem morskim — używanym przez majtków — ogromny i znany z siły majtek genueńczyk. Podszedł, stanął i wyciąga rękę. Neapolitańczyk sięga do kieszeni i podaje mu niechętnie nóż — majtek odbiera ten instrument i rzuca do morza, potem bierze go pod ramię i prowadzi. Zniknęli. Pytam, co się stało? Nieapolitańczyk rzucił się z nożem na jednego z naszych wychodźców, którego zaledwie obroniono. Sam kapitan dostrzegł to przypadkiem z góry i swym głosem jowiszowym powstrzymał zbrodniarza.

Nie koniec na tem; byłem świadkiem coraz to nowych scen w tym dniu. Kelner zaczął bić zawzięcie jednego z naszych emigrantów. Gdy zaś ich rozbrojono i zjawił się jeden z podkapitanów, zaczął on, jak opętany wrzeszczeć, że nie może znieść pijaków „umbriacos“. Istotnie Hryć upił się jak nieboskie stworzenie i został zaraz skazany na postój więzienny u góry na świeżem powietrzu, z ręką zamkniętą kluczem w kajdanki przy żelaznej baryerce.

Kara taka wydała mi się średniowiecznem barbarzyństwem. Dowodziłem jej niestosowności kapitanowi, przechadzając się z nim późno w nocy po pokładzie. Ubolewał szczerze nad nią, lecz uważał, że przy niskim stopniu kultury środek ten jest jeszcze humanitarny, bo go się boją a ostatecznie wielkiej krzywdy nie czyni skazanemu. Właśnie w chwili, gdy ośmieliłem się karę tę ganić, przypominając, że może zbyt długo, aż 4 godziny, trzymają tak człowieka, naraz przy najpiękniejszej pogodzie zaczął padać ciepły i drobny deszczyk... Kapitan zaklął gniewnie. Przyleciał siłacz majtek, tłumiąc w kułak śmiech. Więźniów z kajdanków niezwłocznie wypuszczono.

10. września. — Cabo Frio — Góry.

10. września wieczorem mijamy Cabo Frio (przylądek zimny). Widać przy zmroku światło latarni morskiej: jesteśmy blisko stolicy Brazylii. Dopływamy do brzegu Nowego Świata, gdzie podobno bardzo dziko i pięknie układa się panorama gór nadmorskich. Poprzednio już od 3 dni widzimy wprawdzie tę ziemię obiecaną bardzo górzystą; wyniosłość jej jest znaczniejsza niż wybrzeża włoskiego pod Genuą. Lecz niestety w dniach poprzednich odległość a obecnie ciemności nocne, stoją na zawadzie wyraźnemu rozpoznaniu kształtów lądu; z trudnością go można odróżnić od chmur. Mam w każdym razie wrażenie, że jesteśmy w pobliżu jakiegoś majestatycznego ogromu. Późną nocą z 10-go na 11-ty mijamy zatokę Riożaneirowską, zamiast wpłynąć do niej. Potrzebni jesteśmy urzędom celnym i sanitarnym brazylijskim, znajdującym się na wyspach tuż poza zatoką: jedziemy im się pokłonić, a może odsiedzieć kwarantannę 40-dniową.

11. i 12. września. — Ilha Grande — Obawa kwarantanny.

Z rana po wschodzie słońca zawijamy do małej przystani Wyspy Wielkiej. „Ilha Grande“. Jest ona istotnie największą z tych, które tworzą mały rozrzucony archipelag w pobliżu stolicy Brazylii. Widok na nią i inne wyspy oraz na sąsiedni górzysty ląd stały jest czarujący. Gra wyobraźni, pobudzona kończącą się podróżą morską, i zaciekawienie dość gorączkowe ujrzenia nowego lądu amerykańskiego, przy niezrównanie pięknej przyrodzie morsko-górskiej, potęgują urok widzianego po raz pierwszy lądu. — Pogoda prześliczna, powietrze przesiąknięte nieco wilgocią, przeźroczyste jak najpiękniejsze tatrzańskie lub alpejskie w przededniu słoty lub nazajutrz burzy. Wszystkie przedmioty wydawały się wyraźne i bardzo bliskie. Tchnienia wiatru ani chmurki żadnej nie było, słońce od samego rana rozlewało dokoła z iście tropikalną hojnością światło i ciepło. Czuć było w powietrzu życiodajną wiosnę; ta pora roku, mimo upału, okazywała swoją obecność bardzo wyraźnem jakby przebudzeniem się przyrody, istną pieśnią chórem śpiewaną przez wszystkie istoty, upojone nowem życiem, pełnem wesela i rozkoszy. Nie rozumem i nauką, lecz wszystkiemi zmysłami czułem wyraźnie, że ustępuje zima, nie

sroga wprawdzie, bo podobna do naszego północno-europejskiego lata, ale zawsze pora chłodniejsza. Oko me spoczywało na wielkich górach, pokrytych szalenie bujną roślinnością krzewów, krzaków i drzew znanych nam tylko z obrazków i oranżeryi. Wszędzie piękne, na obrazach tylko napotykane u nas, barwy niebieskie, fioletowe i szafirowe rozweselały wzrok, gdziekolwiek było spojrzeć. Lazur ten przecudny przerywała jasna zieloność brzegów najbliższych oraz fioletowa i czarna ciemność dalekich gór.

Z gąszczu leśnego zalatywały do nas tajemnicze głosy ptaszków i owadów świergocących. Gąszcz ten żył. Lecz co ukrywał w swem łonie? Jakie mnóstwo tajemnic i zagadek? Wyobraźnia moja zaludniła ten kawałek ziemi bożkami mitologii starożytnej; tak sobie zawsze wyobrażałem niebo olimpijskie, siedzibę bogów greckich. Zdawało mi się, że gdzieś ujrzę niezadługo Wenus, z piany morskiej się wynurzającą, a co najmniej najady i syreny. Tymczasem wydobywały się na wędkę z wody jedynie ryby, które zaczęliśmy łowić z nudów.

Do samego południa wyczekiwaliśmy przybycia komisyi sanitarnej brazylijskiej. Wiedzieliśmy, że w razie niepomyślnego jej sądu o stanie zdrowia podróżnych na naszej Alakrycie, ta odbędzie kwarantannę w tem samem miejscu uroczem, w którem znajdowaliśmy się obecnie. Było nam bardzo pilno do lądu stałego i niepokoiła nas troska, że będziemy musieli podziwiać do przesytu te przepiękne widoki olimpijskie przez tygodnie a może i miesiące.

Byliśmy wszyscy pod wrażeniem wielkiej śmiertelności dzieci a przedewszystkiem owych „parchów". Lekarz nasz miał do wyboru albo zameldować eskulapom Brazylii świerzbę, poddać nas wszystkich pod 40-dniową kwarantannę, albo przyznać się do pomyłki swej i przekonać Bazylian, że to są jedynie wyrzuty z gorąca.

Ilha Grande jest ważną stacyą sanitarną brazylijską. Na niej osadzają przybyszów do Brazylii, dotkniętych chorobami lub podejrzanych o nie; w jej zatoce zachodniej okręta odbywają kwarantannę z kombinacyami wyładowywania i leczenia się w szpitalach wielkich, na które spoglądaliśmy do woli już od kilku godzin. Zbudowane one były okazale, jak koszary, nad brzegiem morza. Robiły wrażenie początku przedmieścia, wysuwającego się z lasu i załomów gór.

Wreszcie w południe zoczyliśmy z dala łódź parową z chorągwiami brazylijskimi i sanitarnemi, odpływającą od tych szpitali; w ciągu kwadransa podpłynęła ona ku nam i parowiec nasz zaludnił się mundurami brazylijskimi.

Po południu przybyły 2 parowce francuskie ogromnych rozmiarów, pełne wychodźców włoskich. Niektórzy z bardzo bystrych i domyślnych naszych emigrantów, dopatrywali się towarzyszy polskich i rusińskich a nawet rozpoznawali znajomych. Jeden z nich nawet twierdził, iż widział konfederatkę czerwoną i wymieniał nazwisko jakiegoś gospodarza z Krakowskiego; wziąwszy lunetę dojrzałem, że ów mniemany Krakus jest grubym brodatym Włochem, owiniętym w wielką czerwoną płachtę i podobnym do Garibaldiego.

Nasze formalności sanitarne musiały być zawikłane. Rozprawiano wiele na okręcie z przybyłymi Brazylianami. Nasza wyższa służba okrętowa przez całe dwa dni coś dowodziła przybyszom w czarnych mundurach o złotych guzikach i galonach. Miałem wrażenie, że coś w rodzaju łapówki uspokoiło gorliwą służbistość urzędników brazylijskich co do stanu zdrowia naszego. Kapitan wyrażał się o nich z nietajoną pogardą; jednego, który zapewne najwięcej zagarnął pieniędzy, nazywał „questo animale“ (to bydlę).

Pomiędzy wychodźcami naszymi powstała myśl podziękowania kapitanowi za dobre obchodzenie się z nimi przez odśpiewanie: „Niech żyje nam“ i „Mnohaja lita“. Kapitan, gdy go zapytałem poufnie, czyby mu ten wyraz uznania był przyjemny, ucieszył się niezmiernie, lecz zauważył, że jesteśmy na samym wyjeździe i że przeto lepiej będzie hołd ten odłożyć do chwili rozstania się w Rio de Janeiro. Hołd został odłożony — lecz przy gorączce wysiadania zapomniano o nim, co było do przewidzenia.

Wieczorem 12. września tuż przed zachodem słońca wyjechaliśmy z Ilha Grande. Niebo się bardzo zachmurzyło. Ocean zatracił swe dotychczasowe błękity, niebiosa-granaty i lila i przybrał kolor mętnie zielonkowaty. Na pełnem morzu wysokie i pieniące się bałwany podrzucały silnie nasz statek, słońce zaś ostatniego dnia atlantyckiej podróży naszej, zaszło i pogrążyło nas w ciemnościach i we śnie. Stanęliśmy późną nocą w zatoce Rio de Janeiro.

ROZDZIAŁ II.

Rio de Janeiro — Paranagua — Kurytyba.

12. września. — Rio de Janeiro.

Nagła cisza, ustanie kołysania i hałasu maszyny parowej Alacrity, przerwały mi sen tak, jak zatrzymanie się młyna budzi śpiącego młynarza. Wyszedłem na pokład z bijącem sercem, aby ujrzeć po raz pierwszy ląd stały Nowego Świata i sławną z piękności zatokę. Ciemności nocne nie pozwalały mi się rozejrzeć — rozpraszały je niedostatecznie kilka gwiazdek i wąski sierp księżyca, znikający co chwila za chmurami. Natomiast po lewej stronie statku, ujrzałem w oddali mnóstwo światełek, jakby nagromadzenie spadłych dopiero co z nieba meteorów. Istotnie widziałem, jak kilka z nich się sypało w tym kierunku. Towarzyszyły nam półcienie i półświatła takie same jak wtedy, gdyśmy dojeżdżali do Neapolu. Serce moje zaczęło bić szybciej — dusza wstąpiła do raju, jaki odczuwałem wówczas, a gdy po paru godzinach nagle bez bawionia się w świty i przedświty słońce ukazało się i dzień zapanował, odsłonił mi się nieporównany w swej wspaniałości widok, przewyższający nawet ten, jaki sobie wytworzyła moja wyobraźnia o niebie olimpijskim. Po chwili zacząłem nawet na prawdę powątpiewać, czy Zeus i jemu podwładni bogowie marzyli kiedy o tak majestatycznej i cudnej siedzibie niebiańskiej. Znaleźliśmy się na środku potwornie wielkiego Morskiego Oka, otoczonego Alpami. Odróżniały się swymi kształtami: Garbaty — Corcovado (wym. Korkowado) — i Głowa cukru — Paõ d'acucar (wym. pą d'asukar). — Corcovado wznosi się na południu zatoki. Bodaj najniższy to szczyt z najwyższych gór na ziemi. Przesłonięty był przezroczym puchem mgły. Paõ d'acucar sterczy przy samym początku zatoki. Od morza przypomina potwora, niby olbrzymiego sfinksa bez głowy, siedzącego z wyciągniętymi łapami na ziemi; od zatoki wygląda jak kolosalny naparstek pochylony na zachód, a od zachodu tylko, t. j. od góry Corcovado podobnym jest do stojącej głowy cukru.

Miasto w głębi na zachodzie i południu zatoki nie imponowało swą wielkością. Miejscami tonęło w zieleni ogrodów. Domy pojedyncze ledwie można było rozróżnić z odległości. Morskie Oko, w którem „Alacrita" była malutkiem ździebełkiem, jest tak

wielkie, że nawet Londyn i Paryż nie wydałyby się nad niem potworami miast, jakiemi są w istocie, i zajęłyby tylko niewielką część wspaniałych jego brzegów. Spore zaś miasta mogłyby zakwitnąć na wyspach, skromnie ukryte w tropikalnej roślinności, bez zwracania uwagi na siebie. Rio de Janeiro, liczące 800.000 mieszkańców, bardzo rozległe i rozrzucone na przestrzeni tak wielkiej, jak największe europejskie, robiło wrażenie skromnego grodu.

Z rana przed południem zjawiło się na naszym statku znowu mnóstwo tych samych mundurów. Trzeba było czekać, aż wszystkie formalności celne, sanitarne i t. d. zostaną załatwione, by módz wyruszyć do miasta. Kto przedtem chciał wylądować z pakunkami, musiał sobie nająć stróża mienia skarbowego Brazylii i w jego towarzystwie dopiero udać się na ląd; towarzysz ten opuszczał klienta a właściwie kuferek jego natychmiast po odbyciu rewizyi na komorze celnej.

Jestem wciąż zasypywany dziwacznemi pytaniami do najwyższego stopnia rozciekawionych wychodźców.

Po południu w chwili najmniej spodziewanej oszołomiony zostałem przybyciem kilkunastu członków stowarzyszenia „Zgoda“ w celu przywitania mnie. Byli to pp. przewodniczący Franciszek Krauze, właściciel fabryki powozów, kasyer Józef Poznański, właściciel zakładu jubilerskiego, Franciszek Grobliński rękawicznik, Gotfryd Grolman, siodlarz-rymarz, Karol Woleński, Władysław Bendich i Bolesław Belter. Witali mnie, jako wysłannika z kraju ojczystego i delegata polskiego Towarzystwa Handlowo-Geograficznego. W rozmowie zachęcali gorąco wychodźców naszych do tego, aby udali się do stanu Parana. Dawno ci riożanejrowcy rodacy nie widzieli ludu naszego — radość ich i zaciekawienie były niezmierne — nie mogli się z naszymi prostakami nagadać i nimi nacieszyć.

Wychodźcy, widząc piękne czarne tużurki, całowali ich właścicieli po rękach. Lecz wysłańcy „Zgody“ byli ludzie postępowi: ganili więc ten głupi zwyczaj. Nauka braterska nie poszła w las i już obywano się bez niewolniczej ceremonii przy pożegnaniu. Uwierzono twierdzeniu, że w kraju wolnym, jak Brazylia, wyśmiewają się z takiego uniżonego zachowania. Niemniej jednak opowiadano mi, że przy wysiadaniu, obrzydliwy mulat, palacz na statku, wyciągnął z powagą łapę i kilku z naszych ją pocałowało — potem wstydzono się tego.

Zwyczaj całowania po rękach mężczyzn ganiłem i przedrwiwałem bez litości przez cały ciąg stykania się z ludnością polską w południowej Ameryce, przytaczając ów wypadek z mulatem. Spotykałem potem znajomych, którzy po paru tygodniach pobytu na wolnej amerykańskiej ziemi witali mnie, wyciągając z daleka już rękę i układając głowę sztywnie w tył, jakby w obawie, by nałogowo jej nie pochylić do mojej dłoni.

Mogłem się przed deputacyą „Zgody“ pochwalić tem, że stosunek mój z wychodźcami był jaknajlepszy. Stawał się on w miarę podróżowania wspólnego coraz serdeczniejszy. Poznaliśmy się i wzbudziliśmy w sobie zaufanie. Cała służba okrętowa niższa i wyższa szczerze chwaliła naszych ludzi przed różnemi komisyami brazylijskiemi w Ilha Grande i w Rio de Janeiro.

Podczas całej podróży z Genui do Rio de Janeiro 17 dzieci umarło na okręcie, wszystkie niemal nasze, gdyż z włoskich umarło tylko jedno; ta większa śmiertelność dzieci była skutkiem poprzedniego zmęczenia podróżą ze Lwowa do Genui i dłuższej o 2 dni drogi morskiej, niż ją mieli Włosi, którzy wsiedli na okręt dopiero w Neapolu. Jednak zdaniem lekarza ogólny stan zdrowia naszych ziomków był mimo to lepszy, niż Włochów, a młode potomstwo, choć okazało się mniej wytrzymałe, pomnożyło się liczebnie o kilkanaście dusz.

Deputacya „Zgody“ zabrała mnie swym małym parowczykiem na ląd; lecz rzeczy swoje musiałem zostawić i odbierać dopiero na komorze celnej nazajutrz i dni następnych, co się nie zapowiadało rozkosznie. Umieszczono mnie w hotelu Garson na ulicy Cattete (Kadetów); hotel to pierwszorzędny i niezbyt drogi, gdyż dziennie całe utrzymanie wynosiło tylko 10 milrejsów (fr.) z wykwintnem pożywieniem.

W restauracyi hotelowej powziął do mnie wielką sympatyę kelner, Niemiec z Austryi, jako do rodaka (austryackiego) i znosił mi potraw do nieskończoności; zamiast 5 czy 6, wedle ich zwykłego spisu, na śniadanie i obiad dostawałem 10 do 12 — a raz nawet naliczyłem z jakie 20 dań. Gdy przychodził mnie kto odwiedzić, rodak austryacki częstował go obiadem, twierdząc, że jako druh „amigo“ stałego mieszkańca hotelu, gość mój był przypuszczony do pożywienia się bezpłatnie i bez obciążenia mego budżetu. Po jedzeniu kelner mi tłumaczył, że z owoców podawanych przy obiedzie mogę sobie zabrać tyle do mieszkania, ile mi się tylko podoba. Spożywałem tedy w wielkiej ilości przy obiedzie i po nim olbrzymie i smaczne pomarańcze. Dopiero inny kelner

Brazylijczyk, po kilku dniach zwrócił mi uwagę na to, że drogą pomarańcz najłatwiej dostać żółtej febry; ochłonąłem tedy nieco w zapale pomarańczowym i, jeżeli śmierć czyhała na mnie, to w każdym razie nie głodowa w hotelu Garsona.

Uderzył mnie swą nowością zwyczaj brazylijski stawiania wielu potraw na stole równocześnie; później przekonałem się, że zwykle stawia się wszystkie potrawy obiadu odrazu na stole i że w hotelu Garsona połowicznie tylko do tej mody się stosowano. Ciągle trwające ciepło sprawia, że się nie oziębiają tak prędko, jak w Europie, a używa się zapachu smacznych rzeczy.

Pokój dano mi z drzwiami wychodzącemi na ogród, przez który zachodziłem do siebie środkiem cieplarnianych u nas, a tu zwykłych drzew, krzaków i kwiatów, albo bokiem długą weranda wzdłuż pokoi hotelowych. Zapamiętałem wysokie palmy „cesarskie“, o drzewie prostem, wysokiem, gołem, jasno-szarem i takiej samej grubości przy ziemi jak u szczytu, z którego sterczy i zwiesza się, jak wiecheć, bujna kępa liści podłużnych.

W dnie wilgotne i dżdżyste roje małych robaczków świętojańskich połyskiwały na trawie i piasku najwidoczniej w nocy; lecz i w dzień można je było dostrzec.

W hotelu na samym wstępie powiedziano mi, że w klimacie tak gorącym, jak riożanejrowski, koniecznem jest brać codziennie z rana zimną kąpiel lub natrysk, bo wtedy ciało staje się o wiele odporniejszem na gorąco.

Hotel Garson zaopatrzony był w kąpiel prysznicową, dosyć pierwotną: tworzyła ona malutki pokoik o drewnianych ścianach i podłodze.

Z publiczności, przechadzającej się po ogrodzie, nie zauważyłem nic godnego uwiecznienia w mem sercu lub na płycie fotograficznej. Zabawił mię murzyn w roli piastunki. Trudno sobie wyobrazić troskliwszej niańki. Rozmawiał i bawił się z malcem, bez przerwy sadzał go na głowie, łopatkach i ramionach, podrzucał, tańczył z nim i tarzał się po ziemi.

Łóżko w hotelu było obszerne, ale bardzo twarde, nie miększe od prostej deski, powleczonej prześcieradłem. W gorącym klimacie tylko takie jest używane, dla tego że chłodne: każde inne pono wytwarza tak nieznośne gorąco, że w niem nie można wyleżeć. Nad łóżkiem, obejmując je z góry, wisiał mosquiteiro — przezroczysta opona z muślinu, chroniąca od komarów i muskitów. Szczęściem w porze ówczesnej nie było ich w Rio de Janeiro i mgła ta muślinowa wisiała jedynie dla ozdoby.

W dzień przyjazdu do stolicy Brazylii wieczorem po zakwaterowaniu się w hotelu, zostałem zaproszony do lokalu „Zgoda“. Przyjęto mnie uroczyście i życzliwie, były mowy powitalne i zapytania, na które odpowiadałem w dłuższych przemówieniach, a raczej w jednem, ciągle przerywanem, objaśniając powody mego przybycia do Ameryki południowej. Wywieszono na ulicy wspaniałą chorągiew towarzystwa „Zgoda“, mimo dziwacznych, ale bezsilnych protestów, jakichś konsulów europejskich, sąsiadujących z lokalem naszym.

Z rozmów z członkami „Zgody“ wymiarkowałem, że obawiano się, że nie raczę odwiedzić Towarzystwa rodaków, złożonego ze skromnych pracowników. Moim poprzednikom niektórym słusznie miano za złe, że ominęli lokal Stowarzyszenia polskiego w stolicy Brazylii.

14.—16. września. — Rio de Janeiro.

Pobyt mój w stolicy Stanów Zjednoczonych Brazylii musiał się nieco przeciągnąć. Był to koniec zimy tamtejszej a początek wiosny. Miesiąc wrzesień jest marcem południowej półkuli. Upał wprawdzie mi dokuczał trochę, lecz znosiłem gorąco to bez wielkiej uciążliwości, podobnie jak upalne dni w Polsce.

Miasto Rio de Janeiro tylko w pierwszej chwili nie zrobiło na mnie korzystnego wrażenia; poznawszy je lepiej, zmieniłem zdanie o niem. Ciasne uliczki śródmieścia o domkach bezpiętrowych lub jednopiętrowych przenosiły mnie w świat średniowieczno-indyjski. Najwspanialszą ulicą jest rua Ouvidor (wym. Uwidor), nie szeroka, z pięknemi wystawami sklepowemi, wolna od ruchu powozów i tramwajów, zawsze ożywiona. Inne w śródmieściu są bardzo wązkie. Mimo to zaopatrzono je w tramwaje, suwające z konieczności tuż przy wązkim trotuarze, tak że stopniem niemal występują nad krawędzią chodnika i łatwo mogą zaczepić nieuważnego przechodnia.

Powoli dopiero po rozglądnięciu się w mieście uwydatnia się to ogromne zbiorowisko ludzi, pełne ruchu i życia. Tramwajami elektrycznemi i konnemi przebiega się do różnych części stolicy, a godzinami całymi jedzie się i to szybko, by wydostać się za miasto. Środki komunikacyjne ogromnie ułatwiają mierzenie tak znacznych przestrzeni. Są nimi tramwaje, ciągnione przez muły, oraz poruszane parą i elektrycznością. Powozów i dorożek nie widać. Tramwaje elektryczne są bardzo wielkie i długie —

na domiar oryginalności zaprzężone bywają po trzy naraz, niby mały pociąg.

Za 200 rejsów (t. j. mniej więcej 6 kopiejek, 8 centów austryackich, 15 fenigów), możesz używać przejażdżki przez całą godzinę bardzo szybkiej, dorównywającej miejscami biegowi pociągu pospiesznego np. przy Passeio Publico (ogrodzie publicznym) i na ulicy Cattete. Masz wrażenie, że jesteś w jakimś kraju rozległym, zupełnie uspołecznionym, wyśnionym przez Saint-Simona, Furjera i innych socyalistów romantyków, gdzie nikomu do głowy nie przychodzi używać tak przedpotopowych środków lokomocyi, jak własne nogi, lub własny albo najęty wyłącznie dla siebie powóz. Pędzą tramwajami sprzężonemi co jakie 5 minut całe liczne stowarzyszenia, oddziały wojsk, orszaki ślubne, orkiestry instrumentów dętych i rżniętych, których wesołe melodye wpadają do ucha jadącemu w przeciwną stronę, jak huragan i milkną po chwili.

Po kilku dniach takich jazd spostrzegasz, że stolica Brazylii nie jest miastem jednolitem, lecz raczej zlepkiem różnorodnych przedmieść, miast i miasteczek: więcej różniących się i oddalonych od siebie niż Nalewki, Stare Miasto, Praga, Aleje Ujazdowskie i ulica Marszałkowska w Warszawie. Są to ruchliwe przedmieścia portowo-handlowe, wielkie osady fabryczne o szerokich i zaniedbanych ulicach, zacisza górskie o wspaniałych hotelach, przypominające wielkie uzdrowiska i miasta kąpielowe alpejskie, a zwłaszcza całe olbrzymie dzielnice ulic: jak Ujazdowska w Warszawie lub Thiergarten w Berlinie, położonych pod górami lub nad wodą, (Larangeira, Botafogo, Copocabana, Cattete i inne), z tą różnicą, że eleganckie wille i hotele prawdziwie toną w ogrodach roślinności równikowej.

Od śródmieścia o bardzo zgęszczonym ruchu ludzkim, odbywającym się jedynie tam na nogach, biegną tramwaje na wsze strony, roznosząc ludność i dowożąc ją z wielkiej niekiedy odległości, bezustannie do serca miejskiego. Szyny tramwajowe mają swe główne źródła przy ulicy magistralnej Ouvidor, od której odpływają prostopadle.

Rio de Janeiro jest pierwszorzędną stolicą. Panuje w niej ogromny ruch handlowy, przemysłowy i polityczny. Stała się ona od dawna siedzibą Uniwersytetu i różnych akademij, towarzystw naukowych i znacznych bibliotek publicznych jak: narodowa, politechniczna, portugalska, fluminense (rzeczna czyli riożaneirowska t. j. miejska) i t. d. Spółek i towarzystw handlowych, przemy-

słowych, przewozowych. klubów politycznych i t. p. stowarzyszeń jest bez liku, jak to zwykle w kraju wolnym i żywotnym.

Mimo ruchu i wyglądu wielkomiejskiego, można łatwo w obrębie tego kipiącego ogniska kultury doznać wrażeń puszczy leśnej. Wystarczy udać się na góry św. Teresy. św. Antoniego, Gloria, Cantagallo, wznoszące się w mieście albo tuż przy niem. Miasto je okala całkiem lub częściowo. Wyniosłości te, dość znaczne i strome, mają części zarosłe krzakami i drzewami, gdzie prawdopodobnie jeszcze stopa ludzka nie postała.

Niejedna z tych gór zawiera złoto tak, jak przy wstępie zatoki „Głowa Cukru". Anglicy chcieli je wyzyskać pod względem mineralogicznym, lecz z warunkiem, że kruszec znaleziony będzie całkiem do nich należał. Zobowiązali się przytem górami zniesionemi przysypać część zatoki, przez co stworzyliby nowe dogodne miejsca dla ruchu budowlanego. Góry bowiem przeszkadzają normalnemu zabudowywaniu się miasta i stolica brazylijska musi w swym rozwoju zapuszczać ulice i dzielnice swe naokoło ich stóp bez możności wdrapywania się na zbyt strome szczyty.

Niepojętem jest dla mnie, dla czego nie przyjęto propozycyi angielskich — prócz może zniesienia „Głowy Cukru". Ta bowiem, tworząc wraz z górami sąsiedniemi wrota zatoki, broni istotnie miasto i, gdyby umieszczono w jej łonie skalistem galerye z setkami armat, mogłaby się ona stać Gibraltarem brazylijskim. Lecz czyż szczęśliwa Ameryka będzie kiedykolwiek potrzebowała miejsc niezdobytych i czy niezadługo postępy techniki nowoczesnej nie doprowadzą niemal do zera wartość wojenną warowni takich nawet jak Gibraltar?

Rio de Janeiro ma wspaniałe ogrody, jak: aklimatacyjny, publiczny a przedewszystkiem botaniczny. Takiego pewnie niema na kuli ziemskiej; chyba tylko w Batawii. Bogactwo drzew, krzaków i innych roślin. zasadzonych porządnie i systematycznie z objaśnieniami łacińskiemi, jest niezmierne. Ogród taki, to istny raj dla ogrodnika i botanika. Zwykłego zaś śmiertelnika, nie mającego pojęcia o botanice, przepych oszołomi, a zahipnotyzuje na chwilę widok długiej alei palmowej, wyłożonej białym marmurem. Drzewa te są ogromnej wysokości, proste jak świece, z czubem liściastym. Szczególnie jedno odosobnione, odznacza się ogromnym wzrostem. Jest to sędziwa. lecz wcale czerstwa jeszcze matrona, najpierwsza z tego rodzaju palm pochodzenia afrykańskiego. Ma u stóp metrykę swoją, zapisaną na tabliczce.

Lecz przepych budynków, placów, pałaców i alei riożaneirowskich, choćby były stokroć nawet piękniejsze, są niczem wobec czarującej piękności okolic. Zatoka wygląda jak olbrzymie jezioro w Alpach o podłużnym kształcie i z tego powodu pierwszy jej odkrywca Cabral w 1532 r. wziął ją w styczniu (miesiącu zwanym po portugalsku Janeiro) za rzekę. Dla tego też zatoka i miasto zwą się „stycznioweni“ de Janeiro, a rzeczy i osoby dotyczące stolicy Brazylii, przezwane są „rzecznemi“ fluminense.

16. września. — Rio de Janeiro. Konsul austryacki.

Po stracie papierów polecających i paszportu w Udine, byłem w przykrem położeniu. Zadanie moje, dla którego przybyłem do Ameryki, przedstawiało się znacznie utrudnionem. Tem więc usilniej pragnąłem dostać nowe polecenia od reprezentacyi swego rządu austryackiego i od brazylijskiego. Niezwłocznie udałem się do generalnego konsula i ambasadora Austro-Węgier.

Pierwszy przyjął mnie wprawdzie grzecznie, dał dokładne wskazówki, kiedy zastać ambasadora w Petropolis (pół dnia jazdy parowcem i koleją żelazną od Rio de Janeiro), lecz bardzo nieszczególne sprawił na mnie wrażenie, jako źródło wiadomości o Brazylii, wychodźctwie z Austryi i kolonizacyi. Przypuszczam, że dzielnie się znał na handlu wielko-światowym i świetne były jego sprawozdania konsularne, a wysiliwszy się w tym kierunku, okazywał chińską zarozumiałość, niedołęstwo i klasyczną rutynę austryacką w sprawie wychodźctwa. Do istnienia takich urzędników przyczynili się poprzednicy ministra Gołuchowskiego. Oni to konsulom austryackim kazali się troszczyć jedynie o sprawy handlowe, a wychodźctwo uważać na nieistniejące, bo nie odpowiadało widokom rządu wiedeńskiego, który zawsze lubiał pozostawać w tyle o jedną ideę lub część stulecia.

Pan konsul raczył mi z punktu oświadczyć, że polscy wychodźcy, to „skończone bydło“, które nawet nie wie, że jedzie do Brazylii, Australii czy Afryki. Na dowód tego przytoczył fakt, że sam z nimi przyjechał przed kilku miesiącami, stykał się z nimi przez cały miesiąc podróży i przyszedł do przekonania, iż ci ludzie zawsze brudno się noszą, zupełnie niepodobna się z nimi rozmówić i porozumieć (po niemiecku) i wszyscy wreszcie na ziemi brazylijskiej bezwarunkowo muszą zginąć z głodu. Gdy przebąknąłem, że przecież od paru lat korespondowałem, siedząc we

Lwowie, z takimi kolonistami polskimi, którzy nie zdążyli jeszcze z głodu przenieść się na łono Abrahama, przerwał mi i niemal zakrzyczał swoim argumentem niezbitym, że zna Brazylię i wie co się w niej dzieje.

Widziałem przed sobą wspaniały okaz kulturtregera, dawno niewidzianego na tak bliską metę, dwóch kroków. W pierwszej chwili rozgniewało mnie to i uważałem za swój obowiązek dać siarczystą odpowiedź, zaostrzyć sprzeczkę, doprowadzić może do awantury. Na moje nieszczęście a właściwie szczęście, przybyłem do konsula z rodakiem p. J., muzykiem zdolnym, osiadłym od kilku lat w Rio de Janeiro. Ten, jako także „znający Brazylię“, wziął żywy udział w rozmowie i gorąco popierał przedstawiciela interesów ekonomicznych Austro-Węgier, twierdząc, że „każdy, który przybywa do Brazylii, musi umrzeć z głodu“. Co zamierzałem usta otworzyć, by nadmienić skromnie choćby tylko to, że mam przed sobą rodaków austryackich, którzy w rozmowie ze mną aż nadto dają znaków życia, rozpoczynał się duet unisono, uprzedzający każdą moją odpowiedź i każde moje zapytanie za pomocą dowodzeń niezdradzających najmniejszego wahania.

Ochłonąłem. Kulturtreger i emigrant, namiętnie zwalczający emigracyę, przestali mnie złościć, a zaczęli śmieszyć. Ciekawe okazy zwierząt wypycha się i wstawia do muzeów zoologicznych. Zapragnąłem wtedy namiętnie takiego udoskonalenia techniki, aby z dwóch moich interlokutorów można było aparatem kieszonkowym zdjąć szereg migawkowych fotografii, uchwycić całą naszą rozmowę w fonografie i dźwięki, dopiero co słyszane, na wieczną pamiątkę złożyć do odpowiedniego muzeum antropologicznego.

Ostatecznie zamilkłem, mile się uśmiechnąłem, podziękowałem za wyczerpujące wiadomości o wychodźcach austryackich i wyniosłem się. Nie miałem bowiem ochoty i czasu podjąć się wykształcenia 2 pełnoletnich mężów i zaniechałem na zarzuty brudu naszych emigrantów odpowiedzieć, że największy elegant w 3-ciej klasie parowca zderanżuje sobie zaraz toaletę przy ładowaniu węgla i że „bydło“ wiedziało o Brazylii stanowczo więcej od konsula, bo domagało się odwiezienia do Parany, nieznanej konsulowi prowincyi Brazylii. Opuszczając progi konsulatu, westchnąłem tylko z politowania nad instytucyą austryacką w Rio de Janeiro.

Nazajutrz udałem się do Petropolis, siedziby nie tylko ambasady Austryi i Węgier, ale niemal wszystkich innych poselstw, oraz wyższych dostojników Brazylii. Wyjechałem o 7-mej rano parostatkiem z północnego portu Maua. Piękna pogoda przedsta-

wiła mi zatokę riożaneirowską w całej jej okazałości. Wysepki, które mijaliśmy, nie są zbyt górzyste: śpiewałbym o nich gdzieindziej, lecz w zatoce riożaneirowskiej nie mogły zwracać mej uwagi na siebie.

Stada delfinów torowały nam drogę. Pływały jeden za drugim i po kolei wynurzały się z wody niby okrągłe tarcze z głową do góry po to, by za chwilę znowu okrągłym powolnym ruchem zanurzyć się w fali. Nasz parostatek, przeznaczony do wycieczek, z salonowo urządzonym niskim pokładem, był z przodu zakończony szeroko i okrągło bez baryerki ochronnej. Łatwo można było laską pluskać w wodzie marszczącej się lekko przed pochodem paroweczyka, nie przeznaczonego do bałwanów morskich.

Północny brzeg zatoki, do którego zmierzaliśmy, zmieniał się nam w oczach. Góry malały i odsuwały się w głąb. Sam brzeg okazał się niskim. Płaszczyzna moczadeł oddziela go od gór. Stanęliśmy przy nim około 10-tej; czekał na nas pociąg.

Jazda koleją żelazną do Petropolis trwała parę godzin. Przebiegliśmy najpierw płaszczyznę po przez moczary i krzaczaste zarośla; przez chwilę zatrzymaliśmy się u stromego podnóża niedostępnych na oko gór, zagradzających nam drogę; żadnego ujścia nie widziałem ani do ich wnętrza, a tem mniej do ich szczytów. Tymczasem, zamiast cofnąć się z powrotem, przyczepiono do przodu naszego pociągu specyalną lokomotywę o tylnych kołach znacznie większych od przednich, i przez to mocno pochyloną naprzód. Parowozy takie, których było kilka na stacyi podgórskiej, robią wrażenie elegantki podkasanej w kankanie, lub przy przejściu przez błoto. Elegantka gwizdnęła mezzosopranem i pociągnęła nas krętą drogą do głębi niespodzianych wąwozów pod górę.

Szybko okrążaliśmy wężowym ruchem ogromne stożkowate skały, coraz więcej strome ku szczytom. Od czasu do czasu otwierała się nam perspektywa na zatokę riożaneirowską, która stawała się coraz piękniejsza, im bliżej byliśmy nieba. Przy ostatnich zakrętach, o ile dym brunatny, pachnący węglem kamiennym od lokomotywy, nie szczypał mnie zbyt mocno w oczy, widziałem całą zatokę w drobnych rozmiarach, jakby przez tylną stronę lunety. „Głowa cukru“ na jej krańcu południowym wydała mi się naparstkiem na drobną rączkę, „Garbaty“, Corcovado kupką ziemi, pochyloną na zachód w dziecinnym ogródku. Stolicę Brazylii ledwie rozpoznawałem u stóp tych dwóch olbrzymów; znikała pod nadbrzeżnemi wyniosłościami, jak ledwo dostrzegalne istne gniazda jaskółcze.

Parowa elegantka gwiżdże tymczasem przeraźliwym niskim tonem coraz częściej. Wjeżdżamy wreszcie do osady Petropolis. Wtedy do świstu przyłącza się głos dzwonu, dźwięczącego na lokomotywie, jakby w kościele wiejskim na Anioł Pański. Pociąg wił się dokoła gór po przez gęsto zaludniony szmat ziemi, niby przez miasteczko, niby przez wille podmiejskie z ogrodami, niby przez miejsce kąpielowe w Europie, wreszcie zwolnił biegu i stanął.

Petropolis jest wielką i zamożną osadą. Była to z początku kolonia szwajcarsko-niemiecka, lecz teraz do jej środka przybyło na mieszkanie mnóstwo ludzi zamożnych wszelkiej narodowości, przeważnie Brazylian. Wysokie położenie daje tej okolicy klimat względnie chłodny i bardzo zdrowy. A pierwotni szwajcarsko-niemieccy osiedleńcy dostarczają przedniego nabiału możnym przybyszom. Wszyscy wysocy dostojnicy mieszkają tam stale, korzystając ze świeżego powietrza gór, zdala od żółtej febry. Wszędy widać pierwszorzędne hotele, eleganckie wille z pięknemi ogrodami, szerokie ulice, wygodne chodniki i wreszcie ładny gmach szkoły „Teuto-Braziliana“ (niemiecko-brazylijska).

Ambasador austryacko-węgierski, hr. Tevera, przyjął mnie uprzejmie. Uwydatniał on na każdym kroku zupełnie inną znajomość spraw światowych i brazylijskich, niż jeneralny konsul. Mylił się wprawdzie, przesadzając mi antagonizm między ministerstwami federalnemi stolicy brazylijskiej a urzędami pojedynczych stanów, zwłaszcza obecnie na południu Brazylii. Twierdził np., że polecenie z Rio de Janeiro ministeryalne, o które prosiłem, tylko może zaszkodzić u urzędów stanowych z powodu wielkiej niechęci pojedynczych stanów do stolicy.

Oświadczył mi, że nie otrzymał z Wiednia od hr. Gołuchowskiego żadnych wskazówek co do tego, żeby mnie polecić władzom brazylijskim i wogóle pomódz mi, i że znać mnie może tylko z paszportu prowizorycznego, wydanego przez konsula austryackiego w Genui, jaki miałem przy sobie. Wszelako przyobiecał zrobić dla mnie, „co będzie mógł“, a m. i. wystarać się o polecenia ministeryalne brazylijskie do prezydentów pojedynczych stanów. Wątpił przytem jednak, czy będzie mi mógł wyświadczyć jakąkolwiek przysługę istotną.

Po takiej odpowiedzi od urzędnika austryackiego wyszedłem rozczarowany i przygnębiony. Nad marnościami tego świata miałem czas rozmyślać aż do odejścia pociągu, t. j. do godziny 4-tej.

Czarne, smutne myśli opanowały mnie tak, że zjeżdżając z góry koleją i przesuwając się parowcem w rozkoszny wieczór po pięknem zwierciadle zatoki, nie zważałem już ani na cuda przyrody, ani nawet na uśmiechającą się ładnie Angielkę, towarzyszkę podróży. Cóż pocznę bez poleceń i bez znacznych środków pieniężnych? Jak objechać kolonie polskie, zbadać stosunki osadników, poznać warunki handlowe takiego olbrzymiego obszaru jak południowa Brazylia i Argentyna? Zdawało mi się, że rozbijam sobie głowę o mur granitowy.

Przybywszy wieczorem do hotelu w Rio de Janeiro, zastałem u siebie młodego Salezyanina z Turynu, ks. Trawińskiego. Była to pora obiadowa, zaprosiłem więc gościa. Przyjaciel „rodak“ kelner, raczył nas obficie potrawami nie kończącej się biesiady i polecił nam znakomite istotnie wino Oporto, którego przy ożywionej rozmowie wysuszyliśmy na poczekaniu 4 butelki... prawie bezwiednie. Oczom naszym nie dowierzaliśmy, widząc przed sobą na stole tyle bezdusznych trupów.

Przy darach Bożych prysnęła czarna rozpacz, tembardziej, że z rozmowy młodego kapłana zajaśniał mi promień nadziei. Trawiński bystro się oryentował w Brazylii po kilku miesiącach pobytu w Rio de Janeiro, S. Paulo i Paranie. Powracał do Europy z pięknemi trofeami myśliwskiemi i ciekawemi okazami flory i fauny brazylijskiej. Żałowałem w duchu, że to wszystko pozostanie we Włoszech a nic nie zabłąka się do zbiorów polskich; ale najmniejszej uwagi mu z tego względu nie zrobiłem, bo wszystkie jego zdobycze miały już swe przeznaczenie z góry.

Światły ksiądz ten zachwalał bardzo brazylijskiego ministra robót publicznych i komunikacyi, p. Antoniego Olyntho, jako przystępnego i sprzyjającego cudzoziemcom. Poradził mi go odwiedzić i w braku paszportu i papierów legitymacyjnych przedstawić mu szumny bilet wizytowy: Dr. Estanislau Kłobukowski, Director da Sociedade Polaca Geographica Commercial e membro do comite emigratorio em Lemberg Austria (Dyrektor Towarzystwa Handlowo-Geograficznego i członek komitetu emigracyjnego we Lwowie, Austryi). Uchwałę tę powzięliśmy z zapałem. Jakoż pełen jaśniejszych myśli, postanowiłem niezwłocznie nazajutrz udać się do pana ministra.

18.—23. września. — Minister Antoni Olyntho.

Znalazłem się więc niebawem w ministerstwie brazylijskim. Minister Olyntho, czy to uprzedzony przez hr. Taverę, (na co zdaje mi się nie było czasu), czy też od razu dobrze usposobiony z prostego wrażenia, przyjął mnie jak dobrego znajomego. Okazał się uprzejmym, słuchał mnie uważnie, chętnie wypytywał się i również uprzedzająco odpowiadał na zapytania. Mnie zaś usposobiła korzystnie dla niego wielka ufność jego do tego, co mu mówiłem, ufność daleka od półbarbarzyńskiej ostrożności i ceremonialności, jakąby mi zupełnie nieznanemu i po raz pierwszy widzianemu najniezawodniej okazał przeciętny minister europejski w podobnych okolicznościach. Dowody legitymacyjne, które zgubiłem w Udine, stały się zupełnie zbyteczne. Nie potrzebowałbym był ich wcale wydobywać z kieszeni, gdybym je miał przy sobie: więcej on wierzył słowom, niż zapisanej bibule. Efektowny może, lecz żadnego fałszu nie zawierający bilet wizytowy, był mi jedynym listem polecającym i tyle wartym dla niego, co polecenie od panującego.

Po paru posłuchaniach, minister dawał mi już widoczne znaki nawet swej przyjaźni. Zaprosił mnie do swej rodziny w stanie Minas Geraes (kopalnie ogólne), pod miastem Diamantina. Życzliwość ta może była cokolwiek interesowna, lecz w dobrem tego słowa znaczeniu. Jest on bowiem wielkim patryotą swego stanu, najludniejszego i bogatszego ze wszystkich brazylijskich. Choć z zawodu inżynier i przez to bardzo przystosowany do kraju ojczystego, pełnego pokładów wszelkich kruszców, zajmuje się żywo rolnictwem tamtejszem, które może istotnie rozwinąć się tam na niezmiernych obszarach. W stanie Minas Geraes, wielkim 2 razy jak Niemcy, a mającym tylko 4 miliony ludności, potrzebne są ręce robocze do kopalń i roli.

Chciał on tedy, bym w tamte strony z jego pomocą kierował wychodźców naszych. Ledwie oparłem się temu, walcząc ze wszystkich sił z jego argumentacyą i uprzejmością. Wymówiłem się koniecznością zwiedzenia wpierw stanu Parana i innych południowych brazylijskich, gdzie są już kolonie polskie i gdzie mam do załatwienia pilne interesa pieniężne. Szczególnie trudno mi przyszło toczyć walkę dyplomatyczną z nim, gdym nierozważnie wypowiedział prawdopodobieństwo przybycia 8 do 10 tysięcy

Galicyan w ciągu roku. Dostać naraz tyle rąk pracowitych dla Minas Geraes, byłoby to gratką nielada dla niego.

Jednak, mimo mej stanowczej odmowy namawiania rodaków do tego środka Brazylii, kazał wygotować mi ministeryalne polecenia do prezydentów stanowych i wybitnych osobistości południowej Brazylii. Wtedy zrodziła mi się w głowie myśl prawdziwie amerykańskiej czelności, t. j. utyskiwania na obszary brazylijskie i wielkie koszta lokomocyi po tych przestrzeniach, by potem prosić swego przyjaciela ministra o udzielenie mi wolnej jazdy parostatkami i kolejami żelaznymi Brazylii. Niezwłocznie zarządził udzielenie mi odpowiednich biletów. Na domiar uprzejmości kazał wydać dla 3 członków towarzystwa „Zgoda“ pozwolenie zwiedzania każdej chwili hotelu immigrantów na Wyspie Kwiatów, o co go także prosiłem. Członków tych zapragnął poznać; zaprezentowałem ich na następnej wizycie; byli to panowie Franciszek Krauze i Józef Poznański.

Ogromnie zainteresowałem pana ministra sprawą nawiązania stosunków handlowych z memi krajami ojczystymi. Dowiedziawszy się, że wiozę próbki towarów, zarządził częściowe zwolnienie cła od 5 pakunków. Gdy się udałem do urzędu celnego, przeprowadzono rewizyę moich kufrów i pak w sposób podobny do rozszarpywania baranów przez wilki. Wyjęto z nich wszystko, rozwiązywano, ważono, obliczano i ostatecznie wykombinowano, że mam zapłacić 400 milrejsów. Gdy jednak pokazałem list od ministra, popatrzono na mnie ze zdziwieniem. Urzędnik wydał mi zaraz skrypt uwalniający od cła 24 pak; zrozumiał mylnie, że tyle ich miałem ze sobą. Okazało się niestety, że miałem rzeczy, których sam minister nie mógł ochronić całkowicie od łakomej paszczęki celnej, jak wódki, buty, rękawiczki i książki oprawne i zapłaciłem tylko 90 milrejsów. W każdym razie po wizytach u ministra Olyntho, stanąłem na nogach jak kot, który spadł z 4-go piętra.

Po 10-ciu dniach pobytu w hotelu Garson, przeniosłem się do gościnnego lokalu „Zgody“, położonego blisko moich znajomych rodaków i miejsc, gdzie miałem najwięcej interesów do załatwienia.

24. września. — Zabezpieczenie przed cholerą. Wycieczka do Wyspy Kwiatów (Ilha das Flores) i Nicteroy.

Wychodźców naszych można było odwiedzać albo na Wyspie Kwiatów w wielkim hotelu emigracyjnym, oczekujących

statku, albo już na parowcu w chwili odpłynięcia na południe. Aby się więc dostać tam do nich z miasta, wypadało jechać parę godzin łódką. Albowiem wyspa ta jest dosyć oddalona od brzegu miejskiego Rio de Janeiro, a położona przy przeciwległym, blizko Nicteroy, przedmieścia stolicy.

Urządzono dla mnie w sześć osób wycieczkę do okrętów i do hotelu emigrantów. Już wsiadaliśmy do łódki około 10-tej rano, gdy mnie rodacy zapytali, czy już jestem po śniadaniu, (tj. rannym obiedzie), bo dopiero późno wieczorem około godz. 6-tej mieliśmy wrócić. Odparłem, że nie miałem czasu na obiad i że chętnie się godzę nie jeść aż do wieczora, byle tylko nie było opóźnienia. Uznano z powagą, że w takim klimacie, jak riożaneirowski, jest bardzo niebezpiecznie głodzić się i opadać ze sił, tak jak i nadużywać jedzenia, picia i życia.

Żółta febra bowiem podobno łatwiej chwyta i na tamten świat unosi organizm słaby, niż silny. Z jej uścisków ratuje się prawie na pewno każdy wypoczęty i zdrów, rzadko biedak zmęczony i cierpiący. Człowiek o siłach nadwątlonych niemal nigdy się jej nie oprze. Mikrob żółtofebryczny, gdy założy kolonijkę w organizmie ludzkim, osada ta rośnie w miarę gruntu podatnego, szczególnie w żołądku słabym. Kolonizacyę tę trzeba przerwać i wypędzić intruzów. Lecz operacyi wygnania gości nieproszonych słaba konstytucya nie wytrzyma. Może się ona wprawdzie zawsze udać w zupełności, lecz mała z tego korzyść, jeżeli pacyent umrze.

Bakcylus żółtej febry ma być bliskim kuzynem cholerycznego, czy nawet jest nim samym. Działa jednak na żołądek wręcz odwrotnie. Pokarm w nim twardnieje na kamień; kto go z siebie wyrzuci, ten się wyratował. W ciągu 3 dni sprawa się rozstrzyga. Od lekkiego bólu głowy dochodzi się do okropnego łamania w kościach, zwłaszcza pacierzowej. Walka życia z kostuchą nie trwa dłużej niż 3 doby. Tylko z jakie 6 tygodni potem trzeba się lizać z ran zadanych czubkiem kosy tej miłej pani.

Aby ta dama całkiem mnie nawet nie dosięgła, postanowiono wzmocnić mój organizm w dobrej restauracyi. Skutek odwracania grożącego mi niebezpieczeństwa był w każdym razie ten, że mi się istotnie potem świat przedstawiał różowo. Czułem wyraźnie, jak mi się wzmogła odporność na wszelkie mikroby i niebezpieczeństwa. Parłem do tego, żeby wsiąść na łódkę bez dalszej straty czasu.

Wkrótce więc opuściliśmy brzeg miejski koło urzędu cłowego (Alfandega) i popłynęliśmy morskim błękitem, przesuwając

się między okrętami różnej wielkości, zalegającymi zatokę. Wciąż na wszystkie strony rozlegały się gwizdania parowców, po których można poznać ich wielkość. Gwizdanie niskim basem oznacza wielkiego potwora morskiego nieraz o 2 kominach, małe parowce tną cienkiego kuranta.

Ponad statkami, ruszającymi się po błękicie siłą pary, żaglami i wiosłami, lata i skrzeczy mnóstwo rybitw, podobnych do białych jastrzębi z dzióbem w kabłąk i z skrzydłami długiemi a wązkiemi, lekko zakrzywionemi. Od czasu do czasu taki krogulec, jak kula z nieba, wpada do wody i po niejakim czasie wylatuje znów z niej do góry, trzymając rybkę w dziobie.

Zbliżyliśmy się do statku parowego brazylijskiego. Był na wyjezdnem do Paranagua (w stanie Parana). Zabierał moich towarzyszy podróży atlantyckiej do Parany, którzy poznali mnie i pytali się, czy z nimi nie pojadę. Kapitan nie pozwolił wstąpić na statek: opływaliśmy go więc wokoło, rozmawiając głosem podniesionym. Ktoby nie wiedział, że dzieli nas wysokość przeszło dwupiątrowa i nie rozumiał mowy polskiej, myślałby, że mało co brakuje do grubej awantury. Tymczasem były to serdeczne słowa powitania i pożegnania: „Jak pan się ma? Niech pan z nami jedzie! Kiedy to ujrzymy pana? Oj brak nam będzie pana! Jak się macie moi drodzy? Zobaczymy się z pewnością! Niezadługo pojadę też za wami!" Wypowiedziane to było jednak wrzaskiem używanym zwykle, gdy się mówi: Ty złodzieju! Umykaj, bo cię trzepnę!.

Odpłynęliśmy niebawem do Wyspy Kwiatów. Jest to uroczy kawałek ziemi, podobny do pierwotnego miejsca pobytu Adama i Ewy; szkoda tylko, że nie zawsze panują tam rajskie stosunki. Choróbki podzwrotnikowe, nadużycia urzędników i t. p., czynią z tego raju istne piekło. Jednak zastałem wszystko w porządku. Urzędnicy pokazywali mi kuchnię i zapasy żywności, opowiadali szczegółowo, co wychodźcy dostają na obiad i kolacyę. Grochy, fasole, ryże, mąki i t. p. w szufladach i skrzyniach w suchym stanie imponowały mi istotnie. Z rozmowy z ludźmi naszymi dowiedziałem się, że jak dotąd, karmiono ich nieźle, otaczano opieką i baczono na ich zdrowie. Zwiedziłem szpitale, rozmawiałem z chorymi, nigdzie żadne skargi nie dochodziły uszów moich. Obawiali się tylko niektórzy, czy ich nie zawiozą gdzieindziej, niż do Parany.

Życzeniu naszych wychodźców pod względem zmiany pieniędzy nie można było uczynić zadość: bardzo słusznie przeto zabroniono bez wyjątku wszystkim odwiedzającym wdawać się

w takie kombinacye po bardzo smutnych doświadczeniach. Zresztą pozwalano emigrantom co kilka dni udawać się do miasta pod wodzą kogoś, który im w bankach zmieniał pieniądze. Jeden z moich znajomych chodził za takim przewodnikiem i przekonał się, że zmiana była uskuteczniona zawsze jak najuczciwiej.

Z Wyspy Kwiatów popłynęliśmy łódką do Nicteroy (wymawiaj Niteroj, wyraz to indyjski), rodzaj przedmieścia Rio de Janeiro, położonego na przeciwnej wschodniej stronie zatoki. Po drodze mijaliśmy wyspy pagórkowate, pokryte nadzwyczaj bujną roślinnością (krzaków i drzew). Tworzą one wraz z górzystym lądem stałym — właściwie półwyspem wysuniętym między zatoką a oceanem — mnóstwo zatoczek zacisznych. Przejeżdżając koło jednej z nich widzieliśmy skład torpedowców brazylijskich — małą flotę łodzi ogromnych, dość niewinnie wyglądającą na tle spokojnego granatu wód oraz ciemnych zarośli górskich.

W Nicteroy, mieście sporem samem przez się, jest, jak sam to zauważyłem, cieplej i jaśniej niż w właściwem Rio de Janeiro. Ciepłe i świetlane dziecię ma być zdrowsze od swej macierzy. Nic w tem dziwnego. Przecinki żółtej febry nie znoszą słońca i jasności. Tylko w ciemnościach po zachodzie słońca i przed jego wschodem przy wielkiem gorącu prowadzą swe dzieło niszcząco kolonizacyjne w ciałach ludzi i zwierząt. Widzieliśmy w Nicteroy znaczne fabryki, ruch tramwajowy ożywiony, zakład OO. Salezyanów.

Jeżeli światło i ciepło wpływają na dobry humor, to w Nicteroy mieliśmy tego dowód. Dwóch młodych mulatów robotników czy wioślarzy, gdy wypytywaliśmy się o cenę przewozu czy o coś innego, zaczęło śmiać się tak serdecznie i głośno, że byliśmy tem zdziwieni. — Gdy było im postawić jakiekolwiek pytanie, następował wybuch wesołości jakiejś źrebięcej z wymachiwaniem rąk i tańcem brzucha, jak u opętanych. Mnie samemu zaczynało być wesoło, choć to z nas się naigrawali. Objaśniano mnie, że przyczyną śmiechu nie jest światło i ciepło, lecz bardzo zwykła ich głupota mulacka.

Parowce regularnie obiegają przestrzeń między Nicteroy a Rio de Janeiro: bieg ich trwa z jakie 3 kwadranse. Jednak z powrotem nie korzystaliśmy z nich, mając najętą własną łódkę i zamierzając wylądować w innej części miasta niż ta, do której przybijają parostatki powyższe.

Przepływaliśmy tuż przed zachodem słońca przestrzeń wprost wrót oceanowych zatoki. Fale morskie sięgały po za nie. Nasza

skorupka bujała się po nich niezbyt łagodnie. Był to oddech Atlantyku. Powróciliśmy do Rio o zmroku szybko zapadającym.

25. września. — Wycieczka na „Garbatego“ (Corcovado).

Wycieczka na Corcovado zajęła nam cały dzień. Jedzie się do samego szczytu „Garbatego“ parową kolejką. Jest to jedna z piękniejszych i nie męczących wypraw górskich. Pociąg wznosi się powoli z coraz wyższego miejscaa, coraz to nowe widoki górskie się odkrywają, góry rosną, olbrzymieją i pokazują się w właściwym swym majestacie. Nasuwają ci się na oczy coraz to nowe części zatoki. Jest chwila, kiedy krajobraz bardzo podobny jest do okolic jeziora genewskiego pod Montreux i Vevey. Przejeżdżasz wśród gęstych zarośli, kryjących od czasu do czasu budynki stacyjne, hotele eleganckie i grupy willi rojnie zamieszkałych.

Szczyt „Garbatego“ zaopatrzony jest w wielki hotel, restauracye i t. p., oraz w ogromną altanę postawioną przy brzegu prostopadłej straszliwej przepaści skalistej. Masz widok na morze po przez wszystkie góry okoliczne; unosisz się na orlej wysokości, ogarniając jednym rzutem oka zatokę w całej jej szerokości i długości aż po góry północne przeciwległe, ukrywające Petropolis. Z wysokości 710 metrów spoglądałem z tej altany na „Głowę Cukru“, wysoką tylko 385 metrów — przecięta była w pół przez tafelkę chmury przeźroczystej. Stwierdziłem naocznie, że olbrzymia ta skała tylko od tej strony t. j. od zachodu ma postać wyraźną stojącej głowy cukru, (z innego boku wygląda raczej jak pochylony naparstek, od morza zaś podobna jest do sfinksa bez głowy). Miasto Rio de Janeiro i Nicteroy widzisz, jak na dłoni.

Od strony południowej i południowo-zachodniej Corcovado sterczy zupełnie prostopadle od samego szczytu do dołu, na całą wysokość 710 metrów. Do jego podnóża dochodzi spokojnie zwierciadło wód jeziora słonego Rodriguez de Freytas, połączonego dawniej niewątpliwie z morzem, obecnie odłączonego od oceanu wąską a wysoką ścianą gór. Nad brzegiem tego jeziora szerokiemi pasami rozsiadły się przedmieścia stolicy — pasy te są, jakby łapami potwornemi pająka riożaneirowskiego, obejmującemi południową część podstawy Garbatego. Gdy spojrzysz z tej zawrotogłowej wysokości prosto na dół, ogromne tramwaye elektryczne, sprzężone po 3, wyglądają jak najdrobniejsze nam znane muszki —

pojedynczo przechodzący ludzie, jak punkciki czarne, ledwie dostrzegalne.

Ogólne wrażenie tych widoków przygłębia swą wielkością i rozciągłością, a zarazem podnieca wyobraźnię i skrzydeł jej dodaje do jakiegoś lotu w nieskończoność. Porywała mnie ochota rozpędzić się do przepaści i skoczyć w nią ze spadochronem. Do tracenia przestępców byłoby lepsze Corcovado od rzymskiej Skały Tarpejskiej. Z takiej wysokości kalectwo pewniejsze.

Schodząc z tej olbrzymiej góry oglądaliśmy wodociąg doprowadzający wodę do miasta. Wygląda on jak gruby mur różnej wysokości (1 metr — częściej 2 metry), który uchodzi i wznosi się w zakrętach tak jakby na małą skalę Mur Chiński. W środku na nim znajduje się wydrążony szeroki i głęboki rów, którym woda wali promieniem grubości pół Pełtwi lwowskiej, niebieskawa, przeźroczysta, źródlana. Pod wieczór zwiózł nas na dół do miasta pociąg zębatej kolei korkowadzkiej.

Dr. Stanisław Kłobukowski.

(Dalszy ciąg nastąpi).

Z życia Kajetana Węgierskiego

Pamiętniki i listy

WYDAŁ

Dr. Stanisław Kossowski.

(Ciąg dalszy).

Mardi à 4 h. apr. midi.

J'aime mieux reprendre la manière du journal quoique, par ce moyen, tu liras bien de choses inutiles — ou peu intéressantes. — J'aurais du moins le plaisir d'être plus long — temps en ta presence, et de l'occuper d'avantage. Dimanche nous partimes à 4 heures du matin de St. Pierre dans un canot, conduit par quatre Nâgres: et nous arrivâmes dans trois heures et demie au

---

Wtorek o 4-tej po połud.

Wolę powrócić do pisania dziennika, chociaż skutkiem tego będziesz czytać wiele rzeczy bezużytecznych albo mało zajmujących. Ja przynajmniej będę miał przyjemność pisać dłużej, z myślą o Twojej obecności, by więcej się zająć. W niedzielę odjechaliśmy o 4-tej z rana z Saint Pierre w łódce, pędzonej przez 4 murzynów: po 3 i pół godzinach przybyliśmy do Fort-Royal.

Fort-Royal. On côtoye, pendant six lieues environ, un pays inégal et assez bien cultivé: le beauté de la culture et la variété des arbres rend le paysage fort agréable. Là c'est des carreaux plantés en cannes de sucre, plus loin sont des cafayers; on voit de temps en temps des cocotiers, des palmistes et mille autre genres d'arbres à grandes familles, qui font un très bel effet. Le Fort Royal est un port, où se tiennent les vaisseaux pendant l'hivernage: la baie en est très vaste et fort commode. La ville est plus agréablement située que St. Pierre. — C'est ici que se font ces fameuses liqueurs, connues en France sous le nom des Liqueurs des Isles. Leur débit en est si considérable, qu'il est impossible à l'entrepreneur d'y suffire, et nous n'avons pas pu en avoir malgré nos meilleures recommendations. Du Fort Royal il n'y a que deux lieues au Lamentin. À une demi-lieue de ce bourg, la mer s'encaisse dans l'isle, et forme de petits canaux, qui sont bordés des deux côtés d'orangers, de citroniers, du bois d'Indes et d'un autre genre de bois, qu'on apelle pite, dont on fait des cordes et de cables. Le voyage est assez joli; il plairait d'avantage sans une immense quantité de marangorins et de nurestiques, qui vous devorent. Les Nègres qui nous

---

Około 6 mil płynie się brzegiem kraju nierównego i dość dobrze uprawionego: piękność uprawy i rozmaitość drzew czynią ten kraj bardzo przyjemnym. Widzi się tam grzędy zasiane trzciną cukrową, dalej są krzaki kawowe, od czasu do czasu widzi się drzewa kokosowe, palmy i tysiące innych gatunków drzew, należących do wielkich rodzin, które robią bardzo piękne wrażenie. Fort Royal jest portem, gdzie przebywają okręty w czasie zimowania. Zatoka w nim jest bardzo rozległa i bardzo wygodna. Miasto położone jest przyjemniej niż Saint Pierre. Wyrabiają się tu te sławne likwory, znane we Francyi pod imieniem Likworów Wysp. Pokup ich jest tak znaczny, że niepodobna jest przedsiębiorcy nastarczyć, i my pomimo najlepszych poleceń nie mogliśmy ich dostać. Z Fort Royal jest tylko dwie mile do Lamentin. O pół mili od tego miasteczka morze wciska się w wyspę, i tworzy małe kanały, które z obu stron są otoczone drzewami pomarańczowemi, cytrynowemi, indyjskiemi i innemi rodzajami drzew, które nazywają „pite“, a z których robią sznury i liny. Podróż jest dość ładną; podobałaby się jednak więcej bez olbrzymiej ilości marangorynów i nuwestików, które nas pożerają. Murzyni, którzy

menaient, étaient nuds, comme ils le sont à l'ordinaire: leurs dos étaient couverts de ces insectes, et cela ne les dérangea en rien dans leur ouvrage, tandis-que nous ne pouvions pas suffire à nous en débarrasser.

Cette manière de voyager nous a rapellé les canaux de Venise; si on batissait une ville dans cet endroit, c'en serait une assez bonne copie.

Au Lamentin nous montâmes à cheval, et après un voyage de trois quarts de lieues par un pays très agreable, nous arrivâmes à l'habitation de notre homme. J'ai été obligé d'y paraitre en pantalons et en petite veste de toile: mes gens avaient oublier de me donner un habit. On a poussé l'hospitalité jusqu'à me fournir de vêtement, et je suis mis aussi bien, qu'on peut l'être avec un habit emprunté. Hier je fus présent à la distribution des vivres qu'on donne aux Négres: elle se fait tous les lundis, on leur donne à peu-près quatre pintes de farine de manioc et deux livres de viande ou de morue pour la semaine. — C'était du boeuf salé, cette fois-ci. On etale sur une espèce de plateforme autant de portions qu'il y a de têtes: et on c o r n e le troupeau, pour l'avertir que tout est prêt. Environ deux cents de ces mal-

---

nam wiosłowali, byli nadzy jak zwykle: plecy ich były pokryte tymi owadami, co im wcale nie przeszkadzało w pracy, podczas gdy my nie mogliśmy wydołać w opędzaniu się.

Ten sposób podróżowania przypomniał nam kanały weneckie; gdyby w tem miejscu zbudowano miasto, byłoby ono dość dobrą kopią Wenecyi.

W Lamantin wsiedliśmy na koń i po podróży przez trzy ćwierci mili przez kraj bardzo przyjemny, przybyliśmy do posiadłości naszego człowieka. Musiałem tam pokazać się w spodniach i płóciennej kurtce: moi ludzie zapomnieli bowiem dać mi ubranie. Posunięto gościnność aż do dania mi ubrania i jestem odziany o tyle dobrze, o ile można nim być w ubraniu pożyczonem. Wczoraj byłem przy rozdawaniu pożywienia murzynom: odbywa się ono co poniedziałku; dają im około czterech kwart mąki maniokowej i dwa funty mięsa albo stokfisza na tydzień. Tym razem była to solona wołowina. Na pewnego rodzaju platformie rozkładają tyle porcyi, ile jest głów i trąbią na gromadę, aby ją uprzedzić, że wszystko jest gotowe. Około dwustu tych nieszczęśliwych przy-

heureux accoururent pour se saisir de cette méchante nourriture. J'en examinai leur contenance, et je ne leur ai remarqué ni empressement, ni dégoût: j'ai été fâché de leur voir si peu d'avidité; cela les aurait assimilé d'avantage aux animaux, aux quels ils ressemblent déjà de tant de manières. Le maître était présent à cette distribution. Il parait par tout ce que j'ai déjà vû et entendu, qu'il est humain, et qu'il regarde ces êtres, non pas tout-à-fait comme ses semblables (parceque cela est impossible ici) mais comme des animaux precieux, qu'il soigne et dont la conservation lui est importante. Aussi est — il recompensé de cette attention, son troupeau se multiplie, les naissances remplacent les morts, et le dispensent d'acheter de nouveaux esclaves: ce qui est une économie considérable: — les autres habitants de l'isle en perdent tous les ans la septieme et à St. Domingue la dixieme partie.

J'ai revé très long-temps à cette etonnante bizarrerie de la nature, qui a créée exprès une espèce d'hommes pour la rendre esclave de l'autre. Ce n'est pas la première fois que la profondeur des ses vues echappe à notre intelligence. J'ai aussi réfléchi sur le sort et la situation de ces malheureux: mais il me semble

---

biega, aby uchwycić to nędzne pożywienie. Przypatrywałem się ich zachowaniu i nie zauważyłem ani pospiechu, ani obrzydzenia: przykro mi było widzieć w nich tak mało chciwości: toby ich więcej zbliżyło do zwierząt, do których już z tylu względów są podobni. Właściciel był obecny przy tem rozdawaniu. Ze wszystkiego tego, co już widziałem i słyszałem, wydaje się on człowiekiem ludzkim i że uważa te istoty za niezupełnie sobie równe, (bo to jest tutaj niepodobne), ale za drogocenne zwierzęta, o które ma staranie i których zachowanie jest dla niego ważne. To też jest on wynagrodzony za te względy — jego stado pomnaża się, urodzenia zastępują śmierci i uwalniają go od kupowania nowych niewolników, co jest znaczną oszczędnością. — Inni mieszkańcy wyspy tracą ich co roku siódmą część, a w Saint Domingo dziesiątą.

Myślałem bardzo długo o tym zadziwiającym wybryku natury, który umyślnie stworzył rodzaj ludzi, aby go uczynić niewolnikiem innych. Nie po raz pierwszy ta głębokość jej dróg jest niedoścignięta dla naszego pojęcia. Zastanawiałem się także nad losem i położeniem tych nieszczęśliwych: ale zdaje mi się, że

que sous un maître raisonnable ils sont moins à plaindre que les paysans de Russie, de Pologne, de Hongrie et le dirai-je, plus heureux même que ceux de France. Ce qui nous les fait paraitre misérables, c'est que nous leur prêtons souvent notre façon de penser; nous leur supposons des idées sur la liberté, sur la proprieté qu'ils n'ont jamais connue, et qu'ils ne connaitraient pas même, restant dans leurs pays. Le mot d'esclavage nous revolte; mais outre que l'histoire nous aprend, que les nations les plus policées et les plus douces, ont toujours en des esclaves, que cela est presque un mal aussi inevitable à l'espèce humaine que la petite vérole, au quelque autre fléau. Nous ne pensons pas que ces gens là étaient esclaves chez eux, que nous le sommes nous-mêmes presque sur toute la terre, et qu'il n'y a aucune différence entre le Nègre, que l'on met aux fers pour quelque temps, ou à qui l'on donne quelques coups de fouet et un seigneur français, que le caprice d'un Roi et la faveur d'une maitresse, ou d'un ministre envoyent pourrire au fond d'un cachot, ou suspendre dans la cage de St. Michel. Cela révoltera un peu vos beaux messieurs; mais cela n'en sera pas moins vrai, moins evident. Quant à leur situation journalière, elle est sûrement cruelle

---

pod panem rozsądnym są oni mniej godni politowania, niż chłopi rossyjscy, polscy i węgierscy i co powiem, szcześliwsi nawet, niż chłopi francuscy. To co nam ich przedstawia nędzarzami, to jest ta okoliczność, że przypisujemy im często nasz sposób myślenia: my przypuszczamy w nich często pojęcia o wolności, o własności, której nigdy nie znali i nie poznaliby nawet, zostając w swoim kraju. Wyraz niewola nas oburza; ale historya nas uczy, że narody najbardziej ogładzone i najłagodniejsze miały zawsze niewolników, że to jest zło prawie tak nieuniknione rodzajowi ludzkiemu, jak ospa albo jaka inna plaga. My nie myślimy, że ci ludzie byli niewolnikami u siebie, że my sami nimi prawie jesteśmy na całej ziemi, i że niema żadnej różnicy pomiędzy murzynem, którego zakuwają na jakiś czas, albo któremu dają kilka uderzeń batogiem, a panem francuskim, którego kaprys króla lub względy kochanki albo ministra posyłają gnić w głębie lochu albo zawisnąć w klatce św. Michała. Podburzy to trochę waszych pięknych panów: ale będzie niemniej prawdą, niemniej widoczne. Co do ich codziennego położenia, jest ono z pewnością okrutne

sous des maîtres durs et féroces: mais quelle différence de leur sort, quand ils sont bien traités, à celui de la plupart des paysans de l'Europe. Le Nègre est toujours sûr d'avoir du pain pour subsister, de la toile pour se vêtir: Il n'est pas sujet au vingtième, ni aux tailles, ni à la gabelle. Les commis ne viennent point saisir ses meubles, ni sa charrue; la subsistance de ses enfants est aussi assurée que la sienne. Il a la certitude, que, si leur sort n'est pas meilleur, il ne sera pas pire que celui de leur père. Il n'y a pas de paysan, qui travaille moins qu'un Nègre, et il y en a sûrement, qui meurent de faim, ou qui s'abandonnent au plus affreux désespoir, voyant leur bien enlevé par des commis avides, ou leur maison renversée par quelque fléau de la nature. Sont-ils d'ailleurs plus libres que les Nègres? Ceux-ci dépendent d'un seul maitre, ceux-là sont le jouet de mille tyrans. Comptés-vous pour rien les désagréments, que leur donne les procès, les chicanes, la dureté du climat, sous lequel ils habitent, et mille autres inconvenients, que la proprieté attire? Combien peu pourraient étendre ces reflexions: mais bien peu de personnes savent peser sans prevention les biens et les maux des conditions humaines. On raisonne d'après les prejugés de son

---

pod panami srogimi i dzikimi; ale jaka różnica w ich losie, kiedy są oni dobrze traktowani, a losem większej części europejskich chłopów. Murzyn jest zawsze pewny, że ma chleb, aby żył, i płótno, aby się ubrał. Nie jest on poddany ani dwudziestemu rokowi, ani karbowi, ani podatkowi od soli. Urzędnicy podatkowi nie przychodzą zabierać jego sprzętów ani jego pługa; istnienie jego dzieci jest równie zapewnione, jak jego samego. Ma on pewność, że, jeżeli ich los nie będzie lepszym, to nie będzie gorszym od losu ich ojca. Niema chłopa, któryby pracował mniej od murzyna, a są z pewnością tacy, którzy umierają z głodu lub się oddają najstraszniejszej rozpaczy, widząc swoje mienie porwane przez urzędników podatkowych albo swoje domy zniszczone przez jakąś naturalną plagę. Czy są oni zresztą wolniejszymi niż murzyni? Ci ostatni zależą od jednego tylko pana, tamci są igraszką tysiąca tyranów. Czy za nic macie przykrości, jakie nastręczają im procesy, prześladowania, ostrość klimatu, w którym mieszkają i tysiące innych niedogodności, które sprowadza własność. Jak niewiele ludzi umiałoby rozszerzyć te rozmyślania; ale bardzo mało osób umie ważyć bez uprzedzenia, dobro i cierpienia warunków ludzkich. Roztrząsamy wedle przesądów naszego wycho-

education, ou l'on répète ce qu'on a entendu. Il faudrait d'ailleurs s'en prendre à la nature, d'avoir créé d'un côté des êtres assez imbecilles pour courber leur tête sous le joug et pour se vendre aux prix de l'or et de l'autre une espèce assez méchante pour profiter de cette faiblesse et faire de leurs semblables des instruments serviles pour leurs fantaisies et caprices.

2. Juillet, Mercredi.

Tu trouveras un terrible désordre et une singulière incohérence dans mes lettres: les matières ne s'y suivent pas et je ne soigne pas trop les transitions. Mais comme c'est à toi, que ces lettres sont écrites et qu'elles ne seront vues de personne, je suis tranquille sur ma reputation. Gardes-les pourtant je t'en prie: je serai charmé de revoir un jour les idées, que je jette sur le papier, d'après les impulsions, que je reçois des objets, qui me frappent. Nous relirons un jour ensemble ce journal; et en te serrant dans mes bras je dirai: Il est passé ce malheureux temps

---

wania albo powtarzamy, cośmy już słyszeli. Musielibyśmy zresztą mieć pretensyę do przyrody, że stworzyła z jednej strony istoty dość ciemne, aby schylić głowę pod jarzmem i sprzedać się za cenę złota, a z drugiej strony gatunek dość zły, aby korzystać z tej słabości i robić z równych sobie narzędzia poddane swojej fantazyi i kaprysom.

2. lipca, środa.

Ty znajdziesz straszny nieporządek i dziwny brak związku w moich listach: tematy nie następują po sobie i nie troszczę się o zmiany. Ale ponieważ do ciebie te listy są pisane i nie będą widziane przez nikogo, jestem spokojny co do swojej opinii. Zachowaj je jednakże, proszę Cię; będę szczęśliwy, gdy kiedyś odnajdę myśli, które dziś rzucam na papier wedle wrażeń, jakie odbieram z przedmiotów, które mię uderzają. Odczytamy kiedyś razem ten dziennik; a ściskając Cię w swoich ramionach, po-

d'absence; je suis près de mon amour, et je ne m'en séparerai jamais.

Je m'étais mis en chemin ce matin pour le Fort Royal, mais une terrible pluie survenue au tiers de ma route, m'a percée jusqu'aux os, et m'a forcé de rétourner à l'habitation. Fontenille qui s'était muni d'un manteau, a continué sa marche, comme il peut arranger sans moi notre passage. Je ne regrette pas du tout ce voyage; d'autant plus, que j'ai le loisir de t'écrire, étant le maître de la cure. Le patron de la maison et son fils, ont été voir le gouverneur, je m'en vais, par conséquent t'en faire les honneurs et te la montrer du grenier à la cave: cela sera bientôt fait, car le bâtiment n'est pas immense. Il consiste en trois galleries, dont la moyenne est partagée par des cloisons en trois pieces. La gallerie, qui est au vent, sert à prendre le frais dans la journée et de promenade, pendant le mauvais temps.

On couche dans les chambres, qui font le milieu et l'on prend les repas dans celle, qui est sous le vent. Toutes les habitations sont bâties sur ce plan, mais plus ou moins ornées, — selon le goût des proprietaires. Celle-ci est située dans un petit vallon très agréable. On se détourne du chemin et l'on tra-

---

wiem: przeszedł ten nieszczęśliwy czas rozłąki, jestem blisko mego ukochania i nie rozłączę się z niem nigdy.

Puściłem się dziś rano w drogę do Fort Royal, ale straszny deszcz, który mię złapał w trzeciej części drogi, przemoczył mię do kości i zmusił wrócić do mieszkania. Fontenille, który opatrzył się w płaszcz, poszedł dalej, ponieważ może bezemnie ułożyć nasz wyjazd. Nie żałuję wcale tej podróży, tem bardziej, że mam czas pisać do Ciebie, będąc panem swojej zagrody. Właściciel domu i jego syn poszli odwiedzić gubernatora, ja więc wskutek tego zrobię Ci honory i pokażę Ci ją od strychu aż do piwnicy: wkrótce to będzie skończonem, bo budynek nie jest ogromnym. Składa się on z 3 galeryi, z których najmniejsza podzielona jest przegrodami na 3 części. Galerya, która jest wystawiona na wiatr, służy do oddechania świeżem powietrzem w czasie dnia i do spacerowania podczas niepogody.

Spią w pokojach środkowych, a jedzą w bocznych. Wszystkie mieszkania są zbudowane według tego planu, ale mniej lub więcej ozdobione według gustu właścicieli. To położone jest w małej, bardzo przyjemnej dolinie. Aby tu dojechać, zwraca się

verse une allée de palmistes pour y arriver; tu ne saurais imaginer la beauté et la majesté de cet arbre. On ne se fait pourtant pas de scrupule de l'abattre, pour avoir un chou qui vient à son sommet et qui est un peu meilleur que le choux d'Europe. Les vergers, qui entourent la maison, sont pleins de tous ces arbres rares et curieux, que l'on conserve avec tant de soin dans nos serres. C'est un vrai jardin d'Eve excepté qu'il n'y a point de pommes pour les serpens; on en a tant qu'on veut, mais ils ne sont pas aussi aimable que celui d'Eve. Les Nègres en sont mordus très souvent et malgré des remedes connus, il en meurt beaucoup de ces morsures. Ces serpens sont pourtant de quelque utilité: ils devorent les rats, qui rongent les cannes. Outre les rats, les fourmis et mille autres insectes détruisent fréquemment cette culture délicate.

Les inondations viennent souvent noyer ce qui a échappé à cette premiere déstruction; mais c'est les ouragans, qui sont le fléau le plus à craindre. Leur saison approche maintenant et l'habitant tremble de voir à chaque instant, ses possessions voler au gré des vents, et détruire sa fortune et ses espérances.

Il a été envoyée une lettre ecrité le 8 Juill. à N.

---

z drogi i przechodzi się aleę palmową: Ty nie możesz sobie wyobrazić piękności i majestatyczności tego drzewa. Ścinają je jednak bez skrupułu, aby dostać kapustę, która rośnie na jego wierzchołku i jest trochę lepsza, niż kapusta europejska. Ogrody owocowe, które otaczają ten dom, są pełne wszystkich tych drzew rzadkich i ciekawych, jakie przechowują z takiem staraniem w naszych cieplarniach. Jest to prawdziwy ogród Ewy z wyjątkiem, że niema w nim wcale jabłek dla wężów; tych ostatnich znajdzie się w ogrodzie, ile się podoba, ale nie są one tak uprzejme, jak kusiciel Ewy. Murzyni są przez nie bardzo często kąsani i pomimo znanych środków wielka ich liczba umiera z tych ukąszeń. Węże te są niekiedy użyteczne: pożerają one szczury, które gryzą trzcinę cukrową. Oprócz szczurów, mrówki i tysiące innych owadów niszczą często tę delikatną roślinę.

Ulewy przychodzą często i zatapiają to, co pozostało po tej pierwszej niszczącej pladze; ale najniebezpieczniejszą plagą są huragany. Teraz zbliża się ich pora: mieszkańcy drżą na myśl ujrzenia lada chwila, jak ich mienia ulatują z wiatrem i ich nadzieje i majątek ulegają zniszczeniu.

Został posłany list pisany 8. lipca w N.

11. Juill au Fort Royal.

J'ai envoyé ce matin à St. Pierre une lettre pour toi, mais comme je n'ai rien de mieux à faire, et qu'il est impossible de sortir, à cause du mauvais temps, je me remets à t'écrire: dans l'espérance, que ce bavardage ne te déplaira pas et que tu me tiendras compte du plaisir, que j'ai à m'occuper de toi. J'ai vû le gouverneur — et notre départ parait être décidé pour lundi. Nous sortirons donc enfin de cette triste prison et j'aurai bientôt le plaisir de voir de ton écriture; car je ne doute nullement, qu'il n'y ait à St. Domingue plusieurs de vos lettres. — En attendant que je puisse avoir la satisfaction d'y repondre, je m'en vais me rapeler le peu de choses dignes de remarque, que j'ai vues, en te faisant voyager avec moi. Je voudrais te donner une idée juste de ce pays-ci et du caractère de ses habitants. La Martinique est de toutes les colonies françaises du vent la plus au sud: elle n'est qu'à 14 dégrés de la ligne. L'air y est pourtant assez salubre. Rien ne prouve mieux que c'est le sommet d'une montagne, dont le bas est couvert par la mer, que sa forme: elle est absolument en pente une chaine de montagnes la coupe

---

11. lipca w Fort Royal.

Posłałem dziś rano do Saint Pierre list do Ciebie, ale że nie mam nic lepszego do czynienia i wyjść jest niepodobnem wskutek niepogody, zasiadam na nowo do Ciebie pisać, w nadziei, że to gadulstwo Ci się podoba i że mi będziesz pamiętać przyjemność, jaką miałem, Tobą się zajmując. Widziałem gubernatora i nasz wyjazd zdaje się być naznaczony na poniedziałek. Wyjdziemy więc nareszcie z tego smutnego więzienia i wkrótce będę miał przyjemność oglądać Twoje pismo: bo nie wątpię wcale, że w San Domingo jest kilka Twoich listów. — Zanim będę miał przyjemność odpowiedzieć Ci, postaram się przypomnieć sobie niewiele rzeczy godnych uwagi, ktore widziałem i tym sposobem zmuszę Cię do podróżowania ze mną. Chciałbym Ci dać wierne wyobrażenie o tym kraju i o charakterze jego mieszkańców. Martynika jest ze wszystkich kolonii francuskich najbardziej wysunięta na południe: leży ona tylko o 14° od linii. Powietrze na niej jest jednak dość zdrowe. Nic nie dowodzi lepiej jak jej kształt, że jest to wierzchołek góry, której dół okryty jest morzem; jest ona całkiem pochyłą. Łańcuch gór przecina ją w roz-

en différents sens: les bords de la mer et presque toutes les déclivités sont plantées en cannes de sucre; les cafeyers couvrent les parties les plus élévées des Mornes. Leurs sommets ne sont point cultivés. Depuis l'ouragan de (1766) l'isle ne s'occupe plus de l'indigo. Il y a quelques cacaoyers, mais cette partie de culture est peu considérable. Le caffé de la Martinique, surtout celui des „Ances d'Arlets" s'approche le plus de celui de Mocca. „Marie Galante" en fournit aussi de très bon. Le tabac du pays est fort estimé. Tu connais celui de „Macouba" (j'espère, que tu n'en prends point) c'est une pointe de la partie orientale de l'isle, qui le fournit.

Le carret ou l'écaille d'une certaine tortue fait aussi une petite branche de commerce. Quelques restes de bois, qui ont échappé à la hache des défricheurs des liqueurs, qui ne se fabriquent qu'au Fort Royal leur apportent encore quelque argent. Le paysage est partout très agréable: les cocotiers, les palmistes, les tamarins ornent merveilleusement la campagne. Quoique l'argent soit très abondant et que toutes les denrées y soient chères, les fortunes des habitants ne sont point considérables. Il n'y a pas trois colons, qui pourraient jouir de 80.000 liv. de

---

maitych kierunkach; brzegi morza i prawie wszystkie pochyłości są zasadzone trzciną cukrową: drzewa kawowe pokrywają najwyższe części gór. Wierzchołki ich nie są wcale uprawiane. Od czasu huraganu z r. 1766 wyspa nie zajmuje się więcej uprawą indyga. Jest kilka drzew kakaowych, ale ta część uprawy jest mało znaczną. Kawa Martyniki, szczególnie kawa z „Ances d'Arlets" jest najbardziej zbliżona do Mokki. „Marya Galante" dostarcza także bardzo dobrej. Tytoń tego kraju jest bardzo ceniony. Ty znasz tytoń z Macouby, (mam nadzieję, że go nie używasz), dostarcza go wschodni kraniec wyspy.

Carret albo skorupa pewnego żółwia stanowi także małą gałęź handlu. Pewne ostatki drzew, które uniknęły topora fabrykantów likworów, jakie wyrabiają się tylko w Fort Royal i przynoszą im trochę pieniędzy. Krajobraz jest zawsze bardzo przyjemny: drzewa kokosowe, palmy i tamaryksy zdobią cudownie pola. Chociaż pieniądze są tu w obfitości i choć wszystkie wiktuały są bardzo drogie, majątki mieszkańców nie są wcale znaczne. Nie ma trzech kolonistów, którzyby mogli posiadać 80.000 funtów do-

revenu en France. Les ouragans, qui désolent très fréquemment le pays, renversent et détruisent en un instant le fruit et le soin d'un demi siècle. Les habitants se souviennent avec effroi, de celui de 1766 quoiqu'ils en comptent cinq depuis. En général, l'isle devient de jour en jour moins importante des terres y dégenerent; la culture devient plus pénible et moins fructueuse: les fréquens coups de vent, qui renservent souvent les maisons, la mortalité des Nègres, — obligent les habitants à des dépenses toujours nouvelles, et les jettent dans des emprunts, qui les rendent pour la plupart insolvables. Il ne serait pas déraisonnable d'assurer, qu'avant que deux siècles s'écoulent, les isles du vent, qui ont été la cause ou le théâtre des guerres sanglantes, qui ont absorbé et fait périr de millions d'hommes seront abandonnées, si elles ne disparaissent pas tout-à-fait de la surface des eaux.

Je n'ai jamais pû apprendre, d'où vient le mot Créole, qui désigne l'habitant né aux Antilles. Quoiqu'il n'y ait pas une différence totale entre cet être et un Européen, il ne laisse pas d'y avoir des nuances très marquées entre eux. Le Créole ressemble pourtant assez à l'Espagnol. Plus fier et aussi paresseux

---

chodu we Francyi. Huragany, które niszczą bardzo często kraj, niszczą i znoszą w jednej chwili owoc i staranie półwiekowe. Mieszkańcy przypominają sobie ze strachem huragan z 1766 r., chociaż liczą ich od tego czasu pięć. Wogóle wyspa staje się z dnia na dzień mniej ważna, gdyż ziemia na niej upada; rolnictwo staje się na niej uciąźliwsze i mniej korzystne: częste podmuchy wiatru, które przewracają nieraz domy i śmiertelność murzynów, zmuszają mieszkańców do coraz nowych wydatków i wciągają ich w długi, które czynią ich po większej części niewypłacalnymi. Nie byłoby bezmyślnem twierdzić, że przed upływem 2 wieków wyspy wietrzne, które były przyczyną albo teatrem krwawych wojen i które pochłonęły i zaprzepaściły miliony ludzi, będą opuszczone, jeżeli przedtem nie znikną zupełnie z powierzchni wód.

Nigdy nie mogłem się dowiedzieć, zkąd pochodzi wyraz „Kreol", który oznacza mieszkańca, urodzonego w Antylach. Chociaż nie ma zupełnej różnicy między tą istotą a Europejczykiem, są jednak między nimi odcienia bardzo wyraźne. Kreol jest dość podobny do Hiszpana. Bardziej dumny, ale równie leniwy

que lui, il n'est ni aussi brave ni aussi patient. Fonder la défense des isles sur des regiments ou sur la milice du pays, c'est les exprès — important au colon, qui cultive du sucre ou du caffé, d'apartenir au Francais, ou à l'Anglais — pourvû qu'il vende sa denrée. Il n'ira sûrement pas risquer par une défense inutile la déstruction de ses plantations. Il serait non seulement prudent, mais indispensable pour les puissances, qui possedent les isles où vent, de leur assurer une neutralité éternelle: la guerre ne peut en aucune manière leur être avantageuse et le passage continuel d'une domination à l'autre, arrête la culture et nuit au commerce de la metropole. Tout le luxe des habitants se réduit à la parure des femmes; l'excessive cherté des étoffes des Indes, dont elles font ici le plus d'usage et les caprices de la mode en ce genre, rendent cet objet très considérable. Une Négresse cher qui nous sommes logés, porte des jupes de 40 louis; son linge et les mouchoirs, dont elle pare sa tête, sont d'une très grande beauté et d'un prix proportionné. Sa fortune est pourtant très médiocre.

---

jak on, nie jest ani tak dzielny, ani tak cierpliwy. Zasadzać obronę wysp na pułkach lub na milicyi kraju, jest to — polegać na posłańcach ważnych dla kolonisty, który uprawia cukier albo kawę należącą do Francuza lub Anglika, pod warunkiem, że sprzeda swoje produkty. On z pewnością nie zaryzykuje ruiny swoich plantacyi przez bezużyteczną obronę. Byłoby nie tylko ostrożnem, ale niezbędnem dla mocarstw, które posiadają wyspy wietrzne, zapewnić im wieczną neutralność; wojna nie może w żaden sposób być dla nich korzystną i przechodzenie ciągłe z jednego panowania pod drugie, wstrzymuje uprawę i szkodzi handlowi metropolii. Cały zbytek mieszkańców ogranicza się na ozdobach kobiet; nadzwyczajna drożyzna materyi indyjskich, które im tu najbardziej służą i wybryki mody w tym rodzaju, czynią ten przedmiot bardzo cenionym. Murzynka, u której mieszkaliśmy, nosi spódnice po 40 luidorów; jej bielizna i chustki, któremi zdobi swą głowę, są bardzo piękne i ceny średniej, jej majątek jest jednak bardzo mierny.

Le 12. Juillet, Samedi.

La manière, dont les habitants sont logés et nourris, est, on ne peut pas plus, mesquine; et leurs meubles et leurs ustensiles ne seressentent point du tout de l'opulence. La plupart des négociants de St. Pierre sont des commissionaires: cette manière de commercer est sûre et lucrative, mais les grandes fortunes ne se font que par des speculations — seul genre, qui fait d'un marchand un homme respectable. La vanité d'avoir un très nombreux domestique, les pertes fréquentes des Nègres, qu'ils achetent très-cher, le grand prix des denrées d'Europe, qu'ils consomment: tout cela absorbe leurs petits gains de l'année et leur ôte les moyens de s'élever à l'opulence.

Pour vous faire connaître le caractère des Nègres, je vous reporterai quelques traits, qui m'ont été contés par des personnes, dignes de foi. Un riche habitant, nommé Mr. Desbarrieres, laissa en mourant à son fils un attelier nombreux et proportionné à l'établissement de l'habitation. Parmi ses esclaves, il y en avait un, qui depuis plusieurs années, s'était distingué par son entendement et son application. Le fils s'en allait en France, pour

---

12. lipca, sobota.

Sposób, w jaki mieszkańcy mieszkają i żywią się, jest w najwyższym stopniu lichy, a ich sprzęty i naczynia nie są bynajmniej obfite. Większa część kupców z St. Pierre to komisanci: ten sposób handlowania jest pewny i korzystny, ale wielkie fortuny zdobywają się tylko wskutek spekulacyi. Jedyny rodzaj, który robi z kupca człowieka szacownego. Próżność posiadania wielkiej ilości służących, częsta utrata murzynów, których kupują bardzo drogo, wysoka cena wiktuałów europejskich, które spożywają, wszystko to pochłania ich mały roczny zarobek i pozbawia ich środków wzniesienia się do przepychu.

Aby dać wam poznać charakter murzynów, powtórzę wam kilka rysów, o których mi opowiadały osoby zasługujące na wiarę.

Pewien bogaty mieszkaniec, zwany pan Desbarrieres, umierając, zostawił swemu synowi pracownię liczną i odpowiednią do posiadłości mieszkania. Pomiędzy jego niewolnikami był jeden, który od kilku lat wyróżnił się przez swoją pojętność i pilność. Syn odjeżdża do Francyi, aby zaś wynagrodzić swego murzyna,

récompenser le Nègre, le fit econome ou gérant-place, qui ne se confie qu'à des blancs. Au bout de six mois, le possesseur revint et parut être mécontent de la manière, dont les affaires avaient été administrées dans son absence.

Le Nègre, pour toute reponse, empoisonna 36 personnes, parmi les quelles était sa propre fille et deux de ses frères. Il aurait fini par tuer tout l'attelier, si l'on ne s'était pas aperçu de la cause de cette mortalité. On prétend, que ces exemples ne sont pas rares et n'arrivent que par des Nègres, que l'on traite avec distinction et à qui on accorde sa confiance. La porte à côté de la maison, où j'etais logé à St. Pierre, demeurait un tonnelier. Il avait un Nègres, dont il avait refusé 12.000 francs. Un matin on vint nous dire, que ce malheureux, après avoir assassiné deux de ses compagnons, s'était coupé la gorge, — uniquement pour faire niche à son maître. La plus grande partie d'entr'eux s'accouplent sans amour, sans goût, et mûs seulement par une espèce d'instinct, qui est plus sensible dans certaines saisons. D'autres donnent des preuves d'une délicatesse de sentiments et d'une passion violente, qui ferait honneur au siècle présent.

---

uczynił go ekonomem czyli rządcą, — miejsce, które się powierza tylko białym. Po sześciu miesiącach właściciel powrócił i zdawał się być niezadowolony ze sposobu, w jaki interesy były prowadzone w czasie jego nieobecności.

Murzyn za całą odpowiedź otruł 36 osób, pomiędzy którėmi była własna jego córka i dwaj jego bracia. Byłby wkońcu wymordował całą pracownię, gdyby się nie byli spostrzegli, jaka była przyczyna tej śmiertelności. Utrzymują, że podobne przykłady nie są rzadkie i wydarzają się tylko przez murzynów, których wyróżniają postępowaniem i obdarzają zaufaniem. W bramie obok domu, w kórym mieszkałem w Saint Pierre, mieszkał bednarz. Miał on murzyna, za którego dawano mu 12.000 franków, co on jednak odmówił. Pewnego poranku powiedziano nam, że ten nieszczęśliwy, zamordowawszy dwóch ze swoich towarzyszy, przeciął sobie gardło, wyłącznie, aby zrobić psikusa swemu panu. Największa część z nich żeni się bez miłości, bez upodobania, popychani tylko rodzajem instynktu, który staje się czulszym w pewnych porach roku. Inni dają dowody delikatności uczuć i gwałtownego przywiązania, jakie przynosiłoby zaszczyt obecnemu wiekowi.

Un jour, que je me promenai sur les bords de la mer, je m'arrêtai pour voir une vente de ces malheureux. Une vieille démoiselle, après avoir examiné, retourné et tâté un grand et beau Nègre, tout nu, l'acheta 1.700 francs et dans le même temps, un habitant fit aquisition, pour une moindre somme, d'une assez jolie Nègresse, maîtresse ou femme de celui, que la démoiselle venait d'acheter. Les aquéreurs, amenaient chacun leurs bêtes, lorsque les amants, s'apercevant qu'on les séparait, poussaient des hauts cris et des hurlements affreux, — l'homme courut embrasser son amante et la tint si étroitement serrée, qu'on ne put l'en arracher, quelques efforts que l'on fit, mais enfin cedant à son désespoir, il se précipita contre un pilier et se serait cassé la tête, si on n'ent amorti le coup, en l'arrêtant par les bras. Il tomba pourtant sans connaissance et les assistants, que ce spectacle avait attires, persuaderent à la démoiselle de ceder son homme à celui, qui avait acheté la Nègresse; ce qu'elle fit d'assez mauvaise grâce. J'imagine, que ces malheureux amants eurent bien de la joie de se trouver ensemble; mais je ne pus savoir, si le Nègre a survecu au coup, qu'ils s'était donné. Il n'y a rien de si curieux, que la vue d'une vente de cette espèce. Toutes ces

---

Pewnego dnia, gdy przechadzałem się na brzegach morza, zatrzymałem się, aby zobaczyć sprzedaż tych nieszczęśliwych. Pewna stara panna opatrzywszy, wykręciwszy i obmacawszy wielkiego i pięknego murzyna, który był całkiem nagi, kupiła go za 1.700 franków i w tym samym czasie pewien krajowiec nabył za mniejszą sumę dość ładną murzynkę, kochankę czy żonę tego, którego owa panna przed chwilą kupiła. Nabywcy uprowadzili każdy swoje bydlę, gdy kochankowie spostrzegłszy, że ich rozłączają, zaczęli wydawać głośne krzyki i straszne wycia — mężczyzna pobiegł uściskać swoją kochankę i trzymał ją tak mocno przyciśniętą, że nie mogli jej od niego oderwać, pomimo wysiłków, jakie czyniono, lecz w końcu ulegając rozpaczy, cisnął sobą o słup, i byłby sobie rozbił głowę, gdyby nie złagodzono ciosu, wstrzymując go za ramiona. Padł jednak bez zmysłów, a obecni, których to widowisko ściągnęło, namówili pannę, aby ustąpiła swego człowieka temu, który kupił murzynkę; uczyniła to dość niechętnie. Wyobrażam sobie, że ci nieszczęśliwi kochankowie mieli wiele radości odnajdując się razem, ale nie mogę wiedzieć, czy murzyn przeżył razy, które sobie zadał. Nic niema ciekawszego, jak ulica w czasie sprzedaży tego rodzaju. Wszystkie te

créatures sont nues absolument; et telle matrone respectable, va examiner, lunettes sur le nez, jusque dans les parties les plus cachées, si les Nègres, qu'elles vont acheter, n'ont pas de défauts, qui les empêcheraient de travailler. Ce qui est encore bien singulier, c'est que cela parut très simple aux assistants, et qu'aucun d'eux ne trouvait extraordinaire cette cérémonie, qui me faisait mourir de rire. On remarque en général, que les Européens, qui viennent s'établir ici, et les Nègres, qui ont acheté leur liberté, traitent plus durement leurs esclaves, que les Créoles, quoique ceux-ci les taillent et les assomment très souvent. Mais en voilà assez sur cette matière — et même trop. Il est vrai, que tu as la ressource de ne pas lire tout ce fatras: Tu ferais même bien de sauter par dessus et ne jetter les yeux, que sur les phrases, qui expriment mon tendre attachement et qui te prouvent combien tu m'est chère.

---

istoty są kompletnie nagie; i taka matrona szanówna idzie badać z okularami na nosie, aż do części najbardziej ukrytych, czy murzyni, których mają kupić, nie mają braków, któreby im przeszkadzały pracować. Co jest jeszcze bardzo dziwnem, że to się wydało obecnym całkiem naturalne i że żaden z nich nie widział nic nadzwyczajnego w tej ceremonii, która mnie przyprowadzała prawie do skonania ze śmiechu. Mniemają wogóle, że Europejczycy, którzy przyjeżdżają tu się osiedlać i murzyni, którzy kupili swoją swobodę, traktują okrutniej swoich niewolników niż kreolowie, chociaż ci ostatni obarczają ich pracą i mordują bardzo często. Ale dość już w tym przedmiocie, a nawet za dużo. To prawda, że Ty masz środek nieczytania tej całej pisaniny. Zrobiłabyś nawet dobrze, gdybyś przeskakiwała przez nie i rzucała oczy tylko na te zwroty, które wyrażają moje czułe przywiązanie i które Ci dowodzą, jak mi jesteś drogą.

(Ciąg dalszy nastąpi).

Sofiści, a oświata helleńska.

(Dokończenie).

W głośnym sporze pomiędzy prawem ustanowionem, pisanem czy obyczajowem (nomos) z jednej, a przyrodzonem (physis) z drugiej strony, Protagoras i Sokrates zarówno nie uznawali jakiegoś prawa przyrodzonego w stosunkach ludzkich zgodnie z Gorgiasem, który napisał rzecz; O przyrodzie lub o niebycie, a przeciw orędownikowi przyrody Hippiasowi; stawiali zaś ponad pisanemi i nadanemi prawami niepisane wszechprawa boskie (ágraphoi nomoi), któremi — podług słów Heraklita — wszystkie ludzkie prawa się żywią, a których Ateńczycy — jak świadczy Perykles w mowie pogrzebnej u Tucydydesa — przedewszystkiem słuchali. Z równym pozorem słuszności można było oskarżać Protagorasa, że nowe prawa wprowadza, jak Sokratesa oskarżono, że nowe wprowadza bóstwa. Obaj bowiem szukali prawdy nie w przepisanej z góry prawowierności wschodniej, np. Egipt poniekąd był dla Platona ideałem, .lecz w pogodzeniu i rozwiązaniu przeciwieństw myśli w wyższej jednocie, gdyż każda rzecz ma dwie strony różne, nie jedną, jak na Wschodzie, co zauważył trafnie Burckhardt (Griech. Kulturgesch. I, 320). Wbrew tradycyjnym tedy prawom i bogom i wbrew przyrodzie znaleźli obaj we własnym duchu ostoję, zarazem pokrzepienie u źródła samego: w prawie odczutem bożem, z którego płyną wszystkie człowiecze prawa i w tym tajemniczym głosie bożym wewnętrznym (dajmonion),

który przetłumaczono świetnie jako „das Göttliche von allen Göttern“. To samo wyrażenie o bożem dziedzictwie ludzi, o theia moira, spotyka się tak u Protagorasa jak Sokratesa i nie powinno zadziwiać w czasach, kiedy burzono przedział między bogami a ludźmi, głosząc: wszystko jest boskie oraz wszystko jest ludzkie, kiedy Perykles wielbił poległych pod Samos, że jak bogowie stali się nieśmiertelnymi.

Tu już wkraczamy w dziedzinę mistyki, zawsze i wszędzie dążącej do zespołu i duchowego pokrewieństwa człowieka z bóstwem. Tego rodzaju teozoficzne tendencye w VI. i V. stuleciu przed Chr. są dowiedzione w rozkrzewieniu po Grecyi, względnie odżyciu, orgiastycznych kultów chtonicznych tudzież wierzeń orfickich, które np. w porównaniu z bakchickim kultem miały o wiele głębszy i czystszy, uraniczny początek. Owo silne wezbranie oraz napięcie uczucia religijnego i reformacyjne dążenia musiały znacznie oddziałać na cały rozwój filozoficznej myśli helleńskiej od pandajmonizmu Talesa aż po dajmonion Sokratesa. Wobec tego co najmniej dziwnie uderza, że nawet w najznakomitszych dziełach wciąż jeszcze przychodzi czytać o intellektualizmie epoki, która wydała sofistów i Sokratesa, o „hochgesteigerte Schätzung alles Verstandesmässigen“, o „überstarke Hochschätzung des Verstandes“, o „rationelle Einsicht und Rationalisierung aller Lebensverhältnisse“ i to w wieku niezwykłej potęgi i podniesienia ducha ludzkiego, w wieku, w którym żyć było danem takim, jak Protagoras i Sokrates, genialnym osobistościom. Można wyjaśnić w części ów objaw racyonalizmem lub historyzmem samych badaczy, którzy t. zw. Geisteswissenschaft poświęciwszy dla panującej dzisiaj Geschichtswissenschaft, zamiast najistotniejsze i najwewnętrzniejsze dajmonion Sokratesa uważać za poruszającą sprężynę w jego duchowym ustroju, poniżyli głos boży do tajemniczej, nic nieznaczącej roli przeżytka w jego etyce, nibyto racyonalistycznej, do drobnej reszty niemal w rachunku jakiegoś teoretyka-racyonalisty!

Mistycyzm uprawiali poeci-filozofowie eleaccy: zarówno Xenofanes jak Parmenides, tem się różniący zasadniczo od mistycyzmu Heraklita i Empedoklesa, że Eleaci monistycznie twierdzili, nawiązując do wiary ludowej o podziemiu, iż wszystko z ziemi pochodzi i do ziemi też wszystko wraca; tymczasem tak Heraklit jak Empedokles nie uznawali podziemia, lecz idąc za podnioślejszą orfiką, przyjmowali dwoisty, tytaniczny początek ludzi na podobieństwo Tytanów, synów nieba i ziemi, złożonych z ciała, które

należy do ziemi i z duchowego pierwiastka, który pochodzi z nieba i do nieba powraca. Podług orfickich przekonań ziemia i niebo są zależnymi od siebie współczynnikami. u Heraklita taż sama droga z ziemi do nieba zowie się ano, w górę, co z nieba na ziemię kato, na dół, a Empedokles przez kato (na dół) rozumie nie podziemie, lecz ziemski padół płaczu. Natomiast Xenofanes i szkoła Eleatów od ziemi się nie odrywają: co jest na ziemi, jest ano; kato, co jest pod ziemią. Musimy zatem przyjąć dwa całkiem odrębne i nawzajem się wyłączające kręgi, które myśl grecka, jak wogóle ludzka, zataczała, a mianowicie: jeden z nieba na ziemię i z ziemi do nieba, drugi z podziemia na ziemię i z ziemi do podziemia. Stąd dwojakiego rodzaju bóstwa i kulty: uraniczne, nadziemskie i podziemne, chtoniczne.

Sofiści, zajmujący się egzegezą mitów i intepretacyą poetów, musieli „łamać, czego rozum nie złamie; tam sięgać, gdzie wzrok nie sięga". Zarzut zaś, podnoszony przez zacofańców ateńskich przeciw Sokratesowi, jakoby zbadał wszystko na niebie i pod ziemią, tak dobrze jego się tyczy, jak i reszty sofistów. Sercem przeczuwać, pożądać wolą tam, gdzie nie można myślą się dorozumieć, wogóle całą duszą spodziewać się rozwiązania dręczącej umysł zagadki życia — oto były znamiona czasu, który lubował się w misteryach, w orfickich i dyonizyjskich nastrojach, czasu, który wydał sofistów, żywiących z Heraklitem nadzieję, że ludzi czeka po śmierci, czego nie spodziewają się ni przypuszczają; atoli kto nie spodziewa się, ten nic niespodziewanego nie znajdzie, gdyż ono nie da się zbadać ni dowieść.

Gomperz w swem znamienitem dziele (Griech. Denker I, 361) wyraził bystro uzasadniony domysł, że Protagoras byłby się zgodził z temi słowami, które napisał Ernest Renan na krótko przed śmiercią w r. 1892., a które brzmią w przekładzie niemieckim, jak następuje: „Wir wissen nichts; das ist alles, was man mit Bestimmtheit über das aussagen kann, was jenseits des Endlichen liegt. Behaupten wir nichts, leugnen wir nichts, hoffen wir". Obok powyższych słów, które tak doskonale licują z nadzieją, podkreśloną przez Heraklita i słynnem Sokratesa wyznaniem: Tyle wiem, że nic nie wiem, przytaczam bardzo zbliżone godło poety Sofoklesa, jednego z najpobożniejszych, znane z fragmentów: „Uczę się, czego można nauczyć się; szukam tego, co można znaleść; czego zaś można jedynie pragnąć, o to się modlę do bogów". Porównano z tem powiedzeniem wysłowienie Goethego: „Das schönste Glück des denkenden Menschen ist, das

Erforschliche erforscht zu haben und das Unerforschliche ruhig zu verehren". (Sprüche in Prosa, 19, Nr. 1019). Goethe, którego zdanie o sztuce i o stosunku jej wzajemności z przyrodą, zupełnie identyczne ze stanowiskiem Protagorasa, poznaliśmy już przedtem, wygłosił także pogląd, dosłownie wyrażający hasło tegoż sofisty: człowiek miarą wszystkiego; a mianowicie tak pisze Goethe, Gomperz zaś jego słowa podaje (I, 362): „Wir mögen an der Natur beobachten, messen, rechnen, wägen etc. wie wir wollen; est ist doch nur unser Mass und Gewicht, wie der Mensch das Mass der Dinge ist". Jeśli więc Goethe czemś więcej był, aniżeli wyłącznym racyonalistą, to chyba tak zbliżony do niego duchem, humanistycznym poglądem ns świat i udostojnieniem człowieka, Protagoras również wyrósł ponad doktrynę racyonalistyczną.

To samo trzeba w stopniu wcale nie mniejszym, owszem o wiele wyższym, stosować do Sokratesa, którego nie po raz pierwszy zestawiam z Mickiewiczem. O Mickiewiczu bowiem słyszymy, że był jednym z wybrańców, który doświadczał na sobie wpływu tajemniczego głosu, nie różniącego się niczem (o ile sądzić możemy) od dajmonion, owego „głosu bożego" Sokratesa. Mickiewicz także pouczał, jak się dochodzi do wyrobienia nieśmiertelnego ducha w sobie, z siebie, przez siebie i dla siebie; jak pierwszym warunkiem dojścia do czucia pewności moralnej jest „podniesienie się w duchu i praca ducha"; że każdy człowiek ma swój geniusz uwięziony w organizacyi, a całą różnicę między ludźmi stanowi różny stopień wyrobienia się tego geniuszu. Emerson, często z upodobaniem wielkiem przez Mickiewicza w wykładach o Literaturze Słowiańskiej przytaczany „filozof praktyczny, niby jakiś Sokrates amerykański" wyznał, że „ten, do kogo choć raz Bóg przemówił, wie już wszystko". Ziomek zaś Emersona, Sheldon w Ruchu etycznym (Warszawa 1900) poleca „uwydatnić nasz głos wewnętrzny", jakoteż „istniejącą w nas pewną pierwotną miarę wartości". To stanowisko mistyczne, wspólne Sokratesowi tak z Protagorasem, jak z Goethem, Mickiewiczem i t. p., da się określić w następujących wyrazach, że nauczanie i poszukiwanie mądrości zmierza do przeświadczenia o czemś niedocieczonem w człowieku, czego ani nauką nabyć ani też doświadczeniem zdobyć nie można, chyba świadomie poprzeć jako jedynie bezsprzeczną i niezawodną pewność.

Nie jest rzeczą bynajmniej przypadkową, że dwaj najwięksi koryfeusze poezyi niemieckiej i polskiej byli zarówno wielbicielami poezyi orfickiej, która musiała wogóle oddziałać przemożnie

na rozwój greckiej oświaty, a zatem i na sofistów, zwłaszcza na Protagorasa i Sokratesa. Goethe w utworach orfickich i hezyodowych znalazł to, co w hebrajskiej księdze Hioba, co w Pieśni nad pieśniami i Przypowieściach Salomona, a co mu najbardziej się podobało, „dass Poesie, Religion und Philosophie ganz in Eins zusammenfielen“ (Aus meinem Leben. 2 Th. 6 B.). Mickiewicz zaś w wykładach swych, mianych w Collége de France, zauważył: „Ułamki, przypisywane Orfeuszowi, Muzeuszowi, Sybillom, noszą na sobie piętno najczystszego natchnienia i głębokiego sięgnięcia duchem: poezya dopiero wtedy odzyska prawo do względu i szacunku u ludzi, kiedy stanie się znowu, czem była niegdyś w czasach proroków, czem była za Orfeusza i Muzeusza“ (Lit. Słow. t. III. lekc. 13 i 14, t. IV. lekc. 5).

Sofiści zgoła nie położyli końca przewodniej roli poezyi, lecz dopomogli jej do przejścia i do wzniesienia się na dalszy i wyższy szczebel, od liryki do dramatu. Znaną jest predylekcya Protagorasa do Symonidesa, którego Lessing w przedmowie do Laokoona z powodu olśniewających antitez i stylu nazwał greckim Wolterem, a któremu wraz z Bakchylidesem przypisać trzeba stworzenie pomostu od lirycznego pesymizmu do sofistycznej filozofi Protagorasa. Bez niej nie byłoby Sofoklesa, a przynajmniej nie byłoby najwspanialszej jego tragedyi, Antygony, gdzie problem walki między prawami wolnej i niepodległej jednostki a ustawami obowiązującemi państwa po protagorejsku jest przedstawiony i rozstrzygnięty.

Zamiast wielbionej dotąd pogody i słodyczy dziś skłonni są dopatrywać niektórzy na dnie poezyi Sofoklesa gorżkiego rozczarowania. Zdaje się jednak, że obie miary: zadowolenia i rezygnacyi są nazbyt małe, ażeby objąć i zmierzyć mogły podniosłość wielkiego dramaturga. Zbliżenie jego do Protagorasa, z którym stoi na wspólnym gruncie filozoficznym, powinnoby raz już rozwiać zupełnie błędne i nieuzasadnione mniemanie, jakoby w swojej prostoduszności Sofokles trzymał się zdala od umysłowego ruchu w Atenach. O tem Sofokles dobrze wiedział, że Ateńczycy nabrali wprawy i doświadczenia na morzu, gdzie spostrzegli niebawem, że myśl ludzka nie potrzebuje koniecznie ustępować przygodom, raczej przeciwnie może nad niemi wziąć górę. Jestże coś bardziej niesłychanego w Atenach przed wiekiem Peryklesa i występami sofistów, niż to wyniesienie samoistnego umysłu i jego

tworów nad wszystkie świata przygody i przypadłości? A jednak chciano odmówić Sofoklesowi współuczestnictwa w tej chwale wieku i iście szczytnym, filozoficznym poglądzie!

Kreon w tragedyi Sofoklesa posłużyć może za jednostronny, ale wybitny typ helleńskiego odrodzenia. Przewodnią gwiazdą dla niego jest gwałt, spełniany w imieniu racyi stanu. W nieprzyjacielu państwa Polynejkesie i Antygonie, pośmiertną cześć oddającej bratu, poeta uosabia zasadę: równe prawa dla wszystkich, wręcz prawu mocniejszego przeciwną. Kreon jednak i Antygona idą przebojem, na przekór sobie i ogółowi, którego przedstawicielem jest chór, nie chylący się z sympatyami swemi stanowczo ku żadnej z stron walczących. Najdonioślejszym jest wszakże jego wyrok, że obie główne postaci tragedyi z własnego pobłądziły wyboru i z własnej winy; dalej sąd Tejrezyasa o dobrej myśli, o eubulia, jako najtrwalszym skarbie, którego nabycie chór zmądrzałemu po szkodzie Kreontowi zaleca. Pełna odpowiedzialność za swoje czyny, zamiast zwalania jej na przypadek, konieczność lub boga, czego dopuszcza się Kreon jeszcze pod koniec tragedyi, znamionuje protagorejski kierunek. Dobra myśl, tylokrotnie z serdecznym powtórzona akcentem przez Sofoklesa, jest czemś więcej od wiedzy, zwłaszcza od pitagorejsko-hippokratesowej wszechwiedzy, którą chełpi się Kreon. Ową zaś eubulia, polegającą na gnome, która jest jedną i jedyną mądrością w przeciwieństwie do wielowiedzy pitagorejskiej, głosił — jak wiemy — za Heraklitem Protagoras, a w ich ślady wstąpił poeta wolnomyślny, przy całej bogobojności, Sofokles. On to przejął się wzniosłą nauką Protagorasa i wystawił jej nie mniej trwały pomnik w swej Antygonie, jak Tucydydes w mowie Peryklesa na cześć poległych (II, 35—46), wspaniałej, a przesiąkniętej myślami i zasadami Protagorasa.

W gigantycznych równaniach Perykles kreśli tam hasła ateńskie, wcale nie wywrotowe: szlachetność duszy — to wolność, a wolność — to szczęście! Zwraca się on widocznie przeciwko takim, którzy nie w sobie i własnem uszlachetnieniu, lecz poza sobą szukają podpór wolności tudzież zadatków szczęścia. Jednym zaś z takich był — jak wiadomo — sofista Antyfont, zakładający szczęście i wolność na dobrach ziemskich i mieniu. Jego i jemu podobnych ma Perykles na myśli, gdy Ateńczyków, z wielkim zapałem oraz energią oddanych sztuce i filozofii, przeciwstawia zgnuśniałym ich uprawiaczom, którzy toną w moralnym upadku i kwietyzmie. Wobec etyki hedonistycznej Antyfonta wyraża na-

uka Protagorasa stanowcze zerwanie z szczęściem, jakie dać może świat zewnętrzny, natomiast radzi zbudować własny wewnętrzny świat myśli. Boleść światową, smutek istnienia i melancholijny nastrój ducha, sofista Antyfont leczył jako objawy patologiczne słowami i zamawianiem znachora, czemś w rodzaju hypnozy i sugestyi. Wiemy bowiem, że ten poeta-tragedyopisarz, którym był zrazu, został następnie praktykującym snowidzem i koicielem smutku, w tym celu nawet otworzył lecznicę psychiatryczną w Koryncie. Natomiast Ateńczycy nie w „próżnem słowie“ — podług świadectwa Peryklesa — szukali prawdy i ukojenia, ale w „bogactwie czynu“. Nie uznawali więc innej prawdy prócz „prawdy czynów“, do których słowa powinny być tylko przygotowaniem. Zamiast snu wynaleźli lepszy i skuteczniejszy od Antyfonta środek przeciw dolegliwościom życiowym, a mianowicie sztukę i artystyczne upodobania. Zajęć domowych nie umieli odrywać od spraw państwowych, zarówno bowiem ich obchodziło życie społeczne w tych dwu dziedzinach; a nawet u tych, co własnym byli oddani zatrudnieniom, nie brakło zrozumienia dla spraw publicznych. Tej zaś łączności słowa i czynu, zajęć prywatnych i powszechnego dobra, w sztuce i cnocie obywatelskiej, nauczyli się Ateńczycy w szkole Protagorasa, który ich nie odwodził od zajmowania się wielkomiejską i marynarską polityką, jak sofista Antyfont, kosztem agrarnych zajęć, lecz owszem może pierwszy nazywał obojętnego na mocarstwowy wzrost i potęgę Aten obywatela nie tyle bezczynnym, ile bezużytecznym.

W mistrzowskiej charakterystyce kunktatorskiej natury Lacedemończyków, a heroicznej Ateńczyków, włożonej przez Tucydydesa w usta posłów korynckich na zgromadzeniu ludowem w Sparcie, wyraźnie jest zaznaczone (I, 70, 8 i 9; 71, 2 i 3), że ani bezcelowy ascetyzm ani kwietyzm bezwzględny nie był ateńskim ideałem, lecz ciągła czynność i pobudzanie drugich do czynu. Pojęciom staromodnym, nazwanym nie po attycku archaiótropa, odpowiadały może zakrzepłe wyobrażenia o „nieruchomych prawidłach“, dobrych zapewne dla pokojowego i bezczynnego państwa, godnego niewoli, ale nie dla dzielnego i panującego swobodnie, jakiem było państwo ateńskie. W takiem państwie zasady nowe postępu i rozwoju (ta epigignómena) biorą górę wbrew „dobrym ludziom“ w rodzaju Antyfonta, którego Prawda była w obliczu Prawdy Protagorasa, jego „szlachectwa duszy“ i „prawdy czynów“, tylko — „czczym dźwiękiem“.

Kiedy największy historyk grecki Tucydydes stoi pod niezaprzeczonym wpływem przekonań Protagorasa, tò współzawodnik jego Herodot uległ oddziaływaniu poglądów Antyfonta, nie tylko jego języka i stylu. Bajka o naiwności Herodota rozwiała się, odkąd w nim zamiast „naiwnego dziecięcia natury“ odnaleziono „dziecię nowego czasu“, którego styl jest produktem mozolnej sztuki i sofistycznej wprawy do tego stopnia, że można mówić o dziwu pełnej w jego osobie i dziele mieszaninie „von altväterlicher Strenge und moderner Subjektivität, von Naivität und Reflexion“. W politycznej debacie nad najlepszym ustrojem rządu trzech perskich wielmożów (III, 80—82), jak wykazano, podaje Herodot tylko odbicie i odźwierciedlenie sofistycznego sporu w Atenach za czasów Peryklesa. Znamiennie sympatyzuje on z Otanesem, orędownikiem tudzież obrońcą demokracyi i jego postępkiem, gdy się usunął od współubiegania się o władzę, ponieważ nie chciał ani sam rządzić ani ulegać rządom Daryusa, który zamierzał wolność i prawa ojczyste z władzą jednego męża pogodzić. Jak tutaj czyni przytyk Herodot do odniesionego nad starą demokracyą zwycięstwa Peryklesa w osobie Daryusa, tak znowu w innej rozprawie na dworze perskim, czy wojnę z Hellenami należy prowadzić czy nie (VII, 8 i nast.), parodyuje dziejopis wojen perskich — udowodniłem to gdzieindziej — dyskusyę sofistyczną, toczoną w przededniu wojny peloponneskiej; przyczem Protagoras występuje w roli Xerxesa, Perykles zaś jako dowódca, jego sił zbrojnych, Mardonios. Xerxes w swej mowie u Herodota nie okazuje się wcale azyatyckim despotą, przeciwnie władcą, łączącym demokratyczną ideę z formami monarchicznemi. Toć Mardonios wypędził z Jonii wszystkich tyranów i zaprowadził tam demokracye, jako prototyp Peryklesa Herodot przedstawia go sofistycznie i po protagorejsku wyszkolonym. W rozmowie między Xerxesem a Demaratem, byłym królem spartańskim, który przebywał jako wygnaniec na dworze perskim i brał udział w wyprawie Xerxesa przeciw Helladzie (VII, 101—104), poznajemy pod maską Demarata sofistę Antyfonta tem łacniej, że uroczyście i kilkakrotnie zapewnia Xerxesa, iż całą prawdę i nic innego jak tylko prawdę wyzna. Słowom Xerxesa—Protagorasa, które „niosą Helladzie niewolę“, przeciwstawia Herodot za pośrednictwem Demarata „ze słów najprawdziwsze“ Antyfonta i podług jego doktryny wychwala, zamiast pierwszego męża na czele państwa, bezosobiste prawo lacedemońskie w tych słowach: „Lacedemończycy choć wolni, jednak wolnymi są nie we wszystkiem; panuje bowiem nad nimi prze-

możne prawo, którego owszem o wiele więcej się boją, niż twoi poddani ciebie. Czynią tedy, co ono każe i t. d".

Uwidoczniłem, jak mi się zdaje, rozbrat państwowo-społeczny i kulturalny, który nastąpił w ognisku greckiej oświaty, w Atenach, między połączonemi siłami oligarchów i demokratów dawnego pokroju z jednej, a nowoczesnymi arystokratami i demokratami z drugiej strony. Tamci sposobem reakcyjnym i radykalnym chcieli solońsko-klejstenesową ustawę znowu do życia przywrócić, natomiast ci liczyli się z historycznym rozwojem demokracyi ateńskiej. Jest rzeczą arcyciekawą i nader pouczającą, że tamten kierunek znalazł w sofiście Antyfoncie, poecie Eurypidesie, historyku Herodocie i politycznym teoretyku Arystofelesie (w Polityce i Politei ateńskiej), obrońców i przedstawicieli; tymczasem kierunek drugi, zwycięski za Peryklesa, reprezentują: Protagoras, Sofokles, Tucydydes i pokrewny mu politycznym zmysłem autor anonimowy starszej rozprawy o Politei ateńskiej. Kiedy Perykles, stosownie do protagorejskiego poglądu na świat, prawdziwej wielkości i mocy ducha szukał w akordzie dwóch różnych tonów, w dokładnej znajomości zarówno stron przykrych jak przyjemnych istnienia (Tucyd. II, 40, 3): Antyfont umiał wygrywać tylko na jednostajną nutę o przyjemnościach życiowych, dlatego retor z epoki Marka Aureliusa, Hermogenes odmówił jego charakterowi szczerości i rzeczywistej powagi. Nuta zaś, poruszona przez niego, dźwięczy jako motyw przewodni na wielu miejscach w utworach Eurypidesa; w hedosistycznej formułce Arystypa o najłatwiejszym i najprzyjemniejszym sposobie życia; jakoteż w mdłej wolności, usuwającej się od ulegania władzy i wykonywania rządów, której rzecznikiem jest herodotowy Otanes.

Takiż rozłam, jak w przekonaniach socyalno-politycznych, zaznaczył się i w wierzeniach. Przytłumione rozrostem bóstw olimpijskich, uwiecznionych w poematach homerowych, kulty chtoniczne wydostały się na wierzch z wiarą ludową i zmierzchem bogów dotychczasowych, niebiańskich. U Solona pojawia się czarna Ziemia jako boska osoba, największa matka owych bóstw olimpijskich; kult matki ziemi żywym jest zwłaszcza u attyckich poetów i mowców, co świadczy, że lud attycki przyznawał ziemi osobne obok bóstw innych, a nawet ponad niemi, znaczenie. Obrazowanie przy końcu platońskiej Rzeczypospolitej o ziemnej cze-

łuści, z której się dusze wydobywają lub też do której schodzą, wzięte jest z wierzeń pierwotnych w preegzystencyę tudzież wędrówkę dusz; różni się jednak zasadniczo od wiary orfickiej, która z podziemiem nic zgoła nie ma wspólnego, dla duszy bowiem po zgonie ciała szuka przybytku w górze: w eterze i niebie, skąd ona znów zstępuje na ziemię i przyobleka się w ciało. To koło wcieleń i odrodzenie się dusz w nagrodę wprost się sprzeciwia pitagorejskiej metempsychozie za karę i niehelleńskiemu wyobrażeniu, że ciało jest grobem duszy.

Dogmat orficki, przeciwny wszelkim kultom chtonicznym, znalazł dobitny wyraz na oficyalnym nagrobku ateńskim dla poległych pod Potideą, że ciała zmarłych poszły do ziemi, do eteru zaś dusze. Z mistycyzmem orfickim, przenikającym kulturę grecką za czasów Peryklesa, nauka chrześcijańska niejedno ma podobieństwo i zgodność uderzającą, ale z kultami chtonicznymi, szczególnie z kultem Dyonizosa, który wziął górę w okresie aleksandryjskim, musiała walkę zaciętą staczać. Tego, co wieczne i niespożyte w helleńskości, należy szukać przed Sokratesem i w nim samym, nie po nim: bez pierwszego zaś w rzędzie sofistów, Protagorasa, nie byłoby ostatniego i największego z starszych sofistów, Sokratesa, którego Justyn Męczennik nie wahał się zaliczyć do chrześcijan, a Erazm z Rotterdamu co więcej — nawet do świętych.

Ograniczyłem się tylko do przedstawicieli starszej sofistyki i to nie wszystkich, po których dochowały się jakieś resztki. O wyczerpaniu przedmiotu nawet nie mogłem myśleć. Zewnętrzne szczegóły biograficzne, kwestye wysokich honoraryów, usługi dyplomatyczne sofistów i t. d., świadomie pominąłem. Natomiast szerzej, jak sądzę, niż to dotychczas uczyniono, starałem się uwydatnić doniosły wpływ sofistów na rozbudzenie wolnej i niezależnej myśli u przodujących osób w oświacie, życiu państwowem i piśmiennictwie greckiem. Pod tym względem oparłem się przeważnie na własnych dochodzeniach źródłowych, których wynik złożyłem szczególnie w „Studyach filologicznych nad rozwojem oświaty greckiej w V. wieku przed Chr.“ (Rozpr. Wydz. filol. Ak. Um. w Krakowie t. XXXIII). [1] Jeżeli potrafiłem przekonać, że

---

[1]) Niejeden ustęp tak z tej rozprawy, jak i z innych swych prac, mianowicie z późniejszej p. t. Nowe poglądy na cywilizacyę grecką (druk. w „Muzeum“ z r. 1902), wcieliłem do niniejszego wykładu prawie bez zmiany.

sofistyka starsza wcale nie była pasorzytną rośliną, wysysającą soki żywotne z organizmu greckiego, że owszem była ona zjawiskiem prawidłowem, koniecznem i przynajmniej w swem głównem odgałęzieniu zbawiennem — jeżeli o tem udało mi się przekonać, to cel swój uważać mogę za osiągnięty.

Sofiści doczekali się zwolna uznania i rehabilitacyi. Pierwszy Hegel, a za nim Grote, wzięli w obronę charakter ich i uczciwość przed zarzutami zwłaszcza Platona. W nowszych czasach poświęcił im najwspanialsze karty w swem pomnikowem dziele Gomperz (Griechische Denker I. Leipzig 1896), gdzie na szerokim podkładzie rozwoju ścisłych umiejętności, szczególnie medycyny, są przedstawieni sofiści w entuzyastycznych wyrazach jako duchowe ogniwo między zanikiem filozofii przyrody a historycznej wiedzy rozkwitem. Także w najlepszem ukształtowaniu historyi starożytnej Edwarda Meyera (Geschichte des Alterthums IV. Stuttgart und Berlin 1901) świetne rozdziały odnoszą się do dziejów kultury w peryklesowym wieku i do sofistyki, chociaż Meyer nie jest tak zapalonym jej wielbicielem, jak Gomperz. Nie jest też chwalcą sofistów bynajmniej Diels, zasłużony i znakomity wydawca wszystkich pozostałości po myślicielach przedsokratesowych, zebranych w obszernym tomie p. t. Die Fragmente der Vorsokratiker. Griechisch und deutsch (Berlin 1903). Ale najsumaryczniej i najbezwzględniej obszedł się z sofistami nasz przewyborny znawca platońskiej filozofii i autor niedokończonego dotychczas niestety dzieła: Historya filozofii greckiej (I. Kraków 1890), ks. dr. Pawlicki, któremu kult jednostronny ich pogromcy Platona nie pozwolił wymierzyć zniesławionym przez niego ludziom należnej sprawiedliwości. Nie sofiści zgubili Grecyę, nie oni ją tak wychowali, że pozbawili ją wiary w ideały; lecz oni właśnie przygotowali to wielkie odrodzenie, którego przedziwnym swym geniuszem Sokrates dokonał.

Stanisław Schneider.

Prawo wyborcze kobiet.

(Dokończenie).

I rok 1907 obfitował w kongresy kobiece; w maju odbył się wielki kongres we Wiedniu, znowu pod prezydencyą p. Maryanny Hainisch. W jednej ze swych najnowszych publikacyi [1]) oświadczyła p. Hainisch, że kobiety uważają rozszerzenie prawa głosowania mężczyzn aż do granic powszechności i równości, bez równoczesnego rozszerzenia go i na kobiety, za degradacyę i zniewagę dla siebie, tem bardziej że równocześnie tracą i to wyjątkowe prawo głosowania, jakie miały dotychczas w kuryi wielkich posiadłości ziemskich. Podnosi też interesujący szczegół, że kobiety ze stronnictw socyalistycznego i chrześcijańsko-socyalnego odmówiły brania czynnego udziału w agitacyi za kobiecem prawem wyborczem.

W sierpniu 1907 r. odbyła się znów międzynarodowa socyalistyczna konferencya kobieca w Stuttgardzie, a referentka z Austryi o prawie wyborczem kobiecem, p. Popp-Dworzak, chwaliła się tem, że ostatni wybór 86 socyalistów do Rady Państwa należy zawdzięczać w znacznej części czynnemu poparciu kobiet, należących do partyi.

---

[1]) Die oesterreichische Frauenbewegung (Oesterreichische Rundschau Bd. VII., Heft 88, 89).

Za to samo otrzymały „towarzyszki“ gorącą pochwałę ze strony dep. dr. Adlera. Równocześnie odbywał się bowiem w Stuttgardzie w drugiej połowie sierpnia 1907 r. międzynarodowy kongres socyalistyczny. za współudziałem koryfeuszów socyalizmu, między innymi dep. Jaurès'a z Francyi, dep. Adlera i Pernerstorfera z Austryi i t. d. Na tym kongresie przekonano się dowodnie, że umiarkowana taktyka parlamentarna a przeprowadzanie jakiegokolwiek radykalnego programu, są jak ogień i woda, które się nie dadzą razem połączyć, i sam p. Adler, który chciał być umiarkowanym i stanął w obronie umiarkowanej taktyki kobiet austryackich w sprawie walki o kobiece prawo wyborcze, poniósł małą klęskę, a do klęsk nie jest on, jako przywódca swego stronnictwa w Austryi i szef klubu socyalistycznego w Radzie Państwa, przyzwyczajony. Pani Schlesinger-Eckstein, przedstawicielka grupy austryackiej, dowodziła tam, że dzięki roztropnej taktyce uzyskały kobiety austryackie prawo odbywania politycznych zgromadzeń kobiecych, które może stanowić wstęp i podstawę do otrzymania kobiecego prawa wyborczego. Pan Adler bronił tej taktyki, a zarazem wychwalał „towarzyszki“ austryackie za ich ofiarność i dyscyplinę partyjną i stwierdził to samo, co pani Popp-Dworzak, tj. że dzięki powyższym ich cnotom udało się partyi odnieść tak znaczne zwycięstwo. Ofiarność polegała w tem, że kobiety austryackie same usunęły na drugi plan walkę o s w o j e prawo wyborcze. zaś dyscypliny wyborczej dowodem było oparcie się pokusom wychodzącym ze strony kobiet z „burżoazyi“, które chciały koniecznie odciągnąć „towarzyszki“ z drogi obowiązku. A jednak pomimo wymownych słów dr. Adlera ofiarność ta doczekała się pośrednio nagany, gdyż na plenarnem posiedzeniu kongresu d. 22. sierpnia 1907 r. przyjęto na podstawie referatu pani Zetkin dość ostrą rezolucyę w sprawie kobiecego prawa wyborczego, przygotowaną przez międzynarodową socyalistyczną konferencyę kobiecą, pomimo że pani Popp broniła stanowiska zajmowanego w tej sprawie przez austryackie delegatki. Rezolucya przyjęta przez kongres. nie pochwala tego stanowiska, ani też tak podnoszonej przez p. Adlera ofiarności.

I w Warszawie wreszcie odbył się kongres kobiecy w sprawie prawa wyborczego. Uchwalił on (w czerwcu 1907) domagać się dla kobiet powszechnego i równego, bezpośredniego i tajnego, czynnego i biernego prawa wyborczego, tak do ciał prawodawczych, jak i do instytucyi samorządnych. Jak widzimy, poszły kobiety warszawskie od razu do najdalszych granic. jak się to niestety

często zdarza tam, gdzie nawet i drobnego ustępstwa niełatwo wywalczyć. — Taka metoda nie wychodzi jednak na korzyść bronionej sprawy.

Co do Austryi, to już z powyższych sprawozdań z różnych kongresów i wieców wynika jasno, że nie stawiano tu kwestyi kobiecego prawa wyborczego, podczas świeżo przeprowadzonej reformy wyborczej, bynajmniej na ostrzu miecza. Uznawano wprawdzie teoretycznie, że sprzecznością jest, rozszerzać z jednej strony prawo wyborcze do najdalszych granic, z drugiej strony zaś odbierać je tym, którzy już je mają choć w pewnych ciasnych rozmiarach — ale pocieszano się refleksyą, że kobiece prawo wyborcze w grupie wielkich posiadłości ziemskich należało uważać za przywiązane raczej do ziemi, aniżeli do osoby; obecnie więc, z chwilą zrównania prawa wyborczego wogóle i uczynienia go prawem ściśle osobistem, tj. związanem jedynie z osobą, może kobiece prawo wyborcze odpaść zupełnie, bez naruszenia zasady powszechności.

Wniesiono wprawdzie pewną ilość petycyi, n. p. ze strony zgromadzenia kobiet w sali Ronachera dnia 10. grudnia 1905 r. we Wiedniu, ze strony Wydziału dla prawa wyborczego kobiet w Pradze dn. 1. października 1906, ze strony kobiet Polek, zebranych d. 10. stycznia 1906 na wiecu we Lwowie, [1]) ale praktycznym skutkiem tych petycyi nie było nic więcej, jak tylko wnioski pp. Choca, Klofača i Sobotki, radykalnych Czechów, stawiane w Izbie posłów podczas obrad nad reformą wyborczą (przy zmianie §. 7. ust. zas. o reprez. państw.) i odrzucone ogromną większością głosów. [2])

Podczas jesiennej sesyi Sejmu galicyjskiego, odbytej we wrześniu i październiku 1907 r., a zwołanej głównie dla załatwienia sprawy sejmowej reformy wyborczej, wpłynęło do Sejmu dość dużo petycyi, żądających rozszerzenia tego prawa wyborczego, jakie już na mocy dzisiejszej ordynacyi wyborczej kobietom przysługuje,

---

[1]) Patrz dyskusyę przeprowadzoną na tym wiecu w N-rze 16. „Słowa Polskiego“ z dn. 11. stycznia 1906, p. t. „O prawo głosowania kobiet“. W „Kole polskiem“ był głównym oredownikiem tej sprawy poseł Teofil Merunowicz.

[2]) Patrz Stenographische Protokolle des Abgeordnetenhauses, XVII. Session, str. 39.896, posiedzenie 451 z dnia 16. listopada 1906 r.

i postawienia kobiet pod tym względem zupełnie na równi z mężczyznami. Petycye te przedstawił Sejmowi poseł Tomaszewski.

Na kobiecym wiecu socyalistycznym, odbytym w Mannheim we wrześniu 1906 r., a wspomnianym już wyżej, wyraziła referentka, pani Zetkin ze Stuttgardu, ubolewanie, że zaraz z początkiem walki o reformę wyborczą w Austryi wyeliminowano z niej prawie całkowicie walkę o prawo wyborcze kobiet. Znany niemiecki przywódca socyalistów poseł Bebel wyraził tam zupełną swą zgodność z wywodami referentki i oświadczył, że jest to błędem ze strony „towarzyszek“ w krajach przeważnie katolickich, jak Austrya i Belgia, że nie wywieszają sztandaru kobiecego prawa wyborczego i że się boją, aby kobiety, po przyznaniu im tego prawa, nie dostały się pod przemożny wpływ duchowieństwa. Austryaczki i Belgijki — kończył mowca z emfazą — będą musiały usprawiedliwić swe zachowanie się na kongresie międzynarodowym. A jak dalece kwestya „austryacka“ zajmowała umysły na takimże kongresie, odbytym w sierpniu 1907 r. w Stuttgardzie, opisaliśmy dopiero co wyżej i przedstawiliśmy, jak wymownie bronił dr. Adler, praktyczny polityk austryacki, umiarkowania i roztropnej taktyki kobiet austryackich, przeciw p. Beblowi, także praktycznemu politykowi i Niemcowi, ale nie austryackiemu.

Pani Klara Zetkin wydała swój referat mannheimski w obszerniejszem opracowaniu drukiem,[1]) podzieliwszy go na 9 rozdziałów i zaopatrzywszy trzema dodatkami, z których pierwszy zawiera rezolucye powzięte na kongresie mannheimskim, drugi zaś przedstawia rozwój kobiecego prawa wyborczego w różnych państwach kuli ziemskiej, a mianowicie we Francyi, Anglii, państwach kolonialnych angielskich i Irlandyi, w Stanach zjednoczonych Ameryki północnej, na Skandynawskim półwyspie, we Finlandyi, Rossyi, Austryi, Węgrzech, Szwajcaryi, Włoszech, Niemczech i Holandyi, przyczem jednak nie uwzględnia jeszcze najnowszego projektu rządowego z października 1907, o którym wspomnieliśmy wyżej, a który zamierza właśnie przyznać kobietom holenderskim czynne i bierne prawo wyborcze. Trzeci dodatek daje obraz socyalistycznej ankiety z r. 1906, zarządzonej przez paryską „Revue Socialiste“ w sprawie natychmiastowego wprowadzenia powszechnego prawa wyborczego (str. 74).

---

[1]) Zur Frage des Frauenwahlrechtes, von Clara Zetkin. Berlin 1907. Verlag Buchhandlung Vorwärts.

Najbardziej zasadnicze znaczenie ma rozdział II. rozprawy, w którym autorka wykazuje związek pomiędzy kapitalistycznym ustrojem produkcyi a kobiecem prawem wyborczem i domaga się tego ostatniego jako wyniku kapitalistycznej produkcyi, ogarniającej szybkim krokiem kraje cywilizowane.

Ciekawy, ale zupełnie fantastyczny projekt ułożył i ogłosił niejaki Jan Barolin. Chce on zorganizować parlament austryacki w ten sposób, by obok Izby poselskiej, mającej i nadal prawo merytorycznej decyzyi w rzeczach ustawodawstwa, postawić dwie Izby, mające opracowywać i przygotowywać projekta ustawodawcze dla niej. Jedną z nich miałaby być Izba reprezentująca ekonomiczne interesa ludności, drugą zaś Izba złożona z kobiet, parlament kobiecy, składający się, równie jak i tamte dwie Izby, ze 150 członków,[1]) i wybierany wyłącznie tylko przez kobiety w drodze powszechnego, równego, bezpośredniego i tajnego głosowania, z zastosowaniem reprezentacyi proporcyonalnej w najściślejszem słowa znaczeniu. Ten parlament kobiecy miałby obradować głównie nad kwestyą kobiecą i sprawami z zakresu t. zw. urządzeń użyteczności publicznej. Wszystko, co dotyczy w pierwszym rzędzie życia i zadań kobiety, wszystkie sprawy wychowania dzieci, specyalnej hygieny, wszystko co przemawia przedewszystkiem do serca ludzkiego, dostawałoby się pod obrady grona osób, które zdaniem autora posiada do tego daleko więcej naturalnej zdatności, uczucia i taktu, aniżeli parlament męski, jakkolwiek brakowałoby mu może potrzebnych technicznych wiadomości, ze względu na obecny system wychowania. Autor sądzi, że w ten sposób rozwiązał najprościej kwestyę czynnego i biernego prawa wyborczego kobiet i dał im możność twórczego działania w zakresie, dla którego one posiadają wszystkie potrzebne warunki.

„I w ten sposób zostałaby złożoną w ręce samychże kobiet możność doprowadzenia do pomyślnego rozwiązania tych wszystkich problemów, poruszających głęboko dzisiejsze społeczeństwo, które dadzą się objąć ogólną nazwą kwestyi kobiecej".

Podczas przeprowadzonych niedawno ogólnych wyborów sejmowych w Galicyi i w Czechach postanowiły kobiety w różnych okręgach wyborczych wywalczyć sobie *via facti* i bierne prawo wyborcze i zgłosiły kilka kandydatur kobiecych do Sejmu. We Lwowie odbyło się zgromadzenie naszych suffrażystek i za-

[1]) Wahl- und Parlamentsreform-Vorschläge („Die Wage" vom 13. Jänner 1906).

proponowało kandydaturę panny Maryi Dulębianki, popartą najgoręcej przez p. Perlmutter i p. Vorzimmer. I rzeczywiście panna Dulębianka wystąpiła jako kandydatka, liczne plakaty przedwyborcze wzywały do głosowania za nią ze względów zasadniczych, dla przełamania dotychczasowych ograniczeń a zdobycia dla kobiety nowych praw: kandydatka otrzymała przy pierwszych wyborach we Lwowie dn. 2. marca 1908 r. sporą ilość, bo aż 511 głosów, — komisya wyborcza jednak unieważniła je odrazu. — Nie wiemy, ile mieściło się w powyższej cyfrze głosów oddanych przez kobiety, a ile przez mężczyzn; — wiemy natomiast, że wyrobiła się w Galicyi praktyka, dopuszczaająca kobiety w miastach i w gminach wiejskich do głosowania przez pełnomocników, zupełnie wbrew §. 15. ordynacyi wyborczej sejmowej, która orzeka jak najwyraźniej, że pełnomocnictwo może mieć zastosowanie tylko w kuryi wielkich posiadłości ziemskich. Wskutek tego zaś pomnaża się nadmiernie zastęp głosów, które właściwie nie powinny były nigdy zostać oddane. A że kandydatka miała zapewne takich właśnie głosów najwięcej, przeto unieważnienie wszystkich głosów na nią oddanych, przedstawia się o tyle mniej drastycznie.

W Czechach zgłoszone były dwie kandydatury kobiece; pani Machowej, socyalistki, która otrzymała 491 głosów i pani Tumowej, która otrzymała 199 głosów.

Na Węgrzech udała się dnia 10. marca b. r. deputacya stowarzyszenia feministycznego, złożona ze 100 kobiet, do prezydenta Izby poselskiej Justha i do ministra spraw wewnętrznych hr. Juliusza Andrassy'ego. O ile deputacya miała powodzenie u prezydenta, który jej oświadczył, że uważa przyznanie kobietom prawa wyborczego za usprawiedliwione i pożyteczne, ze względu na inteligencyę i patryotyzm kobiet i że z tego powodu przyrzeka im poparcie; — o tyle znów brakło jej tego powodzenia u ministra, który powiedział otwarcie, że jego zdaniem brak jeszcze politycznych i społecznych warunków, umożebniających rozszerzenie prawa wyborczego na kobiety, ze jeszcze dużo czasu upłynie, zanim się to stać będzie mogło i że wprawdzie nie obawia się, ażeby kobiety zaszkodziły polityce, ale natomiast ma obawę odwrotną, by polityka nie zaszkodziła kobietom

Cóż sądzić o całym tym ruchu suffragistycznym i o przyznaniu kobietom prawa wyborczego?

Odpowiedzi, rozstrzygającej tę kwestyę jednem słowem dać jeszcze niepodobna; — naszem zdaniem ona jeszcze na tyle nie dojrzała. Ale kilka myśli przewodnich i kilka uzyskanych już pewników, które tu przytoczymy, przyczynić się mogą do jej częściowego rozświetlenia.

Przedewszystkiem należy tu unikać krańcowego stanowiska i nie można stawiać alternatywy: wszystko albo nic. Dlatego równie fałszywym jest postulat feministek, socyalistycznych kongresów, wniosku Ch. Dilkego j. w. ażeby przyznać kobietom prawo wyborcze w rozmiarach powszechnego głosowania, a więc na równi z najdalej sięgającem prawem wyborczem mężczyzn, jak i drugi, równie skrajny punkt widzenia, z którego osądzając kwestyę oświadcza się n. p. pani margrabina Mac-Mahon przeciw udzieleniu praw wyborczych kobietom, nie ufając ich rozumowi,[1]) albo te 21.000 kobiet angielskich, które założyły w r. 1907 przez dr. Ewansa w Izbie angielskiej protest przeciw kobiecemu prawu wyborczemu, twierdząc, że zdobycie władzy politycznej zniszczy wpływ kobiety w jej właściwej sferze działania; — jak wreszcie i zapatrywanie, któremu dał wyraz autor listu otwartego do jednej z przewodniczek angielskich sufrażystek, miss Pankhurst.[2]) Autor listu twierdzi, że kobiety nie mogą uzasadniać swych roszczeń do prawa wyborczego tem, że płacą podatki tak samo jak mężczyźni i że na równi z nimi podlegają rygorom ustaw i muszą im być posłuszne, (pomimo że w ich dojściu do skutku nie biorą udziału), albowiem do analogii pomiędzy obowiązkami publicznymi kobiet a obowiązkami mężczyzn brakuje najważniejszego momentu, tj. obowiązku bronienia państwa własnemi siłami, którego kobiety nie mają i z przyczyn fizycznych mieć nie mogą. Autor uważa prawo wyborcze za wynik dawnych praw męża orężnego, a konstatując nierówność pomiędzy mężczyznami a kobietami na punkcie publicznych obowiązków, nie przyznaje im też równych praw.

---

[1]) W ankiecie urządzonej na ten temat przez jedno z czasopism francuskich a ogłoszonej przez Maryę Ebner-Eschenbach i przetłumaczonej w warszawskiem „Słowie“ Nr. 193, z 21. lipca 1907.

[2]) List ogłoszony w „Neue freie Presse“ z 17. marca 1907 r. p. t. „Der Kampf um das Frauenstimmrecht“; Brief eines Wahlpflichtigen.

Jakkolwiek nie myślimy zaprzeczać związku, jaki istniał niegdyś pomiędzy obowiązkiem obrony, a przywilejem głosowania względnie brania udziału w uchwalających zgromadzeniach ludowych, jako nagrody za ten trud i obowiązek, to jednak dziś już trudno byłoby orzekać o słuszności względnie niesłuszności postulatu „Votes for womens" ze stanowiska starogermańskich zgromadzeń centenarnych i wogóle ludowych, które reprezentowały naród w politycznem słowa znaczeniu, a w których mogli uczestniczyć tylko orężni mężowie. Dziś pojęcie narodu w politycznem znaczeniu pokrywa się z pojęciem ogółu obywateli, „orężność" nie jest już ani przywilejem ani monopolem, lecz powszechnym a twardym obowiązkiem obywatelskim, a przedewszystkiem — i to jest dla naszej kwestyi rozstrzygające — walki, które staczają nowożytne społeczeństwa dla utrzymania swego bytu i rozwoju stają się w coraz mniejszej mierze walkami ściśle orężnemi, prowadzonemi za pomocą rozlewającego krew żelaza, lecz przekształcają się coraz więcej w szeregi walk, prowadzonych całkiem inną bronią, walk duchowych i ekonomicznych, staczanych za pomocą oręża, którym i kobiety władać mogą i władają, prowadzonych nie mieczem ze stali, ale mieczem potęgi duchowej, talentu i zdolności, pracy, cierpliwości i wytrwałości. Wobec tego byłoby bardzo zacofanem stanowisko, odmawiające kobietom całkowicie i zasadniczo prawa wyborczego; nie dałoby się ono utrzymać nawet na dziś, a tembardziej na przyszłość. — Byłoby zapoznaniem tej wielkiej roli, jaka kobietom przypada w dzisiejszym gospodarczo-społecznym i kulturalnym ustroju i stałoby w całkiem nierozwiązalnej sprzeczności z uprzystępnianiem im tych wszystkich nowych stanowisk i sposobów zarobkowania, jakie się w naszych oczach codziennie przed kobietami otwierają. Dlatego słuszne są słowa Campbell-Bannermanna, wygłoszone w angielskiej Izbie gmin (gdy w roku zeszłym uzasadniał tam swój projekt), że broni projektu z przekonania, gdyż nie uważa ani za rzecz pożyteczną ani usprawiedliwioną, ani nawet politycznie przyzwoitą, wykluczać kobiety całkowicie od prawa wyborczego. Dlatego słusznie mówi angielski pisarz Macdonald we wspomnianej już ankiecie, że parlament powinien być obrazem całokształtu życia narodowego i że skoro kobiety grają w życiu każdego kraju doniosłą rolę, powinny też być dopuszczone do prawa głosowania, a tylko wtedy, jeżeli one nie odgrywają w pewnem społeczeństwie w pewnym czasie żadnej poważniejszej roli, jeżeli reprezentują — jak w Turcyi — nicość społeczną, to trudno zezwolić, ażeby ich głos oddziaływał

na losy państwa. Dlatego też słusznie postąpiło prawo austryackie dopuszczając kobiety przy wyborach do Sejmów krajowych w kuryach miejskiej i wiejskiej pod pewnemi ograniczeniami, a w kuryi wielkich posiadłości ziemskich pod tymi samymi warunkami co i mężczyzn (z wyjątkiem, iż nie mogą osobiście jawić się przy urnie wyborczej), a również słusznem było stanowisko pierwszej ordynacyi wyborczej do Rady Państwa, z 2. kwietnia 1873 r., dopuszczające kobiety do głosu przynajmniej w kuryi większych posiadłości ziemskich. Wprawdzie to prawo wyborcze nie zostało przyznane kobietom jako ich prawo ściśle osobiste, będące wynikiem ich pewnych właściwości i związane z ich osobą, tylko jako posiadaczkom nieruchomości, względnie reprezentantkom pewnego cenzusu podatkowego — ale też nie należy zapominać, że w r. 1861 względnie 1873 nie istniał jeszcze prąd feministyczny w dzisiejszem słowa znaczeniu, ani nie było suffrażystek.

Dziś, gdy w Austryi zniesiono przy wyborach parlamentarnych wszelkie wymogi cenzualne i skonstruowano prawo wyborcze jako prosty wynik osobowości i jako prawo ściśle osobiste *(ius personae inhaerens)*, nie pomyślano dostatecznie o tem, jak olbrzymią niekonsekwencyę i niesprawiedliwość popełniono, dając równe prawo wyborcze każdemu osobnikowi męskiemu za to tylko, że się raczył urodzić i dójść do pełnoletności, bez względu na jego stan umysłowy, ekonomiczny i społeczny, a odmawiając go równocześnie nawet najdzielniejszym, najrozumniejszym, najwykształceńszym i najzamożniejszym kobietom, a nawet nie zostawiając go *ad personam* tym kobietom, które je w chwili wydania ustawy z 26. stycznia 1907 r. posiadały. Dziś więc ma prawo wyborcze każdy najgorszy kretyn płci męskiej, dopóki nie jest pod kuratelą, a niema go najrozumniejsza kobieta w Austryi: ma je każdy pomywacz lub wycieracz kanałów, a niema go właścicielka latyfundyów lub wielka filantropka.

Takiego stanu rzeczy nie można nazwać sprawiedliwym: — i tak być niepowinno. Gdy uchwalano austryacką reformę wyborczą, pod pressyą okoliczności i stosunków, o których nie tu miejsce i nie czas teraz mówić, zdawano sobie zapewne sprawę z tego, że dopuszczenie kobiet do głosowania nada wyborom cechę więcej konserwatywną i wzmocni żywioł konserwatywny; — i to już mogło być dla radykalnych stronnictw dostatecznym powodem do niedopuszczenia kobiet, tem bardziej, że z punktu widzenia pożycia domowego nie przyczyniłoby się „Vote for women“ do ustalenia harmonii małżeńskiej i spokoju rodzinnego, wbrew optymi-

zmowi p. Anny Shaw i p. Juliusza Renarda na wspominanej już ankiecie. Ze stanowiska interesów narodowościowych znów, które były główną busolą oryentacyjną przy uchwalaniu reformy wyborczej, nie było żadnej statystyki, któraby mogła była poinformować o skutkach, jakieby pod względem narodowym wywarło dopuszczenie do głosowania kobiet, reprezentujących ten a ten stopień wykształcenia lub zamożności, albo rodzaj zatrudnienia. I dlatego załatwiono całą rzecz sumarycznie odmownie. Należy się spodziewać, że tego błędu, zupełnego usunięcia kobiet od głosu i odebrania nawet praw wyborczych już nabytych, uniknie się przy zamierzonej sejmowej reformie wyborczej w kraju naszym.

Ale co innego jest usunąć kobiety zupełnie, a co innego przyznać im na punkcie prawa wyborczego najzupełniejsze równouprawnienie z mężczyznami. To ostatnie uważalibyśmy za błędne, z tych samych powodów, dla których dziś jeszcze wiele osób i sfer odmawia kobietom prawa wyborczego w o g ó l e, a natomiast jesteśmy za przyznaniem kobietom prawa wyborczego częściowo, pod pewnymi warunkami czyli za o g r a n i c z o n e m prawem wyborczem kobiet. — Streszczając się, stawiamy kwestyę w sposób następujący:

W państwie o bardzo ograniczonem prawie wyborczem, mogłyby kobiety niemieć wcale prawa wyborczego; ale takich państw już dziś niema. W państwach natomiast o bardzo obszernem, o powszechnem lub nawet powszechnem a równem prawie wyborczem, powinny być kobiety dopuszczone także do głosu, atoli nie w tej rozciągłości co mężczyzni. Koniecznem jest zatem tak pewne stopniowanie kobiecych uprawnień wyborczych, zależne od rozciągłośsi uprawnień wyborczych męskich, jakoteż i zachowanie w każdem państwie pewnej granicy oddzielającej rozciągłość uprawnień kobiecych od rozciągłości uprawnień męskich wyborczych, a to na niekorzyść tych pierwszych. W żadnym razie zaś nie dałoby się uzasadnić ani powszechne prawo wyborcze kobiece, jak tego chce np. Ch. Dilke, ani wogóle przyznanie kobietom praw wyborczych, zupełnie tak samo szerokich, jak mężczyznom.

Następnie jesteśmy zdania, że dopuszczenie kobiet w bardzo s z e r o k i c h r o z m i a r a c h do głosowania powinno nastąpić n a j p i e r w e j w państwach o starym i bardzo wyrobionym już konstytucyonalizmie, mających powszechne lub prawie powszechne prawo głosowania już od dawna, skonstruowanych szczęśliwie pod względem społecznym i nie wykazujących wielkich różnic pomiędzy swemi częściami pod względem narodowym, kulturalnym

i ekonomicznym. I dlatego podzielamy w zupełności zdanie Gustawa Cohna,[1]) że jeżeli nawet w Anglii nie uzyskały kobiety dotąd prawa wyborczego, nie tylko w tych rozmiarach co mężczyźni, ale wogóle żadnego, to inne państwa europejskie, jak Niemcy, Francya, a naszem zdaniem i Austrya i t. d. nie powinny odbierać Anglii zaszczytu i ryzyka zrobienia pierwszej próby.

Stanisław Starzyński.

---

[1]) Die deutsche Frauenbewegung, Berlin 1896, a zwłaszcza rozdział II. p. t. Frauennatur und Frauenkultur, str. 74, sq.

Alfred Szczepański: Die Reform des Wahlgesetzes in Oesterreich, Wien 1901. Th. Eglauer: Wahre Interessenvertretung; ein Beitrag zur Reform des Reichsrathswahlordnung, Wien 1901, tudzież: Das Problem einer gerechten Wahlreform (Oesterr. Rundschau 1905), Br. Stefan Haupt: Ein Vorschlag zur Wahlrechtsfrage (Tagesbote aus Mähren u. Schlesien 1905), są wszyscy za przyznaniem kobietom czynnego, Eglauer nawet i biernego prawa wyborczego.

O Ameryce patrz Dr. Otis Harrison Fisk: Stimmrecht und Einzelstaat in den Vereinigten Staaten von Nordamerika, Leipzig 1896, str. 214—217 rozdział p. t. Das Princip des Frauenstimmrechtes. Patrz także Romualdo Cevilli: La donna elettrice, studio sul diritto di suffragio in rapporto alla questione femminile, Torino 1900.

STANISŁAW WYSPIAŃSKI.

(Ciąg dalszy).

Zawiedzeni poniekąd rapsodem, nie znajdując w nim odpowiedzi, jak poeta pojmuje króla, biskupa i ich wzajemny stosunek, bierzemy do ręki oba dramaty: Bolesława Śmiałego i Skałkę. Wymieniony już na wstępie doskonały znawca Wyspiańskiego p. Ostap Ortwin pierwszy określił istotę koncepcyi tych dzieł i ich wzajemny do siebie stosunek. Oto jego zdaniem król Wyspiańskiego „z wiarą w przyszłość i uprawnienie swego stanowiska, podejmuje beznadziejną walkę z wzrastającą i wzmagającą się z biegiem dziejów legendą, co się toczy jak lawina, aby go wreszcie ciężarem swym przygnieść i pokonać. Walka zatem, jaką w dramacie stacza, nie jest tym historycznym konfliktem, który mógł mieć motywy takie lub owakie; walka ta odbywa się na przestrzeni wieków w świadomości powszechnej, która w tym konflikcie wyznacza czynom jego taką, a nie inną rolę“. Nie sądzimy, by można z większą bystrością i jasnością dojrzeć i określić ideową technikę obu dramatów i dlatego nie wahaliśmy się przepisać zdanie p. Ortwina; co więcej sądzimy, że z pomocą tego klucza otworzyć można niejedne tajemne wrota innych także utworów Wyspiańskiego, dramatów na tle powstania listopadowego, o ile w tym razie zamiast „legendy“ użyjemy pojęcia historyozofii. Inna rzecz, czy takie pojmowanie dramatu history-

cznego, będąc istotnie oryginalnym, nigdzie w poezyi zresztą nie znajdującym się pomysłem, nie sprzeciwia się pojęciu dramatu historycznego, nie wprowadza do niego mar lub myślowych preparatów, miasto żywych ludzi. Tak jest w danym wypadku, szczególnie w trzecim akcie Bolesława Śmiałego i w całej Skałce, podczas gdy pierwsze dwie odsłony tamtego, wyrwane z zaklętego kręgu tej idei, są chaotycznemi i składają się przeważnie z czynów nieumotywowanych lub niedociągniętych.

Wykład p. Ortwina tem skwapliwiej przyjąć trzeba, że w takim razie staje się wobec całkowitej harmonii stylu dzieła z jego ideą. Legendowemu aposteryorystycznemu charakterowi dzieła odpowiada bajkowy jego styl, uwydatniający się tem silniej, że poeta przyjął, iż w czasach Bolesława II. istniały jeszcze potężne przeżytki pogaństwa: ztąd w obu dramatów postaci Krasawicy, Rapsoda, Rusałek itp. Ztąd także w dalszej konsekwencyi ścisłego związku pogańskich wierzeń z przyrodą pokrewne Śmiechowi i Łopuchowi z Legendy fantastyczne twory Świst i Poświst. A wreszcie rozkołysana wyobraźnia poety, po „przestworzach chaosu lotem“ goniąca, wprowadzi do Skałki i starożytną Pandorę.

Formalna strona obu dramatów nastręcza niemało spostrzeżeń, nie zawsze miłych. Bolesław Śmiały, z wcześniejszych lat pochodzący, zostaje w zupełności pod wpływem Wagnera, niekiedy nawet przypomina przedwagnerowską operę. Żywioł muzyczny i świetna teatralna barwność przeważają tutaj nieraz nad mówionem słowem, ono samo zaś w pogoni za archaistyczną soczystością i prostotą staje się — tak w języku jak i w rymach — często brutalnem i nienaturalnem. W Skałce znowu, owocu ostatnich lat, widocznem jest to, co tych czasów wybitnem było znamieniem: uniesienie mowy w jakieś zaświatowe sfery, ponad szczyty we mgłach spowite.

Cofamy się poniekąd wstecz, rozkładając teraz karty Kazimierza Wielkiego (z r. 1900). Ale w rzeczywistości jesteśmy u kolebki ducha poety tak samo, jak przy ostatnim jego śpiewie. Bo rapsod ten, to obraz symbolicznego znaczenia dla Wyspiańskiego owej pamiętnej chwili roku 1869, kiedy nie tylko przyszło na świat jego ciało ale i począł się jego duch. Wspaniały pomysł, godny zaiste Słowackiego lub Dantego: duch wielkiego króla, zbudzony stukaniem do grobowca, patrzy na swój nieszczęśliwy naród. Wykonanie tego pomysłu mistrzowskie tam zwłaszcza, gdzie idea jeszcze na wierzch się nie wypycha, a poeta nie oskarża lecz maluje: tak n. p. obraz pochodu pogrzebowego („Idą

posępni...“) jest perłą poezyi polskiej, perłą jej nastrojowości. jej malowniczości, jej rytmiki wreszcie. Potem dopiero wysuwają się na pierwszy plan żale, zarzuty i skargi. które duszy poety odtąd na zawsze nie opuszczą:

„Naród mój tak się we swą przeszłość wśnił;
schodził we wszystkie grobowe piwnice
z trupami się, umarłymi rówieśnił,
badał ich w trzewach skonu tajemnice;
że sam w tych ciągłych łzach i płaczach pleśnił,
bruzdami czoło poorał i lice
i starzał, — w coraz dalsze patrząc groby;
wzrok tężył w uroczne podcienia żałoby.

Rozpoznawałem, że kochał się w trunach.
kołysząc w nich swą myśl, jakby w szalupach;
że czytać znał, jak w powikłanych runach.
w bereł kruszynach i koron skorupach;
jak na spuścizny cieszył się fortunach,
rozmiłowany w tych przegniłych trupach;
mniemając, że go to do życia wiodło,
że brał te trupie piszczele za godło.“

Przystańmy tu na chwilę, bo chociaż z tą myślą nieraz się jeszcze spotkamy, to nigdzie nie będzie ona tak przejrzyście i z takim naciskiem wypowiedzianą. Czy Wyspiański słusznie Polakom wyrzuca zapatrzenie się w widmo przeszłości? Najprzód przypomnijmy, że bądź co bądź słowa te wypowiada nie Wyspiański, ale Kazimierz Wielki. Czy więc najprzód król mówi sprawiedliwie? Tak: jeśli przyjmiemy fikcyę, że zmarły budzi się w roku 1869 i te czasy ogląda, ale też te tylko a nie dalszy rozwój epoki po styczniowem powstaniu, to ma racyę: Polacy ówcześni, massy ich, te właśnie, które za najbardziej patryotyczne się uważały i o tym patryotyzmie najgłośniej mówiły, nie „znali“ wówczas istotnie „innych radości, tylko te, gdy cmentarze światłem ścielą“; na przekór „stańczykom“, „plwającym“ ich zdaniem na przeszłość, w bezsilnym gniewie przeciw zaborczym rządom, „kochali się w trunach“ — że przypomnimy tylko, iż najwybitniejszą manifestacyą narodową owych czasów było święcenie rocznic historycznych, że także dziwnym przypadkiem na tenże rok 1869 przypada założenie Muzeum w Rapperswylu, pierwotnie „historycznem polskiem“ zwanego, a mającego charakter taki żałobny. Że już wtedy, w r. 1869 budziło się nowe życie, tego Kazimierz Wielki w r. 1869 mógł jeszcze nie spostrzedz, zwłaszcza widząc w swym

pogrzebie tak silne napięcie historyzmu; chociaż z drugiej strony, jeśli cudem ożył wtedy po tylu latach, to doprawdy można od niego żądać większej bystrości wzroku. Ale głos Kazimierza W., to oczywiście głos Wyspiańskiego. Więc jeśli on wyrzuca rodakom, że „biorą trupie piszczele za godło“, to nie ma słuszności, bo on to pisze w r. 1900, kiedy kiełkujące słabo w r. 1869 życie nowej Polski było już rosnącem drzewem, on pisze o pogrzebie Kazimierza W. w dziesięć lat po sprowadzeniu do Krakowa zwłok Mickiewicza, tej uroczystości tak samo będącej symbolem odradzającej się Polski, jak pogrzeb tamten był płaczem zrozpaczonej. Że Wyspiański mimo to te słowa pisze, to wytłumaczyć się nie da inaczej, jak tylekroć już przez nas powtórzonem twierdzeniem, że jak r. 1869 oczarował go na całe życie.

Pomijamy na razie drugi zarzut Kazimierza—Wyspiańskiego, do romantycznych poetów skierowany, bo przyjdzie na jego krytykę pora przy omawianiu Wyzwolenia. Ale jest jeden jeszcze, o

„wodzach narodu“
„co przewodzili nad ludem krzykami.
gędźbami nowe podsycali waśni,
samozwańczymi będąc prorokami.“

— — — — — — — — —

„Mówili wszystko, co powinien czynić
naród, — w rozstajne wskazując mu drogi;
wzajem się w słowiech jęli lżyć i winić
aż wzrośli na olbrzymie truchła-trwogi.“

W tych słowach, jeśli je na wszystkich „wodzów narodu“ rozciągniemy, będzie przesada: jeśli skierujemy je przeciw niektórym, aż nadto prawdy znajdziemy, prawdy tym razem, niestety, żadną historyczną datą nie ograniczonych, a w ostatnich dziesiątkach lat ubiegłego stulecia, w okresie namiętnych walk stronnictw do tylu, tylu „wodzów narodu“ dających się zastosować.

Zakończenie rapsodu bardzo pospieszne, węzeł gordyjski efektownie raczej niż prawdziwie rozcinające: oburzony król chwyta za młot, rzuca w mowcę, u ołtarza stojącego, „że piersią bryznął padł, — a naród obaczył się wolny!“ Tak? Przecież „niewola“ narodu była — nie mówiąc już o materyalnej niewoli — skutkiem nastroju całych mas, nie tego jednego mowcy tylko. Więc z jego zabiciem naród chyba nie „obaczył się wolny...“

Ułożony według chronologicznego następstwa przedstawionych wypadków historycznych szereg dramatów o powstaniu z r. 1830—1831 tak wyglądałby: Noc listopadowa, Warszawianka (dzień bitwy grochowskiej), Lelewel (zdarzenia sierpniowe). Ale przy takiem uporządkowaniu Warszawianka weszłaby w środek, co nie zgadza się z jej artystycznym charakterem, bo techniką różni się ogromnie od tamtych obu dramatów, podobnych znowu pod tym względem do siebie. Wysuwając z tych powodów ją naprzód, nie burzymy budowy idei tej seryi dzieł Wyspiańskiego, bo w Warszawiance wyraża on już *in nuce* swój pogląd na całe powstanie listopadowe.

Przy rozbiorze utworów, mówiących o Bolesławie Śmiałym, przyjęliśmy egzegezę p. Ortwina. Otóż jak tam Wyspiański na dramat z jedenastego wieku rzuca aposteryorystyczne światło urabiającej się przez wieki legendy, tak tutaj przedstawiając tragiczny bój o niepodległość wnosi jego mroki latarkę współczesnej autorowi a nie tamtym wypadkom historyozofii. Prawdą jest bowiem, że ówcześni wodzowie i żołnierze w znacznej części szli do walki bez nadziei zwycięstwa, dopiero jednak późniejsze pokolenia historyków moment ten podniosły do znaczenia rozstrzygającej sprawy i w tym nastroju dopatrzyły się głównej, zasadniczej przyczyny, która *a priori* uniemożliwiła pomyślny wynik powstania. Dopiero nowsza historyografia bowiem wykazała z jednej strony ogromną dysproporcyę pomiędzy polskiemi a rossyjskiemi siłami, a z drugiej strony wyraziła przypuszczenie, że jednak mimo to, kto wie, po czyjej stronie byłoby zwycięstwo, gdyby nie owa narkotyzująca Polaków beznadziejność. Tem pojęciem Wyspiański przejął się, bo dzięki jemu postaci tych ludzi dorastają do grozy tragicznej, nie bohaterskiej jednak w rodzaju pospolitych dramatów patryotycznych, lecz rozpaczliwej, byrońskiej, jak ktoś zauważył. Kiedy tam zazwyczaj nad sceną unosi się wierzący okrzyk „Za naszą i waszą wolność!", tutaj wsłuchują się wszyscy w dźwięki „Warszawianki", która wprawdzie także przyrzeka, że „kto przeżyje, wolnym będzie", ale mówi zaraz, że śmierć ten upragniony cel pewniej i spieszniej da, bo „kto umiera wolnym już." Czy Wyspiański generalizując tutaj, nie dopuścił się jednostronności, na to przedmiotowa historya, nie ta, z której poeta czerpał, uczuciowa i filozofująca, odpowiedziałaby zapewne z powątpiewaniem, lecz bądź co bądź ani Chłopicki ani jego drużyna nie są w dramacie takim fałszem historycznym, jakim w zakresie mitycznej i poetyckiej tradycyi był Achilles. Autor bowiem nader

starannie tę tragiczną rezygnacyę wyprowadził z dwóch źródeł, niezaprzeczenie historycznych. W obu razach pośrednikiem poety jest Chłopicki. On najprzód wspominając napoleońskie czasy, tak je z dzisiejszymi kontrastuje:

„...huczały nam armatnie gromy
jak wulkan bucha i miota pocisków grad
w ogniach i dymie...
było nam wtedy Zwycięstwo na imię
i tylko takie zaznaliśmy hasła
a dziś... wy chcecie zgonu — więc zagasła
Marsowa gwiazda; — wy młodzi, wy młodzi
wy się stroicie w szlify, w pióropusze
a zagrobowy laur wabi wam dusze.“

Chłopicki stwierdza sam fakt, pyta: „zkąd ta żałość, zkąd niemoc, zkąd śmierci żądanie?“, lecz nie odpowiada. Ale czytelnik lub widz z łatwością za niego — i za poetę — z tych przesłanek odpowiedź wysnuje: właśnie dlatego, że ta świetna epopea napoleońska tak bezowocnie dla Polski minęła, „całą ziemię“ polską „kir żałoby słoni“, bo ludzie r. 1831 musieli sobie powiedzieć: jakżeż zdołamy my tego dokonać, czego nie zdołali tamci w warunkach tysiąc razy korzystniejszych. Sam Chłopicki za parę chwil połączy beznadziejność powstania z zawodem gloryi napoleońskiej i w zbolałych słowach zwróci się do posągu cesarza z wyrzutem, że „dziś Francya piosnkę nam przysełą“ za tyle krwi przelanej niedawno przez Polaków pod jej sztandarami. I inny jeszcze moment podkreśli Chłopicki, inną przyczynę niemocy ówczesnego pokolenia, gdy z ironią powie o tych młodych, że „romantyzują“, że są „poetyczni“. Wyspiański naszem zdaniem, już tutaj potrąca z lekka o jedną z najgłówniejszych swych myśli, o szkodliwe oddziaływanie poezyi romantycznej na tęgość ducha polskiego. Nie zwrócono dotąd uwagi, że wszystkie osoby, w dramacie występujące — poza dwiema pannami — rozdzielone są na trzy nierównej wielkości grupy: Chłopicki — młodzi oficerowie — stary wiarus. Czy każde z tych trzech ogniw w łańcuchu ma równy zasób bohaterstwa? Nie: bohaterstwo jednego wiarusa, jednego Chłopickiego, większe jest niż u całej gromady młodzieży, będącej za to bardzo wykwintną, bardzo rozpoetyzowaną, na byrońskiej i romantycznej poezyi wykształconą. Więc mimowoli, choćby nawet Wyspiański do wywołania tego spostrzeżenia nie dążył — a nam się zdaje, że tego wrażenia chciał — widz do-

patrzy się związku pomiędzy karmieniem się romantyzmem a niemocą ducha.

Dramatyczna budowa Warszawianki jest prostą a teatralnie silną. Chłopicki z Radziwiłłem współzawodniczący i miłosno-bohaterska tragedya Maryi i Rudzkiego, to dwa składniki osnowy, ściśle z sobą związane: pierwszy dzięki drugiemu do historycznego zyskuje uczuciowy charakter, drugi dzięki pierwszemu zyskuje szersze znaczenie i tragiczniejszą grozę. Złączone one są z sobą i dalej, gdy z chwilą przemiany kochanki, nad stratą narzeczonego płaczącej, w Kassandrę, ojczyznie nieszczęście wróżącej, zlewają się w jeden strumień. Przemiana zaś sama dokonywa się nie z nakazu poety, nie z chęci stworzenia drugiej Judyty z Księdza Marka Słowackiego, ale siłą rzeczy, siłą całego poprzedniego biegu materyalnej i uczuciowej akcyi. Piękną oprawę stylową Warszawianki długo jeszcze w polskiej krytyce będzie się podziwiać. Wpływ francuskiego dramatu, widoczny tutaj szczególnie w pierwszych scenach, w zupełności odpowiada i treści i nastrojowi: wszak tak wybornie z historyczną epoką, napoleońskiemi tradycyami jeszcze żyjącą, zgadza się patetyczna, retoryczna godność i powaga szumna, a nieco konwencyonalna *empire'u*. Chłopicki jest stylowym od płaszcza do wysłowienia, (nie pojmuję wprost, jak jeden z krytyków mógł nazwać jego styl „nadętym“!), a biust Napoleona jako Cezara słusznie panuje nad sceną. W tę stylową szatę przyodział poeta dusze, drgające budzącem się żywszem tętnem romantycznych czasów, odtwarzając w ten sposób wiernie charakter epoki, w której klasycyzm Księstwa warszawskiego zmagał się z wileńskim romantyzmem, w gieście i w zewnętrznych formach zachowując jeszcze dawną władzę, w serdeczniejszych akcentach ustępując już miejsca nowym prądom. Poeta zresztą z całą swobodą zrzuca z siebie francuski płaszcz, skoro tylko mu przeszkadza: druga część dramatu, tam, gdzie zresztą już nie historyczna chwila i nie mężowie miecza i polityki stoją w ognisku akcyi, ale sentyment i polska dziewica, ta część zrywa więzy francuskiej tragedyi, nie wyłamując się na szczęście z ram scenicznych. Nie można jednak przepomnać, że wstrząsające wrażenie Warszawianki nie samemu tylko słowu ma się do zawdzięczenia: przynosimy bowiem z sobą do teatru już serce, podatne na ból daremnej walki o wolność, wsłuchujemy się w dźwięki muzyki i pieśni, wreszcie najpotężniejszą chwilę przeżywamy wtedy, gdy poeta milczy, aktor gra: gdy wchodzi stary wiarus...
Lecz mimo wszystko, co zgryźliwość przytoczyłaby na umniej-

szenie zasługi Wyspiańskiego, pozostanie faktem, że Warszawianka, jak w r. 1898 po raz pierwszy zdobyła dla poety polskie serca, tak i w spokojnym sądzie estetycznym do najpiękniejszych jego dzieł zaliczoną będzie.

Szlachetną piękność Warszawiaki oceni się należycie, zestawiając ją z Nocą listopadową (z r. 1905). Ideowo do koncepcyi Wyspiańskiego nie wnosi ona nic nowego, chyba tylko to, że poeta porzucając analizę poszczególnych składników, wznosi się do uogólnienia tragizmu powstania listopadowego. Tylko, że tam do wyłuszczenia myśli wystarczyły autorowi proste, dla każdego zrozumiałe środki artystyczne, tutaj wprawiony jest w ruch cały aparat reminiscencyj historycznych i mitologicznych. Jeszcze w pierwszej scenie to nie razi, bo uważa się ją za rodzaj prologu, chociaż bądź co bądź skojarzenie Niki z pod Maratonu, Nike z pod Salaminy, Nike Napoleonidów, Nike z Cheronei jest dowolnem.

Gdy ostatnia mówi:

„Oto po śmierć dążę,
Obaczę ich we krwi
Pozwalasz mi znowu wstać
Poległym łoże słać.
— — — — — —
Nie giną synowie moi,“

to czytelnik przypomina sobie, że ta sama pogrzebowa wróżba wypowiedzianą została w Warszawiance w sposób i prostszy i, co ważniejsza, ściśle dramatyczny. Ale Pallas, ale Ares? P. Stanisław Lack w pierwszej dostrzega ducha rewolucyjnego, w drugim żywiołu wojennego. Zgoda na drugie wyjaśnienie, wątpimy natomiast w prawdziwość pierwszego, bo w takim razie tłumaczenie symbolu jest zupełnie samowolnem, sprzecznem z mitologicznem pojęciem tej postaci. Tak więc Ares, jeśli istotnie ma brutalną żołnierkę wyobrażać, jest symbolem konwencyonalnym, bo prościej byłoby wyrazić to samo w jakiej rzeczywistej osobie; a Pallas, jeśli jest tem, za co ją p. Lack bierze, jest sfałszowaniem właściwego symbolu bogini. Jest jeszcze Kora i Demeter. Jako wyjęta z całości „wstawka“ rozmowy matki z córką są przepiękne. Schiller także napisał wiersz o tym samym motywie *(Klage der Ceres)*, ale dał rzecz płytszą w pojęciu, mniej wzruszającą i suggestywną w nastroju, w rytmie tylko melodyjniejszą.

Myśl dyalogu zrazu obraca się w zakresie znanego poglądu Wyspiańskiego o nieubłaganym tragizmie losu („Umierać musi, co ma żyć“), potem jednak przybiera odmienny kształt, u tego właśnie poety zadziwiający:

„Wieki i lata, co przyjdą
żyć będą ziaren tych treścią.
Ziemia rodzić będzie,
kędy siew padnie zdrowy.
Ludzi zbudzę, roześlę orędzie
na żywot, żywot nowy!
Pokoleniom ostawię czyny,
po ojcach wielkich — wielkie wskrzeszę syny,
kiedyś — będzie wolni!
Co złego w was i co marne
to jako plewy i ziele złe zgarnę;
co chwastu na naszej roli
i co szkodzi wam, co was boli,
to ukoję — czasu przebiegiem.
Przejdziecie jeszcze niejedną nędzę
i niejedną przebolicie próbę.
A jeżeli lichego serca ludzie
w was samych gotują wam zgubę, —
ja ich powołam — i jak plewo zmiotę!
I w ziarnach tu — na dnie — przechowam cnotę.
Za czas znów wrócę — i jeszcze razy wiele
przyjdę — Wiosna, z gwiazdą na czele
i żywot dam — tlejący w zgliszcz popiele!
A dzisiaj kres. — Krwi przelanej nie zmarnię
krwią pola, a rolę użyźnię
i synów z krwi tej dam — kiedyś — Ojczyźnie.“

Carmina to zaiste z ust Wyspiańskiego *non prius audita* i nie usłyszymy już ich też nigdy. Nie licują one z charakterem i tego, i dwóch innych dramatów o powstaniu listopadowem, nie swojo im także w ogólnej fatalistycznej symfonii poety. Że zaś tutaj wypowiada je i nie poeta sam od siebie i nie jakakolwiek rzeczywista osoba dramatu, lecz postać mityczna, z akcyą luźnie związana, nie dowierza się im, ma się je za przypadkowy odruch nadziei, nie za wypływającą z dramatu pociechę.

Wizyonerski nastrój dzieła zaszkodził plastyce ludzi z krwią i kośćmi. Czy to jest Wysocki czy Czartoryski, oni zawsze są marami, są figurami szachowemi, poruszanemi przez tamte nadziemskie postaci. Jeden Łukasiński, ślepy więzień lochów belwederskiuh ma istotną grozę, lecz to przecież osoba drugorzędna,

o wartości całości nie rozstrzygająca. Wielki książę Konstanty zaś, zaciekawiający już z tego powodu, że poeta zresztą w tym cyklu unika przedstawienia figur rossyjskich, nie jest marą, lecz na nieszczęście wpada w drugą ostateczność: jest grubą, ledwo trochę ociosaną bryłą nie granitu, ale piaskowca. A tak z Nocy listopadowej przed nieuprzedzonym sądem nie wiele się ostoi cało, przedewszystkiem nie sam zrąb dramatu. Pozostanie tylko cudny dyalog Kory z matką (odegrany w krakowskim teatrze), który zwolniony z niestosownych dla niego ram łazienkowskiego otoczenia, jako mówiony obraz świetlny dorównywa pięknością Protesilasowi i Laodomii a dla polskiego uczucia od tamtych jest bliższy i milszy.

Lelewel (z r. 1899), osnuty na tle wypadków z 15. sierpnia 1831 r., fakturą bliższy Warszawiance niż Nocy listopadowej, nie może być, ściśle biorąc, uważanym za jedno z trzech ogniw sztuk o powstaniu listopadowem. Trzeźwy, suggestyom nigdy nie podległy Piotr Chmielowski widzi w nim słusznie „pięcioaktową dysputę, przerywaną z zewnątrz kilkoma zakłóceniami, które jednak na istotę rzeczy nie wpływają“. Od siebie dodamy jako przykład ten moment, kiedy Lelewel przed wdzierającym się na salę obrad tłumem polskich „jakobinów“, swoich politycznych przyjaciół, cofa się za firankę. Podobno tak się rzecz istotnie miała, tak ją przynajmniej przedstawia historyk powstania listopadowego, Stanisław Barzykowski. Ale mimo całego szacunku dla dziejowej prawdy, tutaj trzeba było koniecznie odstąpić od niej raz dlatego, że wyższa nad logikę historyi logika sceny („poezya jest filozoficzniejszą od historyi“, powiedział już Lessing) domaga się tutaj stanowczo czynnego wystąpienia Lelewela w tym lub owym kierunku, a uniemożliwienie tego każdy widz w teatrze weźmie nie za wierność historyczną, lecz za naiwny „spryt“ poczciwych niezręcznych dramaturgów starej daty; powtóre, że sąd widza musi takie postępowanie Lelewela nazwać tchórzostwem, co według wszelkiego prawdopodobieństwa sprzeciwia się intencyom autora. A dalej Chmielowski tak o Lelewelu mówi: „Nie jest to ani obraz historyczny wypadków z 15. sierpnia 1831 roku, ani też starcie się obozu czy prądu monarchicznego z demokratycznym; ani walka dwu przeciwnych idei, lecz rozprawa o potrzebie i konieczności uduchowienia się.“ Jesteśmy tutaj odmiennego zdania: powtarzając powyższe określenia, łączymy je nie spójnikiem „ani“ lecz „i“. W Lelewelu jest i walka prądu arystokratyczno-monarchistycznego z demokratyczno-republikańskim i rozprawa

o konieczności uduchowienia się. Lelewel występuje w podwójnej roli raz w jednej, to znowu w drugiej, czasem w obu równocześnie: to i skrajny demokrata, rewolucyjny republikanin i doktryner absolutnej idei. Czartoryski tak samo dwoistą ma postać: raz jest monarchistą, ambitnym kandydatem do tronu, to znowu trzeźwym, praktycznym politykiem, wrogiem jakiegokolwiek ideowego doktrynerstwa. I w tej dwoistości tkwi właśnie organiczna wada utworu, brak przejrzystości, brak wyraźnego czystego rysunku. „Dysputa o potrzebie uduchowienia się“ jest skrzywiona przez to, że naprzeciw siebie nie stają czyste, wyodrębnione pojęcia: tu „uduchowienie“, tam praktyczna polityka: na odwrót zaś „starcie się prądu monarchicznego z demokratycznym“ jest zamazane dysputą pomiędzy tamtemi ideami.

W tych warunkach w krytykę stanowiska czy to Czartoryskiego lub Lelewela, czy to samego poety, wdawać się naturalnie niepodobna: przyznać jednak trzeba, że poza wytkniętym, bardzo ważnym błędem, słowna rozprawa przeprowadzona jest silnie a zrozumiale, znacznie wyraźniej niż n. p. w bolesławowskich dramatach spór króla z biskupem. Wyspiański stanowczo nie przechyla się ani na jedną ani na drugą stronę, co jest chwalebną zaletą dramatu. Że bliższym jest jednak Lelewelowi niż Czartoryskiemu, to pewne i zgodne z jego duchem i temperamentem.

„Gdy nad narodem ciemne rozległy się noce,
budzi się prorok — duch, co go powiedzie. —
Ten sam że się zapłonie, jako słup ognisty,
i będzie przed szeregiem zwartym szedł na przedzie.
Temu Bóg odda dusz jedynowładztwo!“

Czy takim był Lelewel faktycznie? zapewnie nie, chociaż niewątpliwie takim być chciał. Takim chciał być także Wyspiański i takim go wielu współczesnych mieć chciało. Dzięki Bogu, los oszczędził mu konieczności chowania się za firankę przed... zwolennikami.

Legion (z r. 1900) stoi samotny, nie łącząc się z żadną z sąsiednich grup, ani z poprzednią ani z następną. Charakter jego historyczności to sprawia; za mało jej ma, by mógł do historycznych dramatów Wyspiańskiego się zaliczać, za dużo, by należał do zupełnie subjektywnych.

Punkt wyjścia historyczny, pierwsze sceny także. Wiadomo z pierwszej lepszej monografii Mickiewicza, że poeta przybył w lutym r. 1848 do Rzymu, tutaj poznał męczennicę Matkę Makrynę Mieczysławską, u Ojców Zmartwychwstańców się wyspowiadał, za naleganiem ks. Jełowickiego poddał się nauce i cenzurze Kościoła i razem ze „starszyzną polską“, w Rzymie przebywającą, starał się o posłuch u papieża. Przed audyencyą Mickiewicz, przepełniony poczuciem ważności tej chwili, u ks. Józefa Hubego prosił kornie o wspomożenie jego ducha. Postępowanie księdza, widocznie niezbyt zręczne, rozjątrzyło go, co oczywiście na sposób przemawiania i zachowania się podczas audyencyi wpłynęło jak najniekorzystniej. Poeta, według relacyi ks. Jełowickiego przemawiał wobec Piusa IX. głosem wrzaskliwym, coraz podnioślejszym. „Wykładał Ojcu św., że przyszła nowa epoka ducha. Upominał go, aby w niej spełnił obowiązek swój. Wspomniał i o Polsce — a w końcu chwyciwszy Ojca św. za rękę, wstrząsnął nią gwałtownie i zawrzasnął: „Wiedz, że duch Boży jest dzisiaj w bluzach paryskiego ludu“. Papież w odpowiedzi wskazał na niektóre grzechy Polski, jak rozwody, ucisk ludu, ciemiężenie Unitów, ale wzywając do czystości obyczajów i posłuszeństwa w wierze szczerze katolickiej, pobłogosławił takiej Polsce i takim Polakom. Polacy po tem posłuchaniu postanowili wyjednać u papieża błogosławieństwo dla legionu polskiego, mającego z Włochami przeciw Austryi walczyć. Na zebraniu Polonii rzymskiej obrady były bardzo burzliwe a ich osią była sprawa Towiańskiego: brat Norwida zarzucił Mickiewiczowi, że wyparł się nauki „mistrza“, poeta się bronił, że się jej nadal trzyma, bo wszak Kościół dotąd jej jeszcze nie potępił. Mickiewicz na czele Legionu był już w drodze do Medyolanu, kiedy Pius IX. potępił jego ostatnie dwa tomy paryskich wykładów, o Towiańskim wyrażając się, że chociaż nauka jego, jako niedrukowana, nie może być potępioną, to jednak uznaną być musi za mieszaninę wszystkich herezyi przez Kościół potępionych.

Wyspiański zrazu tej historycznej kanwy wcale wiernie się trzyma, haftując na niej to tylko, co z jej charakterem się zgadza. Więc w scenie pierwszej audyencya Makryny u papieża w r.

1845 i echa historycznych odwiedzin cara Mikołaja I. w Watykanie (tu zaraz dziwna niezręczność: papież przemawia — oczywiście po polsku — ks. Jełowicki jego słowa tłumaczy: zapewne, że w rzeczywistości tak być musiało, bo papież nie umiał po polsku ani po rusku, Makryna po włosku, po łacinie lub po francusku; ale na scenie mówią przecież wszyscy po polsku, a ks. Jełowicki nie tłumaczy, lecz powtarza i streszcza słowa Piusa, co jest i niepotrzebnem i nużącem). Trzy dalsze sceny na razie opuszczamy, przechodząc do piątej, gdzie Mickiewicz uzyskuje błogosławieństwo ks. Jełowickiego, by w następnej stawić się na posłuchaniu u papieża. I znowu przerywamy, by dopiero w jedenastej stąpić na grunt bodaj częściowo historyczny: ujrzeć Mickiewicza na czele legionu polskiego.

Liczba tych scen jest więc mała, wobec całości złożonej z dwunastu. Po raz pierwszy poeta tutaj nie pisze dramatu, lecz szereg scen luźnych. Co więcej po raz pierwszy nawet zewnętrznie z warunkami teatralnemi się nie liczy nic a nic, on, teatrem żyjący. Przedstawienie Legionu na scenie będzie kiedyś wymagało olbrzymich kosztów, wobec których niknie nawet nakład przedstawień najwspanialszych dramatów muzycznych Wagnera. Oto spis dwunastu dekoracyj: sala stanz d'Heliodoro w Watykanie — katakomby rzymskie — Colloseum w księżycowej nocy — klasztor Trinita de Monti — cela u OO. Zmartwychwstańców — sala audyencyonalna w Kwirynale — kościół św. Piotra w Rzymie — kopuła tegoż kościoła — Kapitol — Forum Romanum — Via Appia — noc nad wielkiemi wodami. To same dekoracye. A teraz kostyumy i inne rekwizyta teatralne: papież i car, nadludzka postać Sławy, św. Andrzej prowadzony na mękę krzyżową, litewskie boginki, świtezianki, guślarze, znachory, wiedźmy, Kastor i Pollus, chwytający rozszalałe konie Phoebusa, maska Caesara, przemieniająca się w maskę Napoleona I., łódź wielka, w powietrzu harpije, zmory, syreny, erinnye, pożar korabiu, Śmierć itp. Już z tego wyliczenia zewnętrznych akcesoryów widać, że wyobraźnia poety huraganem nieokiełznanym przebiega lądy i morza. Mickiewiczowi każe stawać się Brutusem, relikwiom zamęczonego przed wiekami świętego każąc ożyć, do katedry św. Piotra wprowadzając mitologiczny świat starożytnej Litwy.

A jednak styl ten zgodny jest w zupełności z wewnętrznym charakterem utworu, z omawianych dotąd najchaotyczniejszego, wśród dalszych również może z powodzeniem o ten niepochlebny prym walczącego. Próżną byłoby rzeczą chcieć odgadnąć wszy-

stkie gmatwaniny tego utworu: powołać się możemy na to, cośmy na wstępie o ciemnych miejscach u Wyspiańskiego powiedzieli. I nie mamy także zamiaru, idąc krok w krok za poetą, prostować wszystkie umyślne naciągania i przekręcania prawdy historycznej, że zwrócimy tylko uwagę na śmiałość, z jaką Krasińskiemu w dziesiątej scenie, na Forum Romanum, wkłada w usta łączenie zbawienia Polski z chwilą:

„gdy padną kościoły Romy,
gdy sklepienia Piotrowe rozpękną“

— co jest takiem samem merytorycznie zaprzeczeniem ducha Krasińskiego, jak romantyczny weltschmerz fałszował ducha Achillesa, tylko że tam chodziło o postać mityczną i obcą nam, tutaj o poetę znanego dobrze i naszego. Ograniczymy się tylko przedstawieniem roli Mickiewicza i dlatego, że on jest ośrodkiem dramatu i dlatego, że w niej krystalizuje się idea utworu.

Do odgadnięcia myśli Legionu potrzeba nie tyle nadzwyczajnego wysiłku mózgowego, ile raczej bystrości w odróżnieniu, co jest bezpośrednim wyrazem idei Wyspiańskiego, co zaś skutkiem niekontrolowanego żadnem rozeznaniem rozkołysania się jego wyobraźni, wreszcie co jest, naszem zdaniem, mimowolną pozostałością dawnego stylu dramatów historycznych, wymagających podmalowania tła. Odpadają najprzód z tych powodów pierwsze dwie sceny, poświęcone Makrynie Mieczysławskiej, pierwsza historyczna, druga realistyczno-fantastyczna z gromadą chłopów z kosami w ręku, przypominających jak w Piaście krwawe widmo rzezi roku 1846. Akcya mickiewiczowska rozpoczyna się trzecią odsłoną. Mickiewicz w rozmowie z Krasińskim i wskutek ówczesnego swego mistycyzmu i podniecony czarem księżycowego widoku Colloseum, ma wizyę Sławy, wzywającej synów Polski do broni. W dalszym ciągu spotkawszy się z Matką Makryną, poeta wywnętrza się przed nią z obaw powstrzymujących go od spełnienia danej mu od Sławy misyi wybawienia narodu:

„W pustkę, w Noc zaszedłem ciemną,
Boga nadewszystko winuję,
modlitwa moja daremna,
koło mnie przepaście odmętu,
straszliwe piekielne upiory,
nie podołam przemódz wstrętu.“

Ona go uspokaja i w tym stanie poeta odwiedza ks. Jełowickiego, odbywa tu skruchę i gotowy jest do czynu:

„...Podejmę męczeństwo,
rozbudzę duchowe Słowieństwo“.

Na posłuchaniu u papieża przemawia do niego, by za Polski wiarę w Zmartwychwstanie „błogosławił duchowe powstanie“. Papież zrazu wzbrania się, potem z upomnieniami, przez Mickiewicza przyjętemi, błogosławi jemu i narodowi. Poeta zwoływa „rycerzy Baru“ i błaga Boga o „wojnę, o wojnę cudów“. Świat starożytnej Litwy odwraca się wprawdzie od niego, który go porzucił, „szaleństwem krzyża szalony“; Demos z tłumem łamie mu sztandary, za to że zapomniawszy swego własnego „wallenrodyzmu“, chce lud porwać ku szczytom ducha, a nie patrzy na krew mordowanego tłumu, staje przed nim Rapsod, uosobienie zamarłej chwały legionów napoleońskich. Na Forum jako Brutus przecina więzy Wolności, która pędzi na wozie naprzód, miażdżąc tłumy, Mickiewicza samego zostawiając. Na Via Appia poeta jak nowy Chrystus wiedzie tłumy, obiecując im „Jeruzalem żywą“, jeśli zaprzysięgną mu wytrwanie. Ale w ostatniej scenie przyznać musi, że „walka zakryła się nocą“. Lud rozpacza, wyrzuca przewodnikowi, że powiódł ich na śmierć i mękę:

„Jak wytrwać, w około burze,
niebo zawieruchy chłoną,
mgły w koło, przepaście odmętu,
na pokładzie krwi ciepłej kałuże.
O ręce we krwawej jusze,
nie przeniesiem odrazy i wstrętu!
Proroku, gdzie wiedziesz wybrańce?!
Obiecywałeś Raj złoty,
słoneczne kwiatów pogody,
a krwią spłynęły narody.“

Wtedy Mickiewicz zapala pochodnią łódź, by dokonać dzieła zagłady, a przez nią odrodzenia. Okrzykiem poety: „Zmartwychwstańcie młodzi!“ i wizyą Tanatosa kończy się *Legion*.

W tem streszczeniu myśl jego nie wydaje się nam zawiłą. Łączy się ona najprzód zgodnie z syntetyczną ideą Wyspiańskiego o zmartwychwstaniu przez śmierć, z ideą, którąśmy już kilkakrotnie, po raz ostatni w *Nocy listopadowej* widzieli. W pojęciu postaci Mickiewicza rysunek jest być może fałszywym —

w to nie wchodzimy, bo taka zasadnicza dysputa byłaby bezpłodną — ale względnie prosty. Wyspiański zarzuca twórcy włoskiego legionu, że sprzeniewierzył się wygłoszonemu przez siebie samego hasłu „wojny ludów“, że opanowany mistycyzmem, w świecie ducha jedynie umieścił wyzwolenie. Równocześnie jednak Wyspiański sam przyznać musi, że w przyszłości tylko w myśl Mickiewicza wyzwolenie dokonać się może, że dopiero po spaleniu, po odrzuceniu od siebie zmysłowej powłoki idei, przyszłe pokolenia, „młodzi zmartwychwstaną“. Tak sobie przedstawiając myśl Legionu, nie możemy oczywiście zaręczyć, czyśmy wiernie wniknęli w zamiar poety, ale zdaje się nam, że nikt piszący o nim, tej obawy pozbyć się nie zdoła. W pojęciu naszem byłaby widoczną dwoistość, sprzeczność wewnętrzna w idei Wyspiańskiego: co zarzuca Mickiewiczowi, tego od przyszłości oczekuje. Wyjaśnić tej sprzeczności całkowicie nie umiemy, możemy dać tylko trzy ewentualności odpowiedzi: albo poeta tutaj, jak zresztą i n. p. w Lelewelu umyślnie zdecydowanego stanowiska nie zajmuje, i podobnie, jak to często Ibsen robi, w końcowej katastrofie umyślnie zdaje się sobie przeczyć (byłaby to zapewne jedyna analogia pomiędzy Wyspiańskim a „magiem północy“) — albo ujawnia się tu istniejąca u niego niewątpliwie niedostateczna zdolność jasnego sformułowania idei, skutek niewystarczającego wykształcenia filozoficznego — albo my sami fałszywie myśl poety przedstawiliśmy. Nie oświadczając się za żadną, dajemy te trzy odpowiedzi do wyboru.

Warszawianka wzruszyła polskie serca, porwało je dopiero Wesele (z r. 1901). Za pamięci dzisiejszego pokolenia nie było dramatu, któryby w bodaj przybliżonym stopniu takim wichrem przeleciał przez polskie społeczeństwo, wywoływał tyle naprężenia w teatrze, tyle zajęcia po za nim, powódź artykułów i rozpraw literackich. W tem spoczywa pewność, że Wesele pozostanie na zawsze co najmniej takim dokumentem historycznym, jakim jest n. p. we francuskiej literaturze Hernani Wiktora Hugo, ba, ważniejszym, bo tam chodziło o kwestye literackie, tutaj i o nie i o najżywotniejsze zagadnienia narodowe. Lecz z tych samych powodów trudno jest dzisiaj pisać o Weselu: drga ono jeszcze w duszy polskiej, krytyk wobec niego na po-

trzebną przedmiotowość zdobyć się nie może, bo i on przecież razem z innymi był, jeszcze może jest, zahypnotyzowany. A zresztą tyle już o niem napisano, że mimowoli doznaje się nieprzyjemnego wrażenia, że powtarza się tylko, bo choćby się tego dawniej ani nie czytało, ani nie słyszało, któż zaręczy nam, żeśmy wszystko wysłuchali, wszystko przeczytali, co Wesele wywołało, a znowu jakżeż obronić się przed ludzką złośliwością, jakobyśmy słyszane rzeczy pisali, wydrukowane przepisywali.

Zacznijmy od najzewnętrzniejszych spostrzeżeń. Że Wesele ma formę sceniczną zupełnie nową, w artystycznym dramacie nigdzie nie użytą, chyba z krakowskiej szopki wziętą, to wszyscy wiedzą. Czy ta forma tutaj dobrze jest wybraną? Tak, doskonale. Że zgodną jest z krakowskim i weselnym początkiem dramatu, o to mniejsza: że ludowy jej charakter licuje z wiejskim terenem akcyi, do którego także miastowi goście się przystosowują, to już ważniejsza zaleta; lecz nadewszystko dlatego szczęśliwym był pomysł Wyspiańskiego, że jeśli chciał wprowadzić do akcyi rozmaite figury: rzeczywiste i widmowe, współczesne i historyczne — a musiał to zrobić, chcąc myśl wyładować — to nie miał lepszego do tego środka, jak forma szopki. W każdym razie zestawione n. p. z Legionem Wesele góruje prostotą kształtu i jego jasnością. Bo mimo tego gwaru, tego szalonego ruchu, jaki na scenie panuje, mimo ustawicznego przerywania dyalogu budowa całości jest przejrzystą, każdy zwrot jest umotywowany logiką szopki, zapewne nie będącą logiką matematycznej wiedzy, tylko szopki, ale logiką, doprawdy logiką. Pochód akcyi również jasny, może nawet mimo pozornej niedbałości bardzo kunsztowny: poeta zaczyna bardzo potocznie, bardzo poziomo, bo ostatecznie wesele wiejskie, choćby to się poeta z miasta z dziewuchą żenił, ani nie jest średniowiecznym *cour d'amour*, ani paradną *Haupt- und Staats-Aktion*. Ale zwolna a bez przerwy ton się podnosi: od śmiechów i całusów idzie ku ideom, od bronowickiego zaścianka ku Polsce całej. Są w tym pochodzie w górę wypoczynki, spadków nie ma, aż kurtyna z końcem trzeciego aktu zasłania zawrotne szczyty.

Tłok postaci ogromny, samych ról „solowych“ przeszło trzydzieści, a jednak każda ma swoją odrębną fizyognomię, żadnej z drugą pomieszać nie można. Żyją te postaci dla siebie, żyją i dla poety. I tu dostrzega się znowu ogromnej wyższości Wesela nad wieloma innemi dramatami Wyspiańskiego. Tu, gdzie wypowiedział ideę, szersze niż gdziekolwiek indziej obejmującą kręgi, tutaj nie ściągnął z Olimpu ani jednego bóstwa, nie przy-

właszczył sobie z mitologii ani jednej postaci, nie pożyczył od obcych narodów ani jednego człowieka. Po za żywymi ludźmi kogo daje? Chochoła. tak. ale ten stoi przed chatą; widmo zmarłego narzeczonego. tak. ale ono żyje w smutku dziewczyny; Stańczyka i Rycerza. tak, ale oni przytomni są w duchu w każdej chwili: tamten w mózgu dziennikarza, ten w wyobraźni poety; Szelę, hetmana, Wernyhorę, tak, ale kto ich niema z nas w narodowem uczuciu? Że te urojenia z rzeczywistymi ludźmi gadają. że ci znowu także z nimi rozmawiają, w tem dowolności, wymysłu niema odrobiny więcej, niż w poezyi wogóle.

Jasnemi i zrozumiałemi są wszystkie poszczególne figury dramatu, nie jest tajemnicą jego idea. Smutna ona i beznadziejna.

„Orły, kosy, szable, godła,
pany. chłopy. chłopy, pany,
cały świat zaczarowany,
wszysko była maska podła.“

Gospodarz mówi to w podnieceniu, więc używa trochę za ostrych wyrażeń: zmieńmy ostatnie dwa wyrazy na „ułuda“. a otrzymamy zasadniczą myśl Wesela. Walka, którą wydał historyzmowi. i tu jest celem Wyspiańskiego. Zapatrzenie się w przeszłość. rojenia o przyszłości. w tamtem oczarowaniu snute, oto nasza niemoc. Nie nowa myśl to u poety, ale w Weselu brzmi na nutę odmienną, niż gdzieindziej. P. Kotarbiński łączy ten dramat podziemnym kanałem z Melancholią Malczewskiego i prawdopodobnie ma słuszność, bo Wyspiański w jego obrazy głęboko się wpatrywał: sam przed laty we Lwowie z ust poety słyszałem pomysł niewykonanego jednak dramatu, rozgrywającego się w pracowni Malczewskiego, Lecz nie tylko wizyonerstwo łączy ich obu. W obrazach. zwłaszcza w portretach Malczewskiego jest prawie zawsze jakaś alegoryczna postać, streszczająca w sobie pogląd artysty na malowaną osobę, zaprawiony gorzką, niemal zjadliwą ironią. chociaż tak głęboko nieraz ukrytą. że sportretowani ani się jej nie domyślają. Tę gorzką, zjadliwą ironię ma Wesele. ono jedno ze wszystkich dzieł Wyspiańskiego: ileż jej jest w słowach wieśniaków, z drwiącym uśmiechem patrzących na panów z miasta, ileż w bezlitosnem zdemaskowaniu dziennikarza przez Stańczyka. ileż jej jest choćby w tych kilku słowach Nosa: „Pan się narodowo bałamuci“.

Tak rozumiejąc Wesele, nie wdajemy się oczywiście w szczegółowe badanie każdej sceny, każdego ustępu dyalogu. Ale

odpowiedzieć musimy jeszcze na pytanie: co się w takim razie ma sądzić o Złotym Rogu, o czapce z piór, o sznurze? Im lepiej poznajemy Wyspiańskiego, tem bardziej utwierdzamy się w przekonaniu, że rozwiązania tragedyj są niego jakby z zewnątrz mu narzucone, że wypływają nie z rozwoju danej idei, jak on się dokonywał w jego duszy, lecz z rozlewnego potoku akcyi, który silniejszy od niego prowadził go poniewoli. W Weselu, jak sądzimy, ten przypadek także zachodzi. Nie twierdzimy bynajmniej, by końcowa katastrofa, zgubienie złotego rogu była niekonsekwencyą, bynajmniej, ale zdaje się nam, że ona problem poprzednich scen zacieśnia. tam chodziło o ułudę całego narodu, tutaj widzimy bankructwo jednej, cząstkowej idei: wiary w skuteczność udziału ludu wiejskiego w narodowej sprawie. Rzecz to ważna, ale tamta od niej jest ważniejsza.

O formalnej stronie Wesela po tem, cośmy na wstępie powiedzieli, już nie wiele trzeba dodać. Licuje ona z treścią utworu, jest jak ta rozmaitą, ma akcenty ludowe w odpowiednich miejscach, ma u ludzi z miasta stosowną wymowę i dyalektykę, u widm wzniosły, czasem groźny patos. Że widoczne są ślady, iż Wesele pisał uczeń Matejki, zauważyliśmy już na początku; że czynnik malarski wogóle olbrzymio tu zaważył, wiedzą wszyscy, bo mają w duszy obraz tej chwili, kiedy wszyscy skamienieli wsłuchują się w dal, czy nie usłyszą czarownego złotego rogu.

Dr. Józef Flach.

(Dokończenie nastąpi).

Zarys dziejów edukacyjnych Polski porozbiorowej na obczyźnie.

(Ciąg dalszy).

Po dokonaniu reformy Szkoła polska miała zatem analogicznie trzy kursa: elementarny, gramatykalny i licealny.

Kurs elementarny obejmował trzy klasy najniższe: IX., VIII. i VII. Na tym kursie uczono najprzód czytać po francusku i po polsku, następnie pierwszych początków gramatyki polskiej i francuskiej, katechizmu i historyi biblijnej, robiono ćwiczenia praktyczne w obu językach, uczono pisać i rachować. W klasie VIII. zaczynała się łacina.

Kurs drugi, gramatykalny, złożony z klasy VI., V. i IV., miał w planie naukowym wykład religii z wypracowaniami religijnemi piśmiennemi, całość gramatyki polskiej i wprawę w mówieniu i czytaniu polskiem, czytanie i tłumaczenie pisarzy polskich, historyę i geografię historyczną Polski, rysowanie map. Dalej wchodziły w zakres tego kursu języki francuski, niemiecki, łaciński i grecki, geografia, historya starożytna rzymska i grecka, arytmetyka, początki geometryi, rysunek naśladowczy i topograficzny.

Kurs III. licealny, obejmujący klasę III., II. i I., podzielony był na dwie równoległe sekcye: scientyficzną i literacką. Na tym

kursie były niektóre przedmioty wspólne, a mianowicie religia oraz literatura i historya narodowa.

Poza tem w sekcyi literackiej pierwsze miejsce w planie naukowym zajmowały przedmioty filologiczne oraz historya i literatura tak starożytna jak i nowożytna, a tylko w skróconych rozmiarach brano nauki ścisłe i przyrodnicze. W sekcyi scientyficznej te właśnie przedmioty miały przewagę, a na drugi i dalszy plan schodziły przedmioty literacko-filologiczne.

Uczniowie tej sekcyi uczęszczali na przedmioty niepolskie do szkoły publicznej francuskiej, a mianowicie do liceum im. Bonapartego, a w szkole mieli powtarzania i ćwiczenia w języku ojczystym. Wszystkie inne oddziały pobierały naukę w szkole.

Prócz tych trzech kursów, odpowiadających całkiem organizacyi szkół publicznych francuskich, miała szkoła polska kurs IV.: techniczny czyli przemysłowy, równoległy do klas: VI., V. i IV., utworzony „głównie dla potrzeby i wygody uczniów, którzy w starszych nieco latach oddani do szkoły lub też za młodu już przeznaczeni do zawodu przemysłowego, nie mieliby czasu przebiedz całą skalę wychowania klasycznego i ubiegać się później o stopnie uniwersyteckie“.

Na tym technicznym kursie nie uczono języków klasycznych, a trzechletni tok nauki obejmował: skrócony wykład matematyki, nauk przyrodniczych, rysunku i rachunkowości. Zresztą technicy słuchali razem z uczniami kursu gramatykalnego języków: polskiego, francuskiego i niemieckiego, geografii, historyi polskiej i historyi powszechnej. Ukończywszy studya w szkole batyniolskiej, mogli wejść i wchodzili zazwyczaj do handlu i rzemiosł, szli na rysowników do dróg żelaznych, na pomocników do architektów itp. Niektórzy przechodzili do szkoły polskiej wyższej montparnaskiej, a ztąd po zaokrągleniu wykształcenia, wstępowali do szkoły francuskiej centralnej, do szkoły górniczej albo szkoły dróg i mostów.

Uczniowie oddziału III. czyli licealnego po otrzymaniu stopni bakałarzy mieli otwartą drogę do uniwersytetu i do szkół do specyalnych.

Zaraz po reformie większość uczniów przeszła do klas technicznych, oddział klasyczny szkoły opustoszał. Z czasem zapanowała w frekwencyi obu kierunków równowaga.

Zamykając rok szk. 1857/8, cieszył się prezydent Rady Gałęzowski, że w kierunku wyższych studyów młodzieży nastąpił

pocieszający zwrot do języków starożytnych i studyów klasycznych.

Dalsze reformy nie sięgały tak daleko, jak n. p. reforma nauczania literackiego w klasach niższych w r. 1860, przeprowadzana z pomocą prof. Deltoura.

Szczególną troską otaczano naukę przedmiotów polskich: języka, literatury, historyi i geografii, oraz wychowanie w duchu narodowym. Przedewszystkiem chodziło o gruntowną znajomość języka polskiego i biegłe nim władanie. Tu nastręczały się wielkie trudności, tu skupiono główne starania. W r. 1853 nalegała Rada na funkcyonaryuszów i profesorów polskich, aby zniewalali uczniów do ciągłego używania języka polskiego w mowie potocznej. Wtedy to prefekt studyów, Malinowski, chwycił się starego, już zarzuconego środka: puścił w kurs t. z. Znak, który musiał brać ten, co w czasie rekreacyi rozmawiał z kolegami po francusku. Wieczorem wymierzano odpowiednią karę temu, w którego rękach był „Znak“. Środek ten zarzucono jednak wnet, przyszedłszy do przekonania, że w tym wypadku więcej znaczy dobra wola i zapał patryotyczny, aniżeli przymus.

Otóż na rozbudzenie i pielęgnowanie uczuć patryotycznych w młodzieży działano rozmaitymi środkami i przy każdej nadarzonej sposobności.

Wiemy już, że Adam Mickiewicz zalecał celem budzenia uczuć patryotycznych wśród młodzieży zwiedzanie grobów zasłużonych około ojczyzny emigrantów i udział w patryotycznych nabożeństwach.

Uczniom przypominano przy każdej nadarzonej sposobnośc←i, że po to wstąpili do szkoły polskiej, aby zostać prawdziwym Polakami, użytecznymi ojczyźnie swej. Mówiono im i kazano o tem zawsze pamiętać, że urodzeni na obczyźnie, narażeni są na wynarodowienie, a przez to na zatratę dla Polski. Nie staną się Polakami, nie nauczywszy się biegle języka ojczystego.

Szkoła żyła życiem całego narodu i brała szczery udział w jego losach, dolach i niedolach.

Wojna krymska rozgorzała już na dobre. Dyrektor Malinowski przemówił gorąco do młodzieży, która przyszła dnia 8. maja, aby złożyć swemu kierownikowi życzenia z powodu imienin.

Mówił jej, że na to wstąpili do szkoły, aby pokochać Polskę i jej rzeczy. Wszystko w szkole przypomina im ten święty obowiązek. Polskość i Polska powinna królować nad wszystkimi ich ideałami. Nadzieja powrotu do ojczyzny nie powinna ich nigdy

opuszczać. Wprawdzie zawiodły nadzieje w r. 1846 i 1848. ale obecna wojna krymska budzi nadzieje niezawodne. Polska nie zginie dla dobra ludzkości i dla chwały Boga. Wierzono wtedy prawie niezachwianie w niedaleki powrót do ojczyzny. Niestety były to złudne nadzieje, ale bądź co bądź były wydatnym czynnikiem w wychowaniu narodowem. Młodzież a z nią i starsze pokolenie emigracyjne brali teorye mesyanistyczne Mickiewicza i Krasińskiego na seryo.

To wszystko podniecało zapał do uczenia się przedmiotów polskich, mimo to rezultaty nie odpowiadały ogólnym oczekiwaniom. Pewne koła uważały stan nauki polskiej w szkole za mało zadawalniający.

Juliusz Jedliński w wydanej przez siebie w r. 1853 broszurze wytykał, że uczniowie nie używają pomiędzy sobą języka polskiego w potocznej rozmowie a to zdaniem jego dlatego. że „urządzenia szkolne nie obejmują pod tym względem żadnych wyłącznych zachęceń, żadnego szczególnego bodźca, żadnego nadzwyczajnego popchnięcia do współubiegania się; język polski jest uważany w szkole batyniolskiej jak każdy inny przedmiot. Jedliński proponował szereg środków, zmierzających do naprawy stosunków.

Reagując na te zarzuty, powierzyła Rada naukę języka polskiego w klasach wyższych zawodowemu poloniście. Erazmowi Rybaczewskiemu, a oprócz tego uprosiła Juliana Klaczkę do wykładu literatury polskiej w tychże samych klasach, o czem już wspomnieliśmy.

Nauka języka polskiego w klasach niższych miała uledz reformie. W tym celu wydelegowano osobną komisyę pod przewodnictwem poety Bohdana Zaleskiego.

Prezes Rady Gałęzowski zwracał z swej strony bardzo baczną uwagę na postępy w nauce języka polskiego, nalegając na dobrą intonacyę i czystą wymowę. Członkowi Rady Karolowi Sienkiewiczowi polecił poddać rewizyi kurs historyi polskiej, wykładany przez Leona Bilińskiego.

Przeprowadzenia reform pilnował dyrektor Malinowski. Sam zarządził w zakładzie pewne zmiany w literackiej części nauki z pomocą profesora Deltoura, zmiany, które wydały bardzo dobre rezultaty.

Zato reforma nauki historyi polskiej pozostała na razie w dziedzinie projektów. Karol Sienkiewicz, który jej miał doko-

nać, umarł, a uproszeni do zastąpienia go w tej pracy Januszkiewicz i Feliks Wrotnowski nic nie zrobili.

Długo za to dyskutowano w Radzie nad podręcznikiem do nauki gramatyki polskiej. Na wniosek Bohdana Zaleskiego wydano nareszcie w r. 1860 gramatykę Rufina Piotrowskiego, poprawioną przez członków Rady Stanisława Ponińskiego i Januszkiewicza. Piotrowski, sybirak, zasłynął jako autor „Pamiętników“, które Julian Klaczko przełożył na język francuski. Przez pewien czas uczył w szkole w klasach elementarnych.

Tymczasem nadszedł rok 1861, który przyniósł młodzieży szkoły polskiej w Paryżu cały szereg nowych podniet patryotycznych. Zapanowało istne wrzenie uczuć i umysłów na wieść o manifestacyach warszawskich i dokonanej przez żołdactwo rosyjskie rzezi kobiet i dzieci. W szkole zorganizowano przedstawienie III. części Dziadów. W kościele św. Magdaleny urządzono nabożeństwo żałobne, gdzie młodzież szkolna odśpiewała chorał „Z dymem pożarów“. Potem szły pogrzeby Adama Czartoryskiego i Joachima Lelewela, którzy w ostatniej chwili życia rzucali potomnym hasło: „resurrecturis“. Normalny tok nauki doznał przez to wszystko pewnej przerwy, ale młodzież ówczesna nie żałowała tej straty, czując dobrze, że owe manifestacye patryotyczne były bardzo dodatnim czynnikiem w wychowaniu narodowem.

W tym samym nastroju patryotycznym zamykano rok szk. 1860/1. Przemawiali Bohdan Zaleski i historyk francuski Wiktor Duruy, późniejszy minister oświaty.

Mowa Duruy'a tchnęła szczerym patryotyzmem polskim i porywała młodzież polską. Mowca nawoływał, aby nie tracić nadziei i nie popadać w zwątpienie. Trzeba wpatrywać się w mężów czynu, jak Czartoryski i Lelewel. Oni zrobili, co do nich należało: Polska ma z nich chwałę i pożytek. Młodzież polska, gdy kocha ojczyznę, zrobi także, co do niej należy, co winna ojczyźnie.

Przy takim nastroju umysłów nie zadziwi nas, że na wieść o wybuchu powstania styczniowego znaczna część profesorów i starszych uczniów podążyła na pole walki, aby czynami stwierdzić tlejącą w sercach miłość ojczyzny.

Pielęgnując uczucia patryotyczne polskie, szkoła odczuwała równie żywo dolę i niedolę Francyi, swej chwilowo przybranej matki, której wdzięczną była za gościnę.

W r. 1859 n. p. zorganizowała Rada w imieniu szkoły składki na rannych armii francuskiej i wysłała adres do ministra oświaty z oświadczeniem sympatyi dla obrońców wolności włoskiej.

Wojna ta była w szkole bardzo popularną, uważano ją za początek zmartwychwstania narodów uciskanych, za wstęp do wojny o wolność Polski. W takiej atmosferze wzrastała młodzież szkoły polskiej. Uczuciom patryotycznym dawała wyraz w czynach.

W r. 1861/2 zorganizowała pomoc dla młodzieży, która, ratując się ucieczką z kraju, przybywała do Paryża bez wszelkich środków utrzymania. W czasie rekreacyjnym uczniowie szkoły dawali upust uczuciom patryotycznym: wykonywali rozmaite ćwiczenia wojskowe pod kierunkiem uproszonych do tego instruktorów, czytywali gazety polskie i śpiewali pieśni patryotyczne. W tym roku zorganizowano zebrania towarzyskie, na których najlepsi poloniści z pośród uczniów recytowali na głos arcydzieła literatury polskiej. Niektórzy w zapale patryotycznym w chwilach wolnych tłumaczyli arcydzieła Krasińskiego, Słowackiego, Brodzińskiego, aby się ćwiczyć w języku ojczystym.

Dla tem większej zachęty wyznaczono rozmaite nagrody za dobre postępy w języku ojczystym. Były uczeń szkoły Witold Hryniewiecki zobowiązał się pokryć koszta nagrody honorowej dla ucznia, który wykaże najlepsze postępy w języku i historyi polskiej.

W tym samym (1862 r.) ufundowała p. Dunin-Wąsowiczowa trzy honorowe nagrody dla dobrych polonistów.

A także i nagrody Stowarzyszenia byłych uczniów przypadały tym uczniom, którzy w języku polskim zarówno jak i w przedmiotach fachowych zrobili znakomite postępy.

Zachęcano młodzież do pielęgnowania uczuć patryotycznych i pokochania języka narodowego i innymi jeszcze sposobami.

W lutym r. 1854 poeta Antoni Gorecki, jeden z założycieli Towarzystwa wychowania narodowego, przysłał do rozdzielenia pomiędzy uczniów szkoły 50 egzemplarzy „Bajek“ swoich i 50 egzemplarzy „Głosu wolnego“.

Do użytku uczniów i profesorów szkoły stała otworem biblioteka szkolna.

Z początku posiadała tylko same książki szkolne, zakupywane przez zarząd szkoły. Wnet zaczęły do niej wpływać dary, niekiedy bardzo znaczne.

Lelewel przysłał jej z Brukseli 12 egzemplarzy swoich Dziejów Polski potocznie opowiedzianych oraz Atlas historyczny. Eustachy Januszkiewicz ofiarował jednocześnie 12 egzemplarzy Elementarzy polskich.

W r. 1844 przybyły dary panny Emilii Szczanieckiej, pani Seweryny Pruszakowej, J. I. Kraszewskiego, posła Ledóchowskiego i Henryka Dmochowskiego.

Rok 1845 przysporzył bibliotece przeszło sto tomów: w rzędzie ofiarodawców stanęło tym razem i Towarzystwo naukowe m. Paryża.

W r. 1846 zamieszkały w Paryżu emigrant rossyjski Turgeniew dał na zakupno książek polskich dla szkoły 500 fr., a jednocześnie wpłynęły do niej większe i mniejsze dary w książkach i rozmaitych środkach naukowych, nadesłanych przez ministeryum spraw wewnętrznych, przez Muzeum narodowe francuskie, przez generała Sznajdego i innych.

W następnym roku weszła w skład biblioteki szkolnej t. z. Biblioteka wersalsko-wileńska.

Gdy po upadku powstania listopadowego rząd rossyjski ogołacał Polskę i Litwę z zbiorów książek i muzeów, wtedy kilku wychodźców polskich, wojewoda Antoni Ostrowski, poseł Walenty Zwierkowski, Ksawery Godebski, Hipolit Klimaszewski i inni zawiązali w Wersalu „Towarzystwo biblioteki wileńskiej“, aby gromadzić książki i przewieść je do kraju do Wilna po odzyskaniu wolności. Biblioteka rosła bardzo prędko. Ofiary w książkach dawnych i nowszych, w atlasach, mapach, sztychach itd. płynęły obficie od swoich i cudzoziemców. Między innymi podarował bibliotece pułkownik Zeltner 359 tomów, a wojewoda Ostrowski 206 tomów.

Otóż ta właśnie biblioteka dostała się w darze szkole batyniolskiej w r. 1847 z tem zastrzeżeniem, że ją szkoła po oswobodzeniu kraju odda stolicy Litwy.

W r. 1851 pomnożyła się biblioteka za pośrednictwem już wspomnianej Emilii Szczanieckiej hojnymi darami księgarzy poznańskich: Stefańskiego, Kamieńskiego i Żupańskiego.

Dalej wcielono do biblioteki szkolnej zbiór książek emigrantów polskich z Dijon oraz bibliotekę rozwiązanego Towarzystwa demokratycznego w Paryżu.

Uporządkowaniem znacznej już biblioteki zajmował się w r. 1857 poeta Seweryn Goszczyński, a w następnym roku zamianowano bibliotekarzem Aleksandra Burbę.

Prócz książek gromadziły się w bibliotece i rękopisy. W r. 1860 złożono w niej znaczny zbiór rękopisów po Walentym Zwierkowskim, byłym pośle m. Warszawy z r. 1830.

Nowy członek Rady Eustachy Januszkiewicz, znany wydawca arcydzieł poezyi polskiej, wzbogacił bibliotekę cennymi darami.

Po śmierci Antoniego Hłuśniewicza i Joachima Lelewela odziedziczyła szkoła przeszło 4.000 tomów rzetelnej wartości. Lelewel zastrzegł sobie, że po oswobodzeniu ojczyzny książki jego oddane będą uniwersytetowi wileńskiemu.

W r. 1866 biblioteka szkoły batyniolskiej, uporządkowana ostatecznie przez ówczesnego bibliotekarza, sybiraka Karola Ruprechta, liczyła 21.383 tomy książek, prócz tego miała 1907 map geograficznych, 4612 sztychów i litografii, 196 tomów aktów Towarzystwa demokratycznego polskiego, rękopisy i korespondencye Lelewela, papiery po Zwierkowskim, Ostrowskim, Biernackim i po wielu innych.

We wrześniu r. 1869 było w bibliotece 22.262 tomów.

Według statutu organizacyjnego szkoły z r. 1845 mogli z biblioteki szkoły korzystać emigranci polscy w sposób, praktykowany w wszystkich bibliotekach francuskich.

Tymi szczegółami zamykam okres świetnego rozwoju szkoły (1848—1870).

---

4. Wojna francusko-pruska zachwiała bytem szkoły polskiej w sposób bardzo poważny. Z tą chwilą rozpoczyna się czwarty i ostatni okres jej dziejów.

Cała emigracya polska a z nią i szkoła polska wzięła w wypadkach żywy udział. Nie skończyło się na gorących publicznych uniesieniach na rzecz Francyi, wielu Polaków, a między nimi i sporo uczniów szkoły podążyło na pole walki, gdzie niejeden oddał życie za gościnną przybraną ojczyznę.

Na rok szkolny 1870/1 zapisało się do szkoły już tylko 175 uczniów: w poprzednim roku było 276.

Szkoła podzielała następstwa ciężkiej wojny i niedolę oblężonego miasta i skutki przegranej sprawy. Położenie jej stało się prawie beznadziejne. Już myślano o zamknięciu zakładu. Rozmaite czynniki złożyły się na to, iż do tego nie przyszło.

Podjęło akcyę ratunkową przedewszystkiem „Stowarzyszenie byłych uczniów szkoły polskiej", założone w r. 1865, a istniejące dotąd.

Cele tego Stowarzyszenia określił statut z dnia 14. marca 1865 roku. Stowarzyszenie powstało, aby stworzyć ognisko dla

wzajemnych braterskich stosunków oraz aby nieść pomoc tym z stowarzyszonych, którzyby jej potrzebowali.

Stowarzyszenie nawiązało stosunki z szkołą batyniolską nietylko przez to, że odbywało w niej doroczne walne zgromadzenia, lecz i przez to, że ustanowiło dwie roczne nagrody: jedną dla ucznia rękodzielniczego a drugą dla licejczyka, który najlepiej będzie się przykładał nietylko do swoich fachowych przedmiotów, lecz zarazem w szczególny sposób do nauki rzeczy polskich.

Z czasem po zebraniu odpowiednich funduszów zamierzało Towarzystwo wspierać ubogich zdolnych i pilnych uczniów szkoły batyniolskiej.

W sposób bardzo stanowczy wpłynęło Stowarzyszenie na losy szkoły w r. 1871.

Po wojnie francuskiej kilku Polaków wzięło udział w wojnie cywilnej, która wybuchła w Paryżu. To było powodem, że opinia francuska zwróciła się bardzo nieprzyjaźnie przeciw Polakom i wszystkiemu co polskie. W emigracyi polskiej zapanowała wtedy panika i pognębienie. Zakłady naukowe emigracyi były zagrożone w swym bycie. Szkoła batyniolska miała być zamknięta.

Stowarzyszenie byłych uczniów szkoły zwróciło się wtedy w „Liście“ do Rady szkoły z serdeczną prośbą, aby bądź co bądź szkoły, owego paladyum emigracyjnego, nie zamykać, przyrzekając ze swej strony nieść pomoc materyalną według możności.

Akcya podjęta przez Stowarzyszenie nie pozostała bez skutku.

Członek Rady Eustachy Januszkiewicz przełożył „List“ Stowarzyszenia na język polski i pomieścił go w dziennikach galicyjskich.

Rozprawiwszy się z zarzutami, czynionymi szkole polskiej z powodu należenia do komuny kilku Polaków i wyraziwszy nadzieję, że rząd francuski przyzna szkole bodaj część dawnej subwencyi, oświadczyli autorowie „Listu“ z energią, że szkoła polska w Paryżu jest sprawą świętą. Ufundowana przez zmarłych już patryotów, utrzymywana wśród najrozmaitszych nieszczęść przez pomoc moralną i materyalną wychodźctwa i kraju macierzystego, jak również przez pełne poświęcenia wysiłki jej administratorów i subwencye rządu francuskiego, stała się dobrem, własnością całej Polski, która sama ma prawo rozstrzygania o jej losach i zadekretowania jej zamknięcia.

Autorowie dodawali Radzie otuchy i wzywali ją, aby starała się szkołę utrzymać za wszelką cenę.

Tymczasem jednak prezydent Rady Gałęzowski przywiózł z Galicyi, dokąd w r. 1871 wyruszył, bardzo małą sumę, a w dodatku spotkał się z dość żywą niechęcią.

I zarządzona nowa subskrypcya wśród byłych uczniów szkoły dała bardzo skromny wynik. A i rząd francuski zapowiedział, że udziela subwencyi ostatni kwartał.

Z drugiej strony nie brakowała aktów poświęcenia i abnegacyi na rzecz zakładu. Dyrektor i profesorowie zrzekli się z początku pensyi a potem poprzestawali na skromnej płacy.

Liczba uczniów kurczyła się. Rok 1871/2 otwarto z 95 wychowankami, z których tylko 36 zamieszkało w internacie szkoły. W r. 1872/3 zapisało się już tylko 75 uczniów. Trudności utrzymania szkoły na dotychczasowej stopie piętrzyły się coraz bardziej. Trzeba było zrobić jakiś stanowczy krok.

Odnowiona po wojnie Rada szkolna składała się z prezydenta Seweryna Gałęzowskiego, z wiceprezydenta Ludwika Wołowskiego, z Ksawerego Branickiego, z Karola Edmunda Chojeckiego, Aleksandra Chodźki, Eustachego Januszkiewicza, Ludwika Nabielaka, pełniącego obowiązki podskarbiego w miejsce chorego Januszewicza, z Artura Sienkiewicza, Bohdana i Bronisława Zaleskich.

Otoż ta Rada zrobiła krok stanowczy. W r. 1872 dn. 10. listopada ogłosiła sprawozdanie za czas od 1. października 1869 do 30. września 1872. Przedstawiwszy opłakany stan funduszów, zawiadamiała Rada szkolna, że wdrożyła wstępne układy o sprzedaż realności szkoły, na której ciążył dług bankowy w sumie 202.000 franków, umarzalnych w ratach rocznych po 14.000 franków. Większość Rady, nie widząc możności utrzymania szkoły, powzięła zamiar zamknięcia tejże, a stworzenia dla młodzieży uczącej się stypendyów.

Sprawozdanie Rady przynosiło w dalszym ciągu bardzo ciekawe szczegóły o głównych dobrodziejach szkoły: najprzód o dobrodziejach zamieszkałych w dzielnicy rossyjskiej, których nazwiska nie mogły być wymienione jak n. p. nazwisko owego szlachetnego ofiarodawcy (hr. A. B.) który złożywszy imieniem swego młodocianego syna 100.000 fr, na zakupno domu dla szkoły, położył pod nią trwały fundament. Dalej wymieniało sprawozdanie hr. Ksawerego Branickiego, który prócz 10.000 fr., danych na zakupno domu i 25.000 fr., złożonych w r. 1852 na utrzymanie

w ciągu jednego roku 25 nowych uczniów, płacił na szkołę przez lat 20 po 10.000 fr. rocznie. Dalej zajął miejsce w rzędzie ofiarodawców Arnold Skórzewski z kwotą 10.000 fr., dalej dr. Bącewicz, hr. Seweryna Mielżyńska i inni.

Szczególną wdzięczność wyrażała Rada rządowi francuskiemu za gościnę, za naturalizacyę szkoły oraz za wydatną pomoc materyalną.

Sprawozdanie kończy się bardzo ciekawym obrazem statystycznym. Od roku założenia szkoły w r. 1842 do r. 1872 wyszło z szkoły 1261 uczniów; z nich 597 akcesystów, uczęszczało do liceum i zdobyło w Sorbonie i w liceum 327 nagród i 1107. 144 uzyskało stopnie bakałarzy. Pomiędzy dawnymi uczniami liczono 73 inżynierów, 31 profesorów, 36 lekarzy, 12 adwokatów i sędziów, 127 wojskowych, 234 urzędników kolejowych i 247 funkcyonaryuszów kupieckich. Sprawozdanie to było niejako testamentem Rady szkolnej. Na szczęście nie nastąpił zgon szkoły.

Układy o sprzedaż realności szkolnej dobiegły do końca, kupił je zarząd miasta Paryża za tanią sumę 750.000 fr. Za uzyskany czysty kapitał nabyto na Batignolles przy ulicy Lamande (nr. 13 i 15) nowy plac pod szkołę, którą ostatecznie postanowiono utrzymać na niższej stopie. W r. 1874 w lipcu zainstalowano szkołę w nowym gmachu, w którym się dotąd mieści. Bibliotekę, dla której brakło miejsca, posłano w znacznej części w depozyt do Kórnika w Poznańskiem, powierzając ją opiece hr. Jana Działyńskiego.

Szkoła zeszła do skromnych rozmiarów, ale zapewniła sobie przez to dość pewną przyszłość z warunkiem co prawda przestrzegania przezornej i ścisliwej ekonomii.

W tych skromniejszych warunkach i na skromniejszej stopie utrzymuje się szkoła po dziś dzień. Z dziejów jej mamy już nie wiele do powiedzenia.

O obecnym stanie materyalnym szkoły daje nam dokładne pojęcie co dopiero ogłoszone sprawozdanie z obrotu jej funduszów za czas od 1. października 1905 do 30. września 1906 r.

Przychody z rozmaitych źródeł: z opłat uczniów, z darów, subwencyi i zapisów, z dochodów od walorów szkoły, z odsetek od funduszów w gotówce, z wylosowania i ze sprzedaży walorów oraz z dochodów od walorów donacyjnych, dały razem 63.982 fr. Suma wydatków doszła razem do 56.605 fr., a zatem przewyżka dochodów wyniosła 7.377 fr.

Wydatki rozdzieliły się na kilka kategoryi, a mianowicie spotrzebowano na koszta administracyjne 7.537 fr., na koszta naukowe 15.904 fr., na koszta żywienia 15.314 fr., na koszta odzieży i obuwia 3.694 fr., na koszta ogólne 9.096 fr., a na koszta donacyjne 5.058 fr. (Wydatków w centymach nie uwzględniam).

Lwią część kosztów donacyjnych pochłania stypendyum Braci Śniadeckich w kwocie 5.000 fr., a tylko maluczką część nagrody z zapisu L. Perneta, dawnego inspektora szkoły.

Bilans czyli majątek szkoły przedstawiał w tym roku w aktywach następujące pozycye:

Własność ziemska i budowle . . .	124.198	fr.	88	cent
Biblioteka w Kórniku i w szkole . .	56.500	„	—	„
Umeblowanie szkolne	4.253	„	—	„
Odzież, obuwie i inne remanenta . .	1.685	„	—	„
Walory procentowo według kursu z d. 1. paźdz. 1906 r.	636.595	„	35	„
Gotówka w kasie ekonometu i w dwu bankach francuskich	21.465	„	09	„
Zaległości w spłatach	379	„	30	„
Razem .	845.076	fr.	62	cent.

Zarząd szkoły spoczywa dotąd w rękach Rady szkolnej w składzie, który określił statut z roku 1865.

W r. 1878 umarł prezes dr. Seweryn Gałęzowski. Przez śmierć jego straciła szkoła największego swego dobroczyńcę. Dnia 1. listopada 1879 odbyła się uroczystość odsłonięcia pomnika jego, wzniesionego na podwórzu szkolnym. W gorących mowach na cześć zmarłego podniesiono wszystkie jego zasługi, powiedziano między innemi, że z pośród listy dobroczyńców szkoły, nazwisko jego „streszcza jakoby i uosabia inne“.

Następcą Seweryna został synowiec jego, znany okulista dr. Ksawery Gałęzowski. Szkołą zajmował się nie tak żywo jak jego stryj, ale zawsze zaskarbił sobie uznanie emigracyi. Stał na czele Rady aż do zgonu swego, dnia 23. marca 1907.

Po nim objął prezesurę brat jego, pułkownik Józef Gałęzowski.

W r. 1878 wszedł do Rady zasłużony już profesor szkoły i niestrudzony tłumacz arcydzieł literatury polskiej Wacław Gasztowtt i zasiada w niej dotąd jako jeden z najwybitniejszych jej

członków. Od r. 1890 powierzyła mu Rada inspekcyę nad szkołą. którą on dotąd bez przerwy dzierzy, ucząc w szkole zarazem języka polskiego. W uznaniu jego wybitnych zasług powołała go Rada na swego wiceprezesa.

Prócz tego wchodzą obecnie do Rady: Eugeniusz Korytko jako skarbnik. Bolesław Rubach jako sekretarz. a prócz dyrektora szkoły jako członkowie zwyczajni: Aleksander Dybowski. Stanisław Karwowski. dr. Stanisław Lewenhard. Władysław Malinowski. Władysław Mickiewicz i Dyonizy Zaleski, a nadto Bolesław Niewęgłowski, jako członek honorowy.

Bezpośrednie kierownictwo szkoły spoczywało i w tym okresie w dalszym ciągu w rękach wypróbowanego dyrektora Stanisława Malinowskiego. Zasłoniwszy szkołę zwycięsko przed atakami komuny. Malinowski należał następnie do liczby tych. którzy ją utrzymali przy bycie. Gdy w zmienionych warunkach trzeba było oszczędzać, Malinowski okazał się w tym kierunku mistrzem. przy czem mu wiele pomagała jego bezinteresowność.

Zasługi dyrektora rosły. Rząd w ich uznaniu zamianował Malinowskiego oficerem Akademii. Emigracya uczciła go w sposób wyjątkowy. W r. 1879 odsłonięto monument na cześć Seweryna Gałęzowskiego i dobrodziejów szkoły oraz Francyi gościnnej. Pomiędzy nazwiskami dobrodziejów, wypisanemi na bokach monumentu, pomieszczono i nazwisko Malinowskiego. chociaż jeszcze żył. Zrobiono dla niego wyjątek jedyny. bo zresztą wypisano samych zmarłych tylko. Gdy r. 1885 obchodzono dwudziestą rocznicę założenia Towarzystwa byłych uczniów szkoły polskiej. Malinowski był przedmiotem najżywszych owacyi. Był to jeden z ostatnich jego pięknych dni. Nadeszła niebawem słabość coraz dokuczliwsza. Rząd francuski uczcił go jeszcze raz, zamianowawszy go oficerem instrukcyi publicznej. Malinowski umarł r. 1890, pełen zasług i chwały.

Jego następcą został inżynier Artur Stępiński. były uczeń i od r. 1863 jej profesor, a od r. 1885 członek Rady. Szkołą kierował lat dziewięć, umarł r. 1900.

Dwaj następni dyrektorowie Feliks Saniewski i Feliks Różycki zmarli zaraz po objęciu urzędu. obaj w roku szkolnym 1900/1.

Następca ich Alfred Budzyński kieruje szkołą dotąd.

Frekwencya zakładu z powodu braku pomieszczenia i szczuplejszych środków, musiała się widocznie zmniejszyć.

W roku szkolnym 1874/5. w którym zajęła nową siedzibę, liczyła szkoła 25 internistów i 26 eksternistów razem więc 47 uczniów; w roku następnym przybyło siedmiu eksternistów; na rok 1876/7 zapisało się 33 internistów i 28 eksternistów, razem 81 uczniów. W r. 1884/5 było w szkole 83 uczniów, w 1887/8 r. Frekwencya malała z każdym rokiem. W ostatnich latach nie przekroczyła liczby 50. W r. szkolnym 1906/7 było razem 43 uczniów, a mianowicie 32 internistów i 11 eksternistów.

Plan naukowy musiał się zastosować do nowych ciaśniejszych warunków.

Szkole pozostawiono charakter narodowy. Młodzież opuszczając szkołę, miała ile możności władać językiem i czuć po polsku. Dążono do tego, aby opuszczający szkołę znali historyę, geografię i literaturę polską.

Poza tem troszczyła się szkoła o to, aby z wychowanków swoich uczynić ludzi społecznie użytecznych przez wykształcenie, przez miłość do pracy, przez prawość, przez szczere umiłowanie tego, co dobre, co szlachetne. Uczniowie, chociaż nie tak liczni jak przedtem, mieli być wyborem najdzielniejszych.

Pielęgnując i kształcąc rozum i serce, nie zaniedbywała szkoła i strony fizycznej wychowania. Gimnastyka, spacery, gry i zabawy zajęły w wychowaniu szkoły w tym okresie sporo czasu.

Ponieważ na mocy nowych przepisów w szkołach francuskich publicznych, do każdej klasy licealnej oznaczono wiek, którego przekroczyć nie można było, ztąd wynikła konieczność przyspieszenia nauk przygotowawczych. Z tego powodu zniesiono w r. szk. 1890/1 w szkole klasy jedenastą, dziesiątą, dziewiątą, ósmą i siódmą, jakie poprzednio istniały, a zorganizowano zamiast tego dwie klasy przygotowawcze, do których przyjmowano uczniów, mających lat ośm.

Po ukończeniu klas przygotowawczych elementarnych, następował egzamin. Uczniów najbardziej uzdolnionych zatrzymywano w szkole, inni odchodzili z świadectwem ukończonych studyów elementarnych. Wybranych i pozostałych posyłano według uzdolnienia i życzenia na dalsze studya bądź do liceum Condorcet, bądź do kolegium Chaptal. Szkoła nie miała w tym okresie ani klas gimnazyalnych ani technicznych.

Oto obraz dziejów szkoły batyniolskiej. Czy zakład urzeczywistnił ideał, jaki mu wytknęli jego założyciele? Ściśle biorąc, nie zrealizował go, nie zrealizował go w całej pełni. Szkoła miała

wychować Polaków mówiących dobrze po polsku, czujących całkiem po polsku. znających dobrze Polskę i jej rzeczy, żyjących tylko dla Polski. Szkoła osiągnęła te cele, ale tylko w bardzo szczupłej, niknącej liczbie jednostek. Ogromna część wychowanków szkoły pozostała daleko od wytkniętego celu.

Nie nauczyli się w szkole mówić po polsku. nie poznali też dostatecznie, głównie dla braku znajomości języka narodowego, ani dziejów Polski, ani jej rzeczy, weszli po ukończeniu studyów nie w służbę macierzy, lecz w służbę innych krajów. O wszystkich jednak można powiedzieć, że dzięki szkole nauczyli się uważać się za Polaków i reprezentować przy każdej sposobności narodowość polską.

Ale czy szkoła winna, że cele idealne ziściły się tylko w małej części? Na to musimy odpowiedzieć: „Nie!“

Najprzód sam ideał był za górny, skonstruowany wtedy, kiedy myślano na pewno o niedalekim powrocie do ojczyzny. A powtóre szkoła musiała walczyć z wielkiemi trudnościami, których w znacznej części nie potrafiła usunąć.

Najwięcej czasu i najlepszą część dnia musiały z konieczności zająć przedmioty, objęte planem szkół francuskich. A plan szkół francuskich był zawsze i jest dziś rozległy, niełatwy do opanowania. Główną energię musiała młodzież tu skupić. aby dorównać młodzieży szkół francuskich.

Nauka przedmiotów polskich siłą rzeczy przesuwała się przeważnie na godziny popołudniowe i wieczorne, kiedy już umysły młodzieży były znużone. A dalej młodzież szkoły, przeważnie zrodzona z matek cudzoziemek i po cudzoziemsku wychowana, zaczynała się dopiero w szkole uczyć początków języka polskiego i nie mogła przy braku dostatecznego czasu robić pożądanych postępów. W lepszych warunkach byli interniści, w nierównie gorszych eksterniści. bo wróciwszy ze szkoły, zapominali w domu, czego się nauczyli w szkole, rozmawiając tu po francusku. A że wychowankowie jej nie powracali do ojczyzny, to i to nie jest winą szkoły, lecz prostym wynikiem stosunków politycznych i ekonomicznych, w której się znajduje społeczeństwo polskie w kraju macierzystym.

Pod względem narodowym szkoła zrobiła, biorąc rzecz na ogół, co zrobić mogła.

Poza tem była dla ubogiej emigracyi prawdziwem dobrodziejstwem, bo dawała dzieciom nawet najuboższym prócz opieki

moralnej, tak bardzo w Paryżu potrzebnej, i prócz nauki, także całkowite utrzymanie. Spełniała zatem wielkie zadanie społeczne.

To też gdy w r. 1896 wytoczono przeciw szkole ciężkie zarzuty i w ślad za nimi zaproponowano przenieść ją wraz z jej funduszami i zbiorami do Parany w Brazylii, słusznie powiedział Zygmunt Miłkowski, że szkoła zrobiła, co mogła.

Literatura i źródła, Akta urzędowe, tyczące się szkoły narodowej polskiej, Paryż 1844.— Association des anciens élèves de l'école polonaise: Statuts, Paris 1865; Statuts modifiés... 1865, 1866, 1868; Procès,— verbal de l'assemblée générale 1865 i dalsze; Projet de Revue littéraire et scientifique; Bulletin historique, littéraire, scientifique etc. zaczął wychodzić 1875 i istnieje dotąd pod nieco zmienionym tytułem, z początku kwartalnik, obecnie miesięcznik. — Biblioteka Szkoły batyn. Paryż 1866 — Bulewski D.: Objaśnienia dla rodziców emigracyi i narodu pol. o szkole pol. w Paryżu, Paryż 1844.— Chropieński M.: Szkoła batignolska w Paryżu, Lwów 1898 (Pamflet pseudonimowy). — Do Rady Towarzystwa, 1844. — Dwernicki: Objaśnienia, 1844. — École nationale: Origine et organisation, Paris 1858; Distribution solenelle des prix, Paris 1846 i t. d. do obecnej chwili; Discours prononcées pendant la distribution, Paryż 1846, 1847, 1869. — Gałęzowski Seweryn dr.: Okólnik, Paryż (1868); Tegoż Odezwa, 1861. — Gasztowtt V.: Stanislas Malinowski w Bulletin polonais 1891 nr. 49—57. — Inauguration des plaques commémoratives, Paris 1877. — Jaroszewski: List 1844. — Jedliński Juliusz: O szkole narodowej polskiej, Poznań 1853; to samo p. t. O wychowaniu dzieci wychodźców w szkole narodowej polskiej, Poznań 1853. — K(laczk)o Jul., O szkole narodowej polskiej, Paryż 1854. — Klimaszewki H.: Do rodziców i rodaków, Paryż 1853; Tenże: Protestacya, Paryż 1853; Tenże: Sprostowanie, Wersal 1842. — Objaśnienie... o szkole polskiej, Paryż 1844. — Odezwa, 1858. — Odezwa Tow. wych. narod., Paryż 1841. — Odsłonięcie pomnika... Gałęzowskiemu, Paryż 1879. — Organizacya szkoły nar. pol., Paryż 1845, (po pol. i fr.). — Ostrowski J. B.: Szkoła pol. nar., Paryż 1853 (Pamflet na S. Gałęzowskiego). — O żywieniu uczniów paryskich, Warszawa 1855. — Program szk. nar., Paryż 1841. — Rada szkoły nar., Batignolles 1855. — Rada szkoły nar. pol., Paryż 1856, 1864, (odezwy). — Rada wych. nar.,

Paryż 1847. — Rocznik Tow. hist.-lit. z r. 1866 i dalsze. — Sprawozdanie Tow. wych. nar., Paryż 1843 i dalsze do r. 1872. — Statut organizacyjny, 1843. — Szkoła polska: Sprawozdanie, 1862 i z lat następnych do 1872. — Towarzystwo wych. nar., Paryż, odezwy z r. 1841 (dwie), 1842 i 1847. — Nareszcie znajdują się wiadomości o szkole w wszystkich czasopismach emigracyjnych. — Wydatnej, uprzejmej pomocy przy gromadzeniu materyałów do dziejów tej szkoły doznałem od p. Wacława Gasztowtta z Paryża, za co Mu tu składam gorąco odczute podziękowanie.

Antoni Karbowiak.

(Ciąg dalszy nastąpi).

Z życia Kajetana Węgierskiego

Pamiętniki i listy

WYDAŁ

Dr. Stanisław Kossowski.

(Ciąg dalszy).

---

18. Juillet, Vendredi. à la vue de Porto Ricco, à bord du Marq. de Voyer.

Après bien des impatiences et des ennuis, je me suis embarqué lundi soir. Nous apareillâmes le lendemain à la rade du Fort Royal à 6 heures du matin. Rien — rien ne saurait exprimer la manière, dont j'ai été malade. Mardi hier et avant hier. Enfin j'ai vomi jusqu'à du sang, avec des efforts si terribles, si

---

18. lipca, piątek, na widok Porto Rieco, na brzegu Marq. de Voyer.

Po wielu niecierpliwościach i przykrościach wsiadłem na okręt w poniedziałek wieczór. Nazajutrz o godz. 6 rano przybyliśmy do przystani Fort Royal. Nic — nic nie mogłoby wyrazić, do jakiego stopnia byłem chory. We wtorek, wczoraj i przedwczoraj. W końcu wymiotowałem aż do krwi, z wysiłkami tak stra-

affreux, que j'aurais fait pitié à mon plus cruel ennemi. Ah! Quel état! J'en tremble pour le seul souvenir... C'est la plus abominable maladie, dont la nature puisse nous affliger... Tout m'était odieux ou du moins indifférent... La vie m'était insupportable, et je désespérais à chaque instant que le vaisseau s'abima. Je ne conçois pas comment un être, rejetant, pour ainsi dire, toutes ses entrailles, puisse vivre quatre jours sans rien prendre. Je n'ai mangé, depuis mon embarquement jusqu'au moment où je l'écris que deux oeufs, que malgré tout cela „Ecco mi", t'écrivant, t'aimant, t'adorant plus que jamais — tandis-que tu respires la santé, que tu cours la comédie, l'opera, les bals, que tu écoutes les fleurettes de mille galants, et que tu t'assoupis, en respirant l'encens de la flatterie. Ah! Combien s'écoulera de jours, avant que je puisse te dire, à mon tour... que je t'aime. Cette longue suite d'heures, que j'envisage devant moi, m'effrayerait sans ressource, et je ne savais pas, que personne n'est jamais demeuré au milieu d'un mois, et que le temps a beau s'allonger, s'étendre, se trainer — il faut qu'il passe absolument. J'ai déjà essuyé près de trois mois de ton absence. Ce triste souvenir me sert presque

---

sznymi, tak okropnymi, że wzbudziłbym litość w moim najokrutniejszym nieprzyjacielu. Ach! Jaki stan! Trzęsę się na samo jego przypomnienie... Jest to najobrzydliwsza choroba, jaką natura może nas dotknąć... Wszystko było mi wstrętnem, a przynajmniej obojętnem... Życie było mi nieznośnem i rozpaczałem wciąż, aby okręt nie zatonął. Nie rozumiem jak istota, wyrzucająca, że tak powiem, wszystkie swoje wnętrzności, może żyć cztery dni, nic nie przyjmując. Od chwili wejścia na okręt aż do chwili, w której piszę do Ciebie, zjadłem tylko 2 jaja, a pomimo tego „Ecco mi" pisze do Ciebie, kocha Cię, ubóstwia więcej, niż kiedykolwiek — podczas gdy Ty oddychasz zdrowiem, bywasz w komedyi, w operze, na balach, słuchasz kwiatuszków tysiąca galantów i usypiasz oddychając kadzidłem pochlebstwa. Ach! Ile upłynie dni, nim ja będę mógł powiedzieć Ci z kolei... że Cię kocham. Ten długi przeciąg godzin, który przesuwa się przedemną, przestraszyłby mię bez ratunku i nie widziałem, żeby ktokolwiek zatrzymał się kiedy pośrodku miesiąca, a ponieważ czas ma skłonność dłużyć się, rozciągać i ciągnąć się, potrzeba, aby przeszedł koniecznie. Odczułem już około trzech miesięcy Twojej nieobecności. To smutne wspomnienie służy mi prawie za pociechę...

de consolation... Je me dis, pour me tranquilliser: ce que j'ai a souffrir ne saurait être pire que ce que j'ai souffert. Avec un peu de courage, je me tirerai de là, et j'aurai un jour la recompense de toutes ces peines. Aie soin, mon coeur, que je ne sais point trompé. Notre navigation n'est point désagréable. Nous sommes presque toujours à la vue de terre. Hier nous avons cotoyé St. Croix, petite isle, qui apartient aux Danois, qui la cultivent à merveille. Si je n'avais pas été malade, j'aurais pris plus de plaisir encore à sa fertilité et au coup d'oeil charmant qu'elle nous offrait. Aujourd'hui le matin nous aperçûmes la pointe de l'est de Porto-ricco — et à l'heure, que je vous écris, nous ne sommes pas parvenus à doubler la pointe opposée.

C'est une colonie magnifique, dont ces maudits Espagnols ne tirent aucun parti. Elle a plus de trente lieues d'étendue et serait susceptible de la plus grande culture. Il faut qu'elle vaille beaucoup, puisque votre ami, Fitz-Herbert, offrait de la prendre pour Gibraltar. De sa pointe occidentale, que nous atteignons, il n'y a plus qu'un canal, environ de vingt lieues, jusqu'à l'isle de St. Domingue: mais nous ne comptons être au cap français

---

Mówię sobie, aby się uspokoić: to co mam do wycierpienia, nie potrafiłoby być gorszem, niż to, co wycierpiałem. Z odrobiną odwagi poradzę sobie z tem i będę miał kiedyś nagrodę za wszystkie te cierpienia.

Staraj się, moje serce, którego nie umiem oszukać. Nasza podróż nie jest wcale przykrą. Widzimy prawie ciągle ziemię. Wczoraj płynęliśmy brzegiem Saint-Croix, małej wysepki, przynależnej do Duńczyków, którzy ją świetnie uprawiają. Gdybym nie był chory, byłaby mi jej urodzajność i zachwycający widok, jaki nam przedstawiała, sprawiały jeszcze większą przyjemność. Dziś rano spostrzegliśmy wschodni krańcowy punkt Porto-ricco. A w godzinie, w której to piszę, nie dotarliśmy jeszcze do opłynięcia punktu przeciwnego.

Jest to zachwycająca kolonia, z której ci przeklęci Hiszpanie nie ciągną żadnej korzyści. Ma ona więcej niż trzydzieści mil rozległości; nadawałaby się do największej uprawy; musi być dużo warta, kiedy Twój przyjaciel, Fitz-Herbert, zgadzał się przyjąć ją za Gibraltar. Z punktu krańcowego zachodniego, do którego dojeżdżamy, jest już tylko jeden kanał około dwudziestomilowy aż do wyspy San-Domingo: ale spodziewamy się być na

que lundi soir. Il faut cotoyer près de 70 lieues de côtes. Voilà ce que j'ai te dire pour le moment. Je t'embrasse de tout mon coeur (ce n'est pas une façon de parler).

Le 20. Juill. Dimanche.

Je me suis vanté de pouvoir arriver demain matin au cap; mais point du tout: nous n'y arriverons pas. Le vent est tombé depuis hier toute la journée. Vraiment la traversée de France m'effraye. Une saison avancée, des mers orageuses, des jours très courts — mais le bonheur de te revoir percera à travers de peines et des dangers. Dites moi, trouverai-je de tes lettres en arrivant ici: M'écris tu souvent? Ce journal a-t-il lieu? Je crains que le demon ne soit plus fort; — que mon absence et mes ennemis ne me jouent quelque mauvais tour... L'exemple de Spa m'effraye. Cette cessation subite d'une passion qui faisait autrefois ton bonheur des embuches continuelles à ta facilité, des galants assidus, des ennemis adroits... Que de raisons d'inquietude

---

przylądku francuskim dopiero w poniedziałek wieczór. Potrzeba płynąć brzegiem około 70 mil. Oto co mam Ci do powiedzenia na teraz. Ściskam Cię z całego serca (nie jest to sposób mówienia).

20. lipca, niedziela.

Pochlebiałem sobie, że będę mógł dojechać jutro rano do przylądka; ale bynajmniej: nie przyjedziemy tam. Wiatr uspokoił się od wczoraj przez cały dzień. W istocie przejazd z Francyi przestraszał mię. Pora spóźniona, morze wzburzone, dnie bardzo krótkie — ale szczęście zobaczenia Ciebie przebije troski i niebezpieczeństwa. Powiedz mi, czy znajdę listy Twoje przyjechawszy tu: Czy pisujesz do mnie często? Czy ten dziennik ma miejsce? Boję się, aby szatan nie był mocniejszy odemnie; aby moja nieobecność i moi nieprzyjaciele nie wypłatali mi jakiego złego figla. Przykład Spa przestrasza mnie. Ta nagła rozłąka z uczuciem, które dawniej stanowiło Twoje szczęście, zasadzki ciągłe na Twoją przystępność, wytrwali adoratorowie, zręczni nieprzyjaciele... ile

pour un pauvre amant éloigné de 2.000 lieues. Seras-tu comme Agnès? Seras-tu comme Penelope? — Je te conseille de chercher à ressembler aux anciens. Tu sais, que je me suis toujours senti un grand fonds d'estime pour l'antiquité. et si tu veux me plaire, tu n'as qu'à suivre les errements de madame Ulysse. Je ne sais ce que tu est devenue. Je n'ai jamais été d'avis que le V-te te mena aux eaux de Bourbon, ou à... je ne sais où. Je n'aime pas ces promenades avec un homme, comme lui. Le méchant public n'imagine jamais, qu'il soit difficile à un amant de reprendre ses anciens droits, et je me souviens d'avoir pensé souvent comme ce méchant public quoique je sois tranquille sur ton compte. Mais la femme de César ne doit pas être soupçonnée. Je n'ai point conquis le monde, mais je pense comme César a cet égard... comme à l'égard de bien d'autres choses. Si tu savais tous mes projets tu chercherais bien à m'être chere, et à te ressembler toujours dans tes sentiments. Je crois qu'il n'y a personne, qui t'ait aimé comme moi, surtout qui se soit plus occupé à fonder son bonheur sur cet amour. Une pluie qui survient me force de finir. car je suis à découvert. Adieu.

---

przyczyn niepokoju dla biednego kochanka, oddalonego o 2.000 mil. Czy będziesz jak Agnieszka? Czy będziesz jak Penelopa? Radzę Ci, abyś starała się być podobną do starożytnych. Wiesz, że zawsze czułem wielki szacunek dla starożytności i jeżeli chcesz mi się podobać, to postępuj za błędami pani Ulysse. Ja nie wiem, co się z Tobą stało. Nigdy mi się nie zdawało, aby wicehrabia zawiózł Cię do wód w Bourbon, albo do... nie wiem gdzie. Nie lubię tych spacerów z mężczyzną, takim jak on. Złośliwa publiczność nigdy sobie nie wyobraża, aby kochankowi było trudno odzyskać swoje dawne prawa i ja pamiętam, że często myślałem tak, jak ta złośliwa publiczność, jakkolwiek jestem spokojny o Ciebie. Ale żona Cezara nie powinna być podejrzywaną. Wcale świata nie zawojowałem, ale myślę jak Cezar w tym względzie, jak w wielu innych rzeczach. Gdybyś znała wszystkie moje plany, bardzobyś się starała być mi drogą i być sobie zawsze podobną w swoich uczuciach. Zdaje mi się, że nie ma nikogo, któryby Cię kochał tak jak ja, szczególnie, któryby się więcej zajmował utwierdzeniem swego szczęścia na tej miłości. Deszcz, który nadchodzi, zmusza mnie do zakończenia, bo jestem na odkrytem miejscu. Żegnaj.

21. Juillet.

Nous cotoyons depuis trente six heures une terre inhabitée et sterile: des rochers semés, des quelques arbres, une seule petite bourgade sur près de 50 lieues de côte: n'offrent pas un spectacle bien agréable. La lenteur de notre marche nous donne le loisir de nous ennuyer tout à notre aise, en contemplani les tristes rescifs pelé, battus sans cesse par les flots de la mer. Demain nous serons au cap sur les quatre heures après midi. On vient de découvrir une pointe, qui s'apelle la Grange, et qui n'est distance que de 14 lieues de notre port... Cela assure notre arrivée, malgré la faiblesse de la brise. Il n'y a pas moyen de rendre cette partie de Journal intéressante. Point de sauvages sur la côte, qui nous attendent d'une main fière et menaçante — point de bêtes feroces... ni orages, ni tempêtes. Colomb, en abordant à cette isle, pour la première fois, ne la trouve pas aussi tranquille, cependant sa vue lui fit encore plus de plaisir qu'à moi...

Tu sais bien, que cherchant envain, pendant longtemps des terres nouvelles, son équipage, las des fatigues de ce long voyage, se revolta et le menaça de le jetter à la mer: il leur

---

21. lipca.

Od trzydziestu sześciu godzin płyniemy brzegiem ziemi niezamieszkałej i nieurodzajnej; skały zasiane kilkoma drzewami, jedno małe miasteczko na brzegu około 50-milowym: nie przedstawia to widoku bardzo przyjemnego. Powolność naszego posuwania się daje nam czas do nudów wedle upodobania, gdy się przypatrujemy smutnym, łysym urwiskom, o które ciągle uderzają fale morza. Jutro około czwartej po południu będziemy na przylądku. Dopiero co odkryto kraniec, który nazywa się Grange i jest oddalony od naszego portu o 14 mil... To zapewnia nasze przybycie pomimo słabości wiatru. Niema sposobu uczynić tej części dziennika zajmującą. Niema dzikich na brzegu, którzyby nas czekali z ręką dumną i gorącą — ani też dzikich zwierząt, ani burz, ani nawalnic. Kolumb, przybijając do tej wyspy po raz pierwszy, nie znalazł jej tak spokojną, jednak widok jej był dla niego jeszcze przyjemniejszy, niż dla mnie...

Ty wiesz dobrze, że szukając napróżno podczas długiego czasu nowych ziem, jego załoga, zniecierpliwiona i zmęczona długą podróżą, zbuntowała się i zagroziła mu, że go wrzuci do morza:

demanda deux jours de répit et le second ils aperçurent cette isle. La mort de ce grand homme et la découverte du nouveau monde ont tenu assurément à bien peu de chose.

Pour moi, je n'ai rien à découvrir de bien intéressant, — que tes lettres: et mon impatience la dessus augmente à chaque instant. Il y aura demain précisément trois mois, mais jour par jour trois mois — de mon départ de Paris. Te souviens tu de la nuit du 22. d'avril? D'un mardi? De notre dernier souper? De ce... de nos pleurs? Enfin de cette maudite barrière? — C'est là, où je te perdis: et depuis ce moment je n'ai eu aucun trace de ton existence. Tu peux t'imaginer, combien je dois être friand de tes nouvelles — et si la vue de ton écriture me fera du plaisir. J'espére, que tu n'as pas été plus de dix semaines sans mes lettres — car j'ai bonne opinion du vaisseau, qui t'a porté mes premières depêches de l'Amérique... et si je ne me trompe, tu les recevras au plus tard vers le 15 du mois prochain. Mardes moi, si ma supputation est juste, mais peut-être n'avais-je pas le temps de recevoir ta reponse? En tout cas, tu peux écrire à Mr. Peyre de me l'envoyer à Boston. On ne peut compter sur rien avec cette distance effrayante: il faut près de quatre mois, pour

---

on prosił ich o 2 dni zwłoki i na drugi dzień ujrzeli wyspę. Śmierć tego wielkiego człowieka i odkrycie nowego świata zależało od bardzo błahych rzeczy.

Co do mnie, nie mam nic zbyt interesującego do odkrycia, jak tylko Twoje listy: moja niecierpliwość w tym względzie powiększa się z każdą chwilą. Jutro będzie właśnie 3 miesiące, ale dzień za dniem 3 miesiace — od mego wyjazdu z Paryża. Czy pamiętasz noc 22-go kwietnia? Pewien wtorek? Naszą ostatnią kolacyę? Ten..... naszych łez? W końcu tę przeklętą rogatkę? Tam to Ciebie straciłem: od tej chwili nie miałem żadnego śladu Twego istnienia. Możesz sobie wyobrazić, jak muszę być łakomy nowin o Tobie — i czy widok Twego pisma zrobi mi przyjemność. Spodziewam się, że nie byłaś więcej jak 10 tygodni bez moich listów — bo mam dobre wyobrażenie o okręcie, który zaniósł Ci moje pierwsze depesze z Ameryki... i jeśli się nie mylę, Ty je otrzymałaś najpóźniej około 15-go przeszłego miesiąca. Donieś mi, czy moje obrachowanie jest sprawiedliwe... ale być może, że nie było czasu otrzymać Twoją odpowiedź? W każdym razie możesz pisać do pana Peyre, aby mi odesłał do Bostonu. Nie można na nic liczyć z tą straszną odległością; — potrzeba około

repondre; et il est très possible, qu'avant ce temps tu n'aies plus besoin de m'écrire. Que me donnerais-tu, si j'arrivais sans dire: Garde: — j'en suis souvent très tenté et je te conseille de te tenir longtemps sur tes gardes.

22. Juillet après midi (à St. Domingue). [1]

Je suis enfin descendu malade à terre — il y a une heure et j'ai déjà lû deux fois toutes Tes lettres: j'en tiens six, la dernière est du 18 de mai. Je vois avec une frayeur mortelle, avec un chagrin désespérant tes inquietudes, tes souffrances, tes soupçons — et tes injustices; et je me vois perdu dans ton coeur au moment, où je t'écris. Comment ton amour pourrait-il resister à sept mois d'absence? À toutes les ruses diaboliques des gens, qui t'entourent et qui me haïssent. Ah! C'en est fait! Sûrement à l'heure qu'il est, Julie n'est plus à moi. Je t'écris en trem-

---

4 miesięcy, aby odpowiedzieć i bardzo być może, że przed tym czasem nie będziesz potrzebowała pisać do mnie. Cobyś mi dała, gdybym przyjechał nie mówiąc: Baczność; — mam do tego często wielką ochotę i radzę Ci mieć się długo na ostrożności.

22. lipca po południu (w St. Domingo).

Chory wysiadłem w końcu, godzinę temu, na ziemię i przeczytałem już dwa razy wszystkie Twoje listy: trzymam ich sześć, ostatni jest z 18-go maja. Widzę ze śmiertelnym strachem, z rozpaczliwem zmartwieniem, Twoje niepokoje, Twoje cierpienia, Twoje podejrzenie i Twoje niesprawiedliwości — i widzę się zgubionym w Twoim sercu w chwili, kiedy piszę do Ciebie. Jak Twoja miłość mogłaby oprzeć się siedmiomiesięcznej nieobecności? Wszystkim szatańskim chytrościom, ludziom, którzy Cię otaczają i którzy Cię nienawidzą? Ah! Stało się! Z pewnością o tej godzinie Julia już nie jest moją. Piszę do Ciebie drżąc, zimny pot

---

[1] W rękopisie: Continuation des lettres.

blant, une froide sueur coule sur mon corps. Je me sens vraiment très faible et presque anéanti. Ah! Mon coeur, pardonnes moi! Mais je ne puis te dire autre chose. Mon ame est bouleversée; je suis malheureux. Une santé derangée, un chagrin mortel, les influences malignes d'un climat embrasé. Tout cela, peut-être, terminera mes douleurs — et te coutera quelques larmes. Je me suis trouvé si mal, en t'écrivant cette après-midi, que j'ai été obligé de tout abandonner et de me coucher presque évanoui.

A 9 heures du soir.

Quelques heures de repos et un moment d'assoupissemen m'ont procuré un peu de tranquillité et je pourrais t'écrire avec plus de sang froid. Si tes yeux lisent froidement ces lignes, tu ne saurais te refuser un instant de pitié. Je suis assez mal, mais j'espère, qu'avec du regime la dyssenterie, qui s'est declarée avec violence, ne sera pas dangereuse. Le vaisseau, qui doit te porter cette lettre, ne part que demain et j'aurai le temps de t'instruire dans la journée de l'état de ma santé...

---

spływa po moim ciele. Czuję się w istocie bardzo osłabiony i prawie znieczulony. Ach! Moje serce, przebacz mi! Ale ja nie mogę powiedzieć Ci co innego. Moja dusza jest wzburzona; jestem nieszczęśliwy. Zdrowie popsute, zmartwienie śmiertelne, złośliwe wpływy ognistego klimatu — wszystko to, być może, zakończy moje cierpienia i będzie Cię kosztować kilka łez. Tak mi się zrrobiło słabo, pisząc do Ciebie dziś po południu, że byłem zmuszony wszystko porzucić i położyć się prawie zemdlony.

O 9 godzinie wieczorem.

Kilka godzin odpoczynku i chwilka drzemki przyniosły mi trochę spokoju; będę mógł pisać do Ciebie z bardziej zimną krwią. Jeżeli Twoje oczy czytają obojętnie te linie, nie będziesz mogła odmówić sobie chwili litości. Mam się dosyć źle, ale mam nadzieję, ze z dyetą dyzenterya, która się gwałtownie objawiła, nie będzie niebezpieczną. Okręt, który ma Ci zanieść ten list, odjeżdża dopiero jutro, będę miał czas zawiadomić Cię w ciągu dnia o stanie mego zdrowia...

Puisses tu y prendre quelque intérêt! Je vois par ta dernière lettre, que tu m'accuses à tort de ne t'avoir pas écrit à mon embarquement. J'ai envoyé à l'addresse du baron de Staël une lettre pour Toi, mais elle n'est peut-être partie de Bordeaux que le jour, où tu voulais qu'elle fut à Paris. Le pilote ne nous a quitté que le 16 et il lui fallait deux jours pour se rendre à la ville.

Si tu étais moins prompte à me soupçonner et si tu te fiais davantage à mon coeur, nous serions tous les deux plus heureux.

Je ne puis m'empêcher de te dire, que tu vois trop de fêtes, de soupers, de concerts, de spectacles. Bien loin de t'envier tes plaisirs (moi, qui voudrais que tes jours fussent filés d'or et de soie) j'admire seulement la facilité, avec laquelle tu te laisses entrainer à tout et je crains qu'elle ne te conduise à bien pis. Ces justes inquietudes pourront abréger mes jours: mais je me suis donné parole à moi-même de ne t'en plus parler et mes lettres en seront libres dèsormais. Sois heureuse, ma chère amie et ne t'attends plus aux reproches d'un homme, qui t'adore, mais qui voit son malheur écrit dans le livre ineffaçable du destin.

Obyś mogła mieć dla niego jakie współczucie. Widzę z Twego ostatniego listu, że niesłusznie mnie obwiniasz, że nie pisałem do Ciebie. wsiadając na okręt. Posłałem do Ciebie list pod adresem barona de Staël, ale on może wyszedł z Bordeaux w dniu, kiedy chciałaś go mieć w Paryżu. Sternik opuścił nas dopiero 16. i potrzeba mu było dwóch dni, ażeby udać się do miasta.

Gdybyś była mniej skorą do posądzania mnie i gdybyś oddawała się więcej memu sercu, bylibyśmy oboje szczęśliwsi.

Nie możesz mi przeszkodzić, bym Ci nie powiedział, że Ty widzisz nadto świąt, kolacyi, koncertów, przedstawień. Daleki od zazdroszczenia Ci Twoich przyjemności, (ja, którybym chciał, żeby Twoje dni były tkane nićmi ze złota i jedwabiu), podziwiam tylko łatwość, z którą Ty pozwalasz wciągać się do wszystkiego: boję się, żeby ona Cię nie zaprowadziła do rzeczy o wiele gorszych. Te słuszne niepokoje będą mogły skrócić moje dni: ale dałem samemu sobie słowo, nie mówić Tobie już o tem i moje listy będą odtąd od tego wolne. Bądź szczęśliwą, moja droga przyjaciółko i nie spodziewaj się więcej wymówek człowieka, który Cię uwielbia, ale który widzi swoje nieszczęście, wypisane w niezatartej księdze przeznaczenia.

Je te remercie du soin. que tu as pris d'arranger un peu mes mauvaises affaires. C'est encore un chagrin bien vif pour moi, que ma conduite à Paris et la manière cruelle. dont la plupart de gens sont prevenues contre moi. J'espére, si j'existe encor, de ne plus me trouver dans une pareille situation: elle est bien cruelle pour un honnête homme et mon coeur en saigne journellement.

On m'a remis ma montre à perles: je tâcherai de m'en defaire le mieux que je pourrai, pour subvenir aux frais du reste de mon voyage — mais je ne trouve pas le paquet, que Liegrais m'a envoyé.

Adieu, ma chère Ame, je causerai demain avec Toi.

(Sans datte).

J'espére, ma divine amie, qu'après mes dernières lettres il ne te reste plus aucun soupçons et que tu est bien persuadée d'être toujours le seul objet de mon adoration. En effet. quel est mon crime? Dois-je être le plus malheureux des hommes. parce-

---

Dziękuję Ci za trud, jaki sprawiłaś sobie pewnem uporządkowaniem moich złych interesów. Wielką jest dla mnie przykrością to moje prowadzenie się w Paryżu i okrutny sposób. w który większa część ludzi jest dla mnie uprzedzona. Spodziewam się, jeżeli będę jeszcze żył. że nie znajdę się w podobnem położeniu: jest ono bardzo przykre dla uczciwego człowieka i moje serce krwawi się z tego powodu codziennie.

Oddano mi mój zegarek z pereł: będę się starał zbyć się go, jak będę mógł najlepiej — ażeby podołać kosztom pozostałej podróży — ale nie znajduję pakietu, który Liegrais mi przysłał.

Z Bogiem. moja droga duszo. pomówię jutro z Tobą.

(Bez daty).

Spodziewam się. moja boska przyjaciółko, że po moich ostatnich listach nie pozostaje Ci już żadne podejrzenie i jesteś całkiem przekonaną. że zawsze jesteś jedynym przedmiotem mojego uwielbienia. W istocie, jaka jest moja zbrodnia? Czy muszę być

qu'il a plus à ces messieurs de me calommier. Mon absence est ma seul faute. Mais rapelle toi, quels en sont les motifs. Ce, qui devient à présent la cause d'un affreux malheur, devait être celle d'un bonheur durable. Et d'ailleurs, pouvais-je croire, que le coeur de Julie pusse changer pour moi? Que son ame fut aussi prompte à me condamner? Et qu'elle fut si facile à ajouter foi aux plus absurdes méchancetés — sans égard pour mon absence, sans considération pour mon état. Tu m'as accablée cruellement et mes ennemis se sont réjouis de te voir donner dans les filets qu'ils avait tendus à ta crédulité. Rapelle toi ce, que tu m'écrivais „Qu'il est absurde de dire du mal de toi: une seule lettre, un seul mot détruit tous mes soupçons et te fait triompher". Puissent tes paroles être prophetiques!... Leur verité m'epargnerait bien de chagrins. Mais je suis presque sûr, que ton coeur est encore à moi. — Ma santé est tout-à-fait détruite. Je suis obligé de quitter ce pays-ci et j'arriverai en France après cette lettre au plus tard un mois. Je descendrai chez toi et si je ne puis mourire dans tes bras, j'aurai du moins

---

najnieszczęśliwszym z ludzi, bo podobało się tym panom mnie oczerniać. Nieobecność moja jest moim jedynym błędem. Ale przypomnij sobie, jakie są jej powody. To, co staje się teraz przyczyną strasznego nieszczęścia, miało być przyczyną stałego szczęścia. I zresztą, czyż mogłem myśleć, aby serce Julii mogło zmienić się dla mnie? Aby jej dusza była tak skorą do potępienia mnie? I żeby była tak łatwą do uwierzenia najbardziej niemądrym złośliwościom — bez względu na moją nieobecność, bez szacunku dla mego stanu. Tyś mię przygnębiła okrutnie, a moi nieprzyjaciele radowali się, widząc Cię wpadającą w sieci, które zastawili na Twą łatwowierność. Przypomnij sobie, coś do mnie pisała, „że jest niedorzecznem mówić źle o Tobie: jeden jedyny list, jeden jedyny wyraz niszczy wszystkie moje podejrzenia i sprawia, że tryumfujesz". — Oby Twoje wyrazy mogły być prorocze!... Ich prawdziwość oszczędziłaby mi wiele zmartwień. Ale ja jestem prawie pewien, że Twoje serce należy jeszcze do mnie. — Moje zdrowie jest całkiem zniszczone. Jestem zmuszony opuścić ten kraj: przybędę do Francyi najdalej w miesiąc po tym liście. Zatrzymam się u Ciebie: jeżeli nie będę mógł umrzeć w Twoich ramionach, będę miał

le plaisir d'expirer à tes yeux. Les miens, en mourant, se fixeront sur toi et te diront, — combien tu as été injuste. Mais, quand même tu ne m'aimerais plus, — tu ne chasseras pas de chez toi — un malheureux malade — qui ne demande que rester deux jours chez toi... Tu ne lui refuseras pas la douce consolation de verser quelques larmes avec lui.

Quand même ton ressentiment et ta légéreté eussent pu te porter à me devenir infidele, je ne doute pas, que tu ne rompes ces faibles liens, fondés sur une fausse supposition: Mes droits sont sacrés: Je viendrai, tes lettres à la main, te montrer les serments, qui te lient à moi... je réclamerai contre une prévention, qui detruit le bonheur de ta vie et de la mienne... et je te connais bien peu, si tu peux resister à ces gages sacrés.

Souviens-toi, quand me baignant de tes larmes, en me serrant entre tes bras, tu m'as juré de m'aimer à jamais. Peut-on aussi légérement abandonner ses sentiments? Qui pourrait désormais compter sur tes paroles? Et sur tes promesses — quand

---

przynajmniej przyjemność wyzionąć ducha w Twoich oczach. Moje oczy umierając, wpatrzą się w Ciebie i powiedzą Ci, — ile byłaś niesprawiedliwą. Ale gdybyś nawet nie kochała mnie więcej, — nie wypędzisz od siebie nieszczęśliwego chorego, który pragnie tylko 2 dni pozostać u Ciebie... Nie odmówisz mu słodkiej pociechy uronienia z nim kilku łez.

Gdyby nawet Twoja niechęć i Twoja lekkomyślność mogły doprowadzić Cię do niewierności względem mnie, nie wątpię, że zerwiesz te słabe więzy, zadzierżgnięte wskutek fałszywego podejrzenia: Moje prawa są święte. Ja przyjdę z Twoimi listami w ręku, aby pokazać Ci przysięgi, które łączą Cię ze mną... odwołam się do uprzedzenia, które zniszczyło szczęście Twego i mego życia... i chyba ja Cię bardzo mało znam, jeżeli będziesz mogła się oprzeć tym świętym zobowiązaniom.

Przypomnij sobie, kiedy oblewając mię swemi łzami i ściskając mię w swoich ramionach, przysięgałaś kochać mię zawsze. Czy można tak lekko rzucać swoje uczucia? Kto mógłby odtąd liczyć na Twoje słowa i na Twoje obietnicy — kiedy Ty niszczysz

tu détruis avec autant de légéreté un edifice aussi beau et aussi solide. Non, ma Julie, cela ne se peut: Tu es et seras toujours à moi... Tu ne peux renoncer à faire mon bonheur — sans te reprocher toute ta vie — cette injustice... et je suis plus tranquille maintenant.

Si tu ne m'eusses jamais aimé — quoique tu m'aies adoré, — si je t'eusse trahi, trompé — quoique tu aies été toujours mon idole et que je sois innocent de ce, qu'ont a écrit, ce que j'ai souffert depuis ta fatale lettre du 24. Juin, devrait seul me donner — me mériter ton coeur. En effet, quel tourment peut être plus cruel, que celui d'être pendant près de quatre mois dans une incertitude affreuse, dans la plus désespérante inquietude... déchiré par tous les soupçons... menacé par tous les malheurs? — Non; le sort d'un criminel, condamné à mort, n'approche point de l'horreur d'un état, comme le mien. Sans cesse en allarmes, il ne se passe de minute, que l'idée affreuse, de t'avoir perdu, ne revienne. Elle interrompt quelquefois une conversation commencée et me rend stupide et imbecille pour quelque temps.

---

z taką lekkością tak piękny i tak trwały gmach. Nie, moja Julio, to jest niemożliwe: Ty jesteś i będziesz zawsze moją... Ty nie możesz wyrzec się stworzenia mi szczęścia — nie wyrzucając sobie całe życie tej niesprawiedliwości... i ja czuję się obecnie spokojniejszym.

Gdybyś mnie była nigdy nie kochała, chociaż mnie czciłaś — gdybym ja Cię był zdradził, oszukał — chociaż byłaś zawsze moim bożyszczem i, że byłem niewinnym w tem, co o mnie pisano, to, co wycierpiałem od tego fatalnego listu z 24. czerwca, powinno by samo dać mi, zasłużyć mi na Twoje serce. W istocie, jaka męczarnia może być okrutniejszą, jak być w ciągu blisko 4 miesięcy w strasznej niepewności, w najrozpaczliwszym niepokoju, być szarpanym wszelkiemi podejrzaniami... zagrożonym wszelkiemi nieszczęściami? Nie; los zbrodniarza, skazanego na śmierć, nie zbliża się nawet do okropności stanu takiego jak mój. Bez ustanku w obawie, ani jedna minuta nie przemija, aby nie powracała straszna myśl utracenia Ciebie. Ona przerywa niekiedy rozpoczętą rozmowę i czyni mnie nieprzytomnym i osłupiałym na jakiś czas.

Dis même, s'il le faut, que tu est mariée avec moi: je ne te désavouerai pas. Je ferai tout, pour assurer ton bonheur: car je sens que le mien en dépend. Que seras-tu. maitresse? Abandonnée peut-être dans peu. Tu sais les prejugés de ta nation: Tu n'est point faite pour rester dans cet état. Avec moi tu seras une femme adorée à jamais et respectée de mes parents. Tu as desiré plus d'une fois de faire une action peu commune — un sacrifice généreux à ton amant. Eh bien! En voilà l'occasion! Arrache-toi des bras d'un seducteur, si tu as eu le malheur d'y tomber. Romps tous ces lieus — et fais voir, que tu as une ame, qui gouverne — un corps et que tu n'es pas toujours esclave de tes sens.

Demandez vous, si une femme honnête et sensible, qui ne suit pas aveuglément les premières fougues de son tempérament, peut changer avec autant de facilité — sur les simples apparences d'être trompée?

Powiedz nawet, jeśli tego potrzeba, że jesteś zaślubioną ze mną: ja się Ciebie nie zaprę. Zrobię wszystko, aby zapewnić Twoje szczęście: — bo czuję, że od niego zależy moje szczęście. Czem będziesz, kochanką? Aby być może wkrótce opuszczoną. Ty znasz przesądy narodowe: Ty nie jesteś stworzoną, aby pozostawać w takim stanie. Ze mną będziesz kobietą ubóstwianą na zawsze — i szanowaną przez moich krewnych. Nieraz pragnałeś wykonać czyn nadzwyczajny — wspaniałomyślne poświęcenie się Twemu kochankowi. A więc! Oto właśnie sposobność! Wyrwij się z objęć uwodziciela, jeżeli miałaś nieszczęście wpaść w nie. Zerwij te wszystkie więzy — i pokaż, że masz duszę, która rządzi ciałem i że nie jesteś zawsze niewolnicą swoich zmysłów.

Zapytajcie siebie, czy kobieta uczciwa i czuła, która nie idzie ślepo za pierwszemi wrażeniami swego temperamentu, może zmienić się z taką łatwością, wskutek prostych pozorów, że jest oszukaną?

II. Lettre de Julie.

Lundi 28.

Vous, que j'adorais, pour qui j'ai tout sacrifié, vous, à qui j'aurais donné ma vie — si vous l'eussiez demandé. — Est ce bien Vous, qui me donnez la mort? Est-ce Vous, qu'avez pû jouir du plaisir barbare — d'avilir le coeur, qui se livrait à Vous? D'y porter l'opprobre, en abusant indignement de sa confiance de l'excés de sa tendresse. — N'attendez-pas, que je vous peigne ma douleur — je ne demêle plus ce, qui se passe dans moi-même. Je ne sais ce, que je veux, ce, que je dois... mon agitation est affreuse, ma raison peut s'en atterer.

Quoi? vous n'avez tenu à moi par aucun lieu et je les ai tous brisés pour Vous! — Quoi, même dans cet instant — dont le souvenir m'est horrible, où toute entière à l'amour, sa violence jusques à ma faiblesse... dans cet instant votre coeur, rempli par une autre, glacé pour moi, se séparait de l'ivresse de vos sens;

II. List Julii.

Poniedziałek 28.

Ty, którego ubóstwiałam, dla którego wszystko poświęciłam, któremu byłabym oddała swoje życie, gdybyś był poprosił o nie. Czy to rzeczywiście Ty jesteś, który mi zadajesz śmierć? Czy to Ty, który mogłeś używać dzikiej przyjemności upokarzania serca, które Ci się oddało? Wnosić do niego hańbę, nadużywać niegodnie zaufania, zbytku jego czułości. Nie czekaj, abym Ci malowała moją boleść. Nie mogę już rozróżnić, co się we mnie dzieje. Nie wiem czego chcę, co powinnam: moje wzburzenie jest straszne, mój rozsądek może ustąpić.

Co? — Ciebie nie łączył ze mną żaden węzeł, a ja je wszystkie zerwałem dla Ciebie! — Co, nawet w tej chwili, której wspomnienie jest mi straszne, kiedy cała oddana miłości, jej gwałtowność — aż do mojej słabości... w tej chwili Twoje serce, zajęte przez inną, zamarłe dla mnie, rozłączało się z upojeniem Two-

et je puis vivre encore? — Vivre et ne pas vous haïr? Suis-je assez humiliée, assez punie de mon funeste amour? — Ah! Sans doute! Le ciel me devait une vengeance terrible, proportionnée aux droits sacrés, que j'ai trahis. Je suis coupable. Je la suis à mes yeux, à ceux de l'univers... mais aux vôtres, cruel! De quel crime me suis-je donc couverte? M'en avez vous fait un de vous aimer? D'oser attaquer le coeur, que Julie possédait? — Julie... j'ai pû tracer ce nom sans mourir! Vous l'adorez et vous pouviez m'écrire: „Le Dieu, qui a presidé à notre liaison. la protegera. Elle fera, si vous voulez m'en croire, le bonheur de votre vie et de la mienne. Ne vous obstinez pas sans raison à le detruire. Un siècle se passe sans le voir naître — et un instant le détruit!..“ Il est arrivé cet instant fatal! Et ce n'est pas pour vous, que le charme cesse. Votre coeur ne sera pas plus ému de me perdre, qu'il ne l'a été de me posseder. N'apprendrais-je jamais. quel sentiment Vous arma contre moi? Cette maitresse chérie Vous demandait-elle ces victimes? Fallait-il pour lui plaire immoler l'être sensible, qui venait sans défense

---

ich zmysłów; i ja mogę żyć jeszcze? Żyć i nienawidzieć Ciebie? Czy jestem dość upokorzona, dość ukarana za moją nieszczęsną miłość? Ach! Bezwątpienia! Niebo winno mi było zemstę straszną, odpowiednią do świętych praw, które zdradziłam. Jestem winną. Jestem nią w moich oczach i w oczach całego świata... ale w Twoich. okrutny, jakim występkiem się okryłam? Czy liczysz mi za występek to, że Cię pokochałam? — Że śmiałam dobijać się serca, które Julia posiadała? Julia... mogłam napisać ten wyraz i nie umrzeć! Ty ją czcisz i mogłeś do mnie pisać: „Bóg. który przewodniczył naszemu związkowi. będzie go ochraniał. Ten związek, jeżeli chcesz mi wierzyć. stworzy szczęście życia Twego i mego. Nie upieraj się bez przyczyny, aby je zniszczyć — wiek mija, nie widząc je rodzące się — a jedna chwila je niszczy...“ Ta chwila fatalna nastała! I nie dla Ciebie ustał czar. Twoje serce nie będzie bardziej wzruszone, tracąc mię, aniżeli było, kiedy mię posiadło. Czy się nigdy nie dowiem, jakie uczucie uzbraja Cię przeciwko mnie? Czy żąda od Ciebie tych ofiiar ta droga kochanka? Czy aby się jej podobać. potrzeba było poświęcić istotę czułą. która przyszła wystawić się bezbronnie na Twoje

se présenter à vos coups? A-t-elle du moins payé le sacrifice du redoublement de son amour? Mais non, ce n'est point elle, qui commande tant d'inhumanité. On me l'a peinté sensible, douce, honnête dans son état. Peut-être serait-elle plus que Vous, capable de pitié sur mon sort... Peut-être est-elle plus digne d'apprécier le coeur que Vous avez blessé avec calme, le sang froid réfléchi d'une cruanté profonde. C'etait donc là... „Ce sentiment vif et doux, qui dans un instant seul efface les peines d'un siècle ce sentiment, qui eléve l'ame des mortels, leur donne une force suffisante pour supporter le malheur pour sentir le malheur d'une manière peu commune — il animait votre coeur, il se cachait au fond du mien". Oui, cruel, il exista dans le mien... Je l'y retrouve encore. Vos outrages... ma douleur... ma honte rien ne change ce coeur. Tout, jusques à mes faiblesses, vous est garant de sa constance. Vous m'avez rendu la plus malheureuse des creatures; et rien ne peut à présent me détacher de Vous. Quel tourment égale celui — d'aimer, malgré soi? D'aimer avec la certitude de ne l'avoir jamais été... de ne l'être jamais... de n'inspirer que du mépris.

---

razy? Czy tamta zapłaciła przynajmniej za tę ofiarę podwojeniem miłości? Ale nie, to wcale nie ona nakazuje taką nieludzkość. Przedstawiono mi ją jako czułą, łagodną, uczciwą w swoim stanie. Być może, że byłaby ona więcej jak Ty zdolną do litości nad moim losem... Może ona jest godniejszą ocenić serce, które Ty zraniłeś ze spokojem, z zimną krwią, pełną rozmyślności i głębokiego okrucieństwa. Było to więc... „To uczucie żywe i słodkie, które w jednym momencie maże troski wieku — to uczucie, które podnosi duszę śmiertelników, daje im siłę dostateczną, aby znosić nieszczęście, aby czuć nieszczęście w sposób niezwykły — ono ożywiało Twoje serce i kryło się w głębi mego". — Tak okrutny, to uczucie istnieje w moim sercu. Ja je tam odnajduję jeszcze. Twoje zniewagi, moja boleść, mój wstyd, nic nie zmienia tego serca. Wszystko aż do mojej słabości zapewnia Cię o jego stałości. Uczyniłeś mię najnieszczęśliwszą z istot; nic nie może teraz oderwać mię od Ciebie. Jaka męczarnia równa się temu — kochać pomimo siebie? Kochać z przekonaniem, że się nigdy nie było kochaną i że się nigdy nią nie będzie... że się wzbudza tylko wzgardę.

Est-il donc vrai? Votre ame est-elle fermée pour moi à toute autre impression? Mes plaintes ne pourront-elles t'attendrir?... Ah! Ne détournez pas vos yeux, de grâce, lisez encore... voyez jusqu'où va mon amour. Tout vous condamne... lui seul vous excuse. Peut-être m'avez Vous cru moins sensible, moins delicate. On dit, qu'il y a des femmes, que le partage n'irrite point; que d'autres ne connaissent, ne prisent de l'amour que les jouissances, qui le dégradent, séparent du sentiment. En me confondant avec elles, vous avez cru faire assez pour moi de m'offrir ces odieux plaisirs. Vous m'avez offensé par cette fausse opinion; mais je ne Vous écris pas, comme Vous pouviez douter de ma sincerité vous pouviez me croire ce, que Vous étiez pour moi. Il me serait bien plus douloureux de penser, que rendant justice à mon ame, y lisant toute la force, toute la pureté de mon amour; Vous n'avez cherché à exercer sa sensibilité que pour mieux connaître les moyens de la blesser mortellement. Non, je ne puis supposer un caractère aussi atroce à celui, que j'adorai — que j'adore encore. Mon coeur ne peut briser l'idole, qu'il s'est formée. L'amour lui prête encore tous ses charmes. L'année dernière à ce bal, auteur de tous mes maux, à ce bal,

---

Jest więc to prawdą? Czy Twoja dusza zamkniętą jest dla mnie na wszystkie inne wrażenia? Czy moje skargi nie potrafią Cię wzruszyć?... Ach! nie odwracaj Twoich oczu, przez litość, czytaj jeszcze... patrz dokąd idzie moja miłość. Wszystko Ciebie potępia... Ono jedno Cię uniewinnia. Być może, sądziłeś, że jestem mniej czułą, mniej delikatna. Powiadają, że są kobiety, których rozłąka nie drażni; że inne znają i cenią w miłości tylko rozkosze, które je poniżają, oddzielają od uczucia. Mieszając mię z niemi, sądziłeś, że dość robisz dla mnie, obdarzając temi wstrętnemi przyjemnościami. Obraziłeś mię tem fałszywem mniemaniem; ale ja nie piszę Ci, jak mogłeś powątpiewać o mojej szczerości — Ty mogłeś wierzyć, czem byłeś dla mnie. Byłoby dla mnie boleśniejszem myśleć, że oddając sprawiedliwość mojej duszy, czytając w niej całą siłę i całą czystość mojej miłości, starałeś się ćwiczyć jej czułość tylko dla tego, aby lepiej poznać sposoby skaleczenia jej śmiertelnie. Nie, ja nie mogę przypuścić charakteru tak okrutnego, jak ten, który czciłam i który czczę jeszcze. Moje serce nie może zniszczyć bożyszcza, które sobie stworzyło. Miłość użycza mu swoich wdzięków. Przeszłego roku na tym balu, twórcy wszystkich moich cierpień, na tym balu, który nienawidzę, na

que j'abhorre, où je ne paraîtrai jamais, je parlais au baron de Staël; Vous vintez à lui... Après Vous avoir regardé, il me fut impossible de ne pas vous regarder encore et chaque fois que je vous retrouvai, votre vue me détourna de l'objet, qui m'occupait au moment où vous passiez. Peu de jours après je soupai chez le baron: il me parlait du bal des Gardes du Corps, où une femme, qu'il croyait être moi l'avait fort intéressé. Il me dit, qu'elle vous avait beaucoup parlé. A votre nom je me troublai si étrangement, que le baron s'en aperçut crut m'avoir deviné, et n'attribua mon embarras qu'au dépit de me voir reconnu. Je revins encore au bal. Mes yeux Vous cherchèrent en entrant. Je n'avais point de projet: je ne savais, pour quoi je voulais vous voir. mais je vous cherchais tant qu'enfin je vous trouvais. J'aurais voulu Vous parler, je ne scus que vous dire... et je finis par vous demander, où était le baron de Staël; Vous etiez avec des masques, qui vous amusaient et vous me reçutez fort mal. Je m'en sentis assés piqué, pour ne plus vous chercher: mais je parlai de Vous, on me fit votre eloge. Je n'en ai encore perdu un mot et dans le cours de l'année, que je passais sans Vous voir, mon souvenir me retraça souvent le bien qu'on m'avait dit de

---

którym się nigdy nie zjawię, rozmawiałam z baronem de Staël; Ty przyszedłeś do niego. Gdy spojrzałam na Ciebie, nie podobna mi było nie patrzeć na Ciebie jeszcze i każdym razem, jak Cię odnajdywałam Twój widok odrywał mię w chwili, gdy przechodziłeś. od przedmiotu, który mię zajmywał. W kilka dni potem byłam na kolacyi u barona; on mi mówił o balu Gardes du Corps, gdzie jedna kobieta, ktorą brał za mnie, bardzo go zajęła. Powiedział mi, że ona dużo do Ciebie mówiła. Na Twoje imię zmięszałam się tak dziwnie, że baron spostrzegł to i sądził, że mnie odgadł, przypisując moje zakłopotanie niezadowoleniu, że mnie poznano. Powróciłam jeszcze na bal. Gdy wchodziłam, szukały Cię moje oczy. Nie miałam żadnego zamiaru, nie wiedziałam dlaczego chciałam Ciebie widzieć, ale szukałam Cię tak długo, że w końcu Cię znalazłam. Chciałabym była mówić do Ciebie, ale nie wiedziałam, co Ci powiedzieć... i w końcu zapytałam Cię, gdzie baron de Staël. Ty byłeś z maskami, które Cię zabawiały i przyjąłeś mię bardzo źle. Uczułam się tem dość dotkniętą, aby Cię więcej nie szukać; ale mówiłam o Tobie, wychwalano mi Ciebie. Nie straciłam dotąd ani jednego słowa i w ciągu roku, który spędziłam, nie widząc Ciebie, moja pamięć przypominała

Vous. Enfin au premier bal de cette année, où je vous aperçus, la palpitation de mon coeur fut si violente que de peur de me trouver mal, je fus obligée de m'appuyer près d'une loge, ne trouvant pas sur quoi m'asseoir. Vous repassates souvent près de moi et j'appercevais ma situation indéfinissable. Vingt fois je fus prête à vous parler, sans pouvoir en trouver le courage. Je risquai pourtant quelques mots, aux quels Vous repondites à peine. Je fus découragée: je jurai de ne plus y revenir et si j'avais quitté le bal dans ce moment, j'etais sauvée. A quoi tient notre destinée? — Tout le monde était parti. M-de de Gou... et de Mon... avec lesquelles j'etais, s'amusaient de ma conversation. — Avec le C-te de ... cependant nous partions. Vous passez. Je ne puis resister au plaisir de prononcer Votre nom... de fixer une minute votre attention. Vous vous arrêtés: Vous m'écoutés pour la première fois. Animée par le plaisir de Vous voir, de vous entendre, je retrouve enfin le pouvoir de Vous parler. Mais je tremblais de rester seule avec Vous. Quand ces dames me quittèrent, pour chercher les autres, je le craignais. je le désirais à la fois. Vous partites le premier et je devins si maussade. que

---

mi często to, co dobrego mówili mi o Tobie. W końcu na pierwszym balu tegorocznym, gdzie Cię spostrzegłam, bicie mego serca było tak gwałtowne, że z obawy, aby nie zemdleć, nie mając na czem usiąść, zmuszoną byłam oprzeć się o loże. Ty przechodziłeś często koło mnie i spostrzegałam, że moje położenie było niewyraźne. Dwadzieścia razy byłam zdecydowaną mówić do Ciebie, nie znajdując do tego odwagi. Zagadałam jednak kilka słów, na które Ty zaledwie odpowiedziałeś. Byłam zniechęconą: przysięgałam nie powracać więcej do tego i gdybym była opuściła bal w tej chwili, byłabym wyratowaną. Od czego jednak zależy nasze przeznaczenie? Wszyscy odjechali. M-de de Gou... i de Mon... z któremi byłam, bawili się rozmową ze mną... Odjeżdżałam jednak z hr. de ... Ty przechodziłeś. Nie mogłam odmówić sobie przyjemności, aby nie wymówić Twego imienia — nie zatrzymać na chwilę Twojej uwagi. Zatrzymałeś się: słuchałeś mię po raz pierwszy. Ożywiona przyjemnością widzenia Ciebie, słyszenia Ciebie, odzyskuję wreszcie moc mówienia z Tobą. Ale drżałam z chęci zostania z Tobą sama. Gdy te panie mię opuściły, by szukać inne, pragnęłam tego, ale i obawiałam się zostać z Tobą sam na sam. Ty odjechałeś pierwszy, a ja stałam się tak

le C-te Louis me laissa bientôt en liberté. J'emportai delors votre image et je commençai à redouter ma sensibilité. Je me promis de ne plus Vous parler — et par ma presomption trop mal fondée, je m'exposai au danger d'en être tentée et je succombai. Ce ne fut pourtant pas sans combats: il me conduisirent même très-avant dans la nuit. Je voulus passer pour l'amie du masque, qui Vous avait parté. Vous ne me reconnutes pas, ou Vous le feignites; vous sçutes me dire les choses les plus flatteuses de ce masque et vous ne disiez pas un mot, qui ne trouva la place dans mon coeur. Je me rapelle encore le moment, où pour fair asseoir Mr. du Plessis... troublée, ne sachant ce que je faisais, je le plaçai entre Vous et moi. Le mouvement, que vous fites pour vous en aller, me pénétra et quand vous revintes près de moi, peu s'en fallut que je ne pressai votre main sur mon coeur, pour vous remercier. Ce même jour, je ne sais comment nous parlâmes du Vicomte. Le jugement que Vous en portâtes — le peu de raport qui paraissait entre votre façon de penser et la sienne, tout preparait mon ame à une confidance excessive. Insensée que j'étais. Ne m'avait-t-on pas dit, que les hommes ex-

---

nadąsaną, że hrabia Ludwik zostawił mię wkrótce swobodną. Odtąd uniosłam Twój obraz i zaczęłam się obawiać mojej czułości. Obiecałam sobie nie mówić więcej z Tobą i przez moją źle uzasadnioną zarozumiałość wystawiałam siebie na niebezpieczeństwo pokusy i ulegałam jej. Nie było to jednak bez walki: one mię zaprowadziły nawet bardzo późno w nocy. Chciałam uchodzić za przyjaciółkę maski, która z Tobą mówiła. Ty mię nie poznałeś, czy też udawałeś: umiałeś jednak mówić mi rzeczy o tej masce najpochlebniejsze i nie powiedziałeś ani jednego słowa, któreby nie znalazło miejsca w moim sercu. Przypominam sobie jeszcze chwilę, w której, aby usadowić pana du Plessis... zmieszana, nie wiedząc co robię, umieściłem go między sobą a Tobą. Ruch, który zrobiłeś, aby odejść, dotknął mnie i gdy powróciłeś do mnie, nie wiele brakowało, abym nie przycisnęła Twojej ręki do mego serca, aby Ci podziękować. Tego samego dnia, nie wiem w jaki sposób, mówiliśmy o wicehrabi. Sąd, który o nim wydałeś — mała zgodność, jaka wydawała się istnieć między Twoim sposobem myślenia i jego, wszystko przygotowało moją duszę do nadzwyczajnego zwierzenia się. Byłam szaloną. Czyż mi nie mówiono, że mężczyźni wyrażają doskonale to, czego nie czują; a ja

priment parfaitement ce, qu'ils ne sentent pas; et je vous croyais! Lorsque Vous me demandâtes de Vous donner un moyen de me voir, il me vint dans la pensée de Vous indiquer le Colisée — sans concevoir encore les moyens de m'y trouver. J'y revai toute la nuit. Tantôt je me disais que vous n'y viendriez pas; l'instant après j'espérai Vous y voir. Je ne pus pas dormir...

Ci wierzyłam! Gdy mię prosiłeś, abym Ci podała sposób widzedzenia siebie, przyszło mi na myśl wskazać Ci Colizeum — nie wyobrażając jeszcze sobie sposobu odnalezienia się tam. Śniłam o tem cała noc. Raz sobie mówiłam, że Ty tam nie przyjdziesz: to znowu miałam nadzieję, że Cię tam ujrzę. Nie mogłam wcale spać.... !

(Ciąg dalszy nastąpi).

Włodzimierz Antonowicz.

Nad Dnieprem, w prastarym Kijowie zapadło wieko trumny nad zwłokami człowieka, który całą umiejętność, wiedzę naukową i talent wysilał na to, by zaprzeczyć ideałom, którym hołdował w młodości szumnej a górnej,

Dziwna była to postać, dziwna ewolucya przekonań, poczynając od lat uniwersyteckich, kiedy Antonowicz odgrywał wśród młodzieży tyle wybitną rolę, a kończąc na obwieszonym rossyjskimi orderami, osypanym tytułami profesorze kijowskiego Uniwersytetu.

Jaką będzie pamięć jego naukowej działalności, dzisiaj już dwóch zdań nie ma: sąd musi wypaść zgodny i bardzo ostry, jeśli bezstronność zdoła usunąć na bok tendencye i względy polityczne. Sylwetkę jednak tego interesującego bądź co bądź człowieka poznać warto, a posługujemy się w danym wypadku słowami rozgłośnego w swoim czasie poety i najbliższego towarzysza Antonowicza, Leonarda Sowińskiego, który 13. maja 1867 roku pisał z miejsca swego wygnania w Szczygrach, (gdzie pokutował za redakcyę adresu szlachty podolskiej do cara), do kolegi uniwersyteckiego, dziejopisa Podola, Dra Antoniego J. (Rollego):

„Ciekawy to i poniekąd historyczny człowiek. Poznałem go w B..., gdzie bywał u matki, bawiącej nieraz u brata swojego, byłego adwokata G. Była to rozumna i oczytana kobieta, lecz z namiętnem prawie przywiązaniem do syna łączyła straszny macierzyński despotyzm. Miałem szczęście, sam jeszcze będąc czter-

nastoletnim chłopcem, zjednać sobie łaskawe względy pani Antonowiczowej. Nieraz popisując się przedemną rozległemi wiadomościami swojemi (zaczerpniętemi po większej części z francuskich książek) i dowcipem rzeczywiście niepospolitym, opowiadała mi ona dziwy o swoim jedynaku, którego za kilka lat zaledwie spodziewała się widzieć, gdyż był natenczas w jakimś francuskim pensyonie w Odessie. Nareszcie zapowiedziany czas nadszedł i poznałem ów cud chodzący.

Był to mały, z posępną, lecz myślącą twarzą człowieczek, niezgrabiasz i mruczek nielada, od którego tylko przemocą kilka słów wymódz się udawało. Na pierwszym wstępie, w obecności syna matka mnie uprzedziła, że nie jest on tak głupim, jak się wydaje. Rzeczywiście, gdy rozmiłowana w nim staruszka natarczywemi pytaniami zmuszała go do popisu, odpowiadał logicznie i zwięźle, lecz z widoczną niechęcią. Zdaje się, że główną przyczyną takiego zamknięcia się w sobie ze strony młodego milczka, było usposobienie umysłu wbrew przeciwne wszystkim widokom matki. Tej ideałem był towarzyski polor i encyklopedyczna rozmaitość wiedzy; tamtego pociągały więcej gminne podania, analiza krytyczna, statystyka i dzieje. Towarzyskiego życia, w pospolitem znaczeniu tego wyrazu, nie lubił i zdolnym się doń nie czuł. Widoczne to było i w zaniedbaniu powierzchowności, odstręczającem prawie. Słusznie go nazywano odludkiem i abnegatem.

Będąc jeszcze szesnastoletnim chłopcem, najchętniej szukał towarzystwa włościan i dzieci, i dość łatwo zjednywał sobie ich życzliwość. Matka, nie radząc się upodobań syna, a może i wbrew swym własnym, poświęciła na ten raz marzenia spodziewanym korzyściom materyalnym i nakazała synowi wstąpić na medycynę. Usłuchał jej bez wszelkiego oporu i jedynie po pięciu latach śmierć matki pozwoliła mu rzucić niemiły zawód i oddać się całkowicie naukom społecznym.

Jako starszy o parę lat w uniwersyteckim zawodzie, zaproponowałem Antonowiczowi wprowadzenie go do kółka najbliższych mi, a odznaczających się charakterem i prawością kolegów. Nie wiem dlaczego nie przyjął mojej ofiary, a otoczył się maleńką koteryą, która natenczas (1851—1854) upodobała sobie nazwę l i t e w s k i e j, chociaż niesłusznie, bo zaledwie czterech czy pięciu Litwinów liczyła.

Na kilka lat straciłem z oczu Antonowicza. Sądziłem, że oddany jest całkowicie pracy fachowej. Nareszcie w jesieni 1854 roku zetknąłem się niespodzianie z całą pomienioną koteryą. Ba-

wiła się czytaniem najzajadlejszych pamfletów i paszkwilów demagogicznych.

Bardem jej był niejaki Tadeusz K..., który dziwnie jednoczył w sobie niepospolite poetyczne zdolności ze straszliwą zgnilizną ducha. W ośmnastym roku życia był już nałogowym pijakiem, oszustem i podchlebcą. Za szklankę wódki, za szczyptę kadzidła dla szalonej niemal swojej ambicyi, za jakiś dar upokarzający, pisał udatnym (choć zawsze niesamoistnym) wierszem poematy, dytyramby, paszkwile i t. p.; najczęściej w duchu Maratowskim, acz nieraz, według potrzeby, w Polowską rycerskość i w ewanieliczność Krasińskiego (n. p. w poemacie: „Wczora i dzisiaj“) się wdawał.

Potęgę krytyko-filozoficzną koteryi owej przedstawiał sam Antonowicz. Zauważyłem tam jeszcze braci G... i braci O... Ci już nie wiem co reprezentowali. Zdaje się, jeden — dowcip, drugi — bezinteresowną zamożność, a reszta — prawość nieposzlakowaną.

Może w obozie tym i było co dobrego: marzenie o podniesieniu ludu prawdopodobnie, lecz przedewszystkiem uderzał tam cynizm i nienawiść ku wszelkiej wyższości. Był to zarodek rozkwitłej w sześć lat potem chłopomanii. Jedne już wakacye letnie poświęcone zostały pieszym wędrówkom po Polesiu wołyńskiem, lecz podobno apostołowie, potężnie jeszcze niedowarzeni, ograniczali się na pijatyce z włościanami i szlachtą czynszową i nieśmiało tylko przebąkiwali o prawach poniżonego gminu.

Latem 1855 roku zrobił mi Antonowicz propozycyę w duchu kozacko-szlacheckim, której nie przyjąłem. W tymże roku śmierć matki rozwiązała mu ręce, jednakże skończył medycynę ze stopniem lekarza i następnie przeniósł się na wydział literacki.

W roku 1856 obudził się ruch w Uniwersytecie, lecz wcale inni ludzie stanęli na jego czele. Wkrótce jednak powołano i Antonowicza do robót konspiracyjnych, bo rzeczywiście pomiędzy akademicką młodzieżą stanowił on potęgę nielada. Pozornie poszedł on zgodnie z innymi, a nawet na polu tem zrobił niemało, lecz cichaczem formował koteryę własną, której nakazywał trzymać z ogółem pozornie tylko. W przeciągu kilku lat był on nauczycielem zdolnego i bogatego T. R., lecz haniebnie zdradzał zaufanie rodziców, bo rozwijając chłopca pod względem naukowym, podkopywał w nim wszystkie tradycyjne zasady: narodowe, rodzinne i religijne, a przytem natchnął go nieszczerością własną tak, że rodzice w przeciągu kilku lat ani domyślali się prawdy.

Od 1859 roku mieszkałem najczęściej w Kijowie i tam zbliżyliśmy się z Antonowiczem na dobre. W tym też czasie zaczęła bruździć chłopomania. Antonowicz wypierał się wszelkiej solidarności z chłopomanami, a utrzymywanie stosunków z nimi tłumaczył widokami wyższymi. Ogół długo mu wierzył — i to właśnie powodowało częste nieporozumienia pomiędzy młodzieżą i obywatelstwem. Jednakże coraz widoczniejszą stawała się nieszczerość Antonowicza, którego celem było wyzyskiwanie sił szlachetniejszych dla widoków swojego stronnictwa. Dla rozpoznania prawdy, zbliżyłem się ściślej z koteryą chłopomańską i udało mi się dotrzeć do najrdzenniejszych jej zasad. Podejrzenia ogółu okazały się aż nadto słuszne. Wywołało to zerwanie moje z Antonowiczem, zerwanie zapieczętowane znanymi ogólnie listami; z jego zaś strony spowodowało otwartsze postawienie *credo* swojego, które go przerzuciło do innego obozu.

Jeszcze w 1861 roku porozumiał się on osobiście z Kuliszem i Biełozierskim; następnie podał księciu Wasylczykowowi poufny memoryał o Ukrainie: potem zbliżył się do Iwaniszewa i Józefowicza i został członkiem Komisyi archeograficznej kijowskiej. W 1862 roku ożenił się z córką księdza ruskiego, a w następnym wydał dziełko, w którem dowodzi, że włościanie ukraińscy pochodzą w prostej linii od bojarów, ledwie że nie od książąt ruskich...“

Tyle Leonard Sowiński.

. . . .

Ciekawe szczegóły podaje w *Kraju* petersburskim (Nr. 61) pan W. C. „Mniej więcej w 1863 r. — pisze on — przyjął Antonowicz prawosławie, został urzędnikiem kancelaryi generał-gubernatora, ściślej Komisyi archeograficznej, której prezesami są z urzędu generał-gubernatorowie kijowscy.

Komisya ta, zwana urzędownie „Komisyą tymczasową do uporządkowania akt dawnych“, jest to instytucya, istniejąca od 70 lat blisko i mająca na celu dostarczanie kancelaryi generał-gubernatora materyałów na udowodnienie jakiejś tezy prawno-państwowej. Trzeba dowieść, że szlachta ukraińska to Rossyanie czystej wody, że trzeba ją odpolszczyć i wrócić na łono Cerkwi prawosławnej — komisya wydaje odpowiednie studyum; trzeba udowodnić, że ucisk katolików, to tylko odwet za ucisk niesłychany, jaki znosili prawosławni na Rusi, więc pisze się drugie studyum: trzeba wydać ustawy, wymierzone przeciw Żydom, więc

się zbiera „dokumenty“, udowadniające wszelkie bezeceństwa tego plemienia i t. d. W pracy tej uczestniczył w charakterze urzędnika. Wł. Antonowicz, najpierw jako zwykły referent, później jako redaktor naczelny. W wolnych chwilach uzyskał stopień magistra za rozprawę: „Ostatnie chwile Kozaczyzny na prawym brzegu Dniepru“, oraz doktora za rozprawę: „Rys historyi W. Księstwa Litewskiego“. Od r. 1870 był docentem, od r. zaś 1878 profesorem historyi na Uniwersytecie kijowskim, nie porzucając zajęć w Komisyi.

W chwili, gdy prof. Antonowicz zaczynał karyerę, publicysta polski na kresach, Padalica (Zenon Fisz) ogłosił zagranicą list otwarty, w którym, wyrażając się niezbyt pochlebnie o swym koledze uniwersyteckim i niegdyś przyjacielu, nazwał prof. Antonowicza „perewertniem“ (renegatem). Profesor podniósł rzuconą mu rękawicę i odpowiedział Fiszowi w *Osnowie* (1862 r. Nr. 1) w ten sposób mniej więcej:

„Tak, panie Padalica, masz pan słuszność! Jestem „perewertniem“, ale nie zwróciłeś pan uwagi, że wyraz odstępca sam przez się nie ma żadnego znaczenia, że trzeba zapytać przedewszystkiem, od czego się jest odstępcą, inaczej miano to nie daje pojęcia o człowieku... Z woli losu urodziłem się na Ukrainie i jestem szlachcicem. W dzieciństwie miałem wszystkie przyzwyczajenia paniczów; gdy dojrzałem, zrozumiałem swe położenie w kraju... Polacy, mieszkający w poł.-ruskim kraju, powinni: albo pokochać lud, wśród którego żyją, przejąć się jego interesami, wrócić do ludu, niegdyś opuszczonego przez ich przodków i starać się pracą i miłością wynagrodzić wszystkie krzywdy, jakie mu wyrządzili wielmożni koloniści, albo przenieść się do Polski... Wybrałem pierwsze, bo, chociaż byłem popsuty przez wychowanie szlacheckie, tradycye, marzenia, wolałem się rozstać z niemi, niż z ludem, wśród którego wyrosłem, i mam nadzieję, że Ukraińcy uznają mnie kiedyś za syna swego narodu, gdyż wszystko gotowem podzielić z nimi... Tak, panie Padalica, jam „perewerteń“ i jestem z tego dumny, jakbym był dumny, gdybym się urodził w Ameryce i stał się abolicyonistą z plantatora, lub we Włoszech z papisty uczciwym i pracowitym sługą sprawy narodowej“.

W rzeczywistości prof. Antonowicz — robi słuszną uwagę informator *Kraju* — nie wrócił bynajmniej do ludu, jako to obiecywał p. Padalicy, lecz zaliczył się do kolonii prawdziwie rossyjskiej, jaką stanowią od 70 lat urzędnicy rossyjscy w Kijowie i profesorowie Uniwersytetu św. Włodzimierza, pp.: Pichno, Bo-

gdanow, Rein, Rachmaninow, Renenkampf, Szulgin i t. d., protoplaści szeregu rodzin „plantatorskich“ nowej formacyi, którzy umieli zdobyć majątki ziemskie, odebrane w ten czy ów sposób Polakom. Wśród nich żył, wykładał historyę w języku rossyjskim, pisał przez całe życie po rossyjsku, pisał przeważnie na obstalunek kancelaryi gen.-gubernatora.“

Równie ostro scharakteryzował naukową działalność profesora Antonowicza Franciszek Rawita-Gawroński w pracy swojej o Bohdanie Chmielnickim. Pisząc o historykach, którzy „majaczenia rozpijaczonej Kozaczyzny i jej niepiśmiennych przywódców identyfikowali z pragnieniem i dążeniem ludu, nigdy nie wypowiadanem“, mówi dalej z wrodzoną sobie szczerością i otwartością: „Hasło takiej swawoli historycznej rzucił znany odstępca od wiary i narodowości polskiej, który tylko za te odstępstwa kupił sobie profesurę w Kijowie — Włodzimierz, syn Bonifacego, Antonowicz. Człowiek o skrzywionej etyce, o skrzywionym kącie patrzenia na dzieje, o chorobliwej, cichej ambicyi, nie posiadał najmniejszej zdolności do słusznego oceniania faktów, upatrujący w każdej bójce — bohaterów, w każdym rabunku, który się powiódł — zdolności, nadawał się najlepiej na obrońcę wszelkich krwiożerczych instynktów, ale tylko własnego (od niedawna) narodu“. Ciekawi znajdą ponadto sporo materyału do sylwetki społecznej i politycznej Antonowicza w innej pracy tegoż samego autora p. t. „Rok 1863 na Rusi. Ukraina, Podole, Wołyń“.

. . . .

„Zaniedbanej powierzchowności, odstręczającej prawie“ był Antonowicz i w latach późniejszych, kiedy już imię jego rozbrzmiewało donośnie we wszystkich krańcach Rossyi, jako profesora, męża nauki i wydawcy materyałów. Zwłaszcza latem, w bardzo podejrzanej czystości stroju, w wyszywanej koszuli, związanej pod szyją czerwoną tasiemką, w kapeluszu słomkowym z nadszarpaną kresą, wyglądał na wszystko, tylko nie na uniwersyteckiego dygnitarza. Dawało to częstokroć powód do humorystycznych nieporozumień.

Zetknąłem się z nim po raz pierwszy w Kamieńcu Podolskim w roku 1885 czy 86, kiedy Antonowicz wraz z pną Mielnik — jeśli dobrze pamiętam nazwisko — wysłany został przez rząd do badania przedhistorycznych pieczar nad Dniestrem i Smotryczem. Spotkanie z kolegą uniwersyteckim drem Antonim J. —

po wielu latach rozłąki, w ciągu których zapatrywania i ideały obu historyków tak krańcowo się rozbiegły — było wielce charakterystyczne.

— Jakże porozumiewać się będziemy? — zagadnął gospodarz gościa kijowskiego, który z nim w sprawach naukowych w rossyjskim korespondował języku.

— Z tobą mówić będę jeszcze po polsku — odparł Antonowicz.

W lat sześć czy siedm później zjawił się uczony kijowski znowu w Kamieńcu. Było to już po jego pobycie w Galicyi i po pertraktacyach w sprawie katedry uniwersyteckiej we Lwowie. Antonowicz tym razem odmiennej trzymał się taktyki: mówił przepięknym językiem polskim, w zapatrywaniach swoich na Rossyę i polsko-rossyjskie stosunki zdaje się nową przebywał ewolucyę.

Z temi drugiemi jego odwiedzinami kresowej placówki związany też jest zabawny szczegół: służący hotelowy, „myszures“ dał wprawdzie Antonowiczowi na jego stanowczy rozkaz najwspanialszy nie tyle, ile najdroższy nr. 1., sądząc jednak z ubrania turysty i związanego sznurkiem nędznego kuferka, przypuszczał, iż raczej ma tutaj do czynienia z jakimś oszustem lub wydrwigroszem, niż z uczonym kijowskim. Przybiegł więc do dra Antoniego J., by poufnie poinformować się o finansowej wartości podejrzanego gościa.

Wrócił do hotelu na pozór przynajmniej zupełnie uspokojony, a Antonowicz, dowiedziawszy się o całej historyi, opowiedział następującą charakterystyczną przygodę:

W Kijowie posiadam obok mego domu duży sad, otoczony zwyczajnym częstokołem. Jestem zapalonym ogrodnikiem, z wczesną wiosną więc ubrałem się w krótki kożuszek, wziąłem łopatę do ręki i udałem się do sadu.

Na ulicy dwóch pijaków wszczęło awanturę; nadbiegł rewirowy i rozpoczęło się śledztwo. Wsparty na łopacie, obserwowałem zdaleka przebieg zajścia. W tem dygnitarz policyjny, spisawszy coś w notatniku, począł rozglądać się dokoła, a zoczywszy mnie za częstokołem, zawołał rozkazującym, nie znoszącym oporu, prawdziwie „policejskim“ głosem:

— Ty! chodź tutaj, będziesz świadczył!

Zrozumiałem odrazu całą humorystyczną stronę sytuacyi i z łopatą w ręku stawiłem się z dostatecznie pokorną miną przed obliczem reprezentanta władzy.

— Będziesz świadczył! — powtórzył dygnitarz cyrkułowy krótko i dobitnie.

Milczałem...

— Umiesz pisać? — zapytał rewirowy, wygotowawszy protokół zajścia.

— Ta podpisać się jeszcze potrafię...

— To pisz!

Wpakował mi papier pod nos. Oparłem łopatę o parkan i po raz pierwszy w życiu postanowiłem podpisać się w roli świadka ze wszystkimi tytułami, godnościami i orderami.

Policyantowi wydała się ta cała manipulacya zbyt powolną, rzucił więc przez moje ramię badawczym wzrokiem na papier, z kolei obejrzał niepozorną figurę świadka od stóp do głowy. zlustrował pilnie mój strój niewykwintny, łopatę i zawołał ostro:

— Ty żartujesz!

— Nie, panie rewirowy, nie żartuję. a jeśli przekonać się pragniesz o prawdzie słów moich, jedźmy do rektora Uniwersytetu...

— *Izwienitie, wasze prewoschoditielstwo* — mruknął tak pewny siebie jeszcze przed chwilą dygnitarz, wyciągając się jak struna. podarł papier i czem prędzej umknął z moich oczu.

. . . .

Nad Dnieprem zapadło wieko trumny nad uczonym, co pióro swoje maczał w żółci i nienawiści do społeczeństwa, z którego wyszedł. Pamięci jego nie otoczy ani miłość, ani szacunek...

Michał Rolle.

Wycieczka do Parany

(stanu rzeczypospolitej Brazylii).

Dziennik podróży.

(Ciąg dalszy).

26. września do 2. października. — Rio de Janeiro. Sprawy handlowe. Polacy. Towarzystwa polskie.

Ostatnie dni pobytu w Rio de Janeiro zeszły mi na badaniu stosunków handlowych. Próbki swych wyrobów na przepadłe ofiarowali mi w kraju: Rektyfikacya warszawska, warszawski zakład szewski w Warszawie p. Talikowskiego, zakład rękawiczniczy tamże p. Jeziorowskiego, zakład ozdób kościelnych i książek do nabożeństwa p. Kuczabińskiego we Lwowie. Sam też zakupiłem niektóre rzeczy na własne ryzyko.

O ich stronie handlowej teraz mogę tylko to zaznaczyć, że mimo ceł, miałyby zbyt w Brazylii: najwyższe gatunki likierów, niektóre wódki gorżkie. Wbrew upodobaniu brazylijskiemu do wszystkiego co francuskie, a szczególnie paryskie, mogą one mieć powodzenie, byle przynajmniej napisy na flaszkach były francuskie a nie jedynie rosyjskie i polskie.

Również buty szyte, (nie na kołkach!) najlepsze i najwięcej eleganckie, z porządnemi kolorowemi uszkami i ponętnem białem, różowem albo niebieskiem wnętrzem.

Rękawiczki w gorącym klimacie riożaneirowskim mniej są używane, niż w kraju „białych niedźwiedzi", jakim jest nasz pod względem temperatury w porównaniu z brazylijskim. Jednakże, choć cokolwiek mniej, noszą je powszechnie w większych miastach, zupełnie tak, jak w gorętszych krajach europejskich. Lecz trudne byłoby nasze współzawodnictwo z prawdziwie znakomitemi wyrobami paryskiemi i z uprzedzeniem, jakie ma cała południowa Ameryka do wszystkiego, co pod tym względem nie jest paryskie. Przytem rękawicznicy w Rio de Janeiro zarabiają ogromnie na cle. Sympatyzują z wysokiem cłem brazylijskiem na rękawiczki, jak z kochanką. W zniechęcaniu mnie do dowozu ich z Warszawy ze strony kilku polskich rękawiczników w Rio widziałem pobudki osobistego i cechowego interesu. Bawił mnie ich upór w przekonywaniu, że to się na nic nie zda, że to nie jest żaden interes i t. p. Wszelako z wielkiem uznaniem wyrażano się o samym wyrobie warszawskim. Dwa najpoważniejsze sklepy rękawicznicze zapewniały mnie też, że jeden gatunek ich grubszy i mocniejszy koloru ciemno ceglastego byłby niezrównany dla stangretów i do konnej jazdy i że, mimo wysokiego cła, sprowadzanie jego opłaciłoby się. Sklepy te nawet oświadczyły mi, że skoro im zabraknie rękawiczek, udadzą się do Warszawy. Musiałem podać im adresa rękawiczników warszawskich i podpisać skrypty, że to ja ich polecam.

Zbyt powyższych wyrobów z Polski byłby jaknajzupełniej możliwy, gdyby urządzić odpowiednio bez zwłoki stosunki płatnicze i kredytowe. W tem tkwi największa trudność. Europejski czy połnocno amerykański exporter udziela kredytu 4 do 8 miesięcznego i na kredyt przesyła mnóstwo towarów, a przez agentów i konsulów swego kraju wie doskonale komu je zawierzać. Przy tem banki zachodnio europejskie operują z łatwością bezpośrednio i upraszczają wypłaty i zamiany wszelkie. Nam Polakom, w głębi Europy osiadłym, wypadłoby używać pośrednictwa tych obcych kanków, nim stanęłyby za morzem nasze własne.

Na wieczornych zebraniach „Zgody" tropikalny klimat nie przeszkadzał powodzeniu ojczystych wódek. Niemniej w „high life" riożaneirowskim, do którego należą państwo Poznańscy, niektóre gatunki wykwintnych likierów, zwłaszcza jakiś zielony, bodaj miętowy, zrobiły „furorę". Gdyby nie trudności płatnicze i kredy-

towe, ceny warszawskie, nawet podwyższone kosztem więcej oddalonego transportu. nie odstręczyłyby nikogo.

Nie zważają bowiem w południowej Ameryce tyle na cenę, ile na jakość towaru. W Brazylii zdarzyło mi się widzieć sklepy sąsiadujące ze sobą. Identycznie ten sam towar sprzedawały jeden tanio, drugi po cenie w czwórnasób wyższej, Oba wciąż przez całe lata tak rożnej sprzedaży miały bez przerwy równe powodzenie. Niewiadomo istotnie czyja spekulaaya była lepsza: czy oparta na taniości czy na modzie i jakości. Dzieje się to samo w Europie z artykułami mody, tylko na daleko mniejszą skalę niż w Brazylii, gdzie ludziom więcej się pieniędzy przelewa w kieszeni.

Załatwiłem swoim wychodźcom i towarzyszom podróży na ich prośby różne drobne sprawunki; lecz bardzo często nie mogłem domyśleć się, o co im idzie. Jeden z nich np. modlił się do mnie, abym mu kupił lekarstwo na boleści reumatyczne i przywiózł je do przyszłej jego osady w Paranie. Określił je nazwą „szpiliar“. Słowo to wymówił kilkakrotnie wyraźnie. Kazałem mu je powtórzyć jeszcze z kilka razy dla wszelkiej pewności. Gdy wyraziłem mu powątpiewanie o istnieniu takiego specyfiku, zapewniał mnie, że go można dostać w każdem miasteczku w Galicyi, jako lekarstwo amerykańskie, dodając: „A cóż dopiero nie mógł by Pan mi go wyszukać w Rio“? Zakupiłem mu więc jakichś maści z nazwy najwięcej zbliżonych do tego brzmienia. Wykształcenie moje uniwersyteckie i najlepsza wola nie zdały się na nic. Memu przyjacielowi chodziło o palącą wódkę do nacierania skóry zwaną „pain expeller“.

Z Polaków osiadłych w stolicy Brazylii, najwybitniejszą osobistością jest pan Franciszek Krauze, fabrykant powozów z Łodzi. Człowiek to młody, inteligentny, znający się na swym fachu i handlu; przymioty te dają mu stanowisko zamożnego przemysłowca. Pomimo to, że ma nazwisko niemieckie i jest ożeniony z Niemką, nie jest on bynajmniej dwuznaczny po względem narodowościowym. Jest duszą stowarzyszenia „Zgoda“, które bez jego osobistego i pieniężnego udziału bodaj czyby istniało. Każdy czy to szukający zarobku czy przejeżdżający, czy też chcący zasięgnąć wiadomości o stosunkach polskich, zawadza o niego. Zawsze chętny do udzielania wiadomości, rad i usług, nie ostyga w tej obywatelskiej działalności.

Z uznaniem wypada mi wspomnieć o p. Józefie Poznańskim z Częstochowy. Jest on współwłaścicielem znanej firmy jubilerskiej „Mühlrad, Poznański i Spółka“, mającej swe filie w Paryżu,

S. Paulo i Buenos Ayres. Żywe poczucie polskie i zamożność stawiają go na czoło kolonii polskiej w Rio. Jest to człowiek w starszym wieku, żonaty z Brazylianką, żyje przeto więcej w towarzystwie brazylijskiem, niż w polskiem, składającem się zresztą jedynie z klasy rzemieślniczej i robotniczej. Niemniej jest wciąż czynnym członkiem towarzyszwa „Zgoda“, jako skarbnik.

Od Polaków w Rio de Janeiro doznałem wogóle jak najserdeczniejszej gościnności i pomocy, oraz wiele wszechstronnych objaśnień. Ludzie to pracy, prawie wyłącznie z Królestwa Polskiego.

Towarzystw polskich było w Rio de Janeiro dwa: „Zgoda“ i „Jedność“, choć wystarczyłoby właściwie jedno a kwitnące. Zamożniejsze i liczniejsze jest pierwsze.

Rzemieślnicy i robotnicy mają ogromne zarobki w stolicy „Rzecznej“. Dobry byt i ponęta wielkiego miasta ściągają ich tam, mimo niebezpieczeństwa żółtej febry i innych chorób. Zarabiają najmniej dziennie 5 milrejsów (franków), a często kilkanaście i kilkadziesiąt; nie są rzadkością dochody dzienne fachowego rzemieślnika i rękodzielnika, dochodzące do 30 i nawet 50 milrejsów. W czasie mego pobytu szczególnie popłacał fach rękawiczniczy z powodu nałożenia wysokich ceł na dowożone z Europy wyroby skórzane i gotowe rękawiczki. Podobno większość naszych rodaków i rodaczek łatwo poddaje się rozluźnieniu obyczajów pod wpływem dobrobytu, gorąca i pokus wielkomiejskich. Tej strony życia nie badałem.

ROZDZIAŁ III.

Z Rio de Janeiro do Parany.

2. października. — Wyjazd morzem z Rio de Janeiro.

Nadszedł wreszcie dzień mego wyjazdu. Statek parowy towarzystwa Lloyd Brasileiro „Planeta“ 2-go października o 1-ej w południe wypłynął z Rio de Janeiro, unosząc mnie i setkę wychodźców, niedawnych towarzyszy podróży transatlantyckiej. Przepiękna pogoda rozjaśniała nam i odsłaniała cudne widoki zatoki riożaneirowskiej, zdolne natchnąć miernego artystę do genialnego tworzenia.

Mijamy wyspy „Villegaignon“, „św. Jana“, „św. Sebastyana“ i inne: były one, jak niemal cała zatoka, widownią rewolucyi 1893 r. Z wielkiam ożywieniem opowiadają sobie Brazylianie na statku szczegóły strategiczne walki. Nieznajomi jacyś zwracają się do mnie i objaśniają mnie o wszystkiem szczegółowo. — Jakkolwiek w opowiadaniu używano języka portugalskiego, którym jeszcze bardzo słabo wówczas władałem, zrozumiałem jednakże tyle, że był to rokosz floty przeciw władzy wice-prezydenta, Floriano Peixoto (wym. Peiszoto). Podniósł go admirał Custodio de Mello.

Rokoszanie byli panami zatoki riożaneirowskiej; ale samo miasto Rio de Janeiro i fortece przy wejściu do niej od morza były w ręku rządu „legalnego“. Wyspy posiadali przeważnie rokoszanie, którzy nie mogli czy nie chcieli wydostać się z zatoki i gwałtownie dobywali stolicy, sympatyzującej z nimi. Gdy owładnięcie miastem stawało się coraz trudniejsze a rządowcy zdobywali wyspy jedną po drugiej, okazało się, że pierścień rządowych sił nie zupełnie szczelnie otaczał rokoszan. Udało się im bowiem, wielkiemu okrętowi „Aquidaban“, unoszącemu admirała Custodio i sztab rokoszan przemknąć przez wrota zatoki na pełne morze.

Przejeżdżaliśmy między „Głową Cukru“ a warownią Santa Cruz, opuszczając ostatnie wybrzeża zatoki riożaneirowskiej, przed wydostaniem się na pełny ocean. W tem miejscu właśnie najgorecej się sprzeczano o to, czy przepuszczenie rokoszan dowodzi niedbalstwa, wspaniałomyślności, zdradzieckiego sprzyjania powstańcom, czy też pewnego wyrachowania strategicznego lub wreszcie chęci ulżenia stolicy.

Minąwszy wrota zatoki, „Planeta“ zaczęła witać morze coraz większem kołysaniem się, które łagodziło i przerywało sprzeczkę. Nachylając i podrzucając w różne strony przeciwników politycznych, stojących na pokładzie i wymachujących rękami, panujący od chwili żywioł morski rwał wątek myśli wybuchowych i zmuszał najzacieklejszych do zwracania większej uwagi na wspaniałą przyrodę niż na walki ludzkie, lilipucie wobec jej majestatu.

Opłynęliśmy kilka samotnie w wodzie sterczących skał i większych wysp, aż wreszcie po lewej stronie biegu statku widny był jedynie bezmiar toni, a po prawej nie kończący się kalejdoskop gór prostopadle i wyniośle, jak Alpy, nad morzem sterczących. Stożkowate ich kształty nadawały zębaty kształt temu pasmu. Lecz najpiękniejsza jednostajność, gdy trwa za długo, jest nurzącą. Po paru godzinach już mi się nie chciało patrzeć na te cuda.

Na statku zapoznałem się z wielu Brazylianami: zbliżyłem się szczególnie do doktora. Człowiek ten grzeczny, gładki, uprzejmy, nie grzeszył jednak przesadnem oddawaniem się sprawie cierpiącej ludzkości. Wolał np. leczyć piękne panie z 1-ej klasy, chore na morską chorobę, na co niema właściwie lekarstwa, niż ulżyć poważnym cierpieniom prostego ludu w 3-ciej klasie. Jeden z wychodźców naszych bardzo dopominał się lekarza do żony, odbywającej słabość... nie morską. Do mnie ziomek Rusin miał wielką pretensyę za to, że zaraz nie przyprowadziłem mu doktora. Lekarz zaś niechętnie przyjmował zaproszenie z mej strony. Wreszcie na moje naleganie zeszedł do chorej, spojrzał na nią najobojętniej, mając ręce głęboko wsunięte w kieszenie i odszedł. Mąż położnicy suszył mi potem głowę, abym gwałtem sprowadził go raz jeszcze... Daremnie! Przemocy nie mogłem użyć. Nowy obywatel Rusi Czerwonej ujrzał światło dzienne bez pomocy lekarskiej.

Jechaliśmy w kierunku południowo-zachodnim. Słońce zaraz po porównaniu dnia z nocą, które miało miejsce 21. września, zachodziło wprost na zachód, t. j. prawie przed nami i cokolwiek na prawo w bok za góry, oświetlało je z tyłu i tworzyło na ich szczytach alpejską grę świateł. Zniewoliło mnie to znów przypatrywać się temu widokowi z zajęciem i podziwem. Znikła gwiazda dnia wkrótce dosyć szybko; wtedy noc prawie w jednej chwili pogrążyła lądy, wody i nas na wodzie w ciemnościach i zasłoniła nam tak wyraźne przed chwilą brzegi Brazylii.

3. października. — Santos.

Nazajutrz gwiazda dzienna, wschodząc z przeciwnej strony, oświeciła zupełnie taki sam wciąż dalej ciągnący się brzeg górzysty. Około 10-tej rano zbliżył się on do nas, jednocześnie ustało kołysanie morskie i z obu stron statku ujrzeliśmy w oddali wybrzeża płaskie tak, jakbyśmy się znaleźli w środku szerokiej rzeki. Była to długa i wązka zatoka Santos, nie robiąca wcale wrażenia pustkowia. W miarę zwężania się jej brzegów widzieliśmy coraz więcej śladów zaludnienia na nich z obu stron, zwłaszcza z lewej po prostu dla tego, że do brzegu lewego bliżej podpłynęliśmy. Wkrótce ukazał się przy nim przed nami las masztów i kominów, a za niemi miasto.

Wjechaliśmy do portu Santos, najważniejszego po Rio de Janeiro w Brazylii, wywożącego na bardzo wielką skalę kawę

w ostatnich czasach. Zapewne przez żaden port na świecie tyle, co przez Santos, nie przesypuje się ziarn kawowych, sprzątanych w stanach São Paulo, Minas Geraes i Goyaz.

Miasto rozłożyło się wzdłuż portu. Dogodnie można było wychodzić na brzeg do miasta przez kilka okrętów, połączonych deskami, bez uciążliwej i zwykle kosztownej potrzeby najmowania łódek.

Znalazłem się na ulicach i placach, utworzonych z domów murowanych jedno- lub bezpiętrowych. Środkiem wzdłuż miasta idzie jedna ulica główna, bogata i elegancka, stołeczna. Ulice i place wogóle były dość puste, co mnie zadziwiło w mieście, które ożywia handel wielkoświatowy. Winne temu były święto niedzielne i gorąco. Przed jednym kościołem, prawdopodobnie farą, puszczono w południe ogromne mnóstwo rakiet (zwanych tam „fogetos“), na chwałę Panu Bogu. W Brazylii miliony rocznie pękają w postaci rakiety; z byle jakiego powodu puszczają je. Wciąż bowiem wypada jakaś uroczystość publiczna czy prywatna, wymagająca fajerwerków.

Gorąco w tych dniach na ulicach Santos było nieznośne. Wróciwszy z miasta, w 1-ej klasie „Planety“ zastałem dwóch artystów: fortepianistę i skrzypka, którzy grali na zabój bardzo pięknie tak, że słuchając tej muzyki, zaniechałem dalszego zwiedzania miasta przez 2 godziny, które mi pozostawały do odejścia statku.

Wyjechaliśmy z Santos około 5-tej tą samą drogą powrotną, niby prądem wielkiej rzeki; znalazłszy się na morzu, zatoczyliśmy ogromne koło i przyświecające nam dotąd z tyłu słońce ujrzeliśmy na prawo przed nami, zachodzące za góry nadbrzeżne stanu S. Paulo.

Podczas gdy muzycy na dole w salonie 1-ej klasy uprzyjemniali nam drogę, na pokładzie tymczasem odegrała się scena, która uderzyłaby każdego europejczyka, nieprzyzwyczajonego do stosunków amerykańskich. Żołnierz, czy majtek w służbie okrętowej stawiał się kapitanowi w klasie 1-ej, na granicy 3-ej, mniej więcej w samym środku statku w pobliżu komina. Trzeba było widzieć, jak się rzucał i wprost mu wymyślał. Wykrzykiwał, o ile zrozumiałem po portugalsku: „Taki to człowiek, taki kapitan mnie...“, bił się w piersi obnażone i imponująco machał rękoma, jakby jaki bohater na scenie. Wysoki wzrost, szerokie barki, ciemno oliwkowa cera, ogniste oczy o barwie czekoladowej wskazywały na pochodzenie indyjskie lub murzyńskie. Mówił z szalonym

ogniem i wyraźnie, jakby trybun ludowy na wiecu w chwili burzliwej, wskazując palcem to na kapitana, to na innych porządnie w czarne mundury ubranych. Ci odpowiadali mu z dystyngowaną grzecznością „senhor" (wym. sinior) i wskazywali uprzejmie kierunek klasy 3-ciej, dokąd przechodził rozzłoszczony mąż bardzo wolno, nie spiesząc się i, co chwila stając, aby coś patetycznego wygłosić. Zrozumiałem, że go kapitan za jakieś przewinienie degraduje ze służby i jako pasażera 3-ciej klasy postanawia wysadzić w najbliższym porcie. Oberwaniec miał nóż za pasem: lecz mimo to, na europejskim statku najniezawodniej bez ceremonii aresztowanoby go, a nawet zbito na kwaśne jabłko. Na gruncie amerykańskim uszanowano w nim wolnego obywatela.

Tymczasem noc zapadła, posnęliśmy. Lecz przebudził nas spokój i cisza taka, jakbyśmy znowu zawinęli do portu. To jednak tylko było zagadkowem, że pomimo tej ciszy i spokoju statek nie przestawał bujać się dość silnie.

4. i 5. października. — Na pełnem morzu.

Nazajutrz rano dowiedziałem się, że w nocy parostatek nasz stanął i stać miał tak na pełnem morzu 24 godzin. Przeciąg czasu ten okazał się potrzebny, dla naprawy maszyny czy kotła.

W klasie 3-ciej tymczasem żołnierz brazylijski napierał się małej paczki drewnianej od pary małżeńskiej wychodźców naszych. Właściciele tej paczki, ogrodnicy, mieli w niej szczepy i korzenie roślinne, zebrane na Wyspie Kwiatów, gdyż postanowili na własnym gruncie w Paranie zasadzić drzewo chlebowe i inne rośliny; nie chcieli więc paczki tej pozbywać się. Rozpowiadali mi wciąż o swych planach i zamiarach, dotyczących przyszłego swego ogrodu. Nazajutrz znaleźli z paczki swej tylko deszczułki. Miły wojak ją rozbił, nasiona i szczepy zniszczył, spodziewając się czego innego, niż rzeczy bezwartościowych dla niego.

Fakt ten przedstawiłem kapitanowi, który przyznał słuszność naszym kolonistom, lecz znalazł, że byłoby bardzo trudno przeprowadzić śledztwo. Radził samoobronę. Spytałem go wtedy, czy przy następnej zaczepce żołnierza będzie można trochę go poturbować. Dał mi pełne do tego upoważnienie. Gdy to doniosłem naszym kolonistom, zorganizowali się, aby go wziąć między siebie i dać mu odpowiednią nauczkę. Miało to nastąpić niebawem, bo co chwila lubił zaczepiać niewiasty nasze. Jednakże instynktowo

przeczuł, co się święci, gdyż zachował się odtąd dziwnie wzorowo i grzecznie tak, że powodu nie było najmniejszego do zwady z nim.

6. października. — Paranagua. Kurytyba.

Wjechaliśmy do zatoki Paranagua rankiem pochmurnym; rozeznać jednak można było piękność położenia i wysokie góry, otaczające ze wszech stron zatokę. Minąwszy wyspy różne, warownię i latarnię morską, znaleźliśmy się przed miastem Paranagua. By się do niego dostać, trzeba przesiąść się do łódki i nią dopiero dojechać do portu. Korzystają z tego właściciele środka przewozowego, aby bezlitośne nakładać ceny za to przewiezienie. Przejażdżka ta trwa przeszło pół godziny.

Zaprowadzono mnie do jakiegoś hotelu pierwszorzędnego z balkonem wielkim na 1-szem piętrze; hotel mi się wydał w oszołomieniu, w jakiem się znajdowałem, bardzo okazałym i pięknym pałacem. Poznałem się tam z głównymi figurami francusko-belgijskiego towarzystwa kolei parańskich. Byli to: dyrektor Couraux, sekretarz p. Fontaines i kilku innych. Przyjęli mnie jak króla, zaprosili na wspaniałe śniadanie. Dowiedzieli się byli widocznie coś przedtem o mnie i w swej gościnności i niezwykłej grzeczności dali mi zasmakować coś w rodzaju uczuć, jakich doznaje panujący lub wielki dygnitarz, który przybywa pierwszy raz do rządzonego przez siebie kraju. Wiadomości różnych o stanie Parana, którego Paranagua jest obecnie głównym portem, miałem od nich w ciągu paru godzin mnóstwo. Jak najlepszy znajomy i przyjaciel od dzieciństwa, wsiadłem z nimi do przygotowanego dla mnie pociągu nadzwyczajnego, udającego się do Kurytyby. Powiózł on nas znacznie szybciej, niż wlókłby nas zwykły, wychodzący dopiero o 1-szej.

Droga żelazna z Paranagua do Kurytyby zalicza się do najpiękniejszych w świecie. Kolej ta jest arcydziełem sztuki inżynierskiej. Zaniechano przeprowadzenia drogi żelaznej szlakiem utartym t. j. tam, kędy idzie szosa zwana rua Graciosa (droga piękna), łącząca Kurytybę z Antoniną, portem tej samej zatoki, oddalonym o 3 godziny jazdy parostatkiem od Paranagua, a przeprowadzono ją zuchwale tam, gdzie góry są najwyższe.

O parę stacyi za Paranaguą, tj. za Aleksandryą i Morretes, kolej żelazna, bieżąca dotąd po płaszczyźnie nadbrzeżnej, zaczyna

się wznosić, odkrywając coraz rozleglejsze widoki na zatokę morską i góry, które rosną w miarę podjeżdżania ku chmurom. Rozpoczyna się jazda nad ogromnemi przepaściami; w głowie się kręci, gdy się w nie spojrzy.

U dołu jednej z większych znajduje się krzyż. Jest to pamiątka po rokoszu 1893 roku. Stronnictwo rządowe tj. legalna władza zgładziła ze świata sześciu ludzi bez sądu, jedynie skutkiem podejrzenia, że należą do stronnictwa rokoszan zwanych federalistami. Wywieziono ich w nocy z Kurytyby i zamordowano okrutnie nad tą przepaścią; wyciągano opierających się z wagonu, rąbiąc pałaszami i kolbą po rękach, aby puścili poręcze i klamki wagonów, których się trzymali kurczowo — spychano ich w przepaść i strzelano za nimi jak do zwierzyny, nie oszczędzono i tych, którzy uczepili się gałęzi nad okropną przepaścią prostopadłą na 1.000 stóp. Byli to najlepsi i najwybitniejsi obywatele Parany. Najwięcej znany i ceniony był bogacz, baron Serro Azul, przyjaciel Polaków.

Przestrzeń ta górska zupełną jest puszczą. W małem już oddaleniu od kolei po obu jej stronach, noga ludzka jeszcze nie postała. Widzimy tam przyrodę w stanie pierwotnym, niezamąconym przez obecność potomków Adama i Ewy. Przelatujemy nad nią, jak orły. Nagie skały stożkowate i ściany skaliste, jak tatrzańskie „turnie“ i „granie“, sterczą obok „wirchów“ spiczastych oraz „czubów“ płasko zaokrąglonych i małych płaskowzgórzy „upłazów“. Niekiedy mijamy skaliste i ziemne wypukliny, tonące w kwieciu jednostajnej barwy lila, czerwonej, niebieskiej, to kwitnący las dziewiczy.

Naliczyłem jedynaście tuneli i wiele mostów artystycznie, jak gniazda, przylepionych do skały, po których przebiega pociąg z całem bezpieczeństwem. Droga wije się, jak wąż, a poziom kolei podnosi się 5 centymetrów co 1 metr. Pociągi biegną po takiej pochyłości bez kół zębatych i wind żelaznych — wystarczają im para i hamulce. Widzi się u spodu nasyp kolejowy, po którym się przejechało, a u góry ten, po którym się będzie przejeżdżało. Krzyżuje się jakby kilka dróg żelaznych jedna pod drugą.

Z pasma gór odznacza się swym ogromem Marumby (1.450 metrów wysokości nad poziomem morza). Jest to szczyt najwyższy w całym stanie parańsktm, skalisty i płasko zaokrąglony.

Przebywszy paroksyzmy zachwytu nad niebotycznymi kopcami i wieżami skalistymi oraz potwornymi wąwozami bez dna, wzlatujemy na sam grzbiet pasma nadmorskiego. Następnie, już

z drugiej jego strony, zjeżdżamy i mkniemy wzdłuż ogromnego potoku kamienistego, początku rzeczki Ipiranga, kręcimy się na wsze strony równolegle z Ipiranga, która spływa wężykowato, wściekle zapieniona, po naszej prawicy. Mamy wciąż krajobrazy piękne, a jakkolwiek nie wydobywamy się z gór, wyniosłości maleją, widoki drobnieją i łagodnieją. Z alpejsko-tatrzańskich przechodzą w karpacko-beskidowskie.

Pan Fontaines, który przez cały czas podróży naszej wśród tych gór z największem ożywieniem zwracał mi uwagę na wybitniejsze piękności drogi: skały, szczyty, mosty kolejowe, tunele i t. p., usiadł i powiedziawszy, że już nie warto patrzeć, zasnął snem znużonego i sprawiedliwego.

Ukazuje się w wielkiej ilości dziwaczna sosna „araukarya", wysoka, prosta, jak świeca, obnażona z gałęzi od spodu do szczytu, który dopiero tworzą konary, poziomo rozrosłe w kształt tulipana, parasola lub grzyba.

Wjeżdżamy do doliny. Po jej płaszczyźnie wciąż dalej wije się droga zupełnie niepotrzebnie. Pochodzi to ztąd, że rząd zagwarantował 5% dochodu przedsiębiorstwu kolejowemu, obliczając koszt budowy 1 kilometra drogi na 30.000 milrejsów złotem. Przeto, im droga jest dłuższa, tem poręka rządowa jest większa. Zresztą nie po rycersku, ale taniej jest wymijać wszelkie nierówności terenu, niż pzekopywać je lub dziurawić tunelami.

Przyjechaliśmy do Kurytyby około 3-ciej po południu. Mając ze sobą mnóstwo rzeczy, zostawiłem je na dworcu i puściłem się do redakcyi gazety „Polonia". Ulewny deszcz i pochmurne niebo niegościnnie mnie przywitały. Tramwaj przebiegał szerokiemi i prostemi ulicami, którym z powodu słoty nie mogłem dokładnie się przyjrzeć, tembardziej, że przysłuchiwałem się wewnątrz tramwaju głośnemu bigosowi językowemu. Mowy: portugalska i niemiecka walczyły o przewagę, którą osiągnęła ostatecznie niemiecka z przyczyny może, że ją najlepiej rozumiałem i że jej przedstawicielkami były cztery bardzo przystojne i wygadane blondynki. Brak dźwięku języka polskiego przygnębiał mnie.

Wysiadłem na ulicy głównej „15-go Listopada" (Quinze de Novembro) i, dostawszy się do jakichś lichych przecznic, zbłądziłem. Na dobitkę przerażające błoto ulic, które trzeba było przejść aż do placu różańcowego (Praça do Rosario), gdzie się znajdowała redakcya, wprawiło mą toaletę w stan opłakany. A do tego wyglądałem jak Indyanin lub Mulat ciemnoskóry, gdyż przy cią-

głem wychylaniu się z okna kolejowego, przydymiła mi się skóra na twarzy od ziejącego dymem komina lokomotywy.

W redakcyi „Polonii“ przyjęto mnie ozięble. Były bowiem pozory, że w wilię dnia tego przybyłem i dopiero nazajutrz raczyłem tam zajść po południu. Pociąg bowiem dopiero wieczorem o 7-mej przybywa z portów nadmorskich Antoniny i Paranagua. Obroniła mnie kolorowa od dymu kolejowego i ciągłego wyglądania oknem skóra mulata, którą zaraz postanowiłem zrzucić za pomocą wody. Był to oczywisty dowód, że jakimś cudem przeniosłem się do „Polonii“ wprost z kolei o 4 godziny za wcześnie. Gościnne przyjęcie i niedopuszczanie do hotelu były wynikiem skombinowania prawdy.

ROZDZIAŁ IV.

Kurytyba. Wycieczka do Porto Amazonas i Rio dos Patos.

7.—14. października. — Kurytyba. Polacy i ślady powstania federalistów. (Maragatów). Gazeta Polonia. Naczelnik biura kolonizacyjnego. Wychodźcy w szopach. Biskup.

W chwili mego przybycia Polacy przedstawiali obraz rozbicia, rozterki wewnętrznej i przygnębienia. Żywioł nasz zaczął się cokolwiek ożywiać i organizować przed 1893 r. Pobudką do życia świadomego były: pojawienie się „Gazety Polskiej“ w Brazylii, założonej przez p. Karola Szulca i wystawa powszechna krajowa galicyjska we Lwowie, zapowiedziana na rok 1894. Zapanowała w tym czasie między naszymi rodakami wzorowa zgoda, niemal jedność i serdeczność. Co było z nich wybitniejszego,ześrodkowało się w Kurytybie. Jak najlepszy był też stosunek z władzami brazylijskimi. To wpłynęło na pomysł uczestniczenia stanu parańskiego w wystawie lwowskiej.

Sprawa przybrała zakrój ogólno stanowy. Utworzył się komitet złożony z Polaków i Brazylian, którzy byli najwyższymi dostojnikami w stanie. Postanowiono kosztem stanu wybudować własny pawilon na wystawie, Za pośrednictwem redakcyi „Przeglądu Emigracyjnego“ we Lwowie zniesiono się z komitetem wystawowym. Tenże przychylnie przyjął propozycye zamorskie i wysłał przez jadącego do Parany Jana Kośmińskiego całą pakę pa-

pierów, (ogłoszeń, objaśnień, reklam, upoważnień i t. p.) do Kurytyby.

Płody i wyroby parańskie obok mnóstwa wspaniałych widoków fotograficznych, miały się przedstawić publiczności wystawowej bardzo pokaźnie, pewnie nie gorzej od polskiego pawilonu północno-amerykańskiego, który był jedną z większych przynęt wystawy lwowskiej 1894 r.

Niestety w r. 1893 wybuchło powstanie brazylijskie przeciw władzy wice-prezydenta rzeczypospolitej, Floryana Peixoto (wym. Pejszoto). Miało ono zabarwienie cokolwiek monarchistyczne. Lecz tylko mała część powstańców marzyła o przywróceniu cesarstwa, obalonego przez stronnictwo zachowawcze plantatorów kawy. Na cesarzu Don Pedrze 1889 r. zemścili się oni za ogłoszone przez niego w 1888 r. zniesienie niewolnictwa i chwilowy upadek plantacyi. Zabrakło rąk do pracy, a niewolników już nie można było sprowadzać. Wypadło ściągnąć pracę wolną z Europy. Republikański rząd brazylijski postanowił sprowadzić wielką liczbę pracowników ztamtąd, płacąc im podróż przez morze i urządzając ich rozmieszczenie w każdej brazylijskiej prowincyi, wedle wyboru przybysza. Najwięcej przybyło Włochów i Polaków.

Ogół ludności, a szczególniej koloniści cudzoziemcy, niechętni byli nowemu rządowi republikańskiemu, który opierał się mocno na wojsku. Powstanie trwało do połowy 1894 r. głównie w stanie Rio Grande do Sul, gdzie właściwie wybuchnęło i zkąd rozszerzyło się na stany Santa Catharina i Parana. Sympatye kolonistów dla powstania ujawniły się wybitnie: utworzyły się oddziały powstańcze włoskie, niemieckie i polskie. Zasłynął pułk polski. Znani są w dziejach tego ruchu zbrojnego pułkownik Antoni Bodziak oraz oficerowie jego, Jan Koźmiński i Dąbrowski. Powstańców ożywiał duch wolnościowy; zwalczali militaryzm, zachowawczość i tubylczość „republikanów".

Choć powszechne sympatye polskie zwracały się do powstańców, byli jednakże i tacy pomiędzy Polakami, którzy wcale nie sprzyjali rewolucyi. Przytem bohaterska obrona Lapy, miasta położonego w Paranie na południu od Kurytyby, kierowana przez pułkownika Carneiro, wstrzymała powstańców. Sam pułkownik zginął wprawdzie i miasto zostało zdobyte; ale dowódcy powstania Gumercindo Saraiva i inni riograndeńczycy woleli powrócić na południe do swego stanu rodzinnego, niż iść śmiało na północ do S. Paulo i Rio de Janeiro, gdzie ich oczekiwali liczni zwolennicy.

Po ich ustąpieniu zgnieciono ruch w Paranie, (a następnie wszędzie na południu w jego rodzinnem ognisku).

Powstanie upadło, dość krwawo stłumione przez rządowców. Utylitarny wzgląd przeszkadzał wyrażaniu sympatyi do niego. Zamięszanie i intrygi osobiste naszych księży i ludzi świeckich sprawiły w wielu koloniach powszechne rozdwojenie na „kaskudów“, „pikapauów“ (dzięciołów z łbem czerwonym, jak kaszkiety wojska rządowego) z jednej strony i na „marragatów“,[1]) „federalistów“ z drugiej strony. Szczupła garstka inteligencyi polskiej także się rozdwoiła. Dawna łączność i serdeczność przemieniły się na podejrzliwość i nienawiść.

O przyjęciu udziału w wystawie lwowskiej mowy już nie było. Paki wyprawione zaginęły — szkoda było czterech pełnych fotografij z różnymi typami i widokami, zebranych przez inżyniera Edmunda Saporskiego. Towarzystwo polskie, nowo powstałe pod wezwaniem Hetmana w siermiędze, zwinięto. Jego meble i książki oddano na przechowanie ks. D., rządowcowi. Przez czasy najgorsze rewolucyjne „Gazetę Polską w Brazylii“ utrzymywał i redagował p. Edmund Saporski. Następnie przeszła ona na własność członków Spółki drukarskiej a ci powierzyli redakcyę jej p. Ignacemu Waberskiemu. Ten zmienił tytuł jej na „Polonię“, powiększył format i treść.

Niestety gazeta ta, choć stoi na wyższym stopniu rozwoju, niż poprzedniczka, nie rozchodzi się w dostatecznej ilości. Z zawistnych stosunków partyjnych politycznych, wynikła niechęć niektórych księży polskich do niej, zupełnie nie usprawiedliwiona. Zabraniają ją czytać i prenumerować. W każdym razie jednak redakcya „Polonii“ jest wciąż punktem środkowym życia polskiego w Paranie, pomimo że go nie ogniskuje całkowicie. Mieszkając w jej lokalu, byłem zatem w środku skupienia polskiego w Kurytybie.

W dniu 12. października odbyło się walne zgromadzenie towarzystwa imienia Kościuszki. Mnie obrano przewodniczącym obrad. Zebranie to było zmartwychpowstaniem Towarzystwa. Ks. D. przemówił pierwszy, przedstawiający stan jego obecny i przyczyny, dla których było nieczynne przez czas jakiś. Wybrano

[1]) „Marragatos“ znaczy dziady, żebraki, szubrawcy, gałgany — mniej prawdopodobne wydaje mi się pochodzenie tego słowa od wyrazu maraca, który znaczy: cymbał z dyni, używany przez Indyan, jako instrument muzyczny, wojenny, rodzaj tamtamu chińskiego.

nowy zarząd. Ks. D. oświadczył, że zwraca wszystkie pieniądze, książki i meble Towarzystwa, oddane mu na przechowanie. Towarzystwo rozpoczęło swe życie.

Zagadnięty o wypowiedzenie swych uwag, nie siliłem się na komplementa, wyrażając boleść, że żywioł nasz tak małe ma znaczenie w stosunku do swej liczby. Upatrywałem przyczynę tego w niskiej oświacie, braku większej liczby ludzi inteligentnych i niedostatecznej organizacyi stowarzyszeń po koloniach. Musiałem też w krótkich słowach przedstawić stan krajów naszych w Europie, poczem zebranie przeszło w luźną pogadankę poufną.

Stolica Parany Kurytyba wygląda co do wielkości i zaludnienia, jak większe miasto gubernialnie Królestwa Polskiego. Szerokie jej ulice przecinają się pod kątem prostym; domy są białe, nizkie i pudełkowate o architekturze portugalsko-maurytańskiej. Władza i większość mieszkańców używa języka portugalskiego. Jak miasta śląskie, tak też i stolica Parany zmienia się zupełnie w dnie świąteczne i jarmarczne. Zapełniają się wtedy wszystkie jej ulice i place ludem polskim, jego malowniczymi strojami, zaprzęgami krakowskimi i mową, która brzmi na bruku i w sklepach, gdzie wszyscy Niemcy i Brazylianie po polsku rozumieją i mówią z pobudek własnego interesu. Albowiem kolonista polski nie kupuje nic w sklepie, o ile się nie rozmówi w języku rodowitym.

Przy zapoznawaniu się z Brazylianami (lub Portugalczykami) szepce się wzajemnie niewyraźnie nazwiska po cichu — zupełnie jak u nas. Następnie przy bliższem poznaniu, bywają wymienione bilety wizytowe z adresami, celem złożenia sobie wizyt. Robiąc znajomości w tem sposób i ja usłyszałem nieraz krótki szept oraz zostałem dokładnie powiadomiony o adresie przy wymianie biletów wizytowych. Tymczasem, przybywając w odwiedziny według adresu, nie mogłem się zwykle dopytać o pana domu. Albowiem na portugalskich wizytówkach jest co najmniej kilka słów długości łokciowej, nie mieszczących się w jednym wierszu i niepodobna odgadnąć, które z nich jest właściwem nazwiskiem a które też i w rozmowie nie bywa używane. Wabią się wzajemnie jednem z imion. Wybierajże tu dźwięk, wydobywający pana domu z kryjówki jego? Służba wtedy w dobrej wierze odsyła gościa na inny kraniec miasta, jeżeli się pomylił w wyborze.

Mimo takich przeszkód zapoznałem się i nawet zaprzyjaźniłem z naczelnikiem biura kolonizacyjnego parańskiego, mającym wyjątkowo tylko trzy nazwy na swym bilecie: Aristides Liberato

Pereira. Starałem się zbliżyć do szefa kolonizacyi. Za jego pozwoleniem a najczęściej w jego towarzystwie, zwiedzałem wielkie drewniane szopy (baraki) emigranckie, gdzie naszych ludzi dosyć wygodnie rozmieszczano za miastem.

Wysłuchiwałem ich zażaleń i obaw, często zupełnie urojonych, np. przejmowała ich panika przed udaniem się do kolonii Rio Claro i namiętna ochota przeniesienia cię na kolonię Lucenę lub odwrotnie. Ratowałem ich więc w ich własnem dziwacznem mniemaniu, o ile mogłem, prosząc swego przyjaciela, aby ich przepisywał z jednej listy na drugą. Tłumaczył mi, że to zupełnie wszystko jedno, dokąd pojadą z Kurytyby, że niepodobna przewidzieć, jak powiedzie się poszczególnym świeżo zakładanym koloniom. „Postanowienia“ i „przekonania“ naszych kobiet co do miejsca osiedlenia się, zmieniały się co chwila. Wczorajsza zwolenniczka Luceny dzisiaj dostaje febry ze strachu na myśl, że tam pojedzie — wtem ja jej na chybił trafił przyrzekam, że pojedzie do Rio Claro. Twarz wtedy jej się rozjaśnia, całuje mnie po rękach z wdzięczności i ostatecznie jedzie do Luceny.

Niezbyt długo, bo tylko kilka dni, nasi ludzie czekali. Małymi partyami wciąż opuszczali obecne miejsce pobytu w barakach, udając się do wymierzonych działków odległej kolonii.

Trudno było co zarzucić naczelnikowi kolonizacyi. Bardzo chętnie wysłuchiwał wszelkich skarg i czynił im zadość wedle możności. Niesłychanie cenił nabytek ludnościowy polski. Dowodził z zapałem, „że cały rozwój miasta i stanu zawdzięczyć należy kolonizacyi polskiej“. „Gdyby nie ci ludzie, tak dziwacznie ubrani, jak ten oto tu przechodzący, mówił mi, nie mielibyśmy co jeść, nie stanęłoby tyle budynków i zakładów przemysłowych i nie zbudowanoby tyle dróg kołowych i kolei żelaznych. Zaiste więcej są oni warci dla Parany, niż kopalnie złota!“ Szkoda tylko, pomyślałem, że korzyść z pracy naszych rodaków miał największą żywioł brazylijski i niemiecki.

Odwiedziny moje u prezydenta czyli gubernatora stanu Parana powtórzyły się kilkakrotnie. Pan Xavier (wym. Szawjer) był zawsze bardzo przystępny, poważny, uprzejmy. Prostotę jego trochę wydrwiwano. Zarzucano mu, że jest „caboclo“ t. j. prostak z głębi lasu, nie władający językiem francuskim. Miał wszakże cechy ujmujące. Poprzednik jego na wysokim urzędzie utrzymywał liczną straż przed pałacem; ceremoniał przyjęć nie dopuszczał pierwszego lepszego przed jego oblicze; dość biegle rozmawiał z cudzoziemcami po francusku i angielsku.

Pan Szawjer zniósł wszelkie straże i ceremoniał bez obawy, żeby go kto nie zastrzelił. Każdy żebrak może teraz prosto wejść na pierwsze piętro do jego salonu i przybocznego pokoju pracy, opowiadając się tylko służbie. Wzbudza zaś szacunek swą uczynnością i powagą więcej, niż jego poprzednik angielską i francuską mową.

Przykra jest tylko konieczność bardzo długiego wysiadywania u niego. Musiałem wciąż odpowiadać na uprzejme pytania zadawane przez niego i jego gości w języku portugalskim. Odpowiedź brzmiała łamaną portugalszczyzną lub na migi. Pożegnał mnie najwyższy dostojnik Parany zdawkowo uprzejmem zdaniem, że jest na me rozkazy „estou (wym. sto) a suas ordems“.

Kilkakrotne moje odwiedziny u księdza biskupa kurytybskiego, Barrosa Camargo, przeciągały się też nad miarę; lecz były mniej męczące z powodu biegłości księcia Kościoła w języku francuskim i niezwykłego ożywienia, jakiem się odznacza. Wiele się wypytywał o polskie stosunki. Skarżył się dobrotliwie na niektórych księży polskich i usilnie mnie prosił, abym mu przy objazdach swych zdawał sprawę o nich oraz o stosunkach ich z ludem polskim. Wyrażał z naciskiem swoją sympatyę do kolonistów polskich i chęć usłyszenia rzetelnej prawdy ze źródła bezstronnego. O tubylczy szowinizm brazylijski nie było racyi go podejrzywać, choć pono się niecierpliwił, gdy świeżo przybyły ksiądz polski, nie nauczył się dość pospiesznie po portugalsku. Czekał wtedy na sposobność, aby go przenieść na parafie brazylijskie.

Zamianowanie dwóch księży polskich przy kapitule kurytybskiej było pono skutkiem mych odwiedzin. Ks. biskup kurytybski ma dyecezyę rozciągającą się na całe dwa stany: Parana i Santa Catharina.

14. października. — Wyjazd nad rzekę Iguasu. Droga żelazna z Kurytyby do Restinga Secca. Mulat mówiący po polsku. Porto Amazonas.

Postanowiłem na razie nie zwiedzać bliższych okolic Kurytyby, gdzie znajdują się kolonie starsze i więcej rozwinięte, lecz udać się najpierw do dalszych świeżo założonych a trudniejszych do zwiedzenia. Powstały one 1889 r. nad rzekami Iguasu i Rio Negro lub w ich pobliżu. Okolice iguasowe i rionegryńskie były przedtem siedzibą pół dzikich „Caboclos“.

Od Kurytyby do stacyi zwanej Portaõ (wym. Porta), pociąg wlecze się, przebywając co najmniej 10 kilometrów istnej serpentyny po łące, mimo że miejscowość ta jest odległą od Kurytyby tylko 6 kilometrów, a liczne zabudowania na tej przestrzeni w prostej linii tworzą milową ulicę i rodzaj długiego przedmieścia stolicy.

Z Portão idzie dalej pociąg przez przetrzebiony las do stacyi Barigui, położonej w obrębie kolonii polskiej Thomas Coelho (wym. Tomas Koelio). Jest to największa osada w całej okolicy kurytybskiej; składa się z osadników galicyjskich i górnoślązkich, posiada dwa kościoły, tworzy z rozrzuconych swych domostw i gospodarstw istny powiat 10-ciu tysięcy ludności polskiej. Całą drogę aż do stacyi następnej, zwanej Araukaryą od sosny tej nazwy, kolej kręci się po mokradłach i zaroślach. O parę wiorst od stacyi utworzono parafię Araukaryę; dawniej była ona wyłącznie brazylijska, teraz jest już prawie całkiem polską. Proboszczem jej był ks. Soja, były Bernardyn z Galicyi — obecnie ks. Anusz.

Dr. Stanisław Kłobukowski.

(Dalszy ciąg nastąpi).

ODP. REDAKTOR ADAM KRECHOWIECKI. — NAKŁAD „GAZETY LWOWSKIEJ".

STANISŁAW WYSPIAŃSKI.

(Dokończenie).

„Chaosu lotem zmierz przestworze
i pal i depc i siecz i płuż“.

Snadnie powtórzyć można te słowa, mając dokonać rozbioru Wyzwolenia (z r. 1902). W nich bowiem streszcza się i treść utworu i jego forma. A ten kształt zewnętrzny, że o nim najprzód powiemy, dziwnym jest. Wierszowane wskazówki sceniczne miało się już u Wyspiańskiego, ale nigdy w tej ilości i w tych rozmiarach, co tutaj. Możnaby w nich widzieć kaprys, zabawkę, marnotrawstwo poetyckie, kurateli nie podlegające. Lecz jeśli objaśnienia teatralne są wierszem pisane, a ustępy dyalogu bardzo często prozą — i to prozą zaiste prozaiczną — to takie „odwrócenie wartości“ jest dziwactwem umyślnem, wynikającem chyba z dążenia do oryginalności za wszelką cenę. Powtóre zaś, co powiedzieć na te objaśnienia, które tłumaczą rzecz, bez nich istotnie albo wcale nie, albo mało zrozumiałą. Gdy Konrad z końcem drugiego aktu z rąk Hestii bierze pochodnię, Wyspiański w notatce scenicznej pyta widzów:

„A może wy nie wiecie,
co to znaczy pochodnia?“

i w dziewięciu zwrotkach ten symbol tłumaczy. Ba, nawet na końcu dramatu, gdy przed Konradem zawarte są wrota, poeta znowu sam od siebie w dłuższym wywodzie przemawia, co stanie się z brzaskiem dnia z jego bohaterem. Wyspiański pisał dla teatru, w jego przedstawieniu dramaty żyć dopiero będą; ale co wtedy się stanie z temi scenicznemi objaśnieniami, koniecznemi dla zrozumienia tekstu? Jak teraz, mając książkę, teskni się do teatru, tak wtedy rozwikłania łamigłówek teatralnych żądać się będzie od książki. Punkt wyjścia akcyi natomiast nie jest w literaturze powszechnej niebywałym. Ztąd ani nie można chwalić bezwzględnej oryginalności poety, ani nie można — jak to uczynił pewien poważny krytyk — gniewać się, że „czego jeszcze nigdy nie było na świecie, to, że po podniesieniu kurtyny ukazuje sie scena, jak ją Pan Bóg stworzył czy budowniczy wystawił, w stanie natury, bez żadnych dekoracyj". Owszem, to już było: bardzo dawno w Sakuntali Kalidasy, później w pierwszej części Fausta Goethego *(Vorspiel auf dem Theater)*; tę zwłaszcza scenę początek Wyzwolenia zupełnie przypomina.

Na scenie więc Konrad, z daleka idacy, w kajdanach, spotyka robotników teatralnych, których poeta odrazu w krąg swoich symbolów wciąga („Synowie nasi zburzą, co my budujemy. Burzymy, co zbudowali ojcowie nasi"). W rozmowie z Reżyserem i z Muzą Konrad już wyraźniejszym się staje: chce „wyzwolin", a „kochanka jego zwie się: wola", idzie, „by walić młotem". Na razie jednak żąda przystrojenia narodowej sceny, a posłuszna Muza w pięknych wierszach wzywa wszystkich, co się smucą i czoła kryją na polskiej ziemi, obiecując wyzwolenie tym, co własną wolą są wyzwoleni. Zapełnia się zwolna scena rzeszą zaproszonych: przychodzi Karmazyn i Hołysz, Prezes, Przodownik, Kaznodzieja, Prymas, Mowca, Ojciec, Syn, Harfiarka, Samotnik — wszyscy nietylko sami smutni, ale smutek wzbudzający, takie z nich zatęchłe wieje powietrze. Kto oni? Przedstawiciele Polski? Przedstawiciele całej Polski? I Polski jakich czasów? dawnych czasów, a w takim razie, jak dawnych? dzisiejszych? w takim razie to jednostronność, z umysłu fałszywa. Na tę tłumną scenę wchodzi Geniusz: „jako posąg jego postawa; jako spiżowe pokrywy jego ubiór i strój jego: Sława. Na czole wiecha ogromna zeschniętej ostu gałęzi". Kto on? W teatrze krakowskim Geniusz był podobny do głowy Mickiewicza według pierwszego modelu rygierowskiego pomnika. Pierwsza odsłona zapowiada dalszą treść: tłumy czekały na Konrada, przyszedł Geniusz. Domyślać się wolno, że

walka pomiędzy nimi będzie osnową sztuki. Że zaś Geniusz jest ucharakteryzowany na Mickiewicza z późniejszych lat, a Konrad znowu, zapewne na życzenie autora, podobnym był do młodego Mickiewicza, będzie to zapewne spór młodzieńczych ideałów Mickiewicza z późniejszymi, może więc myśl zbliżona do starolitewskiej sceny w kopule kościoła św. Piotra z Legionu.

Druga odsłona zobowiązania z początku nie spełnia. Konrad jest na scenie w słownych utarczkach nie z Geniuszem, ale z dwudziestoma dwiema po kolei się ukazującemi Maskami. Poeta mówi tu w objaśnieniu, że „maski znaczyć mają takich, co myśl swą ukrywają i nigdy jej nie stawią jasno, cudzą jest czyli ich jest własną". P. Wasilewski widzi w nich znowu „szereg kłamstw konwencyonalnych, nurtujących społeczeństwo", co mniej więcej na to samo wychodzi. Dla rozbioru zasadniczej myśli Wyzwolenia ta ogromnie długa, na scenie nużąca dysputa Konrada z Maskami jest w gruncie rzeczy obojętna. Nie, żeby w niej nie było treści. Przeciwnie, na każdej stronie nastręczają się tu ogromnie ciekawe tematy dyskusyi. Np., gdy Konrad mówi: „A co mi jest wstrętne i nieznośne, to jest to robienie Polski na każdym kroku i codziennie... To manifestowanie polskości... Bo to tak wygląda, jakby Polski nie było, Polaków nie było... Jakby ziemi nawet nie było polskiej i tylko trzeba było wszystko pokazywać, bo wszystkiego zostało na pokaz, po trochu; pokazywać, jakby srebra stołowe w zastawie; pokazywać, jakby kartki i karteczki zastawnicze — i kryć się i udawać i udawać". To byłby doskonały temat do dyskusyi, gdyby Maska (tym razem 11-ta) coś więcej tu mówiła, niż raz „Ach?" a dwa razy „?". Dramatycznie jednak te wszystkie przemówienia Konrada są mało ważne, nawet nie wiele się przyczyniają do jego charakterystyki, tyle w nich niejasności lub wprost sprzeczności. Wystarczy jeden przykład: Nienawiść uważa za „potężniejszą niż miłość", a przecież całe jego działanie na miłości jest oparte; albo: „co mnie obchodzi przedewszystkiem mój naród?" — a przecież on dla narodu żyje. To też dobrze się dzieje, że nareszcie przydługa scena z Maskami się kończy. Poecie samemu za ciasno było w jej ramach: przerywa je prześlicznymi wylewami lirycznego uczucia, n. p. gdy Konrad w ciągu rozmowy z 19-tą Maską cudownie wypowiada swą tęsknotę za wiejskim krajobrazem lub gdy po zniknięciu ostatniego widma wznosi czyste modły do Boga:

„Daj nam poczucie siły
i Polskę daj nam żywą,

by słowa się spełniły
nad ziemią tą szczęśliwą.“

Pokrzepiony widokiem szczęścia rodzinnego bierze zapaloną pochodnię z rąk Hestyi, jedynego dotąd na szczęście remanentu greckiej mitologii. Druga odsłona, tyle czasu zajmująca, nie prowadzi więc naprzód problemu utworu a do rozwoju charakterystyki bohatera nieznacznie tylko się przyczynia. Ideową treścią podobna jest do Wesela z tą smutną różnicą, że co tam przetopione zostało na dramatyczny metal, tutaj występuje w surowej rudymentarnej formie. Kto wie, czy nie lepszem wyjściem byłby już nie przerywany małomownemi interpelacyami Masek długi monolog Konrada: w takim razie bowiem z konieczności musiałby autor po dziennikarsku tutaj traktowaną treść przyowlec w płaszcz poetycki, bodaj na znaczną odległość dorównywujący nieśmiertelnej piękności Improwizacyi innego Konrada. Wtedy ten płaszcz byłby przysłonił także pewne bądź niedokształcenia bądź przekształcenia myślowe.

Akt trzeci, w katedrze na Wawelu, wraca do postaci pierwszego. Geniusz stoi wśród tej gromady i wzywa ich znowu:

„Wprowadzę was w świątynię, tum,
potęgi waszej, waszych dum.
Wewiodę was nad groby łez,
byście nikczemność widząc ciała
ujrzeli okiem żywem KRES:
Śmierć, która cuda działa!“

I „za Polski Śmierć-Odkupienia“ chce wychylić trujący Toast. Wtem wpada Konrad, niosąc pochodnię, „nienawiść niosąc palącą“, protestuje przeciw otwieraniu grobów przez Geniusza, gotów przekląć krzyż, Chrystusa godło za uwiedzenie męką narodu, wytrąca Geniuszowi czarę i rzuca mu w twarz gorącą lawę zabijających zarzutów (szkoda, że prozą pisanych): „Harpjo narodu! Siły ssiesz nasze i spalasz je w czczy dym... Chcesz, abyśmy pamięć wlekli w mąk kaźnie i więzienia i wyrzekali się blasku dnia dla litości onych, co marli męczeni a ginęli katowani. — tych dola nie naszą będzie dolą, ani wołaniem. Wołaniem oto naszem zwycięstwo! Zwycięstwo Hasłem i Wolą!“ itd. aż do okrzyku: POEZYO PRECZ!!!! (wyraźnie: cztery wykrzykniki). JESTEŚ TYRANEM!! (tylko dwa). Geniusz ucieka na głos chóru „A kysz, a kysz...“ Spocznijmy trochę, chociaż akt jeszcze nie

skończony. Jeśli Konrad ma być wyobrażeniem młodego Mickiewicza a Geniusz przedstawia starszego, uwikłanego już w sieci mistycyzmu, to pomijając już kwestyę, który bardziej nadawał się do roli przewodnika narodu, ostatni okrzyk Konrada jest całkowitą niekonsekwencyą, bo neguje wszelką wogóle poezyę jako czynnik narodowego życia i rozwoju. Niekonsekwencyą jeszcze bardziej rażącą jest ten wyrok potępienia, jeśli przyjmiemy, że Konrad z Mickiewiczem nie ma nic wspólnego, za to tem więcej z samym Wyspiańskim. Że okrzyk „poezyo precz“ w ustach poety jest błyskotliwym paradoksem bez treści, nad tem chyba rozwodzić się nie potrzeba; że jest nim tem bardziej w ustach Wyspiańskiego właśnie, dążącego — ze skutkiem niejakim — do owładnięcia narodem przez poezyę — to jest jasne jak słońce. Pozostaje więc jako jedyne wyjście przypuszczenie, że Konrad w zapale zapędził się za daleko, że nie potępia poezyi w ogólności, tylko pewną poezyę, przez Geniusza reprezentowaną. Lecz ze stanowczym sądem trzeba się wstrzymać do końca dramatu.

Już do niego blisko. Konrad oszołomiony zwycięską walką znowu jest w otoczeniu aktorów, którzy patrzą na niego z podejrzliwością, czy nie chorego mają przed sobą. Gdy wszyscy odeszli, a północ bije na zegarze wieżowym, Konrad jest w niepewności, w rozpaczy: „Czy jesteś Polsko — tylko ze mną?“. „Z głębin, gdzie zapadł złoty róg, wyległe wstają widma trwóg“: Erinnie, a on wyrwać się ztąd nie może, bo „ryglem wrota zwarte“. Tu koniec mówionego na scenie dramatu. Więc znowu zbadajmy, co z niego wynika. Z dotychczasowego tekstu okazuje się, że Konrad odrzuciwszy „poezyę precz“, szamoce się sam w ciemnościach, opuszczony przez wszystkich, smagany biczem bogiń zemsty. A więc tamten czyn ani jemu nie przyniósł wyzwolenia, ani otoczenia dla niego nie zjednał, czyli że był co najmniej bezpłodnym. W ten sposób poeta cofałby się niejako ze stanowiska zajętego z końcem drugiego aktu, dramat kończyłby się raczej potępieniem niż apoteozą Konrada, a więc przez to i odwołaniem hasła: „Poezyo precz“.

Ale jest jeszcze wspomniana już wierszowana konkluzya, jedna ze scenicznych objaśnień, na scenie zapewne nie mówionych (a może tutaj deklamowałby ją jaki Epilogus?). Tu poeta zapowiada, że gdy „w kościele zaczną się roraty — znajdzie się ktoś, co przyjdzie tam z kluczami, (może wyrobnik, dziewka bosa) i pierwszy uchyli wrot“, a wtedy „Konrad-Erynnis z Erynniami... wybieży w świat na lot... jako ten wasz czterdziesty czwarty:

w naród wołając: WIĘZY RWIJ!!!“ W tem jest już chyba podstawowa myśl Wyzwolenia. A jeśli tak, to jednak wrócić trzeba do końca drugiego aktu, który tutaj znajduje zatwierdzenie. Wyspiański potępia więc Geniusza i jego wpływ na naród, potępia „naszego“ (więc nie swojego) Mickiewicza i obiecuje w przyszłości uwolnienie od niego, dokonane „może“ przez „wyrobnika, dziewkę bosą“, coby oznaczało niższe warstwy społeczeństwa, proletaryat. Potępienie romantyczno-mistycznej poezyi nie po raz pierwszy w Wyzwoleniu się pojawia: przy Kazimierzu Wielkim zaznaczyliśmy już, że tam jest, po bliższy rozbiór do tego dopiero ustępu odsyłając:

„I nazywali królami tych marnych,
którzy się w własnym lubowali jęku:
co twarze przysłoniwszy w kirach czarnych,
Stawali przed narodem z harfą w ręku;
serca na stołach palili ofiarnych,
durząc się dymem, przy harf rzewnym brzęku;
a chodząc w kołach z lauru drzew uszczkniętych,
przyrównywali się do polskich świętych.“

Podobieństwo tych zdań do myśli Wyzwolenia jest oczywiste. W Kazimierzu W. ogólne potępienie poezyi romantyczno-mistycznej, tutaj na pierwszym planie Geniusz, uosobienie Mickiewicza, lecz ubocznie i Słowacki także jest wspomnianym (na str. 50, gdy Chór pyta, kto to przybędzie, czy nie Anhelli, wróżka zapowiadająca Konrada żywo protestuje: „Anhelli? — Nie“). Myśl tę Wyspiańskiego, przed laty w rapsodzie, teraz w dramacie wypowiedzianą, mamy za fałszywą, ale nie uznajemy za stosowne uzasadniać to, bo co ważniejsza, uważamy ją za sztucznie przez poetę z przeszłości na teatr dzisiejszego narodu wyciągniętą. Wyspiański — nawet, gdyby miał słuszność — walczy tu z maniakami, jest tragicznym Donkiszotem, a, co chociaż na paradoks zakrawa, jest tylko ironią losu, dopędza zupełnie niepotrzebnie dawnych „stańczyków“, którzy przecież także „poezyę precz“ odgonili od życia bieżącego narodu i to tak gwałtownie odgonili, że aż dzisiaj — nowy obraz ironii losu — ujmują się za nią przed Wyspiańskim. Wyzwolenie wypowiada myśl co najmniej od dwudziestu lat przesądzoną.

Jeszcze tylko jedno dzieło Wyspiańskiego mamy przed sobą, a krócej o niem, niż o kilku poprzednich powiemy. Bo cóż da się wogóle powiedzieć o Akropolis (z r. 1904), jeśli krytyk

chce nie snuć własne fantazye, ale usiłować wniknać w zamiar twórcy. Wysiłek byłby tutaj daremny — jedyny raz u Wyspiańskiego na prawdę daremny. Świadczę się tak nieuprzedzonym sędzią, jakim jest p. Jan Sten, który w Krytyce równie często jak p. Ortwin o poecie pisał, tylko bez zastrzeżeń redakcyjnych. Dla niego „Akropolis istotnie nie ma treści: nie pojmuję, dlaczego właśnie takie wyrazy składają się na ten dramat, dlaczego w takim właśnie są ustawione porządku, takiemi wyrazami mówią“. Treść Akropolis oczywiście ma, lecz tylko w materyalnem znaczeniu, tych „czterech aktów“ rzekomego dramatu nic z sobą nie wiąże razem, ich skojarzenie daleko luźniejsze niż przy Legionie, który nosił przecież nie „dramatu“ miano lecz „scen dwunastu“. Symptomatyczną rzeczą jest, że ten utwór jedyny z dramatycznych, ma objaśnienia obrazkowe i muzyczne, więc powinienby się jaśniej od innych tłumaczyć, a tymczasem on jeden na zawsze zagadką pozostanie, której rozwikłać nawet próbować nie można.

Rozbić go trzeba więc na części, na cztery akty, raczej samodzielne obrazy, czasem jeszcze każdy z nich na drobniejsze cząstki, a wtedy obok błahych ujrzy się bardzo ważne, obok bladych bardzo piękne. Już pierwsza scena w katedrze na Wawelu w nocy, jako pomysł jest niezwykle śmiałą i świetną. Że w teatrze ludzie kamienieją, to często się zdarza, że posągi żyją, już rzadziej, nigdzie z taką mnogością i wyłącznością jak tutaj, gdzie ludzi nie ma, są tylko kute z marmuru, lane ze srebra postaci poruszające się, mówiące jak żywe. Pomysł to zapewne barokowy: ci aniołowie podtrzymujący trumnę św. Stanisława, niewiasta i Amor z pomnika Ankwicza, pani z pomnika Skotnickiego itd. I chociaż dziwaczne, działałoby to niewątpliwie potężnie, gdyby te ożywione posągi o czem innem i inaczej z sobą rozmawiały. Ale gdy treścią ich pogwarów jest tylko gruchanie miłosne, bardzo ziemskie i bardzo swobodne, to monumentalność formy kłóci się z potocznością treści, a świetność pomysłu w wykonaniu staje się bezmyślnym kaprysem. Prawda: Klio i Tempus prowadzą poważniejsze rozmowy, ale tylko poważniejsze w tonie, konwencyonalne w treści. Drugi obraz to Troja nadwiślańska. Czemu nadwiślańska nie wiemy, bo ci ludzie wyglądają zupełnie na trojańskich Trojańczyków. Co więcej, zdaje się nam, że oni mają tym razem więcej historycznego charakteru, niż w dziejącej się pod rzeczywistą Troją Achilleidzie. Więc sceny to ładne, zwłaszcza pożegnanie Hektora z Andromachą, może piękniejsze niż

schillerowskie, bo mężniejsze. Prawda, że i tu są skazy, prawie umyślne; n. p., gdy Helena żegna się z rodzicami słowem „Pa-a!“ a Parys jeszcze dziecinniej: „Pa-a mamo!“ Dzwony z Maryackiej wieży, z poprzednią akcyą chyba niczem się nie łączą, ale same przez się dzwonią dźwięcznie i melodyjnie. Kassandra Wyspiańskiego natomiast nie dochodzi do złowieszczej grozy Kassandry Kochanowskiego. Trzeci akt polskości ma w sobie li tyle, że polskiem słowem — bardzo ładnem — parafrazuje wiszące niegdyś w katedrze gobeliny, przedstawiające historyę biblijnego Jakóba. Próby tłumaczenia, czego lub kogo symbolem w Polsce ma być Jakób lub Ezaw, nie podejmujemy się: z góry dociekanie za daremne uważając. W akcie czwartym „król-pieśniarz“ dźwiga niemal cały ciężar opowiadania, mimo to wznosi się w górę ku cudnemu zjawisku: wjeżdżającemu na rydwanie Apollinowi-Chrystusowi, skojarzenie postaci i pojęć w nowoczesnej poezyi dość częste, że wspomnimy tylko Ryszarda Dehmla. Odzywa się pieśń Zmartwychwstania „nad ludem, nad ziemią, nad polską ziemią krwawą, nad Akropolis, kędy drzemią królowie i ich prawo“. Ech ona głębszych nie budzi, jak i cały „dramat“, który jeśli zapewne w jaźni poety coś wielkiego znaczył, dla czytelnika jest tylko obrazem różnorodnych obrazów.

* * *

„Otośmy, drzewa na jesiennej słocie
i kłosy zżęte, rzucone na wichrze.“

Umarł, mając lat trzydzieści ośm. Tak wcześnie nie zgasło wielu z poetów, nawet nie ci, których przedwczesną śmierć się opłakuje: ani Schiller (lat 46), ani nawet Słowacki (lat 40); z wybitnych poetów wcześniej od niego ustąpili z tego świata Novalis, Petöfi, Byron i nasz Malczewski, w równym wieku zmarł Puszkin. Zamilkł Wyspiański w chwili, gdy dzieło za dziełem jeszcze wydawał, jakby się w przeczuciu zgonu śpieszył...

Po ludzku biorąc, żal ściska serce na widok tak przedwczesnej śmierci; ale z drugiej strony to samo ludzkie uczucie powiada, że śmierć była dla niego wybawieniem z mąk życia, niekiedy nad miarę bolesnego. A sąd literacki? Ten musi przytłumić ludzkie uczucie i z całą brutalną przedmiotowością zapytać: czy

ten wczesny zgon dla poety był korzystnym czy nie. Wychodzimy z dwóch danych, których prawdziwość żadnym nie podlega wątpliwościom. Po pierwsze faktem jest, że Wyspiański do ostatniej chwili zażywał popularności, w której żaden inny żyjący poeta mu nie dorównywał. Po drugie jednak tak samo niezbitym faktem jest, że kilka ostatnich jego dzieł nie obudzało silniejszego odzewu, że mówiąc po kupiecku, egzemplarze tych utworów w handlu księgarskim szły bardzo licho. W tem oczywiście jest sprzeczność wewnętrzna, sprzeczność, która długo trwać nie mogła. Co byłoby po niej nastąpiło: czy stopniowe osłabienie się popularności poety, czy odrodzenie zajęcia, dawniejszemi dziełami rozniecanego? Stawiając tak to zagadnienie, dotąd nie rozważane, lecz narzucające się despotycznie każdemu, piszącemu o Wyspiańskim już po jego zgonie, musimy zbadać oba wchodzące w grę czynniki: i popularność poety i stan jego talentu w ostatnich latach przed śmiercią.

Popularność Wyspiańskiego była zaiste olbrzymią: jego imię, tytuły jego dzieł, cytaty z nich były — i są jeszcze w chwili, gdy to piszemy — na ustach wszystkich, wyjąwszy małą garstkę stojących na uboczu z niechęcią w sercu i w rozumie, których wyrazem jest profesor Tarnowski. O „koteryi" Wyspiańskiego mówić nie wolno, najprzód dlatego, że pojęcie to wymaga czynnego udziału środka „koteryi", a Wyspiański przenigdy się sam nie reklamował, przeciwnie dla sławy swojej i rozgłosu mniej zachodów czynił, niż wielu ze współczesnych poetów, przedewszystkiem zaś z tego powodu, że utwory jego najskwapliwiej były drukowane przez redakcye czasopism o tych skrajnie przeciwnych społecznych, politycznych lub religijnych poglądach, jak jezuicki *Przegląd powszechny* i socyalno-demokratyczny *Naprzód*, konserwatywny *Czas* i postępowa *Nowa Reforma*. Zapewne, że jak zawsze tak i tutaj niemało zdziałał nacisk pewnej grupy na całe społeczeństwo, lecz ani w tem „koteryi" widzieć nie można, ani niepodobna nie uznawać faktu, że z tych czy owych powodów za Wyspiańskim szło całe bez mała polskie społeczeństwo. To fakt imponujący, przeczyć mu nie można, zarazem jednak niegodnem krytyka byłoby korzyć się przed nim bałwochwalczo, zrzekać się conajmniej prawa jego analizy. A ona nam na to zjawisko rzuci światło, wykrywające wiele rzeczy, publicznie dotychczas nie wyznawanych. Najprzód wykaże ona, że w narodzie polskim bardziej niż w innych szczęśliwszych, literaturę po lite-

racku tylko mogących sądzić, istnieje konieczność obrania sobie w każdej chwili poety, którego uważałoby się za przywódzcę a zarazem uosobienie ducha narodowego, aktualnych jego dążeń, wierzeń i poglądów. Gdy byłem uczniem gimnazyalnym, razem z rówieśnikami uczyłem się na pamięć poezyj p. Franciszka Nowickiego, który dzisiaj w żyjącej poezyi nic nie znaczy. Starszego, na Uniwersytecie, zastał mnie zapalny kult p. Kazimierza Tetmajera, dzisiaj zapewne nie mającego już nawet pretensyj do porywania za sobą całego narodu. Potem przyszedł p. Stanisław Przybyszewski, w obecnej chwili również poza nawias narodowego życia usunięty, potem Wyspiański. Tu jedna nawiasowa uwaga: Kto znając polskie społeczeństwo i wiedząc, że ono tylko za poetą idzie, a nie n. p. za mężem stanu, jak Niemcy (Bismarck), Włosi (Garibaldi) itp., kto, być może, że bolejąc nad tym faktem, niemniej jednak uznać go musi, ten nie powinien wobec kultu Wyspiańskiego bezwzględnie odpornie się zachowywać, choćby dlatego, że zluzował on kult Przybyszewskiego, a nie ulega chyba wątpliwości, który z nich dla polskiego ducha był zdrowszy, jak również nie wiem, kto ze współczesnych poetów zająłby ten, po Przybyszewskim opróżniony tron, gdyby na nim Wyspiańskiego od czasów *Warszawianki* a zwłaszcza *Wesela* nie posadzono.

Lecz stwierdziwszy, że Wyspiański uważany był w ostatnich latach za arcykapłana współczesnej Polski, nie wytłumaczyliśmy jeszcze, czy obiór króla istotnie z całą samowiedzą został dokonanym.

Naszem zdaniem powszechny kult Wyspiańskiego polegał w znacznej części na pomyłce, na złudzeniu. Postaramy się to szerzej przedstawić. Że nie był on skutkiem jego wybitnych zdolności czysto poetyckich, to pewna: wszak te utwory, które są ich najwyraźniejszem świadectwem, jak n. p. *Klątwa* lub *Protesilas i Laodamia* szerszemu ogółowi są prawie że nieznane. Wyspiański czczony przez naród cały, to nie twórca tamtych dzieł, nawet w mniejszej mierze autor *Warszawianki*, ale przedewszystkiem poeta *Wesela*, *Wyzwolenia* i *Legionu*. Zatem widocznie kult jego wynika nie ze ściśle artystycznych pobudek, tylko z innych, niewątpliwie z ideowych, z narodowo ideowych, jak zresztą temi pobudkami zawsze Polska się kieruje, ile razy poetę na „wieszcza“ pasuje. A te ideowe pobudki na tem zawsze polegają, że dany poeta jest wykładnikiem nastroju naro-

dowego w pewnej chwili, z twórczym talentem i w poetycki, kształt przyobleka zmysłowo to, co naród nieświadomie czuje myśli i marzy, i genialną intuicyę przędzę tych idei dalej snuje, wyprzedzając naród, pociągając go za sobą. Czy Wyspiański jest istotnie takim wykładnikiem polskiego ducha narodowego w obecnej chwili? Odrazu mówimy: nie, stanowczo nie. Jakaż bowiem jest zasadnicza myśl Wyspiańskiego? Jako poeta tragiczny wierzy w mistyczną potęgę śmierci, lecz idea ta, u niego dominująca, w rozważeniu przyczyn jego popularności nie ma żadnego znaczenia, bo da się zastosować do wyjątkowo tragicznych sytuacyj, i to nie narodu całego, nie mniejszego nawet zbiorowiska ludzi, tylko do jednostek. Druga zaś jego podstawowa myśl, to walka przeciw historyzmowi, szczególnie przeciw czarom, przez poezyę romantyczną na naród rzucanym. Czy zapatrywanie słuszne lub nie, o tem już była mowa, tutaj pytamy się tylko: czy zgodnem jest ono z dzisiejszym nastrojem polskiego społeczeństwa? Znowu odpowiedzieć musimy: nie. Że tak nie jest, świadczy o tem tysiące objawów: i obchody rocznic historycznych, i pokup popularnych książek historycznych, i nabite sale odczytowe podczas prelekcyj z tego zakresu — i w dziedzinie poezyi odmienna ale niesłabnąca miłość Mickiewicza. Co więcej twierdzimy, że idea Wyspiańskiego dotyka kwestyi wogóle dla polskiej społeczności dzisiaj już nie aktualnej: myśmy i z historyzmem i z romantyzmem już się załatwili, nie w tem znaczeniu, byśmy go odrzucili precz, lecz oznaczyliśmy już i jednemu i drugiemu rolę w obecnem naszem życiu — a oznaczyliśmy ją bynajmniej nie w duchu Wyspiańskiego — i nie uznajemy potrzeby przedsiębrania rewizyi tego orzeczenia. I oto dochodzimy z tego stanowiska do wniosku, który przeczy rozpowszechnionemu o Wyspiańskim sądowi: mamy go za poetę przeszłości, nie przyszłości. Zwalcza romantyzm, lecz jest jego ostateczną konkluzyą, konkluzyą, jak się to zwykle w dziejach ducha ludzkiego zdarza, negatywną, wrogą, jego samowładztwu ostatecznie kres kładnącą. Bo pytam się: gdzie jest — z jednym, jedynym wyjątkiem drugiej części P i a s t a, rzucającej jednak tylko cząstkowy problem, oraz scenicznego objaśnienia w W y z w o l e n i u — gdzie jest bodaj jedna myśl jego, któraby nie z przeszłością się zmagała, ale w przyszłość, taką lub owaką wiodła? Nie widzę żadnej, nie widzę żadnej nawet takiej, która, jeśli już nie na jutro, to bodaj na dziś mogła być hasłem, roi się tam natomiast od objawów jednej idei, w przeszłość zapatrzonej.

Skutki tego stanowiska dzisiejszej Polski wobec Wyspiańskiego, są dostrzegalne dla każdego, chcącego tylko widzieć, oka. Obok rozwielmożnionego kultu dziwna nieznajomość poety, poza przytaczaniem napisów dzieł jego i paru ustawicznie w kółko powtarzanych cytatów. Prawda, przyczynia się do tego i zawiłość, niejasność wielu utworów, niemniej jednak skutek to oczywisty instynktownego przeczucia, że jednak idea poety z naszem dzisiejszem narodowem życiem i z jego przypuszczalną najbliższą przyszłością mało, prawie nic nie ma wspólnego. Zahypnotyzowane społeczeństwo o tem nie mówi, zakrzyczałoby każdego, ktoby mu to w oczy powiedział, lecz czyż przez to milczenie usunie się z powierzchni ziemi niezaprzeczalny fakt? A jeśli tak jest, to spytajmy z kolei: czy stan ten mógł długo jeszcze trwać? Chyba nie, zmiana jego byłaby konieczną, musiałaby nastąpić. Mogłaby się dokonać w dwojaki sposób: albo Wyspiański uległby jej, albo jego kult. Wyspiański zmieniłby się, gdyby ideę swoją naczelną zastosował, że się tak prozaicznie wyrazimy, do biegu i rozwoju narodowego samopoczucia: kult jego doznałby zmiany, gdyby społeczeństwo jakiś czas oślepione widokiem wspaniałego „meteoru" otworzyło przecież w końcu oczy i spostrzegło, że błyskawice zostały w tyle, naród sam poszedł dalej, coraz bardziej od nich się oddalając. Która ewentualność miałaby za sobą więcej prawdopodobieństwa? Nawet gdybyśmy przypuścili, że dobroczynny cud przywróciłby schorzałemu poecie dawną świeżość fizyczną i intellektualną, w możliwość pierwszej zmiany uwierzyć nie podobna. Pamięci zmarłego nie ubliżamy twierdząc to śmiało, owszem najniższy pokłon jej oddajemy, bo wszak zaprawdę wielkim być musiał ten, co sam stał, nietknięty zewnętrznymi, choćby najsilniejszymi powiewami. Ale że zmienić się on nie mógł, to pewna: on od początku do końca jest ten sam, zmianom podlega zewnętrzny objaw jego ducha, ale treść jego jest już od początku w nim, zrazu nieznacznie kiełkująca, później wyrosła, w końcu niestety przerosła. Pomyśleć nawet nie można, nie chcąc niweczyć wszystkiego, co w naszej wyobraźni jako wcielenie Wyspiańskiego się utworzyło, by mógłby on wlać w swe żyły nową krew, bo choćby to była najserdeczniejsza krew narodu, jego krwią już by nie była. A więc?... Jeśli pierwsza zmiana urojeniem niemożliwem jest, to wskutek tego druga musiałaby być koniecznością, czyli że... nadszedłby może już rychło czas, w którym by społeczeństwo polskie spostrzegło odległość dzielącą je od Wyspiańskiego...

Mimo to wszystko dłużni jeszcze jesteśmy odpowiedź: jak wytłumaczyć olbrzymią jego popularność. Jeśli jej przyczyną nie jest nieistniejąca identyczność jego osobistego i naszego narodowego ducha, to gdzież jej szukać, bo jakaś przecież być musi. Tak jest. Wyspiański porwał za sobą prawie wszystkich, bo był z rodu tych potężnych, którzy porywają za sobą ogół nie szczegółową treścią swych myśli i uczuć, ale mocą swej indywidualności, syntezy swego ducha. Wymieniłem kilka poetów, którzy przed nim w opinii publicznej królowali, jeden doniosłem hasłem społecznem, drugi narkotyzującym pesymizmem, trzeci rozpalającym nietzscheanizmem. Ale przyszedł czas, kiedy Polak nie chciał ani burzyć istniejącego świata, ani zamknąć się w komórce swego nędznego „ja“, ani też w egotyzmie za „nadczłowieka“ się uważać: przyszedł czas, kiedy zapragnął być znowu Polakiem, a po latach najprzód martwoty, potem spokoju, rwał się, szamotał, Prometeja uśpionego począł w sobie rozbudzać. I na czasy przyszedł poeta, który był „jak meteor, jak błyskawice“, który wołał „siecz i pal i depc i płuż“, przyszedł duch, pokrewny Słowackiemu, wykonawca jego testamentu, zbrojny w jego „siłę fatalną“, która nas „gniecie niewidzialna“. I poszedł za nim naród, jego huraganem porwany, jego błyskawicami oślepiony, jego pieśnią oczarowany, jego grzmotem ogłuszony. Poszedł, nie wiedząc dokąd, a raczej: że był synem epoki, która poezyę oddzieliła już nie tylko od codziennego życia, ale i od narodowych wskazań, szedł i bez zamiaru rzeczywistego wchłaniania w siebie jego idei i bez obawy by zaszedł tam, dokąd iść nie chce, iść nie powinien.

Zstąpmy niżej. Z mglistych wyżyn narodowego znaczenia Wyspiańskiego schodząc na jasną równinę czystego sądu estetycznego, zastanówmy się nad tem, jaki o nim wydać trzeba, jako o poecie-artyście. Co znaczy on najprzód na tle dzisiejszej poezyi, polskiej i świata całego.

Że ze współczesnych był największym, to pewna: ani równego, ani nawet prawie równego na dzisiejszym polskim Parnasie nie widzimy. Czy był „wielkim“? Kto na to zdoła szczerze, z ręką na sercu odpowiedzieć? Gdzie jest kryteryum prawdziwej „wielkości“, gdzie skala jego miary. Ilu było takich „wielkich“ poetów, wielkich bez cienia małości? Bajeczny Homer, ze znanych Dante, Szekspir, Goethe, Mickiewicz — i na tem chyba koniec. — Co Wyspiańskiego robi tak wielkim, nie jak owi, tutaj wymienieni, ale w naszym czasie największym? Przedewszystkiem olśniewające

bogactwo wyobraźni. Tej w równym stopniu nie posiada ani Tetmajer ani Kasprowicz, ani nikt inny. Prawda, ta wyobraźnia z początku zaraz czasem, a potem bardzo często jest rozhukaną; prawda, że od początku do końca jej konkretny wyraz nie dorównywa jej wewnętrznemu ogromowi — ale owe wady i niedostatki tamtego twierdzenia obalić nie zdołają. Samodzielność Wyspiańskiego jest rodzaju tak dziwnego, że zagadkowością przewyższa nawet tajejemniczość Słowackiego. Ten wchłaniał w siebie mnóstwo pierwiastków, przetwarzał je, ale zawsze zachowywał ich oryginalne walory; Wyspiański gorączkowo to ztąd to zowąd do swych wizyj podniete bierze, ale ponadto pierwotny materyał do niepoznania przemianowuje, co więcej nieraz biorąc go, zwalcza go jednym tchem: takim jest n. p. jego stosunek do Mickiewicza i Krasińskiego z mesyanicznego ich okresu (o tem, że, podobny do Słowackiego, w małym tylko stopniu jest od niego zależnym, była mowa już we wstępie). Niepodobny rozmachem wyobraźni do żadnego ze współczesnych poetów ojczystych, zbliża się już więcej do nich formą: nie stylem i nie językiem, kształconym raczej na archaistycznych wzorach, często gienialnie, czasem dziwacznie odtwarzanych, nie jędrną, niekiedy brutalną obrazowością, nie rytmiką, stroniącą zazwyczaj od wyrafinowanego kunsztu „modernistów“, lecz dążeniem tchnięcia w język i rytm i rym nie dającego się uchwycić nastroju. A jak jest sobą, zależnym bardziej od obcych niż od swoich, tak naśladowcy ani nie znalazł, ani zapewne nie znajdzie: próby kopiowania były, odepchnięte zostały i przez krytyków i przez szerszą publiczność, bez badania nawet, czy są udałe czy poronione, bo i najsubtelniejszy i najnaiwniejszy Polak odczuwa — tamten świadomie, ten bezwiednie — że Wyspiańskiego, przynajmniej Wyspiańskiego — poetę naśladować i niepodobna i — nie wolno.

Co znaczy w poezyi wszechświatowej? W założeniu trzeba stwierdzić, że zagranica nie zna go zupełnie; we Francyi, Anglii, Włoszech, Ameryce — mówimy tylko o Zachodzie, o słowiańskim Wschodzie wiadomości nie mamy — znają Sienkiewicza, w Niemczech obok niego potrosze i Tetmajera i Kasprowicza i Żeromskiego, oczywiście także i nawpół niemieckiego Przybyszewskiego. Wyspiańskiego nie znają dotąd, nie poznają w pełni nigdy. Nigdy Francuz lub Niemiec nie zrozumie ani *Wesela* ani *Akropolis*, nie pojmie całego czaru nawet *Warszawianki*. Za to *Klątwę*, *Protesilasa* zrozumie i pojmie,

a doprawdy szlachetną ambicyą polskich tłumaczów, niemieckim poetyckim językiem dobrze, ale bardzo dobrze władających, czy może Niemców, polski język znających powinno być dążenie do uprzystępnienia bodaj częściowo Wyspiańskiego narodowi, który z zaciekłością polityczno-narodową łączy od wieków gościnność dla obcych literatur, a te właśnie dramaty neoklasyczne z pewnością życzliwie przyjmie. Brak uznania zagranicy łączy naszego poetę z największymi naszymi wieszczami, z Mickiewiczem i Słowackim. A szkoda, bo Europa nie będzie znać poety, któryby i na tle jej literatury wydał się potężnym meteorem...

Wreszcie, nim pióro odłożymy, spytajmy, jakie są przypuszczalne losy Wyspiańskiego — jako poety, jako artysty, nie jako przywódzcy narodu, jako wieszcza — w bliższej lub dalszej przyszłości. Pytanie ponętne, odpowiedź zawsze niebezpieczna. Tu tem bardziej, że cały szereg dramatow jego nie przeszedł jeszcze ogniowej próby scenicznej, która sama jedna do ostatecznego sądu może uprawnić. Wystawić je trzeba, choćby z samych artystycznych i z czysto przedmiotowych powodów: by ostatecznie zobaczyć całe jego „dzieło“ w teatrze, dla którego było pisanem. Jaką drogą to się stać ma i może, to już do nas nie należy. Z tem zastrzeżeniem, jakżeż sobie wyobrażamy przyszłość Wyspiańskiego? Że z biegiem lat maleć będzie jego znaczenie ideowe, to szeroko powyżej już powiedzieliśmy. Równolegle z tem punkt ciężkości przenosić się będzie i do dzieł czysto poetyckich, jak Klątwa, Meleagen, Protesilas i do tych ideowych, w których idea łatwo jest zrozumiałą a artystyczny kształt również prostolinijnym: więc do Kazimierza Wielkiego, do Warszawianki, wreszcie do Wesela. Tym sześciu dziełom z całej bogatej spuścizny mistrza najdłuższe rokujemy życie, szczerze mówiąc tym tylko długowieczność prorokujemy: a dość ich i tak, by być nieśmiertelnym.

Ponad tem wszystkiem jednak najsilniejszą rękojmią nieśmiertelności poety jest fakt, że jak huragan przeleciał nad współczesnem pokoleniem. O takich nigdy się nie zapomina. Więc możemy na zakończenie przepisać pierwszą oktawę rapsodu o Kazimierzu Wielkim, zwłaszcza, gdy celem uspokojenia literackich krytycznych skrupułów przedostatni jej wiersz nie do przyszłości, ale do współczesnego poecie pokolenia odniesiemy:

„Wielkości! komu nazwę twą przydano,
ten tęgich sił odżywia w sobie moce,

i duszą trwa, wielekroć powołaną,
świecącą w długie narodowe noce;
więc, choć jej świeży grób opłakiwano,
przemoże Śmierć i trumien głaz zdruzgoce;
powstanie z martwych na narodu czele
w nieśmiertelności królować kościele."

W Krakowie, w styczniu 1908 r.

Dr. Józef Flach.

Mieleccy,

dziedziczni na Mielcu panowie.[1]

Ród Mieleckich w Polsce XV. i XVI. wieku był jednym z pierwszych. Wyniósłszy się majątkiem i znaczeniem oraz poparciem dworu królewskiego ponad inne rody, Mieleccy w owym czasie weszli do nielicznego grona tych magnatów, którzy zaznaczali swą wolę we wszelkich dziedzinach działalności państwowo-społecznej, z którymi nawet królowie liczyć się musieli. Szczególniej wiek XVI. był dla Mieleckich pomyślny. Za panowania ostatnich Jagiellonów, Zygmunta Starego, Zygmunta Augusta i za Stefana Batorego, Mieleccy zajmują pierwsze senatorskie godności — kasztelanów, wojewodów, marszałków, dowodzą wojskami Rzeczypospolitej na wojennych wyprawach, gromadzą też w swych rękach liczne starostwa, z których dochody do ich kas płyną.

Jan Mielecki jest w r. 1547 wojewodą podolskim, zostaje starostą chmielnickim w r. 1548, starostą grodeckim r. 1550, marszałkiem wielkim koronnym dn. 21. czerwca 1555 r. i starostą samborskim w r. 1558.

Sebastyan, brat Jana, jest kasztelanem wiślickim roku 1550, starostą brzeskim w r. 1566, zostaje kasztelanem krakowskim w r.

---

[1]) Szkic niniejszy jest wyjątkiem z większej pracy, poświęconej dziejom ziemi Mieleckiej.

1569. Sprawuje poselstwo do królowej Izabelli węgierskiej wraz z biskupem Andrzejem Zebrzydowskim w r. 1549.[1])

Mikołaj, syn Jana, jest wojewodą podolskim w r. 1572, na akcie z r. 1583 nosi tytuł „Ziemie Podolskiej wojewoda Grodecki, Nowego Miasta Korczyna, Żarnowiecki etc. starosta".[2])

Hieronim, syn Sebastyana, tytułuje się w r. 1583 „Brześcia Kujawskiego starosta", w r. 1596 jest starostą sandomirskim.

Nietylko najwyższe świeckie urzędy zajmowali w tym czasie przedstawiciele rodu Mieleckich. Widzimy ludzi tegoż imienia i na wyższych stanowiskach duchownych. Mikołaj Mielecki, z linii pochodzącej od Waleryana, zostaje opatem tynieckim w końcu wieku XVI.

Przez związki pokrewieństwa Mieleccy wiążą się z najpierwszymi i najpotężniejszymi domami w Polsce: Tęczyńskich, Radziwiłłów, książąt Słuckich Olelkowiczów, Tarnowskich, Chodkiewiczów. Mikołaj Mielecki, syn Jana, pojął za żonę Elżbietę, córkę Mikołaja Radziwiłła Czarnego[3]) na lat kilka przed zaślubieniem przez Zygmunta Augusta Barbary Radziwiłłównej. Córka Sebastyana, Zofia, wyszła za mąż za Stanisława Tarnowskiego, po którego bezpotomnej w r. 1586 śmierci obszerne dobra, jakie posiadał Stanisław Tarnowski, przeszły choć już nie na długo w dom Mieleckich.

Pomimo tej świetności i istotnego znaczenia, jakie Mieleccy w XVI. wieku niezaprzeczenie posiadali, skąpe zaledwie mamy historyczne wiadomości o przedstawicielach tego rodu. Pamiętników żaden z Mieleckich nie pozostawił. Ich papiery rodzinne, o ile można sądzić, zaginęły. Przechowała się pewna ilość listów Mikołaja Mieleckiego do różnych osób pisanych,[4]) dają one jednak

---

[1]) Andrzeja Zebrzydowskiego Korespondencya, nr. 408. Zebrzydowski w styczniu 1549 r. pisał do królowej Bony: „nam miti collega ad id muneris non ex Palatinis quispiam, ut ego cupiebam, sed Castellanus Vislicensis est adsignatus".

[2]) Przywilej z r. 1583 dla proboszcza mieleckiego, zachowany w Archiwum konsystorskiem w Tarnowie.

[3]) Z czterech sióstr:

Krystyna wyszła za mąż za Jana Zamoyskiego;
Zofia — za Achacego Czemę:
Anna — za Mikołaja Buczackiego;
Elżbieta — za Mikołaja Mieleckiego.

[4]) W Bibliotece Raczyńskich, teraz miejskiej w Poznaniu, znajdują się listy Mikołaja Mieleckiego do Radziwiłłów. (Kwart. histor.

nie wiele materyału do charakterystyki ich autora. Z niewielkiej ilości wzmianek dawniejszych dziejopisów lub pamiętnikarzy i z aktów urzędowych z trudem tylko można odtworzyć oddzielne postacie Mieleckich, scharakteryzować ich działalność publiczną i skreślić właściwy każdemu charakter. Sylwetki ich, oglądane po przez mroki przeszłych wieków, są blade, nie tchną życiem, podobne są do bardzo starych portretów, na których kolory wskutek starości wyblakły, osoby na nich przedstawione nie mają rysów indywidualnych, a zbliżają się do typów.

O Janie Mieleckim z kroniki Bielskiego wiemy, że był to mąż „surowy i rządny". Mikołaj był hetmanem „rozumu i dowcipu wielkiego". Takie określenia są zbyt ogólnikowe, brak w nich rysów indywidualnych.

Paprocki, chociaż był świadkiem największego rozkwitu tej rodziny, mało o Mieleckich mówi, a Niesiecki w Herbarzu Polskim pisze, opierając się na wiadomościach podanych przez Paprockiego, że Mieleccy „idą od Klemensa z Ruszczy, wojewody Krakowskiego 1252 r., kiedy się jednak wydzielili od Branickich i z Mielca Mieleckimi pisać poczęli, zgadnąć nie mogę. Najpierwszego pod tem imieniem kładą autorowie Stanisława Mieleckiego, kasztelana Zawichojskiego. Z tym tytułem podpisał list Zygmunta I. w r. 1531 i umiera w r. 1532, czego świadkiem nagrobek jego w Mielcu."

Późniejsze herbarze, nie wyłączając prac najnowszych, zapewne dla braku dostatecznych źródeł, a może i dla tego, że ród dziś już wygasł, o Mieleckich przemilczają.

Poszukując materyału do historyi miasta Mielca, natrafiłem na pewne dokumenty, które dorzucają trochę nowych wiadomości do dziejów panów dziedzicznych na Mielcu. Pozwalają nam one cofnąć się jeszcze o dwa pokolenia w głąb wieków od Stanisława, wymienionego przez Niesieckiego i dają możność poznać gospodarczą działalność sześciu pokoleń panów na Mielcu. Sądzić można, że Mieleccy naśladowali Tarnowskich, z którymi byli skoligaceni. Środki i sposoby, używane przez Tarnowskich dla podniesienia Tarnowa, zostały zastosowane przez Mieleckich dla rozwoju Mielca. Dziedziczni na Mielcu panowie wyrabiali dla swego mia-

---

t. IV. r. 1890, str. 236 w artykule Listy Jana Zamoyskiego do Radziwiłłów 1574—1602). Teodor Wierzbowski w Uchańscianach wydał jeden list tegoż Mikołaja Mieleckiego do Hieronima Ossolińskiego, t. IV. str. 303.

sta przywileje królewskie na prawo odbywania jarmarków, sądzenia się prawem Magdeburskiem, sprowadzali rzemieślników, zatwierdzali przywileje cechowe, starali się o wytworzenie z Mielca punktu centralnego dla całej okolicy. Pod tym względem wyróżnia się szczególniej działalność Stanisława Mieleckiego, kasztelana zawichojskiego. On też wyrobił u biskupa krakowskiego podniesienie mieleckiego probostwa do godności prepozytury, której miały być podległe: kościół filialny w Chorzelowie i kapelania w Jaślanach.

Przywileje wydawane dla miasta zachowały się do naszych czasów, choć drukiem nic z nich nie zostało ogłoszone. Posiłkując się nimi, można nakreślić sylwetki tych panów na Mielcu, którzy z dziejami miasta bliski mieli związek.[1])

Powyższe akta i dokumenty, oraz zapisy zeznane w Aktach Grodzkich na rzecz osób prywatnych, pozwalają nam ułożyć następującą tablicę genealogiczną panów na Mielcu:

---

[1]) Powołuję się na dokumenty następujące, przechowane w Archiwum probostwa mieleckiego, w konsystorzu tarnowskim lub w kopiach i wypisach w tabuli krajowej we Lwowie.

Przywileje cechowe znajdują się w rękach cechów:

1. Przywilej z r. 1595 dla cechu szewskiego, zawierający transumpt przywileju cechowego z r. 1437.
2. Dokument z r. 1452 o nadaniu miastu prawa Magdeburskiego.
3. Akt rozgraniczenia dóbr Mieleckich od Żochowskich z r. 1459.
4. Potwierdzenie nadania prawa Magdeburskiego z r. 1470.
5. Akt kupna przez Jana i Bernarda Mieleckich Wojsławia od Jana Skrzątko z r. 1480.
6. Przywilej króla Aleksandra na dwa jarmarki z r. 1502.
7. Zamiana pewnych gruntów pomiędzy dziedzicem Mieleckim a dziedzicem z Żochowa z r. 1510.
8. Akty kupna Zgórska i Brześcia z r. 1512 i 1514.
9. Przywilej Zygmunta I. na pobieranie myta z r. 1522.
10. Dokument fundacyjny prepozytury mieleckiej z r. 1526.
11. Dział dóbr pomiędzy trzema braćmi, synami Stanisława Mieleckiego, z r. 1542.
12. Przywilej dla cechu krawieckiego z r. 1556.
13. Zrzeczenie się przez dziedziców Mieleckich na rzecz proboszcza mieleckiego prawa do pobierania myta mostowego, jarmarcznego i targowego w Mielcu z r. 1583.
14. Ugoda i postanowienie przyjacielskie między IchMM. Panem Janem Mieleckim a panem Sebastyanem Ligęzą.
15. Akt uposażenia probostwa mieleckiego z r. 1595 przez Zofię z Mieleckich księżnę Słucką.

Stanisław (żyje w r. 1437).

Jan i Bernard, bracia.
| żona Pniowska.

Anna † 1532 za Mik. Firlejem. — Stanisław. kaszt. zawichojski † 1532, | żona Elżbieta z Tęczyńskich. — Andrzej † 1529.

Jan, wda podolski, 1501—1561, | żona Anna z Kotów. — Sebastyan † 1575, | żona Zofia Kościelecka. — Waleryan † 1553, | żona Kamieniecka. — Dwie córki.

Mikołaj. H. W. K.. † 1585, | żona Elżbieta Radziwiłłówna. — Hieronim, † przed r. 1597, | żona Jadwiga de Kosmanicze. — Zofia. żona Stanisł. Tarnowskiego. — Jan. — Stanisław, *S. J.* — Córka za Trzecieskim.

Zofia, 1° księżna Słucka. 2° Chodkiewiczowa. — Katarzyna, żona Ostroroga, wdy poznańskiego. — Anna, 1° Ocieska. 2° Ratowska.

Hyacynt. — Krzysztof. — Marcin, żona Zofia Stanisławska. — Mikołaj, opat tyniecki, † 1604. — Jan, żona Fredrówna. — Krystyna i Katarzyna.

Wnukowie z linii Waleryana posiadali już tylko resztki fortuny Mieleckich: Bren, Dąbrówkę, Mitonin, Wrzoski, ale i z tych posiadłości, w dzisiejszym powiecie mieleckim położonych, ustępują w drugiej połowie XVII. wieku. Ród Mieleckich wygasł w r. 1771.

Początki rodu są ciemne. Mieleccy — to gałęź rodu Branickich, wspólny im obu herb Gryf, ale kiedy na Mielcu osiedli i Mieleckimi zwać się poczęli, jak mówi Niesiecki, kwestyi tej, na podstawie posiadanych źródeł, rozstrzygnąć nie można. Długosz, pisząc o potrzebie pruskiej i bitwie pod Grunwaldem, przy wyliczeniu chorągwi, które w niej uczestniczyły, wymienia jako chorągiew 46-tą oddział Gryfitów, mających za znak swój gryfa białego na czerwonem polu.[1]) Byli więc pod Grunwaldem i służyli wojskowo Władysławowi Jagielle, protoplaści rodu Mieleckich, mógł być i Stanisław, którego przywilej z r. 1437 przechował się do naszych czasów. Nie wiemy, zkąd do Mielca przybyli. Jedną rzecz można przyjąć za fakt pewny, że Mieleccy wzięli swą nazwę od Mielca, że nie oni Mielec fundowali, ale od istniejącej już osady tego nazwiska zwać się poczęli. Na dowód tego twierdzenia można przytoczyć dwa bardzo charakterystyczne szczegóły.

Długosz, któremu wybornie były znane współczesne w Polsce stosunki, opisując w „Liber beneficiorum“ kraj nad Wisłoką, gdzie leżały rodowe posiadłości Mieleckich, nie wymienia ich nazwiska. Widocznie w jego czasach rodzina ta nie miała jeszcze tego znaczenia, jakie później zdobyła.

W procesie, który się toczył w wieku XVIII. pomiędzy właścicielem Mielca, Michałem Ossolińskim, kasztelanicem czchowskim, a proboszczem mieleckim, Andrzejem Ankwiczem, kanonikiem krakowskim, poprzednikiem na mieleckiem probostwie ks. Hugona

---

16. Ecclesiae Mielecensis dotatio. Hospitalis Mielecensis dotatio z r. 1599.
17. Nadanie Kacprowi Janowskiemu przez Hieronima Mieleckiego ogrodu z r. 1596.
18. Zamiana gruntów pomiędzy proboszczem mieleckim a Anną z Mieleckich Ocieską.
19. Potwierdzenie przez Karola Chodkiewicza praw plebana mieleckiego z r. 1605.
20. Akty procesu o dziesięcinę i uposażenie kościoła mieleckiego z r. 1767. Wyrok trybunału lubelskiego w tej sprawie.

[1]) Długosz, Opera omnia, t. IV., str. 40/1.

Kołłątaja, na żądanie sądu przedstawiono wszelkie akty, jakie w XVIII. wieku do posiadłości Mieleckich zebrać można było. Pierwszym co do czasu jednak aktem, w którym o Mieleckich jest mowa, była umowa kupna wsi Wojsław z r. 1480. O poprzedniej gospodarce Mieleckich na Mielcu i w aktach procesowych nie znajdujemy wzmianki. Pierwszych więc przedstawicieli rodu i nazwiska Mieleckich spotykamy dopiero w wieku XV.

Mielec zaś, lub jak w aktach czasem był pisany Mielce, była to osada bardzo stara, sięgająca dawnych piastowskich czasów. Już dokument z r. 1229, którym Grzegorz IX. papież bierze pod swoją opiekę posiadłości i przywileje klasztoru tynieckiego, mówi, że do uposażenia tego klasztoru należała dziesięcina de Sucow i dziesięcina z dwóch Mielców.[1]) Długosz zaś, mówiąc o posiadłościach i należnościach Tyńca, pisze, że Mielec dawał dziesięcinę z dwóch osad.[2]) Wyrażenie duorum Mielec, przytoczone w dokumencie z r. 1229, powtórzone przez Długosza, znajduje swe potwierdzenie w aktach późniejszych. Kancelarya kościelna miała dobrą pamięć i o dziesięcinie z Mielca nie przepomniała. Istnieje układ, zawarty 9. lutego 1550 roku, potwierdzony wizytacyą biskupią z r. 1595, którym klasztor tyniecki ustąpił dziesięcinę tak zwaną Tyniecką, z Woli Mieleckiej i z dworu zwanego Rytwiański,[3]) mansyonarzom mieleckim za stałą kwotę 5 grzywien rocznie. Istotnie też mansyonarze mielеccy powyższą kwotę przeorom tynieckim uiszczali, przechowały się bowiem kwity z odbioru tej sumy, wystawiane w imieniu klasztoru.

O jakiejś odwiecznej żupie Gryfitów-Świebodziców Mieleckich nad Wisłoką w tem znaczeniu, w jakiem o żupach rodowych mówi pr. Piekosiński,[4]) mowy być nie może. Wyniesienie się ich na wyżyny znaczenia socyalnego samo już może starczyć za dowód, że nie wyrośli z gruntu miejscowego.

---

[1]) Codex diplomaticus Monasterii Tinecensis, str. 24, nr. 11 b: „Decimam de Sucow et decimam duorum Melec...“

[2]) Liber benef. t. III. str. 216: „Myelyecz, decimae duarum villarum...“

[3]) ...decimam sic dictam Tyniecensem de Wola Mielecka et ab aliquot civibus a praedio Rytwiański dicto... (Z aktów probostwa mieleckiego).

[4]) Za żupę Gryfitów przyznaje pr. Piekosiński Gumniska i Dębice w Pilzeńskiem. (Rycerstwo polskie wieków średnich).

Polskę można podzielić na cztery terytorya, przez które wybitne nasze rody przechodziły, dochodząc do coraz większego znaczenia: Wielkopolskę, Małopolskę, Ruś Czerwoną i Ziemie Ukrainne (Wołyń, Podole, Ukraina). Właśnie te rody skupiały w swem ręku majątek i siłę, które odrywały się od własnego rodowego gniazda, a zarazem od rodowych, miejscowych więzów tradycyjnych i przenosiły się za nadaniem królewskiem lub biorąc posag w inne okolice. Dopiero na nowym gruncie niektóre rodziny wzbijały się w górę. Wielkopolska była krajem najdawniejszej kultury i miernych majątków, w Małopolsce i w województwach łęczyckiem i sieradzkiem spotykamy już liczniej znaczne dobra w jednem ręku. Potomkowie zaś rodzin, które w Małopolsce doszły do znaczenia, przenosząc się przy pomyślnych dla nich okolicznościach na Ruś i Ukrainę, zakładali magnackie fortuny, które można porównać do księstw Rzeszy Niemieckiej. Kto pozostawał na miejscu, ten wśród swoich wybujać w górę nie mógł, majątek rodowy rozdrabniał się przez podziały wśród licznego potomstwa i ród pozostawał na stopie miernej równości z sąsiadami.

Protoplastów wielkich rodów z zasady szukać należy nie w tej okolicy, gdzie ich potomkowie do znaczenia doszli. I Mieleccy również musieli przybyć z Zachodu lub Północy. Pewne dane każą przypuszczać, że przyszli z za Wisły, z Sandomirskiego. Nowonabywcy Wojsławа w r. 1480 Jan i Bernard Mieleccy w akcie kupna nazywani są haeredes de Kaliszany. Kaliszany leżały w okolicach Opatowa.[1]) Z poza Wisły pochodzili Ligęzowie, którzy w XVI. wieku panowali na sąsiednim z Mielcem Przecławiu. Z części sandomierskiego województwa, położonej za Wisłą, pochodzili i Rytwiańscy, którzy w XIV. i XV. stuleciu posiadali znaczne majątki na północy dzisiejszego powiatu mieleckiego, koło ujścia Wisłoki do Wisły. W tamtych też okolicach należałoby szukać pierwotnego rodzinnego gniazda Mieleckich.

Pierwszy dokument, w którym spotykamy imię Mieleckich, jest akt z r. 1437, potwierdzony w r. 1595. Aktem tym Stanisław Mielecki nadaje prawa cechowe korporacyi szewców w Mielcu.

Podobny akt dla cechu krawców, do którego włączono kuśnierzy i sukienników, zatwierdzają w r. 1556 Jan i Sebastyan Mieleccy.

---

[1]) Do Mieleckich za Wisłą należały też dobra Orzelec Mały i Wielki w okolicach klasztoru Beszowskiego, oraz Gierczyce.

Drugim w porządku chronologicznym po akcie z r. 1437 dokumentem, w którym występuje imię Mieleckich, jest rozgraniczenie dóbr, należących z jednej strony do Jana Mieleckiego, z drugiej do Stanisława Tarnowskiego z r. 1459. Akt ten został ogłoszony w Archiwum książąt Sanguszków w Sławucie [1]) z kopii pochodzącej z XVIII. stulecia. Po porównaniu kopii tej z oryginalnym dokumentem pargaminowym, przechowywanym w Zakładzie imienia Ossolińskich we Lwowie [2]) przekonałem się, iż kopia ogłoszona w Archiwum Sławuckiem zawiera dużo błędów. Dość powiedzieć, że Feliksa Tarnowskiego przemieniono w kopii na Franciszka, choć żaden z licznie rozrodzonego rodu Tarnowskich tego imienia nie nosił.

Po powyższych dwu aktach następują dwa dokumenty, dotyczące fundacyi miasta z nadaniem mu praw magdeburgii. Jeden z nich nosi datę r. 1470, wydany jest przez króla Kazimierza Jagiellończyka dla braci niedzielnych Jana i Bernarda Mieleckich.

Prócz powyższego aktu istnieje jeszcze drugi, z r. 1502, sporządzony w kancelaryi króla Aleksandra na prośbę Stanisława Mieleckiego. W akcie tym jest mowa, że miasto Mielec posiadało swe dawne prawa i przywileje, które w pożarze zgorzały. Stanisław Mielecki miał przedstawić do ponownego zatwierdzenia kopię przywileju Kazimierza Jagiellończyka, którą król Aleksander w r. 1502 zatwierdza. Przedstawiona kopia miała pochodzić z r. 1452, nie jest ona identyczną z przywilejem z r. 1470. Szczegółów nowych nie zawiera. Król Aleksander zatwierdza w Mielcu 2 jarmarki.

W r. 1480 Jan i Bernard, bracia rodzeni (fratres de Kalischany) kupują położoną w sąsiedztwie Mielca wieś Wojsław. Nie można swierdzić, czy wymienieni już kilkakrotnie bracia Jan i Bernard byli synami Stanisława Mieleckiego, od którego pochodzi przywilej z r. 1437. Daty pozwalają przypuszczać, że należeli do następnego po Stanisławie pokolenia.

Przedstawicielem trzeciego znanego nam pokolenia panów na Mielcu jest wzmiankowany przez Niesieckiego Stanisław, kasztelan zawichojski. O nim posiadamy już więcej wiadomości, niż o jego poprzednikach. Kasztelana zawichojskiego należy uważać za fundatora majątku Mieleckich.

---

[1]) Tom II. nr. 157.

[2]) Dokument nr. 1.036.

Według taryfy poborowej z r. 1508, ogłoszonej w Źródłach Dziejowych do Polski XVI. wieku przez Adolfa Pawińskiego, Stanislaus de Mieliecz posiadał dobra następujące: Mielec, Trzcianę, Chrząstów, Złotniki, Chorzelów, Długą Wolę, Cyranową i Cmolas. Płacił on do skarbu grzywien 20 poboru. gdy w tymże czasie z dóbr w województwie sandomierskiem, w tejże okolicy w dawniejszym powiecie pilzeńskim położonych, Stanisław Tarnowski opłacał grzywien 26, a inny potentat majątkowy tamtych czasów, Mikołaj Ligęza z Bobrka, dawał grzywien 32 groszy 36. [1])

Kasztelan zawichojski przysporzył ziemi dziedzicznej. Musiał wziąć znaczny posag za żoną Elżbietą z Tęczyńskich. W aktach krakowskich [2]) pod r. 1504 znajdujemy oświadczenie, że Elżbieta, żona Stanisława Mieleckiego, ustąpiła swym braciom, Janowi i Andrzejowi, dobra spadłe na nią po śmierci stryja Andrzeja za sumę 400 złotych węgierskich. Pieniądze te zapewne wpłynęły do skarbu Stanisława Mieleckiego.

Wkrótce też rozszerza on swe posiadłości przez kupno w r. 1512 Zgórska od Piotra Pacanowskiego za 800 złotych węgierskich i Brześcia w r. 1514 od Hieronima Szczepanowskiego za 500 zł. węgierskich. [3]) W roku 1529 kupuje za 120 grz. sołectwo we wsi Kawęczyn od Niepelskich. [4])

Zgórsko stało się pańską rezydencyą, gdzie przemieszkiwali zarówno Mieleccy, jak i ich następcy na Mielcu — Ossolińscy.

W r. 1522 kasztelan zawichojski uzyskał od króla Zygmunta przywilej na pobieranie myta drogowego i mostowego od każdego wozu z towarami po 4 denary czyli obole. Wzamian za to myto przyjął na siebie obowiązek utrzymywania w dobrym stanie dróg, prowadzących do Mielca „przez miejsca wielce błotniste i wód pełne, tak że zaledwie z wielką trudnością przejechać tamtędy można“. [5]) Tenże Stanisław uposażył kościół mielecki. Dokument

---

[1]) Małopolska. t. XIV. i XV.

[2]) Acta judicii terrestris Cracoviensis l. XXVIII. str. 194—5 w archiwum krajowem w Krakowie.

[3]) Akta Grodzkie i Ziemskie Pilzneńskie w archiwum krajowem w Krakowie v. III. V.

[4]) Starodawne prawa polskiego pomniki, t. IX. nr. 1.596.

[5]) Pargaminowy przywilej znajduje się w archiwum konsystorskiem w Tarnowie.

fundacyjny z r. 1526 jest nader obszerny, w kopii obejmuje ze 20 stronic arkuszowych pisma. [1])

Po wstępie, w którym jest mowa, że dwa samodzielnie istniejące probostwa, w Mielcu i w sasiednim Chorzelowie, nie mogą się dobrze rozwijać jako dwie odrębne instytucye, akt mówi, że na przyszłość ustanawia się za zgodą biskupa jedna prepozytura w Mielcu, której podlegać będzie probostwo w Chorzelowie. W Mielcu prócz prepozyta ma być 6 stałych wikarych czyli mansyonarzy, w Chorzelowie 2-ch. Przy obu probostwach mają być wyznaczeni i utrzymywani rektorowie szkół. W dalszym ciągu akt zawiera szczegółowe wyliczenie uposażenia zarówno proboszczów, jak mansyonarzy i nauczycieli, tak w Mielcu, jak i w Chorzelowie. Z łanów miejskich mieleckich („in Borra et Krzemienicza“) ustanowioną jest dziesięcina pieniężna po 4 grosze z łanu. Dziesięcinę snopową wyznacza Stanisław Mielecki i ze wsi leżących po za powiatem pilzneńskim, a mianowicie z Gierczyc i Kaliszan, leżących w pobliżu Opatowa, ze wsi Granow, leżącej w Proszowskiem koło Skalmierza i ze wsi Czyrosławice w ziemi krakowskiej, w parafii Stare Brzesko, położonej. Sołtys wsi Cyranowa Wola ma płacić 8 groszy tytułem dziesięciny. Na utrzymanie bakałarza w Mielcu mieszkańcy Cyranowej Woli mają płacić 3 grzywny plebanowi. Na zaznaczenie zasługuje punkt, że bakałarz oraz uczniowie szkoły mają prawo bezpłatnego korzystania z łaźni w czwartek, raz na miesiac. Bakałarz obowiązany jest uczyć dzieci śpiewów kościelnych, pomagać księżom przy odprawianiu nabożeństwa i pilnować, aby w kościele przystojnie się zachowywały. W akcie jest wzmianka o bractwie literackiem (confraternitas literatorum). Gdyby wikaryusze, obowiązani do śpiewania pewnych pieśni, nie mogli ich odśpiewać, wtedy „cives literati“ mają ich w spełnieniu tego obowiązku wyręczyć. Stanisław Mielecki musiał się cieszyć zaufaniem braci szlachty. W roku bowiem 1506 wysłany był od województwa sandomierskiego dla porozumienia się w sprawie poborów do Jakóba Szydłowieckiego i Mikołaja Lanckorońskiego. [2])

Stanisław Mielecki, umierając, pozostawił dwie córki i trzech synów: Jana, Sebastyana i Waleryana. Przez czas pewien bracia

---

[1]) In extenso zamieszczony w tabuli krajowej lwowskiej, Mielec, Libri fund. nr. 79, p. 91 i nast.

[2]) Teki Pawińskiego t. I. str. 199.

pozostawali niedzielni. W roku jednak 1542 nastąpił dział, zapisany w r. 1548 w Metryce Koronnej, wskutek którego najstarszemu z braci Janowi, wojewodzie podolskiemu, prócz trzeciej części miasta Mielca, dostały się następujące wsie: Cyranowa (dziś Cyranka), Długa Wola (lub Mielecka Wola), Zgórsko, Chorzelów, Brzeście, Gawłuszowice, miasto Orzelec z dwiema wsiami, Wolskowce i Skowiatnice, nad Prutem.

Sebastyanowi, późniejszemu kasztelanowi krakowskiemu, przypadły prócz części Mielca wsie Złotniki, Markowa Wola, Wojsław, Cmolas i Trzęsówka.

Waleryan otrzymał prócz części miasta wsie: Trzcianę, Rzędzianowice, część w Tuszowie, Chrząstówek, część w Jaślanach, Passy, Miechy, Chrząstów i Wolę Chrząstowską.

Według spisów poborowych z r. 1578, wydrukowanych w Źródłach Dziejowych Adolfa Pawińskiego, powyższe majątki zagospodarowane były w sposób następujący:

W Brześciu było 16 kolonistów na 3 łanach i 5 zagrodników na ogrodach.

W Chorzelowie było 36 kol. na 9 łanach, zagrodników 3, chałupników 5.

W Chrząstowie było 20 kolon. na 6 łanach, zagrodników 4.

W Cmolasie było 36 kolon. na 10 łanach, zagrodników 4, chałupników 2, biedaków i rzem. 6.

W Długiej Woli było 22 kolon. na 8 łanach, zagrodników 4, chałupników 2.

W Kliszowie było 21 kolon. na $3^1/_2$ łanach, zagrodników 10, biedaków i rzem. 6.

W Lubnicy było 12 kolon. na 3 łanach, zagrodnik 1, chałupnik 1, biedaków i rzem. 5.

W Gawłuszowicach było 4 kolon. na 1 łanie, zagrodników 6, bied. i rzem. 1.

W Rzędzianowicach było 20 kolon. na 10 łanach, zagrodn. 4.

W Trzcianie było 30 kolon. na 15 łanach, zagrod. 4, chałupn. 4, biedak. i rzem. 3.

W Trzęsowce było 15 kolon. na 6 łanach, zagrod. 4, chałupn. 2, biedak. i rzem. 1.

W Wojsławiu było 24 kolon. na 9 łanach, zagrod. 2, chałupn. 2, biedak i rzem. 2.

W Zgorsku było 40 kolon. na 18 łanach, zagrodników 4, biedak. i rzem. 10.

W Zaradziu było 10 kolon. na $1^1/_2$ łanach, biedak. i rzem. 2.
W Złotnikach było 21 kolon. na 17 łanach, zagrodników 3, chałupników 2.

Ogółem po za miastem Mielcem w posiadłościach Mieleckich zamieszkiwało około 450 rodzin, przy podziale więc mogło wypaść na część każdego po rodzin 150, czyli mniej więcej po 750 osób poddanych.

Mieszczanie mieleccy posiadali $5^3/_4$ łanów, rzemieślników wszystkich razem liczono w mieście 40. W taryfie poborowej zaznaczono, że niedawno połowa miasta pogorzała, pobrano też z miasta tylko symplę, szosu złotych 6 gr. 12. Ogół poboru od mieszczan wyniósł zł. 36 gr. $4^1/_2$.

Gdybyśmy opierając się na zdaniu Ad. Pawińskiego przyjęli, że 1 złotówka szosu wyrażała 4, 5 domów miejskich a 24 głów, wypadłoby, że Mielec ku końcowi wieku XVI. liczył niespełna 200 mieszkańców.

Rozdzielony w ten sposób majątek nigdy już nie skupił się w jednych rękach. Trzej bracia założyli trzy linie domu Mieleckich, z których dwie, Jana i Sebastyana, urwały się na ich wnuczkach. Z początkiem wieku XVII. pozostała już tylko linia Waleryana, dość licznie rozrodzona, lecz nie majętna. Potomkowie odbiegli od rodzinnego Mielca w podolskie strony. Nie zdołali oni utrzymać majątku, odpowiedniego tradycyom wielkiego domu. Żaden z przedstawicieli tej gałęzi nie wzniósł się na urząd wyższy od drobnego starosty.

Dział pomiędzy braćmi otwiera najświetniejszy okres w historyi rodu Mieleckich.

W Polsce nastały czasy zawikłań pełne, powołujące do działania wszelkie tkwiące w narodzie siły, budzące energię uśpioną. Życie polskie w porównaniu z poprzednimi okresy skomplikowało się niezmiernie. Zjawiło się tak wiele zadań, wymagających załatwienia we wszelkich dziedzinach życia, że każdy człowiek ze sfery szlacheckiej, posiadający jakieś zdolności, łatwo mógł znaleść pole do zużytkowania swych sił. Wybitnych ludzi wymagała polska polityka, życie publiczne i ruch umysłowy. Stosunki same wynosiły ludzi na wyżyny, sprzyjały niezmiernie ludziom energicznym i zdolnym. W XVI. wieku łatwo było się odznaczyć i przejść do potomności.

W tym to okresie bujnego politycznego życia na widownię występuje kilku Mieleckich, którzy dochodzą do wysokich godno-

ści: Jan, Mikołaj i Sebastyan. Żadnemu z nich nie można przyznać ani zasług wyjątkowych, ani talentów wybitnych, nie widzimy nawet surowej konsekwencyi w ich postępowaniu. Kierowały nimi wypadki, fale życia postawiły ich wśród pierwszych osób w narodzie.

Z trzech wzmiankowanych powyżej braci najmniej znanym jest Waleryan. Mało co więcej o nim wiemy nad to, że był podkomorzym sandomierskim i umarł w r. 1553. Zdaje się, że nie odegrał on żadnej wybitnej roli i spędził życie w zaciszu domowem.

Sebastyan pozostał wierny religii katolickiej, był wysuwany przez biskupów jako obrońca katolicyzmu. Na jego nagrobku czytać można było następujące pochwały, przytoczone przez Paprockiego: „Optimarum partium Senator, prudentissimus et amantissimus patriae, doctorum virorum et bonarum artium fautor, priscae et catholicae religionis cultor et propugnator".

O tem, że Sebastyan używany był do poselstw zagranicznych, wzmiankowalismy powyżej, o roli jego politycznej pomówimy w następstwie.

Mikołaj, syn Jana, ogarnięty został ruchem reformacyi religijnej i uchodził przez czas pewien za kalwina. Warunki czasu wyrwały wtedy panów polskich z umysłowej równowagi. I Mikołaj Mielecki dał się unieść ogólnemu prądowi naśladowania Zachodu, wskutek którego większość naszych wielkich rodów: Górkowie, Firlejowie, Zborowscy, Chodkiewicze, Radziwiłłowie, przeszła na czas pewien w szeregi protestantów. W listach nuncyuszów papieskich z tego czasu często spotykamy imię Mikołaja z dodatkiem: „heretico". Graziani w liście do kardynała di Como z dn. 28. lipca 1572 nazywa dwóch wojewodów, podolskiego (Mikołaja Mieleckiego) i Ziem ruskich (Jerzego Jazłowieckiego) — „pur heretici".[1]) Inne źródła mówią, że usiłowania Skargi, aby nawrócić Mikołaja Mieleckiego, były bezowocne, że jednak Mielecki przed śmiercią powrócił na łono Kościoła katolickiego, w czem była zasługa jezuity Herbesta. Bądź jak bądź, mamy dowód, że Mikołaj Mielecki ku końcowi swego życia fundował kościół katolicki w Zgórsku i nadał proboszczowi uposażenie, świadectwem czego jest akt fundacyjny kościoła z r. 1582.[2]) W akcie fundacyjnym

[1]) Uchansciana. str. 23—4. t. IV.
[2]) Tabula krajowa we Lwowie, Lib. fund. t. 108, p. 157.

zamieszczono nawet, że pleban obowiązany jest nauczać lud katechizmu wedle postanowień świętego koncylium Trydenckiego. Tenże Mielecki w r. 1583 nadał proboszczowi w Mielcu swoją część praw do pobierania myta mostowego i poborów jarmarcznych w Mielcu.

Mikołaj Mielecki pozostawił po sobie imię w historyi jako polityk i jako wojownik. W czasie bezkrólewia po śmierci Zygmunta Augusta, Mikołaj Mielecki występował w ścisłem porozumieniu z Janem Firlejem, wojewodą krakowskim i z partyą protestancką. Stryj Sebastyan, choć pozostał katolikiem, łączył się w wystąpieniach politycznych z Mikołajem.

Partya Firleja była to partya antyprymasowska, antybiskupia, popierająca ugodę Sandomierską i konfederacyę Warszawską z r. 1572. Na polu elekcyjnem do ostatniej chwili Mielecki popierał kandydaturę Jana III. szwedzkiego i ucierał się z tego powodu z Karolem Chodkiewiczem. Gdy partya stronników Henryka przeważyła stanowczo, Jan Firlej usunął się z pola elekcyjnego generalnego do Grochowa, a wraz z nim obaj Mieleccy, Mikołaj i Sebastyan i inni protestanccy senatorowie, jak Andrzej Górka, Stanisław Szafraniec. Zaczęły się wtedy pertraktacye obu stron. Rezultatem ich było włączenie do paktów henrykowskich warunku *de pace inter dissidentes de religione servanda.*

Ze słów listu pisanego w r. 1574 do Jana Firleja widać, że Mielecki nie był za przyznaniem swobody wyznaniowej wszystkim sektom, pisze on bowiem tak: że przy wolności ewangelii ostawiło się large domicilium venenatissimis haeresibus, widzę to". Z powodu odrazy zapewne do jadowitych herezyj opuścił szeregi protestantów i przyłączył się do starego wyznania, zaczął fundować kościoły i uposażać zakon Jezuitów lwowskich.

Po ucieczce Walezego, na nowej elekcyi, Mikołaj i Sebastyan Mieleccy podpisali akt obrania królem cesarza Maksymiliana. Syn Sebastyana, Hieronim, był nawet wyznaczony, aby jechał w poselstwie do cesarza z zawiadomieniem o obiorze. [1]) Po koronacyi Batorego Mieleccy pogodzili się z energicznym królem Stefanem, nie występowali przeciwko niemu, a nawet stanęli blisko tronu i łask jego szukali.

Rzemiosło wojenne było tradycyjnym zawodem w rodzinie Mieleckich. Już ojciec Mikołaja, Jan, również jak i syn wojewoda podolski, stał na straży ziem granicznych i zasłaniał Ruś od na-

---

[1]) Uchańsciana, t. II. str. 312 i nast.

padów tatarskich. W r. 1557 w czasie zatargu wielkiego mistrza kawalerów mieczowych Fürstenberga z arcybiskupem ryskim dowódcą polskiego wojska, które Zygmunt zgromadził w celu uspokojenia wynikłej waśni, był Jan Mielecki.[1])

Syn Jana, Mikołaj, sławą wojenną przeszedł swego ojca. Pierwszym czynem wojennym Mikołaja Mieleckiego było wmieszanie się w sprawy wołoskie w r. 1572. Tron hospodara wołoskiego chwiał się ciągle, wypędzanie wojewodów było tam czemś zwykłem, powtarzającem się z taką regularnością, z jaką następują po sobie pory roku. Zawsze też było sporo pretendentów do tronu wołoskiego, z czego usiłowali korzystać panowie polscy (Albrecht Łaski, Dymitr Wiśniowiecki i inni) oraz kozacy. Wiemy, że syn Chmielnickiego, Tymoszko, pokusił się w r. 1652 o zdobycie dla siebie tego tronu wraz ze skarbami pięknej Rozandy. Mikołaj Mielecki prowadził na tron Bogdana, syna Aleksandra, którego wypędził Iwonia, wojewoda wołoski z ramienia tureckiego. Mielecki wybrał się na wyprawę z nader nielicznemi siłami, miał zaledwie do 2.000 ludzi. Tylko dzięki temu, że było to wojsko wyborne, dobrze opatrzone, przeważnie ze szlachty i z rycerskich panów złożone, zdołał Mielecki wycofać się z niebezpiecznego położenia z honorem, choć bez powodzenia. Doszedł pod Jassy, do Stepanowic i ztamtąd cofnął się pod Chocim, widząc, że walka z nadciągającemi tureckiemi siłami jest niemożliwa. Niefortunny kandydat do tronu, Bogdan, dał za wygraną i Mielecki ze sprawy się wycofał. Awantura ta nie pociągnęła za sobą poważniejszych skutków.

Większą rolę wojskową i z lepszym skutkiem odegrał Mikołaj Mielecki w wyprawie połockiej Stefana Batorego. Mianowany hetmanem w r. 1579, Mielecki oddał pod Połockiem rzeczywiste usługi. W krótkim jednak czasie pomiędzy Mieleckim a innymi wodzami, Bekieszem, Radziwiłłem, Zamoyskim, wszczęły się spory i niesnaski.

---

[1]) Podręczniki historyi błędnie podają, że był nim Mikołaj Mielecki. Patrz: Dzieje Narodu Polskiego Wład. Smoleńskiego, str. 106, oraz Szujskiego: Dzieje Polski, t. II. str. 282, wyd. r. 1862. Źródłem błędu jest zdaje się kronika Bielskiego. W jednem miejscu wydrukowano w niej, że w r. 1557 hetmanił Mikołaj. Sam jednak Bielski mówi dalej, że Mielecki, który dowodził wojskami polskiemi w r. 1557, umarł w r. 1561. W tym roku umarł Jan Mielecki, Mikołaj umarł w r. 1585.

Po zdobyciu zamku Sokoła Mielecki oczekiwał dla siebie wielkich odznaczeń. Gdy go te zawiodły, obraził się na króla i złożył dowództwo. Już w r. 1580 Batory oddał buławę Janowi Zamoyskiemu. Ostatnie lata swego życia Mikołaj Mielecki spędził w swoich posiadłościach. Bielski pod r. 1585 pisze: „Tamże natenczas Mikołaj Mielecki. wojewoda podolski, syn Jana Mieleckiego, wojewody także podolskiego i hetmana koronnego, człowiek rozumu i dowcipu wielkiego, a w sprawach rycerskich fortunny i biegły hetman, gorączką zaraźliwą umarł. Słał mu król jednorożcu i bezsaru, ale mu nie pomogło“.

Mikołaj zamyka sobą poczet wielkich panów na Mielcu. Nie zostawił on dziedzica swego imienia, tylko dwie córki: Zofię i Katarzynę. Sebastyan Mielecki miał syna Hieronima, który umierając pozostawił jedynaczkę córkę, Annę. W ten sposób z końcem XVI. wieku zanikły dwie główne gałęzie domu Mieleckich i zgasła świetność ich imienia.

Zofia wyszła za mąż za księcia Słuckiego Symeona Olelkowicza, a po jego śmierci oddała swą rekę wraz z dziedzicznemi dobrami Karolowi Chodkiewiczowi. Hetman sprzedał majątki dziedziczne swej żony w obce ręce. Zbigniew Ossoliński w pamiętniku swym powiada, że w r. 1608 kupił Mielecką majętność od Chodkiewicza za 130.000 zł. pol.

Siostra Zofii. Katarzyna. wydana została za Ostroroga, wojewodę poznańskiego, otrzymała posag w gotówce.

Anna, córka Hieronima, dwukrotnie wstępowała w śluby małżeńskie: primo voto była za Joachimem Ocieskim, kasztelanem sądeckim, secundo voto za Ratowskim.

Nawet potomkowie Mieleckich w linii żeńskiej nie mogli się utrzymać przy Mielcu. I pani Ratowska (Anna z Mielca) wyprzedała się z swych dóbr. Sprzedaży dokonano niezupełnie z dobrej tylko woli. Anna Ratowska była zmuszona do opuszczenia swych stron rodzinnych wskutek skandalicznej sprawy, o której mówi Zbigniew Ossoliński w te słowa:[1])

„Na trybunale (w r. 1615) odkryto niecnotliwe mincarskie roboty. Między fałszerzami monety zapozwano i Jana Zaduskiego. którego jako manifestum falsatorem czci odsądzili. Zaduski, mieszkając przy Ratowskim na Rzemieniu, zmówił się był z żoną tego Ratowskiego, niepewną panią (sic) i z samego iścia za mąż powtórzonego po zacnym człeku, Ocieskim, kasztelanie sądeckim,

[1]) Pamiętnik Zbigniewa Ossolińskiego, str. 47—8.

dziedziczki w domu Mieleckim, wielkich majętności mieleckich i tarnowskich, znać było). Zmówił się był na męża tej to paniej dobrej, że go mieli trucizną znieść z tego świata. Czego, gdy Ratowski doszedł wielkiem szczęściem swojem z przygody, pojmał tego Zaduskiego, kazał pozwać przed trybunał. Sądzono go i na śmierć zasądzono.“

Anna z Mielca ustąpiła swych praw do miasta Zbigniewowi Ossolińskiemu. Inne posiadłości sprzedała w r. 1616 Stanisławowi Lubomirskiemu za 240.000 zł. pol.

Władysław Kierst.

Żywot polityczny Michała Grabowskiego.

Z pyłu zapomnienia wydobywamy człowieka, który dzisiaj zwłaszcza winien być znany szerokiemu ogółowi.

Mówimy o Michale Grabowskim.

Choć na głowę jego spadały częstokroć gromy potępienia, zbyt bowiem odważnie i wytrwale płynął przeciw prądowi, któremu pod wpływem literatury emigracyjnej i poromantycznej hołdowało polskie społeczeństwo, dzisiaj, gdy główni reprezentanci obu walczących obozów legli już dawno w grobie, a ewolucya zapatrywań politycznych — po zdobytych przykrych, niemniej przeto pouczających doświadczeniach — znaczne w naszych pojęciach wprowadziła zmiany — program Michała Grabowskiego winien być na nowo przypomniany i oceniony bezstronnie.

Hołdował on mu nie w chęci karyery, nie z prywaty, przeciwnie: niemałe ponosił ofiary tylko z racyi swego odosobnionego stanowiska. Był szczery i wierzył w prawdę i moc głoszonych przez siebie niesympatycznych udręczonemu, rozegzaltowanemu ogółowi haseł, a to już znaczy bardzo wiele, to skłania nawet najzagorzalszych antagonistów do szacunku dla osoby politycznego przeciwnika.

Zakres niniejszej pracy ograniczamy ściśle zamkniętemi ramami, co zresztą już sam tytuł wskazuje wyraźnie.

Grabowski odgrywał w dziejach naszej krytyki literackiej, w epoce między 1830 a 1850 rokiem. rolę wyjątkową. Karyerę jego powieściopisarską można zbyć niewielu słowy: zamiary autora

nie stały tu w żadnym stosunku z ich skutkami. Natomiast owa pierwsza, wyżej wspomniana działalność zapewnia mu na długie lata poczestne miejsce na kartach literatury polskiej. Grabowskim jednak, jako krytykiem czy belletrystą zajmować się bynajmniej nie mamy zamiaru; uczynił to już przed kilku laty imiennik jego, dr. Tadeusz Grabowski.[1] Nas interesuje przedewszystkiem wyznanie wiary politycznej tej niezwykłej bądźcobądź postaci, zbyte przez dr. Tadeusza Grabowskiego nadto pobieżnie i ogólnikowo. Materyał rękopiśmienny, jaki posiadamy pod ręką, wyświetli nam może niejedną wątpliwość czy zagadkę i pozwoli nakreślić dokładniejszą sylwetkę polityczną Michała Grabowskiego.

Przyznajemy zupełną słuszność monografiście, gdy skarży się, że szczupły materyał utrudnia w wysokim stopniu napisanie bodaj znośnej biografii. Z prywatnej korespondencyi uczonego krytyka pozostały zaledwie skromne bardzo szczątki, a osobiste wspomnienia żyjących jeszcze nielicznych już świadków jego obywatelskiego żywota, „mają raczej charakter anegdotyczny niż poważny". I to racya, że „co się tyczy artykułów lub prac krytycznych o nim, to takich nie było (przed studyum dr. Tadeusza Grabowskiego) zupełnie", lecz na zlekceważenie jedynej biografii Michała Grabowskiego,[2] ogłoszonej w 1868 r. w Krakowie w odcinku *Czasu* a z kolei w osobnej odbitce, należącej już dzisiaj niemal do „białych kruków", stanowczo się nie godzimy. Mimo całej swej „powierzchowności" i braku wyczerpania, jest ona i będzie jedynem źródłem do życiorysu krytyka-powieściopisarza i dostarczyła nawet dr. Tadeuszowi Grabowskiemu, w jego obszernem studyum, sporej wcale dozy ciekawych szczegółów, choć ten ją z lekkiem sercem każe pisać ks. Antoniemu Krechowieckiemu, znakomitemu kaznodziei polskiemu, gdy autorem biografii — jak wyraźnie podpis wskazuje — jest ojciec ks. Antoniego, kolega humański Grabowskiego, Goszczyńskiego i Bohdana Zaleskiego, popularna niegdyś bardzo wśród młodzieży kijowskiej i ziemiaństwa ukraińskiego postać — Jan Krechowiecki. Błąd to może drobny, niemniej przeto wysoce charakterystyczny.

Wzmianki o Michale Grabowskim, rozsiane po encyklopedyach i podręcznikach, mimo swej zwięzłości, świadczą raz jeszcze

[1]) Książka p. t. „Michał Grabowski, jego pisma krytyczne i pojęcia polityczne". Kraków 1900.

[2]) Jan Krechowiecki: „Wiadomość o życiu i pismach Michała Grabowskiego". Kraków 1868, stronic druku 53.

najdobitniej, jak różnorodne wywoływała sądy jego działalność, jak bezwzględnych posiadał on zwolenników i krytyków. Obojętności lub lekceważenia tutaj nie znaleźć, w czem dowód, że mamy do czynienia z niezwykłą indywidualnością i tak było istotnie.

Dla stwierdzenia prawdziwości słów ostatnich kilka przykładów:

Piotr Chmielowski w swej sześciotomowej „Historyi literatury polskiej“, po za stronniczemi, ironicznemi wzmiankami, nie próbował nawet skreślić sylwetki literackiej tego niezwykłego, mimo wszystkie błędy, człowieka. Zdaniem jego, Michał Grabowski, „jeden z teoretyków szkoły romantycznej“, był „uznawany wtedy jeszcze powszechnie za powagę“. Podjął się on roli „obrońcy wszystkiego, co w „Mięszaninach“ się mieściło“. Wszyscy inni, co „mieli żywsze poczucie narodowe, występowali przeciwko Bejle, choć wielbili Imć Pana Seweryna Sopłicę“.[1]) W innem miejscu, pisząc o Kazimierzu Bujnickim, przedstawicielu Inflant polskich w ówczesnej publicystyce i powieści (1788—1878), wyraża się Chmielowski sarkastycznie: „jego przekonania daleko więcej niewątpliwie niż średni talent, wyjednały mu dyplom znakomitego powieściopisarza u ówczesnego rozdawcy godności literackich, Michała Grabowskiego, który sam coraz lichsze pisał powieści historyczne“.[2]) I istotnie, mimo całą swoją ironię, Chmielowski napisał prawdę: Grabowski wydawał dyplomy na popularność i uznanie; był powaga, wobec której korzyli się wszyscy.

Za to bardzo słuszny i sprawiedliwy sąd wygłosił o „rozdawcy godności literackich“ profesor Uniwersytetu Jagiellońskiego:[3]) „Michał Grabowski źle pisał powieści, ale wydał „Literaturę i Krytykę“. Była to ze wszystkich dotychczasowych i z wielu późniejszych najlepsza polska książka tej treści. Nauka gruntowna, w sądach bystra i trafna a zawsze uzasadniona, w dowodzeniu jasna i ścisła, miała ona równie zdrowe jak szerokie pojęcie tego czem literatura oświecona, literatura rozumna i szlachetna, literatura dla społeczeństwa dobroczynna, być ma. Dla-

---

[1]) Piotr Chmielowski: „Histor. liter. polsk.“ Warszawa 1900. V. 207, 209.

[2]) Ibid. V. 262.

[3]) Stanisław Tarnowski: „Hist. lit. polsk.“ Kraków 1900. V. 195. 196.

czego nie więcej była czytana, nie więcej sprawiła skutku, nie więcej wykształciła sąd i smak publiczności polskiej, co z pewnością zrobić była mogła? Dlatego zapewne naprzód, że pisana dobrze, nie była pisana świetnie; trochę ciężka, trochę sucha. Dla ludzi myślących pomimo tego bardzo godna czytania; dla ogółu mało ponętna. W latach późniejszych, kiedy autor oświadczył się stanowczo za zgodą, a przynajmniej za spokojem z rządem rossyjskim, (choć nigdy w tej mierze i w ten sposób co Henryk Rzewuski), oburzenie na jego polityczne pojęcia sprawiło, że i na literackie patrzano z niechęcią, książki jego nie brano do ręki. Wartość jej jest jednak rzeczywista i niezwykła; a niektóre przynajmniej rozdziały, np. o literaturze francuskiej („Literatura szalona"), tak są zadziwiające bystrością i tak pełne przystosowania, że i dziś, i zawsze, może mogłyby być czytane z pożytkiem; czytane byćby powinny".

Z innego punktu widzenia sądzi Grabowskiego Leonard Sowiński.[1]) „Najznakomitszy niegdyś po Mochnackim z krytyków polskich", pospołu z nim „nowszą literaturę polską wychował". „Sądy jego i recenzye uchodziły za wyrocznie; jego powaga była tak wielka, że sam jeden stanowił o powodzeniu autorów". „Estetyk i kierownik ukraińskich poetów, oceniał on ich utwory, wskazywał zalety i wady; owiany temiż samemi dumami co tamci, tęsknił za nową poezyą, a więcej od tamtych wykształcony, sam sobie zdawał sprawę z tego, co być powinno". W innem miejscu nazywa Sowiński naszego krytyka „najlepszym wówczas znawcą ukraińszczyzny" i nie pomylił się pod tym względem bynajmniej.

Julian Bartoszewicz pisał swoją „Historyę literatury polskiej" w Warszawie 1860 r., świeżo po przykrem nieporozumieniu między Michałem Grabowskim a społeczeństwem polskiem, mimo to zdobył się na sąd bezstronny i rzetelne uznanie zasług wybitnego męża,[2]) który — zdaniem jego — „nieposlednim był krytykiem owego czasu, ale olśniony blaskiem Mochnackiego, dobrowolnie pozostał w cieniu". Studya krytyczne Grabowskiego „były to wszystko rzeczy znakomite i budziły do myślenia a praca w narodzie podnosiła się do znaczenia jakiegoś kapłaństwa, gdy dotąd stanowiła miłą zabawkę". Grabowskiemu należy się zasługa,

[1]) Zdanowicz-Sowiński: „Rys. dziejów literat. polsk." III. 74, 636, 681; IV. 177, 741, 742.

[2]) Julj. Bartoszewicz: „Hist. liter. polsk." Kraków 1877. II. 182, 233, 236, 237.

że „Przeździeckiego oderwał od literatury francuskiej i nakłonił ku rzeczom swojskim, i że wskazał mu drogę, jaką po nawróceniu się ma postępować“. Od niego wyszedł pierwszy pomysł zbierania materyałów, odnoszących się do przeszłości naszej: on poruszył myśl wydawania pamiętników domowych i namawiał starych ludzi, pamiętających dawne czasy, do spisywania swoich wspomnień: on wreszcie własnym kosztem uzyskane pamiętniki Karola Micowskiego i Wacława Borejki ogłosił drukiem. „Nie ma wątpliwości — podkreśla wreszcie Bartoszewicz — że pomiędzy naszymi powieściopisarzami Grabowski jest jednym z najdoskonalszych znawców historyi narodowej: jeżeli sam jej nie pisze, za to zagłębia się w szczegóły, studyuje ją dla własnej nauki i zna ją dobrze nietylko w ogólnych zarysach, ale i w drobiazgach, ocenia odrębność prowincyonalną, a pogląd jego na stosunki dawne społeczne np. Ukrainy do Polski, na sprawę unii religijnej i na prawne zasady i polityczne konstytucye, oryginalny jest a prawdziwy“. Niestety „ogromne Grabowskiego zasługi przepadły rychło w morzu niepamięci narodowej; winien był sobie sam ten dziwny upadek. Postawił raz krok fałszywy, który go zgubił w opinii. A jednak jest to znakomitość, której blask był nadzwyczaj świetny w literaturze“.

* * *

Znany powszechnie dwuwiersz wielkiego poety i myśliciela niemieckiego:

„Wer den Dichter will verstehen,
Muss in Dichters Lande gehen...“

najdosadniejsze znajduje zastosowanie w życiorysie Michała Grabowskiego. Skoro się pozna jego lata dziecinne i wiek męski: wpływy, jakim ulegać musiał i otoczenie, wśród którego wypadło mu spędzić te lata, kiedy to serce i umysł krystalizują się, wówczas łatwiej przyjdzie zanalizować psychikę człowieka, rozwikła się niejedna zagadka, pozornie trudna do rozwiązania.

Zrozumieli go i odczuli najlepiej Bohdan Zaleski, Seweryn Goszczyński, Jan Krechowiecki i Leonard Sowiński. Wszystkich ich kołysały do snu te same smętne dumki ukraińskie, rozmarzały poświsty wichrów stepowych i opowieści piastunek lub starców o kurhanach, mogiłach i spoczywających pod niemi bohaterach,

nimbem legendy owianych. Pierwsi trzej nie wyrzekli się też swego kolegi humańskiego, gdy bezkrytyczny najczęściej szeroki ogół ciskać nań począł kamieniem potępienia; czwarty, młodszy od nich wiekiem, zmarnowany pieśniarz, któremu sokole loty wróżono u wstępu w szranki literackie, również nie plunął nań żółcią, choć z licznych przykładów wiemy, jak gorąca krew biła mu w żyłach, zanim wygnanie i odosobnienie nie strawiło całego temperamentu, nie starło wszystkich jego bujnych sił żywotnych.

Nie zrozumiał naszego krytyka Piotr Chmielowski — tem dziwniej i boleśniej, że właśnie on — choć pisał swoje dzieje literatury polskiej w tyle lat po „tragedyi“ Grabowskiego, mógł więc i powinien był zajście całe osądzić z innego, bezstronniejszego punktu widzenia. Niestety tendencyjność zabiła tu z kretesem, jak w wielu innych wypadkach, jedną jedyną realną prawdę.

Józef Ignacy Kraszewski wahał się: początkowo osądził kolegę po piórze i oddanego sobie wszechwładnego krytyka trochę zbyt surowo, potem cofnął się, nie wątpiąc ani przez chwilę o dobrej wierze Grabowskiego. Metropolita Hołowiński stał wiernie u boku kamienowanego; przezacny ks. Stanisław Chołoniewski po chrześcijańsku bolał nad jego błędem, a było to grono działaczy kresowych, cieszących się w danej epoce olbrzymim wpływem i rzadką w naszych stosunkach popularnością, sądy też ich o Grabowskim przedewszystkiem zasługują na przypomnienie.

Człowiek, którego imię dotrzeć z czasem miało w dalekie nawet zakątki ziemi ojczystej, początkowo wielbione, z kolei bodaj nawet aż przeklinane, ujrzał światło dzienne w 1805 roku[1]) na Wołyniu, w powiecie rowieńskim, we wsi Złotyjowie. Ojciec przyszłego „rozdawcy godności literackich“, Antoni Grabowski pochodził ze szlachty województwa wołyńskiego; z tych samych stron wywodziła się i matka jego, Teresa Dworzańska. Tradycya rodzinna,[2]) szerszym kołom nieznana, opowiada o wywiezieniu

---

[1]) Dr. Tad. Grabowski j. w. str. 11. Jan Krechowiecki, za którym powtarzamy w streszczeniu wszystkie szczegóły biograficzne, pisze: „w 1804 r. lub najpóźniej w 1806“. Chmielowski, („Hist. liter. polsk.“ V. 207) przesuwa datę urodzin na r. 1807.

[2]) Tad. Grabowski j. w. str. 11; Franciszek Rawita-Gawroński: „Rok 1863 na Rusi. Ukraina, Podole, Wołyń“. Lwów 1903 r. str. 33—34 pisze, iż według tradycyi ukraińskiej, Antoni Grabowski dzieckiem dostał się w czasie buntów hajdamackich w ręce jakiegoś oddziału rossyjskiego i wychowany został w głębi Rossyi pod okiem moskiewskiem.

małego Antoniego podczas barskiej zawieruchy gdzieś w głąb Rossyi. Wychowywany z dala od kraju przez głośnego w Polsce Drewicza, służy Grabowski z kolei wojskowo, wracając w strony rodzinne w dojrzałym już wieku. Ciągnęła go na Wołyń drzemiąca gdzieś na dnie serca przymusowego emigranta tęsknica, niemniej przeto spędzenie tylu lat wśród obcych, w nieznanych najkompletniej dla polskiego szlachcica warunkach, musiało pozostawić pewne ślady w umyśle i zapatrywaniach Antoniego Grabowskiego, mogło oddziałać i na syna jego, Michała. I tak mielibyśmy pierwsze ogniwo zagadki, podkreślimy ich niebawem i więcej.

Zamieniwszy szablę na pług, osiada eks-wojak w Złotyjowie, poślubia zacną pannę Teresę i gospodaruje zawzięcie. Tutaj upłynęło Michałowi lat dziewięć na właściwych dziecinnemu wiekowi zabawach i figlach. W dziesiątym roku życia oddają go rodzice do konwiktu OO. Jezuitów w Romanowie, gdzie — jeśli nawet niezbyt wiele zaczerpnął wiedzy — utwierdził się w każdym razie w głębokiej wierze, której gorliwym wyznawcą pozostał do chwili zgonu.

Tymczasem jednak interesy familijne zmuszają Grabowskich do przeniesienia się w najdalszy zakątek Ukrainy, do Aleksandrówki w czehryńskim powiecie. Równocześnie i syn ich Michał przechodzi pod troskliwą i umiejętną opiekę OO. Bazylianów w Humaniu, gdzie serdeczne nawiązuje węzły z kolegami z ławy szkolnej: Goszczyńskim, Krechowieckim i Zaleskim. Żyłka literacka objawiła się już tutaj u głośnych w przyszłości pisarzy, a młodzieńczemu kółku humańskiemu przewodniczą Zaleski i Grabowski.

Prędzej niż się tego spodziewał, następuje żałosne rozstanie Michała Grabowskiego z gronem gorąco umiłowanych rówieśników. Pan Antoni, o ile z wielu wskazówek wnioskować można, nie stronił od towarzystwa z rossyjskiem ziemiaństwem, które w Czehryńszczyźnie dosyć gęsto siedziało po dworach wiejskich. Nawykał do tego i Michał, zatracając zwolna rozmaite drażliwości pod tym względem, spotykane wówczas i dzisiaj jeszcze w wielu domach polskich. Otóż za przykładem sąsiadów swoich, Rossyan, zabiera Grabowski syna z Humania i wywozi do słynnego liceum odeskiego. Zapewne, że silną pobudką w tem postanowieniu było pragnienie wykształcenia pierworodnego nad przeciętną miarę, lecz i zwykłe naśladownictwo odgrywało zdaje się w danym wypadku niepoślednią rolę.

Syn talent przyniósł ze sobą — pisze Franciszek Rawita Gawroński [1]) — naukę zdobył, a te ziarna, z których wyrastały później sympatye polskie dla Rossyi w chwilach największych krzywd, doznawanych przez naród polski, wpadły zapewne w dziecinną jeszcze duszę z rozmów i uczuć ojcowskich.

Doskonale wpływy odeskie charakteryzuje wierny przyjaciel naszego krytyka, Jan Krechowiecki. „Ówczesne liceum Richelieugo — są jego słowa — miało na czele swojem sławnego księdza ex-Jezuitę Nicole. Oprócz innych umiejętności gruntownie wykładanych, starożytna i nowożytna literatura najobszerniej traktowaną była, przy dokładnej i wedle zasad prowadzonej nauce wszystkich europejskich języków. Arystokracya moskiewska z Petersburga tu synów swoich nadsyłała dla korzystnego ich w nauce usposobienia i przyjęcia cudzoziemskiego poloru, tak potrzebnego w dyplomatycznym zawodzie, do jakiego przeznaczeni byli. Z tej to epoki datują niektóre znajomości petersburskie Michała, które on potem, mieszkając stale w Warszawie, odnowił.

„Pomimo znacznych niezawodnie korzyści, jakie z nauk tam pobieranych odniósł, postępu w językach francuskim, łacińskim i włoskim, a nawet w początkach angielskiego, nie można przemilczeć, iż to w połowie cudzoziemskie wychowanie, wśród indywiduów obcego plemienia, nie wywarło korzystnego wpływu na umysł zanadto jeszcze młody i giętki, aby się mógł od nacisku obczyzny dostatecznie obwarować. Przecież siłą pierwotnej impulsyi przechował w uczuciu, w składzie myśli barwę swojską narodową; i tym instynktem powodowany, zaraz po śmierci ojca liceum opuścił i za otrzymanem zezwoleniem matki na dłuższy niż zamierzał pobyt do Warszawy wyruszył. Pozostało mu wszakże z pierwotnych tam w liceum odebranych wrażeń jakieś kosmopolityczne wyobrażenie stosunków towarzyskich, gdzie forma pewnej dystynkcyi zastąpić mogła brak istotnego wychowania i obyczajów, tych koniecznych warunków prawdziwej społecznej kultury. Polor tam był ostatnim cywilizacyi wyrazem, i w tem też właśnie zachodziła rażąca sprzeczność z rysami nie tak ogładzonymi, nawet może szorstkimi, dawnego a tak powszechnego i do poślednich szczebli towarzystwa rozciągającego się uobyczajenia szlacheckiego w Polsce i na Rusi.

„Otóż młody podówczas Michał Grabowski olśniony był tym fałszywym połyskiem; lubo dojrzalszym potem poglądem różnice

[1]) Fr. Rawita Gawroński (j. w.) 34.

te dostatecznie oceniał, jednak z tem pobłażaniem, z tą łatwością wchodzenia w stosunki i zawikłania siebie w niewłaściwe pozory, prawie do ostatnich dni życia swego pozostał. Przypisać to należy w większej części i temu półcudzoziemskiemu wychowaniu, jakie odebrał w Odessie, zamieszkaniu swemu w tym kącie Ukrainy, zasiedlonej wówczas moskiewską arystokracyą, z jaką mimowolne z sąsiedztwa wynikały stosunki, i jakich on, uwiedziony dworskością i łatwością ukształconego pożycia, nie tak starannie unikał.“ [1])

Lepiej chyba i sprawiedliwiej nie można było ocenić tła, na którem krystalizowała się duchowa sylwetka znakomitego krytyka. Dzięki uwagom wytrawnego człowieka, co nie wchodził w żadne kompromisy z silniejszym stokroć przeciwnikiem a anormalność polsko-rossyjskich stosunków odczuł aż nadto dotkliwie na własnej skórze, możemy rozwiązać dalsze ogniwa zagadki, musimy raz jeszcze wyrazić zdziwienie, dla czego lat tyle absolutnie nikt nie próbował postawić ogromnych zasług jednego z luminarzy polskiej kultury we właściwem świetle i uratować go od lekceważącego i krzywdzącego tak bardzo zapomnienia. Lepiej jednak późno to uczynić niż nigdy. To też z prawdziwem zadowoleniem musiał każdy myślący a tendencyjnością nie zarażony umysł, powitać pracę dr. Tadeusza Grabowskiego, której szkic niniejszy jest tylko drobnem uzupełnieniem...

„Taki rodzaj wychowania [2]) mógł wydać tylko krytyka. Ten bowiem powinien posiadać zdolność przeniknięcia i objęcia poglądów i nastrojów najbardziej skrajnych: gdy je wszystkie zrozumie, z wszech stron obejrzy i rozważy, potrafi się wznieść do własnej syntezy, nie iść za głosem większości, stanąć na czele opinii swego czasu. Umysł bystry, przenikliwy, sceptyczny, wybiegający za ciasne koło jednostronności, widział wszystkie złe i dobre strony ówczesnej polityki i sądził, że lepiej czekać niż przenosić niepewną przyszłość nad znośną teraźniejszość. Jeżeli kiedyś żałował, że nie dał się porwać odmętom wraz z dawnymi przyjaciółmi, to chyba tylko przelotnie.“

W Warszawie zetknął się Grabowski z serdecznymi druhami swoimi ze szkoły humańskiej; uczęszczał pilnie na wykłady historyi i literatury a z musu na utrzymanie równocześnie pracował

[1]) Jan Krechowiecki j. w. str. 6—8.
[2]) Tad. Grabowski j. w. str. 16.

w biurze swego imiennika, ministra wyznań i oświaty. Były to czasy niezwykle gorące: w literaturze romantyzm odnosił jedno zwycięstwo po drugiem nad broniącym się zawzięcie klasycyzmem; w polityce przygotowywał się wybuch listopadowy, który miał najruchliwsze i najtęższe polskie umysły wyrzucić na emigracyę. Jaki udział przypadł Grabowskiemu w tej walce starego świata z młodymi, nie wiemy dokładnie; do pewnego stopnia wyjaśnia jednak jego stanowisko artykuł, którym rozpoczyna swój chlubny zawód literacki. Oto w 1828 r. ogłasza on w *Dzienniku Warszawskim* „Myśli o literaturze polskiej“ i „O melodyach ukraińskich“. Zapewne o nich myślał Jan Krechowiecki pisząc:[1]) „Grabowski artykułem o ludowej poezyi, gdzie już o warunkach narodowej poezyi i powieści przemawia, dał dowód niezwykłej cywilnej odwagi i tym aktem, mało dziś znanym, zawód swój literacki otworzył“.

Tej atoli strony jego życia dotykamy jeno mimochodem, śledząc z całą uwagą wszystkie czynniki, które doprowadziły naszego krytyka do potępionego tak powszechnie i gorąco programu politycznego. Domysł łatwy, że o ile brał on udział w konwentyklach konspiracyjnych, poprzedzających wybuch powstania, stanowił wśród rozgorączkowanych umysłów element trzeźwy, krytycznem, badawczem okiem śledzący wszelkie przejawy; nie wahający się z własnem zapatrywaniem wystąpić, choćby wbrew poglądom najserdeczniejszych przyjaciół. Tak przynajmniej wnioskować można ze słów Jana Krechowieckiego, z którego ciekawej broszurki znowu dłuższy ustęp powtórzyć uważamy za niezbędne:

Grabowski na żądanie matki, potrzebującej w gospodarstwie pomocnika i opiekuna, rzuca w 1830 r. mury Warszawy i przenosi się do Aleksandrówki, gdzie obok przymusowych zajęć około roli, z zamiłowaniem poświęca się studyom literackim, etnograficznym i historycznym. „Do powstania w 1831 r., zrobionego już po wybuchu tegoż na Ukrainie i Podolu, czynnie nie należał, bo kraińcowym powiatôm Ukrainy ściągające się wojsko rossyjskie przeszkodziło. Ale czynnie i najgorliwiej na miejscu do tej pory działał i we wszystkich zjazdach ruch ogólny przygotowujących, uczzestniczył. W tem właśnie objawił on bezwarunkową uległość duchowi opinii narodowej, z którą na pół roku przedtem w Warszawie sprzecznym się być ośmielił, pomimo przewagi cenionego

---

[1]) Jak wyżej, str. 11.

przez siebie wysoko Maurycego Mochnackiego i Jozafata Bolesława Ostrowskiego, który w ówczesnym klubie na Starem mieście zbierającym się, rej wodził. Nawet zdaniu bliższych sercu swemu J. B. Zaleskiego i S. Goszczyńskiego stanowczo się w tej mierze oparł, z którymi nawet odjeżdżając na Ukrainę, stosunki zerwał. Mimo to jednak z Joachimem Lelewelem znosił się, oświecał go o usposobieniu w prowincyach do zamierzanego ogólnego ruchu; miał nawet od niego przyjąć jakieś polecenia i komunikacye, których później Anastazy Dunin i Włodzimierz Kormański się podjeli, ale tych już dla tego właśnie chwilowego nieporozumienia z przyszłymi przywódcami powstania nie odebrał.“ [1])

Powstanie runęło. Ciężka dłoń reakcyi zaciążyła nad społeczeństwem polskiem i całym jego kulturalnym dobytkiem; towarzysze Grabowskiego, z którymi on ścierał się goraco na Starem mieście w Warszawie, ruszyli z rozdartem sercem na emigracyę lub zamknęli się, odosobnieni i osamotnieni, w ciasnych kółeczkach rodzinnych, o ile — rzecz prosta — karząca prawica obrażonego rządu ich nie dotknęła, a równocześnie goreć zaczyna w Aleksandrówce ognisko nowego literackiego życia, ku któremu coraz tłumniej zwracają się pracownicy pióra, rozsiani po wszystkich Polski zakątkach. Każdy dzień poczty dostarczał nowej obfitej seryi listów. W jednych proszono o rady i wskazówki, o moralne poparcie; inne zawierały rękopisy nadsyłane do oceny, a Grabowski „z zupełną wyrozumiałością i dobrocią, pomimo, iż mu to zajęcia przyczyniało, wymaganiom tym starał się najzupełniej odpowiedzieć i najmniejszego z tych pism bez stosownego zadośćuczynienia żądaniom, w nich zawartym, nie zostawiał.“ [2])

Wieść o niezwykłej popularności humańskiego wychowańca przedostała się rychło za granicę, gdzie dawni jego koledzy bacznie śledzili cały ruch literacki w kraju. Liczne tego dowody w listach Zaleskiego i Goszczyńskiego, w których częste bardzo wzmianki znajdujemy o uczonym krytyku. „Michał nasz przewyborny pisarz — informuje np. Bohdan Seweryna 8. grudnia 1838 r. — nie mogę się nadziwić jego rozumowi i poczciwości“. [3]) „Nasz Michał — donosi Zaleski znowu 3. grudnia 1840 r. z zachwytem temuż Goszczyńskiemu — kropi i kropi. Czytałem trzeci

---

[1]) Jan Krechowiecki j. w. 24.
[2]) Ibid. 20.
[3]) Korespondencya J. B. Zaleskiego w „Przew. nauk. i liter.“, Lwów 1899, str. 685.

tom „Literatury i Krytyki“, tudzież różne jego artykuły po dziennikach. Są w nich rzeczy wyborne, ale dużo trzebaby o tem pisać. Dość, że został szlachcic dyktatorem w Rzeczypospolitej literackiej nad Wisłą, Wilią i Dnieprem. I piastuje godnie swe dostojeństwo i lud pisarski boi się go, szanuje i daje się powodować. Ależ sprytna sztuka. Powiedz, hajduko, skąd mu się to wzięło? Czy go Bazylianie humańscy inaczej uczyli niż nas? Bez żartu, Sewerynie, Michał nasz, podniosły to i głęboki umysł, podnioślejszy i głębszy, niż czyjbądź między literatami polskimi, dla tego też wyśmienity wpływ wywiera na współczesne rzeczy w kraju.“ [1])

*
* *

Michał Grabowski stał właśnie u szczytu sławy i znaczenia, gdy zjawił się na Wołyniu jego zły duch i nieszczęście w osobie Henryka hr. Rzewuskiego. Wywarł on na karyerę polityczną „dyktatora w Rzeczypospolitej literackiej“ rolę decydującą: wykopał pośrednio przepaść między znakomitym krytykiem a społeczeństwem ówczesnem. Ujął go darem genialnego odtwarzania przeszłości szlacheckiej w *„Pamiątkach Imci Pana Seweryna Soplicy“* i wspólnością religijnych przekonań. Dzieło hr. Rzewuskiego przyjęto z zapałem jako mistrzowskie odzwierciedlenie Stanisławowskiej epoki. Autor *„Pamiątek“* odrazu urósł na olbrzyma nie tylko w swojej wyobraźni, ale w przekonaniu całej inteligencyi polskiej, zapragnął więc wziąć czynny udział w ówczesnym ruchu umysłowym, ba nawet ująć za pierwsze w nim skrzypce. Wstępem do tego stał się zjazd cudnowski, w którym w pięknej siedzibie hrabiego nad Teterowem wzięli udział, prócz gospodarza, Grabowski, Kraszewski, ks. Hołowiński, panna Regina Korzeniowska, popularna autorka atlasu historycznego, przyjaciel Zygmunta Krasińskiego Jaroszyński, dwóch Budzyńskich i kilku innych miłośników literatury. [2]) Przyjęto wspólny program działania a jako organ dla szerzenia zdrowych haseł literackich wybrano *Tygodnik petersburski.*

---

[1]) Ibid. str. 877.

[2]) Piotr Chmielowski: „Józef Ignacy Kraszewski“. Kraków 1888, str. 116—117.

I o tem wiadomość pomknęła do kolegów humańskich Grabowskiego na emigracyę. „Nie wiem, czy macie *Tygodnik petersburski?* — pyta w czerwcu 1841 r. Zaleski ks. Józefa Hubego w Rzymie.[1]) — Co tam (na Ukrainie) za ruch literacko-religijny! A na czele tego ruchu przyjaciel mój stary, od dziecka, Michał Grabowski. Duch katolicki powidomu wzmaga się w nich i szerzy się na okoliczne prowincye, pomimo oporu Warszawiaków i Poznańczyków. Michał też mój nadzwyczaj zręcznie i umiejętnie prowadzi rzecz: prawdziwy bo to minister Teraz Ukraińcy wydają tłumaczenie Ojców Kościoła. Spółpracownikami są, oprócz Michała Grabowskiego, Henryk Rzewuski, ks. Hołowiński, Świdziński poseł, bracia Przeździeccy, Szczeniowski itp., sami ludzie majętni i poważni. Okiełznali już młodszych literatów, a nawet samego Kraszewskiego.[2]) Wszyscy społem w jednej myśli i w jednym duchu pracują, choć na różnych niby drogach. Szczęść im Boże!"

Rychło jednak bardzo po owym historycznym zjeździe Kraszewski odskoczył od Rzewuskiego: wyczuł zgubną misyę hrabiego i zatrąbił do odwrotu. Inaczej sprawa miała się z Grabowskim i „rzecz dziwna, że jakkolwiek mocą dzielnego umysłu swego ze złudzeń młodzieńczych wrażeń swoich się podźwigał, ulegał jakby mimowolnie tej słabości pobłażania dystynkcyi rodu, jaką wyniósł z kosmopolitycznego odeskiego liceum, aż do usprawiedliwienia nagannego pod tylu względami, a tem bardziej w Polaku, indyferentyzmu politycznego."

Rzewuski „korzystając ze znanej słabości Grabowskiego dla imion historycznych, potrafił nakłonić go do podziału wszystkich mniemań swoich o stanie prowincyów naszych, o potrzebie przerobienia ich ducha, zawarowania od wszelkich wpływów emigracyi, zagrażających bliskiem i wiszącem już nad głowami niebezpieczeństwem."

„W tej myśli zwracał on uwagę Michała Grabowskiego na wszystkie te jałowe bez skutku usiłowania, jakiemi się naród

[1]) Koresp. Bohd. Zaleskiego j. w. str. 964.

[2]) Stwierdza to choćby prospekt „Athenaeum" (Tom V. 21. luty 1841 r.), skreślony ręką I. J. Kraszewskiego, w którym czytamy słowa: „Athenaeum na pierwszym względzie ma i będzie miało zwrócenie umysłów na drogę idei religijnych zdrowych..." albo dalej: „Starać się będziemy umieszczać takie artykuły, któreby zwracały uwagę na walną sprawę pobratania filozofii z katolicyzmem..."

w tylu już pokoleniach gorączką bezowocnej czynności przetrawia, że wielkąby zasługą było z tego upojenia młodsze przynajmniej pokolenie wyprowadzić, dotychczasowe wszystkie czynności i podjęte usiłowania zasłużoną pogardą i śmiesznością pokrywając, czego on już w gotującej się publikacyi „M i e s z a n i n o b y c z a j o w y c h“ po części dokonał. Rzeczy godne ocalenia, wiarę, język, nawet obyczaje, można pod protekcyą Moskwy uchować; z czasem nawet przy uczestnictwie w rządzie, przewagą wyższej kultury, można sobie wpływ podobny jak Niemcy wyjednać: ale przedewszystkiem z myślą udzielności wszelkiej rozstać się należy. Zagrażał, że są już projekta zerwania stosunków z Rzymem, zniesienia druków polskich i wszelkiej w tym języku publikacyi. Takiemi i tym podobnemi insynuacyami męczył on wrażliwą imaginacyę Grabowskiego, która mu co chwila przedstawiała spełnić się mogące: upadek Kościoła, skasowanie narodowego języka, bo to już odjęcie praw i reforma zakładów naukowych zapowiadały.“ [1])

Michał Rolle.

(Dalszy ciąg nastąpi).

---

[1]) J a n K r e c h o w i e c k i j. w. str. 26—28.

Zarys dziejów edukacyjnych Polski porozbiorowej na obczyźnie.

(Ciąg dalszy).

III.

Instytucye edukacyjne protektoratu Czartoryskich.

Treść: 1. Dawniejsze zasługi Czartoryskich na polu oświaty narodowej. — Katedra literatur słowiańskich w Paryżu. — Współdziałanie Adama Czartoryskiego przy jej zakładaniu.

2. Osada polska w Adampolu. — Polacy w Konstantynopolu. — Szkoła adampolska.

3. Początki organizacyi wychowania dziewcząt. — Pensyonaty żeńskie dla obcych. — Projekt Domu wychowania uzupełniającego Klementyny z Tańskich Hofmanowej. — Eksternat dla panienek Adamowej Pilińskiej. — Societé charitable. — Dom wychowawczy dla panienek polskich. — Ks. Anna z Sapiehów Czartoryska. — Instytut panien polskich w Hotelu Lambert. — Cel instytutu i jego program naukowy. — Zmiany w organizacyi zakładu. — Szczegółowy program z r. 1895. — Grono nauczycielskie. — Prof. Kunat. — Prof. Gasztowtt. — Uczennice: warunki pzyjęcia. — Liczba uczennic. — Miejsca płatne i bezpłatne. — Uniformy uczennic. — Ekonomka. — Dyrektorki. — Stosunek do zakładu jego założycielki i jej córki. — Rada Instytutu. —

Koszta utrzymania. — Źródła dochodów. — Kontrola rządowa. — Znaczenie Instytutu.

4. Edukacya młodzieży nieszlacheckiej. — Dom św. Kazimierza w Paryżu i Dom św. Stanisława w Juvisy pod Paryżem. — Komitet opiekuńczy Domu. — Rada opiekuńcza czyli administracyjna. — Plan naukowy w szkole dziewcząt i w szkole chłopców. — Pożyczka p. Grocholskiej. — Źródła dochodów zakładu.

5. Szkoła wojskowa w Paryżu.

6. Napływ młodzieży polskiej do Francyi po r. 1846 i 1848. — Szkoła przygotowawcza polska w Paryżu. — Ofiara Wodzińskiego. — Organizacya pierwotna szkoły. — Szkoła wyższa polska. — Własny gmach szkolny. — Cel szkoły. — Warunki przyjęcia. — Organizacya nauki. — Profesorowie szkoły. — Dodatkowy kurs wojskowy. — Regulamin szkolny. — Frekwencya zakładu. — Rada szkoły. — Dyrektorowie szkoły. — Koszta utrzymania szkoły. — Źródła dochodów: Subwencye rządowe. — Rok 1870. — Opłaty uczniów. — Składki publiczne i ofiary prywatne. — Znaczenie szkoły.

1. Rodzina Czartoryskich odegrała i w dziejach oświaty wychodźctwa polskiego wybitną rolę. Głównym inicyatorem i promotorem znanego nam już Towarzystwa pomocy naukowej był nie kto inny jak książę Adam Czartoryski. Żona jego z Sapiehów księżna Anna Czartoryska kierowała znów losami Towarzystwa Dobroczynności Dam polskich, które służyło także sprawie oświaty. Znaczna więc część pierwszego dorobku edukacyjnego emigracyi polskiej po roku 1831 była owocem pracy i zabiegów tej zasłużonej rodziny magnackiej.

W założeniu i utrzymaniu szkoły polskiej batyniolskiej rodzina Czartoryskich nie brała żadnego udziału. Rozpoczęła jednak prawie równocześnie nową akcyę na własną rękę i w innym kierunku. Cały szereg bardzo pożytecznych instytucyi emigracyjnych, powstałych w czterdziestych latach, zawdzięcza familii Czartoryskich, jeżeli nie cały byt, to w każdym razie energiczne poparcie.

Katedra literatur słowiańskich w Collège de France jest w pewnej części owocem zabiegów emigracyi polskiej, popieranych skutecznie przez Adama Czartoryskiego. Historya katedry jest powszechnie znana, nie będę jej tu reprodukował. Poprzestanę na zestawieniu szczegółów genezy katedry.

Aleksandryna Wołowska, kuzynka pani Celiny Mickiewiczowej a żona Leona Faucher'a, od r. 1839 naczelnego redaktora dziennika: „Le Courrier français“, dała pierwszy impuls. Leon Faucher żył w zażyłych stosunkach z Thiers'em i Cousin'em, domniemanymi kandydatami do tek ministeryalnych. Zanim jeszcze Cousin został ministrem oświaty, dowiedział się od Fauchera o Mickiewiczu i powziął myśl uposażenia w Paryżu katedry literatur słowiańskich.

Dn. 1. marca 1840 r. Thiers został prezesem gabinetu a Cousin ministrem oświecenia publicznego. Faucher nie zasypiał sprawy katedry w Paryżu a na Mickiewicza nalegał, aby ją koniecznie przyjął. Pisał mu, że utworzenie katedry słowiańskiej stałoby się faktem wielkiej doniosłości; wygnańcy polscy znaleźliby punkt skupienia się i w braku ojczyzny politycznej ojczyznę literacką.

Mickiewiczowi było w Lozanie dobrze; jeżeli mimo to skłaniał się do przyjęcia katedry, to kierowały nim wyższe narodowe względy. Z wolnej katedry paryskiej miał sposobność przemówić publicznie do ludów Europy w imieniu Polski, skazanej dotąd na milczenie, mógł roznieść skargi jej po świecie i wtajemniczyć ludy w jej skarby moralne, w jej bóle i nadzieje. Idąc za tem przekonaniem, doniósł Mickiewicz p. Faucher'owi, że katedrę przyjmuje, a jednocześnie zapewnił Cousina, że nie zamyśla wcale politykować ex cathedra. Cousin postanowił katedrę otworzyć. Książę Adam Czartoryski ułożył dla ministra oświaty memoryał, wykazując doniosłość polityczną podobnej katedry, a Faucher zredagował uwagi o korzyściach literackich. Na podstawie obu tych pism ułożono raport, mający się złożyć królowi.

Sprawa katedry, zyskawszy aprobatę ministra skarbu, dostała się do Izby deputowanych, zaopatrzona w odpowiednie exposé des motifs. Projekt katedry przeszedł ostatecznie ogromną większością. Uzyskał także jeszcze gładsze zatwierdzenie w Izbie Parów.

Chodziło już tylko o nominacyę kandydata. Mickiewicz zapewniał dnia 17. lipca 1840 r. księcia Czartoryskiego, że katedrę przyjmuje „szczególnie w tym celu, aby to naukowe stanowisko obronić od spekulacyi Niemców sprawie naszej nieprzychylnych“. Minister Cousin ociągał się z nominacyą, bał się skarg posłów austryackiego i rossyjskiego i wyrzutów króla Filipa „nader lękliwego w tych matniach“. Czartoryski zaręczył ministrowi, że Mickiewicz nie będzie „się bawił palnemi i drażliwemi materyami“, a minister nie pożałuje wyboru Mickiewicza.

Minister Cousin podpisał reskrypt nominacyi Mickiewicza dnia 8. września 1840 roku na profesora nadzwyczajnego tymczasowego literatury słowiańskiej. Nominacya na profesora zwyczajnego miała nastąpić po naturalizacyi.

Z powodu powołania Adama Mickiewicza na katedrę napadł na niego znienawidzony potwarca emigracyjny, który się rzucał na wszystkich, co mieli zasługi i znaczyli wiele w wychodźctwie. Był nim znany nam już z wstrętnych oszczerstw, miotanych na Radę szkoły batyniolskiej, Józef Bolesław Ostrowski.

Zarzucał Mickiewiczowi Ostrowski, że katedrę wyrobił sobie protekcyami, zamiast ją zdobyć konkursem, głosił, że odpowiedniejszymi kandydatami byli Lelewel, Szafarzyk, Hanka, Jungmann, Kollar, nie wchodząc w to, że Lelewela wydalił z Francyi rząd francuski, i nie pytając wcale, czy reszta kandydatów władała należycie językiem francuskim i była skłonną przybyć do Paryża.

Mickiewicz zbył obelżywą napaść milczeniem, na co ona zupełnie zasługiwała jako produkt denuncyanta za cudze pieniądze.

Lekcya wstępna miała miejsce dn. 22. grudnia 1840 roku i odniosła zupełny sukces. Powodzenie wzmagało się z biegiem czasu.

Dalsze losy wykładów Mickiewicza i dzieje katedry pomijamy. Dodamy tylko za prof. Ludwikiem Léger'em, obecnym profesorem na katedrze literatur słowiańskich, że, gdyby nie geniusz Adama oraz sympatye, które Polska wzbudzała i nadzieje w niej pokładane, to prawdopodobnie projekt jej założenia nie byłby przedłożony Izbom albo przynajmniej byłby odroczony. Katedra słowiańska w Paryżu może być zatem słusznie położona na rachunek zasług emigracyi polskiej i uchodzić do pewnego stopnia za owoc zabiegów Czartoryskich na polu naukowo-edukacyjnem.

Następcą bezpośrednim Mickiewicza był jak wiadomo Cypryan Robert, a po nim Aleksander Chodźko, a wreszcie Ludwik Léger.

L i t e r a t u r a i ź r ó d ł a. M i c k i e w i c z Wł.: Żywot Adama Mickiewicza, tom II. i III., Poznań 1892 i 1894.

2. W tym samym roku, w którym otwierano katedrę literatur słowiańskich w Paryżu. powstała staraniem Adama Czartoryskiego pierwsza osada polska na wschodzie Europy. Książę Czartoryski zamierzał zaludnić wychodźcami polskimi pustkowia dawnej Bitynii i dalsze nawet okolice Azyi Mniejszej. Planowi temu zakreślił szerokie ramy. Pierwsza osada, nazwana od imienia założyciela Adampolem, powstała na gruntach małoazyatyckich nad Bosforem zakupionych przez Czartoryskiego od rządu tureckiego.

Wskutek rozmaitych niepomyślnych okoliczności do zakładania dalszych kolonii nie przyszło.

Początki Adampola sięgają r. 1840. Liczba kolonistów urosła po wojnie krymskiej, później przybyło już tylko niewiele rodzin.

Dziś Adampol liczy około 300 dusz. Liczba mieszkańców byłaby znaczniejsza, gdyby się wielu nie przesiedlało do bliskiego Konstantynopola, gdzie także sporo Polaków mieszka, rozprószonych po rozmaitych dzielnicach miasta.

Koloniści adampolscy nie mają ściśle przedzielonego gruntu i uprawiają tyle, ile kto wykarczował rządowego lasu. Ziemia nieurodzajna przynosi mało. Dochód pewien mają z sprzedaży wiśni i masła w Konstantynopolu. Z pierwotnych osadników już ani jeden nie żyje, z dzisiejszych ani jeden nie był w Polsce. W kolonii mieszkają sami Polacy, z wyjątkiem leśniczego rządowego.

Od dawna utrzymywano w Adampolu szkółkę polską, w której uczono wyłącznie po polsku. Adampolanie władają dotąd czystą polszczyzną.

Prawnik i bogaty kupiec z Konstantynopola Nikitić, ożeniony z Polką z Adampola, ofiarował w r. 1899 willę swą w Adampolu na mającą się tamże założyć stałą szkołę i na mieszkanie dla nauczyciela.

W następnym roku sprowadzili sobie Adampolanie nauczycielkę z Konstantynopola p. Gajewską.

W r. 1905 uczył w szkole nauczyciel z Poznańskiego Ziołkowski.

Literatura i źródła. Czermiński M. ks. T. J.: Wspomnienie z misyj między Polakami nad Bosforem, w Bośnii i na Krecie, W Krakowie 1901. — Inlender A.: Polski zaścianek w Azyi w „Życiu i sztuce“, piśmie dodatkowem do Kraju, Petersburg, 1905, nr. 21, str. 7. — Misye katolickie w r. 1898, str. 305 i 1900 str. 90, 231.

3. Katedra literatur słowiańskich i sprawy oświaty szkolnej w osadzie adampolskiej były przedmiotem tylko moralnej opieki Czartoryskich.

Pozatem powstał w Paryżu w czterdziestych latach XIX wieku szereg instytucyi, które rodzina Czartoryskich podtrzymywała nie tylko przemożnym swym wpływem lecz także w znacznej mierze ofiarami materyalnemi. Do rzędu tych instytucyi należy: Instytut panien polskich w Hotelu Lambert, Domy św. Kazimierza i św. Stanisława, Szkoła wojskowa oraz Szkoła montparnaska.

Emigracya polska w Francyi zajęła się najprzód organizacyą edukacyi dla młodzieży męskiej. Książę Adam Czartoryski, jak to wykazaliśmy, wziął w tej pracy walny udział.

Niebawem zabrano się do organizowania edukacyi kobiet.

Pierwsze usiłowania jednak zwracały się w inną stronę. Zamierzano otworzyć pensyonaty i eksternaty dla obcych, dla zarobku.

W r. 1832 osiedliła się w Paryżu doświadczona już i znana w świecie pedagogicznym Klementyna z Tańskich Hoffmanowa, była inspektorka szkół żeńskich w Królestwie Polskiem. Zachęcona przez przyjaciół postanowiła otworzyć Dom wychowania uzupełniającego (Maison d'éducation complémentaire), przeznaczony wyłącznie dla panienek zamiejscowych, pragnących uzupełnić edukacyę oraz dla takich, które po ukończeniu edukacyi, chciały czas jakiś spędzić w Paryżu.

Chcąc z zakładu zrobić niejako ognisko rodzinne, zamierzała Hoffmanowa przyjąć małą tylko liczbę uczennic: najwyżej dziesięć. Opłata za naukę wraz z utrzymaniem miała rocznie wynosić 3.000 fr., w czem nie była objęta nauka malarstwa, muzyki itp. przedmiotów.

Hoffmanowa zamierzała przyjmować panienki tylko z domów dystyngowanych w okresie życia, w którym się kończy pospolicie edukacya kobiet, i obiecywała w przeciągu dwu do trzech lat przy pracy rozważnej i metodycznej uzupełnić ich edukacyę a zarazem wprowadzić je na właściwą drogę ich przeznaczenia i szczęścia.

W szczegółach Hoffmanowa podejmowała się uformować postawę i ruchy uczennic, aby im dać ową ogładę, ów polor, który podwaja wartość młodości i piękności i trwa dłużej od nich.

Zamierzała rozwinąć ich siły fizyczne, utrwalić ich zdrowie, pouczając je z potrzebną ostrożnością o naturze ciała ludzkiego, o funkcyach najważniejszych jego organów i o ich własnej natu-

rze, aby znały same siebie i mogły żyć według należycie pojmowanych zasad hygienicznych.

Zamierzała przyzwyczajać je do poprawnego i eleganckiego wyrażania się w mowie i piśmie.

Z wiedzy ludzkiej uczennice miały przyswoić sobie to wszystko, co im w późniejszem życiu niezbędnie jest potrzebne jako żonom i pierwszym nauczycielkom dzieci, miały uporządkować i uzupełnić wykształcenia swoje tak, iżby ono tworzyło nadobne kontury wielkiego obrazu wiedzy ludzkiej, mającego się później wykończyć według osobistego gustu lub stosownie do pozycyi społecznej.

Innem zadaniem edukacyi w projektowanym zakładzie miało być wykrywanie i pielęgnowanie w każdej poszczególnej uczennicy wrodzonej jej specyalnej zdolności lub pociągu do jakiejś nauki lub sztuki, lub zajęcia pożytecznego jako środka zbawiennego przeciw zboczeniom młodej wyobraźni i nudom dalszego życia.

Uczennice miały dalej przyzwyczaić się do obowiązkowości, nauczyć się sprawności i zamiłowania pracy. Miały się nauczyć jasno pojmować powołanie swego stanu, znajdować w niem upodobanie, miały poznać wrodzone kobietom wady i zalety i ukształcić swój charakter dla szczęścia swego własnego i innych.

Zakład podejmował się wdrażać uczennice do roztropnego praktykowania miłosierdzia, zwłaszcza miał im dać należyte pojęcie o obowiązkach bogatych względem ubogich.

Nareszcie celem edukacyi uzupełniającej miało być zaszczepienie pobożności prawdziwie chrześcijańskiej, ewangielicznej, tolerancyjnej, która daje ulgę i słodycz sercu, krzepi wolę, rozjaśnia umysł, owej pobożności, owego szlachetnego pokarmu duszy, która jest wszędzie i w wszystkich okolicznościach źródłem żywem i obfitem, z którego kobieta ma czerpać dla siebie moc, pociechę i światło nie tylko w chwilach wyjątkowych, lecz także w trudach codziennego życia często bardzo niepozornych lecz zawsze doniosłych.

Do osiągnięcia tych ważnych celów miały służyć dwie drogi od siebie nierozłączne: wychowanie istnie domowe i nauczanie.

Hoffmanowa nie określa wychowania domowego czyli, jak je nazywa, macierzystego: to praca okoliczności, to dzieło serca, doświadczenia, przykładu, sumienia.

Na część naukową zakładu miały się składać wykłady profesorów, czytanie najlepszych dzieł, planowe odwiedzanie rozmai-

tych zakładów naukowych i zbiorów sztuki i nauki, istniejących w Paryżu, oraz pilne nadzorowanie pracy uczennic.

W program nauki miał wejść: język francuski, historya naturalna, historya, literatura, geografia, historya sztuk pięknych, arytmetyka, historya i sztuka dobroczynności oraz wykład o przeznaczeniu i obowiązkach kobiety.

Dla celów pielęgnowania specyalnych talentów miał być redagowany przez uczennice zakładu pod kierunkiem dyrektorki *Dziennik naukowy.*

Na końcu pomieściła Hoffmanowa szczegółowy program zajęć dziennych i tygodniowych.

Kurs nauk przy należytem przygotowaniu uczennic miał trwać dwa lata.

Około tego samego czasu powzięła myśl założenia „Eksternatu dla panienek“ pani Adamowa Pilińska. Jako ostateczne cele eksternatu wysunęła Pilińska: religijność, umiłowanie pracy, posłuszeństwo dla rodziców, wszystkie obowiązki dobrej matki. W plan naukowy miał wchodzić: język francuski, geografia, historya, mitologia, religia, kaligrafia, arytmetyka, buchalterya, rysunki, muzyka, roboty ręczne itp.

Ale projekty te, które nie miały powodzenia i mieć go nie mogły, nie liczyły się z potrzebami emigracyi polskiej.

Dla wychowania chłopców zrobiono już na emigracyi sporo. Pole wychowania dziewcząt leżało dotąd odłogiem. Aby zorganizować edukacyę dziewcząt polskich, zawiązało się osobne Towarzystwo (Société charitable) w tym celu, aby stworzyć Dom wychowawczy dla panienek polskich (Maison d'éducation pour les jeunes polonaises).

W Odezwie, wydanej przez to Towarzystwo dn. 10. września 1844 r. określono zadania zakładu i podano zarys programu. Zakład miał zdążać do dwu celów: zamierzał dostarczyć środków przyzwoitej egzystencyi wielkiej liczbie sierot polskich wychodźców, a północnej i wschodniej Europie fachowo wykształconych nauczycielek.

Dom wychowawczy miał mieć w planie naukę religii, język polski i historyę polską, języki obce, muzykę, rysunki i rozmaite roboty kobiece.

Na czele zakładu miała stanąć wypróbowana nauczycielka. Towarzystwo liczyło na poparcie ogółu. Myśl założenia Towarzystwa wyszła od hr. Olizara, kasztelana senatora Król. pol., i od

księdza Sadowskiego. Oni też podpisali pierwszą odezwę Towarzystwa, Olizar jako prezes, a Sadowski jako kasyer Towarzystwa.

Rada Towarzystwa miała się składać z siedmiu osób.

Myśl ta upadła, nie pozostawiwszy po sobie żadnych realnych śladów. Zamiar Towarzystwa wykonała w innej nieco formie księżna Anna z Sapiehów Czartoryska, która, podobnie jak jej mąż Adam, zapisała złotemi literami imię swoje w dziejach oświaty na emigracyi francuskiej.

Księżna Anna postanowiła mianowicie zorganizować w Paryżu szkołę dla córek szlachty polskiej na wzór tej, która zasłynęła w Puławach przed rokiem 1831.

Na ten cel ofiarowała u siebie w Hotelu Lambert w Paryżu przy ulicy St. Louis en l'Isle nr. 2. obszerny lokal i otwarła w nim dn. 2. kwietnia 1845 Instytut panien polskich, zaopatrzywszy go w wszystkie naukowe i materyalne środki. Na początek przyjęto dwanaście panienek; liczba ich miała się pomnażać z biegiem czasu w miarę rosnących środków.

Głównym celem Instytutu było zapewnienie córkom wychodźców polskich dobrodziejstw wychowania narodowego, czuwanie nad ich wychowaniem moralnem i religijnem i nad ich wykształceniem umysłowem. Cała edukacya miała im zapewnić przyszłość. Dążono mianowicie do tego, aby uczennice wykształcić na zdatne nauczycielki.

Z tego powodu przyjęto w Instytucie program nauk, który zobowiązywał publiczne zakłady francuskie, kształcące kandydatki stanu nauczycielskiego.

Weszły więc w pierwotny program naukowy Instytutu: nauka religii, nauka języka francuskiego i jego literatury, języka angielskiego, niemieckiego, włoskiego, w części jako przedmioty obowiązkowe, a w części jako nadobowiązkowe; prócz tego historya i geografia, arytmetyka, geometrya elementarna i zasadnicze wiadomości z astronomii, fizyki i chemii.

Poza tem uczono muzyki, rysunków i malarstwa, tańców i śpiewu i robót kobiecych.

Prócz nauk objętych programem urzędowym i wykładanych w języku francuskim wciągnął zakład w plan naukowy jako przedmioty obowiązkowe dla wszystkich uczenic naukę języka, literatury, historyi i geografii polskiej, udzielane w języku ojczystym.

Przyjmując ten program nauki, spodziewała się założycielka, że odda tym sposobem emigracyi i krajowi macierzystemu jak

najlepsze usługi, bo tamtej wykształci dzieci a macierzy dostarczy dobrych nauczycielek i guwernantek Polek.

Program nauki rozdzielono na trzy klasy a każdą klasę na dwa oddziały. Przyjmowano panienki dwunastoletnie tak, iż edukacya mogła być ukończona w ośmnastym roku życia, a więc w wieku, w którym według obowiązujących przepisów, można się było ubiegać o dyplom nauczycielski.

Zakład rozwijał się normalnie do r. 1870 i to jest pierwszy okres jego dziejów.

Główne kierownictwo spoczywało najprzód w rękach samej założycielki księżnej Anny, zmarłej r. 1864, a potem w rękach jej córki księżniczki Izabelli, która z pietyzmem prowadziła dalej dzieło rozpoczęte przez matkę. Można okres ten określić mianem francusko-polskiego. Wybitni przedstawiciele wychodźctwa polskiego i Francuzi otaczali zakład jednaką opieką aż do roku 1870.

Po wojnie francusko-pruskiej rząd francuski cofnął całkowitą subwencyę. Nastała dla zakładu chwila, w której się roztrzygało pytanie, czy on ma istnieć dalej, czy też upaść. Cały ciężar utrzymania zakładu spadł na ofiarność dobrodziejów a głównie na córkę założycielki Izabellę, zamężną hr. Działyńską. Zakład spełnił też już poniekąd znaczną część zadania swego, bo generacya córek emigrantów z r. 1831 i 1848 pokończyła lub kończyła już swoje studya. Działyńska utrzymała zakład mimo to i nadal.

Po cofnięciu subwencyi rządowej otwarto szkołę w r. 1871 tylko z dziesięcioma uczenicami, które do niej były przyjęte niemal wszystkie w r. 1868 lub 1869.

Zmniejszenie dochodów spowodowało zmiany i w organizacyi studyów. Zwinięto mianowicie klasy wyższe, a uczenice posyłano na kursa do Sorbony, a w Instytucie samym urządzono tylko korepetycye tychże kursów.

Po roku 1881 zaszła ta zmiana, że otwarto osobną klasę dla starszych panien, przybywających z trzech dzielnic. Panny te pokończyły już były nauki w kraju, liczyły już lat 20 i wyżej a przyjeżdżały do Hotelu Lambert, aby się nauczyć języka francuskiego lub nabrać w nim biegłości.

W r. 1895 liczył zakład 18 uczenic. Podzielone były na cztery dywizye czyli oddziały. Pierwsza dywizya obejmowała uczenice, które się przygotowywały do egzaminów wyższych, druga

dywizya te. które się sposobiły do egzaminów elementarnych, trzecia dywizya składała się z Wielkopolanek, które wstąpiły do Instytutu dla wyuczenia się języka francuskiego, a nie miały zamiaru zdawać egzaminu. Czwarta dywizya składała się z uczenic najmłodszych, które mogły do egzaminów przystąpić dopiero za dwa lub trzy lata.

Antoni Karbowiak.

(Ciąg dalszy nastąpi).

Wycieczka do Parany

(stanu rzeczypospolitej Brazylii).

Dziennik podróży.

(Ciąg dalszy).

Z Araukaryi pociąg wymija góry i skały w pobliżu bezpośredniem rzeki Iguasu, przebiegając przez kraj lekko wzgórzysty aż do stacyi Guajuvira (wym. Guażuwira), zwanej od drzewa tegoż imienia. W pobliżu jej osiedliło się sto kilkadziesiąt rodzin z Galicyi. Znajduje się tam szkoła polska.

Z Guażuwiry do stacyi Balsa Nowa, kolej przedziera się wciąż wężem przez puszczę leśną i błota nad samym Iguasem. To sąsiedztwo nie zawsze wychodzi jej na dobre. Rzeka n. p. wylała tego dnia, podmyła nasyp kolejowy i w tem miejscu pociąg nie mógł przejechać. Trzeba było wysiąść i przez pół godziny przejść kilometr drogi do innego pociągu, oczekującego już z drugiej strony podmytego miejsca.

Następna stacya na puszczy górzystej zwie się Serrinha (górka); od niej idzie odnoga kolejowa na południe do miast Lapa i Rio Negro. Bufet tam dobry; uwijał się po nim właściciel jego, Brazylianin, z zabawną i spieszną usłużnością; nalewając wódkę, podnosił równocześnie jedną nogę w tył. Zaraz za stacyą

Serrinha rozpoczyna się pasmo gór tejże nazwy. Wjeżdża na nie pociąg i wtedy przedstawia się oku szereg ładnych widoków na dalekie płaszczyzny i stepy, na rzekę Iguasu, na mosty kolejowe, wzniesione ponad tą rzeką i szczelinami skalistemi.

Lasy tu całkiem znikają — widać je tylko w bardzo wielkiej dali. Jedzie się stepami, prawdopodobnie mało żyznymi z powodu skały, znajdującej się wszędzie na stopę pod ziemią. Pastwiska za to nie są najgorsze. Nigdzie woda się nie zbiera z powodu wielkiej falowatości gruntu. Prawie na szczycie pasma Serrinhi znajduje się stacya kolejowa Tamandua (mrówkojad), po której stanęliśmy wreszcie w Restinga Secca, ostatniej mej stacyi, podczas ulewnego deszczu, który nie dozwalał rozejrzeć się po okolicy.

Wysiadłszy z wagonu około 2-giej godziny po południu miałem jeszcze 12 kilometrów do miejscowości Porto Amazonas nad rzeką Iguasu, by ztamtąd podróżować dalej parowcem. Nająć trzeba było konie od obrzydliwego mulata, który pomimo wypogodzenia się nieba pił wciąż i grał w karty. Wreszcie, gdy był już zupełnie pijany, około 5-tej godziny, zaprasza mnie poufale do swego powoziku i zabiera drugiego mulata ze sobą na kozioł.

Jadąc, wciąż odwracał się, wydrwiwał mój sposób mówienia i przedrzeźniał wyrazy francuskie, które dorzucałem do małego zapasu swego słów portugalskich. Po wybojach i spadzistych drogach, które z powodu deszczu były bardzo ślizkie, jechał jak opętaniec, śmiejąc się wciąż śmiechem wesołego idyoty. Szczęściem dla mnie ponury jego towarzysz powstrzymywał go w zbyt śmiałych pomysłach, jak wjechania w przepaść, co prawda niezbyt wielką, lecz zawsze wróżącą kalectwo pewne.

Ku memu zdumieniu wesoły mój furman zaczął kląć po polsku. Wtedy i ja zacząłem kląć niezgorzej i, aby mym towarzyszom dać do poznania, że nie jestem istotą bezbronną, wystrzeliłem kilka razy do kuropatw, zrywających się wciąż co kilkadziesiąt kroków. Szczęście myśliwskie o tyle mi posłużyło, że jedna z nich w chwili strzału zrobiła w bok ruch bardzo nagły tak, jakby kula ją dosięgła, jakkolwiek niedostatecznie, gdyż pofrunęła z towarzyszkami w krzaczysty załom wąwoza; jednakże celność strzału zaimponowała moim towarzyszom. Wywiązała się z mym mulatem rozmowa po polsku, w czasie której mówił do mnie „ty“, a skoro zbliżaliśmy się do jakiego zabudowania, zaraz zesiadał i żądał wódki, której szczęściem raz tylko dostał.

W jednem miejscu z nędznej chałupy wyszedł do mnie stary, bezzębny Brazylianin i z wielkimi honorami, tytułując mnie panie doktorze (sinior doktor), wysadził z powozu i poczęstował kawą czarną, a mego mulata „herwą mate“, a nie gorąco upragnioną gorzałką ku wielkiemu jego niezadowoleniu. Wiadomość o mej podróży ów „kaboklo“ miał z dziennika kurytybskiego.

Wyruszyłem dalej w drogę z jednym tylko żółtoskórym o baraniej czarnej wełnie zamiast włosów na głowie, gdyż jego towarzysz pozostał u Kabokla. Przygotowany byłem na parę godzin jazdy jeszcze, a tu po chwili pijany woźnica staje i krzyczy na całe gardło do mnie po polsku: „wysiadać i płacić“. Odparłem także po polsku bardzo grzecznym tonem: „Ja ci kpie nie zapłacę i ani na chwilę się tego nie spodziewaj, bo zgodziłem od ciebie furmankę do Porto Amazonas, a tu widzę tylko dwie chałupy i żadnej nie dostrzegam rzeki, nad którą znajduje się ten port“. Wtedy opatrznościowy zjawia się chłopczyk polski i objaśnia mnie, że to rzeczywiście Porto Amazonas, tylko rzeka jest w dole i jej nie widać, a statku jeszcze niema.

Wysiadłszy i zapłaciwszy, wywiaduję się o pana Amazonasa Pimpão, do którego miałem list polecający od szefa biura kolonizacyjnego. Nie zastałem go w domu. W chwili, kiedy toaleta moja była w stanie jak najopłakańszym z powodu drogi, znalazłem się nagle pośrodku grona wesołych młodych Brazylianek, z którymi zawiązałem rozmowę na migi, ale bezskutecznie. One chichotały się ciągle, spoglądając na mnie z pod oka i dając znaki dla mnie niezrozumiałe. Byłem w sytuacyi komicznej i bez wyjścia przez kilka długich chwil, gdy wreszcie zjawił się pan domu, mówiący cokolwiek po francusku.

Doznałem od niego i od całej rodziny gościnności tak serdecznej, jak gdybym był tej rodziny najbliższym krewnym. Trzy dni oczekiwania statku parowego przeszły mi zabawnie i szybko.

15. i 17. października. — Porto Amazonas nad rzeką Iguasu.

Oprócz zauważonych przezemnie w chwili przybycia do Porto Amazonas 2-ch domków, hotelu i mieszkania państwa Amazonas, ujrzałem o kilka stai w bok coś w rodzaju dwóch długich stodół, których nie wziąłem zrazu za mieszkania ludzkie. Stylu architektonicznego tych gmachów nie zdołałbym określić bliżej,

gdyż przypominał on nie gotyk lub renesans, lecz raczej psie budy.

Były to szopy pełne naszego wychodźctwa, złożonego z Mazurów galicyjskich, wyczekującego łódek, które je miały lada dzień przewieść na miejsce przeznaczenia. W szopach tych kobiety szyły, prały, gotowały, a mężczyźni albo się naradzali albo opowiadali sobie dykteryjki; ci zaś, którzy mieli dubeltówki, chodzili na polowanie: inni piłowali drzewo, przygotuwując je do dalszych szop, które miały niebawem powstać, chwalili mi drzewo sosny araukaryi, jako idealne, bo niemające wcale sęków. Burmistrzował pomiędzy nimi mój mulat woźnica, którego nasi wychodźcy ostro zgromili za zbytnią względem mnie poufałość.

Chłopcy uprawiali sport łapania ptaków barwnych i wybierania im jaj. Prześliczne ptaszęta widziałem w rękach małych okrutników, zaopatrzonych już w spory zapas wspaniałych piór i skrzydeł.

Rzeka Iguasu płynie tam w bardzo głębokim parowie, którego szczyty z obu stron są równej wysokości. O jakie 100 metrów od niego, rozwija się widok rozległy, płaski z niewielkiemi wzgórzami. Nigdybyś się nie domyślił, że tuż w pobliżu u stóp twoich płynie rzeka spławna i że patrzysz na przeciwny jej brzeg.

Pan Pimpaõ (wym. Pimpą) Amazonas jest tam urzędnikiem i właścicielem sklepu na swoich ziemiach. Przeciwnik obecnego rządu, gorący federalista czyli zwolennik nieudanego powstania, jest przyjacielem Polaków. Gdyby nie federalistyczne jego przekonania, piastowałby najwyższe dostojeństwa w Paranie. On i wogóle rodzina Amazonów mają wielkie znaczenie i poważanie w tym kraju i od niej to przezwany został port nad Iguasem, gdzie się znajdowałem. Już przedtem o 5 kilometrów wyżej t. j. od Porto dos Larangeiras (pomarańcz) Iguasu zaczyna być rzeką spławną.

Rodzina p. Amazonasa mieszka patryarchalnie w wygodach bardzo pierwotnych. Domek ich zbudowany jest z drzewa i trzciny. Można w nich zziębnąć, lepiej nawet niż we Włoszech lub Francyi zimową porę w pokojach. Wieczorem siadywaliśmy wiankiem wszyscy w pokoju prawie zupełnie ciemnym, o posadzce z ziemi ubitej, wyciągając ręce zimne, jak lód, do dymiących i tlejących się w pośrodku nas węgli drzewnych. Powietrze w takich apartamentach było idealnie świeże i bez zaduchu.

Spałem na czemś w rodzaju kanapy; nad ranem ledwiem zdołał odpędzić kurę, która uparła się usadowić w głowach mego

legowiska. Gdy ją usuwałem łagodnie w nogi fantastycznego łoża swego, biegła mi od stóp do głów drobnym kłusikiem po kołdrze, a gdy ją zrzuciłem niedelikatnie na ziemię, wfruwała mi z ziemi na głowę pokwokując „kwok, kwok“, jakby jaja niosła. Rozespany i rozzłoszczony, palnąłem ją brutalnie dłonią z całej siły tak, że poleciała jak piłka na kraniec pokoju, poczem dopiero zyskałem spokój. Układając się do snu rannego, znalazłem gorące jajo w pobliżu swej głowy.

Rano mała córeczka Amazonasówna przynosiła mi gorącą herwę matę, raz, drugi, trzeci, potem otrzymywałem kawę czarną z cukrem i sucharem. Rozbudziwszy się zupełnie, chciałem otworzyć okna nie tyle dla świeżego powietrza, w które sypialnia była dostatecznie zaopatrzona za pomocą szpar w ścianach, ile raczej dla wpuszczenia światła do ciemnicy. Bojąc się stłuc szkło, dobierałem się do okna delikatnie i otworzyć go nie zdołałem. Dopiero otworzywszy drzwi, spostrzegłem, że szyby okna składają się z okiennic, które wystarczy silnie popchnąć; z tem się jednak wstrzymałem z obawy przewrócenia całej chałupy.

Śniadanie czyli pierwszy obiad i właściwy obiad drugi popołudniowy składały się u państwa Amazonas wciąż z fasoli czarnej, mąki mandjokowej, ryżu i suszonego a rozgotowanego w czarnym sosie mięsa wołowego, zwanego Charca (wym. szarka). Oprócz kawy i herwy mate pito herbatę z kwiatu i liści pomarańczowych.

Ta biblijna prostota mieszkania i pożywienia uderzała mnie tem bardziej, że całą tę rodzinę możnaby było przenieść do salonów europejskich bez tremy za jej znalezienie się. Prostota — nie prostactwo — okazywała się nie tyle w ułożeniu, ile czasem w pewnej naiwności. Np. pani domu przy wszystkich mówi mi: Sinior é bonito. Gdy zrobiłem minę, że nie rozumiem, powtórzyła mi te słowa, pociągając ręką po swej twarzy, a córki dawały znaki potwierdzenia. Myślałem zrazu, że powiedziano, iż wyglądam na dobrodusznego, dobrego (po francusku: débonnaire, bon), naiwnego, nie bardzo bystrego. Niemałom się zdziwił, wyczytawszy w słowniku portugalsko-niemieckim, że bonito znaczy „schön“.

Cokolwiek rozumiano u państwa Amazonasów po polsku i skarżono się na brak gramatyki polskiej i podręcznika dla nauczania się tak niezbędnego już w Paranie języka.

17. października. — Podróż z Porto Amazonas do Rio dos Patos nad Iguasem.

Po paru dniach wyczekiwania około 9-tej rano usłyszeliśmy gwizd nadchodzącego parowca. Zacząłem się szybko pakować i żegnać z gospodarzami. Ci zaś mnie wyśmiali i powtarzali: „paciença“ (cierpliwości). Zjemy razem jeszcze śniadanie i odprowadzimy pana na statek, który nie wyjeżdża przed 11-stą. Czas w Brazylii nie jest pieniądzem. Wyjechałem dopiero po 12-stej.

Urządzenie parowczyka było nieco prymitywne. Brak zupełny bufetu kapitan Włoch przez grzeczność zastępował kawą czarną; to jednak nas pasażerów kilku nie nasyciło. Cały dzień aż do wieczora cierpieliśmy głód, który nam zaćmiewał oczy; mimo to humor nas nie opuszczał. Przypatrywaliśmy się wciąż z musu brzegom rzeki; nie było na co innego patrzeć.

Rzeka Iguasu płynie otoczona dość wysokimi brzegami; wygląda jakby kiedyś była daleko szersza i wyżłobiła sobie wąwóz głęboki. Kręci się mocno z początku po wyjeździe z Porto Amazonas wciąż oprawiona z obu stron w gąszcz leśny, t. j. w krzaki i lasek. Nieco zaś dalej od brzegu podnosi się teren w desenie pagórków porosłych lasem sosnowym araukaryjnym lub trawą stepową.

Przy zakręcaniu to na prawo, to na lewo, parostatek pędzi, jakby do gąszczu bez wyjścia i nagle pokazuje się, że wyjście jest nawet przestronne. Wzgórza w tym ruchu przesłaniają się jedne drugiemi, dawno znikłe pojawiają ci się z innej strony i nigdy nie wiesz, po jakiej stronie je miniesz. Część krzaków nadbrzeżnych była zanurzona w wodzie skutkiem wylewów wiosennych, a w niektórych miejscach widać było domy ós, zbudowane na gałęziach lub wiszące na powojach (lianach). Trafiłem z rewolweru do takiego gmachu. Powiedziano mi, że sport ten mógłby być niebezpieczny, gdyby nie szybkie z wodą posuwanie się statku. Albowiem zorganizowana armia obrażonych owadów mogłaby z koszarów tych wyfrunąć i śmiałka, jak szerszenie, na śmierć zakłuć jadowitemi żądłami.

Wreszcie pod wieczór przybyliśmy do miejscowości Rio dos Patos, „rzeki kaczek“. Jest to średniej wielkości osada, w środku której, jak zawsze, znajdują się kwadry miejskie (quadro urbano), t. j. część pewna jej terytoryum, wyłączona od zwykłego osadnictwa, podzielona na bardzo drobne działki, które się sprzedają

kupcom i spekulantom na sklepy i domy. Słowem quadro urbano jest to zarodek miasta, który w tym wypadku znajdował się nad rzeką i miał mały port, gdzie właśnie wylądowaliśmy.

Przy brzegu na nasze przybycie oczekiwało kilka osób, między innymi zamożny kupiec, właściciel parostatku, którym płynęliśmy, p. Artur Paulo. Miałem do niego list polecający od naczelnika kolonizacyjnego. Jakkolwiek przyjął mnie bardzo grzecznie, zauważyłem jednak u niego pewien chłód i sztywność w obejściu, jakie często się napotyka u ludzi wysoko położonych lub uważających się za wielkich. W tym wypadku była to niechęć do Polaków, jako zawołanych federalistów, od których w powstaniu coś ucierpiał.

Pomimo gościnnego przyjęcia nudziłem się z powodu, że w całym domu, nie wyłączając gospodarza, nikt innym językiem nie mówił jak portugalskim. Poznawszy później lepiej domowników, przekonałem się, że pomiędzy służbą byli i osoby polskiej narodowości. Utkwiła mi szczególnie w pamięci bardzo wysoka i przystojna służąca z Poznańskiego o dumnem i dystyngowanem ułożeniu, niby księżna i o poprawnej mowie polskiej. Żona gospodarza pochodzenia niemieckiego odzywała się tylko po portugalsku; za to z jej ojcem, starym Niemcem, niewyczerpanym w opowieściach o stosunkach parańskich — rozmawiałem po niejakim czasie w mowie Germanów.

W Rio dos Patos zarysowuje się już dość wyraźnie miasteczko. Skupiają się „wendy“ czyli sklepy, budynki rządowe, kilka hotelików, poczta, kościół bez księdza, domy zamożniejszych Brazylianów. Ten zarybek miejski nadaje już pewne znaczenie osadzie całej.

Wieczorem i w nocy miałem sposobność się przekonać, że Mickiewicz stanowczo się mylił na korzyść żab litewskich, twierdząc stronniczo, że żadne nie odzywają się tak uroczo jak one. Niezawodnie piękniej na Litwie skrzeczą, niż gdzie indziej w Europie, ale nie są w stanie dać takiego koncertu, jaki słyszałem w Rio dos Patos.

Z początku myślałem, że jakaś niezwyczajna parowa maszyna pracuje w oddali, słysząc metalowe i miarowe dźwięki, jakie dolatywały mnie z nad brzegu Iguasu. Mięszały się one z płaczem i jękiem dziecięcym oraz z wyraźnem nawoływaniem ludzkiem: au, au, eu, eu: jednocześnie rozróżniałem jakieś chichotania niewieście czy dyabelskie, pękanie z bata, gry na gitarach, fletach, harmoniach, organach, fortepianach, skrzypcach. Cała ta grająca

orkiestra kazała marzyć o jakichś istotach fantastycznych, o całym tłumie duchów zbiegłych nad rzekę. Bujna wyobraźnia poety ubrałaby każdy dźwięk w jakiegoś muzykanta, śpiewaka lub mówcę zagrobowego. Przysłuchiwałem się długo tej tajemniczej muzyce wśród ciemności, które później dopiero rozeszły się, gdy księżyc rozlał elektryczne swe światło jasno niebieskie na dolinę rzeki. Brzegi jej porosłe są wysokimi araukaryami, które wyglądały z dala jak krzyże na cmentarzach litewskich.

18. 19. 20. października. — Rio dos Patos.

Nazajutrz o 6-tej obudziły mnie jasne promienie słoneczne. Jak wiadomo, słońce w Brazylii wstaje nagle i grzeje od samego rana. Wiedząc, że mój gospodarz jest rządowcem i nie sprzyja żywiołowi polskiemu, rozlewającemu się po całym stanie parańskim, postanowiłem usunąć się od możliwej opieki i kontroli ze strony nieprzyjaznego tubylca. W tym celu cichaczem, jak spiskowiec, niepostrzeżony udałem się na kolonię po za miasteczko; do południa wywiedziałem się o wszystkiem tem, com chciał wiedzieć.

Włóczyłem się od jednego kolonisty do drugiego. Przyjmowano mnie, jak dawnego przyjaciela. Częstowano tem, co miano pod ręką: jajami, wódką, herwą mate, chlebem z kukurydzy, kawą. Koloniści gorąco pragnęli sprowadzić na własny koszt księdza i co najmniej jednego nauczyciela w porozumieniu z sąsiednią (o 2 mile) kolonią Cantagallo, mającą 22 rodzin polskich obok paru brazylijskich. O 4 mile zaś rozsiadła się osada mieszana Santa Barbara, licząca ze 300 rodzin, u których większą część jest polska i ruska, z małą domieszką Włochów, niedobitków słynnej kolonii komunistycznej Rossiego. Każda rodzina w tych trzech koloniach może z łatwością łożyć na księdza i nauczyciela około 20 milrejsów rocznie gotówką, a oprócz tego drugie tyle, jak mnie zapewniali, dawać im w płodach ziemi. Odliczywszy niechętnych i ubogich oraz cudzoziemców, można zawsze rachować na to, że płacących i dokładających będzie rodzin w Rio dos Patos 100, a w Santa Barbara drugie 100, co pomnożywszy przez 20 czyni 4.000 milrejsów. Jest to suma, za którą można utrzymać 2 nauczycieli i księdza. Z powodu odległości 4-ech mil konieczny jest nauczyciel jeden w Santa Barbara, a drugi w Rio dos Patos, (dla Rio dos Patos i Cantagallo). Proboszcz jeden wystarczyłby na te trzy kolonie.

Tak to rozumowali koloniści, których odwiedziłem.

Z p. Arturem Paulo rozmawiałem był poprzedniego dnia wieczorem o tem samem. Twierdził, że „naô preciza“ tj. nie potrzeba księdza w Santa Barbara, bo tam dojeżdża z miasta Palmeiry ksiądz włoski Tedesco, któremu swoją drogą wiele miał do zarzucenia. Ale jego zdaniem same Rio dos Patos i Cantagallo, opodatkowawszy się w sto rodzin, mogłyby łatwo utrzymać księdza i nauczyciela.

Dowiedziałem się wiele szczegółów z życia miejscowego. Mało było skarg na urzędników Brazylianów; opowiadano mi tylko o częstych bójkach z „Kaboklami“. Dowodzono mi z junacką fantazyą, (która mi się podobała), że prosty kij polski jest lepszą bronią od długich nożów brazylijskich (facaô — wym. faką). Brazylianie leśni czują się wypierani przez Polaków, chociaż ci osiadają na gruntach, których pierwsi nigdyby nie spożytkowali dla rolnictwa. Osadnictwo polskie stoi zaprawdę na zawadzie gnuśnemu ich życiu w lasach dziewiczych; ztąd zwady.

Po powrocie do domu przekonałem się, że moja przebiegłość była zupełnie niepotrzebną, gdyż sam przywołał inteligentniejszych kolonistów i pożyczył mi koni, abym ich używał dowoli, zwiedzając całą kolonię wzdłuż i wszerz. To też parę dni spędziłem na ciągłem rozjeżdżaniu się i odwiedzaniu kolonistów przeważnie w towarzystwie Stanisława Daleckiego, Podlasiaka.

Ze sto rodzin polskich w Rio dos Patos i 20-ścia w Cantagallo pochodzą z Królestwa Polskiego i Poznańskiego. Jeden z wybitniejszych kolonistów jest Morawianin, ożeniony z „polską dziewuchą“. O ile mogłem wymiarkować, nie rolnicy osiedli tu w takiej liczbie, lecz proletaryusze miejscy i wiejscy t. j. drobni rękodzielnicy, robotnicy fabryczni i parobcy. Znalazłem tam byłych krawców i szewców.

Po siedmiu latach pobytu w Rio dos Patos każda rodzina na przestrzeni 25 hektarów, (250 dziesięcin, 60 morgów nowopolskich, 40 austryackich) ma istnienie swoje zabezpieczone, t. j. obfituje w jedzenia. Ale do zamożności, w znaczeniu dorobienia się pieniędzy, doszła tylko mniejszość. Aby wszyscy się zbogacili, trzeba żeby mieli większe potrzeby i oświatę, a doczekali się lepszych warunków komunikacyjnych, czyli możności doprowadzania płodów surowych kolonii tanio do miast takich, jak Kurytyba i Ponta Grossa. Sądzę jednak, że już teraz nawet najmniej zamożni mogliby się przyczyniać do utrzymania dwóch nauczycieli. Zaczynają to już rozumieć. Na utrzymanie księdza polskiego ofiar-

ność ich obecna wystarczała. Jakoż na moje ręce później posłano do księdza biskupa w Kurytybie spis ofiarodawców, zobowiązujących się do płacenia rocznych składek na księdza; w spisie tym znajdowali się niemal wszyscy osadnicy, prócz kilku najuboższych, których nie pociągnięto do tego podatku.

Ziemię obszaru kolonialnego w kolonii Rio dos Patos znalazłem lepszą w części północnej ku miastom Tryumfo i Palmeira, gorszą w południowej w pobliżu rzeki Iguasu. W pierwszej napotyka się często bardzo grube i wysokie sosny araukarye, nad Iguasem zaś płaszczyzna porosła jest dość gęstym borem cienkich i małych drzew, przerzedzonym łąkami i pastwiskami.

Przetrzebiono już sporo lasu, może do połowy na każdym działku, pozostawiając większe okazy araukaryi, jakby nasienniki, samotne. Przy drogach wszędzie widziałem ogrodzenia i same działki, między sobą okolone płotem. Co ćwierć kilometra mniej więcej spotykałem chałupę drewnianą z drobnemi zabudowaniami, niby obórkami, chlewkami, kurnikami, piecykami do wypalania chleba itd.

21., 22., 23. października. — Wyjazd powrotny z Rio dos Patos.

Po kilkudniowych przejażdżkach i przyjęciach u bardzo gościnnych kolonistów doczekałem się niespodzianki. Przybył parowiec „Iguasu“ z Mateusza t. j. z miejsca, dokąd miałem się udać; wiózł on pp. Onufrego Flizikowskiego i Antoniego Bodziaka, najwybitniejszych obywateli tamtejszej osady. Przyjazd ich wpłynął na zmianę mego projektu. Zamiast do Mateusza, postanowiłem z nimi powrócić do Kurytyby. Wyruszyliśmy około 10-tej rano pod wodę rzeki wezbranej. Płynęliśmy wolno, bo dopiero nazajutrz po zachodzie słońca dojechaliśmy do Porto Amazonas.

Towarzystwo na statku było różnojęzyczne. Składało się z Polaków, Francuzów i Niemców. Kapitan statku firmy niemieckiej „Burmeister i Thon“, choć Niemiec, głosił się patryotą brazylijskim i, jako taki, otoczył mnie wszelkiemi wygodami, na jakie tylko mógł się zdobyć, dając mi z niezwykłą uprzejmością wszelkie objaśnienia. Jechaliśmy na workach herbaty „Mate“, które zalegały cały parostatek do tego stopnia, że prawie wcale miejsca nie było dla ludzi. Cały dół statku aż powyżej pokładu wybrukowany był workami maty. W jednem tylko szczupłem miejscu około maszyny i pieców nie było tego towaru. Schodziło się

tam jak do studni, wycembrowanej herbatą. Wszędzie indziej, nawet na pokładzie, piętrzyły się worki wysoko i trzeba było wciąż leżeć lub czołgać się, bo baldachim, unoszący się nad całym statkiem, nie pozwalał stanąć. Aby się wyprostować, trzeba było wychylić się nad wodę po stopniach, okalających parowiec lub wstąpić na sam baldachim.

Do powolnego podróżowania przyczyniła się wielka „lansza“ t. j. łódka, naładowana także Herwą Mate, po której odbywaliśmy też spacer dla wyprostowania pokurczonej figury. Zapasów żywności mieliśmy bardzo mało; każdy rozdzielał swoje, jak w bratniej wspólności dóbr — kapitan częstował czarną kawą z cukrem.

Dojechaliśmy w nocy do Porto Amazonas. Kapitan usiłował mnie przekonać, że rząd brazylijski robi, co może, dla moich rodaków i że najzupełniej fałszywymi są opisy publicystów i literatów europejskich, jak n. p. Dygasińskiego. Chciał, żebym namacalnie dowiedział się o prawdzie i zaprowadził mnie do miejsca chwilowego pobytu naszych ludzi, wyprawianych do kolonii Rio Claro.

Właśnie przybyła świeża gromada przybyszów. Weszliśmy z latarkami do rodzaju wielkiej stodoły, znanej mi już z przed kilku dni. Pomieszczenie było wygodne i obszerne. Wychodźcy zachowali się względem mnie, jak względem jakiego apostoła lub cudotwórcy, całowali mnie po rękach i odzieniu, wypytując się i wyrażając swą radość w słowach takich: „A to istnie, jak Anioł, zjawił się Pan między nami“. Ogólny zapał i radość panowały przez czas mego krótkiego pobytu wśród nich.

Po serdecznem przemówieniu i pożegnaniu ich, spotkałem się z panem Amazonasem Pimpą, który zaprosił mnie do siebie, ugaszczając z całą serdecznością. Wtem przerwał ciszę nocną ostry świst parostatku. Wkrótce zeszliśmy w dół do rzeki, znaleźliśmy się na nim i ruszyliśmy w noc ciemną dalej.

Nazajutrz rano około 10-tej stanęliśmy w miejscowości Porto Larangeiras (port pomarańcz). Jest to punkt, od którego Iguasu zaczyna być spławnym; cokolwiek powyżej jest piękny wodospad tej rzeki, zwany Rio dos Patos.

Od Porto Amazonas do Portu Pomarańcz nie jest dalej w linii prostej, jak 5 kilometrów. Ale „rzeka wielka“ (w języku indyjskim znaczy: „I“ wielka, pełna „guasu“ woda), wykręca się wężem kilkumilowym, tworząc wielki półwysep z szyjką 5-kilometrową, w ten sposób, że wraca nieraz niemal na to samo miejsce,

n. p. w jednem mija się sama siebie w przeciwnych kierunkach o kilkadziesiąt kroków. Nasi robotnicy z własnej inicyatywy przekopali, jak mi zaręczano, tę przestrzeń i oszczędzili sobie przeszło milę drogi jazdy wodą z towarem.

Przestrzeń, okolona przez wijącą się rzekę, ma glebę czarną przednią. Nad wodą naokoło jest lasek, w pośrodku step trawą zarosły. Rząd rozmierzył ten grunt i sprzedaje go dość drogo; osiedliło się na nim tylko kilku Włochów.

Port Pomarańcz nosi tę nazwę z powodu, że owocu tego jest wielka obfitość w pobliskich gajach pomarańczowych. Pomarańcze są tam bez wartości. Za 1 milrejsa można ich nabyć mniej więcej 100. Od Niemca jakiegoś kupiłem 20 za pół milrejsa: chwalił się potem, że mnie okpił straszliwie.

Ważność miejsca Porto Larangeiras leży w tem, że do niego, jako do początku żeglugi na rzece Iguasu, dochodzi gałąź kolejowa od stacyi Restinga Secca.

Spóźniliśmy się na pociąg, a następny dopiero za dwa dni miał odjechać. Towarzystwo nasze było liczne. Postanowiliśmy tedy pojechać pociągiem nadzwyczajnym, na który czekaliśmy do 1-szej.

Mieliśmy wszyscy czas się zapoznać między sobą. Były zbliżenia a nawet flirty. Młode Polki i Niemki wywarły silny urok na młodzieńca brazylijskiego, który zaczął przebierać się. Kilka dni takiej podróży, jaką przebyliśmy, połamało nam kości i zobojętniło na zewnętrzny wygląd. Młodzieniec wszakże przemieniał się w eleganta na peronie wśród spacerującej publiczności w sposób, wywołujący u płci pięknej śmiech i przerażenie. Zwracając się do niej twarzą, układał usta w uśmiech słodki, oczy mu się żarzyły, a równocześnie zmieniał koszulę i dolne ubrania. Przez chwilę był bez krawata; przyznać mu jednak muszę, że się bardzo spieszył.

W jak najweselszem usposobieniu przybyliśmy pod wieczór do Kurytyby.

Dr. Stanisław Kłobukowski.

(Ciąg dalszy nastąpi).

Z życia Kajetana Węgierskiego

Pamiętniki i listy

WYDAŁ

Dr. Stanisław Kossowski.

(Ciąg dalszy).

Je demandai qu'on me conduisit au couvent, sous le prétexte d'un déjeûner auquel je ne pouvais pas manquer. Du couvent, avec mon ami ma femme de chambre et ce monsieur, que vous avez vû, je me rendis au Colisée. Mes conducteurs croyaient ne servir qu'une plaisantirte de bal, et je sus rire avec eux jusqu'au moment, où votre présence vint m'ôter ma gaîeté, en m'enivrant d'un charme inexprimable. Souffrés que je me repose des moments si doux. — Bientôt je les perdrai, pour en fixer

---

Prosiłam, aby mię zawieziono do klasztoru, pod pozorem, że chcę tam zjeść śniadanie, którego sobie odmówić nie chciałam. Z klasztoru udałam się z moim przyjacielem, moją pokojową i tym panem, którego widziałeś, do Colizeum. Przewodnicy sądzili, że dogadzają tylko mojej zachciance i ja umiałam śmiać się wraz z nimi aż do chwili, w której twoja obecność odjęła mi wesołość, upajając mię niewypowiedzianym czarem. Pozwól, żebym się zatrzymała nad chwilami tak słodkiemi. — Wkrótce je stracę, aby

d'affreux. Quelle jouissance c'était pour mon coeur de vous voir, de vous occuper, d'avoir reçu de vous une marque d'intérêt. Une seule crainte la troublait... Vous pouviez me prendre pour une autre à quelque rapport de ressemblance et n'adresser tout ce qui me flattait qu'à la personne que vous espériez trouver sous mon masque. Je voulus m'en assurer et je vous envoyai le billet... de sa candeur. Si vos regards s'etaient fixés sur une autre, tout était dit. Je pouvais encore me vaincre; votre attention à m'examiner me prouva que Vous me reconnaissiez. Que cet instant fut encore delicieux! Je vous regardai à mon tour, et je crus lire dans vos yeux une partie du sentiment que mon coeur renfermait. Helas! Ce delicieux instant fus le dernier. Notre première entrevue fut l'epoque de mes tourments. Mon ame vous fut comme. Sûr de vos droits, de votre pouvoir, vous commençates des-lors à m'effrayer par des transports nouveaux pour moi. Ce que vous obtintes de ma surprise autant que de mon amour, me parut une faute ineffacable, et dèsque je vous eus quittée, il me semble que vous ne deviez plus m'aimer m'estimer. — Le reste vous est connu. Mes lettres si vous les avez encore, peuvent vous

---

stanać przy strasznych. Jaka to była radość dla mego serca, gdy widziałam Cię, gdy potrafiłam cię rozweselić, otrzymując nawzajem pewność, że sie inną zajmujesz. Jedna obawa mieszała tę radość... mogłeś mię wziąć łatwo za inną wskutek pewnego podobieństwa i mogłeś sądzić, że mówiłeś to, co mi pochlebiało, tej osobie, która miałeś nadzieje znaleść pod moją maską. Chciałam się o tem przekonać i posłałam ci bilecik... z jej imieniem. Jeżeliby twoje wejrzenia przyzwyczaiły się do tej drugiej, wszystkoby się to pokazało. Mogłam jeszcze przezwyciężyć siebie; uwaga jednak, z jaką przypatrywałeś mi się, dowiodła, że mię poznajesz. Jak ta chwila była dla mnie rozkoszną! Z kolei ja się teraz tobie przypatrywałam i zdawałam się czytać w Twoich oczach część uczucia, które moje serce zawierało. Niestety! Ta rozkoszna chwila była ostatnią. Nasze pierwsze widzenie się z tobą stało się początkiem moich męczarni. Moja dusza była ci znaną. Pewien swoich praw, swojej władzy, zacząłeś natychmiast przerażać mię nowemi dla mnie uniesieniami. To, co otrzymałeś dzięki mojej dobroci i miłości, wydało mi się błędem nie do darowania i z chwilą, gdy cię opuściłam, zdaje mi się, że nie musiałeś mnie już kochać, ani też szanować. Reszta jest Ci znana. Moje listy, jeżeli je masz jeszcze, mogą Ci

retracer mes craintes et mes remords. Vous me rassuriez: „Ma chere, mon adorée Alexandrine“ me disiez vous. „Les inquietudes, que tu as sur mes sentiments pour toi, sont injustes. J'ai souffert cruellement 'hier de n'avoir pas de tes nouvelles“. Et dans une autre: „Je ne peux avoir d'autre tort. avec vous. que de vous aimer plus, que vous ne m'etes attachée, et par conséquent vous faire sentir votre infériorité en ce genre. Qui vous porte à croire, que je ne vous aime pas? que je n'ai pas senti, avec transport les moments heureux dont le souvenir est à jamais gravé dans mon coeur?... Je vous assure que je vous aime, vous estime, vous adore“. Et lorsque j'implorai votre secours, pour me sauver — de moi — même; quand je fuyais l'amour — quand je vous demandais de l'amitié, Vous me repondiez: „Vous étes injuste, en voulant me préscrire la manière, dont je dois vous aimer: C'est tyranniser que de défendre les sentiments, qu'on inspire. Je me flattais d'avoir aujourd'hui le bonheur de vous voir, mais pour tout bien, je reçois un billet froid et sec, où je ne reconnais pas votre coeur“. (C'était pour déchirer le coeur, que vous redontiez tant, qu'il put vous echapper). „Ce n'est point de

---

odtworzyć moje obawy i moje wyrzuty. Ty mię uspokojałeś: „moja droga, moja ubóstwiana Aleksandro, mówiłeś mi.“ „Obawy, jakie żywisz co do moich uczuć względem Ciebie są niesprawiedliwe. Cierpiałem okrutnie wczoraj, nie mając wiadomości o Tobie.“ A w drugim liście: „Mogę Ci jedno zarzucić, a mianowicie to tylko, że kocham Cię więcej, aniżeli Ty mi jesteś oddaną, a co za tem idzie, mogę dać Ci odczuć, że stoisz pod tym względem niżej odemnie. — Co każe Ci przypuszczać, że już Cię więcej nie kocham? — że nie byłem wstanie odczuć z zapałem tych chwil wszystkich, które pamięć na zawsze w moim sercu wyryła? — Zapewniam Cię, że Cię kocham. czczę i ubóstwiam.“ A skoro błagałam Twojej pomocy, byś mnie wybawił od walki wewnętrznej, gdy uciekałam przed miłością, gdy prosiłam Cię tylko o przyjaźń — Tyś mi odpowiedział: „Postępujesz niewłaściwie. chcąc mi narzucić sposób, w jaki powinienem Ciebie kochać. Jest to raczej tyranizowanie, aniżeli bronienie uczucia, jakie się żywi. — Nie posiadałem się z radości, mając ujrzeć Ciebie dzisiaj, jednak jakby na śmiech otrzymuję bilecik zimny i suchy, w którym ani śladu Twego serca dopatrzeć się nie mogę.“ (Pisałeś to wszystko, by rozedrzeć serce, o które tak się lękałeś, by się od Ciebie nie

votre honnêteté, que j'ai lieu de donter, — mais de votre coeur; et cette manière de voir, mortifie mon amour propre, sans me guérir de mon amour". Helas! Vous saviez trop, que paraitre douter des sentiments d'une amante trop tendre, c'etait l'amour à ne plus en refuser toutes les preuves. Je fus facile et credule, et quelque fussent dès-lors mes remords, ces mots me consolaient: „Je rends graces au sort de m'avoir fait rencontrer un coeur tel, que le vôtre, un coeur, dont la sensibilité enflammerait une ame de marbre et la forcerait à l'adorer". J'ai toutes ces lettres; je les conserve, ces gages imposteurs d'un sentiment, que vous n'avez jamais senti pour moi. J'étais horriblement trompée, abusée, mais il m'aurait fallu plus d'expérience, il m'aurait fallu connaître les détours de la perfidie, pour demêler celle que cachait si bien votre coeur. Ah! Un avenglement prouve la candeur du mien.

Tout en vous paraissait justifier mon amour: Je me livrais, sans reserve à toutes les séductions, qui suivaient votre présence. Mais vous cessâtes bien-tôt de vous contraindre. Vos delirs satis faits... une froideur accablante se peignit sur votre visage. Vos

---

odwróciło.) „O Twojej uczciwości nie mam wcale prawa wątpić — ale o Twojem sercu — a taki sposób ujęcia kwestyi godzi w moją miłość własną, nie lecząc mnie wcale z mojej miłości". Niestety! Wiedziałeś nadto dobrze, że pozwalając sobie wątpić w uczucia kochanki tak czułej, zaprzeczasz zarazem tylu dowodom jej miłości. Byłam zbyt przystępną i łatwowierną, a w wyrzutach, które sobie z tego powodu niejednokrotnie czyniłam, pocieszały mię tylko te słowa: „Składam dzięki losowi, że pozwolił spotkać mi takie serce, jak Twoje, serce, którego czułość zapaliłaby duszę z marmuru i zmusiłaby, by je ubóstwiać." Mam wszystkie listy; zachowuję je jako nieomylne dowody uczucia, któregoś dla mnie nigdy nie żywił. Zostałam strasznie oszukaną i w błąd wprowadzoną, jednak musiałabym mieć więcej doświadczenia i musiałabym znać pierwej wszystkie wybiegi wiarołomstwa, by módz rozpoznać, że je ukrywasz tak dobrze w swoim sercu. Ach! Zaślepienie to świadczy tylko o mojej szczerości.

Wszystko w Tobie zdawało się usprawiedliwiać moją miłość: Ja też oddawałam się bez zastrzeżeń wszystkim ponętom, które wywoływała Twoja obecność. Ale Ty przestałeś wkrótce przymuszać się. Gdy zadowoliłeś swój szał... na twarzy Twojej malował

lettres en porterent l'empreinte, autant que vos paroles. Ce changement ne put m'échapper, mais je m'en accusai. Je crus, que me connaissant d'avantage, vous m'aviez trouvé moins aimable que je ne Vous l'avais paru d'abord. Mais je l'adore me disais-je... n'est ce — donc rien pour une ame sensible? Déjà je prévoyais qu'un objet plus digne de vous plair allait entièrement m'effacer de votre coeur. J'en souffris et je me taisais. Ah! combien je vous aurais pardoné si vous n'eussiez été qu'inconstant! J'attribuais encore aux chagrins, d'ont vous m'aviez parlé, ce besoin continuel de distractions, qui vous éloignaient de moi. J'osais à peine m'en plaindre. Il me semblait peu delicat de vous reprocher des plaisirs, qui chassaient le souvenir de vos peines... encore moins d'en demander le sacrifice. Souvent, quand vous m'aviez quitté, que je vous suivis tristement, prête à tendre mes bras, pour vous retenir et je me suis contrainte, tremblant de vous déplaire. Je n'en désirais, que plus vivement de vous revoir. J'espérais toujours vous retrouver plus tendre, plus occupé de moi. Ingenieuse à me tromper moi-même, j'adoptais, sans reflections touts ces prétextes, que vous saviez me donner. Quand je

---

się przygniatający chłód. Listy Twoje miały ten sam wyraz obojętności, co i słowa. Ta zmiana nie mogła ujść moim oczom: ale sama obwiniałam się o nią. Sądziłam, że poznawszy mię lepiej, doszedłeś do wniosku, że jestem mniej godną miłości, niż Ci się wydawałam na początku. Ale ja go ubóstwiam, mówiłam do siebie. . Czy to jest niczem dla czułej duszy? Przewidywałam już, że przedmiot jakiś bardziej godny podobania się tobie, zdołał mię całkiem zatrzeć w Twojem sercu. Cierpiałam z tego powodu i milczałam. Ach! jak chętniebym Ci przebaczyła, gdybyś był tylko niestałym! — Przypuszczałam, że zmartwienia, o których mi mówiłeś i ta ciągła żądza rozrywek oddalały mię od Ciebie. Zaledwie śmiałam się skarżyć na to. Zdawało mi się niedelikatnem wymawiać Ci przyjemności, które odpędzały pamięć trosk Twoich... a tem bardziej żądać, byś się ich wyrzekł dla mnie. Często, gdyś mię opuścił, szłam za Tobą smutna, gotowa wyciągnąć ramiona, aby Cię zatrzymać — jednak powstrzymałam się, drżąc na myśl, że się mogę Tobie nie podobać: a pragnęłam tylko lepiej przypatrzeć się Tobie. Miałam zawsze nadzieję, że będziesz czulszym i bardziej mną zajętym. — Pełna zmyślności w oszukiwaniu samej siebie uznawałam bez rozwagi wszystkie przyczyny, które umiałeś

vous croyais triste ou malade, vous n'etiez qu'ennuyé, excédé, embarassé. La sécheresse de votre coeur dictait celle de vos discours; et je m'obstinais à fuir la lumiere qui venait s'offrir. Je croyais vous consoler, vous attacher davantage en ne resistant à aucun de vos desirs. Je croyais céder à l'amour; j'étais l'objet du mépris le plus marqué. Mon coeur, qui me reprochait toujours cette indigne faiblesse m'avertissait de l'horrible supplice qui devait l'expier. Je lui resistais: il me fallait un coup affreux pour me tirer de ma sécurité... Je l'ai reçu hier. Croyez que je ne cherchais point cette fatale découverte: le hazard seul m'a servi. Je continuais une lettre commencée depuis le jour de notre séparation, à laquelle j'avais tous les jours ajouté quelques ligues. On vint m'interrompre, m'entrainer au milieu d'un cercle; et le premier mot, qui fixa mon attention, fut l'arrêt — de mon désespoir. Frapée d'une terreur horrible, j'essayai d'en douter. Je craignis d'en vous condamner trop promptement; mais ne pouvant soutenir l'incertitude je rassemblai mes forces, je risquai quelques questions; on n'y repondit que trop amplement. Ce

---

mi podawać jako prawdziwe. Gdy uważałam Cię za smutnego lub chorego, byłeś tylko znudzonym, zużytym, zakłopotanym. Oziębłość Twego serca dyktowała oziębłość rozmowie; a ja uparcie zamykałam oczy na światło, które mi to okazywało. Myślałam, że Cię pocieszę, że Cię przywiążę więcej, nie opierając się żadnemu z Twoich życzeń. Sądziłam, że robię ustępstwo miłości, a w istocie byłam tylko przedmiotem najwyraźniejszej wzgardy. Moje serce, które mi wymawiało zawsze tę niegodną słabość, ostrzegało mię przed straszliwą męczarnią, jaką musiałam za nią odpokutować. Opierałam się mu: i potrzeba było strasznego ciosu, aby mię wyrwać z mojej pewności... Otrzymałam go wczoraj. A bądź pewnym, że nie szukałam wcale tego fatalnego odkrycia — wypadek tylko posłużył mi. Pisałam dalej list, rozpoczęty w dniu naszego rozłączenia, do którego codziennie dorzucałam kilka wierszy. Jednak przerwano mi, zapraszając mię do towarzystwa; i pierwszy wyraz, który zwrócił moją uwagę, był wyrokiem ku mojej rozpaczy. Ugodzona strasznym gromem, próbowałam wątpić o tem. Bałam się potępić Cię nadto szybko; ale nie mogąc wytrzymać w niepewności, zebrałam wszystkie moje siły i odważyłam się na kilka zapytań: odpowiedziano mi na nie aż nadto obszernie. To nie jest

n'est point un goût passager, une de ces fantaisies, dont mille n'auraient pû m'inspirer l'ombre de la jalousie, c'est une passion violente, partagée, qui vous tient tous les deux. C'est pourelle que vousarez fait faire votre portrait — pour elle que vous êtes parti un jour plus tard que Vous ne me l'aviez dit. C'est elle, dont la jalousie vous contraignait de vous masquer au bal, qui vous retint cher elle, cette nuit, que je passai à vous attendre dans l'inquietude, dans la douleur. Depuis que je vous connais, elle n'a peut-être pas reçue de vous une preuve d'amour qui n'ait été le sujet d'une peine pour moi. Quand vous me quittiez avec tant de plaisir et de precipitation, vous alliez la trouver. Quand près de moi — rêveur, contraint, mes timides caresses vous arrachaient à peine un regard — c'était elle, qui fixait toutes vos pensées. Vous alliez la chercher aux déjeûners du Vice-compte; c'est encore elle, que je rencontrai dans votre voiture. Je vous questionnai sur cette rencontre... Avec quelle adresse vous sçutet me tromper! — Il n'en fallait pas tant. Il est facile d'abuser une ame confiante, incapable de ruse, incapable de la soupçonner dans les autres. Cette femme, qui causa tant de peine à la pauvre Cierce L...' Aurais-je pû prévoir, qu'elle causerait aussi les mien-

---

przelotne upodobanie, jedna z tych fantazyi, których tysiąc nie mogłoby natchnąć mnie cieniem zazdrości; jest to namiętność gwałtowna, obustronna, która łączy was oboje. To dla niej kazałeś zrobić swój portret, dla niej wyjechałeś jeden dzień później, o czem zupełnie mi nie wspominałeś. To jest ta, której zazdrość zmusiła Cię maskować się na balu, ona zatrzymała Cię u siebie tej nocy, którą ja przepędziłam, oczekując Cię w niepokoju i boleści. Od kiedy Cię znam, ona nie otrzymała może od Ciebie jednego dowodu miłości, któryby nie był przedmiotem przykrości dla mnie. Kiedy mnie zostawiałeś z taką przyjemnością i pospiechem, szedłeś jej szukać. Gdy byłeś przy mnie zamyślony, wymuszony, gdy moje skromne pieszczoty zaledwie wejrzenie zwrócić były zdolne, ona to zatrzymywała wszystkie twoje myśli. Szedłeś, aby ją odnaleźć na śniadaniach wicehrabiego; ją także spotykałam w Twoim powozie. Gdy żądałam, byś się z tego wytłumaczył... z jaką zręcznością umiałeś mię oszukać! Nie potrzeba było tak wiele. Łatwo jest oszukać istotę ufającą, niezdolną do chytrości, niezdolną do podejrzywania jej u innych. Ta jest kobieta, która przyczyniła tyle trosk biednej Cierce L... Czy mogłam

nes? Mais ne croyez pas, que je l'accuse, qu'une basse jalousie m'anime contre elle. Elle aime. Est-ce à moi. de lui en faire un crime? Tant que vous lui devrez votre bonheur, loin de la haïr, je ne la verrais pas avec indifférence, et si le ciel m'avait donné des moyens de séductions, je rougirais de les employer pour lui arracher votre coeur. Ne craignez pas, que je vous parle d'avantage de mon amour! Non! jamais. Dussai-je en mourir. Mais plaignez-moi, vous le devez, je le merite. Qu'ai-je dit — malheureuse? Vous me plaindre, Vous, qui, calme et tranquille, m'avez precipité sans remords dans un abime de douleur — Vous, qui me méprisez, qui ne croirez peut-être pas à cette peinture si vraie de mon état affreux. Que viens je de faire? De quel droits allais je troubler votre repos? — Je ne vous suis rien. A quelle illusion me suis je encore abandonnée?... Detrompée! Désesperée de l'être! J'ai pu vous laisser lire encore dans ce coeur, si cruellement outragé? m'exposer de nouveau à voir ma sensibilité méprisée? dédaignée? Ah cruel! Que me reste-t-il à faire, pour vous montrer votre esclave, votre victime, entrainée, subjuguée

---

przewidzieć, że ona przyczyni się także do moich trosk? Ale nie sądź, abym ja ją obwiniała, lub żeby niska zazdrość pobudzała mnie przeciwko niej. Ona kocha. Czy do mnie należy liczyć jej to za zbrodnię? Póki jej będziesz zawdzięczać swoje szczęście, daleka od nienawiści nie będę mogła patrzeć na nią obojętnie i gdyby niebo było mi dało środki uwodzące, czerwieniłabym się, używając ich, by tylko wyrwać ją z Twego serca. Nie bój się, abym Ci mówiła dłużej o mojej miłości! Nie! nigdy. Choćbym miała umrzeć. Ale żałuj mnie, powinieneś to uczynić, ja na to zasługuję. Lecz cóż ja powiedziałam — nieszczęśliwa? Ty! litować się nademną, Ty, który zimny i spokojny rzuciłeś mnie bez wyrzutów w przepaść boleści. Ty, który mną pogardzasz, który nie uwierzysz być może w ten tak prawdziwy obraz mego okropnego stanu. Co czynię jednak? Jakiem prawem mam burzyć Twój spokój? Jestem przecież niczem dla Ciebie. Jakim mrzonkom poddaję się jeszcze?... Opamiętaj się! zrozpaczona, wszak się oszukałaś. Czy powinnam zezwolić, byś czytał jeszcze w tem sercu, tak okrutnie znieważonem? Narażać siebie znowu i swoją czułość na pogardę? Wzgardzona? Ach okrutnie! co mi jeszcze czynić wypada, aby Ci pokazać Twoją niewolnicę, Twoją ofiarę, porwaną, poddaną, upadającą pod ciężarem

sons les poids de sa chaîne?... Je dois la porter toute ma vie. Faites que je puisse encore la chérir. Ecoutez-moi! La grâce, que je vous demande, m'est due par tous les droits que l'être le plus infortuné peut aquérir sur une ame sensible... la vôtre l'est. Vous aimez Julie! Vous n'avez jamais été barbare — que pour moi. L'honneur, tous les sentimens réunis vous parleront en ma faveur. Enfoncez Vous — même dans mon coeur le trait affreux, qui doit me faire expirer. Que je meure de votre main!.... Je mourrai, en vous pardonnant. Cessez de m'abuser. Montrez-moi mon état, dans toute sa horreur. Accablez-moi sans nul égard. Au milieu de mes cris, de mes reproches je doute peut — être encore. Détruisez cette incertitude — si elle existe Plus de voile! Soyez cruel plutôt, que d'être faux!

Eclairée par vous, je vous aurai au moins une obligation et ma reconnaissance justifiera ces sentiments, que je ne puis éteindre. Je pourrais vous estimer encore. Faites moi cet aveu, je vous en conjure et je vous promets de vous sauver la houte d'en rougir devant moi — de mettre une barrière eternelle entre nous. N'ai-je pas un cloitre pour azyle?.... Helas! J'avais autrefois le

---

swego łańcucha?... Muszę go nosić całe życie. Zrób, abym mogła go jeszcze kochać. Słuchaj mię! Łaska, o którą Cię proszę, należy mi się ze wszystkich praw, jakie istota najnieszczęśliwsza może żądać od duszy czułej... A Twoja taką jest... Ty kochasz Julię! Gdy byłeś kiedykolwiek okrutny, to tylko dla mnie. Honor, wszystkie połączone uczucia przemówią za mną do Ciebie. Ugodź sam w moje serce tym ciosem straszliwym, który ma mię zabić. Niech umrę z Twojej ręki!... Umrę, przebaczając Ci. Przestań oszukiwać mnie. Przedstaw mi moje położenie w całej jego okropności. Gnęb mię bez żadnego względu. Wśród moich krzyków, moich wymówek, ja może jeszcze wątpię. Zniszcz tę niepewność, jeżeli ona istnieje. Bez żadnych zasłon! Bądź raczej okrutny, niż masz być fałszywym!

Oświecona, dzięki Tobie, będę się czuła przynajmniej tem wobec Ciebie zobowiązaną i moja wdzięczność usprawiedliwi te uczucia, które nie mogą zgasnąć. Mogłabym jeszcze szanować Ciebie. Uczyń mi to zeznanie, zaklinam Cię na wszystko; a ja Ci przyrzekam, że oszczędzę Ci tego wstydu, byś się musiał czerwienieć przedemną. Obiecuję Ci postawić między nami zaporę wieczną. Czy nie mam klasztoru, by się módz tam schronić? niestety,

soin de ma mère; et maintenant je ne puis la fixer — sans frémir et sans me détester.

Où fuirai-je?... Je n'attends rien des hommes... et le ciel... le ciel me recevra-t-il? Ah! Je l'implore pour vous seul... qu'il Vous pardonne et qu'il ne punisse que moi — de vos crimes, et des miens!

---

było to niegdyś życzeniem mojej matki; ale teraz nie mogę patrzeć na nią bez drżenia i bez nienawiści ku sobie.

Gdzie ja ucieknę?... Nie oczekuję niczego od ludzi... a niebo... niebo, czy mnie przyjmie? Ach! ja błagam je tylko za Ciebie... niech Ci przebaczy i niech karze mnie tylko za Twoje winy i za moje!

III. Voyage dans l'Amérique septentrionale du comte C. W. polonais.

Journal d'un voyage fait sur la riviere du Nord jusqu'à Saratoga et de là jusqu'au lac George et Champlain — retour à Boston par le Connecticut.

8. Oct.

Aprés avoir pris cougé de nos amis, nous quittâmes Philadelphie. J'ai laissé cette ville avec regret; l'hospitalité, la'prévenance, l'honnêteté avec laquelle j'y ai été reçu me l'ont fait aimer infiniment. Je n'ai trouvé nulle part cette franchisse cette loyanté, avec laquell ces principalles personnes agissent ici; ces vertus, reste précieux des anciennes moeurs des Quakers. distinguent mieux la Pensylvanie de ses voisins que les l'imites disputes. Il y a je crois des rapports secrets entre les gens qui adorent la liberté, leur coer et leur esprit s'expriment dans la même

---

III. Podróż do Ameryki północnej polskiego hrabiego K. W.

Dziennik podróży odbytej po Rzece północnej do Saratogi, a stamtąd do jeziora Jerzego i Champlain — powrót do Bostonu przez Connecticut.

8. października.

Pożegnawszy się z naszymi przyjaciółmi opuściliśmy Filadelfię. Porzuciłem to miasto z żalem; dzięki gościnności, uprzejmości i grzeczności, z jaką zostałem tam przyjęty, polubiłem je nieskończenie. W żadnej stronie nie znalazłem takiej swobody, takiej szczerości, z jaką najprzedniejsze osobistości tutaj postępują; te zalety, cenna pozostałość po dawnych obyczajach Kwakrów, wyróżniaja Pensylwanię od jej sąsiadów lepiej, aniżeli naśladowane dysputy. Istnieją — sądzę — jakieś stosunki tajemne między ludźmi, którzy miłują wolność; ich serce i umysł przemawiają je-

langue. Il m'est arrivé souvent d'avoir des conversations de plusiers heures sur des matiéres abstraites avec les premières personnes de l'état; à peine pouvais-je alors balbutier l'Anglais, mais un mot suffisait souvent pour transmettre une pensée et quand à mon retour chez moi je récapitulais la conversation, je m'etonnais comment le petit magasin de mots rassemblés dans ma mémoire avait pu suffire a'tant d'idées.

Nous quittames la ville a'trois heures du matin embarqués dans une grande voiture que l'on appelle ici public etoge ou ilying machines, machines volantes. C'est la premiere fois que je me trouvais dans une voiture publique; cell-ci n'etait pas des plus commodes, d'autant plus que le chemin du pais est extrement pierreux et que les secousses sont terribles. Il faudrait ici se permettre quelques plaisanteries sur nos compagnons de voyage, pour vous sauver l'ennuy du chemin mais je n'ai pas le temps ni le loisir d'en faire, au reste il y a des gens dont on ne peut tirer aucun parti: ils sont dans la societé ce que les chimistes appelent caput mortuum et on ne peut s'en servir ni pour l'amusement ni pour l'instruction. Nos gens étaient de cette espèce et Mr. Vernon qui est une persifleur supportable les attaqua sans

---

dnym językiem. Zdarzało mi się często prowadzić kilkugodzinne rozmowy w kwestyach nader subtelnych z pierwszemi osobami państwa: zaledwie mogłem wybełkotać co po angielsku, jednak jeden wyraz wystarczał często do przedstawienia myśli i gdy po moim powrocie powtarzałem sobie rozmowę, dziwiłem się, jak taki mały zasób słów, zgromadzony w mojej pamięci, mógł wystarczyć dla tylu myśli.

Opuściliśmy miasto o trzeciej godzinie zrana, wsiadłszy do wielkiego powozu, który tutaj nazywają „ilying machine“, maszyną latającą. Po raz pierwszy znalazłem się w publicznym powozie; nie należał on do najwygodniejszych, tem bardziej, że droga kraju była bardzo kamienista, a wstrząśnienia straszliwe. Trzeba było tutaj pozwolić sobie na kilka żartów z naszymi towarzyszami podróży żeby ochronić się od nudów drogi, nie miałem jednak wolnego czasu, by to uczynić; zresztą byli to ludzie, do których nie można się było przybliżyć; tacy są w towarzystwie tem, co chemicy nazywają *caput mortuum* i nie można się nimi posłużyć, ani by się zabawić, ani by się czego dowiedzieć. Ci właśnie byli tego rodzaju, a pan Vernon, który jest żartownisiem nieposlednim,

succés. Pour moi je n'avais aucune envie de rire, assis sur un banc très dur; balloté par des cahos terribles je m'occupais tristement de ma situation et ne pensais guères à tirer parti de celle des autres.

La matinée étant un peu trop fraiche nous restames avec nos stores levés et je ne vis le jour qu à Bristol où nous arretames pour déjeûner. C'est une petite ville de Philadelphie; le stage y changea de chevaux. Après une courte pause et un assez mauvais déjeûner nous continuames notre route jusqu'à Ireniecon ferry où l'on passe la Delaware, elle est tout auplus large de trois portées de fusil; en passant le Bac on a la vue d'une maisson du colenel Coxe, dont la situation est charmante. En général les bords de la Delavare sont agréables, mais un peu trop plats et trop unis. Trentovn est tout près de là. C'est dans cette ville le 25 Décembre 1766 on fut surprise la brigade hessoise par l'activité du Glal. Washington et la négligence du C-te Rail. C'est ici une opinion universelle tant dans l'armée américaine que dans les troupes anglaises. La premiere idée de ce projet combiné est due au Gl. Lée, que son extrême inquiétude le perdit dans cette occasion; ayant été lui même reconnaître une maison dans

---

zaczepiał ich bez skutku. Co do mnie, to nie miałem najmniejszej chęci do śmiania się, siedząc na ławce bardzo twardej i wstrząsany straszliwemi stuknięciami, bawiłem się smutnie mojem położeniem i nie myślałem wcale, by się w ich towarzystwie rozerwać.

Poranek był zbyt świeży, lecz story nasze zostawiliśmy podniesione; dzień ujrzałem w Bristolu, gdzie zatrzymaliśmy sie na śniadanie. Jest to małe miasto o osiem mil od Filadelfii; woźnica zmienił w niem konie. Po krótkiej pauzie i po dość lichem śniadaniu wyruszyliśmy w dalszą drogę aż do Irenieconferry, gdzie płynie Delavara; jest ona szeroka mniej więcej na odległość trzech strzałów. Minąwszy Bac. widzi się w czarującem położeniu dom pułkownika Coxe'a. W ogólności brzegi Delavary są przyjemne, jednak cokolwiek za płaskie i jednostajne. Tuż obok leży Trentovn. W tem to mieście 25 grudnia 1776 roku, dzięki dzielności generała Washingtona a niedbastwu księcia Raila, ujęto brygadę heską. Tutaj to wyrobiła się powszechna opinia zarówno o armii amerykańskiej, jakoteż o wojskach angielskich. Pierwszą myśl tego skombinowanego planu poruczono generałowi Lée, którego w tej okazyi zgubił nadzwyczajny niepokój: wyjechawszy sam na podjazd, z domu w Morris-Coumy wysłał do Washingtona posłańca,

le Morris Coumy. un expres qu'il envoyait au Gl. Washington fut surpris par le C-te Harcourt: cet indice le conduisit à la maison où Lée s'était arreté pour dejeûner est s'en rendit maître.

Le succées de Trentovn fut le premier avantage marqué que les Américains obtinrent sur les Anglais. Les prisoniers hessois furent conduits en triomphe à Philadelphie et le peuple des environs accourut pour contempler ces malheureux Allemands achetés si cher et venus de si loin. Et leur bravoure et leur férocité avaient répandu la terreur de leur nom et le peuple paci fique de Pensylvanie les regarda avec la même curiosité, qui caratérisa les Romains quand ils virent pour la premiere fois les terribles lions que Sylla avait amené d'Affrique. Entre Trentovn et Princetovn il n'y a rien de remarqable à moins que ce ne soit un grand. arbre à l'entour duquel d'enormes rochers forment une chambre appellée Rocky-Kouse; on allumait dessus des feux qui servaient de signal pour le ralliement de la milice de Jersey. Nous arrivâmes à Princetown à dix heures, vous savez

---

który został ujęty przez księcia Harcourta; wypadek ten zaprowadził tego ostatniego do domu, gdzie Lée zatrzymał się na śniadanie, i uczynił go panem położenia.

Potyczka pod Trentown była pierwszem znaczniejszem zwycięstwem, jakie Amerykanie odnieśli nad Anglikami. Jeńcy hescy zostali z tryumfem wprowadzeni do Filadelfiii, a ludność z okolic zbiegła się, by podziwiać tych nieszczęśliwych Niemców, okupionych tak drogo i przybyłych z tak daleka. Ich męstwo i okrucieństwo rozszerzały grozę ich imienia, a spokojny lud Pensylwanii spoglądał na nich z tą samą ciekawością, jaka cechowała Rzymian, kiedy zobaczyli po raz pierwszy straszne lwy, sprowadzone przez Sullę z Afryki. Między Trentown a Princetown niema nic godnego, prócz wielkiego drzewa, dookoła którego olbrzymie skały tworzą jakgdyby izbę, zwaną Rocky-Kouse; na wierzchu zapalano ognie, które służyły za znak do zbierania się milicyi Jersey'a. Przybyliśmy do Princetown o dziesiątej godzinie; wiesz pan, że

que le congrès y réside actuellement.[1]) J'appris avec plaisir que le Gl. Green etait logé à l'auberge où nous nons arrêtames et je retrouvais, je le connaissait déjà. C'est le seul Gl. américain (Washington exepté) qui ait réuni les sufrages des deux parties. Les Anglais le plus prévenus m'en ont toujours parlé avec estime. Ayant passé les premieres années de sa vie dans les paisibles occupations du commerce et dans la pacifique religion de Quakers il ceignit l'epée au premier indice de danger de sa partie: employé les premiers années dans le pénible et ennuyeux métier de quartier maître il fut fait général envoyé dans le sud où il déploya de grands talents et fut le principal instrument de l'evacuation de ces provinces; nouveau Marcellus, quelque fois battu jamais vaincu. il forca le victorieux Cornvallis[2]) à quitter la Coroline du sud et obligé milord Rawdon à rentrez dans Charlestown. Sa modestie

[1]) Princetown est remarquable par la défaite de trois régiments anglais que le Gl. Washington surprit par une marche savante, qu'il déroba au lord Cornvallis en présence du quel il était campé a Trentown.

[2]) Cornvallis venant de mettre en déroute l'armée du Gl. Gates.

odbywa się tam obecnie kongres.[1]) Dowiedziałem się z przyjemnością, że jenerał Green zamieszkał w zajezdnym domu, gdzie zatrzymaliśmy się i przypomniałem sobie, że już go znam. Jest to jedyny generał amerykański (wyjąwszy Washingtona), który zyskał pochwały z obu stron. Najbardziej uprzedzeni Anglicy opowiadali mi o nim zawsze z szacunkiem. Zajęty w początkowych latach swego życia handlem i spokojną religią Kwakrów, przypasał szpadę za pierwszym znakiem, że ojczyzna w niebezpieczeństwie; powołany w pierwszych latach na trudne i nudne stanowisko kwatermistrza, został generałem, a wysłany na południe, wykazał wielkie zdolności i stał się główną sprężyną powstania w tych prowincyach; nowożytny Marcellus, ile razy w boju, nigdy niepokonany, zmusił zwycięskiego Cornvallisa[2]) do opuszczenia na południu Coroliny i zniewolił milorda Rawdona do powrotu do Charlestown.

[1]) Princetown jest pamiętne klęską, jaką generał Washington przez mądry marsz zadał trzem angielskim regimentom, które oddzielił od lorda Cornvallisa, w obecności którego rozłożył obóz w Trentown.

[2]) Cornvallis szedł zadać klęskę armii generała Gates.

est egale à son mérite, et la douceur de son caractère et une education plus soignee que n'est celle de la plus part des généraux américains en a fait un homme très aimable. Je me proposais d'aller voir le Gl. Washington à Rocky-hill maison de campagne où il demeure jusqu'a ce que les affaires de l'armée soyent terminées et que le gouvernement ait pris une assiette convenable. Le Gl. Green étant dans la mène intention, nous y allames ensenble; il faisait un temps affreux, mais l'espérance de voir un grand homme me fit supporter la pluye patiemment. Je ne me souviens point d'avoir eu quelque satisfaction dans ma vie sans l'acheter par des sacrifices et jamais la fortune n'a ète assez libérale avec moi pour m'accorder gratis ses faveurs. Le marquis de la Fayette m'avait donné une lettre pour son ami et je savais qu'avec cette recommendation je ne serais pas mal reçu; d'ailleurs dans des occasions pareilles ou rassemble toutes ses forces, ou fait l'appel géneral de tous ses esprits pour ne pas paraître pigmée devant un homme supérieur.

Je ne vous ferai point de portrait de notre heros, il vous est assez connu par ses actions, je remarquerai seulement que c'est le seul homme du continent dont l'opinion pourrait avoir

---

Jego skromność jest równa jego zasłudze, a łagodność charakteru i bardzo staranne wykształcenie, jakie się nie spotyka u większości amerykańskich jenerałów, uczyniło go człowiekiem bardzo miłym. Postanowiłem sobie pójść ujrzeć jenerała Washingtona w Rocky-hill, w domu wiejskim, gdzie mieszka, dopóki czynności armii nie ukończą się, a rząd nie zajmie odpowiedniego stanowiska. Jenerał Green miał ten sam zamiar, więc wybraliśmy się tam razem: czas był okropny, jednak nadzieja ujrzenia wielkiego człowieka kazała mi znieść słotę cierpliwie. Nie przypominam sobie wcale, bym miał kiedykolwiek jakie zadowolenie w życiu, nie okupiwszy go poprzednio ofiarami, a fortuna nie była nigdy dla mnie tak szczodrą, by mię kiedy obdarzyć darmo swojemi łaskami. Markiz de la Fayette dał mi list do swego przyjaciela, wiedziałem więc, że z takiem poleceniem nie będę źle przyjęty: zresztą w podobnych okolicznościach zbiera się wszystkie swoje siły, pobudza się wszystkie zmysły do działania, by tylko nie okazać się pigmejem przed tak wielkim człowiekiem.

Nie dam panu wcale portretu naszego bohatera; jest on bowiem dość znany dzięki swoim czynom, zaznaczę tylko, że jest to jedyny w świecie człowiek, którego głos ma zawsze znaczenie,

quelque poids soit dans les assemblées publiques de différents etats soit au congrès.

Le mérite de tous les autres ne leur acquére de considération et ne leur donne de l'influence que dans leur propre provinces; et ils sont comme ces monnaies fictives qui marquées d'un certain signe représentent une grande valeur dans un pays et ne valent rien hors de ses l'imites. La jalousie de différents etats ne permet même pas à une réputation de s'etendre.

Tous les portraits que j'ai vu en Europe du général W... ne lui ressemblent guères. C'est un des plus beaux hommes que j'ai jamais rencontré; son port est noble, son air guerrier et ses manières aisées. Sa politesse réservée au premier abord finit par être infiniment agréable et on ne s'aperçoit pas au bout de deux heures, qu'on vient de faire connaissance avec lui. Quoique j'eusse grande envie de l'entendre causes sur la derniere guerre et les affaires du temps passé, il eut été déplacé de commencer par la la conversation. J'evitai même les lonanges grossiers et j'epiais l'occasion où l'ou peut raisonnablement placer quelque chose d'obligeant. J'ai remarqué plus d'une fois que la vanité

---

czy to na publicznych zgromadzeniach rozmaitych stanów, czy to na kongresach.

Zasługa wszystkich innych nie przysparza im poważania i daje im wpływ tylko w ich własnych prowincyach; są oni jak gdyby podrabiane pieniądze, które posiadając odpowiednią cechę, przedstawiają wielką wartość w kraju, a poza swojem podrobieniem nic więcej nie są warte. Zawiść rozmaitych stanów nie pozwala nawet na rozszerzenie się ich sławy.

Wszystkie portrety jenerała Washingtona, jakie widziałem w Europie, nie są prawie nic do niego podobne. Jest to jeden z najpiękniejszych ludzi, jakich kiedykolwiek spotkałem: jego postać jest szlachetna, wojownicza mina, a maniery swobodne. Grzeczność z jego strony, okazywana od pierwszej chwili spotkania się aż do ostatka, podobała mi się niesłychanie i przy końcu dwu godzin nie można było spostrzec, że się go dopiero co poznało. Mimo, że miałem wielką chęć usłyszeć o przyczynach ostatniej wojny i o sprawach publicznych z ubiegłego czasu, uniknął on takiego rozpoczęcia rozmowy. Strzegłem się natarczywych pochwał, a czekałem sposobności, by móc słusznie włączyć gdzie kilka grzecznych słów. Zauważyłem nie raz, że próżność ludzi najskrom-

des hommes les plus modestes résistait rarement à un compliment vraiment flatteur et que la réserve la plus enveloppée s'epanouissait à la douce action d'un encens présenté à propos; mais la conversation devint si générale et roula sur des sujets si eloignés qu'il me fut impossible de l'y amener sans affectation. Mais la réserve en général est un très grand talent surtout pour les gens médiocres qui ont en quelque succés, elle leur donne des avantages infinis sur les gens qui veulent les sonder, elle impatiente ceux qui veulent vous découvrir, embarasse les plus fins et souvent les engage plus loin qu'ils ne veulent; si elle ne donne point une grande idée de votre mérite, elle empêche au moins qu'on ne devine le peu que vous en avez. Nous avons toujours du respect (a dit qulqu'un) pour les choses que nous ne connaissons pas; la réputation des grands hommes et comme le crédit parmi les banquiers, où souvent celui qui n'a aucun outres peu de fond réel, fait les affaires les plus considerables; mais les hommes d'un mérite réel sont comme ces généraux surs de vaincre qui montrent les dispositions de leur camp ou celles de leur armée aux espions de l'ennemie.

---

niejszych, rzadko opiera się komplimentowi naprawdę pochlebnemu i że skromność najbardziej rozwinięta daje zwolna ucho pochwałom, pojawiającym się w samą porę; jednak rozmowa stała się tak ogólną i zeszła na tematy tak dalekie, że było mi niemożliwem prowadzić ją bez przymusu. Lecz skromność w ogólności jest bardzo wielkim darem przedewszystkiem dla jednostek miernych, którym się coś udało: ona daje im nieskończoną przewagę nad ludźmi, którzy chcą ich wybadać, niecierpliwi tych, którzy pragną w was coś wykryć, nabawia kłopotu najbardziej chytrych i często zapędza ich dalej, aniżeliby sobie tego życzyli; jeżeli nie daje wcale należytego pojęcia o waszej zasłudze, to przynajmniej przeszkadza, by nie odgadnięto, jak mało jej posiadacie. Mamy zawsze poważanie, powiedział ktoś, dla rzeczy, których nie rozumiemy; sława wielkich ludzi jest jak kredyt między bankierami, gdzie często ten, który nie ma żadnego, prócz jakiego takiego, oparcia rzeczywistego, robi interesy najznaczniejsze; jednak ludzie o istotnej zasłudze są, jak ci jenerałowie, pewni wygranej, którzy pokazują położenie swego obozu lub armii szpiegom nieprzyjaciela.

Nous... à parler de mon voyage et il m'offrit des lettres pour le général Knox à West point pour le général Schnyler à Albany; je les acceptai en lui disant que cette excursion au nord n'était qu'un incident et que le but de mon voyage était de voir et de connaître le fondateur principal de la liberte américaine. Il m'engagea à venir passer quelques jours à sa campagne de Mouvernon en Virginie et le quittai avec d'autant plus de regret que je n'avais guères d'espérance de le revoir. Je retournais à Princetown très fatigué mais bien content de ma journée.

Le 9. Oct.

Nous commençâmes notre journée en allant déjeûner avec Mr. Tompson secrétaire du congrès. C'est un homme qui pour la simplicité et la tournue peut-être placé entre un patriarche et un paysan, peut-être tient-il de l'un et de l'autre. J'eus le temps de décider du mérite de son déjeûner, sans avoir celui de m'apercevoir du sien; il doit être considérable, puisqu'il a été constam-

---

Poczęliśmy mówić o mojej podróży, a on wręczył mi listy do gnerała Knoxa w West-point i do jenerała Schnylera w Albany; przyjąłem je, mówiąc, że ta wyprawa na północ była tylko przypadkowa i że celem mojej podróży było zobaczyć i poznać głównego twórcę amerykańskiej wolności. Zapraszał mnie jeszcze, bym przepędził kilka dni w jego wsi Monvernon w Virginii; opuściłem go z żalem, tembardziej, że nie miałem nadziei ujrzeć go znowu kiedykolwiek. Powróciłem do Princetown bardzo znużony, jednak pełen zadowolenia z dnia tak przepędzonego.

9 października.

Rozpoczęliśmy dzień udaniem się do pana Tompsona, sekretarza kongresu, na śniadanie, Jest to człowiek, który z powodu swojej prostoty i noszenia się może zająć miejsce pośrednie między patryarchą a wieśniakiem i zarówno dobrze można go wziąć za pierwszego jak drugiego. Miałem czas wyrobić sobie zdanie o zaletach jego śniadania, nie mogąc spostrzec jego własnych;

ment, même dans les temps les plus difficiles secrétaire du congrès.

On a une charmante vue de la maison où il loge et les sanglantes collines de Monmonth forment un point de vue assez intéressant.

Nous quittâmes à Princetown à 10 heures et après avoir diné à Brunswick qui a été pendant longtemps le quartier de l'armée anglaise, nous passâmes le Rareton et nous arrivâmes à Elizabeth-town au coucher du soleil.

Le pays le long du Rareton est assez cultivé: on rencontre souvent des fermiers aisés, mais il est susceptible d'une population infiniment plus considérable et pourrait suffir à la subsistance de six fois plus de monde. Le mot de „farmer“ ne se traduit pas par celui de fermier, mais je suis sûr que vous ne les confonderez pas. En général quand on croit en Europe que l'Amérique est peuplée on se trompe de beaucoup. Sur une côté de 450 lieues profonde indifférents endroits a 300, le calcul le plus exagére ne fait monter la population qu'a trois millions d'hommes. Pour peupler supportablement l'immence pays que les Etats Unis ont acquis par le dernier traité, trente millions

---

sądzę, że muszą być one znaczne, gdyż on stale, nawet w czasach najbardziej krytycznych, był sekretarzem kongresu.

Z domu, gdzie mieszka, roztacza się przepyszny krajobraz, a krwawe pagórki Mounmonth tworzą widok dość ciekawy.

Opuściliśmy Princetown o dziesiątej godzinie, a zjadłszy obiad w Brunswicku, który przez dłuższy czas był kwaterą armii angielskiej, minęliśmy Rareton i z zachodem słońca stanęliśmy w Elizabeth-town.

Kraj wzdłuż Raretonu jest dość uprawny, spotyka· się tam często majętnych osadników: jednak jest on wstanie pomieścić daleko więcej ludności i mógłby wystarczyć na wyżywienie sześć razy tak licznych mieszkańców. Wyraz „farmer“ nie tłumaczy się przez „fermier“ (osadnik), lecz jestem pewny, że się pan w tem nie pomyli. Wogóle jeśli sądzą w Europie, że Ameryka jest zaludnioną, to mylą się bardzo. Na wybrzeżu o obszarze 450 mil i w innych miejscach, liczących około 300 mil, rachunek najbardziej przesadny nie wykaże ludności więcej ponad trzy miliony. Żeby zatrudnić jako tako ogromny kraj, jaki Stany Zjednoczone zyskały w ostatnim traktacie, wystarczyłoby zaledwie trzydzieści

d'hommes suffirait à peine. Il est vrai que la plus part de ces colonies ne sont guères agées de plus de 100 ans; chaque habitant de champs qui a exploité une certaine quantité de terrein possede une bonne maison, plusieurs têtes de bêtail, au moins deux chevaux et une vingtaine de montons; il a un verger planté de pommiers et semé de mais; les champs cultives sont fermés par des forêts qui s'elevant en amphithéâtre et étant pour ainsi dire découpés par une exploitation irréguliere offrent à l'veil une varieté d'angles et de simosité qui l'amuse sans le fatiguer. Les arbres d'ailleurs paraissent dans ces mois-ci colorés de rose; le pourpre, le jaune, le verd, le blanc se mélangent ensemble et produisent des effets bizarres et agréables. En arrivant à Elizabetown la vue s'etend infiniment d'avantage: on aperçoit Amboy, la mer, le Sandy-Hook et les terres de Never-sink, les premières hautes qu'on rencontre dépuis la Floride.

Nous voulions ce soir même aller à New-York mais nous ne pumes pas trouver de bateau et nous fumes s'obligés de passer la nuit ici. Je couchais dans une chambre où l'on avait volé huit jours auparavent un Français, mais volé de manière, qu'il ne lui resta que la chemise sur le corps. Dépuis la paix les sol-

---

milionów ludzi: Prawdą jest, że największa część osad nie liczy więcej, jak po sto lat; każdy mieszkaniec na roli, który wykorczował pewną ilość ziemi, posiada dobry dom, kilka sztuk bydła, przynajmniej parę koni i pięćdziesiątkę baranów; ma on sad zasadzony jabłoniami i zasiany kukurydzą. Uprawne pola zamknięte są lasami, które wznosząc się amfiteatralnie i będąc, jakby się można wyrazić, poprzecinane przez nieregularne korczowanie dają oku różnorodność, która bawi, nie nużąc wcale. Drzewa wreszcie w obecnych miesiącach wydają się być koloru róży; barwa purpurowa, żółta, zielona i biała mieszają się razem i sprawiają wrażenie dziwaczne a miłe. Po przybyciu do Elizabeth-town widok rozszerza się nieskończenie daleko: spostrzega się Amboy, morze, Sandy-Hook i ziemię Newer-sink, pierwsze wyniosłości, jakie się napotyka od Florydy.

Jeszcze tego wieczora chcieliśmy udać się do New-Jorku, jednak nie mogliśmy znaleść łodzi, wskutek czego zostaliśmy zmuszeni przepędzić noc tutaj. Spałem w pokoju, gdzie przed ośmioma dniami okradli jakiegoś Francuza i to okradli do tego stopnia, że został się tylko w jednej koszuli. Od czasu zawarcia pokoju żoł-

dats congédiés et différentes espèces de vacabonds commettent des vols très fréquemment enfoncent les maisons et les pillent. Nous lumes sur notre chemin plusieurs affiches qui promettaient des récompenser considérables aux personnes qui découvriraient une bande de voleurs qui avaient enfoncé plusieurs boutiques et enlevé une quantité de marchandises.

Le 10. Oct. à dix heures un petit cabriolet transporta nos éffets au rivage qui est eloigné d'Elizabeth-town de deux petites milles; le vent et la marée étant favorables nous eumes bientôt dépasséz Staten et Pory-Island et dans moins de deux heures nous arrivâmes à New-York. Il est difficile d'imaginer un plus beaucoup d'oeil que celui que l'on a en abordant à cette ville. Elle s'eleve majestuensement en amphithéâtre et ses ruines même ajoutent à sa beauté; les terres des deux côtés présentent une perspective variée, la culture dans toute sa perfection et la nature sauvage dans toute sa majesté occupent alternativement. Longua-Island et présentent à l'oeil des contrastes satisfaisants: la côté opposée du Jersey herissént de rochers menaçants et d'arbres respectables par leur vétusté, leur hauteur est digne de ses premiers habitants. La Baye était remplie de vaisseaux de

---

nierze, uwolnieni od służby, i rozmaitego rodzaju włóczęgi, rozpoczęli szereg bardzo śmiałych kradzieży, włamując się do domów i okradając je. Czytaliśmy po drodze wiele ogłoszeń, w których obiecują znacznie wynagrodzić osoby, mogące wykryć bandę złodziei, którzy włamali się do kilku sklepów i zabrali wiele towarów.

Dziesiątego października o dziesiątej godzinie mały wózek przywiózł nasze rzeczy na brzeg, oddalony od Elizabeth-town o niespełna dwie mile; wiatr i morze sprzyjało nam, to też wkrótce minęliśmy Staten i Pory-Island i w niecałych dwu godzinach przybyliśmy do New-Yorku. Trudną jest rzeczą wyobrazić sobie piękniejszy widok ponad ten, jaki się ma przed sobą, zbliżając się do tego miasta. Wznosi się ono majestatycznie w kształcie amfiteatru, a nawet zwaliska jego dodają uroku; ziemia po obu stronach przedstawia widok rozmaity; w pełnej doskonałości kultura i dzika w całej swej okazałości przyroda zajmują na przemiany. Wyspy Longna-Island tworzą zadowalające dla oka kontrasty: po przeciwnej stronie Jersey piętrzą się groźne skały, a drzewa poważne swoją starością i wysokością godne są swoich pierwotnych mieszkańców. Zatoka była zapełniona angielskimi okrętami wojen-

guerre anglais et le pavillon britannique flottait encore sur le fort. Nous vimes dans les Narrouc plusieurs batiments qui faisaient voiles pour différentes destination ils étaient pleins des malheureux royalistes ils etaient obligés de quitter New-York. Une tempête arrivée quelques jours avant avait fait perir un vaisseau qui allait dans la baye de Frendy: deux cents réfugiés s'y etaient embarqués, il ne s'en sauva que 14. et ce ne furent pas les plus heureux. Il n'y a point de plus grande infortune, que celle d'abandonner sa patrie malgré, soi de recouvrir à ses parents, ses amis, ses habitudes, de quitter la maison, qu'on a bâti, la terre, qu'on a cultivé. le gouvernement dont on a joui pour aller dans un pays inconnu exploiter un sol ingrat et de citoyen devenir sujet.

Le 11. Oct.

Nous trouvames difficultés à nous loger à notre arrivée, toutes les auberges etaient pleines de Torys fuyant la persécution de leurs compatriotes. Il régnait une tristesse tant parmi les

---

nymi. a bandera Wielkiej Brytanii powiewała jeszcze na forcie. Ujrzeliśmy w Narrouc wiele budynków, przeznaczonych do rozmaitych celów; były one pełne nieszczęśliwych rojalistów, którzy musieli opuścić New-York. Przed kilkoma dniami burza zniszczyła okręt, zdążający do zatoki Frendy; z dwustu wygnańców, którzy byli na jego pokładzie, ocaliło się tylko czternastu, ale i ci nie należeli do najszczęśliwych. Niema bowiem wcale większego nieszczęścia, jak, gdy się jest zmuszonym, porzucić własną ojczyznę, rozłączyć się z rodzicami, z przyjaciółmi, z codziennemi nawyknieniami, opuścić dom, który się zbudowało, ziemię, którą się uprawiało. rząd, z którego się było zadowolonym, by udać się do kraju nieznanego, uprawiać ziemię niewdzięczną i stać się obywatelem poddanym.

11. października.

Napotkaliśmy na wielkie trudności. szukając po naszem przybyciu mieszkania; wszystkie zajezdne domy zostały zajęte przez Torysów, uciekających przed prześladowaniem własnych współ-

restes de l'armée anglaise que parmi le peuple de New-Yorck et les ruines des plus beaux edifices incendiés les statues du roi et du lord Chatham renversées et mutilées, les maisons et boutiques vuides et abandonnees ajoutaient au sombre du tableau. Le général C... N.,. commandant en chef est extrèmement difficile sur l'admission des etrangers dans la ville: ille a refusé à plusieurs officiers français la permission de la voir. Je ne savais pas que ces précautions superflues pendant la paix s'etendaient à toutes sortes d'etrangers, mais ayant été voir la parade, je reçus un message de la part Sl..., qui me marquait son etonnement de ce que j'ai entré dans la ville sans sa permission. Je m'en etonnais à mon tour de ce qu'il s'etonnait et je lui fit representer que n'ayant pas eu l'honneur de servir contre l'Angleterre et etant citoyen d'un pays, qui n'a jamais été ni ne sera probablement en guerre avec S. Majesté britannique, qui même n'a point accédée à la neutralité armée il etait injuste de me comprendre dans la défense; apparemment que ces raisons firent impression sur l'esprit de cet ombrageux, car je n'en entendis plus parler. Le général Clarke avec qui je fis connaissance me consola de cette brusquerie par une réception infiniment prévenante. C'est un

---

ziomków. Wielki smutek panował między resztkami angielskiej armii, jakoteż między ludnością New-Yorku, a gruzy najpiękniejszych popalonych budynków, obalone i potłuczone posągi króla i lorda Chatham, próżne i opustoszałe domy i sklepy uzupełniały posępność obrazu. Jenerał C... N..., naczelny komendant, robił wielkie trudności w przyjmowaniu cudzoziemców do miasta: wielu oficerom francuskim odmówił pozwolenia do zwiedzania. Nie wiedziałem, że te środki ostrożności, zbyteczne w czasie pokoju, każdego rodzaju obejmują cudzoziemców, to też gdy przypatrywałem się wojskowej paradzie, otrzymałem wiadomość ze strony jenerała Sl., który wyrażał mi swoje zdziwienie, że wszedłem do miasta bez jego pozwolenia. Z kolei ja się zdziwiłem, że on się temu dziwi i kazałem mu przedstawić, że nie miałem zaszczytu służyć przeciwko Anglii, a będąc obywatelem kraju, który nigdy nie był i z pewnością nie będzie w wojnie z Jego Majestatem, królem angielskim, kraju, który nie ogłosił nawet neutralności swojej armii, zostałbym niesłusznie takim zakazem dotknięty: powyższe wywody uczyniły zapewne wrażenie na jego podejrzliwym umyśle, gdyż nie słyszałem, by więcej co mówił. Jenerał Clarke, którego poznałem, wynagrodził mię za tę porywczość nadzwyczaj uprzej-

homme de qualité et un officier de grande distinction; il a servi en Amérique dépuis le commencement de la guerre et a en part à presque toutes activus de conséquence.

---

mem przyjęciem. Jest to człowiek niezwykle godny i oficer bardzo poważany; służył w Ameryce od początku wojny i brał czynny udział prawie we wszystkich operacyach wojennych.

(Ciąg dalszy nastąpi).

ODP. REDAKTOR ADAM KRECHOWIECKI. — NAKŁAD „GAZETY LWOWSKIEJ“.

Reformma Izby Panów.

Nie zamierzamy bynajmniej zajmować się tu istotą systemu dwuizbowego i jego uzasadnieniem, ani roztrząsać rozmaite formy, w jakich on się z biegiem czasu w różnych państwach przejawiał. Nie myślimy też badać szczegółowo roli i zadań Izb wyższych i wogóle arystokratycznych żywiołów w demokratycznych społeczeństwach, i dlatego nie pójdziemy śladem znakomitych autorów, którzy, jak August Cieszkowski[1]) i Aleksander Rembowski[2]) rozwijali świetne historyczno-filozoficzne na tę kwestyę poglądy i przedstawiali społeczno-polityczne warunki rozwoju i ustroju Izb wyższych. Nie będziemy też badać we wszystkich szczegółach i oceniać krytycznie genezy, powstania i składu austryackiej Izby Panów, jak to czyni dr. Michał Rostworowski[3]) w swej niedawno wydanej cennej pracy. Zamierzamy tylko omówić i ocenić w świetle ogólnych zasad i historycznych poglądów najnowszą reformę istniejącej Izby Panów, przeprowadzoną w r. 1907, oraz przedstawić różne inne projekta zreformowania jej, jakie się pojawiały w ostatnich czasach bądź to w literaturze, bądź w sferach

---

[1]) De la pairie et de l'aristocratie moderne, Paris 1844.

[2]) Izby wyższe i arystokracya nowożytna (Pisma Al. R. tom I. Kraków-Warszawa 1901, str. 1—68).

[3]) Austryacka Izba Panów (Przegląd prawa i administracyi 1899, str. 740 sq., 813 sq., 901 sq.; 1900 str. 34 sq., 130 sq., 197 sq. i osobna odbitka).

rządowych i parlamentarnych. Reforma ta nie dotyczyła bynajmniej z a k r e s u działania Izby Panów, — jak n. p. zamierzona reforma Izby lordów w Anglii — ani nie była wynikiem konfliktu z Izbą poselską — jak w Anglii, gdzie ten konflikt wybuchł z powodu liberalnej reformy szkolnej, i nie miała na celu osłabienia wpływu i zmniejszenia praw Izby wyższej — jak w Anglii — przeciwnie miała ją wzmocnić i wpływ jej utwierdzić.

Gdy tylko rząd austryacki zapowiedział wprowadzenie powszechnego a równego głosowania do Izby posłów, stało się rzeczą naturalną a nawet oczywistą, że równocześnie powinna doznać pewnej reformy także i Izba Panów; nie w tym celu, ażeby ją czynić podobniejszą do przyszłej Izby poselskiej i doprowadzać do pewnej harmonii ustrojowej pomiędzy obiema Izbami. ale w celu uczynienia z Izby Panów silnego i niezależnego Senatu, zdolnego stawić skuteczny opor różnym zbyt radykalnym projektom ustawy, mogącym napływać z Izby poselskiej jako owoce powszechnego a równego głosowania; ażeby wzmocnić stanowisko tej Izby, która winna oceniać wszystkie sprawy głównie z punktu widzenia interesu ogólno-państwowego i pewnej ciągłości, a więc zachowawczości i organiczności rozwoju;[1]) ażeby wreszcie wytworzyć w Izbie Panów silniejszą reprezentacyę tych interesów, które miały odtąd utracić ją w Izbie posłów, gdzie reprezentacye wielkiego rolnictwa i wielkiego handlu i przemysłu jako takie, zostały skazane na zniknięcie; tudzież aby uchylić główne wady dotychczasowego ustroju Izby Panów.

Do tych wad, które już niejednokrotnie podnosiliśmy,[2]) należy przedewszystkiem: *a)* że dzisiejsza Izba Panów nie daje żadnego wyrazu autonomicznej idei i autonomicznym podstawom ustroju państwowego i nie jest ani w drobnej nawet części t. zw. I z b ą k r a j ó w, tj. reprezentacyą tych samodzielnych, historyczno-politycznych indywidualności, z których się składa państwo austryackie; *b)* że przy tworzeniu jej jest zupełnie wykluczoną droga wyborów; *c)* że ilość jej członków jest wogóle nieograniczoną; *d)* że specyalnie nieograniczona była dotąd liczba dożywotnich

---

[1]) Słusznie mówi członek Izby Panów, A. br. B e r g e r: „Die Bedeutung des Herrenhauses könnte neben einem, aus allgemeinen Wahlen hervorgegangenen Abgeordnetenhause nur noch wachsen". (Die Wahlreform im Herzenhause, Fremdenblatt Nr. 344 ex 1906).

[2]) Patrz n. p. S t a r z y ń s k i: Studya z zakresu prawa wyborczego, Lwów 1897.

jej członków, mogących być każdocześnie powołanymi przez cesarza, i że wskutek tego mógł rząd swobodnie, wedle każdoczesnej chwilowej potrzeby politycznej zmieniać istniejącą w Izbie większość we własnym duchu, i albo paraliżować w ten sposób uchwały Izby poselskiej, albo też naodwrót uzyskiwać w Izbie Panów większość dla takich przedłożeń, przeprowadzonych przez Izbę poselską, dla których bez specyalnej nominacyi nowych parów nie byłby znalazł większości. Rzecz oczywista, że gdy rząd peryodycznie uzupełnia Izbę Panów większą ilością członków, czyni on to w duchu własnego programu; i tak też czynić powinien; — ale z drugiej strony chodzi o to, ażeby zapobiedz powoływaniu do Izby Panów nowych członków całkiem dowolnie, dla pewnej chwilowej praktycznej politycznej potrzeby *ad hoc;* gdyż podobne postępowanie musiałoby doprowadzić do zaniku politycznej niezawisłości a przez to i politycznego wpływu Izby Panów, tudzież do zepchnięcia jej ze stanowiska równorzędnego z Izbą poselską na stanowisko czynnika o formalnem raczej znaczeniu.[1] Jeżeli zaś takie obniżanie roli i znaczenia Izby Panów byłoby pożałowania godnem już w dotychczasowych stosunkach, to o ileż bardziej pożałowania godnem a nawet niebezpiecznem byłoby ono obecnie, kiedy wskutek zmiany prawa wyborczego do Izby poselskiej może się Izba Panów znaleźć coraz częściej w położeniu wypowiadania słowa rozstrzygającego w różnych poważnych sprawach i położeniach politycznych. „Denn das Staatsleben — mówi Horn l. c. str. 39 — wird dadurch (durch die Wahlreform) in rascheren Fluss kommen, und vor manche neue Situation gestellt werden, und das Herrenhaus müsste an Bedeutung wesentlich zurückgehen, wenn es unter diesen Umständen in der bisherigen Art seiner Wirksamkeit verharren wollte“.

Zapowiadając reformę wyborczą na pamiętnem posiedzeniu Izby posłów z d. 28. listopada 1905 oświadczył wprawdzie ówczesny prezydent ministrów br. Gautsch, że równolegle z powszechnem głosowaniem do Izby posłów zamierza przeprowadzić także pewne nowe ukształtowanie *(Ausgestaltung)* Izby Panów, celem zapewnienia w niej silniejszej reprezentacyi interesów, wa-

---

[1]) Patrz n. p. najnowszą broszurę F. Horna: Das Herrenhaus; eine Studie und ein Vorschlag. Wien F. Deuticke 1906. Horn pisze, że nie można Izbie Panów oszczędzić zarzutu, „dass es sich seit einer Reihe von Jahren mehr als nöthig und als nützlich aus dem Staatsleben ausgeschaltet hat“.

żnych dla całości państwa — ale nie dodał bynajmniej, jak sobie to nowe upostaciowanie Izby Panów wyobraża. Nie wyszedł z tej rezerwy i w Izbie Panów dnia 1. i 2. grudnia 1905 r. i ściągnął z tego powodu na siebie cierpką krytykę.[1]) Jeszcze głębszego milczenia przestrzegali i jego następcy w swych mowach programowych, ks. Hohenlohe dn. 16. maja 1906 (str. 1233 sten. prot.) i br. Beck dn. 8. czerwca 1906 (str. 1262 sten. prot.). Równocześnie jednak zaczęły się pojawiać w dziennikach i w sferach parlamentarnych różne pomysły, pochodzące rzekomo od osób „dobrze poinformowanych“, tudzież kombinacye na temat oczekiwanego projektu reformy Izby Panów: starano się odgadnąć zamiary rządu, lub twierdzono, że je odgadnięto. Jeden z pierwszych mówił ówczesny przywódca niemieckiego stronnictwa ludowego, p. Derschatta, (dzisiejszy minister kolei żelaznych) przed wyborcami w Gleisdorf, i uznając reformę Izby Panów za organicznie związaną z powszechnem prawem głosowania, oświadczył się za oparciem tej Izby także na zasadzie wyboru, dokonywanego ewentualnie przez korporacye zawodowe, a zarazem za ograniczeniem kompetencyi tej Izby jedynie do zakładania „veto“. W dzienniku *Brünner Tagesbote* ogłosił równocześnie sejmowy poseł br. Haupt projekt, o którym, o ile on dotyczy reformy Izby posłów, pisaliśmy już,[2]) a który konstruuje Izbę Panów z wirylistów (tych samych co dzisiaj), 65 delegatów sejmów krajowych, 89 senatorów wybieranych przez wielką posiadłość ziemską i 58 senatorów wybieranych przez wielki przemysł i wielki handel.

Delegatów wybieranych przez Sejmy krajowe rozdziela autor w sposób następujący: Galicya 15, Czechy 12, Austrya dolna 7, Morawia 6, Styrya 4, Austrya górna i Tyrol po 3, Karyntya,

[1]) Oświadczenie to brzmi (sten. protok. Izby posłów, str. 22322):

„Nie uszło uwagi rządu, że im bardziej oddali się ordynacya wyborcza do Izby posłów od dotychczasowej zasady reprezentacyi interesów, tem potrzebniejszą rzeczą będzie użyczyć pewnym interesom ważnym dla całości państwa, innego rodzaju ochrony. Dlatego zajmuje się rząd także pytaniem, czy nie byłoby dobrze, udzielić tymże interesom intenzywniejszej reprezentacyi przez odpowiednie urządzenie (Ausgestaltung) Izby Panów. O ile ta myśl dałaby się urzeczywistnić, okaże się dopiero wtedy, gdy się spróbuje nadać jej uchwytną postać“.

[2]) Studya konstytucyjne tom pierwszy: Różne projekta reformy prawa wyborczego: Lwów 1907, str. 95—6.

Kraina, Dalmacya, Śląsk i Bukowina po 2, Salzburg, Tryest, Gorycya i Grodyska, Istrya, Vorarlberg po 1. Dla wyboru senatorów wybieranych przez wielką posiadłość ziemską pozostałby cenzus wyborczy ten sam, który miał poprzednio zastosowanie przy wyborach z tej kuryi do Izby poselskiej; dla wyborców z kuryi wielkiego przemysłu i handlu wymagałoby się od wyborców cenzusu najmniej 100 kor. opłacanego bezpośredniego podatku zarobkowego rocznie.[1]) Rozdział tych mandatów pomiędzy poszczególne prowincye miałby być przeprowadzony na podstawie skombinowania ilości wyborców w każdym kraju z wysokością opłacanego przez nich wszystkich podatku. Wreszcie proponuje br. Haupt, ażeby zarówno wybory ze Sejmów (o ile Sejm wybiera więcej niż jednego senatora) jak i wybory dokonywane przez obie wyżej omawiane kurye zostały urządzone wedle systemu proporcyonalnego.

Die Zeit przyniosła dnia 13. grudnia 1905 wiadomość, jakoby ówczesna przeciętna ilość członków Izby Panów miała zostać powiększona o 120 i że nowe krzesła w niej miałyby przypaść przeważnie reprezentantom stolic krajowych, Izbom handlowym i przemysłowym, lekarskim, adwokackim i notaryalnym, tudzież organizacyom rolniczym. Do tego dodaje ten dziennik cierpką uwagę, że skoro już obecnie liczba wielkich posiadaczy ziemskich wynosi więcej niż $1/3$ część ogólnej cyfry członków Izby Panów, to po takiej reformie będzie wielka własność ziemska w tej Izbie wprost rządzić. W styczniu 1906 r. czytaliśmy znów w dziennikach, że rząd wniesie z pewnością w lutym w Izbie Panów projekt jej reformy, polegający na tem, iż oprócz mianowanych dziedzicznie i dożywotnio jej członków będą w niej jeszcze zasiadali marszałkowie krajowi i prezydenci Sejmów, burmistrze stolic krajowych, reprezentanci Izb handlowych, połowa tej reprezentacyi wielkiej posiadłości ziemskiej, która zostanie usunięta z Izby posłów, reprezentanci stowarzyszeń zawodowych, ewentualnie jeszcze pewna ilość osób wybieranych przez Sejmy. Ogólna liczba członków tej Izby miałaby wynosić 340 do 350, z ograniczeniem ilości mianowanych członków do 140 i z pozostawieniem członkom Izby możności ubiegania się o mandat poselski. I rzeczywiście rząd miał podobny zamiar, gdyż dnia 17. stycznia 1906 odbył br. Gautsch poufną konferencyę z przywódcami grup Izby

---

[1]) Ein Vorschlag zur Wahlrechtsfrage. Separatabdruck aus dem Tagesbote aus Mähren u. Schlesien; 1905.

Panów, zaś dnia 22. stycznia odbyły się plenarne zebrania wszystkich trzech grup, celem wysłuchania sprawozdania przywódców i powzięcia pewnych uchwał. Na tych posiedzeniach dowiedziały się grupy Izby Panów, że rząd zamierza zaproponować projekt ustawy, utrzymujący dotychczasowych członków wirylnych Izby i dziedzicznych jej członków bez zmiany, zawierający powolne ograniczenie liczby członków mianowanych dożywotnio, do pewnej maksymalnej cyfry, tudzież wprowadzający do Izby Panów pewne nowe czynniki, a mianowicie te same, które dopiero co wyżej wymieniliśmy.

Natomiast sprzeciwił się br. Gautsch stanowczo obsełaniu Izby Panów wyłącznie przez Sejmy krajowe, tak ażeby ona miała się stać rodzajem „Izby krajów“ *(Länderkammer)*, a uzupełnianie jej przez wybory z korporacyi zawodowych uznał za niepraktyczne.

Propozycya rządu nie spotkała się jednak z życzliwem przyjęciem. Wszystkie grupy Izby Panów odrzuciły ją, zastrzegły wzięcie inicyatywy w reformie Izby Panów dla siebie samych, zapowiadając, iż we właściwym czasie wniosą sami członkowie Izby Panów odpowiednie projekta ustaw, — zastrzegły się przeciw łączeniu reformy jednej Izby z reformą drugiej Izby oraz przeciw temu, by Izba Panów miała się odtąd stać przytułkiem czyli *„Salon des refusés“* jak się nieco złośliwie wyraził hr. Leon Piniński, dla żywiołów, nie mogących znaleźć już miejsca dla siebie w Izbie posłów.[1])

Wobec powyższego negatywnego, a naszem zdaniem rzeczowo nieuzasadnionego stanowiska Izby Panów rząd zaniechał wszelkiej jej reformy, dążąc jednak coraz bardziej stanowczo do reformy Izby posłów.

Pomimo to jeszcze w grudniu 1906 r. pojawił się projekt, reformujący Izbę Panów przez dodanie do jej dotychczasowego

---

[1]) Patrz o tem dr. Michał Rostworowski: Reforma Izby Panów (Przegląd polski z lutego 1906, str. 347—350) i całą prasę peryodyczną z drugiej połowy stycznia 1906 r., tudzież co do numerus clausus z grudnia 1906, między tem artykuły: Inama-Sternegg: Die Politik des Herrenhauses (N. fr. Presse z 16. grudnia 1906); Wilhelm bar. Berger: Der Umschwung in der Stimmung des Herrenhauses (tamże, dnia 20. grudnia 1906), Ludwik br. Oppenheimer: Die Wahlreformkommission des Herrenhauses (tamże 21. grudnia 1906). Präsident Dr. Emil Steinbach über die Wahlreform (tamże, 18. grudnia 1906).

składu: *a)* marszałków krajowych i prezydentów sejmów, *b)* burmistrzów niektórych stolic krajowych, *c)* rektorów Uniwersytetów. *d)* prezydentów Izb handlowych. Pojawiały się także wiadomości w dziennikach, że wszystkie 85 mandatów wielkiej posiadłości ziemskiej zostaną przeniesione do Izby Panów; a rząd nawet temu nie zaprzeczał.

Oprócz tych i innych projektów, stawianych przez polityków praktycznych, lub projektów rozważanych w sferach parlamentarnych, rządowych i dziennikarskich, pojawiła się jeszcze przed wniesieniem projektu reformy wyborczej spora ilość projektów teoretycznych, łączących reformę Izby Panów z całą wielką akcyą przekształcenia konstytucyi w celu sanacyi parlamentaryzmu w Austryi i uchylenia groźnego przesilenia wiszącego nad państwem już od r. 1897. Dr. Oskar Streinz,[1]) o którym już wspominaliśmy na innem miejscu, chce usunąć z Izby Panów wszystkich członków dziedzicznych i arcyksiążąt, a złożyć ją jedynie z mianowanych dożywotnio członków, powołanych na podstawie ich wybitnego wykształcenia i pewności ich charakteru. E. W. Zenker,[2]) przeprowadzając zupełny rozdział kompetencyi pomiędzy obiema Izbami i odbierając wogóle Radzie Państwa bardzo znaczną część ustawodawstwa, chce postawić w miejsce Izby Panów „Izbę polityczną“, wychodzącą z powszechnego a równego głosowania, z kompetencyą ograniczoną do spraw politycznych i konstytucyjnych. Alfred br. Offermann[3]) skrytykowawszy skład Izby Panów i nazwawszy ją „historycznem i prawno-państwowem nieporozumieniem“ proponuje przeprowadzenie jej reformy w ten sposób, by najpierw wprowadzić do niej także wszystkich członków utworzyć się mającej Rady Stanu w liczbie około 200. (a złożonej z wysokiej biurokracyi, prezydentów sądowych, praktycznych specyalnie uzdolnionych ludzi, wyższych wojskowych i wybitnych parlamentarzystów), a następnie usunąć z niej powoli członków dziedzicznych w ten sposób, by nowych takich członków już nie mianować. Tej Izbie Panów chce autor poruczyć całe ustawodawstwo niejako monopolicznie, usuwając od współudziału w niem Izbę posłów, natomiast wyklucza Izbę Panów od współ-

---

[1]) Gedanken über eine Verfassungsreform in Oesterreich, Graz 1905; str. 58, 60, 76.

[2]) Die Reform des Parlamentarismus, Wien 1902.

udziału w uchwalaniu budżetu.[1]) Dr. Franc. Hauke [2]) oświadcza się za ograniczeniem liczby dożywotnio powoływanych członków i uważa to za wielki błąd, gdyby powoływanie przez Koronę do Izby Panów miało być jedynie środkiem taktyki politycznej, a odrzuca zapatrywanie, jakoby w tem prawie Korony należało się dopatrywać środka do rozwiązywania konfliktów Izby posłów z Izbą Panów.[3])

„Były poseł do Rady Państwa" poleca, dla zadośćuczynienia historycznym pretensyom krajów koronnych do obsełania Rady Państwa, by przyznano Sejmom krajowym prawo wyboru członków Izby Panów i to z własnego grona.[4]) Równocześnie doradza zatrzymać dotychczasowych członków dziedzicznych tej Izby, a ograniczyć ilość członków dożywotnich i wprowadzić ilość tych ostatnich w pewien cyfrowy stosunek do liczby członków nowej kategoryi, tj. wybieranych. Nie jest tylko jeszcze zdecydowany, czy każdy kraj miałby wybierać ilość członków Izby Panów równą, czy też zastosowaną do liczby ludności kraju; i waha się pomiędzy przykładami dostarczonymi w tej mierze przez Stany Zjednoczone Ameryki północnej, Szwajcaryę, austryacki projekt kromieryski z r. 1849 i austryacką konstytucyę z r. 1849.

A gdy później stało się wiadomem, że rząd występuje rzeczywiście z powszechnem prawem głosowania, ale ogranicza się do reformy samej Rady Państwa, nie łącząc jej z przekształceniem całej konstytucyi, ograniczyli się i projektodawcy przeważnie do kwestyi reformy ustroju samego parlamentu, jakkolwiek niektórzy z nich, n. p. A. Popovici, o którym niżej będzie mowa, sięgali mimo to aż do samych podstaw urządzeń państwowych, chcąc je z gruntu przeobrazić. Niejaki J. Barolin[5]) odrzuca wogóle Izbę Panów, stawiając w miejsce dzisiejszej dwuizbowej Rady Państwa parlament złożony z jednej Izby uchwalającej (Izba prawodawcza

[1]) Die verfassungsrechtliche Vervollkommnung Oesterreichs, Wien 1899, s. 48, 92, 107—116.

[2]) Ueber einige Fragen des Parlamentsrechtes. Czernowitz 1901.

[3]) Poglądy tych czterech autorów na parlamentaryzm i prawo wyborcze streściliśmy w „Studyach konstytucyjnych" j. w. str. 28—50.

[4]) Das oesterreichische Parlament und die Verfassungskrisis; Studie eines ehemaligen Abgeordneten, Wien, Manz 1901, str. 26, 27.

[5]) Wahl- u. Parlamentsreformvorschläge („Die Wage" vom 13. Jänner 1906).

czyli polityczna) i z dwóch Izb doradczych (Izby reprezentującej gospodarcze interesa ludności i Izby kobiecej). Alfons hr. Mensdorff-Pouilly[1]) chce uzupełniać Izbę Panow przynajmniej częściowo przez „krajowe Izby Panów", mające powstać w krajach koronnych równocześnie z wprowadzeniem powszechnego równego prawa wyborczego do Sejmów i mające otrzymać prawo wyboru względnie prezentowania pewnej części członków Izby Panów. Prof. Michał Rostworowski l. c. str. 349 chce przekształcić Izbę Panów wyłącznie w Izbę krajów, obsyłaną w całości przez Sejmy, podobnie jak wedle konstytucyi z 4. marca 1849 r., względnie wedle projektu kromieryskiego z tegoż roku; o czem niżej. — Aurel C. Popovici w wydanej przez siebie przed dwoma laty obszernej książce (nie mogę powiedzieć: wielkiem dziele)[2]) przekształca, jak już widać z tytułu książki, Austro-Węgry w jedno wielkie państwo związkowe, złożone z 15 skonfederowanych narodowych państewek (jednem z nich miałaby być Galicya Zachodnia, drugiem Galicya Wschodnia) i organizuje w tych nowych Stanach Zjednoczonych parlament związkowy dwuizbowy z Izbą Panów złożoną *a)* z pełnoletnich arcyksiążąt, *b)* arcybiskupów i biskupów różnych wyznań, *c)* rektorów Uniwersytetów, *d)* prezydentów Akademij Umiejętności, *e)* prezydentów Izb handlowych w miastach stołecznych, *f)* członków wybranych. Tę ostatnią kategoryę urządza autor w ten sposób, że z każdego państwa wysyła stan lekarzy, adwokatów, inżynierów, architektów, dyrektorów banków, gospodarzy wiejskich, nauczycieli szkół ludowych i średnich, urzędników i wreszcie dziennikarzy po jednym reprezentancie do Izby Panów na przeciąg pięciu lat; *g)* z członków mianowanych. Cesarz ma prawo powoływać znakomitych mężów, którzy się odznaczyli około państwa lub Kościoła, zasłużyli w armii, marynarce, około handlu, przemysłu, w umiejętności lub sztuce i t. p., dożywotnio do Izby Panów, bez ograniczenia liczby.

F. Horn w swej cytowanej już broszurze analizuje i potępia zarówno mianowanie dożywotnich członków Izby przez Koronę jak i wybieranie ich bądź to przez Sejmy, bądź przez wyborców

---

[1]) Was aber dann?... (Odbitka z „Konservative Korrespondenz", Wien 1908.

[2]) Die Vereinigten Staaten von Gross-Oesterreich; politische Studie zur Lösung der nationalen Fragen und staatsrechtlichen Krisen in Oesterreich-Ungarn; Leipzig 1906.

wprost, a oświadcza się jedynie za przybieraniem nowych członków przez dawnych, czyli za kooptacyą, łącząc ją z oznaczeniem stałej liczby członków tej Izby wogóle, tak że w razie wakansów należałoby natychmiast przystąpić do uzupełnienia się aż do przepisanej ilości. Nie wiemy, czy autor ucieszyłby się, dowiedziawszy się, że jego myśl nie jest oryginalną, gdyż nie kto inny jak August Cieszkowski postawił właśnie tę tezę, iż Izba parów, będąc raz złożoną ze wszystkich illustracyi narodowych, powinna się potem rozwijać i uzupełniać sama drogą doboru, a szczegółowemu uzasadnieniu i rozbiorowi tej tezy poświęcił prawie całą wspomnianą już rozprawę;[1]) — to pewna, że Horn nie zna Cieszkowskiego, gdyż w przeciwnym razie nie byłby się odważył go zignorować.

Horn krytykuje też słusznie projekt członka Izby Panów, Gomperza, nie wymieniając go jednak.[2]) Gomperz żądał nie tylko numerum clausum dla dożywotnich członków wogóle, ale tak samo pewnych oznaczonych minimalnych ilości dożywotnich członków z każdej kategoryi korporacyi lub klas zawodowych, odgrywających wybitniejszą rolę w życiu państwowem. Słusznie pyta Horn, co się ma właściwie zyskać na tej drodze?

Członek Izby Panów, hrabia na Meranie oświadcza się za częściowem oparciem Izby Panów na wyborze, a to przez stworzenie pewnej kuryi wyborczej najwyżej opodatkowanych w państwie, którąby wysyłała do Izby Panów swych przedstawicieli. Uważa przy tem numerum clausum za nieodzowny warunek reformy.[3])

Najobszerniejszym a oraz najszczegółowiej umotywowanym jest projekt dra Dawida Rautera.[4]) Autor wychodząc z założenia, że każda instytucya winna być tak urządzoną, by skład jej dawał

---

[1]) L'aristocratie moderne, V. Nouveau principe, page 55—64. — Streszczenie i pełna wysokiego uznania ocena książki hr. Cieszkowskiego zajmuje prawie trzecią część cytowanej już pracy Al. Rembowskiego (od str. 48—68). — Wiadomo, że we Francyi myśl A. Cieszkowskiego przyjęła się po części i na czas krótki w r. 1875, i że dopiero ustawą z 9. grudnia 1884 r. usunięto senatorów kooptowanych.

[2]) Theodor Gomperz: Zur Reform des Herrenhauses (Oesterreichische Rundschau, Februar 1906).

[3]) Grazer Tagespost, Nr. z 2. grudnia 1906.

[4]) Das neue Herrenhaus in Oesterreich. Wien, Moritz Perles 1906.

rękojmię urzeczywistnienia przez nią jej celów. proponuje, by Izba Panów złożoną była z dwóch głównych kategoryi członków: *A)* stałych *B)* czasowych. Do pierwszej kategoryi mieliby należeć: *a)* pełnoletni członkowie domu cesarskiego, *b)* szlacheccy właściciele rozległych dóbr ziemskich, *c)* biskupi, *d)* członkowie mianowani dożywotnio. Do drugiej kategoryi należeliby członkowie wybierani: *a)* przez Uniwersytety, *b)* przez stan adwokacki, *c)* przez lekarzy, *d)* przez Izby handlowe i przemysłowe, *e)* przez wielką posiadłość ziemską, *f)* przez związki i stowarzyszenia rolnicze. Okres wyborczy miałby wynosić sześć lat, lecz co trzy lata miałaby ustępować z każdej grupy połowa, oznaczona losem.

A jakież cele i zadania wyznacza autor Izbie Panów? Rzecz dziwna, jak autor odpowiadając na to pytanie, miesza najsłuszniejsze zapatrywania i zasady ze skamieniałymi poglądami i płytkimi frazesami, niewytrzymującymi żadnej krytyki. Zupełnie trafnie wskazuje autor na Izbę Panów jako na czynnik, mający grać rolę pośredniczącą pomiędzy monarchą a Izbą ludową, unoszoną niekiedy gwałtownemi namiętnościami, dodając, że najzgubniejszą jest rzeczą, jeżeli monarcha postawiony jest sam i bezpośrednio oko w oko naprzeciw pełnej temperamentu Izby ludowej, gdyż wtedy nieraz z natury rzeczy musi czynić rozmaite ustępstwa wbrew własnemu lepszemu przekonaniu;[1]) trafnie uważa autor Izbę Panów za powołaną do chronienia wyższej kultury, do ochrony zawodów społecznych, wymagających wyższego wykształcenia *(die gelehrten Berufe)*, tudzież do strzeżenia interesów klas posiadających; zupełnie słusznie chce autor widzieć w Izbie Panów warownię tych wszystkich politycznych zasad, od których zależy istnienie i powodzenie całości państwa; — ale już przy wyliczaniu

---

[1]) Tę samą myśl wypowiada dr. Michał Rostworowski: Austryacka Izba Panów (Przegląd prawa i administracyi 1899, str. 754) w następujących słowach: Pierwszem (niebezpieczeństwem) jest, aby ta Izba (poselska), złożona z wolnych i nieodpowiedzialnych deputowanych, powołując się na to, że... jest jedyną przedstawicielką ludu, nie nadużyła tej swojej swobody i swego wyłącznego prawa zastępstwa na szkodę interesów tegoż ludu i to w drodze uzurpacyi władzy, przekroczenia atrybucyi zakreślonych ustawą i zagrabienia w swe ręce funkcyi do niej nie należących. Gdy ma ona do czynienia tylko z exekutywą, monarchą czy prezydentem, możliwe zatargi doprowadzają albo do kapitulacyi exekutywy albo też do starć zbrojnych i wojny domowej, a stanowisko, jakie lud zajmie wobec tego zatargu, nigdy naprzód przewidzieć się nie da“.

tych zasad nie umie się autor wznieść ponad przesąd o konieczności daleko idącej jednolitości w ustawodawstwie i we wszystkich gałęziach zarządu państwowego, chce postawić Izbę Panów na straży „niemieckiego charakteru“ państwa, które nawet wedle przyznania całego szeregu klasycznych świadków, t. j. różnych byłych prezydentów ministrów austryackich, nie jest państwem niemieckiem, chce przyznać w tym celu Izbie Panów prawo *veto* w sprawach narodowych i żąda wprowadzenia jednolitego języka państwowego niemieckiego.

Autor uważa dalej za potrzebne dać w Izbie Panów odszkodowanie tym wszystkim klasom zawodowym, które zostały wypchnięte z Izby poselskiej przez wprowadzenie powszechnego głosowania, specyalnie interesom lekarzy, obrońców prawnych, handlu i przemysłu, a pomnożenie i wzmocnienie Izby Panów wogóle uważa za konieczne, albowiem „wskutek reformy wyborczej wejdą socyaliści, klerykali i Słowianie w powiększonej liczbie do Izby poselskiej ze swymi potężnymi specyalnymi i separatystycznymi interesami“; trzeba więc uczynić Izbę Panów odporniejszą na punkcie obrony interesów państwowych.

Otóż do osiągnięcia powyższych celów ma służyć ten nowy skład Izby Panów, jaki autor proponuje, przyczem w pewnej może sprzeczności ze swym centralistyczno-liberalnym ogólnym poglądem, chce on, jak już widzieliśmy, obok dziedzicznych członków Izby Panów i obok jej wielu dożywotnich członków, wziętych z grona właścicieli dóbr ziemskich, wprowadzić jeszcze do Izby Panów i reprezentantów dawnej kuryi wielkich posiadłości ziemskiej, wypartych z Izby posłów i reprezentantów rolnictwa mniejszego i stanu włościańskiego, a to „w interesie wyższej myśli państwowej“ *(im Interesse des Reichsgedenkens)*.

Przedstawicieli Uniwersytetów miałyby wybierać Uniwersytety same, każdy po jednemu; razem tedy ośmiu. Wyboru dokonuje grono profesorskie.

Stan adwokatów i obrońców miałby mieć przedstawicieli dwudziestu, wybieranych wedle prowincyi państwa; na Galicyę przypada dwóch. W Czechach i na Morawii osobno wybierają swego przedstawiciela adwokaci Czesi, osobno adwokaci Niemcy; podobnież w Galicyi stanowią osobne ciało wyborcze adwokaci Polacy z całego kraju, osobne adwokaci Rusini.

Zupełnie tak samo urządzoną ma być reprezentacya stanu lekarskiego i w tej samej ilości.

Izby handlowe i przemysłowe wybierać mają 21 członków wedle dotychczasowej modły. Każda galicyjska Izba handlowa wybierałaby po jednym reprezentancie.

Wielkich właścicieli ziemskich dopuszcza autor dwudziestu trzech; „więcej nie można, gdyż mieściłoby to w sobie niebezpieczeństwo wytworzenia silnego stronnictwa autonomistycznego w Izbie“, którego autor boi sie jak ognia. Na Galicyę wypada czterech przedstawicieli, z których dwóch mieliby wybierać polscy właściciele dóbr w Galicyi, dwóch zaś właściciele ruscy, podobnie na Morawii jednego właściciele niemieccy, jednego zaś czescy. Cenzus wyborczy ten sam, jaki obowiązywał wedle dawnego prawa wyborczego przy wyborach do Izby posłów z kuryi wielkich posiadłości ziemskich. W Czechach wybieraliby jednego przedstawiciela właściciele dóbr ordynackich, jednego właściciele dóbr wolno dziedzicznych Czesi, jednego wreszcie właściciele dóbr wolnodziedzicznych Niemcy.

Do wyboru przedstawicieli stowarzyszeń rolniczych chce autor powołać Towarzystwa gospodarskie, Rady kultury krajowej i t. p , wreszcie rolniczy centralny związek we Wiedniu jako wyborców. Członkowie tych związków i organizacyi dokonują wyboru, przyczem również cały kraj tworzy jeden okręg wyborczy. Autor spodziewa się otrzymać tą drogą reprezentacyę klasy włościańskiej, tworzącej, jak mówi, „najlepszą podstawę państwa“. — Na Galicyę przypada dwóch reprezentantów, przyczem znów, zgodnie ze swą zasadą rozdziału wyborców wedle narodowości, każe autor wybierać jednego z nich polskim a jednego ruskim członkom stowarzyszeń rolniczych z całego kraju. Na całe państwo przypada takich reprezentantów dziewiętnastu. W Czechach i na Morawii wybierają Czesi osobno, Niemcy osobno.

Stanisław Starzyński.

(Dokończenie nastąpi).

Żywot polityczny Michała Grabowskiego.

(Ciąg dalszy).

Z jednej strony spryt hrabiego Henryka, z drugiej pozory, zdające się potwierdzać prawdę słów jego, wywołały pożądany efekt: wprawdzie inni wycofali się zręcznie wcześniej czy później z sieci zarzucanych przez Rzewuskiego, lecz pozostał w nich najwybitniejszy w owe czasy działacz kresowy — Michał Grabowski, który, „usposobiony do otwartego wyjawiania myśli swojej“, przed jednym z przyjaciół (najprawdopodobniej Janem Krechowieckim) wyrzekł wtedy w zapale charakterystyczne wielce słowa: „kosztem nie tylko reputacyi własnej, ale nawet zdrowia i życia, gotów jestem ponieść ofiarę dla ocalenia wiary i języka, tak mocno teraz zagrożonych“.

I rozpoczęła się „tragedya“ Grabowskiego.

Trudno nam w szkicu niniejszym obszerniej omawiać cel powołania do życia bałagulszczyzny. Myśl pierwotną wypaczono z czasem, bałagułów ośmieszono, podkreślając „furmańskie“ zewnętrzne ich cechy, a nie umiejąc czy też nie chcąc zrozumieć idei takich przodowników, jak Kasper Maszkowski, dr. Antoni Beaupré, Leonard Łepkowski, dr. Jan Orzechowski i inni. To pewna jednak, że Rzewuski zrozumiał doskonale ukryte cele stowarzyszonej młodzieży, która z dniem każdym większy wpływ zdobywać zaczęła w szlacheckim świecie, berło opinii schwyciła w dłonie,

decydowała o kandydatach na rozmaite honorowe stanowiska. Zrozumiał — i nakłonił przedewszystkiem znakomitego krytyka do ostrego potępienia tych ekscesów; pozyskał w nim gorliwego obrońcę dla swoich osławionych „Mięszanin obyczajowych“, które opinia publiczna ochrzciła mianem złośliwego paszkwilu. I stał się fakt, iż pozornie „słusznie pomawiać zaczęto Grabowskiego o współwinę w tym ohydnym pamflecie, nie zważając, że w rzeczywistości różnica stanowisk obu pisarzy była ogromną. Rzewuski negował przyszłość, Grabowski chciał ją mieć inną, niż emigracya. Że nie potępił rozkładowej teoryi przyjaciela i nie zerwał z nim na zawsze, zawiniły tu może owe tajemne nici osobistej sympatyi, której korzenie sięgały gdzieś w głąb duszy krytyka“. [1])

Zrazu co prawda i Kraszewski załapał się: poznawszy ten utwór w rękopisie, nie zgłębiwszy należycie tendencyi jego, pchnął do *Tygodnika Petersburskiego* (1841) artykuł, w którym nazwał „Mięszaniny“ „przewybornym zbiorem najświeższych, najśmielszych i najżywszych myśli, tudzież najżywszych, pełnych dowcipu obrazków“. Usłyszawszy okrzyk oburzenia, cofnął się i — jak to już zanotowaliśmy wyżej — odskoczył od towarzystwa Rzewuskiego i Grabowskiego. Z kolei jednak przyszło zastanowienie a z niem poczucie krzywdy wyrządzonej wszechwładnemu jeszcze „rozdawcy godności literackich“. Świadectwem tej ewolucyi słowa listu autora „Starej baśni“ do jednego z przyjaciół: „...realnie, rozpatrzywszy się w zasadach Grabowskiego, niepodobna nie widzieć, że one dążyły do rezultatów takich, jakie przyjął za swoje w Bejle, śmielszym tylko od niego w posuwaniu się do ostatecznych wniosków. Ale z tem wszystkiem, gdy Rzewuski jest człekiem dowcipnym, zręcznym, miłym gadułą, sofistą niepospolitym, a razem zebrawszy człekiem bez zasad i przekonań: Michał Grabowski, choć jednej z nim myśli, najsumienniejszy, najpoczciwszy, najstalszy w swym raz powziętym systemacie, który ma za jedynie dobry. Ten zręczny tylko sztukmistrz, drugi sumienny apostoł: jednemu o rehabilitacyę, illustracyę imienia, o rozgłos, a może i o wzniesienie się bylejakie chodzi; drugi (zda mi się) goreje żądzą dobra powszechnego i zapałem szczerym ulepszenia swych braci.“ [2])

---

[1]) Dr. Tadeusz Grabowski j. w. str. 54.
[2]) Piotr Chmielowski: „I. J. Kraszewski“, str. 130—132.

Na razie więc załatano pozorną harmonię. Nawet z Rzewuskim był Kraszewski „zimno, ale dobrze przynajmniej na oko“. Dopiero dalszy krok naprzód w polityce polsko-rossyjskiej, zainicyowany przez Rzewuskiego, zaognił krwawiącą od pewnego czasu ranę.

* * *

Grabowski pragnął od dawna posiąść organ, któryby kształcił według zakreślonego przezeń planu inteligencyę polską. Z czasem zagarnął do swego programu i inteligencyę rossyjską... to go pogrzebało. Wszak już 15. grudnia 1839 r. donosił Bohdan Zaleski Adamowi Mickiewiczowi: „Mój Michał Grabowski niesłychanie czynny. Drukuje a drukuje wciąż... A czem najwięcej mnie uradował, to że wydaje dziennik w Kijowie. Pierwszy to dziennik ukraiński polski!“ A pod tą samą datą pisał do kolegi humańskiego, Seweryna Goszczyńskiego: „A cóż, czy nie zuch nasz Michał? Pan Redaktor pierwszego ukraińskiego polskiego dziennika? Niesłychanie się tem raduję, bo Ruś rozrucha się trochę do pisania i czytania po polsku. Szczęśliwa myśl bardzo i zdaje się, że Michał pojmuje doskonale całą jej rozciągłość i wagę. Jestem niemal pewny, że podoła ciężarowi... najchętniejbym pomógł Michałowi, ma się rozumieć pod cudzem nazwiskiem.“ [1])

Daremnie atoli wyczekiwał Zaleski nadesłania bodaj kilku numerów dziennika ukraińskiego polskiego. Projekt wydawania tego rodzaju pisma nie wkroczył w krainę rzeczywistości.

W cztery lata później przyszła kolej na „Słowianina“, co wywołało zdziwienie i przygnębienie w szerokich kołach znajomych i przyjaciół Grabowskiego. „Z żalem donoszę — pisze przezacny ks. Stanisław Chołoniewski do I. J. Kraszewskiego 10. lipca 1843 r. — że pan Józef kochany za powrotem swoim, znajdzie bolesny komeraż literacki, tyczący się ogółu piśmiennictwa naszego, a który gorzej jeszcze od „Mieszanin“ poturbuje szyki pisarskie. Trzeba się modlić szczerze, ażeby prawda i sumienie rozbiły wszystkie tumany prywaty i niechęci“. Kraszewski zdaje się w pierwszej chwili nie zwrócił baczniejszej uwagi na słowa swego korespondenta. Dopiero ustęp z listu wrześniowego: „mam jeszcze jedną ważną okoliczność do zakomunikowania, tyczącą się

---

[1]) „Korespondencya J. B. Zaleskiego“ j. w. str. 793, 794.

ogółu piśmiennictwa; bo w dziwnych czasach żyjemy i nie można dość być ostrożnym w stosunkach literackich...“ zaniepokoił go na prawdę.[1])

Najobszerniej przykry ten moment w życiu politycznem znakomitego krytyka, przedstawia Jan Krechowiecki. Zdaniem jego, Grabowski, ulegając podszeptom Rzewuskiego, „coraz otwarciej i głośniej występował przeciw niewczesnej, według niego, propagandzie, przypisywanej wpływowi emigracyi; bo o tem, co się w kraju z własnego robiło natchnienia, nie tak wyraźne posiadał wyobrażenie, lubo to od dawnego już czasu istniało, zaprowadzało widoczne odmiany...“ Niezrażeni smutnymi wypadkami, zebrani w Kijowie na sławnych kontraktach literaci „postanowili na głównej naradzie tentować o zjednanie sobie pozwolenia u rządu wydawania pisma peryodycznego, mającego być organem opinii powszechnej, p. t. „Słowianin“. Niewiadomo mi, czy w tej naradzie uczestniczył Kraszewski; Konstanty Świdziński i ks. Hołowiński przytomni byli i aprobowali wraz z innymi projekt;[2]) szło tylko o zredagowanie programatu, któryby zaspakajając drażliwość rządu, mógł weń wmówić, że tym nieszkodliwym organem można mu wielkie przynieść korzyści, prostując błędy i wyboczenia opinii i kierując nią tak, aby odtąd z duchem i wolą rządu ściśle harmonizowała, pod hasłem pobratymczego słowiańskiego związku rozszerzając wpływ Moskwy za ostatniemi granicami rozległego jej panowania. Można zresztą domyślеć się, co jeszcze mógł takiego mieścić w sobie podobny programat, przyrzekający nadto wyrzec się wszelkich urojeń i ściśle zachować we wszystkiem radę podaną przez liberalnego Aleksandra *„point de reveries“*.

„Otumaniony, a może i nadzieją powodzenia zamiaru złudzony, lekkomyślnie podjął się zredagowania programatu podobnego Grabowski, i we dni kilka programat ten w formie listu do Pisarewa, szefa biura generał-gubernatora Bibikowa, do powszechnej aprobaty podał. Wnieść słusznie można, i o ile pamięcią treść tego pisma objąć potrafię, zaręczam, iż tam, oprócz istotnej chęci uciszenia podejrzliwości rządu, nic się więcej nie mie-

---

[1]) Dr. Antoni J.: „Józef Ignacy Kraszewski i ksiądz Stanisław Chołoniewski“. Lwów 1878, str. 40—41.

[2]) Odmiennego zdania jest co do tego faktu dr. Tadeusz Grabowski (j. w. str. 99), o czem zresztą we właściwem miejscu obszerniej piszemy.

ściło, coby na tak głośne potępienie zasługiwało. prócz tej zdrożnej myśli kompromisu, który wobec nieskazitelności sumienia pod żadnym względem cierpiany być nie może i na obie strony słusznie zarzut fałszu i dwulicowości ciska.

„Pismo fatalne tegoż dnia lub nazajutrz przesłane było do Pisarewa, który już może na nie oczekiwał, a w parę dni wykradzione przez adjutanta Strutyńskiego, po całym Kijowie, przepełnionym wówczas przybyłymi na kontrakty obywatelami, jak każda wieść fatalna, lotem błyskawicy się rozeszło.“ [1])

Doskonały znawca dziejów Rusi, [2]) opierając się wyłącznie na liście Grabowskiego do Strutyńskiego, bardzo bezwzględnie sądzi fałszywy krok naszego krytyka, a i sam Strutyński występuje u niego w odmiennem oświetleniu. Zdaniem jego, Strutyński przedstawił Bibikowowi projekt i umotywowanie potrzeby wydawania w Kijowie dziennika w duchu „systemu rządowego“ i postulaty, na których wydawca rad byłby go oprzeć. Bibikow inaczej jednak spojrzał na tę całą sprawę. Zbyt dobrze znał Polaków, ażeby mógł wierzyć, że mogą kiedykolwiek na czyjąkolwiek korzyść zrzec się swoich praw politycznych i narodowych; uważał przeto projekt Grabowskiego za wybryk osobisty ambitnego człowieka, który śmiał jemu, nieomylnemu Bibikowowi, dawać jakieś rady. „Głupiec — miał odpowiedzieć Bibikow — jemu się zdaje, że on rozumniejszy odemnie“. Wierzył jednak, że musiał to być człowiek „oddany Rossyi“ i jakkolwiek propozycyi jego przyjąć nie chciał, pragnął jednak zużytkować zdolności według swego widzenia rzeczy, a dowiedziawszy się, że nie był urzędnikiem, zaproponował mu urząd naczelnika policyi w powiecie radomyślskim. Czy to była ironia ze strony satrapy, rozumiejącego, że jeden w imieniu wszystkich w takich drażliwych sprawach działać nie może; czy złośliwa zemsta panów braci — rezultat usiłowań Grabowskiego był ujemny. Wraz ze Strutyńskim był znakomity krytyk uważany odtąd za zdrajcę narodowego, a aureola sympatyj moskiewskich otaczała już potem przez całe życie jednego i drugiego.

P. Gawroński powodował się w sądzie o Grabowskim — jak to już wyżej zanotowaliśmy — wrażeniem, jakie na nim wywarł

---

[1]) Jan Krechowiecki j. w. str. 31—33.

[2]) Franciszek Rawita Gawroński: „Rok 1863 na Rusi. Ukraina, Wołyń, Podole“. Lwów 1903, str. 34—38.

list tak bardzo przez opinię potępiony, i może tradycyą kół naszemu krytykowi nieprzychylnych. Obok tej jednak opinii występuje druga, o tyle ciekawsza, że pochodzi od człowieka znającego „renegata“ osobiście, stykającego się i dysputującego z nim niejednokrotnie, żyjącego w Kijowie wśród tej samej szlachty, która od pana Michała czas jakiś stroniła. Mamy tutaj na myśli Tadeusza Bobrowskiego.[1]) Pamiętniki jego, wywlekające bez pardonu wszelkie rzeczywiste i częściej urojone, na zwyczajnych plotkach i kawalerskich anegdotach opierające się brudy, posiadają poza tą wstrętną, plotkarską częścią, wartość rzeczywistą. Zwłaszcza obszerne rozdziały o kwestyi włościańskiej i o ludziach w tej epoce występujących na widowni, stanowić będą zawsze nieobojętny materyał dla badaczy sprawy uwłaszczenia włościan, w czem Bobrowski bardzo wybitny przyjmował udział. Wówczas w Kijowie zetknął się on i z Grabowskim. Pierwsze wrażenie nie wypadło dla naszego krytyka korzystnie; że zaś uszczypliwy i zgryźliwy pamiętnikarz nie zwykł był dobierać słów ogładzonych odpowiednio, więc i sylwetka Grabowskiego zarysowała się w konturach brutalnych.

„Grabowski mógł mieć wtedy lat około sześćdziesiąt. Powierzchowności był nie tylko nie pociągającej, ale przeciwnie odstraszającej. Szczerze był brzydkim i to w typie wcale ordynarnym, a do tego zawsze opuszczony, zaniedbany i brudny. Cierpiał rodzaj astmy gardlanej, która go raptem w ciągu rozmowy ściskała gwałtownie, przerywając głos, i wtedy musiał coś słodkiego do ust brać. W tym celu nosił w brudnej kieszeni jeszcze brudniejsze kawałki cukru. Nie był on wcale osobistością popularną ani między rówieśnikami swoimi, ani u młodszego, wykształconego i kształcącego się pokolenia. Pierwsi nie mogli mu zapomnieć osławionego listu do hr. Strutyńskiego w sprawie wychowania młodzieży i kierowania prasą, drudzy znowu wstecznych poglądów, zbratania się z kliką petersburską *Tygodnika* i udziału w sprawie zawieszenia kijowskiej *Gwiazdy;* jedni i drudzy mieli go w suspicyi z powodu pędu do Rossyan, z czem manifestował się rozmyślnie.“

Po kilku tygodniach wzajemnej obserwacyi zbliżyli się obaj wybitni działacze do siebie. „Zawiązał się między nami — zapisuje Bobrowski — dość zażyły stosunek i niedługo zwłócząc,

[1]) „Pamiętniki Tadeusza Bobrowskiego“. Lwów 1900, II. 207—223.

opowiedział mi Grabowski historyę listu do Strutyńskiego, a opowiedział z prawdziwem wzruszeniem i ze łzą w oku, z wszelkiemi cechami faktycznej i psychicznej prawdy, która wydała mi się i teraz wydaje niewątpliwą. Otóż zapewniał on mnie, że treść i zakrój listu, obliczonego na obałamucenie generał-gubernatora Bibikowa, celem zabrania w ręce wychowania młodzieży i stworzenia miejscowego organu prasy, były nieraz przedmiotem rozpraw i narad poufnego kółka w domu Hermana Hołowińskiego, sam zaś brulion listu, przed przepisaniem i wysłaniem go Strutyńskiemu, dla zrobienia zeń użytku, był odczytany i zaaprobowany przez Konstantego Świdzińskiego i Józefa Szymanowskiego, powszechnie znanych i szanowanych z patryotyzmu, którzy wszakże po rozgłoszeniu listu, nie mieli odwagi stanąć w obronie Grabowskiego, przyjmując część winy na siebie. Sam zaś Grabowski, jak mi objaśniał swoje milczenie, tak był oburzony tchórzostwem tych panów i dotknięty zawodem przyjaźni, że uznał za niegodne powoływać się na nich, i bez wątpienia miał słuszność... Jakikolwiek był skutek owego listu, a był bolesnym zarówno dla autora, który część należnego mu wpływu, i dla publiczności, która niemałą siłę czynną na długie lata, postradali, mam najgłębsze przekonanie, że Grabowski układając i pisząc ów list, daleki był od służalstwa i widoków osobistych, a powodował się jedynie względami użyteczności publicznej, w zasadzie najzupełniej słusznymi, w sposobie przeprowadzenia mylnymi... Wina zaś jego i to podwójna, że użył tak zwanej „dyplomacyi“, t. j. fałszu i obłudy, które bądź co bądź zawsze brzydko pachną delikatniejszym nosom, a strasznie śmierdzą, gdy chybiają celu; i że te, same z siebie nieponętne zapachy zaprawił naiwnością, przypuszczając, że rząd i szczwanego jego reprezentanta, jakim był Bibikow, w pole wyprowadzi. Sam też i wszelkie koszta owej dyplomatycznej exkursyi opłacił.“

„Grabowski, w pozornej sprzeczności z dążeniami ogółu, w gruncie rzeczy tylko co do środków, lecz nie co do celów, był przekonany, że przeczeniem i autorytetem potrafi ogół prędzej i skuteczniej na właściwe drogi, wedle rozumowania swego, sprowadzić. Przemawiając zaś z przesadną i bezwględną stanowczością i w duchu konserwatywnym, sprzecznym z prądami czasu i własnego społeczeństwa, chybiał celu, nie przekonawszy nikogo, a mało, na pozór, o serca ziomków dbając, nie był też przez nich kochany. Niesłusznie też zarzucano mu „słabość do Rossyan i panslawizmu“. Miał on tylko silniejsze niż inni poczucie głębokości

naszej niewoli, jaśniej widział niemożność doraźnego wyłamania się z niej, trzeźwiej oceniał zakusy i agitacye, w tym celu przez nieproszonych „zbawców ojczyzny“ podejmowane — jawnie je zwalczał i potępiał, trafnie przewidując, na czem się one skończą. Rossyan ani kochał, ani admirował, a widział w nich tylko najmniej nieznośnych z gnębicieli naszych i przekonany był o konieczności szukania i wyszukania możliwego między nimi a nami *modus vivendi*. Osobiście ten wynalazł, pod pokrywką bowiem znacznej niby życzliwości swojej, pozwalał sobie mówić Rossyanom wcale nieprzyjemne rzeczy, których najzagorzalszy patryota polski w żywe oczy, jak on to czynił, powiedziećby się nie odważył. Myślał wówczas Grabowski o kwestyi rossyjsko-polskiej to samo, co myślał o niej Wielopolski, co dziś widzi już jako nieodzowną konieczność prawie każdy poważniejszy, realny umysł, do czego dąży młodsze pokolenie po 1863 r. wzrosłe; ale że wówczas — oceniając stosunki trzeźwiej i jaśniej od ogółu — był wyjątkiem, okrzyczano go za panslawistę, zarzucano brak patryotyzmu, który inaczej tylko i nie tak różowo, jak ogół, rozumiał.“

Tyle Bobrowski. Z pamiętników jego powtórzyliśmy rozmyślnie kilka większych urywków, istotnie bowiem przejrzał on naszego krytyka na wskroś i odmalował sylwetkę Grabowskiego niezwykle wierną i plastyczną.

Wracamy do przerwanego toku opowieści.

W kółku ziemiańskiem zawrzało, plotka rosła do rozmiarów strasznej jakiejś zbrodni narodowej. Młody podówczas jeszcze Eustachy Iwanowski (Helleniusz), szczery wielbiciel Grabowskiego, pospieszył do krytyka z błaganiem, by ten zaprzestał walki z obudzonym duchem narodu, zerwał stosunki z największym swoim wrogiem, Rzewuskim. Grabowski jednak osaczony, jak zwierz w kniei, zaciął się w uporze i bryznął szyderstwem. Helleniusz, zwątpiwszy w uczciwość „rozdawcy godności literackich“, zażądał bliższego wyjaśnienia u jednego ze szkolnych kolegów i przyjaciół Grabowskiego, zamieszkałego w głębi Wołynia. „Ten w odpowiedzi swojej usuwa wszelkie ubliżające charakterowi Grabowskiego posądzenia, nie przypuszcza, aby dał się uwieść poduszczeniom ambicyi, tem bardziej podłym widokom osobistej korzyści, i w tym względzie za niego, jak za siebie samego, zaręcza“.[1] Tak sądził omyłkę autora „Literatury i Krytyki“ Jan Krechowiecki; nie stracili doń wiary inni koledzy jego i przy-

[1]) Jan Krechowiecki j. w. s. 34.

jaciele, rozsiani po kraju i na emigracyi; nawet Adam Mickiewicz, za natchnieniem Bohdana Zaleskiego idąc, wystąpił z jego obroną; ale reszta społeczeństwa polskiego, ta olbrzymia reszta, nie zastanawiając się nad pobudkami błędu, nad okolicznościami, które przygotowały i umożliwiły „tragedyą“ Grabowskiego, wyklęła popularnego dotąd niezwykle autora; pisma emigracyjne szarpały jego sławę; Juliusz Słowacki odstępcą i renegatem go mianował.

Grabowski — pisze dr. Antoni J. [1]) — „ratując się. z nową wystąpił odezwą do Strutyńskiego, wypowiadając w niej *in claro* swoje przekonania o logicznej i nieuniknionej przyszłości szczepu słowiańskiego, do którego należał, radził więc, aby się dobrowolnie poddano konieczności zjednoczenia czy zlania z potężnym zwycięzcą“. Odezwa ta w licznych odpisach dotarła w lipcu na Podole. „Jest to — tłumaczy ks. Chołoniewski Kraszewskiemu — rzecz długa, ramota ciekawa i z wielu względów dość ważna, a tak różnorodnej treści, że wszelki wyciąg mało by oświecił tych, co jej nie czytali. Głos publiczny nie wątpi o autentyczności pisma tego, kopie jego wszędzie krążą“. „O sławnym liście Michała — odpowiada Kraszewski dnia 1. listopada 1843 r. — niestety wiedziałem dawno, klęska to okropna, zabił mnie tem, długo nie wiedziałem, co począć z sobą, teraz oswoiłem się. Wiem, że Michał żałował swych niewczesnych wynurzeń, że zakrzyknięty upadł na duchu, że gryzie się, że tłumaczy, ale takie olbrzymie głupstwo (mówię jeszcze delikatnie) zrobiwszy, *ex inferno nulla redemptio.* Dla mnie to ciekawy widok, patrzyłem na tego biednego człowieka, jak się stopniowo mienił od początku swej karyery, walcząc z ochotą postawienia się tam, gdzie dziś jest. U niego to tylko żądza *d'être conséquent dans ses principes.* Jestem pewien, że sam nie wie, jak doszedł do rezultatu tego, powoli sobie rozumując, że jego zasady wymagają takich opinij.“ [2])

W Paryżu, wśród kolegów humańskich niedoszłego redaktora, afera kijowska wywarła również olbrzymie wrażenie, choć, jak wzmiankowaliśmy wyżej, nie potępiono go tam bezkrytycznie. „Miałem z różnych stron raporta o Michale — cytujemy słowa z listu Bohdana Zaleskiego do Ludwika Jankowskiego (4. III. 1845 r.) — krwawi mi serce i straszno w duszy, ale nie śmiem go zupełnie potępiać. Najdawniejszy to mój druh, a przytem nie

---

[1]) Jak wyżej, 40.

[2]) Dr. Antoni J. j. w. 42—43.

pojmuje. dlaczego by przylgnął do Moskali? Zresztą może się jeszcze upamięta? Może otwarcie przyzna się do błędu i podejścia." [1])

I istotnie nie można dziwić się ludziom, co całą młodość swoją prześnili i przemarzyli o lepszej przyszłości, a kilkanaście lat wstecz, idąc w krwawy bój, wszystko postawili na jedną kartę, że serce im się krwawiło na wiadomość o tak strasznem odstępstwie sprawy narodowej — bo inaczej kroku Grabowskiego sądzić zdala nie mogli — a ból ten był tem większy, gdy „renegatem" stał się człowiek stojący od lat szeregu u czoła narodu...

Dr. Tadeusz Grabowski, korzystający ze spuścizny rękopiśmiennej po znakomitym krytyku,[2]) będący zatem w możności z rozmaitych drobnych, dorywczych notatek lub uwag ustalić charakter zbłąkanego na manowce „ugodowca", poświęca i omawianemu przez nas faktowi więcej nieco miejsca. „A tymczasem — są jego słowa — dojrzały pomysły, nurtujące w umyśle krytyka może od czasów zjazdu cudnowskiego. Nie stały one wprawdzie w harmonii z ogólnym nastrojem społeczeństwa, któremu rządy Bibikowa i jego kliki wyrządziły więcej szkód materyalnych, niż moralnych, ale stanowiły wydatny skutek rozmyślań bystrych i przewidujących. Nie schodziły one nigdy z gruntu realnego i dążyły do postępowania otwartego i zastosowanego do położenia. Nie drażnić nerwów, nie rozdzierać ran, ale koić i leczyć, a na zewnątrz zdobyć silną materyalną podstawę bytu przez utwierdzanie religii i języka w państwie, powołanem z natury i mocy do opieki nad ogółem słowiańskim — oto treść polityki, nie schlebiającej *aurae populari* i nie cofającej się przed pogróżką, czy potwarzą. Czy to może polityczny determinizm Staszica, zalecającego harmonię dwóch szczepów i marzącego o równowadze europejskiej? Nie. Grabowski nie jest ani sensualistą, ani przyrodnikiem, jak tamtem, ale z goryczą ocenia wpływ i sympatye francuskie u nas i jak tamten upatruje w roztercе dwóch narodów szkodę dla obu. Nie jest przecież nieprawdopodobnem, że myśli swe zapożyczył od męża tak wypróbowanego patryotyzmu, jak Staszic i że wspólnie z Wielopolskim nawiązywał dawną ideę do mniej jednak korzystnych stosunków. Należało naprzód przygotować grunt, upewnić się o wzajemności drugiej strony, wytwo-

[1]) „Korespondencya J. B. Zaleskiego". „Przewodnik nauk. i liter." r. 1900, str. 217.

[2]) Dr. Tad. Grabowski j. w. str. 71—72.

rzyć stosunki życzliwości miedzy najwpływowszymi ludźmi obu narodów, dać wyrozumieć ogółowi wspólny, dziejowy interes, a dopiero wtedy zrobić ewolucyą i wyrzekając się wszelkich żądań oddania prowincyj z przed r. 1772, wziąć podział za punkt wyjścia i określić własne d a j ę i ż ą d a m. Zamiast tego Grabowski, jak często człowiek tworzący nowe pomysły, uczynił zwrot pierwej, nim przekonał się o możliwości ich zastosowania. Tym zwrotem był ów głośny, choć nieznany mi w dosłownym tekście i, jak się zdaje, nieogłoszony drukiem list do Pisarewa, pomocnika kijowskiego wielkorządcy, który miał być zarazem rodzajem wstępnego artykułu do dawno marzonego pisma p. t. „*Słowianin*“ (1843 r.). Już sam wybór Pisarewa, urzędnika wprawdzie dość wpływowego, ale o nadszarganej osobistej reputacyi i wspólnika Bibikowa, rzucał cień na program i na redaktora, który go nakreślił. I stało się, że ceniony i nieskazitelny krytyk i obywatel stał się nagle niepopularnym w szerokich kołach młodzieży i starszych, oraz ofiarą zjadliwych inwektyw prasy, szczególnie poznańskiej i emigracyjnej. Pozostał osamotniony i upadł, gdyż szedł prosto, ale nie dość dyplomatycznie i powoli. Osobista duma i czystość pobudek nie dozwoliły mu cofać się albo odwoływać.“

* * *

Do ostatniej epoki żywota Michała Grabowskiego posiadamy bogaty materyał rękopiśmienny w papierach dr. Władysława Rudnickiego i Andrzeja Leszczyc Grabianki. Pierwszego z nich najlepiej charakteryzuje jego pamiętnik, przygotowany do druku ze znacznemi skróceniami i opuszczeniami przez dra Antoniego J. [1]) — Skrócenia były w danym wypadku wprost niezbędne, Rudnicki bowiem, nie zaznawszy w życiu wielu dni słonecznych, z tak ogromną ironią i żółcią odzywa się o ludziach, otaczanych przez społeczeństwo polskie czcią i uznaniem powszechnem, że bardzo ciekawe jego zapiski musiały w znacznej części pozostać w rękopisie. Niemniej przeto dla badacza owej epoki stanowią one materyał ważny a do charakterystyki Michała Grabowskiego sporo dorzucają światła.

---

[1]) „Z dziejów kijowskiego Uniwersytetu“. Wyjątki z pamiętników dra Władysława Rudnickiego (N a s z K r a j. Lwów 1906).

O Andrzeju Grabiance, wybitnym ziemianinie kresowym, wypadnie nam nieco później bodaj kilka zapisać uwag. Na razie podkreślamy jedynie, iż obadwaj oceniali Grabowskiego bez uprzedzeń: obadwaj osądzili Józefa Ignacego Kraszewskiego ostro za fakt opuszczenia w chwili krytycznej człowieka, któremu bądź co bądź zawdzięczał bardzo wiele.

Rudnicki uczęszczał na Uniwersytet kijowski w latach, kiedy Grabowski, po dłuższem osamotnieniu w Aleksandrówce, znowu osiadł w Kijowie. W rossyjskich kołach literackich i naukowych, zażywał niezwykłej powagi. Z przedstawicieli polskiego społeczeństwa nie stronili od towarzystwa z „wyklętym“ tacy ludzie, jak Konstanty Świdziński, metropolita Hołowiński, Aleksander Groza i Jan Krechowiecki, oraz grono młodzieży uniwersyteckiej. Szlachta zaczęła zwolna zbliżać się ku niemu: zrazu pod sekretem, później coraz jawniej, by przekonać się wreszcie, że dyabeł nie tak straszny, jak go malują.

„Nasz Grabowski — zapisuje dr. Rudnicki — często przebywał pośród grona rossyjskich uczonych, gdzie nie tylko odbierał on zawsze największą cześć i współczucia dowody, ale gdzie, prawdę rzekłszy, formalnie prezydował na wszystkich dysputach naukowo-historycznych, częstokroć smagając bez miłosierdzia nicestwo i uprzedzenia o rzeczach, zwłaszcza dotyczących naszej historyi. A smagać mu było łatwo, nie tylko z powodu, że zapasem wiadomości historycznych, nie z pamiętników — jak u nich bywało — ale z dokumentów, zabytków, pieśni, podań i t. d. wysnutych, przechodził wszystkich ówczesnych uczonych kijowskich, lecz także z powodu wolnego od wszelkiej karczemnej formy, a jednak tak dotkliwego dowcipu, jakim mu nie tylko z obcych, ale i ze swoich nikt nigdy nie dorównał. *Notre respectable vipère*, zwała go arystokracya rossyjska, dobijając się wszakże z zapałem jego znajomości i względów. *Mes amis, les ennemis* nazywał ich w oczy Grabowski, nie zaniedbując żadnej, choćby najmniejszej okoliczności, do wyznania otwarcie, że może żyć z nimi w zgodzie, lecz zawsze jako Polak, nigdy jako renegat. Od tego też czasu Kijów stał się punktem, z którego najpierwej dały się słyszeć publiczności moskiewskie głosy, przemawiające za zgodą z Polakami pod warunkiem nie tylko należnych im praw i ustępstw, ale nawet całkowitej odrębności politycznej.“

Młody student, z uwielbieniem słuchający wywodów tak popularnego niegdyś w całej Polsce męża, skrzętnie zapisywał każde niemal jego słowo, malujące sposób zapatrywań Grabowskiego na

naszą przeszłość, teraźniejszość i przyszłość dziejową. Scharakteryzowawszy np. kilku śmiałemi pociągnięciami obraz przedrozbiorowej Polski, mówił autor *„Literatury i Krytyki“* dalej: „Każdy myślący człowiek przyzna, że nie dla tego Bóg dopuścił upadek, by po nim ostateczna nastąpiła zguba, ale dla tego, aby z rąk naszych wyjąć narzędzie, którem zabijaliśmy sami siebie, aby nam oczy otworzyć i podać środki do poprawy, a tem samem do podźwignięcia się z upadku. Jakoż podzielono nas na trzy części: Austrya, która ze swoim systemem rządowym, najwięcej, zda się, zagrażała narodowości naszej, stała się zarazem najpierwszym jej stróżem i będzie nim, póki pozostanie katolicką i z Rossyą a Wschodem graniczyć nie przestanie. Nadto Austrya daje nam światło i pierwsze początki materyalnej administracyi krajowej, o której myśmy dawno zapomnieli. Na straży narodowości w Prusach stoi, jak miecz nieprzełamany, duchowieństwo katolickie i lud, identyfikujący nazwisko katolika nie tylko z nazwiskiem Polaka, ale nawet człowieka. Rossya nakoniec — a tu już dosłuchamy się echa programu *„Słowianina“*, za który Grabowskiego tak bezkrytycznie i zbyt pochopnie ukamienowano — jeśli pod tysiącznymi względy niżej od nas stoi, to jednak przyniosła nam w darze ideę nieograniczonego posłuszeństwa i uległości władzy, oraz zgody narodu z rządem, dwie rzeczy, na których nam właśnie jak najwięcej zbywa.

„Póki przeto nie przejdziem tej szkoły, do której nas sama Opatrzność oddała, póki gruntownie nie ukończym tych nauk, których potrzeby sami nie umieliśmy pojąć, póty nie mamy żadnego prawa do obywatelstwa w Europie: wszelkie usiłowania nasze ku odzyskaniu tego, cośmy stracili, zawsze będą przedwczesne, nigdy się nie udadzą, bo udać się nie mogą. W mojem przekonaniu zatem, nie usiłowanie zwalczenia słońca motyką, powinno u nas nosić nazwę patryotyzmu, ale przeciwnie, zrozumienie pozycyi swojej, pojęcie potrzeb narodu i spokojny rozwój na drodze, wytkniętej nam przez wolę Opatrzności z jednej, a doświadczenie, nabyte z historyi, z drugiej strony. Nie do buntów tedy i do rewolucyi zachęcać naród potrzeba, ale przeciwnie do uległości i cierpliwości, do wytrwałości i pracy, a pracy przedewszystkiem praktycznej, która jednocześnie i umysł oświeca i duszę i wolę człowieka hartuje. Do takiej pracy zaś, zwłaszcza wszechstronnej, to jest we wszystkich kierunkach społecznych potrzeb podjętej, potrzeba przedewszystkiem stosownego pola, powtóre pewnej, chociażby ograniczonej, swobody. Jedno i drugie możemy zyskać

przez wyrzeczenie się kapryśnego odosobnienia naszego, przez dobrowolne zbliżenie się z tymi, z którymi stykać się, w innej tylko roli sama konieczność nas zmusza, słowem przez zamienienie naszych wrogów i ciemiężycieli na przyjaciół i braci. Zarzuty, jakie przeciwko temu stawią głupcy, nadto są pospolite, aby je szczegółowo rozbierać było warto. Jedno z dwojga koniecznie jest prawdą: albo my stoimy moralnie wyżej od naszych wrogów, albo się rzecz ma zupełnie odwrotnie. W pierwszym razie, oceniając sami czynności nasze, kierując niemi wedle potrzeby, nie mamy czego się obawiać. Wszak Niemcy nic nie stracili na tem, że stanęli u steru rządu w Rossyi. W drugim razie zguba nasza nieunikniona, skoro i siła materyalna po tamtej stronie przeważa, bunt jednak zawsze nie usunie złego, ale je tylko przyspieszy, a jeśli ginąć już koniecznie, to zawsze lepiej później, niźli wcześniej.

„Póki jednak, jako święte relikwie, jako skarby nasze, przechowamy śród siebie religię ojców, tradycye, język i historyę, póty żadna siła nas nie przerodzi i narodowość nasza szwanku nie dozna. Owszem, co my wszczepimy w barbarzyńców, to już na zawsze naszą zasługą, naszą własnością się stanie i prędzej, czy później na naszą własną korzyść się obróci... Ale koryfeusze dzisiejsi, mieniący się być apostołami narodu, czyli go do tego prowadzą? Jak sami tanim kosztem wielkimi ludźmi zostali, tak też sądzą, że małymi, babskimi środeczkami, można zmienić prawdę historyczną i wielkich rzeczy dokonać."

Że Rudnicki spisał istotnie słowa Grabowskiego, udowadniać nie mamy potrzeby; omawiają one tylko obszerniej i szerzej to, co już Jan Krechowiecki streścił nam w kilku zwięzłych zdaniach, a zresztą i notatka Grabianki, którą poznamy niebawem, te same zasadnicze momenty podkreśla, w innej nieco tylko formie.

Lat sześćdziesiąt z górą oddziela nas od daty napisania programu *„Słowianina"*; przeżyliśmy w ciągu tego czasu 46, 48 i 63 rok, nauczyliśmy się i doświadczyli bardzo dużo, prawdopodobnie więc i inaczej oceniamy słowa Grabowskiego od owych egzaltowanych romantyków, co nie tak dawno patrzyli na rok 1831, a po upadku powstania konspirowali dalej w kraju i na emigracyi. My dzisiaj moglibyśmy może ze znakomitym krytykiem dysputować na temat zalecanej przezeń uległości i cierpliwości, ale

nad resztą jego programu nie przeszlibyśmy tak bez zastanowienia do porządku dziennego, a co ważniejsza, nie ochrzcilibyśmy z pewnością projektodawcy mianem zdrajcy.

Zmieniły się czasy, ale zmienili się i ludzie, a polityka polsko-rossyjska na zupełnie odmienne wkroczyła tory. Dzisiaj nie usuniętoby lekkomyślnie takiej miary męża od obrad nad losami kraju i kto wie, czy nie ofiarowanoby mu w akcyi obywatelskiej naczelnego stanowiska.

Michał Rolle.

(Dalszy ciąg nastąpi).

Zarys dziejów edukacyjnych Polski porozbiorowej na obczyźnie.

(Ciąg dalszy).

Każda dywizya miała swój odrębny program naukowy, dostosowany do programów publicznych zakładów francuskich.

Najniższa czyli czwarta dywizya uczyła się historyi i geografii powszechnej, gramatyki i ortografii oraz literatury francuskiej, kaligrafii, arytmetyki oraz elementów algebry i geometryi.

Dywizya trzecia, złożona z panien, które już w kraju w znacznej części pozdawały egzamina przed wstąpieniem do instytutu, miała w programie naukowym przeważnie tylko przedmioty francuskie a mianowicie gramatykę i ortografię francuską, historyę Francyi, literaturę francuską, a prócz tego hygienę, mitologię i rachunkowość.

Program studyów dywizyi drugiej czyli uczenic, gotujących się do egzaminu w szkołach elementarnych, obejmował: gramatykę francuską, ortografię, kaligrafię, historyę Francyi, geografię Francyi i jej kolonij, wiadomości z geografii powszechnej i literatury francuskiej.

Dywizya pierwsza czyli dywizya kandydatek do szkół wyższych miała w programie naukowym szczegółowe studyum literatury francuskiej, dalej fizykę, chemię, historyę naturalną, historyę powszechną, geografię oraz matematykę, a w szczególności:

arytmetykę, geometryę, algebrę i rachunkowość, a prócz tego mitologię i hygienę.

Uczenice dywizyi pierwszej i pewna część t. z. Wielkopolanek pobierały naukę przeważnie w Sorbonie.

We wszystkich dywizyach obowiązywała nauka religii i przedmiotów polskich.

Nauka przedmiotów polskich obejmowała według stanu rzeczy z r. 1895: język, literaturę i historyę polską, a rozdzielała się na cztery kursa.

Kurs czwarty czyli najniższy składał się z uczenic, mających zaledwie małe początki języka polskiego, a uczono na nim polskiego pacierza, elementów gramatyki, deklinacyi, wyrazów polskich, potrzebnych do konserwacyi i małych opowieści.

Na trzeci kurs chodziły uczenice, które się już nieco języka podnczyły, a brano z nimi w dalszym ciągu gramatykę polską. zadawano do memorowania wiersze i ćwiczono w konwersacyi polskiej.

Uczenice tego kursu miały w r. 1895 co tydzień jedną godzinę z profesorem języka polskiego. a dwie godziny korepetycyj z jedną z Wielkopolanek.

Do kursu drugiego zaliczono uczenice władające już biegle językiem polskim w mowie i piśmie. Część tych uczenic urodziła się w kraju ojczystym a część nabyła biegłości w Instytucie, Uczenice tego kursu czytały utwory literatury polskiej i robiły zadania piśmienne.

Do pierwszego kursu zaliczono te, które przybyły z kraju do Paryża na lat kilka dla języka francuskiego. Z tymi czytano i tłumaczono rozmaite utwory z polskiego na francuski i na odwrót.

W osobnych godzinach wykładano dla wszystkich historyę polską i literaturę polską; uczenice, władające językiem polskim słabo, były od tych godzin czasowo uwolnione.

Wielki nacisk położono w instytucie na tak zwane *les arts d'agrément* t. j. sztuki przypodobania się: muzykę, rysunki, malarstwo i znajomość niektórych języków obcych, niemieckiego, angielskiego, włoskiego, hiszpańskiego, oraz taniec i formy towarzyskie.

Nauka tylu tak różnorodnych przedmiotów wymagała licznego personalu nauczycielskiego. Grono nauczycielskie składało się w pewnej części z nauczycielek zamieszkałych w zakładzie, z których jedna a często i więcej były sprowadzone z kraju macierzy-

stego, aby uczenicom wykładały początki języka polskiego, same zaś kształciły się w języku francuskim, w muzyce i rozmaitych sztukach, pożądanych w życiu towarzyskiem, a w przeważającej części z nauczycieli i nauczycielek przychodnich.

W pierwszych latach istnienia Instytutu księżniczka Izabella Czartoryska, córka założycielki, udzielała przez pewien czas języka angielskiego z wielkim dla uczenic pożytkiem.

Z profesorów przedmiotów polskich zapisało się kilku w dziejach zakładu bardzo zaszczytnie.

Stanisław Kunatt, były profesor ekonomii politycznej w Uniwersytecie warszawskim, wykładał w Instytucie język, historyę i literaturę polską przez lat przeszło dwadzieścia. Z pod jego pióra prócz rozpraw z zakresu ekonomii politycznej wyszły rozprawy treści pedagogicznej: O szkołach politycznych Francyi i O organizacyi szkół wyższych w Francyi. W Hotelu Lambert pracował jako nauczyciel bardzo gorliwie i zdobył sobie niesłychane przywiązanie uczenic, z któremi się rozstał dopiero na kilka miesięcy przed śmiercią († 1866).

Drugim profesorem, którego uczenice Instytutu wspominają z wdzięcznością i uwielbieniem, był Wacław Gasztowtt. Jedna z nich zapisała w pamiętniku następującą uwagę: „Kursa p. Gasztowtta miały ogromne powodzenie; jego wykład gramatyki polskiej był bardzo jasny, a co do kursu literatury polskiej, to stał się on dla nas po dwu czy trzech latach prawdziwą roskoszą, bo tak go umiał nasz profesor uczynić zajmującym...“

Uczenice prócz nauki miały w zakładzie mieszkanie i całkowite utrzymanie i zaopatrzenie w niezbędne środki naukowe.

Przyjmowano do zakładu tylko kandydatki polskiego pochodzenia przynajmniej ze strony ojca z początku z ukończonym dziesiątym rokiem życia, umiejące przynajmniej czytać i pisać w jednym języku. Według pierwotnego statutu zakładowego uczenice, mające lat 18 skończonych, przestawały należeć do Instytutu, a jeżeli dłużej chciały w nim pozostać, to musiały przyjąć obowiązki nauczycielek miejscowych. Później stworzono osobną dywizyę starszych uczenic, przyjeżdżających do Francyi z kraju dla uzupełnienia studyów, zwłaszcza dla wyuczenia się języka francuskiego.

Otwarto zakład z dwunastoma panienkami; w rok po otwarciu frekwencya się zdwoiła, a następnie ciągle się powiększając, wynosiła przed rokiem 1870 przeciętnie 45—50 uczenic. Zgłasza-

jacych się kandydatek było nierównie więcej, ale szczupłość lokalu nie pozwalała na przyjęcie większej liczby.

Po roku 1871, w którym rząd cofnął subwencyę, frekwencya musiała się z konieczności skurczyć do bardzo małej liczby.

Od uczenic zamożnych pobierano pewną opłatę według umowy; uczenice ubogie i sieroty przyjmowano bezpłatnie. Miejsca bezpłatne przyznawano z warunkiem, że uczenica poświęci się zawodowi nauczycielskiemu.

Rodzice, mający wyznaczone dla córek zasiłki rządowe, musieli ich się zrzec na rzecz zakładu na czas studyów.

Uczenice nosiły uniformy pomysłu księżnej założycielki. Uniform składał się z sukienki koloru granatowego, wtedy modnego, zwanego granatem królewskim lub francuskim, z płaszcza czarnego i kapelusza pluszowego czarnego, podszytego czerwonem na zimę, w lecie z kapelusza białego słomianego, ubranego niebiesko i z mantylki lekkiej czarnej. Uczenice zapisały w pamiętnikach, że kostyumowi temu brakowało elegancyi zwłaszcza w kroju, że widocznie nie chciano w nich rozbudzać kokieteryi. Na uroczystości wdziewały sukienki muszlinowe białe z wstęgami jasno błękitnemi.

Stroną gospodarczą Instytutu zajmowała się ekonomka.

Kierownictwo naukowe zakładu dzierżyła ochmistrzyni czyli dyrektorka.

Pierwszą dyrektorką Instytutu była pani Szokalska, matka dra Szokalskiego, ktory zasłynął później w Warszawie jako okulista. Imię tej dyrektorki zapisało się w dziejach zakładu bardzo zaszczytnie (1845—1854).

Odtąd kierowały zakładem same Francuzki z wyjątkiem panny Gosztowttównej (1876—1877). Druga z kolei dyrektorka panna Rouquayrol (1854—1868) i jej następczyni panna Letellier (1868—1876) były osobami wszechstronnie wykształconemi i pedagogicznie uzdolnionemi, pozostawiły też w dziejach zakładu jak najlepszą po sobie pamięć.

Po pannie Gasztowttównie kierowały zakładem panny Gaudry (1877—1881), Boequilon (1881—1890) i Glaudin (1890—1899).

Duszą i główną kierowniczką i opiekunką zakładu była założycielka księżna Anna a po niej jej córka Izabella. Stosunek tych pań do uczenic zakładu był, by go krótko określić, wzorowy, jak matki dobrej do dzieci, a nawzajem uczenic do opiekunek, jak wdzięcznych córek do najczcigodniejszej serdecznie ukochanej

matki. W zakładzie panowała serdeczna atmosfera rodzinna, do której uczenice długo po ukończeniu studyów tęskniły.

Księżna Anna a następnie i jej córka Izabella miały do pomocy Radę przyboczną, złożoną z osób przez siebie uproszonych a zostających pod ich przewodnictwem. Rada ta miała ogólny rząd i nadzór, mianowała personal szkoły, przyjmowała uczenice, zbierała fundusze i uchwalała wszelkie postanowienia, dotyczące Instytutu.

W Radzie prócz przewodniczących zasiadali: ks. Adam Czartoryski, hrabina Władysławowa Zamoyska, ks. Władysław Czartoryski, generał hr. Bystrzonowski, Teodor Morawski i Ludwik Wołowski. W pierwszej Radzie najczynniejszym członkiem był Adolf Cichowski. Później obowiązki sekretarza i kasyera pełnił Józef Rusteyko.

Koszta utrzymania zakładu były znaczne, przy liczniejszej frekwencyi dochodziły do 40.000 fr.

Dochody płynęły z rozmaitych źródeł. Rząd francuski płacił do r. 1871 subwencyę z początku nieco mniejszą, wkońcu w kwocie 25.000 fr., kilka tysięcy wpływało z opłat uczenic, ofiary płynęły niezbyt obficie. Znaczne niedobory pokrywała przewodnicząca Rady, dając prócz tego bezpłatnie lokal i opłacając niektórych urzędników zakładu.

Instytut, pobierając subwencyę rządową, musiał się poddać kontroli rządu, którą wykonywała mianowana przez niego wizytatorka.

Po roku 1871 nieomal cały ciężar utrzymania zakładu spadł na hrabinę Izabellę Działyńską. Po jej śmierci dn. 20. marca 1899 r. sukcesorowie, wyznaczywszy czasowo dla kilka panienek stypendya na dokończenie studyów, zwinęli zakład jako zbyt kosztowny, zresztą już małą bardzo mający frekwencyę.

Instytut oddał emigracyi a poniekąd i krajów znaczne usługi.

Już w r. 1856 a zatem w dwunastym roku istnienia zakładu mogła jego założycielka stwierdzić, że do owego czasu sto przeszło rodzin wychodźców polskich oddało córki na wychowanie do zakładu, że czterdzieści z nich skończyło w nim nauki zupełnie, że szesnaście otrzymało dyplomy nauczycielek i że wszystkie prawie znalazły korzystne miejsca w kraju, w Francyi lub Anglii.

W dziewięć lat później t. j. w roku 1866 odebrało było w instytucie edukacyę 230 panien, z których około 60 dostało miejsca guwernantek w znaczniejszych domach polskich.

Przez cały czas istnienia swego Instytut wykształcił przeszło 600 panien polskich.

Dawne uczenice zawiązały dnia 2. maja 1873 roku Stowarzyszenie byłych uczenic hotelu Lambert. Celem tego stowarzyszenia było nawiązanie przyjaznych stosunków pomiędzy wszystkimi byłymi uczenicami Instytutu i niesienie pomocy tym z nich, które jej potrzebowały.

Literatura i źródła. Association des anciennes élèves de l'hotel Lambert: Statuts et compte-rendue de la Réunion de 1873, Lagny 1873; Bulletin annuel, Lagny 1876 i 1878. — Bolewska M.: Kilka słów o egzaminie w Hotelu Lambert w Szkole polskiej, Poznań 1853. — Czartoryska Anna: Pensya panien polskich w Paryżu, Paryż 1845; Tejże: Institut des demoiselles polonaises, Paryż 1856 (odezwa); Tejże toż samo po polsku: Instytut panien, Paryż 1856. — Externat de jeunes demoiselles, dirigé par madame Adam Pilinska. — (Hoffmannowa z Tańskich Klementyna): Plan d'un établissement d'éducation complémentaire pour les jeunes étrangers, dirigée par M-me Tańska Hoffman, ancienne surintendante des Pensionats des jeunes personnes dans le royaume de Pologne, Paris b. r. — Instytucye naukowe i dobroczynne, założone i wspierane przez XX. Czartoryskich w Paryżu w czasie emigracyi, Paryż 1860. — L'Institut polonais. Souvenirs et fragments 1845 à 1895, Paris 1895. Praca zbiorowa byłych uczenic. — Maison d'éducation pour les jeunes Polonaises, Paris 1844 (Podpisani hr. Olizar i ks. Sadowski). — Materyały rękopiśmienne w Muzeum XX. Czartoryskich. — Rocznik Tow. hist.-lit. Rok 1866 i następne.

4. Instytut Panien w Hotelu Lambert nie zaradzał wszystkim potrzebom emigracyi pod względem wychowania dziewcząt. Liczba uczenic w Hotelu Lambert mogła być tylko szczupła z powodu braku miejsca, a przyjmowano do zakładu przeważnie tylko panienki szlacheckiego rodu a w każdym razie niemłodsze nad lat dwanaście. Całe szeregi dziewcząt i sierot nieszlacheckich lub nie mających lat dwunastu były bez opieki narodowej.

I tej potrzebie zaradziła księżna Anna Czartoryska, otwierając w Paryżu dnia 6. stycznia 1846 roku osobny Dom dla sierot dziewcząt pod wezwaniem św. Kazimierza.

Nowy zakład rozrastał się prędko. Już w r. 1851 musiano go przenieść do obszerniejszego domu.

Tymczasem pokazało się, że prócz osierociałej dziatwy potrzebuje chociaż innej zupełnie, aniżeli dziatwa, ale niemniejszej opieki szereg zestarzałych weteranów. To było powodem do rozszerzenia zakładu i do urządzenia obok domu sierot zarazem i domu starców. Ta część instytucyi nie wchodzi jednak w zakres niniejszych studyów.

W r. 1861 dzięki znacznej ofierze księcia Władysława Czartoryskiego zakupiono plac przy ulicy Chevaleret i wzniesiono na nim wygodny gmach na pomieszczenie całego zakładu. Instytucya miała zapewniony byt.

Znacznego rozszerzenia doczekał się Dom św. Kazimierza w r. 1866, przyłączono bowiem do niego jako filię nowo urządzony Dom św. Stanisława w Juvisy pod Paryżem. Tu urządzono przytułek dla starców i dla sierot chłopców.

Kierownictwo i bezpośredni zarząd obu domów powierzono Siostrom Miłosierdzia, przybyłym do Paryża z kraju.

Opiekę nad zakładem objął Komitet opiekuńczy Dam, zorganizowany już w r. 1846 z pań polskich i francuskich. Prezesostwo w pierwszym Komitecie przyjęła hr. de la Redorte. Należenie do Komitetu było połączone z troską o utrzymanie zakładu i zaopatrzenie go w niezbędne potrzeby, głównie z troską o zebranie funduszów. Z tego też powodu Panie komitetowe mogą słusznie uchodzić za dobrodziejki instytucyi. Niektóre z tych Pań zasłużyły na wyjątkową jej wdzięczność. Urządzenie zakładu w Juvisy przyszło do skutku znacznej ofierze hr. Izabeli z ks. Czartoryskich Działyńskiej oraz koncertowi, danemu na ten cel przez księżnę Marcelinę Czartoryską. Bardzo długo pracowała w Komitecie opiekuńczym pani Leonowa z Wołowskich Faucherowa. W sprawozdaniu z r. 1905 napisano, że Instytucya przez zgon tej pani poniosła dotkliwą stratę. Pani Faucherowa w gronie Pań opiekunek mimo podeszłego wieku dawała do końca swego życia przykład niestrudzonej troskliwości o Instytucyę i niewyczerpanej dobroczynności. Zostawiła też Domowi trwałą tych cnót pamiątkę, przekazując mu 20.000 fr.

W skład pierwszego Komitetu prócz wspomnianych wyżej pań. wchodziły: księżna Marya z Grocholskich Czartoryska, hr. Moszczeńska i hr. de Monttesny.

Według statutu z r. 1869 Komitet opiekuńczy miał się składać z 12 pań, prócz pań członków honorowych i matki przełożonej Sióstr Miłosierdzia. Historya instytucyi zapisała z szczególną wdzięcznością imię matki przełożonej Mikułowskiej, założycielki

zakładu w Juvisy, w którym pracowała długo i niezmordowanie.

Damy komitetowe zaliczały się do bardzo wpływowych sfer społeczeństwa polskiego i francuskiego, dzięki czemu mogły na rzecz instytucyi rozwinąć wydatną działalność zwłaszcza pod względem finansowym.

Dzięki wpływom i stanowisku Dam Komitetu opiekuńczego udało się n. p. zorganizować w r. 1905 koncert najznakomitszych artystów z Paderewskim na czele, który przyniósł Instytucyi blisko 10.000 fr. czystego zysku.

Obecnie na czele Komitetu opiekuńczego stoi księżna Dominikowa Radziwiłłowa.

Sprawy administracyjne Instytutu złożono w r. 1868 w ręce Rady opiekuńczej czyli administracyjnej, w skład której wchodzili tylko Panowie, Polacy i Francuzi, również w liczbie dwunastu. Według statutu Rada opiekuńcza w porozumieniu z Komitetem opiekuńczym kierowała sprawami moralnemi, intelektualnemi i materyalnemi Instytucyi, orzekała w sprawach wydatków i dochodów i troszczyła się o rozwój zakładu. I do Rady wybierano osobistości wpływowe. Prezesostwo pierwszej Rady objął ks. Władysław Czartoryski i piastował je z wielkiem dla Instytucyi poświęceniem długo. W r. 1886 Rada opiekuńcza z prezesem ks. Wł. Czartoryskim na czele urządziła na rzecz zakładu ogromną loteryę artystyczną, wypuszczając 300.000 losów po 1 franku. Fantów dostarczali artyści polscy i obcy.

Obecnym prezesem Rady jest książę Dominik Radziwiłł. Prócz członków zwyczajnych wchodzą w skład Rady i członkowie honorowi.

Dochody czerpała i czerpie Instytucya z pensyj, opłat i subskrypcyj, z subwencyj i zapomóg rządowych francuskich, z sum wpływających od dobrodziejów, z darów i legatów, z dochodów przygodnych oraz z zysków za wyroby warsztatowe dzieci zakładowych.

Subsydya rządowe, dawniej wydatniejsze, obecnie szczuplejsze, były i są dziś jeszcze może najpewniejszem i najwydatniejszem źródłem dochodów instytucyi.

Majątek własny zakładu przynosi instytucyi stosunkowo małą część potrzebnych jej funduszów.

Budżet instytucyi wykazuje poważne sumy. W r. 1865 wynosiły wydatki około 19.000 fr., dochody 16.800 fr., niedobór pokryła ofiarność publiczna.

W r. 1877 doszły wydatki do sumy 57.700 fr.

W r. 1906 wykazano w budżecie dochody w sumie 75.455 fr. a rozchody w kwocie 71.020 fr.

Zakład już w r. 1869 został uznany przez rząd francuski za instytucyę użytku publicznego; jednocześnie zatwierdził rząd statut, który też określa cele instytucyi, dotyczące wychowania i nauczania pomieszczanych w nim dzieci.

Instytucya miała na celu zapewnienie przytułku i dostarczenie edukacyi moralnej i intelektualnej sierotom i córkom najuboższych wychodźców polskich oraz osieroconym lub opuszczonym chłopcom polskiej narodowości.

Edukacya dziewcząt miała prócz nauki religii objąć naukę przedmiotów świeckich według planu szkół początkowych miasta Paryża, dalej naukę profesyi lub przemysłu, zastosowaną do przyszłego przeznaczenia dziewcząt w życiu społecznem, a nareszcie naukę języka i historyi polskiej z szczególnem uwzględnieniem tradycyj i zwyczajów narodowych polskich.

Edukacya chłopców miała objąć naukę początkową języka polskiego i francuskiego i miała ich przygotować do wstąpienia do klas elementarnych w Szkole polskiej batyniolskiej.

W Domu św. Kazimierza wychowywały się tylko dziewczęta, a w Domu św. Stanisława tylko chłopcy.

Dziewczęta sposobiły się na początkowe nauczycielki, na bony do dzieci, na służące, wyrobnice, jednem słowem do pełnienia obowiązków niższych warstw społecznych. Wyjątkowo uzdolnione uczenice, dorósłszy lat dwunastu, przechodziły do Instytutu Panien w Hotelu Lambert.

Instytucya oddała emigracyi polskiej znaczne usługi. Na dowód przytoczę kilka dat statystycznych.

Do Domu św. Kazimierza przyjęto na początek 5 dziewcząt, która to liczba urosła po kilku miesiącach do 15.

W r. 1851 było w zakładzie już 40 sierot.

W Domu św. Stanisława w Juvisy pomieszczono na początek w 1866 roku 10 chłopczyków w wieku od 4 do 8 lat; w Domu św. Kazimierza było już wtedy 70 dziewcząt.

W r. 1877 Dom św. Kazimierza wychowywał 55 dziewczynek a Dom św. Stanisława 13 chłopców.

Liczba dzieci, przyjmowanych do zakładu, nie zmniejszyła się i w ostatnich czasach.

W r. 1904 było w zakładzie 44 dziewcząt a 20 chłopców, w 1905 r. 41 dziewcząt, 20 chłopców, w 1906 roku dziewcząt 41, chłopców 19.

Obecnie przeżywa Instytucya ciężkie chwile, głównie z powodu dokonywującej się likwidacyi dawnych stosunków emigracyjnych, na których tle wyrosła i przekształcania się odpowiedniego miejscowej kolonii polskiej, z której ubyły żywioły zamożne, a nie ubyła niestety nędza w wszystkich formach.

Zgłoszenia o przyjęcie do zakładu wcale się nie zmniejszają, ale zmniejszają się z rokiem każdym ofiary, z których Instytucya głównie żyje.

Przy budżecie rocznym, wynoszącym do 70.000 fr. w rubryce wydatków, Instytucya ma zaledwie 4.500 fr. własnego dochodu stałego. Różnicę w dochodach trzeba pokrywać jałmużnami. Do tej chwili oprócz wspaniałomyślnych prywatnych ofiarodawców rząd francuski dostarcza zapomogi z utworzonych po r. 1831 funduszów emigracyjnych, których dochodem dzielą się w równej połowie polskie i alzacko-lotaryngskie instytucye emigracyjne. Fundusz emigracyjny ulega jednak stopniowemu uszczupleniu.

Zamierają powoli niektóre źródła stałych dochodów. Przed laty kilku miasto Kraków przestało zasilać instytucyę dorocznemi stałemi zapomogami.

Teraźniejsze zaburzenia w dzielnicy rossyjskiej odbiły się dotkliwie na losach instytucyi, uszczuplając ofiary, które ztamtąd płynęły.

W tych utrudnionych warunkach musiał zarząd zamknąć filię zakładu w Juvisy, rozprzestrzeniając odpowiednio dom paryski.

W obecnej chwili najbardziej interesującą częścią zakładu jest oddział polskich dziewcząt, kształcących się na guwernantki lub bony, na które popyt z kraju jest tak wielki, iż można przebierać w żądaniach i zapewniać od razu wychowanicom nader korzystne pod każdym względem warunki.

Pod kierunkiem teraźniejszej przełożonej, Siostry Miłosierdzia Szymańskiej, kobiety bardzo wykształconej i energicznej, zdolniejsze dziewczęta uczęszczają do wyższych zakładów naukowych francuskich, zdobywając sobie tam odpowiednie dyplomy.

Wszystkie dziewczęta uczą się szycia i rozmaitych robót kobiecych, dopomagając do utrzymania zakładu bez szkody jednak dla nauki i zbierając własną pracą fundusz zapasowy.

Literatura i źródła. Instytucye naukowe i dobroczynne, założone i wspierane przez XX. Czartoryskich w Paryżu na emigracyi, Paryż 1862. — Oeuvre de Saint-Casimir — Zakład św.

Kazimierza w Paryżu: Statuts organiques; Sprawozdania w jęz. pol. i fr. I.—XXIV. (do r. 1906), odezwy. — Rocznik Tow. hist.-lit. za 1866 i dalsze. — Panu K. Waliszewskiemu, skarbnikowi zakładu, składam tu gorące podziękowanie za informacye listowne i nadesłane niektóre druki.

5. Gdy księżna Anna Czartoryska krzątała się około zorganizowania Domu św. Kazimierza, mąż jej ks. Adam Czartoryski rozpoczął jednocześnie akcyę szkolną w innym kierunku. W roku 1847 otworzył Szkołę wojskową w Paryżu. Naczelnikiem jej był generał Chrzanowski. autor znany wielkiej mapy Polski.

Było w tej szkole uczniów 20. Uczyli w niej generał Chrzanowski strategii, J. Grotkowski matematyki, kapitan D. Bielski artyleryi, podpułkownik Paprocki taktyki piechoty, kapitan Izbicki inżynieryi a R. Wesołowski rysunków topograficznych.

Na utrzymanie tej szkoły książę Czartoryski wyjednał u rządu francuskiego 20.000 fr. Szkołę tę zwinięto niebawem, robiąc miejsce innemu, potrzebniejszemu zakładowi.

Literatura i źródła. Szczegóły, nieliczne zresztą, znaleść można w niektórych broszurach, wymienionych pod następną (6) częścią rozdziału niniejszego (III.).

6. Po wypadkach dziejowych z r. 1846 i 1848 napłynęło do Francyi sporo młodzieży polskiej, która, nie znając języka francuskiego, nie mogła korzystać z nauk, wykładanych w rozmaitych instytutach naukowych francuskich. Jednocześnie uczniowie, wychodzący z szkoły batyniolskiej, przeważnie synowie niezamożnych emigrantów, z trudem znajdowali środki do dalszego kształcenia się, z konieczności musieli się niektórzy chwycić pierwszej lepszej pracy, aby się utrzymać. Rzuceni daleko od rodaków tonęli powoli w tłumie Francuzów i trzeba się było lękać, że się z czasem całkiem wynarodowią, zwłaszcza że większa część matek Francuzek, przerażonych smutnym stanem Polski, nie życzyła sobie, aby ich synowie zaliczali się uporczywie do kraju, który wymagał po synach swoich więcej ofiar, aniżeli im zdawał się obiecywać zysku. Te względy skłoniły księcia Adama Czartoryskiego do zwinięcia szkoły wojskowej, a do założenia w jej miejsce Szkoły przygotowawczej polskiej, którą otwarto z początkiem roku szk. 1848/9 w Paryżu przy ul. Neuve-Sainte-Geneviève.

Tej akcyi sprzyjały okoliczności. W lipcu 1848 roku umarł w Dreznie Maciej Wodziński, senator wojewoda, który testamentem z dnia 11. czerwca 1840 r. zapisał część swych cennych zbiorów oraz 100.000 złp. na rzecz emigracyi. Zbiory przeszły pod opiekę Towarzystwa historyczno-literackiego polskiego w Paryżu. Na szafarza zaś funduszu wybrał testator ks. Adama Czartoryskiego, z którym żył w ścisłej przyjaźni, pozostawiając mu zupełnie wolną rękę. Najznaczniejsza część zapisu ś. p. Wodzińskiego przeznaczył Czartoryski na zakładającą się szkołę przygotowawczą polską.

Fundusz ten uzupełnił i powiększył wsparciem, wyjednanem u rządu francuskiego oraz własną ofiarnością i zbieranemi składkami.

Młodzież polska znajdowała w szkole tej przedewszystkiem możność nauczenia się języka francuskiego a ztąd i ułatwienie bądź do dalszych studyów w naukowych zakładach francuskich, bądź do obrania sobie jakiego praktycznego zawodu.

Wykładano w szkole język polski i francuski, a przez niejaki czas nawet łaciński i grecki, dalej kosmografię, historyę polską i powszechną, ekonomię polityczną, prawo natury, ale przeważnie nauki ścisłe i przyrodnicze. Kontynuowano też w niej nauki wojskowe, a kapitan Gościmiński był instruktorem musztry.

Od 1. października r. 1850 szkoła przeniosła się na boulevard Montparnasse 129. Tytuł zakładu był powodem nieporozumień; sfery niewtajemniczone wyobrażały sobie, że szkoła przygotowawcza jest zakładem niższego rzędu. Wobec tych niedogodności zakład przybrał miano Szkoły wyższej polskiej, zresztą prócz nazwy nic się nie zmieniło.

Szkoła mieściła się w lokalu obcym, ciasnym i ubogim, za który musiała płacić czynsz wygórowany, pochłaniający znaczną część jej dochodów. Wtedy to Rada szkoły pomyślała o własnym domu i odezwała się w r. 1850 w tym celu do publiczności polskiej z prośbą o potrzebne fundusze. Wykonanie tej myśli, to jest zebranie potrzebnej sumy i wzniesienie budowli polecono księciu Władysławowi Czartoryskiemu. Nie czekając na składki, książę zakupił grunt za własne pieniądze i zaczął budowę. Do zbierania składek zorganizowała się Komisya składkowa, złożona z Teodora Morawskiego, jako prezesa oraz z członków Stanisława hr. Małachowskiego, Eustachego Januszkiewicza i Waleryana Kalinki. Koszta zapreliminowano na 200.000 fr. Zbieranie składek szło opor-

niej aniżeli się spodziewano. Uważano za rzecz chwalebną, że emigracya organizowała u siebie instytucye naukowe, lecz uważano za zbytek, że budowała dla nich domy, kiedy przecież trwanie każdego wychodźctwa jest z natury swojej czasowe.

Skutek odezwy z r. 1850, odwołującej się do ofiarności społeczeństwa na rzecz szkoły, był mimo pewnej opozycyi dość pomyślny. Rada oświadczała głęboką wdzięczność wszystkim dobrodziejom a zwłaszcza „tej zacnej Polce, która w trudnem położeniu znacznem wsparciem przyszła w pomoc; i tej drugiej szlachetnej dobroczynnej osobie, która ciągle corocznym znakomitym darem znacznie się przyczynia do utrzymania Instytutu“. Rada pragnęłaby wymienić nazwiska ofiarodawców, ale musi szanować tajemnicę osób, które chcą mieć tylko Boga za świadka dobrodziejstw swych.

Uzbierana składka przyniosła ostatecznie zaledwie tyle, ile potrzeba było na przeprowadzenie, instalacyę i urządzenie wewnętrzne szkoły. Grunt i dom był własnością ks. Wład. Czartoryskiego.

W pazdzierniku 1859 r. przeniesiono szkołę do nowego gmachu boulevard Montparnasse 68, gdzie pozostała, nosząc miano Montparnaskiej, prawie do samego końca swego bytu. Wyprowadzono ją ztąd po utracie połowy subsydyów rządowych do gmachu Biblioteki polskiej na Quai Orléans, a gmach własny na Montparnasse wynajęto, aby dochodami z niego pokryć niedobory. Jednocześnie zamieniła się z internatu na eksternat, przyczem jednak program nauk nie uległ zmianie.

Głównym i prawie wyłącznym celem szkoły wyższej polskiej było przygotowanie młodzieży polskiej do egzaminów wstępnych do francuskich szkół specyalnych: do szkoły architektury, górnictwa, inzynieryi cywilnej, do szkół wojskowych itp.

Szkoła przyjmowała młodzież polską emigracyjną i przybywającą z Polski do Francyi dla studyów. Młodzież emigracyjna opłacała w niej według możności koszta utrzymania i nauki; ubogich przyjmowano bez żadnej opłaty. Przybywający zaś z Polski znajdowali w niej opiekę i możność odbycia nauk kosztem jak najumiarkowańszym.

W szkole były trzy kategorye uczniów: miejscowi czyli interni, mieszkający w zakładzie, przychodni (eksterni) i wolni słuchacze.

Na uczniów miejscowych i przychodnich przyjmowani byli tylko ci, którzy złożyli poprzednio egzamin wstępny lub przedłożyli odpowiednie świadectwo na dowód, że są dostatecznie przygotowani do słuchania nauk wykładanych w szkole. Wolni słuchacze nie składali żadnych egzaminów ani przy wstępie do szkoły, ani w czasie pobytu w szkole.

Antoni Karbowiak.

(Ciąg dalszy nastąpi).

Wystawa Rembrandtowska w Lejdzie

w r. 1906.

(Notatki turysty).

Główne uroczystości Rembrandtowskie z powodu 300-letniej rocznicy [1]) urodzin wielkiego mistrza obchodzono w Amsterdamie, lecz i miasto Lejda, w którem Rembrandt ujrzał światło dzienne, zapragnęło również uczcić tę rocznicę, chociażby w sposób nieco skromniejszy. To też w mieście tem, ładnem i ruchliwem, odbyły się w dniach 13. i 14. lipca 1906 r. przeróżne festyny, a wzięły w nich udział nawet głowy ukoronowane Holandyi: Królowa-matka i książę Henryk, mąż, jak wiadomo, dzisiejszej królowej Wilhelminy. Był tam kiermasz historyczny, koncert w kościele i w jednej ze sal klubowych miasta, korowód wieczorny gondoli oświetlonych na Renie z towarzyszeniem chórów śpiewackich i ogni sztucznych, — wreszcie uczta. Było przedewszystkiem uroczyste odsłonięcie pomnika Rembrandta i otwarcie wystawy Rembrandtowskiej.

Wszystkie te wstępne uroczystości, obliczone na szerokie warstwy ziomków gienialnego artysty, tak zawsze podobne do siebie, nie pociągały mnie wcale. Natomiast zaraz po ich ukończeniu, pospieszyłem z Scheveningen, ażeby zobaczyć pomnik

---

[1]) Rembrandt urodz. w r. 1606, um. w r. 1669.

Rembrandta i zapoznać się z wystawą, urządzoną na jego cześć. Do niej też wracałem potem niejednokrotnie.

Pomnik Rembrandta postawiono w pobliżu ulicy Weddesteeg i ulicy Rembrandtowskiej. Przy ulicy Weddesteeg — przypominam — stoi dom, w którym urodził się Rembrandt. Pomnik ten, bardzo małych rozmiarów,[1]) wykonał młody artysta, Dupuis z Hagi, znany także we Wiedniu, mieszkał tam bowiem i pracował przez kilka lat ostatnich. Na tle zieleni okazałych drzew, na marmurowym postumencie, wznosi się biust z bronzu. Wykonanie biustu wysoce artystyczne: Rembrandt w czapce, z charakterystycznymi u niego puklami włosów po bokach głowy, z obliczem, które opanowała jakby jakaś ogromna troska, uwydatniająca się bardzo silnem jego zmarszczeniem. Rembrandt przedstawia wprawdzie siebie z podobnem zmarszczeniem oblicza w kilku portretach z końca życia, lecz Dupuis zaznaczył je w swojem dziele tak ostro, że mimo niektórych szczegółów twarzy widocznie Rembrandtowskich,[2]) całość jest portretem nie rzeczywistym, lecz idealnym. Na taki idealny portret można zawsze zgodzić się, zwłaszcza jeżeli chodzi o ludzi wielkich i genialnych, byleby artysta zaznaczył wyraźnie w swojem dziele, co chce przez nie wypowiedzieć. Otóż u Dupuis'a, poza owem wspomnianem wyżej zmarszczeniem, a więc poza ową jakąś troską, przygniatającą artystę, nie można dojrzeć w twarzy ani jakiegoś błysku gieniuszu, ani czegoś, coby ten gieniusz bliżej charakteryzowało. I dlatego dzieło holenderskiego artysty, mimo opracowania na prawdę artystycznego, nie robi na widzu wrażenia.

Wystawę Rembrandtowską w Lejdzie urządzono w skromnych rozmiarach. Wspaniałą była, jak wiadomo, wystawa Rembrandtowska w Amsterdamie w roku 1898, niemniej wspaniałą była

---

[1]) Zapłacono też za ten pomnik niewielką sumę, bo 4 tysiące guldenów holenderskich (mniej więcej tyle, co 4 tysiące guldenów austryackich).

[2]) Nie wiem, czy dobrze odgaduję, ale zdaje mi się, że rzeźbiarzowi służył do pewnego stopnia za wzór własny portret Rembrandta, będący własnością księcia Buccleucha w Londynie. Reprodukcya w dziele p. t. „Klassiker der Kunst: Rembrandt. Mit einer biographischen Einleitung von A. Rosenberg. II. Aufl. Stuttgart und Leipzig 1906“, str. 343. W przyszłości wyraz reprodukcya będę znaczył R., to zaś wydanie Rembrandta: Rembrandt-Rosenberg. O ile na jakiejś stronicy będą dwie reprodukcye, zaznaczę: str. pr. = strona prawa lub str. l. = strona lewa.

w następnym roku takaż wystawa w Londynie. I komitet wystawy w Lejdzie, do którego wchodziły takie powagi w zakresie badań nad historyą sztuki, jak dr. Bredius, dyrektor królewskiej galeryi w Hadze, dr. Hofstede de Groot i dr. W. Martin, byłby, jak powiada wstęp do katalogu, najchętniej urządził wystawę, poświęconą jedynie dziełom Rembrandta. Komitet ten jednak nie przypuszczał wcale, ażeby udała się taka wystawa. Z jednej strony właściciele dzieł Rembrandta bardzo niechętnie przystają na rozstanie się z niemi, chociażby tylko czasowe, z drugiej komitet nie byłby wstanie zabezpieczyć wszystkich przysłanych obrazów w którejś z instytucyi asekuracyjnych na wypadek jakiegoś nieszczęścia, gdyż wymagałoby to niezmiernych sum pieniężnych. Wobec tego postanowiono wystawić jedynie dzieła mało znane dotychczas kołom szerszym, mało znane już to dlatego, że są własnością ludzi prywatnych, już dlatego, że odkryto je dopiero w latach ostatnich. Można zaś było wystawić te dzieła naturalnie o tyle tylko, o ile udało się wydostać je od właścicieli. Uzupełnieniem zaś obrazów Rembrandta miała być wystawa oryginalnych rysunków artysty i wystawa reprodukcyi wszystkich jego dzieł.

Miasto Lejda nie wydało większego mistrza sztuk pięknych nad Rembrandta, jak nie wydała większego cała Holandya. Urodził się tutaj i spędził pierwsze lata młodości, rozpoczynając swoją działalność artystyczną. Obok dzieł mistrza jednak, postanowił komitet urządzić również wystawę obrazów innych malarzy holenderskich, którzy w XVII. wieku pracowali w Lejdzie przez czas krótszy lub dłuższy, ale również wystawę tylko obrazów mało znanych (w kilku wypadkach odstąpił komitet od tej ogólnej zasady tak co do Rembrandta, jak co do innych artystów). Ta ostatnia okoliczność dodawała wystawie wielkiego uroku, zwłaszcza, że chodziło tu przeważnie o malarzy, zajmujących wybitne stanowisko w dziejach sztuki holenderskiej.

W jakimkolwiek zresztą stosunku pozostawała ta wystawa do całokształtu sztuki holenderskiej, nie zapominajmy, że posiadała ona wspaniałe tło w ogromnych i niezmiernie bogatych zbiorach Amsterdamu i Hagi, położonych tuż koło Lejdy, nie mówiąc już o zbiorach innych miast holenderskich. A dla nas Polaków poza ogólnem znaczeniem, miała jeszcze inne bardzo zajmujące. W liczbie 75 obrazów było tutaj 6 przysłanych przez polskich właścicieli, a pięć z nich z ziem polskich. Wymowne to świadectwo, że także u nas można znaleść więcej, niżbyśmy przypuszczali,

dzieł sztuki, wchodzących w zakres wielkiej sztuki europejskiej, nawet dawniejszej. Niestety daleko nam jeszcze do tego, ażebyśmy wiedzieli dokładnie, co posiadamy u siebie w domu.

I.

Jakże przedstawiał się sam Rembrandt na tej wystawie? Obejmował on trzecią jej część. 25 obrazów bowiem (w czasie, w którym zwiedzałem tę wystawę, było ich tylko 22) należało do mistrza. Ilość to zapewne nie wielka w stosunku do ogromnej liczby 600 dzieł, pozostałych po Rembrancie. Skoro jednak zważymy to, co powiedziałem na czele o celach i rozmiarach wystawy, to trzeba przyznać, że komitet dokazał wiele, gromadząc taką ilość Rembrandtów, a wśród nich, zobaczymy to zaraz, jaki dziesiątek znakomitych. A przysłużył się komitet może nie tyle specyalnym znawcom Rembrandta, ci bowiem zapoznali się niewątpliwie z tymi utworami wielkiego artysty już przedtem, u samych właścicieli, ile wykształconym kołom szerszej publiczności, które bez tej wystawy nie miałyby sposobności oglądać oryginałów tych właśnie utworów.

Rembrandt, jak wiadomo, malował ogromną ilość portretów własnych, malował także dużo portretów, przedstawiających jego rodzinę i jego otoczenie. Można było przekonać się o tem również na niniejszej wystawie. Obok dwóch czy trzech portretów własnych, mieliśmy tutaj dwa portrety matki, dwa ojca, portret brata, siostry, wreszcie dwa portrety Saskii, jego żony.

Zróbmy przedewszystkiem przegląd portretów własnych artysty. Był tu naprzód portret własny „z otwartemi ustami", jak go nazwali historycy sztuki, będący własnością księcia Andrzeja Lubomirskiego, ordynata na Przeworsku. [1]) Przedtem można go

---

[1]) R., o ile wiem, jest w ogromnem ośmiotomowem dziele Bode'go: Rembrandt (VIII. Band str. 60): Beschreibendes Verzeichniss seiner Gemälde Paris 1897—1906 i w L'Art flamand et hollandais, 15. octobre 1906, w którym to zeszycie jest artykuł Jana Veth'a: L'Exposition en l'honneur de Rembrandt a la Halle au drap de Leyde. Gdy zwiedzałem wystawę, portretu tego jeszcze nie było, składam więc księciu Andrzejowi Lubomirskiemu szczere podziękowanie za łaskawe zezwolenie oglądnięcia tego portretu w jego lwowskich apartamentach.

Dzieła Bode'go nie posiada żadna biblioteka naszego miasta. I nic dziwnego, dzieło to jest bardzo drogie, a biblioteki lwowskie są wogóle

było również oglądać na wystawie Rembrandtowskiej w Amsterdamie z r. 1898. Zarówno tam, jak i w Lejdzie, obudził portret ten wielkie zajęcie. Co więcej, na tej ostatniej wystawie nadarzyła się sposobność porównania go z takim samym portretem, pochodzącym z handlu Mullera w Amsterdamie. Przekonano się też wówczas w sposób niepodlegający żadnej wątpliwości, że portret, należący do księcia Lubomirskiego, jest oryginałem, ten zaś w Amsterdamie tylko kopią, chociaż dobrą i prawdopodobnie współczesną.

Portret lwowski przedstawia Rembrandta w wieku bardzo młodym, na co wskazuje już sama twarz (zdaniem Bode'go, dyrektora galeryi berlińskiej i jednego z najlepszych znawców dzieł naszego artysty, malowany w r. 1628 lub 1629), z ustami otwartemi. Głowa, okryta czapką, na tle zupełnie ciemnem, zwraca się ku stronie prawej.[1]) Ogromnie silny cień, odpowiednio stopniowany, pada na czoło, oczy i na prawą stronę twarzy. W tym cieniu można zaledwo odróżnić czoło od czapki, w nim też lewe oko patrzy na nas czarnym krążkiem, prawe tylko się zaznacza. Tem wdzięczniej za to po stronie lewej, oświetlonej, promienieje cera twarzy. Cera to delikatna, młodzieńcza, biała, z ledwie przebijającym się różem i bardzo leciutkim rumieńcem, z wargami mocno pąsowemi. Tyle jednak cieniu otacza głowę, że lekkie jego pajęczynki snują się nawet po tej jasnej części twarzy. Harmonijnie pod względem kolorytu uzupełniają to wszystko części ubioru, o ile naturalnie okazują się one w świetle: jakiś szal szarawo-stalowy tuż koło szyi, jak również pancerz stalowy, połyskujący tu i ówdzie i zarzucony na ciemno-oliwkowy kaftan.

Praca ta, jak wogóle pierwsze prace Rembrandta, odznacza się ogromnie troskliwem wykończeniem, niezwykle silnem przeciwieństwem między światłem i cieniem, a wreszcie, co nie zawsze zachodzi w tych pierwszych pracach, efektownym sposobem malowania. Obok tego uderza dobra plastyka twarzy, a zarazem umiejętność kładzenia cieniów o różnym stopniu natężenia.

Portret własny artysty, pochodzący z galeryi księcia Lichtensteina we Wiedniu, znanym jest z wielu reprodukcyi.[2]) Był on

---

niedostatecznie zaopatrzone w dzieła obce. Kilka notatek z dzieła tego zawdzięczam łaskawej uprzejmości p. dra Zygmunta Batoskiego w czasie jego pobytu w Berlinie i p. Tadeusza Blautha, słuchacza techniki we Wiedniu.

[1]) Stronę obrazu oznaczam zawsze ze stanowiska widza.

[2]) R. Rembrandt-Rosenberg str. 112 str. pr.

malowanym w r. 1635, a więc w czasie, kiedy Rembrandtowi chodziło daleko więcej o sposób efektowny malowania, aniżeli o siłę w charakterystyce postaci i siłę wykonania, którą znajdujemy w jego późniejszych portretach. Podziwiać jednak należy w tym portrecie głowę nadzwyczaj delikatnie modelowaną, z twarzą o cerze jakby złotawej i oczach łagodnych: z oczu tych, pogrążonych (jak zresztą większa część twarzy) w lekko rzuconym od beretu cieniu, spogląda ku nam ogromna inteligencya: podziwiać należy odtworzenie wytwornego, bogatego stroju: ten płaszcz aksamitny, ciemno-popielaty, wyszywany suto złotem, na który tu i ówdzie światło rzuca swoje przejrzyste plamy, i ten pełen fantazyi beret czarny z dwoma białemi piórami, spiętemi kosztowną agrafą.

Czy portret młodzieńca, malowidło z r. 1631, był także portretem własnym Rembrandta, co do tego niema zgody u historyków sztuki. Za portret artysty uważa go Bode,[1]) katalog wystawy jednak nazywa obraz ten tylko portretem młodzieńca. Pozostawiając rozstrzygnienie sporu specyalistom, zaznaczę tylko, że pod względem sposobu wykonania jest on pokrewnym portretowi własnemu z galeryi księcia Lichtensteina, a więc również wielce efektowny i opracowany z ogromną starannością i wykwintnością pędzla. Młodzieńca przedstawił artysta do połowy postaci, w czarnym płaszczu, na którym zwisa złoty łańcuch, i w ciemno-fioletowym, prawie czarnym kapeluszu, podgiętym z fantazyą do góry, z piórem szarawem. Od tego zupełnie ciemnego stroju odbija bardzo silnie delikatna, różowa, cera twarzy i mocno pąsowe wargi. Większą część twarzy okrywa przejrzysty cień, najsilniejszy u góry, od kapelusza, na nieco małych, ciemnych oczach, wpatrzonych poważnie jakby w daleką przestrzeń...

Portret matki Rembrandta, malowany około roku 1628, znały już przedtem szersze koła publiczności. Właściciel jego, dr. Bredius, dyrektor królewskiej galeryi obrazów w Hadze, umieścił go już od dłuższego czasu w tejże galeryi. Znamy go zresztą również z reprodukcyi.[2])

Rembrandt nie przybrał tutaj matki w te bogate lub nawet fantastyczne stroje, w których przedstawia ją na innych portre-

[1]) Rembrandt in Bild und Wort, herausg. von Wilhelm Bode. Berlin, Bong, 1906 (tekst) str. 45. Jest tu reprodukcya tego portretu.

[2]) Rembrandt-Rosenberg str. 15, str. pr.

tach lub akwafortach, jak naprzykład na portrecie we Windsor Castle lub w cesarskiem Muzeum we Wiedniu. Wówczas musiał on nadawać jej twarzy odpowiednio do stroju wygląd wielkiej damy lub tej osoby, którą miała reprezentować. Tutaj jednak postać jej przedstawia się skromniej. Skromniej przedstawia się również futro czy okrycie ciemne, wyłożone futrem, jak niemniej czarny stroik na głowie. I wyraz twarzy odpowiada temu strojowi. Oto mamy przed sobą twarz kobiety starszej, pooraną tu i owdzie zmarszczkami, którą powleka coś na kształt rumieńca, owo lekkie zaczerwienienie, tak charakterystyczne niekiedy u ludzi wieku starszego. Twarz to pełna wyrazu. Długie życie rzuciło na nią odcień głębokiej melancholii, dało oczy zaczerwienione i spojrzenie pełne smutku. W takiej twarzy można czytać dzieje przeszłości, wypełnione troską i bolesnemi przejściami. Słowem, portret ten, to rzecz ogromnie zajmująca. Była tutaj również kopia tego portretu.

Portret ojca w czapeczce — to znowu dzieło artysty więcej znane. Podobnie jak portret matki, własność dra Brediusa i umieszczony w królewskiej galeryi obrazów w Hadze,[1]) należy także do wczesnych prac Rembrandta, powstał bowiem około roku 1629, a więc na rok przed śmiercią ojca. W czarnej czapeczce na głowie, we futrze, z twarzą ozdobioną wąsami i małym zarostem, najwięcej zbliża się ta postać ojca pod względem podobieństwa do potretu jego w galeryi kasselskiej. Ta sama tam czapeczka, tylko nasunięta więcej na tył głowy, ten sam kostyum i podobny wygląd twarzy. Na portrecie jednak dra Brediusa jest on o wiele przyjemniejszym i inteligentniejszym. Jakiś poważno-bolesny wyraz spoczął na tej bladej twarzy (ojciec Rembrandta był człowiekiem chorowitym), w tem zmarszczeniu czoła, w tych oczach, przejętych jakby ogromnie wymowną troską. Pędzel mistrza wydobył to wszystko nadzwyczajnie starannem opracowaniem charakterystycznych szczegółów, które podniosłem wyżej, przedewszystkiem zaś oczu.

Obydwa te ostatnie portrety, a więc poprzednio omówiony portret matki, jak i ten ojca, należą do dzieł najwcześniejszej twórczości artysty, pochodzą jeszcze z czasów pobytu artysty w Lejdzie. Nie mają one tej siły w użyciu środków technicznych i w wykonaniu, którą rozwinął Rembrandt w późniejszych swoich

[1]) Rembrandt-Rosenberg str. 18, str. 1.

dziełach, nie mają nawet tej efektownej barwności, tego przepychu w ubiorach, który cechuje portrety mistrza przedewszystkiem z pierwszych lat jego pobytu w Amsterdamie, a więc po roku 1631, odznaczają się one natomiast znakomitym wyrazem twarzy, co jest charakterystycznem u Rembrandta już w tych czasach. Portrety te są zarazem pysznemi studyami psychologicznemi.

Katalog wystawy wymieniał jeszcze drugi portret ojca Rembrandta, tym razem w stroju wschodnim. Zdaniem jednak Vetha nie przedstawia obraz ten wizerunku ojca artysty, uległ też według niego takiemu przemalowaniu, że trudno dociec, co właściwie pozostało tutaj z pędzla Rembrandta. Nie będę więc o nim dłużej mówił — wystarczy, że to zaznaczę.

Spuścizna artystyczna mistrza wykazuje kilka pysznych portretów brata jego, Adryana, że tylko wspomnę portrety w galeryach berlińskiej i haskiej. Był również tutaj jego portret, własność Mikołaja hr. Potockiego w Paryżu.[1]) nie tak efektowny, jak znany portret berliński w hełmie, niemniej wspaniały okaz Rembrandtowskiej twórczości. Przypomina on najbardziej portret brata w Hadze, przedstawia go również w starszym wieku, z siwiejącym włosem. Gdy jednak tamten odznacza się nadzwyczajnie plastycznym sposobem malowania, jest jakby rzeźbionym, co charakteryzuje obrazy Rembrandta zwłaszcza z ostatnich lat życia, nasz portret jest malowidłem zupełnie gładkiem, całem w tonie jasno-brunatno-złotym. Ton ten stanowi tło, na którem artysta opracowuje szczegóły zapomocą odpowiednich cieniowań. To też daje nam głowę znakomicie kształtowaną, oczy przedziwne, pełne melancholii, nadające spojrzeniem swojem wielce charakterystyczny wyraz całej twarzy. Portret ten był jedną z największych ozdób wystawy w Leidzie.

Portret siostry Rembrandta (podobnie, jak poprzednio autoportret, z galeryi Lichtensteina we Wiedniu) malowany w roku 1632,[2]) uderza nagzwyczajną elegancyą wykonania. Cały w tonie złotym, a więc ma odcień złotawy i twarzyczka z bardzo bladziutkim rumieńcem, owiana cichą zadumą, której źródłem są znowu oczy, — i złotawemi są śliczne kręcone włoski na głowie. Cacko to w swoim rodzaju. Tylko, ile razy w nie się wpatrywałem, zdawało mi się zawsze, że ta przedziwnie wykwintna forma

[1]) Reprodukcya w katalogu ilustrowanym wystawy i wymienionym już zeszycie L'Art Flamand et Hollandais.

[2]) Rembrandt-Rosenberg str. 48, str. 1.

wybija się na plan pierwszy, że poza nią twarzyczka jest nieco zimną, nie tętni zupełną pełnią życia. Ślicznie wypadły akcesorya: czarna suknia ze złotemi u góry haftami i biała szlarka około szyji.

A jeżeli mowa o rodzinie Rembrandta, to czyżby nie było tutaj jego żony Saskii? Wszakże mistrz pozostawił nam tyle jej wizerunków w obrazach olejnych, akwafortach i rysunkach. I owszem, według katalogu przedstawia tutaj artysta Saskię w dwóch obrazach. Na jednym z nich, małych zresztą rozmiarów, występuje w całej postaci, z listem w ręku; na drugim występuje jako Flora.

Czy portrety te przedstawiają rzeczywiście Saskię? Oto pytanie, które należy sobie przedewszystkiem zadać, jak zawsze wówczas, gdy chodzi o portrety osób z rodziny Rembrandta. Odpowiedź na nie jest rzeczą trudną, musimy bowiem dochodzić, jak właściwie wyglądała Saskia, skoro wiemy, że Rembrandt zmieniał nieraz bardzo wygląd postaci przez siebie portretowanych, przedstawiając je w coraz to innych pozach i oświetleniach, a zarazem w najrozmaitszych fantastycznych kostyumach. Jeżeli chodzi o żonę Rembrandta, badacze jego życia i dzieł wskazują na rysunek z roku 1633, znajdujący się w berlińskim gabinecie sztychów, jako na wierny wizerunek Saskii, podówczas jeszcze narzeczonej. Rysunek mistrzowski co do wykonania, twarz jednak nie wiele mówiąca.[1]) Mogą nam w tym względzie przyjść również z pomocą akwaforty artysty, które u niego odznaczają się zawsze większem zbliżeniem się do rzeczywistości, aniżeli obrazy. Między niemi jest jedna z tego samego roku, z którego pochodzi ów berliński rysunek. Pyszna to pod każdym względem robota: Saskia w pozie siedzącej, z głową opartą na prawej ręce, z włosami rozpuszczonemi. Twarz pełna, bardzo poważnie zamyślona, oczy szeroko rozwarte, wpatrzone w dal. Jest w tem zamyśleniu jakiś wyraz wielce szlachetny.[2])

Zachowując powyższe szczegóły w pamięci, zwróćmy się ku wystawie w Lejdzie.

Otóż postać kobieca z listem w ręku, która znajdowała się tutaj, mogłaby przypominać Saskię. Przyjemnego jednak wrażenia Saskia ta nie robi. Pospolitą i zmysłową jest jej twarz blada, na

---

[1]) Rembrandt-Rosenberg str. XIX.

[2]) Bode: Rembrandt in Bild und Wort, str. 42.

policzkach tylko nieco zarumieniona. Gdyby to była rzeczywiście żona artysty (a na to nie wszyscy się zgadzają), to nie chodziło mu wcale o wydobycie z tej twarzy nuty szlachetniejszej, jak na portrecie londyńskim Mrs. Joseph'a lub na portrecie w Altfranken, hr. Lucknera. Dodajmy do tego, że wspaniały kostyum pod względem wykonania zwraca więcej uwagę, aniżeli oblicze.

Katalog wystawy wymienia jeszcze drugi wizerunek Saskii, wizerunek w postaci Flory. Powiem zaraz, że jest to z małemi zmianami ten sam obraz, który przedstawia Florę w Eremitażu petersburskim.[1]) Podobieństwo jest zarówno w twarzyczce, jak w ubraniu głowy kwiatami i w barwie sukni. Różnica zaś ta, że nasza Flora ma główkę zwróconą w stronę prawą i ma twarzyczkę o wiele milszą. Powstały też obydwa obrazy mniej więcej w tym samym czasie, w latach 1633—1634. Dlaczego one mają przedstawiać Saskię, nie wiem, trudno bowiem dopatrzeć się podobieństwa między żoną Rembrandta a temi Florami. Ta Flora z Lejdy jest pod względem kolorytu jednym z oryginalniejszych utworów Rembrandta. Obraz to o bardzo jasnych barwach. Na tę jasność wszystko się w nim składa. I twarzyczka o rysach drobnych, biało-różowa, z silnie zaznaczającymi się rumieńcami i długa, ślicznie malowana szyja, tem dłuższa, że suknia około niej, zwłaszcza z przodu, jest wycięta, i zabarwienie sukni srebrno-popielate, przetykane złotem, i wreszcie wieniec z barwnego kwiecia na głowie. W wykonaniu wytwornego stroju bogini kwiatów znać pędzel Rembrandtowski, twarzyczka ma w sobie wiele miłego wyrazu, ma jednak zarazem jakieś porcelanowe połyski, jakiś sztuczny róż twarzy, słowem, jest nienaturalną.

Z poza rodziny były na tej wystawie dwa portrety kobiece, Petronelli Buys i Katarzyny Hooghsaet. Obydwie damy we współczesnych kostyumach holenderskich, w sukniach czarnych, od których odbijają tem bardziej białe ozdoby: ogromnie szeroka, rurkowana kreza około szyji, u pierwszej z tych dam, i szeroki, wykładany kołnierz u drugiej. Wiadomo, że artysta nie zawsze chętnie podejmował się portretów zamówionych. Nie zawsze osoby chcące mieć swój portret, odpowiadały jego artystycznym zamiarom i wyobrażeniom, czy to swoim wyglądem, czy to stawianiem jakichś wymagań, które z artyzmem nie miały nic wspólnego, które i owszem, były dla tego artyzmu przeszkodą i zaporą. Swobodę

[1]) Reprodukcya obrazu petersburskiego Rembrandt-Rosenberg, str. 133, str. pr.

i pomysłowość artystyczną tamował także ówczesny strój holenderski, u pań taki. jaki znajdujemy na tych dwóch naszych postaciach, u panów również czarny, z wyłożonymi, szerokimi, białymi kołnierzami lub krezami i z czarnymi. wielkimi, kapeluszami na głowie.

Uwagi powyższe mogą stanowić punkt wyjścia przy ocenie dwóch tych kobiecych portretów. Portret Petronelli Buys [1]) powstał w pierwszych latach pobytu Rembrandta w Amsterdamie (1635). Malowidło gładkie i eleganckie, wyborna charakterystyka twarzy, lecz obraz mało nas zajmuje, bo nie jest zajmującym sam model. I zapewne ten model był powodem, że przypatrujący się portretowi mówi mimowoli do siebie: Rzecz znakomitego talentu, ale jeszcze nie to, na co stać Rembrandta! Natomiast drugi portret, portret Katarzyny Hoogsaet (1657) [2]) uważają wszyscy za arcydzieło w swoim rodzaju. Model znowu dla artysty niezbyt wdzięczny, Rembrandt jednak — jak mówi słusznie Veth — okazał się tutaj właśnie dlatego wielkim mistrzem, że dał w obliczu i postawie świetną charakterystykę takiego modelu. Patrzymy na pewnego rodzaju zakłopotanie kobiety, której rysy nie wskazują na wielką inteligencyę, wobec portretującego artysty. Wzmacnia to wrażenie ogólnej charakterystyki dzielność pędzla w wykonaniu szczegółów, znakomite oddanie cery twarzy osoby 50-letniej, kostyumu. przepysznego dywanu, zdobiącego stół.

Kończy ten szereg portretów osób znanych lub rozpoznawanych z większem lub mniejszem prawdopodobieństwem, szkic, przedstawiający Jana Sixa, [3]) uczonego i poetę, później burmistrza antwerpskiego. Przepiękny portret tego Sixa, znajdujący się teraz w prywatnej galeryi Sixów w Amsterdamie, malował Rembrandt w r. 1654. Obrazek niniejszy jest natomiast studyum wstępnem do cudownej wprost akwaforty z roku 1647, w której wzbudza nasz podziw zarówno pomysł portretu, jak wykonanie i wykończenie. Tam też, w akwaforcie, wprowadził artysta pewne zmiany co do samego pomysłu. Tutaj stoi Six przy oknie, w jasnobrunatnawym surducie, z książką w ręku, nie czyta jej jednak, jak na akwaforcie, lecz tylko rozmyśla o niej. Światło wpadające przez okno oświeca górną połowę postaci Sixa, miejscami także

---

[1]) Repr. w katalogu wystawy i w L'Art Flamand et Hollandais, gorsza reprodukcya Rembrandt-Rosenberg, str. 142.

[2]) Rembrandt-Rosenberg, str. 319.

[3]) Rembrandt-Rosenberg, str. 236, str. 1.

pokój, zresztą zupełnie ciemny. Wszystko tu wskazuje, że jest to tylko podmalowany szkic. I niewykończona twarz uczonego, gubiąca się w rysach ogólnych i niewyraźnych, i zaznaczone tylko, a nie wykończone włosy, długie, rudawe, spadające aż na ramiona. To samo również można powiedzieć o ubiorze, o ile widać go w świetle, i o małym widoczku, rozpościerającym się za oknem.

Bronisław Czarnik.

(Ciąg dalszy nastąpi).

Wycieczka do Parany

(stanu rzeczypospolitej Brazylii).

Dziennik podróży.

(Ciąg dalszy).

ROZDZIAŁ V

Wycieczka do Rio Negro, Luceny, Rio Claro i Mateusza.

22.—26. października. — Kurytyba. Lapa. Rio Negro.

Po krótkim pobycie w stolicy Parany wypadła mi znów inna podróż do miasteczka Rio Negro.

Znów dojechałem koleją 22. paźdz. około 1-szej w południe do stacyi rozdrożnej Serrinha (wym. Serrinia), wyruszywszy z Kurytyby o 8-ej rano tegoż dnia. Zamiast jednak, jak przed tygodniem na zachód do Restingi lokomotywa poniosła mnie na południe przez most po rzece Iguassu w stepy lekko wzgórzyste.

Kolej od Serryni, jak zwykle, kręci się wężykowato. omijając pagórki. Otwierają się wtedy jadącemu widoki rozłegłe. Jak okiem sięgnąć, widać tylko step nieskończony, niską trawą porosły, po której pasie się bydło. Od czasu do czasu maszyna gwiżdże

przeraźliwie i zwalnia swój bieg: nastrasza ona w ten sposób gromady bydła, które się kładzie na szynach, czasem tak bezskutecznie, że pociąg musi stanąć i ktoś dopiero, zeskoczywszy z niego, spędza je z szyn. Często pociąg goni cielęta, byczki i jałoszki, uciekające uporczywie po torze kolejowym. Widać te sceny z okna kolejowego, bo prawie niema miejsca, gdzieby się kolej nie wiła na wszystkie strony.

Cień pociągu znajdował się po jego to prawej, to lewej stronie i widać było sylwetki służących kolejowych chodzących, biegających i figlujących na dachach wagonów. W wagonie 1-ej klasy jechał zemną urzędnik brazylijski do kolonii Luceny na posadę dyrektora tamże. Miał różne dobre rzeczy w kuferku, zwłaszcza znakomity likier; wedle zwyczaju tamtejszego, poczęstował mnie, choć nieznajomego. Zapijając pocieszycielkę, miał minę bardzo poważną i skupioną. Zabierał się do każdej lampki jakby do modlitwy. Ze swoją brodą, brzydką twarzą i ascetyczną postawą, robił wrażenie derwisza, czy czarodzieja, odprawiającego jakieś religijne czy dyabelskie obrządki.

Minąwszy stacyę Kapiwari, (zwanej od zwierza, rodzaju świnki rzecznej tej nazwy), dojeżdża się do miasta Lapy. Wokoło niego porozrzucane jest mnóstwo kości bydlęcych i ludzkich. Lapa stała się pamiętną z walk, jakie ją zakrwawiły niedawno w latach 1893 i 1894. Powstańcy oblegali miasto, rządowcy bronili się mocno przez kilka miesięcy i wytrwałą obroną uratowali rządy Floryana Peiszoto w Brazylii. Albowiem gdyby nie konieczność zdobycia tego miejsca, powstańcy, przybywszy jak zdobywcy ze stanu Rio Grande do Sul, bardzoby się wzmocnili przyłączeniem się zwolenników swych parańskich i poszliby w zwycięzkim pochodzie dalej na północ, aż do Rio de Janeiro, gdzie wszędzie ludność na nich czekała, a rząd nie przygotował obrony. Zginął tam po stronie rządowej komendant Carneiro. W szeregach po obu stronach walczyli Polacy, głównie po stronie powstańczej, oblegającej. Św. pamięci Jan Kośmiński i Dąbrowski w kilku swoich zuchów ostrzeliwali pozycye nieprzyjacielskie i udawali atak wielkiej siły zbrojnej. Rządowcy opuścili Lapę, a po upadku powstania, znów weszli do niej.

Miasto to jest w widocznym upadku, a właściwie powiedziawszy, nie rozwija się wcale. Zbudowanie kolei z Kurytyby do Rio Negro sprawia, że ruch handlowy kieruje się w inną stronę. Stara się ono przeto o skolonizowanie swych bliższych okolic i temu staraniu zawdzięczać należy utworzenie się kolonijki 25 rodzin

polskich pod nazwą Kontenda, obok wsi niemieckiej Mariental (100 rodzin Niemców z Rossyi). W lecie znajduje się tam ogromne mnóstwo wielkich i pięknych motyli.

W Lapie koncentruje się też ruch handlowy i ludnościowy kolonii nowej polsko-rusińskiej Agua Amarella (Woda Żółta), położonej o 12 mil. zkąd, jako do najbliższego miasta, przyjeżdżają wozami po zakupy lub też, aby tam zbyć płody rolne, herbatę Mate i t. p.

Za Lapą kolej żelazna przebiega okolice coraz więcej górzyste i lesiste aż do przystanku: Campo do Tenente (step lejtnanta), położonego całkiem w lesie sosnowym (araukaryjnym). Ztamtąd sprowadzają mnóstwo drzewa araukaryi do Kurytyby.

Około 4-tej przybyłem do miasteczka Rio Negro, kresu kolei parańskiej na południu. Niedawna osada o kilku domkach, Rio Negro, robi już wrażenie miasteczka. Wyprzedziło ono starodawne miasto Lapę pod względem ludności i ożywienia handlowego. Językami panującemi tam są: portugalski i niemiecki. — Polacy znajdują się w mniejszości, jako mieszkańcy stali, lecz wielu ich jest przejezdnych. W okolicy leżą mniejsze kolonie niemieckie, polskie i niemiecko-polskie. Od miasta Rio Negro zaczyna być spławną rzeka tej samej nazwy.

27. października do 4. listopada. — Wycieczka do Luceny. Węgrzynowska. „Miasto". Wychodźcy nasi wyczekujący ziemi. Kościół i ks. Iwanów. Spór z „miastem". Butukudy (Bugry).

Po kilku dniach pobytu gościnnego u ks. Petersa, światłego kapłana polskiego w Rio Negro, udałem się wozem do Luceny, kolonii położonej o 40 kilometrów ztamtąd na południe. W końcu 1895 r. jeszcze nie było mostu na rzece Rio Negro: przebywało się ją promem. Droga do Luceny z drugiej strony rzeki idzie początkowo wśród dość licznych domostw, świadczących o zaludnianiu się okolicy podmiejskiej. Droga jest szeroka, wozowa, wygodna; uczęszczana ziemia, po której przechodzi, już należy do ludzi prywatnych. Rząd stanowy wyprzedał ją wszystką.

Widoki są rozległe po obu jej stronach: dostrzegasz wyniosłe wzgórza, porosłe lasem sosnowym. Podziwiałem w niektórych miejscach szczególnie bujną roślinność, prawie fantastyczną. Wybujałość ta miała cechy nielitościwej walki o byt. Jedna roślina wyrasta nad drugą i dusi ją w swych splotach. Botanik fachowy

stwierdziłby niezawodnie to określenie. Na oko wydają się wszystkie trawy, trzciny, krzaki, liany (powoje drzewne) i drzewa, jakby tłumy dzieci, dorosłych i starców, prześcigających się bezładnie w pogoni za słońcem i życiem. A była to pora roku najwięcej urocza: koniec wiosny i początek lata, niby koniec maja europejskiego.

Po przejechaniu okolicy pustej spotykam znów gęste domostwa, wytrzebione lasy, ludzi po drodze. Zgaduję, że to życie znamionuje początek kolonii Luceny. Dojeżdżam do zarodku miasta, złożonego z kilku sklepów, zabudowań rządowych, szkoły, budującego się kościoła, browaru i t. d. W przemyśle i handlu górują Niemcy. Ze sklepów polskich bodaj najważniejszy jest p. Węgrzynowskiego, galicyanina. Jego gościnność polska ledwie puściła mnie w dalszą drogę do księdza Iwanowa, mieszkającego o milę dalej. Zaopatrzył mnie w wiadomości o kolonii Lucenie i w pomoc przy jej objeżdżaniu... pożyczył mi koni i sam był mi przewodnikiem aż do jej krańców, najdalej posuniętych.

Tuż za „miastem“ czyli raczej zarybkiem miasta Luceny, znajdowały się „hotele“ emigranckie. Ludzie nasi wyczekiwali, aż im zostanie ziemia wymierzona i oddana w posiadanie. Oczekiwanie takie jest bardzo demoralizujące. Rząd nie mógł się spieszyć, bo wyczerpały go rewolucya i zła administracya; przeto niezbyt regularnie dostarczał im żywności. Wychodźcy zaś, wiedząc, że im rząd jest obowiązany jej udzielać, nie chcieli iść na robotę, by nie utracić tych alimentów, które im przychodziły bez pracy. Cierpieli głód z zaciekłem uczuciem krzywdy. Byli to Rusini i Polacy z Galicyi wschodniej, żywioły nie mające tej energii i pracowitości, jaką odznaczają się Mazury Galicyi zachodniej.

Wielu wprawdzie skwitowało z dobrodziejstwa rządowego i najlepiej na tem wyszło, bo znalazło robotę w Lucenie samej przy powstającym przemyśle tartakowym albo przy kolejach żelaznych. Wielu też zamieszkało przy rodzinach dawniej osiadłych kolonistów z Królestwa, którzy trudniejsze mieli początki i którym brakowało oparcia, jakie znaleźli obecnie Galicyanie.

Ci byli w części dobrzy moi znajomi, gdyż przebywaliśmy wspólnie ocean na statku „Alacrita“. Uważali mnie niestety za cudotwórcę, który potrafi zmienić ich położenie: zdawało im się, że mogę od rządu wyjednać dla nich wszystko, co chcą, z powodu, że istotnie udało mi się parę razy pomyślnie załatwić im kilka drobnostek w Kurytybie. Przy takiem ich usposobieniu, gdy wypadło coś niepomyślnego dla nich, zdawało im się, że mógłbym

był ja do tego nie dopuścić: dobre zaś niejedno, które spłynęło na nich, poszło na mój rachunek, jak np. przybycie rzeczy podróżnych, które uważali za stracone.

O 7 czy 8 kilometrów od „quadro urbano“ jest oddalony kościół w miejscu, które najwięcej zasługuje na miano środka kolonii Luceny; albowiem kolonizacya głównie w tamtym południowym kierunku się szerzy. Postanowiłem odwiedzieć tam ks. Iwanowa. Niezwłocznie wyjechałem w dalszą drogę. W miarę oddalania się od miasta, droga staje się coraz trudniejszą do przebycia: powozem jechać trzeba coraz wolniej i uważniej.

Przybywszy na miejsce, ujrzałem skromny kościółek drewniany, budującą się plebanię i kilka zabudowań, w których było parę karczm (wend). Jest wszakże zarodek skromny drugiego miasteczka.

Obecnie leży w interesie kupców, żeby główny kościół z mieszkaniem proboszcza był w „mieście“ a nie w miejscu, gdzie się obecnie znajduje. Walny to jest interes miejscowy, zwłaszcza w dnie nabożeństwa, kiedy tłumy ściągają do kościoła.

Ks. Aleksy Iwanow jednak wcale nie myśli przenieść się, uważając, że dla ogółu kolonistów wygodniej jest, żeby kościół był w samem środku osady Luceńskiej. Woli przeto uporczywie znosić biedę na pustkowiu, niż opływać w wygody a zależeć od „mieszczan“ i różnych względów w „miasteczku“.

Zastałem ks. I. w skromnem mieszkaniu a właściwie w prowizorycznej chatce; w miejsce tejże dopiero powstanie plebania.

Widoki z kościoła i pobliża jego, należą do wcale ładnych. W rozległej panoramie na wsze strony zarysowują się wyraźnie lub w przezroczej mgle, wysokie pagórki falowate z łagodnemi pochyłościami i obszernemi dolinami. Krajobraz przypomina Podkarpacie: wszystko pokrywa bór: w nim króluje gruba i wysoka sosna araukarya.

Czasem na dalekim widnokręgu widać wznoszące się dymy, jak ofiary Abla; są to ogniska Botukudów, najdzikszego szczepu indyjskiego. Koloniści nasi są wystawieni czasem na ich napady. Winien temu rząd, bo ich osiedla na cmentarzyskach butukudzkich, nie troszcząc się o kult przodków u dzikich. Zginęła w ten sposób rodzina Przybylskich w 1892 r., wycięta w pień podczas roboty w południe. Przy karczowaniu lasu za daleko się odbiła od reszty towarzyszy. Nie zważał nikt z niej na to, że przez kilkanaście dni co dzień sznurek powoju (ljany), zagradzał mu drogę

zawsze w jednem miejscu obok źródła. Było to ostrzeżenie dzikich. Zginęło też dwoje dzieci, których zastali dzicy w domu Przybylskiego i zamordowali. Równocześnie skradli worki, wysypując z nich mąkę i ziarna, nie wiedząc co z tą zawartością zrobić. Uchodząc z mieszkania, spotkali się z kolonistą, sąsiadem Przybylskich i w chwili, kiedy tenże zamierzył się na jednego Butukuda, drugi dzikus wypuścił strzałę, która przeszyła podniesioną dłoń kolonisty. Ten, by strzałę wyjąć, złamał ją w pół. Jest ona w posiadaniu ks. Petersa.

Wogóle jednak, napady są rzadkie i nie odstręczają kolonistów naszych od nabytych w głębi boru działów. Napady te mają miejsce tylko na krańcach osady, głównie na ulicy Moema, najbardziej posuniętej na południe.

W innych miejscowościach jeden taki napad wyludnia kolonię: np. w Grão Para, w stanie Santa Catharina, osadnicy polscy w $^3/_4$ wywędrowali skutkiem tego do Rio Grande do Sul. Dzieje się inaczej na Lucenie. Obszar kolonii tej jest tak wielki, że na innej ulicy niż Moema, nikt nic nie wie o Bugrach i dowiadują się o nich dopiero z opowiadania i pism.

Ziemia jest tam wszędzie znakomita, okolica górzysta bardzo piękna i dzika, roślinność zaahwycająca, klimat nie tylko zdrowy lecz wprost kuracyjny. Ulica Moema o najbujniejszej wegetacyi wciąż się przeto wydłuża. Amatorów osiedlenia się na niej nie brak, mimo postrachu napadów bugerskich.

5. listopada. — Po rzece Rio Negro. Komary. Nocleg.

Po powrocie z Luceny do Rio Negro, zostałem łaskawie zaproszony przez ks. Petersa, aby towarzyszyć mu w jego objeździe parafii, rozległej jak dyecezya europejska.

Wyjechaliśmy rano o 9-tej małym parowcem, należącym do Niemców ze Santa Catharina. Usiłowali oni przedtem przebiegać rzekę Rio Negro z chorągwią i szyldem kompanii stanu Catharina. Rząd Parański sprzeciwił się temu energicznie, bo krajem tym po obu stronach rzeki Rio Negro faktycznie włada, mając tam w swym ręku administracyę i władzę wykonawczą. Jechaliśmy tedy bez tych oznak na małym parowczyku, nie grzeszącym wogóle zbytniemi wygodami. Męczący i jednostajny stuk maszyny i kół, osładzały tylko urocze krajobrazy nadbrzeżne. Z początku brzegi były wysokie i gęstemi krzakami porosłe. Po nad rzeką

i krzakami przelatywało ptastwo mi nieznane. Niektóre gatunki czarnych kaczek pływały zanurzone całkiem w wodzie tak, że tylko widać było ich dziób i szyjki. Za zbliżeniem się parostatku zrywały się z wody.

Rzeka Rio Negro podobna jest do rzeki Iguasu. Brzegi jej tylko wydały mi się wynioślejsze od Iguasowych. Kręci się ona jeszcze gwałtowniej od kolei żelaznych parańskich. Np. wysiedliśmy w południe przy połamanej dziwacznie araukaryi i o jakie 50 kroków od brzegu doszliśmy do tej samej rzeki, Rio Negro, płynącej w kierunku przeciwnym. Po dwóch godzinach jazdy, dość szybkiej z prądem wody, ujrzeliśmy tę samą araukarye, lecz po prawej stronie zamiast po lewej. Dwie godziny pędzenia parostatkiem, by posunąć się naprzod o 50 kroków, było niemal drepceniem na miejscu.

Po brzegach unosiły się, jak przezroczyste chmurki, ogromne roje komarów, chciwych krwi ludzkiej. Są to owady przeważnie szare, niektóre złotawe, nie tną gorzej od naszych i jest ich takie mnóstwo, że setkami cisną się na każde obnażone miejsce ciała. Wielkości są różnej; niektóre długonogie, zwane z tego powodu po portugalsku pernaslongas. Niepodobna się obronić od nich. Zabijesz kilkanaście klapsem, zaraz drugie tyle leci na czerwoną krew twoją, wytoczoną przez pierwszych. Ciągle musisz mieć ręce w kieszeni i chustką zakrywać głowę, albo uderzać nią bezustanku po sobie, jsk opętany.

Jest to taka sama plaga, jak na Pińszczyźnie, z tą różnicą, że Pińczuki radzą sobie jakiemiś grzybami, które suszą i noszą dymiące w torbie przy sobie; od takiego dymu, pono nieszkodliwego dla ludzi, uciekają komary. Tak daleko nie posunięto się w Brazylii. Gdy zasypiasz, muzyka, jakby miliona cichych cytr, a jeszcze lepiej ukąszenie, spędza ci sen z powiek; całe szczęście, że to nie codzień i nie wszędzie jest się nawiedzanym w sposób tak nachalny; np. wieczorem około 7-ej, przybiwszy na noc do lewego brzegu, wolni byliśmy od nich.

Znajdowała się w pobliżu karczma, do której zaszła służba okretowa. Ks. Peters nie doradzał iść za ich przykładem. Wyszliśmy na tem znakomicie: wiara bowiem struła się jakiemś piwem cholerycznem. Przeważną część nocy czuwaliśmy; lecz nie z powodu komarów, ale dzięki ciągłej wymianie myśli. Przeważnie słuchającym byłem ja, chwytając chciwie każde słowo miodopłynnego ks. proboszcza. Był to wykład uniwersytecki o stosunkach

parańskich. Jak wszystko na świecie, tak też i rozmowa skończyła się, zwalczona przez Morfeusza, lecz dopiero około 3-ciej godziny rano.

Zasypiając, słyszałem charkotanie mnóstwa świnek rzecznych, zwanych kapiwari; dobywały się te głosy zewsząd z krzaków i traw obu brzegów i wysepek sterczących wśród rzeki. Słabe światło księżycowe i powstające mgły przy niem mogłyby były usposobić duszę poetyczną do widzeń dantejskich.

6. listopada. — Ujście Ria Negra i Putingi do Iguasu. Przypomnienie okropności powstania. Barra Feia (zatoka brzydka). Osada Rio Claro.

Nazajutrz raniutko napalono w maszynie sękami sosnowymi araukaryi, pełnymi żywicy i dorównywującymi pod względem ilości cieplika węglowi kamiennemu czy nawet koksowi.

Ruszyliśmy i płynęliśmy wśród coraz mniej wyniosłych brzegów.

Do godziny 10-tej tylko byłem w towarzystwie ks. Petersa, który wysiadł wtedy na brzeg lewy, gdzie go oczekiwano. Z miejscowości tej miał jeszcze przez parę tygodni objeżdżać część południową swego królestwa.

Ludność, którą zwiedzał, była czysto brazylijska, dość ciemna i zabobonna: zjawiają się wśród niej od czasu do czasu proroki, nie zawsze na rękę rządowi. Łatwo bowiem wtedy o małe powstanie, gdy prorok podburzy ludność, mszcząc się za swoje prawdziwe czy urojone krzywdy i lekceważenie. Właśnie wówczas pojawił się taki mąż świątobliwy, niezadowolony z czegoś, bodaj czy nie z kolonizacyi słowiańskiej, wypierającej Kaboklów coraz dalej w głąb kraju.

Dzięki uczynności ks. proboszcza, parostatek powiózł mnie dalej aż do Rio Claro, największej kolonii polskiej. Pędziliśmy po mniej kręcącej się już a szerszej rzece; po obu jej brzegach spoglądałem na okolice równe i porosłe na przemian to lasem, to piękną trawą. W tej porze wiosennej, wszystko mi się wydawało pięknem, bo przyroda wówczas każdego przekupi i przez sympatyczne zmusza patrzeć na się okulary.

Wreszcie wjechaliśmy do rzeki Iguasu, która od chwili zlania się z Rio Negro, szerokiem toczy się korytem. Nieopodal,

prawie naprzeciwko ujścia rionegryńskiego, wlewa się do prawego brzegu Iguasu rzeka Putinga.

W jej pobliżu znajduje się pamiątka po niedawnym ruchu politycznym. Powstańcy zabili tam niejakiego Portesa, obywatela zamożnego i poważanego a przyjaciela Polaków. Był on przeciwnikiem powstania. Kilku powstańców polskich, na czele których znajdował się ś. p. Kośmiński, chwycili go we własnem mieszkaniu i uprowadzili z pośród rodziny, przyjaciół i zwolenników: nie przypuszczali, żeby tak smutnie skończyła się ich wyprawa. Chcieli oni go do powstania przyłączyć, lub zrobić obojętnym dla ruchu.

Tymczasem dowódca oddziału, do którego przyprowadzono Portesa, Brazylianin ze stanu Rio Grande, zdziczały w rewolucyi, zapytał się go tylko, czy chce przystąpić do powstania. Portes odpowiedział, że nie. Wtedy dzikus zrobił go po swojemu nieszkodliwym: zarżnął go nożem, który przed chwilą w jego obecności był naostrzył. Potem nastąpiła scena jeszcze wstrętniejsza: drugi dzikus w mundurze zatańczył po pijanemu, śmiejąc się i pijąc „krew nieprzyjaciela". Wykrzykiwał i wyśpiewywał z pokrwawioną gębą, że to rozkoszny napój. Polacy, przytomni takim scenom, zdrętwieli z obrzydzenia i sprzeciwili się przynajmniej temu, żeby z innymi jeńcami tak samo nie postąpiono.

Zemsta synów Portesa była straszna. Nie zważali na to, że powstańcy polscy, porywając ich ojca, wykonali tylko rozkaz. Wiązali niewinnych kolonistów polskich, nie należących wcale do powstania i w okrutny sposób o powolną śmierć ich przyprawiali: pruli brzuchy, gardła i t. p.

Minąwszy to miejsce fatalne, dojechaliśmy wkrótce do portu Barra Feia (zatoka brzydka). Jest to rzeczny port ogromnej osady rusińsko-polskiej Rio Claro (rzeka jasna) — zwanej od rzeczki tej nazwy, która właśnie nieopodal wpada do Iguasu. Poznało mnie na brzegu dwóch młodych ludzi i zaprowadziło do sklepu Józefa Portesa zwanego Jijique (wym. Żiżike), czy też Juca (wym. Żuka), jednego z synów zamordowanego przed paru laty w rewolucyi starego Portesa.

Ten „zaopiekował sie" mną gościnnie, kazał mi podać obiad, za który nie chciał wziąć żadnej zapłaty: a ponieważ wiedział, że koniecznie muszę dostać się przed zachodem słońca do miasteczka Rio Claro, położonego o 8 kilometrów, pożyczył mi konia w drodze łaski za 20 milrejsów: zwykle za taką przysługę płaci się tylko 3 milrejsy.

Ulżyło mi wprawdzie w kieszeni, ale za to użyłem na koniu sportu bardzo męczącego. Wziąłem bowiem odrobinę swych rzeczy i aparat fotograficzny, którego niepodobna było oprzeć na grzbiecie konia ani przytroczyć do siodła, gdyż zrobiłaby się z klisz kasza szklanna. Podczas jazdy kłusem i galopem musiałem trzymać aparat zawieszony na palcu i nie puścić go. Z wysiłku i bólu czerwieniłem się, pociłem i bladłem w ciągu całej podróży przeszło milowej do Rio Claro, a bałem się powierzyć ten skarb ze szkła, drzewa i stali swemu towarzyszowi, p. Korolewskiemu, pisarzowi rządowemu i tłumaczowi, bo widziałem, że natura nie obdarzyła go nadludzką siłą fizyczną, a bez niej omdlałaby mu ręka. Przeklinałem wynalazek fotograficzny; lecz wreszcie po przeszło godzinnej jeździe, dobywając resztek swych sił a z miną obojętną, wjechałem do grupy drewnianych domostw. Był to kres mej męki: „miasto“ Rio Claro.

Obstąpili mnie zaraz znajomi, towarzysze podróży atlantyckiej, których jeszcze rząd nie zdołał osadzić na ziemi i którzy na nią czekali w „barakach“. Uwolnili zbolałe ręce i palce moje, z których każde po kolei dźwigały aparat. Stanąłem nie w budynku urzędu kolonialnego, do czego mnie natarczywie namawiał towarzysz mój, lecz u pana Duquene, przyjaciela Polaków, kupca zamożnego, Belgijczyka, ożenionego z Polką, który zaprosił mnie był do siebie po poznaniu się naszem na statku parowym przed tygodniem.

7.—14. listopada w Rio Claro. Koloniści i kolonia. Deszcz. Żaby. Chrabąszcze świecące. Gościnność polska. Monjolo. Krok portugalszczyzny.

Kolonia Rio Claro ma pewne podobieństwo do Luceny; lecz jest większa i nie opanowana przez Niemców. Widoki z pobliża „miasteczka“ są bardzo dalekie. Pagórki falują łagodnie, lecz podnoszą się stopniowo ku zachodowi coraz wyżej aż pod pasmo gór Nadziei „Serra da Esperança“.

Nowi koloniści, tak jak w Lucenie, mają oparcie o pierwszych kolonistów z Królestwa Polskiego, ofiary gorączki emigracyjnej. Przybysze galicyjscy mieszkają u nich, zarabiają, zawiązują z nimi stosunki wszelkiego rodzaju. Królewiacy przeważają w stolicy, czyli w tak zwanem mieście i okolicy jego. Galicyanie,

przeważnie Rusini, osiedlają się dalej na północ. Ulic głównych jest ośm, pobocznych 12.

Po obu stronach są działki 250 metrów szerokie, a 1.000 metrów długie, ułożone długością swą w głąb prostopadle do drogi. Zabudowania kolonistów nad drogą są przeto oddalone mniej więcej o tę szerokość t. j. o ćwierć kilometra (wiorsty) jedne od drugich. Niektóre ulice mają blisko 200 działków po obu swych stronach, to znaczy, że długość ich wynosi do 50 kilometrów. Wymierzonych działków było za mej bytności 1.600. Obecnie jest ich znacznie więcej niż 2.000, zajętych przez kolonistów naszych. Licząc na każdą rodzinę co najmniej 5 członków, wypada ludności naszej w Rió Claro przeszło 10.000.

Ziemia jest pagórkowata i różnorodna, przeważa bardzo dobra; spotyka się tam często trzcinę, zwaną putinga, oznaazającą grunt przedni. Herwy Mate jest bardzo wiele w bliskiem sąsiedztwie kolonii Rio Claro, lecz w niej samej nie ma jej wcale. Nie liczna też jest tam araukarya, a, o ile się ją spotyka, olbrzymia. Są to wszystko oznaki ziemi bardzo urodzajnej. Brak zaś Maty jest chwilowo ciężki dla mieszkańców kolonii, bo nie mają zarobku z jej zbierania; ale za to koloniści rioklarscy zmuszeni są wyzyskiwać swą ziemię w inny sposób, ostatecznie zyskowniejszy. Brak ten wypadnie im na dobre za parę lat, wobec budującej się wielkiej kolei południowo-brazylijskiej, mającej połączyć S. Paulo ze stanem Rio Grande do Sul, a właściwie Rio de Janeiro z Argentyną i Uruguayem. Wtedy Rio Claro stanie się stacyą ważnej drogi i zbyt swych płodów będzie miało zapewniony.

Sto kilkadziesiąt rodzin czekało na wymierzanie gruntu w hotelach emigracyjnych i u ludzi prywatnych, dawniej tu osiadłych. Słyszałem wprawdzie narzekania na brak roboty, na niesprawiedliwe obdzielanie gruntów, jednakże znalazłem w sercach więcej nadziei niż rozpaczy, w głowach zaś wyłącznie kombinacye przyszłego zagospodarowania się.

Kolonizacya to świeża. Połowę swych towarzyszy oceanowej podróży odnalazłem w Rio Klaro. Nawet świeżem można nazwać to osadnictwo, które miało kilka zaledwie lat istnienia. Przedtem była tam puszcza nie zamieszkała.

Kościół w Rio Klaro jest jeszcze skromniejszy od luceńskiego. Niewątpliwie stanie dla 10.000 mieszkańców świątynia okazalsza i pewnie niejedna w różnych stronach rozległej osady, skoro rioklarczycy zbogacą się cokolwiek i otrzymają swego księ-

dza na stałe. Dotąd dojeżdża tylko do nich ks. Przet. z Mateusza.

Całe 8 dni, które spędziłem w Rio Claro, były dżdżyste i chmurne. Z wielką trudnością przyszło mi zdejmować widoki w kierunku pasma gór Esperança. Albo deszcz, albo mgły stawały mi ciągle na przeszkodzie.

Lasy rioklarskie ożywione były wieczorem i w nocy koncertem żab, których dotąd nie słyszałem — mianowicie mlaskających, jak wyciąganie korka z butelki, lub bęben. w orkiestrze. Mają to być gatunki wielkie z rogami i niebezpieczne; gdy się do nich zbliżyć, nadymają się ze złości i puchną do podwójnych rozmiarów. Podaje im się wtedy drąg lub kij, w który z zaciekłością zatapiają jadowite zęby i niesie się je do domu, aby je dla ochłody zanurzyć w garnek lub słój okowity; gotowe są w tym stanie, jako okaz muzealny.

Dżdżysta i wilgotna pora roku przynosi nad Iguasem prześliczne zjawisko; o zmroku i w nocy latają w powietrzu miliardy chrabąszczy świecących. Owad ten jest długości naszego chrabąszcza majowego, lecz znacznie węższy; świeci się on światełkiem księżycowem na brzuchu i dwoma, jak świętojańskie nasze robaczki, miejscami nad oczyma. Ztąd, gdy leci, przechylając się lekko to na prawo to na lewo, znika i zjawia się co jakie pół minuty w ciemnościach. Gdy się wie kierunek jego lotu, odgadnąć dokładnie można, gdzie w przestrzeni zajaśnieje i gdzie jego światło zaniknie, aby znów zaświecić na odległości równej. Gdy go położyć na grzbiet, łebkiem uderza o miejsce, na którem leży i podskakuje o kilka lub kilkanaście cali, aż stanie na łapkach lub pofrunie.

Czas spędzałem w Rio Claro, zwiedzając miejscowość i wywiadując się na wszystkie strony; przytem robiłem zdjęcia fotograficzne, o ile pogoda zezwalała na to. Odrzekłem się jednak raz na zawsze gromadzenia w sobie dwóch osobistości: podróżnika i fotografa. Co chwila proszono mnie o fotografowanie osób pojedynczych, grup ludzkich i widoków. Przekonałem się, że niepodobna uwagi skupiać w kilku kierunkach na raz: albo fotografia się nie uda, albo się coś ciekawego przeoczy, albo najczęściej następuje jedno i drugie. Pod tym względem miałem chwile fatalne.

Włącząc się n. p. z aparatem fotograficznym po ulicach, wstępowałem co ćwierć kilometra do osadników, często bardzo dobrych znajomych. Przyjmowano mnie życzliwie i serdecznie.

Zwykle z wielkim trudem wyrywałem się z kleszczów gościnności polskiej; zwłaszcza popołudnie niedzieli było najniebezpieczniejsze. Miałem wrażenie, że koloniści zmówili się, aby mnie jak najgościnniej raczyć. Mając dosyć tych przyjęć, mijałem zabudowania, znajdujące się co ćwierć kilometra, lecz wypadano z chałup i nawoływano, prosząc, abym wstąpił.

Wiedziałem co to znaczy: kaszas (wódka z trzciny cukrowej), piwo, likier bardzo słodki zwany Kapille, ciemne Oporto (portwein), czasem Bordeaux białe lub czerwone, czekały na mnie. Stawiano, co tylko było w Rio Claro najlepszego i najdroższego obrazą byłoby nie wstąpić i nie wlewać w siebie tego wszystkiego. Szczęściem przyroda obdarzyła mnie mocną głową. Przy buteleczynie gromadziło się kilkanaście osób nieznajomych lub znajomych ze Lwowa, z Kaliskiego, z Poznańskiego, z pod Warszawy.

Mimo trzeźwości i przytomności umysłu, które zawsze zachowywałem, fotografowanie nie udawało się: czynność ta wymaga akuratności w czasie, której po libacyach jakoś nie przestrzegałem. Trzeba było pamiętać, ile minut z zegarkiem w ręku aparat ma być czynnym w rozmaitych porach dnia. Udawały mi się tylko migawkowe zdjęcia w południe, nie wymagające pamięci i kombinacyi. Przeskakując rowy i kałuże, przewracałem się, psułem aparat i miałem troskę naprawienia go.

Wśród naszych wychodźców poznałem bliżej dwóch stolarzy: Kamińskiego i Szymańskiego. Pierwszy, przyjaciel państwa Duquene, u których stałem, znakomicie obeznany ze sprawami kolonizacyjnemi, wtajemniczał mnie wieczorami w różne szczegóły, odnoszące się do osadnictwa rioklarskiego. Drugi opowiadał dzieje swych wędrówek zamorskich, tak, jakby był przeczuł to, o czem pisał lwowski „Przegląd Emigracyjny“, gdzie stawiano, jako cel wychodźctwa polskiego, brazylijski stan Parana i stan Waszyngton nad oceanem Spokojnym w północnej Ameryce. Porwany gorączką brazylijską z Królestwa Polskiego, przywędrował najprzód nad Iguasu, następnie był przy założeniu osady Rio Claro, zkąd dostał się do Stanów Zjednoczonych północno-amerykańskich, które całe zwiedził wzdłuż i wszerz, dokonywując wciąż roboty stolarskie. Po pięciu latach wędrówki po północnej półkuli amerykańskiej, powrócił do Rio Claro i głosił, że najlepiej mu się podobało w stanie Waszyngton i w obecnem miejscu swego pobytu, zkąd nie myśli się już ruszać.

W Rio Claro przypatrzyłem się samorodnej maszynie do łuszczenia i kruszenia kukurydzy, mandjoki i ryżu, zwanego „monjolo“ (wym. monżolo). Jakiś genialny nieznany umysł wynalazł ją. Rozpowszechniona jest w Paranie i pewnie w całej Brazylii. Znakomicie się stosuje ona do warunków słabego zaludnienia: pracuje bez elektryczności, nafty, benzyny, pary i ręki ludzkiej, a niemniej niezmordowanie dniem i nocą. (Bliższy opis szczegółowy tego dowcipnego i prostego mechanizmu istnie maszynowego łaskawy czytelnik znajdzie w rozdziale VII. tego dziennika podróży).

Polaków z wyższem wykształceniem i zamożniejszych w Rio Claro nie było prawie wcale; ztąd łatwo wytłumaczyłem sobie urok, jaki wywierała portugalszczyzna na dzieci państwa Duquene. Dwie córeczki kilkoletnie moich gospodarzy nie chciały nigdy słowa wymówić po polsku lub francusku, a jedynie tylko portugalszczyzna wydała im się odpowiednią do wymiany myśli. Znały jednak nasz język niezgorzej, bo innego obcego prawie nie słyszały. W dziecinnym umyśle wyrobiło się odruchowo pojęcie, że tylko prości ludzie mową naszą władają, a ludzie wyżsi, jak urzędnicy, używają jedynie języka portugalskiego.

Dr. Stanisław Kłobukowski.

(Dalszy ciąg nastąpi).

Z życia Kajetana Węgierskiego

Pamiętniki i listy

WYDAŁ

Dr. Stanisław Kossowski.

(Ciąg dalszy).

Le 12. Oct.

Nous fimes une excursion à Long-Island et nous dinames chez le général Clarke qui y commande...

Long-Island où Isle long a environ 120 miles de longueur, sur 10 et 5 de largeur elle est formée par la mere et par la riviere. La partie du nord est fertile cultivée et fournit d'excellent bois de construction. Le sol de la partie sud est ingrat pierreux;

---

12. października.

Uczyniliśmy wycieczkę na Long-Island i byliśmy na obiedzie u generała Clarka, kttóry tam jest dowódcą.

Long-Island albo Isle-long ma około 120 mil długości i 10 szerokości, a utworzona została częścią przez morze i częścią przez rzekę. Część północna jest żyzna i uprawna i dostarcza wybornego budulca. Ziemia części południowej jest nieurodzajna i kamienista;

elle a été le théâtre des premieres operations et des succès du Chev-Howe: succés dont il ne sut pas profiter ayant laissé echapper l'armée américaine qu'il aurait pu détruire facilement. Le passage de l'Isle-long à l'isle de New-Yorck est à peu près d'un mille et on ne conçoit pas comment une armée victorieuse ait laissé tranquilement traverser en sa présence un aussi large passage à une poignée de fuyards. Les ouvrages par la défense de cette isle son réduits a rien et il n'y a d'autres fossés à présent que ceux que le trou du laboureur a tracé entre les sillons. Qu'il est doux au cultivateur de renverser avec sa charne ces ramparts elevés, de combler ces fossés crusés pour sa ruine; il seme d'une mais bienfaisante les champs qu'une main meurtriere a arosé de sang et faire servir les corps des héros célébres à faire germer les grains qui vout nourrir sa famille iguorée.

Le 13., 14. Oct,

Nous employâmes ces deux jours à trouver un bateau. qui put nous porter à West-point et à faire les provisions nécessaires

---

była ona widownią pierwszych kroków wojennych, jakoteż widownią powodzenia Chev-Howe'a, powodzenia, z którego on nie umiał skorzystać, pozwalając wymknąć się amerykańskiej armii, którą mógł łatwo zniszczyć. Przejście z Isle-long na wyspę New-Yorku wynosi prawie milę, nie można więc sobie wyobrazić, jak zwycięska armia mogła pozwolić garstce uciekających spokojnie i w swojej obecności przekroczyć przejście tak szerokie. Prace, wykonane w obronie tej wyspy, były prawie nic nie znaczące i obecnie nie ma tam innych rowów ponad te, które sam wieśniak wyorał między bruzdami. Jak błogo jest rolnikowi obalać pługiem wały wzniesione, zasypywać rowy wykopane dla jego zguby: on zasiewa pożyteczną kukurydzą pola, które zbrodnicza ręka zrosiła krwią i nakazała ciałom sławnych bohaterów, by pomagali w kiełkowaniu zboża, mającego wyżywić jego nieświadomą rodzinę.

13. i 14. października.

Dwa te dni zużyliśmy na poszukiwanie łodzi, którąby mogła przewieść nas na West-point w celu nabycia żywności, potrzebnej

pour notre voyage: faute d'evénement plus considérable je vous dirais qu'un aubergiste loyaleste nous demanda de loyalement trois founds pour un gigant de mouton: j'espére que le gouvernement... dans le Canade ou en Acadie et que je ne le trouverai pas dans mon chemin en Angleterre.

Le 15. Oct.

Ce jour-ci étant déstiné pour notre départ nous nous rendimes au bateau de bonheure et nous le trouvames plein de passagers, ils étaient tout ce qu'on appelle en Amérique des gentlemens c'est-à-dire des marchands, des bouchers, des ouvriers qui allaient à Albany se justifier du soupçon de royalisme. Ils burent toute la journée apparemment pour s'etourdir sur leur situation: si c'est un crime d'être ennuyeux, ils méritent assurément d'être pendus. Ce qui me fit vraiment de la peine, c'est que le vent nous etait contraire et la marée très forte. J'etais menacé de rester plusieurs jours dans cette societé.

---

do naszej podróży. Ku wielkiemu ździwieniu powiem, że poczciwy oberżysta zażądał od nas trzy funty szterlingów za olbrzymiego barana: spodziewam się, że rząd... w Kanadzie czy Akadii i że nie spotkam się już z czemś podobnem w mojej podróży do Anglii.

15. października.

W dniu tym. przeznaczonym do odjazdu, udaliśmy się na łódź, gdzie znaleźliśmy już pełno podróżnych; byli oni wszyscy, jak to się mówi w Ameryce dżentlemanami, to znaczy kupcami, rzeźnikami, robotnikami, a zdążali do Albany, by się usprawiedliwić z podejrzeń o rojalizm. Pili przez cały dzień, by nie zdawać sobie zapewne sprawy ze swego położenia. Jeżeli należałoby do zbrodni być nudnym, z pewnością oni wszyscy zasłużyliby na powieszenie. Największą zaprawdę przykrość sprawiało mi to, że wiatr był przeciwny i odpływ morza zbyt silny. Groził mi więc kilkudniowy pobyt w tem towarzystwie.

La riviere d'Hudson est certainement une des plus belles et des plus singulières rivieres du monde. Elle coule dans une direction droite du nord au sud et traverse souvent une chaîne de montagnes qu'elle divise perpendiculairement; elle ressamble alors à un canal superbe que la main des hommes aurait conduit au travers des rochers. Il serait impossible de vous décrire les effets surprenant, les situations pittoresques, les charmantes rues des bords de ce fleuve. Le plus habile peintre, le poète de la plus brillante imagination n'en pourrait donner qu'une faible idée. La nature a tout fait pour ce pays et l'art n'y a rien gaté: tout y respire la majesté, la grandeur qui etonne l'homme, du charme de la varieté qui le séduit. La marée manquant et le vent étant toujours contraire à sixe milles de la ville nous jettâmes l'ancre vis-à-vis d'une belle maison appartenante à Mr. Apthorpe un de nos compagnons de voyage était accusé aussi de torysme et obligé d'aller se justifier à Albany; il descendit à terre et nous profitâmes de cette occasion pour voir son habitation. Sa maison bien bâtie et d'un très bon goût. il a un grand jardin parfaitement bien entendu d'un immense rocher qui est au milieu de l'esplanade; l'on voit les deux rivieres, celle de l'Est et celle

---

Rzeka Hudson jest bezwątpienia jedną z najbardziej pięknych i osobliwych rzek świata. Płynie ona w kierunku prostym z północy na południe i przedziera się częstokroć przez łańcuch gór, który rozdziela pionowo; podobną jest ona raczej do doskonałego kanału, który ręka ludzi poprowadziła na wskroś skał. Byłoby niemożliwością opisać zdumiewające wrażenia, malownicze położenia i zachwycające brzegi tej rzeki. Najbieglejszy malarz, poeta o najbujniejszej wyobraźni, mogliby dać tylko słabe o tem pojęcie. Przyroda uczyniła wszystko dla tego kraju a sztuka nic w nim nie zepsuła; wszystko tchnie tam majestatem, wielkością zadziwiającą człowieka czarem rozmaitości, który go przykuwa. Przy niedostatecznym przypływie i wietrze ustawicznie przeciwnym zarzuciliśmy kotwicę o sześć mil od miasta, naprzeciw pięknego domu, należącego do pana Apthorpe'a, jednego z naszych towarzyszy podróży, który oskarżony również o toryzm, musiał usprawiedliwić się w Albany. Dom jego zbudowany dobrze i z wielkim smakiem, posiada obszerny ogród, doskonale rozłożony z olbrzymią skałą w pośrodku dziedzińca; widać stamtąd dwie rzeki: Est

d'Hudson. qui baignent les deux côtés de l'isle. Le 16 à onze heures le vent soufla du sud et nous appareillâmes: te temps était magnifique, il faisait presque aussi chaud qu'en été. Nous eumes le loisir de voir dans toute leur beauté les superbes rives du Jersi: elles sont couvertes des bois impénétrables qui ont l'air d'être plantés sur des rochers tantôt elevés perpendiculairement sur l'eau tantôt jettés au hazard, et presentants le tableau effroyant d'une horrible confusion. À noins d'une heure nous fimes le même chemin que nous avions fait si péniblement dans toute la journée de hier et nous passâmes entre les forts Lée et Kniphausen. Le dernier s'appeltait autrefois Washington et fut prit par le général Howe. Il est gardé encore par les troupes anglaises dont les lignes s'etendent jusqu'à Kings-bridge ou plutôt jusqu'à une petite crecke appellée Spiton Divel. qui forme au nord l'isle de New-Yorck. Les Américains ont un sentinelle sur l'autre rive. Nous aperçumes les deux gardiens ennemis causant tranquilement ensemble. Il-y-a-t-il au monde une ressamblence plus parfaite que celle des soldats et des marionettes mus par un ressort secret dont-ils ne se doutent pas. ils se donnent des coups, se blessent, s'assomment mais aussitôt que la main qui les

---

i Hudson. które oblewają oba brzegi wyspy. Szesnastego o jedenastej godzinie wiatr wiał z południa, wyruszyliśmy więc w drogę; pogoda była wspaniała, było prawie tak ciepło, jak w lecie. Mieliśmy dużo wolnego czasu, by oglądać w całej piękności przecudne brzegi Jersi: są one pokryte nieprzejrzanymi lasami, które wyglądają jakby rosły na skałach bądźto wzniesionych pionowo nad wodą, bądźto rozrzuconych na los szczęścia a przedstawiających przerażający obraz niezmiernego nieładu. W przeciągu niecałej godziny zrobiliśmy tyle drogi, ile przebyliśmy wczorajszego dnia z taką trudnością, i przepłynęliśmy między twierdzami Lée a Kniphausem. Ta ostatnia zwała się niegdyś Washington a została zdobyta przez generała Howe'a. Jeszcze teraz jest ona strzeżona przez wojska angielskie, których linie rozciągają się do Kings-bridge albo raczej aż do małego naturalnego portu Spiton-divel, utworzonego w części północnej wyspy New Yorku. Amerykanie mają swoją straż na drugim brzegu. Ujrzeliśmy dwu nieprzyjacielskich wartowników, rozmawiających ze sobą spokojnie. Czy jest gdzie na świecie większe podobieństwo od tego, jakie istnieje między żołnierzami a maryonetkami? Poruszani jakby jakąś sprężyną tajemną, której nie przeczuwają wcale, zadają so-

fait agir cesse. ils deviennent immobiles, boivent avec l'ennemi qu'ils n'ont point egorgé; ils donnent la mort sans colère, sont cruels sans emportement, accordent la vie sans magnamité et dans leurs plus grandes fureurs commedans leurs plus brillantes actions ils n'eprouvent ni la satisfaction intérieure qui accompagne l'héroïsme ni les plaisirs de la vengeance.

Dépuis Spiton-Divel jusqu'à Crotons-Rives nous côtoyâmes le Philips-monor où les possessions du colonel Philippe; elles s'etendent à peu près 24 milles le long du rivage et s'enfoncent quatre à cinq milles dans l'intérieur. C'est la terre la plus considérable et la mieux cultivée de l'etat de New-Yorck. elle va être enlevée au proprietaire confisquée et vendue. Le vieux colonel perd pour son attachement à S. M. britannique une fortune d'à peu près un million livres sterlings de rente est reste avec une femme et sept enfants à la merci de la générosité du parlement. Je l'ai vu à New-Yorck accablé d'age et d'infirmité, il se préparait à quitter sa patrie et a suivre les restes de l'armée britannique.

---

bie ciosy, ranią się, zabijają, lecz skoro tylko ręka, która każe im działać, ustaje, stają się nieruchomi i piją z nieprzyjacielem, którego jeszcze nie zgładzili: zabijają się bez gniewu, bez okrucieństwa, bez zapalczywości oszczędzają sobie życie bez wspaniałomyślności, a w największej swojej wściekłości, czy w czynach najbardziej szlachetnych, nie odczuwają wcale ani wewnętrznego zadowolenia, które towarzyszy heroizmowi, ani też radości zemsty.

Od Spiton-divel aż do Crotons-rives płynęliśmy wzdłuż brzegów Philips-monor, gdzie znajdują się posiadłości pułkownika Philippe'a; rozciągają się one blisko 24 mil nad brzegiem i sięgają od cztery do pięciu mil w głąb. Jest to ziemia o wielkiej wartości i najlepiej uprawiana ze stanu New-Yorku: właśnie teraz ma ona być zabrana właścicielowi, skonfiskowana i sprzedana. Stary pułkownik z powodu swego przywiązania do Jego Majestatu, króla angielskiego, traci majątek, przynoszący prawie milion funtów szterlingów rocznego dochodu i zostaje z żoną i siedmiorgiem dzieci na łasce wspaniałomyślności parlamentu. Zobaczyłem go w New-Yorku, przygnębionego wiekiem i chorobą; przygotowywał się do opuszczenia swojej ojczyzny, by podążyć za ostatkami armii angielskiej.

La riviere s'elargit ici et forme un bassin considérable que les Hollandais ont appellé jadis Tapan-Sea et qui a gardé ce nom jusqu'à présent. Avant d'y entrer a un endroit nommé Rockland sont les limites du Jersey et les deux rives appartiennent à l'etat de New-Yorck. Le Tapan-Sea a à peu près cinq milles de longueur et la riviere reprend aprés sa largeur ordinaire: le pays à l'est offre le spectacle d'une culture svignée; les maisons, les fermes, les moulins remplissent les vallées et ornent les collines, mais du côté de l'ouest garde toujours ses beautés sauvages. Les montagnes escarpées et les forêts epaisses semblent annoncer une vue bien monotone mais la savante main de la nature a jetté ses matières informes avec tant d'art et les a placées dans des situations si heureux qu'elles forment une chaîne continuelle de coups d'oeil ravissante. Nous aperçumes sur une des plus hautes montagnes un grand amas de bois sec mêlé de différentes combustibles et nous apprimes que ces précautions étaient répétées jusqu'à Albany et devaient servir. de signaux en cas d'un mouvement quelconque de l'armée ou de la flotte anglaise.

Rzeka rozszerza się tutaj i tworzy znaczne jezioro, które Holandczycy nazwali niegdyś Tapan-sea i nazwa ta zachowała się aż po dzień dzisiejszy. Przed wejściem na miejsce, zwące się Rockland, spotyka się granice Jersey, a oba brzegi należą do stanu New-Yorku. Tapan-sea posiada prawie pięć mil długości a rzeka już w dalszym ciągu przybiera swoją zwyczajną szerokość. Od strony wschodniej widzimy kraj uprawiany bardzo starannie; domy, osady, młyny, napełniają dolinę i ozdabiają pagórki, podczas gdy strona zachodnia zachowuje stale swoją dziką piękność. Góry urwistę i gęste lasy zdają się zapowiadać widok bardzo monotonny, jednak umiejętna ręka przyrody rozrzuciła ten niekształtny materyał z takim artyzmem i umieściła go w położeniach tak dobranych, że tworzy on nieprzerwany łańcuch, który zachwyca oko. Na jednej z najwyższych gór ujrzeliśmy wielki stos suchego drzewa, pomieszanego z rozmaitymi palnymi materyałami i dowiedzieliśmy się, że takie środki ostrożności ciągną się aż do Albany i miały służyć jako sygnały na wypadek jakiegokolwiek poruszenia się armii lub floty angielskiej.

On nous fit remarquer aussi un pic très elevé appellé Verdridica ou Tedins Point, au sommet du quel est un lac semblable à celui du Mont-cenis où l'on pêche d'excellents poissons. à 1 mille de la le pays s'aplanit de deux côtés et la riviere se répand de nouveau et forme une espèce de baye qui a gardée son ancien nom hollandais de Stacverstraw-Buy; mais elle ne jouit pas longtemps de cette extension. Les deux promontoires de Stoney-point et de Haver plantes Neck la rétrécissent et forment une espece de détroit: ces deux points importants furent enlevés par sir Henry Clinton en 1777. mais deux ans après le général Vaine surprit le colonel Johnson dans Sroney-point et le fit prisonnier avec toute la garnison: la bonne conduite du colonel Webster du 33 régiment sauva Haver plantes Neck.

J'ai oublié de vous dire que nous avons vu en dèça Stoney-Point une petite maison de Mr. Smith fils du chef-justice de la province où l'intéressant André et le général Arnold s'abouchèrent: on prétend ici qu'Arnold ne fut pas le seul s'éduit dans sa famille et que l'amour avait semé de fleurs le chemin qui conduisit le major à une mort ignomignieuse. . .

. . . .

Zwrócono nam również uwagę na bardzo wysoki cypl, nazwany Verdridica lub Tedins-point, na którego szczycie znajduje się jezioro, podobnie jak na Mont-cenis. gdzie można łapać doskonałe ryby. O milę stamtąd kraj poczyna się wyrównywać po obu stronach a rzeka rozszerza się znowu i tworzy rodzaj zatoki, która zachowała dawną swoją nazwę holenderską Stacwerstraw-buy. Jednak rzeka nie cieszy się długo tem rozszerzeniem; dwa przylądki Stoney-point i Hawerplantes-neck zwężają ją i tworzą rodzaj cieśniny. Te dwa ważne punkty zostały zabrane przez Henryka Clintona w r. 1777, lecz w dwa lata później generał Vaine napadł na pułkownika Johnsona na Stoney-point i wziął go do niewoli wraz z całą załogą: należyte postępowanie Webstera.. pułkownika 33 pułku* ocaliło Haverplantes-neck.

Zapomniałem powiedzieć, że z tej strony Stoney-point ujrzeliśmy mały dom pana Smitha, syna okręgowego szefa sprawiedliwości, gdzie ciekawy André i generał Arnold rozprawiali się ze sobą:. twierdzono tutaj, że Arnold nie był jedynym oszukanym w swojej rodzinie i że miłość siała kwiaty po drodze, która zaprowadziła majora do haniebnej śmierci. . . . .

. . . .

Si cette circonstance est vraie je ne conçois pas de fin plus malheureuse, que celle de ce jeune officier: mais il faut espérer qu'un jour l'impartial historien de cette guerre sensible au sort de cet infortuné, en rendant justice à sa vertu et son courage consolera ses manes affligées. Depuis Stoney-Point les montagnes commencent à devenir plus hautes et le lit de la riviere plus etroit, le fleuve y est plus profond, mais non pas plus rapide, il coule majestueusement et ne se presse pas de quitter ces rives charmantes.

Il est difficile d'imaginer un endroit plus romanesque que celui-ci. La plume de l'Arioste ne saurait inventer une de plus enchanteur: et les rochers de la Milleraye sont moins intéressants. On y respire une douce mélancolie et le silence profond qui y régne entretient les reflexions et donne une ample-carrière à l'imagination.

Le soleil était déjà couché quand nous entrâmes parmi les rochers. La pâle lumiere de la lune éclairait la cime des montagnes qui se courbaient et formaient presqu'un voûte sur nos têtes; réfléchie dans l'eau limpide et tranquile, je restais en exstase pendant quelques minutes mais mon ame fut réveillée et

---

Jeżeli powyższa okoliczność jest prawdziwą, to ja nie znam bardziej nieszczęśliwego końca, jak ten, jaki spotkał tego młodego oficera; jednak trzeba się spodziewać, że pewnego dnia bezstronny historyk, łącząc tę bolesną wojnę z losem tego nieszczęsnego, odda sprawiedliwość jego cnocie i odwadze i pocieszy jego znękaną duszę.

Począwszy od Stoney-point góry zaczynają stawać się coraz wyższe, a łożysko rzeki coraz węższe: rzeka w tem miejscu jest głębsza, jednak wcale nie szybsza: płynie majestatycznie i nie spieszy się opuszczać swoich czarujących brzegów.

Trudno jest wyobrazić sobie okolicę bardziej romantyczną jak ta. Pióro Ariosta nie umiałoby wymyślić jednego z tych cudów a nawet skały Milleraye'a nie są już tak ciekawe. Oddycha się tu łagodną melancholią a głębokie milczenie, jakie panuje, pobudza do rozmyślań i toruje wyobraźni szeroką drogę.

Słońce zaszło już, kiedy weszliśmy między skały. Blade światło księżyca oświetlało wierzchołki gór, które pochylały się i tworzyły nad naszemi głowami prawie sklepienie; zapatrzywszy się w swój obraz w wodzie czystej i spokojnej, pozostawałem

le vaisseau en poursuivant sa route excitait un doux frémissement; enfin — — — — — — — — — — — — — — — — — —

La plume d'un grave historien,[1]) ne daigne guère faire mention, de la mort d'un officier subalterne, l'attention d'un voyageur, n'est point arrêtée par une nolce de terre qui couvre le corps d'un brave soldat, mais il doit être permi a un compatriote de planter une branche de laurier sur la tombe de son ami et d'arracher son nom à l'oubli eternel

Ce Chr. Clenton l'appelle pour lui faire voir un ouvrage qu'il croyait attaquable et lui demander ce qu'il en pensait?

---

[1]) Od tego miejsca rozpoczyna się: Podróż po Ameryce północnej w rękopisie Bibl. Jagiellońskiej nr. 5634; brak w nim całego początku, na co zresztą rękopis wskazuje bardzo wyraźnie, gdyż zaczyna się od zeszytu drugiego; początek jednak przechował się w rękopisie nr. 49, folio, kart 75, prywatnej biblioteki hr. Chreptowicza-Buteniewa w Szczorsach na Litwie. Rękopis ten jednak — jakkolwiek jest niewątpliwie kopią jagiellońskiego — o wiele gorszy, pełen opuszczeń. pisany niedbale. Podczas gdy jagielloński przeznaczony był do druku, ten był jedynie jego odpisem, przeznaczonym niezawodnie do prywatnego użytku. Cały więc początek: Pamiętnika po Ameryce północnej aż do tego miejsca, wydany jest na podstawie rękopisu szczorsowskiego.

---

przez kilka chwil w ekstazie, jednak ocknąłem się prędko, a i okręt zadrżał z lekka, puszczając się w dalszą drogę; wreszcie — — —

Pióro wielkiego historyka nie raczy wcale wspominać o śmierci oficera niższej rangi, uwaga podróżnika nie zatrzymuje się wcale na pagórku ziemi, pokrywającym ciało dzielnego żołnierza, ale powinno być dozwolone współrodakowi zasadzić gałęź wawrzynu na grobie swego przyjaciela i wyrwać jego imię wiecznemu zapomnieniu.

Ten Chr. Clenton zawołał go. aby mu pokazać pracę, którą uważał za możliwą do wykonania i zapytał się go, co on o niej

Grabowski allait lui repondre, l'orsqu'il fut atteint d'une balle dans la poitrine qui le fit expirer sur le champ.

Nous passâmes rapidement à côtés des restes des forts Clinton et Montgomery, qui furent pris par les Anglais après une deffense opiniatre. Le jeune C-te Grabowski futué à l'attaque de ce dernier. il était capitaine dans l'armée anglaise et avait menté l'amitié et l'estime de ses généraux.

Le vent qui s'engoufre quelque fois dans ce detroit, commença a souffler avec plus de force. et nous enleva plus tôt que je me souhaitais. Il était huit heures quand nous abordâmes a Westpoint. où nous devions nous arrêter. Le Gl. Knac pour qui nous avions des lettres du Gl. Washington ent la bonté de nous loger: comme j'avais passé une très mauvaise nuit dans le bateau, je fus charmé de retrouver un lit supportable.

17. Octob.

Je vis de ma fenêtre ce matin deux régiments continentaux caparade: Ils sont médiverement bien sous les armes. Ceux qui

---

myśli? Grabowski chciał mu odpowiedzieć, gdy nagle został rażony kulą w piersi. od której wyzionął ducha na miejscu.

Przeszliśmy szybko obok ruin twierdz Clinton i Montgomery, które po upartej obronie zostały wzięte przez Anglików Młody hrabia Grabowski został zabity tam podczas ataku; był on kapitanem angielskiej armii i zjednał sobie przyjaźń i szacunek swoich generałów.

Wiatr, który wtłacza się niekiedy w tę cieśninę, zaczął dąć z większą siłą i uniósł nas wcześniej, aniżeli sobie tego życzyłem. Była 8-ma godzina, gdy przybiliśmy do Westpoint, gdzie mieliśmy zatrzymać się: Gen. Knac, któremu wręczyliśmy listy od gen. Washingtona, był tak dobry, że nas przyjął do siebie, a ponieważ spędziłem bardzo złą noc na statku, byłem uszczęśliwiony znalazłszy wcale znośne łóżko.

17. październ.

Widziałem z mego okna dziś rano 2 pułki piechoty; wyglądają one pod bronią wcale nieźle. Ci, co są przyzwyczajeni do

sont accoutumés au coup d'oeil des armées Europeennes, ne seraient nullement contents de la manière dont les soldats americains font l'exercice. Ils ne leur trouveraient ni cette demarche guerière, ni cet ensemble séduisant, qui distingue particulierement les trouppes allemandes. C'est pourtant devant ces memes hommes, devant une milice encore plus mal tournée que deux armées à la demarche fiere et faisant parfaitement l'exercice, mirent bas ces armes. Après déjeûner nous allâmes visiter le fort, où sont deposée toute l'artilerie et toutes les munitions et les magazins des Etats Unis. C'est le Pandemonium de l'Amerique. Nous y vîmes les immenses bombes a feu que Bourgoine avait trainé avec lui et que les Americains acquirent par la convention de Saratoga. On a eu soin de graver en lettres d'or, l'endroit, l'année et le jour, où chaque piece a été mise; elles sont rangée et entretenues assez proprement et Knownach assûra que leur nombre montait aprés de 400. Le fort où toute cette artilerie est deposée s'appelle le fort Clinton il se nommait jadis le fort Arnold. [1]) . . . .

[1]) W ten miejscu rękopis zdefektowany.

---

wyglądu wojska europejskiego, nie byliby wcale zadowoleni ze sposobu, w jaki żołnierze amerykańscy odbywają swoje ćwiczenia. Nie znaleźliby oni w nich ani tego kroku wojowniczego, ani tej łączności podziwu godnej, która cechuje szczególnie wojska niemieckie. A jednakże przed tymi ludźmi, przed milicyą tak słabo wyćwiczoną, całe dwie armie maszerujące imponująco i robiące doskonale ćwiczenia, złożyły broń. Po śniadaniu poszliśmy zwiedzić twierdzę, gdzie jest przechowywana broń, amunicya i zapasy Stanów Zjednoczonych. Jest to Pandemonium Ameryki. Ujrzeliśmy tam ogromne pękające bomby, które Bourgoine przywiózł ze sobą a które Amerykanie zyskali traktatem w Saratodze. Wyryto starannie złotemi literami miejsce, rok i dzień, w którym każda sztuka została zdobytą;. są one uporządkowane i odpowiednio utrzymywane i Knownach upewnia, że liczba ich przechodziła 400. Twierdza, gdzie cała ta amunicya jest złożoną, nazywa się twierdzą Clinton a dawniej Arnold. . . . .

Vis-à-vis de la pointe est une isle appellée Constitution Island une Chaine tendue d'une rive à l'autre émpêche absolument le passage. Je ne conçois pas comment le Chr. Clinton, a negligé de s'emparer et de s'apurer de ces dena postes qui garantissaient aux Anglais une libre navigation sur la riviere dus nord, d'autant plus qu'ayant détruit la Batcene sur l'isle de la Constitution, il lui était fort aisé de se rendre maître de la rive apposée.

Le plus elevé de tous ces forts porte le nom de Putnam; Arnold meditant son dessein y faisait faire une brèche considerable, persuadant aux officiers americains, que c'était pour en agrandir l'enceinte. Toutes ces fortifications sont dans un état miserable, mais la nature apparu abondamment à leur defense. des rochers escarpés de tous côtés, les rendent presque inocupibles, et la moindre petite forrée dirigée raisonnablement est capable d'arrêter un grande armée. Le reste des trouppes americaines est campé dans une petite pleine au pied des montagnes: On assure ici qu'elles montent a près de quatre milie hommes: mais j'ai peine à croire que leur nombre soit aussi considerable.

Naprzeciw znajduje się wyspa nazwana Constitution Island, łańcuch wyciągnięty od jednego brzegu na drugi zagradza absolutnie przejście. Nie mogę pojąć, że Chr. Clinton zaniedbał zająć i skończyć ostatecznie z temi stanowiskami, które zapewniały Anglikom swobodną żeglugę po rzece północnej, tym bardziej, że zniszczywszy już Batcene na wyspie Konstytucyi, mógł bardzo łatwo stać się panem brzegu przeciwnego.

Najwyższa z tych twierdz nosi nazwę Putnam; Arnold rozmyślając nad swoim zamiarem, kazał tam zrobić znaczny wyłom, wmawiając w oficerów amerykańskich, że czynił to dla powiększenia jej wnętrza. Wszystkie te fortyfikacye znajdują się w nędznym stanie, ale sama przyroda przyczyniła się obficie do ich obrony; piętrzące się ze wszystkich stron skały czynią je prawie niezdobytemi i najmniejsza garstka, umiejętnie kierowana, jest w stanie zatrzymać wielką armię. Reszta wojsk amerykańskich obozuje na małej równinie u stóp gór. Zapewniają tu, że dochodzi ona do 4.000 ludzi, ale z trudnością wierzę, żeby ich liczba była tak znaczna.

Nous quittâmes à midi notre géneral: c'est un violent republicain, qui a été libraire à Boston, il fut un des premiers à desirer la revolution, et ou de plus ardents à la soutenir. Il nous prêta son bateau qui en moins de cinq heures nous conduisit à Pough Ketpsie. Après avoir depassé le detroit formé par la West-Point, à la Constitution-Island, nous aperçûmes une autre petite isle appellée Polapols. Le pays de là commence à devenir moins élevé, et les Heighlands Montains sont bornées du côté de l'est par la petite riviere de fishkill, comme celles de Batterhill à l'ouest par une petite crêche appellé Murdemskill. Nous passâmes près de Neu-Windsor, ou plustot près de Snakerhill, ou l'armée américaine a été campée jusqu'à la paix.

Quoique les deux rives soient assez bien cultivées, leur vue est pourtant moins agréable: et on ne remontre plus ces situations enchanteres ses qui distinguent le voisinage de West-Point. Il y a plusieurs forges sur la côte, mais l'armée anglaise dans sa course en a détruit les etablissements. Les chênes, les poins, les cedres, composent pour la plus part les fôrets qui bordent la côte, et donnent des grandes facilités pour l'exploitation des

---

W południe opuściliśmy naszego generała; jest to gwałtowny republikanin, który był księgarzem w Bostonie: był on jednym z pierwszych, pragnących rewolucyi i jednym z najbardziej zapalonych, którzy ją podtrzymywali. Użyczył on nam swojej łodzi, która w niespełna pięciu godzinach zawiozła nas do Pongh Ketpsie. Minąwszy cieśninę, utworzoną przez West-Point i wyspę Konstytucyi, spostrzegliśmy inną małą wysepkę, nazwaną Pola-Pols. Kraj odtąd zaczyna być mniej wzniesionym a góry Heighlands otoczone są od strony wschodu małą rzeczką Fishkill, podobnież jak góry Batterhill kończą się na zachodzie małym wąwozem, nazwanym Murdemskill. Płynęliśmy koło Neu-Windsor, albo raczej bliżej Snakerhill, gdzie armia amerykańska obozowała aż do zawarcia pokoju.

Chociaż oba brzegi są dość dobrze uprawne, widok ich jednak jest mniej przyjemnym; nie spotyka się już tych czarujących obrazów, które odznaczają bliskość West-Point. Było na brzegu kilka kuźni, ale armia angielska w przechodzie zniszczyła ich osady. Dęby, sosny, cedry składają się po większej części na lasy, które otaczają wybrzeże i ułatwiają bardzo eksploatacyę rud

mines de fer. Cette exploitation est d'ailleurs très aisée, le mineral se trouvant à fleur de terre. J'ai en toute la journée une traduction anglaise de voyage du bon Kalm; il m'amuse singulierement par son exactitude scrupuleuse, et par une bonhommie sans exemple, il n'omet aucune histoire qu'il a entendu raconter au peuple; et fait souvent des reflexions dignes Shaah-Baam.

J'imagine qu'il doit être meilleur botaniste, et que tout ce qu'il a ecrit sur les plantes et les arbres de ce pays est instructif.

Nous fumes très fâchés d'apprendre à notre arrivée a Ponghkeepsie que le gouverneur Clinton en était absent; nous lui étions particulierement recommendé, et je comptais en tirer des informations exactes sur cette province et sur quelques articles de la revolution, dont-il est, dit-on, très instruit. Sa belle mere que nous trouvâmes à la maison nous reçut parfaitement. C'est une vielle presbiterienne de 74 ans, qui nous traita avec une hospitalité et une honnêteté peu commune.

żelaznych. Ta eksploatacya jest zresztą bardzo łatwą, ponieważ minerał znajduje się na równi z powierzchnią ziemi. Miałem przez cały dzień angielskie tłumaczenie „Podróży Bon-Kalma“: bawi mię ono szczególnie swoją skrupulatną dokładnością i swoją bezprzykładną dobrodusznością: nie opuszcza żadnej historyi, którą słyszał opowiadaną u ludu i robi często uwagi, godne Shaah-Baam'a.

Wyobrażam sobie, że musi być on lepszym botanikiem i że wszystko, co napisał o roślinach i drzewach tego kraju, jest pouczającem. Byliśmy bardzo niezadowoleni, gdy przyjeżdżając do Pougkeepsie dowiedzieliśmy się, że gubernator Clinton jest nieobecnym: byliśmy mu szczególnie poleceni i liczyłem, że otrzymam od niego dokładne wskazówki, co się tyczy tej prowincyi i pewnych szczegółów o rewolucyi, w czem, jak mówią, jest on dobrze poinformowany. Jego teściowa, którą zastaliśmy w domu, przyjęła nas nadzwyczajnie: była to stara presbiteryanka, 74-letnia, która przyjęła nas z gościnnością i grzecznością nigdzie niespotykaną.

18. Octob.

Nous comptions partir ce matin, et nous transporter par terre chez le Ch.: Levingston. mais il a plû toute la journée, et comme les ogtan de ce pays-ci ne sont pas couvertes, nous préferâmes de rester et d'attendre le beau temps. J'ai profité de ce loisir pour arranger les materiaux de mon journal. et pour vous tracer quelques traits qui manquent au portrait que je Vous ai fait des moeurs, et de la façon de vivre des Americains. Il y a dix contre un apaner, qu'un voyageur dinant tous le jours chez une autre personne, se nourrira pendant un mois de mêmes mets et accomodés de la même manière. La table d'un Gl. d'un gouverneur, d'un fermier, d'un aubergiste se ressemblent parfaitement: mouton, beuf, cochon; cochon, beuf et mouton; beuf, moton, couchon; sont les bases fondamentales des repas. Ils consistent ordinairement en deux gropes pièces. qui accompagnent de quelques pommes de terres et de differentes salades. Je n'ai vû qu'une seule exception a cet arrangement et c'est chez le plus riche particulier de Philadelphie et à un diner de vingt personnes.

---

18. października.

Spodziewaliśmy się wyjechać tego ranka i dostać się lądem do Lewingston, ale ponieważ padał deszcz cały dzień i że powozy używane w tym kraju nie są kryte, woleliśmy zostać i czekać na piękniejszą pogodę. Skorzystałem z tego wolnego czasu, aby ułożyć materyały mego dziennika i żeby Ci zaznaczyć kilka rysów, których brak do zupełnego scharakteryzowania obyczajów i sposobu życia Amerykanów. Prawie na pewne przyjąć możemy, że podróżny objadujący codziennie u innej osoby, będzie się żywił przez miesiąc jednemi i temi samemi potrawami, przyrządzonemi w ten sam sposób. Stół generała, gubernatora, dzierżawcy, oberżysty, podobny jest do siebie zupełnie; baran, wół, świnia; świnia. wół i baran; wół, baran, świnia stanowią zasadniczą treść posiłków. Składają się one zwyczajnie z 2 wielkich kawałków, które podają z kartoflami i rozmaitą sałatą. Widziałem tylko jeden wyjątek w tym sposobie podania i to u najbogatszego prywatnego człowieka z Filadelfii. na obiedzie podanym dla 20 osób.

On est accoutumé ici à satisfaire l'appelit et non à l'viriter, comme deux pièces considerable suffisent pour rassasier le nombre des convives.

Le plus pauvre fermier en Amerique, mange plus de viande en une semaine, que beaucoup de paysans europeens, (même dans les pays où ils sont le plus à leur aise) dans toute l'année. Le rum melé avec de l'eau est la boisson la plus commune, mais on trouve partout du vin de Porto ou de celui de Madere.

Ils font ici avec des melasses et une espece de sapin, une excellente bierre connue sons le nom de Spruce beer. Toutes les recherches qui rendent la vie plus commode et plus agreable, toutes les superfluités de luxe, leur sont tout-à-fait inconnues excepté dans quelques grandes villes, où même elles sont très rares, mais le peu de meubles pour leur usage journalier est entretenue avec une propreté et une elegance introuvable dans nos pays.

19. Octbr.

Il a neigé beaucoup ce matin et un terrible vent de nord n'a point empêché la pluie. Nous restâmes toute la journée

---

Przyzwyczajonym się jest tu zadawalniać apetyt, nie zaś go drażnić i z pewnością 2 znaczniejsze kawałki wystarczyłyby do nasycenia wszystkich zaproszonych.

Najbiedniejszy dzierżawca w Ameryce je więcej mięsa w jednym tygodniu, aniżeli wielu chłopów europejskich (nawet w krajach, gdzie im się najlepiej powodzi) w całym roku. Rum, zmięszany z wodą, jest napojem najpospolitszym, ale znajduje się wszędzie wino z Porto albo Madery.

Sporządzają tu z melassy i z pewnego rodzaju jodły doskonałe piwo, znane pod nazwą Spruce beer. Wszystkie wynalazki, które czynią życie wygodniejszem i przyjemniejszem, wszystkie zbytki luksusowe są im całkiem nieznane, z wyjątkiem kilku miast i tam nawet są one bardzo rzadkie, ale za to ta mała ilość mebli, służąca im do użytku dziennego, jest utrzymywana z czystością i elegancyą, niewidzianą w naszych krajach.

19. października.

Wielki śnieg padał dziś rano i straszny wiatr północny nie przeszkodził wcale deszczowi. Zostaliśmy cały dzień u naszej

entre nôtre bonne vieille et le Cl. Benson, avec qui je causais sur la manière de lever les taxes dans cette Province. J'ai parcouru aussi un grand livre ou sont rassemblées les loix de l'Etat, et j'ai vû qu'ici comme partout ailleurs, elles sont faites pour la plus part dans des vues très etroites, et qu'elles sont pour ainsi dire tous les deux ans.

---

poczciwej staruszki i Cl. Benson, z którym mówiłem o sposobie pobierania podatków w tej prowincyi. Przejrzałem również dużą księgę, w której są zebrane prawa tego Stanu i spostrzegłem, że tu, jak wszędzie indziej, prawa te są ustanowione po większej części w zakresach bardzo ciasnych i w taki sposób, jakby najwyżej 2 lata do użytku miały służyć.

(Ciąg dalszy nastąpi).

Przemysł górniczo-hutniczy w Galicyi w roku 1906.

Nafta i wosk ziemny.

II.[1])

W roku 1906 było w całej Galicyi 369 przedsiębiorstw naftowych, t. j. o 26 więcej niż w poprzednim, z czego 322 w biegu. Eksploatacya odbywała się, jak w latach poprzednich, w trzech okręgach górniczych: Jasielskim, Drohobyckim i Stanisławowskim.

W okręgu górniczym Jasielskim było zajętych przez przedsiębiorstwa naftowe: 103·7 ha miar górniczych, 4·3 ha miar dziennych i 1.514·29 ha terenów (pól) naftowych, t. j. 61·41 ha więcej niż w roku poprzednim. Ogółem było w tym okręgu 108 przedsiębiorstw naftowych, z których 89 przedsiębiorstw było w biegu w 48 gminach następujących powiatów: Brzozów, Gorlice, Jasło, Krosno, Nowy Sącz, Pilzno i Sanok.

W okręgu Drohobyckim zajętych było przez przedsiębiorstwa naftowe 63·1 ha miar górniczych, a 245·87 ha pól naftowych. Ogółem było w tym okręgu 237 przedsiębiorstw, t. j. 33 więcej niż w roku poprzednim, z czego 210 było w biegu, t. j. 18 więcej niż w roku poprzednim. Przedsiębiorstwa te roz-

---

[1]) Patrz zeszyt „Przewod. nauk. i lit.“ z listopada 1907.

ciągały się na 26 gmin w następujących powiatach: Dobromil, Dolina, Drohobycz, Lisko, Sambor, Stary Sambor, Stryj.

W okręgu Stanisławowskim zajmowały przedsiębiorstwa 336·37 ha. Ogółem było w tym okręgu 24 przedsiębiorstw naftowych, z których 23 w biegu w następujących pięciu powiatach: Bohorodczany, Kałusz, Kosów, Nadwórna i Peczeniżyn.

Wszystkie przedsiębiorstwa naftowe w całej Galicyi zatrudniały ogółem 6.446 robotników, t. j. o 204 mniej niż w roku poprzednim. Wytwórczość cała wynosiła 7.371.942 c. m., była zatem o 571.970 c. m., t. j. 7·20% mniejszą niż w roku poprzednim. Wartość cała wytwórczości była 19,843.685 k., t. j. 256.252 k. czyli 1·31% mniej niż w roku poprzednim. Średnia cena ropy za 1 c. m. wynosiła 2 k. 69 h., t. j. była o 22 h. wyższą niż w roku poprzednim.

Wymienione powyżej cyfry rozdzielają się w następujący sposób na pojedyncze okręgi górnicze.

W okręgu Jasielskim zajętych było 1.583 robotników. Wytwórczość wynosiła 834.604 c. m. wartości 3,178.634 k. czyli 267.058 c. m. za kwotę 576.323 k. mniej niż w roku poprzednim. Średnia cena ropy wynosiła 3 k. 81 h. za 1 c. m. czyli o 40 h. więcej niż w roku poprzednim. Była to cena najwyższa ze wszystkich ropnych okręgów.

W okręgu Drohobyckim pracowało 4.597, t. j. 286 mniej niż w roku poprzednim. Otrzymano 6.424.726 c. m. ropy, t. j. 299.326 c. m. mniej niż w roku poprzednim. Wartość tej ropy wynosiła 16,309.359 k. t. j. 851.746 k. więcej niż w roku poprzednim. Średnia cena ropy za 1 c. m. wynosiła 2 k. 54 h. t. j. o 24 h. wyższa niż w roku poprzednim.

W okręgu Stanisławowskim zajętych było 266 robotników, t. j. o 103 robotników więcej niż w roku poprzednim. — Otrzymano 112.612 c. m. czyli 5.586 c. m. mniej niż w roku poprzednim. Wartość ropy wynosiła 355.692 k., t. j. o 19.171 k. mniej niż w roku poprzednim. Średnia cena ropy wynosiła 3 k. 16 h., t. j. zmniejszyła się o 1 h. za 1 c. m.

Okrąg górniczy	Robotnicy (wraz z dozorcami)					Wytwórczość				Wartość w koronach	Średnia cena za cetnar metryczny w miejscu wytwórczości
	Mężczyźni	Kobiety	Robotnicy młodociani	Dzieci	Razem	na nadanych miarach górniczych	na polach naftowych	Oprócz tego	Razem		
	Ilość					Cetnarów metrycznych					
	a) Ropa										
Jasielski	1.572	3	8	.	1.583	29.668	66.052	738.884	834.604	3,178.634	3 k. 81 h.
Drohobycki . . .	4.591	.	6	.	4.597	.	1.399.961	5,024.765	6,424.726	16.309.359	2 k. 54 h.
Stanisławowski .	266	.	.	.	266	.	2.079	110.533	112.612	355.692	3 k. 16 h.
Razem . .	6.429	3	14	.	6.446	29.668	1,468.092	5,874.182	7.371.942	19,843.685	2 k. 69 h.
W roku 1905 . . .	6.617	16	17	.	6.650	25.366	1.564.908	6,353.638	7,943.912	19,587.433	2 k. 47 h.
w porównaniu z r. 1906 mniej	188	13	3	.	204	.	96.816	479.456	571.970	.	.
w porównaniu z r. 1906 więcej		.		.	.	4.302	.	.	.	256.252	— 22 h.

Z powyższego zestawienia widzimy, że wytwórczość ropy w tym roku cokolwiek się zmniejszyła, że cena ropy poszła w dwu okręgach (Jasielskim i Drohobyckim) około 10% w górę, tylko w okręgu Stanisławowskim pozostała prawie bez zmiany.

Większą część otrzymanego surowca oddawano Tow. akcyj. dla przemysłu naftowego „Petrolei" lub innym handlarzom surowca. Z oddanego wprost do rafineryi surowca najwięcej przypadło na rafinerye galicyjskie. Oprócz tego wywożono ropę poza obręb kraju do: Drösing, Dziedzic, Florisdorf, Kolina, Kralup, Morawskiej-Ostrawy, Morawskiego-Schönbergu, Bogumina, Pardubic, Przerowa, Tryestu, Budapesztu, Rieki, Orsowy, dalej do rafineryi w górnych Węgrzech i do Niemiec.

Wydobywanie wosku ziemnego odbywało się w dwu okręgach górniczych. Przedsiębiorstw było ogółem 18, t. j. 5 mniej niż w roku poprzednim, z tych 10 w biegu, t. j. 5 mniej niż w roku poprzednim. Z przedsiębiorstw tych były 4 w okręgu Drohobyckim, a 6 w okręgu Stanisławowskim w biegu. W obu tych okręgach zatrudnionych było ogółem 2.258 robotników, t. j. 630 robotników mniej niż w roku poprzednim.

Wytwórczość wynosiła 26.982 c. m, t. j. 2.590 c. m. czyli 8·76% mniej niż w roku poprzednim. Wartość wydobytego wosku wynosiła 3.352.363 k., t. j. 779.203 k. czyli 18·86% mniej niż w roku poprzednim. Średnia cena wosku była 124 k. 24 h. t. j. 15 k. 47 h. za 1 c. m. mniej niż w roku poprzednim. Z liczb powyższych przypada na okrąg Drohobycki 1.746 robotników, t. j. 328 mniej niż w roku poprzednim i wytwórczość 22.099 c. m. t. j. 2.016 c. m. mniej niż w roku poprzednim. Wartość tej wytwórczości wynosiła 2.851.771, była zatem mniejszą niż w roku poprzednim o 711.853 k. Średnia cena wosku wynosiła 129 k. 05 h., t. j. była mniejszą niż w roku poprzednim o 18 k. 73 h. na 1 c. m.

W okręgu Stanisławowskim zajętych było 512 robotników, t. j. 302 mniej niż w roku poprzednim, wydobyto 4.883 c. m, wosku, t. j. 574 c. m. mniej niż w roku poprzednim. Wartość wydobytego wosku wynosiła 500.592 k., t. j. 67.350 k. mniej niż w roku poprzednim.

Średnia cena wosku wynosiła za 1 c. m. 102 k. 52 h., spadła zatem bardzo nieznacznie, bo tylko o 1 k. 56 h. na 1 c. m.

Jako powód tak znacznege obniżenia się wytwórczości wosku uważać należy zastanowienie kopalni wosku ziemnego „Grupy II."

Tow. akcyj. „Borysław“ tudzież kopalni wosku „Concordia“ również w gminie Borysław.

Przetapianie wosku ziemnego odbywało się, jak w roku poprzednim, na miejscu, poczem sprzedawano go już, jako wytwór handlowy do fabryk cerazyny i parafiny w kraju i poza obrębem Galicyi. Do Niemiec, Rossyi, Francyi i do Ameryki wysłano 10.371 c. m., t. j. 3.753 c. m. więcej niż w roku poprzednim. W monarchii Austro-Węgierskiej przetopiono 4.000 c. m., t. j. 950 c. m. mniej niż w roku poprzednim.

Reszta w ilości 7.728 c. m. została jako zapas przy kopalniach wosku. W stosunku do roku poprzedniego zmniejszył się ten zapas o 4.819 c. m.

Koszta przewozu wosku w Borysławiu z kopalni do dworca kolei wynosiły 30 h za 1 c. m.

W okręgu Stanisławowskim przetopiono wosk wydobyty na miejscu, z czego wysłano 2.572 c. m. do Niemiec, a 2.311 c. m. oddano do fabryk krajowych. Wytwórczość ogólna ropy i wosku ziemnego czyli t. zw. bitumicznych minerałów wynosiła 7,398.924 c. m. była zatem o 574.500 czyli 7·21% mniejszą niż w roku poprzednim. Wartość jej wynosiła 23,196.048 k. t. j. była 522.951 k. czyli 2·20% mniejszą niż w roku poprzednim. We wszystkich kopalniach nafty i wosku ziemnego zajętych było 8.704 robotników, t. j. 834 mniej niż w roku poprzednim. Na jednego robotnika przypada zatem wytwórczość 850·06 c. m. wartości 2.664 k. 99 h. t. j. 14·09 c. m. = 178 k. 20 h. więcej niż w roku poprzednim.

Okrąg górniczy	Robotnicy (wraz z dozorcami) Ilość: Mężczyźni	Kobiety	Robotnicy młodociani	Dzieci	Razem	Wytwórczość Cetnarów metrycznych: na nadanych miarach górniczych	na polach naftowych	Oprócz tego	Razem	Wartość w koronach	Średnia cena za cetnar metryczny w miejscu wytwórczości
b) Wosk ziemny											
Jasielski	.	.	.	.	.	.	.	.	.	.	.
Drohobycki	1.678	22	46	.	1.746	.	11.792	10.307	22.099	2,851.771	129 k. 05 h.
Stanisławowski . .	512	.	.	.	512	.	3.228	1.655	4.883	500.592	102 k. 52 h.
Razem . .	2.190	22	46	.	2.258	.	15.020	11.962	26.982	3,352.363	124 k. 24 h.
W roku 1905 . . .	2.817	31	40		2.888	.	15.373	14.199	29.572	4.131.566	139 k. 71 h.
w porównaniu z r. 1906 mniej	627	9	.	.	630	.	353	2.237	2.590	779.203	15 k. 47 h.
w porównaniu z r. 1906 więcej	.	.	6	.	.	.	.	.	.	.	.

Do eksplotacyi ropy i wosku ziemnego zużyte zostały w r. 1906 następujące materyały:

1. Drzewo budulcowe za sumę		669.980 k.
2. Żelaza i stali 10,930.896 kg. wartości		7,650.330 „
3. Materyałów wybuchowych za sumę		2.474 „
4. a) Oleju rzepakow., nafty 79.415 kg. za	34.160 k.	
b) Benzyny . . . . 13.881 kg. „	7.405 „	41.565 „
5. Smarów 725.122 kg. wartości . .		304.763 „
6. Materyału opałowego do pędzenia kotłów i kuźni, a mianowicie:		
188.128 c. m. węgla kamiennego „	561.386 „	
64.721 c. m. koksu . . . . „	229.526 „	
2.390 c. m. węgla drzewnego . . . „	7.791 „	
48.853 m³ drzewa opałowego . . . „	297.642 „	
650.622 c. m. ropy . . . . „	1,732.285 „	
20.589 c. m. cięższych olei . . . . „	41.223 „	
Gazów, które przy eksplotacyi wosku ziemnego w samym okręgu Drohobyckim przedstawiają wartość „	70.944 „	
139 c. m. benzyny . . . . „	7.405 „	2,948.202 „
Razem spotrzebowano materyałów za sumę		11,617.314 k.

Spotrzebowano zatem mimo mniejszej w tym roku wytwórczości za 3,797.728 k. materyałów więcej niż w roku poprzednim. Powodu szukać należy w większem o 4,706.396 kg. zapotrzebowaniu żelaza, co wyniosło 3,064.344 k.

W tym roku było także zapotrzebowanie ropy, jako materyału opałowego o 243.636 c. m. większe niż w roku poprzednim.

Stosunki robotnicze były w każdym okręgu odmienne, jednak na ogół korzystne.

W okręgu Jasielskim pracowano przeważnie „na dniówkę“, przyczem płacono wiertaczom i pomocnikom wiertaczów t. zw. metrowe t. j. od metra przebitego otworu wiertniczego, albo dawano gratyfikacye po ukończeniu otworu wiertniczego.

Robotnicy dzienni otrzymywali na dniówkę 1 koronę.

Robotnicy dzienni zatrudnieni przy wierceniach rozpadali się na różne kategorye i mieli stosownie do ich uzdolnienia płace następujące:

Dozorca	od 1 k.	20 h.	do	10 k.	— h.
Wiertacz	„ 2 „	70 „	„	8 „	— „

Pomocnik wiertacza	od 1 k.	— h.	do 3 k.	— h.
Maszynista	„ 2 „	— „	„ 7 „	— „
Majster kowalski	„ 2 „	— „	„ 6 „	30 „
Pomocnik „	„ 1 „	— „	„ 3 „	— „
Cieśla, tokarz, blacharz	„ 1 „	50 „	„ 4 „	80 „
Zwyczajny robotnik dzienny	„ — „	80 „	„ 2 „	60 „
Kobiety	„ — „	60 „	„ — „	— „
Robotnicy młodociani	„ — „	80 „	„ 1 „	— „

Przy kopalniach nafty wynagradzano niektóre roboty w sposób akordowy i tak płacono: za wystawienie wieży wiertniczej wraz z przynależnymi budynkami 500 k. Za 1 m. wiercenia, aż do głębokości 750 m. 116 k. do 130 k., za czerpanie płacono 1 k. 60 h. od 1 c. m.

W roku 1906 wypłacono w tym okręgu zarobków:

Dozorcom	58.828 k.
Robotnikom	1,034.190 k.
Razem	1,093.018 k.

Wypłacono zatem o 68.622 k. więcej zarobku niż w roku poprzednim. Na głowę jednego dozorcy i robotnika przypadło w tym roku 690 k., t. j. 51 k. więcej niż w roku poprzednim.

Najwyższa ilość robotników w ciągu roku wynosiła 1.682, najniższa 1.474. Wszyscy robotnicy należeli albo do kasy chorych, albo też byli w robotniczym zakładzie ubezpieczeń od wypadków — zabezpieczeni.

Domów mieszkalnych robotniczych było ogółem 86 (wśród tych także baraki) z 235 mieszkaniami, gdzie miało pomieszczenie 108 robotników z rodzinami, a 258 nieżonatych z personalu dozorczego i robotniczego.

Robotnicy byli uzdolnieni, zręczni, zachowywali się spokojnie, prowadzili moralnie.

W okręgu Drohobyckim przedstawiały się stosunki robotnicze odmiennie. Na dniówkę płacono:

Dozorcy	od 2 k.	— h.	do 10 k.	— h.
Wiertaczowi	„ 2 „	80 „	„ 10 „	— „
Pomocnikowi wiertacza	„ 2 „	— „	„ 5 „	— „
Maszyniście	„ 2 „	80 „	„ 6 „	— „
Majstrowi kowalskiemu	„ 2 „	40 „	„ 6 „	50 „

Pomocnikowi kowalsk.	od	1	k.	—	h.	do	3	k.	80	h
Palaczowi	„	1	„	50	„	„	4	„	—	„
Rzemieślnikowi . . .	„	1	„	60	„	„	6	„	—	„
Robotnikowi placowemu	„	1	„	10	„	„	3	„	50	„
„ młodocian.	„	1	„	—	„	„	1	„	40	„

Prócz tego otrzymywał wiertacz i pomocnik wiertacza, czasem także palacz: metrowe, które w różny sposób było unormowane. Często także wypłacano pierwszą połowę ugodzonego miesięcznego wynagrodzenia najpierw, a drugą połowę później, t. j. dopiero po osiągnięciu pewnej głębokości otworu świdrowego n. p. 1.000 m. lub pewnej wydajności ropy.

Metrowe wynosiło zazwyczaj dla wiertacza 50 h. do 1 k., dla zwykłego robotnika 20 do 60 h. od 1 m. odwierconego. Oznaczano go także według pewnej skali głębokości *(Tiefenskala)* wywierconego otworu. Oprócz metrowego udzielano także gratyfikacye i premie; premie za wydatniejszą działalność przy wierceniu w ciągu miesiąca, za rurowanie, za instrumentowanie, ryczałtowe wynagrodzenie za nadzwyczajne wybuchy ropy, noworoczne i t. p.

Przy wybuchowych otworach świdrowych otrzymywali robotnicy miesięczne premie za ropę, a mianowicie: wiertacz 20 do 40 k.; pomocnik wiertacza 10 k. do 40 k., lub też dodatki do wynagrodzenia na dniówkę: dla wiertacza 2 k., dla pomocnika wiertacza 80 h. Premię za ropę wypłacano również w formie wynagrodzenia za cysterny (wiertacz 60 h. do 1 k., pomocnik wiertacza 30 h. do 50 h.), co szczególnie wtedy było w użyciu, gdy ropę dobywano pompami z otworów świdrowych. Tylko większe firmy wykonywały roboty w własnym zarządzie, przeważnie oddawano je przedsiębiorstwom. Przedsiębiorcom wiertniczym dawano za 1 m. wiercenia do głębokości 750 m. — 120 k. do 134 k,; do głębokości 850 m. — 150 k. do 190 k.; do 900 m. — 170 k. do 230 k., do 1.000 m. płacono: 190 k. do 260 k., a poniżej 1.000 m. głębokości płacono: 300 k.

Oprócz metrowego płacono także przedsiębiorcom wiertniczym premie za otrzymanie średnicy otworu świdrowego, aż do pewnej głębokości. Gwarancye dawano zazwyczaj do głębokości 850 m. także do 950 m.

W roku 1906 wypłacono w tym okręgu zarobków:

Dozorcom	1,398.248 k.
Robotnikom	3,418.606 „
Razem .	4,816.854 k.

T. z. wypłacono 63.187 k. zarobków więcej niż w roku poprzednim, czyli 1.048 k., t. j. 74 k. na głowę jednego robotnika więcej niż w roku poprzednim.

k. z.

(Dalszy ciąg nastąpi).

ODP. REDAKTOR ADAM KRECHOWIECKI. — NAKŁAD „GAZETY LWOWSKIEJ".

Dodatek do „Gazety Lwowskiej“.

PRZEWODNIK

NAUKOWY I LITERACKI

Rok XXXVI.

Tom XXXVI. — Zeszyt VII. Lipiec — 1908.

Odpowiedzialny redaktor: Adam Krechowiecki.

WE LWOWIE.
Nakładem wydawnictwa „Gazety Lwowskiej“.
Z drukarni Wł. Łozińskiego.
(Zarządca J. Niedopad).
1908.

Treść zeszytu.

I. — Reforma Izby Panów, napisał **Stanisław Starzyński**

II. — Żywot polityczny Michała Grabowskiego, napisał **Michał Rolle.**

III. — Zarys dziejów edukacyjnych Polski porozbiorowej na obczyźnie, napisał **Antoni Karbowiak.**

IV. — Wystawa Rembrandtowska w Lejdzie w r. 1906. (Notatki turysty), napisał **Bronisław Czarnik.**

V. — Wycieczka do Parany (stanu rzeczypospolitej Brazylii). Dziennik podróży, napisał **dr. Stanisław Kłobukowski.**

VI. — Z życia Kajetana Węgierskiego. Pamiętniki i listy, wydał **dr. Stanisław Kossowski.**

VII. — Przemysł górniczo-hutniczy w Galicyi w roku 1906. Nafta i wosk ziemny. II., przez **k. z.**

Reforma Izby Panów.

(Dokończenie).

Wszystkie dalej sięgające projekta reformy Izby Panów pozostały jednak na papierze, a skończyło się na tem, że rząd wniósł projekt ustawy, na mocy której dożywotni lub dziedziczni członkowie Izby Panów mogą odtąd przyjmować mandaty do Izby posłów, z równoczesnem zawieszeniem ich funkcyi w Izbie Panów na cały czas trwania mandatu poselskiego, tudzież że Izba Panów z własnej inicyatywy wymogła na rządzie zgodzenie się na taką zmianę jej ustroju, iżby odtąd liczba dożywotnich członków Izby Panów musiała zawsze wynosić najmniej 150 a najwięcej 170 (t. zw. *numerus clausus*). Projekt dotyczący został przyjęty przez obie Izby, sankcyonowany i ogłoszony jako ustawa z 26. stycznia 1907 r. Nr. 16. d. p. p. Co do cyfry, żądano początkowo minimum 160, maximum 180. W literaturze politycznej proponowano i inne cyfry; n. p. Rauter[1]) żąda najwyżej 70 członków, ale w związku ze znanem nam już zupełnem przeobrażeniem Izby Panów na swój sposób. Pozostawia jednak okres przejściowy, aż do czasu, w którymby ilość dzisiejszych dożywotnich członków spadła, wskutek wymarcia, na 70. Aż do tego czasu nie mogłaby Korona mianować żadnego nowego dożywotniego członka. Liczba dziedzicznych

[1]) Das neue Herrenhaus, j. w., str. 24.

członków Izby Panów nie została jednak i teraz zalimitowana, nie zachodziła tego żadna potrzeba. Gdyby się atoli okazać miało, że mianuje się zbyt wielu członków dziedzicznych, aby zrobić w ten sposób miejsce na nowych członków dożywotnich, nie przestrzegając przytem dość ściśle przepisanych konstytucyą warunków dziedziczności, natenczas trzebaby położyć tej tendencyi tamę przez stworzenie numerus clausus i dla członków dziedzicznych, względnie przez oznaczenie liczby członków Izby Panów wogóle, albo też ściślejsze określenie ustawowych warunków dziedziczności.

Zarazem odrzuciło plenum Izby Panów wszelkie proponowane mu zmiany tego brzmienia projektu reformy ustawy wyborczej, jakie przyjęła Izba posłów; w szczególności odrzuciło wprowadzenie wielokrotności głosowania, czyli systemu pluralnego, pomimo że mu to proponowała własna komisya dla reformy wyborczej, jakkolwiek w brzmieniu ograniczonem jedynie do pluralności opartej na wyższym wieku.[1])

Obie powyższe zmiany, aczkolwiek odnoszą się tylko do szczegółów i nie mogą być pojmowane jako „reforma" w wiekszym stylu, uważam za bardzo odpowiednie i uzasadnione i dlatego też, a zgodnie z opinią całego ówczesnego „Koła Polskiego" przemawiałem za niemi w Izbie poselskiej.[2]) Co do pierwszej, to sam fakt, iż obecnie czterej członkowie Izby Panów, t. j. dwaj dziedziczni, ks. Auersperg i ks. Lubomirski, i dwaj dożywotni, dr. Biliński i dr. Wittek skorzystali z danej możności i weszli do Izby posłów, dowodzi, że myśl była trafną. Nie jest też oryginalną, bo n. p. i lordowie angielscy i magnaci węgierscy często

---

[1]) Dr. R. Springer: Das gleiche Stimmrecht und das Herrenhaus (Oesterreichische Rundschau, December 1906) stara się dowieść, że było politycznym i patryotycznym obowiązkiem Izby Panów, odrzucić wszelkie próby wprowadzenia pluralności. Również wspomniany wyżej prof. T. Gomperz, członek Izby Panów, wystąpił z ostrą krytyką pluralności nawet w tem ograniczonem brzmieniu, jakie proponowała Izba Panów, t. j. z odrzuceniem dodatkowych głosów z tytułu wyższego stopnia wykształcenia lub pewnej wykazanej zamożności, a z dodaniem drugiego głosu tylko z powodu wieku wyższego ponad 35 lat. Prawda, że uczynił to już po odrzuceniu pluralności przez Izbę Panów. Patrz artykuł Gomperza: „Das mehrfache Stimmrecht der Aelteren" w „Neue freie Presse" z 23. grudnia 1906.

[2]) Patrz Stenographische Protokolle des Abgeordnetenhauses. XVII. Session. 470 Sitzung vom 10. Jänner 1907, s. 41.370—41.373.

czynią to samo. Dla polityków czynnych, mających i chęć i zdolność odegrania roli wybitnej, często kierującej, było dotychczas powołanie do Izby Panów rodzajem politycznej emerytury, przeniesienia w polityczny stan spoczynku: — i przyjęcie tego powołania połączone było z ryzykiem, że się go w danym razie będzie żałowało, po niewczasie. Często bowiem zdarzało się a przynajmniej zdarzać mogło, że ktoś zniechęcił się do życia politycznego czy to z powodu zmienionej sytuacyi i utrudnionych przez to warunków działania, czy też z motywów ściśle osobistych, i wtedy przyjmował powołanie do Izby Panów, a tem samem już raz na zawsze wyrzekał się możności piastowania mandatu poselskiego. Tymczasem później mijały nieraz trudności, z jakiemi poprzednio ten polityk miał do walczenia, niekorzystne warunki, wśród których działał, zmieniały się na korzystne, położenie polityczne, poprzednio może odstraszające, stawało się więcej nęcącem, mijało więc i zniechęcenie, i ów polityk przekonywał się, że miałby obecnie znów możność odegrania pewnej roli i wywierania pewnego wpływu, i chciałby do intenzywniejszego działania powrócić, tymczasem miał już ręce związane i drogę zamkniętą. Obecnie zaś nikt nie będzie potrzebował się obawiać, ażeby powołanie go do Izby Panów miało stanowić kres jego karyery politycznej, a więc każdy powołany może to powołanie przyjąć, o ile mu ono dogadza, mając z drugiej strony pozostawioną sobie możność ubiegania się każdej chwili napowrót o mandat poselski. Z tego powodu można też będzie teraz łatwiej znaleźć zawsze potrzebną ilość odpowiednich osobistości do Izby Panów, aniżeli dotychczas.

O dziedzicznych członkach Izby Panów można znów powiedzieć, że ci z pomiędzy nich, którzy czuli w sobie i chęć do pracy i zdolność polityczną i ambicyę, uważać to musieli dla siebie za *privilegium odiosum,* że bez własnej winy, a przez sam fakt urodzenia w rzekomo uprzywilejowanej rodzinie, wykluczeni byli ustawowo od odegrania takiej roli politycznej, jaka im się uśmiechała. To też powitali oni obecną zmianę pewno z zadowoleniem.

Jakkolwiek jednak dożywotni członkowie, którzy przyjęli mandat poselski, nie zasiadają przez ten czas w Izbie Panów, to jednak o ile chodzi o obliczanie minimalnej i maksymalnej liczby dożywotnich członków tejże Izby ze względu na numerus clausus, są oni zaliczani ciągle do członków Izby Panów, (wedle wyraźnego oświadczenia prezydenta ministrów br. Becka, złożonego w odpowiedzi na moje zapytanie), albowiem mogą każdej chwili mandat poselski złożyć i *eo ipso* do Izby Panów powrócić. To nas

prowadzi do drugiej zmiany, t. j. do kwestyi numerus clausus wogóle.

Powiedzieliśmy już wyżej, że było wielką wadą dzisiejszego ustroju Izby Panów, że liczba jej członków wogóle, a zwłaszcza liczba członków dożywotnich była aż do r. 1907 nieograniczoną, a więc zależną od dyskrecyonalnego uznania rządu i Korony. Dawniejsze konstytucye austryackie wolne były od tej wady.

Wedle projektu centralnego wydziału stanowego z r. 1848[1]) składać się miała pierwsza Izba ze ściśle określonej ilości członków, mianowicie 200 wybranych, 50 mianowanych przez Koronę, synów Cesarza i ich synów. Wprawdzie pierwsza konstytucya z 25. kwietnia 1848 nie oznacza ogólnej cyfry członków Senatu, (chociaż oznacza ilość członków wybieranych) i wprawdzie w tym Senacie mieli zasiadać także członkowie, mianowani od wypadku do wypadku, na wzór dzisiejszych dożywotnich, ale już Kromieryski projekt konstytucyi z r. 1849 oznacza dokładnie ogólną cyfrę członków Izby Wyższej, nazwanej tam „Izbą krajów", albowiem postanawia w §. 99, że ta Izba ma się składać z członków wybranych po sześciu przez każdy Sejm krajowy, tudzież po jednemu przez każdy sejmik obwodowy każdego kraju, który się składa z najmniej dwóch obwodów. Tak samo konstytucya Ołomuniecka z 4. marca 1849 r. orzeka w §. 40, że Izba wyższa ma liczyć połowę liczby członków Izby poselskiej, liczba zaś tych ostatnich była ściśle oznaczoną. W żadnej zaś z obu wyżej omawianych Izb wyższych nie miała zasiadać żadna kategorya członków, podobna do dzisiejszych dziedzicznych.

Wykluczenie elementu wyborczego od tworzenia Izby wyższej jest także specyalnością dopiero dzisiejszej konstytucyi austryackiej. Albowiem wedle projektu ułożonego przez ministra spraw wewnętrznych i delegatów Stanów krajowych z Austryi górnej i dolnej, Salzburga, Styryi, Morawii, Śląska, Karyntyi i Krainy (z każdego kraju po jednym) d. 13. kwietnia 1848 r. we Wiedniu, tudzież wedle projektu centralnego Wydziału Stanowego tychże krajów, obradującego od 10.—17. kwietnia 1848 r. we Wiedniu pod przewodnictwem marszałka Stanów Austryi dolnej, ks. Montecuccoli, miała pierwsza czyli wyższa Izba Stanów państwowych opierać się przedewszystkiem na wielkiej posiadłości ziemskiej, która wejść miała we wszystkich krajach

[1]) O którym zaraz niżej.

w prawa pierwszych trzech Stanów (prałatów, magnatów i szlachty) i była powołana wybierać dwustu członków Izby Wyższej.[1]) i to nie koniecznie ze swego własnego grona. A mianowicie 20 delegatów do pierwszej Izby miała wybierać Dolna Austrya, 15 Górna Austrya, 20 Styrya, 15 Karyntya i Kraina, 20 Tyrol, 5 Pobrzeże (Istrya, Gorycya-Gradyska, okręg Tryestu), 5 Dalmacya, 35 Morawia, Śląsk, Księstwa Oświęcim i Zator oddzielone od Galicyi, a wreszcie 65 Czechy. — Ani Galicya, ani Węgry, ani Lombardo-Wenecya nie miały być do Stanów państwowych, a więc i do Izby pierwszej dopuszczone.[2])

---

[1]) Patrz Hugelmann: Studien zum oesterreichischen Verfassungsrechte I. Die oesterreichische Reichsvertretung. Wien Manz 1886. str. 1—15.

[2]) Wedle pierwotnego projektu z 13. kwietnia 1848 miała cała pierwsza Izba składać się z członków należących tam a) na mocy urodzenia, b) na mocy posiadania rozległych dóbr ziemskich, c) na mocy nominacyi, d) na mocy wyboru. Projekt ten ogłoszony w dzienniku „Die neue Zeit“, redagowanym przez dr. Siegfrieda Bechera i Seidlitza, tudzież osobno u L. Grunda w Wiedniu, Hundsthurm, Schlossgebäude Nr. 1.

Wedle projektu referenta centralnego wydziału stanowego, Kleylego, miała być Izba pierwsza złożona: z a) dwustu członków, wybranych z własnego grona przez prałatów, panów i szlachtę na podstawie pewnego cenzusu podatków bezpośrednich, opłacanych w różnej wysokości w różnych krajach. Powyższą cyfrę członków rozdziela się pomiędzy poszczególne prowincye stosownie do ich wielkości i do przychodu z produktywnej ziemi; b) z pięćdziesięciu członków mianowanych przez Cesarza z grona powyższych wyborców, c) Z synów Cesarza i ich synów. Wedle tegoż projektu miały być Węgry, Lombardo-Wenecya i Galicya zupełnie wykluczone z parlamentu państwowego, a więc i z tej Izby i połączone z austryackimi krajami dziedzicznymi tylko przez osobę monarchy; na posiedzeniach pełnego Wydziału centralnego nie rozstrzygnięto jednak tej kwestyi co do Galicyi stanowczo, pozostawiając ją na razie w zawieszeniu, natomiast zgodzono się zupełnie na projektowane wydzielenie Węgier i Lombardo-Wenecyi. Chciano bowiem skonsolidować za pomocą parlamentu tylko kraje t. zw. dziedziczne, tudzież należące kiedyś do związku niemieckiego i dlatego dołączono do nich Oświęcim i Zator, oddzielając je od Galicyi.

Cały projekt Kleylego wydrukowany osobno in 4-to dużego formatu, str. 10, bez podania drukarni ani nakładcy, jako oficyalny druk stanowy. Patrz o tem także B. Łoziński: Epilog Stanów galicyjskich; abdykacya Stanów (Biblioteka Warszawska 1901); tenże: Galicyjski Sejm stanowy 1817—1845; Lwów 1905; St. Starzyński: Kodeks prawa politycznego czyli austryackie ustawy konstytucyjne

Wedle pierwszej konstytucyi z 25. kwietnia 1848, dzieła ministra Pillersdorffa, miało zasiadać w Senacie 150 członków, wybranych przez najzamożniejszych właścicieli dóbr ziemskich z ich grona (§. 35).

Wedle projektu Kromieryskiego z r. 1849 miała cała Izba wyższa powstawać jedynie i wyłącznie w drodze wyboru. Z protokołów obrad komisyi konstytucyjnej tego Sejmu, wydanych przez Antoniego Springera[1]) dowiadujemy się wielu ciekawych w tej mierze szczegółów, między innymi, że Ziemiałkowski i Rieger oświadczyli się wtedy zgodnie za Radą Państwa jednoizbową w postaci „Izby krajów“,[2]) wybieranej przez Sejmy.

Również wedle konstytucyi Ołomunieckiej z 4. marca 1849 miała cała Izba Wyższa powstawać jedynie i wyłącznie w drodze wyboru. Brak czynników wybranych mścił się na Izbie Panów jeszcze za czasów kuryalnego parlamentu, gdyż, jak słusznie zauważał Wieser, już wtenczas Izba posłów uważała się za jedyną prawdziwą reprezentacyę ludu i usuwała polityczny wpływ Izby Panów na dalszy plan:[3]) o ileż więcej będzie się on mścił teraz, kiedy Izba posłów spoczywa na najszerszej demokratycznej podstawie powszechnego głosowania.

Niewiele też jest na świecie innych Izb Wyższych, przy których tworzeniu wybór nie gra żadnej roli: wymieniliśmy je szczegółowo przed laty w książce poświęconej prawu wyborczemu.[4]) Od tego czasu i ta mała ilość zeszczuplała. N. p. w Wurttembergii wedle nowej ustawy z 16. lipca 1906 wchodzi obecnie do pierwszej Izby ośmiu członków szlachty, posiadającej dobra rycerskie, wybieranych przez immatrykulowanych posiadaczy takich dóbr.

1848—1903; Lwów 1903, str. 3, 4 i 19: tenże: Kilka słów o Stanach galicyjskich (Kwartalnik historyczny 1906): tenże: O pierwszej konstytucyi austryackiej; jej geneza i ocena. Kraków 1889.

[1]) Springer: Protokolle des Verfassungsausschusses im oesterreichischen Reichstage 1848—1849; Leipzig, Hirzel 1885, str. 135—137.

[2]) Obszernie zajmuje się tem dr. Michał Rostworowski: Austryacka Izba Panów (Przegląd prawa i administracyi 1899, str. 909—919).

[3]) Dr. Friedrich Freiherr von Wieser: Ueber Vergangenheit und Zukunft der oesterreichischen Verfassung. Wien 1905 bei Konegen, s. 99.

[4]) Studya z zakresu prawa wyborczego, Lwów 1897, rozdział V. p. t. „Uwzględnienie elementu wyborczego przy tworzeniu Izb wyższych“, str. 82—93. Były to wtedy: Anglia, Węgry, Włochy, Portugalia, Bawarya, Württembergia.

z własnego grona: dwóch ewangelickich generalnych superintendentów, wybieranych przez zjazd superintendentów, zastępca ordynaryatu biskupiego, wybierany przez ordynaryat z własnego grona, dziekan katolicki wybierany przez zjazd dziekanów, wreszcie dwóch zastępców handlu i przemysłu, dwóch zastępców gospodarstwa wiejskiego (rolnictwa) i jeden zastępca rzemiosła; ci ostatni wprawdzie mianowani przez króla, ale na propozycye dotyczących korporacyi zawodowych, obejmujące po dwóch kandydatów na każde miejsce (art. 3. §§. 132, 132a i 132b ust.). W dawnej zaś „Izbie Panów Stanowych" Württemberskiej nie było żadnego członka wybranego. Nie zawadzi dodać, że wszyscy ci nowi członkowie Izby wyższej przeniesieni tu zostali z Izby niższej, w której dotąd zasiadali na podstawie kuryalnych wyborów; przeniesienie nastąpiło celem umożliwienia wprowadzenia powszechnego głosowania do Izby niższej, co się też na mocy tej samej ustawy stało. Pisaliśmy o tem obszernie na innem miejscu.[1]) W W. X. Badeńskiem wedle dawniejszej ustawy zasiadało w pierwszej Izbie tylko 8 wybranych członków szlachty i 2 wybrańców Uniwersytetów: obecnie wedle nowej ustawy z 24. sierpnia 1904 przybył i wybraniec Akademii politechnicznej w Stuttgardzie, przybyło sześciu wybrańców korporacyi zawodowych, a mianowicie trzech wybieranych przez Izby handlowe, dwóch wybieranych przez Izby rolnicze i jeden wybierany przez Izby rękodzielnicze; następnie weszło do pierwszej Izby dwóch nadburmistrzów miast, wybieranych przez miasta podlegające ordynacyi miejskiej, mianowicie przez ich Rady miejskie i Rady gminne; jeden burmistrz innych miast, liczących przeszło 3.000 mieszkańców, wybierany również przez Rady miejskie i rady gminne tych miast; wreszcie jeden członek jednego z Wydziałów obwodowych, wybierany przez zgromadzenie wszystkich członków Wydziałów obwodowych z całego kraju. Sposobu ich wyboru, skreślonego szczegółowo w ustawie, powtarzać nie będziemy.

Nieuwzględnianie autonomicznego stanowiska krajów koronnych i staranne unikanie wszystkiego, coby Izbie Panów mogło nadać choćby w części charakter „Izby krajów" (Länderkammer), jest także właściwością dopiero dzisiejszej konstytucyi austryackiej

---

[1]) Patrz moje: Studya konstytucyjne, tom pierwszy j. w. str. 144—163 i str. 195—199.

i wyróżnia ją niekorzystnie od jej poprzedniczek z pierwszej epoki, z doby tworzenia się konstytucyonalizmu austryackiego.

Wedle projektu centralnego Wydziału Stanowego z r. 1848 nie było wprawdzie mowy o wyborze jakichkolwiek członków pierwszej Izby przez jakiekolwiek reprezentacye krajowe, i odrzucono zasadniczo myśl oparcia reprezentacyi państwa czy to na dawnych, czy na zreformowanych Stanach krajowych, ale mimo to ustalono wyraźnie, jak widzieliśmy, dla każdego kraju ilość Senatorów, których ten kraj miał wybrać. Tak samo wedle pierwszej konstytucyi z 25. kwietnia 1848 miał każdy kraj koronny z góry zagwarantowaną ilość swych przedstawicieli w Senacie: na Galicyę przypadało ich czterdziestu, na okręg krakowski jeden, na Czechy 37, na Morawię 15, na Austryę dolną 13, na Austryę wyższą 6, na Śląsk 4, na Salzburg 1, na Styryę 9, na Karyntyę 3, na Krainę 4, na Pobrzeże 4, na Dalmacyę 3, na Tyrol 6, na Vorarlberg 1, na Bukowinę 3.[1])

Wedle projektu Kromieryskiego z 1849 r., całą Izbę Wyższą miały wybierać Sejmy krajowe i sejmiki obwodowe, a mianowicie każdy Sejm miał wybierać sześciu jej członków, każdy zaś Sejmik obwodowy (w krajach składających się z dwóch lub więcej obwodów) po jednemu. Izba Wyższa miała też nosić nazwę „Izby krajów". Również cała Izba Wyższa przewidziana w konstytucyi Ołomunieckiej 1849 miała powstawać w drodze wyboru, dokonywanego przez Sejmy krajowe. Każdy Sejm krajowy miał wysłać do niej po dwóch swych członków, a oprócz tego taką jeszcze ilość delegatów wziętych ewentualnie z poza własnego grona, ilu było potrzeba, ażeby uzupełnić cyfrę delegatów, przypadającą na ten kraj koronny, a równającą się połowie ilości posłów do Izby niższej, przez ten kraj wybieranych.

Nie miała jednak ta Izba nosić już miana „Izby krajów", lecz zwać się miała po prostu „Izbą Wyższą".

Dopiero ustawa o reprezentacyi państwa z 26. lutego 1861, a następnie jej przeróbka z 21. grudnia 1867 r. dokonały zwrotu w kierunku centralistycznym i nadały Izbie Panów wszelkie pozory ciała niemającego nic wspólnego z autonomią i samodzielnem życiem krajów koronnych: wycisnęły na niej piętno unifikacyjnych dążności, po doktrynersku pojmowanych. Aby ten wła-

---

[1]) Patrz §. 2. prowizorycznej ordynacyi wyborczej z 25. kwietnia 1848 przedrukowanej w moim „Kodeksie prawa politycznego". Lwów 1903, str. 19—29.

śnie szablon centralistyczny zachować, odrzuca Rauter l. c. stanowczo wszelką myśl odtworzenia dziś „Izby krajów“, dowodząc, że wtedy wytworzyłoby się zaraz w Izbie Panów stronnictwo autonomistyczne, dążące wprost do ubezwładnienia centralnego parlamentu i wykazania jego zupełnej niezdolności do pracy *(sic)*. Taki wybór części lub całej Izby Panów przez Sejmy, wobec wybierania Izby poselskiej przez głosowanie powszechne, czyniłby zadość nawet wymaganiom tych, którzy, jak np. August Cieszkowski, niechętni są wogóle tworzeniu Izby Panów w drodze wyboru:[1]) albowiem zachodziłyby tu warunki, wśród których nawet i Cieszkowski godzi się na wybór, t. j. oparcie tego wyboru na zupełnie innych podstawach i zasadach, aniżeli te, na których spoczywa wybór do Izby poselskiej. Jest to zresztą warunek, który ze względu na cel i na ideę systemu dwuizbowego rozumie się sam przez się.

Z konstytucyi innych państw europejskich mają również wszystkie Izby Wyższe numerum clausum, z wyjątkiem włoskiego Senatu (konstytucya z r. 1848) i pruskiej Izby Panów (konstytucya z r. 1850). Wątpić jednak należy, jak powiedziałem już w parlamencie, czy właśnie Prusy mogą służyć dziś komukolwiek za wzór urządzeń konstytucyjnych.

We Francyi mamy limitowaną cyfrę 300 senatorów wybieranych, w Niederlandach 50 senatorów wybieranych, w Belgii wyraźnie ograniczoną ilość tak senatorów wybieranych wprost przez ludność, jak i wybieranych przez Rady prowincyonalne; w Anglii nie mianuje się już od wieków żadnego członka dożywotniego, na Węgrzech może Korona mianować rocznie najwyżej 5 dożywotnich członków Izby Magnatów; również konstytucya hiszpańska, portugalska, dawna bawarska, saska, würtembergska, badeńska zarówno dawna jak i nowa z 24. sierpnia 1904, heska i t. d. zawierają podobne ograniczenia.[2])

Numerus clausus pojmowany był w sferach Izby poselskiej rozmaicie; jedni widzieli w nim obniżenie wpływu Izby poselskiej, drudzy znów jego wzmocnienie. Ja należałem do tych ostatnich.

---

[1]) L. c. str. 13—24, „principe électif“. — Również M. Rostworowski: Austryacka Izba Panów l. c. 1900, str. 49, oświadcza się stanowczo za tem, powołując się na moje „Studya z zakresu prawa wyborczego“.

[2]) Patrz szczegółowe cyfry w mojej książce: Studya z zakresu prawa wyborczego, j. w. str. 82—93.

i dlatego za numerus clausus przemawiałem. Jakkolwiek bowiem nie da się zaprzeczyć, że przy n. cl. nie może rząd odtąd ratować żadnej pożytecznej uchwały Izby poselskiej w Izbie Panów za pomocą zamianowania w razie potrzeby nowych jej członków, zobowiązujących się z góry do głosowania za zagrożonym projektem, to jednak z drugiej strony trzeba przyznać, że również nie może rząd odtąd zrobić z Izby Panów gilotyny dla niemiłych sobie przedłożeń przez zamianowanie *ad hoc* nowych członków dla obalenia pewnego przedłożenia. Że zaś wypadki pierwszego rodzaju zdarzają się daleko rzadziej, aniżeli wypadki drugiej kategoryi, przeto należy stwierdzić, że n. cl. jakkolwiek będący bronią obosieczną, daleko częściej jednak uchwały Izby posłów ratuje i broni ich, aniżeli im szkodę przynosi, a więc utrwala on i wzmacnia wpływ poselskiej Izby. Ze stanowiska samej Izby Panów zaś jest on tylko pożyteczny. Najpierw bowiem, nie przystoi wybitnym mężom i politykom dawać się powoływać do Izby Panów jedynie dlatego, by mieli tam być dla pewnego projektu rządowego „przyprzążką“ lub dla pewnej uchwały Izby posłów „gilotyną“, (jak ich w żargonie parlamentarnych kuloarów w ostatnich czasach nazywano). Oni powinni być powoływani do Izby Panów li ze względu na swą wartość wewnętrzną, a nie *ad hoc* w chwilach ambarasownych dla rządu. Następnie dopiero od chwili wykluczenia nominacyi *ad hoc*, mogących przechylać szalę uchwał Izby w ostatniej chwili, stosownie do potrzeby, na tę lub ową stronę, odzyskała Izba Panów naprawdę swą niezależność, stała się panią swej woli, panią swych uchwał, może ułożyć sobie pewien program politycznego postępowania i może liczyć na to, że go wykona i że go dotrzymać będzie mogła, gdyż dopiero teraz jest ona zabezpieczona przed niespodziankami, mogącemi w ostatniej godzinie jej skład a więc i jej wolę zmienić. Dopiero teraz stała się Izba Panów na prawdę samodzielną. Num. cl. przyniósł więc prawdziwą korzyść połowie parlamentu, t. j. jednej jego Izbie, a wskutek tego przyniósł prawdziwą korzyść i parlamentaryzmowi jako takiemu. To zaś wystarcza nam zupełnie, aby się za numerus clausus oświadczyć.[1])

Ale numerus clausus i udzielenie członkom Izby Panów prawa wybieralności do Izby poselskiej nie są jeszcze same przez się reformą Izby Panów; one stanowią tylko jej cząstkę, wzglę-

[1]) Działalności austryackiej Izby Panów wystawia Al. Rembowski l. c. str. 34—5 pochlebne świadectwo.

dnie jej surogat. Do reformy takiej, jaką pragnęlibyśmy widzieć i jaką uważamy za jedynie stosowną, należy przedewszystkiem stworzenie nowej kategoryi członków Izby Panów, t. j. jej członków wybieralnych, z czem łączyćby się musiała powolna redukcya członków dożywotnio mianowanych przez Koronę. Pozostawiając oczywiście na razie wszystkich dzisiejszych parów w ich prawach, należałoby ustanowić pewną skalę redukcyjną, tak, ażeby numerus clausus obniżał się cyfrowo co parę lat, w miarę równoczesnego wymierania dożywotnich parów, ażeby redukcya zatrzymała się dopiero u pewnej granicy, n. p. 50—70, i ażeby wcale nie mianowano nowych członków dożywotnich, dopóki ich cyfra nie spadnie poniżej tej granicy. Prawo wybierania członków wybieralnych należałoby poruczyć Sejmom krajowym, tudzież niektórym najpoważniejszym korporacyom prawno-publicznym, przedewszystkiem Uniwersytetom. Następnie należałoby uzupełnić w drodze ustawy pojęcie osób zasłużonych około „państwa" i z tego tytułu powoływanych dożywotnio do Izby Panów, i rozszerzyć je w ten sposób, że przez zasługi położone dla państwa, rozumie się nie tylko zasługi biurokratyczne albo nawet parlamentarne, nie tylko zasługi mężów stanu i wojskowych, ale także i zasługi, położone bezpośrednio dla dobra społeczeństwa żyjącego w granicach państwa, zasługi na polu ekonomicznem, na polu wynalazków, w dziedzinie oświaty, zasługi działaczy społecznych w kierunku humanitarnym, kulturalnym i t. p. Należałoby więc zapewnić powoływanie członków Izby Panów także i z tych sfer, dodając przynajmniej do tych czterech wyrazów „państwo, kościół, umiejętność, sztuka", które służą dziś wedle §. 5. ustawy zasadniczej do określenia zasług uprawniających do dożywotniego krzesła w Izbie Panów, piąty wyraz: „społeczeństwo". — W ogólnym zarysie domagałem się tego w mej mowie wypowiedzianej dn. 10. stycznia 1907 r. w Izbie poselskiej przy sposobności obrad nad ostatnią „reformą" Izby Panów.[1])

Stanisław Starzyński.

---

[1]) Patrz Stenographische Protokolle des Abgeordnetenhauses, XVII. Session, str. 41 370, Sitzung 470.

Żywot polityczny Michała Grabowskiego.

(Ciąg dalszy).

Po śmierci Konstantego Świdzińskiego, głównem miejscem zebrań literacko-naukowych stały się otwarte dla wszystkich gościnne salony Grabowskich.

Z młodych pierwszy zaczął tutaj bywać dr. Rudnicki, ztąd i wielka sympatya, jaką go zaszczycał nasz krytyk. Ze starszych, prócz wymienionych już dawniej, często odwiedzali pana Michała: Włodzimierz hr. Plater, honorowy kurator gimnazyum żytomierskiego i autor ciekawych pamiętników; nieoceniony erudyt i koncepciarz, człowiek niezwykłego wykształcenia, Aleksander Weryha Darowski; Zygmunt hr. Wielopolski, ks. biskup Kasper Borowski, Edward Rulikowski, ba nawet Józef Ignacy Kraszewski, który pierwszy wyciągnął dłoń do zgody.

„Dla młodzieży — trafnie mówi Rudnicki — była to niewątpliwie szkoła, w której się mogła ona uczyć, jak się ma zapatrywać na najważniejsze sprawy swego społeczeństwa, rozjaśniać i gruntować swoje własne poglądy na rozmaite zagadnienia, wreszcie powiększać zasób swoich wiadomości, nie połkniętych *in crudo*, ale poważną i kompetentną krytyka oczyszczonych i rozjaśnionych. Co więcej — przebywanie w gronie najświatlejszych i najuczeńszych ludzi w kraju, dawało możność oznajomienia się z rzeczami, o których niejeden nigdy nigdzie nie miał zręczności

słyszeć, pragnienie zaś wcielenia się do tego grona rodziło zamiłowanie do nauki i światła...“

Nie wszyscy jednak koledzy Rudnickiego byli tego samego zdania: światek studencki kijowski rozpadał się na przerozmaite frakcye i kółka polityczne a radykalniejsze z nich, gorętsze, krzywem bardzo okiem obserwowały powolny powrót „wyklętego“ do wpływów i znaczenia, urażone zwłaszcza tem, że on w swych salonach chętnie przyjmował Rossyan, a wszelkie zapały młodzieży, przedewszystkiem modne podówczas chłopomaństwo, zawzięcie oblewał zimną wodą. Zapatrywania Grabowskiego na system szerzenia oświaty, nie mogły również jednać dlań licznych zwolenników. Wszak wiedziano o tem aż nadto dobrze, że doskonały krytyk był stanowczym przeciwnikiem ułatwiania młodzieży bez żadnego wyboru wyższych studyów. „Stypendya i zasiłki niech pobierają jedynie prawdziwie zdolni: reszta winna się zwracać do szkół fachowych: przemysłowych, handlowych i rzemieślniczych, byśmy wreszcie mieli dobrych polskich kupców, szewców, krawców i stolarzy“ — oto jego program, rozumny — przyznajemy chętnie, ale dla mniej zdolnych a ambitnych bynajmniej nie ponętny. „Po co on, nie proszony ani nie wzywany pakuje się gwałtem na naszego opiekuna!“ rozlegały się coraz częściej wołania, a pewnego poranku zjawił się nad bramą domu autora *„Literatury i Krytyki“* olbrzymi szyld z przykrym dlań napisem: „Szkoła kosmopolityczna Michała Grabowskiego i Spółki“.

Nawet wstawiennictwo Grabowskiego u władz podczas awantury młodzieży akademickiej z pułkownikiem Brinkenem w teatrze — co pociągnęło za sobą liczne aresztowania i długie śledztwo — nie poprawiło zbytnio wzajemnego stosunku: nie pozyskał on również miru w tych kołach, zdobywając dla Uniwersytetu wykłady z literatury polskiej, odwołane w ostatniej chwili już nie z winy Grabowskiego.[1])

* * *

W maju 1859 roku zetknął się z biednym apostołem realnej pracy w wytworzonych zrządzeniem losu warunkach, p. Andrzej

---

[1]) Wszystkie szczegóły według zapisków i notat dr. Rudnickiego. Wykładom przeszkodziła obałamucona i rozpolitykowana młodzież uniwersytecka.

Leszczyc Grabianka. Rozmowa przeciągnęła się późno w noc: poruszono w ciągu niej wiele tematów ważnych i poważnych; wreszcie dotknięto i programu, złożonego przed kilkunastu laty na ręce Pisarewa, jak również listu do Strutyńskiego.

Zestawmy razem dwie pamiętne w życiu naszego krytyka daty 1843 i 1859 roku, a otrzymamy punkty graniczne czyśćcowej drogi, którą po cierniach przebyć musiał nieszczęśliwy Michał Grabowski. Zbyt rychło przekonał się on, że krok jego był fałszywy i najłagodniej sądząc — przedwczesny, nadto raniący serce podnieconego ostatnimi wypadkami i rozegzaltowanego nad zwykłą miarę społeczeństwa polskiego. Niedawni jeszcze towarzysze pracy odsunęli się od niego, tych zaś, co mu mimo wszystko dochowali przyjaźni, odrzuciły losy zbyt daleko. Osamotniony, zbliżył się do małoruskich literatów... i powoli opuściły go złudzenia.[1])

Ale powróćmy do spotkania z Grabianką, wynikiem jego bowiem była spowiedź Grabowskiego, rehabilitująca tego męczennika idei w oczach wszystkich nieuprzedzonych, bezstronnych, choćby najostrzejszych, sędziów. Oto na drugi dzień po pamiętnej rozmowie, skreślił pan Andrzej Grabianka, najwidoczniej bezpośrednio pod jej wrażeniem, następującą notatkę:[2])

„Naród, który miał wielką i świetną historyę, gdy istnieć przestaje w politycznym względzie, przyczyn upadku szukać w jego wewnętrznym bycie należy. Zwątlona wiara, zanik obyczajów, zamiłowanie obczyzny a pogarda tego co własne — oto są zwykle główne przyczyny śmierci politycznej. One przejadają, niszczą siły żywotne narodu, nastaje rozprzężenie, każdy rządzi się fantazyą, egoistycznym spoglądem, o zjednoczeniu nikt nie myśli, bo zjednoczenie się jest tylko skutkiem wiary. Naród rozdarty na tyle cząstek, ile jest indywiduów prawie — upaść koniecznie musi.

„Taki był stan opłakany Polski, gdy z tej wewnętrznej niemocy ościenne państwa po raz pierwszy skorzystały. Trzy spokojnie odbyte podziały Polski, były potwierdzeniem tejże niemocy. Powstanie Kościuszki było jękiem znudzonego życiem rycerza. Odtąd stracono wiarę we własne siły: garstka szlachetna usiłowała wzbudzić sympatyę ludów, lecz te sławne legiony, te pułki

---

[1]) Dr. Antoni J. j. w. str. 43.

[2]) Z papierów ś. p. Andrzeja Grabianki. Czy przytoczony przez nas dokument przeznaczył autor jego dla któregoś z pism, czy pragnął on tylko, co było zdaje się jego zwyczajem, spisać „na gorąco“ treść rozmowy z Grabowskim — nie umiemy tego wyjaśnić.

z pod Samosierry, te wszystkie usiłowania, by zainteresować obcych losem Polski, okazały się płonne w swych skutkach. Jeszcze raz Polska zbudziła się z letargu, pola Grochówskie zagrzmiały hukiem dział — i znowu po tych dniach jasnego słońca nadziei, nastała ciemna i straszna noc dla nas.

„Wówczas kraj wpadł w apatyę: za granicami Polski wychodźcy, uniósłszy z sobą żywą miłość Ojczyzny, chronili śród obcych ten ogień narodowych uczuć, ale życie ich i oddziaływania na kraj nasz były w samej swej pozycyi zanadto gorączkowe, a więc niepraktyczne: w prowincyach polskich apatya, oddanie się materyalnym uciechom życia, stowarzyszenia rozpustne, nałogi, nadużycia i gdzieniegdzie tylko promyk umysłowości — oto stan kraju po trzydziestym roku.

„W takiem położeniu, kto zachował serce polskie, w kim umysł zdolny był oderwać się od plugawego upadku, ten szukał zbawienia narodowości. Błąkał się po ścieżkach a każda była ciernistą. Jedni widzieli ratunek w rozpaczliwych wybuchach; inni wpatrując się w głąb przeszłości, ważąc niemoc kraju i potęgę wroga, rzucili się, by z nawalnicy, która nas zgruchotała, ocalić przynajmniej święte pamiątki, by przechować dla potomności nieskalaną ojców wiarę, pozostawić synom język ojczysty w jedynym po nich spadku. Zdawało się im, że jedyną usługą w sprawie krajowej będzie zjednoczyć te promyki gdzieniegdzie opodal od siebie błyszczące, nabrać siły i nie mogąc walczyć, by zabić wroga — walczyć, by podnieść wroga. Podnieść bowiem wroga było to zapewnić sobie wpływ i przewagę, a z nią zapewnić istnienie tych drogich cząstek narodowości, które po za obrębem politycznej niezależnej egzystencyi, mogłyby jeszcze przy życiu nasz naród utrzymać.

„Rola ta przeznaczona była literaturze. Jakoż potężni nauką i zdolnościami wzięli się do tej mozolnej i w ich przekonaniu jedynej narodowej pracy. Odrębnie, bez żadnej zmowy lub wspólnictwa, poczęli pracować: Michał Grabowski, Rzewuski, Przecławski, Hołowiński: rozpoczęli oni swą misyę, a ten z nich, któremu Bóg najwięcej potęgi nadał, najsilniej z nich działał. Umysł jego krytyczny, najżywiej ocenił położenie kraju, najżywsze też wlał mu o niemocy kraju przekonanie, a ztąd przekonanie, że kojarząc się z wrogiem, by ocalić choć część narodowości, najlepiej służyć będzie chorągwi narodowej — wyszedł naprzód, popychając myśl swoją wszystkimi środkami, w czystości swych dążeń.

„Tymczasem ocucał się cały kraj polski z letargu: to ocucenie przejawiając się, pociągnęło za sobą ofiary. Płynęła krew w Wilnie, sterczały szubienice w Królestwie i w Kijowie, a Sybir i Kaukaz zaludniły się polskimi obywatelami. Wtedy Litwa tęskniła za przeszłością przez historyę, Królestwo odurzało się przez powiastki i komedyjki, Poznań przez filozofie, Galicya śpiewała z ludem pieśni gminne.

„Wówczas odznacza się na tle umysłowości krajowej Józef Ignacy Kraszewski. Umysł jego wybujał, cel jego coraz się jaśniejszym stawał. Zdolności jego ogromne, olbrzymia praca, głęboka nauka, umiłowanie szczere kraju, cechowały jego znakomicie. Chciał on zespolić szlachtę z ludem prostym, podnieść go, siły narodowe przez to w stokroć powiększyć i sprawić wspólnie z ludem, a więc potężnie służyć. Zespolenia się z wrogami nie przypuszczał. Stworzył literaturę ludową, otrząsł serca z nienawiści lub pogardy dla ludu, rozbudził żywą do niego sympatyę i że zrozumiał potrzebę kraju, dowodem tego jest poszukiwanie dzieł jego i wziętość prócz sławy, którą pozyskał.

„Opinia coraz jaśniej się wyrażała. Byle co w tych dążnościach się pojawiło, było czytane; nawet gwiaździarze[1]) kijowscy, prawie wszyscy najmarniejszemi zdolnościami obdarzeni, mieli swój czas wziętości. Niektórych zdolnych a wielu małej nawet wartości pisarzy przyjęła publiczność sympatycznie, skoro dostrzeżono w nich tylko dążność i cel ekskluzywności narodowej.

„W tym przeciągu czasu praca współzapaśników Michała Grabowskiego marniała: ów tchórząc przed rozbudzającą się z letargu opinią, opuścił go: inny zanadto swe imię skompromitowawszy, nie mógł wywrzeć żadnego wpływu a Hołowińskiego Bóg wezwał do siebie. I tak pozostał w arenie jeden Michał Grabowski: długo jeszcze walczył sam jeden w pośród przyjaciół, którzy go opuścili, wśród coraz silniej przebudzającej się przeciwnej mu opinii, nareszcie śród ogólnego potępienia — nieustraszony

[1]) Gwiaździarze, to kółko młodych literatów, wrogo usposobionych dla Grabowskiego, a gromadzących się około wydawnictwa peryodycznego p. t. „Gwiazda“. Rej wodzili w niem Jurkiewicz (Dołęga), Jaxa Marcinkowski (Nowosielski), Fisz (Fisch) i inni. Wszelkie plotki o spowodowaniu przez Grabowskiego lub ks. Hołowińskiego zawieszenia Gwiazdy, nie wytrzymują rzeczowej krytyki.

niczem, nie nęcony żadnymi osobistymi widokami, jedynie z przekonania, że łącząc się z wrogiem, salwuje tę część narodowej sprawy, którą salwować można.

„Ale walka ta, przyjęta w teoryi — została teoryą. Aby podnieść kogo do swojej wysokości, trzeba w nim egzystencyi tych zarodków, które rozwinąć chcemy, które zrównać z naszym dyapazonem pragniemy. Trzydzieści lat walki nie zdołało wywrzeć żadnego wpływu ani na rząd, ani na literaturę, pod względem uznania naszej narodowości. Praktyka i zbliżenie się do Rossyan przekonały tylko, że naród ten pierwej został zepsuty nim dojrzał. Droga obrana dla ocalenia naszej narodowości, nie doprowadziła do żadnego skutku. Zawiązek najpotężniejszych umysłów bez wiary w polityczną egzystencyę kraju, rozprzągł się i zmarniał. Najznakomitszy z nich, Michał Grabowski, przewyższywszy świeżością i potęgą umysłu swych dawnych kolegów — sam stanął na tem przekonaniu, że droga, którą wybrał, była mylna — a błąd swój uznając, staje się sam w oczach każdego prawego człowieka stokroć większym; nie broni go, ustrania miłość własną i szczerą wyznając prawdę, naprowadza przez to na drogę zbawienniejszą tych wszystkich, którzy przez miłość dla sprawy niepewni są, jakim torem iść nam wypada. Uznanie to uważam jako rzeczywisty skarb narodowy, bo umysł jego, zagrzany zacnem i prawem uczuciem, po właściwszej i zbawienniejszej idąc drodze, wyda niezawodnie owoce na korzyść społeczeństwa naszego i przyszłości kraju.“

Michał Grabowski, odczytawszy ręką Grabianki skreśloną treść całonocnych wzajemnych wynurzań wraz z tak bezstronnym i rozumnym sądem jego potępionej przez ogół działalności, napisał — mocno wzruszony — poniżej notatki kresowego ziemianina te pamiętne słowa:

„W zacne i życzliwe serce Pańskie zapada głęboko wszystko, co na korzyść lub na obronę przyjaciela obrócić się może. To mi tłumaczy wrażenie wczorajszej naszej rozmowy. To, co mówiłem, było powiedziane bez żadnego względu na siebie, a tylko jako prosta spowiedź z moich teraźniejszych przekonań. Ze smutkiem i żalem myślę, że na drodze, którą uznawałem zawsze trudną, ale możliwą, widzę teraz nieprzezwyciężone przeszkody i niepodobieństwa, dla tego żadnej z tego nie robię tajemnicy, a jeśli moje doświadczenie może być dla kogo przestrogą, nie sądzę, że opła-

cone to będzie za drogo, zawodami i upokorzeniami całego mojego życia.

Bóg zapłać za przyjaźń...

15. maj 1859. *M. Grabowski.*"

Ale kto był Andrzej Leszczyc Grabianka, tak ściśle związany z faktem spowiedzi politycznej nieszczęśliwego „rozdawcy godności literackich"? Odpowiadamy krótko: posiadacz ziemski na Podolu, człowiek wielkich zdolności, złamanego już podówczas niepowodzeniami życia, cały oddany rozgrywającej się właśnie sprawie włościańskiej i zwolennik szybkiego uwłaszczenia kmieci. Śmiano się podówczas z tych jego projektów, złośliwi nie wierzyli w ich szczerość, a przecie on od chwili objęcia majątku w posiadanie, t. j. od 1843 r. (a więc na szesnaście lat przed uwłaszczeniem) skasował u siebie karę chłosty, ba nawet użycie ekonomskiej pięści wyprowadził u siebie ze zwyczaju, zachował serdeczny stosunek z sąsiadami z pod włościańskiej strzechy aż do zgonu (w połowie grudnia 1883 r.). Pan Andrzej, wybrany do centralnej komisyi włościańskiej w Petersburgu, jako delegat trzech południowo-zachodnich gubernij, przepędził nad Newą prawie dwa lata (1860—1861), zrujnował się majątkowo do reszty, ale przekonaniom swoim pozostał wierny. Wypisał je w testamencie, wypisał w historyi sprawy włościańskiej na Podolu, którą pozostawił w rękopisie. Krewkim był, jak wielu innych, ale mniej szczęśliwym od innych... Że Grabowski zapatrywał się na kwestyę włościańską trochę inaczej, jak Grabianka — rzecz zrozumiała, ale... ale nikt temu nie zaprzeczy, że był na tem polu wyobrazicielem większości. [1])

Jako spuścizna serdecznego stosunku tych dwóch ludzi, pozostały listy Michała Grabowskiego do Andrzeja Grabianki. Odwzorowują one dzieje chwili wyraziście, upamiętniają krzątanie się znowu czynnego i ruchliwego krytyka około utworzenia Towarzystwa rolniczego, Towarzystwa kredytowego, a co najważniejsza: uporządkowania Komisyi archeologicznej (Centralnego archiwum kijowskiego), tej skarbnicy dziejowej kresowych prowincyj.

---

[1]) Z notat i zapisków dra Antoniego J., któremu Grabianka pozostawił olbrzymi materyał do sprawy uwłaszczenia włościan, znajdujący się już dzisiaj w zbiorach Biblioteki Jagiellońskiej w Krakowie.

Nawrócony „renegat" działał tutaj w myśl głoszonych stale haseł: ratowania zabytków z przeszłości, wzbogacania się na przyszłość!

Listy Grabowskiego powtarzamy w dosłownem brzmieniu w chronologicznym porządku:[1])

„Od kilku już dni zabieram się pisać do Pana, ale że materya delikatna i trudna, więc coś mi odpowiedź nie idzie tak, jakbym chciał. Wstąpiwszy do księgarni i dowiedziawszy się, że do Pana dziś piszą, chcę kilka słów przynajmniej dodać.

„Od wyjazdu Pańskiego wpadłem w zwyczajny mój marazm i lenistwo. Jak mi źle bez Pana, jakem się do Pana przywiązał i jak mi tęskno, inaczej nie wyrażę, chyba serdeczną moją spowiedzią. W najrańszej mojej młodości miałem przyjaciół, którzy nie tylko podzielali ze mną wszystkie myśli i uczucia, ale którzy mnie jak pieszczone dziecko psuli. Takimi byli dla mnie Maurycy Mochnacki, Bohdan i inni. W dojrzałym moim wieku równie ścisłe stosunki łączyły mnie z księdzem Hołowińskim, Rzewuskim i jeszcze kilku smutnej epoki pisarzami. Powoli wszystkie te stosunki ustały; żyłem w chłodzie i osamotnieniu umysłowem. Dopiero w ostatnim peryodzie mego życia spotkawszy Pana, doznałem dawnych wrażeń razem sympatyi umysłowej i serdecznej. Weź Pan z tego miarę, jak się do Pana przywiązałem, jak czuję oddalenie Pańskie. Podwójnie też prawie osowiałem po rozłączeniu naszem i nic a nic nie zrobiłem.

„Z nowin nic innego nie mam donieść, chyba, że miejsce naprzeciw mego domu odstąpiłem K... Wczoraj był on u mnie za powrotnym przejazdem przez Kijów; oddałem mu to miejsce za bezcen, ale on użyje go na postawienie pałacyku, mieszczącego czytelnię polską i rossyjską, *atelier* dla malarzy... (kilka słów nieczytelnych). Dużobyśmy mieli do pomówienia, gdybyś Pan był w Kijowie, tego więc najgoręcej pragnę..."

List drugi z daty: *Kijów 28. stycznia 1860 r.*, to już nie rzewna tęsknota za przyjacielem, ale bardzo ciekawy pogląd na sprawę uwłaszczenia włościan, tem samem więc nowy materyał do politycznego żywota naszego krytyka.

„Na sztafetę Pańską odpowiedziałem przez telegraf, ale powrotną depeszą uwiadomiono mnie, żeś już Pan przejechał do Petersburga. Mogłeś Pan być pewnym, że przeszkodą dla Pańskiej, tak potrzebnej dla kraju podróży, być nie mogłem; ale

[1]) Oryginały w posiadaniu piszącego.

z przyjacielską otwartością przed Panem wyznaję, że jestem bardzo w tej chwili ścieśniony, a bodaj czy nie będę gorzej w lutym, bo zaledwie zdołam opędzić potrzeby kontraktowe, a na nowy przychód rachować nie mogę, jak w kwietniu, kiedy się drugie krystalizacye cukru spienieżą. Jeżeli więc możesz Pan zaratować mnie w tej chwili, bardzo wdzięcznym będę; w końcu kwietnia ja znów odsłużyć się będę w stanie, a tym sposobem dopomagalibyśmy sobie wzajemnie.

„Nie potrzebuję mówić, jak się ucieszyłem z wezwania Pana do Petersburga: naprzód z osobistych względów dla Pana, bo naznaczenie to winieneś rzetelnie sobie... Ważniejszym nierównie powodem mego ukontentowania, jest przekonanie, że wielce użytecznym i sam jeden użytecznym na tem miejscu być możesz. Chociaż Pan znasz doskonale mój pogląd, jednakże streszczę go jeszcze w kilku słowach.

„Od samego początku sprawy miałem o niej to zdanie, w którem wypadki dotąd zaszłe, tylko mnie gruntują. To nie była reforma, to rewolucya! Ta rewolucya nie ma się dopiero spełniać, nie spełnia się, ale już się spełniła. Komitety gubernskie, komisye centralne, wszystkie wasze komisye petersburskie tylko ją *protokolizują*, tylko legalizują, jak legalizuje się u notaryusza akt dokonany. Kiedy się ta rewolucya spełniła? Wtedy, kiedy rząd pozwolił biurom ministeryalnym wymówić słowo *emancypacyi* i do wiadomości publicznej zamiar dopuścić. Odtąd rewolucya ta ma wykonawców a wykonawcy wspierającą ją siłą. Wykonawcami tej rewolucyi, a właściwie ich własnej rewolucyi, są biurokraci: siłą ich lud. Przeciw komu? na czyją szkodę spełnił się fakt? Przeciwko nam. Kiedy więc Szostakowski i komp. mówili mądre rzeczy w komitetach kijowskich; kiedy Jaroszyński chwali się tutaj z energicznych protestacyj w Petersburgu, ja podziwiam tylko ich dobroduszność. Mnie się zdaje, że stoją na górze i patrzą jak rzeka wiośnianym zalewem wzbiera, a tymczasem Szostakowski i Jaroszyński perorują, mówią o zagrożonem właścicielstwie łąki, o dokumentach prawnego ich nabycia, o szkodach, które powódź sprowadzi, o głodzie, który nawet całemu krajowi z zalewu tych przestrzeni zagraża, a na fundamencie tego wszystkiego reflektują i upominają rzekę. Tymczasem możeby lepiej zrobili, budując sobie łódeczkę dla ratowania siebie. Taką łódką być tylko dla nas mogły banki ziemskie. Ujmując się silnej dźwigni dzisiejszego wieku, opanowując kredyt miejscowy, znaleźlibyśmy się po wierzchu powodzi. Banki był dla nas środek nie

tylko finansowy, ale przedewszystkiem polityczny. Kto tego nie widział, pomimo całej mądrości był głupiec, bo szukał gwiazd o południu. Pan nie tylko miałeś instynkt zbawczego środka z innymi, ale masz przed innymi zasługę, żeś mysli dał zrzeczywistnienie, żeś pomimo wszelkich przeszkód miejscowych, wyrobił sobie przez nią i dla niej drogę działalności. Nic więc Panu nie zostaje, jak własnego celu nie porzucać.“

W liście trzecim znajdujemy wzmianki o zabiegach Grabowskiego około podniesienia ekonomicznego dobrobytu prowincyj kresowych. Ziemiaństwo miejscowe nie stroni już od niego, przeciwnie pracuje wspólnie z naszym krytykiem, rachując się z jego praktycznym zmysłem, rozumem i doświadczeniem.

List. datowany w Kijowie 13. lutego 1860 r. Treść jego następująca:

„Okropną będzie rzeczą, jeżeli Statystyka Żurawskiego ma służyć za osnowę jakichkolwiek urządzeń naszego kraju. Do tej Statystyki stosuje się *rien n'est plus menteur que les chiffres;* istotnie do rachunku wziąwszy podstawę fałszywą, wypadek musi być najfałszywszy. Statystyka, nauka napozór łatwa, upodobaniem jest głupców, którzy gonią za powagą. Funduklej, [1]) kiedy potrzebował ujść za rozumnego, napytał sobie Żurawskiego, dostarczał mu materyałów statystycznych za pomocą ziemskiej policyi, a ten summował to i regestrował. Wiadomo, jak policya zbiera wiadomości: w każdej ekonomii dostarcza ich największy jakiś niedołęga pisarek. U mnie np. na statystyczne pytania odpowiadał zawsze niejaki Szabrański, który w szkołach nie mógł nigdy rozróżnić tych dwóch pytań: wielu jest Bogów? wiele jest grzechów śmiertelnych?... Otóż to na odpowiedziach Szabrańskich całej gubernii funduje się Żurawski. Znałem go dobrze: był to człowiek sumienny i pracowity, ale właśnie dla tego summując same nonsensa, zrobił rzecz niedorzeczniejszą. Książkę jego widziałem w druku; zdarzało mi się spotykać w dziennikach zesłania na powagę Żurawskiego; w komisyi uniwersyteckiej kijowskiej

[1]) Gubernator cywilny kijowski Funduklej pochodził z kupieckiej rodziny greckiej. Człowiek bardzo bogaty, poczciwy, małych zdolności i leniwy, nie posiadał żadnego wpływu na zarząd gubernii. Łapówek nie brał, przeciwnie znaczne kwoty przeznaczał na cele publiczne. Z ziemiaństwem miejscowem, Bibikowem i wszechwładnym Pisarewem żył w zgodzie. Otaczał się chętnie urzędnikami Polakami. (Bobrowski j. w. I. 233).

wysłuchiwałem poważne głosy Bungego[1]) i innych o nieoszacowanych resztach jego prac niedrukowanych, ale to wszystko tylko mnie bawiło, pokazując jak się tworzy nauka i literatura kazienna, ale dziś, kiedy ma to być orężem naprzeciw nas, włosy mi wstają na głowie. Weź Pan na domysł jaki szczegół i porównaj z doświadczeniem, jakie masz sam jako obywatel i gospodarz, a zobaczysz co to za dziwolągi. Przypominam sobie, że wartość produkcyi całej gubernii podaje taką, że jeden np. majątek Bobryńskiego daje wyższą: tę zaś cyfrę widziałem stosowaną przez Sołowiewa (tak mi się zdaje) do wartości pańszczyzny i wyprowadzony ztąd surowej bezużyteczności sąd. Sądzę więc, że Statystykę Żurawskiego warto ubić samą śmiesznością, bo tu teraz idzie o rzecz ważniejszą, jak o zrobienie z Fundukleja człowieka rozumnego i członka Akademii.

„My w czasie kontraktów byliśmy bardzo zajęci projektem Towarzystwa rolniczego. Zrobiliśmy jego zawiązek i już mamy 25.000 rsb. zapewnionych na pierwszy fundusz. Hołowiński, Fudakowski i ja, wybrani do ułożenia statutu; Edm. Stecki, Szembek, Podhorski, Mańkowski, Leonard Jankowski, Wł. Plater, do rewizyi naszej pracy a wszyscy razem upoważnieni jesteśmy przedstawić ją rządowi; zbieramy się dla tego 15. marca; kiedy wyszlemy statut, uwiadomimy Pana i prosić będziemy o starania. Tak samo podaliśmy przez ks. Wasilczykowa prośbę o pomoc cukrowarstwu: było w tem trochę niejedności: Hołowiński i rafinatorowie chcieli czego innego, jak ja i drudzy piaskowce; pojednaliśmy się w ten sposób, że ja swoją dokładną zapiskę podałem jako dopełnienie pierwszej prośby. Te wszystkie papiery każę skopiować i Panu przeszlę, ażebyś i o nich nie odmówił starania. Ks. Wasilczykow mówił mi wczoraj, że jeżeli summa żądanej przez nas pożyczki nie będzie nad miarę wielką, ma nadzieję nam ją wyjednać.“

List czwarty z 26. kwietnia 1860 r. w dalszym ciągu te same omawia kwestye:

„Że nie pisałem do Pana, rzecz jest nadzwyczaj prosta: w dwóch listach mi Pan pisałeś, że dla stanu zdrowia musisz opuścić Petersburg, że będziesz w Kijowie w marcu, że będziesz prędzej niżeli się spodziewamy, a to sprawiło, iż myśląc, że już Pana moje listy w Petersburgu (nie zastaną), nie pisałem będąc —

[1]) Bunge był za pobytu Grabowskiego w Kijowie, profesorem Uniwersytetu.

jak Pan wiesz — ciężki zawsze, a w tych czasach wielu przykrościami skwaszony.

„Że Szostakowski i Kozakowski będą szkodliwi w Petersburgu,[1]) o tem nie wątpiłem nigdy: zaślepia ich przedewszystkiem zarozumiałość parafiańska: oni tu między swoimi byli przywódcami; jako tacy związani są potrzebą nikogo na swe miejsce nie wpuszczać, kierować się ciągle tym torem, który ich z nicości na coś wyprowadził: z tego to powodu oni się do niczego nie przychylą, coby od ich wybranych osób admiracyą i sympatye szanownej naszej publiczności odciągało: zgoła są to z położenia i — jak mówi Kozakowski — z tradycyi egoiści. Wysłanie ich do Petersburga był byk taki sam, jak wybór Jaroszyńskiego. Ale czyż to Pana może zadziwiać?

„Nie od dzisiaj Pan wiesz, że między Szostakowskim a mną nie ma żadnej spólności opinii, ale wyznaję Panu, że myśli Pańskiego protestu nie podzielam. W sposobie, jaki rzeczy wzięły, chłopi są stroną faworyzowaną przez rząd, dla tego bezwzględnej tu sprawiedliwości zachowywać między stronami nie można. Samowola właścicieli gruntów względem chłopów może być tylko dopuszczalnym wyjątkiem, ale nieakuratność w wypełnianiu zobowiązań przez chłopów, będzie stanem normalnym: więc kiedy nierugowalność ma być zasadą, jest to tak samo, co odmówienie właścicielowi wszelkiej sprawiedliwości. Mówię nierugowalność, bo Pańskiej stronności za wyrazem bezsroczność nie podzielam. Ten wyraz jest sam przez się nonsensem, a ukuły go kancelarye rossyjskie nie bez tajemnej myśli. Terminowość jest wyraz, co określa rzecz jasną: nieterminowość jest narośl językowa, bo oddaje pojęcie wieczystości, a własność wieczysta jest przez to samo własnością bezwarunkową. Ja rozumiem powody Pańskiego zdania: Pan decydowałeś się względami bezpieczeństwa dla szlachty, to jest ażeby lud nie postrzegł się, że mu robią koncesye illuzyjne: ale to nie stosownie, że dla drugiej strony, dla szlachty, to będzie jej wyzuciem samowolnem. Tak to bez wykupu nie ma rozwiązania kwestyi; systemat czynszowy (u nas pod wpływem nieżyczliwości rządu, doskonale tym razem dowiedzionej i przy knowaniach biurokracyi)

[1]) O Szostakowskim i Kozakowskim a również wogóle o sprawie uwłaszczenia włościan dużo szczegółów pierwszorzędnego znaczenia w „Pamiętnikach Tadeusza Bobrowskiego“. Lwów 1900. Tomów dwa.

wciąga mimowolnie w fałszywe kroki i tę samą logicznością i sumiennością, fałszywymi zostać muszą.[1])

„Dziękuję za książkę o bankach. Jeżeli zrobimy, jeżeli dopuszczą zrobić Bank miejscowy, to nas jeszcze jakkolwiek zbawi. Posyłam Panu projekt ustawy naszego Towarzystwa; podaliśmy prośbę 22. lutego, odtąd nie wiemy, co się z nią dzieje. Mają tam dać jakieś zaprosy. Wszystko to rzecz zwleka i opaźnia. Zmiłuj się Pan, napisz, co tam w Petersburgu możecie nam pomódz?“

Michał Rolle.

(Dokończenie nastąpi).

---

[1]) Bobrowski (j. w. II. 214) pisze: sprawą włościańską zajmował się Grabowski „przeważnie z punktu interesu ekonomicznego i prawnego, i w tym celu z właściwą sobie stanowczością zalecał natychmiastowe uwłaszczenie; wszakże bliżej kwestyi, ani w jej przebiegu gdzie indziej, ani co do dróg i środków u nas, nie znał i nie studyował. Poglądy zaś jego w szczegółach zostawały nieokreślone, pomimo, iż na posiedzenia nasze uczęszczał i ciągle w towarzystwie naszem przebywał. A może właśnie dla tego wypowiadać się nie lubił“.

Zarys dziejów edukacyjnych Polski porozbiorowej na obczyźnie.

(Ciąg dalszy).

Zgłaszający się do szkoły bez odpowiedniego świadectwa musiał zdać egzamin z arytmetyki, z geometryi, z algebry, z początków trygonometryi prostolinijnej, z początków geometryi opisującej; musiał mówić i pisać poprawnie po polsku; musiał znać język francuski a przynajmniej umieć dokładnie czytać i znać ogólne prawidła gramatyki; musiał znać przynajmniej ogólną historyę Polski; musiał być biegłym w rysunku linijnym i mieć początki rysunku naśladowniczego.

Kandydaci, którzy przedstawili dyplom bachalier ès sciences, bywali uwolnieni od egzaminu z arytmetyki, geometryi, algebry, trygonometryi i geometryi opisującej.

Kurs nauk w szkole montparnaskiej trwał dwa lata; a nauka odbywała się w dwóch oddziałach: w niższym czyli pierwszym i w drugim czyli wyższym.

Oddział czyli kurs niższy obejmował według programu z r. 1865/6: Arytmetykę całą; algebrę do dwumianu Newtona włącznie: geometryę całą; trygonometryę; geometryę analityczną: geometryę wykreślną do powierzchni skośnych wyłącznie: fizykę: chemię; rysunki: język francuski; historyę polską i literaturę polską. Program z r. 1862 obejmował nadto geodezyę praktyczną,

która miała na celu obeznanie uczniów z instrumentami potrzebnymi do zdejmowania planów i niwelacyi w zastosowaniu do projektów dróg, kanałów i kolei żelaznych.

Uczniowie, kończący oddział czyli kurs niższy szkoły, byli usposobieni dostatecznie do przejścia na kurs wyższy szkoły lub do zdania egzaminu do szkoły centralnej, utrzymywanej przez kompanie prywatne, do klasy przygotowawczej Szkoły górniczej paryskiej, do Szkoły górniczej w Saint-Etienne, do Szkoły wojskowej w Saint-Cyr, do Szkoły architektury i handlu w Paryżu, do Szkoły sztuk i rękodzieł w Belgii itp.

Na kursie drugim czyli wyższym wykładano według programu z r. 1865/6: Algebrę a w szczególności równania wyższych stopni; rachunek różniczkowy i całkowy; mechanikę racyonalną i część stosowanej; geometryę wykreślną od powierzchni skośnych i zastosowanie jej do perspektywy, do teoryi cieni, ciesiołki i kamieniarki; fizykę; chemię; rysunki; język francuski; historyę i literaturę polską.

Po ukończeniu kursu wyższego mogli uczniowie zdawać egzamin: do Szkoły dróg i mostów, do klas specyalnych Szkoły górniczej paryskiej, do Szkoły artyleryi i inżynieryi wojskowej w Metzu, do Szkół górniczych, dróg i mostów w Belgii itp.

Program nauk ulegał zresztą pewnym zmianom, podyktowanym potrzebami czasu. Uczono na kursach w miarę możności i literatury francuskiej, historyi powszechnej, geografii polskiej, ekonomii politycznej i prawa natury, estetyki, historyi naturalnej, miernictwa, buchalteryi itd.

Grono profesorskie nie było nigdy liczne, bo nie pozwalały na to fundusze. To też wykład niektórych przedmiotów powierzano niekiedy, zwłaszcza w niższym oddziele uczniom szkoły pod kierunkiem fachowego profesora tym mianowicie, którzy byli do pewnego przedmiotu wybitnie uzdolnieni i już z niego pomyślne egzamina pozdawali. Mianowano też z pośród zdolniejszych uczniów korepetytorów, którzy kolegom mniej uzdolnionym i słabiej przygotowanym pomagali. Szkoła, świadcząc dobrodziejstwa, miała zupełne prawo żądania wzajemnych usług.

Matematyki uczył w Szkole wyższej polskiej przez pewien czas Hoene-Wroński; uczył jej tu także G. H. Niewęgłowski, autor geometryi w języku polskim, wydanej w r. 1854, oraz Sągaylo E., autor: Wykładu geometryi (Paryż 1882) i Wykładu algebry (Paryż 1874).

Język francuski i literaturę francuską wykładał w szkole znany tłumacz arcydzieł literatury polskiej na język francuski Wacław Gasztowtt.

Historyę polską wykładał między innymi Waleryan Kalinka.

Estetyki uczył przez pewien czas głośny filozof Trentowski.

Nie zaniedbywano też w szkole edukacyi fizycznej. Ćwiczenia gimnastyczne i wojskowe zapełniały chwile wolne od prac naukowych: obszerny dziedziniec szkoły doskonale się do tego nadawał.

Rok szkolny rozpoczynał się w październiku a kończył się w sierpniu.

W r. 1863/4 urządzono w szkole wyjątkowo trzeci kurs czyli oddział, w którym wykładano teoryę piechoty, teoryę kawaleryi, gimnastykę, chemię zastosowaną do sztuki wojskowej, historyę Polski i rysunki topograficzne.

W zimie r. 1869/70 założono przy szkole pod przewodnictwem hr. Działyńskiego T o w a r z y s t w o n a u k m a t e m a t y c z n y c h i p r z y r o d n i c z y c h, które zbierało się w gmachu szkolnym raz w miesiącu, wydawało nakładem swego prezesa dzieła matematyczne i Roczniki swoje i urządzało wieczorami publiczne wykłady polskie z dziedziny nauk matematyczno-przyrodniczych.

Szkoła opiekowała się i tymi uczniami, którzy, opuściwszy ją, kontynuowali studya w specyalnych zakładach naukowych francuskich. W czasie wakacyi uczniowie, uczęszczający na kursa nauk w Szkole dróg i mostów i górniczej, wyjeżdżali dla zwiedzenia kopalń, robót przy kolejach żelaznych, kanałach, portach morskich lub znaczniejszych przemysłowych zakładach. Ubogim udzielała szkoła w miarę możności stosownej pomocy.

Uczniów obowiązywała w internacie szczegółowa reguła. Wolno im było wychodzić tylko dwa razy w tydzień. Nocowanie poza zakładem było wzbronione. Jedno wykroczenie przeciw regule dawało dyrekcyi prawo wydalenia ucznia z szkoły. Co dwa miesiące wysyłała szkoła rodzicom a względnie ich zastępcom sprawozdania z postępów ucznia i jego sprawowania.

Uczniowie przychodni (externi), przepędzali cały dzień w szkole, otrzymywali w niej naukę i stół, ale mieszkali poza szkołą.

Wolni słuchacze uczęszczali na jeden lub kilka wykładów stosownie do umowy.

Zgłaszający się kandydaci, nie młodsi nad lat szesnaście, a nie starsi nad lat dwadzieścia pięć, musieli okazać list zastępcy

rodziców lub opiekunów, zamieszkałego w Paryżu, w którym tenże zobowiązywał się do regularnej opłaty szkolnej.

Opłatę wnoszono z góry w trzech ratach kwartalnych, a regulowano ją co roku, zmniejszano lub zwiekszano zależnie od zamożności ucznia. Najwyższa opłata wynosiła 1.000 fr. rocznie. Uczeń, pragnący mieć osobny pokój, dopłacał kilkaset franków więcej. Emigranci albo synowie emigrantów przyjmowani byli z reguły bezpłatnie. Uczniowie płacący obowiązani byli z własnych funduszów sprawiać sobie książki i odzienie.

Wstępujący do zakładu wnosił ze sobą do swego użytku łyżkę, widelec i nóż oraz kubek a nadto trzy pary prześcieradeł i 12 serwet, a opuszczając szkołę zostawiał parę prześcieradeł i sześć serwet dla infirmeryi.

Uczniowie, uwolnieni od opłaty, mieli wszystko za darmo: naukę, bieliznę, odzież, obuwie, książki itd.

Umundurowania osobnego nie było.

Frekwencya zakładu ulegała nieznacznym wahaniom.

W roku szkolnym 1856/7 było w zakładzie 31 młodzieńców a w 1857/8 r. 32; z tego 25 internistów.

W roku szkolnym następnym zapisało się do szkoły 33, wszyscy interniści.

Zakład zaludnił się bardziej po przeprowadzeniu się do własnego domu i po zwiększeniu się subwencyi rządowej.

W latach szkolnych od 1865/6 do 1870/71 tj. aż do zamknięcia miał zakład stosunkowo liczną frekwencyę:

W r. szk.	1865/6	intern.	65,	ekstern. i woln. słuch.	50,	razem	115.
„	1866/7	„	53,	„	51,	„	104.
„	1867/8	„	63,	„	18,	„	81.
„	1868/9	„	53.	„	15,	„	68.
„	1869/70	„	57.	„	6.	„	63.
„	1870/1	„	37.	„	2,	„	39.

Zarząd szkoły i dozór nad nią znajdował się w rękach Rady szkolnej, która się stopniowo uzupełniała. Do jej zakresu działania należało wszystko, co się szkoły tyczyło: sprawy naukowe i administracyjne.

W skład pierwszej Rady, pozostającej pod przewodnictwem księcia Adama Czartoryskiego, wchodzili byli członkowie rządu narodowego z r. 1830: Stanisław Barzykowski, Teodor Morawski i Andrzej Plichta, jakoteż pułkownik Adolf Cichowski, znany

z III. części „Dziadów“, podpułkownik Kazimierz Paprocki i profesorowie Hipolit Błotnicki i Stanisław Kunatt.

Prócz wyżej wymienionych osób, tworzących pod prezydencyą księcia Adama Czartoryskiego pierwszą Radę szkoły, weszli następnie do jej składu: Książę Władysław Czartoryski, który po śmierci ojca został prezesem Rady, dalej generał hr. Władysław Zamoyski, filozof Bronisław Trentowski, generał hr. Bystrzonowski, poseł Amancyusz Żarczyński, hr. Jan Działyński, Walery Kalinka, znany wydawca arcydzieł literatury polskiej Eustachy Januszkiewicz, major Franciszek Szemioth, Karol Ostrowski, Karol Chobrzyński, Gustaw Dąbrowski, Lubomir Gadon, Józef Rustejko, Ksawery Szlenker, Ludwik Nabielak, Karol Sulikowski jakoteż każdorazowi dyrektorowie szkoły.

Dyrektorowie zmieniali się bardzo często. Pierwszym dyrektorem był Glinojecki (1848—1849); po nim kierował szkołą major Zawierski (1849—1853); a w dalszym ciągu Stanisław Gajewski (1853—1855), Juliusz Jedliński (1855—1860), generał Konarski (1860—1863), Henryk Niewęgłowski (1863—1865), Edward Habich (1865—1868) i ostatnim były profesor poznański dr. Kaz. Szulc (1868—1871).

Częścią gospodarczą szkoły zawiadywał ekonom.

Strona finansowa przedstawia nam bodaj najlepiej wysiłki Rady szkolnej, aby zakład utrzymać, a zarazem jego wybitne zasługi.

W sprawozdaniu, wydanem w r. 1853, zaznaczono, że do owego czasu wydano na utrzymanie szkoły 133.669 fr.

Budżet w r. szkolnym 1856/7 przedstawiał w dochodach 39.436 fr., a w rozchodach 37.819 fr.

W roku następnym zamknięto rachunki deficytem 980 fr.

W ostatnich latach istnienia szkoły deficyty powtarzały się coraz częściej i dochodziły niekiedy do znacznej wysokości.

W r. szkolnym 1865/6 wynosił deficyt 6.507 fr. wobec przychodu 77.467 fr.

Rok szkolny 1866/7 zamknięto deficytem około 254 fr. mimo dochodu 87.634 fr.

Na końcu r. szk. 1867/8 pozostało w kasie 1.739 fr. po pokryciu wydatków w kwocie 70.255 fr.

I r. 1868/9 zamknięto nadwyżką 934 fr.

Rok szkolny 1869/70 skończył się deficytem 98 fr.

W r. 1870/71 wynosił budżet szkoły w dochodach 48.558 fr. a w rozchodach 45.802 fr. Stan funduszów szkoły obliczono w aktywach 13.273 fr. a w pasywach 11.413 fr.

Stan funduszów nie tłumaczy jeszcze faktu zamknięcia szkoły z końcem r. 1870/1.

Aby go zrozumieć, trzeba rozpatrzyć źródła dochodów szkoły.

Najwydatniejszem źródłem dochodów był zasiłek rządowy, stale wypłacany szkole przez rząd francuski z funduszów, które ciała prawodawcze uchwaliły na rzecz emigracyi polskiej jako rekompensaty za wydatki Polski na rzecz armii francuskiej.

Miała szkoła z tego źródła co rok 20.000 fr. subwencyi regularnej, a prócz tego wyjednywała sobie subwencye nadzwyczajne, niekiedy wcale wydatne.

W r. 1860/1 wypłacił jej rząd 40.000 fr.

W r. 1864 rząd przyrzekł prócz dotychczasowych 20.000 fr. płacić na 20 uczniów po 35 fr. miesięcznie a 3.600 fr. rocznego dodatku czyli prócz regularnej kwoty 20.000 fr. dodatkowo jeszcze 12.000 fr.

Roku 1865 dostała szkoła subsydya miesięczne po 50 fr. dla 40 uczniów a nadto oprócz dotychczasowych 20.000 fr. dodatku 10.000 fr. z przyrzeczeniem 6.000 fr. dodatku na rok przyszły.

Na rok szkolny 1867/8 rząd dał trzem uczniom więcej subsydya miesięczne po 50 fr., razem więc 43 uczniom.

Subsydya miesięczne czyli bursy rządowe dostępne były tylko dla synów politycznych emigrantów polskich. Aby przyjść z pomocą i innej młodzieży polskiej, przybywającej do Francyi, Rada szkoły odniosła się do społeczeństwa polskiego z prośbą o fundowanie nowych burs. Fundusz na bursę miał przynosić miesięcznie 100 fr. i być zapewnionym przynajmniej na lat pięć. W budżecie z r. 1869/70 łączna subwencya rządu francuskiego wynosiła 52.650 fr. a w budżecie z r. 1870/1 razem 33.200 fr.

Wojna francusko-pruska położyła koniec subwencyi rządowej i przecięła byt szkoły. Najprzód rozprószyła się znaczna część młodzieży.

Kandydaci, przybyli z kraju za paszportami, udali się do zakładów belgijskich i szwajcarskich, a w łonie samej szkoły nastąpiła całkowita dezorganizacya. Kilkunastu uczniów weszło do armii francuskiej.

W gmachu szkoły urządzono z początkiem oblężenia Paryża ambulans; pozostali uczniowie i profesorowie szkoły pełnili służbę

wojskową na wałach lub poza wałami stolicy. Wewnętrzne kursa szkoły można było rozpocząć dopiero po zawarciu zawieszenia broni. W tem wybuchła wojna domowa w Paryżu, tak iż zaledwie kurs niższy można było prowadzić od 15. lutego do 1. lipca.

Od lutego do lipca r. 1871 szkoła nie pobierała od rządu żadnych subsydyów i istniała tylko za pomocą kredytu dostawców a także pożyczek prezesa Rady Wł. Czartoryskiego i przygodnych datków. Szkoła znalazła się w bardzo trudnem położeniu.

Rząd tymczasem zredukował sumę, przeznaczoną na potrzeby emigracyi polskiej na rok 1871 do połowy, szkoła montparnaska mogła więc w najlepszym razie liczyć na połowę dotychczasowej allokacyi rządowej. Wobec tych rozmaitych trudności Rada zamknęła szkołę tymczasowo od pierwszego lipca r. 1871. Rada zajmowała się następnie myślą urządzenia eksternatu, ale myśl tę porzucono jako niemającą warunków powodzenia.

Gdy nareszcie rząd dn. 8. paźdz. 1871 r. oświadczył, że po otrzymaniu subwencyi za drugi kwartał 1871 roku szkoła na żadną dalszą allokacyę na ten rok liczyć nie powinna i że co się tyczy udzielenia jakiejkolwiek pomocy dla szkoły na rok przyszły rząd żadnego zobowiązania wziąć nie może, wtedy Rada uchwaliła 15. października w składzie swoim pozostać, szkoły ostatecznie nie rozwiązywać, ale ograniczyć istnienie jej do urządzenia dla uczniów, nieuczęszczających jeszcze do szkół specyalnych, korepetycyi i do zachowania opieki nad uczniami, otrzymującymi subsydya rządowe.

Uchwała ta równała się ostatecznie zwinięciu szkoły. Na temże samem posiedzeniu wybrała Rada Komisyę, mającą oddzielić z pomiędzy ruchomości i nieruchomości szkolnych własność zakładu od własności księcia Władysława Czartoryskiego. Komisya dokonała tego zlecenia.

Rząd francuski, wspierając zakład, wykonywał nad nim kontrolę podwójną: przez ministerstwo oświaty jako instytucyę naukową i przez ministerstwo spraw wewnętrznych jako instytucyą rządowo wspieraną.

Drugiem źródłem dochodów stałych ale niewydatnych a przytem co do wysokości mało uchwytnych były opłaty uczniów niefunduszowych.

W r. szk. 1856/7 opłaty uczniów przyniosły razem 2.512 fr.; w r. 1857/8 5.075 fr.; w 1865/6 roku 9.167 fr.; w 1868/9 roku 10.258 fr.; w r. 1870/1 tylko 1899 fr.

Trzeciem z początku dość wydatnem pod koniec wysychającem źródłem dochodów szkoły były składki publiczne i ofiary osób prywatnych.

Głównymi dobrodziejami i opiekunami Szkoły wyższej polskiej byli poza rządem francuskim Czartoryscy, książę Adam i syn jego Władysław, dwaj kolejno po sobie następujący prezesowie Rady szkoły.

Senator i wojewoda Królestwa polskiego Mateusz Wodzinski. umierając r. 1848 w Dreźnie. zostawił testamentem do rozporządzenia ks. Adama Czartoryskiego na potrzeby emigracyi polskiej sumę 100.000 złp. Z tej sumy oddał Czartoryski 27.500 fr. na potrzeby bieżące szkoły w pierwszych dwu latach jej istnienia.

Rodzina Czartoryskich nie szczędziła i własnych ofiar na szkołę. Wymienię tylko znaczniejsze kwoty, pomijając mniejsze i nie wspominając o nieustających ciągłych zabiegach o zbieranie składek, o wyjednanie subwencyi rządowej. o należyte urządzenie szkoły i gabinetów itp.

W r. 1857/8 zebrano na rzecz szkoły składkę 16.386 fr.: rodzina ks. Adama Czartoryskiego złożyła sama 6.000 fr.

W r. 1859 książę Władysław Czartoryski wydał na grunt pod szkołę i na wybudowanie gmachu szkolnego sumę przeszło 200.000 fr.

W r. następnym został wybudowany na koszt ks. Wł. Czartoryskiego tylny gmach szkolny.

Szkoła zobowiązała się płacić księciu za jego wydatki i zaliczki co rok 4.000 fr. czynszu. tymczasem wypłaciła raz tylko częściowe komorne w kwocie 2.500 fr. Książę nie brał procentu. owszem co roku prawie tyle dodawał.

W r. szk. 1865/6 wyłożył książę na potrzeby szkoły 1.700 fr.

Niejednokrotnie książę pożyczał szkole i w późniejszych latach znaczniejsze kwoty zupełnie bezinteresownie jak n. p. w r. szkolnym 1869/70 sumę 19.000 fr.

Królowa hiszpańska Krystyna ofiarowała w dzień ślubu córki swej z ks. Władysławem na szkołę 50.000 fr., jako wieczysty fundusz familijny, który nawet w razie spłacenia awansu a nawet w razie zamknięcia szkoły miał służyć sprawie wychowania narodowego polskiego.

Miała szkoła i innych możnych protektorów. Pewna anonimowa osoba z Litwy składała przez pewien czas na rzecz szkoły co roku po 5.000 fr. za pośrednictwem księżnej A. Sapieżyny a po jej śmierci za pośrednictwem generała Wład. Zamoyskiego.

Zamoyski osobiście nieraz spieszył szkole z pomocą: w r. 1865/6 złożył na jej potrzeby 1.400 fr.

W rzędzie dobrodziejów szkoły zajął miejsce anonim z Litwy. składając w r. szk. 1857/8 na szkołę 3.000 fr.

Rada miasta Krakowa pospieszyła szkole z pomocą w ciężkim dla niej roku 1870/1, posyłając jej 500 fr.

Wspierano szkołę i w inny jeszcze sposób.

Towarzystwo 3-go Maja podarowało zakładającej się szkole bibliotekę swoją. W r. 1861 dostała szkoła w darze od profesora Domeyki w Chile zbiór minerałów, a od hr. Jana Działyńskiego gabinet fizyczny.

Oto zarys dziejów Wyższej Szkoły polskiej w Paryżu. Uwydatniły się w nim wybitne zasługi tej instytucyi, które tu zbieram w jedno ognisko. Szkoła dostarczała całym szeregom młodzieńców z emigracyi, a także i niemało młodzieży z kraju środków utrzymania, oraz pobierania i kończenia wyższych nauk. a przytem czuwała z całą troskliwością nad rozbudzeniem i utrwaleniem w ich sercach rzetelnych uczuć narodowych polskich. Z szkoły montparnaskiej wyszło wielu gorliwych patryotów i użytecznych obywateli. Zasługi szkoły ocenimy tem lepiej, gdy zważymy, że szkoła zajmowała się młodzieżą od lat 17 do 25. a więc w tym okresie życia, który rozstrzyga o losach człowieka na całe życie. A dodajmy. że szkoła działała na gruncie paryskim. gdzie potrzeba silnej woli, aby się niedać wciągnąć w wir zepsucia i bezmyślnego życia.

Przypatrzmy się cyfrom. W ciągu 23 lat istnienia szkoły uczęszczało do niej 620 uczniów, którzy z małymi wyjątkami pokończyli szkoły specyalne i otrzymali dyplomy inżynierów cywilnych, wojskowych lub świadectwa, upoważniające ich do innych zawodów uczonych lub przemysłowych.

Znaczenie Szkoły montparnaskiej określili dobrze lubo nieco patetycznie jej profesorowie w Odezwie z r. 1862, nawoływującej młodzież polską do studyum nauk i umiejętności, dotąd w Polsce zaniedbanych, a jednak tak bardzo potrzebnych. Kraj nie miał zakładów, któreby tych nauk udzielały, szkoła paryska zastępowała bodaj w części tę fatalną lukę. Kwitła u nas zawsze poezya, a wyjątkiem tylko były umiejętności. Uwielbiano u nas wyobraźnię, nie rozum. I runęło państwo polskie nie brakiem męstwa obywateli, nie brakiem waleczności żołnierzy i poświęceń w narodzie, ale brakiem publicznego rozumu. Zrozumiała to dobrze

Polska porozbiorowa i dlatego od razu zabrała się, gdzie mogła, do organizowania dobrych szkół, a gdy następnie wróg osuszył źródła oświaty narodowej w kraju, otwierała je z wielkiem poświęceniem za granicą w tem przekonaniu, że nauka orzeźwia życie narodu. Nauki i umiejętności to nieśmiertelne potęgi, których wróg nam wydrzeć nie zdoła, a które stanowią silną dźwignię naszego politycznego zmartwychwstania. Dziś trzeba się uczyć — wołają profesorowie paryscy — aby umieć przeniknąć i zniweczyć piekielne plany nieprzyjaciół polskiego imienia. Cała siła wrogów opiera się na naszej niewiadomości.

Wiedzą o tem dobrze nasi ciemięzcy i dlatego nie dopuszczają, aby młodzież polska w narodowych szkołach odbierała polskie wychowanie i polskie nauki! Nie chcą, aby Polacy mieli swoje uniwersytety, bo się boją, aby światło umiejętności nie rozwidniło ohydnej niewoli, w której naród jęczy. Wróg poniszczył szkoły, na koszary pozamieniał uniwersytety, złupiwszy ich dobra! Wróg nie chce, aby się młodzież polska uczyła! Wobec tego młodzież polska powinna się z tem większym zapałem garnąć do nauki, do umiejętności i pełną garścią rozsiewać światło, aby się kraj sam rozpoznał i zrozumiał.

Odezwa powyższa wskazuje zamiary i zasługi nie samej tylko szkoły montparnaskiej, lecz całej emigracyi polskiej.

Od pierwszych lat trwania emigracyi tworzyły się w niej instytucye, świadczące, że przedstawiciele sprawy polskiej na obczyźnie otoczyli troskliwą opieką wychowanie młodego pokolenia, między nimi wzrastającego. Wzniesiono i utrzymywano z trudem szereg bardzo pożytecznych instytucyi ofiarnością polską i hojną pomocą rządu francuskiego. Zakłady te, z których znaczna część już nie istnieje, stanowią zaszczytną kartę w historyi tułactwa polskiego. Ludzie, co życie spędzili w zawodzie politycznym albo wojskowym, musieli w podeszłych niemal latach zmieniać /się w pedagogów,/przewodników uczącej się młodzieży. Zadanie było trudne, a przecież wywiązano się z niego dobrze. Młodzież przychodziła z różnych części kraju macierzystego, a była to młodzież różnego wieku, różnego stopnia wykształcenia i różne obierająca sobie powołanie naukowe. Do tego przydać trzeba przeszkody, każdemu dziełu obywatelskiemu, zwłaszcza na emigracyi właściwe, to jest ciągły niedostatek pieniędzy. Dobra wola, energia i wytrwałość zwyciężyły.

L i t e r a t u r a i ź r ó d ł a. a. Jak giną instytucye na emigracyi. Nap. a. Paryż 1896. Broszura pełna nieuzasadnionych oskarżeń

i oszczerstw na ks. Adama Czartoryskiego. Zestawić ją trzeba z pamfletem Chropieńskiego z r. 1898 zob. pod Szkołą batyniolską. — Baraniecki M. A.: Towarzystwo nauk ścisłych w Paryżu w Ateneum 1877. I. — Barzykowski Stan.: Przemówienie z r. 1858/9. — Błotnicki H.: Szkoła wyższa polska w Roczniku Tow. hist. liter. w Paryżu 1866 i następne. — Czartoryski Wł.: Dom szkoły wyższej polskiej w Paryżu, Paryż 1858. — École superieure à Paris, (bez m. i r.). — Instytucye naukowe i dobroczynne. założone i wspierane przez XX. Czartoryskich w Paryżu na emigracyi, Paryż 1860. — Présentation de l'institution préparatoire à son altesse la princesse Ladislas Czartoryska, 1855. — Przewodnik naukowy w Paryżu, Paryż 1860 i dalsze. — „Trzeci Maj", czasopismo, Paryż 1847. 1848. — Wiadomość o Instytucie przygotowawczym polskim od 1848—1853. — Wiadomość o szkole przygotowawczej, Paryż 1850, 1853, 1855. — „Wiadomości polskie", czasopismo, Paryż 1859. 1860. — Wyższa Szkoła polska w Paryżu: Odezwa i sprawozdanie 1856/7; Toż 1862; Program warunków przyjęcia uczniów do Szk. wyż. pol. i program umiejętności i nauk wykładanych w tej szkole, Paryż 1862; Sprawozdanie 1857/8, 1865/6, 1866/7, 1867/8, 1868/9, 1869/70, 1870/71.

ANTONI KARBOWIAK.

(Ciąg dalszy nastąpi)

Wystawa Rembrandtowska w Lejdzie

w r. 1906.

(Notatki turysty).

(Ciąg dalszy).

Takiem studyum, ale już do obrazu, była także Zuzanna z r. 1647.[1]) Studyum to przygotowawcze do obrazu: Zuzanna i dwaj starce, znajdującego się w królewskiej galeryi w Berlinie, podobnie jak jest niem Zuzanna w paryskim Luwrze. Popiersie kobiety nagiej, o ciele więcej ciemnem, brunatnawem, ale naturalnem. Na głowie żółta czapeczka. Twarz brzydka, bladawa, okraszona delikatnym rumieńcem i patrząca dwojgiem oczu ciemnych i pełnych życia. Twarz ta nie posiada tego wyrazu, którego spodziewalibyśmy się u Zuzanny. Co więcej, we wspomnianym obrazie berlińskim bohaterka ma również wyraz niezbyt odpowiadający chwili, wyraz raczej jakiegoś spokojnego zaciekawienia, aniżeli przestrachu i dziewiczego wstydu. Bądź co bądź jednak i to studyum naszej wystawy, ten mały obrazek, wskazuje, że wyszedł z ręki mistrza. Jakie życie nadają tej twarzy oczy, jakie zaokrąglenie pleców i jak tam malowane ciało!

---

[1]) Rembrandt-Rosenberg, str. 240, str. pr.

Z kilku głów, które jeszcze należały do Rembrandta, wymienię obrazeczek, będący własnością p. Janssena z Brukseli.[1]) Studyum to starca z siwą brodą jest najmniejszem znanem malowidłem Rembrandta, wielkości dłoni ludzkiej. Jest ono tak silnie modelowane, chociaż pochodzi z lat wczesnych jego działalności (1633 rok), że wygląda, jakby urobiono je z brunatnawego gipsu. Pędzel artysty, nakładając tutaj farbę grubo i niezmiernie energicznie, stworzył głowę o nadzwyczajnej plastyce i charakterystycznem piętnie. Wymienię wreszcie popiersie, na które składają się barwy jasne, tworzące całość ogromnie harmonijną: popiersie człowieka starszego, z oczami spuszczonemi ku ziemi z wyrazem zadumania. Ubiór na nim czerwony, na głowie okrycie białe, włosy ciemno-żółte, podobna też broda. Tego rodzaju połączenie barw rzadko spotyka się u Rembrandta.[2])

Portrety i studya głów, oto co głównie stanowiło spuściznę Rembrandtowską na tej wystawie. Wiemy zresztą, że to charakteryzuje do pewnego stopnia całą jego spuściznę artystyczną.

Obrazów kompozycyjnych, którymi się teraz zajmiemy, było tylko cztery: Chrystus i Samarytanka, Chrystus na krzyżu, Konsul rzymski i czwarty — Andromeda.

A więc naprzód „Chrystus i Samarytanka“,[3]) przedmiot, który przedstawiał Rembrandt niejednokrotnie w swoich obrazach i akwafortach. Chrystus siedzi i przemawia, wyciągnąwszy w odpowiednim ruchu prawą rękę przed siebie. Tuż obok niego po prawej stronie obrazu stoi Samarytanka, pochylona silnie nad studnią, lewą bowiem ręką opiera się o niską jej cembrowinę, a drugą przytrzymuje znajdujące się na niej naczynie na wodę. Twarz jej wpatrzona w Chrystusa. W pewnem oddaleniu kilka osób (co prawda, zaledwie zaznaczonych), przysłuchujących się słowom przemawiającego.

Na dalszem tle, tuż poza Chrystusem i Samarytanką, widać mur, ponad którym wznoszą się szczyty rozmaitych drzew wschodnich, stanowiących sposobem Rembrandtowskim gąszcz fantastyczną i pełną tajemniczości; widać wieżę czworograniastą, znaną zresztą z akwafort Rembrandta i jakieś dalsze budowle.

---

[1]) Rembrandt-Rosenberg, str. 88.

[2]) Były jeszcze na wystawie: Głowa młodzieńca, własność hr. Tarnowskiego z Dzikowa i głowa starca Ksawerego Branickiego z Warszawy, której nie było jeszcze w czasie mojej obecności w Lejdzie.

[3]) Rembrandt-Rosenberg, str. 295.

Obraz ten pochodzi z roku 1655, a więc z epoki późnej działalności Rembrandta i należy widocznie do tych jego utworów, w których nie chodziło mu o świetność więcej zewnętrzną, o świetność kolorytu, lecz raczej o jak największe wykończenie psychologicznej strony obrazu, a więc przedewszystkiem o charakterystykę twarzy występujących osób. To też koloryt obrazu jest poważny i ciemny, ciemnym jest ubiór Chrystusa i część ubioru Samarytanki, ciemną wreszcie jest zieleń grupy drzew wschodnich. Zaledwie biała koszula, stanowiąca górną część ubioru Samarytanki, rozpogadza nieco większą jasną plamą koloryt obrazu.

Nie w kolorycie tkwi urok i siła utworu, tem bardziej, że ma on w niektórych miejscach jakieś uszkodzenia i zatarcia, które psują ogromnie wrażenie całości. Spojrzmy na twarz Chrystusa. Twarz jego typu wybitnie semickiego, pełna powagi i mądrości, oddaje znakomicie wyraz człowieka nauczającego, który mówi o rzeczy swojej z przejęciem się i całem przekonaniem. Z ogromną też siłą namalował Rembrandt twarz niełądną, ale charakterystyczną Samarytanki,[1]) tak zasłuchanej w słowa Chrystusa, że zda się zatraciła zupełnie świadomość wszystkiego innego. A od tej tak świetnej charakterystyki twarzy, od tej sceny, jaka rozgrywa się między Chrystusem a Samarytanką, tchnie ku widzowi dziwny nastrój, nadzwyczajnie spotęgowany smętnem tłem krajobrazowem, przedewszystkiem zaś ciemną zielenią wschodniego gaju.

I to właśnie ujęcie przedmiotu, to przedstawienie Chrystusa i Samarytanki pod otwartem niebem, na tle krajobrazu, dodaje bardzo wiele wdzięku temu utworowi. Mniej podobają mi się pod tym względem dwa inne obrazy Rembrandta tej samej treści, które znam z reprodukcyi, a które znajdują się w petersburskim Eremitażu i u p. Rudolfa Kanna w Paryżu. Za dużo tam architektury, zwłaszcza na obrazie petersburskim. I Chrystus i Samarytanka wyglądają na tym ostatnim jakby z dwu okienek, które tworzą w około nich kolumny budowli.[2])

„Chrystus na krzyżu“ [3]) — malutki obrazek, ale pełen mocy i nastroju. Chrystus już umarł, głowa zwisła na piersi, oczy

---

[1]) Zdaje mi się, że się nie pomylę, jeżeli wskażę wzór do tej Samarytanki w portrecie młodej dziewczyny, będącym własnością Lorda Ridley'a w Londynie, a malowanym w roku 1654, o rok tylko wcześniej od naszego obrazu. Zob. Rosenberg, 286, str. 1.

[2]) Rembrandt-Rosenberg, str. 333 i 332.

[3]) Tamże str. 232, str. pr.

zamknięte. O jakimś wyrazie twarzy trudno tutaj mówić. Mistrz rzucił tylko na nią jakieś ogromne cienie i przez to jakby ją zupełnie zniszczył. A ta głowa spoczywająca w swem pochyleniu aż na piersi, ta twarz tak strasznie zniszczona, każe nam odczuwać cały ogrom cierpienia, które ta istota przebyła. Teraz wszystko już się skończyło! Takie same cienie zniszczenia rzucił Rembrandt na część twarzy Chrystusa w „Zdjęciu z krzyża" w jednej ze swoich akwafort.[1]) Nie tylko jednak głowa Chrystusa budzi we widzu tak wstrząsające uczucia, działa na te uczucia również silnie tło obrazu. Całe zielonkawo-popielate, wygląda jakby zupełnie skłębione, jakby mącone nieustannie jakimś ogromnym niepokojem. Tylko w pobliżu głowy Chrystusa przedziera się z trudem i zaledwie daje się rozpoznać jakiś podłużny skrawek niebieskawego firmamentu. Z tła tego bije ku nam przejmujący krzyk: Oto stała się rzecz straszna! Krzyk tem więcej przejmujący, że wokoło niema żadnej istoty, ani ludzkiej, ani jakiejkolwiek innej. Kilka wzgórz tylko zarysowuje się wokoło podstawy krzyża...

Obrazek ten powstał około roku 1646.[2])

Do kompozycyjnych obrazów należy również wielkie płótno, — największe na tej wystawie nie tylko z obrazów Rembrandta, ale wogóle ze wszystkich obrazów, które były tutaj. Niema dotychczas zgody co do treści obrazu. Dawniej sądzono, że jest to pochód tryumfalny Scipiona Afrykańskiego, dzisiaj udowadnia Veth z wielkiem prawdopodobieństwem,[3]) że jest to konsul rzymski, Quintus Fabius Maximus, który rozkazuje ojcu swojemu zleść przed sobą z konia, gdy przybył do niego w poselstwie od senatu. Prawo nie pozwalało na przemawianie z konia, jeżeli przemawiało się do konsula. Jakoż rzeczywiście, to co nam obraz przedstawia, odpowiadałoby bardzo takiemu jego rozumieniu: starzec w rozmowie z młodzieńcem, który siedzi na koniu. Obaj w stroju żołnierskim i w otoczeniu wojska.[4])

Obraz ten malowany już później, bo w roku 1653, jest tylko szkicem, szkicem jednak ogromnie zajmującym. Wiadomo bowiem,

---

[1]) Hamann: Rembrandts Radierungen, Berlin 1906, str. 141.

[2]) Ciekawy szczegół: obydwa wielkie palce u rąk Chrystusa są po lewej stronie. Veth wyraża pewną wątpliwość, czy obraz ten wyszedł rzeczywiście z pod pendzla Rembrandta.

[3]) W cytowanym już artykule.

[4]) Rembrandt-Rosenberg, str. 322.

że w bogatej spuściźnie Rembrandtowskiej jest zaledwie kilkanaście obrazów, dających nam kompozycye na większe rozmiary. Jedną z takich kompozycyi, pomyślaną wspaniale, to właśnie szkic niniejszy. Wielka też szkoda, że rzecz ta nie została wykończoną, tylko podmalowaną. Oceniamy płótno nie tylko według tego, czem jawi się dzisiaj przed nami, lecz także według tego, czemby było, gdyby je wykończył artysta. Koloryt brunatno-złoty, tak często spotykany w obrazach Rembrandtowskich, jest tutaj tak ciemnym, że nawet przy bardzo dobrem oświetleniu nie widzimy obrazu w całości, tylko niektóre jego szczegóły, a i te nie zawsze zupełnie wyraźnie. Najbardziej jeszcze wykończoną przedstawia się twarz starca, z siwą brodą, z oczyma pełnemi wyrazu. Na młodzieńca padają już silne cienie, tak, że trudno rozpoznać, jakim właściwie jest wyraz jego twarzy. Widzimy tylko, że dzielnie siedzi na koniu, że w całej jego postaci przebija się ogromna pewność siebie i energia. Koń tylko pod nim ma nieco głowę za sztywną (nie zapominajmy jednak, że obraz jest szkicem), chociaż bystre i roztropne oczy. Obok tych dwóch głównych postaci możnaby wybrać jeszcze kilka osób, zaznaczających się wyraźniej, czy to po lewej stronie, z orszaku konsula, czy to po prawej stronie, poza ojcem. Reszta majaczeje w panujących wszędzie mrokach. Ale za to jaki ruch i życie odczuwa się poza tymi mrokami, zwłaszcza zaś w tym długim wężu wojska, toczącym się z góry po prawej stronie. Tajemniczo świecą ku nam twarze osób, stojących więcej z przodu, wszędzie zaś w całym obrazie, zapalają się połyski na hełmach i zbrojach, wykonane z tem pysznem odtworzeniem rzeczywistości, które cechuje pod tym względem pędzel Rembrandta. A ponad tem wszystkiem wznoszą się sztandary, w tyle zaś mury jakiegoś fantastycznego, olbrzymiego kastellu.

I wreszcie z kompozycyjnych płócien: „Andromeda przykuta do skały“ — mały obrazek [1]) z pierwszych lat działalności artystycznej Rembrandta. Postać kobieca do połowy zupełnie naga (u dołu okrywa ją jakaś chusta, zdobna frędzlami), przykuta za obydwie ręce do skały. Jak wiadomo, Andromedę wystawiono jako ofiarę na pożarcie potworowi dla uratowania kraju od potopu i spustoszeń, które były dziełem tego potworu. U dołu, około Andromedy, nieco roślinności, ze skały zwisa ciemna zieleń jakie-

[1]) Repr. w katalogu, w „L'Art Flamand“ i w lipskiej „Illustrirte Zeitung“ z 5. lipca 1906 r., w numerze poświęconym Rembrandtowi.

goś drzewa czy drzew. Od ciemnej zieleni, a może jeszcze bardziej od ciemnej skały efektownie odbija ciało może za białe, bo aż gipsowo białe; twarz, jak to często bywa u Rembrandta, brzydka, kształty ciała oddane nadzwyczajnie — świetny akt kobiecy. W twarzy wyraz pełen niezmiernie bolesnego oczekiwania tego strasznego nieszczęścia, które ma ją spotkać. A spoczywa on nie tylko w twarzy, ale niejako w całej postawie Andromedy, przenika całe jej jestestwo.

Tak przegląd obrazów Rembrandta skończony. Rzućmy więc jeszcze raz okiem wstecz. Nie ulega wątpliwości, że twórczość Rembrandta przedstawiała się tutaj bardzo ułamkowo, ale i to pewna, że ta wystawa więcej przygodna i okolicznościowa, mieściła w sobie dzieła pierwszorzędne i znakomite. Przypomnijmy tylko w pierwszym rzędzie portret brata Rembrandta, portret Katarzyny Hooghsaet i Konsula rzymskiego, w dalszym zaś rzędzie portrety własne: z „otwartemi ustami“ i z galeryi Lichtensteina we Wiedniu, portrety matki, ojca i siostry, portret własny czy też młodzieńca z r. 1631, portret Petronelli Buys, Chrystusa i Samarytankę, o ile obraz ten nie był zniszczony, i Chrystusa na krzyżu. W innych zaś obrazach, studyach i szkicach, które omawiałem powyżej, tkwił lwi pazur gienialności, zmuszający przypatrywać się im z najwyższem zajęciem.

II.

Drugi dział wystawy Rembrandtowskiej stanowiły oryginalne jego rysunki, umieszczone po części w Muzeum Miejskiem, po części zaś w Uniwersytecie, zwanym tutaj Akademią. Było ich 101,[1]) wykonanych przeważnie piórkiem, czasem kredką czarną lub czerwoną. Większa ich połowa pochodziła ze zbioru znanego holenderskiego historyka sztuki, Hofstede de Groot z Hagi, innych dostarczyli Leon Bonnat, znany malarz-artysta z Paryża, dr. Bredius, Gabinet rycin Muzeum miejskiego w Lejdzie i inni. Pan Bonnat przysłał prócz tego na wystawę osobny album Rembrandta, częściowo tylko znany z reprodukcyi, a zawierający 89 rysunków, robionych również piórkiem lub sepią. Album ten w całości niezmiernie cenny i mieszczący w sobie niejedną rzecz

[1]) Przynajmniej tak przedstawiała się rzecz według 4-go wydania katalogu wystawy.

prześliczną, nie znajdował się w salach wystawowych Akademii, lecz w sali innej pod osobnem zamknięciem, a mogłem go przeglądać tylko dzięki uprzejmości dra Dyserincka,[1]) który wspólnie z drem C. Hofstede de Groot zajmował się urządzeniem i układem działu rysunków, a przedewszystkiem działu reprodukcyi dzieł Rembrandta. Zabezpieczono album ten na czas trwania wystawy na cztery tysiące guldenów holenderskich.

Rysunki Rembrandta, zarówno osobno wystawione, jak znajdujące się w albumie Bonnata, to były szkice i studya, rzeczy więcej lub mniej wykończone lub nawet zupełnie skończone. Przedstawiają one tematy historyczne, tematy wzięte ze starego lub nowego testamentu, z życia zwyczajnego, krajobrazy i zwierzęta. Ktokolwiek przypatrywał się rysunkom Rembrandta czy to w oryginale, czy to w reprodukcyach, ten wie doskonale, jaką roskosz sprawiają dla oka te gienialne pierwsze rzuty, te materyały i studya do przyszłych prac, te czasem skończone arcydziełka. W nakreślonej kilku pociągnięciami pióra charakterystyce twarzy, w tych kreskach, które zarysowują kształt czy to człowieka, czy to zwierzęcia, które zarysowują widoczek krajobrazowy widać rękę arcymistrza, która w zdumienie wprawia widza, uzyskując dziwnie skromnymi środkami nadzwyczajne efekty. Cóż dopiero mówić o rzeczach, które on w zupełności opracował. Jaka pewność rysów a zarazem delikatność wykończenia. Gienialność Rembrandta możemy tutaj tak samo studyować, jak w jego obrazach.

W trzecim dziale wystawy Rembrandtowskiej znajdowały się r e p r o d u k c y e obrazów, akwafort i rysunków artysty, umieszczone w pięciu salach Akademii Lejdeńskiej. Zebrano tutaj możliwie najlepsze reprodukcye każdego dzieła Rembrandta i uporządkowano je w sposób następujący:

Sala I-sza: Reprodukcye dzieł z lat 1627—1634.
Sala II-ga: Reprodukcye dzieł z lat 1634 (tak) — 1641.
Sala V-ta: Reprodukcye dzieł z lat 1642—1655.

---

[1]) Dr. Dyserinck dowiedziawszy się od służby, że przeglądam szczegółowo dział reprodukcyi Rembrandtowskich, sam zbliżył się do mnie, ażeby udzielić mi z uprzedzającą grzecznością rozmaitych wyjaśnień i wskazówek co do działu rysunków i reprodukcyi. I później listownie przesłał mi łaskawie odpowiedz na kilka zapytań, korzystam więc ze sposobności, ażeby mu na tem miejscu złożyć serdeczne podziękowanie za jego uprzejmość i grzeczność.

Sala III-a: Reprodukcye dzieł z lat 1656—1669.
Sala IV-ta: Reprodukcye portretów samego Rembrandta i jego rodziny.

Dla kogo przeznaczono tę wystawę reprodukcyi? Sądzę, że przedewszystkiem dla szerszych kół wykształconego ogółu. Znawcy Rembrandta, historycy sztuki lub chociażby ci, którzy więcej szczegółowo zajmują się jej dziejami, znają doskonale nie tylko oryginały jego obrazów, lecz także wszystkie Rembrandtowskie wydawnictwa i reprodukcye, zbiory akwafort, rysunków oryginalnych i reprodukowanych. Bardzo pouczająca natomiast jest taka wystawa reprodukcyi dla prawdziwie inteligentnego ogółu, który posiada zamiłowanie do dzieł sztuki, niema jednak ani czasu, ani sposobności do bliższego z niemi stykania się. Dla tej części ogółu takie zestawienie całej twórczości artysty, to nadzwyczajne udogodnienie w pracy zapoznania się z tymże artystą.

Jak wielką i wspaniałą była ta wystawa, można sobie wyobrazić, skoro pamiętamy, że dzisiaj znamy więcej, niż 600 obrazów Rembrandta, nie licząc akwafort i rysunków. W tych pięciu salach uniwersyteckich, z których piąta była ogromną, tonęło się wprost w morzu najrozmaitszego rodzaju reprodukcyi, od olbrzymich począwszy aż do wycinków z pism ilustrowanych, jeżeli (w kilku tylko wypadkach) nie było jakiej innej. Ten, kto przed przybyciem na wystawę nie zapoznał się więcej szczegółowo z twórczością Rembrandta, nabierał tutaj dokładnego pojęcia o tej ogromnej jego płodności, jednej z największych, które zna historya sztuki europejskiej, i miał zarazem wyborny jej przegląd. Można też było przy tej sposobności rozpatrzyć się, o ile posiadamy dzieła Rembrandta w dobrych lub nawet wspaniałych reprodukcyach, co więcej można się było przekonać, że prawie wszystkie jego dzieła, odtworzono rzeczywiście w reprodukcyach, odpowiadających wszelkim wymaganiom dzisiejszego czasu.

Na tem jednak nie poprzestano. Zrobiono tu jeszcze więcej dla tych, którzy chcieliby zapoznać się bliżej z procesem twórczości Rembrandta. Oto obok reprodukcyi każdego obrazu zestawiono razem wszystkie szkice i studya, które artysta wykonał, zanim ostatecznie przystąpił do samego obrazu. Tak naprzykład zestawiono szkice i studya do postaci Chrystusa lub do rozmaitych chwil z jego życia, do Chrystusa uzdrawiającego, przed Piłatem, na krzyżu. Tak samo do innych tematów, jak do Zwiastowania, do hołdu pasterzy, do miłosiernego Samarytanina, do Zu-

zanny w kąpieli i t. d. i t. d. Studyów lwa było 49 — mały zapewne, ale charakterystyczny szczegół. To też tutaj można było śledzić, w jaki sposób Rembrandt pracował i przygotowywał się do swoich dzieł, o ile pozostawał przy swoich pierwotnych pomysłach lub je później zmieniał, a niekiedy można było dowiedzieć się, zkąd czerpał swoje pomysły i jak je przerabiał do swoich potrzeb. Znający więcej twórczość Rembrandta, wiedzą dobrze, że na podobieństwo rysunku piórem Rafaela, który przedstawia hr. Castiglione, wykonał artysta swój własny portret jako śliczną akwafortę. Postać trupa w ciekawem skróceniu w obrazie państwowego Muzeum w Amsterdamie, niestety częściowo zniszczonym: Anatomia Doktora Deyma, wziął Rembrandt z obrazu włoskiego artysty XV. stulecia, Mantegni, z jego Chrystusa, złożonego do grobu. Na tem poprzestanę. Przytoczyłem te przykłady, ażeby wykazać, do jakich ciekawych wyników prowadzi takie porównawcze zestawienie utworów rozmaitych artystów.

Ogromnie zajmującą była sala IV. Wystawiono w niej, jak już powiedziałem, reprodukcye portretów samego Rembrandta i jego rodziny. Zdumiewającą zaiste była liczba reprodukcyi najrozmaitszego rodzaju portretów twórcy „Straży nocnej" — liczyła ich wystawa 95. Portrety od lat młodych aż do najpóźniejszego wieku: reprodukcye portretów olejnych, akwafort i rysunków. Nie znamy artysty, któryby pozostawił po sobie tyle własnych portretów.

A portrety osób należących do koła rodzinnego tegoż artysty, znowu tak liczne, jak u żadnego innego. Zestawiono tutaj razem wszystkie portrety ojca, matki, brata i siostry, żony Saskii, Hendrickji Stoffels i syna Tytusa. Już przez to samo budzą te osoby w nas ogromne zajęcie, że były one artyście najbliższe, były tem środowiskiem, wśród którego żył i tworzył, że były one, jak Saskia i Hendrickję, źródłem jego szczęścia małżeńskiego i rodzinnego. Czy tylko tem jednak? Jakże silnie łączyły się te tak bliskie sercu Rembrandta istoty z jego działalnością artystyczną. Portrety ich ileż dostarczyły nam arcydzieł! A jakże często miasto zwykłych portretów dał nam artysta wprost obrazy, do których osoby z rodziny były modelami i tematami! Są wypadki, w których poznajemy je od jednego spojrzenia w portretach i obrazach, w innych budzą się wątpliwości i wówczas powstaje spór między znawcami i historykami sztuki. W każdym razie jest to jedno z więcej zajmujących zagadnień, gdy chodzi o Rembrandta, śledzić, jak mogły osoby z jego rodziny wyglądać w rzeczywi-

stości, a co z nich wydobywał gienialny pędzel artysty za pomocą charakterystyki twarzy, a nawet za pomocą strojów, często bogatych i fantastycznych.

III.

Dziwnego wrażenia doznawało się, gdy w tej samej sali po długiem wpatrywaniu się w obrazy wielkiego mistrza przenosiło się wzrok na obrazy współczesnych mu rodaków. „Z hymnu“ zstępowało się wówczas naprawdę „do prostej powieści“. I trzeba było na to jakiegoś czasu, ażeby oswoić się ze zmianą wrażeń, odnaleść w sobie właściwą miarę przy ocenie tych dalszych artystów, a z tą miarą zarazem przyjemność w rozpatrywaniu ich dzieł. A jednak są wśród nich, jak zobaczymy, nazwiska, które zajmują w historyi sztuki holenderskiej wybitne stanowisko.

A więc naprzód Gerard Dou, uczeń Rembrandta, artysta cieszący się rozgłośnem imieniem u współczesnych sobie ziomków i przez nich bardzo ceniony. Wiadomo, kim był on. Był on malarzem obrazków z życia domowego, życia codziennego: odznaczał się niesłychaną starannością w malowaniu szczegółów zewnętrznych: ubiorów, sprzętów i całego tego kramu rozmaitych przedmiotów, który tak często i w takiej obfitości spotykamy na obrazach holenderskich. Ale ta staranność w odtwarzaniu świata martwego była też największą jego zaletą. Twarz ludzką przedstawiał artysta z tą samą drobnostkową starannością, lecz nie zdołał nadać jej ani wybitnej charakterystyki, ani siły wyrazu i dlatego właśnie rzeczy dodatkowe zwracają w jego obrazach taką samą uwagę, lub nieraz większą, aniżeli ludzie.

Uczeń Rembrandta — przypominał to na wystawie w Lejdzie nawet treścią jednego z obrazków. Tytuł jego: Matka Rembrandta. Obrazek ten nasuwa mimowoli porównanie z obrazami mistrza, dającymi nam również wizerunek matki, wywołuje w naszej pamięci owe wspaniałe damy, świetne charakterystyką i wykonaniem, wyposażone dostojnością zarówno w wyrazie twarzy, jak i w przepychu kostyumów. A tutaj? W ciemnawej izbie, siedzi zupełnie zwykła kobieta, pospolitych rysów, w skromnym ubiorze i pożywia się jakąś zupą, czerpiąc ją łyżką z garnka z tem przejęciem się i uwagą, które charakteryzują w czasie jedzenia osoby ze sfery niższej i małego wykształcenia. Izba to prawdziwie gospodarska, przepełniona najrozmaitszymi przedmio-

tami, wykonanymi, jak zawsze u Dou wybornie i z nadzwyczajną wiernością.

Inny jeszcze obrazek tak treścią swoją, jak i sposobem jej przedstawienia, przypomina najzupełniej Rembrandta. Oto komnata, w której widzimy młodego człowieka, siedzącego koło okna i pochylonego nad ogromnym foliantem. Ze skupieniem na twarzy sporządza sobie z niego wypisy. Obfite światło pada zarówno na samego pisarza, jak na większą część komnaty, zapełnionej książkami i globusami. Z boku, po prawej stronie, szerokie schody prowadzą ku górze. Jest to, słowem, jakby powtórzenie dwóch obrazów Rembrandta, noszących tytuł „Filozof", a znajdujących się w paryskim Luwrze. Lecz tam o ileż większe wrażenie wywierają na widza fantastycznie sklepione izby, jakieś ogromne, kręcone schody, wspinające się ku wyżynom, tajemnicze oświetlenie, padające przedewszystkiem na głowy starców. O ileż większe wrażenie wywiera siła zadumania tych starców, wyrażona w wyrazie twarzy i w całej ich postawie.

Obydwa te obrazki, jak również trzeci (doktor operuje głowę wieśniakowi, mającemu bardzo bolesną minę, stara kobieta, stroskana, przypatruje się temu, młody chłopak trzyma naczynie), nacechowany także wszystkiemi powyżej już podniesionemi właściwościami pędzla Dou, mają koloryt bardzo podobny, a jakiś dziwnie zimny. Pochodzi to w obrazkach tych z ogromnie widocznej przewagi barwy niebieskiej, ciemno-żółtej i popielatej.

Znajdowały się tu jednak również obrazki o żywszym i barwniejszym kolorycie. Do tych należało dziewczę (gorsecik czerwony na białej koszuli i biały czepeczek na głowie) w oknie, ze świecą w ręku, to dziewczę z twarzyczką oświetloną, którą Dou malował tyle razy, którą spotykamy także w Hadze, w Amsterdamie, w Berlinie i nie wiem, gdzie jeszcze. Ten okaz lejdeński był zresztą obrazkiem ładnym i malowanym bardzo starannie. Dou lubował sie, jak wiadomo, w przedstawianiu ludzi w oknie Na innym obrazku mamy znowu młodą dziewczynę w oknie, o jasnej, uśmiechniętej twarzyczce, pokazującej kotce łapkę z myszką. Całość jest prawdziwem pieścidełkiem. Mur i obramienie okna, u góry bogato rzeźbione, są ciemno-popielate: na tle tej barwy odbija ogromnie efektownie ciemno-zielony bluszcz, rozpięty ponad oknem. Wszystkie te szczegóły uboczne uderzają takiem wykończeniem (koteczka jednak nie jest nadzwyczajną), że wobec nich blednie twarzyczka dziewczęcia, chociaż malowano ją z równą starannością. Tak to mści się zawsze na artyście drobiazgowość

w wykonaniu szczegółów. jeżeli na przewyższy jej głębia psychologiczna w odtworzeniu ludzkiego oblicza.

Najwięcej barwnym, a przytem harmonijnym kolorytem odznaczał się obraz. którym chcę zamknąć poczet obrazów Dou (jeden pomijam zupełnie z powodu bardzo małej jego wartości). Scena to rodzinna: młoda matka, w niebieskim, futrzanym kaftanie i w czerwonej sukni, daje pierś dziecku, z którem bawi się młoda dziewczyna. A że przy tem występowały tutaj w wysokiej mierze znane nam już zalety artysty w odtworzeniu ubiorów i urządzenia takiego wnętrza pokoju, wyraz zaś twarzy u osób jest dobry, aczkolwiek bez większej siły, więc łącznie z owem dziewczęciem z kotką był to najwięcej zajmujący okaz uzdolnienia naszego artysty.

Bronisław Czarnik.

(Dokończenie nastąpi).

Wycieczka do Parany

(stanu rzeczypospolitej Brazylii).

Dziennik podróży.

(Ciąg dalszy).

---

15. listopada. — Podróż pieszo z Rio Claro do Passo de Meio.

Pobyt mój w Rio Claro nie mógł się przedłużać. Pilno mi było do innych osad polskich. Wybrałem dzień, zapowiadający się pogodnie, i miałem zamiar wyruszyć w drogę rano. Tymczasem nie mogłem znaleźć nikogo, ktoby mi chciał wynająć konia lub muła albo ponieść rzeczy: w końcu zdecydowano się, lecz za cenę tak wygórowaną, że na nią zgodzić się nie mogłem. — Kochani rodacy śmieli się ze mnie i dowodzili, że albo z nimi zamieszkam, albo zapłacę jeszcze wyższą cenę. To mnie zniecierpliwiło; gniewnie i ostro wyrzucałem im ich nieuczynność; chwyciwszy w ręce pakunki i aparat fotograficzny, ruszyłem sam pieszo nieznaną stromą drogą w wiadomym mi tylko mniej więcej kierunku ku „Passo de Meio". Nie uszłem i dwóch kilometrów, kiedy dogoniło mnie aż trzech nieznajomych kolonistów, ofiarując się być mi przewodnikami i zanieść rzeczy zupełnie za darmo lub za „co łaska". Dwóch uwolniłem po kilku godzinach — nie byli mi po-

trzebni; wystarczył jeden, który wiernie mi towarzyszył aż do zamierzonego w tym dniu kresu podróży.

Pobliże rioklarskie jest górzyste i skaliste. Wyszedłszy z miasteczka drogą „kołową“, wkrótce miałem powód powątpiewać o tem, czy kiedykolwiek wóz tamtędy przejechał i przejedzie. Dla piechura wszakże droga była znośna. Po drodze spotkałem Brazylianina na koniu, proponującego mi zakupno konia swego wraz z siodłem, za 120 milrejsów; spotykałem także naszych ludzi, przebiegających wciąż między koloniami.

Po upływie czterech godzin wszedłem na szczyt jednej z większych gór, zwanej po portugalsku escapa cavallo (ucieczka konia), po polsku Góra Kamienna. Widoków z niej nie podziwiałem: mgła je zasłoniła, spuszczając na ziemię drobny deszczyk. Pod górą i na jej jednym boku ma się rozpocząć kolonizacya prywatna. Pan Marquez, Brazylianin, zamierza ziemię podzielić na działki 25-cio hektarowe i sprzedać osadnikom polskim.

Warunki tego osiedlania zapowiadają się dobrze, bo koloniści w wolnych chwilach przez cały rok będą mieli zarobek przy obcinaniu i suszeniu herbaty Mate. Markesowi też chodzi o liczniejsze osiedlenie się, przynajmniej 50-ciu rodzin, aby mieć ciągle pod ręką rokotnika do wyrobu Maty.

Zeszedłszy z góry, wstąpiliśmy na równinkę, która mi się nie wydała bardzo żyzną. Zwrócił naszą uwagę na niej kaktus olbrzymi, pod którym w chwili, kiedyśmy przechodzili, zesiadł z konia jakiś nieznany nam jeździec w typowym stroju konnych podróżnych brazylijskich — miał na sobie tak zwane „poncho“ wym. ponszo — rodzaj szalu z kwadratową dziurą w środku, przez którą przechodzi głowa, gdy się bierze na siebie to ubranie.

Weszliśmy niebawem do przepięknego lasku herbacianego, przeplatanego drzewem sosny araukaryi. Było to pobliże ujścia rzeki Putingi (Potęgi, jak ją nazywają Polacy) do rzeki Iguassu. Po kilku kilometrach spaceru po zupełnie równym terenie szeroką drogą przez uroczy gaj doszliśmy do miejsca wolnego od drzew. Było to „Passo do Meio“, po portugalsku, t. j przejście środkowe.

Bezładnie rozrzucone domy bezpiętrowe w stylu architektonicznym, podobnym do widzianych w Porto Amazonas, nie wskazywały wyraźnie, dokąd się mamy udać. Odszukaliśmy wreszcie p. Mazgałłę, który zagadnął mnie po nazwisku z akcentem mowy warszawskim. Zarządza on zakładem suszenia Maty p. Markesa. Gościnny i uprzejmy rodak, który mi oznajmił, że przebywał dłuższy czas w Warszawie, zapoznał mnie szczegółowo z wyrobem

herbaty. Znaczne jej masy ususzone wywożą parostatki i łodzie rzekami Putingą i Iguasu do młynów kurytybskich.

Rzeka Putinga jest spławna kilka mil powyżej swego ujścia do Iguasu; byłaby nią dalej, gdyby ją uregulowano — stanie się to chyba po gęstszem zaludnieniu się okolicy i podniesieniu kultury. O parę kilometrów od budującego się pieca i głównych zabudowań p. Marquesa znajdują się drewniane budynki, zawierające składy Maty, w rodzaju domów mieszkalnych i wenda (sklep, karczma). Robotnicy wszyscy bez wyjątku Polacy.

Od Brazylian, mieszkających tam w pobliżu, doznałem, jak zawsze, szczerej gościnności. Przenocowałem u jednego z nich. Mimo znużenia wcale nie mogłem zasnąć; co się ruszyłem na łóżku, zresztą mocnem i wygodnem, dawał się słyszeć hałas połączony z bujaniem, jak bym był podrzucany przez bałwany. Posłanie to było z liści kukurydzy bardzo szeleszczących i luźnie a obficie zasłanych. Tonąłem w nich jak w oceanie. Gdy zmęczenie przyprawiło mnie o spokój kłody, zasnąłem na uciszonych falach.

16. listopada. — Passo de Meio. Mate bezdymna.

Nazajutrz bogaty Brazylianin, mieszkający o kilka kilometrów dalej, zaprosił mnie do siebie na śniadanie. Podczas spożywania darów Bożych byłem tylko z nim sam na sam. Do stołu usługiwały służące czy córki gospodarza. Pani domu była niewidzialna, aż ukazała się dopiero po śniadaniu, gdy poprosił mnie gospodarz, abym odfotografował go z rodziną. Gdym w głowę zachodził, gdzie to może być ta rodzina, na raz, rzuciwszy okiem w bok, widzę bukiet z kwiatów następujących: siedzącej jakiejś jejmości małej, draśniętej dobrze ząbkiem czasu, w ubraniu czarnem. Kilkoro obok niej dzieci boso, naokoło zaś istnych dla mnie zagadek: niewolnic czy własnej krwi gospodarza. Przed 1888 r. mogły to być niewolnice. Nie grzeszyły urodą; z nich ledwie jedną zgodziłbym się był kupić; zresztą żadnej nie wykradałbym a najmniej panią domu — gospodarz nie domyślał się, do jakiego stopnia były one bezpieczne w mojem towarzystwie.

Gdy się przybywa w gościnę do Brazylianina, tak zwanego Kabokla, widzi się go jedynie samego a, co najwyżej, w towarzystwie mężczyzn. Pan Amazonas wyłamywał się z pod tej re-

guły; nie jest bowiem z pochodzenia żadnym „Caboclo". Gospodarz zaś, u którego zamieszkałem, postępował wedle zwyczaju brazylijskiego, który podobno jest jak najzupełniej usprawiedliwiony wobec szalonego narzucania się kobietom ze strony najprzyzwoitszych nawet rodowitych Brazylian.

Zrobiłem kilka zdjęć. Przy ostatniem gospodarz przyłączył się do bukietu, jako kwiat główny, szary, jaśniejący przy czarnej róży czy piwonii, do której można było z daleka porównać panią.

Herwa Mate wszędzie znajduje się w brazylijskim stanie Parana, lecz wyjątkowo w wielkiej obfitości w Passo de Meio. Miejsc, po których całemi dniami możesz błądzić w gajach herbacianych, nie brak; lecz są one mało wyzyskane.

Brzegi Putingi i Iguasu obfitują właśnie w to milrejsodajne drzewko. W Passo de Meio tem piękniej się przedstawia ten lasek matowy, że znać w nim pewną kulturę. Doznaje się wrażenia, że ręka ludzka stworzyła uroczy park: tymczasem „kultura" zasadza się jedynie na obcinaniu liści co 4 lata. Skutkiem tego drzewko, dostające świeżych liści po obcięciu, przedstawia się powabnie z świeżą zielenią wiosenną, jakby sadzone i pielęgnowane ręką ogrodnika: a ręka ludzka właściwie je tylko kaleczy.

Wielkie obszary Mate należą tam do kilku Brazylianów, z których głównym właścicielem jest p. Marques. Ten pojął jasno to, co nie każdy w Paranie dotąd rozumie. Pomyślał o wyrobie herwy Mate bezdymnej. Rutyna brazylijska każe ten cenny produkt wytwarzać w sposób zupełnie pierwotny: oparza się jej liście najpierw w ogniu zaraz po ich zerwaniu; po tej operacyi herbata może czekać kilka dni bez zatracenia swej barwy zielonej, a oparzenie przytem uwalnia ją od wszelkiego robactwa, zalegającego liście świeże; następnie na czterech drągach wnosi się kwadratowe rusztowanie z trzcin, kładzie się na nie Mate i pod niem pali się ogień. Gdy drzewo, które się pali, jest sosnowe, zwłaszcza sęki, wtedy silny dym wędzi tę herwę Mate, jak szynkę. Jest przesąd brazylijski, że wędzenie herbaty Mate ogniem z jej własnego drzewa (matowego) nie przydymia jej. Jest to fałszem i, aby istotnie była bezdymną, pan Marques pomyślał o piecu do jej suszenia: polecił zaś wykonanie myśli swej p. Mazgalle, który kończył właśnie budowę specyalnego pieca swego pomysłu.

Całe urządzenie polega na tem, że ogień pali się pod spodem z jednego boku, a dym ogrzany idzie między dwoma murami naokoło całego pieca dołem, do góry, górą i znowu na dół, wychodząc drugim bokiem. Do wnętrza wjeżdża spory wóz jakby

wagon, pełny świeżych oparzonych liści herbacianych i w 4 godziny są one zupełnie wysuszone. System ten jest lepszy, lecz prawdopodobnie ma tę wadę, że herbata zbytnio się dusi i wilgoć jej nie paruje górą, jak to się dzieje przy paraguajskim sposobie suszenia, bardziej prostym i prawdopodobnie najlepszym. W każdym razie piec pp. Marquesa i Mazgałły, oznaczał postęp w suszeniu, nieznany dotąd w Paranie.

O dodatniem działaniu Hervy Mate na organizm ludzki, miałem sposobność przekonać się tam na miejscu w Passo de Meio. Przedewszystkiem wydała mi się bardzo smaczną, co pochodziło ztąd, że nie miała owego przykrego zapachu dymnego, który dawał się odczuwać w każdej innej. Ciągłe, a nawet nadmierne używanie jej przez dzień cały bynajmniej mi się nie sprzykrzyło i nie zaszkodziło. Przeciwnie, czułem jej wpływ dobroczynny, przyjemne podniecenie nerwów, błogi spokój, ochotę do spokojnego i energicznego działania, pokrzepiający sen.

17. listopada. — Podróż konno z Passo de Meio do Mateusza. Deszcz. Runięcie w przepaść. Wenda Gaspara.

Około południa w niepewną pogodę wyruszyłem do Mateusza. Konia z rzędem pożyczył mi pewien uprzejmy Brazylianin; odprowadzono mnie kilka kilometrów do rzeki Putingi i przeprawiono przez nią. Przeprawa zaś polegała na tem, że konia rozsiodłano, mnie, siodło i rzeczy powierzono łódce, a ktoś wpędził rozsiodłanego rumaka do wody z wysokiego i ślizkiego brzegu. Szlachetne stworzenie płynęło za łódką tak, że mu tylko łeb widać było. Przybiliśmy do brzegu przeciwległego. Z wielką biedą wysiadłem a z jeszcze większą wyniosłem siodło i rzeczy po błotnej ślizgawicy. Szczęściem drzewa i krzaki nadbrzeżne, których się chwytałem, drapiąc się pod górę wzniosłego wybrzeża, zaradziły niebezpieczeństwu stoczenia się w wodę. Rumak zaś, pomimo biegłości w pływaniu, napił się poddostatkiem wody i rad wydobył się na brzeg ślizgi, parskając i potykając się jak po gołoledzi. Stanął wreszcie spokojny, jakby skamieniał i ani myślał uciekać naprzód lub wracać do domu przez wodę. Dał mi się osiodłać, jak manekin.

Pożegnawszy łaskawych towarzyszy, którzy mnie odprowadzili do rzeki, puściłem się sam w drogę wedle podanych mi wskazówek. Po pewnym czasie droga zaczęła się kręcić, jechałem

gąszczem leśnym na przemian pod górę i z góry, gdy nagle lunął straszny deszcz, iście podzwrotnikowy. Miałem na sobie płaszcz nieprzemakalny, który osobę moją jako tako ochraniał; lecz aparat fotograficzny i zawiniątko z rzeczami, umieszczone z tyłu siodła, były narażone na zupełne przemoknięcie. — W takim stanie rzeczy wolałem piersi swe odsłonić, a zabezpieczyć rzeczy, okrywając je płaszczem. — Przez dwie godziny burza szalała bez litości. Nigdy nie użyłem w życiu mem tak długiej kąpieli natryskowej. Mimo dnia bardzo jasnego widziałem tylko na kilka kroków przed sobą, a to z powodu gęstości opadu deszczowego. Koń mój nawet miał dosyć prysznicu i starał się gwałtem wskoczyć w gąszcz leśny; wiódł go tam instynkt zachowawczy, który mu jako ochronę wskazywał dach z konarów leśnych. Ale ciągłe grzmoty ostrzegały mnie, abym nie poddawał się instynktowi końskiemu, ani nawet nie pomykał kłusa, lecz wciąż tylko stępa jechał. Zapamiętałem z praw fizyki, że ucieczka sprawia ruch powietrza i sprowadza weń wyładowanie elektryczności, a nie miałem ochoty dać się zwęglić przez piorun parański w poetycznych gajach herbacianych.

Po paru godzinach ulewa ustała nagle tak, jak nastała. Znalazłem się na wysokiej górze bez najmniejszej pamięci, czy podczas deszczu z grzmotami postępowałem był z góry, pod górę, lub po równinie. Widok odkrył mi się bardzo piękny. Widać było daleko równiny i góry, pokryte cudną majową zielonością. Była to świeża barwa zielona, wpadająca lekko w żółtą taką, jaką w Europie po zimie pokrywają się drzewa, puszczające liście z pączków.

Droga wiodła dalej nad głęboką przepaścią. Podobno wielu ludziom kręci się w głowie, gdy przechodzą w tem miejscu: mnie szczęściem, ani morska choroba, ani taki zawrót głowy nie dotknęły. Ale ku memu przerażeniu spostrzegam, że droga skalista prowadzi niemal prosto w przepaść. Koń stanął, a krótki mój wzrok dopiero po niejakim czasie spostrzegł, że to jest jednak „droga“ w dalszym ciągu, ale znacznie więcej spadzista, która z większego oddalenia wydawała mi się przepaścią. O powrocie pod górę nie mogło być nawet mowy wobec ślizgiej powierzchni drogi po deszczu: trzeba było postępować naprzód, wyginając się mocno w tył, kopać rumaka piętami i bić go szpicrutą z herwy Mate. Postawa moja musiała być bohaterską, gdyż moja lewica była na wysokości szyi mej i trzymała cugle, a prawica wznosiła

do góry miecz herbaciany, spadający od czasu do czasu na tyły końskie.

Spoglądałem w dół z podniesioną głową dumnie, niby wódz po zwycięstwie, a właściwie nie mogąc inaczej, by coś przed sobą lub niżej zobaczyć, a nie spaść koniowi przez łeb. Chciałem już szczerze zesiąść, lecz w tej pozycyi było i to niemożebnem. Rozmyślałem więc jak zeskoczyć, gdy wtem najniespodziewaniej i nie mogąc sobie zdać sprawy dla czego, wywróciłem koziołka w bok na prawo, jak skoczek cyrkowy, i znalazłem się odrazu znacznie poniżej, jak wypukłorzeźba na ścianie skały. Cugli nie wypuściłem z lewej ręki i przez to silnie w dół pociągnąłem konia, który nie chciał wcale skoczyć w przepaść za mną, lecz sekundę tylko mógł się oprzeć szarpnięciu gwałtownemu spadającego ciężaru 200-funtowego mej osoby. Wstrzęsło mi się i zakotłowało w głowie — prawdopodobnie uderzyłem nią o skałę — straciłem przytomność, zupełnie nie wiedziałem, co się dzieje ze mną. Zbudziłem się po chwili, jakby ze snu, na trawie świeżej, majowej, wilgotnej. Podniósłszy głowę, ujrzałem tuż pod nosem tylne kopyto końskie i za chwilę dostrzegłem obok siebie na ziemi aparat fotograficzny, rzeczy swe i siodło. Nogi końskie drżały, lecz stały w miejscu, jak wryte: zwierzę nie ruszało się i mógłbym przypuścić, że skamieniało, gdyby ze wzruszenia się nie trzęsło.

Skończyła się góra. Znalazłem się na ślicznej łące odświeżonej deszczem, który przed chwilą padał. Urocze gaje otaczały mnie w około. Uczuwałem w sobie nastrój dziwnie poetyczny: zachciało mi się pisać o wiośnie i zieloności, lecz w tej chwili nawet gieniusz Mickiewiczowski nie podołałby zadaniu takiemu, nie tyle skutkiem braku przyrządów do pisania, ile z powodu silnych łamań w kościach.

Trudno mi było podnieść się, lecz w końcu zdobyłem się na to. Położenie moje było opłakane; dzień się kończył niezadługo, a zaraz potem miała nastąpić noc bez księżyca, ciemna jak otchłań i tajemnicza, a tu niepodobna konia osiodłać, bo i Salomon zerwanym popręgiem nie umocowałby siodła na grzbiecie końskim. Parę razy zdołałem wskoczyć nań i zachować istnie cyrkową równowagę, by ujechać kilkadziesiąt kroków, a w końcu spaść wraz z siodłem i rzeczami.

Taki sposób dosiadywania rumaka zniechęcił mnie do dalszych prób: włożyłem wszystko na niego i prowadziłem opierającego się za cugle.

Co kilkadziesiąt kroków następnie starannie ułożony pakunek z siodłem spadał na przemian na prawo lub na lewo; nużyła mnie moralnie i fizycznie ciągła jednostajność zbierania spadających z konia rzeczy. Jazda taka była coraz uciążliwsza przez to, że uczuwałem zmęczenie w rękach. — Coraz robiło się też ciemniej.

Spotkany po drodze jeździec, dziko wyglądający Brazylianin, nie umiał czy nie chciał wskazać mi, kędy droga prowadzi do Mateusza. Znikł mi z oczu i pozostawił wrażenie, że może ma jakieś nieuczciwe zamiary względem mnie. Zaraz strzeliłem kilka razy z rewolweru w powietrze, żeby nie myślał, że jestem bezbronnym.

Nie mogłem nawet marzyć o przybyciu tego dnia do Mateusza; droga wśród boru zaledwie się zarysowywała. Sam nie widząc już prawie nic, gnałem rumaka przed siebie; ten lepiej oryentował się w położeniu i szedł właściwą drogą. Od czasu do czasu zabiegałem mu ją, by ubierać go w upuszczone siodło z rzeczami. Gdyby nie straszna wilgoć po deszczu, układłbym się na noc gdzie w krzakach; lecz trawa była mokrusieńka, a co było trącić drzewo lub krzak, spadał rzęsisty natrysk, jakby w zakładzie hidropatycznym.

Podróż w takich warunkach była istną męką. Wola gnała naprzód ciało me omdlewające — nie było bowiem wyjścia — należało postępować tak, choćby noc całą w egipskich ciemnościach. Od czasu do czasu padałem na twarz, zawadzając o korzeń lub gałąź i jasność rajskich świeczek stawała przedemną — wreszcie jakaś świeczka uporczywie to mi jaśniała, to znikała, to znów świeciła wciąż w tem samem miejscu czaszki. Wzbudziło się we mnie podejrzenie, że może to punkcik jasny po za czaszką; znikał mi on bowiem, gdy oczy ręką przesłaniałem.

Otucha wstąpiła mi do serca — musiało to być mieszkanie ludzkie i prawdopodobnie karczma pana Gaspara. Byłem tedy uratowany. Z wielką zwinnością parę razy jeszcze zebrałem spadające siodło z rzeczami i znalazłem się przed zabudowaniem oświeconem. Zostawiłem konia o kilkanaście kroków w tyle nieprzywiązanego i zaszedłem przez otwarte podwoje do wendy.

Powitał mnie i przyjął gospodarz z wykwintną grzecznością. Kazał konia wpędzić do miejsca ogrodzonego, zwanego w Brazylii „potreiro“, rzeczy znieść pod dach, popręg naprawić. Kawę zapijałem wkrótce w towarzystwie jego i kilku innych Brazylianów i Niemców. Rozmowa szła mi jeszcze koślawo po portugalsku.

Dowiedziałem się jednak, że jestem o trzy godziny jazdy od Mateusza i że ludzie, znajdujący się w karczmie, to werbownicy indyan parańskich, zwanych Korroados, na wystawę Berlińską handlowo-geograficzno-etnograficzną, mającą się odbyć w 1896 r.

Domyślając się, że jestem mocno utrudzony drogą, gospodarz odprowadził mnie do pokoju sąsiedniego i wskazał łóżko. Spocząłem na upragnionym twardym tym, jak posadzka, meblu. Sen nie przychodził, bo go spędzał zimny zefirek, przemykający swobodnie przez szpary ścian. Nigdy nie wycierpiałem tyle zimna, co w gorącej Brazylii. Była to pierwsza noc przepędzona w ciągłych dreszczach a później było ich wiele więcej.

18. listopada. — Przybycie do Mateusza.

Ze świtem męka moja się skończyła: zjawił się gospodarz, gorąca kawa czarna i koń mój osiodłany. Pan Gaspar takie miał wykwintne maniery, że nie śmiałem spytać się go, ile mu jestem winien za nocleg. Podobno był to błąd z mej strony.

Ruszyłem dalej w podróż około godziny 6-tej rano. Po drodze spotkałem kilkudziesięciu ludzi naszych galicyjskich, powracających z robót przy budowie kolei. Gorzko się skarżyli, że im nie dotrzymano umowy i nie wypłacono tego, co im się należało. Oskarżali przedsiębiorcę czy agenta Polaka, że ich zwiódł. Podobno ajent był niewinny i jego samego za pracę nie wynagrodzono, on zaś nie mógł im z własnej kieszeni wypłacić robocizny. Słyszałem jednak głosy, przeczące jego niewinności.

Po paru godzinach wreszcie wjechałem przez drzwiczki ogrodzenia do kawałka polskiej ziemi. Puszcza zmieniła się w kraj ludny. Był to Mateusz. Upłynęła jednak jeszcze godzina, nim wjechałem do „miasteczka“. Co chwila mijałem domostwa i spotykałem ludzi na prostej szerokiej drodze.

Przeważna część działków, zajętych przez kolonistów naszych, jeszcze pokryta jest lasem. Tuż przed miasteczkiem jest przestrzeń bezdrzewna, dalej łąka i pagórek przed 5-ciu laty porosły jeszcze lasem dziewiczym, a teraz pokryty zabudowaniami, dającemi początek miastu. Minąłem po prawej stronie jakąś bramę tryumfalną z kilkoma chorągwiami i napisem S. K. Nie domyślałem się, w jakim celu ją wzniesiono.

Zajechawszy do domu pana Flizikowskiego, odrazu wpadłem w otoczenie swojskie i serdeczne ludzi, mało mi dotąd znanych.

Dowiedziałem się, że mnie oczekiwano przed tygodniem z przeciwnej strony od Kurytyby i Rio dos Patos a nie od Rio Claro. Zbudowano wielką bramę tryumfalną, przyozdobioną białym orłem i memi inicyałami S. K. Obwieszona ona była cała polskiemi chorągwiami i barwami z dodatkiem chorągwi brazylijskiej i hiszpańskiej. Jest bowiem w Mateuszu dziesięć rodzin hiszpańskich i tyleż czeskich. Gdy nadchodził statek, na którym miałem przybyć, zapytano się rakietą czy jadę — żadnej odpowiedzi nie było. Orkiestra stała przy brzegu w porcie, aby huknąć głośne akordy pieśni na powitanie. Skutkiem przybycia mego od strony odwrotnej, uroczystego przyjęcia nie było. Brama tryumfalna przetrwała tydzień, oglądaliśmy ją z bliska — przeszedłem przez nią w towarzystwie kilku osób ku rzece i z powrotem.

ROZDZIAŁ V.

Mateusz. Agua Branca. Rio dos Patos. Palmeiro. Kurytyba. Sprawy polskie. Dostojnicy parańscy. Polska inteligencya duchowna i świecka. Wyjazd z Kurytyby.

Od 17. listopada do 6. grudnia. — Osada Mateusz. Pobyt i wycieczki.

Nazajutrz dowiedziałem się, że po raz ostatni oglądałem swoją bramę tryumfalną. Pijane żołdactwo brazylijskie pono w czterech, rozbiło ją w nocy i podarło w kawałki wszystkie chorągwie, nie oszczędzając brazylijskiej. Sami Brazylianie byli oburzeni tym postępkiem i wytoczyć mieli procesy przeciw wojakom o znieważenie chorągwi swego państwa i narodu. Polacy Mateuszowscy, źle widziani u rządu z powodu udziału swego w rewolucyi 1893 r., musieli milczeć, choć wiedzieli, że to przeciwko nim jedynie dokonano czynu „bohaterskiego“.

W parę dni po moim przybyciu do Mateusza, odbyło się Walne zgromadzenie Towarzystwa imienia Kazimierza Puławskiego w lokalu szkoły polskiej. Zebrało się pareset osób członków i nieczłonków. Witano mnie uroczyście. Miałem w zamian coś w rodzaju przemowy, a raczej opowieści o stosunkach naszych w Europie: byli tam bowiem słuchacze ze wszystkich dzielnic. Opowieść bardzo się przedłużyła skutkiem różnych interpelacyi

i zapytań. Przedstawiłem się jako wysłannik Polskiego Towarzystwa Handlowo-Geograficznego. mówiłem o łączności duchowej, o łączeniu usiłowań w sprawach ekonomicznych. o założeniu z grona samych kolonistów rolników spółki przewozowej, któraby między innemi rzeczami sprawiła lub zbudowała dla swego użytku a nie dla innych (jak to miało miejsce) wielką łódź („lanszę“) i nią niezależnie od kupców pośredników wywoziła własną herbatę Matę i własne płody, a sprowadzała sobie potrzebne towary także bez pośrednictwa kupców i przekupniów miejscowych.

Niektóre osobistości zabierały głos w sposób nieco bezwzględny: światłemu sekretarzowi Towarzystwa imienia Puławskiego. p. L.. emigrantowi z 1848 roku. wydawały się moje poglądy zbyt radykalne. Sam jest bowiem kupcem. Zamyślił się mocno. Lecz nie naruszyła się ogólna harmonia. Rozeszliśmy się wszyscy w usposobieniu dobrem.

Rady. wygłaszane podczas tego wiecu. nie padły na glebę nieurodzajną. Nazajutrz wezwało mnie kilkunastu kolonistów, abym sporządził im statuta spółki przewozowej i spożywczej.

Koloniści Mateuszowscy zrobili na mnie wrażenie ludzi w niezłym bycie. Kolonia została założona w 1890 r.. miała więc kilka lat istnienia. Mieszkańcy jej przeszli już byli największe troski i biedy początkowego osiedlania i z małym wyjątkiem jeszcze nie doszli do zamożności pieniężnej. Należeli przeważnie do proletaryatu miejskiego, porwanego gorączką emigracyjną z Królestwa Polskiego, a więc mieli słabe pojęcie o gospodarstwie rolnem. Są oni wszyscy w stanie przejściowym a, jakkolwiek nie cierpią biedy i obfitują w rzeczy przez siebie wyprodukowane. mają jednakże wielką trudność w ich spieniężaniu. Korzystają z tego usłużni kupcy wszelkiej narodowości i zakupują od kolonistów wszystko jak najtaniej. a płacą im towarem. czyli zarabiają podwójnie na kupowaniu od nich płodów rolnych i sprzedawaniu im towarów.

Koloniści czują dobrze tę zależność swoją i chcieliby się wyswobodzić od niej, dla tego też tak znakomicie mnie rozumieli, gdy im mówiłem o sprawach handlowo-geograficznych i zaraz porwali się do założenia spółki spożywczej handlowej. Zakiełkowała też u nich myśl utworzenia towarzystwa rolniczego.

Kolonia Mateusz ma mniej więcej 300 rodzin polskich (w tem nieco rusińskich), z 10 hiszpańskich i około 10 czeskich. Składa się z czterech ulic, schodzących się w miejscu przeznaczonem na miasteczko, które istotnie wzrasta nie tylko nominalnie na wzgó-

rzu przy rzece Iguasu. Przed kilku laty był tam las dziewiczy araukaryjny, obecnie stoją drewniane siedziby ludzkie blisko siebie w porządku ulicznym. Powstały kościół, hotele, domy kupieckie, poczta w jednym z nich. Rozchodzą się od niego cztery drogi, obsadzone przez kolonistów: jedna nad rzeką, zwie się Iguasu (przezwana Ignacewem), druga Cachoeira (przezwana Koszyce), trzecia Taquara (przezwana Trzcinów), oraz czwarta, której nazwy nie pamiętam. Jak prawie wszędzie w nowych koloniach, domki i zabudowania kolonistów odległe są o ćwierć kilometra mniej więcej jedne od drugich. Każdy bowiem otrzymał obszar ziemi 25 hektarów nad drogą.

Drogi i działki są ogrodzone płotami z drzewa. Widziałem też granice o głębokich rowach, (jest to najlepsza ochrona od bydła), oraz zaznaczone kopcami i znakami na żywem drzewie boru. Chałupa drewniana w naszym klimacie wyglądałaby na nędzną i bardzo prowizoryczną: w tamtejszym zaś jest zupełnie wystarczającą, przewiewną, suchą, zdrową. Doskonale tedy zrozumiałem, dlaczego dopiero po kilkunastu latach pod Kurytybą koloniści powystawiali sobie murowane i kamienne domy.

Drewniany taki domek bywa różnej wielkości i stylu nieokreślonego — przeważnie to czworak, t. j. składa się wewnątrz z czterech pokoi. Zwykle kuchnia stoi obok przybudowana lub samoistnie o dachu i ścianach trzcinowych.

Także w pobliżu znajduje się piecyk do wypiekania chleba pod daszkiem, oraz chlewki i obórki, wszystko bardzo małe. Poprzegradzane to wszystko jest płotami drewnianemi, składającemi się z pali, wbitych w ziemię co kilka i kilkanaście kroków, i z drągów, przymocowanych poziomo do nich w dwa lub trzy rzędy.

Bydła, nierogacizny, a zwłaszcza kur, jest podostatkiem u każdego.

Uprawiają koloniści nasi żyto, ziemniaki, czarną fasolę, kukurydzę i warzywa europejskie, o ile dostaną ich nasienia. Płody rolnicze byłyby w daleko większej ilości wytwarzane, gdyby mogły być lepiej spieniężane.

Wprost nieopłaca się wysilać w kierunkach powyższych, bo lepszy zarobek jest przy obrabianiu herbaty Mate. Jest poniekąd rzeczą smutną ten łatwy i doraźny zarobek, polegający na jednym do dwóch milrejsów od wyrobienia, t. j. ścięcia, wysuszenia i pokruszenia „arroby“ czyli 15 kilo. Przez to pola nie są obrobione, postępu pracy nie widać, nie trudzi się nikt dla przyszłości z ograniczeniem używania w teraźniejszości, lecz pracuje dla tejże z krzywdą

przyszłości. Dla tego też lepiej wyszło Rio Claro na tem, że w niem mało jest Maty; prześcignęło ono może już teraz w dobrobycie Mateusz.

W każdym razie jest co jeść w Mateuszu. Nie brak kukurydzy, ziemniaków, fasoli czarnej, żyta, mielonego w młynie o olbrzymim kole podsiębiernym p. Bodziaka na Koszycach (Cachoeira), mięsa wieprzowego, wołowego, kur i t. d. Przy obiedzie wszyscy, mnie nie wyłączając, najchętniej sięgali po fasolę czarną.

Na kolonii mateuszowskiej poza „miastem“ nie ma Brazylian. Ale za to znajdują się, jako zamożniejsi kupcy i urzędnicy w „mieście“, dokąd też przybywają w znacznej liczbie z dalszych okolic lesistych. Osady polskie są za młode, aby rozpowszechniły język polski pomiędzy nimi. Ale nie radziłbym tajemnic stanu wygłaszać w ich oczach po polsku. Wielu rozumie i biegle włada naszą mową.

Polacy dość szybko wyuczają się po portugalsku, tak dzieci, jak dorośli. O małżeństwach mieszanych nie słyszałem, a brak ich jest może ochroną przed wynarodowieniem.

Przeszłość Mateusza choć tak niedawna, już zdołała być burzliwą. Wybuch powstania 1893 r. przeciw rządowi brazylijskiemu, a właściwie przeciw rządzącemu stronnictwu wojskowemu, ludność brazylijska i koloniści europejscy powitali sympatycznie. Polacy odznaczyli się zaraz w tym ruchu. Nie wszędzie jednak przyszło do ujawnienia tych uczuć. W Mateuszu zaś zaznaczyli swe sympatye wyraźnie pierwsi w Paranie. Tu się utworzył powstańczy oddział polski pod dowództwem pułkownika Antoniego Bodziaka, Jana Koźmińskiego i Dąbrowskiego.

Koźmiński świeżo przybył w 1893 r. do Mateusza, zawezwany jako nauczyciel przez panów Bodziaka, Flizikowskiego i Nadolnego. Z samego początku uniosła go szlachetna krew gorąca, pragnął ująć się za krzywdy rodaków. Tu miały miejsce aresztowania wybitniejszych osobistości polskich, jak ks. Władysława Smołuchy, Lucyana Stencla Tokarskiego, Bodziaka, przewiezienie ich następnie do Kurytyby i uwięzienie kilkutygodniowe pod ciągłą groźą wymordowania. Tu wreszcie dosięgła kolonistów zemsta rządowa, gdyż ulegli rabunkowi i biciu. Jeszcze obecnie pokazują w Kurytybskiem muzeum, wogóle dość nędznem, konfederatki czerwone z białym barankiem. Zdobyło je wojsko brazylijskie w Mateuszu na kobietach w domach pod nieobecność mężczyzn. Muzeowi kurytybskiemu jakiś zuchowaty oficer brazylijski ofiaro-

wał je, jako zdobyte na powstańcach mateuszowskich, którzy w ruchawce wcale nie nosili rogatywek.

Pobyt mój w Mateuszu przeciągał się. Wypadła uroczystość w sąsiedniej kolonii, Agua Branka (Woda Biała). Wybraliśmy się częściowo konno, częściowo powozem. Tym ostatnim środkiem przewozowym jechała starszyzna: ksiądz Przytarski, p. Flizikowski, p. Nadolny i ja. Przy kończącej się już granicy mateuszowskiej Trzcinowa (Takwary), którędy jechaliśmy, stoją zabudowania i tartak p. Nadolnego na odległości 6-ciu kilometrów od miasta Mateusza. Czekało nas przyjęcie ze strony gospodarstwa domu. Rakiety (zwane z portugalska fogety) puszczono pod obłoki z chwilą naszego przybycia. Nastąpiły śniadanie i zwiedzanie tartaku, który pokaźnie się przedstawia. Początkujący przemysł wzmaga się w gospodarnej dłoni właścicieli, bo Mateusz i Agua Branca się zabudowują w swych ośrodkach miejskich. Zapotrzebowanie desek jest tedy coraz większe.

Widzieliśmy u Nadolnych obok uroczych córek domu kilku młodych ludzi w konfederatkach czerwonych o białym baranku. Głównym bohaterem przyjęcia był czynnik świecki t. j. moja osobistość. Za to w przyjęciu w Agua Branca, które w parę godzin potem nastąpiło, królowała niepodzielnie osobistość duchowna, tj. wielebny ksiądz P.

W południe, żegnani ogniami sztucznemi, pojechaliśmy dalej. Przed nami, z boku i za nami pędził konny oddział kolonistów, niby bandera włościańska.

Przejechawszy milę drogi, dojechaliśmy do Aqua Branca. Przestrzeń ta leśna, nie skolonizowana, należy do osób prywatnych, zamyślających ją pono rozsprzedać kolonistom naszym. Wtedy nastałoby połączenie Mateusza i Aguy Branki w jedną znaczną kolonię polską.

W Agua Branca, którą przezwano z polska Abramką czy też Zabramką, w środku kolonii, przeznaczonej na miasteczko, czekał nas tłum polskiego ludu. Były bramy tryumfalne, rakiety w wielkiej ilości wzbijały się wysoko pod pogodne niebo, trzykrotnie pękając każda.

Przyjechała na przyjęcie księdza w deputacyi bandera kolonistów z Rio dos Patos o sześć mil od Zabramki pod przewodem 2 mych dobrych znajomych.

Po smacznym obiedzie o dobrych trunkach nastąpił uroczysty pochód pod górę do kościoła. Ksiądz Przytarski, mając mnie przy

boku, postępował wzdłuż drogi ogrodowej, przystrojonej po obu stronach świeżo zamkniętemi w ziemię gałęziami, dzieweczki postępowały przed nami, siejąc nam pod stopy kwiaty i zieleń. W drewnianym kościółku na wzgórzu, zkąd piękny roztacza się widok na okolicę, śpiewano bez przerwy nabożne pieśni polskie.

Przyjęcie po dłuższej nieobecności kapłana polskiego było serdeczne. W 1893 r. bowiem zaaresztowano w Mateuszu księdza Władysława Smołuchę w samych początkach zamieszki rewolucyjnej. Od tego czasu ani on nie mógł powrócić, ani żadnego innego księdza rodaka nie dopuszczał biskup kurytybski do Mateusza i Aguy Branki.

Przed kościołem potworzyły się liczne gromadki. Chodziłem od jednej do drugiej, przedstawiając konieczność utworzenia szkoły, sprowadzenia nauczyciela. Słuchano mnie chętnie, prócz jednego, który przypuszczał, że ja chcę osiąść, i uznawał, że przyszły nauczyciel dosyć będzie miał pensyi 300 milrejsów (300 kor.) dochodu rocznego.

Jak dotąd, mało jest tam ludzi zamożniejszych i inteligentniejszych. Najznaczniejsza tam „wenda“ znajduje się w ręku Włocha, małego, czarnego, uśmiechającego się, usłużnego.

Biała Woda (Agua Branka) skolonizowaną została prawie wyłącznie przez wychodźców z Królestwa. Składa się ona z dwóch głównych ulic, mieszkańców ma trochę więcej niż połowa Mateusza, tj. rodzin jest tam blisko 200, a więc około 1.000 ludu.[1]) Środek kolonii jest na drodze głównej z Mateusza do Tryumfo, Rio dos Patos i Palmeiry.

I tu, jak w Mateuszu, zerwał się wicher rewolucyjny w r. 1893. Kolonia ta dzieliła losy z Mateuszem, z którym właściwie pod wielu względami tworzy jedną całość. Opowiadano mi wiele szczegółów prześladowań kolonistów naszych ze strony wojska brazylijskiego.

Powróciliśmy do Mateusza po deszczu, który spadł nad wieczorem. Wicher pochylił i pokrzywił wiele sosen (piniorów) wysmukłych i prostych dotąd, jak świece.

[1]) Liczy się przeciętnie 5 głów na rodzinę.

7.—8. grudnia. — *Podróż z Mateusza do Rio dos Patos.*

Po kilkudniowem daremnem wyczekiwaniu parostatku, który nie wyruszał pod wodę do Rio dos Patos z powodu opadnięcia wód, postanowiliśmy puścić się konno do miasta Palmeiry a ztamtąd koleją do Kurytyby. Wycieczka przyszła do skutku na grzbietach zwierząt pana Flizikowskiego, który mi towarzyszył, przybrawszy jednego młodego kolonistę z Agua Branca.

Rano z Mateusza pomknęliśmy przez Agua Branca do miasteczka brazylijskiego Tryumfo, dokąd dojechaliśmy około 4-tej godziny po południu. Droga była górzysta, lecz niezła. Tryumfo znajduje się w okolicy pozbawionej zupełnie drzew w bezpośredniem swem sąsiedztwie miasta i falującej pagórkami. — Zdala widać miasteczko; przybliżając się do niego, miałem złudzenie, że jestem na Podolu: taki sam teren o łagodnych, lecz nie bardzo niskich pagórkach i zdala miasteczko bardzo podobne do wsi podolskiej. Z bliska jednak znika złudzenie. Tryumfo tworzy jedną długą ulicą z chałup malowanych różnemi barwami: zieloną, czerwoną, białą, przez co, dopóki się między nie nie wjedzie, wyglądają one na murowane domy wysokiej sztuki budowniczej. Są to jednak wszystkie bez wyjątku chaty drewniane.

Spoczęliśmy na krótko w największej tamtejszej „wendzie“, u brodatego i uprzejmego brazylianina. Częstował nas kawą i twardemi sucharami, czyli zeschłemi bułkami pszennemi, które wcale nieźle nam smakowały. Bułek i chleba nie wypiekają na głębokiej prowincyi — sprowadzają je z większych miast do sklepów razem z cukrem i pieprzem.

Miasto to jest siedzibą administracyjną, od której zależy dotąd jeszcze Mateusz. Lada chwila jednak Mateusz ma się wyzwolić od tej zależności i stać taką samą stolicą administracyjną jak Tryumfo, gdźie żywioł brazylijski przeważa zupełnie — z małą domieszką Niemców i Polaków.

Dalsza droga nasza była urocza — jechaliśmy przez cudnej piękności gaje, niby przez niekończącą się kombinacyę olbrzymiej oranżeryi i parku angielskiego. Botanik miałby obszerne pole do studyów i nie wyjechałby z lasu. Objaśniano mi nazwy i użytek nieznanych mi drzew. Pięknie pachnący sasafras idzie tam wraz z mahoniami i cedrami do ognia w piecu, bo się dobrze pali: to

samo dzieje się z drzewami cynamonowymi. Przysłowie polskie: „palenia cynamonem w piecu“, nie miałoby żadnego zastosowania, tak tu pospolite są drzewa cynamonowe: są one różnej woni i barwy, jako to: czerwone, czarne; to ostatnie cuchnie brzydko i nieprzyzwoicie się nazywa (canela da merda).

Dr. Stanisław Kłobukowski.

(Dalszy ciąg nastąpi).

Z życia Kajetana Węgierskiego

Pamiętniki i listy

WYDAŁ

Dr. Stanisław Kossowski.

(Ciąg dalszy).

Quant à la manière de lever les taxes elle est très imparfaite et même arbitraire, quoique sujette à des très grandes formalités. Le congrès fait le partage entre les Etats, chaque etat entres les comtés, chaque comté entres les districts, qu'on appelle p r e c i n c t s et dans chaque P r e c i n c t il y a des assesseurs qui taxent les citoiens, et des collecteurs qui reçoivent l'argent, et qui le rendent au Superrisor. Les taxes du Connecticul sont levés sur l'etat que chaque citoien donne de sa fortune.

Co do sposobu pobierania podatków, to jest on bardzo niedoskonałym i nawet arbitralnym, chociaż podległym wielkim formalnościom. Kongres robi dział miedzy stanami, każdy stan pomiędzy hrabstwami, każde hrabstwo między powiatami, które nazywają p r e c i n c t s, a w każdym p r e c i n c t są asesorowie, którzy oceniają obywateli i kolektorowie, którzy odbierają pieniądze i oddają je urzędnikom wyższym. Opłaty w Connecticulu są pobierane według stanu, jaki każdy mieszczanin podaje o swoim majątku.

Le genie de l'homme qui a reculé les bornes de la plus port des sciences abstraites presque au dela des limites presentes à l'imperfection de notre espèce, a bien peu fait de progrés dans celles que le touchent de plus près. Le peu de lumieres que nous avons, sur le meilleur gouvernement et sur les vrais principes du commerce, ne peuvent guère nous suffire à former un système raisonable et les continuelles bevues des légis lateurs et des politiques, ne nous eclairent que sur leur ignorance. L'innombrable quantité de volumes écrites sur ces matières n'ont fait voir que les pretensions des auteurs, et la reputation des hommes d'Etat les plus célébres, prouvent plus notre insuffisance, que l'étendue de leurs vuês, et la sûreté de leurs principes. Ah! Mr. le Cte les plus experimentés sont ecoliers dans ces matières, parceque s'il m'est permis de me servir d'un proverbe de Sanche, celui qui court dans un mauvais chemin, avance moins, que celui qui marche dans le bon: et qu'aucun encor, n'est entré dans le sentier, qui mene au but.

Geniusz człowieka, który posunął rozmiary największej części nauk oderwanych do granic prawie niedostępnych naszemu rodzajowi, bardzo mało zrobił postępów w dziedzinach, które tyczą się go najbardziej. Skąpe wiadomości, jakie posiadamy o najlepszym rządzie i o prawdziwych zasadach handlu, nie mogą nam wcale wystarczyć do stworzenia rozsądnego systemu, a ciągłe pomyłki prawodawców i polityków przekonywują nas tylko o ich nieświadomości. Niezliczona ilość tomów, napisana w tym przedmiocie, wykazała tylko czczo pretensye autorów a sława najzacniejszych jednostek państwa potwierdza raczej braki, aniżeli świadczy o rozległości ich poglądów i o pewności ich zasad.

Niestety! Panowie hrabiowie najbardziej doświadczeni są tylko uczniami w tych kwestyach, ponieważ, jeśli mi wolno posłużyć się przysłowiem Sancha, ten który biegnie po złej drodze, postępuje wolniej, niż ten, który idzie po dobrej: a właśnie z nich wszystkich żaden jeszcze nie wstąpił na ścieżkę, która prowadzi do celu.

20. Octbr.

En me levant je vis de ma fenêtre les sommets des montagnes bleues, ou Kats-Kill Mountains couvertes de neige, il avait gêlé aussi, le temps était très clair et le vent s'était calmé, nous resolumes de poursuivre notre voyage, et nous primes congé de nos hôtes. Je regretais de ne pouvoir point me rembarquer sur la riviere, mais outre que le vent etait contraire, nous n'aurions pû trouvez de bateau. La seule manière de voyager dans ce pays, quand on n'a point de chevaux à soi, c'est de louer des chariots qui font a peu près 40 milles ou 13 lieues de france par jour; ces voitures sont très incommodes surtout quand les chemins sont mauvais comme a présent: mais il y a moyen de supporter telle fatigue, et je crois qu'a la longue elle est moins sensible que celle du Cheval. On peut moyennantes ces waggons traverser toute l'Amerique et pénétrer dans les etablissements les plus réculés: Quoique les auberges sur les chemins ne soient pas très bien installées, on trouve partous de quoi se nourrir: du bon pain, du beurre frais, des pommes de terre qui sont infiniment plus savoureuses que celles d'Europe, et souvent

---

20. października.

Wstając, ujrzałem z mego okna szczyty niebieskich gór, albo Kats-Kill Mountains, pokrytych śniegiem; było dość mroźno, jednak pogoda była bardzo piękna i wiatr uspokoił się zupełnie: postanowiliśmy wyruszyć w dalszą podróż i pożegnaliśmy się z naszymi gospodarzami. Żałowałem, że nie mogłem powracać rzeką, ale prócz tego, że wiatr był przeciwny, nie bylibyśmy mogli znaleść łodzi. Jedyny sposób podróżowania w tym kraju, gdy się nie ma własnych koni, jest wynajęcie wózków, które robią prawie 40 mil tutejszych albo 13 mil francuskich na dzień; powozy te są bardzo niewygodne, szczególnie kiedy drogi są złe jak teraz: ale możliwem jest znieść takie zmęczenie i myślę, że przez dłuższy czas daje się ono mniej uczuć, aniżeli jadąc konno. Można przy pomocy tych wozów przebyć całą Amerykę i dotrzeć do posiadłości najbardziej oddalonych, chociaż oberże na drogach nie są bardzo dobrze umieszczone, jest się zawsze czem pożywić: dobry chleb, świeże masło, kartofle, które są daleko smaczniejsze od europejskich, a często nawet dobra baranina,

même du bon mouton font des repas excellents, après qu'on a été seconé, et qu'on a jeuné toute la matinée. On rencontre frequemment des auberges qui ont des lits, mais le plus sûr est d'avoir un matelas, une couverture avec soi de la paille fraiche forme un coucher bien plus commode, qu'un vieux lit, la plus part du temps rempli de vermine, et jamais assez propre pour inspirer au voyageur une parfaite tranquillité.

Nous quittâmes Pough Kepsie a 10 heures et pendant quelque temps nous cotoyâmes notre belle rivière: comme le terrein est un peu élevé; nous dominions sur ses rives, et notre vue après s'etre promené sur les fertilles campagnes qu'elle arose, venait séchouer contre la chaine impénétrable des monts bleues, dont les sommet andes et couverts de naige nous offraient l'image d'un hiver rigoureux, tandis que nous jouissions d'un climat temperé.

Svave Mari magno turbantibus
Aequora Ventis &.

---

stanowią doskonałe posiłki, gdy się jest trzęsionym i gdy się pościło przez cały ranek. Spotyka się często zajazdy, które mają łóżka, ale najpewniej jest mieć materac i kołdrę ze sobą. Swieża słoma tworzy posłanie daleko wygodniejsze niż stare łóżko, po większej części napełnione robactwem i nigdy dość czyste, by przyprawić podróżującego o zupełny spokój. Opuściliśmy Pough Kepsie o 10 godzinie i przez jakiś czas jechaliśmy brzegiem naszej pięknej rzeki; ponieważ teren jest nieco wzniesiony, panowaliśmy nad jej brzegami i nasz wzrok napatrzywszy się na żyzne pola, które ona zrasza, spoczął na nieprzeniknionym łańcuchu błękitnych gór, których wierzchołki pokryte śniegiem dawały nam obraz ostrej zimy, podczas gdy na dole cieszyliśmy się klimatem umiarkowanym.

Svave Mari magno turbantibus
Aequora Ventis &.

Souvent un detour de chemin, ou un brisant venait nous dérober ce spectacle mais bientot un autre hazard nous y ramenaient, et nos yeux sensibles au plaisir de l'instant. oubliaient celui qu'ils venaient d'eprouver. Bientot nous vîmes, le Gl. Waughan y avait mis le feu, lorsque precedant Henry Clinton, il allait rejoindre Bourgogne; c'est fut dans ces environs que ces deux généraux pretendent, avire que celui qu'ils allaient après sevunir n'avait plus besoin de leur aide, ils brulerent tout ce qui etait habité. et plusieurs habitants périrent dans les flammes: aulieu d'avancer jusque à Albany qui était alors sans defense, où les Americains avaient des magazins. et près de deux milles malades dans l'hôpital. ils retournèrent sur leurs pas. et la devastation la plus horrible fut le seul resultat de leurs exploits.

Nous perdîmes de vue la riviere a deux milles d'Esopus. et nous passames au travers des bois le compté de Reinbeck, il n'y a rien a remarquer dans toute l'etendue de ce pays, excepté que ses habitants sont tous Allemands ou Hollandais, ils parlent un mauvais anglais. et leur prononciation est tout à fait etrangère: Nous rancontrâmes sur notre chemin presque autant d'egli-

---

Często skręt drogi albo wysterczająca z wody skała zakrywały przed nami ten widok, ale wkrótce inna niespodzianka zwracała na siebie uwagę i nasze oczy, czułe na wrażenie chwilowe, zapominały szybko to, co przed chwilą spostrzegły. Wkrótce ujrzeliśmy Gl. Waughan, który uprzedzając Henryka Clinton, rozniecił już tam ogień, a dążył złączyć się z Bourgogne. Ci dwaj generałowie utrzymują, że przybyli napróżno do tych okolic, gdyż ten z którym oni mieli się złączyć. nie potrzebował już ich pomocy; spalono wszystkie domostwa i kilku mieszkańców zginęło w płomieniach. Zamiast posuwać się aż do Albany. która była wówczas bez obrony, a gdzie Amerykanie mieli swoje magazyny i około 2.000 chorych w szpitalu. powrócili oni dawną drogą i najstraszniejsze spustoszenie było jedynym tylko skutkiem ich poszukiwań.

Straciliśmy z oczu rzekę o dwie mile od Ezopus i minęliśmy lasy hrabstwa Reinbeck: w całej rozciągłości tego kraju nie ma nic do zauważenia oprócz tego, że jego mieszkańcy są wszyscy Niemcami albo Holendrami; mówią oni złą angielszczyzną, a ich wymowa jest całkiem cudzoziemską. Spotkaliśmy na naszej drodze prawie tyle kościołów, co taras i spostrzegliśmy, że tutejsi

ses que de teraces, et nous nous aperçûmes bien, que les habitants d'ici sont meilleurs devots que bons cultivateurs. En général ce district est mal cultivé, et les bois sont devastés d'une manière, qui, dans quelque temps rendra très sensible leur besoin. Quand on veut exploiter un arpent de terre, on met le feu au bois qui le couvre, beaucoup d'arbres penssent encore par les coupuresqu'on leur fait pour en tirer la resine dont ils font la poix et le goudron: tous les enclos sont formés de bois de charpente, et une prodigalité imprudente regne dans leur manière de bàtir: nous n'avons pas aperçu sur pied. dans l'etendue de près de 12 lieues, cent pieces d'arbres d'une grandeur raisonable.

Vers le cinq heures du soir nous quittàmes le compte d'Albany pour aller voir le chancelier Levingston. et cette excursion, nous ramena encor sur les bords de la riviere. La famille de Levingston est une des plus considerable de la province: le chancellier de New-Yorck a été pendant toute la guerre secretaire des affaires etrangères. Sa maison fut brulée par les Anglais et il vient d'en rebàtir une autre: nous y fumes accueilli à merveille, nous y passàmes une soirée agréable, et le lendemain il a fallu du courage, pour nous arracher d'un endroit aussi sédui-

---

mieszkańcy są lepszymi nabożnisiami niż rolnikami. Wogóle powiat ten jest źle uprawiany i lasy są niszczone w taki sposób, że wkrótce bardzo da się uczuć ich brak. Gdy chcą eksploatować morg ziemi. podpalają las, który go pokrywa: wiele drzew nosi jeszcze nacięcia, które im robią, aby wydobyć żywicę, z której wyrabiają następnie smołę i dziegieć. Wszystkie ogrodzenia są zrobione z budulca, a nieroztropna rozrzutność panuje w sposobie ich budowania: To też nie spostrzegliśmy na przestrzeni 12 mil stu drzew okazałej wielkości.

Około piątej godziny wieczór opuściliśmy hrabiego Albany, ażeby widzieć się z kanclerzem Lewingston i wycieczka ta przywiodła nas napowrót na brzegi rzeki. Rodzina Lewingston jest jedną z najbardziej znacznych w prowincyi; kanclerz Nowego Yorku był podczas całej wojny sekretarzem spraw zagranicznych. Dom jego został spalony przez Anglików i właśnie niedawno wybudowano nowy; byliśmy tam przyjęci doskonale i spędziliśmy wieczór bardzo przyjemny, a nazajutrz potrzeba było wiele odwagi, aby się wyrwać z tak czarującego miejsca. Położenie domu

sant. La situation de la maison est des plus jolies, la famille qui la peuple aimable, au bout d'une route penible et ennuyense. Un voyageur suit plus vivement les agréments d'une douce societé; il s'arrête avec plaisir, pour jouir d'une conversation intéressante, il retrouve les idées qu'une attention suivie pour un seul objet avait effacé de sa memvive, et il se rapellé avec satisfaction, les moments de sa vie, ou il a épanché son ame dans le sein d'un ami ou d'une maîtresse. La crainte de trouver les routes inpraticables, fut la seule raison qui nous força de partir d'un endroit où nous etions si bien traités, nos regards se tournèrent plusieurs fois vers lui, lorsque nous le quittâmes, et nous payâmes, par des sinceres regrets, l'hospitali té avec la quelle on nous y avait reçu.

Le 21. Octbr.

Il a fait très beau toute la journée, et y eut même des moments oû la chaleur du soleil devenait in commode. La route ici est bien désagréable, les chemins et les ponts dans un fort

---

jest prześliczne, rodzina, która go zamieszkuje uprzejma, a przy końcu podróży uciążliwej i nudnej, każdy podróżny odczuwa żywiej urok miłego towarzystwa. Zatrzymuje się z przyjemnością, aby rozkoszować się zajmującą rozmową, odnajduje myśli, które uwaga skierowana ustawicznie na jeden przedmiot zatarła w jego pamięci, przypomina sobie z zadowoleniem chwile swego życia, w których otwierał duszę swoją przed sercem przyjaciela lub kochanki. Obawa natrafienia na nieprzebyte drogi, była jedyną przyczyną, która nas zmusiła do wyjechania z miejsca, gdzieśmy byli tak dobrze przyjęci: oczy nasze zwracały się kilka razy ku niemu, gdyśmy je opuszczali i szczerym żalem zapłaciliśmy za gościnność, z jaką nas tam przyjęto.

21. października.

Pięknie było przez cały dzień i były nawet chwile, kiedy gorąco słońca stawało się wprost nieznośnem; podróż jest tu bardzo nieprzyjemną, drogi i mosty w bardzo złym stanie, to też

mauvais etat, nous avançames lentement dans la boue. nous fumes obligés de traverser a gué plusieurs ruisseaux considerables, l'aspect du pays nous laissait tout le temps de nous occuper de l'ennuy de notre voyage; l'on peut dire de ce pays-ci ce que Jen Mylord Battymore disait de ma patrie que l'on y passe l'eau toujours à côté du pont ou l'on. n'en trouve un, qu'après avoir passé la rivière. Je fus charmé de finir cette journée. nous couchâmes entre Claserait et Kenderhook a 25 milles d'Albany chez un aubergiste capitaine.

22. Octobre.

Mon matelas me fut très utile cette nuit: le maître de l'auberge, tout capitaine qu'il était, n'ent pas de lit a nous donner. il nous fit payer cependant comme si nous n'avions pas couché à terre. Nous le quittâmes en lui souhaitant plus d'avancement dans l'armée, et plus de modération dans le prix.

Les chemins ce matin ont été aussi mauvais et aussi ennuyeux que hier; nous avons traversé un bois de sapin, où nous

---

posuwaliśmy się powoli w błocie, zmuszeni przebywać wpław kilka znaczniejszych strumieni: widok tego kraju pozwolił nam przez cały czas zajmywać się nudami naszej podróży; można powiedzieć o tym kraju to. co Jen Mylord Battymore powiedział o mojej ojczyźnie. że w niej przebywa się wodę zawsze obok mostu albo most znajduje się dopiero po przebyciu rzeki. Byłem uszczęśliwiony, gdy ten dzień skończył się, noc spędziliśmy pomiędzy Claserait i Kenderhook o 25 mil od Albany u pewnego oberżysty kapitana.

22. października.

Mój materac był mi tej nocy bardzo użyteczny: właściciel oberży. jakkolwiek był kapitanem, nie miał łóżka do odstąpienia nam. a kazał zapłacić sobie tak, jak gdybyśmy nie spali na ziemi. Opuściliśmy go, życząc mu, by szybciej awansował w wojsku a za to więcej był umiarkowanym w żądaniu wynagrodzenia.

I dzisiaj rano drogi były zarówno złe i nudne, jak wczoraj; przebyliśmy jodłowe lasy, gdzie znaleźliśmy kilku myśliwych,

trouvâmes plusieurs chasseurs qui guetaient des ecureuils. Les Américains sont d'excellens tireurs et manquent rarement leur but, leur milieux pendant la guerre visaient toujours les officiers Anglais, et plusieurs personnes m'ont assuré que la Grande Bretagne avait perdu plus d'officiers en Amérique cette guerre-ci, que dans toutes les parties du monde la darnière.

Après avoir traversé vingt milles de forêts, la plus part du temps a pied, nous aperçûmes Albany du haut d'une colline où nous sommes montés, en nous promenant, et bientôt après nous y sommes arrivés saints et saufs.

Nous sommes logés hors de la ville chez le Ct. Hamilton gendre du G. Schyler dans une belle maison située sur une colline qui domine une très grande etendue de pays. Nous comptons nous y arrêter deux jours pour prendre des informations nécessaires au sujet de notre voyage. J'espére que désormais mon journal commencéra à devenir plus intéressant: nous entrons dans un pays moins connu, quoique celebre par des evénements importans; la nature dit-on y a prodigué ses beautés et à chaque pas on y trouve ces beautés mâles et sauvages qui ont encore

---

czatujących na wiewiórki. Amerykanie są doskonałymi strzelcami i rzadko kiedy chybiają celu. Ich środkowe kolumny celowały podczas wojny zawsze do oficerów angielskich i kilka osób mię upewniało, że Wielka Brytania straciła więcej oficerów w Ameryce w czasie tej wojny, niż we wszystkich częściach świata straciła kiedykolwiek Ameryka.

Przebywszy 20 mil lasu, po większej części pieszo spostrzegliśmy z wierzchołka pagórka, na który przechadzając się weszliśmy, Albany i wkrótce potem przybyliśmy tam zdrowo i cało.

Mieszkamy poza miastem u Ct. Hamiltona, zięcia G. Schylera, w pięknym domu, stojącym na pagórku, który góruje ponad bardzo wielką przestrzenią kraju. Liczymy na to, że zatrzymamy się tu dwa dni, aby zaczerpnąć potrzebnych wskazówek co do naszej podróży. Spodziewam się, że odtąd mój dziennik zacznie być bardziej zajmujący; zagłębiamy się w kraj mniej znany, chociaż sławny przez ważne wypadki. Przyroda — powiadają — udzieliła mu w obfitości swego piękna, i na każdym kroku znajduje się

plus de valeur dans un pays nouveau, et sorti plus tard de la main du createur.

23., 24. Octobre.

Quand un voyageur s'arrête dans une ville peu considerable, uniquement pour se reposer des fatigues qu'ila epuyées, que rien de bien intéressant n'occupe son esprit, rien de piquant ne reveille son attention, s'il veut. malgré la henlité du sujet en se couchant ecrire l'histoire de sa journée, s'il se tourmente pour rendre a son ami recommendable la nullité de ses occupations, il est sûr qu'en s'empêchant de dormir lui même, il faira bailler son lecteur.

Les journaux de la vie des plus grands hommes, retombent dans une monotonie fatiguante. sont souvent une lecture fastidieuses; je me souviens d'avoir vû un manusent arabe (à Chotzim) qui contenait la vit de Mahomet, ecrite par un de ses domestiques. Les particularités les plus minutieuses y étaient detaillés avec exactitudes, et c'etait non seulement l'histoire de ce pro-

---

tam to piękno poważne i dzikie. które posiada tyle uroku w kraju nowym i wyszłym niejako później z ręki Stwórcy.

23. i 24. października.

Kiedy podróżny zatrzymuje się w mieście mało znacznem, jedynie aby wypocząć po trudach. jakich doznał. kiedy nic zajmującego nie zaprząta jego umysłu, nic pociesznego nie budzi jego uwagi. jeżeli chce pomimo mierności przedmiotu, kładąc się, napisać historyę swego dnia, jeżeli wysila się, aby zalecić swemu przyjacielowi błahość swoich zajęć, jest on pewnym, że przeszkadzając spać sam sobie. zmusi do poziewania swego czytelnika.

Dzienniki życia największych ludzi wpadają nieraz w męczącą monotonność i dlatego są często w czytaniu nużące; przypominam sobie, że widziałem arabskiego manusenta (w Chocimiu), który zawierał życie Mahometa. opisane przez jednego z jego sług. Najdrobniejsze szczegóły były tam zawarte ze ścisłą dokładnością, była to nie tylko historya tego proroka codzienna. ale

phète jour par jour, mais heure par heure: la nourriture qu'il prenait, l'habit qu'il endossait, la femme avec la quelle il partageait son lit — les — dois-je le dire? — non — on le trouverait peut-être indecent. Enfin tout y était rapporté avec toute la prétension à la plus grande authenticité: malgré l'extreme curiosité de connaître la vie privée de l'etonnant personnage, j'eus toutes les peines du monde à achever la lecture de cette rapsodie, et vingt fois en jettant le cahier j'ai maudit mon heros d'avoir vecu si longtemps, il mourut enfin, et le seul bruit qui frappa dans sa vie, fut l'état où il fut trouvé à sa mort.

Mais pour revenir de notre prophète aux habitants d'Albany qui ne le sont nullement: je vous dirais qu'ils faisaient avant la dernière guerre un commerce très considerable avec les sauvages qui echangeaient les peaux d'ours de loups, de renards, des castors d'elans, de daims contre des couvertures de laine de la poudre à fusil, des armes et surtout du rum, les dernières calamités ont interompus ce trafic qui commençait à languir quelque temps auparavant, à cause de la rareté des bêtes fauves, que des chasses répétées, avaient exterminees.

---

godzinna: pokarm, jaki przyjmował, ubranie, jakie wdziewał, kobieta, z którą dzielił swoje łoże i — czy mam powiedzieć? — nie — sądzonoby, że jest to nieskromnem. Zresztą wszystko tam było przytoczone z całą pretensyą do wielkiej autentyczności. Pomimo nadzwyczajnej ciekawości poznania życia domowego tej zadziwiającej osobistości, z największą trudnością przyszło mi dokończyć czytania tej rapsodyi i 20 razy rzucając zeszyt, przeklinałem mego bohatera, że żył tak długo, wreszcie umarł a jedyną nadzwyczajnością, jaką uderzała w jego życiu, był stan, w jakim go znaleziono po śmierci.

Ale aby powrócić od naszego proroka do mieszkańców Albany, którzy nie mają nic z nim wspólnego, powiem wam, że przed ostatnią wojną prowadzili znaczny handel z dzikimi, którzy mieniali skóry niedźwiedzi, wilków, lisów, bobrów, łosi i danieli na wełniane kołdry, proch strzelniczy, broń a szczególnie na rum. Ostatnie klęski przerwały ten handel, który już jakiś czas przedtem zaczynał upadać z powodu braku dzikich zwierząt, które częstemi polowaniami zostały wytępione zupełnie.

24. Octob.

Nous dessendimes ce matin à la ville pour y diner chez le Cl. Leurs, beau frère du chancelier Lewingston, et nous profitâmes de cette occasion pour la parcourir. Le Cl. Hamilton nous accompagna dans cette cource: et nous eumes le plaisir de jouir pendant très longtemps de sa conversation: c'est un jeune homme de vingt sept ans et sûrement un de sujets les plus distingués de l'Amérique.

Il a été pendant longtemps aide au camp du Gl. Washington et son principal suretaire, et a commendé l'attaque de la redoutte d'Jorck-Town. Il a echangé actuellement son epée contre une robe d'avocat et suit avec autant de zele et de succés ce nouveau metier, qu'il a montré d'habilité et d'activité dans l'autre. Son ésprit est etendu, son jugement sûr, et son éducation très soignée. Il n'a point les prejugés de son pays, juge avec justesse des evénements, sans enthousiasme pour la reputation, il sait apprecier la valeur de ses compatriotes qui ont agi dans la dernière revolution: c'est principalement sur ces informations et sur

---

24. października.

Wysiedliśmy dziś rano w mieście, aby zjeść obiad u Cl. Leurs, szwagra kanclerza Lewingstona i skorzystaliśmy z tej sposobności, aby zwiedzić miasto. Cl. Hamilton towarzyszył nam w tej wycieczce i mieliśmy przyjemność bawić się przez długi czas jego rozmową; jest to młody człowiek, dwudziestu siedmiu lat i z pewnością jeden z najbardziej dystyngowanych poddanych Ameryki.

Był on dłuższy czas adjutantem generała Washingtona i jego głównym obrońcą i dowodził napadem na redutę Yorck-Town. Miecz twój zmienił obecnie na togę adwokata i oddaje się z taką samą gorliwością i powodzeniem swemu nowemu zajęciu, ile zręczności i czynności okazywał w zawodzie poprzednim. Jego umysł jest wszechstronny, jego sąd pewny a wykształcenie bardzo staranne. Nie posiada przesądów swego kraju, zdarzenia osądza sprawiedliwie, bez zapału dla opinii, umie oceniać wartość swoich współrodaków, którzy działali w ostatnim powstaniu: i na jego

celles de Mr. J-n. D-n que j'ai tracé ces caractères que je vous envoie ci joints.

Vous y verrez Mr. le Comte les objets à peu près à leur juste valeur, et j'espère que ceci ne sera pas la partie la moins interessante de mon journal.

La Ville d'Albany n'a absolument rien de remarquable: un hôpital spacieux que les Anglais ont bâti dans la guerre du Canada, peut seul frapper les yeux du voyageur, mais la situation de la ville est, on ne peut plus, agréable, et la même riviere qui sert à l'embellir lui procure encor un commerce aisé avec New-Yorck.

Nous avons arrangé après diner les preparatifs de notre voyage: on nous menace de difficultés insurmontables, les ponts dit-on sont emportés, les chemins impassables, et les rivieres debordées. Mais nous avons deux ingrediens nécessaires, beaucoup de patience et de curiosité, et le cris de guerre de notre petite troupe est toujours: Bontés en avant.

---

głównie wskazówkach i na wskazówkach Pana J-n D-n naszkicowałem te charaktery, które Ci tu załączam.

W nich zobaczysz Panie Hrabio wszystkie cechy ocenione należycie wedle ich właściwej wartości i mam nadzieję, że to nie będzie najmniej zajmującą częścią mego dziennika.

Miasto Albany nie ma absolutnie nic godnego uwagi; tylko jeden szpital rozległy, który zbudowali Anglicy podczas wojny w Kanadzie, może zająć wzrok podróżnika, ale położenie miasta jest nadzwyczaj przyjemne i ta sama rzeka, która służy do jego upiększenia, przyczynia się jeszcze do ułatwienia handlu z New-Yorck'em.

Po obiedzie zajęliśmy się przygotowaniami do naszej podróży: straszą nas niepokonanemi trudnościami, mówią, że mosty są zerwane, drogi nie do przebycia i rzeki wezbrane. Ale mamy z sobą dwie rzeczy niezbędne, wielką cierpliwość i ciekawość i okrzyk wojenny naszego małego orszaku brzmi stale: „Zawsze naprzód“.

25. Octobre.

J'apprends à etre exact de mon compagnon de voyage qui ecrit la moindre chose; sans cet exemple j'aurais oublié de vous dire que nous avons quitté Albany a midi sans autre equipage que deux petits porte manteaux, et sans autre provision. qu'un peu de sucre de thé et quelques citrons. Nous suivimes d'abord la viviere du Nord jusqu'a un endroit nommé S c h a y l e r s f e r m s, où nous primes a gauche pour aller voir la grande chute d'eau de Cahoes sur la Mohawck: a peine avions nous fait trois milles que nous entendimes distinctement le bruit de la cascade. Qu'est ce que ce bruit? me dit Mr. Vernon, c'est celui de la cascade, lui repondis-je, et nous piquâmes de deux, a chaque pas que nos chevaux faisaient en avant. le bruit augmentait, et il devint si considerable, que nous ne nous entendims plus. Nous apercevions de temps en temps au travers les arbres le fleuve qui le bordent, chariant avec impetuosité l'ecume dont les bords etait remplis le temps était beau et serain. mais une pluie qu'occasionne l'extrême fermentation de l'eau qui tombe d'une prodigieuse hauteur nous avertit que nous étions près du tableau.

---

25. październ.

Staję się dokładnym. ucząc się tego od mego towarzysza podróży, który zapisuje najmniejszą rzecz: bez tego przykładu zapomniałbym Ci powiedzieć, że opuściliśmy Albany o południu. mając za cały bagaż dwa małe tłumoczki a jako całe zapasy żywności trochę cukru, herbaty i kilka cytryn. Posuwaliśmy się najpierw brzegiem rzeki północnej aż do miejsca nazwanego S c h a y l e r s - f e r m s, gdzie skręciliśmy na lewo, ażeby módz zobaczyć wielki wodospad Cahoes na Mohawck. Zaledwie przebyliśmy trzy mile, kiedy usłyszeliśmy wyraźnie huk wodospadu. Co to za hałas? — zapytał mnie p. Vernon. Jest to odgłos wodospadu — powiedziałem i przedzieraliśmy się razem, a za każdym krokiem. który nasze konie robiły naprzód, hałas potężniał i stał się wreszcie tak znacznym, że nie słyszeliśmy się wzajemnie. Spostrzegaliśmy od czasu do czasu przez drzewa rzekę, która je otacza, niosąc z gwałtownością pianę. która napełniała brzegi. Pogoda była piękna i przyjemna, ale deszcz. jaki sprawia nadzwyczajne wzburzenie wody, która spada ze znacznej wysokości, ostrzegał nas, że jesteśmy w pobliżu miejsca, którego widok

La forêt nous en derobant encor la vue, mais l'impression de l'horrible fracas qui nous etourdissait. L'impatience de la curiosité montée au dernier point, la solitude qui nous entourait: tout cela formait un tumulte dans mon ame que j'aime à ressentir. Nous quittâmes nos chevaux, et nous nous enfonçâmes dans le bois, mais puis-je vous décrire mes sensations quand du haut d'une colline: je decouvris cette immense nappe d'eau, se precipitant dans un gouffre; le fleuve est ici large de trois cent 29 yards apeuprès mille pieds anglais, et sa chute perpendiculaire est de 75 pieds.

Le courant acquiert de la force avant d'arriver au precipice, par une pente très rapide et des brisans nombreux, et l'eau bouillone déjà avant de s'engouffrer. Les rochers à l'endroit de la chute forment une espece de barre, qui en elevant les flots leur donne encor plus de vehemence et d'impetuosite les virite pour ainsi dire en arrêtant un moment leur violence: ajoutés a cela l'effet surprenant des arcs-en-ciel qui melent les plus vives couleurs au gris sombre du brouillard epais, ornent des plus vives couleurs, l'air, au milieu de l'horrible bruit que doit faire un volume d'eau aussi immense tombant d'une hauteur prodi-

---

las nam wprawdzie zakrywał, ale już samo wrażenie strasznego hałasu oszołomiało nas. Niecierpliwość naszej ciekawości, posunięta do najwyższego stopnia samotność, która nas otaczała, wszystko to tworzyło w mojej duszy chaos, jaki lubię odczuwać. Porzuciliśmy nasze konie i zapuściliśmy się w las, ale czy mogę wam opisać moje wrażenia, kiedy z wysokości pagórka ujrzałem tę olbrzymią kaskadę wody, spadającą w otchłań: rzeka w tem miejscu jest trzysta dwadzieścia dziewięć jardów szeroka, co wynosi około tysiąc stóp angielskien, a wysokość wodospadu wynosi 75 stóp.

Bieg nabiera siły przed dojściem do przepaści, wskutek stromej pochyłości i licznych przeszkód, i woda kotłuje się już przed zagłębieniem się w przepaść. Skały tworzą w miejscu spadku rodzaj tam, która podnosząc fale nadaje im jeszcze więcej gwałtowności i rozpędu, podżega je — że tak powiem — zatrzymując na chwilę ich gwałtowność. Dodać jeszcze do tego zadziwiający urok tęczy, która łączy najżywsze barwy aż do szarości ciemnej gęstej mgły, zdobi w najżywsze kolory powietrze, wśród strasznego huku, który powoduje tak wielka masa wody, spadającej ze znacznej wysokości, i dziwne wrzenie, które z tego wynika —

gieuse, et l'etrange fermentation qui s'ensuit, et vous aurez un faible idée du tableau. Je joins ici mon cher comte un dessein de cette merveille mais je serais très fâché que Vous crussiez qu'il en est la representation parfaite. C'est une esquisse que j'adrésse a Votre imagination et je suis sûr que les yeux de l'auteur de... sauront apercevoir l'original dans ce croquis imparfait. Je me souviens, oui, je me rappelle... quand je voulus derober pour la première fois la ressemblance de celle que j'adorerais toute ma vie, dans les traits grossiers qu'un peintre malhabile avait tracé au hazard, les graces, de saurir l'ame de l'objet de mon culte. [1]) . . . .

. . . .

Nous serions resté peut-être jusqu'au coucher du soleil, en contemplation du grand spectacle, qui nous occupait, si nos gens, pressés par la faim, et apparemment moins sensibles, à ces fortes de beautés, ne nous avaient rapellé qu'il fallait encore faire

[1]) Ostatnie słowa tego ustępu (de saurir...) według rękop. szczorsowskiego, poczem zarówno w rękop. jagiellońskim, jak i szczorsowskim miejsce zdefektowane.

i będziecie mieli słabe wyobrażenie obrazu. Załączam tu mój drogi hrabio rysunek tego cudu, ale byłbym bardzo niezadowolony, gdybyś myślał, że jest on jego doskonałem odtworzeniem. Jest to szkic raczej, który przesyłam ufając Twojej wyobraźni i jestem pewien, że oczy autora... będą umiały wypatrzyć oryginał w tym nieudolnym rysunku. Ja pamiętam, tak, przypominam sobie... gdy chciałem uchwycić po raz pierwszy podobiznę tej, którą ubóstwiałem całe moje życie, w rysach prostych, które niezdolny malarz naszkicował przypadkowo, wdzięki, uśmiech, duszę przedmiotu mojej czci. . . . .

. . . .

Bylibyśmy pozostali, być może, aż do zachodu słońca w zachwycie nad przepięknym widokiem, który nas zajmował, gdyby nasi ludzie, przyciśnięci głodem i napozór mniej czuli na tego rodzaju piękna, nie byli nam przypomnieli, że mieliśmy jeszcze

plus de douze milles pour joindre notre diner, et que la journée était fort avancée. Nous rejoignimes nos chevaux, et après avoir passé le Mohawck deux milles plus bas. Nous reprimes le grand chemin de Saratoga. Nous dinâmes à un endroit, nommé Half-Moon, où le Mohawck et le Hudson, se joignant, forment une espece de demi-lune. Je vous ferai grâce des mauvais chemins, que nous rencontrâmes. La nuit nous surprit presque au sortir de Half-moon, et dans l'obscurité et sans garde nous traversâmes à la nage, plusieurs torrents considérables, au risque de nous noyer. Enfin une lumiere secourable nous indiqua notre gite, et nos chevaux trouverent encore la force de trotter à la vue de cette astre bien faisant, et nous conduisait bientôt dans une maison plus commode, que nous n'osions l'espérer. Un capitaine de milice était maître de cette auberge. Sa femme, âgée environ de 30 ans, et une très-jolie fille, à peu près de 15 ou 16 ans, composaient le ménage. Un enfant de huit mois reposait tranquillement au milieu de lachambre où couchait toute la famille. On proposa d'y faire notre lit, parce que nous étions pressés de dormir, et qu'il n'y avait pas de feu dans la chambre des étrangers. J'avoue que la ressemblance de cette situation avec celle

---

do zrobienia więcej niż dwanaście mil, aby dojść do naszego obiadu i że pora już bardzo spóźniona. Wróciliśmy się do naszych koni, dwie mile poniżej przeszliśmy Mohawck i Wielką drogą dążyliśmy do Saratoga. Obiadowaliśmy w miejscu zwanem Half-Moon, gdzie Mohawck i Hudson łącząc się tworzą rodzaj półksiężyca. Nie będę wam mówił o złych drogach, na które natrafiliśmy. Noc zaskoczyła nas prawie u wyjścia z Half-Moon i w ciemności i bez straży przebyliśmy wpław kilka wielkich potoków, narażając sie na utopienie — wkońcu wybawcze światło wskazało nam nasze mieszkanie, a konie nasze znalazły jeszcze dość sił do biegu na widok tej dobroczynnej gwiazdy i zawiozły nas wkrótce do domu wygodniejszego, niż byśmy się śmieli spodziewać. Kapitan wojska obywatelskiego był właścicielem tej oberży. Żona jego, mająca około trzydziestu lat i bardzo ładna córka, 15 lub 16-letnia, tworzyli gospodarstwo. Dziecię ośmiomiesięczne spoczywało spokojnie w pośrodku pokoju, gdzie sypiała cała rodzina. Chcieli w tym pokoju pościelić dla nas łóżko, ponieważ spieszno nam było do spania, a w pokoju gościnnym nie było napalone. Przyznam się, że podobieństwo tego położenia z położeniem hrabiego Berceau uderzyło mnie dziwnie: i gdybym był

du Conte du Berceau, me frappa singulierement; et si j'avais trouvé les probabilités de sortir de cette avanture aussi heureusement que... peut-être aurais-je accepté la proposition mais il n'était pas prudent de risquer, après une journée aussi fatiguante de passer une nuit sans dormir, sans être sûr des mêmes succès. Je vous fais part, moncher Comte, de toutes ces niaiseries. „Nugas tibi quoque dico“. Un journal, semblable à une conversation entre deux amis, n'exclut point la franchise. Rien n'est au-dessus, rien au dessous de lui. Tous les styles, toutes les matières lui conviennent, et la varieté doit être son objet principal. L'homme qui l'écrit doit y paraître ce qu'il est, et celui, qui amuse son loisir à lire des lignes tracées sans pretension, sourit, en retrouvant les faiblesses de son ami, et croit l'avoir à ses côtés.

Les pensées, avec les quelles je me couchai, ne repondent point au premier objêt, que notre vue a rencontré ce matin. Je vis, en me levant, le tombeau de Sir Francis Clarke, aide de camp du géneral Bourgoine. Un triste sapin planté au hazard sert d'ornement à cet objet lugubre. Sir Francis, blessé à mort,

---

znalazł możliwość wyjścia z tej przygody równie szczęśliwie jak..., być może, że byłbym przyjął tę propozycyę, ale nie było rozważnem narażać się, po dniu tak męczącym na przepędzenie nocy bez snu, nie będąc pewnym powodzenia. Udzielam Ci drogi hrabio wiadomości o wszystkich tych głupstwach. „Nugas tibi quoque dico“. Dziennik, podobny do rozmowy między dwoma przyjaciółmi, nie wyklucza wcale otwartości. Nic nie jest dla niego za wysokiem lub za niskiem. Wszystkie sposoby opowiadania, wszystkie przedmioty uchodzą mu, a rozmaitość powinna być jego głównym celem. Człowiek, który go pisze, powinien przedstawić się takim, jakim jest; a ten, który wypełnia swoje wolne chwile czytaniem kreśleń pisanych bez pretensyi, uśmiecha się, odnajdując słabostki swego przyjaciela i zdaje mu się, jakby go miał przy sobie.

Myśli, z którymi się położyłem, nie odpowiadały wcale przedmiotowi, na który nasz wzrok natknął się dzisiaj rano. Wstając, ujrzałem grób pana Franciszka Clarke, adjutanta generała Burgoine. Samotna jodła, jakby przypadkowo zasadzona, stanowi jedyną ozdobę tego smutnego miejsca. Pan Franciszek,

et fait prisonnier à Stillwater, fut paurté dans une maison voisine de notre auberge, où il mourut.

26. Octbr.

Quel affreux sort que celui de périr dans une contrée etrangère, expirer, dans la maison d'un ennemi, entouré de visages inconnus, ou indifférents. Aucun allarme, aucun soupir, ne vous accompagnent dans la tombe, et vous devez avoir la triste certitude de croire que les services qu'on vous rend, ne viennent plus d'un tendre intérêt pour vous.

Soit! Je ne puis m'empêcher d'être fortement ému, et de réfléchir sur ma situation présente en voyageant dans un pays éloigné et presque inconnu en Europe. Si ma faible santé cédait aux fatigues d'un voyage penible, aux intemperies d'un climat très variable, si de nombreux chances qui peuvent alterer la source de la vie, se realisait sur moi, je ne vous reverrais plus, je ne reverrais plus... et ma memoire ensevelie dans la fosse, qui terminerait mon corps, ne passerait pas les mers, pour reveiller

---

ranny śmiertelnie i wzięty do niewoli w Stillwater, został umieszczony w domu obok naszej oberży i tam umarł.

26. października.

Jaki to straszny los zginąć w obcej okolicy, wyzionąć ducha w domu nieprzyjaciela, otoczony twarzami nieznanemi albo obojętnemi. Żadno współczucie, żadno westchnienie nie towarzyszy wam do grobu, i ze smutną pewnością musicie uwierzyć, że usługi, które wam oddają, nie pochodzą z czułego zajęcia się wami.

Niech i tak będzie! Nie mogę jednak przeszkodzić silnemu wzruszeniu i nie rozmyślać nad moim obecnem położeniem, podróżując w kraju oddalonym i prawie nieznanym w Europie. Gdyby moje wątłe zdrowie uległo żmudzie uciążliwej podróży, niepogodom bardzo zmiennego klimatu, gdyby liczne przygody, które mogą nadwerężyć źródło życia, odbiły się na mnie, nie ujrzałbym was więcej, nie ujrzałbym nigdy... i moja pamięć zagrzebana w grobie, który pochłonąłby moje ciało, nie przeszłaby przez

dans l'esprit de mes concitoyens le souvenir de mon existence. Je mourrais avant d'avoir tenté de mettre en oeuvre les materiaux que je rassemble avec tant de peine. Puisse une divinité propice présider à mon voyage et favoriser mon retour! Que je n'expire au moins qu'après m'être embarqué dans le chemin de la gloire. En attendant, nous primes la route de Still-Water: et nous visitâmes les restes des ouvrages du camp de Bemus, S. Heigrs, que les Américains avaient fortifié pour arrêter l'armée anglaise dans sa marche. Ils resterent là et laisserent Bourgoyne consumer les vivres de son armée dans une inaction dangereuse, ou dans des intreprises infructueuses. Ils y furent attaqués le 19. Septembre, et ayant repoussé cette irruption, ils ajouterent de nouveaux, ouvrages à leur camp: et les deux armées resterent pendant dixsept jours presque en présence, l'une de l'autre, et dans une singuliere tranquillité, qui ne fut troublée que par quelques escarmouches des fourageurs; l'armée anglaise dans l'attente incertaine d'un secours, et les Américains dans la persuasion, qu'un ennemi peu nombreux harassé, affamé devait nécessairement tomber de lui même.

---

morza, aby rozbudzić w umyśle moich współobywateli pamięć o moim istnieniu. Umarłbym, nie uporządkowawszy i nie wydawszy materyałów, które zbierałem z takim trudem. Oby życzliwe bóstwo przewodniczyło mojej podróży i sprzyjało memu powrotowi! Niech nie wyzionę ducha przynajmniej przed wejściem na drogę chwały. Tymczasem skierowaliśmy się drogą ku Still-Water i oglądaliśmy pozostałości po pracach, wykonanych przez obóz Bemusa S. Heigrs'a, który Amerykanie umocnili, aby zatrzymać armię angielską w jej pochodzie. Oni pozostali tam a porzucili Bourgoyn'a, wyczerpującego zapasy żywności swojej armii w niebezpiecznej bezczynności, co równa się bezowocnym przedsięwzięciom. Tam zostali napadnięci 19. września i odparłszy ten atak, uzupełnili obwarowanie swego obozu i obie armie pozostawały przez siedemnaście dni prawie oko w oko, jedna naprzeciw drugiej w dziwnym spokoju, zamąconym tylko przez kilka utarczek furażerów: armia angielska w niepewnem oczekiwaniu pomocy, a Amerykanie w przeświadczeniu, że nieprzyjaciel nieliczny, zmordowany, zgłodniały, musi z powodu własnej niemocy dać za wygraną.

Le 7. d'Octobre, ayant fait quelques mouvements pour couper la retraite de l'ennemi, il s'en suivit une action sanglante et meurtriere près d'un endroit nommé Freeman's Farm, où les deux armées ayant combattu avec une opiniatreté et un acharnement dignes d'une guerre civile, ...

. . . .

furent separées par la nuit. Les Anglais peu accoutumés à une manière de combattre, uniquement connue de la milice américaine, et ayant perdu le Sr. Frasier et leurs meilleures officiers, perdirent dans cette journée toute ésperance; et Bourgoine fut obligé la même nuit de prendre une position nouvelle et de reculer son camp. Là voyant qu'il lui était impossible de rester, ou d'avancer, il resolut de retourner sur ses pas, et s'étant mis en marche le même jour, il n'arriva dans son ancien camp de Saratoga, que le lendemain à midi. Ce qu'il y a de singulier, c'est que le géneral Gates, qui aurait pû détruire une armée fugitive, decouragée et embarassée par le charriage d'une artillerie pesante, et des bagages considerables dans un chemin étroit et bourbeux ne se mit à sa poursuite que vingt-quatre heures après, qu'elle eut décampé ayant eu le loisir et les moyens d'intercepter toute

---

7. października po kilku ruchach, mających na celu przeciąć odwrót nieprzyjacielowi, wywiązało się krwawe i mordercze starcie około miejsca, zwanego Freeman's Farm, gdzie dwie armie walczyły z uporem i z zawziętością, godną wojny domowej —

. . . .

noc dopiero rozdzieliła ich. Anglicy mało przyzwyczajeni do sposobu walczenia, znanego jedynie milicyi amerykańskiej, i straciwszy pana Frasier i swoich najlepszych oficerów, pozostali w tym dniu bez iskry nadziei i Bourgoine był zmuszony tej samej nocy objąć nową pozycyę i cofać się. Widząc więc, że było mu niemożebnem ani zostać na miejscu, ani iść naprzód, postanowił cofnąć się i wyruszywszy w drogę tego samego dnia, przybył do swego dawnego obozu w Saratodze dopiero nazajutrz w południe. Co jest wielce dziwnem to to, że generał Gates, który mógłby był zniszczyć armię będącą w rozsypce, zniechęconą i zakłopotaną przewozem ciężkiej artyleryi i znacznych pakunków po drodze wąskiej i błotnistej, pogonił za nią dopiero w 24 godzin po jej ucieczcie, wskutek czego miała ona czas i środki przeciąć wszelką komunikacyę i otoczyć obóz angielski. Kazał on podpisać tę sławną

communication, et d'entourer le camp anglais. Il fit signer cette fameuse convention, qui fut la base de l'indépendance américaine, et qui assura au malheureux Bourgoigne une reputation si agreable sous le fardeau de laquelle il restera écrasé. Les gazettes du temps, aux quelles je vous renvoie, vous aprendront plus en détail les circonstances militaires de toutes ces opérations, mais je vous arrêterai un moment sur l'état présent du lieu où s'est passé la sanglante action de Freeman's Farm, et sur quelques anecdotes, relatives à ce sujet. Quoiqu'étranger à cet événement il m'a été impossible de me defendre d'une sensation douloureuse à l'aspect de l'endroit le plus lugubre que j'aie rencontré dans ma vie. Imaginez dans un terrein inégalet bourbeux une forêt de tristes sapins, qui brulés à moitié, et depouillés de leurs branches, ne présentent que des troncs enfumés: partout des traces d'une horrible devastation, des oiseaux de proye chercher envain leur nourriture sur des os, que le temps a encore conservé, et le sifflement des vents frappant les oreilles d'un son perçant et désagréable. Cette déscription, qui n'est nullement exagerée, vous rendra plus intéressante la description que fait le Sr. Bour-

---

ugodę, która stała się podstawą niezawisłości amerykańskiej, a która wyrobiła nieszczesnemu Bourgoinowi reputacyę tak przyjemną, że jej ciężarem został on zmiażdżony. Dzienniki ówczesne, do których Cię odsyłam, powiadomią Cię z większymi szczegółami o znaczeniu militarnem wszystkich tych ruchów, ja jednak zatrzymam Cię chwilę, chcąc wskazać Ci obecny stosunek miejsca, gdzie odbywała się krwawa akcya Freeman's Farm i pragnąc opowiedzieć Ci kilka anekdot odnoszących się do tego przedmiotu. Chociaż byłem nieobecny w czasie tych wypadków, nie podobna mi było obronić się od bolesnego wrażenia, na widok miejsca najsmutniejszego, jakie spotkałem w moim życiu. Wyobraź sobie teren pagórkowaty, pokryty smutnym lasem jodłowym, który spalony do połowy i obrany z gałęzi pokazuje tylko zakopcone pnie: wszędzie ślady strasznego zniszczenia, drapieżne ptactwo napróżno szuka pożywienia, przypatrując się kościom, które czas jeszcze zachował i gwizd wiatrów uderza o uszy dźwiękiem przenikającym i nieprzyjemnym. Ten opis, który nie jest wcale przesadzony, uczyni wam bardziej zajmującem to, co opisuje p. Bourgogne

goyne de l'état de son armée la nuit qui suivit l'engagement. Elle respire une sensibilité, qui doit nécessairement interesser le lecteur au sort de ces officier.

---

o stanie swojej armii w ostatniej nocy, po jej zebraniu się. Tchnie on uczuciem, które zmusi bezwarunkowo czytelnika do zajęcia się losem tych oficerów.

(Ciąg dalszy nastąpi).

Przemysł górniczo-hutniczy w Galicyi
w roku 1906.

Nafta i wosk ziemny.

(Ciąg dalszy).

Największa liczba zajętych przy kopalniach naftowych robotników była 5.712, najmniejsza 3.567.

Przy kopalniach było 181 własnych, 85 wynajętych, razem 266 domów robotniczych, lub też baraków, w których było 1.438 mieszkań, gdzie znalazło pomieszczenie 659 żonatych i 1.235 nieżonatych robotników.

Reszta robotników mieszkała w domach prywatnych: płacono czynsz najmu 7—20 k. miesięcznie. — Robotnicy byli ubezpieczeni w kasach chorych, kasach brackich lub w Zakładzie ubezpieczeń robotników od wypadków we Lwowie. Niektórzy należeli także do prywatnej kasy chorych w Schodnicy.

Przy kopalniach wosku ziemnego w tym okręgu wynosiła największa liczba robotników 1.823, najmniejsza 1.656.

W okręgu Stanisławowskim pobierał wynagrodzenie „na dniówkę“:

Dozorca	1 k.	66 h.	do	8 k.	— h.
Wiertacz	2 „	40 „	„	6 „	— „
Pomocnik wiertacza . .	1 „	40 „	„	3 „	— „
Maszynista	4 „	— „	„	6 „	— „
Palacz	1 „	60 „	„	3 „	— „
Majster kowalski . .	4 „	— „	„	6 „	— „
Pomocnik kowalski . .	1 „	40 „	„	3 „	— „
Rzemieślnik (rękodzielnik)	2 „	— „	„	5 „	— „
Robotnik dzienny . .	1 „	— „	„	2 „	— „

Prócz tego otrzymywali wiertacze dodatek 1 k., a pomocnicy wiertaczy 20 h. za 1 m. odwierconego świdrowego otworu. Za roboty oddane w akordzie płacono: od metra otworu świdrowego 150 k. — Za czerpanie ropy 25—80 h. miesięcznie od otworu.

W kopalniach wosku ziemnego płacono 60 k. za 1 m. pogłębienia szybu. za naprawę chodnika 10 k. do 60 k. od 1 m.

Zarobków wypłacono w roku 1906:

Dozorcom	13.734 k.
Wiertaczom	26.045 „
Robotnikom	125.088 „
Razem .	164.867 k.

T. j. 57.031 k. więcej, niż w roku poprzednim.

Na głowę jednego robotnika przypadał w tym roku zarobek 620 k., t. j. był o 42 k. mniejszy, niż w roku poprzednim.

Pomiędzy kierownikami kopalni nafty i wosku ziemnego było 3 obcokrajowców: 2 Kanadyjczyków, a 1 Prusak. — Największa liczba robotników, zajętych w ciągu roku przy kopalniach nafty była 396, najmniejsza 161; przy kopalniach wosku: 637 — 396.

Kopalnie nafty miały 40 domów i baraków robotniczych, gdzie w 79 mieszkaniach znaleźć mogło pomieszczenie 59 rodzin robotniczych, a 82 robotników nieżonatych. Natomiast przy kopalniach wosku ziemnego, mimo większej liczby zatrudnionych robotników było tylko 13 domów robotniczych.

Uzdolnienie i zachowanie się robotników było zadowalające.

Dla ubezpieczenia robotników istniała kasa bracka w Pasiecznej, kasa zapomogowa w Słobodzie rungurskiej.

Przedsiębiorstwa w Dźwiniaczu i Staruni ubezpieczały swoich robotników w kasie brackiej w Borysławiu.

Inne przedsiębiorstwa czyniły to także w Zakładzie ubezpieczenia robotników od wypadków we Lwowie lub w kasach chorych dotyczącego starostwa.

Zarobki wypłacone w roku 1906 we wszystkich okręgach były następujące:

W okręgu Jasielskim	. . . .	1,093.018 k.
„ Drohobyckim	. . . .	4.816.854 „
„ Stanisławowskim	. .	164.867 „
	Razem .	6.074.739 k.

Zarobek na głowę jednego robotnika wynosił:

W okręgu Jasielskim	. . . . .	690 k.
„ Drohobyckim	. . . . .	1.048 „
„ Stanisławowskim	. . . .	620 „

Dokładny obraz przemysłu górniczego naftowego w pojedynczych okręgach i pogląd na stopień jego rozwoju daje nam zestawienie urządzeń tych kopalń. Z tego powodu wymienię je nie sumarycznie, lecz szczegółowo w każdym okręgu:

W okręgu J a s i e l s k i m było 31 szybów, z których 8 tylko służyło do wydobywania ropy, 23 były nieczynne. 1.403 otworów wiertniczych. 72 pogłębiano siłą pary, z 83 pompowano ropę ręcznie, z 712 wydobywano ropę siłą pary, z 2 wypływała sama, 525 otworów było nieczynnych, 9 zagwożdżono. Największa głębokość otworu świdrowego wierconego systemem kanadyjskim była 1.002 m.

W roku 1906 pogłębiono 22.163 m. otworów wiertniczych za pomocą pary. Wierceń ręcznych nie było wcale.

Maszyn wiertniczych było 83, wśród tych 14 lokomobil o łącznej mocy 1.714 k. p., 1 motor gazowy o 16 k. p.

Motory elektryczne nie były w użyciu.

Z otworów starych i nowych nieproduktywnych zasypano 51 o łącznej głębokości 14.761 m.

Wiercenie odbywało się przeważnie systemem kanadyjskim, w 2 przedsiębiorstwach: Faukowskim systemem z płuczką wodną.

Jedno przedsiębiorstwo wierciło systemem szybko udarowym z płuczką wodną.

Do wydobywania i pompowania ropy służyło 88 pomp ręcznych i haspli, 60 machin parowych, z czego 42 stale, a 18 lokomobil o mocy 1.124 k. p., dalej 12 motorów gazowych o 200 k. p., z których wszystkie były w biegu.

Prócz tego służyło 12 maszyn parowych wiertniczych po ukończeniu wiercenia do pompowania ropy.

Dalej 10 lokomobil służyło do popędu elektrycznych dynamomaszyn, a 2 lokomobile do popędu warstatów; 26 pomp ssąco-tłoczących, które przewodziły ropę z zbiorników do magazynów ropnych i na stacyę kolei.

W 67 wypadkach był w użyciu kanadyjski *pumprighs*, którym pompowano ropę z 712 otworów wiertniczych.

Wszystkie stałe maszyny parowe, których było 155, z wyjątkiem 45 maszyn lokomobilowych, które posiadały własne kotły, dalej 26 pomp ssąco-tłoczących, 6 maszyn parowych przy urządzeniach elektrycznych, 2 pompy tłoczące, 3 maszyny parowe przy warstatach, 5 maszyn parowych przy pompach wodnych, 2 krany parowe do czyszczenia otworów wiertniczych — zasilała para z 17 stałych wmurowanych i 158 lokomobilowych kotłów parowych o powierzchni ogrzewalnej 4.756 m^2.

Przewodów rurowych było w tym roku na ropę: 258.533 m. t. j. 15.095 m. więcej, niż w roku poprzednim. Gazowych 40.620 m., o 4.840 m. mniej niż w roku poprzednim, parowych: 19.442 m. t. j. 1.622 m. mniej, niż w roku poprzednim, wodnych 42.144 m.

Rur do pompowania było ogółem 246.914 m. w użyciu, t. j. 11.482 m. mniej, niż w roku poprzednim.

Z dłuższych rurociągów, służących do przewodzenia ropy, zasługują na wyszczególnienie:

Z Grabownicy starzeńskiej	do Rymanowa . . .	17	km.
„ Zmiennicy	„ Rymanowa . . .	14	„
„ Humnisk	„ Grabownicy starzeńsk.	2	„
„ Kryga	„ Glinika maryampolsk.	4	„
„ Harklowa	„ Skołyszyna . . .	5	„
„ Krościenka	„ Krosna	3	„
„ Potoka	„ Jedlicza	6	„
„ Równego	„ Krosna	15	„
„ Wietrzna	„ Krosna	15	„

Z Węglówki	do Krosna	12 km.
„ Bóbrki	„ Krosna	14 „
„ Rogów	„ Krosna	15 „
„ Ropianki	„ Iwonicza	31 „
„ Zagórza	„ Tarnowa	2 „

Do otworów wiertniczych spotrzebowano 481.407 m. hermetycznych rur walcowanych, t. j. 79.492 m. więcej, niż w roku poprzednim, o średnicy od 370 mm. do 64 mm. — 110.466 m. zwyczajnych rur blaszanych o średnicy od 650 mm. do 80 mm. dla zabezpieczenia ścian usypistych i zamknięcia dopływu wody.

Zbiorników na ropę było: 177 z żelaza o pojemności 60.803 m³, 440 drewnianych o pojemności 14.342 m³, a 11 innych o pojemności 5.716 m³.

3 kopalnie ropy posiadały 1.300 m. kolejki przenośnej.

Urządzeń do celów oświetlenia elektrycznego było wszystkich 34, poruszanych przez 44 motorów parowych, a mianowicie przez 16 osobnych o mocy 117 k. p., a 28 obsługiwało równocześnie *pumprighs*.

Urządzenia te zaopatrywały w prąd elektryczny 44 kopalń dla 1.534 świateł żarowych o sile 10 do 25 świec.

Przewody telefoniczne miały łączną długość 23.083 m. i 21 stacyj centralnych.

Do chwytania gazów ropnych i rozprowadzania tychże równomiernie przewodami do palenisk kotłów parowych służyło: 114 zbieraczy gazów różnej konstrukcyi o pojemności 803 m³.

Przy 73 kopalniach ropy były kuźnice (warstaty kowalskie) z 96 ogniskami kuźniczemi. — Niektóre kopalnie miały warstaty mechaniczne, wśród tych było: 23 tokarni, 2 stolarnie, 6 walców do blach, 6 maszyn z świdrami stalowymi, 4 młoty parowe, 5 maszyn do heblowania i fraisowania.

Największe warstaty reparacyjne miały firmy:

„Gwarectwo naftowe hanowersko-galicyjskie Krosno“ w Potoku i „Galicyjsko-Karpackie naftowe tow. akcyjne“ przedtem „Bergheim i Mac Garvey w Gliniku maryampolskim“.

W okręgu D r o h o b y c k i m były 4 szyby ropne, z których 2 służyły do wydobywania ropy, a 2 były nieczynne. — Otworów wiertniczych było 1.402, t. j. 67 więcej niż w roku poprzednim, z tych 249 w pogłębieniu z popędem maszynowym. Wydobywanie ropy odbywało się w 1 wypadku ręcznie, w 679 przy użyciu ma-

szyn, z 35 otworów wypływała ropa sama, 161 otworów wiertniczych nie było w ruchu, 25 otworów zagwożdżono, 252 zapuszczono zupełnie.

Miejscem wytwórczości 98 przedsiębiorstw był Borysław z 301 otworami wiertniczymi, z których 108 pogłębiano, z 51 wydobywano ropę maszynami, z 8 wypływała sama, 13 zagwożdżono, 39 czasowo zastanowiono, 82 zapuszczono zupełnie.

W sąsiednich Tustanowicach było 88 przedsiębiorstw z 151 otworami wiertniczymi, t. j. o 75 otworów więcej niż w roku poprzednim, z których 101 pogłębiano, z 6 wydobywano ropę maszynami, z 26 wypływała sama, 1 zagwożdżono, 14 zastanowiono tymczasowo, 3 zapuszczono.

9 otworów wiertniczych, z tych 7 w Borysławiu, a 2 w Tustanowicach przekroczyło głębokość 1.200 m. Z pomiędzy tych osiągnął największą głębokość 1.278·50 m. otwór wiertniczy N. XVI. kopalni galicyjskiej Kasy Oszczędności w Borysławiu.

Pogłębianie otworów wiertniczych odbywało się tylko przy użyciu pary, wyłącznie prawie systemem polsko-kanadyjskim. 4 otwory pędzono systemem Fauka: Ekspresem wodopłóczkowym, 5 taranem wodnym systemu Wolskiego, 2 skombinowanym pensylwańsko-kanadyjskim systemem świdra linowego.

Ogółem wywiercono 93.536 m., t. j. 3.807 m. więcej niż w roku poprzednim, z czego przypada na Borysław 23.649 m., t. j. 27.796 m. mniej niż w roku poprzednim, na Tustanowice 60.841 m, t. j. 31.115 m. więcej, niż w roku poprzednim. Z powyższego zestawienia widzimy, że w tym okręgu Tustanowice prześcignęły wielokrotnie tak sławny dotychczas Borysław.

Do pompowania ropy użyto 4 pompy ręczne, 48 maszyn parowych o mocy 893 k. p., 12 motorów gazowych o mocy 156 k. p.

Prócz tego używano także maszyn parowych wiertniczych czasowo do pompowania ropy.

W 53 wypadkach czynność tę spełniał *pumprighs*.

Stałe maszyny parowe i lokomobile zasilano parą z 48 kotłów wmurowanych i 358 kotłów lokomobilowych o łącznej powierzchni ogrzewalnej 13.981 m² t. j. 1.150 m² większej niż w roku poprzednim.

W użyciu było 208 pomp ssąco-tłoczących, które przelewały ropę z podręcznych zbiorników do magazynów ropy.

Rurociągów na ropę było 269.384 m. t. j. 45.983 m. więcej niż w roku poprzednim, gazowych 78.313 m. t. j. 2.349 m. więcej

niż w roku minionym. Przewodów parowych było 54.413 m., wodnych 98.987 m. Rur do pompowania ropy było 280.107 m. t. j. 5.434 m.

Najwybitniejsze wśród rurociągów były 2 Tow. akcyj. Schodnica, które doprowadzały ropę na odległość 15 km. do stacyi kolei w Borysławiu, rurociąg Tow. akcyj. Galicya, doprowadzający ropę przez górską przełęcz: „Dział“ do fabryki ceresyny i rafineryi nafty w Drohobyczu. Rurociągi przedsiębiorstw „Nieuwe Niederlandische-Petroleum Maatschappy“ w Ropience i I. Ch. Perkinson w Wańkowej, przewodziły ropę na odległość 8 km. do stacyi kolei w Olszanicy. Oprócz tego były większe rurociągi galicyjskiego Tow. magazynowego, Tow. akcyj. „Petrolei“, Borysławskiego Tow. dla transportu ropy i firmy „Lewakowski i Spółka“, która doprowadzała ropę od różnych przedsiębiorstw z Borysławia, Tustanowic, Mrażnicy, Schodnicy do stacyi kolei w Borysławiu i do magazynów.

Do rurowania otworów wiertniczych użyto 1,036.248 m. rur walcowanych hermetycznych, t. j. 82.266 m. więcej niż w roku poprzednim, 142.604 m. zwyczajnych rur blaszanych, t. j. 16.528 m. więcej niż w roku poprzednim.

Zbiorników na ropę było 270 żelaznych o pojemności 336.818 m³, t. j. 36 zbiorników o pojemności 168.441 m³ więcej niż w roku poprzednim; 1.047 zbiorników drewnianych o pojemności 67.661 m³, t. j. 30.860 m³ mniej niż w roku poprzednim. Prócz tego istniała przy jednym wybuchowym otworze wiertniczym wykopana przykryta jama o pojemności 8 do 16 cystern do magazynowania ropy.

Na terenie ropnym galicyjskiego Karpackiego Tow. akcyj. w Borysławiu były 2 zbiorniki ziemne o pojemności 1.180 cystern, na terenie Borysławskiego Syndykatu 1 zbiornik o pojemności 900 cystern, na terenie firmy Perkins i Mac-Intosch-Perkins w Borysławiu i 3 zbiorniki ziemne o pojemności 450 cystern, na terenie tej samej firmy w Tustanowicach 1 zbiornik ziemny o pojemności 313 cystern. Po za obrębem terenów na stacyi ładunkowej w Borysławiu i w gminie Hubicze było 37 żelaznych, a 3 zbiorniki Tow. akcyj. „Petrole“ o pojemności 15.725 m³ czyli 1.331 cystern, 20 żelaznych zbiorników galicyjskiego Tow. akcyj. o pojemności 4.400 cystern, 10 żelaznych zbiorników galic. karpackiego akcyj. Tow. o pojemności 3.000 cystern, 3 zbiorniki Borysławskiego Tow. dla przewozu ropy o pojemności 1.200

cystern, 2 żelazne zbiorniki Towarzystwa Leon Mikucki i Karol Perutz o pojemności 800 cystern, 5 żelaznych zbiorników Tow. akcyj. dla przemysłu naftowego o pojemności 1.350 cystern, 5 żelaznych zbiorników Tow. akcyj. Schodnica o pojemności 1.500 cystern, 2 żelazne zbiorniki Tow. Urycz dla przemysłu naft. o pojemności 600 cystern, 1 żelazny zbiornik galic. Kasy Oszczędności o pojemności 350 cystern.

Do gromadzenia gazów ropnych służyło 149 zbiorników gazowych, (które nazwać by można szpichrzami gazowymi) o pojemności 812 m³. Z warstatów i kuźnic największe posiadało Tow. akcyj. dla przemysłu naftowego i Galic. Kasa Oszczędności, prócz tych: Tow. akcyj. „Schodnica“, Tow. akcyj. „Galicya“, Mikucki, Perutz i Sp., Tomasz Łaszcz w Borysławiu i w. i.

W okręgu Stanisławowskim było 177 otworów wiertniczych, z tych 15 pogłębiono, z 24 wydobywano ropę ręcznie, z 94 za pomocą pary, z 10 otworów wypływała sama, 34 otwory wiertnicze były nieczynne, 21 czasowo, 13 zupełnie zapuszczono.

W roku 1906 wywiercono w tym okręgu systemem kanadyjskim 4.158 m., wierceniem ręcznym 130 m. W użyciu było przytem 12 parowych maszyn wiertniczych o mocy 255 k. p., 1 motor gazowy o mocy 19 k. p., 2 maszyny wiertnicze poruszane ręcznie.

Do wydobywania i pompowania ropy używano 22 przyrządów ręcznych, 1 motor ropny o mocy 12 k. p., 13 maszyn parowych o mocy 134 k. p. Prócz tych było w użyciu 14 *pumprighs*. Wszystkie maszyny były zasilane przez 27 kotłów parowych o powierzchni ogrzewalnej 581 m².

Rurociągów było w użyciu: 28.444 m. żelaznych na ropę, 4.350 m. na gaz, 572 m. na parę, 3.380 m. na wodę. Rur do pompowania ropy było 37.598.

Do zarurowania tych otworów wiertniczych użyto 42.783 m. rur hermetycznych walcowanych, 9.960 m. zwyczajnych rur blaszanych o różnej średnicy. Zbiorników na ropę było 7 żelaznych o pojemności 2.301 m³, 163 drewnianych o pojemności 1.842 m³.
Prócz tego było w użyciu 18 zbiorników gazowych o pojemności 87 m³ i 9 o pojemności 76 m³.

Urządzeń elektrycznych było wogóle 5 z motorami parowymi o mocy 20 k. p. dla 161 świateł żarowych o sile światła 16 świec. Długość przewodów telefonicznych wynosiła 4.750 m.

Przy kopalniach ropy istniały 2 warstaty pędzone przez 2 maszyny parowe o mocy 18 k. p. Jedna z tych w Bitkowie z 3 tokarniami. 1 maszyna do walcowania blachy i 1 młotem. dalej w Pasiecznej: 2 tokarnie i 1 kamień szlifierski; procz tego 21 zwykłych kuźnic. każda z pojedynczem ogniskiem.

k. z.

(Dokończenie nastąpi).

ODP. REDAKTOR ADAM KRECHOWIECKI. — NAKŁAD „GAZETY LWOWSKIEJ“.

Prenumerata wynosi: w cesarstwie austryackiem rocznie **8** K, półrocznie **4** K, ćwierćrocznie **2** K, w granicach Niemiec rocznie **3** talary, półrocznie **1½** talara. którą prosimy nadsyłać (najdogodniej przekazem pocztowym) pod adresem: **Administracya „Gazety Lwowskiej“.**

Cena księgarska (główny skład w Galicyi w księgarni Gubrynowicza i Schmidta) za rocznik czyli 1 tom **10** K, za pół roku **5** K, za ćwierć roku **2** K **50** h, za zeszyt **1** K.

Prenumeratorowie „Gazety Lwowskiej“, którzy uiszczą przedpłatę na „Gazetę“ z góry za cały rok (od 1 stycznia) lub za pół roku (od 1 stycznia lub od 1 lipca) otrzymają „Przewodnik“ bezpłatnie, zaś prenumeratorowie ćwierćroczni i miesięczni na żądanie za dopłatą pierwsi **1** K **50** h na kwartał, drudzy **60** h za zeszyt.

MATERYAŁY
do historyi polskiej XIX. wieku.

Działalność emigracyi z roku 1831 na terenie Turcyi do pokoju Paryskiego.

Kilka słów wstępu.

Gdym przed dwunastu laty rozpoczynał studya nad wojną wschodnią na terenie Turcyi, w której i nam Polakom los pozwolił pewną rolę dziejową odegrać, zmuszony byłem przerwać je z braku wówczas dostępu do tego działu bogatego Archiwum ks. Czartoryskich w Krakowie, w którem mieszczą się relacye i korespondencye biura politycznego księcia Adama Czartoryskiego. Z tego powodu materyał, zgromadzony przezemnie, leżał nie zużytkowany. Książeczka p. Bielińskiego o Adamie Czartoryskim, która niedawno, ukazała się w druku, przekonała mię, że i tym materyałem, którym rozporządzam — małą cząstką jego — podzielić się warto i należy. W życiu ks. A. Czartoryskiego, tak wybitnem, że w niem skupiała się cała, współczesna jemu, idea polska, znajdujemy lukę przeszło dziesięcioletnią, o ile działalność ta dotyczy Wschodu. Rozpoczęła się ona przed rokiem 1841 nie na długo, a od chwili wysłania do Turcyi Michała Czaykowskiego, późniejszego Sadyka Paszy, przybrała charakter gorączkowy prawie. Rozczytując się niegdyś w materyale dostępnym mi, a doty-

czącym udziału Polaków w wojnie wschodniej, zużytkowałem dwa tematy tylko, odnoszące się do tej chwili: wydałem krótki Życiorys Sadyka-Paszy i Pobyt A. Mickiewicza na Wschodzie.

Dziś przynoszę wiązankę surowych materyałów do okresu od 1841—1846. Kiedy nie mogą służyć mnie, niech służą innym.

Przed dwoma niespełna laty, prasa nasza w szeregu zgrabnie pisanych artykulików, poruszyła i przypomniała szerszej publiczności chwilę założenia kolonii polskiej w Turcyi, w Adampolu. Ale informacye autorów okazały się bardzo bałamutne, a czasem błędne. Będąc w posiadaniu całej prawie korespondencyi ks. Adama Czartoryskiego z Czaykowskim w tej sprawie, napisałem był obszerny artykuł, dotyczący tego przedmiotu i posłałem do *Przeglądu Polskiego*. Urząd pocztowy, pomimo wyraźnego napisu polecony, nie zastosował się do tego — i posyłka zginęła. Mocno byłem tem strapiony, gdyż brulionu nie posiadałem. Rękopis, jak mi odpowiedziano z Redakcyi, nie doszedł, chociaż nie mogę dotychczas zrozumieć, jak mógł zginąć na poczcie pakiet wielkości wielkiej ósemki. Dość, że zginął, a z nim i praca moja. Teraz oddaję do druku korespondencyę w tej sprawie, może ktoś będzie szczęśliwszy odemnie. W dziale I., obejmującym korespondencyę Adama Czartoryskiego, znajdzie czytelnik przerwę dużą, kilkoletnią prawie w stosunkach z Michałem Czaykowskim. Był to moment przejścia Czaykowskiego na muzułmanizm. Nie mógł na to patrzyć obojętnie głęboko religijny i głęboko moralny ks. Adam Czartoryski. Czaykowskiemu sprzyjało szczęście. Wkrótce zajął wysokie stanowisko generała tureckiego, dobrze widzianego u Porty. Za złe mu miano także jego stosunek z Ludwiką Śniadecką. Ale szczęśliwemu człowiekowi przebaczano błędy tem chętniej, że okazywał zawsze gorącą chęć służenia sprawie ojczystej. Nawiązały się przeto nowe stosunki, które skutkiem wspólnej pracy dla przyszłości, zacieśniły się. Adam Mickiewicz zapłonął szlachetnym zapałem dla roboty rozpoczętej na Wschodzie i stosunkom księcia Adama z Czaykowskim nadał jeszcze więcej znaczenia.

Znajdzie tu czytelnik w korespondencyi Śniadeckiej (dz. IV.), jakoteż Zwierkowskiego (dz. V.), kilka drobnych szczegółów, odnoszących się do Mickiewicza, jeden list Czartoryskiego do Mickiewicza i oświetlenie stosunków, panujących w tym momencie na Wschodzie. Jest ono często jednostronne, często niesłuszne, ale współczesne. Prawdy niech doszukuje się krytyka. Istniał wpra-

wdzie pamiętnik Sadyka Paszy, poświęcony wyłącznie pobytowi A. Mickiewicza na Wschodzie, ale zdaje się, że się już odszukać nie da. — Córka Sadyka Paszy, pani Suchodolska, pisała do mnie: „Il y a de cela quelques années Mr. Ladislas Mickiewicz s'est adressé à moi pour avoir quelque correspondance au sujet de son père. Je lui ai avoyé un opuscule original de mon père intitulé: Mickiewicż au camp de Bourgas. C'était à l'occasion. si je ne me trompe, de la translation des cendres du grand homme à Cracovie. Qu'a-t'il fait de cet écrit, je l'ignore, mais je regretté de le lui avoir envoyé, quand, en un remerciant, il m'a repondu que tel qu'il était on ne pouver pas le publier, qu'il avait fallu le transformer.“ [1])

W dziale II. znajdzie czytelnik garść wiadomości o kozaczyźnie nad-dunajskiej. Jaką drogą i jak uformowała się tam kozaczyzna — to wymagałoby osobnej monografii. Słówko tylko o tem powiem. Byli to najprzód rozbitki kozackie z różnych stron, krajów i czasów — z nad Dniepru, z nad Donu, z nad Kubani. W miarę, jak Rossya organizowała się państwowo, na ziemiach dawnej kozaczyzny, coraz ciaśniej robiło się tym oczajduszom w ich własnej ojczyźnie. Po zdobyciu Siczy przez Tekelego najwięcej ich przeniosło się nad Dunaj. Wędrowali wszakże nad jeziora Dunajowe i wcześniej. Przyzwyczajeni do rybołówstwa, życia hulaszczego w całej jego prostocie — wódka i kobieta wystarczały zupełnie, — do rozbójnickich napadów na ułusy tatarskie, gdy się czuli ściskani coraz bardziej w swoich „wolnościach“, uciekali na Dobrudżę, kraj żyzny i dziki przy ujściu Dunaju i tam bawili się pod opieką nader łagodnej Turcyi rybołowstwem. Zarabiali i przepijali wszystko, gdyż za kozakiem jak cień powędrował potulny i odważny żydek ukraiński. Nieraz padał on pod nożem hulaki, ale szedł za brzękiem złota. Później już, za czasów pańszczyzny uciekało do tej ziemi obiecanej mnóstwo chłopstwa, bądź od nahajki ekonomskiej, bądź przed odpowiedzialnością za popełnione zbrodnie. Słowem, nie było tam żadnej jednolitości ani etnograficznej, ani tem mniej jeszcze społecznej i narodowej: wyłącznie „zbrod“, „brodiagi“, potomkowie owych na poły zagadkowych „brodników“, którzy włóczyli się nad Dnieprem i byli praojcami kozaków. Nosili oni broń, byli obowiązani do służby sułtańskiej na zawołanie i tem ograniczał się cały ich stosunek do państwa Ottomańskiego. Pierwsza emigracya kozacka sięga

[1]) Juin 1898. Trieste.

końca hetmaństwa Jana Mazepy, gdyż za czasów Orlika już nad Dunajem włóczyli się kozacy.

Michał Czaykowski, późniejszy Sadyk Pasza, znalazłszy się w Konstantynopolu jako agent księcia Adama Czartoryskiego, zwrócił uwagę na tę garstkę niedobitków, noszącą nazwę kozaków. Miał on formalnego bzika na punkcie kozaków i kozaczyzny. Łudząc się, jak i Bohdan Zaleski, że istniała jakaś idealna kozaczyzna „wierna królowi i Rzptej“, tą wiarą swoją zdołał oplątać tak trzeźwego polityka, jak ks. Adam Czartoryski. Wierzyli oni obaj w to, że u Neksasowców i rozbitków Dobruckich zdołają wykrzesać jakąś korzyść dla Polski. Czaykowski, marzyciel kozacki, chciał z pomocą rozbitków naddunajskich, wywołać ruch zbrojny przeciwko Rossyi nad Dnieprem i nad Donem. Bałamucił się on tem, że tam gdzie hulał niegdyś Bohdan Chmielnicki i Stieńka Razin muszą być jakieś tradycye, jakieś pragnienie „wolnicy“ i że echa przeszłości zdołają zbudzić śpiącą kozaczyznę, a rozbudzona stanie do wspólnej walki z Rzptą o wspólną wolność i Ojczyznę. Nie on jeden w to wierzył. Uwierzył także ks. Adam Czartoryski, wierzył Mickiewicz. Taka była wielka potęga poezyi, a taka mała znajomość ducha kozackiego.

W tym celu, ażeby szerszą rozwinąć działalność na Wschodzie, ażeby czuwać nad poruszeniem kozaczyzny — pomijam zupełnie roboty w Słowiańszczyźnie, — książę zorganizował agenturę polityczną w Carogrodzie. „Agentem głównym byłem ja — zapisuje w swoich, niewydanych dotychczas, a pełnych żółci, pamiętnikach M. Czaykowski, — radzcą agencyi Wereszczyński Korczak, pierwszym sekretarzem Ludwik Zwierkowski-Lenoir, kancierzem Wincenty Rawski, dragomanem Jan Saik, kawasami agencyi: Stefan Szewczenko, kozak z Korsunia, były ogrodnik księcia Woroncowa, Józef Zieliński, warszawianin, dezerter z Kaukazu i Jan Gutowski z Lubelskiego“. [1])

Nad Dunaj, raczej na Dobrudży, jeździł Czaykowski sam, posyłał swoich podwładnych a raporty ich księciu Czartoryskiemu do Paryża. Tomy całe obejmują akta agencyi. Z obszernego tego materyału wybrałem tylko cząstkę, traktującą stosunki z kozaczyzną naddunajską, w tem przekonaniu, że rzuci ona świa-

---

[1]) Rps. T. VI., str. 27. Pamiętniki Michała Czaykowskiego; znajdują się w oryginale w ręku rodziny Sadyka Paszy.

tło zarówno na złudzenia nasze jak i na całą akcyę, która jeszcze w roku 1863 nie przestała bałamucić naszą dyplomacyę emigracyjną.

W materyale tym można jeszcze znaleźć, zawsze w związku z akcyą polityczną na Wschodzie, ciekawsze szczegóły, odnoszące się do dwóch postaci: hr. Władysława Zamoyskiego (dz. III.) i Ludwiki Śniadeckiej. Widzimy je na stanowisku służby publicznej. Obom nie brak energii i siły. Jeżeli wolno jednym wyrazem charakteryzować ludzi, to generał Władysław Zamoyski uosabiał trzeźwość w polityce, Śniadecka — poezyę. Obie te postacie czekają jeszcze na monografie — a obie zasługują na to: Zamoyski — uporczywem i ambitnem dążeniem do władzy, Śniadecka — niezwykłością swego życia. Nierówna, niespokojna, nie mająca pola do pracy, do zużytkowania energii, wytrwała w planach, zamiarach, miłości nawet, była orłem, zamkniętym w ciasnej klatce. Klatką dla niej było życie, stosunki, stanowisko rodziny. Jaka to była dusza — opowiada mimo chęci sama w testamencie swoim. Przypadek zetknął ją w Carogrodzie z Michałem Czaykowskim. Oboje mieli coś awanturniczego w sobie. Ona głębsza, rozumniejsza, wykształceńsza od Sadyka-Paszy, ukochała całą swoją nerwową i piękną duszą ideę polityczną księcia Adama Czartoryskiego i zaprzęgła się do długiej, ciężkiej i nieocenionej dotychczas pracy. Gdyby kto pragnął kiedy napisać życiorys Śniadeckiej, chociażby dla jej poświęcenia się i miłości Polski, dałby nam poznać jeden z najpiękniejszych typów polskiej niewiasty XIX. w. z okresu spisków. Nawet jedyny błąd jej życia — miłość dla Korsakowa, był tylko cechą wielkości jej duszy.

Nie tykałem jej raportów do księcia Adama, gdyż one same przez się mogłyby stanowić odrębne wydawnictwo.

Oto kilka słów, bardzo pobieżnych, o tym materyale, który śmiem oddać dla pożytku najnowszych naszych dziejów. Garść tego zaledwie. Drobne świadectwo niespożytej siły narodu pokonanego, ale któremu świetna przeszłość była bodźcem do nierównej walki, do klęsk, do nieszczęść, a z klęsk i nienawiści geniusze, których wydał, wysnuwali nadzieję, krzepiącą ducha — na nieznaną przyszłość.

Łozina, dn. 12. listopada 1907 r

I.

Książę Adam Czartoryski.

Paryż, 6. stycznia 1842.

Do Michała Czaykowskiego.

Odebrałem z szczerą radością list 4. grudnia pisany, widząc z niego, żeś szczęśliwie wrócił po ciekawej i kiedyś da Bóg użytecznej podróży. Neksasowce, których poznałeś, mają jedną wadę: są oddaleni, ich przyjaźń, ich dobre chęci czy będą mogli być nam prawdziwie użyteczne, jakim sposobem ich mołodce potrafią niepostrzeżeni przebierać się aż do naszych granic w uzbrojonym hufcu? Chyba po jednemu, po dwóch, mogliby ciągnąć jak wędrowne ptaki. Ale wtedy jaka trudność, jaka niepewność zebrania się w jeden daleki i niebezpieczny punkt. Proszę mi na to odpisać. Ich użyteczność więc pojmuję tylko ze względu wpływu i działania na pobratymców, na innych kozaków, jak sam także wspominasz, ale Nekrasowce tak od nas oddaleni, czy pojmą, czy zechcą, czy do tego zdolni, czy można się na nich spuścić. Wszak różność opinii już u nich napotkałeś. Czy Ataman Batuk może mieć jaki wpływ w Słowiańszczyźnie i być owym człowiekiem ważnym, punktem oparcia się, przy którym nasze działania mogłyby nabrać siły i rozchodzić się? O tem wątpię. Przecie Serbia jest główniejszym tam żywiołem, po niej Bułgarya i inne graniczne plemiona, a tam kozacy nie mają podobno wielkiej powagi. Nekrasowce a r y s t o k r a t y,[1]) więc tylko między pokoleniami kozackimi mogą działać i to już by wiele było, gdyby działanie było skuteczne. Jakkolwiek bądź (i wymagając, abyś mi dał względem zarzutów tu namienionych i całej rzeczy dokładniejsze jeszcze objaśnienia, żebyś sam sobie zadawał przeciwne zarzuty dla zwalczenia ich, jeśli bez urojeń można), ja tymczasem przesyłam Ci żądane pieniądze, a nawet owe 1.000 Frs, które pragnąłeś dopiero w Janinie. Widząc, żeś bardzo skrzętny i oszczędny grosza publicznego, którego brak Ci wiadomy, wolałem już razem te trzy tysiące franków posłać dla większej pewności. Nie chciałem, aby Twoja obietnica dla pogorzelców nie była dopełnioną, wszelako rozmyśl się,

[1]) Podkreślone przez księcia A. Czartoryskiego.

czy całe tysiąc franków na ten przedmiot mają być obrócone? Zgadzam się także na dwieście franków pensyi dla Batuka, ale po dostatecznem przekonaniu się, że on nie tylko będzie chciał, ale istotnie będzie mógł być nam użytecznym. Tenże sam jest warunek co do osadzenia Rawskiego, a szczególnie jego rocznej zapłaty. Radbym, żebyś to wszystko jeszcze raz zimno i z gruntu rozważył. Wziąć na rozwagę należy, jak zabezpieczyć się, żeby ta rzecz pozostała w ścisłej tajemnicy, nie rozlazła się, nie wydała się; jak ułożyć, aby jej nić nie mogła być wytropioną aż do mnie i pasztetu szkodliwego nie sprawiła. Przytem długie zobowiązanie się pieniężne ma swoje nie małe trudności i niedogodności. Wszelako dla pewnych korzyści można na nie przystać. Doniesiesz mi sposób, jakim owe pięćset franków będą mogły być do Enos corocznie przesyłane i czy Rawskiemu trzysta koniecznie i na potem są potrzebne. — Odczytując Twój list widzę, że tysiąc mają służyć i dla pogorzelców i na jego osadzenie może i na pierwszy dar dla Batuka. Spuszczam się, Panie, na Twoją znaną mi trafność i roztropność i oszczędność rozsądną w użyciu przysłanej mu dziś sumy, która z przeszłą na cały rok zaczynający powinna wystarczyć. — Nie potrzebuję zalecać, abyście się z Kortrakiem porozumiewali i wzajemnie, ile się da, wspomagali. Jedna to czynność, dotykają się choć daleko od siebie. Mentalików i medalu srebrnego nie mam, więc posłać nie mogę, ale pistolečiki i noże będą Ci przyszłym okrętem nadesłane, o Wład. Sob. nie piszę, bo nie można o tem nic powiedzieć, póki skutek podróży nad Dunaj nie będzie znany. Nie wiem zresztą, czy Wł. Sob. jest dobry wybór. Podróż jego pomnoży wydatek. Może na miejscu bliżej znajdzie się dogodny. Do Szczepanowskiego napiszę, ale nie wiem, czy zechce puszczać się na niepewne awantury. On by chciał miejsca pewnego i dogodnego. Nie wiem także, jakieby mu obiecywano korzystne warunki? Czy Rawski znudziwszy się, nie uciecze od gospodarstwa? On bywał bardzo niecierpliwy i szusowaty. Lincz, który się trochę po serbsku nauczył, wziął na siebie wydanie manuskryptu i pojechał z nim do Londynu, gdzie się rzecz z większą tajemnicą może wykonać po dozorem p. Wład. Zam., który wciąż tam bawi i jeszcze bawić będzie. — Co się tyczy Twojego powrotu Panie, nie mam serca napisać, abyś nie wracał. Żona będzie narzekać, desperować. Wiem doskonale, że ciągłego d z i a ł a c z a w Stambule mieć by trzeba, że rzeczy przerwane są opuszczone i giną, jakby nie były. Proszę mi napisać, wieleby potrzeba n a j m n i e j na utrzymanie się roczne w Stam-

bule. Czybyś nie mógł po zakończonej kampanii po Słowiańszczyi Kozaczyźnie, wrócić tu spiesznie, oznajmując, żeś na krótko przez Korfu i Włochy przybył, aby wykończyć i oddać do druku niektóre pisma, zobaczyć żonę, dzieci i że po krótkim odpoczynku chcesz znowu na Wschód jechać do Jerozolimy, aby swą wędrówkę dokończyć? O ile by to koszta powiększyło? Lecz tu zapewniłbyś dochód rodzinie: a głównie uspokoił i ukoił żonę. Nie przeczę jednak, że dla interesu lepiej by było i taniej tam pozostać. Ale jeśli można, za co nie spróbować obu obowiązkom zadość uczynić. Radbym dla Wejsenhoffa znaleźć jaką dogodną czynność. Przykładnie się znalazł. Coś mu napisał? Czy nie jest zażalony? Proszę na wszystkie uwagi i zapytania mego listu odpisać szczegółowo, aby moje niektóre niespokojne wątpliwości uśmierzyć.

Podróż do Enos arcyciekawa i wybornieś się znalazł, nie można nie lubić Atamana i Starców i wszystkich, których opisujesz, jeśli Cię Panie, serce i imaginacya nie uwodzą, nie interesować się żywo do nich i nie cieszyć się, że można przyjść choć trochę w pomoc i być użytecznym. Jeżeli będziesz czekał skutku wysłania Rawskiego, to zabawisz w Stambule. Nic mi nie piszesz o zdrowiu, czy podróż Ci służyła, czyś wrócił znużony lub mocniejszy. — Przyszła podróż będzie daleko ciekawsza, ale trudniejsza, niebezpieczniejsza i strzeż się serca i imaginacyi, to jest słuchaj zimnej roztropności, której masz poddostatkiem. Doświadczysz w tej podróży Nekrasowca, którego będziesz miał z sobą, a w Tulczy bliżej będziesz Ukrainy naszej i Donu, o którym Kortrat musiał rozpowiadać. Chwalę zamiar zabrania z wielką ostrożnością stosunków w Filipopolis. Co się zaś tyczy p. Campiniano, sądzę, że nie będziesz potrzebował listu, jesteś mu dobrze znany; a ja nie wiedziałbym, jak do niego pisać po sposobie, jakim się on tu i w Wiedniu z nami obszedł. Zresztą zobaczę jeszcze, na Wołoszczyźnie znalazłbyś przyjaciół. Ale ten kraj z siebie nic nie zrobi, dlatego mniej ważny.

Od Poujada nic jeszcze nie ma, jeździ po słowiańskich krajach, nim do Janiny się uda; w Serbii teraz nie będzie. P. Pontois jeszcze nie widziałem. Moja żona bardzo kłania. Bywaj zdrów, kochany Czayko, niech Cię Bóg prowadzi i osłania i niech Ci się tak wszystko wiedzie, jak ja Ci tego z serca życzę. [1])

---

[1]) Listy oryginalne podpisywane były zwykle monogramem A. C., rzadko pełnem nazwiskiem. List z daty 6. stycznia 1842 bez podpisu.

Do Michała Czaykowskiego.

Paryż, 17. stycznia 1842.

Jeszcze nie mówiłem z Superiorem [1]) tutejszym. Projekt jest bardzo dobry, jeśli tylko w wykonaniu podobny. [2]) Nie piszesz, jaki to jest grunt, czy nie trzeba trzebić lub równo kopać; nie piszesz nic o pierwszych nakładach, kto ma ich robić: czy są mieszkania, lub kto chałupę wystawi, kto da bydło i narzędzia gospodarskie. We Włoszech les Matayers, którzy się wszelkim zbiorem i dobytkiem przez połowę dzielą, odbierają od właściciela pierwszy nakład lub znajdują go już na gruncie. W istocie my ręce tylko i dobrą wolę możemy dać. Mamy tego podostatkiem, ale do nakładów pierwszych nie mamy, nie możemy ani budować ani przyjść z bydłem i z sochą. To by powinno się znaleźć na gruncie, a my pracę i wierność w opłacie przyniesiem. Katolicyzm i miłosierdzie mówią za tym projektem. Wykupienie wielkiej mnogości Polaków z niewoli, w której zapomnieć mogą o swojej wierze, jest mocny powód, który z czasem nie tylko w naszym kraju, ale i gdzieindziej i filantropów i katolików do tej imprezy przyłączyć może. Ale trzeba pierwej, aby ich praktyczność skutkiem dowiodła. Piszesz, że kilku Polaków zamieszkałych w Stambule, zaraz tam osiędzie. Więc muszą być chałupy i będą mieli czem ziemię uprawiać? Sprowadzenie księdza polskiego będzie konieczne w swoim czasie. Ale trzebaby być bardzo pewnym tego księdza. Trudno mieć zupełną pewność o misyonarzu z Warszawy. Tu łatwiej by go można znaleźć, ale to się później ułoży. Ja dziś jutro będę mówił z Superyorem, wszystko uczynię, co będzie w granicach możności, aby ta rzecz nie upadła. Jeszcze mi się jasno nie wyobraża dla pierwszych nakładów. Aby się mogła udać, trzeba zrazu ją wystawiać jedynie jako przedsięwzięcie katolickie i miłosierne i jest nim ono w istocie do wysokiego stopnia; polska narodowość i moje imię nie powinny na jaw wychodzić i w cieniu pozostać, bo ich opozycya zastraszyłaby i odchęciła niejednego a szczególnie rząd dzisiejszy francuski, którego wsparcie i opieka są konieczne dla kolonii, którą zrazu także lepiej nazwać schronienie dla biednych bez sposobu i z niewoli wykupionych. Powtarzam, że od nas spodziewać się na to

[1]) Superyor Lazarystów.

[2]) Rzecz dotyczy założenia kolonii polskiej.

składek nie można, aż póki rzecz w praktyce się nie pokaże. Po mojej rozmowie z Superyorem, przyszłym statkiem dopiero, rozstrzygnienie tej rzeczy, jakie tu nastąpi, napiszę.

Spodziewam się, że Korsak dobrze się sprawi i że będzie z niego pożytek. Piszę do niego dziś ostro i wyraźnie, w sposób, który go przekona, że postępowanie wątpliwe nie może mieć miejsca. Proszę, abyś mu był pomocnym, dla ułatwienia mu podróży, do której się gotuje. Udaje się na Trebizond, Erzerum na Kaukaz a raczej do Gruzi, tam jest jego pole działania. Potrzebuje listów do biskupów łacińskich w tamtych stronach, które mu możesz sprokurować przez Lazarystów lub inaczej. Im więcej będzie porozumienia, tem więcej też wpłynąć możesz na jego sposób myślenia, który się w końcu ustali. Wracając do projektu, zobaczymy, czy się znajdą ludzie, którzy zechcą i będą mogli na tej kolonii utrzymać się pod warunkami przyjętymi. Gdyby to przyszło do skutku, byłoby to powodem dla Ciebie do dłuższego tam zostania. Wtedy, czy tu zostanie żona z dziećmi pod naszą opieką, czy też tam do Ciebie się uda? Jest to zapytanie, nad którym seryo zastanowić się trzeba. Na przełożonego w Schronieniu czy by się nie zdał Omieciński; Bystrzonowski rekomenduje także Żukowskiego gospodarza, oficera z wojska rossyjskiego.

Przyjm życzenia z serca na ten Nowy rok, niech Cię Bóg wspiera i prowadzi, kochany Czayko.

(Monogram księcia).

Fr. Rawita-Gawroński.

(Ciąg dalszy nastąpi).

Żywot polityczny Michała Grabowskiego.

(Dokończenie).

Koledzy humańscy Zaleski i Goszczyński, zdala od stron ojczystych na emigracyi przebywając, nasłuchiwali wieści z ukochanej Ukrainy nadlatujących. dzielili się nawzajem każdą pogłoską lub ploteczką ztamtąd przywiezioną. martwili się i cieszyli kolejno. W ostatnich latach był Grabowski. a raczej zagadkowe jego stanowisko. niejednokrotnie powodem zmartwienia tych wygnańców, co mimo wszystko. ufności doń stracić nie chcieli, z utęsknieniem wyczekując dnia „poprawy“ czy „nawrócenia“ zbłąkanego na manowce krytyka. To też Zaleski z niedającą się ukryć radością donosił 1. września 1860 r. Goszczyńskiemu:[1] „Mój drogi, przyjaciele Michała, Kotiużyński i Rudnicki przysłali mi z Wildbad dwa niezapieczętowane liściki do ciebie i do mnie. Odjechali już na Ukrainę. Szkoda, bo zdają się jacyś bardzo porządni ludzie i mieli nam dać ustne objaśnienia o kraju i o Michale. który podobno w tych czasach odzyskał dawne uważanie między obywatelstwem. Szlachta wybrała go świeżo na dyrektora Banku. Jaś Krechowiecki gospodaruje gdzieś na stepach bessarabskich czy chersońskich“.

---

[1]) „Korespondencya J. B. Zaleskiego“. Przewodnik nauk. i liter. 1901, str. 556.

Zwięzłą karteczkę przezacnego pana Bohdana uzupełnia i wyjaśnia piąty list Grabowskiego do Grabianki:

„List Pański z dnia 20. czerwca (na stemplu pocztowym 29.) odebrałem i dziękuję za interesującą wiadomość o stanie rzeczy w tak ważnej dla nas kwestyi. My tutaj, oprócz skarg i żalów, o niczem się innem nie dowiadujemy. Z listu Pańskiego widzę, że w dwa pierwsze peryody wszystko się na szkodę naszą obróciło i że ostatnia zostaje nadzieja, iż w obecnym komitecie to się da naprawić. Takowej naprawie Pan się poświęcasz i naturalnie życzymy dla siebie i dla Pana najlepszego skutku. Tymczasem o roli Pańskiej w Petersburgu koledzy Pańscy rozsiewają różne tłumaczenia, co zresztą jest całkiem naturalne, bo u nas nikomu nie wierzą, o nikim dobrze nie mówią, a każda energia charakteru i wyższość umysłowa jest przez to samo przedmiotem złości i oszczerstwa. Sądzę, że mam niejakie prawo tak sądzić, a kiedy widzę, że Pan ma swą kolej doświadczenia tej oceny i wdzięczności n a s z e g o o g ó ł u, utrwala mnie to w przekonaniu, że musisz rozumnie i poczciwie pracować. Daj więc Boże, żeby to wyszło na jawną korzyść naszego kraju, na pociechę Pańskich przyjaciół i na pohańbienie błaznów!

„My skończywszy wybory — odpoczywamy. Wysłaliśmy do Petersburga projekt statutu Towarzystwa rolniczego, zawiązaliśmy akt Towarzystwa kredytowego i czekamy, żeby Wołyń i Podole objawiły swoją adhezyę; nareszcie oczekujemy potwierdzenia Zenona Hołowińskiego na marszałka, *conditio sine qua non*, ażeby wszystko, cośmy ułożyli, weszło istotnie w życie. Jeżeli z Petersburga i zezwolenie i potwierdzenie przyjdzie, wtedy dość prawdopodobne, że w kolej użytecznego życia wejdziemy, chyba, chyba, że nam od Panów spadnie coś takiego, co nam wszystkie szyki pomiesza. A tego, wyznaję, wszyscy się boimy.

„Mnie wybrano dyrektorem od szlachty Kijowskiego Handlowego Banku; przyjąłem to miejsce myśląc, że moi poprzednicy nie próbowali nawet, czy na tem stanowisku można coś zrobić? Zostają mi więc wszelkie ponęty p r ó b y. Ja myślę, że w chwili reorganizacyi systematu kredytowego, wypada przecie zwrócić uwagę kogo należy, że szlachta, która w tej chwili przestaje być szlachtą, jest przecie zawsze z tytułu właścicielstwa ziemskiego, produktorką głównych bogactw krajowych; słusznie więc, żeby ją przynajmniej porównano z producentami innych, mniej ważnych artykułów. Jeżeli ten, co robi świeczki i ten co podaje pieprz, zachęcany bywa pomocą, jakże odmawiać takiej samej pomocy

temu, czyją pracą i kapitałem cały kraj żyje! Niepodobna przecie zrobić jedynym naszym przywilejem, że nie będziemy mieli żadnego urówno-prawnienia z drugimi. Przetłumaczyć to na cyfry można w ten sposób, żeby właścicielstwo ziemskie miało ten sam dostęp do publicznego kredytu, co kupiectwo i przemysłowość. Takie zadanie przeprowadzić, sądzę, właściwem dyrektorowi od szlachty. Jak skoro potwierdzonym zostanę, uczyć się zacznę prawideł mego Banku, ale tymczasem na pomoc i wskazanie Pańskie, jako już oswojonego z przedmiotem, rachuję i o ukazanie ścieżek i dróg w Petersburgu upraszam.

„Druga moja prośba — wsparcie dla Komisyi Archeologicznej i mianowanie na kustosza Krechowieckiego wyrobiłem. Uchwalono pół kopiejki z duszy. Ja sam napisałem protokół i czuwałem, że względem szlachty na trzy lata ta ofiara jest obowiązującą, a z drugiej strony, że pieniądze w łapy rządowe się nie dostaną. Ale idzie o to, żeby Podole i Wołyń to samo zrobiły. Pan mi pisałeś, że na Podolu tę rzecz uchwalono: ale widać, że po przyjęciu wniosku nikt nie czuwał, żeby rzecz wzięła skutek i w ten sposób u r z ę d o w n i e rzecz upadła. Można ją dziś p o d n i e ś ć tylko przez prywatne starania. Od nas poszła oficyalnie do Podola i Wołynia propozycya z kopią formalnego naszego protokołu. Jeżeli marszałkowie gubernscy wezmą to do serca, a marszałkowie powiatowi do obywateli gorliwie przemówią, składka się uchwali i zbierze, bo przecie, żeby ten, co ma dusz sto, dał 50 kopiejek — rzecz nie trudna! W ten sposób już przed Nowym rokiem fundusz może być gotowy i nowe urządzenie Komisyi przyjdzie do skutku. Według naszej uchwały, ta składka i czynności pensyonowanych przez nas osób, ma mieć miejsce tylko w 1861, 62 i 63 roku, a dalej, jak postanowi obywatelstwo trzech gubernij. Idzie więc w tej chwili o to, żeby wtedy, kiedy komunikacya nasza urzędową drogą przyjdzie do powiatów, w każdej miejscowości ktoś czuwał nad jej egzekucyą i realizacyą: dla tego polegam na Panu, że z łaski swojej zaraz do znajomych na Podolu napiszesz, polecając rzecz, której użyteczność i ważność czujesz. O tej ważności i użyteczności w protokole urzędowym nie wiele powiedzieć się dało, chociaż każdy myślący człowiek łatwo zrozumie, że wziąć te archiwa i ich obrobienia pod właściwy kierunek, jest to ogromna usługa dla krajowej historyi, krajowego języka, a w ogólności dla nas...“

Ostatni list Grabowskiego, jaki posiadamy pod ręką, jest również b e z d a t y. „Doprawdy zdaje mi się — pisze w nim kry-

tyk — że stało się jakieś niedorozumienie. Mówiłeś mi Pan o dziennikach ruskich i o jakimś w nich moim artykule, tymczasem ja nic w dziennikach ruskich o obecnej kwestyi nie drukowałem. O obecnej kwestyi, czyli z powodu komitetów, z początku napisałem był kilka słów, które temu i owemu czytałem, ale to były nie artykuły, nie rozprawki, lecz króciutkie notatki, które — najszczerzej Panu mówię — nie wiem, gdzie się zawieruszyły. W tych notatkach zamiarem moim było ściągnąć uwagę komitetowych na jedno, to jest, że nie ma dla nas zbawienia, tylko w uwłaszczeniu włościan [1]) a w otrzymaniu dla nas indemnizacyi przez Banki prowincyonalne. Jednem rozwiązywaliśmy sprawę ostatecznie z chłopami, a co ważniejsze unikaliśmy jarzma biurokracyi, prawdziwego dopiero jarzma i które już się obecnie właśnie w Petersburgu kuje; przez drugie braliśmy w swoje ręce, przez pieniądz, sterownictwo wszystkich wewnętrznych krajowych interesów. Ale i te dwie myśli tak pobieżnie tam, jak i w tym liściku, napomykałem. Gdybyśmy mieli choć szczyptę politycznego rozsądku, nie potrzebowałyby one wielkich komentarzy; ale że postrzegłem zaraz, że rzucam groch o ścianę, że ci nawet, co o uwłaszczeniu i bankach mówią, ciągle trop tracą i bardzo daleko za próg nie widzą, a inni udają, że sprzyjaliby tym radom, ale w gruncie ich nie chcą, więc pozbyłem się mego nieużytecznego mozołu i gdzie się moje świstki podziały, nie wiem.“

* * *

Z korespondencyi znakomitego krytyka, jak to już kto inny zauważył, pozostały jeno bardzo skromne szczątki, tem więc większej wartości nabierają ogłoszone przez nas listy do Andrzeja Grabianki. Dorzucają one sporo charakterystycznych rysów do sylwetki Michała Grabowskiego. Malują przedewszystkiem człowieka trzeźwego, rozumnego, przedsiębiorczego i chętnego do pracy dla powszechnego dobra, a zarazem odsłaniają jego wojownicze usposobienie w stosunku do kół rządzących i umiejętność patrze-

---

[1]) Myli się więc Tadeusz Grabowski (j. w. str. 98) twierdząc: „Wolałby zatem (Michał Grabowski), jak współcześnie Wielopolski, jakąś formę przejściową do stanu uwłaszczenia, jak np. oczynszowanie“.

nia po za próg własnego mieszkania. Zabiegi Grabowskiego około zrzeszenia współziemian, około podniesienia dobrobytu krajowego, racyonalna ocena kwestyi włościańskiej — zasługują na zaszczytne wyróżnienie, a jeśli tu i owdzie przebija w jego listach do przyjaciela przyostra nieco krytyka współczesnych działaczy lub tych, którzy gwałtem za takich uchodzić pragnęli, policzymy to raczej na karb usprawiedliwionego zresztą żalu do zbyt pochopnego w odsądzaniu od czci i wiary społeczeństwa, niż na rachunek przesadnej pychy i zarozumiałości.

Listy Grabowskiego uzupełnia brulion projektu pisma w sprawie skarbów archiwalnych, nagromadzonych w Kijowie.

„Archiwum Komisyi Archeologicznej Kijowskiej — są jego słowa — złożone jest z aktów dawnych grodów i magistratów kijowskich, wołyńskich i podolskich. Chronią się w niem ważne i ciekawe materyały do historyi osób, rodzin i w ogólności całej przeszłości naszych prowincyj. Archiwa te dostępniejsze przez systematyczne ułożenie i skatalogowanie, nie tylko wykryłyby bogatą przędzę dziejów, ale byłyby nieraz wielce pomocne prywatnym w interesach tyczących się pochodzenia lub własności. Pomimo najlepszych chęci prezesa tej Komisyi Archeologicznej i jej członków, takowego urządzenia Archiwum dopełnić oni nie mogą dla braku środków; byłoby zatem interesem naszego obywatelstwa przyjść w pomoc instytucyi, tak dla niego korzystnej, a to przez uposażenie jej niejakim funduszem od siebie.

„Niżej podpisani proszą zatem JW. Marszałka gubernskiego, ażeby zniósłszy się naprzód z prezesem Komisyi, przełożył następnie marszałkom gubernskim podolskiemu i wołyńskiemu, czyby nie zdało się obywatelom zgromadzonym na wyborach, stworzyć posadę kustosza Archiwum od szlachty, z dodaną mu kancelaryą kilku osób. Na kustosza możnaby podać osobę tego rodzaju prac świadomą, kancelaryę zaś złożyć ze studentów Uniwersytetu, mających ochotę wprawiać się w specyalnej nauce archeografii, przez co by ta kancelarya była zawiązkiem czegoś podobnego do sławnej paryskiej Ecole des Chartes. Fundusze na kustosza i kancelaryę przeznaczyćby należało z sum ziemskich powinności, byłoby to w naszych trzech guberniach niezmiernie drobnym publicznym wydatkiem. Przedstawienie w tym celu, zrobione jednocześnie od marszałków trzech guberni i prezesa Kijowskiej Archeologicznej

Komisyi, niewątpliwie otrzymałoby zezwolenie ministra a nawet sankcyę najjaśniejszego pana.“ [1])

Jak pokaźną byłoby zdobyczą narodową wyrwanie Centralnego Archiwum Kijowskiego z rąk rossyjskiej, nieprzychylnej nam serdecznie biurokracyi i powierzenie opieki nad niem polskiemu ziemiaństwu, udowadniać uważamy co najmniej za zbyteczne. Ukrywała się w tym projekcie głęboka myśl polityczna: niestety zbliżająca się nawalnica zmiotła go, jak wszystkie inne społeczno-ekonomiczne projekty Grabowskiego, który — jak to już wiemy z jego listu — upatrzył sobie kustosza Archiwum w osobie swego kolegi humańskiego — Jana Krechowieckiego.

Myliłby się jednak bardzo, ktoby sądził, że skoro szlachta polska, zapomniawszy o politycznym błędzie naszego krytyka z przed lat około dwudziestu, obdarzała go znowu zaufaniem, wierzyła jego radom i wskazówkom, ba nawet powoływała na zaszczytne stanowiska — nie wyłoni się pewnego dnia pogłoska o dawnych jego rzekomych grzechach, „zdradzie narodowej“, „odstępstwie“. Świat nie zna takich wyjątków, czego doświadczył na własnej osobie i nieszczęśliwy Grabowski. Mąż wielkiej energii i rzutkości a ogromnie kraj swój miłujący, zapragnął znowu w chwili dziejowego wprost znaczenia powołać do życia organ trzech kresowych gubernij... i dostał nowe cięgi. Wiadomość o tym gromie z jasnego na pozór nieba przesyła literaturze polskiej dobrze znany Aleksander Weryha Darowski przyjacielowi swemu, Konstantemu Podwysockiemu. „Na wybory nie pojechałem — pisze on w liście [2]) z dnia 10. czerwca 1860 r. — Grabowski, jeśli wola, może tentować znowu o kuratorstwo, tym razem zawalidrogą nie będę, ale niedawno niemiłosiernie poturbowali nieboraka. Jeden z tegorocznych przeglądów zagranicznych, pomiędzy wiadomościami literackiemi umieścił następującą:

„W Kijowie — Michał Grabowski, ten znany apostata narodu i demoralizator młodzieży, zapowiedział wydawnictwo Kuryera podolsko-wołyńsko-ukraińsko-gospodarczo-przemysłowo-literackiego, który ma wydawać pod firmą hrabiego Walewskiego. Ale jakąkolwiek firmę przybierze, mamy nadzieję, że uczucie patryotyczne z równą, jak dotąd, pogardą jego płody odrzuci“. — Nie ma co mówić, dobra opinia połowa szczęścia, jak niesie przysłowie.“

---

[1]) Oryginał w ręku piszącego.

[2]) Oryginał w ręku autora niniejszego szkicu.

I mógłby istotnie źle uprzedzony pessymista snuć wdzięczną nić fantazyi na temat notatki bezimiennego pismaka, gdybyśmy szczęśliwem zrządzeniem losu nie posiadali ręką Grabowskiego skreślonego programu[1]) potępionego z góry wydawnictwa. Świadczy on zarazem, jak niezwykły ten człowiek pojmował obowiązki publicysty polskiego i choćby z tego względu zasługuje na powtórzenie.

Tytuł projektowanego dziennika: *Kurjerek Wołyńsko-Podolsko-Ukraiński.* Pismo miejscowe gospodarskie, przemysłowe i literackie. Program przepisujemy z oryginału:

„Pismo obecne ma być organem wewnętrznego życia rozległych prowincyj Wołynia, Podola i Ukrainy. Z jakich fenomenów zdawać ma sprawę? Wydawcy otwarcie wyznają, że jeszcze tego nie wiedzą; kraj to sam powołany jest poświadczyć o sobie; a że bez zogniskowania potocznych wiadomości, bez dostania głosu i środków jawności, tego poświadczenia być nie może, więc to samo dowodzi już nie potrzeby, lecz nieodzowności publicznego miejscowego dziennika. Tej potrzebie, tej nieodzowności wydawcy *Kurjerka* zaradzić postanowili. Ciekawi a nieświadomi, jakiej treści pismo ich będzie, o tem tylko zaręczyć mogą, że użyli wszelkich środków, żeby takowe dopływały do ich dziennika przez światłe, zacne i wiarogodne organa. Dla tego zaczęli od ustanowienia w trzydziestu sześciu powiatach trzech gubernij stałych korespondentów, którzy się zobowiązali dostarczyć potocznych wiadomości o swych miejscowościach. Ta korespondencya ma być zawiązkiem dziennika, ale wydawcy pełni są zaufania, że całe bez wyłączenia nasze obywatelstwo weźmie od czasu do czasu udział w tej sprawie i nadsyłać będzie wiadomości warte publicznego rozgłosu. Od massy tych udzieleń się, (których wolność wyboru i użytkowania redakcya sobie zastrzega), zależy interes i znaczenie pisma, które — powtarzamy raz jeszcze — chce być kroniką potocznego życia kraju. Wyrażamy niżej kilka uwag o naturze i charakterze żądanych korespondencyj, ale pierwej sądzimy nieodzownem skreślić w krótkości układ pisma.

„Ułożenie będzie takie:

„1. Doniesienia urzędowe. Tu wejdą wszelkie rozporządzenia władz, tak najwyższych, jak miejscowych, bezpośrednio interesujące mieszkańców trzech gubernij.

[1]) Oryginał w ręku piszącego.

„2. Wiadomosci polityczne. Najtreściwsze wyciągi z gazet o ostatnich sprawach politycznych wszystkich krajów.

„3. Wiadomości miejscowe. To będzie główną treścią dziennika i, jak już podaliśmy, tworzyć się ma z rozległych korespondencyj z kraju. Do ścisłej systematyczności tego oddziału nie zobowiązujemy się; jeżeli napływać będą w należytej obfitości luźne wiadomości, ogłaszać je będziemy pod rubryką różnych, miejscowości, jak zwykłe wiadomości potoczne: jeśli przeciwnie te doniesienia zawierać się będą w obszerniejszych korespondencyach, drukować te będziemy jako osobne artykuły. Tu pora niektóre uwagi dodać: wiadomości krajowe od bardzo niedawna wkroczyły w gazety polskie. Stało się to wskutek domagania się o to niektórych osób, pojmujących całą ważność tego powiadomiania się o sobie samym całego kraju. Bardzo wszakże daleko od tego, ażeby ta rubryka naszych gazet odpowiadała słusznym i rozumnym wymaganiom. Przypominając sobie, co w nich jest niedostatkiem lub skazą, najłatwiej nam wypowiedzieć, czembyśmy od nich odróżnić się pragnęli. Korespondencye z trzech odrębnych miejscowości do gazet polskich, mają każda swą cechę, co nam właśnie trzy szkopuły do unikania odsłoni.

„Korespondencye ukraińskie cechuje osobistość. Korespondent zwykle zaczyna każdy list wiadomościami o szanownej swojej osobie, bądź dla tego, żeby wytłumaczył dla czego pisze, bądź dla tego, żeby się usprawiedliwił, dla czego jakiś czas nie pisał. Wszystko to jest przynajmniej zbyteczne, powtarzane — staje się uciążliwem. Ze względu, że pewnego tylko gatunku ludzie tak bardzo o sobie mówić lubią, im samym na wielką chlubę wychodzi a pismu, które to znosi, całkiem szubrawską cechę nadaje — spodziewamy się, że tego rodzaju pisarze i pisma do nas wstępu nie znajdą.

„Korespondencye z różnych miast Królestwa, toczą się zawsze o koncertach, teatrach i t. p. uroczystościach. Nie sądzimy, żeby to było wątkiem życia prowincyj. Nie bronimy donieść, że był koncert w Suwałkach i Mazowieckiej Warce, ale nie sądzimy, żeby należało tam wszędzie pleść nowe bukiety wędrownym Orfeuszom, a tem mniej mamy taki przygodny koncert za rozwój muzykalnego wykształcenia suwalskiej i wareckiej publiczności. Tak samo loterye fantowe i zabawy muzykalno-kwiatowe zapisać pozwalamy jako fakt, bez wydawania (wyraz nieczytelny) popędów dobroczynnych i chrześcijańskiego miłosierdzia ludności, która się w to bawi.

„K o r e s p o n d e n c y e p o z n a ń s k i e trącają o gorsze niebezpieczeństwo, o stronnictwa i nienawiści stronnictw. Rzadko w korespondencyi z Poznania nie trafimy na przemówienie panom i młodzieży w czerwonych frakach jeżdżącej na polowania, lub na podobny szczegół dowodzący tego jedynie, że tam społeczność jest rozdwojona i że piszący należy do kategoryi niezadowolonej i zawistnej. Cenzorowie ci zapominają, że gdyby oni i ci, których uważają za cząstkę wybraną, podjąć umieli jaką sprawę ważną, obudzić czynność zajmującą i użyteczną, to byłoby główną rzeczą prowincyi, to dostarczyłoby wątku do mówienia o niej, bez czepiania się do fakcików drobnych, znaczących coś właśnie tylko w próżni i pustkowiu. Przy tej zręczności oświadczamy, że w pisemku naszem z największą trudnością dopuścimy naganę, nicowanie ludzi, bezwzględne choćby wystawianie rzeczy ze złej ich strony. Mamy do tego wiele powodów, a najgłówniejszy w uwadze na to, kto bywa najskwapliwszy ganić i potępiać. Umysł poziomy albo niedojrzały gorszy się lada czem i radby wyjąć źdźbełko z oka bliźniego, tram cały nosząc w swojem.

„Przy tych jedynych warunkach powagi i beznamiętności, wszelkiego rodzaju doniesienia i uwagi, nie tylko przyjmujemy, ale najusilniej o nie prosimy. Każdy szczegół, nawet luźny, znajdzie dla siebie właściwe miejsce: potoczne bowiem życie właśnie z luźnych i drobnych szczegółów się składa.

„Stałych naszych korespondentów upraszamy, ażeby zaczęli każdy od pewnego rodzaju ogólnego określenia swej miejscowości. Ten obraz może się obejść bez historycznych wywodów: nie tutaj na nie miejsce: znamy tego nadużycie w opisach krajowych, umieszczanych w drugich gazetach. My życzymy obrazu okolic w ich aktualności, w ich obecnym rolniczym, przemysłowym, towarzyskim stanie. Oznajomionym z miejscowościami, późniejsze o nich wiadomości więcej będą miały interesu i znaczenia.

Zbytecznem prawie jest dodawanie, że nic właściwszego dla naszego pisma, jak wszelkiego rodzaju rozprawy o szczegółach dla nas pożytecznych i ciekawych; uwagi o przedsięwzięciach rolniczych i handlowych, projektach spółek i zakładów i t. p. Ażeby wszystko to można było ogłaszać *in extenso,* projektujemy do naszego pisma dawać dodatek tomami, jakie wychodzą przy kr(akowskiej) g(azecie) *Czas* i jaki wychodził przy *Słowie.* O czasie, cenie publikacyi i jej warunkach, we właściwej porze *Kurjerek* doniesie.“

Oto program nowej zbrodni „apostaty narodu i demoralizatora młodzieży“. Gdzie i kiedy Grabowski miał sposobność sprowadzać młodzież na manowce? Nie potrafiłby odpowiedzieć nawet sam autor bezimiennej a tak krzywdzącej zasłużonego męża notatki: ale papier cierpliwy zniesie wiele i zawsze znajdzie się jakieś pismo, które paszkwil na swych szpaltach ogłosi; wszak nie wszyscy wydawcy hołdują hasłu redaktora potępionego *Kurjerka:* „z największą trudnością dopuścimy naganę, nicowanie ludzi, wystawianie rzeczy ze złej ich strony“, bo wiemy z doświadczenia, że najpochopniejsze do tego są „umysły poziome, albo niedojrzałe“. Zasadę Grabowskiego byłoby pożądanem bodaj dzisiaj nawet wypisać w nagłówku niejednego dziennika.

* * *

Na tem wyczerpaliśmy znajdujący się w naszem posiadaniu materyał rękopiśmienny. Biograf atoli znakomitego krytyka[1]) miał dostęp do papierów pozostałych po ś. p. Michale Grabowskim i kilka z charakterystycznych dokumentów podał w streszczeniu. Dla zaokrąglenia więc całości i uwypuklenia sylwetki politycznej autora „Literatury i Krytyki“, niezbędnem jest zużytkowanie tych szczegółów. Oto np. ustęp p. t. o poddaństwie ludu z daty 5. września 1859 r. rzuca sporo światła na zapatrywanie Grabowskiego na sprawę uwłaszczenia włościan. Zdaniem jego, prawo szlachty do ziemi i włościan charakteryzuje ogólny ustrój europejski i mając zrazu cechę patryarchalności, nie było do niedawna żadną zdrożnością. Skoro z czasem zanikł duch szczerze chrześcijański a zepsucie wkradało się wszystkiemi porami do rycerskich obyczajów, ustały i powody poddaństwa. Należy atoli dążyć rozważnie do zmiany panujących stosunków, gdyż „tylko mądrą względnością, słusznością i brakiem dziecinnych złudzeń zawarujemy się od prób niebezpiecznych i dotkliwych zawodów“. Grabowski nie jest zwolennikiem poddaństwa, ale jako patryota obawia się interwencyi rządu a lękiem i wstrętem napełniają go zapędy nowatorskie „chłopomanów“, którzy na podstawie bezkrytycznie pochłoniętych książek, bez niezbędnego doświadczenia i znajomości miejscowych warunków, dworując sobie z przeszłości,

[1]) Dr. Tadeusz Grabowski (j. w.) str. 97 i następne.

propagowali z emfazą i zarozumiałością młodych myśl gminy słowiańskiej.

Drugi fragment z października 1860 r. stwierdza całą grozę położenia. Mniej przeraża Grabowskiego prześladowanie rządu, jak demagogiczny charakter ruchu wśród młodzieży. Obywatelstwo musi wytężyć wszystkie siły, by zwalczyć tę szaloną propagandę, tolerowaną przez rząd, popieraną skrycie przez zwolenników małoruskiej idei, godzącą na treść narodowego naszego bytu na Rusi. „Wszystko wskazuje, iż autor przeczuwał, że uwłaszczenie trzyma rząd już w ręku i że trzeba przetrwać tę kryzys społeczną i ekonomiczną, a potem dopiero myśleć o uobywateleniu warstw powołanych do wspólnego życia. Naśladował on tu chirurga, chcącego wzmocnić siły chorego przed ciężką operacyą i zalecającego spokój i środki odżywcze: ludzie, pchający do ruchu, zamierzali uczynić ewolucyę, która oddałaby rządy etnograficznej większości i zabiła polskość gorzej, niż powstanie 1863 r. i doraźna operacya z urzędu, zwana uwłaszczeniem 1864 roku.“ [1])

Wybitną cechą charakteru polityki naszego krytyka jest bystre przewidywanie wypadków i metoda wyczekiwania. Do rządu nie zbliża się wcale: może oczekuje w tym kierunku jakiegoś upoważnienia, a może przykre wspomnienia słowianofilskiej „tragedyi“ powstrzymują go przed zrobieniem ponownego, bardzo ryzykownego kroku.

Trzynastego października również 1860 r. datowany jest bardzo wiele mówiący list Grabowskiego do hr. Strutyńskiego, w którym znajdujemy słowa: „Co do wytłumaczenia mego postępku sądzę, że go może wytłumaczyć całe życie... Jeżeli w ciągłem zaprzątnieniu raz sobie poradziłem głupio, to niech mi to przebaczą...“ Z tego listu dowiadujemy się nadto, że osławiony adres do Pisarewa napisany był bez wiedzy Rzewuskiego, a mimo rad ks. Hołowińskiego, który przestrzegał przyjaciela, by „nigdy Moskalom nie wierzył, bo sami tylko tego złego nie zrobią, którego zrobić nie będą mogli.“

Ślady usiłowania oświecania publiczności o stanie sprawy polskiej na Rusi, by wskazać jej zarazem drogę postępowania na przyszłość, znajdujemy we fragmencie przeznaczonym dla jednego z poznańskich redaktorów, a skreślonym przypuszczalnie gdzieś pod koniec 1860 roku. Z niezwykłą siłą — pisze Tadeusz Grabowski — uderza nasz krytyk na taktykę polityków galicyjskich

[1]) Tadeusz Grabowski j. w. str. 99.

Rusi, rzucających zdradziecko kraj w objęcia wroga. „Tylko w porozumieniu z polskością mogą Rusini istnieć i zachować odrębność. Dziś jednak małoruscy historycy wynoszą hajdamaków do godności bohaterów a rossyjscy radzą po macchiawelsku wskrzesić państwo halickie na szkodę polonizmu...“ „Ale cóż na to uważać! Tak łatwo piórem zrzucić całe warstwy i pokłady wierzchnie, żeby wydobyć spodnie. To tak niewinna igraszka, tak samo zacietrzewionej erudycyi, jak i zbójeckiej polityce dość zwyczajna, zakopać żywego, a na światło Boże wywołać trupa. Zapewne źle będzie leżeć w ziemi żywemu, ale trup za to pięknie ruszać się i chodzić będzie.“ Cały artykuł ma być ciekawym okazem — i wierzymy temu chętnie — wyobrażeń człowieka, o którym dziś jeszcze krążą wprost horendalne sądy.

Zaczęły się manifestacye, padały trupy, krew polała się obficie. Grabowski, wyprawiony w 1861 r. do Petersburga dla przeprowadzenia statutu Towarzystwa kredytowego dla kresowych prowincyj, spotyka się tam z dawnym swoim kolegą z ławy uniwersyteckiej w Warszawie, margrabią Wielopolskim i przyjmuje zaproponowane sobie przezeń zaszczytne stanowisko „dyrektora spraw oświecenia“. Do Kijowa już nie zagląda; spieszy nad Wisłę, by tam po krótkiej pracy, uledz szybko trawiącej chorobie i spocząć na wieki zdala od stron rodzinnych.

„Wezwany do urzędu — pisze wypróbowany jego przyjaciel i kolega humański [1]) — którego ważność dobrze pojmować umiał, zagrzany był myślą przeprowadzenia uznaniem powszechnem zaleconego systemu edukacyi krajowej margrabiego Wielopolskiego i tem właśnie położenia sobie podstawy trwałej w narodzie zasługi. To go najpewniej skłoniło do przyjęcia opróżnionej przez p. Krzywickiego posady zastępcy dyrektora wyznań i oświecenia publicznego i do przełamania obawy słusznie wzniecone j ówczesnemi krajowemi okolicznościami, które nie wkrótce na miejscu zostawić nie miały. Wszakże to życie czynne, poświęcone codziennym biurowym zajęciom, dla człowieka jeszcze niewdrożonego, podwojeniem pracy i osobistą usilnością starającego się podołać nawałowi coraz mnożących się rozporządzeń i wymagań naczelnej kierującej wszystkiem władzy, musiało szkodliwie wpłynąć na styrane już zdrowie i siły, ciągłą tylko emulacyą w celu osiągnienia zamierzonych rezultatów pobudzane. Przyczyniły się do tego niewątpliwie smutne i tragiczne wypadki, tak obficie w okropnych

[1]) Jan Krechowiecki j. w. 51—52.

tych czasach zdarzające się, które czułą jego i wrażliwą duszę niejednokrotnie targały.“ Z biura wracał zawsze z wypiekami gorączkowymi, podniecony i zdenerwowany, a choć siły ulatywały z dniem każdym, o pomocy lekarskiej ani słyszeć nie chciał, zbywając żartami obawy najlepszej żony i rodziny. Wyspowiadawszy się, jako wierzący zawsze gorąco katolik, „z zupełnym spokojem tak przygotowanego sumienia, z tkliwą wdzięcznością dla wiernej towarzyszki, która jedyną była osłodą tylu goryczami przepełnionego żywota, błogosławiąc przytomnym i nieprzytomnym dzieciom (a zostawił ich ośmioro „z zakłopotanymi bardzo funduszami“), rozstał się nareszcie z tym światem, który i rzeczywiste zasługi i rzadkie przymioty umysłu i serca często bez ocenienia, a zawsze prędszem lub powolniejszem opłaca zapomnieniem.“

Umarł 19. listopada 1863 r., pochowany nazajutrz „w skromnej czarnej trumnie“ na cmentarzu powązkowskim.

Nad świeżą mogiłą nie zapłakał wicher stepowy: dolatywały do niej tylko od ulic Warszawy przygłuszone salwy karabinowe. To dwa narody, które Grabowski zapragnął sprządz do wspólnej harmonijnej pracy, załatwiały z sobą w ten sposób krwawe obrachunki.

* * *

A jednak o Grabowskim nie mamy prawa źle wspominać. Był to człowiek bardzo prawy i uczciwy, chętnie imający się pracy dla dobra ogółu. Posiadał „wszystkie cechy inteligentnej natury polskiej z pierwszej połowy ubiegłego wieku: zapał, wrażliwość, szlachetną wiarę, miłość kraju i jego przeszłości, bez chorobliwego marzycielstwa, skłonności do złudzeń politycznych lub społecznych.“ [1])

„Wykształcony, rozumny, niezależny materyalnie, zdolny, pracowity, opanowany był jednak tym obłędem polsko-rossyjskiej zgody, która dużo sił zmarnowała i strawiła u nas. Idea ta niby trzeźwa, niby realna, niby najbardziej życiowa, najbardziej na dobie będąca, zawierająca wszystkie zagadnienia na dziś i na jutro; idea zabezpieczająca, przy pomyślnem rozwiązaniu, spokój pracy i rozwoju. A jednak była ona najbardziej marzycielska, z tych jakie poja-

[1]) Tad. Grabowski j. w. 107.

wiały się u nas jako próba wyjścia z ciężkiego politycznego położenia, bo nie miała zupełnie podstawy do porozumienia i nigdy o tej podstawie mowy nie było: najbardziej bałamutna, bo miała ułatwiać rozwój i pracę, gdy wszystkie drogi państwowe do tego celu były zamknięte, a państwo nie objawiało najmniejszej chęci do poprawienia złego.“ [1])

„Nie zdrajca to, tylko człowiek ambicyi wielkiej. Zdawało się Grabowskiemu, że na barkach własnych dźwiga posłannictwo apostoła.... Nimbus urojonej świętości zbyt prędko opadł ze skroni, zostały tylko ciernie, które je do końca życia krwawiły.“ [2])

I jeszcze jedna charakterystyczna uwaga: ci. co po niefortunnem zakończeniu walki w 1831 r. i po aferze Konarskiego pozostali w kraju, tak jednostronnie a boleśnie, z ogromną krzywdą dla polskiej literatury i polskiej kultury na Kresach, wydali wyrok na Grabowskiego „nie przyjmując nastręczających się z tyłu względów usprawiedliwień“, gdy tymczasem Sybiracy, powracający do kraju, stanęli po stronie „nieszczęśliwego marzyciela“, wybaczali mu błąd w najlepszej wierze popełniony, odczuli pobudki ryzykownego kroku. „Przekonani o prawości Grabowskiego, ujęci rzadkim wdziękiem w zwyczajnym towarzyskim z nim stosunku, przebywać lubili w jego domu, a jeden z nich, zacny Kasper Maszkowski, który pod siwym włosem cały zapas młodej duszy uchował, codziennym jego stał się towarzyszem, a nawet powiernikiem cierpień i skarg, jakich powszechnie nie rozwodził.“ [3]) On to udzielił Janowi Krechowieckiemu kilka strof rzewnych, jak gdyby spowiedź duszy Grabowskiego przed własnem sumieniem złożoną. Nie szukać nam w tym wierszu kunsztownej formy, literackiej wartości on nie posiada. natomiast jednak wraz ze zwierzeniami Grabowskiego, spisanemi przez Bobrowskiego, Rudnickiego i Grabiankę, uzupełnia w wysokim stopniu sylwetkę wybitnego tego działacza.

„Wyrósłszy z dziecka, w domu długo nie zostałem,
Ranom się pośród obcych odbił od rodziny;
Zatęsknionemu wtedy szczęściem było całem
Myślą latać do matki i brzegów Taśminy.

---

[1]) Fr. Rawita-Gawroński j. w. 33.
[2]) Dr. Antoni J. j. w. 44.
[3]) Jan Krechowiecki j. w. 47—48.

Te błogie w pół-młodzieńcze, w pół dziecinne lata
Bóg dobry dobrych mistrzów powierzył staraniu,
Byli zaś oni w wielkiej nienawiści świata,
Bym się wcześnie przypatrzyć mógł prześladowaniu.

Ci mistrze w tej niełasce chodzą do tej chwili,
A jednak mi powiedzieć o nich głośno wolno,
Że mnie nic zdrożniejszego oni nie uczyli,
Tylko z miłością Boga miłość bliźnich wspólną!

Później stanąłem w młodych rówienników kole:
Między nimi znalazłem trzecią mą rodzinę.....
Wespół nas ogarnęły wielkie duszy bole,
Wespół parliśmy oczy w dal przyszłości sinę.

Bo to rówieśne grono, co mnie przygarnęło,
Co kochało jak matka, jak siostra pieściło,
Świętą myślą i świętem uczuciem wskroś tchnęło,
A jak Plejada złotych gwiazd, Polsce świeciło.....

Z nimi zacząłem życie — ale w służbie dzieła
Jednego, nie po jednym iść mieliśmy ściegu;
Mych braci burza w groźne odmęty popchnęła,
Mnie na mieliźnie mego zostawiła brzegu.

Odtąd gwiazda kierowna z nieba strony innej
Nieraz się ich i moim oczom ukazała,
Głosu, co mnie dochodził przez mój świat pustynny,
Im zawieja i wrzawa słyszeć nie dawała.

Oni czasem odemnie szczęśliwsi bywali,
Znowu przez okrutniejsze przechodzili próby!
To złudzenia im świetne jawiły się w dali,
To nękały zawody i długie żałoby.

. . . . w milczeniu do koła
Słuchałem głosu dziejów, natury i Boga,
I ustąpiły z serca mojego pospołu
Razem płonne nadzieje i niesłuszna trwoga.

Lecz pokojem tym serca ja nie wyziębiałem
Przywiązania godziwe i święte pamiątki,
Wszystko dobre i zacne ojczyste chowałem,
Jako przyszłości nowej ziarna i zaczątki.

Anim bierną nieczynność chwalił, ni zalecał,
Że się na jednej drodze tylko służyć godzi;
Każdegobym ja ducha wspierał i podniecał,
Choć pierwej chciałem wiedzieć, zkąd ten duch pochodzi?

Ale sąd ludzki płytki i ludzka myśl płocha:
Tłum namiętny nie tego ma za przyjaciela,
Który przedmiot miłości jego czci i kocha,
Lecz tego co z nim złości i gniewy podziela.

Na mnie szemrały głupich podejrzeń wyrazy,
Z potwarzy rosła dla mnie obojętność głucha:
Krzykacz, albo niezdara pismak, ileż razy
Moim się kosztem wślizgał do mych ziomków ucha!

Ale za tę niewdzięczność ja wcale nie łaję,
Przystała mi ta cisza i to zapomnienie,
Gdy sam przed sobą liczbę z moich myśli zdaję,
Świadczą za mną ubiegłych wszystkich lat mych cienie.

A znów czasem z oddali wielkiej, zaojczystej
Głos przyjaciół młodości aż do mnie dopływa:
Oni dają świadectwo o pobudce czystej
Każdej z mych myśli, choćby ta myśl była krzywa.

Przyszłość teraz zakryta!! — komuś z nas dank przyzna,
Lecz na wygranej jeden przed drugim nie zyska:
Każdemu równie drogą z nas była Ojczyzna,
Każdy wprost do niej zmierzał z swego stanowiska".

Michała Grabowskiego przeżyli wszyscy przyjaciele humańscy, co „z oddali wielkiej zaojczystej" dawali zawsze świadectwo czystym pobudkom każdej jego myśli, „choćby ta myśl była krzywa". A jeden z nich, Bohdan Zaleski, donosił[1]) pani Felicyi Iwanowskiej 23. grudnia 1863 r. szczerze strapiony: „Mamciu moja, stary rok kończy się klęskami publicznemi, to nie godzi się obliczać osobistych strat. Umarło mi wielu, wielu z młodych przyjaciół, a pod koniec i najstarszy druh mój humański, Michał. Onegdaj był u mnie ex-minister Krzywicki, który inaugurował Michała na swojego następcę. Opowiadał budujące szczegóły walki jego moralnej, nim poświęcił się na całopalenie. Uczynił wiele dobrego, nim zagryzł się. Charakter atoli miał chwiejny, to umarł w sam czas..."

Przegląd Poznański zupełnie też słusznie napisał w wzmiance pośmiertnej, poświeconej Grabowskiemu: że „prace jego i wszystkie dążności zaprzeczały, przy świadectwie całego życia, omyłce, jaką w nietrafnem politycznem postąpieniu popełnił."

---

[1]) „Korespondencya J. B. Zaleskiego" j. w. 1901 r. str. 927.

Pamięć człowieka dobrej woli i rozumnych zamiarów, oczyszczonego przez drogę cierniową, jaką mu za życia przebyć kazało zbyt pochopne do bezwzględnej krytyki społeczeństwo, przetrwa jego rzekome zbrodnie. Pokolenie dzisiejsze, w innej wychowane szkole, odmiennym hołdujące hasłom, otrząsnąwszy się z egzaltacyi poromantycznej epoki, z uwagą przestudyuje program Grabowskiego, oceni go bez szkodliwych uprzedzeń i wyznaczy znakomitemu autorowi „Literatury i Krytyki“ należne mu miejsce w plejadzie luminarzy polskiej kultury.

* * *

Kopija listu Michała Grabowskiego do hr. Juliusza Strutyńskiego, adjutanta przy Bibikowie. [1])

Powróciwszy do domu i pomimo największych zmartwień *a)* które mnie tu czekały, przymuszam się zwrócić uwagę na tak ważny przedmiot naszych w Kijowie rozmów i położyć stałą zasadę projektowi, jaki jest między nami. Boję się tylko, czy ten list nie przyjdzie do Kijowa już po wyjeździe Kochanego Hrabiego i dlatego piszę do innych osób, ażeby się o tem dowiadywały na poczcie i w przeciwnym razie postarały się o wyprawienie go do Petersburga *b)*.

Coraz wyraźniej objawiająca się wielka myśl Słowiańszczyzny *c)* tak w instynktowem przeczuciu ludów, jak nawet i w działaniu rządowem, powołuje każdego człowieka dobrych chęci przyłożyć się do tego w miarę jego sił i zdolności *d)*. Czując, że z mego pisarskiego stanowiska mam środki a nawet poniekąd obowiązki zostać w tej sprawie użytecznym, umyślnie nakierowałem na ten przedmiot nasze rozmowy, które tak były dla mnie pełne interesu, tak dla szczegółów, które mi udzielić raczyłeś — nauczające, że odtąd prawie wyłącznie opanowały mój umysł.

Mogę sobie przyznać, że od początku mojego pisarskiego zawodu wolny byłem od najzwyczajniejszych pobudek literackiego rzemiosła: nie pisałem nigdy ani z potrzeby, ani z głupiej przynęty sławy, miałem zawsze na celu — ogólne dobro, przykła-

[1]) Zakład narodowy im. Ossolińskich: rękop. nr. 4.329. Do pamiętnika Bobrowskiego annex II.

dem zaś dość rzadkim, szczególniej dla pisarzy naszego języka; nie spotykałem na tej drodze najmniejszej zawady. co jak mi się zdaje, winien byłem tej gruntownej myśli, że interes mych ziomków, a interes władzy jest zupełnie jeden. Mając to przekonanie bezinteresownie mówić i działać w każdej okoliczności, kładłem sobie za obowiązek sumienia. to samo i dziś mnie pobudza. A czy zamiar mój literacki przyjdzie do skutku, czy nie — przynajmniej z zupełną śmiałością i otwartością mogę wyłożyć moje myśli i widoki. które Kochany Pan użyjesz, jak mu się zdawać będzie.

Rzecz jawna. że patrzymy dzisiaj na związek czegoś. czemu w przyszłości najogromniejsze gotuje się znaczenie. Rzecz także widoczna. że rząd nasz zgadując nadeszłą chwilę, przyjmuje na siebie kierowanie tego nowego żywiołu. A sprawa ta jemu się należy. Chwała Bogu, że tego nie opuszcza a dopełnia; a jednak dokonać wszystkiego sam nie potrafi: należy mu się pomoc od każdego z jego stanowiska, należy mu się takowa, szczególniej od pisarzy — ludzi wpływających na opinię publiczną, a nawet bez ogródki powiedzieć można, że bez ich udziału rzecz przyjść nie może do skutku. Nie posądzisz zapewne Pan, że to co wyrzekłem, natchnęła mi moja osobistość autorska — bynajmniej nie jestem wcale zakochany w rzemiośle — utrzymuje mnie w nim uczucie powinności i z największą przyjemnością odszedłbym na stronę, jeśliby w tem mojej cząstki być nie powinno. Tak mówię, bo tak myślę. Czy kto to nazwie złem czy dobrem. klęską czy pomyślnością, zawsze niemniej jest dotykalnym faktem. że w naszym wieku sprężyną wszelkich wypadków są opinije mas Godzi się więc i należy koniecznie temi opiniami rządzić. Dokonać tego można właściwymi tylko środkami — tymi kierować, odmieniać, kształcić za pomocą pism. a więc wpływem pisarzy. Rzecz dziwna, że się u nas do tego tak mało. tak opieszale, tak niezręcznie biorą. Rzecz tem dziwniejsza, że obok pomysłu krążą, chwytają go nawet, ale za samą część poślednią. I tak naprzykład dla zmiany wyobraźni narodu zmieniają cały system szkół. Rzecz użyteczna, ale niedostateczna, bo w szkołach odbywa się tylko edukacya dzieci, ale jest jeszcze rozległa edukacya dla ludzi dojrzałych, a tem nic innego być nie może, jak tylko literatura. Do dziś dnia za pomocą instytucyi cenzury zapobiega się, aby literatura nie miała złego kierunku; tego nie dosyć, bo stać się może, że literatura tak kontrolowana, będzie zupełnie bez ducha, to jest — będzie niczem. —

tu zaś gwałtem potrzeba, aby literatura wspierała czynność, ale czynność spodziewana, błoga, potrzebna. Tego zaś nie sprawią same środki takie, jak cenzura, ale współdziałanie zdolnych i dobrze myślących pisarzy. Wyłączenie literatury z rzędu środków kierowniczych społeczeństwa, zatrzymanie jej na stopniu zera byłoby nieszczęsnym pomysłem dla tego, że żadna moc nie przeszkodzi wyobrażeniom wieku, literaturom zagranicznym działać na masę znajomą. To działanie będzie naturalnie nieprzyjazne, szkodliwe, a właśnie jedynie tylko silnie rozwinięta i dobrze skierowana literatura krajowa mogłaby te wpływy neutralizować, a nawet całkowicie przeważyć: dla tego ani stłumienie literatury, ani tem mniej wzbranianie jej języka, którym najskuteczniej może działać na całą powszechność, nie wydają mi się środkami przezornymi. Co do mnie, wyznaję otwarcie i sądzę, że i Pan tego jesteś zdania, iż według mnie źródłem wszystkich nieszczęść, największą fatalnością było to, że nigdy w naszej polskiej literaturze nie mieliśmy szkoły głosów, oświadczającej za naszym od pół wieku politycznym bytem i za nową przyszłością, która się dla nas odtąd zaczęła. Upadek Polski zbliżył niesłychanie erę słowiańską, a jednak sam w sobie był katastrofą przeraźliwą i bolesną. Wszelako rozum nie zagłuszony uczuciem powinien był poścignąć ogromne cele opatrzności. Nic jednak dziwnego, że było to zdanie wyższe na siły umysłu narodowego, przerażonego zbyt wielkiem nieszczęściem. Mniej wyrozumiałym jestem od epoki 1815 do 1830 r. Wielkie dobrodziejstwa Aleksandra I., połączenie Polski z Rossyą na zasadach tak wspaniałomyślnych i błogich, zasługiwały na głośne uznanie, wystarczały na ożywienie stronnictwa silnego. Literatura dziennikarstwa, obstając jedynie za rozsądkiem, za prawdą, wyświecając rzeczywisty stan rzeczy, który nie tylko był pomyślny teraźniejszości, ale jeszcze zgodny z przyszłością najokazalszą — nie tylkoby trafiły do powszechnego rozsądku, ale nawet uniosłyby może najgoretsze umysły, bo zaiste równie mogły być dziełem zapału. Taki stan rzeczy należało ustalać. Gdyby się jednak to ostatnie przypuszczenie nie ziściło, to niemniej pewna, że przynajmniej rozważne umysły poznałyby snadnie cenę rzetelną stanu rzeczy i uprzedzenia nasrożone byłyby wcześnie przeciwko wszystkiemu, coby zagrozić mogło. Moralna więc statystyka Królestwa całkiem byłaby inna, niż jaką się okazała w 1830 r.: bo albo byłaby wielka jedność za rządem, albo w najgorszym razie wielkie stronnictwo za rządem, posiadające nieobracho-

waną wyższość rozumu, a nawet wszystkie korzyści: stanu, wieku, położenia towarzyskiego i materyalnych środków. Jednem słowem rewolucya, jaka była, już by być nie mogła. Na nieszczęście ogniska takiej opinii, to jest literatury mogącej i umiejącej działać, nie było w Polsce. Jeśli z jednej strony można obwiniać naród, że takowej samoistnie, jako organu swego rozsądku nie stworzył, to z drugiej strony spada ten sam zarzut na władzę, że o takowej silnej dźwigni całkowicie zapomniała, albo użyć nie chciała. Zupełnie jeszcze naturalnie, że w braku nowego kierunku duch narodu zostawał niewinną pastwą złudzeń, a było to z tem większem niebezpieczeństwem, że jednocześnie bałamuciły go najgorsze zagraniczne wpływy: liberalizm zachodni i nieszczęsny przykład opozycyi francuskiej. Ta więc niesamoistność literatury, czyli, jak ją nazywam, niedostatek edukacyi osób dojrzałych, okazały najopłakańsze skutki. Polacy zapatrzeni na Francuzów, mieli się za prawdziwych Francuzów i kiedy szczupła liczba dzieci i zapaleńców wpada w przepaść bez żadnej żywotnej siły, bo targnęła się na istniejący porządek, — cały kraj musiał wpaść w przepaść, bo żywotnej siły nie miał w swem łonie przeciw walczącej burzy. Pan zrozumiesz snadnie, co ja rozumiem pod nazwiskiem siły: rozumiem opinię moralną, wystawioną przeciw opinii moralnej — stronnictwo za rządem przeciw jego wichrzycieli. Rzecz szczególna, że pierwsze przekonanie na tylostronnych posadach ugruntować się wtedy mogące, nie powstało jednak, a to dla czego? D l a t e g o, ż e n i e p o z w o l o n o n a m, a p r z y n a j m n i e j n i e z a c h ę c a n o w y r a z i ć s i ę: nim się bowiem rzecz wyrazi, zostaje w nieświadomości o sobie, choćby i istniała. W piętnastoletnim okresie Królestwa opinia przychylna rządowi milczy. Znam tylko jednego księcia Lubeckiego, który się z nią nigdy i w niczem nie taił. N i e m ó w i ę n a t u r a l n i e o g ł o s a c h u r z ę d o w y c h, bo te nic nie znaczą i żadnego wpływu nie wywierają: a to mnie skłania powtórzyć, że w obecnym czasie wszelkiej opinii jedynie literatura jest silnym organem, bo ona opinią osądza na dowodach, na rozumowaniu, na wykładzie całkowitej prawdy, a więc jedna rozszerza ją i krzewi. Ale dajmy pokój przeszłości o 12 lat od nas oddalonej. Co się stało, to się stało. Niesłusznie na to gniewać się i bez końca narzekać. Słuszniej starać się poznać, w jaki to sposób w obecne położenie wpłynęło.

Wypadki 1831 roku i ich skutki były zapewne wielkiem nieszczęściem, ale i one dopuszczone zostały nie bez celów Opa-

trzności: kto wie, czy nie potrzeba było ostatecznego poniżenia Polaków dla zrobienia z nich żywiołu mniej opornego w wielkiem połączeniu słowiańskiem, które się gotuje. Zdaje mi się, że tak jest. Ogromne zawody namiętności, do ostateczności posunione, błądząc swą koleją, skutki całkiem przeciwne oczekiwania wywiązały. Szkoła doświadczeń, nierozważne pomysły i rychła za nie pokuta, sama męka myśli, przez którąśmy rozlicznie, równocześnie, z rozmaitych powodów, ale wszyscy prawie byli uczestnikami, — wszystko to posłużyć nam powinno do zerwania z przeszłością. Bo istotnie czyn i myśl od nich zależna, wyczerpane już do gruntu. W obecnej chwili zradza się głuche, ale powszechne uczucie. Jesteśmy więc na drodze, na której najsnadniej zwrócić moglibyśmy się ku nowej przyszłości, a poprowadzeni stosownie, stalibyśmy się łatwo najużyteczniejszymi poplecznikami dzieła, które nas zająć powinno.

Pozwalam sobie powiedzieć, że poślubienie szczere i otwarte przez Polaków, poddanych rossyjskich ducha interesu nowej ich ojczyzny, byłoby stokroć użyteczniejszem, jak najzupełniejsze ich przenarodowienie, bo w ostatnim wypadku przybyłaby Rossyi nieznacząca liczba ludności, a może powiększyłaby się raczej ta jej klasa, która zarażona duchem kosmopolitycznym i indeferentnością, jest dla nich w politycznym względzie zupełnie nieużyteczną. Przeciwnie zostawując Polaków Polakami, ale pracownikami wielkiej rossyjsko-słowiańskiej myśli i wyznawcami jej wiary politycznej, nietylko miałoby pożyteczne ciało w domu, ale z tem razem stronnictwo sobie przyjazne we wszystkich krajach języka polskiego, które, jak już wyżej rzekłem, nie może się utworzyć i istnąć, tylko za pomocą literatury; przez nią wywierałby się koniecznie wpływ i nazewnątrz. Jeżeli tak jak się zdaje idea słowiańszczyzny jest dziś myślą naszego rządu, wzgląd powyższy nabiera jeszcze więcej znaczenia i zdaje się konieczniejszym. Tymczasem to warto uwagi, że ułatwienia na tej drodze zachodzą niejako *proprio moto*, co samo dowodzi zwrotu jej wyobraźni, o jakim wyżej wspomniałem. Pisarze całkiem bezinteresownie, nie wglądający w sferę od nich oddaloną zgadywania dążeń politycznych, powodowani jedynie widokiem rzeczy najbliżej siebie: — dobra swego, swoich rodzin, swoich współobywateli i ziomków, jęli się dzieła uciszenia namiętności, ochłodzania wyobrażeń, zgoła szerzenia zgody i przyjaźni między władzą i poddanymi.

Mogę sobie przyznać, że uczestniczyłem w tej świętej sprawie. Sprawiedliwość nakazuje wymienić hr. Rzewuskiego,

który nawet nie bał się chwilowej niepopularności, kiedy szło o dopełnienie tego, co za swój obowiązek uważał. Kilka postawionych na tej drodze kroków podały nam myśl czyby nie można z większą pilnością i systematyczniej koło tej sprawy chodzić i to nas naprowadziło na pomysł dziennika, o którym tak dużo z Kochanym Hrabią rozmawialiśmy w Kijowie.

Idzie więc naprzód oto czy Rząd uważa sternictwo opinią publiczną przez literaturę za rzecz użyteczną? Że zdawać się powinna użyteczna, rzuciłem o tem kilka słów powyższych, które racz Pan dokładniej rozwinąć.

W razie utwierdzającego przekonania ze strony władzy, zechce ona zapewne wiedzieć, jakie są jawne, szczere i najogólniejsze doktryny społeczne projektowanego wydawcy, lub wydawanego dziennika?

Dopełnię tego treściwym wykładem mojej wiary politycznej. Nawzajem ja wiedzieć chciałbym, wiedzieć powinienem zawczasu: czy zasady mego dziennika mogą być przyjęte i pochwalone? Dowiem się o tem, rzucając główne zarysy planu.

Składam więc naprzód moje wyznania: mniemana historyi polskiej samoistność jest zakończona, odtąd być ona tylko może jako członek Rossyi lub słowiańszczyzny. Patryotyzm więc Polaków zakładam na tem, ażeby być działaczem powolnym i użytecznym w losach wielkiego rossyjskiego państwa. Myślę z innej strony, że w żywiołach narodu polskiego jest niemało tego, co wnieść on może ze znaczną korzyścią do wielkiej współki. Myślę, że jedność słowiańska nie może się spełnić tylko pod patronatem Rossyi. Wyrażam także, że pod wyobrażeniem Słowiańszczyzny widzę nie federacyą, ale jedną monarchią. Jedynowładztwo rossyjskie uważam za jedyne i nieodzowne narzędzie. Uważam nadto to jedynowładztwo za talizman potęgi i wyższości północy nad karłowaciejącą i słabiejącą coraz Europą i za najtwardszą posadę porządku, spokojności i szczęścia ludów. Chciałbym, ażeby Polacy uznali coprędzej przymioty tej formy rządowej, niepojętej w cywilizacyi zachodniej i myślę, że przywieść ich do tego można, bo zapewne nie zdrożność polska temu przeszkadza, ale wyraźnie edukacya wyobrażeń pozakrainnych.

Zdaje mi się, że dwa wyrażone punkta mego wyznania: jedność Polski z Rossyą i forma monarchiczna najdoskonalsza, zostaną dla rządu dostateczną rękojmią mego sposobu myślenia. Teraz spieszę rzucić zasady, na którychby projektowany dziennik przezemnie, lub przez kogo innego powinien być wydawany:

1. Założenie polskiego dziennika w Kijowie wtedy byłoby stosownem, gdyby zdało się władzom to wydanie jego w myślach wyżej wyłożonych i wchodziłoby do ogólnego systematu rządowego. Chciałbym, ażeby ten punkt dostatecznie rozważono. Nie idzie tu bowiem o proste zezwolenie na dziennik, ale czy rząd sam tego chce i żąda: w takim dopiero bowiem razie praca na umysłach powszechności, idąc z drugimi środkami *e)*, mogłaby przynieść owoce; w przeciwnym przypadku coby z jednej strony zrobiono, z drugiej zniszczono — przykładać by do tego ręki szkoda. Mówiliśmy o tem dość obszernie, dlatego napomykam to tylko w tem miejscu Kochanemu Hrabiemu.

2. Dziennik wydawany by tylko był po polsku, bo jeżeli chcemy wywrzeć wpływ na powszechność polską — najniepolityczniej byłoby zrażać ją odrazu musem do obcego języka.

3. Dziennik, ażeby był wyłącznie literackiej treści, właśnie, ażeby powodem popularnego czytania szerzyć swoją zasadę i przekonanie.

4. Ażeby dążono do ugruntowania zdrowych doktryn politycznych, mianowicie monarchicznych. Wypowiedzieć niepodobna, jak takie usiłowania są potrzebne, powtarzam bowiem, że głównem, nawet jedynem źródłem wszelkich zdrożności i głupstw popełnionych w naszych prowincyach, nic innego nie jest, tylko propaganda liberalna: gwałtowną więc zdaje mi się potrzebą zacząć przeciwko niej oddziaływanie nie tylko środkami niemymi, jak cenzura i tym podobne policyjne miary, ale nadto trybem dodatnim, to jest ogniskiem opinii przeciwnej. Opinia monarchiczna, uzyskawszy organ i wyznawców, zrządziłaby zaraz największe zmiany: zostałaby zasadą porządku, chętnej uległości i wszelkich cnót obywatelskich, które jedynie zabezpieczają spokojność kraju i zadowolenie władzy w hipotezie zmysłów słowiańskich. Wyrobienie się monarchicznej opinii jest tem użyteczniejszą rzeczą, bo należałoby do tego przystąpić na zasadach stałych, bezpiecznych; dla tego zdaje mi się, że brać się odrazu za Słowiańszczyznę — krok trochę przedwczesny, że należałoby wprzód przygotować się należycie, to zaś przygotowanie zasadza się na poślubieniu dobrych doktryn, o co głównie troszczyć się należy, a nie o słowniki i piosenki gminne łużycko-serbskie itp., jak robią niektórzy słowianofile.

5. Dziennik, ażeby miał na celu rozszerzenie uczuć religijnych: bez religii nie może być stałej podstawy w za-

dnym społecznym porządku. Teraz, kiedy każdy rząd dbały o swoje dobro, chce konsolidować warunki swojego bytu — słusznie bardzo, że zwrócono się najprzód do religii. Nie potrzebuję mówić, że nie mam za religią Chrystyanizmu kosmopolitycznego, ani deizmu, jaki u pewnych osób pewnych klas za to uchodzi.

Na względzie politycznym za religią uważać się tylko może stałe przywiązanie do swojego wyznania, bo taka tylko wiara wiedzie za sobą obowiązki, a więc społeczną i moralną daje rękojmię. Religijność nieokreślona jest tylko wiarą własnego interesu, a zatem spuszczać się na nią żaden rząd nie powinien. Wypada ztąd, że dziennik wydawany przez katolika i dla katolików, powinien mieć duch katolicki. Nie ma potrzeby dowodzić, że religia katolicka była i jest zawsze stałą przyjaciółką wszelkiego rodzaju porządku, ładu i hierarchii i że jej sympatye są szczerze monarchiczne, a więc, że ona nadałaby dopiero ostateczną sankcyę tym doktrynom, o których wyżej mówiliśmy i których zaprowadzenie jest gwałtowną potrzebą. Pozwolę sobie zesłać się na pojedyńczy przykład:

Pan Borowski, gdyby był szczery katolik, zrobiłżeby to, co zrobił? Czy nie wiedział, że wciągając dzieci powierzone jego opiece do nikczemnych spisków, popełnił był postępek najczarniejszy i przeciwsumienny? *f)*

Człowiek bez religii, jest na wszystko odważny; przeciwnie człowiek pobożny nie śmie niczyim losem rozporządzić i to samo wielką jest rękojmią spokojności społecznej. Religia katolicka ma jeszcze jeden ogromny w oczach każdej władzy przymiot, że zwycięzkie jej obecne położenie nad filozofizmem, nad protestantyzmem zasługuje na uwagę, bo dowodzi, że broń rozumu jest jej broń własna: ona więc jest jarzmem na umysły, na czasy i na niepokoje wszelkie wypadkami wynikłe.

Lubo przyprowadzenie do skutku zamiaru pośrednio uważam za tysiąc razy smutniejszy sposób, jak doprowadzenie go bezpośrednio — jednak jeden oddział poświęciwszy wręcz rzeczom rossyjskim, w tym oddziale starać się potrzeba Polaków z Rossyą i jej literaturą obeznać. Jakie skutki sprowadza między ludźmi proste zapoznanie się, nie można wypowiedzieć. Kleska dla nas była, żeśmy dotąd nie znali wcale tego narodu, z którym połączyły nas losy polityczne. Potrzeba poświęceń doskonalszego poznania Rossyi, a to byłoby może najsilniejszą reakcyą przeciw wpływom zachodnim. Obraz jej sił i środków uderzył by imaginacyą i przekonałby rozum. *g)* Wyświecenie

zalet i przymiotów jakiego utworu literatury pięknej rossyjskiej, silniejby może poskutkowało na zdanie, jak środek materyalnego przymusu. Należałoby to, co tutaj mówię, obszernie rozwinąć, ale dopełnić tego w tej chwili nie mogę *h)* i zdaję to na Kochanego Pana, któremu zapewnie nic nie zabraknie, abyś mię w tem wyręczył.

Zdaje mi się, że chociaż summaryjnie wyłożyłem główne zasady, z któremi przystąpiłem do ułożenia dziennika i podług których podjąłbym się go doprowadzić do skutku — w obecnej chwili niepodobna mi rozwieść się obszerniej, bo najprzód spieszę ten list wyprawić, potem piszę go wśród najdotkliwszych trosk domowych — zaledwie więc i na to się zdobyłem. Jeżeli jednak korespondencya między nami potrwa dłużej w tym przedmiocie, będzie można dodać, co się znajdzie potrzebnym, albo każdy punkt rozwiązać. Tu zaś jest spisanie tylko głównych założeń i treści naszych ustnych rozmów, które na nieszczęście, z powodu bytności ciągłej u Pana trzecich osób, nie mogły być tak wygadane, jak sobie życzyłem *i)*. Czy Pan masz użytek jaki zrobić z mego listu, czy nie — puszczając cały projekt w niepamięć — całkiem to spuszczam na zdanie i uwagę jego. Proszę tylko uwiadomić mnie o postanowieniu swojem i w każdym razie ucieszyć kilku słowami tego, który z najrzetelniejszą przyjaźnią i szacunkiem jest Pana Hrabiego sługa

Michał Grabowski. l)

1843 r. Lutego 21. dnia. Aleksandrówka.

Przypiski

przez jednego z mieszkańców Kijowa, który naocznym był świadkiem ówczesnego stanu interesów publicznych i prywatnych.

a) Jedno z dzieci zastał w domu na katafalku.

b) W tym czasie Bibikow wyjeżdżał do Petersburga z ważnemi przedstawieniami osobistemi i brał ze sobą Strutyńskiego.

c) W tych latach panslawizm był ogólną manią i dzienniki rossyjskie przepełnione były artykułami tego tematu.

d) Chciało się orderu lub rangi na wzór Marszyckiego i innych, którzy przez Bibikowa wyniesieni zostali, tem bardziej, że się przed nimi celowało rozumem.

e) Kozą, Syberyą itp.

f) Fakt największy — pan Borowski, utrzymujący w 1838 r. w Kijowie pensyon męzki, nikogo ze swych uczniów do sprawy Konarskiego nie wciągnął i sam tylko do niej należał. Jeśli zaś zamieszanych było wielu akademików kijowskich, to na nich nie p. Borowski, ale Wilno wpływ swój wywarło.

g) W 1834 r., kiedy się lękano ilości i siły bagnetów, kiedy stan finansowy Rossyi mniej więcej był zakryty, podobnym illuzyom możeby przynajmniej ślepi uwierzyli; ale po wojnie krymskiej omamić tym blaskiem nikogo niepodobna.

h) Bo musiał myśleć nazajutrz o pogrzebie dziecka, które zapewne tak kochał, jak narodowość, przygotowując materyały do grobu jeszcze za jej życia!!!

i) A uczciwież ten czyni, kto się świadków lęka?!

k) Pan Marek Sarnecki, krewny Juliusza Strutyńskiego, przybył na początku marca 1843 r. do Kijowa, odwiedził go i nie zastał w domu. W gabinecie hrabiego spostrzegł tę obszerną korespondencyę; uderzyła pana Marka koperta z napisem „p o e s z t a f e t i e", wziął do rąk list i przekonawszy się pobieżnym przeglądem o jego treści, odwiózł go do księdza Ożarowskiego, bawiącego podówczas w Kijowie. Ten najął swoim kosztem 6 pisarzy, którzy przez 10 dni zdejmowali wierne kopie z obecnego listu i przesłał je przez sztafety i prywatnemi drogami do tych, których ostrzedz uważał za konieczne. Z drugiej strony hrabia przedstawił Bibikowu projekt Grabowskiego. Ten obrażony nauczonym tonem listu, targnąwszy wąsa rzekł: „d u r a k! o n s z c z i t a j e t s i e b i a u m s z e m i e n i a". A po pauzie: „W p r o c z e m e t o c z e ł a w i e k, b ł a g o n a m i e r e n n y j — k t o o n t a k o w: c z y n o w n i k i l i p o m i e s z c z i k? Na odpowiedź, że jest ostatnim, Bibikow dodał namyślając się i przeciągając głos: „o b j a w i j e m u, c z t o u m i e n i a w R a d o m y ś l e j e s t w a k a n c i j a n a s p r a w n i k a b u d' p o ż e ł a j e t..." — Sic fata tulerunt! A tymczasem list rozgłosił zabójców narodowości i podał ich w nienawiść i prześladowanie ziomków. Grabowski na stałe mieszkanie przeniósł się do Kijowa, zaniechał pióra i koił żal w towarzystwach ruskich. Strutyński uwolniwszy się od obowiązku, znikł z widnokręgu Kijowa i w ukryciu opłakuje krok swój zbrodniczy.

Tę kopię sławnego listu Michała Grabowskiego do Juliusza Strutyńskiego znalazłem w papierach teścia mego, Wacława Lubowidzkiego, który mi mówił, że przywieziona została z Kijowa wnet po pojawieniu się w odpisach oryginału — za autentyczność ręczyć nie mogę — innej kopii nigdy nigdzie nie spotkałem. Zresztą papier i przypiski gwałtowne a niezupełnie sprawiedliwe, zdają się świadczyć, że kopia niniej-

sza pochodzi z owego czasu bezpośredniego ogłoszenia listu. Jaką ja mam, taką do pamiętnika załączam.

Tadeusz Bobrowski.

Tyle z papierów Bobrowskiego. Nie potrzebujemy dodawać, że dzisiaj, po wielu latach doświadczeń i rozmyślań, i nieszczęśliwy list Grabowskiego w odmiennem przedstawia się oświetleniu.

Dla charakterystyki chwili, powtórzyliśmy cały dokument, wraz z przypiskami zjadliwymi, w dosłownem brzmieniu.

Michał Rolle.

Zarys dziejów edukacyjnych Polski porozbiorowej na obczyźnie.

(Ciąg dalszy).

IV.

Na emigracyi politycznej po roku 1861.

Treść: 1. Napływ emigrantów polskich po r. 1861. — Stowarzyszenie podatkowe czyli Instytucya Czci i Chleba. — Jego cele i zakres działania. — Założyciele i Rada Stowarzyszenia. — Pomoc naukowa dla ubogiej młodzieży. — Fundusze stypendyjne im. Klaudyny Potockiej, W. Mańkowskiego i J. Fr. Kasparka. — Majątek stowarzyszenia.

2. Komitet centralny franko-polski. — Współdziałanie z nim emigracyi polskiej.

3. Stowarzyszenie dla sprawy katolicyzmu w Polsce. — Cele główne i opieka nad ubogą młodzieżą polską.

4. Stowarzyszenie pomocy naukowej w Paryżu. — Jego geneza i główne zadanie. — Komitet kierujący. — Ustawa z r. 1868 i zakres działania. — Fundusze Stowarzyszenia. — Zasada przy rozdawaniu pomocy. — Opieka moralna. — Odczyty publiczne. — Towarzystwo nauk ścisłych.

5. Wizytki wileńsko-wersalskie. — Pensyonat. — Frekwencya. — Nauczycielki. — Organizacya i program pensyonatu. — Podział na

kursy. — Zakres nauki na kursach. — Przedmioty wspólne. — Przedmioty dowolne. — Nauka przedmiotów polskich. — Egzamina. — Podręczniki. — Życie pensyonarek. — Zabawy, gry, spacery, rozrywki. — Wychowanie moralne. — Kary i nagrody. — Wychowanie społeczne. — Znaczenie pensyonatu. — Wypędzenie z Wersalu i osiedlenie w Jaśle w Galicyi.

6. Szkoła polska w Tuluzie ks. Kamińskiego. — Szkoła polska w Paryżu Zabielskiego, a potem ks. Kamińskiego.

7. Dom i kościół św. Stanisława w Rzymie. — Kolegium polskie w Rzymie w r. 1583. — Dom Miechowitów w Rzymie. — Kolegium polsko-szwedzkie w Rzymie. — Alumnat polski w Rzymie w r. 1763. — Niedowiarstwo na emigracyi w Francyi. — B. Jański i jego zwolennicy. — Semenenko i Kajsiewicz. — Zgromadzenie Zmartwychwstańców. — Ich zakres działania. — Zmartwychwstańcy w Bułgaryi i tamtejsza ich działalność pedagogiczna. — Seminaryum czyli Kolegium polskie w Rzymie. — Jego zadanie i dotychczasowe prace.

8. Szkoła wojskowa w Genui. — Mierosławski i Wysocki. — Otwarcie szkoły. — Opozycya przeciw Mierosławskiemu. — Projekt okólnika Mierosławskiego. — Komitet turyński. — Wysocki kierownikiem szkoły zreorganizowanej i przeniesionej do Cuneo. — Zamknięcie szkoły.

9. Komitet szwajcarsko-polski. — Komisya pomocy naukowej dla uczącej się młodzieży polskiej w Szwajcaryi. — Wł. Plater i prof. Landolt. — Odezwa Komisyi i młodzieży. — Dochody Komisyi. — Stypendya i zapomogi. — Warunki uzyskania pomocy naukowej.

10. Wydział pomocy naukowej Muzeum narodowego polskiego w Rapperswylu. — Zapis hr. Ostrowskiego. — Stypendya tej fundacyi. — Fundacye stypendyjne: im. Tadeusza Kościuszki, historyczno-literacka anonimowe. — Cicha kasa litewska.

11. Katedra języków i literatur słowiańskich w Fryburgu szwajcarskim. — Założenie Uniwersytetu. — Katedra slawistyki. — Liczba słuchaczów slawistyki. — Zbiór książek w bibliotece uniwersyteckiej. — Stypendya fryburskie dla Polaków. — Zakres wykładów prof. Kallenbacha. — Stosunki profesora z młodzieżą polską. — Pozycya profesora slawistyki w Fryburgu. — Następca prof. Kallenbacha.

12. Prywatne polskie wykłady religii katolickiej w Dreźnie. — Pensyonat W. Mazurkiewicza w Dreźnie. — Program zakładu. — Zakład naukowo-wychowawczy p. Czesława Pieniążka. — Odezwa. — Powody niepowodzenia.

13. Katedry literatur słowiańskich w Prusiech. — Katedra wrocławska. — Prof. Čelakovský. — Prof. Cybulski. — Prof. Nehring. —

Reaktywowanie seminaryum słowiańskiego. — Lektor Fritz. — Lector honorarius dr. Krajewski. — Lektor etatowy dr. Löwenfeld. — Lektor dr. Abicht.

14. Kreowanie katedry slawistyki w Berlinie opóźnia się. — Docentura dra Cybulskiego. — Nacisk posłów polskich. — Profesor Jagić. — Prof. Brückner.

15. Ces. rzymsko-kat. Akademia duchowna w Petersburgu. — Podlega arcybiskupowi mohylowskiemu. — Alumni. — Profesorowie i język wykładowy. — Rektorowie.

1. Wypadki dziejowe z r. 1861 i następnych spowodowały nową emigracyę polityczną, pomnożyły dawne jej zastępy i ugruntowały trwanie wychodźctwa polskiego na dalszą metę. Do dawnych instytucyi i organizacyi emigracyjnych przychodzą nowe. W pierwszym okresie istnienia emigracyi politycznej polskiej instytucye i towarzystwa, mające wychowanie za bezpośredni lub pośredni cel działania swego, skupiły się przeważnie we Francyi. Po r. 1861 powstały podobne organizacye polskie i w innych krajach: a więc nie tylko we Francyi, lecz także we Włoszech, w Szwajcaryi i w Saksonii.

Z organizacyi emigracyjnych, dokonanych w tym okresie we Francyi, jest najstarszą S t o w a r z y s z e n i e p o d a t k o w e czyli I n s t y t u c y a C z c i i C h l e b a.

Podczas gdy Towarzystwo historyczno-literackie w Paryżu pełniło bieżącą służbę polityczną i gromadziło pamiątki przeszłości i materyały do dziejów narodowych, a szkoły, pozakładane na wychodźctwie, zajmowały się młodem, wzrastającem pokoleniem, a Dom św. Kazimierza i inne instytucye starcami i weteranami naszymi oraz najuboższą dziatwą, Stowarzyszenie podatkowe chciało skupić całą już emigracyę w imię obowiązków narodowych w oddzielną społeczność moralną.

Celem Stowarzyszenia były potrzeby narodowe ogólne i zjednoczenie wychodźców, po świecie rozprószonych, uznających w sobie Polskę i przyznających się nie tylko z urodzenia, lecz i dobrowolnego powołania do obowiązków polskich. Podatek, według własnego wyrażenia założycieli, miał być wyraźnym znakiem poddaństwa Najjaśniejszej naszej Pani Polsce, afirmacyą bytu wychodźctwa za granicą i ogólnym łącznikiem wszystkich rozprószonych między sobą i z krajem. Stowarzyszenie nie oznaczyło wysokości podatku, lecz odwołało się do dobrej woli każdego.

Inicyatorami Stowarzyszenia, zawiązanego w r. 1861, byli Bohdan Zaleski, Władysław Laskowicz, Józef Dybowski, Karol Królikowski i Artur Sienkiewicz. Oni też utworzyli dnia 2. marca 1862 roku, w rocznicę pamiętnych dni warszawskich, pierwszy tymczasowy wydział pod przewodnictwem Zaleskiego.

Gdy już zebrano znaczniejsze sumy, utworzyła się w łonie Stowarzyszenia Rada nadzorcza majątku instytucyi, złożona z pięciu osób najwyżej opodatkowanych a stale w Paryżu zamieszkałych.

Stowarzyszenie istnieje w Paryżu do tej doby. Po wojnie francusko-pruskiej otrzymała instytucya nową organizacyę i zabezpieczyła ustawowo byt swój.

W roku administracyjnym 1907 wchodzili w skład Rady Stowarzyszenia jako członkowie honorowi: Ekielski Józef, radca wydziału krajowego we Lwowie, i Lubomir Gadon w Krakowie, a w skład biura Rady jako prezes Józef Rusteyko, jako wiceprezes Roman Baczyński, jako administrator Józef Gałęzowski, jako sekretarz Dyonizy Zaleski a prócz tego 10 członków.

Do zakresu działania Stowarzyszenia należała od samego początku miedzy innemi także opieka nad dziećmi-sierotami i troska o ich wychowanie i zaopatrzenie w środki życia na przyszłość.

Akt założenia Stowarzyszenia przeznaczał trzy czwarte części dochodu na zaopatrzenie starców i sierot-dziewcząt w domu św. Kazimierza oraz na utrzymanie sierot-chłopców w szkole batyniolskiej, jedna czwarta miała iść na pomnożenie funduszu żelaznego Stowarzyszenia. Z pomocy mogły korzystać i inne instytucye i zakłady wychowawcze.

Już w pierwszym roku istnienia wydało Stowarzyszenie na chłopców w szkole batyniolskiej 2.500 fr. a na dziewczynki w Domu św. Kazimierza 1.200 fr. Pomoc ta nie ustawała i w dalszych latach, i trwa dotąd w miarę potrzeb szukających poparcia i w miarę możności Stowarzyszenia.

Korzystali z pomocy naukowej Stowarzyszenia i uczniowie ubodzy Wyższej szkoły polskiej w Paryżu i niezamożne wychowanice Hotelu Lambert.

Prócz tego weszło Stowarzyszenie w posiadanie kilku funduszów stypendyjnych.

Rozporządza funduszem Klaudyny z Działyńskich Potockiej, przynoszącym rocznie około dwieście kilkadziesiąt franków. Z tego dochodu tworzy się stypendyum w kwocie 200 fr., które służy

na wsparcie dziewczynki lub chłopca polskiego pochodzenia, terminujących w jakimkolwiek rzemiośle.

Dalej administruje Stowarzyszenie funduszem stypendyjnym im. Wacława Mańkowskiego. Dochody tego funduszu obracają się „na kształcenie młodych ludzi z którejkolwiek części kraju lub emigracyi polskiego lub rusińskiego pochodzenia, poświęcających się zawodowi technicznemu, którzy po ukończeniu studyów potrzebują dopełnić wykształcenie w jakimkolwiek zakładzie naukowym lub w pracowni za granicą“. Według umowy z dawcą, zawartej w r. 1885, połowa przychodu miała z początku przez szereg lat pomnażać kapitał. Od r. 1901 tylko $^1/_4$ dochodu obraca się na fundusz żelazny, a resztę dochodu na stypendyum, które w r. 1905 wynosiło 788 fr.

Poważną kwotę przedstawia trzeci fundusz stypendyjny. W r. 1892 umarł w Paryżu Józef Franciszek Kasparek, przekazawszy Instytucyi Czci i Chleba przeszło 140.000 franków na dwa stypendya wyłącznie dla dwóch doktorów medycyny Uniwersytetu Jagiellońskiego, pragnących uzupełnić wiedzę medyczną w Paryżu. Stypendyum nadaje Instytucya Czci, a kandydatów przedstawia Uniwersytet.

Stowarzyszenie podatkowe było i jest instytucyą bardzo popularną i temu też zawdzięcza piękny swój rozwój.

Literatura i źródła. Association polonaise des imposés volontaires. Instytucya Czci i Chleba: Sprawozdania od r. 1861 do obecnej chwili; Statuts, Paryż 1874. — Materyały rękopiśmienne w Muzeum XX. Czartoryskich w Krakowie. — Rocznik Tow. his.-lit. za r. 1866 i dalsze.

2. W pokrewnym kierunku działał Komitet centralny franko-polski, zawiązany w Paryżu po roku 1863. Większa część młodzieży, która przybyła po upadku powstania styczniowego gromadnie do Francyi, znalazła się w ciężkim niedostatku. Pozbawiona wszelkich pieniężnych zasobów i nadziei, że je z kraju otrzyma, musiała szukać środków życia w pracy osobistej. Tylko praca mogła ją uchronić od nędzy i zapewnić jej przyszłość. Wyszukać jej odpowiednie zajęcie i pracę było ważnem zadaniem.

W tej myśli zawiązali życzliwi Polakom Francuzi Stowarzyszenie, mające na celu przez osobiste stosunki członków lub z pomocą ludzi, posiadających wpływ w Francyi, wyszukać dla młodzieży polskiej zajęcie stosowne do chęci i zdolności każdego. Sto-

warzyszenie umieszczało młodzieńców i w zakładach naukowych. Wydelegowano do tej czynności dwóch gorliwych przyjaciół Polaków: Henryka Martina i margrabiego de Noailles.

Emigracya polska wydała w r. 1864 odezwę, wzywając Polaków, zamieszkałych we Francyi, Szwajcaryi i we Włoszech do współdziałania z komitetem franko-polskim. W imię solidarności narodowej upraszano starszą brać na emigracyi, aby przyjęła młodszą po bratersku i podala jej pomocną rękę.

Za pośrednika między żądającymi zajęcia a dającymi je wybrano Eustachego Januszkiewicza.

Literatura i źródła. (Odezwa) Do Polaków zamieszkałych we Francyi, Szwajcaryi i Włoszech, Paryż, 12. czerwca 1864 roku.

3. Zajmowało się także młodzieżą polską emigracyi „Stowarzyszenie dla sprawy katolicyzmu w Polsce" (L'Oeuvre du catholicisme en Pologne). Moralnym inicyatorem tego Stowarzyszenia był hr. Władysław Plater z Broelbergu pod Zurychem. Umiał ten zasłużony mąż sprawą wygnańców zainteresować duchowieństwo francuskie a przez nie duchownydh całego katolickiego świata. Stowarzyszenie to założono we Francyi dnia 15 października 1864 roku; na czele tej instytucyi stanął ks. biskup de Ségur.

Głównym celem tego Stowarzyszenia było dźwignięcie i podtrzymanie wiary, ale obok tego także opieka nad młodzieżą, której udzielano rozmaitej pomocy. Rozmieszczano ją wedle uzdolnienia po wyższych i niższych szkołach w rozmaitych zakładach wychowawczych przeważnie bezpłatnie.

Instrukcya ta rozwinęła się z początku bardzo pięknie i rozporządzało znacznemi sumami, które płynęły ze wszech stron Francyi a nawet i Anglii. Ministeryum francuskie dało książki dla uczniów. Z funduszów Stowarzyszenia korzystały też rozmaite instytucye polskie. Wnet jednak zaczął stygnąć zapał, dochody malały ogromnie.

Literatura i źródła. Bolesławita B.: Z roku 1867 Rachunki, rok II., część 2, Poznań 1867, str. 16 i dalsze.

4. Wyłącznie celom naukowo-wychowawczym służyło Stowarzyszenie pomocy naukowej, zawiązane w listopadzie

roku 1868, którego nie trzeba pomieszać z istniejącem dawniej a już upadłem Towarzystwem naukowej pomocy.

Stowarzyszenie to powstało z poczucia wielkiej narodowej potrzeby. Polska zaboru rossyjskiego była po roku 1863 zagrożona w tem wszystkiem, co jest najdroższem, najświętszem dla narodu, co stanowi jego charakter oddzielny wśród innych ludów, jego posłannictwo wśród całej ludzkości, jednem słowem jego życie narodowe. Rossya, nie poprzestając na jarzmieniu materyalnem, wymierzała ciosy w ducha polskiego, tępiła wiarę, język, rodzinę, rozrywała to wszystko, czem nas Bóg złączył w jedność narodową, gasiła ogień, którym Polska przez siebie jaśniała, który jej dawał prawo do zaszczytnego miejsca wśród narodów oświeconych. Rossya rozciągnęła nad Polską całun zepsucia i ciemnoty. Dzieło zniszczenia rozwijało się na coraz groźniejszą skalę. Przeciwdziałać temu dziełu zniszczenia zamierzało Stowarzyszenie pomocy naukowej na emigracyi, przeciwdziałać pracą około szerzenia oświaty w narodzie naszym nie tylko na polu materyalnem przemysłu, dobrego bytu, lecz głównie na polu umysłowem i moralnem.

Głównem więc zadaniem Stowarzyszenia była praca nad wychowaniem młodzieży, gromadzeniem i pielęgnowaniem żywiołu narodowego i skupianiem go w ognisko potęgi narodowej. Niosło więc Stowarzyszenie pomoc materyalną i moralną młodzieży polskiej, zmuszonej uchodzić za granicę, aby mogła ukończyć nauki i nabrać światła, któreby później na własną ziemię zanieść i dzięki temu Ojczyźnie skutecznie służyć mogła.

Pracami Stowarzyszenia kierował Komitet, złożony z dziesięciu osób. Prezesem pierwszego Komitetu był Aleksander Chodźko, wiceprezesem Ludwik Nabielak a członkami Agaton Giller, Seweryn Goszczyński, Józef Kwiatkowski, Karol Ruprecht, Józef Radomiński, Józef Rusteyko, Kazimierz Szulc oraz ks. Roman Wilczyński, jako sekretarz.

Niebawem wstąpił do Komitetu hr. Jan Działyński jako wiceprezes a z biegiem czasu w miejsce ustępujących inni członkowie: Ksawery Szlenker, Tadeusz Błociszewski, a później jeszcze Seweryn Elzanowski, Kazimierz Błociszewski, Wacław Gasztowtt, Konstanty Henszel, Bronisław Zaleski.

Gdy po trzech latach Chodźko złożył prezesurę, stanął na czele Stowarzyszenia Działyński, który mu oddał niejedną walną usługę. Wspomnę o jednej.

Wojna francusko-pruska zachwiała bytem i tego Stowarzyszenia, jak wogóle wielu innemi instytucyami emigracyi polskiej. Składki ustały a i procentów od kapitałów przez pewien czas nie można było dostać. Z tego powodu wyłoniła się myśl zwinięcia Stowarzyszenia. Ówczesny prezes Komitetu Działyński zapobiegł temu. Stowarzyszenie ocalało.

Działanie rozpoczęło Stowarzyszenie od wydania odezwy (dn. 20. listop. 1868), wzywając rodaków do współdziałania. Otwarto wstęp do Stowarzyszenia wszystkim Polakom i Polkom, których obchodziła sprawa oświaty narodowej. Wkładkę oznaczono tylko na minimum 6 fr. rocznie, chcąc umożliwić wszystkim popieranie dobrej narodowej sprawy.

Ustawa z r. 1868 zakreślała Stowarzyszeniu rozległe pole działania. Najprzód zamierzało Stowarzyszenie wspierać młodzież uczącą się środkami materyalnymi i moralnymi, a w miarę wzrastania zasobów rozszerzyć działalność swoją w innych kierunkach: wspierać zakłady szkolne, wydawnictwa dzieł oraz pism literacko-naukowych i pomagać pracownikom na polu piśmiennictwa polskiego.

Fundusze czerpało Stowarzyszenie z źródeł, z których czerpały i inne instytucye emigracyjne. Jednem były ofiary i dary jednostek.

Ks. Karol Mikoszewski z sum, zebranych przez siebie na sprawę polską w Ameryce, ofiarował na cele Stowarzyszenia 25.175 fr., z zastrzeżeniem, aby dwie trzecie części tej sumy stanowiły fundusz żelazny Stowarzyszenia, jedna zaś trzecia obracana była na wydatki bieżące.

Drugiem źródłem były składki członków. Te wynosiły już w pierwszym roku istnienia Stowarzyszenia 9.335 fr.

Stowarzyszenie rozporządzało dość znacznymi funduszami. W pierwszym roku bytu swego miało do dyspozycyi 21.961 fr., z czego wydało na zapomogi miesięczne 84 stypendystom 17.220 fr., a na zapomogi jednorazowe 1.370 fr.

Komitet kierował się zasadą, że lepiej jest większej ilości młodzieży ułatwić możność uczenia się, pomagając jej do zaspokojenia najniezbędniejszych potrzeb, niż kilku wybranym dostarczyć środków do wygodniejszego życia. W myśl tej zasady rozdawał stypendya i zapomogi tylko w mniejszych kwotach.

Między tymi stypendystami Stowarzyszenia uczęszczało na wydział lekarski 37, na aptekarski 5, na prawniczy 4, do Sorbony 2, do Szkoły dróg i mostów 11, do Szkoły górniczej 6, do

wojskowej 3, leśnej, rysunkowej, sztuk pięknych, weterynaryi i do politechnicznej w Zurychu po jednym.

Według sprawozdania z dnia 1. stycznia 1872 roku wynosił fundusz żelazny Stowarzyszenia 17.362 fr., a w rok później 17.949 fr.

Kapitał obrotowy w roku administracyjnym 1872/3 wykazywał w przychodach 9.918 fr. Z tego wydano na wsparcia uczącej się młodzieży 8.530 fr.

Antoni Karbowiak.

(Ciąg dalszy nastąpi).

Wystawa Rembrandtowska w Lejdzie

w r. 1906.

(Notatki turysty).

(Dokończenie).

Po Dou może będzie najbardziej odpowiedniem pomówić o jednym z najpłodniejszych i najbardziej znanych artystów holenderskich, Janie Steenie — o malarzu niezliczonych obrazów z życia holenderskiego, obrazów w przeważnej części satyrycznych i humorystycznych (w tych właśnie celował) i dlatego bardzo lubionych przez szerszą publiczność naszych czasów.

Gdyby ktoś Steena nie znał z innych zbiorów, czy to publicznych, czy prywatnych, mógłby z tej wystawy wynieść o nim niezłe wyobrażenie. Miał on tutaj nie tylko największą ilość obrazów po Rembrandcie, było ich bowiem trzynaście z rozmaitych działów jego twórczości, ale miał także wśród nich kilka bardzo ładnych. Szukać ich należało przedewszystkiem w dziale stosunkowo największym — obrazów obyczajowych.

Oto zaraz mamy jeden z nich, świetny w swoim rodzaju — „Chłopów śpiewających". Domek z cegieł czerwonych, a raczej bardzo mała część ściany tego domku. W szerokiem oknie, nad którem zwisają liście winogradu, przetykane tu i owdzie gałązkami gron, sześciu chłopów holenderskich zabawia się śpiewem. Pyszne

głowy i pyszne wyrazy twarzy. Doskonałą w charakterystyce jest pełna humoru głowa staruszka z lewej strony, pulchniutkiego, lecz ogromnie krzepkiego, dziwnie harmonizującego i ze swoją łysiną i z okularami na nosie, przez które, śpiewając, odczytuje tekst z jakiejś karty; niemniej dobrą głowa drugiego śpiewaka, wznosząca się w czapce futrzanej tuż za staruszkiem, i wieśniaka trzeciego, po prawej stronie, w kapeluszu, włożonym z wielką fantazyą, z zatkniętą za wstążką fajeczką. Zasłuchany w śpiew towarzyszy, oparł twarz na jednej ręce, drugą zaś ujął za ucho poważnego kufla. Ponad tym wreszcie wysuwa swoją osobę wieśniak czwarty, który jednak śmiejąc się zbyt błazeńsko, trąci już nieco karykaturą. A poza tem wszystkiem, w tyle, majaczeją jeszcze dwie postaci. Humor i ogromna wesołość tryskają z tego zarazem kolorystycznie ładnego obrazka.

Ogromnie wdzięcznym był również „Gołębnik“, który można nazwać zarówno obrazkiem rodzajowym, — jak krajobrazem. Na przodzie obrazu, na słupie, wznosi się spory gołębnik: otacza go aż dziewięć osób, tworzących dwie grupy. Jedna z nich zajmuje się przenoszeniem gołębi z ich mieszkanka do stojącego na ziemi kosza; druga, z lewej strony gołębnika, zajęta sobą, spędza czas na *dolce far niente* na świeżem powietrzu. Lecz nie to wszystko stanowi urok obrazka. Dosyć bowiem mały, ma figury bardzo drobne, zwłaszcza, że są tak liczne. Artysta czyniąc je dobremi w ruchu i postawie, zaznacza zaledwie rysy twarzy. Urok jego tkwi w czem innem. Oto tonie on cały w blaskach słonecznych, a w tych blaskach zarysowuje się ślicznie na dalszym planie krajobraz, wykonany delikatnie i z wielkim wdziękiem. Krajobraz prawdziwie holenderski. Duży kanał rozlewa swoje wody w głąb obrazu, cicho suną po nim łodzie, a po brzegach wynurzają się z drzew i gajów domki i wieżyca kościoła. Całość tchnie atmosferą zachwycającej sielanki.

A dla odmiany znowu scena z życia rodzinnego ludzi ubogich, może robotników: „Modlitwa przed jedzeniem“. I treścią i wykonaniem zwracała ona ogólną uwagę na wystawie.

Chwila posiłku zgromadziła razem rodzinę. Ojciec siedzi już przy malutkim, skromnym stoliku i kraje chleb. Matka rozlewa jakąś zupę na talerze, dwoje dzieci odmawia modlitwę przed jedzeniem — spory już chłopak i małe bobo. Twarz ojca odbija dobrze to zajęcie się chwilową czynnością, mniej wyraziście twarz matki, spoglądającej jakby z uczuciem na młodszą swoją latorośl. Za jej przykładem biegnie również nasze spojrzenie ku dzieciom.

Modlą się one naprawdę. Wszakże wiemy o tem, że Steen lubiał światek dziecięcy, że malował go z wielkiem zamiłowaniem i najczęściej wybornie. I tutaj ładny chłopak z głową jasną, a ciemnemi oczyma, modli się w sposób bardzo charakterystyczny. Ale w całem tego słowa znaczeniu pysznem jest dziecko młodsze, łączące w swojej modlitwie przejęcie się uroczystą chwilą posiłku z jakąś prawdziwie dziecięcą pokorą wobec Tego, który jest tej modlitwy celem.

Koloryt całego obrazka ciepły, żółtawy, a do niego dostraja się wszystko, co znajduje się w izbie, aż do ubioru żółto-brunatnego ojca. Ożywia ten koloryt, nie psując go wcale, suknia matki, niebieska z jasno-żółtymi rękawami, niemniej też ciemno-niebieska sukienka dziecka: ożywia jeszcze więcej zaglądający przez otwarte drzwi widoczek, z lekka zaznaczony przez artystę w tle obrazu, widoczek z niebiosami w jednym punkcie zaróżowionemi. Dopełnia wreszcie korzystnego wrażenia ugrupowanie osób, perspektywa, bardzo staranne wykonanie sprzętów i naczyń, dobry pies, myszkujący około naczynia, stojącego na podłodze.

I wreszcie z obrazów rodzajowych Steena jeszcze jeden ładny obraz. Tytuł obrazu: „Skutki nieumiarkowania“. Ulubiony to temat Steena i tyle razy powtarzający się w jego dziełach.

Artysta wprowadza nas do wnętrza własnego domu i przedstawia siebie i swoją rodzinę. Wszystko wskazuje, że przed chwilą używano tutaj za dużo napojów. Przy stole biesadnym siedzą jeszcze gospodarz domu i gospodyni, w pozach bardzo swobodnych, zmorzeni snem, — tylko wysokie kielichy stoją jeszcze na świadectwo tego, co tutaj się działo. Jakoż wszystko, co żyje w domu, korzysta z bezkrólewia. Przedewszystkiem dzieci, których jest troje. Najmłodsze, umieszczone wraz ze swojem dziecinnem krzesłem zaraz na czele obrazu, dzierży w rączkach smyczek od skrzypiec, porzuconych na ziemi i wymierza nim cios w kieliszek z winem, stojący na drugiem krześle. Malutka dziewczynka, siedząc na ziemi, sięga rączką do kieszeni matki, chłopak zaś, w toczku z piórem na głowie, trzyma jakiś pieniądz w ręce i śmieje się wesoło. Dzieci mają towarzyszkę w małpie, która umieściła się na ziemi wśród stosu porozrzucanych papierów, podniosła jeden z nich ku oczom i udaje, że czyta. Dwie osoby, zdaje się ze służby, w tyle obrazu, są już tylko najzupełniejszymi szkicami.

Nie tylko jednak małpa naśladuje przykład dzieci, naśladują je i inne domowe zwierzęta. Piesek wyskoczył na stół i wyjada coś z rynki, kot zaś wydostał się na wysoką szafę i strącając

z niej jakiś flakonik, kładzie łapki na klatce z ptaszkami. Mało tego. Po podłodze wala się mnóstwo przedmiotów, a różnorodność ich jest prawdziwie holenderska. Obok owych papierów, wśród których gospodaruje małpa, widzimy i jakiś ogromny foliant i wspomniane już skrzypce i talerz i naczynia ozdobne, widzimy nawet jakiś dokument pergaminowy.

A na cały ten światek po części uśpiony, po części plątający figle, na cały ten bezład domowy, wpada obfite światło przez wielkie, w jednej połowie otwarte okno z lewej strony. Zalewa ono cały prawie pokój. Czuje się, że tam, za oknem, jest dzień ciepły, może nawet gorący, lecz że chłodzą go zarazem powiewy świeżego powietrza, zieleń drzew, których gałęzie zwisają tuż nad oknem lub które widać w dali. A tymczasem tutaj, w pokoju, ta charakterystycznie ciężka atmosfera domu uśpionego po nieumiarkowanem piciu, ożywiona tylko ukradkowymi wybrykami dzieci, pozbawionych nadzoru rodzicielskiego, i zwierząt odczuwających, że w tej chwili można wyłamać się z pod zwykłej karności.

Obraz ten ma wszystkie cechy lepszych dzieł Steena. Dobrzy są gospodarze, obydwoje okazałej postaci i tuszy, w swem bezwładnem uśpieniu. Wykonanie sprzętów, naczyń i innych przedmiotów, których część już wymieniłem, ale których liczbę możnaby o wiele powiększyć, jest tak wyborne, że zwraca na siebie uwagę. Spojrzmy tylko na ten stołek dziecinny z najmłodszem dzieckiem, wysunięty jakby z umysłu na sam przód obrazu! Jak plastycznie odcina on się od tła! A to okno prześwietlone słońcem, z widoczkiem tak ponętnie przez nie przeglądającym! Czasem jednak coś mniej uda się artyście, jak małpa i ogień na kominku. Należy nawet powiedzieć więcej. Steen, który najczęściej z takim wdziękiem opracowywał postaci dziecięce, tutaj zajął się troskliwiej tylko owym śmiejącym się chłopaczkiem.

Koloryt ciepły i barwny, do czego przyczynia się wielce oświetlenie słoneczne pokoju.

Wiadomo jednak, że Steen w humorystycznych swoich obrazach traci często miarę, popadając w karykaturalność. Można było przekonać się o tem i na tej wystawie. Był tutaj jeden z większych obrazów naszego artysty — „Prowadzenie pijanej kobiety do domu“. Sam tytuł opowiada już treść obrazu. Dwie kobiety i chłop pomagają pijanej kobiecie w jej pielgrzymce ku domowi, cały zaś tłum, w którym widać mężczyzn i kobiety, starce i dzieci, przypatruje się widowisku, radując się hałaśliwie i przedrzeźniając jego bohaterkę. Pochód wkracza właśnie pod

ogromne, ładnie malowane drzewo, w dali zaś. po lewej stronie, uśmiecha się ku nam widoczek błękitem nieba, skłaniającego się ku wieczorowi. z białemi tu i owdzie chmurami. Dotąd wszystko dobrze. Podoba nam się ładny koloryt, przetykany silnie żółtą i czerwoną barwą i przypatrujemy się z zajęciem kilku charakterystycznym głowom wśród zebranej rzeszy. Taką głową odznacza się przewodnik owych kobiet, skrzypek, który postępuje przed niemi i gra. a na dalszym planie śmiejący się starzec ze siwą brodą. Te jednak pijane kobiety! W swem rozpasaniu są one zbyt karykaturalne i niesmaczne, tem więcej niesmaczne, że są to już kobiety starsze.

Dwa malutkie obrazki postawię u końca szeregu dzieł rodzajowych Steena. A więc naprzód pierwszy: Młody artysta, kopiuje z natężoną uwagą przy palącej się swiecy biust z gipsu. Świeca umieszczona za modelem, widać tylko płomień, ale tak namalowany, iż zdaje się, iż jest przyczepiony do czubka głowy modelu. Wskutek światła ma cały obrazek ładny ton brunatny i w tym tonie, ciemniej lub jaśniej, są opracowywane szczegóły. Natomiast drugi obrazek: „Chłopi w oberży", obrazek treści bardzo swawolnej, mógłby tylko kolorystycznie zadowolnić, nie zaś pod względem wykończenia ludzkich twarzy.

„Satyr u chłopa, który dmucha i chucha", jest już tylko napoły obrazem obyczajowym. bo z przymieszką pierwiastku fantastycznego, wziętego z mitologii. Temat ten opracowywał Steen kilkakrotnie, podobnie jak artysta flamandzki. Jordaens. Bajkopisarze, a między nimi także La Fontaine, opowiadają o zdziwieniu Satyra. gdy widział. że podróżny, będący u niego w gościnie, chucha w zziębnięte ręce, ażeby je rozegrzać, a po chwili temi samemi ustami chłodzi sobie gorącą zupę w misie. To też w bajce La Fontaina Satyr każe mu się wynosić ze swojej jaskini, sądzi bowiem, że fałszywym jest ten, kto dopuszcza się w tymże samym czasie tak sprzecznych czynów. [1]) Steen i Jordaens opracowywali chętnie ten temat, dawał on bowiem sposobność do przedstawienia całej rodziny chłopskiej. zgromadzonej wokoło stołu, zastawionego potrawami.

W naszym obrazie rzecz ma się nieco inaczej, aniżeli u La Fontaina. Tutaj Satyr jest w gościnie u chłopa. Ten ostatni dmucha właśnie na gorącą zupę. na co patrząc Satyr, powstaje

---

[1]) Le Satyre et le passant, Księga V., bajka 7-ma.

ze stołka, opiera się prawą ręka na sękatym kiju, palec zaś lewej ręki podnosi ostrzegająco ku chłopowi. Kilka osób przypatruje się niezwykłej scenie i w rozmaity sposób objawia swoje zdziwienie z powodu zachowania się Satyra. lub wprost go wyśmiewa.

Doskonałym w wyrazie jest sam chłop, dmuchający w miskę, ładnemi również i bardzo starannie malowanemi postaciami są dwaj chłopacy na dalszym planie. Dobrą zresztą jest stara, śmiejąca się kobieta. Sam Satyr, jakiś stary i schorzały starzec, ma ciało szaro-różowe, nie rzeczywiste, ale naprawdę malowane. I twarz żony chłopa, siedzącej po drugiej stronie stołu, jest za bladą i za mało wogóle wykończoną. Uderza to tem bardziej, że sam obraz był jednym z największych na wystawie, postać więc kobiety tej wielkości i na pierwszym planie wymagałaby zupełnie dokładnego opracowania. Ze szkodą obrazu brak go tutaj.

Steen malował jednak także obrazy, do których treści dostarczała mu historya starego i nowego testamentu. I w nich atoli pozostawał malarzem rodzajowym, dawał prawie zawsze holenderski krajobraz, holenderskie stroje i naturalnie wielką ilość holenderskich typów. Charakterystyczna to zresztą cecha sztuki holenderskiej, prawie od samego początku jej istnienia, która osiągnęła szczyt swój i doskonałość u Rembrandta.

Z zakresu tematów biblijnych Steena mieliśmy na tej wystawie naprzód historyę Labana i jego córki, Racheli, żony Jakóba. Laban szuka w kufrach bożków domowych, które ze sobą zabrała Rachel, towarzysząca mężowi w jego powrocie z Mezopotamii do rodzinnego kraju. Odbywa się to w chwili, gdy cały tabor podróżny rozłożył się na spoczynek. Wówczas Rachel, jak powiada Biblia, „spieszno bałwany skryła pod mierzwę wielbłądową i siadła na niej: a gdy (Laban) wszytek namiot zmacał, a nic nie nalazł".

Co nas w tym obrazie najwięcej pociąga, to krajobraz, cały w blaskach słonecznych aż do złotawych chmur na niebie, z olbrzymiemi i wspaniałemi drzewami po lewej stronie. I patrząc nań, biegnie oko nasze w dal aż do końca horyzontu, zamkniętego górą. Osoby główne nie przedstawiają nic zajmującego. Nie jest zajmującą ani Rachel, siedząca z dzieckiem na ziemi pod baldachimem, z twarzą bladawą, bez wyrazu, z okiem lewem, jakby za nisko umieszczonem, ani Laban, mężczyzna postaci ogromnej, ale z twarzą zupełnie od widza odwróconą. Patrzy on w kufer, który otworzono, ażeby mu pokazać jego zawartość. Tem mniej

też może obudzić zajęcia kilka osób, a raczej małych figurek za Labanem i Rachelą, z lekka tylko zaznaczonych.

Lecz obok tej niby to historycznej części obrazu, nad którą wznoszą się jakby symbol ziem obcych dwie głowy wielbłądzie, jest druga czysto rodzajowa, przemawiająca do nas daleko żywiej. Tu już wkracza Steen w swoją ulubioną dziedzinę, dając nam obrazki z życia współczesnej Holandyi. Jakże wdzięczną jest grupa w środku obrazu i na samem jego czele, składająca się z małego chłopca i małej dziewczynki, zajętych ze sobą rozmową tak żywą, że nic ich nie obchodzi całe to Labanowskie zajście. Charakterystyczne głowy dziecięce i twarzyczki pełne wyrazu. Zwraca ta grupa przedewszystkiem naszą uwagę, chociaż właściwie nie łączy się z treścią utworu. A znajdują się tam jeszcze inne postacie, o których trudno naprawdę powiedzieć, czy jest to służba Jakóba, czy Labana, czy ludzie z tej okolicy, którą Jakób wybrał na chwilowy odpoczynek. Są to jednak w każdym razie pełne życia postacie Steen'owskie. Takim jest młodzieniec po lewej stronie, przypatrujący się, jak przetrząsają jeden z kufrów, lub chociażby pasterz, który prowadzi trzodę i spogląda z zaciekawieniem na rozłożony tabor. I kilka zwierząt zwraca uwagę swojem wykonaniem, zwłaszcza pies na przodzie. Słowem, ma obraz ten bardzo zajmujące szczegóły, lecz ta właśnie część, która powinna głównie zająć widza, nie robi wrażenia. Koloryt żywy i barwny.

Z nowego testamentu daje nam Steen naprzód dwa hołdy pasterzy. Jeden z nich obchodzi nas tutaj przedewszystkiem dlatego, że jest własnością Polaka. Jest nim Leon hr. Piniński. [1])

Obraz to znowu do pewnego stopnia rodzajowy. Wyjątek stanowi tylko Matka Boska o twarzy szlachetnej i pogodnej i wcale wdzięcznem ułożeniu. Chrystusek, to już zwykłe, tłuściutkie dziecko, reszta postaci, to chłopi holendersey, przeniesieni wprost z życia do obrazu. I tu rozwinął Steen swój talent w kreśleniu postaci chłopskich, pełnych werwy i charakterystycznej odrębności. Popatrzmy tylko. Czyż nie jest tutaj taką postacią św. Józef? A chłop, który trzyma koguta lub ta kobieta starsza, ofiarująca Jezuskowi jaja, — na dalszym zaś nieco planie chłop śmiejący się i inny jeszcze, o rudych włosach, który gra na ko-

---

[1]) Niech mi wolno będzie złożyć Ekscel. Leonowi hr. Pinińskiemu serdeczne podziękowanie za to, że pozwolił mi łaskawie jeszcze raz we Lwowie oglądnąć ten obraz.

bzie. W małym, pyzatym chłopaku, tuż za Matką Boską, poznajemy odrazu syna artysty. Dobrze malowany osioł biały i głowa wołu uzupełniają całość.

Lecz gdy tak wzrok nasz obejmuje po kolei rozmaite osoby obrazu, uderza rzecz jedna. Cały ten świat holenderski kąpie się w tonie bardzo ciepłym, ciemno-żółtym, kąpią się w nim wszystkie głowy i całe dalsze tło, a więc powała szopy, w której odbywa się to wszystko. I w ubiorach dostrzega się dużo żółtej barwy i szaro-żółtawem jest niebo, zaglądające przez bramę szopy, a przedstawione widocznie o zachodzie słońca, ulubionej porze Steena. Otóż wyobraźmy sobie, że wobec takiego ogólnego tonu całego obrazu Matka Boska ma na sobie płaszcz ciemno-niebieski, pod którym widać na piersiach szatę białą, że twarz ma bardzo bladą, prawie białą, bo jakieś leciuchne jej zaróżowienie spostrzegamy dopiero po zupełnem zbliżeniu oka do obrazu, a pojmiemy, że postać Rodzicielki wskutek tego doboru barw oddziałuje na nas chłodniej, aniżeli ten świat pasterski. Do tego ta twarz biała, chociaż, jak powiedziałem, o bardzo miłym i szlachetnym wyrazie, ma mało w sobie życia. To też nie dziw, że wobec tych okoliczności, widz szuka mimowoli ciepła i bujnego życia, które tryska z poprzedniej części obrazu.

Jednolitym za to pod względem kolorytu jest drugi hołd pasterzy — mały obrazek. Panuje w nim ton ciemno-brunatny, rozjaśniony w rozmaitych stopniach światłem. Światło to pochodzi od świeczki, którą trzyma w ręce św. Józef, i od latarni jednego z pasterzy. Matka Boska ma twarz jakby zatroskaną i nieco sztywną. Jezuzek zaś niczem się nie odznacza. O innych postaciach tutaj występujących, należałoby to samo powiedzieć, co powiedziałem przy obrazie poprzedzającym: począwszy od św. Józefa, jest to świat chłopów holenderskich. Typowe i pełne życia głowy św. Józefa, chłopa, który wspiera się rękami o beczkę, i dalszych czterech, otaczających Matkę Boską z lewej strony, zwłaszcza zaś tego, który podziwia Jezuska, z miną prawdziwie chłopską. Możnaby do nich policzyć jeszcze pasterza z kobzą, reszcie bowiem brak już wykończenia. Namalowano ją dla uzupełnienia tłumu.

W innym jeszcze obrazie, a właściwie we fragmencie z większego obrazu, wziął Steen treść z ksiąg nowego testamentu: „Michał Archanioł ze smokiem przed ołtarzem“. Sam Archanioł, smukły młodzieniec, o ładnej głowie, ze skrzydłami, w krótkiej bluzie zielonej i z nogami bardzo kształtnemi, nagiemi poza kolana. Lewa noga wsparta na niskim ołtarzu z płonącym ogniem:

na udzie tej nogi leży smok, do którego przymocowuje Archanioł łańcuch. Smok mały, nie wygląda zbyt strasznie. Twarz i nogi Archanioła są za bardzo różowe, ogień na ołtarzu dosyć mdły. Zgrabna postać młodziana, pewna wytworność w sposobie malowania i harmonia barw składają się na całość miłą dla oka.

O ostatnim wreszcie obrazie Steena, osnutym na motywach zaczerpniętych z nowego testamentu, powiem krótko. Jest to obraz allegoryczny — „Siedm dzieł miłosierdzia“. Figury na nim są tak małe, twarze tak lekko zaznaczone, że treścią swoją nie budzi zajęcia. Natomiast ładny na nim krajobraz włoski, ładne drzewa i dobra perspektywa.

Z kolei mamy obrazy takich znakomitych malarzy holenderskich, jak Pieter de Hooch i Jan van Goyen, tak znanych, jak Frans Mieris i Adryan Ostade, i mniej może znanych szerszym kołom, lecz nie obcych tym, którzy zajmowali się nieco szczegółowiej historyą malarstwa holenderskiego, jak Lievens i Brekelenkam. Przypatrzmy się więc ich dziełom.

Zacznijmy od dwóch obrazów Pietra de Hooch, artysty, który z takiem zamiłowaniem maluje perspektywiczne widoki z jednej izby do drugiej lub z izby przez otwarte drzwi na ogrody, place uliczne, kanały; był mistrzem w rozprowadzaniu światła w obrazach z pełnem oświetleniem słonecznem i bardzo często świetnym kolorystą. Obrazy lejdeńskie nie dawały niestety dobrego pojęcia o tem, czem był artysta w swoich znakomitych okazach. Jakże przedstawiały się one?

Oto mamy przed sobą jeden z charakterystycznych pod względem perspektywy obrazów Pieter de Hoocha. W środku pokoju siedzi pani domu zamożniejszego, obok niej stoi dziecko i podaje kawałek ciastka papudze, umieszczonej na kijku; z lewej zaś strony pokoju, w samym jego końcu, służąca trzyma na ręku mniejsze dziecko przed zwierciadłem, które odbija jego osóbkę. Obraz pochodzi z ostatnich lat życia artysty (1673), z czasu, kiedy zanikało już jego mistrzowstwo. Może dlatego zapanował w całym obrazku jakiś szary koloryt. Podłoga w kostki szare, białe i czarne, ściany szare. Nawet twarz pani, bardzo lekko zaróżowiona, ma odcień szary. Dużo też jest barwy białej: obok kostek podłogi, suknia pani i dolna sukienka stojącego dziecka. Ożywia ten szary koloryt jasno-pąsowy kaftan pani i dywan na stole, przedewszystkiem zaś wdzięczny, doskonały perspektywicznie i pełen słońca widoczek, który rozpościera się poza dwojgiem otwartych drzwi (za tym pokojem jest jeszcze przedsionek) i który

okazuje nam jakąś ulicę amsterdamską (tak mówi katalog) z kanałem i mostem, z domami i drzewami. Matka i dziecko, jak to bywa niekiedy u Hoocha, mają w twarzach swoich za mało życia (Pieter de Hooch zwykle mniej zajmował się twarzami ludzkiemi), a w postawie za mało naturalności. Widocznie zbyt myślą, jakie wrażenie zrobią na widzu. Służąca jest postacią zupełnie dalszoplanową, drugie dziecko ma twarzyczkę, jak już mówiłem, odwróconą ku źwierciadłu. Dywan, sprzęty, naczynia — doskonałe.

Drugi obraz tegoż artysty ma znowu koloryt żywy, złotawy i harmonijny: Myśliwy, który z żoną przypatruje się w jakiejś stajni zwierzynie upolowanej i rozłożonej na podłodze. Siedząc na klocu, oskubuje on w tej chwili z wielką uwagą jakiegoś ptaszka, żona natomiast, z dziecięciem u piersi, patrzy na to wszystko z powagą i jakby zadumą. Czy artysta chciał ją rzeczywiście taką przedstawić? Trudno powiedzieć. Może tylko nie nadał tej twarzyczce większego ożywienia i ztąd pewna sprzeczność w jej wyrazie z wyrazem twarzy mężowskiej i sceną, w której jako gospodyni domu bierze udział. Perspektywa, wykonanie zwierzyny i innych szczegółów otoczenia świadczy, że działał tu pędzel niepospolitego artysty.

Jana van Goyen, jednego z najdzielniejszych krajobrazistów holenderskich XVII. wieku, można było tutaj poznać z pięciu obrazów i poznać wcale nieźle. Przedstawiały to, co przedstawiały najczęściej jego utwory: widoki nad wodą i mieszkania chłopskie na groblach. Spojrzyjmy na ten „Widok fermy chłopskiej nad rzeką“. W ślicznej perspektywie maluje nam van Goyen rzekę, wielki ruch na niej, łodzie, a w nich ludzi. Na brzegu domy i drzewa. Wszystkie szczegóły krajobrazu wykonane ze zwykłem van Goyenowi mistrzowstwem. Cały prześwietlony słońcem, począwszy od wody u dołu ze ślicznymi połyskami, aż do złocistego nieba u góry, a więc cały w tonie złotawym, tak najczęściej charakterystycznym u van Goyena. Nastrój obrazu udziela się widzowi. A to samo prawie dosłownie trzebaby powiedzieć o drugim krajobrazie tego artysty, o kolorycie również złotawym, zatytułowanym: „Widok kanału prowadzącego do miasta Lejdy“.

To były widoki van Goyena nad wodą, lecz także inna grupa jego obrazów, grupa niemniej liczna, która przedstawia domy chłopskie lub robotnicze na groblach, dostarczyła również dwóch wielce zajmujących utworów. Należały do niej: „Dom robotników na piaskach“ i „Domy wieśniacze na groblach“. Zwracają uwagę w tych obrazach ogromnie żywe barwy, przypomina-

jące raczej wiek XIX., aniżeli wiek XVII., zwraca uwagę nadzwyczaj żywa zieleń drzew i trawy, chociaż drzewa te i trawę wykonano bardzo szablonowo, co spostrzegamy niekiedy również w innych obrazach van Goyena. Zresztą odznaczają się one niezrównaną perspektywą, doskonałem wykończeniem szczegółów, ładnie rzuconymi planami dalszymi.

Mniej zajmującym pod względem wykonania jest obraz piąty van Goyena: „Widok miasta, otoczonego murem, w okolicy górzystej".

Frans von Mieris, uczeń Dou, sposobem malowania pokrewny swojemu nauczycielowi, miał tutaj dwa obrazki: „Dama przy klawicymbale" i „Myśliwy wypoczywający w grocie". Wszechstronniejszy od nauczyciela w wyborze tematów, malował jednak przedewszystkiem wyższe towarzystwa. Obrazek pierwszy z powyżej wymienionych, będący własnością wielkoksiążęcego Muzeum w Schwerynie, jest właśnie tego dowodem, a zarazem nadzwyczaj ładnym okazem talentu artysty.

Przed klawicymbałem, zwrócona ku nam bokiem, stoi młoda dama wdzięcznej postawy. Nie tyle ładna, ile rysów miłych i inteligentnych, o cerze bardzo jasnej i jasnych włosach, z małemi i kształtnemi rączkami, ubrana bardzo strojnie w suknię u góry mocno wyciętą. Szyję, ramiona i odsłoniętą część pleców odtworzył artysta z gracyą i z wielkiem poczuciem linii. Dama prawą rączką podtrzymuje nuty, lewą zaś gra. Wtóruje jej na lutni pan średniego wieku, który siedzi za klawicymbałem. Z prawej strony wnosi chłopak jakiś napój.

Co uderza przedewszystkiem w tym obrazku, to wielka wytworność wykonania zarówno osób, jak również urządzenia pokoju. Uderza jednak zarazem ogromna elegancya i efektowność kolorytu, stykająca się prawie z jaskrawością. Na tej granicy jednak zatrzymał się szczęśliwie artysta. Wyobraźmy sobie bowiem, że dama ma na sobie suknię ceglasto-czerwoną i że tuż obok tej sukni ustawiono fotel z jasno-niebieskiem obiciem. Dodajmy, że tło do tych barw stanowi jasno-popielata ściana, a będziemy mogli unaocznić sobie w jakiemś przybliżeniu tę grę kolorów.

Obok efektowności jest również w tym obrazku wiele nastroju. Płynie on ku nam od osób grających. Twarze ich, co prawda, mają w cerze, jak to zwykle dzieje się u Mierisa, więcej wydelikacenia, aniżeli naturalności (odnosi się to przedewszystkiem do mężczyzny). Ale na twarzyczce damy maluje się silnie jakieś

smętne rozmarzenie, na twarzy zaś mężczyzny przejęcie się muzyką, pełne wielce pogodnego zadowolenia.

Ładnym kolorytem odznacza się również ów wspomniany już „Myśliwy". Grota, która stanowi dla niego tło, jest ciemno-oliwkowa, z nią harmonizuje odpowiednio strój myśliwego. Przez otwór groty widać krajobraz, zaznaczony bardzo delikatnie przez artystę. Twarz myśliwego malowana poprawnie, przebija się jednak w niej więcej chęć pozowania do obrazu, aniżeli pragnienie wypoczynku w grocie, do której się schronił.

Adryan Ostade, znany ze wszystkich galeryi malarz-humorysta holenderskiego świata chłopskiego, miał na tej wystawie obraz z bardzo wczesnej doby twórczości, bo z r. 1633, obraz przedstawiający głowę starca, czytającego przy świecy. Powstała ta głowa zupełnie pod wpływem Rembrandta i pod względem faktury zewnętrznej i pod względem kolorytu o tonie brunatno-złotawym.

Jan Lievens kształcił się razem z Rembrandtem u Lastmana w Amsterdamie, ztąd też można u niego dostrzec nierzadko pewnego pokrewieństwa z pędzlem Rembrandtowskim, pokrewieństwa zresztą dotyczącego cech więcej zewnętrznych, a nie siły talentu i siły wykonania. Malował obrazy dekoracyjne, historyczne, krajobrazy, przedewszystkiem zaś portrety. I tutaj były dwa jego portrety. Jeden z nich to portret mężczyzny w średnim wieku, w postawie siedzącej, o twarzy przyjemnej i cerze wydelikaconej, biało-różowej. Portret ten, malowany starannie i ze znaczną wykwintnością pędzla, nie posiada jednak większej siły ani w charakterystyce twarzy, ani w odtworzeniu całości.

Popiersie młodej dziewczyny, silnie oświetlone z lewej strony, robi przyjemne wrażenie bardzo jasnymi tonami, jakby zabłąkanymi tutaj z malarstwa więcej nam współczesnego. Twarzyczka nadzwyczaj biała, z leciutkim rumieńcem, włosy jasno popielate i sukienka (o ile sobie przypominam) jasno szamowa. Ale też twarzyczka ma za mało naturalności, włosy zaś są zbyt ogólnie traktowane. Jedna to z tych robót, które nęcą oko pewną wytwornością opracowania, lecz po bliższem przypatrzeniu się wykazują natychmiast swoje braki.

Quirin Brekelenkam, którego pięć obrazów było tutaj,[1]) nie

[1]) Szósty był własnością ks. Andrzeja Lubomirskiego, nie było go jednak jeszcze w Lejdzie w czasie mojej obecności, teraz zaś znajduje się w Przeworsku.

będzie nas długo zajmował. Historya malarstwa holenderskiego wyznacza mu skromniejsze stanowisko, a obrazy, które znajdowały się tutaj, nie należą do jego lepszych. Pod względem artyzmu budzi pewne zajęcie obraz przedstawiający komnatę domu zamożnego, w której zgromadziło się pięć osób, mężczyzn i kobiet, około stołu zastawionego jedzeniem i napojami. Perspektywa (przez otwarte drzwi zapuszcza się nasz wzrok aż do kuchni, w której widać krzątającą się służącą) i plastyka, oto główne zalety obrazu. Osoby starannie malowane, wyraz jednak ich twarzy jest w swym spokoju jakby zesztywniały, zwłaszcza przy nieco martwej inkarnacyi. A przecież rozmawiają one widocznie ze sobą i znajdują się przy stole biesiadnym. Do tego postawa ich i sposób, w jaki patrzą na widza, świadczą, że osoby te pozują artyście. Nie zupełnie też jasnym jest dla nas stosunek osób do siebie pod względem wzrostu. Ogólny koloryt obrazu jest szary, ściany pokoju są szaropopielate, podłoga w kostki czarne i białe. Wzmacnia ten koloryt znany strój holenderski osób obrazu, czarny z białymi kołnierzami. Sprzęty i naczynia wykonano z uznania godną dokładnością.

Inne obrazy tego artysty nie pociągają nas ani charakterystyką osób (zwrócę jednak uwagę na postać krawca w okularach w obrazie: „Warsztat krawca“), ani kolorytem, ani perspektywą, ani wreszcie wykończeniem akcessoryów.

* * *

Na Brekelenkamie kończę. Był w Lejdzie jeszcze jaki tuzin obrazów artystów mniej znanych lub obrazów, których twórców dotychczas nie oznaczono, lecz tych nie miałem już czasu przestudyować. Chodziło mi tutaj przedewszystkiem o Rembrandta, następnie zaś o tych, których nazwiska zajęły najbardziej poczestne miejsca w historyi sztuki holenderskiej. Przy tej sposobności mogłem się jednak zająć również kilku mniej głośnymi.

Bronisław Czarnik.

Wycieczka do Parany

(stanu rzeczypospolitej Brazylii).

Dziennik podróży.

(Ciąg dalszy).

Tuż przed zachodem słońca skończyła się urocza puszcza leśna i wjechaliśmy na znany mi już kawałek ziemi polskiej do ulicy kolonii Rio dos Patos, którą zwiedziłem już. Zabudowania spotykaliśmy po obu stronach drogi lekko górzystej. Wśród pól wykarczowanych i zasadzonych fasolą czarną lub kukurydzą, albo obsianych żytem, sterczały ogromne sosny „araukarye“ wysokie i grube, dowód niezbity ziemi urodzajnej.

Dróżki prowadzące od drogi do zabudowań, długie na kilkanaście lub nieraz kilkadziesiąt kroków, były ogrodzone płotem.

Zmrok szybko zapadał i pogrążał w cieniu inne szczegóły kolonii, które przeto uszły memu spostrzeżeniu. W noc ciemną dotarliśmy do miasteczka — stanęliśmy w karczmie brazylijskiej niejakiego Licinio de Mello, rządowca, ale przyjaciela Polaków. Podczas rewolucyi był on więziony przez polskich powstańców (federalistów); był obecny przy egzekucyi Portesa w niepewności, czy jemu to samo się nie stanie. Po stłumieniu powstania nie zmienił swej życzliwości dla naszych kolonistów; to też na jego

ręce złożyli oni spis osób, obowiązujących się przyczyniać pewną kwotą roczną do utrzymania księdza polskiego w Rio dos Patos. Pan Licinio de Mello miał obowiązek wręczyć mi tę listę, abym z nią powędrował do ks. biskupa kurytybskiego i spowodował zamianowanie stałego kapłana rodaka. Od siebie gospodarz dodał, że także Brazylianie chętnie się przyczynią do utrzymania księdza, od którego zresztą na początek nie będą wymagali nabożeństw i kazań portugalskich.

8. grudnia. — Z Rio dos Patos do Palmeiry.

Nazajutrz raniutko wyruszyliśmy około 6-tej przy jasno świecącem i grzejącem już słońcu. Droga była częściowo lesista i trochę pagórkowata. gdzieniegdzie szła po łące i stepach. Przed południem stanęliśmy w karczmie (wendzie) brazylijskiej, położonej między polskiemi koloniami Kantagallo (po polsku znaczy to „koguci śpiew“) i Sta Barbara. Pierwsza jest bardzo małą, liczy 22 rodzin tylko, z których dwie brazylijskie, reszta wychodźcy z Królestwa. Mijaliśmy ją właśnie po naszej prawej stronie. Wenda, w której zatrzymaliśmy się, znajduje się na wielkiej i uroczej polance, tj. w środku łąki, okolonej zewsząd lasem

Spożywszy czarną fasolę z mąką mandjokową i jaja sadzone, dosiedliśmy koni i w parę godzin potem przejeżdżaliśmy przez kolonię S-ta Barbara, która ma bardzo ciekawą przeszłość.

Po lewej stronie naszej drogi widać coś podobnego do wielkiej wsi. bieleje jeden przy drugim z 50 czy więcej domów: wszystkie pobudowane są dwoma rzędami. tworzącemi ulicę pośrodku. O ile z kilkokilometrowego oddalenia można sądzić, wydały mi się obszerne i porządne, tylko żadnego ruchu nie można było dostrzedz w około nich: żywej duszy ludzkiej, ani też zwierzęcia domowego nie ujrzałem. Wydała mi się zaklętą w senność, jak tyle innych w południowej Ameryce, gdzie często, wstępując do domu, dopiero spostrzegasz, że w nim ludzie mieszkają. Tu zaś od dawna istotnie już nikt nie mieszkał; opuszczoną ona została przez blisko sto rodzin włoskich, które pod przewodem Jana Rossi urządziły gminę na zasadach współdzielczych. Osadę tę nazywali niekiedy „Cecylia“. Jak wszystko, co nowe i nieznane, tak też i wieś ta socyalistyczna, utworzona w duchu romantycznego (St. Simon. Fourier) socyalizmu wolnościowego. była przedmiotem wyśmiewań i oszczerstw. O Rossim mówiono. że zaprowadza niby

wspólną własność, wspólne dochody, wolną miłość, a właściwie urządza spekulacyę i rozpustę. Tymczasem rzecz się miała odwrotnie. Rossi, dopóki się tam znajdował, pracował sam ciężko dla idei, był człowiekiem inteligentnym i szlachetnym. Kolonia jego wprawdzie rozpadła się i opustoszała, domy są jedynym śladem po niej, ale próba ta chybiona nie upoważnia do żadnych wniosków pesymistycznych, a tem mniej do oczernień. Rossi nie dorobił się żadnego majątku. Nie przesądzam o praktyczności pomysłów jego, ani o tem, czy możliwe wogóle jest urzeczywistnienie ich, ale to tylko wiem, że przyczyna nieudania się kolonii wogóle najczęściej jest tylko nieumiejętność wyzyskania ziemi, nieznajomość gospodarstwa rolnego i niezastosowanie się do otoczenia. Z podobną myślą, jak Rossi, wybrał się był też św. pamięci Jan Kośmiński do Parany.

Wedle brazylijskiej oceny ziemi jako „dobrej“, jeżeli jest gęstym lasem porosła i „złej“, jeżeli płaska i niezadrzewiona lub rzadkim i cienkim lasem pokryta, kolonia S-ta Barbara osadzoną została częściowo na „dobrym“ częściowo na „złym“ gruncie.

Wiele działków 25-hektarowych zajmuje obszar na pół „dobrej i złej“. Niektóre działki znajdują się wyłącznie na „złej“. Otóż wielu unieszcześliwionych „złą“ glebą, wyniosło się albo zaraz albo po paru latach, przekonawszy się, że nic na niej nigdy nie będzie rosło.

Tymczasem przyszły narody z „wysoką“ kulturą: nasi Bartki, Maćki i Hryćki oraz Niemcy z Rossyi, pono najniżej stojący ze wszystkich szczepów niemieckich. Ci ostatni, o ile nie wywędrowali do Argentyny, tudzież koloniści polscy i rusińscy zaprowadzili niesłychaną nowość: obory dla bydła i zbieranie oraz zachowywanie rzeczy tak paskudnej, jak gnój.

Okazało się, że ziemie „złe“ wolne są od powszechnej plagi południowo-amerykańskiej, mrówek, i że w pierwszym roku bez nawozu rodzą bardzo obficie żyto, tak jak nowiny u nas; w latach zaś następnych wydają też świetne urodzaje, byle tylko dostały cokolwiek nawozu. Wielka ilość gnoju spali roślinę w klimacie tamtejszym, lecz cienka jego warstwa przemienia nieużytek w to, cobyśmy w Europie nazwali ziemią przednią.

U nas w kraju na północy Europy nie rozumiałem wcale, co znaczy polskie wyrażenie: zboże ma kłosy „jak baty“. Dopiero pojąłem w Paranie znaczenie przysłowia tego, ujrzawszy niemal łokciowej długości kłosy. Prawdopodobnie pszenica też by się udała i łatwoby można, przy pewnej staranności i pomysłowości,

obronić ją od mnóstwa pięknych ptaszków, które zwykle w niezliczonej ilości zlatują się na niedojrzałe ziarnka pszeniczne. Podobno jest to zdumiewające, jak gatunek ptasi szybko z najdalszych nawet okolic, umie wywiedzieć się o pszenicy. To ma być przyczyną, dla której osadnicy nasi i Niemcy z Rossyi wolą uprawiać żyto. Lecz zawsze podejrzanem mi się wydało takie „opowiadanie"; więcej do prawdy podobnem jest, że rutyna chłopska jest przyczyną uprawy żyta.

Całe popołudnie poza Barbarą jechaliśmy okolicą wzgórzystą i bezleśną. W niektórych miejscach występowała skała, ogołocona z ziemi: przeważnie jednak kłusowaliśmy po stepie zielonym, mającym na skale, jak mnie zapewniano, stopę lub dwie stopy ziemi czarnej, czasem iłowatej, czasem wcale rodzajnej i będącej czarnoziemem prawdziwym.

Posuwaliśmy się dość szybko. Od czasu do czasu nawet ścigaliśmy się. Przekonałem się, że jednostajnym a ciągłym kłusem najwięcej się drogi przebiegnie w ciągu kilku godzin: wciąż bowiem prześcigałem galopem towarzysza kolonistę z Białej Wody. Lecz, skoro tylko cokolwiek wstrzymałem konia, zaraz się ze mną równał i mnie wymijał, jadąc wciąż jednostajnym uporczywym wolnym kłusikiem na białej krępej szkapie. Po trzech milach jazdy takiej, dotarliśmy do okolic miasteczka Palmeiry.

O kilometr przed miasteczkiem znajduje się malowniczy cmentarz, o białem murowanem ogrodzeniu, białych kamieniach i pomnikach; mieszkania nieboszczyków są tam ścieśnione na bardzo małej przestrzeni. Wokoło grodu zmarłych rozlega się puszcza piaszczysta i skalista. Barwa ceglasto-czerwona piasku przeplata się z szaro-zielonym kolorem lichej trawy, zdatnej tylko na pastwisko dla owiec. Łysina skalista wynurzała się nam coraz częściej z powierzchni czerwonawo-zielonawej.

Miasto Palmeira, gdy wjeżdżaliśmy do niego, w oświetleniu zachodzącego słońca i z powodu bardzo ożywionego ruchu na ulicach zrobiło na mnie wrażenie grodu daleko większego i znaczniejszego, niż jest w rzeczywistości; niby chudy i apatyczny człowieczek, przyozdobiło się tego wieczoru w niedzielny płaszcz męża, pełnego życia i siły. Była to wielka uroczystość kościelna i ludowa — 8 grudnia — dzień Niepokalanego poczęcia N. M. P.

W jednym hotelu, utrzymanym porządnie przez Niemca, stanęliśmy zmęczeni szybką jazdą konną podczas skwaru słonecznego. Był to bowiem grudzień, odpowiadający czerwcowi półkuli północnej. Zapijaliśmy się bez upamiętania piwem z browaru właści-

ciela hotelu: ordynarny ten trunek tylko tego wieczora z powodu wyschnięcia gardeł naszych i straszliwego pragnienia wydał się nam prawdziwie boskim nektarem, lepszym od wszelkich szampanów.

Z nastaniem zmroku, poszliśmy na plac główny: znajduje się na nim dość wielki kościół miejski. Pełno było ludu, tak na placu jak i w kościele. W samej świątyni katolickiej, rzęsiście oświeconej, przysłuchiwaliśmy się ze skupieniem chórom włoskim, którym towarzyszyły organy i orkiestra. Celebrował ksiądz Tedeschi, Włoch. Nabożeństwa włoskie i brazylijskie nie robią wrażenia poważnego: jest w nich coś lekkiego i teatralnego. Czułem się na nich, jakby na obrzędach religii nie swojej. Języki, które słyszałem w koło siebie, były: portugalski, włoski, niemiecki i polski — pierwsze bardzo przeważały.

9. grudnia. — Palmeira. Kurytyba.

Nazajutrz po uroczystości zdziwiłem się jak skromną i marną mieściną mi się Palmeira przedstawiła. Ulice wprawdzie znalazłem szerokie i pod kątem prostym się przecinające, ale było ich mało i tworzyły je domy drewniane.

Odwiedziliśmy proboszcza miejscowego, wspomnianego ks. Tedeschiego: uprzejmy, gościnny, otyły, odznacza się „tężyzną“ świecką i to podobno w wielu niepożądanych kierunkach. Dorobił się znacznego majątku i nie wygląda wcale na ascetę.

Księża w Palmeirze nie wielkiego zażywają poważania. Nie mogę zapomnieć lekceważenia, z jakiem o nich głośno rozprawiał na ulicy przed domem proboszcza policyant, Niemiec, katolik. Dowodził, że policya najwięcej na nich baczyć musi, gdy się ich kilku zjedzie do miasta. W opowiadaniach jego nie była widoczna przesada i niechęć urzędnika rządu liberalnego do rządu dusz, do rządu w rządzie, jakim niewątpliwie jest kler katolicki.

Pociąg z Palmeiry do Kurytyby wyrusza około 11-tej. Wsiedliśmy do niego i pojechaliśmy dobrze już nam znaną drogą, przechodzącą przez Restingę Sekkę i Serrinię. Rozweselały nas przez cały ciąg jazdy koleją łobuzy brazylijskie, elegancko ubrane a udające bez ustanku ryki i głosy różnych zwierząt swojskich i dzikich. U kresu podróży naszej w stolicy Parany stanęliśmy przed wieczorem.

Kurytyba. — 10. grudnia 1895 do 1. stycznia 1896 r.

Artykuły w Republice. Szkoła polska. Dostojnicy parańscy. Polska inteligencya duchowna i świecka.

Ostatnie trzy tygodnie kończącego się roku, przepędzone w Kurytybie lub okolicy, dały mi możność rozejrzenia się w stosunkach stolicy kraju parańskiego i koloniach ją otaczających. Była to pora roku tam najcieplejsza: mimo to, nie było wcale parno. Zupełnie dobrze znosiłem upał 40-stu stopni Celsyusza konno na słońcu w południe, tak jakby to było 25 stopni w Europie. Wysokość znaczna nad poziomem morza czyniła gorąco znośnem. Przypatrzyłem się nieco stosunkom politycznym i społecznym, osobistościom różnym oraz warunkom ekonomicznym (handlowi, przemysłowi, rolnictwu, hodowli, bogactwom mineralnym).

Aby nie brano nas w Paranie za naród złożony tylko z prostych i niewykształconych ludzi, rozpisałem się szeroko w szpaltach dziennika urzędowego, wychodzącego w portugalskim języku „Republica". Redaktor tego pisma, pan Nascimento, rządowiec, ze szczerą ochotą zgodził się dać gościnność mym wywodom i opisom. Nie żałowałem też pióra. Zapełniłem kilkanaście obszernych felietonów o polskiej mowie, literaturze i przeszłości. Francuzczyznę moją przetłumaczył starannie na język portugalski.

Zachodziłem do gubernatora, pana Xavier (wymawiaj Szawier). Z ciekawością on i jego goście wypytywali się mnie o szczegóły, odnoszące się do moich rodaków i wycieczek po Paranie. Byłem z tego bardzo zadowolony, gdyż miałem możność wypowiedzenia swoich przekonań i wyjednania niejednej rzeczy korzystnej dla swych rodaków.

Zażądałem od pana gubernatora gruntu miejskiego pod Szkołę Polską. Gdym to zaproponował gubernatorowi i umotywował przełożenie moje tem, że Włosi, mniej liczni w Kurytybie, dostali grunt obszerny pod szkołę, pan Xavier wyszedł do sąsiedniego gabinetu i, siadłszy przy biurku, unieruchomił się co najmniej na 2 godziny. Ja zaś dziurę wysiedziałem na fotelu z niecierpliwością wewnętrzną a lodowatą obojętnością na zewnątrz tak, jakby przystało na ambasadora. Gdy zaczęło mi się wydawać, że chyba nocować mi już wypadnie w pałacu rządowym, pan prezydent oderwał się od biura i podszedł wprost do mnie. Z portugal-

szczyzny jego zrozumiałem, że napisał podanie do magistratu kurytybskiego z przedstawieniem, że należy Polakom dać grunt pod szkołę tak, jak Włochom i Niemcom. Polecił mi zaś, aby komitet szkolny polski lub towarzystwo polskie zrobiło ze swej strony podanie do tegoż magistratu. Zaręczył, że zrobi co będzie mógł, lecz nie ręczył za skutek swych starań ani też za to, gdzie ten grunt będzie się znajdował.

Istotnie niemal nazajutrz w odpowiedzi na podanie towarzystwa polskiego imienia Kościuszki, magistrat udzielił temuż, jako jedynemu przedstawicielowi Polaków, na własność spory kawałek ziemi pod szkołę 3.108 metrów kwadr., t. j. 74 metrów długości, a 42 metr. szerokości. Grunt ten jest położony trochę poza środkiem miasta, blisko cmentarza, lecz z pięknym widokiem i możnością postawienia nie jednego budynku. W tym kierunku miasto Kurytyba się zabudowuje i niewątpliwie jest to jedna z lepszych już jego dzielnic.

Z naczelnikiem zarządu kolonizacyjnego, panem Aristidesem Pereira Liberatem, zapalonym zwolennikiem osadnictwa polskiego, łączył mnie stosunek więcej poufny i przyjacielski, niż z panem gubernatorem. Rozwijał on przedemną swe plany kolonizacyjne. „Jeżeli pańscy ziomkowie, — mówił — będą tak napływali do nas, jak dotąd, to pierwsza kolonia, jaką założymy, będzie za Rio Claro aż nad rzeką Timbo po lewym brzegu rzeki Iguasu“. Pokazywał mi na mapie rozmierzone już działki osady „Timbo“. Grunta mają tam być wyborne.

Rzeka Iguasu pozwala na spław płodów rolnych i dowóz przedmiotów przemysłu. Jak się dowiedziałem zkądinąd, istnieje nad rzeką Timbo tylko jedno niebezpieczeństwo: Bugrów czyli Butukudów, którzy pojawiają się na południowym (lewym) brzegu rzeki Iguasu. Jest to też część obszaru, do którego ma pretensye stan Santa Catharina. Wymiarkowałem, że te dwie okoliczności zachęcały rząd parański do osadnictwa w tamtych stronach, tak w celu wyparcia Bugrów, jak zaznaczenia swego władania ziemią wobec sąsiedniego stanu.

Ksiądz biskup, którego odwiedzałem, bardzo chętnie rozmawiał ze mną o kolonistach i księżach polskich. Książę Kościoła wyrażał swoje sympatye dla narodu polskiego, znanego w historyi z bohaterskich bojów za chrześcijaństwo. Żałował tylko, że tak mało jest pomiędzy nimi wyższego wykształcenia i że trochę nadużywają trunków gorących. Na księży polskich się skarżył, że myślą tylko o zrobieniu majątku — nie żalił się wobec mnie na

to, że się nie uczą dość szybko po portugalsku. Na to wszystko odpowiedziałem płynnie i z zapałem po francusku. Zapewniłem go, że piszę do „Republiki" o polskiej umysłowości, literaturze i przeszłości. Zaręczyłem, że zjawią się Polacy z wyższem wykształceniem i że Brazylianie poznają nas, jako naród z wspaniałą literaturą i wyższą cywilizacyą. Księży naszych wziąłem w obronę, zadając tylko skromne pytanie, ażali księża brazylijscy i włoscy są lepsi. Wymowne milczenie z mimiką przegranej było odpowiedzią na to zagadnięcie.

Pomiędzy duchownymi polskimi spotkałem na ogół ludzi światłych. Prawdziwie budujące miałem z nimi rozmowy na temat oświaty ludu; dziwić mi się tylko wypadło, czemu nie było widoczniejszych skutków tego poczucia apostolskiego. Przyczyny tego były mi wkrótce jasne... Oto, z małemi wyjątkami: brak przekonania, że z ludu prostego, niby ciągle małoletniego, może się stać czynnik kulturalny, dorównywujący brazylijskiemu, niemieckiemu lub włoskiemu, nieznajomość spraw świeckich z pretensyą najlepszego ich rozumienia, niezgoda i współzawodnictwo księży między sobą, rozdwojenie polityczne brazylijskie, wreszcie niechęć wyższej władzy duchownej brazylijskiej do cudzoziemców, a zwłaszcza do tworzenia parafii czysto polskich. Niema dotychczas ani jednej parafii polskiej, a tylko kapelanie na koloniach naszych.

I tak n. p. ksiądz Michał Sł., były przeor Bernardynów w Galicyi, przybyły do Kurytyby cokolwiek przedemną, zapowiadał się jako istna gwiazda przewodnia dla Polaków w Paranie. Wykształcony, energiczny, miły w obejściu, wesoły, jowialny, przejęty posłannictwem zrobienia czegoś dla swych rodaków, musiał przypaść do serca wszystkim, którzy bliżej się z nim zapoznali. Tymczasem okazała się u niego dziwna nieznajomość spraw świeckich przy niezmiernej, prawie pyszałkowatej, pewności siebie.

Znane jest przysłowie: monomachus superbia est. Z jowialnym uśmiechem na ustach patrzał na świat przez niesłychanie czarne i żółcią zachodzące okulary. Każdego po niejakim czasie w najlepszej wierze chrzcił mianem skończonego zbrodniarza. Pobłażliwym był tylko dla tych, z którymi był blisko i którzy poddawali się jego wpływowi, choć to były skończone miernoty.

Dostawszy niedługo po swem przybyciu miejsce wysokie i wpływowe koadjutora przy kapitule kurytybskiej, górował nad wszystkimi wykształceniem oraz niezwykłą znajomością łaciny i wogóle spraw kościelnych; stawał się coraz niezbędniejszym w kapitule.

Istotnie ujmował się za swymi rodakami. Z mapą w ręku przedstawiał konieczność tworzenia parafii czysto polskich. Argumenty namiętne, które przytaczał, były jednak gorsze od najcięższych oskarżeń i niestety podane w dobrej wierze. Ciągle z czarnemi okularami na oczach dowodził, że lud polski niema najmniejszej żywotności i może być tylko zależny od panującej rasy portugalskiej... Z szaloną nienawiścią przedstawiał Brazylianom, jakie to straszne łotry są Niemcy i jak się ich trzeba strzedz... jak to przyszli do Polski żebrakami a potem stali się panami... żywa przestroga dla Brazylian. aby nie dali się tak samo podejść przez tych niegodziwców... zatem Polacy nie są wcale niebezpieczni dla Brazylian i nie trzeba stawiać żadnych przeszkód ich rozwojowi. bo i tak staną się Brazylianami szybko. Trudno wymyśleć mniej skutecznego sposobu przekonywania. Aby ludzi do czego zjednać. trzeba im pokazać nie swą słabość, lecz siłę.

Dr. Stanisław Kłobukowski.

(Dalszy ciąg nastąpi).

Z życia Kajetana Węgierskiego

Pamiętniki i listy

WYDAŁ

Dr. Stanisław Kossowski.

(Ciąg dalszy).

„Il n'est point de situation dans le cours de la campagne, dont je viens de tracer... il n'en est peut-être aucune dans l'histoire, qui ait été marquée par des circonstances plus critiques, et qui ait plus le droit de mériter l'estime publique, que celle où nous nous trouvions. La position de l'armée n'était pas tenable; et une retraite immédiate impossible tant à cause de la fatigue que les trouppes avaient souffertes le jour précédent, que de la difficulté de leur distribuer les vivres et provisions nécessaires.

„Nie ma zgoła podobnego położenia w przebiegu tej wojny, którą opisuję... nie ma, być może, podobnego położenia w historyi, któreby odznaczało się okolicznościami bardziej krytycznemi i któreby więcej miało prawa zasłużyć na szacunek publiczny, niż położenie, w którem znajdowaliśmy się. Położenie armii było nie do zniesienia; a odwrót natychmiastowy niemożliwy, tak z powodu trudów, które wojsko wycierpiało w poprzednim dniu, jak również z powodu trudności rozdania im pożywienia i potrzebnych

Notre perte dans l'action. etait cruelle. Sir Francis Clarke s'etait distingué dès le commencement par beaucoup de talents. et une constante application mais le temps et l'intimité ayant fait connaitre d'avantage ses qualités il me devint cher. J'ai perdu, en lui un utile associé, un aimable compagnon, un ami sincere: et l'état fut privé par sa mort d'un jeune sujet de la plus grande espérance. Le sort du colonel Ackland, prisonier, qu'on disait être motellement blessé, fut une nouvelle source de douleur. Le général Fraser était expirant. Une balle pendant l'action avait percé mon chapeau, et une autre avait effleuré ma veste. M'étant un peu remis de ces douloureuses sensations, je parvins à changer, avant le point du jour, le position de l'armée. Le matin du 8-me le général Fraser rendit le dernier soupir. Il me fit prier avec les expressions les plus obligeantes de le faire ensevelier dans la grande redoute, sans parade, uniquement par les soldats de son corps. Toute la journée du 8. repondit à ce malheureux commencement. Les heures furent comptées par une suite de soins penibles, des doutes allarmants et d'objets lugubres. L'ennemi était formé en deux lignes: chacun de ses mouvements, les attaques répétés du corps du Lord Belcarras et une cannonade conti-

---

zapasów. Nasze straty w tej walce były straszne. P. Franciszek Clarke odznaczał się od samego początku wielkim talentem i stałą wytrwałością, czas zaś i serdeczny stosunek pozwoliły mi poznać bardziej jego przymioty i uczyniły mi go niezwykle drogim. Straciłem w nim użytecznego wspólnika. uprzejmego towarzysza. szczerego przyjaciela; a państwo przez jego śmierć zostało pozbawione młodego, największych nadziei obywatela. Los pułkownika Ackland, więźnia, jak powiadają, śmiertelnie rannego. był nowem źródłem boleści. Generał Fraser dogorywał. Podczas bitwy jedna kula przeszyła mój kapelusz, a druga musnęła mój surdut. Przyszedłszy cokolwiek do siebie po tych bolesnych wrażeniach, zdołałem zmienić przed brzaskiem dnia stanowisko armii. Zrana o 8-mej generał Fraser wydał ostatnie tchnienie. Prosił mię najuprzejmiej, abym kazał go pochować w wielkiej reducie. bez parady, jedynie przez żołnierzy jego oddziału. Cały ten dzień 8-go dostosował się do nieszczęśliwego początku. Godziny składały się z szeregu bezowocnych starań, zastraszających wątpliwości i smutnych czynności. Nieprzyjaciel był uformowany w 2 kolumny: każdy z jego ruchów, powtarzające się napady oddziału lorda Belcarras

nuelle, tenait les troupes dans la crainte d'un engagement général. On voyait de temps en temps des officiers blessés, s'appuyant sur des bequilles, ou sur les bras de leurs domestiques, descendre la colline et quitter les tentes de l'hôpital, pour rejoindre leur poste ou suivre la marche de l'armée. Les généraux furent employés à exhorter les trouppes.

„Au coucher du soleil le corps du général Fraser fut porté au haut de la colline, accompagné seulement d'officiers, qui avaient vecu dans sa maison. Les généraux Phlilips et Ridesel, et moi, nous fumes frappés du lugubre de cette procession. Ceux qui ignoraient que le secret avait été exigé par le défunt, nous aurait pû accuser d'indifférence. Nous ne pumes soutenir l'idée de ce soupçon, ni resister au désir de rendre nos derniers devoirs à ces restes respectables; nous suivimes le corps. Les circonstances, qui ont accompagné cette triste cérémonie, ont été décrites par le général Kingston. La continuelle canonade, pendant toute sa durée, la voix ferme et assurée dont le chapelain officiait, quoique souvent couvert de poussiere, que les boulets, tombants à ses côtés, faisaient lever: un melange confus de sensibilité et d'indignation repandu sur les visages des assistants ces

---

i ciągła kanonada wprawiała wojsko w obawę ogólnej bitwy. Od czasu do czasu widziano rannych oficerów, opartych na kulach, albo na ramionach swoich służących, schodzących z pagórka i opuszczających namioty szpitalu, aby stanąć na stanowisku lub przypatrywać się ruchom armii. Generałowie jak tylko mogli, dodawali żołnierzom odwagi.

„O zachodzie słońca ciało generała Frasera wyniesiono na szczyt pagórka w towarzystwie tylko oficerów, którzy mieszkali w jego domu. Generałowie Filips, Ridesel i ja byliśmy przejęci do głębi posępnością tego pochodu. Ci, którzy nie wiedzieli o ostatniem życzeniu zmarłego, mogliby nas obwinić o obojętność. Nie byliśmy wstanie dać jednak powodu do takiego podejrzenia, ani nie mogliśmy oprzeć się życzeniu oddania ostatnich usług tak czcigodnym zwłokom; poszliśmy za pochodem. Okoliczności, które towarzyszyły tej smutnej ceremonii, zostały opisane przez generała Kingston. Ciągła strzelanina podczas całego jej trwania, głos stanowczy i pewny, jakim kapelan odprawiał nabożeństwo, mimo, że często zakrywał go kurz, który sprawiały kule padające obok niego; czułość i oburzenie, zmieszane w wyrazach twarzy obecnych, pozostaną wiernie wyryte w pamięci człowieka, który był tego

objets resteront eternellement gravés dans la memoire de tout homme qui en a été témoin. — L'obscurité. qui croissait par degrès, ajoutait au sombre de là scene, et toutes les circonstances de cette solemnité funebre caractérisaient parfaitement l'horreur de notre satisfaction. Les reflexions qu'une pareille scene faisait naître, cederent aux cruels embarras de la nuit suivante. Une armée battue devait faire sa retraite en presence d'un ennemi enflé par la victoire...

„Nous depassait et qui occupait des postes fortifiés dans le derriere du pays. que nous devions traverser. Nous pouvions être attaqués par devant, en flanc. par derriere. La disposition de notre marche fut aussi bonne, que les circonstances pouvaient le permettre: et elle fut éxécutée par les officiers et les soldats, avec une précision, que l'experience du... peut seule enseigner. Les bagages qui ne pouvaient se mouvoir que sur une colonne, tomberent dans une confusion, qu'on ne peut éviter au milieu de la nuit, ou le plus simple accident un essieu cassé, une charette renversée, la betise ou l'ivrognerie d'un cocher peut arrêter la marche, et même deranger l'ordre de toute la ligne. On prit les plus grandes precaution qu'un accident pareil ne mit de la con-

---

świadkiem. Ciemność, jaka się wzmagała stopniowo, powiększała ponurość sceny i wszystkie okoliczności tej żałobnej uroczystości doskonale charakteryzowały okropność naszej zachcianki. Rozmyślania, które podobna scena wywołała, zostały zastąpione strasznymi kłopotami w następną noc. Pobita armia miała się cofać w obecności nieprzyjaciela, dumnego ze zwycięstwa.

„Mijała ona nas i zajmywała wzmocnione stanowiska w tylnych częściach kraju, który musieliśmy przebywać. Mogliśmy być atakowani z przodu, z boku i z tyłu. Sposób wykonania naszego marszu był o tyle dobry, o ile tylko okoliczności na to pozwoliły; oficerowie i żołnierze odbyli go z całą precyzyą, której samo przestudyowanie może wiele nauczyć. Bagaże, które musiały być zabrane przez oddziały wojska, sprawiły wiele nieładu, którego trudno uniknąć jest w nocy, gdzie najzwyklejszy wypadek, oś złamana, wywrócony wózek, głupota lub pijaństwo woźnicy, może zatrzymać pochód, a nawet popsuć porządek całej linii. Przedsięwzięto największe ostrożnosci, ażeby wypadek podobny

fusion parmi les troupes, et des ordres furent donnés au général Philipps d'avoir soin, en cas qu'il fut attaqué de couvrir notre marche, ou de se porter de manière que l'armée eut le temps de se former.

„A la pointe du jour, l'armée prit possession d'un terrain avantageux, et où il eut été très désirable de recevoir l'ennemi. Une halte était indispensable pour rafraichir les troupes et pour donner le temps aux bateaux, chargés de provision, qui ne pouvaient point suivre le pas de l'armée, d'arriver. On distribua des vivres aux soldats non sans une secrette persuasion que cette distribution était la derniere, parce qu'on savait que les restes de nos bateaux pouvaient être attaqués avec avantage de l'autre côté de la riviere malgré la protection de l'armée.

„Ayant respiré un peu, nous poursuivîmes notre route par un temps froid et des chemins impraticables. Au milieu de desastres et des malheurs publics, cette journée a été remarquée par une circonstance des souffrances individuelles, trop singulieres et trop interessantes pour être passees sous silence. Je parle du passage de Milady Henriette Ackland au travers de l'armée ennemie pour aller soigner son mari, qui y etait blessé et prisonnier.

---

nie sprowadził zamieszania pomiędzy oddziałami i rozkazy wydane generałowi Philipps brzmiały, ażeby bacznie uważał i w razie ataku bronił odwrotu albo ażeby zarządził takie środki, któreby ułatwiły uszykowanie się armii w każdej chwili.

„O brzasku dnia armia zajęła takie korzystne stanowisko, że było bardzo pożądanem przyjąć tam nieprzyjaciela. Zatrzymanie się było koniecznem, ażeby pozwolić wytchnąć oddziałom i żeby zostawić czas do przybycia łodziom, naładowanym produktami, które nie mogły nadążyć pochodowi armii. Rozdano pożywienie żołnierzom nie bez wewnętrznego przeświadczenia, że ten podział jest ostatnim, ponieważ wiedziano, że te łodzie, które nam jeszcze zostały, mogły być łatwo napadnięte z drugiej strony rzeki, pomimo ochrony, jaką powinna im dawać nasza armia.

„Odetchnąwszy trochę, wyruszyliśmy w dalszą drogę przy dość wielkim zimnie i po nieprzebytych drogach. Wśród klęsk i nieszczęść ogólnych, dzień ten zaznaczył się przez cierpienia osobiste, nadto szczególne i nadto zajmujące, aby mógł być pominiętym zupełnem milczeniem. Mówię o przejściu pani Henryki Ackland przez armię nieprzyjacielską, w celu pielęgnowania swego męża, który tam się znajdował ranny i uwięziony.

„La marche de cette femme avec nos trouppes, doit être citée, si ce n'est que pour constater l'autenticité d'un fait presque incroyable. Elle offrira au lecteur une peinture intéressante des malheurs, des entre prises le plus romanesques, realisées et dirigées par les chastes et respectables principes d'un amour legitime et du devoir d'une epouse. Quand l'armée était sur le point de se mettre en marche, après la halte mentionnée, j'ai reçu un billet de Milady Henriette, qui soumettait à ma décision la proposition de passer, ayant obtenu la permission du général Gates, dans le camp ennemi, pour soigner son mari, et marquait l'envie la plus decidée de l'éxécuter si cela ne contrariait pas mes desseins. Quoique j'eusse été très — porté à croire — par ce que j'en ai moi-même éprouvé, que la patience et le courage peuvent se cacher ainsi que d'autres vertus sous les formes les plus delicates, je fus stupéfait à cette proposition. Je ne pouvais concevoir — et cela me paraissait au — dessus de forces humaines, qu'une femme après avoir passé plusieurs jours dans la plus cruelle agitation, privée non seulement de someil, mais de nourriture, et exposée pendant douze heures à une pluie violente, aie pu concevoir l'idée d'aller se livrer la nuit toute seule à l'en-

---

„Pochód tej kobiety z naszą armią powinien być przytoczony choćby dla zaznaczenia autentyczności faktu prawie niedowierzenia. Przedstawi on czytelnikom zajmujący obraz nieszczęść, przedsięwzięć najbardziej romantycznych, urzeczywistnionych i kierowanych przez czyste i godne poszanowania zasady prawej miłości i obowiązku małżonki. Kiedy po wspomnianym przystanku armia była przygotowana do udania się w drogę, odebrałem bilet od pani Henryki, który poddawał mojej decyzyi propozycyę przejścia przez obóz nieprzyjacielski, po otrzymaniu pozwolenia generała Gates, aby pielęgnować swego męża; i wyrażał dalej ochotę najbardziej zdecydowaną urzeczywistnienia tego planu, jeżeli to się nie sprzeciwia moim zamiarom. Chociaż byłem bardzo skłonny sądzić — dzięki temu, co sam doświadczyłem — że cierpliwość i odwaga mogą kryć się równie jak inne cnoty w istotach najdelikatniejszych, byłem jednak tą propozycyą zdumiony. Nie mogłem pojąć i to wydawało mi się przechodzącem siły ludzkiej, aby kobieta przepędziwszy kilka dni w najokrutniejszym niepokoju, pozbawiona nietylko snu, ale pożywienia, i wystawiona podczas 12 godzin na gwałtowny deszcz, mogła powziąć myśl udania się w nocy zupełnie sama do nieprzyjaciela, nie wiedząc, w jakie ręce przypa-

nemi, sans savoir. dans quelles mains le hazard la ferait tomber. Les secours qu'elle pouvait attendre de moi, se reduisaient à peu de chose. Je n'avais. pas un verre de vin à lui offrir: mais j'ai apris depuis, qu'une main secourable et plus; fortunée lui avait trouvé quelques gouttes de rhum delayées dans de l'eau bourbeuse. Tout ce que je pouvais lui accorder fut un bâteau ouvert et quelques lignes pour la recommander à la protection du général Gates tracées sur un chiffon de papier sale et mouillé.

„Mr. Brudnell, chapelain de l'artillerie (le même, qui officia si exemplairement aux funerailles du général Fraser) se chargea de l'accompagner, et elle descendit la riviere avec une femme de chambre et le valet de chambre du major. Mais ces malheurs n'étaient pas encor à leur fin. La nuit survint avant que le bâteau put joindre les postes avancés de l'ennemi, et la sentinelle ne voulut ni le laisser passer. ni permettre que persone en descendit à terre. Ce fut envain, que Mr. Brudnell assura, que c'était un parlementaire, envain representa-t-il l'état extraordinaire du passager: la sentinelle. craignant une trahisou et ponctuelle à ses ordres, fut inexorable et menaca de faire feu sur la barque si elle osait avancer. Ici les souffrances et les inquietudes de Lady

---

dek może ją rzucić. Pomoc jakiej mogła się spodziewać odemnie ograniczała się do bardzo małego zakresu. Nie miałem nawet szklanki wina, aby módz ją ofiarować: dowiedziałem się później, że ktoś inny. skłonny do niesienia pomocy a szczęśliwszy odemnie wydostał dla niej kilka kropel rumu rozpuszczonych w błotnistej wodzie. Wszystko czem mogłem jej służyć polegało na odkrytej łódce i kilku wierszach, polecających ją generałowi Gates, nakreślonych na strzępku brudnego i mokrego papieru.

„Pan Brudnell, kapelan artyleryi, (ten sam, który celebrował tak przykładnie na pogrzebie generała Frasera) podjął się towarzyszyć jej, i ona popłynęła w dół rzeki. wziawszy pokojówkę i służacego majora. Ale te nieszczęścia nie miały się jeszcze ku końcowi. Noc zapadła wpierw nim łódka mogła dosięgnąć oddalonych forpoczt nieprzyjaciela. i warta nie chciała pozwolić ani im przejechać, ani dać komukolwiek wysiąść na ziemię. Napróżno pan Brudnell zapewniał, że to jest parlamentarka. napróżno przedstawiał stan wyjątkowy podróżującej; straż bojąc się podstępu a będąc ścisła w wypełnianiu swoich obowiązków, była nieubłaganą i groziła strzelaniem w stronę łodzi, jeżeli ośmieli się dalej płynąć. Tutaj cierpienia i obawy pani Henryki trwały przez

Henriette furent prolongées pendant 7 ou 8 heures d'une nuit obscure et froide, et les reflexions qu'elle fit sur cette première reception, ne durent pas lui donner une idée bien favorable du traitement qui l'attendait. Mais il faut être juste. Elle fut reçue par le général Gates, avec toute l'humanité et tout le respect qui étaient dus à sa naissance à son merite et à ses malheurs. Il faut que le lecteur soit informé, que celle, qui endurait tant de fatigues, et bravait tant de dangers, etait une femme de la plus delicate complexion, de la figure la plus agréable, accoutumée à toutes les aises, à toutes les jouissances recherchées, qu'une haute naissance et une fortune considérable peuvent s'accorder, qu'elle était très avancée dans un état, où les soins dûs au sexe dans le temps, lui deviennent indispensablement nécessaires.

„Quel est l'homme, qui n'envierait pas le sort du major Ackland? On ne peut pas être malheureux avec une femme, comme la sienne.

C'est à regret, mon cher Comte, que je reviens à mon journal. Quelque intéressant, que pourrait être le reste de mon journal, il ne vous offrira rien de pareil.

---

siedm do ośmiu godzin w czasie nocy ciemnej i zimnej, a rozmyślania, jakie sobie snuła na temat tego pierwszego przyjęcia, nie mogły jej dać korzystnego wyobrażenia o traktowaniu, jakie ją czekało. Ale trzeba być sprawiedliwym. Została przyjęta przez generała Gates z niezwykłą życzliwością i szacunkiem, należnym jej urodzeniu, jej zasłudze i jej nieszczęściom. A potrzeba, by czytelnik wiedział, że ta, która cierpiała tyle trudów i wystawiała się na tyle niebezpieczeństw była kobietą bardzo delikatnej budowy, o twarzy bardzo miłej, przyzwyczajoną do wszelkich wygód, do wszelkich wyszukanych rozkoszy, jakich wysokie urodzenie i znaczna fortuna mogą dostarczyć, że zresztą znajdywała się w poważnym stanie, w którym starania, potrzebne jej płci w takim czasie, stają się nieodwołalnie potrzebne.

„Czy jest jaki człowiek, który nie zazdrościłby losowi majora Ackland? Nie można czuć się nieszczęśliwym, gdy się ma żonę taką, jak jego.

Z żalem mój drogi hrabio powracam do mego dziennika. Cokolwiek ciekawego, czembym mógł zakończyć mój dziennik, nie będzie już podobne do powyższego faktu. Choćby nie wiedzieć jak był zajmującym koniec mego dziennika, nic Ci nie da podobnego.

„Après avoir examiné les différentes positions de l'armée anglaise nous suivîmes jusqu'à Saratoga la même route qu'elle, par de plus mauvais chemins, mais assurément avec moins de dangers; et nous vîmes des fenêtres de la maison du général Shnyler l'emplacement du camp où la convention fut signée. Il y a une centaine de soldats américains à Saratoga casernés; c'est la seule force militaire encore depuis West-point. Tous les forts et les frontieres du côté du Canada sont ab andonnées, et il n'y a pas une ame pour les defendre.

Une grande partie du Tocon-Ship de Saratoga apartient au général Shnyler; il a bâti sur la Frish kill des moulins à scier. d'une invention particuliere et d'une utilité remarquable:

C'est un homme très riche et très actif. et on dit ici de lui ce que Clement XIV. dit de monsignor Giraud, quand il le fit cardinal: „arduus in agendis negotiis, praesertim suis". Il commandait les trouppes opposées à Bourgoyne, mais sa retraite precipitée ayant mécontenté la nombreuse milice de Mashashushet et de Connecticut, elle menaca de se retirer et refusa de lui obéïr. Le géneral Washington fut obligé d'y envoyer le général Gates, et Shnyler fut jugé par un conseil de guerre, qui

---

Zbadawszy rozmaite pozycye armii angielskiej. szliśmy aż do Saratogi tą samą drogą. co i ona, przez najgorsze drogi. ale z pewnością i z mniejszem niebezpieczeństwem; ujrzeliśmy wkrótce okna domu generała Shnyler. miejsce postoju armii. w którem była podpisana umowa. Około stu żołnierzy amerykańskich jest umieszczonych w kasarniach Saratoga: jest to jedyna siła wojenna, począwszy od West-Point. Wszystkie forty i granice, od strony Kanady są opuszczone i nie ma żywej duszy do ich obrony.

Wielka część Tocon-Ship w Saratodze należy do generała Shnyler: na Frish-kill zbudował on tartaki skonstruowane w szczególny sposób a przynoszące wiele korzyści.

Jest to człowiek bardzo bogaty i bardzo czynny, i mówią tu o nim to. co Klemens XIV. powiedział o p. Giraud gdy go mianował kardynałem: „Arduus in agendis negotiis, praesertim suis". Dowodził on wojskami wysłanemi przeciw Bourgoinowi. ale jego nagły odwrót oburzył liczną milicyę Mashashushet i Connecticutu, która zagroziła odejściem i odmówiła mu posłuszeństwa. Generał Washington widział się zmuszonym posłać tam generała Gates. a Shnyler był sądzony przez radę

approuva la conduite qu'il avait tenue et lui decerna des remerciments.

Il me rapelle une anecdote relative à la convention de Saratoga, qui est assez plaisante. Le général Gates envoya le lieutenant colonel Wilkinson pour porter au Congrès la nouvelle de ses succès. Le messager fut quinze jours avant d'arriver à York en Pensylvanie, où le Congrés residait alors. La voix publique avait précédé le courier: mais sur les détails de cette victoire, l'assemblée decerna de faire au porteur present d'une épée: le president se leva, et dit, qu'il fallait y joindre une paire d'éperons.

Après avoir dejeuné chez Mr. Shuyler, nous pours uivîmes notre route et ayant passé la riviere d'Hudson, nous arrivâmes au Fort Edward. Toutes les maisons, tous les établissements de cette partie du pays, ont été détruits ou brûlés, pendant la marche de l'armée anglaise, et l'on y rencontre à peine, de temps en temps quelques hutes, qui mettent l'habitant à couvert. Nous distinguâmes difficilement l'emplacement de l'ancien Fort Edward: la route, que nous suivîmes de là jusqu'à Wingsfall est remarquable à chaque pas par des rencontres meurtrieres qui ont

---

wojenna, która uznała postępowanie, jakiego się trzymał, za odpowiednie i wyraziła mu podziękowanie.

Przypominam sobie anekdotę, odnoszącą się do umowy w Saratoga, a jest ona dosyć zabawną. Generał Gates posłał pułkownika-adjutanta Wilkinsona, aby zaniósł kongresowi wiadomość o jego powodzeniach. Posłaniec potrzebował piętnastu dni, aby dojechać do Yorku w Pensylwanii, gdzie wtedy kengres rezydował. Wieść ludzi poprzedziła tymczasem kuryera, ale dowiedziawszy się o szczegółach tego zwycięstwa zgromadzenie postanowiło obdarzyć posłańca szpadą: na to powstał prezydent i rzekł, że potrzeba do niej dodać jeszcze parę ostróg.

Po śniadaniu u pana Shnylera puściliśmy się dalej w drogę i przebywszy rzekę Hudson, dojechaliśmy do Fortu Edwarda. Wszystkie domy, wszystkie osady tej części kraju, zostały zniszczone albo spalone podczas przejścia armii angielskiej; i spotyka się tam zaledwie, od czasu do czasu, kilka chat, które dają mieszkańcom schronienie. Z trudnością rozpoznaliśmy miejsce dawnego fortu Edwarda: droga, którą postępowaliśmy ztamtąd aż do Wingsfall, jest na każdym kroku godną uwagi z powodu zabójczych starć, jakie miały tu miejsce podczas wojny w 58 r.

eu lieu pendant la guerre de 58. La cruauté des sauvages a arrosé tout ce pays de sang européen; mais les événements barbares ne meritent pas d'être consignés. Nous cotoyâmes presque toujours le Hudson, et nous eumes occasion de voir une des plus dangeureuses navigations qui existe.

La riviere est semée de rochers qui forment des chutes frequentes et considérables: cependant des radeaux, conduits par 4 à 5 hommes, descendent avec le courant le plus rapide, et ils sont souvent precipités de la hauteur de 12 à 15 pieds, sans se rompre. Vers le coucher du soleil nous arrivâmes chez le quaker Wings — c'est lui, qui a donné le nom à la principale cascade. C'est peut-être la chose la plus pittoresque du monde, et les effets en sont si variés qu'il est impossible de les décrire et il n'y a pas de pinceau, capable d'en tracer l'effet. Un „Roi" partage la riviere en deux, la partie de l'est glisse sur une pente douce, et se bombe sans ecumer, tandis que celle de l'ouest, après avoir brisé ses eaux sur trois gradins très considérables, et formé trois cascades différentes, se precipite dans un gouffre, et y joint la partie don elle est separée. Ces eaux, ainsi réunies, vont par sauts et par bonds environ 50 pas, et rencontrant une

---

Okrucieństwo dzikich zrosiło cały ten kraj krwią Europejczyków; ale barbarzyńskie wypadki nie zasługują, by o nich wspominano. Prawie bez przestanku szliśmy brzegiem rzeki Hudson i mieliśmy sposobność widzieć jedną z najbardziej niebezpiecznych przepraw, jakie istnieją.

Rzeka usiana jest skałami, które tworzą częste i znaczne wodospady; jednakże tratwy, prowadzone przez czterech do pięciu ludzi, częstokroć płyną z najszybszym pędem i spadają z wysokości 12 do 15 stóp, nie doznając najmniejszego uszkodzenia. Około zachodu słońca, przybyliśmy do kwakra Wingsa, który nadał imię głównej kaskadzie. Jest to — być może — rzecz najbardziej malownicza na świecie, a wrażenia, jakie wywołuje, są tak rozmaite, że niepodobna ich opisać — i nie ma pendzla, zdolnego je odtworzyć. „Król" dzieli rzekę na dwie części; część wschodnia spływa po łagodnej pochyłości i spada, nie pieniąc się; część zaś zachodnia, załamawszy swoje wody na trzech bardzo znacznych stopniach, tworzy trzy różnej wysokości wodospady i spada w przepaść, łącząc się tam z częścią, od której była oddzieloną. Wody te w ten sposób złączone, burząc i wspinając się płyną około 50 kroków, a spotykając wyspę na swojej drodze, obejmują

isle sur leur chemin, ils l'embrassent et l'environnent. Le contraste de flots blancs d'ecume, enveloppant une isle couverte d'arbres toujours verds, produit un coup d'oeil unique et inexprimable. Il était à peu près six heures quand nous quittâmes la cascade, et le bon quaker, qui nous y avait conduit, nous ayant remis dans notre chemin, nous continuâmes notre route dans les bois. Nous passâmes à côté d'un petit lac apellé bloddy Pound, où en 1755 le général Johnson battit et fit prisonnier le baron de Dieskau: le vieux Hendryk, fameux chef e'Indiens Mohocks, périt dans cette occasion, et la bataille fut si sanglante, que les eaux du lac furent teintes de sang pendant longtemps.[1]) 'Une circonstance, qui rend cette journée remarquable, c'est que les soldats anglais avaient tous oublié leurs bayonettes au Fort George, et qu'il ne s'en trouva pas une seule dans l'armée. La nuit nous surprit dans les bois: et nous n'arrivâmes que fort tard au lac George. Quoique nous ne pûmes trouver d'autre endroit pour loger qu'une petite hutte: nous arions passé une journée fati-

[1]) Voyez l'histoire de la guerre de 1755 en Amerique par le capitaine Knox.

---

ją w uścisku. Fale oblewające wyspę, pokryte białą pianą tworzą silny kontrast z zawsze zielonemi drzewami, co daje w swoim rodzaju szczególny i nie do opisania widok. Dochodziła szósta, gdyśmy opuścili wodospad, a dobry kwakier, który nas tam zaprowadził, wywiódł nas napowrót na naszą drogę: szliśmy dalej przez lasy. Przechodziliśmy obok małego jeziora, zwanego Bloddy-Pound, gdzie w r. 1755 generał Johnson pobił i wziął do niewoli barona de Dieskau: stary Hendryk, sławny wódz indyjskiego plemienia Mohocks, zginął w tej bitwie, a walka była tak krwawa, że wody jeziora były zabarwione krwią przez długi czas.[1]) Dzień ten czyni godnym uwagi ta okoliczność, że wszyscy angielscy żołnierze zapomnieli swoje bagnety w forcie Jerzego i że nie można było znaleźć ani jednego bagnetu w całej armii. Noc zaskoczyła nas w lasach i przybyliśmy bardzo późno do jeziora Jerzego. Nie mogliśmy znaleźć innego miejsca do zamieszkania, prócz tylko małej chatki. Po spędzeniu dnia, który nas znużył

[1]) Zobacz historyę wojny z r. 1755 w Ameryce przez kapitana Knoxa.

guante, et nous ne trouvâmes pas à nous reposer. Il n'y avait ni portes, ni fenêtres dans la chambre, et les vents y soufflaient de tous côtes. Nous nous endormimes malgré ces inconvenients: mais au milieu de la nuit, et dans le plus profond someil nous fumes reveillés par des cris perçants. On crut d'abord, que c'était des sauvages, qui venaient pour nous, égorger — c'était la maitresse de la maison, qui accouchait. Les rires, que cette meprise occasionna, les pleurs du nouveau né, les plaintes de la mère, et les jurements de ceux, que cela empêchait de dormir produisaient une scene digne du roman comique.

27. Octob.

Il n'était pas raisonable de nous recoucher, et nous tâchâmes de mettre à profit ce contretemps en nous occupant de trouver un bâteau pour notre navigation. Tout fut prêt vers les quatre heures, et nous nous embarquâmes, sans perdre du temps. Les étoiles brillaient encore. Le calme de l'air la sérenité du ciel, nous prômettaient un heureux passage. Les rameurs, qu'une bou-

---

bardzo, nie mieliśmy sposobności wypocząć. Nie było ani drzwi, ani okien w pokoju i wiatry świstały w nim ze wszystkich stron. Pomimo tych niewygód zasnęliśmy, ale wśród nocy i z najgłębszego snu zostaliśmy obudzeni przenikającymi krzykami. Myślano z początku, że to napadli dzicy, chcąc nas wymordować; była to jednak właścicielka domu, która odbywała połóg. Śmiechy, które ta omyłka spowodowała, płacz nowonarodzonego, skargi matki i przekleństwa tych, którym to spać nie dawało, składało się na scenę, godną zamieszczenia w komicznym romansie.

27. października.

Nie było rozsądnem kłaść się napowrót, staraliśmy się więc zużytkować ten wolny czas i zajęliśmy się wynalezieniem łódki dla naszej przeprawy. Wszystko było gotowe około czwartej godziny, to też wsiedliśmy nie tracąc czasu na statek. Gwiazdy błyszczały jeszcze. Spokój panujący w powietrzu, pogodne niebo, zapowiadały nam szczęśliwą podróż. Wioślarze, których butelka

teille de rum avait mis en bonne humeur, pousserent gayment au large. Nous perdîmes de vue, sans regret, la hutte, où nous avions passsé la nuit; et nous avançâmes rapidement. Un silence profond nous environnait, la surface des eaux était tranquille et unie: la lumiere des etoiles, qui pâlissait à vue d'oeil, dirigeait notre route, quand, tout d'un coup, l'obscurité qui précéde souvent l'aurore, nous enveloppa, et nous ne pouvions apercevoir les mouvements des rames, dont nous entendions un bruit monotone. Isolé ainsi par les tenebres, à combien de pensées tristes ne me suis-je point livré? Quelle vaste etendue de pays n'ai-je point parcouru, avant que le bâteau eut avancé vingt pas. J'oubliais, que j'etais sur un lac, que j'etais dans une frêle barque, et mes idées prenant l'essor, traverserent les mers, les monts, qui me separaient de l'Europe, s'arrêterent tantôt sur les malheurs de ma patrie, tantôt sur mes propres infortunes, et jetterent mon ame dans une agitation, qui repondait bien peu au calme, dont j'étais entouré, mais peu à peu le jour vint et mes sens distraits m'arracherent à cette fatiguante meditation.

Les eaux du lac George sont d'une limpidité, d'une clarté, d'un transparent inimaginable; elles laissent voir à 7 ou 8 pieds

---

rumu wprowadziła w dobry humor, wypłynęli ochoczo na środek, Bez żalu straciliśmy z oczu chatę, gdzie spędziliśmy noc i płynęliśmy szybko. Cisza głęboka nas otaczała, powierzchnia wody była spokojna i gładka, światło gwiazd, które bladło w oczach, kierowało naszą drogą, gdy nagle otoczyła nas ciemność, jaka poprzedza zwykle zorzę, i nie mogliśmy spostrzedz ruchu wioseł, których monotonny hałas słyszeliśmy. Odosobniony w ten sposób przez ciemności, w iluż smutnych myślach nie pogrążyłem się? Jaką znaczną rozległość kraju myślą przebiegłem, nim łódź posunęła się o 20 kroków. Zapomniałem, że byłem na jeziorze, że byłem w słabej łódce, i moje myśli nabierając lotności przybyły morza i góry, oddzielające mnie od Europy i zatrzymywały się raz na własnych moich niepowodzeniach a to wszystko wprawiło moją duszę w rozdrażnienie odpowiadające bardzo mało spokojowi, jakim byłem otoczony, powoli jednak poczynało dnieć i moje zmysły roztargnione dały pokój tak męczącym rozmyślaniom.

Wody jeziora Jerzego są niepojętej przejrzystości, jasności i czystości; na 7 do 8 stóp w głębi pozwalają widzieć dno o żół-

de profondeur. un fonds de sable jaune, semé de pierres, les poissons se jouant entre elles.

Jamais un brouillard, fruit mals ain des eaux stagnantes ne s'elève de ces ondes pures: ce crystal est encadré entre deux chaines de montagnes élevées, composées de rochers, immenses, qui forment des grottes d'une varieté et d'une solitude dignes des amours de Didon et d'Enée ou d'Angelique et de Medor. Sur les sommets des monts regne des forêts impénétrables. connus seulement aux ours, aux cerfs, aux élans, et au chasseur intrépide, qui, sans autre arme qu'un fusil, sans autre comgagnon. qu'un chien, s'enfonce dans ce bois, passer souvent quinze jours. couchant à l'air, et se nourrissant de viandes crues. Ce lac est semé d'une infinite d'isles. dont on fait monter le nombre à plus de 300 par la manière. dont elles sont jettées. elles forment des détroits, des zigzags, des labyrinths, des bassins superbes, et une varieté continuelle rend cette navigation infiniment romanesque et intéressante. Une grande partie de ces isles ont des noms relatifs aux différents événements qui les ont illustré, et plusieurs d'elles ont été le theâtre de scenes sanglantes et d'horribles massacres. Diamand-Island maintenant apellée isle de Bour-

---

tym piasku zasiane kamieniami. ryby igrające między niemi. Nigdy mgła, niezdrowy wytwór wód stojących, nie wznosi się z tych czystych fal. Woda ta. czysta jak kryształ ujęta jest dwoma łańcuchami wyniosłych gór. złożonych z ogromnych skał. które tworzą groty rozmaite i odosobnione, godne miłosnych schadzek Dydony i Eneasza, albo Anieli i Medora. Na wierzchołkach gór rozciągają się nieprzebyte lasy, znane tylko niedźwiedziom, jeleniom. łosiom i odważnym myśliwym. którzy za całą broń mają strzelbę, a za jedynego towarzysza biorą psa i zagłębiają się w las, przepędzają tam często piętnaście dni, śpią na wolnem powietrzu i żywią się surowem mięsem. Jezioro zasiane jest niezliczoną ilością wysp, których liczbę podają na więcej jak 300. Przez sposób, w jaki są ułożone, tworzą one cieśniny, zygzaki, labirynty. przepyszne baseny, a ciągła rozmaitość czyni tę przeprawę nieskończenie romantyczną i zajmującą. Wielka część tych wysp nosi imiona. odnoszące się do rozmaitych wypadków. które je odznaczyły i kilka z nich były widownią krwawych scen i strasznych rzezi. Diamond-Island, teraz nazwana wyspą Bourgoyne, była

goyne, fut l'endroit où ce général avait établi des magazins pendant sa malheureuse expedition. Elle fut attaquée par les americains, et defendue, avec succés, par le C-te Aubrey. L'isle de l'hospital est remarquable par la mort du Lord Hove en 1758. Il comandait une des colonnes envoyées par le général... contre Ficonderoga, fut blessé près du lac, et porté ici, où il expira. Nous dinâmes dans une isle, appellée Jourteen Miles Island parmi un amas de squelettes, restes d'un detachement d'américains commandé par le major Hopkins, surpris et égorgé par les Indiens. Des eaux, qui seraient dignes, par leur pureté, de baigner les membres delicats de Venus, ou le corps chaste de Diane ne sont employées qu'à laver des crânes dégoutants de sang: des grottes delicieuses qui ne devraient recevoir que des amants heureux, servent de tanière aux bêtes sauvages: et l'echo, qui ne devrait retentir dans un endroit aussi charmant, que de soupirs amoureux ou d'exclamations de bonheur, est condamné à répéter des cris de guerre des voix feroces et barbes, ou des gémissements des malheureux, qu'on égorge. Un vent du nord, qui se leva vers les deux heures après midi, retarda un peu notre navigation et nous ne pumes aborder qu'après le coucher

---

miejscem, gdzie ten generał założył magazyny podczas swojej nieszczęśliwej wyprawy. Napadli ją Amerykanie, a bronił z powodzeniem hrabia Aubrey. „Wyspa gościnna“ godną jest uwagi z powodu śmierci lorda Hove w r. 1758. Dowodził on kolumną, posłaną przez generała... naprzeciw Ficonderoga, został raniony przy jeziorze i tu przyniesiony ducha wyzionął. Obiadowaliśmy na wyspie zwanej Jourteen Miles Island, w pośród stosu szkieletów, pozostałości po amerykańskim oddziale, dowodzonym przez majora Hopkins, zaskoczonego i zamordowanego przez Indyan. Wody, które byłyby godne ze względu na swoją czystość służyć za kąpiel delikatnym członkom bogini Wenus albo czystemu ciału Dyany, służyły tylko do omywania ociekających krwią czaszek: przepyszne groty, które powinnyby przyjmować w sobie tylko szczęśliwych kochanków, służą za norę dzikim zwierzętom, a echo, które powinnoby rozbrzmiewać w miejscu tak czarującem tylko westchnieniami zakochanych albo wykrzyknikami szczęścia, jest skazane na powtarzanie krzyków wojennych, dzikich i barbarzyńskich głosów albo jęków nieszczęśliwych, których mordują. Wiatr północny, który zerwał się około 2 po południu, opóźnił trochę naszą podróż i nie mogliśmy przybić do

du soleil. Nous aprîmes, qu'il fallait de là transporter nos bagages, et aller à pied, à Ticonderoga, distant du debarquement plus de 3 milles. La journée agrèable, que nous avions, passée, fut terminée par une soirée penible. Il fallait traverser un pays inculte et marecageux, par une nuit très obscure, et sans guide. Souvent nous eumes de l'eau jusqu'aux genoux et nous tombions à tout moment dans des trous. Enfin après deux heures d'une marche fatiguante, nous découvrîmes une petite baraque, située pres de la cascade, qui borne la navigation du lac George, et qui porte ses eaux dans un canal, aboutissant au lac Champlain. Nous y obtînmes, avec une peine infinie un bateau pour descendre le canal et nous arrivâmes vers les 11 heures, aux pieds de l'ancien Fort de Ticonderoga. Le proprietaire et le conducteur du bateau était un colonel de milice. Nous lui temoignâmes en prenant congé de lui, combien nous étions flattés d'avoir été mené par une personne de son rang: mais il ne se contenta pas de ces expressions obligeantes, et nous demanda un prix si exorbitant pour sa peine, que j'ai crû qu'il voulait se dedommager sur nous des arrerages de sa pension, qui lui étaient dûs par le congrès. Une dispute, qu'une demande aussi exorbitante devait

---

brzegu aż po zachodzie słońca. Dowiedzieliśmy się, że potrzeba było ztamtąd przenosić nasze bagaże i iść piechotą do Ticonderoga, odległego od miejsca wylądowania przeszło o trzy mile. Dzień przyjemny, który spędziliśmy, zakończył się przykrym wieczorem. Musieliśmy śród bardzo ciemnej nocy i bez przewodnika przebywać kraj nieurodzajny i błotnisty. Często brodziliśmy w wodzie aż po kolana i co chwila wpadaliśmy w jamy. W końcu, po 2 godzinach męczącej drogi, odkryliśmy mały barak, położony blisko kaskady tamującej przeprawę przez jezioro Jerzego i niosącej swoje wody do kanału, który przytyka do jeziora Champlain. Z największym trudem otrzymaliśmy tam łódkę, aby przeprawić się przez kanał i około 11 godziny przybyliśmy do stóp dawnego fortu Ticonderoga. Właściciel i zarazem kierujący łodzią był pułkownikiem milicyi. Żegnając się z nim, okazaliśmy mu, jak nam to pochlebiało, że przewoziła nas osoba na tak wysokiem stanowisku, ale on nie zadowolił się naszymi uprzejmymi wyrazami i zażądał tak wygórowanej zapłaty za swój trud, że sądziłem, iż chce odwetować sobie na nas zaległości swojej pensyi, które należały mu się od kongresu. Sprzeczka, jaką tak wygóro-

naturellement occasioner, recula encore notre repos; mais après avoir arrangé le différend, nous passâmes la nuit à secher nos hardes, et à boire du thé.

---

wane żądanie musiało naturalnie wywołać, spóźniła jeszcze bardziej nasz spoczynek; zażegnaliśmy jednak nieporozumienie i przepędziliśmy noc, susząc nasze ubrania i pijąc herbatę.

(Ciąg dalszy nastąpi).

Przemysł górniczo-hutniczy w Galicyi
w roku 1906.

Nafta i wosk ziemny.

(Dokończenie).

Zestawienie sumaryczne wszystkich tych wyszczególnionych w pojedynczych okręgach urządzeń daje nam całokształt naftowego przemysłu górniczego w Galicyi i pogląd na jego olbrzymi rozwój w ostatnich latach.

W całej Galicyi było:

Szybów ropnych, z których wydobywano ropę	10	t. j.	28·57%
nieczynnych	25	„	71·43%
Razem .	35	t. j.	100%.

Otworów wiertniczych było:

W pogłębianiu	336	t. j.	11·27%
Wydobywano ropę ręcznie z . . .	108	„	3·62 „
Wydobywano ropę za pomocą pary z	1.408	„	51·37 „
Wydobywano ropę przy użyciu motorów gazowych	77	„	
Ropa wypływała sama	47	„	
Nieczynnych było	1.006	„	33·74 „
Razem .	2.982	t. j.	100%.

Długość wszystkich otworów wiertniczych nie jest nam oczywiście dokładnie znaną. Jeśli jednak przyjmiemy, że przeciętna długość każdego z nich wynosiła tylko 800 m., to otrzymamy, że sumaryczna długość wszystkich otworów wiertniczych wynosi 2,585.000 m. czyli 2.585·6 km. A ponieważ długość osi ziemi od bieguna do bieguna wynosi 12.710 km., więc długość wszystkich dotychczasowych galicyjskich otworów wiertniczych wynosi już piątą część średnicy całego naszego globu.

Do pędzenia tych otworów wiertniczych użyto:

Maszyn wiertnicz. poruszanych ręcznie	2		
„ „ pędzonych parą .	437	o mocy	12.247 k. p.
Motorów gazowych	2	„	35 „
Razem .	439	o mocy	12.282 k. p.

Do pompowania ropy użyto:

Pomp ręcznych	111		
Maszyn parowych . . .	120	o mocy	2.139 k. p.
Motorów gazowych . . .	24	„	356 „
Motorów ropnych . . .	1	„	12 „
Razem .	145	o mocy	2.507 k. p.

Pomp ssąco-tłoczących	234

Ruirociągi były w użyciu:

Do przewodzenia ropy	556.361 m.
„ „ gazów	123.283 „
„ „ pary	74.427 „
„ „ wody	144.511 „
„ rurowania otworów wiertniczych użyto rur walcowych hermetycznych . . .	1,560.438 „
„ rurowania otworów wiertniczych rur blaszanych	263.030 „
„ pompowania, rur różnej średnicy . .	564.619 „
Razem .	3.286.669 m.

t. j. 3.286·6 km. czyli 438 mil. — Jeśli długość tę porównamy z długością równika, która wynosi 40.003 km. czyli 5.391 mil,

to widzimy, że rurociągi, którymi posługuje się nasz galicyjski przemysł naftowy, zajęłyby dwunastą część równika, t. j. wymiar jednej potężnej godziny olbrzymiego zegara: Ziemi.

Zbiorniki były w użyciu:

Żelazne	454	o pojemności	399.922 m³
Drewniane . . .	1.650	„	83.845 „
Z różnego materyału . .	18	„	8.559 „
Razem .	2.122	„	492.326 m³

Jeślibyśmy dla łatwiejszego wytworzenia sobie wyobrażenia o zawartości tych zbiorników, zechcieli przemienić ich kubaturę na słupy o podstawie 4 m², a wysokości 50 m., więc mniej więcej takiej, jak lwowska wieża ratuszowa, to z pojemności tych zbiorników otrzymalibyśmy 2.461 takich wież ratuszowych, a przecież mimo tej tak na pozór wielkiej ilości zbiorników, przemysł naftowy właśnie w tym kierunku, t. j. z powodu braku zbiorników ucierpiał najwięcej i dotychczas milionowe, niepowetowane ponosi straty!

Jeżeli z powyższych dat statystycznych chcemy sobie wytworzyć pogląd na galicyjski przemysł naftowy w roku 1906, to miarą jego postępu jest dla nas 61.315 m. więcej niż w roku poprzednim przewodów do czerpania ropy z otworów wiertniczych, 172.044 m. rur blaszanych do rurowania otworów wiertniczych 173.710 m³ zbiorników na ropę więcej, niż w roku poprzednim.

Okręg górniczy	Szybów			Otworów wiertniczych				Maszyn wiertn.		
						ropodajnych		z popędem		
						z popędem				
	wogóle	pogłębianych	ropodajnych	wogóle	pogłębianych	ręcznym	parowym	ręcznym	parowym	
	Ilość									k. p.
								a) Ro-		
Jasielski	31	.	8	1.403	72	83	714	.	84	1.730
Drohobycki . . .	4	.	2	1.402	249	1	714	:	343	10.297
Stanisławowski . .	.	.	.	177	15	24	104	2	12	255
Razem . .	35	.	10	2.982	336	108	1.532	2	439	12.282
W roku 1905 . . .	32	5	6	2.922	360	107	1.596	3	448	12.156
w porównaniu z r. 1906 mniej	.	5	.	.	24	.	64	1	9	.
w porównaniu z r. 1906 więcej	3	.	4	60		1	.	.	.	126

Maszyn do pompowania i wydobywan. z popędem ręcznym	Maszyn do pompowania i wydobywan. z popędem parowym		Rurociągi (Pipes-lines) żelazne	Rurociągi (Pipes-lines) drewniane	w otworach wiertniczych rur walcowych	w otworach wiertniczych rur blaszanych	Zbiorników żelaznych	Zbiorników drewnian.
Ilość		k. p	metrów		metrów		Ilość	
p a								
88	72	1.324	258.533	.	481.407	110.466	177	440
1	60	1.049	269.384	.	1.036.248	142.604	270	1.047
22	13	134	28.444	.	42.783	9.960	7	163
111	145	2.507	556.301	.	1.560.438	263.030	454	1.650
113	137	2.198	495.046	.	1.407.067	244.357	437	1.683
2	.	.	.	.	.	.		33
.	8	309	61.315	.	153.371	18.673	17	.

W kopalniach wosku ziemnego było w okręgu Drohobyckim 6 szybów wydobywalnych z popędem parowym i elektrycznym. Głębokość tych szybów wynosiła 72 do 260 m.

Pod ziemią było 3.134 m. dróg żelaznych, wśród tych 325 dwutorowych, na powierzchni 1.915 m., wśród tych 1.015 m. dróg wózkowych, 500 m. dróg konnych, a 400 m. dróg wąskotorowych elektrycznych, dwutorowych. — Do poruszania wózków kopalnianych służyło 5 koni.

W ruchu były 3 maszyny wydobywalne o mocy 460 k. p., 15 pędzonych elektrycznie haspli o mocy 64 k. p., 2 parowe maszyny wodociągowe o mocy 95 k. p., 10 pędzonych elektryką maszyn wodociągowych o mocy 172 k. p., 8 wentylatorów pędzonych parą o mocy 8 k. p., 12 pędzonych elektryką o mocy 75 k. p., w końcu 8 wentylatorów ręcznych.

Kotłów parowych było w użyciu 10 o powierzchni ogrzewalnej 934 m³, 1 parowa turbina o mocy 250 k. p., 6 maszyn parowych do pędzenia, 7 dynamomaszyn, 8 przetworników, 3 elektryczne motory o mocy 20 k. p. do pędzenia sortowni: 2 seperatorów, 2 szt. do segregowania, 1 wału seperacyjnego, 4 stołów sortowniczych, 2 taśmy. 1 do przenoszenia ciał sypkich, 7 podnośnic, 5 huśtawek, 1 elektr. motor o mocy 2 k. p. do pędzenia warstatów, 1 elektr. motor o mocy 36 k. p. do pędzenia tartaku, 1 elektr. motor o mocy 6 k. p. do pędzenia piły cyrkulacyjnej, 1 elektr. motor o mocy 6 k. p. do pędzenia pompy ropnej, zasilającej palenisko kotła, 2 elektryczne motory o mocy 18 k. p., 1 turbina wodna o mocy 16 k. p. do pędzenia pompy tłoczącej, zasilającej wodą rzeczną: kotły, kondenzacye i topiarnie wosku, w końcu 1 elektryczny motor o mocy 12 k. p. do pędzenia centralnych urządzeń kondenzacyjnych.

Do oświetlenia podziemia służyły lampy bezpieczeństwa systemu Broučeka i Wolfa.

Podszybia oświetlano elektrycznemi lampami żarowemi. Nad ziemią były kopalnie oświetlone lampami łukowemi i żarowemi. Wogóle były w użyciu 4 elektryczne lampy łukowe o sile 1.000 świec normalnych i 573 lamp żarowych o sile 10 do 25 świec normalnych. Długość linij telefonicznych, któremi były połączone kopalnie, wynosiły 2.840 m., stacyi było 11.

Jako materyału strzelniczego używano w kopalniach borysławskich. t. zw. wetterdynamon'u; do podpalania używano elektrycznych lontów żarowych z 2 gramowemi kapslami. — Wy-

strzelano ogółem: 853 kg. wetterdynamonu, wartości 1.669 k. przyczem zużyto 2.423 szt. elektrycznych lontów wartości 597 k.

W okręgu Stanisławowskim było w tym roku w użyciu 15 szybów wydobywalnych, z tych 8 pędzonych parą, 7 ręcznie. Nad ziemią było 725 m. dróg żelaznych, 6 maszyn wydobywalnych o mocy 90 k. p., 4 parowe maszyny wodociągowe o mocy 55 k. p. (z tego 1 podziemna o mocy 15 k. p.), 8 maszyn parowych o mocy 51 k. p. do pędzenia wentylatorów, 1 motor wiatrowy o mocy 4 k. p. do pompowania wody, zasilającej kocioł i wody do picia, 9 wentylatorów z popędem parowym i efektem 2.010 m³ powietrza na minutę i 5 wentylatorów ręcznych.

Wszystkie maszyny parowe zasilała para z 11 kotłów parowych o powierzchni ogrzewalnej 335 m².

Okrąg górniczy	Drogi w kopalni żelazne	Drogi w kopalni drewniane	Drogi na powierzchni żelazne	Drogi na powierzchni drewniane	Maszyny wydobywalne ilość	Maszyny wydobywalne k. p.	Maszyny wodociągowe ilość	Maszyny wodociągowe k. p.	Maszyny wydobywalne i wodociągowe zarazem ilość	Maszyny wydobywalne i wodociągowe zarazem k. p.	Wentylatory z siłą parową	Wentylatory z popędem ręcznym	Inne urządzenia
	metrów												
	b) Wosk ziemny												
Jasielski	.	.	.	.	.	.	.	.	.	.	.	.	.
Drohobycki	3.134	.	1.915	.	3	460	2	95	.	.	1	8	66
Stanisławowski . .	.		725	.	6	90	4	55	.	.	9	5	20
Razem . .	3.134	.	2.640	.	9	550	6	150	.	.	10	13	86
W roku 1905 . . .	3.305	.	2.578		10	582	9	195	.	.	15	9	44
w porównaniu z r. 1906 mniej	171	.	.	.	1	32	3	45	.	.	5	.	.
w porównaniu z r. 1906 więcej	.	.	62		.	.	.	.	.	.	.	4	42

Statystyka nieszczęśliwych wypadków w kopalniach ropy i wosku ziemnego wykazuje w tym roku 7 wypadków śmierci, 137 ciężkiego zranienia, razem 144 nieszczęśliwych wypadków t. j. 24 wypadków ciężkiego zranienia więcej, niż w roku poprzednim, natomiast mniej o 2 wypadki śmierci.

Wypadki te rozdzielają się na pojedyncze okręgi górnicze w sposób następujący:

	wypadków śmierci	ciężkiego zranienia
W okręgu Jasielskim było . . .	—	18
„ Drohobyckim . . .	6	111
„ Stanisławowskim . . .	1	8

Na 1.000 robotników przypada w kopalniach ropy 0·78 wypadków śmiertelnych, a 20·18 wypadków ciężkiego zranienia. W kopalniach wosku przypada na 1.000 — 0·89 wypadków śmierci, 3·13 ciężkiego zranienia. Z nieszczęśliwych wypadków w kopalniach ropy przypada jeden wypadek śmierci na 1.289 robotników, jeden ciężkiego zranienia na 49.

W kopalniach wosku: jeden wypadek śmierci na 1.118 robotników, jeden ciężkiego zranienia na 319 robotników. Wypadek nieszczęśliwy, który dotknął równocześnie kilka osób, zaszedł trzykrotnie w kopalniach ropy. W pierwszym wypadku nastąpił wybuch gazu wskutek wznieconej iskry uderzeniem ciężkiego drąga o okutą ławę wiertniczą; zostało przytem 2 robotników zabitych, 1 ciężko zraniony. W drugim wypadku stała się przyczyną nieszczęścia wyrzucona gwałtownie z przepełnionego wodą kotła gorąca woda, która poparzyła ciężko palacza i pomocnika wiertacza. W trzecim wypadku został w czasie zapuszczania tłoku do pompy w otwór wiertniczy, wskutek uderzenia ramieniem kołowrotu zraniony 1 robotnik ciężko, 1 lekko.

Zestawiając dochody w r. 1906 za płody górniczo-hutnicze otrzymamy:

1. za płody górnicze	7,486.098	k.
2. „ hutnicze	6.319.332	„
3. „ sól	17.620.468	„
4. „ kainit	153.134	„
5 „ naftę i wosk ziemny	23.196.048	„
Razem .	54,775.080	k.

Ogólna suma dochodów była zatem o 975.801 k. większą, niż w roku poprzednim. Z zestawienia powyższego widzimy jednak, że dochód za sól zmniejszył się w tym roku o 1.547.837 k., za kainit o 20.466 k. — Języczkiem u wagi w dochodach z płodów górniczo-hutniczych jest większa wytwórczość i wartość węgla kamiennego, tudzież większa wytwórczość cynku i bieli cynkowej. Suma wyszczególniona w powyższem zestawieniu obok nafty i wosku ziemnego jest tylko obliczeniem otrzymanych w tym roku płodów, co wobec ciężkiego przesilenia, jakie ta gałęź przemysłu górniczego w Galicyi przechodzi, za dochód uważane być nie może.

k. z.

ODP. REDAKTOR ADAM KRECHOWIECKI. — NAKŁAD „GAZETY LWOWSKIEJ“.

Województwo Ruskie wobec rokoszu Zebrzydowskiego.

I.

Poglądy historyków na rokosz. — Przyczyny rokoszu. — Sprawa praktyk z Austryą. — Upadek zamiarów ligi. — Program zawarty w artykułach Bełzkich. — Podstawa rokoszu. — Przewroty polityczne na Węgrzech. — Wpływ ich na wschodnie ziemie Rzpltej. — Niebezpieczeństwa od Wschodu. — Znaczenie małżeństwa z Konstancyą austryaczką. — Opozycya Zebrzydowskiego.

Rokosz z lat 1606—1609 pojmowano jako walkę przeciwko królowi, spowodowaną przez butę kilku możnowładców, z której wprawdzie monarcha wyszedł zwycięsko, ale powaga jego majestatu została poniżoną i pogrzebaną. Wiele prawdy tkwiło w tym poglądzie, a jednakowoż jest on zbyt ciasnym, a jako taki nie zupełnie trafnym. Wypływa ze źródeł rokoszowych ten pewnik, że przeciwko Zygmuntowi III. wystąpili nie tylko możni i to niektórzy, ale cała większość szlachty, która uzyskawszy w czasie bezkrólewiów przewagę w rządach, sprawowała je na swych sejmikach i sejmach i całej swej przewagi użyła przeciwko królowi; a nadto jak wiemy dowodnie, i pomiędzy duchowieństwem byli stronnicy rokoszowi. Można też było uważać ten ruch szlachty przeciwko królowi, z powodu, że ta szlachta stanowiąca społeczeństwo Rzptej, podniosła w czasie owej walki hasło poprawy

rządu za ruch społeczny w kierunku reformy państwowej. Wyrazem takiego pojmowania dziejowego wypadku było dzieło Henryka Schmitta, p. t. „Rokosz Zebrzydowskiego". I poglądy tego historyka grzeszą jednostronnością, najprzód bowiem nie tylko szlachta, ale jak to dowodnie się przekonamy, i król dążył także do reform, powtóre do istotnej reformy szlachta nawet nie dążyła a raczej żądała zachowania i rozszerzenia swych stanowych przywilejów. Bądź co bądź Schmitt nagromadził tyle nowego materyału w swem dziele, że dostarczył niewątpliwych dowodów, iż wzięty przezeń w obronę rokosz był ruchem o szerszem znaczeniu, aniżeli nim byłaby walka z malkontentami, za jaką go uważano. Istotnie na dnie tej walki przeciwko królowi, jest tyle momentów ogólniejszej natury, tyle rysów charakterystycznych z zakresu walki o zasady, o kierunek rządów, że niezawodnie szersze i ogólniejsze znaczenie nadać należy owemu ruchowi rokoszowemu za Zygmunta, aniżeli je nadawano w naszych dawniejszych badaniach. Takiego też szerszego znaczenia dopatrywał się w rokoszu August Sokołowski, badając w pracy swej „Przed rokoszem" przyczyny, które fakt wywołały, i wskazując na jego styczne z równoczesnym ruchem w Węgrzech.[1]) Jest też stanowcza różnica w rezultatach badań Schmitta a Sokołowskiego i podczas kiedy pierwszy usiłuje wskazać wysokie cele, do których zmierzali rokoszanie, drugi w pracach swych[2]) wytyka rokoszanom brak przewodniej myśli politycznej, brak świadomości celu a zarazem potępia tych, którzy postępowaniem swem równie niepolitycznem wywołali ruch dla Rzpltej szkodliwy, a dla zreformowania państwa zabójczy.

Z najogólniejszego stanowiska badał rokosz uczony historyk naszego prawa, Aleksander Rembowski, w dziele „Rokosz Zebrzydowskiego", w którem wydał nowe materyały, odnoszące się do rokoszu i poprzedził wydanie uczoną rozprawą „Konfederacya i rokosz",[3]) wydaną w 1896 r. w wydaniu drugiem. Rokosz ocenia badacz jako epizod walk wewnętrznych o kierunek rządu, który był wadliwym, a który usiłowano naprawić na drodze starodawnych związków, jakie powszechnie używano na Zachodzie pod nazwą federacyi i konfederacyi, a których to skrajnym objawem był rokosz. Zapatrywaniom, że rokosz był jedną fazą w da-

---

[1]) Rozpr. wydz. hist. fil. Ak. Umiej. krak. rok 1882. t. XV.

[2]) Rokosz Zebrzydowskiego. Ateneum 1893 r., tom IV.

[3]) Bibl. ordyn. Krasińskich, tom IX.—XII. Warszawa 1886 do 1892.

żeniach federacyjnych, leżących w tradycyi społeczeństwa szlacheckiego, nie można odmówić charakteru objaśniania faktów dziejowych z naszej przeszłości na jak najszerszej podstawie naukowej i uwzględnienia łączności ich z zachodniemi dziejami. Słabą jednak stroną takiego poglądu jest ten wzgląd dla historyka ze wszech miar ważny, że pogląd ten nie objaśnia ani powodów rokoszu, ani przebiegu, ani też skutków dziejowych, a nadto jak z innej strony zauważono,[1]) gdy z uogólnień spada do szczegółów, staje się częstokroć nieścisłym i prowadzi na manowce. I Rembowski uważał rokosz jako objaw ujemny w naszej przeszłości, ale jak ta kwalifikacya nie objaśnia nam wszechstronnie epizodu dziejowego, tak z drugiej strony ocena i przedstawienie faktu z prawno-państwowego stanowiska nie zadowolni historyka, jakkolwiek posłuży mu za punkt wyjścia przy badaniu. Zdobycza badań dotychczasowych jest niezawodnie fakt, że rokosz był ujemnym objawem w życiu wewnętrznem Rzpltej, fakt jakkolwiek od czasów Łubieńskiego znany historykom, to jednak teraz w naukowem uzasadnieniu jaśniej się tłumaczący. Można też podnieść, że i przyczyny, które rokosz wywołały, są nam dokładniej w nowszych pracach przedstawione, aniżeli je zestawiano dawniej. Dzięki pracom X. Załęskiego[2]) znamy i sam przebieg rokoszu i stosunek rokoszan do Jezuitów lepiej i dokładniej a i skutki w dziele tego historyka są trafnie i plastycznie przedstawione; na stanowisko zaś króla do rokoszu, rzucił on pęk światła zaczerpniętego z archiwum wiedeńskiego, tak że i ta strona rokoszu jest dziś wyjaśnioną. Na wyniki tych prac powołujemy się poniżej, przedstawiając genezę rokoszu.

Na samym czele trudnej kwestyi rokoszu nasuwa się pytanie, o ile słusznem jest twierdzenie, jakoby głównie król Zygmunt dał przyczynę do powstania rokoszu. Twierdzili tak i starali się udowodnić rokoszanie, twierdził Schmitt a za nim wielu historyków; zapytajmy, czy i nowsze badania archiwalne potwierdzają owe sądy.

Forma rządów Rzptej w chwili, kiedy Zygmunt młody, bo 21 lat mający, zasiadł na tronie, domagała się reformy. Elekcye i pakta z elektami rozsadzały państwo, a sejmiki i sejmy mającemu i tak już związane ręce królowi uniemożliwiały rządy. Swo-

[1]) Ateneum 1893. IV. p. 153.

[2]) Jezuici w Polsce tom I., tudzież Rokosz Zebrzydowskiego i Jezuici w Przeglądzie powszechnym, rok 1898, t. 57 i 58.

body szlacheckie na skutek konfederacyi z 1573 r. urosły tak dalece, że szlachta rozporządzająca mieniem poddanych, mogła odtąd rozporządzać i sumieniem chłopka, jak to się działo w Niemczech, na zasadzie: *cuius regio illius religio*.

Syn Jana III. Wazy i pobożnej Katarzyny Jagiellonki, wychowany, aby mógł rządzić dwoma państwami takiemi, jakiemi były Szwecya i Polska, umiejący też na wysokości majestatu utrzymywać powagę królewską, mający wyższe skłonności i dążenia, jak zamiłowanie w malarstwie, muzyce, w sztuce teatralnej, nad wiek rozsądny i panujący nad sobą, mógł z czasem stać się reformatorem budowy państwowej. Ale zalety powyższe a nadto pewna ostrożność i trudność w rozdawnictwie wakansów, trzymanie szlachty w oddaleniu od tronu zrażały szlachtę do młodego króla. Najbardziej atoli raziło szlachtę usunięcie od dworu popularnego kanclerza Jana Zamoyskiego i polityka króla skłaniającego się ku Austryi. Nie była ona nowiną u Wazów, gdyż jeszcze w 1580 r. wyprawiał się ze Sztokholmu Possessino do Insbruku i Pragi z woli Jana III. w dziewosłęby o Austryaczkę, a nie była nowiną i dla Polski, mającej przymierza z Habsburgami z czasów Jagiellońskich, za których spadkobiercę uważał się Zygmunt III. Zresztą stosunki te z Austrya, nadwątlone przez kandydaturę Maksymiliana, mającego jeszcze w Polsce stronników domagały się niejako ponowienia przyjaźni, którą rozpoczął sam król staraniem o małżeństwo z Anną, córką arcyksięcia Styryjskiego Karola. Małżeństwo to zapowiadało niemałe polityczne korzyści dla Polski, o ile że Polska i Austrya miały wspólnego wroga w Turcyi, a właśnie podówczas Austrya, popierana przez Kuryę apostolską, pragnęła utworzyć wielką przeciwko Turcyi ligę, do której i Polskę wciągnąć zamierzano.

Powziąwszy zamiar, udaje się Zygmunt do ojca swego króla Jana III. do Estonii celem porozumienia się. Król ten trapiony przeczuciem, że Karol Sudermański zedrze koronę szwedzką synowi, nakłaniany był przez Rudolfa cesarza, by syna z Polski odwołał, a Zygmunt uwiadomiony o tem żądaniu cesarza, oświadczył nawet raz ustnie, że gotów koronę, którą już rok piastował, ustąpić arcyksięciu Ernestowi. I w Rewlu na zjeździe Jan III. nakłaniał syna do powrotu do Szwecyi i dopiero Skarga stanowczem wystąpieniem, przeciął pasmo praktyk rakuskich i przekonał Zygmunta o konieczności powrotu do Polski. Pomimo powrotu rozpoczęty tok rokowań wszedł w życie. Z Rewlu bowiem wysłał Zygmunt Inflantczyka Lamberta Wradera do Gracu, ofia-

rowując koronę polską, jeżeli na to zgoda stanów polskich i litewskich nastąpi, arcyksięciu Ernestowi. Bardzo trafnie mówi ks. Załęski.[1]) że nie była ta działalność przeciwko Polsce wymierzoną, że natura rzeczy wymagała przygotowania jej w tajemnicy — ale tajemnica nie utrzymała się i w całej Polsce wiedziano, że król Zygmunt o tron polski rokowania z Austryą toczy, że z Rewla nie powróci.

Co gorsza, że te rokowania z Ernestem nie ustawały. W listopadzie 1590 r. dojrzały one tak dalece, że Ernest podpisał w Gracu styryjskim asekuracyę, że gdyby Zygmunt za zgodą stanów zrezygnował z korony i ją na niego przeniósł, natenczas zapewnia Zygmuntowi przymierze Polski ze Szwecyą przeciwko wspólnym wrogom, pozostawi Estonię za zgodą stanów polskich i litewskich przy Szwecyi, wypłaci Zygmuntowi zaraz po koronacyi 400.000 zł., dopomoże do odzyskania księstw Baru i Rezy i sum neapolitańskich a i spuściznę po ciotce Annie królowej pozostawi Zygmuntowi. Cesarz aprobował ten układ, pragnął jednak, aby Zygmunt wpierw na Maksymiliana obrócił życzliwość. Kiedy asekuracyę tą wręczono Zygmuntowi, wiedziano już w całej Polsce, że król zamierza Polskę opuścić i oddać ją książętom Austryi, tudzież, że Zamoyski pragnie poruszyć Turcyą, zebrać wojska i wojnę toczyć z Austryą. Zwolennicy Zamoyskiego rośli w liczbę i trafnie ostrzegano cesarza, że wbrew temu, co niektórzy utrzymują, Ernest jest dalekim do osiągnięcia królestwa. Atoli najbardziej skompromitował króla Zygmunta jego dawny współzawodnik do tronu, Maksymilian, przez rozpisanie listów z 20. maja 1592 r. do senatorów polskich, w ktorych odsłaniał praktyki Ernesta i dodawał, że Zygmunt małżeństwem swem z Anną stwierdza obietnice dane Ernestowi. Zygmunt zaprzeczył praktykom rakuskim i donosy Maksymiliana nazwał zmyślonymi.

Pragnął tedy Zygmunt wynieść się z Polski, zrażony do niej a chcący zachować królestwo Szwedzkie, którego korona niepewną dlań się stawała. Przez asekuracyę Ernesta, któremu zapewniał koronę za zgodą stanów, pragnął zapewnić sobie korzyści, do których miał prawo. Rzecz wymagająca przygotowań wyszła na jaw przedwcześnie, wśród objawów, że stany nigdy nie zezwoli-

[1]) Pierwszym był Tomek, który w rozprawie Snahy domu rakouského o nabyti korune polske, Časopis čes. Mus. z 1853 p. 784, uważał zamiar Zygmunta jako całkiem zgodny z prawością, albowiem nie miano dokonać go wbrew woli stanów.

łyby na plan ustąpienia tronu, a Zygmunt skompromitował się i nadwyrężył powagę królewską.

Wśród takich stosunków małżeństwo króla z Anną, doszłe do skutku 30. maja 1592 r., poróżniło do reszty króla z Zamoyskim. Na miesiąc przed królewskim ślubem zwołał Zamoyski samowolnie zjazd w Lublinie i oskarzył tutaj króla o praktyki rakuskie, okazywał listy przejęte, ganił małżeństwo z Anną, żąda. zaniechania praktyk, zawieszenia małżeństwa i zwołania sejmu. Na te żądania odpowiedział król, że sejm zwoła; potwierdził piśmiennem zaręczeniem, że praktyk nie prowadzi a co do małżeństwa oświadczył, że go nie odłoży. Zamoyski zwołał drugi zjazd do Jędrzejowa na 1. czerwca, który król obesłał protestacyą. Na wniosek Zamoyskiego uchwalono wysłać deputatów na sejm. zwołany na 7. sierpnia 1592 r. i domagać się inkwizycyi na króla.

Na sejmie powstała burza: zabroniono królowi odprawiać sądów sejmowych. Zamoyski okazywał list Zygmunta do Ernesta. który jednakowoż okazał się być podrobionym. Celem uciszenia zamętu wystawił król drugą deklaracyę, oświadczając, że w żadne praktyki nie wchodził. pozwalał narodowi przeciąć je i prosić ojca Jana III., aby dalszych praktyk zaniechał i ukarał tych, którzy się niemi zajmują. Z drugiej znowu strony rozgrzeszył król zwołujących samowolnie zjazdy, jako w dobrej myśli zwołujących i przyrzekał, że gdyby po śmierci ojca wyjechać musiał, złoży kaucyę, że powróci do Polski.

W rezultacie król popełnił błąd w sprawie owych praktyk, z drugiej zaś strony Zamoyski, który nie przeprowadził ani inkwizycyi, ani wykluczenia Habsburgów. był winnym, albowiem podkopał tron i rzucił ferment anarchii pomiędzy szlachtą. Różnice pomiędzy królem z jednej a kanclerzem, który wyrósł tymczasem na przedstawiciela ruchu szlacheckiego, rosły coraz bardziej, gdy z jednej strony prymas Karnkowski samowolnie zwołał zjazd do Koła, na którym zniesiono uchwalony na sejmie 1590 r. pobór i ograniczono władzę hetmańską, gdy król nadał pieczęć wielką zwolennikowi swemu i Austryi ks. Janowi Roli Tarnowskiemu, gdy w styczniu 1590 r. senat przyzwolił na małżeństwo z arcyksiężniczką Anną, przez co przymierze z Austryą zostało ścieśnione.

Ta walka pomiędzy królem a kanclerzem, którą zażegnał nuncyusz Malaspina, przebłagawszy króla zagniewanego na Zamoyskiego i przejednawszy obydwóch w październiku 1592 r., odbiła się ujemnie i na polityce zewnetrznej. W paktach Będzin-

skich położono podwaliny do wspólnej akcyi przeciwko Turcyi przez ustanowienie klauzuli, że ani Austrya, ani Polska, nie wejdą z nikim i nigdy w układy, któreby jednej lub drugiej stronie utrudniały przystąpienie do ligi. Wobec naprężonych stosunków króla z kanclerzem, nawoływania do ligi nie znalazły posłuchu. Przez trzy lata słuchano ich, zaprzątano niemi sejmy, nie odnawiano z Turcyą przymierza, ochoty jednak nie obudzono. Prawda, że i cesarz Rudolf toczył rokowania jakby dla formy, jakby pod naciskiem Klemensa VIII., ale z drugiej strony całe stronnictwo kanclerskie nie ufało cesarzowi i nie wierzyło w szczerość jego zamiarów. Skoro tedy Mahomet III. sam począł szukać porozumienia z Polską i 1596 r. przysłał czausza do Warszawy z przystępnymi warunkami pokoju, [wysłano kasztelana halickiego Golskiego do Stambułu z zadaniami, by sułtan pozwolił osadzić hospodara w Wołoszczyźnie i Siedmiogrodzie i by odstąpił Polsce Munkacz, Koszyce i Huszt, gdyby je polskie wojska przed Turkami zajęły. Warunkami temi odsłaniał Zamoyski zupełną niemoc cesarza wobec Turcyi a i w Węgry północne rzucał zarzewie niepokoju. Nie przystała Turcya na warunki polskie i Szczęsny Herburt wyjednał w Stambule, że sułtan potwierdził Jeremiego Mohyłę i zapewnił następstwo tegoż synowi a nawet godził się na obsadzenie Siedmiogrodu.] Wśród wojen, jakie wnet potem w Siedmiogrodzie i na Wołoszczyźnie wybuchły, zdołał Zamoyski utrzymać Mohyłę na hospodarstwie, odniósł nawet walne zwycięstwo nad Michałem Siedmiogrodzkim 1601 r., osadził na Wołoszczyźnie Szymona Mohyłę, atoli do zhołdowania Siedmiogrodu nie przyszło, król Zygmunt w obawie zawikłań z cesarzem, nie pozwolił na to. Gdy i brat Jeremiego Mohyły, wspomniany Szymon Mohyła, nie długo utrzymał się na Wołoszczyźnie, mógł Zamoyski żywić ztąd żal do króla, o ile że na skutek upadku jego planów, sprawa cesarska tak w Węgrzech, jakoteż i w Siedmiogrodzie stanęła na silniejszych podstawach. Wsparty orężem takiego energicznego Jerzego Basty, który teroryzmem utrzymywał porządek w Siedmiogrodzie i północnych Węgrzech, zamyślał już cesarz o stałem ugruntowaniu tam swej potęgi.

Jeżeli tedy zamiast wspólnego działania, zamiast ligi, groził nawet czas jakiś konflikt pomiędzy Austryą a Polską z powodu Siedmiogrodu i Wołoszczyzny, to dodać należy, że król Zygmunt nie tylko że zażegnał nieporozumienia, ale nadto starał się zacieśnić przyjaźń z Austryą. Po śmierci pierwszej żony Anny powziął król zamiar, pod wpływem arcyksiężnej Maryi, drugiej żony Ka-

rola Styryjskiego, zaślubienia Konstancyi, przyrodniej siostry zmarłej żony. Duchowni z powodów kanonicznych byli przeciwnikami zamiaru małżeństwa z siostrą zmarłej królowej. W takiem stanowisku duchowieństwa opozycya zaczerpnęła nowej otuchy, jakkolwiek król miał stanowczą większość w senacie a oddanie laski marszałkowskiej margrabiemu Zygmuntowi Myszkowskiemu uraziło dotkliwie Zamoyskiego. Zwolennika swoich poglądów, Zebrzydowskiego, którego uczynił nawet egzekutorem swego testamentu i opiekunem syna, użył Zamoyski za narzędzie w przestrzeganiu króla, by nie pojmował Konstancyi za żonę. Zebrzydowski obsyła króla przestrogami i pismami, pogróżkami, że straci królestwo, król nie odpowiadał na pisma, a na ustne przestrogi dawał zapewnienia, że o „rodzonej" nie myśli. Rokowania tymczasem dojrzały w 1604 r. i trzeba było pomyśleć o zaciągnięciu pozwolenia ze strony senatu. Wtedy to zaczęto szerzyć pogłoski, że na sejmie przyszłym, który w początkach 1605 r. miał się odbyć, zamierza król do skutku doprowadzić koronacyę królewicza, wyjednać pozwolenie na swój do Szwecyi odjazd, zreformować sejmy, by odtąd większością głosów a nie jednomyślnością uchwalano wnioski. Zamoyski, podrażniony taktyka przeciwników, przy pomocy której wskazywano, że jemu raczej idzie o prywatę aniżeli o dobro publiczne, udaje się na sejmik Bełzki i tutaj dokonywuje aktu, który można uważać jako wstęp do rokoszu. Uchwały sejmiku Bełzkiego z marca 1605 r. zawierały surową naganę dotychczasowej polityki króla i były oskarżeniem całego stronnictwa rządowego; król marnuje pieniądze, uciska różnowierców, swawola żołnierska wzmogła się, gwałty i najazdy niepokoją obywateli, rząd zaś dąży do obalenia praw fundamentalnych, a powszechnie mówią o koronacyi młodego Władysława i o małżeństwie króla z bliską krewną. Na to wszystko szlachta nie może patrzeć obojętnie i żąda zmiany, przedewszystkiem żeby król paktom zadość czynił i dla ułatwienia tego celu należy podnieść władzę hetmana a politykę rządu poddać pod kontrolę zmieniających się co pół roku senatorów. Król nie ma prawa zasięgać prywatnie rady senatorów i jakieś odrębne senatulum czynić, jest on *legitimus* a nie *absolutus rex,* podlega prawu. Jeśli więc mimo zgody wszystkich senatorów król pojął arcyksiężniczkę Konstancyę za żonę, tedy na żadne oprawy nie zezwalać, ale i za królowę nie przyjmować. Charakterystycznem jest zakończenie instrukcyi dla posłów z Bełzkiego sejmiku na sejm wysłanych, „jeśliby ci bowiem nad zlecenia sejmikujących wykroczyli, opowiadamy się — mówią sejmi-

kujący, — że ich za nieprzyjaciół własnych i Rzpltej mieć będziemy". Rezultatem sejmiku Bełzkiego było, ze wiele innych oświadczyło się przeciwko zamierzonemu małżeństwu i nakazało upomnieć się, by król wypełnił pacta conventa.

Z temi wszystkiemi żądaniami wystąpiono na sejmie i stworzono niemi podstawę ruchu rokoszowego. Stronnikom królewskim nie pozostało, jak zerwać sejm. Wielu dotychczasowych stronników Zamoyskiego nie pochwalało taktyki kanclerza, nawet Żółkiewski potępiał „knowania pokątne, któremi odwracano od króla umysły poddanych". Król oddał w czasie sejmu pieczęć mniejszą Pstrokońskiemu, biskupowi przemyskiemu, co uraziło Zamoyskiego. Umarł on jeszcze w ciągu roku tego, ruszony apopleksyą, do końca życia podniecając ruch, który wkrótce potem miał wzniecić grozną Rzpltej burzę.

Tem groźniejszy miał ruch ten wziąć obrót, o ile, że podobnaż walka stanu szlacheckiego przeciwko królowi, jaką rozpoczął Zamoyski, zawieruszyła już była całe Węgry i Siedmiogród. Tam wszędy wrzało buntem od chwili, kiedy generał Basta ostrymi środkami począł torować drogę Habsburgom do panowania i do przywrócenia katolicyzmu. Trzeba było tylko wodza dla buntujących się poddanych, a takim stał się Stefan Boczkaj, który poparty przez Turcyę, a pędzony ambicyą, zapragnął wydrzeć władzę Rudolfowi. Dopomogło mu do celu antykonstytucyjne postąpienie cesarza, który to 1604 r. na sejmie Preszburskim, chcąc zapobiedz, aby kalwiniści nie przedkładali mu na przyszłość grawaminów, potwierdzając artykuły sejmowe, dodał samowolnie jeszcze jeden artykuł, mocą którego pod karą śmierci zabronił na przyszłość przedkładać grawamina na sejmie. Panowanie Rudolfa na skutek tego artykułu waliło się w gruzy. Pragnął cesarz zażegnać burzę przez zwołanie stanów do Preszburga, ale sejm naznaczony na styczeń 1605 r. nie przyszedł do skutku. Już w lutym tego roku, kiedy to Zamoyski przygotowywał artykuły Bełzkie w Siedmiogrodzie obwołano księciem Boczkaja, w kwietniu w Szerencz obwołali go Węgrzy, a w lipcu uznali i Sasi Siedmiogrodzcy. Dla Habsburgów urosło tem większe niebezpieczeństwo, o ile że cesarz wobec swej choroby woli i duszy stał bezradny, o ile z drugiej strony Boczkaj silnie oparł się o stany a nawet zawezwał stany Moraw i Ślązka do walki o wolność, a i szczęście sprzyjało mu i wodzowie jego Walenty Hommonay i Jerzy Seczy odnosili zwycięstwa nad wojskami Rudolfa. Wrócił i Stefan Illésházy z wygnania swego z Polski, dokąd schronił się był przed

zemstą cesarza, mąż, którego kardynał Klesl uważał za sprawcę i duszę Boczkajowego powstania.

Nie będziemy zajmowali się szerzej losami powstania Boczkaja, żądaniami Boczkaja, by cesarz zniósł prawa wymierzone przeciwko wyznaniom helweckiemu i augsburskiemu, a zarazem i ów samowolny artykuł Preszburskiego sejmu i zakon Jezuitów, nie będziemy wspominali, w jaki to sposób postanowiła rodzina Habsburska ratować usuwające się z rąk ich panowanie, które arcyksiążę Maciej utrzymać zdołał przez wejście w kompromis z Boczkajem i zawarcie pokoju 9. lutego 1606 r. a następnie 29. czerwca t. r. przez zniesienie owego artykułu antykonstytucyjnego z 1604 r. Nas głównie obchodzi ta okoliczność, że cały ten ruch rewolucyjny w Węgrzech podkopywał władzę monarchiczną i powagę Kościoła i że ta cała walka skutkiem zwycięstwa przeciwników cesarza musiała wywrzeć wpływ na współcześnie toczącą się walkę rokoszan z królem polskim. Rewolucya przeciwko „dziedzicznym władcom, gnębicielom wolnej elekcyi w Czechach i Węgrzech“ porywała ku celom swoim nie tylko rycerstwo pograniczne, podkarpackie, ale wogóle szlachtę, która od kilku dziesiątek lat wolną elekcyę jako źrenicę wolności uważać poczęła, o której utratę właśnie z powodu listu Zygmunta trwożyć się poczęto. Broszura Boczkaja, którą napisał przeciwko papieżowi i cesarzowi Rudolfowi i niektórym książętom, co się sprzysięgli celem wykorzenienia wyznań augsburskiego i helweckiego a rozszerzenia katolicyzmu, znaną była w Polsce.[1]) Zresztą zbiegali z Węgier do Polski zakonnicy, księża a nawet biskup Pięciokościołów, który umarł w Krakowie, z drugiej za się strony zaciągali dowódzcy Boczkaja pod swe chorągwie w sąsiednich polskich powiatach zbrojnych, słowem ruch cały odbijał się głośnem echem w Polsce. Głoszono nawet, że Zamoyski zamierzał wyprawić się do Siedmiogrodu na pomoc powstańcom, a pogłoska szeroko się rozeszła, gdyż i Klemens VIII. zapytywał w tej sprawie Zygmunta III.[2]) Zresztą, jak wspomniano, bawił w Polsce Illésházy, teraz już za powrotem do Węgier, wódz wojsk Boczkajowych, a i sam Boczkaj upraszał Zygmunta o zachowanie przyjaźnych sąsiedzkich stosunków. Cóż działa Zygmunt, który właśnie podówczas uzyskał był od senatu aprobacyę małżeństwa swego z Konstancyą. Król poparł na Węgrzech politykę austryacką, wy-

[1]) Wielewiecki II., 67.
[2]) Theiner M. P. III., 286.

syłając do Boczkaja dworzanina Gajewskiego z upomnieniem do zgody i ofiarowaniem pośrednictwa, podczas gdy stronnictwo Zamoyskiego jak najściślejszej żądało neutralności. Temu żądaniu nie mógł król polski zadość czynić, już to z powodu targnięcia się na prawowitą władzę królewską przez węgierskich poddanych, już to, że pożar węgierski grasował zbyt blisko granic polskich, aby miał spotkać zupełną obojętność ze strony króla. We własnym i Rzpltej interesie działając, musiał król potępiać ruch burzący prawowitą władzę i bronić się od jego wpływu ujemnego na Polskę. W szczególności przyszło zwrócić baczną uwagę na całe Podkarpacie. Toż uniwersałem z listopada 1604 r.[1]) ostrzegał król urzędy grodzkie i władze „o tumultach, które się wszczęły na Węgrzech i w Siedmiogrodzie, gdzie targnięto się na zwierzchność, opanowano już miasta a rozruch wzmagał się. Już się starają wciągnąć do swego swawoleństwa miasta nasze spiskie", wzywa tedy król do baczności i gotowości celem odparcia gwałtu, gdyby na czas spaść miał. W parę dni później[2]) nakazywał hamować i nie przepuszczać ludzi luźnych, których siła za temi tumulty węgierskiemi na tamtą stronę przechodzi. Po udaremnionym artykułami Bełzkimi sejmie odezwano się z polecenia króla do przemyskiej szlachty,[3]) że ponieważ ani obrona przeciwko nieprzyjacielowi nie postanowiona, ani nie uchwalono opatrzenia przeciwko nagłym niebezpieczeństwom, a tu pod samymi granicami wojska ścierają się, wpierając się prawie w granice nasze, nie mając w tak nagłem niebezpieczeństwie innej nadziei, jak tylko w miłości szlachty ku królowi i Rzpltej, wzywa ją, aby na wypadek najazdu bieżała pod chorągwie starościńskie i odpierała wroga. Sanoczan, jako bliższych źródła niebezpieczeństwa wzywano nawet równocześnie[4]) z powołaniem się na uchwały sejmu warszawskiego do pogotowia przeciwko napadom węgierskim. Były nawet pogłoski o starciach granicznych, głoszące, że mianowicie Polacy spalili Huszt na Węgrzech, a Węgrowie grozili, że najazd odwetują,[5]) ale groźniejszem nad te starcia był współudział poddanych polskich w ruchu węgierskim. Toż mandatami do sta-

[1]) Castr. Sanoc. 141, p. 704. Uniw. 25. listop. 1604.
[2]) 17. listopada 1604. Castr. San. 141, p. 762.
[3]) Castr. Prem. 321, p. 591. uniw. 27. kwietnia 1605.
[4]) Castr. San. 141, p. 922—923, uniw. z 7. kwietnia 1605.
[5]) Gr. Buskie. t. 11, p. 875 uniw. z 21. czerwca 1605.

rostów rozsyłanemi,[1]) zabraniał król surowo zaciągów takich, jakie się odbywały za pieniądze panów cudzoziemskich po miastach i miasteczkach podgórskich i przewożenia tych ludzi za granicę. Równocześnie zabraniał król czynienia buntów niezwyczajnych i prawu pospolitemu przeciwnych.

Antoni Prochaska.

---

[1]) Gr. San. 141, p. 1087.

MATERYAŁY
do historyi polskiej XIX. wieku.

Działalność emigracyi z roku 1831 na terenie Turcyi do pokoju Paryskiego.

(Ciąg dalszy).

Do Michała Czaykowskiego.

27. stycznia 1842.

Nim odbiorę list, o którym donosisz, że przez P. Chod.[1]) ma mnie dojść, zaczynam pisać, aby donieść, żem się widział z P. Pontois i księdzem Etienne, ten zaś ostatni mówił z p. Delagu. Z tego wszystkiego następujące wypadają wnioski, że rząd do niczego nie chce należyć i że wszystkiego się boi. Boi się najwięcej narazić sobie Moskwę, a wogólność nabawić się na jakikolwiek a m b a r a s,[2]) że więc ani grosza nie da i nic teraz nie pomoże. Powinniśmy na teraz być kontenci. jeżeli przeszkadzać nie będzie. Ambasada lepsza od rządu (prócz P. Rour,[3]) o któ-

---

[1]) Może H. Choński, współpracownik T y g o d n i k a e m i g r a c y i p o l s k i e j w Paryżu. albo Chodźko Leonard.

[2]) Wyrazy podkreślone w listach oryginalnych.

[3]) Nieczytelne.

rym dopiero usłyszymy), lepsi zaś jeszcze Lazaryści, którzy, dla lękliwości rządu, od przedsięwzięcia wcale nie odstępują. Na tem tedy stanęło, że układ stoi; ale pozostanie najsekretniejszym. Nikt o nim wiedzieć, ani go nawet zgadywać nie powinien. Gdyby był dostrzeżonym, tutejszy rząd przeciwnie by się oświadczył a Moskwa by wykonanie zniweczyła.

Lecz uznaliśmy obustronnie, że wy dwaj na miejscu najlepiej wiedzieć możecie, co się da wykonać. Róbcie więc, ale X. Leleu odbiera polecenie i ja go ci daję, aby krok po kroku, z największą ostrożnością postępować, aby celu polskiego nie wydawać, aby po jednemu, po kilku tylko naszych osadzać, aby ich liczba pomału i nieznacznie wzrastała, aby unikać wszelkiego hałasu, gadaniny, aby rzecz zachowała jedynie i zawsze charakter prostej dobroczynności katolicyzmu i ludzkości. Dlatego dobrze będzie przyjmować biedaków z innych narodów, których podobno nie wiele się tam znajdzie. X. Leleu ma tu wielki u swej zierzchności kredyt; więc co on postanowi, będzie tu przyjęte, byleście zawsze z ostrożnością i roztropnością postępowali; byleście się nie dali pociągnąć niecierpliwą chęcią posunienia się dalej możności i wbrew teraźniejszych trudności. Co do przełożonego i księdza stanęło, że dopiero, jak liczba jakaś kolonistów zbierze się, będą oni potrzebni i gdy sprowadzenie misyonarza z Polski zalękło szczególnie dyplomat(ów), uznaliśmy, że równie dobrze, a ja sądzę, że lepiej będzie wybrać księdza polskiego, byle go dobrze wybrać, którego Lazaryści przyjmą do swego domu w Stambule. Napisz, którego z naszych księży rozumiałbyś zdatniejszym do tej misyi. Co zaś do przełożonego, gdy będzie potrzebnym zawsze myślę o Omiecińskim. Mamy czas o tem myśleć. To pewna, że twoja osoba, będąc już celem intryg, podejrzeń, napaści moskiewskiej, wypadnie ci jak najmniej pokazywać się w tej rzeczy, chociaż w istocie nią dowodzić będziesz; twoje częste podróże posłużą w tej mierze, a ścisłe i tajemne porozumienie się z ks. Leleu zaradzi wszystkiemu. Czekam niecierpliwie wiadomości, jak poszło osadzenie pierwszych Polaków na kolonii, czy się udało bez trudności. Czy zyskałeś firman lub teskere na podróż do Dunaju, lękam się, ze napotkasz też same trudności co wprzódy; radbym już wiedzieć, żeś szczęśliwie wyjechał. To i zdrowiu pomoże. Moja żona odebrała list i manuskrypt podróży; dziękuje bardzo za posyłkę i za przepisanie. Stanie się podług twojego życzenia. O manuskrypcie nic nie mówię, bo wczoraj dopiero odebraliśmy go. Zapewne będzie interesującym, jego wydanie by-

łoby zaspokojeniem Jełowickiego. Najprzód przeczytam, a potem napiszę moją myśl. Choć się księdza nie sprowadzi z Warszawy, zachęciłem ks. Etienne, aby do swoich tam napisał, (co może z pewnością zrobić), wzywając ich do zbierania pomocy na dzieło katolickie wykupowania niewolników i dawania przytuliska biednym ziomkom. Obiecał to uczynić. Rzecz jest w ruchu, ile to podobnem było. Dalsze twoje raporta pokażą mi, o ile ona u was na miejscu już w wykonanie weszła i co mamy dalej robić. Powinieneś być sobą zadowolniony, nie można było więcej zacząć, więcej zrobić w tak krótkim czasie, z każdego momentu, z każdej okoliczności więcej korzystać, nic nie opuścić, z niczego coś wydobyć, jak to uczyniłeś; wierzaj, że z całego serca oddaje ci sprawiedliwość, że miło mi nader oddawać ją i że chyba uśmierzać twoją zacną i chwalebną gorączkę należy. Mój p. Czayko kochany, jeszcze nie możemy postanowić ostatecznie, jak się obrócisz, pokończywszy pierwsze zawiązki robót w Sławiańszczyźnie; na wszelki przypadek widzę różne niedogodności w sprowadzeniu żony i dzieci do siebie na Wschód, zdaje mi się bez rozstrzygnienia, że lepiej ich tu zostawić, będziemy mieli o nich staranie, póki nie wrócisz, więc o to przynajmniej nie troskaj się. Odebrałem teraz list 5-go stycznia i 7-go pisany. Dla odjazdu ks. Leleu i opóźnionego paszportu, żadna zmiana nie była zaszła w waszem położeniu i nic podobno dodać nie mam, tylko powtórzyć, że stan teraźniejszy interesów nakazuje, abyście najprzód cicho coś rozpoczęli i zafundowali, nim się inne zabiegi zaczną, któreby rzecz rozgadać i odkryć mogły. Dlatego wstrzymuję się o tym mówić i pisać różnym osobom, które mi wskazujesz, odkładając to do późniejszej pory, kiedy mi doniesiesz o rozpoczętej egzekucyi, kiedy tu i w Anglii można będzie zapukać do pobożnych i gorliwych. Tymczasem umyśliłem kilka słów osobno tu przygotowanych napisać po francusku, abyś je mógł pokazać ks. Leleu, jeśli znajdziesz tego potrzebę. — Bądź dobrej myśli, nie trap się o żonę i dzieci aż do swego powrotu lub innego układu, o których my troszczyć się będziemy. Twój przyjaciel Zyg. przysłał tu 400 fr., które ja radziłem zatrzymać w rezerwie dla żony i dzieci, zamiast je tobie posłać. Szanuj i pokrzepiaj zdrowie. Ja, ile razy Pani Czaykowska jest smutniejsza, nawiedzam ją; dzieci chorowały ale zdrowsze są. Kortrat pisze, że mu ofiarowałeś odstąpić Rawskiego do jego podróży. Toby była zmiana projektów osadzenia Rawskiego w Enos? Może w tej rzeczy twoje myśli zmieniły się. Bo już

o tem nie piszesz ani słowa. Niech cię Bóg nigdy nie odstępuje i wierz prawdziwej przyjaźni.

P. W. Zamoyski jeszcze w Londynie. Ks. Sapieha kłania. Dziękujemy wszyscy za życzenia o nowym roku; wzajemnie je zasyłamy. Bogdajby nie przeszedł bez zaprowadzenia nas, a przynajmniej zbliżenia nas do Ojczyzny. — Proroctwa nasze wszystkie zapowiadają, że się zacznie w tym roku a że się skończy 44-go. [1])

Do Michała Czaykowskiego.

Paris, ce 28. Janvier 1842.

Mon cher Czayka, après m'être entendu à ce sujet avec M. Etienne, [2]) j'approuve de mon coté comme il fait de sien, le projet de colonisation que vous m'avez envoyé et que je lui ai communiqué. Je vous autorise à procéder à son execution mais avec toute la circonspection que les circonstances commandent et en couvrant cet arrangement de plus grand sécret. Vous ne saurier mieux faire que de continnez à vous concerter sur tout cela avec Mr. Leleu [3]) dont le zèle pour la foi et pour l'humanité est prouvé et dont l'expérience et la sagesse inspirent une entière confiance. Je me réserve de vous parler encore de cette affaire une autre fois et j'attends que vous me donnier ulterieurement de vos nouvelles. Tâchez de conserver votre santé et croyez à mes sentiments invariables.

A. Czartoryski.

Do Michała Czaykowskiego.

7. marca 1842, Paryż.

Na kilka listów odpisuję, bo wodna poczta była zatrzymana, a o przeszłem jej wyjściu nie byłem zawiadomiony. Te kilka listów są prawie całkiem powtórzeniem poprzednich raportów, na które już odpowiedziałem, tak, iż ja także nie będę miał nic może

---

[1]) Bez podpisu.

[2]) Superior jeneralny Lazarystów.

[3]) Sup. Lazarystów w Konstantynopolu.

nowego do powiedzenia i powtórzę tylko po większej części to, com już zalecał i dawniejsze uwagi.

Legacye rządowe, opodal od swych władz będące, czują się swobodniejsze; więcej sobie pozwalają, odważają się na więcej w miarę charakteru i sposobu myślenia Posła i przy nim będących urzędników; czynią to bez instrukcyi, bez wyraźnego pozwolenia. Trzeba korzystać z ich dobrej woli i chętki do ruchu przeciwnego Moskwie i dopomagania nam. Ale ani dobrej woli ani chętki, słowem tego wszystkiego w Rządzie samym napróżnoby szukać: skoroby taką rzecz aż do jego wiadomości doszła, nie tylko pomocy żadnej byśmy nie znaleźli, ale owszem opuszczenie jej, jeśli nie wyraźny zakaz by nastąpił. To jest prawdziwy stan rzeczy, o którym nie trzeba, abyś zapomniał nigdy i nie spodziewał się na teraz czego innego. Na miejscu opodal zarwać trzeba, a raczej eskamotować tyle dobrego co można i na to tylko rachować. Kroki tu uczynione względem schronienia do ministerstwa a nawet do X. następcy o tej nieprzyjemnej prawdzie jeszcze bardziej przekonały. Nie widzę jasno jakie układy stanowcze miałbym tu teraz do robienia z ks. Etienne, który może także trzyma się na odwodzie, choć nie mam żadnego wyrzutu przeciw niemu i bardzo uprzejmym i chętnym zawsze mi się okazał. Aleśmy oba już oświadczyli wam, że powinniście, świadomi na miejscu wszystkich okoliczności, podług nich czynić. Jedyne nasze spólne ostrzeżenie było i polecenie, żeby z wielką roztropnością, zręcznością bez hałasu i krok po kroku rzecz posuwać jako przedsięwzięcie jedynie katolickie i miłosierne. Nasi ziomkowie tam się znajdą jako katolicy, jako biedni bez sposobu wędrowniki i w niewoli będący. Polacy tam jedni są w tem położeniu najliczniejsi, to się samo zrobi — Moskwa bowiem i inne nawet dwory zawezmą się, aby przedsięwzięcie w samym zawiązku zniszczyć. Niech go jak najpóźniej postrzegą i niepierwiej aż nabierze stałości i trudniejszem będzie do wywrócenia. Wszystko więc zależy od naszego z p. Leleu porozumienia i zręczności, róbcie co się da zrobić bez wystawienia na szwank, my ztąd będziemy pomagać i popierać o ile z daleka można. List do Z. K.[1]) zachowuję, poszlę go przy okazyi. Listy do Dam tutejszych są dobre, prócz małych języka omyłek, ale mają wadę, że są jedynie

[1]) Zdaje się, że jest tu mowa o Zygmuncie Krasińskim, p. str. 790.

w duchu polskim, którym te damy nie są przejęte do stopnia, jak rozumiesz.

Il ne faudrait pas dire que les Lazaristes cedent leur terrain aux Polonais; non, ces bons pères établissent des colonies agricoles dans différents points de l'Orient, à Stamboul, à Smyrna, à Naxos parce qu'elles servent de refuges aux malheureux catholiques sans asile et sans pain. Les Polonais sont les plus interessés à cette entreprise parcequ'ils sont plus malheureux et plus dénués que d'autres et que dans ce moment, ils sont très nombreux en Orient, exiles, errants, proscrits, prisonniers, esclaves etc.

Zawsze rzecz katolicka i miłosierna głównie i z początku okazywać się powinna; interes li polski konieczność miejscowa sama przez się zrodzi. Odsyłam więc dwa te bilety, abyś je w tym sensie nieco zmodyfikował, tembardziej, że nic nie nagli; bo lepiej, żeby przedsięwzięcie już postąpiło w exekucyi i okazało się w ruchu, nim się przystąpi do zbierania jałmużny tu w Paryżu.

P. Etienne rozmyślając nad trudnościami, których ze strony Moskwy i rządów przewiduje, spominał że możeby lepiej było rozpocząć rzecz więcej na ustroniu koło Smyrny, lub na wyspie Syra lub Naxos, gdzie także mają grunta. Odpowiedziałem, że te miejsca można uważać jako schronienia, gdzie naszych możnaby usunąć, gdyby nie podobna było ich przy Stambule osadzić, ale dopiero w takim razie należy ich tam cofnąć. Na taką propozycyę toż samo możesz odpowiedzieć. Do tego może nie przyjdzie. W takim razie najbliższe miejsce byłoby najlepsze. Myśl o księżach i o nauczycielach des écoles chrétiennes, wyborna by była, gdyby amatorowie Polacy do niej tu się znaleźli; ale na moją propozycyę, czynioną różnym, nikt dotąd się chętnym nie znalazł. Do tego trzeba wielkiej gorliwości i religijnej i patryotycznej, w wysokim stopniu, trzebaby zapomnienia na własne wygody i zyski, a tego nie znalazłem dotąd w nikim z tych, którym tę myśl otworzyłem. Powiadają, że Terlecki z klasztorka, który tu wkrótce ma przybyć, zdałby się i mógłby, gdyby chciał, zwerbować towarzyszów. O myśli naturalizacyi i przyłączeniu do legacyi nie zapomniemy, ale wiele przedstawia trudności w wykonaniu, chybaby przez samą legacyę była popartą i wtedy nawet wątpię, czy byłaby tu przyjętą. Z mojem imieniem jak najmniej występuj, bo to najbardziej razi obcych. Sam także staraj się znikać, bo już jesteś nacechowany. Podróże z tego względu będą użyteczne, jeśli potrafisz je z własnem bezpieczeństwem przedsiębrać. Widzę, że

bez teskiere chcesz puścić się nad Dunaj. Czy się to uda, lękam się, nie wystaw się na wyraźne niebezpieczeństwa i pamiętaj, że z kilku stron może na ciebie czyhają. Publikacya demokraty naucza, jak dalece strzedz się należy. Jest to wypadek niezrozumiany.

Powtarzam więc polecenie, żeby spalić papiery niepotrzebne i wszystko co dotyczy K. H., którego nie wiem, czy znajdziemy kiedykolwiek. Względem ciebie samego, kochany p. Czayko, sądzę, że nie możesz powrócić, nie dokonawszy swojej misyi, to jest nie doszedłszy do pewnego rezultatu i użytku niewątpliwego. To zrobiwszy, będziem myślić, co potem ma nastąpić. Więc swoje czyń tak jak dotąd. Jeśli się uda dostać się do Tulczy i tam zawiązać stosunki, jest tu człowiek chcący osadowić się tam i dalej, mający osobiste stosunki na Bessarabii i Ukrainie, bo tam dobra posiadał P. Zadarnowski, może Ci znajomy, który zdaje się jak najlepiej dotąd usposobiony. Bądź oszczędnym, pamiętaj, że twoja misya już wzięła czternaście tysięcy przeszło, niepodobna przez rok teraźniejszy nowe zasiłki przesyłać: przesłanemi należy się obejść. Jełowicki z Kwietniem przestaje dostarczać funduszów. Ja więc wezmę staranie. Chciej do żony napisać, aby była spokojną, aby żadnym plotkom nie wierzyła, aby nie zwierzała się i nie ufała tylko twoim nielicznym przyjaciołom: a we wszelkich troskach do mnie się tylko udawała. Kwota płacona dotąd przez Jełowickiego będzie jej regularnie dostarczana, bądź w tej mierze spokojnym: twoja żona i dzieci nie będą nigdy opuszczone, a gdy da Bóg, zdrów wrócisz do nich, wszyscy razem za takie szczęście oddamy dzięki Opatrzności. — Nie mam zda mi się nic więcej do napisania. P. Wł. Zam.(ojski) wrócił z Londynu, gdzie jego pobyt nie był bezkorzystny dla sprawy i natychmiast pojechał do Nice do brata chorego, zkąd zapewne do ciebie napisze. Wiesz zapewne historyę Ledóchowskiego, który zabrał całą sukcesyę pani Małachowskiej (i) rozdaje w emigracyi. Wiesz, że Zwierkowski jest członkiem znaczącym rządzącego Komitetu zjednoczenia: czy to naszego Zwierzchowskiego [1]) nie wstrząśnie i nie osłabi we wziętych obowiązkach? Bywaj zdrów kochany p. Czayko. Bądź dobrej myśli, szanuj zdrowie. Niech Bóg prowadzi. Spodziewałem się listu, alem

[1]) Może tu mowa o Ludwiku Zwierkowskim (Lenoir) bracie Walentego albo o Wacławie Zwierzchowskim, pporucz. sztabu z r. 1831.

go jeszcze nie odebrał, więc kończę. Ks. Sap(ieha) i moja żona kłaniają serdecznie. [1])

Do Michała Czaykowskiego.

Paryż, d. 17. marca 1842.

Słaby jestem trochę i mało mam czasu, krótko więc pisać będę. Ostatnie listy z d. 27. stycz. doszły do mnie. Nic nowego nie przyniosły, żadnej nowej instrukcyi nie potrzeba. Nie smuć się rozmową z Caningiem, [2]) to człowiek bojący się wszystkiego i ciasnego rozumu dyplomata, nie dziw, że cię tak przyjął. Trzeba mu dać pokój, ale się nie odstręczyć dla tego od wszystkich Anglików. Jakem już pisał, postępowanie posłów na swych misyach zależy od ich indywidualnego charakteru, a nie od odebranych instrukcyi, których nie mają.

Twoja żona, kochany p. Czay., coraz bardziej mnie męczy, chcąc koniecznie, abym jej powiedział, kiedy powrócisz; naturalna to rzecz, że za tobą tęskni, ale by to było się jej i tobie bardzo źle posłużyć, gdyby przyspieszyć twój powrót, nie doszedłszy do rezultatu, z niedokonaną rzeczą. Starajmy się ją trochę uspokoić i do cierpliwości zachęcić. Listy przychodzą prawie zawsze po odprawieniu naszych, co nie dogadza wcale prędkości i żywości odpisu. Gazety niemieckie donoszą, że X. H. aresztowany w Nowy Bazar gdzieś w Hercegowinie i że przyszły rozkazy ze Stambułu, aby go ściślej trzymać.[3]) Czy to do was nie doszło? Dowiedz się o tem, czy prawda.

Powtarzam, com mu pisał, aby papiery popalić niepotrzebne i żadne z sobą w drogę nie brać. Posyłam list do p. Bourguenay dla Cortraka na jego prośbę, ale w nim za obu dziękuję i obu rekomenduję. Posyłam go pod Twoją kopertą, abyś z nim zrobił co będziesz sądził, gdyby Cortrak już był wyjechał. Obciąć trzeba lak pieczątki i zapieczętować, jeśli się odda, powiedz to Cortrakowi. [4])

---

[1]) Bez podpisu.

[2]) Zapewne mowa o podsekretarzu Stanu do spraw zagranicznych w r. 1841.

[3]) Może tu mowa o ks. Salezym Harczyńskim.

[4]) Bez podpisu.

Do Michała Czaykowskiego.

Paryż, 26. marca 1842.

Z bardzo nieprzyjemnem zadziwieniem wyczytałem w liście Pana. że bez upoważnienia, bez pozwolenia, bez poprzedniego ostrzeżenia wziąłeś moim imieniem zobowiązanie, o którym wiedziałeś jednak, że jest przeciwne zawartym w poprzednich listach instrukcyom. Czy Pan rozumisz, że my tu opływamy w dostatki? Nie chcę zrywać z Lazarystami, nie chcę zadać bezzasadności jego słowom i zniweczyć po wielkiej części możność, którą masz być użytecznym sprawie, dla tego uciszając nieukontentowania powody, zmuszony się widzę przyjąć zobowiązanie, które mi narzuciłeś. Ale jak najwyraźniej razem ostrzegam, że żadnych dalszych podobnych wydatków nie przyjmę, że gdyby Pan raz jeszcze to uczynił bez upoważnienia. rzecz ze skutkami pozostanie na jego indywidualnej odpowiedzialności. Niech że to będzie między nami jasno i niewątpliwie zrozumianem.

Teraz połajawszy jak powinien byłem i nie zataiwszy wrażenia mego po odebraniu listu Pana, przystępuję do interesu. Ja tu wyrażę p. Etienne i tożsamo powiedz p. Leleu. że my z własnych zasobów nic więcej teraz nie możemy zrobić i to prawie przechodzi nasze możności, więc dalej nie będziemy mogli pieniędzy dawać, chyba nadejdą ze składek. Prosiłem, aby księża Lazaryści do tego swoich starań użyli; prosiłem. aby p. Etienne wysłał do swych misyonarzy księdza po kweście do kraju. Ale jak zazwyczaj wielkie trudności się okazały, skończy się na tem, że przez swojego agenta w Rzymie ks. Guarini napiszą. Bo bezpośrednich nie mają stosunków z Warszawą. Ja zaś napisałem do arcybiskupa Dunina list, którego Panu kopię posyłam i dodałem jadącemu ustne tłumaczenia o naszych celach. Widziałem, co pisze ks. Leleu o liście, któryś z Londynu niby odebrał, z którego on wnosi. że najbogatsi magnaci polscy Zamoyski, Sapieha, Sanguszko przyjdą nam w pomoc. Jest to gruszki na wierzbie obiecywać i wzajemnie się zwodzić. Darmo, grobla musi być podług stawu. Wierzę, że ks. Lazaryści są szczerzy, ucieszył misye wyraz p. Leleu: nous nous identifions avec la cause polonaise, ale niech to będzie odtąd istotnie. Pilnuj i staraj się, aby uczyniona prawie nad możność ofiara wydała rzeczywiste owoce. Ten p. Leleu zdaje mi się człowiek pełen ducha i serdeczności. Wahałbym się tyle powiedzieć o p. Etienne. Lękam się czasem, aby oni nas nie doili,

a potem wydoiwszy nadudków wystrychneli. bo i to mogłoby się stać, kiedy postrzegą ograniczność naszych zasobów. którą przed niemi ukryć nie należy. *S'identifier* ja to nazywam, że postrzegłszy nawet tę ograniczoność naszych zasobów, nie opuszczą nas. pomagać i razem usiłować nie przestaną i swoich zasobów ruszą, i z swojej strony do zbierania składek użyją od nich zależących sposobów, bo panu Leleu należy szczerze wytłumaczyć i zainteresować go do naszych trudności i do naszej niedoli. Niech wie, że my siebie nie menażujemy i dla tego warci jesteśmy jego spółczucia. Ale nad możność któż może czynić. Aby składki mogły dojść, na to czasu trzeba, a i czas nie pomoże przeciw oziębłości, która nas gnębi. Zresztą czekam na układ z ks. Leleu, który masz mi pierwszym kuryerem przysłać i zobaczę jak będzie ułożony, nim pieniądze publiczne na to złożę. Pan w tem pobłądził. iż rzeczy do takiej ostateczności doprowadziłeś, że trzeba było albo się rozstać z Lazarystami albo natychmiast przyjąć warunek uciążliwy dla finansów mizernych. Biegłość na tem się zasadza. żeby w kartowaniu rzeczy nie dojść do takiego rozwiązania, które na oba sposoby jest niedogodne.

Jakożkolwiek bądź, ponieważ te złe już zrobione. starajmy się z niego tyle dobrego wyciągnąć. ile można i znaczne. jak dla nas, ofiary bezowocnemi nie zostawić. Listów do p. Guylai [1]) i de Ligne, które zatrzymałem. nie oddałem jeszcze, bo to ledwo może paręset franków uczynić i stanie się tylko plotką. Może później się to zrobi. — Od kwietnia pani Czayk. przestaje odbierać pomoc od Jełowickiego i będzie go (tak) odbierać z kasy. Przez trzy miesiące będzie na to obrócony fundusz 450 f-ów. przysłany przez Krasińskiego. który żałuje, że to do Pana własnych rąk nie było oddane, ale mnie się zdało, że lepiej było tu te pieniądze użyć, kiedy tam już tyle poszło. Będę dziś jeszcze u pani Czayk. z prośbą najmocniejszą, aby była cierpliwą, a szczególnie biednego męża nie męczyła, który i tak nie jest na różach. — Mój Panie Czayk. wyznam, żem się szczerze rozgniewał na ciebie, ale nie chcę broń Boże odchęcać cię i odbierać serce do rozpoczętej sprawy; stań się coraz bieglejszym i uważniejszym; nigdy nie można nim dosyć być, nigdy z tego względu dosyć nie można nabyć, ani dosyć korzystać z doświadczanych omyłek. — Teraz *sans rancune* pra-

[1]) Prawdopodobnie mowa o Joh. Gullen. przyjacielu Polaków i sekretarzu pisma wydawanego w Glasgowie p. t. Glasgow Polish Literary Association, założonego w r. 1832.

cujmy, ciągnijmy dalej. Do p. Wład. Zam.(ojskiego), który teraz jest na dni kilka w Rzymie, posyłam list p. Etienne do p. Guariniego i piszę, żeby się starał rzecz kolonii Rzymowi dobrze wystawić i zainteresować wielu tam do tego dzieła; także do kraju notę na wzór mego listu do ar. B. Dun.,[1]) (aby) starał się przez naszych przysłać. Robi się co można, aby funduszów dostać, ale jeśli nie przyjdą (co podobno się stanie), to ich nie będzie; na to trzeba być przygotowanym.

P. Wł. Z. tu natychmiast powraca, z siostrą X. Jadw. a potem zaraz do Londynu znowu pojedzie. Mój syn na wakacyach tu jest i kłania się bardzo Panu. — Bywaj zdrów, kochany Czayk. Niech Bóg prowadzi, wspiera i błogosławi twoim czystym i gorliwym chęciom. Jełow. gotuje się zająć stanowisko Rzymu.[2])

Fr. Rawita-Gawroński.

(Ciąg dalszy nastąpi).

[1]) B(iskupa) Dun(ina).
[2]) Znak podobny do monogramu.

Stosunek muzyki polskiej do zachodniej w XV. i XVI. wieku.

Zadaniem tego szkicu jest: nakreślić ogólny obraz rozwoju muzyki polskiej w XV. i XVI. wieku za pomocą przedstawienia jej stosunku do muzyki zachodniej w tej właśnie epoce, w której ta ostatnia przebyła drogę rozwoju od prymitywnej, jakkolwiek w zasadzie uregulowanej polifonii wokalnej i wokalno-instrumentalnej, do dojrzałego stylu klasycznego szkoły rzymskiej, reprezentowanej przez Palestrinę i jego następców. Dotychczasowe rozprawki i prace zajmujące się historyą muzyki polskiej nie dawały bynajmniej możności poznania tej drogi, po której nasza muzyka dążyła i o ile nie dochodziły do wniosków fałszywych, gdyż nie opierających się na poważnych podstawach, o tyle ograniczały się do kronikarskiego grupowania życiorysów i dzieł, zadowalniając się łatwym terminem na określenie ogólnego charakteru muzyki polskiej XVI. stulecia: mianowicie wpływem niederlandzkiej szkoły, w szczególności zaś Josquina des Près († 1521), co nie było trudnem do skonstatowania, nawet w braku znajomości polskiej muzyki, ponieważ ten wielki mistrz był przed Palestriną bez wątpienia największym i najwpływowszym kompozytorem, obejmującym w swej twórczości to, co przed nim i w znacznej części po nim stworzono. Nie ulega wątpliwości, że brak większej ilości źródeł i pomników twórczości muzycznej polskiej utrudnia i długo jeszcze utrudniać będzie sumienne i dokładne skreślenie dziejów naszej muzyki; niejedna monografia poświęcona

poszczególnemu twórcy będzie musiała być uzupełnianą z powodu wykrywania coraz nowszych rękopisów; niejedna faza dziejów naszej „sztuki tonów“ będzie na zawsze niejasną z powodu braku ogniw-dzieł, pochłoniętych przez los zniszczenia, bądź przez najezdców, bądź przez pożary, bądź też przez ciemnotę i brak zdawania sobie sprawy z wartości pomników dawnej sztuki (na co już W. Pol wskazywał); niemniej jednakże nawet ta niewielka liczba wydanych kompozycyi z XVI. w. oraz przygodne znalezienie rękopisów i druków z tego i poprzedniego wieku pozwala nam wyobrazić sobie kierunki, w jakich muzyka polska rozwijała się.

Kiedy muzyka polska przyswoiła sobie wielogłosowość, tego na pewno dziś jeszcze nie można stwierdzić. Jeśli „Bogarodzica“ powstała dopiero na początku XIV. wieku, to przypuścić należy, że ze względu na istnienie w pierwszej połowie XV. stulecia ojca polskiej muzyki menzuralnej, Mikołaja z Radomia († po r. 1444?), wiek XIV. musiał być epoką przenikania wielogłosowej muzyki zachodniej do Polski. Ponieważ wówczas mieliśmy stosunki z Francyą i Flandryą, choćby za pośrednictwem klasztorów, jako jedynych ostoi kultury muzycznej, przeto nie ulega wątpliwości, że i u nas znano pierwsze formy prymitywnej polifonii, „organum“ i „discantus“, polegające na pamięciowem dorabianiu melodyi do danego „cantus firmus“, poruszającej się w kwintach, oktawach i kwartach a także w tercyach i sekstach, wraz z podwojeniem obydwu melodyi. Nie jest jednak wykluczonem, że już w XIII. wieku znano u nas tę manierę,[1]) ponieważ już w r. 1211 posia-

---

[1]) Jednakowoż zdołałem natrafić na ślad, że w XV. (XIV.?) wieku śpiewano w katedrze włocławskiej mszę jakiegoś kompozytora de la Hele. Niewątpliwie jest to ów słynny Adam de la Hale († 1278), pomimo że historykom muzyki nic nie wiadomo o jego mszy; wprawdzie Adam był głównie świeckim kompozytorem, jednak ze względu na to, że tworzył również motety nie jest wykluczone, że mógł stworzyć i mszę, o której istnieniu zapomniano, gdy sama zaginęła. Za Adamem de la Hale przemawia i to, że wpływ jego w Czechach stwierdził także dr. Nejedlý w swych „Dějinach“. Wzmianka kronikarska mówi o jakimś zbiorze motetów z XIV. wieku (Janocki?); dziś już nie jest możliwem rozstrzygnąć, czy to były polskie czy obce motety, czy przypadkiem nie były w posiadaniu n. p. biblioteki klasztoru, założonego i złożonego z cudzoziemców. — Czy zachowana w bibliotece nadwornej wiedeńskiej „Historia glorissimi Stanislai cantu permixta“ (na tenor i contra-tenor), pochodząca rzekomo z XIII. wieku jest pochodzenia

daliśmy odpis słynnego traktatu Hucbalda „Musica enchiriadis", w której mowa jest o „organum" i „diafonii": zważyć jednakże należy, iż Czesi, tak bardzo zbliżeni do zachodniej kultury, choć wydali w XIII. wieku znanego teoretyka Hieronima de Moravia (r. 1250), autora traktatu o „discantus", to jednak mogą wykazać się dopiero w drugiej połowie XIV. stulecia dwugłosowem „organum" liturgicznem, które przechowywało się w praktyce aż do XVI. wieku (por. Z. Nejedly, „Dějiny předhusitského zpevu v Cechách", V Praze 1904, str. 157). Z drugiej strony „organum" i „discantus" nie zawsze wymagały zanotowania, ponieważ były improwizowaną wielogłosowością i utrzymywały się po największej części w praktyce pamięciowej. Nie ulega wątpliwości, że „cantus fractibus vocibus per semitonium et diapente modulatus" był u nas znany już w XIV. stuleciu, podobnie jak w Czechach. Nie mamy na to — przynajmniej dotychczas — dowodu wprost, t. j. nie posiadamy utworu, któryby odznaczał się cechami „cantus fracti", natomiast możemy wykazać się dowodem pośrednim, mającym pierwszorzędne znaczenie dla muzyki polskiej XIV. wieku. Jest nim traktat teoretyczny, pisany przez turyngskiego teoretyka magistra Ugolina de Maltero do magistra Franciszka Culaciusa Polaka. Tytuł jego brzmi: „M. Ugolini de Maltero Thuringi ad M. Fraciscum Culacium Polonum doctrinae suae non quidem novae attamen saepius erronee interpretatae De cantu fractibili brevis positio pro rodibus decem capitibus digeste" (cf. Cod. Lips. Thomas. 6. III.: wydany przez H. Riemanna w „Präludien und Studien", III. Band, Lipsk, s. a.). Traktat ten pochodzi z r. ca. 1320 i stanowi z czasów poprzedzających epokę Jana de Muris, ponieważ — jak H. Riemann trafnie zauważył — nie ma w nim mowy o „tempus imperfectum" (t. j. o „takcie całym", mówiąc dzisiejszym językiem). Ponieważ Ugolino na wstępie mówi o kontrapunkcie, jako o rzeczy, której znajomość dla poznania „cantus fracti" jest niezbędną, przeto należy uznać za pewnik, że Culaciusowi była nauka „de contrapuncto id est nota contra notam" co najmniej dostatecznie znaną. Traktat zajmuje się menzuralnemi i rytmicznemi właściwościami melodyi, której motywy można urozmaicać waryacyą, rozdzielając wartości większe na większą ilość mniejszych, co zwie się „cantus diminu-

---

polskiego, trudno rozstrzygnąć. Raczej jest to późniejszy zabytek. Na razie zostawiamy tę kwestyę na uboczu, jako nie dotyczącą naszego tematu.

tio, quae fit frangendo longas per breves vel breves per semibreves et diminutiores figuras tam rectas quam omissas". Jednak nie można zbyt wielkiego nacisku kłaść na to znaczenie traktatu, jakie mu Riemann pragnie nadać, chcąc go uważać za najdawniejszą naukę waryacyi. Mianowicie z tej samej epoki, w której żył magister Culacius, pochodzi czeska kronika opata Piotra Žitavský'ego, (cf. „Fontes reram bohemicarum", IV., 301), w której rozdział XXIII. p. t. „De novitatibus rerum" dowodzi, że „cantus fractis vocibus per semitoniam et diapento modulatus" był w Czechach w użyciu „laicorum" i „phariseorum". „Semitonium" plus „diapente" równa się sekście, czyli że tą manierę śpiewania (dwugłosowego) w sekstach należy odnieść albo do śpiewu ludowego, albo — ze względu na słowa Žitavský'ego: „olim tamtumdem perfectis musicis usitatus" — do znanej prymitywnej maniery wielogłosowości, zwanej „discantus", która ok. r. 1300 była w użyciu w Anglii i Francyi (z tą ostatnią Czesi i Polacy utrzymywali wówczas stosunki); można też przypuścić, że była to inna, podobna do „discantu" maniera, mianowicie „faux-bourdon" w pierwotnej formie. Nie mogłem dotychczas stwierdzić z wszelką pewnością, czy przypadkiem „Optima introductio in contrapunctum pro rodibus" młodszego Jana de Garlandia nie było znanem w Polsce, podobnie jak inne jego pisma (por. A. Brücknera „Średniowieczna poezya łacińska w Polsce", część I., 1892. str. 5 i część III., 1894 str. 32 i nast.). Jeśli tak, to mielibyśmy dowód, że zanim poznano u nas w drugiej połowie XIV. wieku teoryę Jana de Muris, przeszliśmy normalny rozwój nie tylko teoryi ale i praktyki od czasów Hucbalda przez „organum", „faux-bourdon" i „discantus" i przez epokę usuwania paralel kwint i kwart na rzecz równoległych tercyi i sekst, co mogło znaleźć swą ostoję we właściwem ludowej muzyce używaniu dwugłosowego śpiewu w postępach tercyowych (i sekstowych), jakkolwiek jeszcze w XV. wieku nie brakło u Mikołaja z Radomia zabronionych kwint. Znajomość traktatu Jana de Muris (paryskiego, **nie** oxfordzkiego — jak sądzi A. Poliński w „Dziejach muzyki polskiej", 45) musiała wpłynąć dodatnio na twórczość, a zwłaszcza zainteresować muzyków nowemi prądami, szerzonemi przez Filipa de Vitry i Wilhelma de Machault, których Muris usilnie popierał. De Machaut, który był sekretarzem Jana luxemburskiego, przebywał w Czechach i bez wątpienia znalazł tam sposobność do pokazania, czem jest jako muzyk; wpływ francuskiej muzyki na czeską praktykę muzyczną wykazał już Nejedlý (l. c.), co dr. R.

Batka w pierwszym tomie swej dyletanckiej „Geschichte der Musik in Böhmen“ (str. 138 i nast.) daremnie chce zaprzeczyć. Prawdopodobnie dwukrotnie przebywał de Machaut w Krakowie: w r. 1328/29. co jest nieco wątpliwem i w r. 1345; a choć oblegając z Janem Luxemburczykiem Kraków, nie miał czasu na propagandę swej „artis novae“, to jednak jako typowy francuski chevalier znalazł sposobność. aby przy uczcie na cześć zawartego pokoju popisać się swą wielką sztuką z powodu której zażywał ówczas zasłużonego rozgłosu. Mógł zainteresować wykształceńsze i postępowsze umysły dworskie, ale o jakimś wpływie nie może być mowy. Nie posiadamy też z tego czasu żadnego zabytku twórczości muzycznej polskiej, a przynajmniej dotychczas nie wiemy o istnieniu tegoż. Jednakże skok od „cantus fractus“ do Mikołaja z Radomia byłby zbyt nagły, gdyby go nie poprzedzały epoki przejściowe. Jeśli sobie wyobrazimy, że w drugiej połowie XIV. wieku, w której stosunki Polski z Włochami i Francyą, a także z Niemcami były trwałe i ścisłe, już istniała na Zachodzie znaczna kultura muzyczna, jeśli zważymy. że Zachód rozpoczynał wówczas epokę nowej twórczości muzycznej, prowadzącej wprost do Dunstaple'a, Dufaya i Okeghema, to nie będziemy ani na chwilę wątpili, że prądy zachodnie znalazły w sobie odbicie w Polsce. Wówczas istniały już na Zachodzie motety i madrygały, kanon liczył w Anglii przeszło sto lat życia. rondeau było we Francyi formą bardzo kultywowaną, catch czyli caccia reprezentowała obok madrygału i ronda świecką muzykę Anglii i Włoch. to samo ballada wzgl. ballata. Odbywały się zapasy wzbudzające najwyższy respekt, a zdążające do uregulowania kontrapunktu, wytwarzające nie tylko regularną imitacyę, ale także wirtuozowstwo kanonicznych sztuk. Wówczas — jak stwierdziły nowsze badania — tworzono nie tylko polifonię wokalną, lecz także monodye (wokalne) z towarzyszeniem instrumentalnem. Wiek Dantego. Petrarki i Boccacia, wiek Filipa de Vitry, Wilhelma de Machaut, Francesca Landina, Jakóba z Bolonii, Jana z Florencyi, Ghirardella i Jana de Muris. epoka Cimabue'go, Giotta i Orcagnii, wiek humanizmu i uwertura renesansu — wszystko to było zbyt potężne i szybujące ku najwyższej sztuce, aby nie miało wzbudzić choćby najsłabszego echa w Polsce, utrzymującej trwałe z Francyą i Włochami stosunki. Niestety z czternastego wieku nie posiadamy prawie żadnego utworu, mogącego dać dowód zainteresowania się tą niemal międzynarodową kulturą muzyczną. Brak politycznej organizacyi wiele zaszkodził. Mogły się co najwyżej

jednostki, posiadające zaledwie lokalne znaczenie, zainteresować prądami muzycznemi. Zapewne z czasów przed Mikołajem z Radomia pochodzi fragment mszy, znajdujący się w posiadaniu autora: mianowicie „Et in terra" na dwa głosy, alt i tenor. Jakkolwiek pergaminowa karta [1]) in folio, na której ten cenny zabytek jest spisany, jest w kilku miejscach uszkodzona — służyła za... oprawę książki do nabożeństwa z XVII. wieku — to jednak można nie tylko odcyfrować cały utwór, ale i oznaczyć w przybliżeniu jego wiek. Nutacya, na którą składają się pełne czarne nuty (maxima, longa, brevis, semibrevis i minima — brak semiminimy i mniejszych wartości) i pełne czarne ligatury, brak czerwonych nut (tylko signa temporis i fermaty są znaczone czerwoną barwą), użycie temporis imperfecti w całym utworze ze środkowym epizodem w tempus imperfectum cum diminutione simplici, nadto — co najważniejsze — instrumentalne „moduli" (pod melodyą brak tekstu w tych instrumentalnych epizodach, będących melizmatami obcymi ówczesnej wokalnej muzyce), — wszystko to wskazuje na koniec XIV., a najdalej na pierwsze dziesięciolecie XV. wieku, na wpływy włosko-francuskie. Prowadzenie głosów jest wyjątkowo poprawne mimo pewnych twardych brzmień i kadencyi na czystych kwintach, właściwych także późniejszym czasom. Trudno jest dowieść, że „fragment mszy" jest proweniencyi polskiej, mimo że są pewne poszlaki; to tylko można stwierdzić, że tenor tego fragmentu nie przypomina żadnego tenoru z kompozycyi z przed XV. wieku, dotychczas wydanych.

Natomiast w melodyjnych kadencyach znajdziemy podobieństwo z północno-włoskimi kompozytorami, należącymi do „ars nova" (n. p. uderzające podobieństwo do niektórych fraz z madrygałów Jakóba z Bolonii, Jana z Florencyi). Zdziwić nas może brak zaczepiania o subtercyę przed ostatnią nutą, zakończającą melodyę. Utwór ten prowadzi nas wprost do dzieł Mikołaja z Radomia, żyjącego prawdopodobnie w pierwszej połowie XV. wieku. W przybliżeniu można oznaczyć jeśli nie lata jego życia, to przynajmniej epokę jego działalności. Mianowicie przypada ona na lata 1430—50 ze względu na wzmianki w utworach Mikołaja o Władysławie Jagielle († 1434), Władysławie Warneńczyku (1434—1444) i Kazimierzu Jagiellończyku (1444—1492). Z tego też powodu, data rękopisu warszawskiej biblioteki Krasińskich

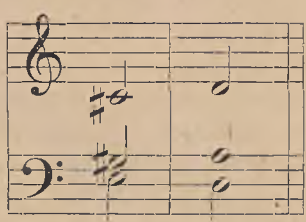
[1]) Na tejże karcie znajduje się urywek „kyrie" w tempus imperfectum cum prolatione perfecta!

(nr. 52), zawierającego kazania jakiegoś kaznodziei i utwory Mikołaja i kilku Włochów, a odnosząca się do r. 1445, nie może być przeniesioną także na dzieła Mikołaja, który mógł dopiero wtedy napisać na cześć Kazimierza Jagiellończyka swoje „encomiasticon", gdy tenże zasłużył na nie; podobnie jak Jagiełło i Władysław Warneńczyk, wielkimi czynami. Przedłużać jednak jego życia i działalności poza r. 1450 nie można, a to ze względu na charakterystyczne cechy jego utworów. Zbyt bowiem mała przestrzeń dzieliłaby Mikołaja z Radomia i — Sebastyana z Felsztyna. Równocześnie z Mikołajem żył słynny humanista i arcybiskup lwowski Grzegorz z Sanoka, o którym głoszono, że pierwszy wniósł do Polski muzykę polifoniczną. Nie ulega wątpliwości, że jako eks-śpiewak papieski musiał znać teoryę kontrapunktu, a przynajmniej teoryę menzuralną i że jako gorliwy zwolennik „novitatis", „artis novae" i humanizmu starał się o kontakt muzyki polskiej z ówczesną włoską, w której rej wodzili głównie Francuzi i Flamandzi (Dufay, Ciconia, Nic. Zacharias, Nic. Grenon, Guillaume Le Grant i t. d.) obok Włochów, jak n. p. Bartholomeus de Bononia, Johannes de Sarto, Domenico de Ferrara, Antonius de Civitate i t. d. Jednakże rzekome zasługi Grzegorza z Sanoka muszą być co najmniej ograniczone do minimum wobec pozytywnych czynów żyjącego równocześnie z nim Mikołaja, prawdopodobnie starszego niż Grzegorz. Obydwaj jednak czerpali z tego samego źródła. Wielką pomocą do zbadania wpływów północno-włoskich na Mikołaja są załączone do tegoż samego rękopisu warszawskiego (nr. 52) kompozycye Ciconii (1400, kanonik w Padwie), Nic. Zacharii (1420, śpiewak kapeli papieskiej), Antoniusa de Civitate (ok. 1400), Egarda (ok. 1400). Gdybyśmy nawet nie wiedzieli o tych załączonych obcych kompozycyach ówczesnej epoki, musielibyśmy z natury rzeczy odnieść Mikołaja do niej, jako typowego reprezentanta „artis novae"; pomogą one nam do upewnienia się, że podobnie jak w literaturze, tak i w muzyce utrzymywali Polacy bardzo żywe stosunki z Włochami, do których jeździli celem studyów na uniwersytetach w Bolonii, Florencyi, Padwie i Mantui, a więc do tych miast, które były wówczas siedzibą najwybitniejszych muzyków. Nie zmieniało to istoty rzeczy, jeśli udawali się na studya do Paryża, Leodyum, Cambrai, Montpellier i t. d., ponieważ i te miasta były przedstawicielkami tych samych renesansowych prądów, które panowały we Włoszech. Jak dalece był Mikołaj z Radomia dzieckiem swego czasu, tego dowodzi, że pisał także kompozycye świeckie, których

u kompozytorów polskich z XVI. wieku nie spotykamy. W pierwszym rzędzie musiał Mikołaj znać tych kompozytorów włoskich, żyjących poprzednio lub współcześnie, którzy pisali t. zw. „encomiastica“ na cześć świętych, osób panujących, dostojników i miast. Zwyczaj ten był szczególnie w północnych Włoszech w modzie, jak tego dowodzą kompozycye Ciconii, Brasarta, Feraguta, Dufay'a i t. d. Mikołaj pisze za ich przykładem „encomiastica“ na cześć Jagiełły, królowej Zofii, Władysława Warneńczyka i Kazimierza Jagiellończyka, pamięta o Świętych polskich (o św. Stanisławie): wnosząc z jego odnoszeń się do domu panującego i do krakowskiego Patrona, przypuścić można, że miał z Krakowem, jako siedzibą humanizmu, bliższe stosunku, skoro na cześć polskiej stolicy napisał osobne „encomiasticon“, zaczynające się od słów „Cracovia civitas, Tu civium unitas“, tak bardzo przypominających uroczystą kantatę Feraguta „Excelsa Civitas Vicentiae...“ To używanie wyłączne trzygłosowej faktury (dyskant, tenor i kontratenor) jest również typowe dla epoki Mikołaja. Jeśli się weźmie pod uwagę tematyczny katalog słynnego rękopisu nr. 2.216 z bolońskiej uniwers. biblioteki, zawierającego wielką ilość ówczesnych kompozycyi, to dojdzie się do rezultatu, że przeważna ich liczba posługuje się tymi samymi głosami. Nutacya czerwona („notula rubra“) obok pełnych i pustych czarnych nut wskazuje na epokę 1400—1425. Pod względem kontrapunktycznym jest Mikołaj zupełnie wierny swym wzorom. Nie jest przypadkiem, że w 5 kościelnych kompozycyach Mikołaja, dotąd zachowanych w rękopisie warsz., znajdują się aż dwa „Et in terra“. Ta część mszy była z wielką predylekcyą uprawianą przez ówczesnych zwolenników „artis novae“. W rękopisie biblioteki d'Este w Modenie (l. 568), zawierającym kompozycye z XIV. i XV. wieku połowa tekstów religijnych przypada na „Et in terra“. Analiza jednego „Et in terra“ Mikołaja[1]) doprowadza do jeszcze ciekawszych rezultatów. Nie ulega wątpliwości, że muzyka Mikołaja jest dla dzisiejszego ucha obcą, tak samo jak obcemi będą kompozycye Sebastyana Felsztyńskiego z XVI. wieku, żyjącego niemal o 60 lat później niż Mikołaj. Tak samo obce są dla nas ówczesne pejsaże, w których niebo jest namalowane złotą barwą. Rażą słuchacza niezdolnego do historycznego słuchania muzyki te kwarty i kwinty ró-

[1]) Znajomość tegoż zawdzięczam p. Henrykowi Opieńskiemu, który je przepisał z rękopisu warszawskiego. Poczuwam się do szczerego podziękowania.

wnoległe, tak jak rażą w ówczesnych miniaturach i obrazach perspektywiczne braki, owe malowanie ludzi, stojących koło wież i przerastających je o głowę. Jednakże Mikołajowi nie można czynić zarzutu „niewykształcenia“ i braku „wprawy“ i nie można twierdzić, że „raził ucho ówczesne“ (jak sądzi A. Poliński, l. c. 41), gdyż ówcześni nie byli lepsi, a faktura kontrapunktyczna pierwszej połowy XV. wieku również bynajmniej nie była lepsza. Mikołaj nie cieszył się wcale sławą europejską, a jednak te parallele kwint i kwart spotkamy u Brasarta, Ciconii, Lionela, Powera, Dunstaple'a († 1453!) i innych sław, pomimo że głośny zakaz paralel był znany na Zachodzie już po r. 1300. U późniejszych niż Mikołaj spotykamy gwałtowne skoki o septymę i nonę w prowadzeniu melodyi; przestrzeganie prawidła „mi contra fa“ również nie było wówczas ustalone, również spotkamy się u współczesnych z używaniem chromatycznego półtonu w prowadzeniu głosów. Subsemitonia kwinty tonacyi w kadencyach, jak n. p. w „Et in terra“:



lub takie kadencye jak:
8 .. 12
5 .. 8
1 .. 1
spotykamy u największych ówczesnych mistrzów; to samo triton przed czystą kwartą w kadencyi. Jak dalece Mikołaj jest dzieckiem swego czasu, dowodzą dalsze szczegóły analizy. N. p. w kadencyach melodyjnych spotykamy się ze schematycznymi zwrotami, polegającymi na zawadzaniu o subtercyę; n. p.:



Ta maniera, właściwa XIV. i XV. wiekowi, którą można jeszcze spotkać u niemieckiego mistrza Adama z Fuldy († ca. 1500!), pochodzi z falsobordonowej faktury. I bez wątpienia: porównajmy n. p. w „Et in terra“ sposób prowadzenia tenoru i kontratenoru, a znajdziemy w niem typowe oznaki tej prymitywnej wielogłosowej maniery, z której wyprowadzają uczeni powstanie trzygłosowej faktury XIV. i XV. wieku.

Adolf Chybiński.

(Ciąg dalszy nastąpi).

Zarys dziejów edukacyjnych Polski porozbiorowej na obczyźnie.

(Ciąg dalszy).

W roku administracyjnym 1873/4 kapitał żelazny wzrósł do 18.628 fr., a kapitał obrotowy wynosił 10.317 fr. w dochodach. Przeszło 40 uczących się pobierało zasiłki.

Z końcem r. 1874 wynosił kapitał żelazny Stowarzyszenia 19.064 fr. W funduszach bieżących przychód wykazywał kwotę 5.879 fr. Deficyt w kwocie 701 fr. pokryło Towarzystwo Dobroczynności Dam polskich w Paryżu.

Pod względem moralnym Komitet Stowarzyszenia starał się ile możności zasłonić młodzież, pozostającą pod jego opieką, przed tem wszystkiem, co „jest sprzymierzeńcem nieprzyjaciół Polski, szkodliwszym nad wszelki docisk materyalny, co kazi głowę, serce i ducha polskiego, co, zostawując nawet niekiedy pozór polski Polakowi, zaciera istotę, wynaradawia ducha, wyrzuca go ze sfery polskiej".

Komitet dokładał usilnych starań, aby młodzież po ukończeniu studyów wracała do kraju i tu na stanowiskach pracowała z korzyścią dla dobra Ojczyzny.

Komitet usiłował ponadto już w pierwszym roku istnienia Towarzystwa zaspokoić także potrzeby moralne ogółu wychodźców, przebywających w Paryżu. W tym celu urządził odczyty publiczne, mające związek z oświatą powszechną oraz z objawami ży-

cia polskiego narodu.* Odczyty te stały się niejako ogniskiem życia narodowego na wychódźctwie.

Odczytów publicznych w ciągu r. 1869 wygłoszono trzynaście. Miedzy innemi mówił Karol Ruprecht: O wpływie oświaty na życie narodowe.

Druga serya odczytów odbyła się roku 1870. Między innemi ks. Roman Wilczyński mówił o czasach i pracach Grzegorza Piramowicza, a Belina Świątkowski „O kierunku studyów młodzieży polskiej od roku 1848 do 1863". Pierwsza praca ukazała się drukiem pod pseudonimem: Ks. Roman z Pawłowic.

Literatura i źródła. Komitet Stowarzyszenia Pomocy naukowej w emigracyi, Paryż 1868. — Rocznik Tow. hist. lit. za rok 1869 i następne. — Sprawozdanie z czynności Komitetu Stowarzyszenia Pomocy Naukowej w emigracyi od 1. listop. 1868 do 31. grudnia 1869 i następne. — Sprawozdanie z funduszów zebranych przez ks. Karola Mikoszewskiego i ich użycie. Paryż 1868. — Statuts de l'association polonaise pour l'encouragement des études, Paris 1869. — Ustawa Stow. pom. naukowej w emigracyi. Paryż 1868.

5. Do niezliczonych ofiar ucisku rossyjskiego na Litwie po roku 1863 za rządów krwawego Murawiewa należały i PP. Wizytki wileńskie. Wygnane z ojczyzny, gdzie miały wspaniale zbudowany klasztor i głośny na całą Litwę pensyonat i wyzute ze wszystkich swoich dóbr ziemskich, przybyły do Francyi w zupełnej nędzy i znalazły doraźny gościnny przytułek w klasztorze macierzystym w Paryżu. Dzięki opiece ks. Aleksandra Jełowickiego i wielu innych życzliwych im osób i dzięki ofiarom publiczności i małej pomocy rządu francuskiego Wizytki nasze zamieszkały dn. 1. paźdz. 1865 r. we własnym nowym klasztorze w Wersalu przy ulicy Boulevard de la Reine 149.

Idąc za dawnemi tradycyami a zresztą chcąc zdobyć środki utrzymania, otwarły w r. 1867 pensyonat żeński.

Liczebnie pensyonat Wizytek wersalskich nie mógł się rozwinąć z powodu ciasnego pomieszczenia. Z początku miał nawet bardzo małą frekwencyę. W dzielnicy austryackiej i pruskiej nie znano zakładu, a PP. Wizytki nie uciekały się do reklamy. Z dzielnicy rossyjskiej, a zwłaszcza z Litwy, gdzie były popularne, wysyłanie dzieci do dalekiej Francyi było z wielu powodów utrudnione. Emigracya także nie zaludniała pensyonatu, bo demokra-

cya emigracyjna trzymała się od klasztoru „arystokratycznego“, jak sądzono, zdala, a sfery Wizytkom przychylne miały własne zakłady wychowawcze żeńskie. W braku dostatecznej liczby Polek przyjmowano także uczenice pochodzenia francuskiego, a zakład siłą stosunków zamienił się z polskiego w francuski, zwłaszcza, że i rodzice polscy, idąc za ówczesną modą, życzyli sobie edukacyi francuskiej. Większość uczenic zaliczała się jednak do narodowości polskiej. Od r. 1867—1901, t. j. do zamknięcia klasztoru przez rząd francuski, przeszło przez zakład wersalski 219 uczenic; z tych Francuzek rodowitych było tylko 66. Ale dodać trzeba, że pomiędzy uczenicami o polskich nazwiskach były takie, które języka polskiego wcale nie znały i nie objawiały ani zdolności, ani chęci, aby go się nauczyć; były to córki emigrantów, ożenionych z Francuzkami. Z powodu małej frekwencyi nie było przepełnienia w klasach; liczba uczenic w poszczególnych klasach dochodziła najwyżej do kilkunastu, a trzymała się zazwyczaj niżej dziesięciu. Prócz pensyonarek uczyły się w zakładzie i eksternistki.

W skład ciała nauczycielskiego pensyonatu wchodziły przeważnie siostry zakonne, z biegiem czasu przeważnie Francuzki, a z powodu klauzury posługiwano się rzadko kiedy nauczycielkami świeckiemi. Te miały z reguły pełną kwalifikacyę nauczycielską a były z urodzenia albo Francuzkami, albo też Polkami, które w zamian za naukę języka francuskiego uczyły niektórych przedmiotów na kursach niższych, jak języka polskiego, gimnastyki rysunków, muzyki i pełniły obowiązki dozorczyń w czasie pauz lub w czasie przygotowania lekcyi.

Pensyonat przyjął w zasadzie organizacyę analogicznych zakładów francuskich wraz z ich programem i regulaminem naukowym, oraz z językiem wykładowym. Ale zasada naginała się niejednokrotnie do warunków i potrzeb zakładu, niejednokrotnie z konieczności odstępowano od francuskiego programu, a nadto dodano dla Polek naukę przedmiotów polskich, a nareszcie uczono z reguły lub na żądanie rodziców rozmaitych rzeczy, których w odnośnych zakładach francuskich nie uwzględniano. Zresztą program, a nawet liczba kursów czyli klas musiały się także naginać do przeciętnego stopnia przygotowania wstępujących uczenic.

W ostatnich latach organizowano najczęściej cztery kursy. Kurs czwarty, czyli najniższy, podzielony niekiedy na dwa oddziały, obejmował uczenice starsze, zaawansowane w naukach, ale nieumiejące języka francuskiego, i uczenice młodsze, z wieku i z przygotowania do tego kursu przydzielone. Tamte uczyły się

z całym pospiechem języka francuskiego, aby przejść jak najprędzej bodaj w ciągu roku szkolnego na kurs wyższy, do którego miały naukowe przygotowanie. Ewentualne braki w przedmiotach wyrównywano lekcyami prywatnemi.

W zakres nauki właściwego czwartego czyli najniższego kursu wchodził obszerny wykład katechizmu i biblii, gramatyka elementarna i ortografia języka francuskiego, deklamacye, historya starożytna grecka w zarysie, zwięzły obraz geografii powszechnej, rachunki i wprawa w głośne czytanie.

Na kursie następnym, czyli trzecim, prócz nauki religii uczono intenzywnie, jak zresztą i na pierwszym, języka francuskiego, a mianowicie: czytania, pisania, gramatyki, stylistyki i deklamacyi francuskiej, a prócz tego uczono na tym kursie historyi starożytnej rzymskiej, mitologii, geografii z szczegółowem uwzględnieniem Europy oraz rachunków z wykładem teoryi.

W programie naukowym drugiego kursu prócz rozszerzonej nauki języka francuskiego i dalszego ciągu geografii była liturgia katolicka, historya średniowieczna, literatura powszechna, fizyka, historya naturalna, przeważnie zoologia i początki hygieny.

Na kursie pierwszym, najwyższym, prócz dalszego ciągu nauki religii i języka francuskiego i geografiii powszechnej, uczono literatury francuskiej, historyi nowożytnej, matematyki, geometryi, fizyki, chemii, anatomii, zoologii, botaniki i mineralogii w zarysie.

Uczenice, które miały zamiar przystąpić do egzaminów rządowych, musiały dodatkowo uczyć się przedmiotów, wymaganych od kandydatek, czyto do „brevet élémentaire", czy też do „certificat d'études". Do tych przedmiotów należały między innemi rozszerzona nauka historyi, geografii i literatury francuskiej.

Niektóre przedmioty, w części obowiązkowe a w części dodatkowe, były wspólne dla wszystkich kursów. Do takich należały roboty ręczne, kaligrafia, gimnastyka i śpiew.

Do przedmiotów fakultatywnych, udzielanych na żądanie rodziców za osobną dopłatą, należały: język niemiecki i angielski, oraz muzyka, rysunki i malarstwo.

Nauka gimnastyki, udzielana dwa razy w tygodniu po pół godziny, zasadzała się głównie na wprawianiu uczenic do cichego, zgrabnego chodzenia, do eleganckich ruchów i manier salonowych, na skakaniu i na ćwiczeniu w tańcach niektórych.

W nauce śpiewu brały udział wszystkie uczenice, które miały do tego jakie takie uzdolnienie. Kandydatki do egzaminów rządo-

wych musiały uprawiać naukę śpiewu intenzywniej w myśl programu, obowiązującego w szkołach rządowych.

W zakres robót ręcznych wchodziły skromne hafty białe i kościelne, szycie bielizny, cerowanie, naprawki i t. p.

Nauka przedmiotów polskich, dodana dla Polek, obejmowała sam język, literaturę i historyę z geografią. Godzin na te polskie przedmioty było w tygodniu 3—4, a program nauki rozkładał się na dwa kursy dwuletnie, a czasem i dłuższe. Nauka ta, chociaż prowadzona w nienajlepszych warunkach, była przecież wydatna, bo brały w niej udział uczenice z własnej ochoty, które pilnością i zamiłowaniem przedmiotu umiały zastąpić braki w środkach nauki.

Przy małej frekwencyi klas nauczanie wszystkich przedmiotów było z natury rzeczy bardzo ułatwione i prowadzone intenzywnie. Częste egzaminowanie zmuszało uczenice do regularnego uczenia się. Prócz kontroli codziennej były w zakładzie egzamina cokwartalne, a w końcu roku piśmienny egzamin, t. z. „nagrodowy" z wszystkich przedmiotów.

Do nauki używano odnośnych bieżących podręczników francuskich; przedmiotów polskich uczono na podstawie podręczników: Małeckiego, Lewickiego, Maryana z nad Dniepru i innych. Często jednak wykład nauczycielki był podstawą i osnową nauki.

Życie pensyonarek było dość jednostajne, ujęte w typowy regulamin dnia powszedniego i świątecznego. Schemat dnia powszedniego jest tak monotonny, jak toczące się w jego ramach życie: O 6-tej wstawanie, o $6^3/_4$ pacierz i krótka medytacya w kapliczce pensyonarskiej, o 7 śniadanie, o $7^1/_4$ cicha msza święta, od $7^3/_4$ do 8 przechadzka w ogrodzie, od 8 lekcye, o 10 dłuższa (10—15 m.) pauza, potem lekcya do 11, od 11 do $11^1/_2$ powtarzanie lekcyi na popołudnie albo śpiew, o $11^1/_2$ obiad i rekreacya do 1, od 1 do $1^1/_2$ powtarzanie lekcyi, od $1^1/_2$ do $2^1/_2$ roboty, dla niektórych zaś lekcye prywatne przedmiotów lub muzyki, od $2^1/_2$ do 3 podwieczorek, spożywany zazwyczaj przy zabawie w ogrodzie, od 3 do $3^1/_2$ dwa razy na tydzień gimnastyka, w inne dnie nauki moralne, w sobotę tłumaczenia ewangelii na niedzielę i pamięciowe dowolne recytowanie, od $3^1/_2$ do 4 kaligrafia, przegrywanie lub przygotowywanie lekcyi. Od 4 do 5 lekcye polskiego lub innych języków, od 5 do 6 lekcye, od 6 do $6^3/_4$ przygotowanie lekcyi, od $6^3/_4$ do 8 kolacya i rekreacya, o 8 pacierz wspólny i rachunek sumienia w Oratorium do $8^1/_4$. Po pacierzu młodsze uczenice uda-

wały się na spoczynek w największem milczeniu, starsze mogły jeszcze uczyć się do 9.

Typ dnia świątecznego był inny, ale także niezbyt urozmaicony. Wstawanie i msza święta była o tej samej godzinie, co w dnie powszednie, po mszy pobyt w ogrodzie od $7^3/_4$ do $8^1/_2$, potem w wspólnej sali odbywał się od $8^1/_2$ do $9^1/_2$ sąd, czyli odczytywanie przez dyrektorkę złych stopni z całego tygodnia, a dalej po pauzie dłuższej milczenie i pisanie listów lub wypożyczanie z biblioteki książek do czytania, po obiedzie od $1^1/_2$ do $2^1/_2$ konwersacya lub przyjmowanie wizyt znajomych lub krewnych, po podwieczorku od 3 do $3^3/_4$ nieszpory, a po nich do 4 przechadzka w ogrodzie, z kolei od 4 do 5 milczenie, lektura i t. p., od 5 do $5^1/_2$ błogosławieństwo Najśw. Sakramentem, od $5^1/_2$ do $6^3/_4$ znowu ciche zajęcie na wspólnej sali i kolacya, jak w dnie powszednie.

Tę regulaminową jednostajność urozmaicały różne zabawy, gry, spacery. Panny Wizytki otoczyły bowiem i drugą gałęź edukacyi, wychowanie fizyczne, należytą opieką. Sam Wersal nadawał się znakomicie na siedzibę zakładu naukowego. Pensyonat sam miał własny niezbyt wielki, ale dobrze urządzony ogród z miejscami, gdzie wychowanice mogły tłumnie bez przeszkody hasać i bawić się; przed pensyonatem było miejsce wyżwirowane i zacienione do rozmaitych gier ruchowych. W czasie niepogody było dużo miejsca do zabaw i gier w wielkiej sali rekreacyjnej, gdzie się też stale odbywała nauka gimnastyki.

Dla większych spacerów lub wycieczek służył pierwszy czwartek lub środa w każdym miesiącu, wolne całkiem od nauki. W zimie lub w dniu o niepewnej pogodzie zwiedzały uczenice miasto Wersal i jego pamiątki historyczne, pomniki sztuki, muzea, parki i t. d. W dnie pogodne robiono wycieczki do sąsiednich lasów. W lecie przy dniu dłuższym zapędzano się tramwayem lub koleją i do odleglejszych miejscowości n. p. do Sèvres, gdzie spędzano cały dzień do 8 wieczorem. W czasie wakacyi wielkich uczenice, które nie wyjechały do domu, robiły i dalsze jeszcze wycieczki, zwiedzały n. p. Paryż. Siostry starały się nadto uprzyjemnić życie wychowanicom swoim przez rozmaite niespodzianki: chowały n. p. owoce gdzieś w ogrodzie i zachęcały do szukania.

Uciechy bez liku przynosiły niektóre dni uprzywilejowane. W dzień św. Katarzyny dawano uczenicom absolutną wolność i swobodę. W czasie świąt Bożego Narodzenia nastręczało dużo rozrywki urządzanie żłóbka i stajenki i pojawienie się choinki. W święto Trzech Króli wskrzeszano dawny zwyczaj szkolny. Wie-

czorem przed Trzema Królami rozdano panienkom ciastka, w jednem był migdał, a ta, której się ciastko z migdałem dostało, zostawała królową migdałową, wybierała sobie jedną z koleżanek na króla i wspólnie z nią, przybrawszy sobie jakieś imię z historyi narodowej, mianowała koleżanki do rozmaitych urzędów dworskich, które one pełniły przy wieczerzy. Kostyumów dostarczała garderoba teatrzyku zakładowego. Królowa miała przywilej prosić o trzy łaski, których z reguły nie odmawiano, chyba że były niewykonalne. Gdy się do tego doda rozmaite przedstawienia żywych obrazów, rozmaite komedye, różne produkcye artystyczno-muzykalne i wokalne, popisy muzyczne, roboty, lekturę, rysunki, to się nabiera przekonania, że w ramach napozór zimnego i sztywnego regulaminu było dużo swobody szczerej, wesołości ochoczej i życia. A nadto łączył uczenice z siostrami i je same nawzajem serdeczny stosunek, oparty na łagodności i wyrozumiałości i miłości. Siostry nauczycielki były dla wychowanic prawdziwie dobremi matkami i siostrami. W tej ciepłej, serdecznej atmosferze nawiązywały się związki ściślejszej przyjaźni, których zakład nie psuł, lecz owszem umiał wyzyskać dla dobra wychowania.

O zdrowie uczenic miano jak najbaczniejsze staranie. Niczego nie zaniedbano, aby wytworzyć w pensyonacie jak najpomyślniejsze warunki zdrowotne.

Szczególny nacisk położono na wychowanie moralne. Wychowanie religijne, jako podstawa całego wychowania moralnego, otoczone było wyjątkową troskliwością. Nie poprzestano na bezmyślnem memorowaniu zasad wiary, lecz dążono do tego, aby zasady te uznał rozum, nagięła się do nich wola, przejęło się niemi serce i oparło się na nich życie. Siostry przyświecały wychowanicom żywym, jak najlepszym przykładem.

Materyał wychowawczy był podatny, bo do zakładu przychodziły panienki z domów, w których zazwyczaj dobrze wychowują dzieci. Jednostki niepodatne, niepoprawne umiano z zakładu wyeliminować bez wielkich zachodów i wrzawy.

Jak w każdem społeczeństwie, tak i tu między temi młodemi istotkami nie obeszło się przy rozmaitych mniejszych i większych zasługach i cnotach, z drugiej strony bez mniejszych i większych przewinień i, jak w pensyonacie mówiono, skandalów. Wszystki wersalzkie miały bardzo drobiazgowy kodeks cnot i przewinień, nagród i kar.

Obowiązki uczenic podciągnięto w tym kodeksie pod pięć zasadniczych grup: sprawowanie, porządek, pilność, dobre ułożenie i zachowanie przepisów karności. Grono nauczycielek orzekało na końcu każdego miesiąca, o ile uczenice te pięć kardynalnych obowiązków spełniły lub przekroczyły, i wyznaczało tym, które wyszły bez zarzutu, nagrody w kształcie wstążeczek kolorowych. Za wytrwałe pełnienie kardynalnych obowiązków przyznawano szarfy. Zdobywanie nagród torowało zarazem wstęp do rozmaitych bractw, których były trzy: „Dzieciątka Jezus“. „Aniołów stróżów“ i „Dzieci Maryi“.

Pilność w przedmiotach nagradzano na końcu roku książkami odpowiedniemi.

Pomiędzy karami, stosowanemi w zakładzie, było także bardzo drobiazgowe stopniowanie.

Aby uczenice wychować także pod względem społecznym, dano im w miarę możności sposobność zetknięcia się bodaj pośredniego z nędzą tego świata. W tym celu od początku października do Bożego Narodzenia uczenice robiły z włóczki albo szyły ciepłe ubrania dla małych ubogich dziatek, które rozdawano na gwiazdkę. W wielkim poście urządzano loteryę na korzyść ubogich.

Pensyonat Wizytek wersalskich chociaż nieliczny, oddał i tak społeczeństwu niejedną usługę, wychował szereg Polek, które w rozmaitych dziedzinach pracy narodowej i społecznej rozumnie i sumiennie pełniły i pełnią obowiązki swoje.

Zakład miał najlepszy okres rozwoju w ostatnich kilkunastu latach swego istnienia. Zniszczyły go niedawne burze religijne w Francyi. Wizytki wersalskie, wypędzone z gościnnego dotąd kraju, osiadły w Jaśle w Galicyi.

L i t e r a t u r a i ź r ó d ł a. I n f o r m a c y e l i s t o w n e, udzielone przez Przewielebną Przełożoną Zakonu Naw. N. Maryi Panny w Jaśle S. M. Hiacyntę Chrzanowską, za które autor składa serdeczne podziękowanie. — R o c z n i k Tow. hist.-lit. w Paryżu za rok 1866 i dalsze. — S a r o s i e k o w n a M a r y a: Pamiętnik w rękopisie. Autorka spędziła w pensyonacie cztery lata i spisała wspomnienia i wrażenia swoje w sposób bardzo żywy i zajmujący. Za pożyczenie rękopisu gorąco dziękuję.

6. Zanim opuścimy gościnną ziemię francuską, uczynimy wzmiankę o dwu przedsiębiorstwach edukacyjnych niekoniecznie wesołych.

Ks. Kamiński założył szkołę w Tuluzie własnem staraniem. Skutkiem niewłaściwego postępowania założyciela szkoła ta stała się powodem skandalicznych zajść. Uczniowie uznali się za materyalnie pokrzywdzonych i zwrócili się do Komitetu zjednoczonej emigracyi w Paryżu z prośbą o opiekę i pomoc w dochodzeniu swych krzywd. Interwencya Komitetu okazała się mało skuteczną. Władze francuskie oświadczyły, iż nie mogą przeciw zakładowi wystąpić, jako mającemu charakter prywatny, nie mogą go zmusić do wyliczania się z funduszów uzbieranych. Komitet poprzestał na zamieszczeniu w czasopismie „Niepodległość“ oświadczenia, iż ks. Kamiński nie był od nikogo upoważniony do występowania w imieniu emigracyi. Ostatecznie opuścili uczniowie szkołę zbiorowo.

W tym samym czasie założył w Paryżu i utrzymywał własnem staraniem Szkołę polską p. Zabielski. Szkoła ta nie przynosiła żadnego pożytku. Założyciel otrzymywał z różnych źródeł składki na podtrzymanie szkoły, a nie zdawał z nich sprawy, a prócz tego zapowiedział na rzecz szkoły loteryę fantową, na którą rozprzedał sporo biletów między emigrantami i cudzoziemcami; loteryi nie urządził. Szkołę odstąpił księdzu Kamińskiemu, który przybył z Tuluzy do Paryża.

Ta szkoła paryska, zaopatrzona przez miejscowe duchowieństwo w dość znaczne fundusze, nie rozwinęła się i popadła wnet w rozstrój i upadła.

Literatura i źródła. Sprawozdanie z czynności Komitetu zjednoczonej emigracyi od dn. 17. lipca 1866 r. po dzień 10. maja 1868 roku, Zurych 1868.

7. Po za Francyą i inne kraje dały przytułek instytucyom edukacyjnym emigracyi polskiej drugiej połowy XIX. wieku. Na ziemi włoskiej powstały dwa zakłady. Jednym z nich jest Kolegium polskie w Rzymie.

Zakład polski w Rzymie tego typu ma długą historyę.

Już papież Grzegorz XIII. podarował kardynałowi Hozyuszowi dom i kościół w Rzymie pod wezwaniem św. Stanisława biskupa i męczennika na cele potrzeb kościoła polskiego.

Tenże papież, chcąc ożywić studya teologiczne, zakładał w Rzymie kolegia naukowe dla rozmaitych narodowości. W roku 1552 powstało tamże kolegium niemieckie, po niem w r. 1577

kolegium greckie; a w dwa lata później przybyło Kolegium angielskie.

Polacy, przybywający dla studyów teologicznych do Rzymu, nie mieli wstępu do tych kolegiów. Aby i dla nich stworzyć przytulisko, św. Filip Nereusz, zachęcony przez kardynała Sevelli'ego, protektora Polski, którą wtedy uważano za przedmurze wiary nie tylko wobec Turków i Tatarów, lecz także i wobec schizmatyków, otworzył w r. 1583 za pozwoleniem papieża Kolegium polskie w Rzymie. Św. Filip zajął się instytucyą gorliwie i zwrócił się o materyalne poparcie przedewszystkiem do Polski.

Arcybiskup Stanisław Karnkowski obiecywał w liście z r. 1583 w swojem i biskupów polskich imieniu założycielowi kolegium polskiego wszelkie możliwe poparcie.

Królowa Anna oddawała pierwszemu rektorowi kolegium polskiego ojcu Talpie wielkie pochwały, a Andrzej Batory podjął się zainteresować instytucyą króla i skłonić go, aby rząd polski uznał zakład za swój i łożył na jego utrzymanie.

Do zakładu przyjmowano kandydatów dorosłych, liczących co najmniej lat 22. Między innemi mieli się uczyć głównie prawa kanonicznego.

Byt kolegium nie ustalił się: w r. 1587 już go nie było. W r. 1586 wybuchły w niem jakieś „małe niepokoje“ między młodymi Polakami. Głównym jednak powodem upadku był brak skutecznego poparcia materyalnego. Skończyło się na obietnicach. Król Stefan Batory, po którym spodziewano się najskuteczniejszej pomocy, umarł, nic dla instytucyi nie zdziaławszy. Zmiana tronu i elekcya odwróciły uwagę Polski od zakładu rzymskiego.

Kardynał Andrzej Batory interesował się żywo Kolegium polskiem w Rzymie. Czy mu przyszedł z pomocą materyalną, nie wiemy.

Jako proboszcz generalny księży Bożogrobców czyli Miechowitów (1583—1600) przebywał w Rzymie, właśnie wtedy, kiedy się tam Kolegium polskie organizowało.

Wyjeżdżając do Rzymu, zabrał ze sobą dwu braci zakonnych z Miechowa na studya rzymskie. W Rzymie zakupił „niemałym kosztem“ dom na pomieszczenie Miechowitów, przebywających w Rzymie dla studyów lub dla spraw zakonnych.

W liście, pisanym z Rzymu do Miechowa, donosił z zadowoleniem, że bracia rzymscy robią w naukach bardzo dobre po-

stępy i prowadzą się bardzo wzorowo. Obiecywał sobie po nich bardzo wiele i zachęcał konwent miechowski, aby pomyślał o wysłaniu nowych braci, zdolnych do studyów.

Wspomniani dwaj bracia, towarzysze Batorego, jeden Jan, a drugi cierpiący na febrę Jakób, rozpoczynają seryę kształcących się w Rzymie Miechowitów. O przebiegu i skutku ich studyów, ani o losach dalszych Domu Miechowitów w Rzymie nie mamy żadnych wiadomości.

Antoni Karbowiak.

(Dalszy ciąg nastąpi).

Z życia Kajetana Węgierskiego

Pamiętniki i listy

WYDAŁ

Dr. Stanisław Kossowski.

(Ciąg dalszy).

---

28. Octob.

En attendant que la barque qui devait nous mener à Crown-Point, fut prête, nous visitâmes les ruines du fort: Ticonderoga est placé au confluent de trois lacs, du lac George, du lac Champlain, et du South boy, dans une position avantageuse. C'est proprement la première lé du Canada. Les Anglais l'attaquèrent en 58 et furent complettement battus et

---

28. października.

Oczekując, aż barka, która miała nas zawieźć do Crown-Point, będzie gotową, oglądaliśmy ruiny fortu. — Ticonderoga położona jest w niezwykle korzystnem miejscu, gdzie łączą się ze sobą trzy jeziora, mianowicie: jezioro Jerzego, Champlain i South-boy. Jest to właściwie pierwszy klucz do Kanady, Anglicy napadli na na ten fort w r. 58, zostali jednak zupełnie pobici

repoussés: mais l'année d'après Mr. de Bourlemaque evacua le fort à l'approche d'une armée considérable, commandée par le général Amherst. Les vainqueurs trouverent une haute croix, érigée par les Français sur le bord d'une fosse avec cette inscription: „Pone Principes eorum sicut Oreb et Zeb et Zebie et Salmanna".

Les Americains surprirent Ticonde-roga en 75. Bourgoyne dans sa marche le reprit, après s'être emparé d'une hauteur appellée Sugar-Loaf ou Mount de fiance, qui le domine. Le brigadier Poivell le defendit contre un detachement d'Américains, destinés à intercepter la retraite de l'armée anglaise. Ce fort est à present totalement ruiné, et il n'en reste que quelque cheminées. . . . .

. . . .

Notre barque étant prête, nous embarquâmes pour Crown-Point; mais quelle différence entre les eaux du lac George et celles du lac Champlain? Celles-ci sont troubles: elles exhalent un brouillard mal sain, qui couvre continuellement l'atmosphère. En revanche le pays qui l'environne, est plat et très fertile. Du temps, qu'il apartenait à la France il etait extremement peuplé

---

i odparci; ale w rok potem pan Bourlemaque opuścił fort na widok zbliżającej się ogromnej armii, dowodzonej przez generała Amhersta. Zwycięzcy znaleźli wysoki krzyż, wystawiony przez Francuzów na kraju fortecznej fosy z tym nadpisem: „Pone Principes eorum sicut Oreb et Zeb et Zebie et Salmanna."

Amerykanie zaskoczyli niespodzianie Ticonde-roga w 75 r. Bourgoyne w swoim pochodzie odebrał ją, przywłaszczywszy sobie wzgórze, nazwane Sugar-Loaf albo Mount de fiance, które jest wyższe od Ticonderoga. Brygadyer Poivell obronił je przeciw oddziałowi Amerykanów, przeznaczonemu do ochrony odwrotu armii angielskiej. Fort ten jest obecnie zupełnie zburzony i tylko kilka kominów sterczy z pośród gruzów. . . . .

. . . .

Nasza łódź, będąc gotową, zabrała nas do Crown-Point; ale jaka różnica między wodami jeziora Jerzego a wodami jeziora Champlain? Te są mętne i wydzielają niezdrowe wyziewy, które przepełniają ustawicznie atmosferę. Kraj w zamian, który je otacza, jest płaski i nadzwyczaj urodzajny. W czasie, kiedy należał do Francyi, był on bardzo zaludniony i uprawiany, ale dwie wojny

et cultivé, mais les deux guerres ont ruiné ces établissements. Crown-Point s'appellait anciennement Fort Frederic. Le général Amherst s'en empara en 59 y fit bâtir un nouveau fort et des casernes fort spacieuses. C'est à Crown Point que l'armée de Bourgoyne prit terre. Les calamités de cette guerre, et les ravages de l'armée ont été au peuple de ce pays tout moyen de subsister. C'est d'ailleurs une race d'hommes durs, et qui passe sa vie à chasser, ne s'occupant guères de l'agriculture. Nous ne restâmes à Crown Point qu'autant de temps qu'il fallait pour voir la positon du lieu. Nous revinmes la nuit dans un très-petit canot, mené par des gens ivres, et au risque à chaque instant de verser. Notre canot heurta plusieurs fois contre des piquets, plantés dans le canal, pour empêcher la navigation. Il fallait encor regagner la place du debarquement, et nous arrivâmes, à minuit, tombant de sommeil et extenués de fatigue. — Il y avait trois, jours que nous n'avions point, dormi et les mauvaises nourritures ne nous donnaient aucune force. Nous couchâmes vingt-trois personnes dans la même chambre, 'un nombre infini de chasseurs et plusieurs passagers canadiens. Nos bateliers nous avaient promis qu'ils nous conduiraient en trois heures; et nous

zniszczyły zupełnie jego osady. Crown-Point nazywał się dawniej fortem Fryderyka. Generał Amherst przywłaszczył go sobie w 59 r., kazał tam zbudować nowy fort i bardzo obszerne kasarnie. W tym to Crown-Point wylądowała armia Bourgoyne. Zaburzenia podczas tej wojny i spustoszenia, dokonywane przez armię, pozbawiły ludności tego kraju wszelkich środków utrzymania. Jest to przedewszystkiem rasa ludzi zahartowanych, którzy spędzają życie na polowaniu, a nie zajmują się prawie wcale uprawą roli. Zabawiliśmy tylko tak długo w Crown-Point, ile potrzeba było na rozglądnięcie się i zobaczenia położenia tego miejsca. Powróciliśmy w nocy w bardzo małej barce, prowadzonej przez ludzi pijanych, będąc narażeni w każdej chwili na przewrócenie się. Nasza łódź zaczepiała kilkakrotnie o pale pozabijane w kanale w celu przeszkodzenia w żegludze. Trzeba było wyszukać jeszcze odpowiednie miejsce do wylądowania, przybyliśmy więc o północy, upadając ze znużenia i wyczerpani z trudów. — Od trzech dni nie spaliśmy wcale, a złe pożywienie nie dodawało nam wcale sił. Spało nas 23 osób w jednym pokoju, a nadto nieskończona liczba myśliwych i kilku kanadyjskich podróżników. Wioślarze przyrzekli, że dowiozą nas we trzy godziny, jednak my potrzebowali-

en employames plus de sept. Nous n'avions mangé de toute la journée, et en trois jours nous n'avions vû du pain; et l'objet pour qui nous avions pris tant de peine ne meritait pas notre attention. Nous trouvâmes heureusement un colonel Coffin, qui daigna nous faire part de son diner.

29. Octob.

Nous espérions qu'un bont vent du nord, qui avait regné toute la nuit, nous aiderait à repasser le lac dans peu de temps. Les voiles étaient toutes prêtes, mais au moment que nous entrons dans le bateau, le vent tombe et l'on fut obligé de ramer. Le seul avantage que nous recueillîmes, fut un temps doux, et peu commun dans cette saison. Vers le midi, le soleil fut si chaud, que nous ne pumes soutenir nos surtouts et tout le reste de la journée repondit à ce commencement. Le lac George a 34 miles de longueur, et à peuprès deux de largeur, mais souvent ses eaux sont resserrées, et alors il est tout au plus large d'un mile. Nous visitâmes en notre chemin plusieurs isles, entr'autres

---

śmy na to więcej jak siedm. Nie jedliśmy przez cały dzień, a od trzech dni nie widzieliśmy wcale chleba: przedmiot zaś, dla którego zadaliśmy sobie tyle trudu, nie był wart naszej uwagi. Znaleźliśmy na szczęście naszego pułkownika Coffin, który raczył podzielić się z nami swoim obiadem.

29. października.

Mieliśmy nadzieję, że dobry wiatr północny, który panował całą noc, pomoże nam przebyć jezioro w krótkim czasie. Żagle były całkiem gotowe, ale w chwili, kiedy wchodziliśmy do łodzi, wiatr ustał i musiano zabrać się do wioseł. Jedyne, co nam sprzyjało, to przepiękna i niezwykła w tej porze roku pogoda. Około południa słońce grzało tak silnie, że nie mogliśmy zatrzymać naszych okryć, a cała reszta dnia odpowiadała temu początkowi. Jezioro Jerzego ma 34 mil długości i prawie 2 szerokości, ale jego wody często zwężają się i wtedy ma ono szerokość najwyżej jednej mili. Zwiedziliśmy w naszej drodze kilka wysp, między innemi jedną, gdzie republika bobrów miała swoje siedlisko. Od-

une, où la republique des castors avait ses établissements. Je vous renvois à l'abbé Raynal, pour y lire l'histoire de ce peuple industrieux, et je puis vous assurer, qu'ils sont infiniment superieurs, dans leur manière de bâtir, de se loger, dans leurs inventions pour couper le bois scier, faire des chaussées, aux hommes qui habitent ces contrées sauvages et qu'il y a autant de différence entre une baraque d'un habitant de ce pays-ci et un logement d'un castor, qu'il y en a entre celui-ci et la maison la plus commode de Paris. Vous ne pourriez vous figurer, avec quelle negligence, et avec combien peu de précautions les huttes sont bâties. Il n'y a ni portes, ni fenêtres; les baillements, que doivent occasioner deux morceaux de bois, misl'un sur l'autre, ne sont bouchés par rien. Je ne conçois pas, comment ils peuvent resister avec des pareilles maisons à la severité de l'hiver qui est extremement rude dans ces climats. Nous jouissions cependant de la plus agreable temperature: je contemplais la beauté de ces eaux limpides que rien ne peut dépeindre, elles étaient d'un calme et d'une transparence, qui nous laissait voir les poissons se jouant entre eux. Les truites du lac sont fameuses; et une quantité de canards et d'oyes sauvages forment un manger

---

syłam was do księdza Raynal, abyście w nim przeczytali historyę tego przemysłowego społeczeństwa, a mogę was zapewnić, że jest ono nieskończenie doskonalsze w swoim sposobie budowania, zamieszkiwania, w swoim pomyśle ścinania drzew, piłowania, robienia dróg, od ludzi, którzy zamieszkują te dzikie okolice i że tyle jest różnicy między szałasem mieszkańca tego kraju, a mieszkaniem bobra, ile jest różnicy miedzy tem ostatniem, a najwygodniejszem mieszkaniem Paryża. Nie moglibyście sobie wyobrazić, z jakiem zaniedbaniem i brakiem ostrożności budują tu chaty. Nie ma w nich ani drzwi, ani okien; szpary, które muszą powstawać, skoro dwa kawały drzewa kładzie się jeden na drugim, nie są zatkane niczem. Nie wyobrażam sobie, jak oni mogą przetrzymać w takich domach surowość zimy, która jest nadzwyczaj ostrą w tym klimacie. My jednak cieszyliśmy się w tym czasie najprzyjemniejszą temperaturą; przypatrywałem się piękności tych przejrzystych wód, których nic nie zdoła odmalować, były one tak dalece spokojne i przejrzyste, że pozwalały nam widzieć ryby, bawiące się ze sobą. Pstrągi w tem jeziorze są sławne; a wielka ilość kaczek i gęsi dzikich tworzy doskonałą żywność. Powoli

excellent. Peu à peu le soleil descendait et la lune paraissait. C'est l'astre, qui convient le mieux à ce lac. Sa lumiere ajoûte une nouvelle beauté à la limpidité de ces eaux. Je me rapellais la promenade de St. Preux sur le lac... c'est un des plus beaux traits et peut-être le plus naturel du roman de la nouvelle Heloïse. Je me rapellais Leandre, nageant pour joindre sa tendre Hero. Je voyais la tour d'Abydes: je voyais cette amante d'abord impatiente, ensoite désesperée: et je reprochait au sort, de n'avoir point accordé au tendre Leandre des eaux aussi tranquilles, un temps aussi doux à passer.

30. Octob.

Nous n'avons trouvé heureusement aucun etranger dans la maison, et la maitresse portante de ses couches. Nous avons passé une nuit tranquille et dormi supportablement bien. Le matin nous allâmes visiter le fort, il est fameux par un siege que le major Eyres y soutint contre les troupes francaises, commandées par Mr. de Reygaud. Mr. de Montealm l'attaqua en per-

---

słońce zachodziło i ukazywał się księżyc. Jest to planeta, która najwięcej odpowiada temu jezioru. Jej światło dodaje nowej piękności i przejrzystości jego wodom. Przypominałem sobie przejażdżkę St. Preux po jeziorze... jest to jeden z najpiękniejszych i może najnaturalniejszych obrazów romansu Nowej Heloizy. Przypominałem sobie Leandra płynącego, aby doścignąć swojej czułej Hero. Widziałem wieżę Abydy; widziałem tę kochankę najpierw niecierpliwą, potem zrozpaczoną: i wymawiałem losowi, że nie użyczył czułemu Leandrowi wód tak spokojnych i pięknej pogody do przejazdu.

30. października.

Nie znaleźliśmy na szczęście nikogo obcego w domu i gospodynię wyzdrowiałą po połogu. Noc spędziliśmy spokojnie i spaliśmy wcale znośnie. — Zrana poszliśmy oglądnąć fort. Jest on sławny dzięki obleżeniu, które major Eyres wytrzymał przeciw wojskom francuskim, dowodzonym przez p. de Reygaud. Pan de Montealm dowodził osobiście i zdobył go, ale gdy twier-

sonne et le prit: mais après la reddition de la place les sauvages, qui accompagnaient notre garnison, frustrés du pillage par la capitulation, tomberent avec fureur sur la garnison, et en massacrerent la moitié. Le général français permit aux prisoniers de se defendre: mais le désordre et le carnage fut si grand, qu'il n'y eut que le lieutenant colonel Murro et après 300 personnes qui trouverent un abri et un refuge dans les rangs de l'armée française — le reste fut égorgé, ou s'enfuit dans les bois. Cette horrible manière de faire la guerre, que les deux partis ont toléré et encouragé pendant très longtemps est une grande tache à leur humanité. Le fort est maintenant détruit et abandonné. Nous montâmes à cheval environ vers les huit heures, et nous revinmes d'une traite au fort Edward, et de là à Saratoga.

Quoique Montaigne aye été blamé d'avoir parlé dans son voyage d'Italie de ses indispositions, cela ne m'empêche pas de vous dire, que j'etais si malade en arrivant cher Mr. Shnyler, que je n'eus rien de plus pressé que de me mettre au lit.

---

dza sama poddała się, dzicy, którzy towarzyszyli naszemu garnizonowi, pozbawieni dzięki kapitulacyi łupów, rzucili się z wściekłością na załogę i wymordowali z niej połowę. Generał francuski pozwolił więźniom bronić się: ale zamieszanie i rzeź była tak wielka, że tylko pułkownik Murro i jeszcze trzysta osób znalazło schronienie i ucieczkę w szeregach armii francuskiej — reszta została wymordowana albo schroniła się do lasów. Ten straszny sposób prowadzenia wojny, który tolerowano i uprawiano od dłuższego czasu, świadczy bardzo źle o ludzkości obu wojujących stron. Fort ten jest obecnie zniszczony i opuszczony.

Około ósmej godziny wsiedliśmy na koń i powróciliśmy z przejażdżki do fortu Edwarda, a ztamtąd do Saratogi.

Chociaż Montaigne'a zganiono, że w swojej podróży po Włoszech mówił o swoich niedyspozycyach, nie przeszkodzi mi to jednak powiedzieć wam, że przybywszy do p. Shnylera, czułem się tak dalece chorym, że za najkonieczniejszą potrzebę uznałem położyć się co prędzej do łóżka.

31. Octob.

Condisce i diletti
Memoria di pene:
Nè sà, che sia bene,
Chi male non soffri.

C'est dans l'espérance qu'un jour mes plaisirs seront assaisonnés par le souvenir des peines, que j'ai souffertes, que tout malade, que j'etais, j'ai quitté mon lit de bon matin pour suivre notre voyage par une nouvelle route, jusqu'a S h e n e c t a d y, où nous esperions de trouver plusieurs familles indiennes. Nous passâmes par le Town-Ship de New-Town, remarquable, par la qualité d'excellentes pommes, qu'il produit (connues dans le continent sous le nom de N e w - T o w n P e p i n). Les chemins étaient si mauvais, que mes chevaux enfonçaient jusqu'au poitrail. Nous entrâmes dans une ferme pour y faire manger nos chevaux, mais nous ne trouvâmes ni avoine pour eux. ni pain pour nous, et nous fimes encore quatre miles, où nous trouvâmes un honnête Suisse, qui nous donna un morceau de pain et de beurre, et de l'excellent cidre, et à nos chevaux du bles de Turqie. Il ne vou-

---

31. października.

Wspomnienie przykrości
Okrasza przyjemności.
Kto złego nie wycierpiał
Nie wie, że to dobrze.

W nadziei, że kiedyś moje przyjemności będą zaprawione wspomnieniem przykrości, które wycierpiałem, pomimo, że byłem zupełnie chory, opuściłem łóżko wczesnym rankiem, aby wyruszyć w dalszą podróż po nowo obranej drodze aż do Shenectady, gdzie mieliśmy nadzieję znaleźć kilka rodzin indyjskich. Przejeżdżaliśmy przez Town-Ship z New-Town, które słynie z uprawy pewnego gatunku doskonałych jabłek (znanych na stałym lądzie pod nazwą N e w - T o w n p e p i n). Drogi były tak złe, że moje konie zapadały aż do piersi. Zajechaliśmy do farmy, aby dać jeść naszym koniom, ale nie znaleźliśmy ani owsa dla nich, ani chleba dla siebie; zrobiliśmy jeszcze cztery mile, aż natrafiliśmy na uczciwego Szwajcara, który ofiarował nam kawałek chleba i masła, jakoteż doskonałego jabłecznika, a naszym koniom dał tureckiego

lut rien recevoir pour son hospitalité: il nous pria seulement de nous souvenir de lui: et dire à ses parents, si jamais nous allions en Suise qu'il vivait heureux et content, il avait une famille belle et nombreuse: et il nourrisait sept enfants du travail de ses mains. Cela n'est pas croyable pour un Européen. quelle étonnante quantité d'enfants on rencontre en voyageant en Amérique. On peut compter, un portant l'autre, six personnes par ferme. Tout ce qui detourne le cultivateur europeen de multiplier sa famille encourage le fermier Americain à la propager. Il sait que plus il aura d'enfants plus il sera riche et il est persuadé avec raison que l'immense étendue de terrain, dont il ne cultive qu'une partie deviendra sous la main de ses enfants un jardin continuel. et produira vingt fois d'avantage.

En quittant la Suisse. nous traversâmes des bois immenses, sans autre arme, qu'une baguette à la main. C'est une chose surprenante, qu'après une guerre de huit ans, où les trouppes n'étaient pas payées. il n'y ait aucun brigand: les chemins sont si sûrs, que s'ils étaient gardés par la maréchaussée. Les forets sont pleines de chasseurs, qui ne sont jamais tentes de tirer un coup sur le voyageur sans defense. Nous avons voyagé la nuit

---

zboża. Nie chciał on nic wziąć za swoją gościnność i prosił nas tylko. abyśmy o nim pamiętali i powiedzieli jego rodzicom, jeżeli kiedy pojedziemy do Szwajcaryi, że on żyje szczęśliwy i zadowolony, że ma rodzinę piękną i liczną i że pracą rąk swoich żywi siedmioro dzieci. Trudno uwierzyć jest Europejczykowi. jaką zadziwiającą ilość dzieci spotyka się. podróżując po Ameryce. Można rachować przeciętnie sześć osób na każdą farmę. Wszystko to. co wstrzymuje rolnika europejskiego od pomnażania swojej rodziny. to wszystko dodaje odwagi fermerowi amerykańskiemu do jej pomnażania. Wie on, że im więcej będzie miał dzieci, tem będzie bogatszy i słusznie jest przekonany. że ogromny obszar ziemi, z którego on uprawia tylko część, stanie się pod rękoma jego dzieci wielkiem polem uprawnem, przynoszącem dwadzieścia razy więcej dochodu.

Opuściwszy Szwajcara, przebyliśmy ogromne lasy, mając za całą broń laskę w ręku. Jest rzeczą zadziwiającą, że po 8-letniej wojnie, w której wojsko nie było płacone, nie ma tam ani jednego rozbójnika: drogi są tak bezpieczne. jakby były strzeżone przez żandarmeryę. Lasy pełne są myśliwych, których jednak nic nie skusi strzelać do bezbronnego podróżnika. Podróżowaliśmy

dans tout ce pays et presque toujours dans les bois, sans en rencontrer quelqu'un, sans crainte même d'en trouver.

Nous cotoyons une haye d'une ferme, près de la Mohawk. et nous parlions français. Nous fumes appellés par un homme dans cette langue et nous aprimes que c'etait un Champenais, nommé Jean le Clerc; qu'il avait eté fait prisonnier en Canada, et qu'ayant été échangé, il avait préféré de rester dans ce pays-ci que d'aller revoir la St. Ampoule. Il a une bonne ferme, et en possede une autre encore dans la Dutchefs County. Il dit qu'il est très à son aise, très heureux et qu'il a aussi combattu pour la liberté. Je lui dit „qu'il devait renoncer à boire du vin de Champagne". „J'ai du bon cidre, me repondit-il, je fais quelque fois du punch, je mange du bon mouton, du boeuf excellent, et je ne fais que ce que je veux; je ne travaille que quand il me plait; mes enfants seront plus riche que moi, parce que ma terre vaudra dans vingt ans, cinq on six fois d'avantage. Tout cela ajouta-t-il. vaut bien le plaisir de boire du vin mousseux". Je lui fis mon compliment sur cette resignation et je pensai qu'il ne raisonnait pas mal.

---

w tym kraju nocą i prawie zawsze w lasach. nie spotykając nikogo i nie obawiając się spotkania.

Szliśmy obok ogrodzenia farmy blisko Mohawk i mówiliśmy po francusku. W tym języku zawołał na nas pewien człowiek i dowiedzieliśmy się, że był to Champańczyk nazwiskiem Jan Clerc; został on wzięty do niewoli w Kanadzie, a wymieniany wolał zostać w tym kraju, aniżeli wrócić i widzieć znowu St. Ampoule (naczynie; które służyło przy koronacyi królów francuskich). Ma on dobrą farme i posiada drugą w Dutchefs County. Mówi, że mu sie bardzo dobrze powodzi, że jest bardzo szcześliwym i że walczył także o niepodległość. Wspomniałem mu, że musiał wyrzec się picia szampańskiego wina. „Mam zato dobry jabłecznik, odpowiedział mi, robię niekiedy punch, jem dobrą baraninę, doskonałą wołowine i robię to, co mi się podoba; pracuję tylko wtedy, kiedy mam do tego ochotę; dzieci moje będą bogatsze odemnie, ponieważ moja ziemia będzie warta za 20 lat pięć lub sześć razy więcej. Wszystko to, dodał on, warte jest, by pić z przyjemnością musujące wina." Powinszowałem mu takiego zapatrywania sie i pomyślałem sobie, że wnioskuje wcale dobrze.

Une chose qui m'a frappé le plus dans l'histoire de la guerre d'Amérique c'est de voïr un peuple composé de 20 nations différentes, distinctes, non seulement par les usages et la langue, mais souvent directement opposées par les moeurs et la religion, s'unir pour combattre un ennemi, par les loix du quel elles étaient toujours gouvernées. et dont il avait éprouvé le doux empire. Tant la crainte de faire quelque chose malgré eux, peut sur l'esprit des hommes indépendants. Il n'y a peut-être d'homme au monde plus indépendant qu'un fermier dans ce pays-ci, éloigné de ses voisins. il regne en maitre sur sa famille, il ne paye aucune taxe, il n'est obligé à aucun devoir, il est égal à tous le monde, et n'entend pas parler des gens de loi.

Nous passâmes le Mohawk et un charmant village. apellé N a s k e j a n g. C'est une colonie hollandaise, les maisons y sont bâties à merveille, et tout respire la propreté et l'aisance. Nous nous enfonçames de nouveau dans les bois, et nous arrivâmes tard à Shenectady. Nous avions des lettres pour des habitants de cette ville, mais n'en ayant trouvé aucun à la maison, nous allâmes coucher dans une auberge, que nous trouvâmes extremement commode.

Co mię najwięcej uderzyło w historyi wojny amerykańskiej, to to. że miało się przed sobą naród, składający się z 20 rozmaitych narodowości, różniących się nietylko zwyczajami i językiem, ale często o wprost sprzecznych ze sobą obyczajach i wyznaniach religijnych, łączący się dla zwalczania wspólnego wroga, którego prawami był on dotychczas rządzony, i który błogich skutków tego rządu doznał. Tak więc obawa, by nie uczyniono czegoś mimo ich woli, wywiera wielki wpływ na umysły niezależnych ludzi. Nie ma, być może, na świecie człowieka bardziej niezależnego, niż farmer w tym kraju: oddalony od swoich sąsiadów, króluje jak pan nad swoją rodziną. nie płaci żadnego podatku, nie jest zmuszony do żadnego obowiązku. czuje, że może dorównać każdemu na świecie i nie słyszy nawet o ludziach, mających styczność z prawem.

Prześliśmy Mohawk i czarującą wioskę N a s k e j a n g. Jest to kolonia holenderska; domy są tam zbudowane cudownie i wszystko tchnie czystością i dobrobytem. Zapuściliśmy się znowu w lasy i pożno przybyliśmy do Shenectady. Mieliśmy listy do mieszkańców tego miasta, ale nie znalazłszy żadnego w domu, poszliśmy nocować do zajazdu, który był niezwyle wygodnym

1. Novembre.

Sthenectaday est un bourg d'environ 250 maisons, situé dans une position très-agréable sur le Mohawck. Ses habitans font un commerce considérable de fourrures avec les Indies, qui se monte à peu près à 1,200.000 livres. Il y a plusieurs maisons de briques et celles, qui sont de bois, sont commodes et spacieuses. La facilité de remonter au printemps le Mohawk et d'aller en bâteaux jusqu'à Oswego, leur ouvre un commerce aisé avec les parties les plus reculées. Il commence au mois de mai et finit en juillet; On pourrait ouvrir une communication aisée entre Oswego et Sthenectady par terre. Tout le pays, où coule le Mohawk, est un terrein extremement fertile; le blé, le pois y viennent en abondance, et d'une qualité supérieure.

Sthenectaday est un ancien établissement indien de la tribu des Mohawks, mais les saurages se sont retirés dans les terres depuis que les Européens s'y sont établis. Ils ont été d'ailleurs en grande partie, exterminés dans les guerres sanglantes entre les Français et la Grande Bretagne. Treize familles des tribus, Conostage et Tuscorara sont établies à deux milles de la

---

1. listopada.

Sthenectaday jest miastem, mającem około 250 domów, położonem w nadzwyczaj przyjemnej miejscowości nad rzeką Mohawck. Mieszkańcy prowadzą z Indyanami znaczny bardzo handel futrami, którego obrót pieniężny dochodzi prawie do 1.200.000 franków. Kilka domów jest z cegły, a te, które są z drzewa, są wygodne i obszerne. Łatwość komunikacyi na wiosnę na rzece Mohawck i łatwość żeglugi łodziami aż do Oswego, otwiera im łatwy handel z najbardziej oddalonemi częściami. Zaczyna się on w maju i kończy w lipcu: możnaby otworzyć również łatwe połączenie między Oswego a Sthenectady. Cały kraj, przez który płynie Mohawck, jest ziemią nadzwyczaj urodzajną; zboże, groch rodzi się tam w obfitości i w doskonałym gatunku.

Sthnectaday jest dawnem siedliskiem Indyan z pokolenia Mohawk, ale ci dzicy cofnęli się w głąb lądu, odkąd osiedlili się tam Europejczycy. Zostali oni zresztą po większej części wyplenieni w krwawych wojnach między Francuzami i Wielką Brytanią. Trzynaście rodzin z plemion Conostage i Tuscorara osiadło o 2 mile od miasta; doszliśmy tam, aby je ujrzeć, mając ze sobą

ville: nous y acheminâmes pour les voir accompagnées d'un interprete et de quelques bouteilles de rum. L'homme, qui nous accompagnait était un Alsacien, soldat du regiment de Fisher, et pris par les sauvages à Niagara en 59. Après avoir été adopté par les Onondagas, il avait épousé une femme de cette tribu, mais l'ayant perdu, il épousa en secondes nôces la princesse Seaverroa, soeur du chef de la tribu Tascorara, connu ici sous le nom de Wylem, et très-distingué par sa bravoure. A ses actions. Avec un introducteur pareil et le rum, nous ne pûmes pas être mal reçus. Nous demandâmes à voir une danse; et la princesse, après avoir avalé deux verres de rum, se mit à danser d'une maniere si violente qu'il fallut la prier de finir. Elle s'accompagnait enchantant, et sa danse figurée exprimait une histoire relative à son mariage et au bonheur de cette union. Il y a assurément une très-grande différence entre ce gigotement convulsif, et les graces inimitables de Mlle Guimard: mais j'ai trouvé quelque ressemblance entre les sons barbares, et les chants de l'Opera: „et manent semper vestigia ruris." Nous engageâmes Wylem à se revêtir de ses habits, à se peindre le visage, et à éxécuter quelques pas de cette danse guerriere, que taut d'Européens ont

---

tłumacza i kilka butelek rumu. Człowiek, który nam towarzyszył, był Alzatczykiem, żołnierzem z oddziału Fishera, wziętym do niewoli przez dzikich nad Niagara w 59 r. Adoptowany przez Onondagasów, ożenił się z kobietą tego plemienia, ale straciwszy ją, ożenił się po raz drugi z księżniczką Seaverroa, siostrą dowódcy plemienia Tascorara, które znane jest tu pod imieniem Wylem, i które słynie szeroko ze swojej dzielności i czynów. Mając takiego przewódcę i rum, nie mogliśmy być źle przyjęci. Prosiliśmy, żeby nam zatańczono: księżniczka tedy wchłonąwszy dwie szklanki rumu, zaczęła tańczyć w sposób tak gwałtowny, że trzeba ją było prosić, aby przestała. Akompaniowała sobie śpiewając, a jej taniec z figurami wyobrażał historyę, odnoszącą się do jej małżeństwa i do szczęścia z tego związku. Jest z pewnością wielka różnica pomiędzy tym ruchem konwulsyjnym a niemożliwą do naśladowania gracyą panny Guimard; znalazłem jednak nieco podobieństwa pomiędzy barbarzyńskimi tonami a śpiewami opery: „et manent semper vestigia ruris." Zachęciliśmy Wylema, by odziawszy się w swoje ubranie i namalowawszy sobie twarz, wykonał kilka kroków tego tańca wojennego, który opisy-

décrite, et qui inspire, à ce qu'on dit, une telle terreur aux assistants, qu'ils oublient que c'st un festin, et tremb leut pour leur vie.

Mais soit que nous étions disposés à rire, soit qu'un homme seul ne put produire le même effet, nous eumes une peine infinie à nous retenir de rire pour ne pas offenser le complaisant Sachem. Je proposais de lui acheter son wampum, son chalumeu de pais et lo hache, mais il me dit, que n'ayant pas de facilité de s'en procurer un autre, il ne voulait passe défaire de celui-là. Pendant que nous nous entretenions avec le chef, la princesse, sa soeur, avait vuidée le reste de la bouteille, et s'étant egayé, elle nous proposa de nous suivre ou de nous marier avec ses soeurs, qu'elle voulait faire venir d'Oneyda. Son mari, l'Alsacien, nous expliquant tout cela, nous dit „qu'il né fallait pas nous étonner de toutes ces extravagances, qu'elle était ivre“ et qu'il s'attendait à bien d'autres. Effectivement elle se mit à fumer et à danser avec tant de violence qu'elle ressemblait à un Energumene dans un accès. Nous voulumes nous retourner à la ville mais elle nous témoigna qu'y ayant à faire, elle vonlait nous accompagner, et nous fumes obligés de lui donner le bras dans la

---

wało tylu Europejczyków, i który może natchnąć — jak mówią — przytomnych taką bojaźnią, że zapominając, że to zabawa, drżą o swoje życie. Ale bądź, że byliśmy zanadto usposobieni do śmiania się, bądź, że jeden człowiek nie może wywołać takiego efektu, z trudnością wstrzymywaliśmy się od śmiechu, aby nie obrazić uprzejmego Sachema. Zaproponowałem mu, aby sprzedał swój wampum, fujarkę i siekierę, ale powiedział mi, że nie mając sposobności wystarać się o inne, nie chciałby się ich pozbywać. Podczas gdy my rozmawialiśmy z dowódcą, księżniczka, jego siostra, wypróżniła do reszty butelkę i rozweseliwszy się, zaproponowała nam, że pójdzie z nami, albo że nas ożeni ze swemi siostrami które chciała sprowadzić z Oneydy. Jej mąż, Alzatczyk, wytłumaczył nam to wszystko i rzekł: „że nie trzeba dziwić się wszystkim tym dziwactwom, gdyż ona zupełnie jest pijana, i że można spodziewać się po niej, i on oczekiwał jeszcze czegoś więcej“. W istocie zaczęła ona palić i tańczyć z taką gwałtownością, że była podobną do Energumena w ataku. Chcieliśmy powracać do miasta, ale powiedziała nam, że ma tam interes i że chce iść z nami, musieliśmy więc podać jej ramię na ulicy

rue, au grand scandale des habitants de Sthenectady. Enfin après nous avoir addressé à son mari, et l'avoir prie instament de nous debarasser de son Altesse, elle nous laissa aller, après m'avoir préalablement regalé d'un baiser et d'eau de vie. (Il faut que vous sachier qu'elle avait cinquante ans). Nous montâmes à cheval, et nous enfuimes à grand galop pour éviter d'autres faveurs, plus dangereuses peut-être et nous arrivâmes après trois heures de marche à Albany à mon grand contentement. — J'étais lâs de toutes ces avantures, et je soupirais, après un bon feu, et un bon diner. Nous nous sommes reposé de nos fatigues, et nous nous preparons à d'autres.

---

ku wielkiemu zgorszeniu mieszkańców Sthenectady. Wreszcie zwróciliśmy się do jej męża i prosiliśmy usilnie, aby nas oswobodził od jej wysokości. pozwoliła nam wtedy odejść, obdarzywszy mię pierwej pocałunkiem i wódką! (a musicie wiedzieć, że miała 50 lat). Wsiedliśmy na konie i z wielkim pośpiechem uciekliśmy, aby uniknąć innych grzeczności, być może bardziej niebezpiecznych, i po trzygodzinnej drodze przybyliśmy ku memu wielkiemu zadowoleniu do Albany. Byłem temi przygodami zmęczony i wzdychałem za dobrym ogniem i za dobrym obiadem. Wypoczęliśmy po trudach i przygotowujemy się do nowych.

(Ciąg dalszy nastąpi).

Wycieczka do Parany

(stanu rzeczypospolitej Brazylii).

Dziennik podróży.

(Ciąg dalszy).

Wybitną osobistością był ksiądz Przytarski z Kaszub (w Prusach zachodnich), za czasów cesarstwa i aż do powstania 1893 r. pan samowładny na koloniach „Nowa Polonia“ pod Kurytybą, składających się z Nova Orleans, S. Ignacio, Dom Pedro, Rivière, Dom Augusto, Santa Canolida. Zwolennik stronnictwa liberalnego, wówczas panującego, zaprowadził pięć szkół rządowych z językiem wykładowym polskim. Swoich parafian wyuczył występować zbiorowo i demonstracyjnie na podobiznę wojska z narodowymi śpiewami. Świetnie w „Nowej Polsce“ przy uroczystościach przedstawiały się banderye piesze i konne, złożone z dobrze wyćwiczonych wojskowych pruskich.

Przyjmował w ten sposób najwyższe figury dworu panującego brazylijskiego. Lecz skończyła się ta sielanka. Z nastaniem rzeczypospolitej, zaprowadzonej przez stronnictwo zachowawcze, utworzoną została z dyecezyi S. Paulowskiej, osobna dyecezya na stany Parana i Santa Catharina i zamianowany został biskupem człowiek, stronnik partyi zachowawczej.

Zwolennicy tego stronnictwa, zwący się teraz „rządowcami“, „republikanami“ i „jakobinami“, są jednocześnie tubylcami, niechętnymi cudzoziemcom. Obecny biskup kurytybski pokasował wszystkie parafie polskie, a księży polskich stara się przenieść na parafie czysto- brazylijskie — zwykle lepsze pod względem materyalnym. Skorzystał z zaburzeń, jakie miały miejsce w Orleansie, aby księdza P. usunąć ztamtąd, jako przyczynę wzburzenia. Nie chcąc osiąść na parafii czysto brazylijskiej, ksiądz P. osiadł w Kurytybie, zkąd wywierał swój wpływ „burzący“ na swych dawnych parafian w Orleansie, którzy wciąż domagali się jego powrotu.

Wreszcie zgodził się osiąść w Mateuszu. Dowodzi zawsze, że Polacy powinni się mieszać do polityki miejscowej, trzymać koniecznie z jedną partyą lub z drugą i ze zwycięstwem jej zdobywać prawa i znaczenie. Inaczej staną się masą bierną, z którą nikt nigdy nie będzie się liczył. Mieszać się więc musimy do polityki, choćby tylko dla wprawy. Jego zdaniem lepiej byłoby, żeby Polacy należeli do wstrętnej mu partyi rządowej, niż do żadnej.

Ksiądz Władysław Smołucha, dusza gorąca, przechodził w Paranie chwile prawdziwego męczeństwa. W Mateuszu zamieszał się w zawieruchę rewolucyjną w 1893 r. Przez kilka tygodni trzymany był w więzieniu w miłem oczekiwaniu, że go lada chwila rozstrzelają. Nie wolno mu powrócić do Mateusza, do którego się bardzo przywiązał. Ksiądz biskup i rządzące stronnictwo bezwarunkowo nigdy go tam nie dopuści, jako niepoprawnego rewolucyonisty, który mógłby na nowo wzniecić powstanie w tej kolonii. Ponieważ już od lat dziesięciu znajduje się w Brazylii, przeto ksiądz biskup przypuszcza, że umie po portugalsku i ofiaruje mu parafie brazylijskie. On zaś nie myśli się wcale bliżej zapoznawać z tym językiem. Ostatecznie uległ i przyjął wikaryat w S. Jose dos Pinhaes pod Kurytybą, niby brazylijski, a właściwie mieszany. Sam byłem na jego kazaniu polskiem w kościele wśród chodzących i głośno rozmawiających Brazylian, a skromnie stojących i uważnie słuchających Polaków.

Zniszczono majątkowo księdza Smołuchę podczas powstania. Za pośrednictwem Polskiego Towarzystwa Handlowo-Geograficznego we Lwowie, (które odpowiednie kroki robiło w austryackich delegacyach i ministerstwach), upomniał się o swoją krzywdę u państwa, którego jest jeszcze dotąd poddanym. Tak czynili ze skutkiem Włosi, udając się do swej władzy włoskiej, która

zawsze energicznie żąda grubych odszkodowań od rządu brazylijskiego. Zabiegi te u rządu austryackiego okazały się daremnemi, bo wiadomo, jak mało opieki i pomocy poddani austryaccy doznają od swej władzy za granicą.

Co do inteligencyi świeckiej, to z pola zeszli w Paranie p. Bendaszewski, Durski, Karol Szulc i Jan Koźmiński. Pierwszy przeniósł się do Hamburga... stał się specyalistą w dowozie towarów europejskich do Parany. On to zapoczątkował nowe towarzystwo przewozowe hamburskie „Frejtas". Biegły jest szczególnie w ocenie tkanin i wogóle w zastosowaniu dowozu towarów do potrzeb ludności parańskiej: jest to przedewszystkiem kupiec. Posądzano go swego czasu głośno w prasie polskiej o wywołanie osławionej gorączki emigracyjnej z Królestwa Polskiego do Brazylii. Twierdzono, że nikt inny nie mógł znać tak doskonale chłopa polskiego i tak zręcznie masy włościańskie poruszyć. Powątpiewam stanowczo o prawdziwości robionych mu w tym względzie zarzutów i to tem więcej, że prawie wcale nie obcuje z Polakami i polskich spraw nie zna.

P. Hieronim Durski z Poznańskiego był od lat 40-tu czy 50-ciu nauczycielem rządowym; nie wykładał języka polskiego z prostego powodu, że nie było wówczas prawie wcale Polaków w Brazylii. Jest on autorem gramatyki polsko-portugalskiej... w ostatnich czasach zestarzał się i usunął od wszystkiego.

Ślad i wspomnienie po sobie zostawił p. Karol Szulc. Jest on założycielem pierwszego w południowej Ameryce czasopisma polskiego. Po raz pierwszy w 1892 roku wyszła pod jego redakcyą „Gazeta Polska w Brazylii", jako tygodnik. Bardzo wiele można było jej zarzucić pod względem literackim: ganią mu też jego wystąpienia przeciw niektórym księżom; istotnie wiele jego polemik było może nieodpowiednich w treści i formie. Nie posiada bowiem wyższego wykształcenia; ale niepodobna mu odmówić zasługi prawdziwie epokowej, założenia pierwszego czasopisma polskiego i trzymania się zawsze kierunku postępowego i ludowego. Jak umiał, tak pisał prozą i wierszem... dobrze i źle... trafnie i czasami błędnie, lecz zawsze jako dobry Polak, a szczery ludowiec.

Wreszcie wypada wspomnieć o św. pamięci Koźmińskim, nauczycielu-bohaterze. Przejęty zapałem dla sprawy kolonizacyjnej i zorganizowania żywiołu polskiego w Paranie, przyjął wezwanie na posadę nauczyciela w Mateuszu. Przybył z formularzami, upoważnieniami i planami Wystawy lwowskiej, przyczynił się do

zainteresowania się nią ze strony rządu stanowego i wybitniejszych Polaków i Brazylian. Zaraz jednak w pierwszych chwilach swego pobytu w Mateuszu uniósł się szlachetną chęcią obrony swych rodaków, gnębionych przez wojsko brazylijskie i raz, przystąpiwszy do powstania, nie mógł się już cofnąć. Jako wojskowy austryacki i sokół lwowski, znał się na obrotach żołnierskich i nie małe usługi oddawał polskiemu pułkowi. Zginął pod Passo Fundo w stanie Rio Grande do Sul, a wraz z nim zginęły rozległe plany kolonizacyjne i społeczne, które zamyślał stosować w Paranie.

Z osób, stale przebywających w Paranie, należy wymienić w pierwszym rzędzie p. Edmunda Saporskiego z Górnoślązka, kilkakrotnie już w niniejszej książce przezwanego ojcem kolonizacyi polskiej w Paranie. On to sprowadził pierwszych kolonistów polskich ze stanu Santa Catharina i nie ma z pewnością nawet Brazylianina, któryby lepiej znał stan Parański, niż on. Jako inżynier mierniczy, zajęty przeważnie mierzeniem ziemi, ma wciąż sposobność poznawania różnych zakątków Parańskich; snuje i wykonywa bez ustanku plany kolonizacyjne dla rodaków naszych, bierze cichą inicyatywę w sprawach pożytecznych dla naszego ogółu. Jest głównym założycielem towarzystwa imienia Kościuszki w Kurytybie, przyczem podarował spory plac w środku miasta na szkołę polską... plac ten, niestety, w kombinacyach finansowych towarzystwa sprzedano i nie obrócono na właściwy użytek. Po ustąpieniu p. Karola Szulca, czy też równocześnie z nim, redagował „Gazetę Polską“ podczas zamieszki rewolucyjnej w czasach najcięższych dla pisma i działalności jakiejbądz obywatelskiej.

Nadzwyczaj skromny i unikający rozgłosu, posiada kawałek ziemi pod samą Kurytybą, gdzie zamieszkuje z rodziną i przebywa tam w chwilach wolnych od zajęć mierniczych. Ożeniony z Brazylianką i obdarzony liczną rodziną, niestety, nie był w możności wyuczyć starszych swych dzieci po polsku... Ktoby chciał zająć się sprawą kolonizacyjną polską i wywiedzieć się o stosunkach ekonomicznych i wszelkich innych parańskich... znajdzie w nim najobfitsze i czystsze źródło wiadomości.

Antoni Bodziak z Galicyi należy do znanych osobistości polskich w Paranie. Brał udział w powstaniu w 1893 i 1894-tym roku. Choć bez wyższego wykształcenia, odznacza się wielkim sprytem, znajomością ludzi i wpływem na nich. Oddział polski pod jego dowództwem odznaczał się walecznością. Dokonywały

się czyny, jakby naśladowane z „Ogniem i Mieczem“, książki ulubionej p. Bodziaka.

Np. sceną podobną do tych, jakie znajdujemy w trylogii Sienkiewicza, miało być odbijanie żołnierzy polskich z oddziału niemieckiego powstańczego, będącego pod komendą p. Bertolda Adama. Niemcy zwerbowali byli ochotników polskich i nie chcieli puścić naszych ludzi do oddziału polskiego.

ROZDZIAŁ VI.

Stan Parana. — A. Kraj i osadnictwo rządowe.

Prowincya stanem. — Obszar. — Ludność. — Nazwa. — Klimaty. — Góry. — Płaskowzgórza. — Rzeki. — Krainy nadmorskie. — Stepy i obszary górzysto-leśne. — Zdatność kolonizacyjna krain. — Kolonizacya rządowa obecna.

Prowincya Parana została dekretem cesarskim z 29-go sierpnia 1853 r., wykrojona z prowincyi S. Paulo, której była okręgiem 5-tym południowym. Gdy w 1889 r. cesarstwo Brazylii przemienione zostało na rzeczpospolitą Stanów Zjednoczonych Brazylii, wszystkie prowincye przetworzono na Stany, rządzące się odtąd znacznie samoistniej.

Wyraz stan (État, Estado, Stato, State, Staat) używany, jest celem oznaczenia szeroko samorządnych prowincyj krajów nowych i wolnych w Ameryce i Australii. Są to właściwie państwa niezależne i tak zostały określone we wszystkich językach. Czy „stan“ w starej polszczyźnie znaczył Państwo albo prowincye z bardzo szeroką autonomią? W każdym razie szkoda, że pierwszy polski tłumacz, wytwarzających się takich organizmów państwowych przy wybijaniu się na niepodległość od państwa angielskiego w północnej Ameryce przed 150 laty, nie zrozumiał tak szerokiego samorządu i zamiast ochrzcić je mianem „Państwa“ najwłaściwszem, jak to uczyniono we wszystkich językach, odkopał, czy też stworzył, terminologię niedorzeczną „Stan“, nie wyrażającą istoty rzeczy.

Związek (Federacya) Stanów Zjednoczonych Ameryki północnej jest pierwowzorem rzeczypospolitych innych amerykańskich. Brazylia też, stając się republiką, wzorowała się na nim pod względem konstytucyi. Stosunek pojedynczych stanów do rządu federal-

nego (związkowego) w Rio de Janeiro jest podobny do tego, jaki w wielkiej Unii północno-amerykańskiej od 1784 r. (t. j. od wyswobodzenia jej od Anglii) jest pojedynczych stanów do rządu federalnego w Waszyngtonie.

Obszar. Stan Parana ma obszaru 244.000 kilometrów kw. Jest przeto większy od Galicyi (78.000 klm. kw.) i Królestwa Polskiego (127.000 klm. kw.), od wszystkich drugorzędnych mocarstw europejskich, prócz Hiszpanii, Szwecyi i Norwegii, a mało co mniejszy od Włoch (286.000 klm. kw.), mocarstwa pierwszorzędnego.

Ludność tego kraju jest dotąd bardzo mała. Wedle urzędowej statystyki z 1890 r. ma on tylko 249.000 mieszkańców. Obecnie liczba ta najniezawodniej przechodzi 300.000. Nie dorównywa jednak jeszcze połowie liczby mieszkańców miasta Warszawy. (która ma 800.000). Wypada tedy w Paranie mieszkańców na kilometr kw. 1·22 czyli 1$^1/_4$, podczas gdy Królestwo Polskie i Galicya ma ich 92. Cieszyńskie i Górny Ślązk około 150, Poznańskie 70, Europa cała z Rossyą europejską 40. Jest więc na tym obszarze parańskim 244.000 kilometrów miejsce na 9,600.000 ludności, gdyby tylko był zaludniony tak gęsto, jak przeciętnie Europa na 22 miliony, gdyby był tak ludny, jak Galicya lub Królestwo, a 36 milionów, gdyby roił się ludnością, jak Ślązk.

Jest bardzo trudno określić dokładnie liczbę mieszkańców podług narodowości. Urzędownie wszyscy zapisani są wedle przynależności do państwa, z którego pochodzą, lub jako tacy, którzy uzyskali obywatelstwo brazylijskie. Przytem napływa co rok ludność bardzo różna; ztąd tylko w przybliżeniu podaję liczby wedle narodowości.

Słowianie mają przewagę liczebną — lecz tylko taką — nad narodowościami innemi osobno wziętemi. Liczyć ich można obecnie blisko 120.000. 80.000 Polaków, 25.000 Rusinów. Brazylianie, używający języka portugalskiego, nie dosięgają tej liczby, lecz mają władzę państwową i urzędy w swym ręku. Niemców nie jest więcej niż 10.000, Włochów 20.000, Indyan, łagodnych Korroadów, osiadłych na roli, 10.000, zupełnie dzikich Butukudów (przenoszących się w lecie przeważnie do stanu Santa Catharina) 10.000, Belgów-Francuzów i Anglików 5.000. Słowianie, stanowiąc tylko 3-cią część ludności stanu, są najlepiej skupieni i na ziemiach, przez siebie zamieszkałych, są ludnością bardzo przeważającą liczebnie — niezależnie od tego są rozrzuceni w małych gromadkach w każdym zakątku Parany.

Nazwa stanu pochodzi od olbrzymiej rzeki Parany, stanowiącej jego długą granicę zachodnią, której nietylko dotąd jeszcze nikt nie zaludnił, lecz która nawet dokładnie nie jest znaną. Urzędowe mapy stanu Parana wykazują ogromne obszary, większą jego część zachodnią, jako „sertaô desconhecido“ (puszcza leśna, nieznana), lub „terenos devolutos“ (ziemie niezamieszkałe, puste).

Klimaty. Sama rozległość kraju, choćby był zupełnie płaski, musiałaby mu nadać różnorodny klimat, a cóż dopiero, gdy on ma różne poziomy. Góry, ogromne i nierówne płaskowzgórze, stepy, lasy, znaczne rzeki i pobliże morza, oto warunki, stanowiące potężnie o ilości ciepła, wilgoci w powietrzu i ciśnienia atmosfery. Im teren jest niższy i więcej zbliżony do poziomu morza, tem jest na nim cieplej: im jest wyższy, tem klimat jego jest chłodniejszy.

Główną przyczyną skupienia słowiańskiego jest poneta „zimnego“, t. j. umiarkowanego i zdrowego klimatu. Odznacza się zdrowotnością wielkie i wysokie płaskowzgórze, znajdujące się za górami nadmorskiemi i oddalony od morza kontynent głębi kraju. W pierwszych na wysokości szczytów tatrzańskich (700 do przeszło 1.400 metr. nad poziomem morza) panuje wieczna wiosna, jak w równikowem Quito, stolicy rzeczpospolitej Ekwador. Kontynent ma wieczne lato ciepłe, lecz zdrowe. Stan Parana leży między stopniami szerokości geograficznej południowej 22, 55 a 27. ·50, jak w Afryce południowej Transwal i Oranie o podobnym klimacie.

Góry. Góry nadmorskie (Serra do mar) ciągną się w Brazylii nad Atlantykiem od stanu północnego „Ceara“ (w pobliżu Amazonki) aż do najwięcej południowego „Rio Grande do Sul“. Najwyższa część pasma przechodzi przez stany Rio de Janeiro, S. Paulo i Parana. W stanie parańskim góry te tworzą pierwszorzędny system najważniejszy ze szczytem najwyższym Marumby (1.450 metrów nad poziomem morza). Oprócz nich znajdują się wewnątrz kraju inne, wyrastające, jakby w inne pomniejsze: pasmo Serrinha (wymawiaj Serrinja, górki, zdrobniałe od Serra) z najwyższym szczytem Puruna (1.300 metrów nad poziomem morza), przeciągające się na północ pod nazwą: Paranapiacaba i łączące się tam z górami nadmorskiemi: i Serra da Ribeira (góry strumieniowe) z równoległem, bliskiem Serra da Esperança (nadziei) z najwyższym szczytem Morunga (1.100 metrów nad poziomem morza), przedłużające się jako 2 równoległe bliskie sobie Serra dos Agudos (pasmo szczytów) i Serra Apucarana.

Te systemy górskie są równoległe do siebie i oddalone jeden od drugiego o jakie 100 do 150 kilometrów. Dwa ostatnie (Serrinha i Ribeira-Esperança) nie dochodzą do granicy południowej stanu i pozwalają tam rzece Iguasu i jej dopływowi Rio Negro, mającym swe źródła pod górami nadmorskiemi, płynąć 1000 kilometrów prostopadle do nich na zachód aż do rzeki Parany.

Płaskowzgórze. Jak wyciągnięte na płotach płachty, wznoszą się płaszczyzny, które obniżają się one nieznacznie ku poziomowi morza w miarę oddalania się od gór i tworzą właściwie część olbrzymiego płaskowzgórza, dźwigającego bardzo przeważną część ziem stanów S. Paulo, Parana, Santa Catharina i Rio Grande do Sul.

Rzeki. System parański wód spławnych, lub mogących być spławnemi, jest znaczny i sprzyjający rozwojowi kultury, bo na przestrzeni 244.000 kilometrów kw. wynosi przeszło 3.000 kilometrów.

Dopływy następujące rzeki Parany, płynące ze wschodu na zachód, wynoszą:

Iguasu wraz z dopływami Rio Negro i Rio Chopim przeszło	800	kilometrów
rzeka (Rio) Piquery z dopływami	300	„
„ „ Ivahy	500	„
„ „ Paranapanema z dopływami lewymi: Pirapo, Tibagy, Cinzas i Itarare . .	1000	„
sama rzeka Parana przeszło	500	„
razem . .	3000	kilometrów

dróg wodnych gotowych do żeglugi... gdyby nie wodospady i progi, możliwe do osunięcia.

Wyzyskany dotąd najwięcej i opanowany przez kolonizacyę słowiańską jest system wód Iguasowych. Dość regularna żegluga parowa istnieje już i rozwija się na przestrzeni spławnej rzek Iguasu i Rio Negro 250 kilometrów aż do miasteczka Porto da Uniaô (wym. Unją), leżącego na lewym brzegu Iguasu. Za niem, a w jego pobliżu na zachód, istnieje 6 progów na przestrzeni 40 kilometrów. Dalej Iguasu płynie przez kraj mało znany. Wiadomem jest wszakże, że za tymi progami aż do wodospadu Św. Maryi (o 8 kilometrów przeg ujściem Iguasu do Parany) rzeka na

odległości przeszło 400 kilometrów, ścieśniona w wązkie koryto, często skaliste, jest nietylko spławna, lecz bardzo głęboka i przepływa przez żyzne i piękne ziemie.

O milę przed ujściem swem do Parany, Iguasu spada z wysokości 80 metrów (podczas małych wód) do kotliny 300 m. szerokiej i 2 kilometry długiej: zlewa się do niej ze wszystkich stron i tworzy jeden z piękniejszych wodospadów na świecie. Zwie się on Maryańskim — Santa Maria. Tuż powyżej są ruiny miasta Santa Maria, dawnej „redukcyi", czyli osady indyjskiej OO. Jezuitów.

Na północy zaś stanu w systemie wodnym Paranapanama-Parana jest w stanie parańskim dróg wodnych zupełnie wolnych wolnych od progów i spadów 1.200 kilometrów.

Cyfrę tę czerpię z książki inżyniera angielskiego Big-Withera, który w tamtych stronach przepędził 3 lata na robotach mierniczych kolei niedoszłych do skutku. Z tych 1.200 kilometrów spławnych Brazylia skorzystała podczas wojny swej z Paraguayem w 1865 r., przeprawiając tamtędy wojsko swoje do granic nieprzyjacielskiego państwa.

Z takich naturalnych dróg wodnych, jak Iguasowe (650 kilometrów), Paranapanemo Parańskie (1.200 kilometrów), skorzystano niejednokrotnie, aby założyć wielkie społeczeństwa i państwa. Kolonizacya ziem, podległych tym systemom wodnym, może więc mieć niepospolite znaczenie, skoro wyzyska tak świetne przyrodzone warunki dla komunikacyi i handlu.

Wartość dróg wodnych stanu Parana jest większa, że w skład ich wchodzi rzeka Parana, olbrzymia, spotykająca w swym kilkotysięcznokilometrowym biegu do Atlantyku inne ważne systemy wodne, a tak głęboka, że po usunięciu pewnych przeszkód nieznacznych na ziemi argentyńsko-paraguayskiej (progi i mielizna skalista, „Apipé"), okręty morskie mogłyby z Europy dochodzić przez La Platę do ujścia Iguasowego i wyżej.

O 200 kilometrów na północ od tego ujścia Iguasu do Parany jest jeszcze wspanialszy wodospad od Maryańskiego; Parana przy ujściu rzeki Piquery czy Pajquery przedziera się przez pasmo gór Maracaju i spada z wysokości 100 metrów, tworząc pewnie największy wodospad w świecie. Przed nim rzeka szeroką jest 5 kilometrów. Masa ta wody, przeleciawszy po wielkiej pochyłości przez 36 spadów, wsuwa się w pieniące i głębokie koryto skaliste, nie szersze nad 600 metrów. Wodospad ten wielki, jak kilka Niagiar, zwie się Guayra albo Sete Quedas (siedm spadów).

Ta przerwa poważna w żegludze po tym kolosie rzecznym, jakim jest Parana i niemniej powyżej wzmiankowana przerwa po rzece Iguasu, jakim jest wodospad Maryański, są jedynemi przeszkodami połączenia systemu dróg wodnych naturalnych stanu Parana z wielką tętnicą komunikacyjną rzeką Paraną.

Krainy. Powyższe systemy gór i wód nadają różnorodności ziemiom stanu parańskiego. Walczą w nim o przewagę góry z płaszczyznami, tudzież lasy ze stepami między 22 a 27 stopniem szerokości geograficznej i tworzą następujące krainy znamienne:

Kraina nadmorska między Atlantykiem a górami nadmorskiemi (Serra do Mar) przylega do morza pasem nie dłuższym, jak 120 kilometrów i nie szerszym, jak 10 do 25 kilometrów; w takiej bowiem odległości od morza wije się pasmo gór nadmorskich. Czyni to najwyżej 2.000 kilometrów kw. Skrawek ten ziemi wielki jak Cieszyńskie, lub czwarta część jakiej guberni Królestwa Polskiego, leży przeważnie nad zatokami Paranagua i Guaratuba. Klimat tamtejszy podzwrotnikowy nigdy nie wykazuje niższej temperatury od 14 Celsiusza.

Zbiegając strumieniami i rzeczkami z gór, słodka woda miesza się z morską i tworzy leniwie płynące, lub niemal stojące kanały i trzęsawiska słodko słone. Nad ich brzegami w obfitości rozrasta się krzak Mangue, którego liście i kora są bardzo cenionym materyałem garbarskim. Pomarańcze, cytryny, ryż, trzcina cukrowa, kawa — oto główne płody, zbierane tam przez rzadką ludność brazylijską, do której nieco się domieszało Włochów i Polaków. Nie wszystkie miejscowości są tam zdrowe. Panują malarye pod miastami: Paranagua i Morretes z powodu pobliskich trzęsawisk.

Stepy znajdują się w pośrodku płaskowzgórz parańskich. Przeważają one w 2 pierwszych od morza (Kurytybskiem i Ponty Grossy). Lasy występują tam coraz obficiej tylko w miarę zbliżania się do gór. W trzeciem ogromnem płaskowzgórzu na zachód od pasma Esperança, krainie, która jest wielką puszczą leśną, stepy pojawiają się na północy i zajmują obszerne przestrzenie w środku stanu Parana pod Guarapuawą oraz na południu pod Palmas.

Obszary górzysto-leśne zalegają $^3/_4$ stanu parańskiego na wyżynach o bardzo żyźnej ziemi. Przestrzenie górskie, pokryte borami, są przez to samo najmniej dostępne, lecz posiadają glebę najurodzajniejszą. Europejczycy wogóle uprzedzają się z początku

do ziemi górskiej jako najgorszej. Przekonywują się jednak wkrótce. że to najlepsza, choć najcięższa do uprawy.

Zdatność kolonizacyjna krain. Okolice górzyste mają ziemię lepszą niż płaskie, a im żyźniejszą jest gleba, tem gęstszy pokrywa ją bór. Płaszczyzny. lub lekko falujące tereny, porastają zwykle trawą (stepy — campos), czasem są skałą nieurodzajną. Bujność roślinności daje miarę urodzajności ziemi. Bez badań chemicznych, a jedynie na pierwszy rzut oka, las o wielkich drzewach, z gęstem krzewiem pomniejszem (n. p. z trzciną, zwaną „putinga") oznacza w Brazylii ziemię, zdatną do uprawy (terra da planta). dającą plon obfity. bez mierzwy. niezmordowanie przez lat 20. Ziemię zaś bezdrzewną. lub z borem rzadkim o małych drzewach. określają Brazylianie jako nieużytek „terra que naô presta". ziemię, która nic nie jest warta. Nieużytek taki jednakże. wedle naszych pojęć europejskich. nieraz przedstawia doskonałą glebę.

Najlepsze ziemie dla osiedleńców są mieszane. t. j. takie. gdzie znajdują się stepy (campos) i bory (matto). Sam step pozbawiony jest materyału budulcowego i paliwa (dla użytku kuchennego jedynie) i rzeczywiście oznacza mniej urodzajną ziemię. Sama znów puszcza leśna, choć ma grunt najurodzajniejszy, nie sprzyja hodowli bydła i koni tak. jak stepy. Kolonistom. osiedlonym w głębi lasów. nie dostaje zwierząt pociągowych. a przez to środków komunikacyjnych: nie zbywają oni wtedy swych płodów wcale. lub sprzedają je za bezcen, bo są zależni od bogaczy. Ci mogą sobie pozwolić kosztownej hodowli mułów i koni na wielką skalę, rozporządzają siłami pociągowemi i wyzyskują mniej zamożnych, podnosząc im bez miary cenę kosztu przewozu towarów tak, że biedakom może nie opłacać się produkować.

Mieszanina borów i stepów za to wytwarza warunki. sprzyjające rolnictwu, hodowli. a przez to niezależności kolonisty. bo daje mu możność łatwego posiadania środka komunikacyjnego takiego, jak koń i muł, za pomocą którego ma on możność sam wywieźć i sprzedać swe płody i wyroby tam. gdzie za nie lepiej płacą, niż w jego parafii. Jedynie tylko wielki i tani środek komunikacyjny. jak kolej żelazna. kanał, rzeka spławna, zastępująca muła i konia. mógłby nietylko z płaskowzgórzy, lecz i z puszcz leśnych, uczynić w Paranie kwitnące kolonie.

Kolonizacya rządowa obecna. Ziemie niezaludnione i niewyzyskane w Brazylii należą do pojedynczych stanów albo do rządu federalnego (związkowego w Rio), lub do ludzi prywa-

tnych. Najwięcej jej posiadają rządy pojedynczych stanów. Rząd federalny ma znaczne obszary we wszystkich stanach; są to ziemie narodu brazylijskiego n. p. pas 50-cio kilometrowy przy bardzo długiej granicy sąsiednich państw.

Ogrom taki ziemi niezaludnionej może być niedomaganiem, lecz dla rzeczypospolitych postępowych i przyciągających wychodźctwo. staje się pierwszorzednem narzędziem wzbogacenia i wzmocnienia. Stany Zjednoczone północnej Ameryki i Australii pokazały, co można z niemi dokonać. Rozumieją to doskonale w Brazylii, gdzie najwięcej dotąd kolonizują rządy stanowe.

Rząd związkowy ogólno-brazylijski w Rio de Janeiro dopomaga przeważnie tylko pojedynczom stanom do zakładania osad kredytem swoim i różnemi ułatwieniami. N. p. kredytuje stanowi jakiemu koszt przewozu emigrantów z Europy i użycza mu pieniędzy na osadnictwo, t. j. na wynalezienie, zbadanie obszaru pod kolonię, rozmierzenie i podzielenie go na działki, zaopatrzenie kolonii w komunikacyę (drogi), budynki i inwentarze, oraz na utrzymanie przybyszów, dopóki nie doczekają się własnego zbioru.

Rozpowszechnione jest mniemanie, że Brazylia rozdaje im ziemie darmo. W teoryi jest to zupełnie mylne, faktycznie jednak przeważnie na to wychodzi. Spłata bowiem ze strony kolonisty, zwracająca rządowi koszta sprowadzenia przybyszów z Europy, jest tak śmiesznie małą i odbywa się tak drobnemi i dogodnemi ratami, że spłaty te można uważać za umiarkowany podatek ziemski. Tem trafniej zatem mówi się o bezpłatnem rozdawaniu gruntów, że n. p. w Paranie rząd stanowy prawie nigdy spłaty powyższej nie ściąga, bo się obawia opuszczenia działku przez kolonistę.

Chodzi rządowi o to przedewszystkiem, żeby koloniści pozostali na ziemi i ją uprawiali. Dla tego też wydane zostało prawo, że dopóki spłata całkowita nie zostanie dokonaną, osadnik ma tylko tymczasowy tytuł własności (tytuł posiadania) i może być pozbawiony prawa posiadania swego działku, jeżeli go opuści przez całe pół roku, t. j. nie będzie przez ten czas przebywał na nim sam, lub nie ustanowi swego zastępcy, uprawiającego nieprzerwanie rolę. Rząd może mu go wtedy odebrać i dać komu innemu bez zwrotu włożonych weń pracy i kapitału. Ma w ten sposób kolonistę za rękę, aby go zmusić do pozostawania na ziemi.

Kolonizowanie przez rząd federalny lub stanowy, odbywa się w następujący sposób. Jak widzieliśmy, biuro emigracyjne w Rio

de Janeiro płaci spółkom przewozowym, np. Kompanii Metropolitana:

Od przewozu osoby dorosłej	z Europy	do Rio	przez morze		120	fr.
„ dziecka 7—10 lat	„	„	„		60	„
„ „ 2—7	„	„	„	„	30	„

Koszt przewozu z Rio de Janeiro na miejsce osiedlenia wynosi 50 franków, koszt pobytu emigrantów w Rio mniej więcej 30 fr. tak, że około 200 fr. kosztuje rząd przewiezienie osoby dorosłej z Europy na miejsce osiedlenia.

Działek ziemi „szakier" (od chacra — wym. szakra), szerokości 250.000 metrów, t. j. ćwierć kilometra i długości kilometra (1.000 metrów) czyli 25 hektarów, który otrzymuje przybysz, rachowany mu jest 200 franków, koszt budowy domu na działku, (przy której sam często zarabia) 200 fr., inwentarz i nasiona także 200 fr., koszt utrzymania w hotelach emigranckich i na działku ziemi aż do pierwszego zbioru niemniej 200 fr. — tak, że emigrant za 800 franków dostaje: przewóz z Europy i ziemię obszaru 25 hektarów, t. j. około dwóch włók nowopolskich. Sumę tę powinien spłacać ratami 100 do 125 fr. w ciągu 5-ciu lat, zacząwszy od drugiego roku po osiedleniu.

Jeżeli tedy osiedleniec raty nie zapłaci, prawo zabrania go wprawdzie za to wyrzucić z gruntu, lecz obciąża pożyczką rządową w wysokości raty chybionej, której to pożyczki nie wolno oprocentować wyżej 9% rocznie. (Stosuje się to też i do towarzystw prywatnych, kolonizujących dług należący się tym towarzystwom od osiedleńca za udzieloną mu ziemię i inwentarze, nie może mieć odsetki rocznej wyższej niż 9).

Gdy więc w ciągu 10-ciu lat osiedleniec spłaci mniej więcej 800 franków rządowi, tenże robi dobry interes na samym zwrocie pożyczki, albowiem zarabia na wielu szczegółach, n. p. wybudowanie domu nie kosztuje go więcej niż 50 fr., a liczy koloniście, jak widzieliśmy, 200 fr.; inwentarz i nasiona, zakupywane masami, także taniej mu wypadają niż 200 fr., których zwrotu w tej cenie wymaga od kolonisty. Przytem trzeba sobie uprzytomnić, że tu chodzi o dziesiątki tysięcy osiedleń, a więc o sprawę na wielką skalę i spekulacyę na masach. Najmniejsza oszczędność staje się wielkim zyskiem.

Ale główny zarobek rządowy leży w korzyści zaludniania puszcz, gdzie przed osiedleniem ziemia nie ma najmniejszej war-

tości, a po rozkolonizowaniu cena jej wzrasta literalnie w dziesięć kroć. Tworzą się z niczego całe powiaty o 2.000, 5.000, 10.000 ludności i większe, które wytwarzają płody rolnicze na wywóz do miast i po za granice stanu, a ztamtąd sprowadzają potrzebne im wyroby przemysłowe. W nowych osadach powstają różne rzemiosła i tworzą się zarodki miast, gdzie za same patenta przemysłowe i handlowe wpływa spory grosz do skarbu rządowego. Udana kolonizacya zwraca z lichwą wszelkie na nią wyłożone koszta rządowi i towarzystwom kolonizującym prywatnym, które są w mniej korzystnem położeniu niż rząd, bo kosztuje ich zakupno ziemi, a rząd ma ją darmo. Rząd robi doskonały interes nawet wtedy, kiedy mu kolonista nie zwraca wyłożonych 800 fr., byle tylko tenże pozostał na miejscu i uprawiał ziemię. Dla tego nie wielka staje się krzywda machinie rządowej przez to, że mu w ostatnich czasach w Paranie osiedleńcy nie zwracają wyłożonych kosztów i zadawalają się tytułem prowizorycznym własności, nie pożądając tak bardzo ostatecznego tytułu własności, który mogą uzyskać każdej chwili przez spłacenie rat i odsetek od rat nieuiszczonych.

Działalność kolonizacyjną nowożytną rozpoczęto wprawdzie od dziesiątek lat w Brazylii. Znalazły się po temu kapitały, inteligencya, wytrwałość i energia. Lecz czynników tych trzebaby stokroć więcej, by świat rozwojem swym zadziwić i dorównać Anglo-Sasom. Szczególnie daje się w Brazylii odczuwać brak kapitałów koniecznych do wyłożenia w takiej sprawie i jest obawa, czy państwo to będzie mogło dotrzymać już zawartą umowę z Compania Metropolitana na sprowadzenie miliona emigrantów po 100.000 rocznie.

Panują też w Brazylii prądy szowinistyczne i słaby, a całkiem niepotrzebny nacisk kładzie się na portugalszczenie przybyszów. W tym celu systematycznie miesza się obok siebie kolonistów różnej narodowości, by żadna z nich nie utworzyła zbyt silnego społeczeństwa w społeczeństwie, państwa w państwie. Wtedy mową ogólnego porozumienia staje się z natury rzeczy język urzędów i władz, t. j. portugalski. Brazylianie zbyt mało dowierzają swej sile asymilacyjnej, a przytem urojone mają obawy, że kolonie włoskie i niemieckie zostaną zagarnięte przez potęgi europejskie, Włochy i Niemcy.

Trudno to jednak zaiste przypuścić coś podobnego, bo prawdopodobniej w razie napadu ze strony Europy (pominąwszy pomoc Stanów Zjednoczonych północnej Ameryki, kierującej się za-

sadą Menroego: Ameryka dla Amerykanów), nietylko żywioł portugalski, posiadający w swem ręku środki odpowiednie, będzie bronił swej niezależności, ale sami osadnicy włoscy i niemieccy przyłączą się do obrońców ziemi nowej, na której osiedli i wcale nie zechcą się przyłączyć do swych metropolii, mimo pewnego upośledzenia ich ze strony rasy rządzącej portugalskiej. Tak przed 100 laty wystąpili Anglicy przeciw Anglii w północnej Ameryce.

Dziś niewątpliwie osiedleńcy europejscy prawdopodobnie sami wystąpiliby przeciw rządom europejskim, bo te ani by nie chciały, ani by nie mogły dać kolonistom warunków lepszych od tych, jakie już posiadają, t. j. ani szerszej wolności, ani dobrobytu większego. Mam w uchu jeszcze dźwięki mowy niemieckiej, usłyszane z ust Magdeburczyka zaraz po mem przybyciu: „Co mnie obchodzą, mówił, rządy pruskie i Niemcy? Co mam od nich? Co moglibyśmy od nich oczekiwać?“ Jeszcze mniej powodów obawy mają Brazylianie ze strony Polaków, za którymi wyraźnie nie stoi żadne państwo w Europie.

To też częścią pomylili się, częścią przymrużali oczy, gdy urzędownie mieszali następne narodowości w Paranie po koloniach: Alemanes (Niemców), Austriacos i Russos. Okazało się ostatecznie, że to wszystko Polacy, tworzący wraz z Rusinami zupełnie zwarte ze sobą społeczeństwo.

B. Osadnictwo w przeszłości i teraźniejszości. — 1. Kolonizacya indyjska. a) Osadnictwo indyjskie OO. Jezuitów hiszpańskich. b) Kolonizacya indyjska przez rządy kolonialne Portugalii i przez rząd Brazylii. — 2. Kolonizacya portugalska. — 3. Kolonizacya francuska. — 4, Kolonizacya angielska. — 5. Kolonizacya włoska. — 6. Kolonizacya niemiecka. — Kolonizacya polska i rusińska.

Zaludnianie obszaru stanu parańskiego przez Indyan i rasę kaukaską, przybyłą z Europy, odbywa się od lat setek, to postępując, to cofając się. Warstwy różnych ludności osiadają na tej ziemi, jak na obrazie malarza różne barwy: silne i słabe, trwałe i znikające, jaskrawe i blade, jedne na drugich lub obok siebie.

1. Kolonizacya indyjska.

a) Osadnictwo indyjskie OO. Jezuitów hiszpańskich.

Zachodnia część stanu parańskiego była polem działalności Zakonu OO. Jezuitów, przybyłych z Hiszpanii. Zdołał on w latach 1609—1631 pod zwierzchnictwem Hiszpanii oswoić i zorganizować przeszło 120.000 dzikich Indyan nad Paranapameną i Paraną (rzeki te są obecnie północną i zachodnią granicą stanu parańskiego). Nawracano Indyan „Guarani“ i zakładano wsie i miasta, przemieniając ludność tę dziką, wiecznie błąkającą się po lasach, na robotniczą, a nawet przemysłową, osiedlającą się we wsiach i miastach. Była to więc prawdziwa kolonizacya. Celem wielebnych OO. były: własna korzyść i zbogacenie Zakonu, oraz zagarnięcie krajów dzikich pod władzę Hiszpanii, do czego od korony kastylskiej otrzymali jak najszersze pełnomocnictwa.

Wyuczali oni niewątpliwie języka hiszpańskiego swych dzikusów z początku, lecz wraz z powodzeniem i silnym rozrostem Zakonu na ziemiach Indyan zrodziła się w ich przewidujących umysłach myśl wytworzenia społeczeństwa własnego indyjskiego, niezależnego najzupełniej od państwa hiszpańskiego i bez styczności z resztą Europejczyków. Zakazali nawet z czasem nauki hiszpańskiego, aby utworzyć nieprzebity mur, odgradzający Indyan od zepsucia cywilizacyi europejskiej, zwłaszcza od wolnomyślności zachodu europejskiego.

Wylewali, niestety, z wanny wodę wraz z dzieckiem, które obmywali i cywilizowali. Uważając się za jedynych przedstawicieli prawdziwego udoskonalenia, nie rozwijali w swych pupilach najważniejszej bodaj zdobyczy cywilizacyi, t. j. przymiotów godności ludzkiej i niezależności osobistej. Gdy więc nastały straszliwe napady portugalskich Mameluków czyli Paulistów na rosnące i wyrabiające się jezuicko-indyjskie społeczeństwo, a zwłaszcza, gdy zabrakło OO. Jezuitów skutkiem zniesienia Zakonu przez stolicę apostolską, biedni Indyanie nie mogli sobie dać rady, nie wyuczyli się sztuki wojskowej, sztuki rządzenia i organizowania się i popadli w niewolę nieprzyjaciół lub rozbiegli się po lasach, powracając do dawnego stanu dzikiego.

W 1609 r. wielebni OO. założyli, czy też objęli, założoną już w 1556 r. przez zdobywców (Conquistadores) hiszpańskich, przy ujściu rzeki Pirapo do Paranapanamy na lewym brzegu tejże, pierwszą „redukcyę“ (reduccion po hiszpańsku, odreducir nawra-

cać, ujarzmiać), t. j. osadę w celu nawracania Indyan, zwaną w skróceniu Loreto (gród Najśw. Panny Loretańskiej). następnie również objęli: San Ignacio nieco powyżej na lewym brzegu Paranapameny, Villa Rica („miasto bogate“ po hiszpańsku) nad rzekami Ivahy i Curumbatahy, San Roque (wieża po hiszp.) u źródeł rzeki Tvahysinho (małego Ivahy, wpadającego do Ivahy), Guayra na lewym brzegu Parany, przy ujściu Piquery powyżej olbrzymiego spadu wód rzeki Parany, (zwanego także Guayra lub Sete Quedas) i w późniejszych czasach 1626 r. Santa Maria na prawym brzegu Iguasu powyżej wielkiego spadu Maryańskiego tej rzeki, oraz wiele innych n. p. pod Castro i Guarapuava.

Dr. Stanisław Kłobukowski.

(Dalszy ciąg nastąpi).

Ostatnie dramaty Ibsena.

I.

Zadaniem twórcy jest — jak to słusznie zauważył Jan Landsberg, krytyk niemiecki — wydobyć na jaw istotną treść duszy ludzkiej, treść niezależną od wszelkich chwilowych przypadków. Nie czyniła tego poezya romantyczna, która zamiast treści duszy dawała tylko pozór tej treści. A nowa generacya intuicyjnie pożądała objawienia tej treści, żądając charakterów, a nie tylko piękna i wdzięku.

I w przesadnej swej gorliwości zwróciła się do Zoli, który dawał brutalny realizm; do Tołstoja, rozstrzasającego sumienie ludzkie i propagującego powrót do natury; do Björnsona, fanatyka prawdy i prawa. Lecz ci odpowiadali kierunkowi społecznemu, a nie indywidualnemu.

Dopiero w Ibsenie odnaleziono proroka europejskiego ducha, twórcę przeczuwanej indywidualności i współczesnej poezyi.

Dewizą bowiem Ibsena jest, że odtwarzanie tego, co się samemu przeżyło, jest tajemnicą prawdziwej poezyi.

Ale idealizmu tkwiącego w tym problemacie nie zrozumiano. W krajach romańskich i w Anglii dotąd nie zrozumiano Ibsena, w Niemczech i u nas, po długich walkach przyjęto jedynie jego utwory satyryczne, które wcale nie są koroną jego twórczości — ostatnich zaś jego dramatów nie zrozumiano wcale, kiwano nad

nimi głowami i tłumaczono ich egzystencyę mrocznym mistycyzmem Północy, oraz... podeszłym wiekiem autora.

Emerson stwierdził, że pogląd na świat pisarza dramatycznego polega na prawie „równowagi“, jak on to nazywa, na zasadzie — wyraźmy się, przywoławszy fizykę do pomocy. chociaż o dziedzinę ducha tu chodzi — że „akcya jest równa reakcyi“. Ibsena pogląd na świat oparty jest na tej zasadzie. W zakresie realnym zasada ta tak się tłumaczy. że wszelkiej słodyczy odpowiada pewna gorycz. każdej goryczy pewna słodycz. zło dobru, dobro złemu. nacisk oporowi. opór naciskowi i t. d. Uznaje to Ibsen i dlatego jego Brand n. p., by wypełnić ideał swego życia musi mu poświęcić matkę, żonę i dziecko... bo wszelkie dążenie do doskonałości pociąga za sobą ofiary. To samo stwierdzić możemy na jego mistrzu Solnessie. I ztąd dalej zasada Ibsena: „chcieć, to musieć chcieć“, inaczej, wola indywidualna nie powinna być krępowaną; jeżeli jej ulegamy, ponosimy wprawdzie ofiary, ale jeżeli jej przeciwdziałamy. narażamy się na stokroć gorsze zło, bo na zmarnowanie życia. A ztąd przejść można łatwo do rzekomego pesymizmu Ibsena, który chcianoby stwierdzić na podstawie jego utworów. Tak jednak nie jest. Pesymista był taki Schopenhauer bo konstatując wszelkie zło w człowieku, zarazem uznawał je za konieczne prawo. Ibsen zaś, acz nieraz konstatował, że tak jest, oburzał się przeciw temu i głosił ciągle, że tak być nie powinno. Jego pesymizm był „pesymizmem oburzenia“, a ten nie tylko nie jest wiary pozbawionym. ale polega na wierze w lepszą przyszłość.

A ów „pesymizm oburzenia“ wywołuje u Ibsena zasada, że człowiek powinien być sobą, powinien być wolnym, nieskrępowanym niczem, i wtedy dopiero będzie lepiej, twierdzi Ibsen — podczas gdy mistrz pesymizmu Schopenhauer stwierdza. że gdyby nad człowiekiem nie było przemocy prawa, obowiązków i zwyczajów, wtedy on jako wolny, okazałby dopiero, że jest zwierzęciem i zbrodniarzem, czem nie okazuje się. bojąc się odpowiedzialności, którą społeczeństwo broni się przeciw zwierzęcości osobników.

Ten „pesymizm oburzenia“ stał się podstawą jeszcze dalszych nieporozumień. W obronie indywidualności ludzkiej. uderzał Ibsen zacięcie na wszelkie kłamstwo społeczne, zrywał brutalnie nieraz maski z tego. co było „społeczną świętością“, stawał w obronie upośledzenia społecznego kobiety — i ztąd mylnie posądzano go o socyalizm i feminizm, nie zastanawiając się nad tem. że to przeciwnem jest zasadzie indywidualizmu, której Ibsen

obok Nietzsche'go najbardziej typowym był przedstawicielem. Ale tak bywa zawsze. jeżeli ze szczegółów sądzi się o całości, tak też stało się, gdy oburzenie Ibsena grzmiące rozgłośnie w jego dziejach („Nora“, „Upiory“, „Wróg ludu“), zaczęto przykrawywać do jego „ja“ duchowego...

* * *

A tymczasem Ibsen jest zawsze sobą i zawsze oryginalnym. Stanowi on nawet pod tym względem ciekawy i rzadki wyjątek jako artysta. że się ciągle doskonali i u kresu swego sędziwego żywota daje dzieła również niepoślednie miary.

Jego twórczą działalność podzielićby można (acz wszelkie podziały są zazwyczaj sztuczne i naciągnięte) na trzy okresy. W pierwszym, młodzieńczym tworzy on poematy dramatyczne, oparte na pracach swych poprzedników i na legendach, oraz podaniach ludowych; w drugim stacza w szeregu utworów walkę w imię indywidualizmu ze wszelkiem kłamstwem społecznem: w trzecim zaś daje poważne, pogłębione dramaty filozoficzne, będące nietylko zakończeniem, ale także (pod względem myślowym) szczytem jego twórczości.

Powiemy tylko kilka słów o utworach Ibsena z dwu pierwszych epok jego twórczości, rezygnując z wdzięcznego zadania wykazania na jego utworach, rozważając je chronologicznie, jak światopogląd Ibsena pogłębia się, a wartość artystyczna jego utworów z biegiem czasu staje się coraz doskonalszą. Zajmę się natomiast szerzej utworami jego, z trzeciego okresu, prócz innych także i tej przyczyny, że są one najmniej, niestety, znane ogółowi. aczkolwiek wcale na to nie zasługują.

Pierwszym utworem Ibsena, granym w teatrze, był „Katylina“. Możnaby go nazwać krótko poetycznym krzykiem pożądania wolności. Jako dzieło sztuki jest to typowy utwór młodzieńca idealisty. — Ibsen pisał go, mając lat dwadzieścia jeden, — który w tym dramacie uzewnętrznia swój pęd ku wolności i wielkości. Pełno tu bombastu, tajemnic i okropności, właściwych początkującym pisarzom-romantykom.

Potem z kolei następuje cały szereg dramatów o tematach zaczerpniętych z przeszłości i z legend ludowych. „Uroczystość na Solhaug“ jest dramatem. osnutym na intrydze, pełnej nieprawdopobieństw i nieporozumień. Tematem „Pani Inger na Östrot“ jest

melodramatyczna miłość nieszczęśliwa kobiety do wędrownego śpiewaka-skalda. „Olaf Liljenkrans“ toudramatyzowana ballada o rycerzu Olafie; „Rycerze północy“, to utwór również o tle romantyczno-historycznem, ale znamionujący się tem, że w nim po raz pierwszy znajduje Ibsen tajemnice poprawnej budowy dramatu.

Również nieposlednią wartość posiada historyczny dramat Ibsena „Pretendenci do korony“, przedewszystkiem ze względu na postacie dwu pretendentów Skulego i Hakona.

A potem opuszcza Ibsen na długo Norwegię i na obczyźnie obmyśla dwa poematy dramatyczne, posiadające wielkie znaczenie w rozwoju jego twórczości, bo niem i przechodzi on z okresu pisarza czysto norwegskiego do okresu dramaturga europejskiego.

Są to „Brand“ i „Peer Gynt“.

„Branda“ nazwaćby można protestem Ibsena przeciw stosunkom narodowym, politycznym i społecznym w jego ojczyźnie. W przeciwieństwie do całego utylitaryzmu otoczenia, Brand wyznaje zasadę indywidualności, streszczającą się w słowach: „wszystko, albo nic“.

„Peer Gynt“ jest biegunowem przeciwieństwem „Branda“. Jest on niejako alegoryczną figurą narodu norwegskiego, na którą Ibsen okiem satyryka spogląda. To, co Gynt czyni, jest zawsze połowicznem, a kiedy jedną ręką buduje, to drugą niszczy. Ma on za wiele wyobraźni, a za mało woli.

Po tem preludyum wstępuje Ibsen w drugi okres swej twórczości, w okres walki ze społeczeństwem. Pierwszym takim atakiem, który wywołał huragan oburzenia w purytańskiej ojczyźnie Ibsena, była „Komedya miłości“. Wykazuje on w tym utworze, że uważany za świętość nietykalną uroczysty związek małżeński zabija miłość. Zgodnie z tem twierdzeniem, rozłącza autor swą bohaterską parę, właśnie w chwili, gdy przyjść ma do do małżeńskiego związku. Rzecz jasna, że to rozwiązanie jest czysto ideologiczne, że poeta nie jest całkowicie bezstronnym. Oko poety, zapatrzone w światło ideału, nie znosi tu załamywań jego promieni w pryzmacie rzeczywistości. „Komedya miłości“, pisana wierszem, pod względem literackim jest mimo to jednym z wybitnych utworów Ibsena. Jest to jednakże w każdym razie rodzaj polemicznej satyry. Bardziej spokojnie spoziera autor na swe społeczeństwo, nie szczędząc mu jednakże zasłużonych razów w „Związku młodzieży“, w którym to utworze wyszydza zarówno obóz konserwatywny, jak i postępowy, zarzucając obu brak szczerości i wydobywając na jaw typowe postacie karyerowiczów wszelkiego rodzaju.

A po tem przechodzi Ibsen do szczegółów i do specyalizacyi. W „Podporach społeczeństwa“ wykazuje, że tak zwane „filary społeczeństwa“, ludzie powszechnie uwielbiani, przed którymi się czapkuje, a nieraz i ugina kolana, to niejednokrotnie skryci nikczemnicy i oszuści.

Zaś w „Norze“, czyli „Domku lalki“, wtargnąwszy w stosunki domowe małżeństwa, na pozór szczęśliwego, uważanego za wzorowe, boć przecie „idealny“ mąż uważa w niem swą żonę za laleczkę, której należy dostarczać wciąż wszelkich przyjemności, nowych kapeluszy, nowych sukien i sposobności do zabaw — wykazuje, że właściwie ta „szczęśliwa“ żona jest w niewoli „idealnego“ męża, i każe Norze porzucić męża i dzieci w myśl dewizy, że pragnie ona być przedewszystkiem człowiekiem. „Nora“ stała się powodem, że Ibsena uważano mylnie w swoim czasie za skrajnego feministę. — A potem w dalszej konsekwencyi w utworze „Widma“ (lub „Upiory“) dokonuje autor najboleśniejszej operacyi na instytucyi małżeństwa. W straszliwy sposób obnaża on zgniliznę, kryjącą się nieraz pod osłoną małżeństwa. Mąż jest tu rozpustnikiem, człowiekiem moralnie i fizycznie zdegenerowanym i nędznym, a tę jego degeneracyę odziedzicza po nim syn Oswald, w dodatku z zaczątkami choroby umysłowej. Winy ojca mszczą się w tak potworny sposób na jego potomku. „Upiory“ wywołały cały potop artykułów, pism i broszur, za i przeciw autorowi, omawiano je nawet, z powodu kwestyi dziedziczności, w fachowych kołach lekarskich, widocznie jednak protestów i to protestów gwałtownych i bezwzględnych było więcej, bo dotknięty do żywego Ibsen, wbrew swemu zwyczajowi, w przeciągu jednego roku, pisze sztukę „Wróg ludu“ — zawsze dotąd dwa lata czekać trzeba było na nowy utwór Ibsena, — w którym pełnej hipokryzyi, fałszywej moralności tłumu przeciwstawia indywidualną moralność jednostki i wypowiada przez usta swego bohatera dumną zasadę, że najsilniejszym człowiek samotny, — w dalszej zaś konsekwencyi swego oburzenia wykazuje w „Dzikiej kaczce“, że należałoby właściwie okłamywać i łudzić innych, jeżeli się nie chce burzyć szczęścia ludzkiego. Potem uspokaja się Ibsen, powraca do poruszanych poprzednio tematów, pogłębia je i staje się wyrozumialszym w „Rosmersholmie“, „Pani morza“ i w „Heddzie Gabler“.

I oto następuje trzeci okres jego twórczości, okres spokojnego rozważania mędrca, który nie zaparł się swych zasad, ale jest pełnym wyrozumiałości, pobłażliwości, litości i miłości dla błędów ludzkich. Snać uznał Ibsen ich konieczność.

Do tego okresu należą cztery utwory Ibsena: „Mistrz Solness“. „Gabryel Borkman“, „Mały Eyolf“ i „Zmartwychwstanie“. O nich to pragnę powiedzieć słów kilka.

II.

„Idzie właśnie o zrewoltowanie ducha ludzkiego“.

Zasadzie tej, wypowiedzianej w jednym ze swoich listów, nie sprzeniewierzył się Ibsen nigdy. W dramatach swoich, pełnych grozy, wstrząsającej silnie nerwami widza lub czytelnika. każdy fałsz okazuje w nagości nieraz za zbyt bezwzględnej, z demoniczną potęgą zdziera całuny pokrywające zgniliznę wszelką, jakby chciał wołać: Patrzcie, czyż tak jest, jak mówicie? Dlaczego okłamujecie się wzajemnie?

W ten sposób działa Ibsen w myśl swych zasad. w ten sposób chce „zrewoltować ducha ludzkiego“. Z utworów jego bije pesymizm. nie dowód to jednak, jakoby on sam był pesymistą! Ibsen jest poetą i wierzy w szczęśliwość, wierzy w siłę energii i hart ducha, ale chcąc ludzkość widzieć szczęśliwą, musi otworzyć jej oczy i okazać owego raka, który toczy jej ciało.

Nic przeto dziwnego, że Ibsen oprócz zwolenników ma i nieprzyjaciół, a tych ma tylu, ilu jest ludzi, bojących się światła prawdy. Nic dziwnego, że tysiące pocisków uderzały weń w chwili pojawienia się się „Komedyi miłości“, „Nory“, „Upiorów“ i innych dramatów — utwór jednakże Ibsena p. t.: „Mistrz Solness“ nabawił niemałego kłopotu tak zwolenników, jak i przeciwników sławnego dramaturga.

Co to jest? — pytano się wzajemnie. — Co chciał Ibsen odtworzyć w dramacie, w którym rzeczywistość łączy się w ścisły sojusz z najbujniejszą fantazyą, w którym trywialność życia codziennego odzywa się zgrzytem żelaza po szkle, a przytem autor obleka cały utwór mgłą symboliki, mgłą, której oko czytającego nie może przebić, by wtargnąć w dziedzinę myśli autora.

Bohater dramatu, budowniczy Solnes, daje nam się pozwać, już z początkiem pierwszego aktu, jako człowiek zazdrośny o sławę nabytą, drżący przed tymi, którzyby mu laury pierwszeństwa wydrzeć chcieli, usuwający dlatego z drogi swej współzawodników, kosztem postulatów etycznych.

Jak dzieciak drży on przed „młodzieżą“, która pewnego dnia przyjdzie, zapuka do drzwi jego i każe mu ustąpić z dotychczas zajmowanego stanowiska, lecz jak demon walczy z przeciwnikami; tej też sile ulega Kaja, narzeczona młodego Broviga, któremu Solness nie chce pozwolić pracować samodzielnie, albowiem on „młody“ mógłby go pokonać.

„Ktośkolwiek — powiada Solness — pierwszy wystąpi z żądaniem: ustąp przedemną!... zanim przyjdą inni do szturmu i napierając, krzyczeć poczną: miejsca, miejsca, miejsca!... Młodzież to przyjdzie i do drzwi zastuka.“ — W trakcie tych wynurzań przed dr. Herdalem, w chwili, gdy Solness widzi młodzież, niszczącą piedestał jego chwały, rzeczywiście puka ktoś do drzwi Solnessa i przed nim ukazuje się... Hilda Wangiel.

Hilda, jak prawie wszystkie typy kobiece Ibsena, przewyższające siłą woli jego mężczyzn, jest owym demonem, któremu uledz będzie musiał Solness. Z chwilą wprowadzenia tej postaci, wypływa autor pełnymi żaglami na niezmierzone morze alegoryi i symboliki. W długim dyalogu przypomina Hilda Solnessowi, że przed dziesięciu laty wybudował on w jej miejscu rodzinnem kościół olbrzymi i po ukończeniu budowy, przyjętym zwyczajem, stanął na samym szczycie niebotycznej wieży, zawiesił wieniec... i śpiewał, górując, na poły w obłokach, nad tłumem, podziwiającym go. Lecz na tem nie koniec. I ona była w tym tłumie, podówczas młode dziewczę; wszystkie nerwy drgały w niej, gdy podziwiała go tam... w górze. Solness nie chce początkowo uwierzyć Hildzie, twierdzi, że nigdy nie śpiewał... — ale powoli, jak gdyby ulegając sugestyi, przyznaje jej słuszność. Lecz i na tem nie koniec. Dowiadujemy się, że Solness był następnie, po ukończeniu budowy i po ostentacyjnem zawieszeniu wieńca na szczycie niebotycznej wieży, w domu jej rodziców i tam obiecał jej, całując ją kilkakrotnie; że gdy wyrośnie za lat dziesięć, on ją wtedy porwie i uczyni swą „księżniczką“. Dziś, po latach dziesięciu, przybywa więc, parta do tego kroku jakąś „siłą tajemniczą“ i żąda od Solnessa spełnienia obietnicy. — Solness nie może się oprzeć czarownej sile i młodości Hildy, zwierza się jej z obaw i owych udręczeń tajemniczych, jakie go trapią, lecz zarazem spodziewa się z nią wspólnie pokonać przeszkody, ona bowiem jest uosobieniem młodości — będzie więc mógł teraz „młodzież“ mieć po swej stronie, w walce z „młodzieżą“.

Główną treścią drugiego aktu jest znów rozmowa Hildy z Solnessem; znowu ta rozmowa w wielu miejscach jest zaciemniona

symbolizmem. Solness opowiada Hildzie dzieje swego życia, powiadamia, że pożar, który nawiedził jego dawny dom mieszkalny przyczynił się do utrwalenia jego sławy, bo wybudował on nowy dom, a potem począł stawiać świątynie. Opowiada o śmierci swych dzieci, o stosunku, jaki się wytworzył wskutek tego między nim a jego żoną, przychodzi wreszcie do wniosku, że świat cały zaludniony jest niewidzialnymi demonami, kierującymi losami człowieka. „Są to dobroczynne, albo złośliwe dyabełki“ — powiada Solness. — „Gdyby się jednak wiedziało, które z nich nad nami mają władzę... wówczas sprawa byłaby prostą.“ Wśród tej niejasnej rozmowy przypuszcza Hilda, że Solness ma „delikatne“ sumienie, ona jednak pragnęłaby go widzieć znów na szczycie wieży, pomimo, że wie, iż Solness cierpi na zawroty głowy. „Chcę cię widzieć wielkim — woła Hilda — widzieć cię z wieńcem w ręku! Wysoko, wysoko w górze, na wieży koscielnej...] Chcę mieć królestwo moje!“

W trzecim akcie tłumaczy Solness, że od czasu śmierci swych dzieci nie buduje więcej kościołów, albowiem ślubował raz na szczycie wieży Bogu temi słowy: „Teraz słuchaj, o! Potężny, od dzisiaj chcę być wolnym budowniczym w mojej dziedzinie — jako Ty jesteś w swojej. Nigdy więcej kościołów budować nie będę... same tylko domy mieszkalne.“ To jednak zadowolenia mu nie daje, gdyż ludzie nie pragną mieszkań z wieżami, a marzeniem jego jest budować niebotyczne „zamki powietrzne“. Hilda przyklaskuje marzeniom Solnessa, a gdy tenże jej oświadcza, że wybudował dla siebie dom mieszkalny o niebotycznej wieży, namawia go, aby sam uwieńczył uroczyście szczyt wieżycy. To jest jej pragnieniem, wtedy bowiem posiądzie ona przyobiecane królestwo. Solness waha się początkowo, żona jego i dr. Herdal czuwają nad nim i starają się odwieść go od tego szalonego zamiaru. Hilda zwycięża jednak, staje się zadość jej życzeniu, Solness z wieńcem w ręku dostaje się na sam szczyt, Hilda podziwia go przez chwilę, zdaje się jej, że słyszy, tam w górze, śpiew chóralny — wtem Solness, dostawszy zawrotu głowy, spada w dół i zabija się na miejscu. Hilda w uniesieniu woła: „Do samego szczytu dostał się jednakże. Słyszałam harfy w górze. Mój — mój budowniczy!“

Taka jest w głównych zarysach treść dramatu, a właściwie baśni Ibsenowskiej. Jak widzimy, trudno się dopatrzeć jakiejś zasadniczej idei w tym utworze, na który się złożyły tak różno-

rodne czynniki, jak symbolika, alegorye i t. d. Nic przeto dziwnego, że utwór ten tłumaczono na rozmaite sposoby, nieraz wprost rozbieżne. Krytyk duński, Vedel Waldemar, chce widzieć w „Mistrzu Solnessie“ spojrzenie Ibsena na własną drogę twórczą, Maeterlinck uważa ten utwór za alegoryczną autobiografię, Maksymilian Harden nazywa go spowiedzią Ibsena. W pewnej mierze te przypuszczenia są słuszne i nabierają rysów prawdopodobieństwa jeszcze wyraźniejszych wskutek publikacyi listów Ibsena przez Brandesa przed niedawnym czasem. Ale mimo to Solness nie odpowiada w niejednym wypadku sposobowi myślenia i zasadom Ibsena. Wszak Solness boi się młodzieży, która go strącić może z piedestału sławy. Ibsen zaś zawsze był „młodym“, szedł zawsze z postępem — a nawet uważanym był mylnie za szermierza zasad skrajnych. Solness jest fatalistą, Ibsen zaś podnosił zawsze wysoko zasady moralnej energii życia. Charakter Solnessa prócz energii, ale energii niestałej, posiada wiele chwiejności, bohater dramatu poddaje się ciągle zniechęceniu, zwątpieniu i żałości. Jak widzimy więc identyfikowanie Solnessa z Ibsenem, nie jest w całej pełni racyonalnem, chociaż zaprzeczyć się nieda, że w dramacie, w osobie Solnessa, odbijają się gdzieniegdzie rysy psychiczne samego Ibsena.

Poszukajmy przeto innej drogi.

Żelazna energia Ibsena, owa wiara we własne siły człowieka, zbliża go bardzo do sławnego filozofa-poety Fryderyka Nietzschego. Jak wiadomo, Nietzsche był filozofem i apostołem zasady egoizmu, propagatorem nowego dogmatu, streszczającego się w słowach: „Człowieku stań się twardym!“ Ideał jego, ów „nadczłowiek“, w działalności swej odrzuca dotychczasowe nakazy etyki, a wyższość jego polega na tem, że postępuje tak jak c h c e, a nie tak, jak p o w i n i e n.

Bezpośrednio prawdopodobnie nie wpłynął Nietzsche na Ibsena, zasady jednak Nietzschego znalazły zwolenników, obrońców i apostołów; poglądy jego odbiły się echem w Norwegii i Skandynawii, możliwem jest przeto, że Ibsen przejął się nimi w pewnej mierze, tem bardziej, że pojęcia jego w pewnej mierze odpowiadały postulatom Nietzschego.

Ibsen tylko w pewnej mierze zgadza się z Nietzschem, albowiem w punkcie zapatrywań n. p. na kobietę, obaj ci myśliciele stoją na przeciwnych biegunach. Ibsen nigdy by się nie zgodził, świadczą o tem typy kobiece jego dramatów, na popularne obecnie, a skutkiem tego płytko i mylnie wykładane, zdanie

Nietzschego: „Du gehst zu den Frauen? vergiss die Peitsche nicht!“

Jeżeli więc pragnę zestawić poglądy Ibsena i Nietzschego na tle „Mistrza Solnessa“, to tylko na podstawie zgodności ich zapatrywań, co do indywidualnej potęgi jednostki, co do zasad „arystokratyczno-egoistycznych“ tych obu myślicieli.

Przyjąwszy tę hipotezę, można racyonalnie wytłumaczyć wiele alegoryj najrozmaitszych w „Mistrzu Solnessie“.

Wszak bohaterem Ibsena w tym utworze (i w wielu innych) jest człowiek dumny, wyrywający się z więzów, w które okuć go usiłuje „miłosierdzie“ lub „powinność“, wszak Solness chce być szczęśliwym i posiada dość odwagi, aby to szczęście zdobyć kosztem etyki, wyzyskuje bowiem swych podwładnych za pośrednictwem osoby słabszej (Kaji). Solness nie jest jednak zupełnym „nadczłowiekiem“, widoczną w nim jest dwoistość uczuć, z jednej strony energia, a z drugiej zaś strony nowa, a jednak trapiąca go obawa przed „młodzieżą“. Dlatego też Hilda, obdarzona silniejszą wolą, oddziaływa na umysł Solnessa, a ten ulega jej kaprysowi i wspina się na szczyt wieży... by śmierć zdobyć.

Hilda jest przeto typem „nadczłowieka“, a że za taką uważać ją można, świadczy to, że szydzi z „chorobliwego“ sumienia Solnessa, twierdząc: „Sumienie powinno być zdrowe i silne, aby nie odbierało nam odwagi do tego, czego właśnie pragniemy. Czyś czytał pan kiedy podanie o Wikingach, którzy na okrętach swych docierali do krajów dalekich, a tam wysiadłszy na ląd, palili domy mieszkańców, mężczyzn zabijali a kobiety brali w niewolę... Ci ludzie mieli zdrowe sumienie“. — „Nadludzkość“ Hildy stwierdzają i te słowa: „Powinność?... Nie znoszę tego słowa. Ma ono dla mnie dźwięk ostry i zimny“.

W ten sposób, opierając się zresztą na prawdopodobieństwie, uznać musimy, że osoby tego dramatu Ibsena, są ucieleśnieniem idei i pojęć filozoficznych, podobnie jak Pankracy, lub hr. Henryk w „Nieboskiej“ Krasińskiego.

Solness to teraźniejszość usiłująca wyrwać się z pęt krępujących człowieka. Hilda to przyszłość; to przedstawicielka owego „nadczłowieczeństwa“, nie uznającego żadnych kajdan i powinności: żona zaś Solnessa, dla której „powinność jest wszystkiem“ to przeszłość skazana na zagładę. — Solness przestał budować kościoły, a rozpoczął stawianie domów mieszkalnych, znaczy to: ludzkość wytwarza sobie nową etykę. Solnessa nie zadowalniają jednak „domy bez wieżyc — ludzkości nie wy-

starczają wytworzone przez siebie pojęcia etyczne. Hilda chce widzieć Solnessa na szczycie wieży, ten dosięga szczytu, ale dostaje zawrotu głowy i spada w dół — ludzkość na nowej etyce oprzeć się nie może, bo nowopowstałych postulatów używać nie umie.

W ten sposób — sądzę — najjaśniej wytłumaczyć można „Mistrza Solnessa". Czy poglądy Ibsena są dobre, czy złe, nie potrzebujemy rozstrzygać, nie piszemy bowiem traktatu moralnego, zresztą, każdy jest w stanie dośpiewać sobie resztę w duszy i zdrowym rozsądkiem ocenić, o ile poglądy takie przyczynić się mogą do „zrewoltowania" ducha ludzkiego, w dodatniem tego słowa znaczeniu.

Jako dzieło sztuki jest jednakże „Mistrz Solness" jednym z najwspanialszych utworów teatralnych. Jest to utwór bardzo ciekawy, o śmiałem wykonaniu, odsłaniający najgłębsze tajniki duszy i niezwykłej piękności jako dzieło sztuki. Jest w nim, mimo wpływu Nietzschego, historya myśli Ibsena, synteza jego dzieł poprzednich, „cały łańcuch przeobrażeń intelektualnych, począwszy od Branda, przerzucanie się od wiary w zwątpienie, aż do wspaniałego rozwoju myśli, jaśniejącej jak latarnia morska ponad ludźmi, z wysokości wieży, którą Solness sobie wybudował".

Niemniej wspaniałym jest następny utwór Ibsena „John Gabryel Borkman", zasadniczą ideą zbliżony nawet do „Mistrza Solnessa".

Adam Stodor.

(Dokończenie nastąpi).

„Ostatni“ Z. Krasińskiego.

Głębszą uwagę poświęcił temu poematowi pierwszy (i ostatni zarazem) prof. Bołoz-Antoniewicz w Kwartalniku historycznym r. 1889. Dysponując mniej obfitym, niż to dziś możliwe, materyałem, mógł i musiał popełnić wiele omyłek, główną zaś w tem, iż usiłował dowieść, jakoby bohaterem utworu był sam Krasiński. Praca nie straciła jednak do dziś na wartości, gdyż niektóre z jej rezultatów pozostają niezmienione; owszem, otrzymują nowy materyał dowodowy.

Obecnie mając dane, których brakło przed laty prof. Antoniewiczowi, możemy niektóre rzeczy usunąć, pozostałe uzupełnić, a przedewszystkiem — co jest głównym celem niniejszej rozprawki — wykazać, kto był i jest właściwym bohaterem poematu; od tego punktu wychodząc, już łatwą jest rzeczą oznaczyć właściwe granice i czas powstania reszty cząstek składowych utworu, dorzucanych do głównego zrębu co parę lat.

Ostatnim jest więzień polityczny, major Czwartaków Waleryan Łukasiński, ojciec rewolucyi listopadowej.

Rzecz odrazu postawię jasno, przytaczając najwalniejszy argument pro. Jest nim cytat z „Pamiętników“ Andrzeja Edwarda Koźmiana, I. 317:

„Wśród objawów ducha rewolucyjnego w Europie, który, jak w Hiszpanii, wojsko opanowawszy, wybuchł w powstaniu wojskowem, odkrycie spisku majora Łukasińskiego, które w tym czasie nastąpiło, przeraziło wielkiego księcia, zastanowiło cesarza. Szczegóły tego sprzysiężenia, okoliczności, które mu towarzyszyły, cała

ta sprawa pokryta została tajemnicą, której zasłony przedrzeć nie zdołała ciekawość i współczucie publiczności. Jaki był cel tego spisku, jak szeroko był rozgałęziony, jak zdradzony został, jak ukarany? nikt nie wiedział, nikt się dowiedzieć nie mógł; wiadomo było tylko, że major Łukasiński, Machnicki i inni jego wspólnicy zostali uwięzieni: mówiono później, że Łukasiński wtrącony był do kazamatów Zamościa, później miał zostawać w Górze Kalwaryi i że tam, jak zbrodniarz stanu srodze męczony, pewnego dnia w tygodniu licznymi razami był chłostany. Wielki książę, lękając się złego przykładu, nie chcąc zdradzić przed Europą i Rossyą ducha, przebijającego się w wojsku, jego dowództwu powierzonemu, rozkazał w najgłębszej tajemnicy zachować wszelkie okoliczności i spisku i kary, w skrytości więc wywarł całe okrucieństwo zemsty na tym nieszczęliwym męczenniku. Całej tej sprawie towarzyła tajemniczość, przypominająca sądy i wyroki i wykonanie wyroków trybunałów weneckich: nikt nigdy oprócz wykonawców zemsty Łukasińskiego nie ujrzał, choć wiedziano, że był w kraju. Zdaje się, że wśród kilkuletnich jego męczarni, żaden głos przyjaźni, współczucia nie doszedł do niego, a kiedy w r. 1830 zwycięzkie powstanie narodowe roztwierało więzienia stanu, trudnego do pojęcia zapomnienia i niewdzięczności stało się winnem, nie dopomniawszy się o Łukasińskiego, którego Wielki Książę uprowadził z sobą.

Łukasiński był pierwszym męczennikiem tej gorączkowej miłości Ojczyzny, która później tyle ofiar namnożyła. Cel jego był zapewne zacny, szlachetny, ale nierozwagą występny. Żadne męczeństwo polityczne z tem, jakiego on doznał, porównać się nieda; postać też jego okryta tajemnicą, stała się niezmiernie dramatyczną i podała może myśl poecie do jednego z najpoetyczniejszych utworów literatury patryotycznej, znanego pod tytułem Ostatniego. Łukasiński był nieštety pierwszym, nie ostatnim. Skazany na ciężką karę, smagany, jak nikczemny przestępca, oddychał powietrzem ojczystem, cierpiał na własnej ziemi, a nigdy żaden głos pociechy, nadziei, przyjaźni nie doszedł do niego. I tak sześć długich lat w mękach ciała i duszy przewlókł, gdy wtem ujrzał ruch niezwykły obok siebie i wyraz trwogi i przerażenia na twarzach swych oprawców i wyprowadzony z ciemnicy dowiedział się, że gdzieś pójdzie i pewnie przeczuł, domyślił się, co się stało: promień nadziei zbolałą duszę rozświecił i zamarzył na nowo wybawienie naprzód Ojczyzny, potem swoje. Może w tym wstecznym pochodzie usłyszał on jakie słowo, z którego dowiedział się, że

Warszawa rozerwała pęta, a wtenczas musiał być pewnym, że rodacy o nim nie zapomną, że go wyrwą z rąk wrogów i czekał i spodziewał się; ale szedł dalej i zaszedł czy gdzieś na mroźną pustynię, czy do nowej ciemnicy i pewnie pojąć nie mógł, że kiedy kraj na chwilę był wolnym i niepodległym, on przez tę chwilę wolnym nie był; i jakże wzrosły męczarnie jego duszy, bo nie wiedział, czy winić los o okrucieństwo, czy rodaków o niewdzięczność i zapomnienie: i z temi mękami duszy zeszedł gdzieś bez śladu, bez odgłosu, bez wiadomości, co się z nim stało, co się dzieje: i nie wiemy, czyli Bóg ulitował się nad nim, czy zakończył jego życie męczeństwa: ale przypominając go sobie z boleścią, pocieszajmy się tą myślą, że jeżeli władza ziemska nieubłagana bywa w zemście, władza niebieska niewyczerpaną jest w miłosierdziu i nagrodach."

Wiadomość powyższa (stanowiąca pod względem stylowym najlepszy ustęp Pamiętników), groźno-tajemnicza co do losów Łukasińskiego, wskazuje aż nadto wyraźnie, choć ogólnikowo, na główną postać utworu.

Zachodzi jednak zasadnicze pytanie — czy można z całą pewnością oprzeć się na sądzie Koźmiana?

A. E. Koźmian, syn Kajetana, spisywał swe „Pamiętniki" około roku 1850 (wydane w Poznaniu r. 1867). Przebywał podówczas w Paryżu. Przekonaniami — konserwatysta, którego nie wolno posądzać o jakąś szczególną sympatyę dla wielkiego spiskowca; obracał się w sferach różnonarodowej arystokracyi paryskiej. Bardzo bliski przyjaciel i wielbiciel Zygmunta, któremu w ostatnich latach jego życia stale dotrzymywał towarzystwa i zamknął do zgonu powieki. Syn Stanisław (zabawiający się, jak i ojciec, piórem) użycza Krasińskiemu swej firmy dla ukrycia nazwiska właściwego autora omawianego poematu. — Poeta, bojąc się ewentualnych szykan ze strony rządów zaborczych, prześladowany obawą Sybiru, której niedwuznacznie dawał wyraz w roztrząsanem dziele, grał rolę bezimiennego, a przyjaciele dzielnie mu sekundowali. — Zostaje nienazwanym i w „Pamiętnikach" Koźmiana: „...postać (Łukasińskiego) może podała poecie myśl..." Powyższe zdanie bardzo znamienne dla jego autora przez słówko „może", w którem tkwi cały Koźmian. Kierując się różnymi wzgiędzikami i względami, chociażby na Wincentego Krasińskiego, żyjącego jeszcze († 1858 r. listopad) i jego stosunek do Łukasińskiego, osłabił nieco tem jednem „może" kategoryczność wypowiedzianego pewnika. Nad dyplomatą literackim wziął jednak

górę esteta, pociągnięty tematem, tak wdzięcznym do opracowania — a może sam fakt artystycznego obrobienia wypadku przez Krasińskiego, nakłonił go do współczucia z losami bohatera, który żywił „cele zapewne zacne, szlachetne, ale nierozwagą występne“ — i otrzymaliśmy prozą napisaną pierwszą psychologiczną analizę Ostatniego, opartą na realnych danych, z końcową apostrofą do Boga, w myśl zakończenia samego utworu.

Nie zaszkodzi — sądzę — zaznaczyć na wstępie króciutką treść poematu. Tłem jest cela więzienna; w niej więzień okuty. Cały utwór, to monolog, osłonięty szarą powłoką smutku i rozpaczy. Myśli zrazu nie powiązane w większą, uchwytną całość, dają wnet jakby ekspozycyę, zsyłkę i osadzenie w zimnym, ciemnym, lochu. Tymczasem w Ojczyźnie więźnia dzieją się niezwykłe wypadki! Powstanie! On czuje i widzi je okiem ducha; czeka na Rodaków-wybawców, by go wyzwolili z krepujących łańcuchów; już słyszy, jak nadjeżdżają; jednak pominęli go, zapomnieli...; bezbrzeżna rozpacz, aż do bluźnierstwa — rezygnacya — skon.

Prof. Antoniewicz rozgatunkował poemat na trzy części składowe, chronologicznie różne, z pomiędzy których trafnie odosobnił grupę najdawniejszą, zawartą w ustępach XXV.—XXXIII., stanowiącą dla siebie całość prawie zamkniętą, której granice rozszerzam na ust. XXIII.—XXXVII. Musiało jej braknąć wyczerpującego zakończenia: śmierci więźnia, bo ten jeszcze żył w rossyjskich kazamatach. Brakuje obecnie oryginalnego początku, gdyż musiał zniknąć przy spajaniu z dorobioną później częścią poprzedzającą; poeta przybił do pierwotnej całości komplex nowych ustępów w taki sposób, iż ich koniec mieści się w ust. XXIV., zaś początek naszej części w XXXIII.[1])

Całość najdawniejsza ubrana w steretypowy (u Krasińskiego) kształt: widzenia, wcale dziwnie nazwanego „wszechobecnością magnetyczną“. (Nie wiem, czy Krasiński znał własność ciał magnetyków — przenikania przez mury). Nazwę podobną spotykam (VII. 5.) w poemaciku „Na skale“, który był punktem wyjścia dla „Przedświtu“, — coby pozwalało przypuszczać, że przeróbka pierwotnego wstępu nastąpiła równocześnie ze wstawką poprzedzających ustępów, związanych z datą 1842/3 (jak niżej). Omawiana część „Ostatniego“ (z wyjątkiem czterech końcowych ustępów dzisiejszego poematu, dodanych w ostatniej redakcyi) przedstawia intuicyjnie a niezwykle silnie wyczute położenie więźnia: nadzieje

[1]) Ustępy poematu znaczę podług wydania prof. Piniego.

wyzwolenia, gorączkowe jej podtrzymywanie, niemożność zrozumienia tego, by go swoi zapomnieli, rwanie więzów wybiegającym na swobodę duchem a umęczonem ciałem, wreszcie rozpacz beznadziejną, zamkniętą złorzeczeniami.

„Wiosna od Zachodu!“ — Prof. Antoniewicz sądził, że wiersze 1—8 XXIV. pochodzą z roku 46/7, dalsze zaś 9—19, z roku 1832; rozdział wprost typowy, zrobiony jednak w najlepszej wierze, iż „Wiosna od Zachodu“ to rok 46/7 (właściwie 1848, czyli — takby wypadało — już po wydrukowaniu „Ostatniego“). — Święty powiew Wolności z krainy niegdyś Burbonów, a wtedy ludu francuskiego, dochodzi już w sierpniu 30 r. do wiadomości historycznych przedstawicieli ówczesnej Polski i pobudza ich do czynniejszego działania... Aż ujrzał Łukasiński wzrokiem ducha, przez mury więzienne: tłum wielki polskiego Narodu, wiecę zebraną, szczęśliwą, a nad nią tysiące barwnych choręgiewek. Sto tysięcy wyciągniętych dłoni wskazuje na Północ. Od tych jasnych tłumów odrywają się dziarskie hufce jeźdźców litewskich, koronnych, lśniących od bieli, karmazynu i pędzą moskiewskim stepem, zatrzymując się dla otwierania „ohydnych świątyń na cześć Cara-Boga“, więzień. — To zestawienie (Cara-Boga) bardzo śmiałe (lecz przemyślane, bo znachodzi swój odpowiednik w innem: Car-Czart [XXVI.]), przypomina zakończenie wielkiej improwizacyi z III. cz. Dziadów (wyd. pod koniec 32 r.) — Prostota tych i dalszych ustępów jest ujmująca i tem właśnie: jasnością treści, wysłowieniem, pozbawionem oryginalnych cech późniejszego języka Krasińskiego i żywością akcyi — odbija rażąco od części wstępnych „Ostatniego“, powstałych później. Nieraz wpada poeta prawie w ton pieśni ludowej, n. p. XXVIII. w. końcowe:

„A żwawo, moi! — a prędzej! — a do mnie!
Jezu Ty Chryste! — jakżeż jadą gromnie!
Jakżeż im w barwach narodowych pięknie!
Ratuj mnie, Boże, bo mi serce pęknie!“

Nadjeżdżają Polacy, pytają straży o więźniów i dostają w odpowiedzi, że tu zamknięci są wyłącznie pospolici zbrodniarze. Błagalne wzywania więźnia nie przebiją murów. Wprawdzie pękł nad Ziemią hart moskiewskiej stali, jednak łańcuchy brzęczą, jak dawniej, w odpowiedzi na bezsilne targania tak lekkomyślnie, raczej niewytłumaczenie zapomnianego patryoty; przy nowym, konwulsyjnym odruchu dla wydobycia się z żelaz, broczy krwią. — Słabe powtórzenie, jak wogóle każde powtórzenie, tego ustępu

(XXXIV.) czytamy w liście do Gaszyńskiego (9. marca 1832): „Wszystkich sposobów używałem, by się dostać do was. ale silniejsze nad moje ramiona zapory, drogę mi zajęły, musiałem słuchać o waszych bojach i siedzieć na miejscu...“ Pod koniec tegoż listu wyraża Krasiński obawę przed Sybirem (później stale powtarzaną, w czem upatruje prof. Tarnowski (str. 61): „pierwszy zawiązek „Ostatniego“, który wyszedł z takiego fantazyowania o swoim losie, z takiego (mniemanego) przeczucia o więzieniu.“ — (Zapatrywanie błędne!)

„Wśród ojcobójców — o zmartwychwstań porze“, pozostał ostatni. Ci niby bracia, a właściwie katy, zabrali mu życia ostatki. Szalejący z bolu ma jeszcze zdolność do refleksyi, czy on naprawdę kiedyś kogo nie zamordował i za to obecnie tak ciężką ponosi karę. Słyszymy słowa zgryźliwej rozpaczy:

XXXVI. 7. „Za co w wszechświecie mi być wdzięcznym komu?
W cara mieszkałem — umrę w cara domu.
Innej jam w życiu nie doznał opieki!“

XXXVII. 6. „Ni Bóg gdzie ojcem — ni anioł gdzie bratem —
8. Ja się wyrzekam mej nieśmiertelności!
12. Zapomnij o mnie, o Ty, Stworzycielu!
16. Duch mój w wieczności niech bez śladu zginie,
Jak pamięć moja w mej polskiej krainie!“

Nie rozpaczaj bohaterze-męczenniku! — zdawał się mówić Krasiński, pisząc utwór. — Pamięć Twoja w Narodzie nie zginie! Ona niech będzie wywdzięką za Twe bole, któreś złożył na ołtarzu mającej zmartwychwstać Ojczyzny! — Jednak sam z obawy podobnego losu, przed którym drżał, skrył później tak głęboko swą myśl, że dopiero wyraźne zeznanie przyjaciela (Koźmiana) pozwoliło na podniesienie zasługi młodego poety.

„Geneza więc poematu jasna: Postać potężna, otoczona mrokiem tajemniczości, w guście bohaterów powieści Zygmunta, jednostek o tragicznych losach, których wystawił cały cykl — opanowując się stopniowo i przechodząc od okrutnych nienaturalności do pewnego uspokojenia fantazyi i dając w tej części „Ostatniego“ godne siebie zamknięcie pierwszego okresu twórczości; — postać złowieszcza dla każdego Polaka, którego szpony moskiewskie mogły pochwycić; co więcej — dla człowieka, mającego względem caratu wiele rzeczy na sumieniu rzeczywistych, czy urojonych; — złowieszcza dla Krasińskiego — bo (w niebardzo długiej komplikacyi) pośrednia przyczyna jego złamanego życia. Chociaż nie

mam żadnych danych, sądzę, że niedoszły autor „Ostatniego“ był widzem ohydnej sceny, która odbyła się w Warszawie 1. października 1824 r. na placu im. Krasińskich: barbarzyńskiej degradacyi zasądzonego i publicznego zakuwania w kajdany Łukasińskiego.[1]) Dowiedziawszy się o jego losie po wybuchu powstania, oddał cześć przynależną Wielkiemu Mistrzowi węglarzy polskich. współczuł z jego rozpaczą i artystycznie ją odtworzył. Uczczenie męczennika za wolność i ubranie pomysłu w nadobną szatę — to zasadniczy cel napisania „Ostatniego“. Cierpienia wielkiego rewolucyonisty odczuł tak silnie, jak gdyby im sam podlegał — rwący się do czynu młodzieniec; jednak nie było mu danem pójść tą drogą: z podciętemi skrzydłami, oblewany zimną wodą trzeźwego rozsądku, stanął w zapale „tworzącym cudy“... poemat poszedł do szuflady.

Czy czas napisania tej części utworu możemy oznaczyć dokładnie? — Prof. Antoniewicz, wykazując obce wpływy (z r. 32) w formie i stylu, przywodząc wiadomość z korespondencyi Odyńca, wreszcie w samym tekscie — znalazł datę r. 32. Z powyższych dowodów (resztę jako mniej ważne pomijam) tylko dwa pierwsze mają dotąd nie przestarzałą wartość. Musimy je w krótkości przypomnieć. — Czy Krasiński mógł tworzyć wiersze już w r. 32, rozstrzyga autor następująco: (str. 428) „Kto w pięciu leciech od „Hermanna“ wzniósł się do „Nieboskiej“, kto tego cudu dokonał, o tym można też łatwo przypuścić, iż w trzech leciech potrafił swą prozę, ową jedynie co do formy niedoszłą poezyę i pod względem formalnym poezyą uczynić.“ Jako decydujące podaje wspomnienie Odyńca z „Listów“ (IV. 276): „Dziwna rzecz bowiem, jak Zygmunt, który jest z natury poetą i pisze ciągle poetycką prozą, wierszy zgoła pisać nie umie i dopiero w ciągu tej ostatniej podróży do Chamouny (r. 30) pierwsze wiersze w życiu, jak mowi, z nudy, jadąc na mule, ułożył, a uczynił to, jak też mówił, jedynie w tym celu (o! pia fraus), aby mi je za powrotem do Genewy pokazać i zdania mojego zasięgnąć. Koszlawe dość i chropawe, tak, żeśmy się z nich obaj uśmieli. Zaklął mię na wszystkie świętości, aby o nich Adamowi nie mówić. A jednak w treści jest myśl poetycka i zapał i barwność; tylko, że forma niezgrabna, brak zwłaszcza poczucia miary i muzykalności rytmu.“ — Następnie przy pomocy świadectwa Odyńca udowadnia autor, że w tych

[1]) Wiadomości o Łukasińskim czerpałem głównie z cennej monografii prof. Askenazego: Bibl. Warsz. 1906, lipiec i sierpień.

latach poeta wczytywał się w Bajrona; podnosi wpływ „Więźnia Czillonu“ na nasz poemat w rysach drobniejszych, w akcesoryach, porównaniach (n. p. ciążenie powiek, szukanie w pająku brata) i w znachodzącym się często trójrymie, kopii bajronowskiego trypletu. — Rozróżnia w „Ostatnim“ „dwa rozmaite style, dwie rozmaitej barwy nici naprzemian przez poemat się wijące — styl zbliżony do wierszy Mickiewicza i styl Psalmów...“ (str. 431). — „Przejdźmy wszystkie jego wiersze nam znane (a najwcześniejsze datuje od r. 36), a we wszystkich znajdziemy już te nie dającą się zapoznać odrębność stylu, której zewnętrznem kryteryum są: wiersz ściśle i dobitnie akcentowany, odrębne szykowanie słów, szczególnie inchoatywów. Przecież w owym wzmiankowanym poemacie (Listy I. 86) z czerwca 1836, t. j. w owych nibyto pierwszych wierszach, „jakie kiedykolwiek napisał“, znajdujemy już słowa i zwroty, jak „oczy przeiskrzały“, „lazury cierpienia“, „wiatru wiosenne powienie“ i t. d. Wyjątek stanowi cały szereg ustępów „Ostatniego“. W tych ustępach nie znajdujemy żadnych właściwości, czasem dziwacznych już trochę oryginalności wierszów Krasińskiego, nie możemy w tych ustępach doszukać się wierszy Krasińskiego, ale natomiast znajdujemy zupełną dykcyę Mickiewicza. I rzecz dziwna, są to właśnie ustępy o treści przeważnie epickiej, ustępy, zawierające dramatis fabulam, część poematu zmysłami uchwytną, akcyę.“

Turystyczna wycieczka Mickiewicza (i Odyńca) z Zygmuntem (wspomniana przez prof. Antoniewicza), przedewszystkiem zaś fakt dłuższego przebywania ze sobą młodych wieszczów, pozwala przypuszczać, że starszy nieco a opromieniony poetycką sławą (r. 1828 „Konrad Wallenrod“) wódz „młodych“ oddziałał na Krasińskiego w kierunku podjęcia naszego tematu. — Poza kwestyami literackiemi treścią ich rozmów były bezsprzecznie wypadki polityczne, przedewszytkiem zaś dotyczące Ojczyzny.

Dotychczas starano się nie zwracać uwagi na współczesność wydarzeń, rozgrywających się w stolicach Litwy i Polski: W Warszawie od maja 1822 r. więzieni wolno-mularze narodowi z wielkim mistrzem majorem Łukasińskim, zostają pod srogiem śledztwem, a w tymże samym czasie rozgrywają się we Wilnie sceny, unieśmiertelnione w III. cz. „Dziadów“: 24. października Mickiewicz skazany na wydalenie z Litwy i przymusową godność czynownika. 1-go zaś tego miesiąca odbyła się na placu Krasińskich w Warszawie „uroczystość“ łamania szpady przez kata nad Łukasińskim, obdarcia go z odznak, przybrania w mundur aresztancki,

zakuwania w kajdany i popędzenia go na ciężkie więzienie (dożywotnie; † 1861). — Jakież inne środowisko polskości, jak nie Wilno, musiało to odczuć! — Wilno młodzieży-patryotów, którzy uprawiając nauki ściśłe i poezyę, układali statystykę-mapę wywiadowczą powstańczą swego powiatu... aż wreszcie stali się pomostem dla karyery Nowosilcowa. — Gdy zważymy, że emisaryusze wolno-mularscy zorganizowali tu Radę prowincyonalną (należeli do niej Radziwiłł, Wojniłłowicz, Sołtan...), uzależnioną wprost od wielkiego mistrza (Łukasińskiego) i dopuścili do pracy studentów, to zrozumiemy kontakt stolic, żywe odczuwanie przemocy, gnębiącej obie i stosunek Mickiewicza do Łukasińskiego. A jeżeli przypomniemy dalej udział i stanowisko Wincentego Krasińskiego w sądzie sejmowym, za które najpierw syn ciężko odpokutował, — następnie, że ta rana miała już czas się zabliźnić, tak, iż o jej przyczynie można było pomówić, zwłaszcza gdy ważniejsze (a z nią związane) wypadki nadeszły — to nic dziwnego, że pobudzenie do napisania utworu przyznamy w lwiej części Mickiewiczowi.

Tu dodam nawiasem, że na wymienioną datę godzi się też prof. Tarnowski: (Monografia, str. 59) „co do „Ostatniego“ wydaje mi się rzeczą niewątpliwą, że jego pierwsze zarody i niektóre ustępy powstały w Szwajcaryi w r. 1831 lub 1832“.

Karol Kwieciński.

(Dokończenie nastąpi).

ODP. REDAKTOR ADAM KRECHOWIECKI. — NAKŁAD „GAZETY LWOWSKIEJ“.

Zezwolenie księcia względnie pana na zawarcie małżeństwa według dawnego prawa polskiego.[1]

Pierwotnie przysługiwało księciu prawo wydawania dziewic i wdów za mąż nawet wbrew ich własnej i ich rodziców lub krewnych woli. Prawo to wykonywali w Polsce książęta także o ile chodziło o synów swych poddanych. Pisarz arabski, Al Bekri,[2]) opowiada o Polanach, że ich książę, gdy dziecko dojdzie do lat, żeni je, gdy jest rodzaju męskiego i płaci za nie swadziebny podarek ojcu narzeczonej. Jeżeli zaś jest rodzaju żeńskiego, to wydaje je za mąż i płaci jej ojcu swadziebny podarek. W Polsce prawo to wyszło dość wcześnie z użycia, w epoce historycznej nie znajdujemy już o niem wzmianki, a jedynym dowodem jego niegdy istnienia byłyby, oprócz wspomnianego opowiadania Al Bekriego, liczne i daleko sięgające uprawnienia księcia w zakresie prawa rodzinnego.

Dłużej natomiast utrzymało się to uprawnienie księcia na Litwie, jednakże tylko w odniesieniu do kobiet. W całym szeregu

---

[1]) Wyjątek z większej całości. Z literatury o tym przedmiocie por. ogólne dzieła Hubego, Prawo polskie w w. XIII. str. 372—373, Dunina, Prawo mazowieckie, str. 120. Ponadto: Viollet, Histoire du droit civil français, wyd. 3. Paryż, 1905. str. 449—452.

[2]) Łebiński Wł. dr., Co Al Bekri opowiedział o Słowianach i ich sąsiadach. Rocznik Tow. Przyj. Nauk Poznańskiego, T. XV. Poznań, str. 167—187.

przywilejów od XIV. do XVI. wieku wydawanych, zrzekali się książęta litewscy pod naciskiem żądań szlachty swych uprawnień w tym kierunku. Zdaje się jednak, iż mimo tych zrzeczeń wykonywali je i nadal, skoro przyrzeczenia te stale są ponawiane. I tak przywilej wileński z r. 1387 [1]) przyznał szlachcie litewskiej prawo wydawać swobodnie za mąż swe krewne, córki i wdowy bez potrzeby zasięgania zezwolenia panującego. Przyrzeczenie to zostało powtórzone w szeregu przywilejów następnych, jak w horodelskim z r. 1413 (art. 7), [2]) Kazimierza Jagiellończyka z r. 1457 (art. 9), [3]) Aleksandra z r. 1492 (§. 8), [4]) dwóch przywilejach Zygmunta I. z r. 1529 (§. 22) [5]) i z r. 1547 (§. 21). [6]) Wzmiankę o potrzebie zezwolenia książęcego znajdujemy jeszcze w r. 1551 na sejmie walnym wileńskim. [7]) Także statut litewski w wszystkich trzech swoich redakcyach zawierał postanowienie uchylające potrzebę tego zezwolenia. [8])

To prawo zezwalania księcia na małżeństwo córek poddanych nie było właściwością jedynie stosunków polskich względnie litewskich. Znajdujemy je również i u innych narodów, w szczególności w Niemczech i we Francyi. W Niemczech np. w r. 1232 otrzymało miasto Frankfurt i inne miejscowości przywilej, że cesarz nie będzie zmuszał ich mieszkańców do oddania córek temu lub owemu panu ze swego dworu. We Francyi mimo zrzeczenia się tego prawa przez Chlotara II. w r. 614 niejednokrotnie jeszcze wykonywali je królowie, a szczątki tego prawa zachowały się tamże (wedle Violleta) jeszcze w r. 1804 i 1852. [9])

Poddani (chłopi) nie mogli zawierać małżeństwa inaczej jak za zezwoleniem swych panów. Ustawa z r. 1511 [10]) orzekła, że małżeństwa córek rolniczych są wolne. Zatrzymała ona jedynie pewne ograniczenia co do miejsca zamieszkania małżonków, a to ze względu na ich osiadłość. W późniejszych przepisach o zbiegłych poddanych postanowiono, że włościanka nie mogła wyjść

---

[1]) Działyński, Zbiór praw litewskich, str. 2.
[2]) Tamże, str. 13.
[3]) Archiwum kom. prawn. T. VII. str. 263.
[4]) Tamże, str. 266.
[5]) Tamże, str. 284.
[6]) Tamże, str. 293.
[7]) Działyński, l. c. str. 458.
[8]) I. statut IV. 15, II. statut III. 31, III. statut III. 39.
[9]) Viollet, l. c. str. 453.
[10]) Volumina Legum, T. I. 379.

za mąż do cudzej wsi bez zezwolenia dworu, inaczej jak za opłatą t. z. kunicy.[1]) Kościół dążył do usunięcia tych ograniczeń, uchwały podobnej treści zapadły np. na synodach warmińskim z r. 1610 i płockim z r. 1733.[2]) Wedle traktatu z Rossyą z r. 1768 (art. IV. §. 3.)[3]) poddani i służący nie mogli brać ślubów bez zezwolenia swych panów. Projekt Zamojskiego zawierał postanowienia zasadniczo zgodne z postanowieniami konstytucyi z r. 1511. Uznaje on swobodę chłopów w rozporządzaniu rękami swych córek, a wprowadza jedynie pewne ograniczenia co do córek jedynaczek, ze względu na miejsce zamieszkania małżonków, a to celem zapobieżenia stratom dziedzica (I. 31. §. 10). Także wdowom przyznaje on prawo swobodnego zawierania małżeństwa (I. 31. §. 11.)[4])

Zaznaczyć też należy, iż w stosunkach lennych, lennik nie mógł rozporządzać ręką swych córek, o tem bowiem rozstrzygał pan lenny.[5])

W związku z powyższemi uprawnieniami, służącemi księciu względnie panu, zostawały pewne opłaty przez nich pobierane. Nosiły one rozmaite nazwy, jak kuna (kunica, kuniczne, cunagium, nuptiale, pojemszczyzna), dziewicze albo panieńskie (virginale), wdowicze (wdowie, wdowine, viduale), swadziebne (swatzyrba, wedle Czackiego wybór). Jaki jest początek tych opłat i ich uzasadnienie, dotychczas nie zbadano. Ze względu na znaczne ich rozpowszechnienie, nie tylko na całym obszarze ziem dawnej Polski, ale i w innych krajach,[6]) ze względu na ich wielką siłę żywotną, możemy się domyślać, iż początek ich tkwi w czasach odległych, przedhistorycznych,[7]) a mianowicie w ów-

---

[1]) Por. Czacki, O litewskich i polskich prawach, T. I. str. 81.

[2]) Encyklopedya kościelna, T. XIII. str. 310.

[3]) Vol. Leg. VII. 590.

[4]) Hauer w swej Ekonomice ziemiańskiej generalnej, Warszawa 1744, str. 36, radzi, aby panowie nie dozwalali wydawać córek swych poddanych do innych miast chyba, gdyby było ich 2 lub 3. Panowie mają też czuwać nad tem, aby córki, które doszły do odpowiedniego wieku, były wydawane za mąż, niekiedy bowiem rodzice nie wydawali córek umyślnie za mąż, aby mieć z nich usługę i wygodę.

[5]) Prochaska, Lenna i mańtwa na Rusi i Podolu, str. 1.

[6]) Praktykowane jako t. z. droit de culage jeszcze w XVI. w. w Anglii i Francyi.

[7]) Mylnie sądzi Schmidt, por. niżej, że opłaty te istniały dopiero od w. XVI.

czesnem urządzeniu stosunków płciowych. Są one zapewne pozostałością tego stanu, kiedy panował zupełny bezład płciowy, kiedy kobieta musiała się oddać każdemu mężczyźnie. W szczególności zaś można je uważać jako resztki służącego niegdyś panom wobec poddanych ius primae noctis. [1]) W późniejszym rozwoju te wła-

---

[1]) Podobne zapatrywanie na początek tych opłat wypowiedzieli: Maciejowski, w artykule: Co rzeczywiście znaczyła kunica, Bibl. Warsz. 1864, T. I. str. 432—437, Burzyński, w Prawie polskiem prywatnem, T. II. str. 25, uw. 4 i Narbutt, Badanie starożytności litewskich, O panieńskiem, Tygodnik Wileński, T. IV. 1817, str. 209—213. Ten ostatni upatruje ponadto pewien związek między opłatą kunica a t. z. kuną albo kunicą, które znajdowały się przy kościołach parafialnych, a w których zamknięte upadłe kobiety odprawiały pokutę. Inni autorowie uważają tę opłatę jako relutum, na które zgodził się Kościół w zamian za pewne dobre uczynki, np. posty, jakich początkowo wymagał od zaślubiających się. Por. Encyklopedya kościelna, T. XIII. str. 310, uw. 1.

Istnienie ius primae noctis w krajach słowiańskich, mianowicie polskich, jakkolwiek ściśle nie udowodnione, jest jednakże wielce prawdopodobne. Jego istnienie przyjmują zwłaszcza dawniejsi pisarze, jak Tatiszczew, Ewers, Jelagin, Naruszewicz, Czacki, Maciejowski. Natomiast Schmidt Karol w rozprawie „Slavische Geschichtsquellen zur Streitfrage über das ius primae noctis, Zeitschrift der historischen Gesellschaft für die Provinz Posen“ 1885. T. I. str. 323—356 i Balzer w recenzyi tejże pracy, Kwartalnik historyczny 1887, str. 71, przeczą istnieniu tego prawa i uważają, iż powyższe daniny na równi z innemi zostały powołane do życia w interesie finansowym panów, jako wynik stosunku poddańczego. Dowodem przemawiającym za istnieniem i w Polsce tego prawa, może być zwyczaj, zwany kunigowaniem, o którym wspominają Narbutt l. c. i Jaroszewicz, Obraz Litwy pod względem jej cywilizacyi od czasów najdawniejszych do końca w. XVIII. Wilno 1844. Por. też Witort Jan, Ius primae noctis, Lud II. str. 97—115. W t. z. dziewiczy wieczór udaje się narzeczona z domu do dworu i z płaczem prosi w pieśni pana, aby ją uwolnił od daniny i dał się ubłagać prośbom.

Wogóle sprawa tych opłat, zwłaszcza zaś t. z. dziewiczego, wdowiczego i pasternego, powinna być jeszcze przedmiotem dokładniejszego zbadania. Nehring w artykule p. t. „Ueber pasterne in den Synodalverordnungen von Sieradz 1262, Zeitschrift der histor. Gesellschaft für die Provinz Posen“, T. III. 1888, str. 459—463, wystąpił z całkiem odmiennem mniemaniem, które usuwa opłaty te z zakresu prawa małżeńskiego. Wedle jego zdania nie mamy tu do czynienia z opłatami małżeńskiemi, dziewicze, wdowicze, pasterne są to te rzeczy spadkowe, które należy wydać córkom względnie wdowom po zmarłych poddanych tak, że dopiero to, co po wydaniu jednego i drugiego pozostanie, jest t. z. puścizną. Nehring opiera się w swem tłumaczeniu na odno-

śnie pierwiastki zatraciły się, a natomiast na pierwszy plan wysunęły się względy majątkowe, wywołane chęcią panów wyzyskania swej władzy w stosunku do poddanych. W późniejszych bowiem czasach opłacało się je na rzecz panów, gdy kobieta wychodziła za mąż do wsi obcej. [1])

Pomimo kilkakrotnych zakazów pobierania tych opłat, zwłaszcza Kościół dążył do ich uchylenia, utrzymały się one prawie do końca Rzeczypospolitej. Janusz, arcybiskup gnieźnieński, na synodzie sieradzkim w r. 1262 zabronił pod groźbą klątwy pobierania w dyecezyi gnieźnieńskiej opłat, dziewicze, wdowicze i pasterne, o ile chodziło o kobiety z dóbr duchownych wychodzące za mąż do dóbr świeckich. [2]) Już przedtem w r. 1237 uchylił prawo do poboru tych opłat Henryk Brodaty. Wedle Maciejowskiego przywrócono je jednak po jego śmierci, a pomimo zganienia ich przez papieża Grzegorza IX. w r. 1241, utrzymały się one i nadal. Na Mazowszu zniósł wdowicze przed r. 1232 Konrad Mazowiecki, mimo to jeszcze w w. XVI. (1531) składały wdowy, wychodzące za mąż, na rzecz pana urnę miodu, [3]) a chłop wydający za mąż córkę, składał opłatę kunne. [4]) O tej ostatniej opłacie wspomina jeszcze statut Prażmowskiego, natomiast nie wspomina o niej już Goryński. [5]) W krajach litewsko-ruskich utrzymały się te opłaty najdłużej. Zygmunt I. w rozporządzeniu z r. 1506 dla województwa kijowskiego nakazał opłacać kunicę, [6]) wspomina o niej także przywilej Zygmunta Augusta z r. 1553 dla miasta

---

śnem postanowieniu Księgi praw z w. XIII. i postanowieniu Konrada Mazowieckiego z r. 1232. Pasternego zaś mianem oznacza on udział konieczny w spadku córki przybranej. Tłumaczenie jednak Nehringa nie usuwa wszelkich wątpliwości. Jak z samej nazwy wynika, mamy tu raczej do czynienia z opłatami, aniżeli z częściami majątku względnie spadku. Więcej usprawiedliwione jest też mieszanie się Kościoła do prawa małżeńskiego, aniżeli spadkowego. O pomocnem, wdowiem i dziewiczem por. także Smolka, Mieszko stary i jego wiek, Warszawa 1881, str. 443—444 i 446—447.

[1]) Agz. XVI. 3742. 3773.

[2]) Kod. Wkopolski, nr. 402, str. 355, §. 8. Por. Łaguna, Kilka uwag nad wywodem historycznym niektórych artykułów ustawy Kazimierza W. Bibl. Warsz. 1859, T. III. str. 163. Hube, Prawo polskie w. XIII. str. 372—373.

[3]) Balzer, Kwart. histor. 1887, str. 71.

[4]) Tamże, str. 72.

[5]) Dunin, Prawo mazowieckie, str. 59.

[6]) Balzer, Kwart. hist. 1887, str. 72.

Baru.[1]) Opłata ta miała istnieć na Rusi jeszcze za czasów Naruszewicza,[2]) Wójcicki zaś w swej Encyklopedyi wspomina, że kunica na Podlasiu istniała jeszcze w początkach w. XIX. (1820). Narbutt twierdzi, że na Litwie dochowała się ona do połowy w. XVII. Co do sposobu uiszczania jej, to płacono ją pieniądzmi lub w naturze (miodem), opłacano ją na rzecz księcia, wojewody, horodniczego królewskiego, pana lub sołtysa i to nie tylko kmiecie, ale i mieszczanie, jak dowodzi przywilej dla mieszczan barskich z r. 1533.[3])

Lustracye starostw ruskich, dokonane w drugiej połowie w. XVI., przedstawiają nam opłatę, zwaną pojemszczyzna[4]) albo kunica w całej pełni rozwoju i to na całej przestrzeni ziem ruskich. Opłacają ją zarówno chłopi, jak mieszczanie, jednakże tylko obrządku wschodniego, a zatem przeważnie Rusini. Opłaca się ją wtedy, gdy dziewica lub wdowa idzie za mąż do wsi obcego pana. Opłatę należy uiścić i wtedy, gdy małżeństwo zostaje zawarte w obrębie starostwa. Gdy kobieta wychodzi za mąż za granice państwa (do Wołoszczyzny) opłata jest wyższa. Wyższa opłata należy się od wdowy ze względu na to, iż wdowa wywozi ze sobą i swój dorobek. Uiszcza opłatę zawsze mąż. W opłacie tej ma udział (trzecią część) wójt, a po wsiach atamani. Pobór jej często wydzierżawiano. Prawidłowo wynosiła ona groszy 12 od dziewicy, 30 od wdowy, w niektórych starostwach od dziewicy dwa złote albo i kopę groszy. Gdy kobieta pozostawała w swojem starostwie, opłatę pieniężną składano w niższym wymiarze (6 groszy), ponadto jednak uiszczano pewne świadczenia w naturze, jak piwo, chleb, a urzędnikom ręczniki.[5])

Wiadomości nasze o opłacie, zwanej swadziebne, pochodzą z Mazowsza. Była to opłata od wesel. Uchylił ją w księstwie płockiem biskup Giżycki w r. 1455. Kazimierz zaś Jagiellończyk wcielając ziemie rawską i gostyńską do Korony w przywileju

---

[1]) Czacki, O litewskich i polskich prawach, T. II. str. 21.

[2]) Encyklopedya kościelna, T. XX. str. 28.

[3]) O kunicy por. też Kownacki, Pamiętnik Warszawski, T. XVIII. str. 391. Linde, Słownik, T. II. str. 547.

[4]) Wyraz ten oznaczał na Rusi także opłatę od pojmanego bydła. Żereła do istorii Ukraino-Rusi, T. I. str. 228.

[5]) Por. Żereła T. I. str. 24. 51. 74. 99. 129. 169. 191. 227. T. II. p. 221. T. III. str. 69. 91. 182. 277. 378. VII. 90. 150.

z dnia 14. grudnia 1462 zniósł swadziebne w tychże ziemiach.[1]) Mimo to utrzymała się ta opłata i nadal.[2])

Jak uprawnienia księcia w zakresie prawa małżeńskiego, podobnie i opłaty małżeńskie na rzecz jego uiszczane, znane były i u innych narodów słowiańskich. O Bułgarach np. opowiada pisarz arabski, Abu Ali Achmed, że od każdego z nich, kto się żenił, brał książę konia wierzchowego.[3])

Dr. Przemysław Dąbkowski.

---

[1]) Por. Czacki, O prawach mazowieckich, rozprawa, Krzemieniec, 1811, str. 6. Glogier, Encyklopedya, T. IV. str. 295, Helcel, Starodawne prawa polskiego pomniki, T. I. str. 299.

[2]) Maciejowski wspomina jeszcze o opłatach: pasterne (basterne) i bykowe, które miały być pobierane od wdów i dziewcząt, które przenosząc się do obcych wsi, zabierały ze sobą swe potomstwo nieprawe lub nawet od tych kobiet, które począwszy dziecię w jednej miejscowości, rodziły je w innej.

[3]) Garkawi A., Skazania muzułmanskich pisatelej o Sławianach i ruskach, Petersburg 1870, str. 263.

Województwo Ruskie wobec rokoszu Zebrzydowskiego.

(Ciąg dalszy).

Jak ztąd widoczna w sferach otaczających króla odrazu zwrócono uwagę na niebezpieczeństwo grożące od powstania węgierskiego i energicznemi zarządzeniami starano się je odwrócić. Zrozumiano trafnie, że już położeniem swem ziemie podgórskie i powiaty mogą być łącznikiem pomiędzy ruchem węgierskim a malkontentami polskimi i starano się w samym zawiązku styczną tę przeciąć. Król, jak widzimy, nie naruszył zasady neutralności, ale też baczył, aby poddani jego jej nie naruszali.

Groziło też wschodnim ziemiom jeszcze jedno poważne niebezpieczeństwo, dla odwrócenia którego należało pilnie zwracać uwagę. Równocześnie bowiem z wzmaganiem się rozruchów na Węgrzech zaczęli się ruszać z koczowisk nad Czarnem Morzem Tatarzy, a ich ruchy zwiastowały zawsze klęski, które spadały na żyzne Podolskie i Ruskie ziemie. Właśnie w chwili śmierci hetmana wielkiego Zamojskiego zaczęły nadpływać od Stanisława Żółkiewskiego hetmana polnego, od wojewody Rusi Stanisława Golskiego wiadomości o ruchach tatarskich tudzież, że car Perekopski zmierza ku granicom. I znowu król w uniwersale przypominał szlachcie,[1]) że skoro w zawiedzeniu przeszłego sejmu Rzplta

[1]) Gr. Prem. 321, p. 1037.

od granic bez obrony została, ucieka się król do szlachty, wzywając do ratunku całości Rzpltej swobód i wolności swoich. Nowiny o przygotowywanym najeździe zmieniały się i utrzymywały w naprężeniu i trwodze wschodnie powiaty, gdzie obronę objął był hetman polny,[1]) a prócz niego czuwał silnie Strażnik koronny Jan Zamojski w Szarogrodzie. W Barze, na straży granic, czuwał też wojewoda Golski, wzywając szlachtę do ściągania się w kupę i naznaczając ziemiom punkty zborne (jak Założce dla ziemi Buskiej), zkąd miano w dalszy wyruszyć pochód.[2]) Tymczasem Kantymir nie zaczepiony i nie hamowany, zbliżył się w pochodzie 19. sierpnia pod Żytomierz, zkąd mnóstwo ludzi w niewolę zabrał.[3]) Widocznie najazd był tak przemożną siłą uskuteczniony, że o boju w otwartem polu nie można było i myśleć z drobnemi siłami, jakiemi rozporządzali wodzowie kresowi. Zresztą trwał ten najazd tygodni parę i jak donosi współczesny historyk, uprowadzili Tatarzy z Podola do sto tysięcy w niewolę[4]) i tylko Żółkiewski, gdy powracali obciążeni łupem, zarwał ich trochę i część jakąś łupów i jeńców odbił. Nie było to jednak zwycięstwo, któreby bodaj w części powetowało olbrzymią klęskę: to też słusznie król wnet po dowiedzeniu się o klęsce i o nowych zamiarach tatarskich, powtarzając swe odezwy do gotowości, „gdyż za rozwiedzeniem sejmu na samej ochocie szlachty obrona została“, wzywał ją do poprawy sławy, która teraz od pohaństwa szwank znaczny odniosła.[5]) Jeszcze pod sam koniec roku ostrzega król szlachtę i wzywa do kupienia się, skoro nieprzyjaciel zamyśla o wtargnięciu, zasmakowawszy korzyści, które z hańbą i szkodą wielką narodu polskiego świeżo z państw naszych odniósł, a żołnierz sam nie da mu rady.[6]) Popierał temi odezwami król czujnych wodzów, strażnika Jana Zamojskiego, rozsyłającego z Biedrzychowego Gródka i Szarogrodu odezwy, że Tatarzy leżą na Białogrodzkich polach w wielkiej liczbie, że sam szwagier hański w 30 tysięcy stoi między Owidowem a Oczakowem, że jedni wloką się do Węgier,

---

[1]) Uniw. króla z 27. czerwca 1605, Gr. Lw. 360, p. 919 i uniwersał z 30. sierpnia 1605 w Gr. Prem. 321, p. 1519.

[2]) Pr. Prem. 321, p. 1353, uniwersał z 28. lipca 1605 r.

[3]) List Lwa Sapiehy z 6. września 1605 w Arch. Radziw. 235.

[4]) Wielewiecki, His. dom. prof. ad S. Barb. II. 98, tudzież Lubieński, p. 35.

[5]) Uniwersał z 17. paźdz. 1605, Gr. Tremb. 106, p. 529. Gr. Buskie 11. p. 994.

[6]) Gr. Tremb. 106, p. 639, uniwersał z 20. grudnia 1605.

a drudzy kierują się ku Polsce, że należy brać się do oręża i że ostatni już raz przestrzega szlachtę ze swego urzędu.[1]) Raczcie tedy obmyślać o bezpieczeństwie żon, dzieci i majętności, pisał w styczniu 1607 r. Żółkiewski do szlachty, a do swawolnych kup żołnierskich, łupiestwami w okolicy Lwowa plamiących imię żołnierza, nadaremnie wołał: tutaj na Ukrainie służba na was czeka.[2])

Nie można tedy twierdzić, jakoby krol nie widział niebezpieczeństw, które od południa i wschodu groziły Rzpltej, lub żeby nie starał się im zapobiedz. I owszem z zarządzeń jego i odezw widoczna, że troską jego było nietylko hamować niebezpieczeństwa, ale nadto zwracać uwagę poddanych na konieczność obmyślenia środków ratunku i to na drodze legalnej przez sejmy, które niestety „zawodziły“. Również nie można pominąć i tego wniosku, wypływającego z troskliwości krola celem odwrócenia niebezpieczeństw, że i polityka jego nachylająca się ku Austryi, którą przeciwnicy królewscy spotwarzali i uczynili ją nienawistną w Polsce, była trafną drogą do celu i że w interesie Rzpltej i cywilizacyi leżała przyjaźń z mocarstwem, mającem jednego i tego samego wewnętrznego i zewnętrznego wroga. Małżeństwo przeto króla z Konstancyą miało i polityczne znaczenie i było z większemi korzyściami dla Rzpltej połączone, aniżeli rajone przez Zamoyskiego małżeństwo z Teodorą moskiewską. Opozycya przeto Zamojskiego przeciwko królowi i jego polityce, przeciwko małżeństwu z Rakuszanką jest prawie trudną do zrozumienia. W czasie, kiedy on zjazdy przeciwko królowi zwoływał, był już czas najwyższy do zapomnienia o owych praktykach austryackich, które jak to się dowodnie ze źródeł archiwalnych okazuje, nie miały tak ujemnego znaczenia, jakie im przypisywali stronnicy kanclerscy. Król od lat już wielu stał na wysokości swego zadania i ani myślał o odstąpieniu korony, której powagę nadwątloną starał się umocnić. Nie mało też zasług wieńczyło jego skronie, położonych zarówno obok Rzpltej, jakoteż obok Kościoła, a jeżeli stracił Inflanty, to właśnie Zamojski był tym wodzem, któremu powierzono odebrać prowincyę, a zadania tego nie dokonał;[3]) zresztą i tutaj Chodkiewicz zwycięstwem pod Kokenhauzem przywrócił nieco utraconą

[1]) Uniw. z 28. paźdz., 26. listopada 1605 i 11. stycznia 1606 w Gr. Tremb. 106, p. 513, 559 i 646.

[2]) Żółkiewskiego Pisma wyd. Bielowskiego, p. 180, 181.

[3]) Obacz ostrą uwagę w liście Lwa Sapiehy z Arch. Sap. I.

sławe i należało tylko poforsować wojnę, aby ją całkiem odzyskać. Dlatego to król na czele zadań sejmowych, mających wejść pod obrady sejmu z 1606 roku, postawił poparcie wojny Inflanckiej, aby wyrzucić Szwedów z Inflant i Estonii. Dlatego to żądał obmyślenia środków przeciwko najazdom tatarskim, gdyż wiedział, że ci są tylko narzędziem Turcyi, która z zawieruch węgierskich największe odnosiła korzyści. Niestety ruch rozkołysany przez Zamojskiego objął już całe pochopne do nowin społeczeństwo szlacheckie i król z zamiarami swymi miał znowu napotkać na opozycyę.

Na czele jej stanął wojewoda krakowski Mikołaj Zebrzydowski, przyjaciel Zamojskiego: podzielał wszystkie wady kanclerza, ale niestety nie posiadał ani jednej z wielkich tego męża zalet. Próżny i nadęty do tego stopnia, że gdy mu król wynieść się kazał z kamienicy rządowej w Krakowie przed weselem z Konstancyą, gdyż potrzebował domu dla gości austryackich, Zebrzydowski ustąpił z domu grożąc: ja z domu, a król wyniesie się z królestwa! Nie był też na ślubie królewskim. Katolik z praktyk religijnych i przekonania nie był nim w czynach, dlatego to oburzał się, gdy Ojciec Wielewiecki gromił z kazalnicy tych, którzy podburzali szlachtę na sejmikach, dlatego to spychając brzemię nieszczęść ojczyzny, za których sprawcę go uważano ze swych barków, usprawiedliwiał się przed pobożnymi Minorytami, że z tego tylko powodu stanął na czele rokoszu, by rokoszanie nie obrali heretyka swym wodzem.[1]) Upor nadto uczynił go krótkowidzem i nie patrzał w dalszą przyszłość. Występując przed szlachtą z zarzutami i obelgami rzucanemi na króla, a tworzonemi na podstawie plotek, zawsze groził, że ma jeszcze poważniejsze zarzuty w zanadrzu, z któremi w razie potrzeby wystąpi przed bracią. A tej ostatniej prawił o zamiarze króla opuszczenia Polski i odstąpienia tronu Austryi, a więc zarzuty, które już były anachronizmem i przeciwko zdrowemu rozumowi grzeszyły, o ile że król miał już dziesięcioletniego syna, utracił panowanie w Szwecyi i nie miał najmniejszej przyczyny do opuszczenia tronu. Zdaje się, jakoby z rozmysłem upornie stał on przy swem twierdzeniu o zamiarze króla ustąpienia tronu Austryi, a to w tym celu, aby najpopularniejszem u tłumów hasłem zdobyć sobie opinię ogółu, a z drugiej strony, aby mając tę opinię za sobą, tem większy ucisk wywierać

[2]) Przyczynek do rokoszu Zebrzydowskiego, Kwart. hist. VIII. 230.

na króla. Program atoli działania, jak go miał Zamojski na południu i wschodzie Rzpltej, zamiarów jakichś zbudowania Rzpltej na najszerszych wolnościach szlacheckich, pozytywnych jakowychś dążeń — tych, zdaje się, nie posiadał wcale Zebrzydowski. Dlatego cały rokosz od początków, gdy Zebrzydowski tylko stanął na jego czele, nie miał ani jednolitego programu, ani nie posiadał jednolitości w akcyi. Taki to mąż zajął miejsce Zamojskiego. Pogroziwszy królowi, spełnił groźbę na sejmiku w Proszowicach.

II.

Sejmik Proszowicki przeciwko królowi. — Zarzuty wniesione na sejmie Warszawskim 1606. — Odpowiedź króla. — Stężyckie artykuły. — Ks. Skarga u Zebrzydowskiego. — Rokowania, ulegalizowanie zjazdu i skutki. — Zjazd lubelski i uchwalenie rokoszu. — Żółkiewski. — Wschodnie województwa za królem. — Hetman z Lublina przestrzega króla. — Zjazd Lwowski i uchwały sejmiku Wiszyńskiego. — Zamięszanie na zjeździe rokoszowym pod Sandomierzem. — Oburzenie z poselstwa sejmiku Wiszyńskiego. — Poselstwo do hetmana i do wojska. — Konfederacya w Wiślicy przy królu. — Artykuły Sandomierskie. — Połowiczna ugoda pod Janowcem.

Sejm, na którym król pragnął uzyskać środki do wojny z Karolem Sudermańskim i odebrania Inflant i Estonii, zwołany był na marzec 1606 r. Były jeszcze inne ważne sprawy, jak obmyślenie bezpieczeństwa granic od Tatarów, słowem pierwszorzędnej wagi kwestye, które gdyby zdołano załatwić, jak tego wymagał interes Rzpltej, groźna burza, zapowiadana przez Zebrzydowskiego, byłaby udaremnioną. Zresztą król w uniwersałach przedsejmowych wyraźnie wskazywał na praktyki niektórych poważających się spisywać żołnierzy celem zakłócenia Rzpltej i sprowadzenia na niewinnych i na obłąkanych mordów i łupiestw i zapraszał do zaradzenia złemu w sejmie.[1]) Nie było to wyzywanie przeciwników do zaciekłości, ale roztropna przestroga i wezwanie do przestrzegania praw i do załatwiania życzeń, ogólnych spraw dotyczących na sejmie. Wychodziła przestroga od tego, którego głos

[1]) Schmitt, Rokosz, p., 73.

publiczny pomawiał o absolutyzm. a który pozostawiony przez spełzłe na niczem sejmy bez środków działania, jak trafnie wskazywał w swem orędziu, podtrzymywał skutecznie obronę, czego dowodem było zwycięstwo Chodkiewicza w Inflantach, a Żółkiewskiego nad Tatarami.

Zebrzydowski na sejmiku przedsejmowym w Proszowicach nie rzucił się otwarcie na powagę królewską, lecz wymierzył cios maskowany, uderzając na senat; on to winien złemi radami, że król źle rządzi, że sejm rozszedł się bez skutku, że Rzplta jest bez obrony i że nie ma innej rady, jak odmówić podatków na obronę, gdyż król jest do niej z własnych funduszów obowiązany i ścieśnić władzę króla. [1] Żeby jednak zamiar ten do skutku doprowadzić, radził wojewoda, który przy pogodniejszej chwili obiecywał odkryć sekret na krola — nie tylko obesłać sejm przez posłów, ale by pod koniec sejmu wszystka szlachta zjechała pod Warszawę do Stężycy, w celu lepszego poparcia swych żądań. Myśl zjazdu poparli różnowiercy w nadziei, że wśród zametu zdołają łatwiej osiągnąć zamiary. Napróżno przestrzegał sejmikujących Żółkiewski, wskazując na niebezpieczeństwo od pogan — hasło rzucone przez Zebrzydowskiego szerzyło się po całej Rzptej, w Wielkopolsce bowiem w duchu zamiarów teścia pracował zięć jego, ambitny i mściwy Smogulecki, na Rusi Stanisław Dyabeł Stadnicki, na Litwie Janusz Radziwiłł, którzy też zbierali żołdowników a wielu materyalnie podupadłych lub chciwych nowin mnożyło szeregi malkontentów. Artykuły sejmiku proszowickiego, wśród których wiele było wcale umiarkowanych albo też pochlebiających jednemu stanowi (jak np., aby dóbr ziemskich nie posiadali mieszczanie, gdyż przez to służba wojenna ginie, aby uchwalić prawa zbytkowe na włościan), zostały przyjęte i na sejmiku generalnym w Korczynie, lecz jakiegoś wybitnego kierunku naprawy Rzptej nie zawierały. Natomiast zręcznie pragniono uchylić się od wojny, dlatego też polecano domagać się odnowienia przymierza osobliwie z Turcyą.

Większość sejmików przyjęła żądania Zebrzydowskiego i na sejmie warszawskim stronnicy jego występują z surowymi zarzutami już nie przeciwko senatowi ale wprost przeciwko królowi wymierzonymi. Król nie wypełnił warunków paktami poprzysiężonych, załatwia wszystkie sprawy Rzptej bez udziału szlachty,

---

[1]) Mowa Zebrzydowskiego na sejmiku Proszowickim, Bibl. Kras. l. c. p. 455—457.

przewleka wymiar sprawiedliwości, nie broni granic Rzptej, a od szlachty ciągle żąda podatków, ociąga się z rozdawnictwem wakansów, a dowództwo nad strażą swej osoby obcym rozdaje, nie spieszy się z wysłaniem posła do Turcyi i z wysłaniem upominków Tatarom. Odpowiedź królewska na te i inne zarzuty była bardzo trafną: król poszczególniał, co dotychczas w Rzptej zrobił i zbijając szczegółowo zarzuty, wykazywał swą niewinność lub też uzasadniał, dlaczego niektóre żądania nie weszły jeszcze w życie, że jednak chętnie pragnie je spełnić. Nie wskazuje nawet, że wiele żądań jest przesadnich, że żądano odeń, aby sam z własnych dochodów bronił granic Rzpltej i by upokorzającymi godność królewską środkami odwracał od niej miecz pogański — on owszem oświadcza, że na sejmie należy obmyśleć środki zaradzenia brakom Rzptej, którą pragnie widzieć kwitnącą i potężną. Toż dodaje, że najwięcej do tego rezultatu przyczynią się starzy sejmujący, gdy odłożywszy na bok prywatę, zgodnie powszechnem dobrem zechcą się zająć. Sejm był bardzo burzliwy, walczono inwektywami i podstępem, do tego ostatniego sposobu rzucili się różnowiercy, chcąc zmusić katolików, by stanęli w obronie ich konfederacyi 1573 r., lecz król domyśliwszy się podstępu, za radą Skargi uchylił zamach na prawa i swobody Kościoła.[1]) Ostatecznie posłowie wielu województw uchwalili pobór i czopowe w Koronie a cło nowo podwyższone, spław wodny i pogłówne żydowskie na obronę potoczną w Litwie.[2]) inni znowu wzięli podatki do braci i zapowiedziana przez Zebrzydowskiego burza byłaby przeszła bez zgubnych skutków, gdyby nie fałszywy krok króla, o którym nam wspomnieć należy.

Pod koniec sejmu odbywał się w Stężycy zjazd zapowiedziany przez Zebrzydowskiego, na który konno i zbrojno stawili się Janusz Radziwiłł, Stadnicki Dyabeł, Jakób Sieniński, Marcin Broniewski i innych wielu aryanów, malkontentów, wiodących z sobą kupy zbrojne zbałamuconej hasłami zagrożonej wolności szlachty. Ganiono tam bez ogródek króla i jego rządy, nicowano najlepsze jego dzieła, w sposób szorstki i bezwzględny krytykowano zamiary, które uznawano jako zgubę niosące wolności szla-

---

[1]) Wielewiecki, p. 116.

[2]) Castr. Tremb. 106, p. 787—813. Składając sejmiki na 28. kwietnia, mówi o tej uchwale, król.

checkiej. Użyto do walki słowa i pisma tudzież ulotne pisemka „listy szlachcica“ rozpowszechniano pomiędzy braci, w których wmawiano w tłumy, że król jest Krezusem, że wzbogacił się i nadał dostatkami Rzpiej, że stał się dla niej niebezpiecznym, dlaczego należy odebrać mu władzę, niechaj szlachta rozdaje wakanse, ona niech odbiera podatki i dochody ziemskie, cła, pobory itd. i składa je do swych własnych skarbców, które należy fundować przy województwach — a tak będzie miała i wojsko własne i własnych od siebie zależnych dowódców. [1]) Już z obrad sejmowych mógł król wnosić, że przeciwnicy jego nie mają ani energicznego wodza, ani też żadnego programu, a zjazd cały uważał król, który potępiał nawet zjazdy, jak Kolski w obronie Korony zwołany, jako nielegalny. Król jednak, chcąc zażegnać ruch swawolny w samym zarodku, wysłał ks. Skargę do Zebrzydowskiego, z wezwaniem, by jako katolik nie wiązał się z heretykami i nie podawał w niebezpieczeństwo ojczyzny i Kościoła. Tego tylko zdawał się oczekiwać Zebrzydowski, który w tej chwili urósł na wodza całego ruchu, skoro król sam pierwszy wysyłał doń parlamentarza. Zebrzydowski odprawił znakomitego kaznodzieję wezwaniami, by król zaprzestał dążeń do absolutyzmu, którego objawy upatrywał także w ponownem małżeństwie króla, zagrażającem ojczyźnie i upominał: że zjazd stężycki może się stać królowi użytecznym, byle król z niego skorzystał. Było to zręczne zaproszenie do rokowań, a gdy potem tak senat jak i szlachta na sejmie uchwalili wysłać posłów do Stężycy, przez to zjazd nielegalny, nie tylko że sankcyę otrzymywał, ale nadto urastał w znaczeniu. Wysłano bowiem nań księcia Janusza Ostrogskiego, kasztelana krakowskiego, męża dobijającego się popularności i siedzącego na dwóch stołkach, Koniecpolskiego, wojewodę sieradzkiego, Bykowskiego, kasztelana łęczyckiego, przed którymi Zebrzydowski wyłuszczał szczerko z poparciem kopii listów, jak to gorliwie starał się odwieść króla od małżeństwa z Konstancyą, narzekał, że król odrzucił te rady, że zupełnie zapomniał już o warunkach, pod którymi otrzymał koronę, którą zamierza odstąpić Austryi i że dotąd się nie opamiętał. Wnet już wiedziano w Warszawie o odprawie posłów sejmowych przez Zebrzydowskiego, a Janusz Radziwiłł, urażony obrażeniem sługi swego przez marszałka Myszkowskiego, odjeżdża z Warszawy i zrywa kończący się już sejm. Tem wyżej urósł w opinii szlachty zjazd stężycki, na którym

[1]) Bibl. Ordyn. Krasińskich, tom 9—12, p. 471 i n.

wśród inwektyw na rząd, na króla i senat na wniosek Zebrzydowskiego uchwalono walny zjazd na 4. czerwca, w Lublinie odbyć się mający celem naprawy Rzpltej.[1])

Król uniwersałem z 28. kwietnia potępił to zwołanie zjazdu i rozpisaniem sejmików na 3. czerwca dla tych ziemi, które uchwalenie poborów wzięły do braci, starał się przeszkodzić zjazdowi, ale sprawy zwichniętej przez wysłanie poselstwa do Zebrzydowskiego tem nie naprawił. Należało się obawiać wielkiego zamętu: nie było bowiem tajnem, że zamierzano przez swych posłów zaprosić króla i senatorów niektórych do usprawiedliwienia się z powodu naruszania praw i wolności, zapowiadano dalej, by na czas trwania tych badań i na trzy tygodnie przed zjazdem zawieszono jurysdykcyą w całem królestwie, słowem zamierzano imieniem narodu, w którym już głęboko wkorzeniły się zasady o wyższości jego nad królem, powołać króla do odpowiedzialności, na zasadzie artykułu *de non praestanda oboedientia*. Jakkolwiek nie było żadnego ze strony króla powodu do takich „sądów kupy“ nad jego królowaniem, to jednakowoż większość całego społeczeństwa szlacheckiego tak była znieprawioną, że wołania przeciwników królewskich znalazły wśród niej posłuch. Już wysłanie posłów do Stężycan, a więc do ogniska buntu, gdzie obrzucano króla i rząd obelgami, wskazywało, że wołania Stężycan znalazły oddźwięk w znieprawionem sumieniu ogółu szlachty. Nie zrażała jej tradycya przeszłości własnej, potępiająca tego rodzaju ruchy, począwszy od ruchu Maćka Borkowica, Spytka z Melsztyna, Abrahama Zbąskiego aż do rokoszan wojny Kokoszej, nie zrażało nawet i to, że przewódcy ruchu byli to głośni anarchiści, gwałtownicy, jak wojewodzic podolski Jakób Sienieński i Stanisław Stadnicki, Dyabłem zwany, a którego to ostatniego trafnie charakteryzuje nowszy historyk[2]) jako pieniacza, co tyle krwi przelał ile i atramentu, jako obłudnika, który nigdy otwarcie nie walczył z przeciwnikiem, a wiódł wojny krwawe z Opalińskimi i Ligęzami, z Wapowskimi i Ostrogskimi, z Pileckimi, Drohojowskimi,

[1]) Czy nastąpiło tutaj w Stężycy najsamprzód cicho, później zaś jawnie zawiązanie konfederacyi, o czem mówi Wielewicki, II. 117; zdaje się, że wiadomość ta jest niewątpliwą. Dla powodzenia następnych zjazdów trzeba było zapewnić sobie współudział szlachty przez związanie jej węzłem konfederacyi. Lecz skoro tak było, dlaczego pośród tylu aktów rokoszan, akt owej konfederacyi się nie znalazł?

[2]) Łoziński, Prawem i lewem.

Korniaktami, który kościoły profanował, hostye powyrzucał i tradycyę buntowniczego żywiołu pozostawił w spadku synom. On to, dawniej stronnik austryacki, obecnie gdy król nie nadał mu starostwa przemyskiego, poprzysiągł zemstę, zaczął czynić zaciągi w kraju i na Węgrzech, a złupiwszy Sośnicę Korniakta, zkąd 140 tysięcy złotych gotówki uniósł i pozostając w związkach z węgierskimi powstańcami, miał dość środków, aby około 2.000 ludzi zbrojnych zaciągnąć na poparcie ruchu przeciwko królowi.

Jeszcze bardziej głośnym anarchistą był Piotr Łaszcz, banita, który urągając prawu ferezyę dekretami podbić sobie kazał, lub Jakób Sieniański, wojewodzic podolski, przyjaciel Dyabła Stadnickiego, u którego na ustach były tylko groźby dla senatorów i dla króla, którego degradować radził, który pierwszy miał podnieść myśl rokoszu, wołał o rug i o wyrzucenie tych, którzy nie chcieli iść przeciwko królowi. Był on terrorystą w polityce a w praktyce życia mściwym okrutnikiem, jak to niżej obaczymy.

Cóż rzec o Januszu Radziwille, niekarnym, mściwym pyszałku, który za osobistą zniewagę poczytuje sobie nawet przyaresztowanie sług swoich, jakkolwiek ci znieważyli kapłana niosącego najświętszy Sakrament i w liście pełnym uszczypliwych alluzyi, rzucał w oczy królowi nieotrzymanie królewszczyzny Dudów, o które się starał. Prywata jest tak dalece wybitną podnietą, bodzcem do czynu u tych mężów, stojących na czele ruchu, że wątpić przychodzi, czy wzniosły cel dobra publicznego, który zawsze nosili na ustach, mógł bodaj przelotnie tkwić w umyśle i sercu tych przewrotnych osobistości, których trafnie Skarga nazywał „królikami", pod płaszczem wolności zwodzącymi braci.

Bracia ci dali się też w zupełności uwieść owym królikom na zapowiedzianym zjeździe Lubelskim. Targano tam sławę króla w sposób obelżywy, wyśmiewano jego zalety, wreszcie Dyabeł Stadnicki rzucił się w gwałtownej mowie na majestat i wypowiedział posłuszeństwo królowi. Nikt nie śmiał oponować zuchwalcowi, a byli na zjeździe i stronnicy królewscy, był i hetman polny Stanisław Żółkiewski, mający zlecenie od króla, by odwiódł Zebrzydowskiego, szwagra swego od związku. Otóż ten moment burzliwego zjazdu, na którym rzucano się na Jezuitów, jako na zwolenników Austryi i absolutyzmu i sponiewierano powagę króla, był wskazówką dla wszystkich poważnie myślących, że ruch przemienił się już w bunt przeciwko królowi zwrócony. Napróżno teraz Zebrzydowski oponował przeciwko podniesieniu rokoszu, napróżno przedkładał niebezpieczeństwa, w jakie wtrącą ojczyznę

przez takie wyniesienie rządu przeciw rządowi, władzy przeciwko władzy — ściągnął on na się tylko zawiść szlachty, jak to później sam oświadczył.[1]) Niebawem dnia 15. czerwca, na wniosek Piotra Stabrowskiego uchwalono rokosz, złożono zjazd rokoszowy na 6. sierpnia pod Sędomierzem, a do króla wyprawiono posłów z uwiadomieniem o uchwale i z „zaproszeniem", by się stawił bez wojska na rokoszu i dał satysfakcyę z dostojeństwa swego, w przeciwnym bowiem przypadku związkowi postarają się, aby prawa i wolności Rzpltej nienaruszone zostały.

Antoni Prochaska.

(Ciąg dalszy nastąpi).

---

[1]) Deklaracya Zebrzydowskiego z pod Janowca z 7. października 1606 r.

MATERYAŁY
do historyi polskiej XIX. wieku.

Działalność emigracyi z roku 1831 na terenie Turcyi do pokoju Paryskiego.

(Ciąg dalszy).

Do Michała Czaykowskiego.

Paryż, d. 27. kwietnia 1842.

Listy 7. kwietnia pisane odebrałem. Zleciłem Bystrzo.(nowskiemu) [1]) o nich napisać. Ale sam kilka słów potrzebnych dodam. Znalazłem w nich wiele dobrego i pochwalnego, znajduję dobrą instrukcyę Zwierk., póki mu polecasz patrzyć i donosić. Ale nie mogę tyle powiedzieć o części, w której chcesz, aby on zaczął działać. Nie miałeś do tego, kochany P. Czayko, żadnego upoważnienia; nie zapytałeś się o to, nie było o tem wcale teraz mowy ni myśli. Zwierk. miał do Serbii tylko udać się i na to był przeznaczony. Multany i Wołosz. są kraje, w których nie ma teraz co robić; co innego by było, gdybyśmy byli bliżcy działania, ale teraz jest to kraj trudny, w którym można łatwiej jak gdzieindziej wpaść w łapkę. Skutku tam żadnego wydać nie można, chyba pasztet podobny, jak z X. H. — Campin, jak wiadomo, źle się z nami pokazał,

[1]) Bystrzonowski Lud. major kawal. z r. 1831.

nous a tourné le dos, — z kim tam mówić? a tem mniej działać? i po co? Jedyny powód był okazya p. Sessai, więc z niej korzystając, (co nie wiem, czy było bardzo bezpiecznie z przyczyny jego opiniów) (tak) mógł z nim Zwierk. pojechać, aby łatwiej mógł potem dostać się do Serwii do celu prawdziwego swego przeznaczenia, ale rozpoczynać po drodze działania tak trudne, tak zawiłe, których trudność razem i nicość Woron.[1]) już doświadczył i nam odkrył, jest to wcale niepotrzebna i powiem niebezpieczna myśl, tem bardziej, że mu nakazujesz wszędzie z moim wyjeżdżać imieniem i działać jak odemnie wysłany, co bynajmniej nie jest. Zwierk. jest uczciwy, ale jak sam mówisz, nie biegły, skantowany. Jakże mu poruczyć tak delikatne działanie, które nikomu po zrobionem doświadczeniu nie chciałbym powierzyć i do czego nie ma żadnej nagłej potrzeby. Proszę więc i wymagam, abyś natychmiast cofnął wyraźnie tą część instrukcyi Zwierk-mu, w której go upoważniasz do działania. Znajdziesz do tego łatwe powody. Niech pierwiej pokaże co umie i jak się prowadzi. Wszak tak miało być w Serwii, miał na ciebie i na dalsze rozkazy czekać. Cóż dopiero w Multanach! Jakże tam tem bardziej tego się postanowienia nie trzymać. Rachuję z pewnością, że natychmiast napiszesz do Zwierk., ograniczając go na widzenie, dowiadywanie i donoszenie, ale nie dozwalając żadnych działań, tem bardziej w mojem imieniu, żadnych, aż do dalszych poleceń. Pamiętaj także, że Zwierk. powinien sam znaleść sposób utrzymania się, to wyraźnie zastrzegłem; nie powinien do mnie udawać się o żadne fundusze. Instytut w Bebek może się stać bardzo użytecznym; także dar Bankiera niedaleko Filipopoli, byle nie wymagano od nas nowych wydatków, póki fundusze nie przyjdą, o czem wątpię. Bardzo chętnie wziąłbym p. Glawani za bankiera, tylko że nie mam teraz żadnych pieniężnych interesów i żadnych funduszów do przesłania, ale może później przyjdzie do tego. — Wypędzenie Lazarystów w Persyi jest bardzo złym wypadkiem, jest ostrzeżeniem dla was. Toż samo może się stać Lazarystom w Turcyi. Bo jeśli Moskwa naprze, to Turcya podda się, a Francya nie obroni. Postanowienie Wukasz., którego straty bardzo mnie obchodzą, jest jak najważniejsze. Niech Bóg pobłogosławi. Obiecujesz mi o tem i o drugim Serbie dłuższy raport. Bóg Cię nie opuszcza,

[1]) Woronicz Janusz, podp. artyl. 1831, Sekretarz Rady Zakładu w Avignon.

dzięki mu, że ci wrócił zdrowie. Podróż z ks. Leleu do Filipopoli zbliży do Dunaju, prędzej i bezpieczniej ztamtąd do Tulczy dojedziesz. Dziś idzie pierwszy transport odezwy Wukasz.; nie potrzebuje korekty. Więcej razem nie można posyłać.

Wiele rozpocząłeś i jeszcze co dzień rozpoczynasz, a spieszysz wracać. Daj jeszcze sobie trochę czasu. Ks. Etienne nie ma. Spodziewam się dziś jutro pana Wład. Zam. Na przyszłego kuryera o księdzu i drukarzu i o twoim powrocie. O X. H. tak trzymam, jak Pan. Ale strzeżmy się podobnego pasztetu i wszelkiego pasztetu, dlatego pisz zaraz do Zwierk., jakem wyżej polecił. Co do biegłości, on nie ma naszego zaufania i rzecz przedwczesna nie potrzebna, a zatem szkodliwa. — Inni grzeszą zanadto mało czyniąc, a Pan za nadto wiele. Ja się kłócę i mówię szczerze, kiedy znajdę powód, bo tak służba każe, ale pewnie z duszy i serca oddaję ci sprawiedliwość, szacuję i kocham poświęconego krajowi i wierzę prawego jak jesteś syna Polski. Niech Bóg cię każdego dnia prowadzi i broni.

Cortrak już musiał wyjechać, dziś nie piszę do niego, przyłączony list poszlij mu. Jego listy do L. D. Stuart[1]) są mu odsyłane.

(Bez podpisu).

Do Michała Czaykowskiego.

Paryż, d. 6. maja 1842.

Odebrałem list z dnia 17. kwietnia, w którym na moje napominania odpowiadasz, nie będę o tej rzeczy certował. Dosyć, że się stała z szczerej i dobrej chęci, abym ją miał za dobrą. I jest w samej rzeczy użyteczną, bo już jest, i przychylnym a biegłym rękom powierzona. Może wydać zbawienne skutki, które sobie z niej obiecujesz. Ja temu wcale nie przeczę; i cieszę się teraz z tego, co się stało. Zrazu gniewałem się bez uprzedzenia i wiedząc nasze finansowe położenie, jednak jakby wciągniony bez zastanowienia się niespodzianie tak postąpiłeś. Ale to przeszło i żadnego śladu złego nigdzie nie zostawiło. — Ks. Sado-

---

[1]) Lord Dudley Stuart, gorliwy obrońca sprawy polskiej w Anglii.

wski, który zdawał się, gotowy do podróży, znowu mi w ręku ślizga się; nie wiem, czy ja go zechcę posłać. Ale za to spodziewam się, że Poraj i Królikowski [1]) już na przyszłym okręcie, to jest 20. maja z Marsylii będzie mógł wypłynąć. Przekonałem się, że to będzie bardzo dobra akwizycya dla drukarni i dla szkół L. L (azarystów), jako też i dla schronienia i naszych potrzeb. Jedna jest tylko z nim niedogodność, to jest, że nie zna dialektow słowiańskich, ale obiecuje do tej nauki się wziąć i nie sądzę, aby mu to trudnem było, zresztą jest to człowiek bardzo poczciwy, pojętny, gorliwy, świadomy ekonomii politycznej. nauk administracyjnych i rachunkowości handlowej. Zrozumie wszystko i można mu wszystko powierzyć. Ponieważ Królikow. ma wypłynąć przyszłym statkiem, proszę kochany P. Czayko, abyś się go na miejscu doczekał. Po rozmówieniu się z nim, który będzie podobno najzdolniejszy z naszych tam będących do zawiadywania tymczasowo temi rzeczami, które tam będą do zrobienia, a aż do powrotu Twego, Panie lub przyjazdu kogo innego dla zupełnego zastąpienia cię. Po ułożeniu tedy wszystkich rzeczy, w najlepszy jak będziesz rozumiał sposób. w sposób któryby dał nadzieję, że rzeczy nie popsują się i nie upadną, będziesz mógł wziąć się do powrotu i odjechać swoje dzieło i starania bez wyrzutu i własnego żalu. Sądzę, że Króli.(kowski) właśnie przyjedzie, kiedy wrócisz z objażdżki nad Dunaj, na którą się wybierałeś. Na wszelki przypadek nie długo na niego czekać będziesz. Nie żałuj tego czasu, tym sposobem twój odjazd mniej będzie miał niedogodności. — Naturalną i słuszną jest rzeczą, aby póki trwa twoja niebytność, żona i dzieci byli na funduszu publicznym, kiedy innego nie mają; dar Krasińskiego wszedł w ogólny fundusz; tak zawsze miało być. Nie chciałem, abyś nie wiedział o darze przyjaciela i jego uczuciom chciałem dogodzić. Ale można było nikomu z was nic o tem nie mówić a rzecz zrobić. Powinieneś więc być spokojny i o swojej tylko rzeczy jak dotąd myślić. Twoja żona także zdaje mi się uspokojona; uprzedziłem ją, że kilku miesiącami później może wrócisz, zasmuciła się zapewne, ale nareszcie zrozumiała, że dla kilkumiesięcznego opóźnienia, nie powinna smutkiem potrzebnego zdrowia niszczyć. Obiecała czekać cierpliwie. Pojechała teraz na wieś dla lepszego powietrza dla

---

[1]) Zdaje się, że mowa tu o Królikowskim pijarze, który należał do Związku, organizującego wyprawę Zaliwskiego. Może Karol, porucznik w. p.

siebie i dla dzieci. Dokonaj więc żwawo, coś tak gorliwie rozpoczął. Zresztą sam tu wróciwszy, będziesz może mógł więcej popędu dać rozpoczętym pracom i dziełu waszemu. Żałować, jeżeli z Królik-m księdza mi wyszle. To dowiedzie trudności w znalezieniu chętnych i gorliwych dusz. — Wukasz. ucieszy się, widząc wydanie swojej odezwy, nie wiem, czy nie będzie w niej pełno błędów. Wielka to i dziwna rzecz te postanowienia religijne Wuka-a. Jakie szczęście by było, gdyby z tego początku, unia mogła przyjść do skutku. Ale na to czy on ma dosyć siły moralnej i dosyć nauki. I jedno i drugie potrzebne. — Pisałem moje zdanie przeszłą razą o instrukcyi danej Zwier.(kowskiemu) i że trzeba z niej odciąć to wszystko, co by mu dało myśl, że jest umocowany do wyraźnego działania, mogącego wydać bezpośrednie skutki. To ujęcie mu działalności tem potrzebniejsze teraz, gdy tam po wyjeździe twoim, Panie, nikogo nie będzie dla kierowania nim i że byłby sobie wcale zostawiony w działaniach, do których wcale nie jest i nie może być upoważniony. To musi być poprawione i ujęte przed Twoim, Panie, wyjazdem ze Stambułu. Posyłam list do Cortrak, który zechcesz oddać p. Leleu do przesłania mu go, bo zapewne wyjedzie przed dojściem mego dziś listu.

Kto jest ten Żupan, o którym i o składzie jego manuskryptów mi pisze. Ów Arnauta katolik może być tęgi i użyteczny, strzedz się atoli należy, czy to na pieniądzach się nie skończy. Warto wszelako korzystać z jego dobrej woli, jeśli szczera, jeśli się to darmo stać może i przekonać o prawdziwości jego słów względem wpływu rzymskiego na Albanię.

Z wielką niespokojnością czekać będę wiadomości po odbytej drodze na Dunaj. Niech Bóg od wszelkiego złego ochroni. Bywaj zdrów kochany P. Czayko, nic mi o zdrowiu teraz nie piszesz, wszyscy kłaniają serdecznie! Za dwa dni spodziewam się p. Wł. Zam. z powrotem z Rzymu. Witold jutro wyjeżdża z powrotem do Monachium, a wróci na jesień. Czytałem list p. Poujade do Montalamberta pisany z Janiny. Uczy się po grecku i po turecku. Pisze także o Arnautach albańczykach katolikach, silniejszych i bardziej między sobą zgodnych niż greccy. Skarzy się, iż Francya nic nie robi dla utrzymania swego wpływu na czele katolicyzmu na Wschodzie i że nie ma żadnych konsularnych agentów ani w Scodra ani w Durazzo. Tak, że on musi znosić się z wicekonsulem austryackim w Scodra Korfiotem i nieszczerym. Możeby dobrze było, gdybyś raz napisał do p. Poujade, możeby dobrze było polecić mu Simeona Andrejowicza, kiedy tam pojedzie i jeśli

jest pewnym człowiękiem i mającym wziętość miedzy swojemi. Czy Arnauci Albańczycy są słowianie? czyli mieszańce i jacy? warto dobrze wiedzieć. Pismo Wukasz. nie może razem, ale tylko małemi pakietami przychodzić. Jeszcze raz żegnam. Wszystko, coś rozpoczął, coś zrobił, da Bóg dobry weźmie kierunek i wyda swoje ważne owoce. Bądźmy dobrej mysli. Z tą nadzieją w sercu kończę swój list. Na lato pojedziemy do kąpieli morskich, a w jesieni tu się zobaczymy.

Stały przyjaciel

A. C. (w monogramie).

Do Michała Czaykowskiego.

17. maja 1842.

Kochany P. Czayko! Ledwo słów kilka mogę na prędce odpisać na długi list z 21. kwiet. wczoraj późno odebrany. Wiele w nim jest rzeczy, które potrzebowałyby namysłu. O tak nazwanej konwencyi nic nie powiem, jeszcze dodatkowych punktów nie mogłem przeczytać, układy są między wami na miejscu zrobione; niech pozostaną tam w sile. Ja teraz zupełnie wierzę szczerości XX. L.(azarystów). Wierzę, że p. Leleu jest zacny i daleko widzący człowiek, o rzecz mi idzie nie o formę. Wyście zrobili dobrą wiarą, dobrem sercem, wy to wykonywacie, rzecz idzie, trzeba na tem poprzestać. Ja sądziłem, że powinienem grosz publiczny dany zabezpieczyć, ale zresztą nie spodziewam się go nazad widzieć; na dobre dzieło dany, niech na nie i potem będzie obrócony. Mam odrazę do wymienienia 100.000 piastrów, kiedy wiem, że ich nie mam i nie dam. Słabość większa się okaże, kiedy wyrzekłszy wielkie sumy nie da się nic. Rozumiemy się doskonale co do samej rzeczy, ale co do formy, to nie zupełnie, ale to nie szkodzi, to nie zatrzymuje wykonania i harmonii. Resztę o tym przedmiocie odkładam do przyszłego listu po przeczytaniu punktów. Królikowski, jadący na drukarza, jest ów co był w klasztorku: i sam i przez drugich przekonałem się, że lepszego teraz nie ma; że jest wcale dobry, będzie posłuszny, jest zdatny, nawet może dawać handel i ekonomię pol. w szkole; w najlepszem jest usposobieniu umysłowem, jedno tylko brakuje, że nie umie po

rusku i po sławiańsku, ale spodziewam się, że się prędko nauczy. niech mu Wukaszyn przygotuje gramatykę i książki, z których by mógł zaraz po serbsku się nauczyć. Z Wukaszyna[1]) da Bóg wielka może być pomoc i pociecha. Czekam niecierpliwie, co powie o posłanym litografowanym piśmie i czy wiele znajdzie omyłek. Ks. Sadowski nie dopisał i podobno nie pojedzie. Kamocki jeszcze nie może i także nie umie po rusku. Co do podróży do Scodry, to byłaby dobrą, jeśli nie pomnoży wydatków i na wielką stratę czasu nie narazi. O tem drugą pocztą wyraźniej napiszę.

Poprzedniemi listami jużem dał wiedzieć, że się zgadzam na twój, Panie, powrót, skoro wszystkie zaczęte rzeczy zostawisz na stopie, że będą mogły pójść jako tako same. Radbym, żebyś się doczekał kogoś na twoje tymczasem zastępstwo, a przynajmniej, żebyś się Królikowskiego doczekał, który ma pojęcie prędkie i gorliwość. Zresztą nikt od Pana nie czuje lepiej i nie wie lepiej, czego potrzeba; zostawuję na jego odpowiedzialność wybór momentu, w którym osądzisz, że możesz się ze Wschodu oddalić bez szkody wielkiej dla sprawy.

Muszę to Panu zostawić, gdyż niedługo oddalę się sam z Paryża i nasza korespondencya będzie mniej ciągła. Różne okoliczności oddalają ztąd p. Wła-wa (Zamoyskiego). Jeden Bystrzonowski zostanie, którego upoważnię do otwierania listów Pana, na to, aby zaradzić, jeśliby była naglejsza potrzeba i możność. Zresztą moim jest zdaniem, że jakkolwiek obrócą się rzeczy, nawet gdyby wypadło żonę i dzieci sprowadzać do Stambułu, zawsze jest lepiej żebyś tu najprzód wrócił. Może to być powiększeniem wydatków o parę tysięcy fr., ale przez bytność swą rzecz lepiej i jaśniej wytłumaczę i nadal przygotuję. Bo są części, względem których jeszcze nie zupełnie rozumiemy się. Dodasz tu żaru do roboty. Jedna z korzyści schronienia jest podług mnie, że agent może tam znaleść płaszcz (tak) i utrzymanie, co w naszej dotychczasowej nędzy jest znaczną korzyścią. Tymczasem ty zdajesz się to odrzucać — ale jakem wyżej powiedział, nawet aby zabrać rodzinę, lepiej żebyś już przybył i ze mną i z nami się widział. — Nie potrzebujesz nigdy się bronić — bo serce masz bez winy. Bogdaj by wszystkie takie były. Weysenhoff jest w Rzymie. Zadarnowski byłby gotów. Z wychowańcem Żarczyńskiego trudno się może porozumieć; jeśli można poprzestać tymczasem na Ra-

[1]) Sekretarz agencyi serbskiej w Konstantynopolu.

wskim, lub na jakim miejscowym, to lepiej będzie dla umniejszenia kwoty. Jak sam wrócisz, to wybierzesz. Wrócisz zaś jako opiekun i apostoł zakładu katolickiego i miłosiernego już zaprowadzonego. Co dzień, co wieczór proszę Boga, aby cię prowadził i poszczęścił w tej drodze i do żony i dzieci odprowadził, z chlubą i nagrodą wewnętrzną dokonanego niełatwego a ważnego obowiązku.

Moja żona, Witold, ks. Sapieżyna zasyłają serdeczne ukłony. Żona twoja i dzieci zdrowe wybierają się na wieś. Często smutek mnie napada, widzę wszystko czarno, ale mu się nie daję. Ciebie kochany P. Czayko od tego złego radbym obronić. Nie upadajmy i na wszystkie strony usiłujmy. Przyłączony list do Kortraka jest z Anglii i zawiera dla niego list do posła angielskiego w Rossyi. Proszę mu ten list przesłać przez p. Leleu, bo Kortrak już musiał wyjechać; bardzo życzę, żeby się mu udało pojechać z interesem X. LL. (Lazarystów).

(Bez podpisu).

Do Michała Czaykowskiego.

Paryż, 7. czerwca.

Kochany P. Czayko, czekam z najwyższą niecierpliwością listu pierwszego, który mi, da Bóg, doniesie o twoim szczęśliwym powrocie, wiem bowiem i to tylko z listu Kortraka, żeś wyjechał nad Dunaj, boś mi sam o tem przed samem wybraniem się i z oznaczeniem dnia nie doniósł. Bóg cię nazad zdrowego przyprowadzi. Tymczasem jestem niespokojny i niecierpliwy o tem już się dowiedzieć. Jużem ci oświadczył, że możesz wracać, skoro sam uznasz, że możesz to uczynić bez szkody dla wszystkich rzeczy, które rozpocząłeś i tak je ułożywszy, że same bez twojej przytomności jako tako utrzymać się potrafią. Wszakże donoszę nieprzyjemną okoliczność. P. Królikowski już miał wyjeżdżać, widział się z p. Etienne, prosił o paszport, odebrał instrukcyę i potem wszystkim oświadczył, że nie może jechać i podjąć się tych obowiązków, za powód zaś dał, że nie jest w stanie poddać się pod rozkazy X. Lazarystów, że to by było wejść w klauzurę, stać się braciszkiem; takie i podobne dziecinne trudności próżno zbijałem. Dla tejże obawy ks. Sadowski także cofnął się. Co począć

z ludźmi, których wymagania i drażliwość są wielkie a czucie i gotowość poświęcenia zbyt małe. Będę szukał drugich kandydatów. Dotąd na dogodniejszych nie napadłem. Wysłanie to musi się odłożyć i widzę, że się tam nikogo ztąd nie doczekasz. — Zresztą i ja sam pragnę wiedzieć, jakie będą istotne stosunki wysłanych ztąd XX. Lazarystów, czy będzie co podobnego do klauzury, czy obawa władzy kongregacyi ma jakikolwiek pozór. Zawód uczyniony mi i sprawie przez Królikowskiego zmartwił mnie prawdziwie. — Zrazu odpisując na zapytanie twoje, czy jechać na Skodrę, oświadczyłem się raczej negatywe, nie dając jednak ostatecznej odpowiedzi; teraz skłaniam się do zdania, abyś wracając tamtędy pojechał, widział łacińskich biskupów i Poużada (Pougade) itd. Arnauta, który swoje usługi ofiaruje, jeśli jest szczery, jest pomyślną okolicznością. Nadto punkt Skodry jest ważny i wart poznania. Tam trzeba, żebyś wziął dokładną ile można wiadomość o pokoleniach niepodległych w górach i w całej Albanii i także o mniemanym X. W.[1]) Trzeba, żebyś wiedział, że on przez swoje nieprzystojne i głupie postępowanie w Rzymie złe tam wrażenie zostawił, które się na nas rozciągnęło. Nie publikacya Demokraty, o której ani wiedzą, ale postępowanie niesłychane X. W.(asowicza) rozgniewało na nas, żeśmy takiego gbura przedstawili, a co więcej rozgniewało na nas, że go tam mają za agenta moskiewskiego. Ważną więc byłoby rzeczą i z pewnością o nim się dowiedzieć; a wcale nie broniąc jego głupiego postępowania, od szpiegostwa przynajmniej go obmyć. Także przywieźć dokładne wiadomości o stanie smutnym katolicyzmu w Albanii, o ilości wiernych mu, o braku kościołów i księży mówiących tamtejszym językiem, o sposobach pomnożenia ich, o widokach unii itp.

Te wszystkie wiadomości dałyby mi możność oświecenia w tej mierze Stolicy świętej. Nie jestem zdania, abyś teraz sam na Rzym wracał. Lepiej tam się teraz nie pokazać. Ze Skodry pojedziesz do Korfou albo prosto do Ankony pojechać i w jednym lub drugim brzegu kwarantannę wysiedzić. O tem na miejscu najlepiej osądzisz i co prędzej, taniej i gładziej wypadnie wybrać; gładziej, aby się przez Włochy przesunąć. Trzeba, żebyś wiedział, że Lazaryści są teraz źle widziani w Rzymie, że tam Jezuici, ich przeciwnicy, wzrośli w siłę i są wielowładni. Próżnoby teraz dziełem Lazarystów w Rzymie popisywać się. P. Etienne nieprzy-

[1]) Książę Wasowicz.

chylne dla siebie wrażenie zostawił dlatego, że go Thiers wzywał, poseł francuski go nie lubi, Guarini sam powiada, że nie ma nic teraz do roboty i że w niczem pomódz nie może, choć jest osobiście dobrze chcący. Te dokładne wiadomosci przywiózł P. W. Zamoyski, z których wypada, iż lepiej Rzymowi teraz dać pokój. Nie bez tego, żeby historya o królewskości także tam złego skutku nie zrobiła, który minie z czasem, ale który jeszcze trwa teraz. Przeczekać go trzeba. Pan Pontois wyjeżdża nazad, będę go widział. P. Wł. Zam. przejazdem jest tylko w Paryżu, jutro jedzie do Anglii dla nocii w Parlamencie. — Jeżeli, aby powrót obrócić na Skodrę, pomnożenia cokolwiek funduszu swego będziesz potrzebował, upoważniam cię pożyczyć pięćset franków u p. Leleu, które tu natychmiast Lazarystom będą zwrócone. Wątpię, żeby na tę nową drogę więcej trzeba było, w konieczności możnaby do tysiąca franków dociągnąć, ale nie więcej. Zresztą napisz wiele. w tej proporcyi jadąc na Skodrę potrzeba. — Żona zdrowa i dzieci. Dałem jej nadzieję, że cię zobaczy w jesieni. Bywaj zdrów. Niech Bóg ochrania od złego i nazad zdrowego nam cię przyprowadzi. Dwa okręta już przybyły bez listu od Ciebie. Do Kortraka napisałem pod kopertą p. Leleu.

(Bez podpisu).

Fr. Rawita-Gawroński.

(Ciąg dalszy nastąpi).

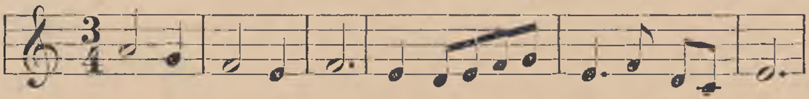
Stosunek muzyki polskiej do zachodniej w XV. i XVI. wieku.

(Ciąg dalszy).

W „Et in terra“ takt 4—6:
e' f' e' d' e'
h e' h a h
g a g f e
jest jakby echem XIII. stulecia... Najważniejsza jednak kwestya jest, czy „Et in terra“ i inne kompozycye Mikołaja nie są przypadkiem monodyami z towarzyszeniem instrumentalnem. W rękopisie tylko pod głos dyskantowy jest podłożony tekst. Jeśli przyjrzymy się dokładniej tenorowemu głosówi, to przekonamy się, że tekst nie zawsze można podłożyć pod motywy: czasem braknie jednego tonu we frazie tenoru i kontratenoru, tak że wobec faktury „nota contra notam“, nie zaś imitacyjnej, brak ten nie da się niczem innem wytłumaczyć, jak tylko nie-wokalną naturą dwóch dolnych głosów. Trzecim argumentem jest to, że w formie „Et in terra“, dającej się określić schematem: a-b-b'-c, część druga i trzecia jest identyczna w tenorze i kontratenorze, gdy tymczasem dyskant części trzeciej jest aż w 6 miejscach odmienny bądź melodyjnie, bądź rytmicznie od dyskantu części drugiej, przyczem znajdujemy na chwilę sposobność odniesienia się z respektem dla zdolności Mikołaja do waryacyi i sposobność nawiązania idealnego tej zdolności z tem, co Ugolino de Maltero pisał do — Culaciusa. Głos dyskantowy śpiewali unisono dyskantyści (chorus puerorum), tenor i kontratenor był grany na wiolach (cordae canorae).

Ważnym argumentem, przemawiającym za instrumentalizmem tenoru i kontratenoru jest to, że mnogość pauz rozrywa często frazę, tak iż rozerwanie frazy sprowadziłoby za sobą rozerwanie pojedynczych słów tekstu, który usiłowalibyśmy podłożyć pod te dwa głosy. Epoka zaś motetystów francuskich z XIII. wieku, którzy praktykowali takie sztuki głównie pod wpływem farcitur sekwencyjnych minęła już w XIV. stuleciu bezpowrotnie. Wówczas już nikt nie wiedział o ich byłem istnieniu. Słusznie Riemann zaznacza, że rzekomy wyłączny wokalizm muzyki kościelnej XIV. i XV. wieku należy poczytać za baśń.

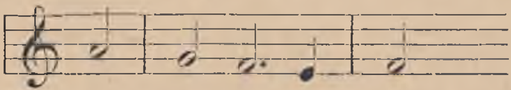
Mikołaj był do tego stopnia dzieckiem swego czasu, że i w jego kompozycyach kościelnych nietylko nie znajdziemy chorału, ale przeciwnie — wpływy świeckie. Takie zwroty jak:



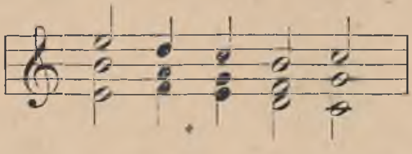
pochodzi żywcem z owych canzon, ballad włoskich i francusko-flamandzkich quattro- i cinquecentystów.[1]) Że wówczas nie kościelna lecz świecka muzyka stała najwyżej, dowodzi fakt, iż z pośród kompozycyi zachowanych z XIV. i pierwszej połowy XV. wieku świeckie utwory w porównaniu z kościelnymi przedstawiają się liczebnie imponująco. (We wspomnianym wyżej rękopisie modeńskiej biblioteki d'Este na 106 utworów 18 kompozytorów za-

---

[1]) Na upartego możnaby dopatrzyć, że podobieństwo pierwszego motywu tego tematu z motywem następującym, znajdującym się w „Salve Regina" Dufay'a:



lub z motetu „Imera dat hodierno" Grossina, kompozytora Franc. współczesnego Mikołajowi:

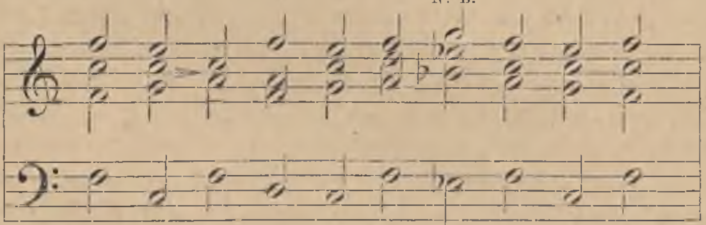


U obydwu „faux bourdon" jest zasadą; wspólną cechą jest i to, że górny głos posiada koloryzm wokalny żywszy, niż głos środkowy i dolny.

ledwie 21 jest religijnych). W uzupełnieniu naszych uwag o Mikołaju musimy zaznaczyć, że rytmiczna rozmaitość wskazuje na wyczerpujące zaznajomienie się naszego mistrza z ówczesną teoryą menzuralną. Fakt kultywowania przez niego różnych gatunków „kanonów" podnosi jego znaczenie. Jakkolwiek jest w swych przekonaniach mniej postępowy niż Dufay, a nawet Dunstaple, to jednak jest doskonałym wyrazem swej epoki. Jeśli się ma zdolność słuchania kontrapunktycznego, t. j. jeśli się śledzi bieg samoistny każdego głosu, a nie doszukuje się w sposób zupełnie anachroniczny „brzmień harmonicznych" i „akordów" (!), jak to czyni A. Polinski w swych „Dziejach muzyki polskiej" (l. c.), to odkryje się wiele piękności w dziełach tego szanownego ojca muzyki polskiej. Mikołaja należy uważać w każdym razie za epilog dłuższej epoki muzycznej w Polsce. Nowych myśli, nowej szkoły nie mógł stworzyć choćby dlatego, że zapewne u schyłku życia był świadkiem nowych ewolucyi muzycznych, dążących szlakiem Dufay'a, Dunstaple'a i Binchois'a, prowadzących wprost do Okeghema. Jak muzyką polska wyglądała między r. 1450 a 1492, czyli między działalnością Mikołaja a — mianowaniem Henryka Fincka nadwornym polskim kapelmistrzem i kompozytorem tego nie można stwierdzić w braku zabytków z drugiej połowy XV. wieku. Wprawdzie Ambros a za nim niektórzy polscy adepci historyi muzyki powtarzają że Henryk Finck wykształcił się w Krakowie, i — co za tem idzie — że Kraków „musiał posiadać" wybitnych nauczycieli kontrapunktu, to jednak nie możemy nic pewnego o tem twierdzić, tembardziej że R. Eitner znalazł w Lipsku matrykułę akademicką Henryka Fincka z r. 1481, co dowodzi że ten wielki kompozytor niemiecki nie „musiał" bynajmniej kształcić się w Krakowie, lecz w Niemczech, gdzie muzyka wówczas stała na dość znacznej wyżynie. W każdym razie między Mikołajem z Radomia a Henrykiem Finckiem nie ma bezpośrednich ani pośrednich autentycznych ogniw, można zaledwie domyślać się, że wielka sztuka niederlandzka wprost lub za pośrednictwem niemieckiej przedostała się w drugiej połowie XV. wieku do Krakowa. Z epoki między Mikołajem a Finckiem wiadomo o jednym tylko zabytku wielogłosowej muzyki: jest to zawarty w kancyonale Gosławskiego z r. 1489 (archiwum wawelskie) początek ewangelii według św. Mateusza „na głos solowy z chórem czterogłosowym". Oczywiście jest to chór responzoryczny (ewangelia), a jako taki wyklucza z góry styl imitacyjny, właściwy szkole Okeghema, co więcej — liturgiczny, a więc psalmodyczny charakter tego zabytku, a priori falsobor-

donowy, nie jest obrazem muzyki z drugiej połowy XV. wieku, a tem bardziej końca tegoż stulecia.[1]) Bardziej prawdopodobnym niż ewolucya, jest nagły zwrot w muzyce polskiej tuż przed końcem XV. wieku. O ile Mikołaj był zupełnie uległym wpływom włoskim (dokładniej: północnowłoskim, wogóle romańskim), a około r. 1450 Niemcy nie wywarli żadnego wpływu na naszą muzykę, nie mając żadnego kompozytora, któregoby mogli przeciwstawić jednemu z tych twórców romańskich, którzy wpłynęli na Mikołaja — i na prymitywów-menzuralistów niemieckich (Zeltenpferd!), o tyle pod koniec XV. wieku Niemcy zdołali osiągnąć u nas wraz z Niederlandczykami stanowczy wpływ, do którego przyczynił się i Finck. Epoka Konrada Celtesa, Murnera, Fincka, Stwosza, epoka napływu dzieł sztuki południowo-niemieckiej do Krakowa (Cranach, Kulmbach, Vischer później Hans Dürer), epoka działalności niemieckich drukarzy w Polsce znalazła swój wyraz także w muzyce. Nie ulega wątpliwości, że ostatnie dziesięciolecie

[1]) Dla poparcia mych wywodów podaję wyjątek z tego zabytku, przepisanego z rękopisu wawelskiego i udzielonego mi życzliwie przez ks. dra J. Surzyńskiego.



Cantus firmus leży w trzecim głosie od góry (tenor), t. j. w tymsamym w którym Felsztyński umieszcza „melodye stałą“. Efekt z „fa fictum“ (Es, b, es, g) dowodzi znajomości transpozycyi, mutacyi i innych pokrewnych dziedzin teoryi. Zwrócić musimy uwagę i na to, że ten zabytek jest cennym, ponieważ jest poprawniejszy kontrapunktycznie niż niejedno miejsce z utworów Felsztyńskiego. Czy przypadkiem nie jest pochodzenia obcego? Ksiądz dr. J. Surzyński zwraca mą uwagę na to, że cantus firmus jest nuta w nutę zgodny z tradycyjnym śpiewem rytualnym dzisiejszym (t. j. benedyktyńskim, „Edictio Vaticana“), który też cechuje cały antyfonarz Gosławskiego. Uwaga zupełnie trafna, jakkolwiek nie podzielam zdania czcigodnego wydawcy „Monumentów“, iż ten zabytek nie posiada historycznej wartości. Godzę się jednak w znacznej części na to, że artystycznej wartości nie można mu przypisać (mimo niektórych dość śmiałych i poprawnych prowadzeń poszczególnych głosów — jak na owe czasy).

piętnastego i pierwsze szesnastego wieku jest epoką działalności Fincka, jako najwybitniejszego z muzyków działających w Polsce. Pierwsze traktaty muzyczne, jakie u nas wówczas wprowadzono, były niemieckie (Ornithoparchus, Schreiber). Z czasów Fincka nie mamy niestety do zanotowania żadnego polskiego kompozytora: dopiero tuż po jego wyjeździe (między r. 1506 i 1509) pojawia się Sebastyan Felsztyński. Jakkolwiek nie ulega wątpliwości, że Henryk Finck był wówczas autorytetem jedynym, na który zwracały się oczy muzykalnych ludzi, jako na jednego z największych ówczesnych mistrzów, to jednak niewątpliwie rozkwit muzyki polskiej należy przypisać nie reformacyi — jak sądzi błędnie i bez poważnych argumentów A. Poliński (l. c. str. 66 i nast.). — gdyż ta nie stworzyła nowych stylów, któreby miały znaczenie ogólne, ani nie wydała w pierwszej połowie XVI. stulecia wielkich twórców, którzyby mogli choćby w oddaleniu rywalizować z kompozytorami katolickimi. Rozkwit muzyki polskiej XVI. wieku należy przypisać: humanizmowi, który u obcych szedł zawsze ręka w rękę z rozwojem muzyki, rozpowszechnianiu obcej muzyki za pomocą druków (włoskich i niemieckich) i dobremu przykładowi domu panującego, który opiekował się gorliwie muzyką. Że i wpływ Fincka stoi u źródła tego rozkwitu, ujrzymy poniżej, gdy będzie mowa o Felsztyńskim. Szczególnie ważnym dla nas czynnikiem pobudzającym jest wpływ muzyki obcej za pośrednictwem druków. O ile w XV. stuleciu muzyka zachodnia mogła być zaledwie przemycona do Polski w rękopisach, o tyle pod sam koniec XV. i od początku XVI. wieku druki Petrucciego rozpoczynają mieć regularny kontakt Polski z Zachodem bliższym i dalszym i sprawiają, że muzyka nasza — jak cała ówczesna — nabiera cech uniwersalnych, międzynarodowych. Jakkolwiek mamy dowody, że jeszcze w XVI. wieku zajmowano się u nas... Ciconią, to jednak pierwszą połowę tego stulecia rozpoczynają u nas druki Niederlandczyków ze szkoły Okeghema, Hobrechta i Josquina — druki Petrucciego, zawierające kompozycye kościelne, (gdyż tylko te mogą być wzięte w rachubę): Okeghema, Obrechta, Regisa, Compère'a, Werbeckego, Basirona, Hykaerta, Izaaka, Agricoli, Josquina, Piotra de la Rue, Brumela, Ghiselina, Marbriana de Orto, Fevina, Moutona, Pipelare'a, Lapicidy i t. d. Że młody Felsztyński je znał, w to nie można wątpić. Pomimo, że Henryk Finck nie wydawał wówczas swych kompozycyi w druku, to jednak w ciągu kilkunastu lat pobytu w Krakowie z pewnością był wydatnie czynnym jako kompozytor, zwłaszcza że już przed przy-

byciem do Krakowa zaczął tworzyć około r. 1480 (por. R. Eitnera. „Heinrich Finck. Eine Sammlung ausgewählter Kompositionen zu vier und fünf Stimmen“, VIII. Band der Publikation aelterer prakt. und theoret. Musikwerke herausg. von der Gesellschaft für Musikforschung“. Berlin 1879, szpalta V. przedmowy). W jakim zewnętrznym stosunku do Fincka znajdował się Felsztyński, tego na razie nie wiemy; z porównania ich kompozycyi można jednak bez większego trudu i sztucznego konstruowania stosunek wewnętrzny skonstatować. Nasuwa się wogóle pytanie, czy, zanim Felsztyński poznał Niederlandczyków i ich estetyczne poglądy, ich technikę i kierunek, nie znał ich z „drugiej“ poniekąd ręki, mianowicie przez kompozytorów niemieckich. Zważmy bowiem. że nie Niederlandczycy, lecz Niemcy mieli decydujące znaczenie na sąsiednich dworach: węgierskim i austryackim. W Peszcie był równocześnie z Finckiem i Felsztyńskim wyborny mistrz Aleksander Stoltzer kompozytorem i kapelmistrzem († 1526): niezawodnie znał go królewicz Zygmunt podczas trzyletniego pobytu w Peszcie, jako mecenas muzyków — i niemożliwem nie jest, że zwyczajem ówczesnym zażądał od Stoltzera kompozycyi dla swej kapeli, gdy został królem polskim. Finck zaś z chęcią swego rodaka poparł. Na dworze austryackim Hofhaimer i Izaak, a później Senfl, dzierżyli ster muzyczny. Zresztą Niemcy posiadali wówczas obok Fincka szereg mistrzów, nie ustępujących Niederlandczykom, którym wszystko zawdzięczali. Analizując Felsztyńskiego, dochodzimy do ciekawych rezultatów à propos jego stosunku do Fincka. Powinowactwo, czy też wpływ Fincka na naszego kompozytora wprost wpada w oczy. W każdym razie, czy Felsztyński poznał szkołę niederlandzką wprost z jej dzieł, czy za pośrednictwem Fincka — dość, że twórczość jego oznacza początek panowania kontrapunktystów niederlandzkich w Polsce. [1]) Zdanie swe o Felsztyńskim opieram na dwóch kompozycyach: „Prosa de tempore paschali“ („Monumenta musicesacrae in Polonia“ II. wydane przez ks. dra J. Surzyńskiego) i graduale „Alleluja, felix esacra Virgo Maria“ (przepisane w archiwum wawel-

---

[1]) Że w teoryi stosunek ten należy datować wcześniej niż od pocz. XVI. wieku, o tem dowie się czytelnik z mej niebawem mającej być ogłoszoną „Historyi teoryi muzycznej w Polsce“. Na razie wystar, czy skonstatować wpływ Tinctorisa, Gaforiusa, Agricoli, Ornitoparcha, Arona, Monetariusa i ich kierunków na Sebastyana Felsztyńskiego i Marcina Kromera jako teoretyków-kompilatorów.

skiem i udzielone mi życzliwie przez tegoż). I one nie wystarczą do zdania sobie sprawy z rozwoju indywidualności Felsztyńskiego, jednakże na ich podstawie można orzec o stosunku Sebastyana do muzyki zachodniej. Felsztyński jest wybitnie kościelnym i religijnym kompozytorem, poszukującym motywów w melodyach liturgicznych, gregoryańskich. Tem tłómaczy się szczególna skłonność do tworzenia hymnów, introitów, gradualiow, antyfon. „Cantus firmus“ umieszcza zazwyczaj w tenorze, w nutach równych nie przerywanych pauzami. Faktura utworów Felsztyńskiego wskazuje na wzory niemieckie. Tenor porusza się w długich nutach równych a na około niego dyskant, alt i bas korespondują ze sobą ze szczególną ruchliwością i rozmaitością rytmiczną nut o mniejszej wartości. Krzyżowanie się głosów jest dość rzadkie, natomiast zdarzają się paralele tercyowe częściej między dyskantem i basem, niż między altem i basem. Dalszą cechą kompozycyi Felsztyńskiego, wspólną z ówczesnymi mistrzami niemieckimi, jest to, że trzy głosy otaczające tenor, są kontrapunktycznemi figurami bez ustanku zatrudnione i niemal nie przerywane pauzami. Podobnie jak u Stoltzera i Fincka nie znajdziemy u Felsztyńskiego imitacyi w ścisłem tego słowa znaczeniu: zachodzą one w dowolnych oddaleniach i z niezbyt wierną ścisłością. W tych częściach utworów, które nie odznaczają się ruchliwością kontrapunktyczną, a których fakturę można oznaczyć wyrażeniem „nota contra notam“, podobieństwo między Felsztyńskim a Finckiem jest uderzające z powodu jakby harmonicznego ich charakteru. Również i Felsztyński dąży do osiągnięcia pełnego brzmienia, jakkolwiek nie zawsze udaje mu się to osiągnąć, w czem można dopatrzyć się pewnych wpływów szkoły Okeghema-Obrechta. [1]) Oczywiście podwojone puste kwinty w klauzulach spotykamy u Felsztyńskiego równie często jak u Fincka, Stoltzera, Izaaka i innych ówczesnych kompozytorów niemieckich i niederlandzkich. Szorstkość brzmienia dowodzi, że F. jeszcze nie jest przedstawicielem wygładzonej faktury polifonicznej w Polsce. Ztąd jego kontrapunkt nie tyle jest sztuczny, ile niezręczny, co bez wątpienia robi wrażenie sztuczności, gdy głosy wykonują nienaturalne ruchy — jak tego dowodzi sam pierwszy „takt“ „Prozy ad rorate“. Czystość stylu

[1]) Zupełnie trafnem jest spostrzeżenie ks. dra J. Surzyńskiego („Monumenta“ I. i „Matka Boska w muzyce polskiej“ 1905, str. 14) że utwory Felsztyńskiego są jakby „muzyką nie z tego świata“. Archaizmy, w które obfituje, są powodem tego wrażenia.

rozpoczyna u nas dopiero Wacław Szamotulski. Wystarczy zanalizować gradual „Felix es Virgo sacra Maria“,[1]) aby przekonać się że Felsztyński nie posiadał zbyt poprawnej faktury. Równoległe kwinty nie należą na pocz. XVI. wieku nawet u najlepszych mistrzów do rzadkości: nie są też one błędem w więcej niż 4-głosowej fakturze, o ile je kryje brzmienie pełne. Felsztyński jednakże popełnia błędy o wiele większe: mianowicie równoległe oktawy, wobec których nawet alterowane kwinty nie są czemś rażącem, jakkolwiek mniej dla efektu, więcej z nieudolności zachodzą one u Felsztyńskiego. Paralele oktaw zachodzą n. p. w mszach A. Agricoli, Courtoisa, Piotra de la Rue, jednakże wobec sumienności i poprawności ich stylu, są to raczej „licentiae musicae“; u Felsztyńskiego należy je uważać za błąd, co jest tem bardziej jasnem, że F. prowadząc dwa głosy in motu recto umyślnie każe jednemu z nich pauzować na przeciąg semiminimy, by nie uniknąć całego szeregu oktawowych paralel. Także kwarty (około r. 1500 dość częste) dopiero przy końcu życia Felsztyńskiego zaczęto dzięki Zarlinowi uważać za konsonans: Felsztyński kładzie je obok siebie równolegle wbrew zasadzie ówczesnej, że dwa dyssonansy muszą być rozdzielone konsonansem (zazwyczaj synkopą). Wielką niedoskonałością stylu są sporadyczne potrojenia tonu (unisona przez dwie oktawy), czego u żadnego kompozytora drugiej szkoły niederlandzkiej nie znajdziemy. Gdyby Felsztyński był posiadał dojrzałość techniki kontrapunktycznej, starałby się niezawodnie o unikanie czystych konsonansowych brzmień raczej w toku utworu niż w końcowych klauzulach o wypełnianie kwint tercyami wielkiemi według ówczesnego przepisu. Wiele chropowatości pochodzi oczywiście z powodu przestrzegania właściwości ówczesnego systemu (heksachordy i tonacye kościelne), więcej jednakże z nieumiejętności. Większość kompozycyi Felsztyńskiego posiada zapewne tylko historyczną wartość — w przeciwieństwie do utworów Wacława z Szamotuł, który pierwszy prawdopodobnie z polskich kontrapunktystów opanował po mistrzowsku polifonię drugiej niederlandzkiej szkoły.

Szamotulski urodził się w r. 1529[2]) i zdaniem „historyków“ muzyki- był uczniem Felsztyńskiego w Krakowie. Jeśli

---

[1]) Oznaczyć chronologii dzieł Felsztyńskiego dziś jeszcze nie można. Nie ulega jednak wątpliwości, że „Felix es“ jest wcześniejszym utworem, niż znacznie poprawniejsza „Prosa“.

[2]) Zdaniem mojem data r. 1529 nie jest ani w przybliżeniu dokładną, należy ją przesunąć albo do r. 1519, albo też o niewiele lat

nim był w rzeczywistości. to chyba mógł nim być tylko albo przez bardzo krótki czas, albo też pobierał od niego początkowe lekcye teoryi. Pomimo wyczerpujących i drobnostkowych analiz, nie znalazłem najmniejszych wspólnych cech miedzy Felsztyńskim a Szamotulskim. O ile pierwszy mocuje się jeszcze z trudnościami technicznemi, którym często ulega, o tyle drugi staje przed nami nie tylko jako przedstawiciel nowych prądów, ale także jako dojrzały i znakomity mistrz polifonii, któremu ani zdobycze humanizmu, ani ówczesna zachodnia muzyka we wszystkich tendencyach nie była obcą.

Adolf Chybiński.

(Dalszy ciąg nastąpi).

---

mniej, trudno bowiem przypuścić, aby Wacław, który w r. 1547 został nadwornym polskim kompozytorem, liczył tylko 18 lat. W tak wczesnym wieku żaden z największych nawet mistrzów nie był na tyle dojrzałym. W roku 1554 pojawiają się w zagranicznych wydawnictwach utwory Szamotulskiego; wątpić należy aby 25-letni młodzieniec już był tak głośnym jako kompozytor i tak dojrzałym jako kontrapunktysta.

Zarys dziejów edukacyjnych Polski porozbiorowej na obczyźnie.

(Ciąg dalszy).

Zygmunt III. nie podtrzymał kolegium polskiego w Rzymie. Syn jego, Jan Kazimierz, przystąpił do założenia Kolegium polsko-szwedzkiego także w Rzymie przy kościele św. Brygidy i w tym celu poczynił zapisy.

Kościółek św. Brygidy z domem i dochodów miał zostawać pod patronatem dynastyi Wazów polskich, a z chwilą jej wygaśnięcia, miało jus patronatus przejść na papieża.

Gdy z powodu niedołężnej administracyi funduszów kolegium to nie rozwijało się, wtedy król Jan Kazimierz listem z dn. 12. marca 1651 prosił generała Jezuitów, aby oni objęli administracyę zakładu. Prośbę ponowił król jeszcze w r. 1653, przedkładając ją jednocześnie i papieżowi Innocentemu X. i ówczesnemu generałowi Jezuitów O. Nikelowi. Kardynał protektor Szwecyi otrzymał odpowiednie pełnomocnictwo do przeprowadzenia układu z Jezuitami.

O dalszych losach kolegium czyli seminaryum polsko-szwedzkiego milczą nasze źródła.

W wieku XIX. robili Ojcowie Zmartwychwstańcy zabiegi o odzyskanie tej fundacyi, ale daremnie.

Z kolei w r. 1763 otwarto w Rzymie w Domu narodowym Alumnat polski. Fundatorem był Józef Benedykt Gro-

dzicki, kanonik katedralny krakowski, wyłożył na ten cel 6.477 skutów rzymskich. Dochód czysty tej fundacyi przeznaczył Grodzicki jako stypendyum dla młodzieńca Polaka, przebywającego w Rzymie dla studyów prawa kanonicznego i cywilnego. Fundacyę złączono z Kościołem i domem narodowym polskim w Rzymie pod wezwaniem św. Stanisława, biskupa i męczennika od dawnych już czasów istniejącymi. Prawo prezenty przysługiwało kapitule krakowskiej. Dalsze losy tej fundacyi pomijamy.

Fundacye powyższe upadały i szły kolejno w zapomnienie.

Na nowo podjęto myśl założenia instytucyi dla celów studyowania teologii w Rzymie w wieku XIX. Podjęto ją na emigracyi po roku 1831, a zrealizowano dopiero po r. 1863.

Wychodźcy polscy, przybywający do Francyi po upadku powstania listopadowego, trafili na czasy dla ruchu religijnego bardzo niekorzystne. Stronnictwo liberalne francuskie podejmowało wychodźców polskich bardzo życzliwie, ale też szczepiło w nich swoje uprzedzenia i odrazę do Kościoła.

Przeciw szerzącemu się niedowiarstwu zaczęto przeciwdziałać. Do pierwszych należał Bohdan Jański, dawny uczeń uniwersytetu warszawskiego. Przeszedłszy już sam gorączkę niedowiarstwa i doznawszy wszystkich jego wpływów, nawrócony teraz, był prawdziwym apostołem żywej wiary. Popierali Jańskiego gorąco z początku Adam Mickiewicz i Ignacy Domeyko. Wtedy to Mickiewicz wypowiedział myśl, że „trzeba dla Polski nowego zakonu".

Dołączył się do tego grona niebawem Piotr Semenenko i Henryk Kajsiewicz, a jeszcze później Józef Hube, były profesor uniwersytetu warszawskiego, i Karol Kaczanowski, były kapitan artyleryi i inni.

W gronie tych osób niektórzy uczuli powołanie do stanu kapłańskiego.

Dwóch z nich, Semenenko i Kajsiewicz, wstąpiło do Collège Stanislas w Paryżu, utrzymywanego przez księży francuskich, przyjmując dozór nad uczącą się tamże młodzieżą świecką. Dla tychże dozorców młodzieży był osobny kurs teologii. W r. 1837 Jański po naradzie z Adamem Mickiewiczem, Stefanem Witwickim, Bohdanem Zaleskim i Cezarem Platerem, posłał Semenenkę i Kajsiewicza do Rzymu, do Kolegium propagandy, do którego jednak wstąpić nie mogli.

Po rozmaitych trudnościach ukończyli studya teologiczne i dostali święcenia kapłańskie. Po nich szli inni. W r. 1842 związali się w Zgromadzenie Zmartwychwstania Pań-

skiego. Ks. Semenenko został przełożonym. Zakon rozrastał się prędko. O jego działalności duszpasterskiej nic będziemy tu mówili. Obchodzi nas tylko działalność pedagogiczna.

Wychowanie nie było celem głównym Zmartwychwstańców, ale mimo to celem bardzo ważnym.

Już do samego dobrego zarządu parafii, który był ich głównym zadaniem, musieli w łonie swoim przysposobić dobrych robotników. Prócz tego ogół społeczeństwa potrzebował szkół, prowadzonych w duchu chrześcijańskim przez ludzi z wyobrażeniami i zasadami prawdziwie chrześcijańskiemi.

W r. 1860 zgromadzenie zostało zatwierdzone przez Stolicę apostolską. Do zgromadzenia przyjmowano i inne narodowości.

W r. 1863 otrzymali Zmartwychwstańcy inną misyę.

Już w r. 1860 część Bułgarów przyjęła katolicyzm. Gdy po pewnym czasie unia zaczęła się rozpadać, wezwał papież Zmartwychwstańców, aby założyli misyę wśród Bułgarów.

Wyuczywszy się języka bułgarskiego i przyjąwszy obrządek wschodni, osiadło kilku Zmartwychwstańców na Wschodzie. Głosząc słowo Boże i pełniąc inne usługi kapłańskie, zajęli się od razu wychowaniem młodzieży bułgarskiej i rozwinęli w tym kierunku gorliwą działalność, o której tu mimochodem wspomnę.

Zmartwychwstańcy założyli szkoły w Adryanopolu, w Malko-Tirnowie i w Akbunarze, ale szkoły bułgarskie. W roku szkolnym 1899 liczyły ich zakłady naukowe razem 551 młodzieży, a mianowicie w Adryanopolu: w gimnazyum i w małem seminaryum 88 uczniów, w eksternacie francuskim 27, w szkole rzemieślniczej 10, w elementarnej szkółce 35; w Malko-Tirnowie w szkole dla chłopców 255 uczniów, w szkole dla dziewcząt 115; w Akbunarze w szkole dla chłopców i dziewcząt 41 młodzieży.

Pod względem wyznania dzieci katolickich wschodniego obrządku było 436, dzieci katolickich łacińskiego i ormiańskiego obrządku 10, wschodniego wyznania 94, żydowskich 6, muzułmańskich 5.

Bułgarów było 520, a reszty dopełniali Grecy, Ormianie, Turcy i Żydzi.

Ale dość o tem, nas interesują tylko polskie instytucye na obczyźnie.

Już od r. 1857 Zmartwychwstańcy zabiegali pilnie o założenie Seminaryum czyli Kolegium polskiego w Rzymie. Chodziło o to, aby Polsce nie brakło w Rzymie tego potężnego środka, jaki inne narody mają w swoich seminaryach

w Rzymie, a mianowicie, aby być w nieprzerwanym związku z głową Kościoła i środowiskiem wiary katolickiej, a powtóre, aby w naukach teologicznych i w wykształceniu ducha kapłańskiego utrzymać się na równi z innymi katolickimi narodami.

Głównie chodziło o fundusze. Pod ręką był fundusz około 100.000 fr., zebrany przez ks. Jełowickiego na kościół w Paryżu. Ks. Semenenko zbierał składki po Galicyi i Poznańskiem, a ks. Kajsiewicz w Kanadzie i Brazylii. Księżna Odescalchi, z domu Branicka, ufundowała trzy wieczyste fundusze, niosące każdy rocznie po 1.100 fr. W jej ślady poszły inne osoby.

Pokonano też rozmaite przeszkody polityczne. Kolegium otwarto za zezwoleniem Papieża dnia 24. marca 1866 roku: na jego czele stanął jako rektor ks. Piotr Semenenko.

OO. Zmartwychwstańcy nie odnieśli przez otwarcie Kolegium osobistych korzyści. W Kolegium wychowuje się młodzież polska tylko na księży świeckich, a Zgromadzenie zorganizowało dla siebie osobny własny nowicyat.

Kolegium zainstalowało się przy kościółku i w domu, który niegdyś w r. 1584 papież Grzegorz XIII. oddał na własność Maronitom i na kolegium dla młodych alumnów z góry Libanu, przybywającym na naukę do Rzymu. Siedziba Zmartwychwstańców, nadana im przez Piusa IX., miała więc poza sobą blisko trzywiekowe tradycye.

Protektorat nad instytucyą objął kardynał Monaco della Valetta, wikary Rzymu, przyjaciel Polaków. Papież Pius IX. wziął instytucyę pod swoją wyłączną opiekę w braku rządowej opieki i nadał jej miano pontyfikalnej. Rządy państw rozbiorowych okazywały młodej instytucyi wielką niechęć.

Instytucya ta utrzymuje się dotąd. Alumni mają w Kolegium tylko utrzymanie i opiekę duchowną, a chodzą na wykłady albo do św. Apolinarego albo do Gregorianum czyli uniwersytetu papieskiego, bądźto na prawo, bądź też na filozofię lub teologię. Pomiędzy alumnami byli i są wysłańcy z rozmaitych dyecezyi polskich, a prócz tego młodzież Zgromadzenia.

Do roku 1903 Kolegium polskie wychowało około 250 alumnów, którzy w różnych częściach ojczyzny a nawet i w Ameryce z pożytkiem pracowali i pracują dotąd.

Literatura i źródła. Bolesławita B.: Z r. 1867 Radumki, rok 2, część 2, Poznań 1868, str. 59. — Capecelatro Alfons: La vita di S. Filippo Neri. Roma 1889. — Grodzicki

J. B.: Synopsis fundationis alumnati poloni in domo nationali Romae 1763 erectae, Cracoviae 1764. — Karbowiak Antoni: Miechowici a oświata w Muzeum, Lwów 1906, tom II. str. 440. — Misya i zakład wychowawczy XX. Zmartwychwstania Pańskiego w Adryanopolu. Sprawozdanie za rok szkolny 1890/1. W Krakowie 1892. — Popiel Józef: Kolegium polskie w Rzymie, w Krakowie 1879. — Przepisy kolegium polskiego w Rzymie, w Krakowie 1894. — Ragolamento del Collegio polacco, Roma 1866. — Rocznik Tow. hist.-lit. za rok 1867, Paryż 1868. — Roczniki Kolegium polskiego w Rzymie, Rzym 1902—1905 (zesz. 6.). — Smolikowski Paweł ks.: Historya Kolegium polskiego w Rzymie, Kraków 1896. — Załęski St. ks.: Jezuici w Polsce, III. 1, str. 178.

8. Na terytoryum włoskiem powstał w tym okresie drugi jeszcze zakład. Była nim Szkoła wojskowa w Genui. Założył ją generał Ludwik Mierosławski, znany z ruchu rewolucyjnego w Poznańskiem w r. 1848, z współudziałem generała Piotra Wysockiego, który na czele uczniów szkoły podchorążych w Warszawie rozpoczął powstanie w nocy listopadowej r. 1830.

Plan szkoły ułożyli inicyatorowie w Paryżu. Chciano w niej zużytkować na korzyść kraju wszystkie młode siły polskie, rozprószone za granicą, chciano wykształcić je na dzielnych instruktorów wojskowych.

Mierosławski podążył pod koniec września r. 1861 do Genui i zabrał się do organizacyi zakładu. Wysocki pracował dla szkoły w Paryżu, zachęcając młodzież, aby do Genui zdążała i układał się z oficerami o warunki nauczycielskie.

Szkoła została otwarta w pierwszych dniach października 1861 r.

Młodzież wzięła się z zapałem do nauki i z zadziwiającą łatwością wykonywała wszystkie prace wojskowe. Zdawało się, że szkoła rozwinie się pomyślnie. Stało się inaczej. Przeciw Mierosławskiemu zwróciła się młodzież paryska, a z szkoły genueńskiej usunęło się 22 młodzieńców. Do szkoły wdarła się polityka, która byt jej podkopała.

Mierosławski musiał ustąpić. Ustępując, wydał dnia 27. lutego 1862 r. niby projekt okólnika, w którym wyłuszczył zasady, pod jakiemi chciał szkołę prowadzić i utrzymać. Zamierzał zgromadzić w szkole młodzież, którą „niefolgujące ciemięstwo wyrzuciło z materyalnych granic Ojczyzny, ażeby bez trwonienia dro-

giego czasu i szczupłych zasobów swoich po bezdrożach Niemiec i Francyi, spieszyła pod chorągiew od pięciu miesięcy zatkniętą przez szkołę podchorążych w Genui". „Rycerska młodzież" mogła wstępować do szkoły jednak pod pewnymi warunkami.

Każdy ochotnik, przybywający do Genui, powinien złożyć najmniej 300 fr. do kasy szkolnej dla zabezpieczenia sobie trzymiesięcznego utrzymania w szkole, a w tym przeciągu czasu ustalić dochód regularny nadal.

Wstępując do szkoły, każdy ochotnik miał się wyrzec należenia do jakiegobądź politycznego stowarzyszenia, poza szkołą istniejącego, i korespondowania z niem, szkoła bowiem sama związana była ściśle i karnie za pośrednictwem swego dowódzcy z powszechnem sprzysiężeniem narodowem, które żadnego innego poza granicami kraju obok siebie nie uznawało i nie znosiło.

Szkoła wojskowa genueńska była więc zakrajowym wydziałem narodowego sprzysiężenia. Mierosławski proponował dla niej popularną nazwę „Bractwa legionowego", które się miało dzielić na dwie grupy, czyli jak on mówił, koleje.

Pierwsza kolej stanowiła już sama Szkoła genueńska, a drugą nie tylko kandydaci, zamierzający do niej wstąpić, lecz i ci starsi współwygnańcy, którzy „podatkiem, troskliwością i poważnem słowem" zaopiekują się młodem rycerstwem. Szkoła genueńska zorganizowała sobie w Paryżu Komisyę pomocniczą.

Okólnik ten a raczej projekt niedoszłego okólnika spowodował jeszcze większe podrażnienie umysłów.

Mierosławski musiał ustąpić i złożył kierownictwo szkoły, w ręce Komitetu turyńskiego, zostającego pod przewodnictwem księcia Marcelego Lubomirskiego, a złożonego w znacznej części z wojskowych Polaków i dwóch Włochów, generała Bixio i deputowanego Valerio.

Komitet zajął się szkołą gorliwie. Komendantem zakładu został major Białkowski.

Od 12.—19. marca dokonano reorganizacyi szkoły z zgodą i przyzwoleniem rządu włoskiego i generała Garibaldiego. Rząd przyznał subsydya miesięczne, wskazał nową siedzibę szkoły, zatwierdził ustawę wewnętrzną szkoły i zabezpieczył instytucyę przed napaściami nieprzyjaciół Polski.

Prezes Komitetu turyńskiego miał przekonanie, że szkołę postawi „na stopniu dobrym, spokojnie korzystając z pomocy

rządu, nie potrzebując pieniędzy żadnych ani z kraju, ani z emigracyi".

Tymczasem jednak generał Wysocki stanął na czele młodych i starych przeciwników Mierosławskiego i zjechał 22. marca do Turynu jako w miejsce Mierosławskiego przez młodzież wybrany dowódzca szkoły.

Mierosławski ustąpił z pola walki wraz z Komitetem turyńskim. Szkoła przeszła pod zarząd Wysockiego: 1. maja przeniosła się do Cuneo w Piemoncie, a rozwiązała niebawem (1862) na naleganie wrogów Polski w zamian za uznanie przez nich nowego porządku rzeczy we Włoszech.

Rząd wypłacił Wysockiemu 200.000 fr. odszkodowania. Szkoła miała być przeniesiona do innego kraju, co jednak nie nastąpiło. Polityka podcięła byt zakładu.

Literatura i źródła. Głos z Paryża i Genui, broszury. — Mazurkiewicz A.: Emigracya polska w 1862 roku. Szkoła genueńska. Zjednoczenie, Paryż 1862. — Mierosławski L.: Wezwanie do składki, Paryż 1861; Tenże: Do ochotników Szkoły genueńskiej, Paryż 1862; Tenże: Do młodzieży pragnącej wejść do szkoły wojskowej genueńskiej, Paryż, 27. lutego 1862.

9. Taż polityka nie ostudziła jednak współczucia dla Polaków w sąsiednim kraju, w Szwajcaryi. Na odgłos o wypadkach z r. 1863 utworzył się już w marcu tegoż roku w Zurychu Komitet centralny szwajcarsko-polski, którego celem było nieść pomoc nieszczęśliwym emigrantom polskim. Z licznych ofiar, zebranych przez ten Komitet, znaczna część poszła na wsparcie młodzieży polskiej, kształcącej się w wyższych zakładach naukowych szwajcarskich. Losami tej młodzieży zajęła się osobna organizacya, a była nią Komisya pomocy naukowej dla uczącej się młodzieży polskiej w Szwajcaryi.

Inicyatorem tej Komisyi był Władysław hr. Plater, zasłużony patryota, twórca Muzeum narodowego polskiego w Rapperswilu, zmarły w sędziwym wieku w r. 1889.

Komisya pomocy naukowej zorganizowała się w r. 1864. Duszą działania był jej inicyator Plater, a obok niego profesor Szkoły politechnicznej Landolt.

Komisya w odezwie z dnia 18. listopada 1866 roku zwróciła się z prośbą o poparcie do mieszkańców Galicyi i Księstwa

poznańskiego. Czytamy tam, że Komisya zdziałała w przeciągu dwu lat już wiele, że zebrała i wydała na wsparcia młodzieży polskiej, uczącej się w Szwajcaryi, 6.663 fr. Mimo pomocy niektórych obywateli z Galicyi i Ks. Poznańskiego, fundusze okazały się za szczupłe w stosunku do potrzeb. Komisya prosiła o wydatniejszą pomoc i doradzała zawiązywanie miejscowych komitetów.

Jednocześnie młodzież polska, skupiona głównie w Zurychu w Szkole politechnicznej i w Uniwersytecie, wyraziła w osobnej odezwie z dnia 2. grudnia 1866 r., gorąco odczutą wdzięczność „szlachetnym Szwajcarom, którzy przez przyjaźń dla sprawy polskiej zajęli się losem“ ubogich młodzieńców polskich i od dwóch przeszło lat dają im możność wzbogacania umysłu swego skarbami wiedzy“. Młodzież dała w końcu wyraz nadziei, że kraj utrwali „szlachetnie rozpoczęte dzieło przez Szwajcarów“.

Głównem zadaniem Komisyi było spieszenie młodzieży polskiej z materyalną pomocą, ale obok tego działała Komisya i w kierunku moralnym, o ile to było rzeczą możliwą. Młodzież polska, przybywająca z emigracyi i z kraju, gromadziła się głównie w Zurychu; w Politechnice i w Uniwersytecie.

Dochody czerpała Komisya tylko ze składek i ofiar. Te płynęły z zagranicy nierównie obficiej, aniżeli z kraju, owszem były lata, w których tylko obcy zasilali kasę Komisyi.

Z początku dochody były większe, z biegiem czasu coraz mniejsze.

W r. 1867 miała Komisya 8.077 fr., w 1868 r. 8.373 fr., w 1869 roku 8.218 fr., w r. 1870 6.224 fr., w r. 1871 już tylko 3.976 fr., w czem była pozostałość z r. 1870 w kwocie 2.468 fr.

Komisya wobec szczupłych funduszów mogła tylko w małej części zaspokoić potrzeby ubogiej młodzieży, której liczba rosła z roku na rok

W r. 1867 było w Zurychu na studyach 34 Polaków. W r. 1869 na 54 studentów, przeważnie ubogich, mogła Komisya udzielić stypendyów miesięcznych i jednorazowych wsparć tylko 10 młodzieńcom najbiedniejszym.

Im więcej czasu upływało od powstania styczniowego, tem bardziej kurczyła się wprawdzie liczba młodzieńców emigrantów, ale za to przybywały coraz liczniejsze gromady młodzieży z różnych dzielnic Polski.

Komisya zabiegała też pilnie około uwolnienia ubogich a pilnych od opłaty czesnego, wynoszącego 100 fr.

Władze szkolne odnosiły się do tych zabiegów przychylnie. W pierwszych czterech latach istnienia Komisyi uwolniły od opłaty szkolnej 38 Polaków.

Najuboższym nieuwolnionym Komisya płaciła czesne i dawała stypendya z reguły po 50 fr. miesięcznie. Kwota ta wystarczała zaledwie na skromne życie, gdyż koszta dostatniejszego utrzymania na osobę ucznia wyższego zakładu obliczono wtedy na 850 fr. rocznie.

Antoni Karbowiak.

(Dalszy ciąg nastąpi).

Z życia Kajetana Węgierskiego

Pamiętniki i listy

WYDAŁ

Dr. Stanisław Kossowski.

(Ciąg dalszy).

---

3. Novembre.

Nous comptions d'aller par terre à Boston, et nous primes des arrangements dans cette vue. Nous laissâmes Albany de matin, et nous nous acheminâmes vers Kinder hook Springs. Les chemins étaient si mauvais, que nous ne pûmes faire que huit miles avant diner. Nous envoyâmes de là nos gens en avant, et nous nous arrêtâmes à la taverne de Moor. Mon cheval s'était

---

3. listopada.

Liczyliśmy na to, że udamy się lądem do Bostonu i ułożyliśmy już projekta co do tego zamiaru. Opuściliśmy Albanę zrana i skierowaliśmy się ku Kinder hook Springs. Drogi były tak złe, że przed obiadem mogliśmy zrobić zaledwie 8 mil. Ludzi naszych wysłaliśmy naprzód a sami zatrzymaliśmy się w zajeździe Moor; koń mój zgubił podkowę i postępowałem zdaleka za moim

déferré et je suivais de loin mon compagnon. Il s'impatienta de cette manière d'aller, et me laissa seul. Le soleil était déjà couché lorsque je le perdis de vue, et bientôt après je perdis aussi mon chemin. J'abandonnais, près d'une heure, à mon cheval le soin de me conduire, mais à la fin, ayant à force de regarder, distingué une espece de sentier, je m'y abandonnais, persuadé qu'il devait aboutir quelque part.

L'impatience et le froid me stimulant un peu, je mis mon cheval au trot, et après avoir couru pendant trois quarts d'heure, j'aperçus une lumiere. Je joignis bientôt la maison, et y entendant du bruit et de grands éclats de rire, je la pris pour une taverne, où quelques gais compagnons s'étaient assemblés. Mais quelle fut ma surprise, lorsqu'en entrant dans la chambre j'aperçus un homme, étendu par terre dans des convulsions horribles, et 7 ou 8 personnes dans la chambre, sautant, pleurant, gemissant, hurlant, criant avec toutes les demonstrations de la plus haute extravagance. J'ai cru d'abord, que l'homme, qui avait l'air d'agoniser, était le père de famille, et que la douleur de le perdre avait tourné la tête à ses enfants. Aucun de la compagnie ne prit garde à mon arrivée; je m'approchai de la cheminée où il y avait

---

towarzyszem. Ten zniecierpliwił się taką jazdą i zostawił mnie samego. Słońce już zaszło, gdy straciłem go z oczu, a wkrótce potem straciłem także drogę. Dłużej jak przez godzinę zostawiłem memu koniowi zupełną swobodę prowadzenia mnie, ale wkońcu, wpatrując się silnie, rozpoznałem rodzaj ścieżki i puściłem się nią, przekonany, że musi prowadzić gdziekolwiek.

Niecierpliwość i zimno, podniecając mię trochę, spowodowało, że puściłem konia kłusem i przebiegłszy w ciągu trzech kwadransów kawał drogi, spostrzegłem światło. — Wkrótce dojechałem do domu, a słysząc w nim hałas i głośne wybuchy śmiechu, sądziłem, że jest to gospoda, gdzie zgromadziło się kilku wesołych przyjaciół. Ale jakie było moje zdziwienie, gdy wszedłszy do pokoju, spostrzegłem człowieka, tarzającego się w konwulsyach po ziemi i siedm czy ośm osób w pokoju, skaczących, płaczących, jęczących, wyjących, krzyczących, pośród wszystkich oznak najwyższego dziwactwa. Sądziłem najpierw, że człowiek, który zdawał się konać, był ojcem rodziny i że boleść utraty jego, pomieszała zmysły jego dzieciom. Nikt z tych ludzi nie zwrócił uwagi na moje przybycie; zbliżyłem się do kominka, gdzie palił

un bon feu, attendant impatiemment la fin de cette bizarre cérémonie. Les choses resterent pendant un quart d'heure à peu près dans la même situation, mais tout d'un coup l'homme, que je croyais moribond, se leva sur ses jambes, et fit trois ou quatre sauts périlleux, avec des cris qui faisaient dresser les cheveux. Une femme en même temps commence à tourner avec taut de violence, decouvrait absolument les parties les plus secretes du corps. Je ne savais, à quel des deux objets donner attention; et si mes yeux se tournaient malgré la crainte de recevoir quelques coups de poing de l'homme frénétique, rappellaient mon attention de l'autre; pendant ce temps le reste de la compagnie faisait des gambades, et tournait la tête en articulant des mots dans une langue inconnue. D'autres riaient aux éclats. Cela dura environ huit minutes, et je ne puis vous exprimer tout ce qui se passa dans ma tête pendant ce court espace. Je ne pouvais me figurer dans quelle maison j'étais entré ni à quelle sorte de gens j'avais à faire. Un d'eux enfin fatigué apparemment de sa danse, se tranquillisa un moment. Je saisis cette occasion pour

---

się jasny ogień, i oczekiwałem niecierpliwie końca tej dziwacznej ceremonii. Sytuacya przez cały kwadrans nie zmieniła się wcale, lecz nagle człowiek, o którym mniemałem, że jest umierający, stanął na nogi i wykonał trzy czy cztery niebezpieczne skoki, krzycząc tak przeraźliwie, że włosy stawały na głowie. Jednocześnie któraś z kobiet poczęła się kręcić z taką gwałtownością, że odkryła zupełnie najbardziej tajemnicze części swego ciała. Nie wiedziałem, na które z dwóch przedmiotów mam zwrócić uwagę; i jeżeli oczy moje kierowały się pomimo obawy otrzymania kilku uderzeń pięści ku człowiekowi szalonemu, to za to uwaga moja zwrócona była w tamtą stronę; podczas tego reszta towarzystwa wykonywała skoki i kręciła głową, wykrzykując wyrazy w jakimś nieznanym języku. Inni znowu śmieli się na głos. Trwało to około ośmiu minut i, nie mogę wam wyrazić wszystkiego, co się działo w mojej głowie w tym krótkim czasie. Nie mogłem sobie wyobrazić, do jakiego właściwie domu wszedłem, ani z jakim rodzajem ludzi miałem do czynienia. W końcu jeden z nich zmęczony pozornie swoim tańcem, uspokoił się na chwilę. Sko-

m'approcher de lui. „By God,[1]) luis-dis-je. be so good as to tell me, where I am, and who ye are?[2]) Wait me. repondit-il en souriant — You shall know it immediately;“ et il recommença ses cabrioles. J'étais tenté d'en faire aussi quelques unes pour me mettre au ton de la compagnie, mais je craignais que cela ne choquat l'homme furibond, dont la mine me déplaisait. Je me resignais et j'attendis patiemment la fin de la cérémonie. Peu à peu tout se calma, et une femme — à peu près de 45 ans, s'approcha de moi: „Etranger, me dit-elle. nous savions dès hier, que tu devais venir ici. Nous sommes bien aises de ton arrivée: tu dois haïr le péché. et aimer Dieu, et si tu veux. nous aiderons à ta régénération“. Je ne savais, que repondre à cette invitation. „Vous êtes trop bonne. lui dis-je. mais je suis si me content de ce monde, que je ne me soucie pas de

1) Pour-Dieu. ayez la bonté de me dire, où je suis? et qui vous êtes?

2) Attendez-moi. et vous le saurés tout de suite.

---

rzystałem z tej sposobności, by się do niego zbliżyć. „By God.[1]) powiedziałem mu, be so good as to tell me. where I am, and who ye are?[2]) — Wait me. odpowiedział. uśmiechając się — You shall know it immediately;“ i rozpoczął na nowo swoje skoki. Miałem ochotę wykonać także kilka podobnych, aby się dostroić do towarzystwa, ale bałem się, aby to nie uraziło człowieka szalonego, którego mina wcale mi się nie podobała. Dałem więc pokój temu i czekałem spokojnie końca ceremonii. Zwolna, wszystko się uspokajało i kobieta. licząca około 45 lat, zbliżyła się do mnie: „Cudzoziemcze, rzekła mi, wiedzieliśmy od wczoraj, że masz tu przybyć. Jesteśmy bardzo zadowoleni z twego przyjazdu: zapewne musisz nienawidzieć grzechu i kochać Boga, i jeżeli chcesz, pomożemy ci, byś się odrodził“. Nie wiedziałem. co odpowiedzieć na takie powitanie. „Jesteś nadto dobrą. pani. rzekłem jej, ale ja jestem tak niezadowolony z tego świata, że nie zależy mi wcale na tem, aby się urodzić

1) Na Boga, bądź tak dobry i powiedz mi, gdzie jestem? i kto wy jesteście?

2) Czekaj pan na mnie, dowiesz się to natychmiast.

renaitre une seconde feis". „Je suis la mere d'Israel — me dit-elle — celle dont il est parlé dans le 12-me chapitre des Revelations de St. Jean, ayant une lune sous ses pieds, et une couronne de douze étoiles sur la tête". „Tant mieux pour vous, lui repondis-je mai comme je n'ai point lû les revelations de St. Jean je ne puis vous reconnaître et je ne vois ni votre lune ni aucune de vos étoiles".

„Ton ame, souillée par le péché de la chair, et tes yeux sont offusqués par les ténebres de la mort. Tu n'es point né encore pour Dieu".

Je sentais bien qu'elle avait raison en partie; et je me tus. Mais comme cette conversation m'embarassait beaucoup et qu'elle ne m'aprenait pas, à qui j'avais à faire. Je la priai de vouloir bien, avant de penser à ma régénération m'expliquer, où j'étais? et à qui je parlais?

„Tu es dans la maison du Seigneur et je t'ai dit déjà, que tu parlais à la mère d'Israel: ceux que tu vois, sont les enfants de Dieu, aussi purs que l'ambre, et aussi parfaits que les anges". „Je ne compreus pas ce langage mystique, — lui dis-je, et comme je suis égaré je vous serais infiniment obligé de me remettre

---

po raz drugi". „Jestem matką Izraela — rzekła mi — ta, o której jest mowa w 12 rozdziale objawień św. Jana, a która ma księżyc u swoich stóp i koronę z 12 gwiazd na głowie". „Tem lepiej dla pani, odpowiedziałem jej, ale ponieważ nie czytałem objawień św. Jana, nie mogę pani poznać — a nie widzę ani księżyca, ani żadnej z paninych gwiazd".

„Twoja dusza zmazana jest grzechem cielesnym i twoje oczy są zamglone ciemnościami śmierci. Jeszcze się wcale nie urodziłeś dla Boga". Czułem dobrze, że miała po części racyę i zamilkłem. Ale ponieważ cała ta rozmowa zakłopotała mnie tylko bardzo, a nie pouczyła wcale z kim mam do czynienia, prosiłem jej, aby zechciała, zanim pomyśli o moim odrodzeniu, wytłamaczyć mi, gdzie właściwie jestem i do kogo mówię?

„Jesteś w domu Pana, a powiedziałam ci już, że mówisz do matki Izraela: ci, których widzisz, są dziećmi Boga, tak czystemi, jak bursztyn i tak doskonałemi, jak aniołowie". Nie rozumiem tej mistycznej mowy, rzekłem do niej, a ponieważ zbłądziłem, byłbym wam nieskończenie wdzięczny, gdybyście mi wskazali

dans le chemin de Springfield. J'ai un compagnon de voyage, qui sera inquiet de mon sort, et j'attends de votre humanité cette faveur. — Au reste, ajoûtai-je, je compte revenir demain vous voir, et je ne demande pas mieux, que d'être aussi parfait qu'un ange. „Johny-dit-elle, à un jeune garçon, va le reconduire jusqu'à Stone-House...“ Je luis fis une profonde révérence et remontais à cheval. La courte conversation avec la mère d'Israel, m'avait assez apris, pour savoir que c'étaient quelques nouveaux fanatiques: et je fis à mon guide quelques questions relatives à ce sujet, mais il m'apprit seulement que la Mother of Israël était native de Manchester, et qu'il y avait passé sept ans, qu'elle était venue d'Angleterre pour prêcher la vraie foi.

J'arrivai à la taverne environ vers les 9 heures; et je n'eus rien de plus pressé que de conter à l'aubergiste mon histoire. „Vous venez, me dit-il, de Nisqueunia, et c'est les Shaking Quakers que vous avés vûx. C'est une nouvelle secte fanatique, dont vous lirez les principal loix dans le petit livre du reverend Mr. Rathburn, ministre de l'Evangile“. J'ai parcouru le petit livre, et comme j'y ai trouvé plusieurs articles très curieux, je

---

drogę do Springfild. Mam towarzysza podróży, który będzie niespokojny o mój los i spodziewam się, że dzięki waszej ludzkości nie odmówicie mi tej przysługi. Zresztą, dodałem, mam nadzieję, że powrócę jutro do was i niczego więcej nie pragnę, jak być równie doskonałym, jak anioł“. „Johny — rzekła ona do młodego chłopca — idź odprowadź go do Stone-house...“ Ukłoniłem się jej głęboko i wsiadłem na konia. Krótka rozmowa z matką Izraela pouczyła mię dostatecznie, aby się domyślić, że byli to jacyś nowi fanatycy: zadałem przeto memu nowemu przewodnikowi kilka odnośnych pytań do tego przedmiotu, ale on mi oznajmił tylko, że Mother of Israël jest rodem z Manchester i że minęło siedm lat, jak przybyła z Anglii, aby głosić prawdziwą wiarę.

Przybyłem do oberży około 9 godziny i za najpilniejszą rzecz uznałem opowiedzieć oberżyście moją historyę. „Przybywasz — rzekł mi on — z Niskue unia, a widziałeś shaking kwakrów? Jest to nowa sekta fanatyków, których główne zasady przeczytasz w małej książeczce wielebnego p. Rathburn, pastora ewangelii“. Przebiegłem oczyma małą książeczkę, a ponieważ znalazłem w niej kilka artykułów bardzo zajmujących, nie żałowałem

me suis donné la peine d'en faire l'extrait. Vous y trouverez deux grands moyens de propager une religion. l'extravagance des mysteres et l'austerité de ses principes. Cinq femmes et sept hommes arrivèrent en 1744 d'Angleterre: trois mâles et deux femelles d'entre eux, avaient, disaient-ils atteint la perfection; le reste y avançait rapidement. Ils passerent quelque temps à New York et Albany; ils traverserent la Pensylvanie et revinrent à peu près 16 miles d'Albany. Ils s'y etablirent exploiterent la terre, et s'occupaient de leurs metiers de marchands, de tisserands et cordoniers. Ils furent ignorés pendant longtemps, mais l'année passée un nommé Talmage Bishop parla à New Libanon d'un nombre d'étonnants et admirables chretiens établis dans le voisinage: la nouvelle circula rapidement. Le peuple, avide de nouveautés, arriva en foule pour les voir. Comme leurs instructions défendaient de porter les armes ou de contribuer de quelque manière que ce soit à la guerre, le gouvernement supposa dans le commencement. que c'était quelques emissaires anglais. et se mit à sévir contre eux. Cette persécution momentanée donna de la vogue à la religion, et lui gagna quelques proselytes. Son extravagance d'ailleurs était un sûr moyen de la propager.

---

wcale trudu, aby zrobić z nich wyciąg. Znajdziecie tam podane dwa wielkie środki rozpowszechniania religii — dziwaczność obrzędów i surowość zasad. Pięć kobiet i siedmiu mężczyzn przybyło w 1744 r. z Angli; z nich trzech samców i dwie samice osiągnęły, jak oni mówili, doskonałość; reszta wznosiła się ku niej szybko. Przepędzili oni jakiś czas w New-Yorku i Albany; przebyli na wskróś całą Pensylwanię i powrócili nazad w dawne strony prawie szesnaście mil od Albany. Tam się osiedlili, uprawiali ziemię i zajmowali się swoimi rzemiosłami jako kupcy, tkacze i szewcy. Nie znano ich zupełnie przez długi czas, ale przeszłego roku człowiek pewien nazwiskiem Talmage Bishop opowiadał w New Libanon o pewnej ilości zadziwiających i zachwycających chrześcijan. osiadłych w sąsiedztwie: wiadomość ta rozniosła się szybko. Ludzie, chciwi nowości, przybywali tłumnie, aby ich oglądać. Ponieważ nauka ich zabraniała nosić broń lub przyczyniać się w jżkikolwiek sposób do wojny, rząd podejrzywał z początku. że byli to wysłańcy angielscy i zaczął surowo z nimi obchodzić się. To chwilowe prześladowanie dało wziętość tej religii i zyskało dla niej kilku prozelitów. Dziwaczność jej zresztą była niezawodnym środkiem do jej rozpowszechnienia. Utrzymują

Ils pretendent 1. que toutes les religions. et toutes les eglises sont antichristes, et qu'il n'y a que la leur qui sait la veritable: 2. qu'il faut avoir une langue particulière pour parler à Dieu, celles, dont les hommes se servent entr'eux. n'étant pas assez majestueuse; c'est pourquoi ils ont un composé de tons rauques et extraordinaires dans les quels ils chantent et font leurs prieres; 3. que la femme, qu'ils apellent la Mère d'Israël est la même, dont il est parlé dans les vevelations de St. Jean: qu'elle est la mère des élus, qu'elle travaille pour le salut du monde, qu'elle seule peut repandre des bénédictions, et que personne ne peut être sauvée que par elle; 4. qu'elle est immortelle, qu'elle est incapable de souffrances, excepté en travaillant à l'expiation des péchés de ceux qu'elle régénere; 5. que ceux d'entre eux, qui sont parfaits, voient et conversent avec les anges, qu'ils les entendent chanter, et qu'ils chantent avec eux: 6. qu'ils sont le veritable tribunal qui juge les morts et les vivants — que les ames comparaissent devant eux tous les jours. pour être jugés — que ceux qui sont morts dans un état imparfait, sont condamnés à l'enfer ou à une longue prison qu'ils y doivent payer la dette qu'ils ont contractée envers la justice divine. Qu'il y a plusieurs

---

oni 1. że wszystkie religie i wszystkie kościoły są antychrystyczne i że tylko ich religia jest prawdziwą: 2. że trzeba posiadać odpowiedni język. aby modz przemawiać do Boga, gdyż ten, którym ludzie posługują się między sobą, nie jest dość wspaniałym: dlatego też mają zbiór dźwięków chrapliwych i wyjątkowych, w których śpiewają i odmawiają swoje modlitwy; 3. że kobieta, którą oni nazywają matka Izraela, jest tą samą, o której jest mowa w objawieniach św. Jana: że ona jest matką wybranych i pracuje dla zbawienia świata, że ona jedna uprawnioną jest do udzielania błogosławieństw i że tylko dzięki jej można zbawienia dostąpić: 4. że jest ona nieśmiertelną, niezdolną do cierpień, z wyjątkiem przy pracy około odpokutowania grzechów tych, których ona odradza: 5. że ci z pomiędzy nich, którzy są już doskonali, widzą i rozmawiają z aniołami, których słyszą śpiewających i że sami z nimi śpiewają: 6. że tworzą oni prawdziwy sąd, który sądzi umarłych i żywych. że dusze stają przed nimi codziennie, aby być sądzone, że ci, którzy umarli w stanie niedoskonałym, skazani są na piekło albo na długie więzienie, gdzie muszą płacić dług zaciągnięty względem sprawiedliwości boskiej, że istnieje kilka stopni cierpień i kar i że ci, którzy odcierpieli je doczesnie,

degrés de souffrances et de punitions. et que ceux, qui les ont endurées pendant le temps présent reparaissent devant leur tribunal. pour recevoir la permission d'aller au ciel: 7. que les Sacremens, du baptême et de la cène ne doivent plus avoir lieu depuis le siecle apostolique; 8. que toute jurisdiction, tribunal, autorité sont des inventions diaboliques; 9. ils obligent leurs proselytes à se faire couper les cheveux, et ils pretendent, que ceux, qui portent une queue. sont marqués du signe de la bête, et ils prouvent cette assertion par 1. Cor. XI. 14; 10. mais l'article, sur lequel ils insistent le plus est celui de la chasteté ils disent, que le péché qui a perdu le monde celui d'Adam et d'Eve, n'etait autre chose qu'une charnelle copulation. Ils obligent les femmes à quitter leurs maris. et les maris à abandonner leurs femmes ils inculquent aux jeunes gens de ne point se laisser aller aux tentations de la chair et que si jamais ils y succombent ils se rendent incapables de la régéneration et ils appuyent le principe sur la Rev. III. 3. 4. 5.: 11. Ils pretendent deviner l'avenir et connaître le passé et d'avoir des signes. au moyen des quels ils s'entendent de très-loin; 12. ils obligent a faire une confession générale et publique, et exigent la plus

---

stają na nowo przed sądem. aby otrzymać pozwolenie na pójście do nieba; 7. że sakramenty chrztu, ciała i krwi pańskiej. nie powinny mieć miejsca, począwszy od czasów apostolskich: 8. że wszystkie sądy, prawa i władze są wymysłem dyabelskim: 9. zmuszają oni swoich prozelitów, aby ucinali włosy i utrzymują, że ci, którzy noszą ogon. są naznaczeni oznaką bydlęcą i dowodzą tego twierdzenia przez 1. Cor. XI. 14.; 10. ale artykuł. na który kładą największy nacisk, odnosi się do cnoty czystości — mówią. że ten grzech, który zgubił świat, grzech Adama i Ewy, był właśnie cielesnem obcowaniem. Zmuszają oni kobiety, by opuszczały swoich mężów, a mężów. by porzucali swoje żony, obowiązują młodych ludzi, aby nie poddawali się pokusom cielesnym i wmawiają w nich, że jeżeli kiedy im ulegną. to staną się niezdolni do odrodzenia a zasady swoje opierają na Rev. III. 3. 4. 5.; 11. Twierdzą oni. że odgadują przyszłość. a znają przeszłość i mają znaki. za pomocą których porozumiewają się na wielką odległość; 12. zmuszają do odbywania spowiedzi generalnej i publicznej

grande sincerité dans ce récit; 13. leur manière pe prier est un bizarre assemblage de toutes les extravagances. Ils sautent, ils pleurent ils rient, ils gemissent, ils tournent la tête font des grimaces affreuses et parvienent à affecter leur genre nerveux de manière qu'ils sont capables, à tout moment, des convulsions les plus violentes.

Voilà à peu près les points le plus remarquables, de cette secte. Elle compte environ 300 fideles, tant dans l'état de New York que dans celui de Mashashushet. Croirait-on qu'au dixhuitième siecle on se soit avisé d'inventer une religion pareille. Il faut avoner, que l'extravagance est une production indigue à l'esprit humain, et les efforts de la philosophie et de la raison, qui tâchent de l'eclipser ne peuvent rien contre l'exuberance de cette plante vigoureuse.

4. Nov.

On nous assura. ce matin que l'idée d'aller à Boston par la forêt verde (G r e e n W o d s) n'était pas pratiquable dans cette

---

i wymagają największej szczerości w tym religijnym akcie; 13. ich sposób modlenia się składa się z dziwacznego zbioru najrozmaitszych ekstrawagancyi. Skaczą, płaczą, śmieją się, jęczą, kręcą głową, robią okropne miny i do tego stopnia rozdrażniają swoje nerwy, że są w stanie w każdej chwili dostać najgwałtowniejszych konwulsyi.

Oto w przybliżeniu najgłówniejsze zasady tej sekty. Liczy ona około 300 wiernych, tak w stanie New-York, jak w Mashashushet. Czy możnaby sądzić, że w XVIII. wieku ośmielono się wymyślić podobną religię. Trzeba wyznać, że ekstrawagancya jest wytworem niegodnym umysłu człowieczego, a wysiłki filozofii i rozsądku, które starają się ją wykorzenić, stoją bezradne wobec bujności tej potężnej rośliny.

4. listopada.

Zapewniono nas dziś rano, że projekt udania się do Bostonu przez Zielony las (G r e e n - W o d s) nie byłby możliwy do wyko-

saison: que nous ne trouverions point d'auberge sur le chemin, et qu'il valait infiniment mieux de revenir à New York. et s'embarquer de là pour Rhode-Island. d'où l'on arrivait commodement à Boston en deux jours. Je cedais à regret à ces réprésentations, parce que je me rappellais l'histoire du genéral Amherst, qui. se preparant à l'expedition du Canada, et voulant faire passer ses troupes par le même chemin. reçut une députation de l'etat de Mashashushet, qui l'assura avec serment. que les chemins n'étaient pas pratiquables et que son armée y périrait de famine. Il s'obstina cependant à son projet et passa avec les troupes, avec la plus grande aisance. Mais. comme en prenant le chemin de New York. nous avions l'occasion de revoir l'aimable famille du chancellier Lewingston. dont nous avions reçu tant de civilités: je me laissais aisément persuader. Nous revinmes sur nos pas. et nous arrivâmes le même soir à Clermont.

5. Nov.

Un sloop, que l'on chargeait à deux miles de la maison du chancellier. et qui descendait à New-York nous offrit l'occasion

---

nania w tej porze roku: mówiono, że nie znaleźlibyśmy wcale oberży na drodze i że daleko lepiej byłoby powrócić do Nowego Yorku i popłynąć ztamtąd okrętem do Rhode-Island. zkąd w ciągu dwu dni można bardzo wygodnie przybyć do Bostonu. Z żalem uległem tym namowom. ponieważ przypomniałem sobie historyę generała Amherst, który przygotowując się do wyprawy kanadyjskiej i chcąc wojska swoje przeprowadzić tą samą drogą, otrzymał poselstwo do stanu Mashashushet. które go upewniło pod przysięgą, że drogi były nie do przebycia i że armia jego zginęłaby tam z głodu. Nie odstąpił on jednak od swego zamiaru i przeszedł z wojskiem z największą łatwością. Ale, ponieważ udając się drogą do New-Yorku, mieliśmy sposobność ujrzeć znowu miłą rodzinę kanclerza Lewingstona. od której doznaliśmy tyle grzeczności, dałem się łatwo przekonać. Powróciliśmy więc na naszą dawną drogę i przybyliśmy tego wieczora do Clermont.

5. listopada.

Statek. który naładowywano o 2 mile od domu kanclerza a który miał odpłynąć do Nowego Yorku. stanowił wyśmienitą

de nous y embarquer. Nous esperions d'arriver dans 24. heures, mais à peine n'avions nous mis à la vile. que le vent changea au sud. et nous fumes obligés de jetter l'ancre.

6., 7., 8. Nov.

Le vent continuant à souffler avec violence dans la même direction, nous passâmes trois des plus tristes et de plus ennuyeuses journées qu'il soit possible d'imaginer. Sept ou huit femmes s'étaient emparées de la cabine; nous fumes obligés de coucher dans la cale.

9. Nov.

Cette nuit. un vent nord-est nous fit glisser rapidement, et en nous reveillant ce matin. nous n'étions qu'à 20 milles de New-York. Nous y mouillâmes à midi. et nous trouvâmes plusieurs transports, chargés de troupes hessoises, qui mattaient à la voile.

---

sposobność. byśmy się tam dostali. Spodziewaliśmy się przybyć tam we 24 godzin. ale zaledwo puściliśmy się w drogę do miasta, gdy wiatr zmienił się na południowy i byliśmy zmuszeni zrzucić kotwicę.

6., 7., 8. listopada.

Ponieważ wiatr dął gwałtownie w tym samym kierunku, spędziliśmy trzy najsmutniejsze i najnudniejsze dni. jakie można sobie wyobrazić. Siedm albo ośm kobiet zajęło kajutę. a my musieliśmy ułożyć się w tyle statku.

9. listopada.

Tej nocy wiatr półn.-wschodni uniósł nas szybko i budząc się dziś rano, znaleźliśmy się tylko o 20 mil od New Yorku. Wylądowaliśmy tam w południe i widzieliśmy wiele do drogi gotujących się tratew, naładowanych wojskami heskimi.

10., 11., 12., 13. Nov.

Je viens d'aprendre que les Anglais vont evacuer New York, le 20. de ce mois. Le général Washington y entre le même jour avec les tropes americaines. Il leur a addressé avant hier, la lettre suivante: „On choisit, m-a-t'on dit, les plus beaux hommes de l'armée continentale pour former le bataillon, qui doit prendre possesion de la ville; à leur place j'aurais choisi le plus petits, les boiteux, les estropiés, le contraste aurait été plus frappant. Voilà donc les etats unis, assemblés en congrès, après avoir rendu le plus honorable temoignage au merite des armées confederées et les ayant sincerement remerciées, au nom de la nation, pour leurs longs, eminents et fideles services, ayant jugé à propos par leur proclamation, datée du 18. d'octob. de decharger de leur serment les troupes engagées pour la guerre, et de permettre aux officiers à se retirer du service, laquelle proclamation a été inserée dans tous les papiers publiques pour l'information de tous ceux à qui il appartient. Il ne reste au commandant en chef, que de s'adresser encore une et derniere fois à l'armée des Etats Unis et lui dire un tendre et long adieu.

10., 11., 12., 13. listopada.

Dopiero co się dowiedziałem, że Anglicy mają ustąpić z Nowego Yorku 20. tego miesiąca. Generał Washington wchodzi tam tego samego dnia z wojskami amerykańskiemi. Wystosował on do nich przedwczoraj następujący list: „Wybrano, jak mi mówiono, najpiękniejszych ludzi z armii lądowej, dla utworzenia oddziału, który ma objąć miasto w posiadanie: ja zaś na ich miejsce wybrałbym najmniejszych, kulawych, ułomnych, a przeciwieństwo byłoby bardziej uderzające. Oto więc Stany Zjednoczone, złączone na kongresie, oddawszy pełne szacunku świadectwo zasłudze wojsk skonfederowanych i podziękowawszy im serdecznie w imieniu narodu za ich długie, doniosłe i wierne usługi, uważają za stosowne na mocy swej proklamacyi, datowanej 18. października, uwolnić od przysięgi wojska zaciągnięte na wojnę i pozwolić oficerom na wystąpienie ze służby: powyższa proklamacya została ogłoszoną we wszystkich dziennikach ku wiadomości tych wszystkich, którzy w tej kwestyi byli interesowani. Głównodowodzącemu pozostaje tylko zwrócić się jeszcze raz ostatni do armii Stanów Zjednoczonych i przesłać jej serdeczne i długie pożegnanie.

Mais avant qu'il prenne congé pour la dernière fois de ceux, qu'il chérit, il les prie de lui accorder un moment, pour présenter d'abord à leur esprit une courte et fidèle image du passé.

Il examinera ensuite avec ses anciens amis militaires le plus convenable de leur conduite future, et enfin il leur exprimera toute la reconnaissance, qu'il ressent pour l'assistance généreuse et soutenue, avec laquelle il est aidé pendant une longue et pénible entreprise."

Ale zanim pożegna się on ostatni raz z tymi, których kocha, prosi ich, by użyczyli mu parę chwil, ażeby mógł przedstawić im najpierw krótki i wierny obraz przeszłości.

Wybierze następnie ze swymi dawnymi wojskowymi przyjaciółmi nojgodniejszego, by dowodził nimi na przyszłość i w końcu wyrazi im wszystkim całą wdzięczność, jaką odczuwa za wspaniałomyślną i stałą pomoc, którą był wspierany w czasie długiego i trudnego przedsięwzięcia."

(Ciąg dalszy nastąpi).

Wycieczka do Parany

(stanu rzeczypospolitej Brazylii).

Dziennik podróży.

(Ciąg dalszy).

Redukcye te tworzyły prowincyę El. Guayro. Stolicą jej było miasto wielkie Guayra. 60.000 mieszkańców. Był to sławny gród, prawdziwie stołeczny, zwany „Ciudad (wym. Sjuda Real". (miasto królewskie). Ulice jego były regularne, domy dobrze zbudowane, zawierało szkoły, kościoły, wodociągi. O ile z szczupłych opisów i zwalisk sądzić można, było to niemal najwspanialsze miasto w Ameryce, a jedno z większych w świecie na początku XVII. wieku.

OO. Jezuici okazali się zdolnymi roznosicielami cywilizacyi pomiędzy Indyanami i przeprowadzali kolonizacyę indyjską na wielką skalę. Byli zawsze szczęśliwi w wyborze krain najodpowiedniejszych dla osadnictwa. Kraj nad Paraną okazał się istnym rajem ziemskim. Tak przynajmniej twierdzi legenda Indyan Guarani.

Najponętniejsze okolice Azyi, gdzie chrześcijańska tradycya chce umieścić naszych pierwszych przodków Adama i Ewę, nie mają więcej uroku

Społeczeństwo indyjskie OO. Jezuitów utrwaliłoby się najniezawodniej i wzmogło do stopnia, aby utworzyć z czasem wielkie państwo tubylców, mimo zasadniczej wady ustroju wychowawczego Wielebnych OO. Lecz pod ich bokiem w obecnym stanie S Paulo rozwielmożniła się kolonizacya portugalska i na ziemiach przez nią zajętych wyrosła energiczna i dzika ludność mieszańców krwi portugalskiej z indyjską. Byli to słynni Mamelucy czyli Pauliści. Mimo pokrewieństwa z Indyanami, mieli do tychże niepohamowaną i nienaturalną, lecz często zdarzającą się w historyi ludów pokrewnych, pogardę i nienawiść. Zapatrywali się na Wielebnych OO. Jezuitów nie tylko jak na wrogów, lecz jak na współzawodników polowania na Indyan i wyzyskiwania ich pracy. Krewniaków swoich indyjskich uważali za bydło robocze. Rozpoczęli tedy z dziką zaciekłością odbijać ten inwentarz ludzki i burzyć redukcye.

Coraz śmielszemi stawały się napady Mameluków a pierwsze większe ich najścia, rzezie i uprowadzania miały miejsce w 1629 roku. W 1631 r. opuszczone i zburzone zostały wyżej wymienione wszystkie redukcye. W tym roku odbył się pamiętny pochód 120.000 Indyan pod wodzą OO. Jezuitów na dalekie południe, aby się oddzielić wielką przestrzenią od nieubłaganych prześladowców Paulistowskich. Tę masę wychodźców, nie szczególnie zorganizowanych pod względem wojskowym, szarpały bezlitośnie oddziały Mameluków. Połowa ich, t. j. około 60.000 zginęła tragicznie.

Z tych, ktorzy uszli śmierci i niewoli paulistowskiej, i z miejscowych Indyan OO. Jezuici potworzyli znów na nowej dalekiej ziemi mnóstwo redukcyi kwitnących po obu brzegach Parany i Uruguayu w dzisiejszych argentyńskich prowincyach Missiones i Corrientes, Paraguayu i brazylijskim stanie Rio Grande do Sul. Ale „raj ziemski“ opustoszał i zdziczał: w redukcyach jego pozostało zaledwie 12.000 mieszkańców ze 150.000 po pogromie w 1631 r. Stolica królewska Guayra wyludniła się co do jednego mieszkańca w 1638 r. i obecnie zwaliska grodów: Loreto, Villa Rica, Guayra i Santa Maria, trzeba odkopywać, przebujna roślinność wciąż nad niemi wzrasta i gnije, grzebiąc szczątki pamiątek minionej cywilizacyi pod coraz głębszą warstwą rodzajną. Las nad grobem grodów indyjskich nie różni się wcale od sąsiedniego, a jednak jest nieco odmienny i znawcy odrazu go poznają zdaleka.

Właściwie jedynym śladem pobytu Wielebnych OO. pozostały gaje pomarańczowe. Drzewo to europejskie przyswoili oni ziemi amerykańskiej i rozpowszechnione ono jest w stanie dzikim po całym stanie parańskim i sąsiednich, oraz Paraguayu.

b) Kolonizacya Indyan przez rządy kolonialne Portugalii i przez rząd brazylijski.

Portugalczycy, którzy opanowali ogromne przestrzenie nad Atlantykiem i których się nazywa Brazylianami — (od drzewa „brazil", rosnącego w tych krajach, szczególnie zaś obficie pod Pernambuco, w północnej Brazylii) — okazali się mniej dobrymi nauczycielami i organizatorami dzikich Indyan niż Wielebni OO. Prawie wcale nie potrafili korzystać z tylu tubylczych rąk ludzkich do pracy rolniczej i przemysłowej, ani do zadań społecznych i państwowych, jak to potrafili bądź co bądź uczynić OO. Jezuici. Najlepiej zużytkować Indyan i w dalszym ciągu prowadzić robotę Wielebnych OO. zdołali w południowej Ameryce Paraguayczycy. Paraguay jest obecnie przeważnie indyjską rzeczpospolitą z pozorami hiszpańskiej i głównie indyjskiemu żywiołowi zawdzięcza niezależność i istnienie.

W sąsiednim Paraguayowi stanie „Parana" dotąd w odwiecznej wojnie z białymi jest plemię Botokudów, liczące przeszło 10.000 dusz. Są oni wciąż zupełnie oddzieleni od wszelkiego wpływu cywilizacyi. Za to zaprzestało tej walki plemię Korroadów, liczące jeszcze może z 15.000 dusz i zgasłe lub dogasające plemię Kajoja. Wszystkie trzy, mimo wielkich różnic między sobą, zdają się należeć do szczepu Guarani. Język tych ostatnich nazwany został od wieków „lingua geral", czyli mowa powszechna porozumiewania się z Indyanami całej Brazylii, a nawet z plemionami „Tupi" północnej Brazylii.

Na ziemi obecnego stanu parańskiego potworzono, jak w całej Brazylii, coś w rodzaju redukcyi jezuickich i do nich ściągnięto wszystkich Korroadów. Ci obecnie osiedli na roli, uprawiając ją w sposób pierwotny. Uchodzą oni za „Indios mansos" (łagodnych) w sprzeciwieństwie do „Indios bravos" (dzikich), jakimi są „Bugry" czyli „Botukudzi".

Łagodni dzikusy Korroadzi mało mają oświaty i nie doświadczają apostolskiej dbałości cywilizacyjnej OO. Jezuitów; przeto pomimo „łagodności" swej, są obcy Brazylianom pod wzglę-

dem języka i obyczajów. Między Botukudami zaś a Brazylianami, jedynym stosunkiem jest z jednej strony strzała i pałka, z drugiej nóż i kula. Ani łagodni ani dzicy nie wsiąkli w społeczeństwo cywilizowane i są mu raczej zawadą niż pomocą. Wywierają powoli lub też nie dotrzymują kroku białym w rozmnażaniu się i wzmacnianiu na swej ziemi.

2. Kolonizacya portugalska.

Początki osiedlenia portugalskiego miały cechę zdobywczą. Conquistadores (zdobywcy) portugalscy, podobni byli do hiszpańskich i niemal tyle co oni zdobyli krajów w Ameryce, którą też niejednokrotnie Hiszpania i Portugalia dzieliły między sobą. Stolica apostolska potwierdzała i stanowiła nawet granice wpływów hiszpańskiego i portugalskiego w świecie pozaeuropejskim. Ani jednym ani drugim nie udawała się tak świetnie kolonizacya pustych obszarów kuli ziemskiej, jak Anglosasom. Cały obszar obecnej Brazylii jednak Portugalczycy albo zawojowali albo częściowo odbili Holendrom i Francuzom i objęli wojskowo — znaleźli go pustym lub słabo zaludnionym przez Indyan.

Kraj ten ogromny, podzielony był jeszcze w wieku XIX. na kapitanje, (dosłownie: obszary pułkowe), później dopiero na prowincye i stany. Wprawdzie więc jest on słabo zaludniony i kolonizacya nie rozwija się w nim tak świetnie, jak w Stanach Zjednoczonych północnej Ameryki. Prawdą też jest, że na przestrzeni Brazylii (8,361.350 kil. kw.), mało co mniejszej niż Europa (9.698.142 kil. kw.), o ludności 17 milionów, zmieściłyby się jednocześnie Belgia (29.567 kil. kw., o 6.745.000 ludności), Holandya (33.000 kil. kw., o 5 milionach ludności), Francya (536.408 kil. kw., o 38 milionach dusz) i Niemcy (545.135 kil. kw., o 56 milionach ludności), jeszcze obecnie. Jednak przechwałką byłoby wpadać w zarozumiałość Niemców, dowodzących wyniośle, że ludy romańskie a zwłaszcza Portugalczycy, nie umieją wcale kolonizować i że południowej Ameryki nie objęli nigdzie w posiadanie, jak to niby lepiej umiałyby dokonać Niemcy.

Mniemanie to jest bardzo mylne i sam dr. Kärger w swoich Szkicach Brazylijskich podziwia portugalskie osadnictwo, które dotarło do głębi kraju niesłychanie daleko. Gdy podróżnicy europejscy odkrywają całkiem dotąd niby nieznane okolice, nieraz z podziwem napotykają samotnych i na pół zdziczałych Brazylian

portugalskiego języka. którzy już od dawna uważają się tam słusznie za tubylców niedostępnych puszcz leśnych.

Stan Parana i okoliczne: S. Paulo. Santa Catharina i Rio Grande do Sul, opanowane zostały pierwotnie przez Portugalczyków z wysp Asorów. a potem przez Paulistów czyli Mameluków, pochodzących z mieszaniny krwi asorskiej z indyjską. Poznaliśmy ich w walce z ustalającem się społeczeństwem indyjsko-jezuickiem i hiszpańszczyzną. Dzieło zniszczenia przez nich dokonane, możnaby uważać za tytaniczną zbrodnię przeciw ludzkości, za morderstwo straszliwe narodów, za rzeź niemowlęcia, które okazało zdolności cywilizacyjne. za grzech przeciwko duchowi świętemu przez niedopuszczenie małoletniego brata do światła. Ale Mameluk, to była bestya ludzka, jakich wiele jest na świecie. n. p. anglosaska, którą uczony niemiecki nazwał: „Die blonde Bestie" i którą z łatwością odnalazłby we własnej ojczyźnie. o ile by siebie samego nie uchwycił. Nam Polakom nie trudno byłoby gatunki tego samego rodzaju ludzkiego wymienić. W każdym razie Pauliści byli najenergiczniejszym i najwięcej awanturniczym odłamem Brazylian. Fizycznie silni i okazali. łączyli pod wielu względami najlepsze zalety obydwóch ras. z których powstali. Oni to po większej części zaludnili obecne stany Parana. (która do 1853 r. była częścią prowincyi S. Paulo), Santa Catharina i Rio Grande do Sul.

Względny rozkwit południowej Brazylii. oraz wyższość jej nad północną przypisują nie tylko lepszemu klimatowi i większemu napływowi Europejczyków, lecz przedewszystkiem zaludnieniu przez Paulistów.

3. Kolonizacya francuska.

Francuzi nie słyną jako dobrzy koloniści i powszechne jest mniemanie, że zaledwie zdołali skolonizować Kanadę. znajdującą się obecnie pod panowaniem angielskiem. Nie da się jednak zaprzeczyć. że na całej kuli ziemskiej Francuzi niemal wszędzie byli pierwsi, jako misyonarze lub osiedleńcy i wszędzie pozostawili i pozostawiają ślady swego pobytu. Gdziebądź się zapuścisz tam, gdzie dotąd niby słychu nie ma o Francuzach, możesz być pewny, że dogrzebiesz się wiadomości o bytowaniu tego żywiołu w przeszłości lub teraźniejszości pod tą lub inną postacią. Wiadomości o kraju, który zwiedzasz, najrzetelniejsze zwykle otrzymasz z ust

francuskich. Tak też jest i w Brazylii, a stan Parana nie czyni wyjątku.

Daleko na zachód, o jakie 500 kilometrów od Atlantyku nad rzeką Ivahy na jej brzegu prawym, przy ujściu Ivahysinha (małego Ivahy) wśród gór i lasów, w jednej z piękniejszych krain parańskich, dr. Jan Maurycy Faivre założył osadę francuską, którą nazwał Theresina na cześć ówczesnej cesarzowej Brazylii, Francuski z domu. Sprowadził paręset rodzin z Francyi i wydał na założenie i podtrzymanie kolonii znaczne sumy własne i rządu brazylijskiego, który to osadnictwo bardzo popierał. Założyciel był zapaleńcem idei, człowiekiem światłym i energicznym: usiłowania jego jednak stworzenia zarodków społeczeństwa francuskiego w Brazylii spełzły na niczem. Jedna za drugą wynosiły się rodziny francuskie z kolonii i biedny twórca osady skończył na pęknięcie serca z żalu, że nie powiodło się jego przedsiębiorstwo. Po jego śmierci wszyscy Francuzi gromadnie opuścili kolonię, prócz kilku, którzy pożenili się z Brazyliankami. Wówczas Brazylianie opuścili lasy i zajęli miejsce Francuzów, a z pomocą rządu o tyle osada ta zmartwychpowstała, że w innej postaci, czysto brazylijskiej, żyje, a raczej wegetuje życiem na wpół barbarzyńskiem, kaboklowskiem. („Caboclo" zwie się mieszkaniec lasów Brazylii, krwi portugalsko-indyjskiej).

Naprzeciw osady tej, z drugiej strony rzeki Ivahy, na jej brzegu lewym, osiedlili się Indyanie Korroadowie.

Kolonia Theresina leży na granicy kawowej: na północ od niej udałaby się już na wielką skalę uprawa kawy; nie ma tam obawy zniszczenia przez zimna tego najzyskowniejszego w świecie krzewu. Żyzność tamtejszych ziem dziewiczych z pewnością zachęci z czasem do zakładania plantacyi, skoro tylko przeprowadzone zostaną do tych miejsc nowoczesne środki komunikacyjne, umożliwiające zbyt płodów rolniczych.

Na północ o 100 kilometrów od Kurytyby w lesistej okolicy, gdzie rozciągają się pasma gór Serra do Mar, na ogromnym obszarze wynoszącym przeszło 2.000 kilometrów kw., rząd założył wielką kolonię Assunguy w 1860 r. W kolonii tej przeważali Francuzi i Anglicy. — Dwie ważniejsze osady, jedna Assungui freguezia, t. j. parafia (później przezwana: Assungui da cima (szczyt) nad rzeką Ribeira, oraz Assungui colonia nad rzeką Ponta Grossa, rozrosły się z czasem w miasteczka (Serro Azul od 1869 r.). Ale ilość ludności na tym obszarze 2.000 kilometrów wcale się nie zwiększa i, jak stanęła na mniej więcej

10.000, tak też i po 30 latach prawie nic nie wzrosła, pomimo bardzo znacznego początkowo dopływu przybyszów. Jak mnie konduktor kolei żelaznej kurytybskiej. Franzuz, (który opuścił swój działek ziemi w Assungüi), zapewniał. koloniści obficie mieli artykułów spożywczych jako to: kur, mięsa wieprzowego i wołowego. fasoli czarnej. kukurydzy, nawet nabiału, lecz nie mieli się w co odziać. Drogość komunikacyi nie pozwalała im sprzedawać tego, co wytwarzali: wszystkie środki przewozu. t. j. muły, są w ręku bogaczy brazylijskich, którzy za bezcen zakupują wszelkie płody rolnicze i kolonistom użyczają pożyczek. z których ci nigdy wybrnąć nie mogą i stają się białymi niewolnikami swych wierzycieli na resztę życia. Praktyczni Francuzi starali się pożyczek zaciągać jak najwięcej i zaraz potem ulotnić się. W takich warunkach kolonia rozwijać się nie może.

Wpływ francuski w Paranie jest ważny obecnie z powodu znacznego napływu kapitałów francusko-belgijskich i inteligencyi do tego kraju. Kapitały te, przeważnie OO. Jezuitów, pracują na najważniejszych polach: handlowem i inżynierskiem. One to zbudowały małą sieć kolei parańskich — mistrzowską pod względem sztuki inżynierskiej — przez pasmo gór nadmorskich do Kurytyby, a następnie do Lapy i Rio Negro, tudzież do Ponty Grossy i Castro. Inżynierowie francuscy mierzą bieg rzek najwięcej oddalonych w celu zaprowadzenia na nich żeglugi parowej, przeprowadzają przedwstępne badania i trasy przyszłych kolei żelaznych, zyskują różne przywileje i poręczenia od rządu stanowego Parany i zachodzi poważna obawa, ażali nie tylko teraźniejsze, lecz i przyszłe koleje parańskie nie popadną w ich ręce.

4. Kolonizacya angielska.

To, co powiedzieliśmy o immigracyi francuskiej, stosuje się też do angielskiej. Polem osadnictwa angielskiego było Assungui. Anglików do tej kolonii przybyło może nawet więcej niż Francuzów. Zwabieni zostali w roku 1860 z ziemi albiońskiej przez agentów, zachwalających im glebę i klimat w Assungui. Działo się tu zupełnie to samo, co dzieje się u nas w Polsce. Przybyli robotnicy fabryczni nie mieli wyobrażenia o pracy na roli. Były to żywioły niepewne i wiecznie niezadowolone; lecz, mimo tych wad. byliby się utrzymali przy ziemi, gdyby kolonia Assungui miała warunki, sprzyjające osadnictwu niezależnemu.

Ajenci głosili prawdę, zachwalając pod niebiosa ziemię i klimat; lecz przemilczali w dobrej czy złej wierze o braku komunikacyi, o niemożności zbytu płodów rolniczych i niebezpieczeństwie popadnięcia w szpony lichwiarskie bogatych Brazylian. Sami prawdopodobnie nie znali się na warunkach pomyślnego osadnictwa. Przybył też i dobry angielski pierwszorzędny żywioł kolonizacyjny. Słynni kolonizatorowie anglo-sascy jednak, którzy opanowali przeszło 4-tą część ziemi na naszym planecie, nie zdołali utrzymać się w Assungui. Te same wciąż przyczyny, (uniemożliwiające powodzenie niezależnego osadnictwa drobnego), jakie stanęły na zawadzie kolonizacyi francuskiej, wygnały też i synów Albionu z kolonii.

Około 1870 r. zawitały do Brazylii przedsiębiorstwa kolejowe angielskie. Byłyby one pociągnęły za sobą w te pędy i kolonizacyę angielską, racyonalniejszą niż w Assungui, gdyby nie spełzły na niczem. Wyprawy te badały teren pod koleje, mające biedz przez Brazylię do Paraguayu i Boliwii przez stany Rio de Janeiro, S. Paulo, Parana, Matto Grosso. Badania bardzo poważne i dokładne, choć żmudne, trwały przeszło 3 lata. W puszczach leśnych i górzystych sześć sztabów inżynierskich musiało prowadzić ustawiczną walkę z przyrodą i ludźmi. Kosztowały te badania w samej Paranie 30.000 funtów szterlingów (300.000 rubli) i szły z Kurytyby przez Pontę Grossę wzdłuż Ivahy i Tibagy w celu głównym dotarcia koleją żelazną do miejsc spławnych tych rzek, przez co zmierzały do połączenia komunikacyjnego Atlantyku z wspomnianymi powyżej systemami wodnymi.

Z robót tych przygotowawczych obecnie korzysta prawdopodobnie Kompania francusko-belgijska kolei żelaznych w Paranie. Pozostał też ślad po nich inny: illustrowana książka napisana pięknie, żywo, ciekawie i z podkładem uczoności, przez jednego ze współuczestników wyprawy: „Pioneering in South Brasil — three years of forest and prairie life in the province of Parana" (działalność pionerska w południowej Brazylii — trzy lata życia leśnego i stepowego w prowincyi Parana) przez Thomasa P. Bigg-Wither.

5. Kolonizacya włoska.

Osadnictwo włoskie pod względem liczebnym jest ważniejsze od dwóch poprzednich. Włosi opuszczają ojczyznę zwykle w po-

goni za zarobkiem, udając się do Brazylii na plantacye kawy w S. Paulo i Rio de Janeiro. Lecz niemniej osiadają, choć w mniejszej mierze, na roli i okazują się jednymi z najlepszych kolonistów, oddanych szczególnie uprawie wina. Założone zostały z nich kosztem parańskiego stanu i miast wiele małych osad nad morzem pod Kurytybą i Pontą Grossą. Jedna kolonia ogromna, Santa Felicidade, obecnie na pół polska, znajduje się w pobliżu południowem Kurytyby.

Z dziedziny kolonizacyi włoskiej zasługują na wzmiankę usiłowania szlachetnego entuzyasty Jana Rossi, który około 1880 roku bez pomocy rządowej i z mniejszemi funduszami, niż jego brat ideowy, Jan Maurycy Faivre, założył na zasadach współdzielczych kolonię Cecylię pod osadą Santa Barbara, w okolicy stepowo-leśnej, o 150 kilometrów na zachód od Kurytyby i o 60 kilometrów na południe od miasta Ponta Grossa, a o 3 mile (20 kilm.) na południe od miasteczka Pałmeira — niedaleko więc od możliwych miejsc zbytu i jakich takich ognisk cywilizowanych ludzkich. Kolonia doszła do pewnego stopnia rozwoju, zabudowała się gęsto dom przy domie, jakby jaka wieś większa na Podolu. Sto rodzin włoskich żyło zgodnie i pomyślnie na podstawie wspólności środków wytwarzania. Po kilku latach jednak, coś się popsuło w komunistycznej organizacyi rozkwitającej osady i opustoszała całkiem do ostatniego mieszkańca.

Liczba Włochów w Paranie wynosi 20.000.

6. Kolonizacya niemiecka.

Jeszcze ważniejszą, choć mniej liczną od włoskiej, jest w Paranie kolonizacya niemiecka. Niemcy miewają przewagę pieniężną i stowarzyszeniową po miastach i miasteczkach. W kilku miejscach są skupieni w poważne liczbą i znaczeniem stepowe kolonie rolnicze, np. pod Pontą Grossa i Lapą (Marienthal). Są to Niemcy z Rossyi, zwani Deutsch Russen, Russos. Wielu z nich wywędrowało do Argentyny po kilku latach pobytu w Paranie, przekonawszy się, że stepy czarnoziemne parańskie, na których osiedli, nie dorównywują czarnoziemiu Rossyi. Niedowierzali górom i lasom, które im słusznie zachwalano. Przypuszczali wciąż błędnie, że czarnoziem zawsze jest żyźniejszy od ziemi górskiej.

Kolonizacya niemiecka postępuje w wielkiej mierze od dawna z sąsiedniego stanu Santa Catharina. Już około 1870 roku Niemcy

mieli wielkie znaczenie. Byli oni już wtedy najpoważniejszymi przedstawicielami przemysłu i handlu; w ich ręku np. były środki przewozowe (muły, konie) i wendy (sklepy).

Później przybyły inne narody, stając do współzawodnictwa z Niemcami, odebrały im tę przewagę w znacznej części tak, że niezupełnie bezzasadnie szowinista niemiecki przepojony być może goryczą w sercu, widząc jak obok niemieckich zakładów przemysłowych, środków przewozowych, handlów i osad rolnych, powstają brazylijsko-portugalskie, włoskie, francuskie i polskie. W każdym jednak razie Niemcy rąk nie zakładają — zwłaszcza ich młodsza generacya. Wszędzie po całym stanie znajdują się oni rozrzuceni. Musiałbym wymienić wszystkie miejscowości zaludnione, chcąc wykazać szczegółowo wielu ich jest w każdej z nich, jako rzemieślników, fabrykantów i kupców. W Kurytybie mają swe szkoły, stowarzyszenia, rozwinięte życie towarzyskie, salę koncertową i drugą przeznaczoną do różnych widowisk, kirchy protestanckie, kościoły katolickie, czasopisma.

7. Kolonizacya słowiańska.

Z fal osiedleńczych, słowiańska jest silniejszą liczebnie w Paranie od każdej z wyżej wymienionych. Z słowiańskich zaś najważniejszą jest polska pod każdym względem tak, że powszechnie ludzie, nie rozróżniający szczegółów, mówią tylko o polskiej. Brazylianie niektórzy, mający ciągle do czynienia z osiedleńcami rozróżniają zaledwie dwa rodzaje „Polacos" (Polaków i Rusinów).

Pierwsi „Polacos" przybyli w 1868 r. w czasie prądu emigracyjnego niemieckiego z Górnoślązka do stanu Santa Catharina na miejsce opuszczone przedtem już przez Irlandczyków, zwane Sixteen Lots (po angielsku 16 działków ziemi). Irlandczycy, przerażeni dzikością przyrody i napaściami Butukudów czyli Bugrów, powrócili do Anglii na koszt rządu brazylijskiego. Położona w głębi puszczy leśnej miejscowość Sixteen Lots miała, jako kolonia, nieuleczalną wadę zasadniczą, na którą cierpiały wspomniane powyżej kolonie Theresina i Assungui.

Została ona tedy też opuszczona przez nowych polskich osiedleńców po roku. Za radą i pośrednictwem p. Edmunda Zaporskiego, także Górnoślązaka, którego słusznie nazwano ojcem kolonizacyi polskiej w Paranie, Ślązacy w 1869 r. przedarli się

do Kurytyby, odległej przeszło 200 kilometrów, przez dziewicze i niedostępne góry i lasy, zwalczając w podróży tej trudności bajeczne. Przybyli najpierw mężczyźni, a za nimi potem kobiety z dziećmi. Przyrzeczonych jednak dla nich Zaporskiemu działków ziemi nie otrzymali skutkiem zmiany życzliwego Polakom gubernatora na nieżyczliwego i będącego pod wpływem Niemców. Utrzymywani tymczasowo na koszt Zaporskiego, dostali wreszcie zarobek przy budowie dróg, a następnie założyli pierwszą polską kolonię rolniczą pod Kurytybą, zwaną Pilharzinho.

W ciągu lat 10-ciu od 70-go do 80-go powstały w okolicach bezpośrednich Kurytyby osady następujące złożone z Górnoślązaków, zachodnich Prusaków i Galicyan: Abranchez, Nowa Polonia, (zbiór kilku osad, jak S. Ignacio, N. Orleans i t. d.), Thomas Coelho i kilka innych. Obecnie liczą ludność polską pod stolicą Parany na 40.000 dusz. Jest to pierwszy przypływ słowiański o stosunkowo małych prądach z pod panowania pruskiego i Galicyi zachodniej.

W latach 1889—1892 pojawiła się wielka gorączka emigracyjna do Brazylii, która objęła całe Królestwo Polskie. Obdzieliła ona obficie stany Rio de Janeiro, S. Paulo, Parana, Santa Catharina i Rio Grande do Sul — najhojniej ostatni i Paranę. Ludność tego prądu przeważnie robotnicza, potworzyła osady większe i dalej na południu i zachodzie od Kurytyby położone, nad rzekami Iguasu i Rio Negro.

Fala ta największa ustała, lecz wyżłobiła koryto, po którem ściekają wciąż małe strumyki.

Ostatni silniejszy prąd wychodźczy słowiański potoczył się z Galicyi wschodniej w 1895 r. prawie wyłącznie tylko do Parany. Kierunek ten jest z góry powzięty i zalecany przez ludzi zgrupowanych we Lwowie około Przeglądu Emigracyjnego, Gazety Handlowo-Geograficznej i Towarzystwa Handlowo-Geograficznego. Liczny ten napływ polsko-rusiński wzmocnił kolonie założone już przed kilku laty przez pionierów z Królestwa wzdłuż wód Iguasowych i Rionegryńskich. Przybysze wschodnio-galicyjscy znaleźli pomoc i oparcie u swych poprzedników (zarobek i mieszkanie). Nie stanęli tedy zupełnie pierwsi wśród dzikiej i bezludnej puszczy. Równocześnie zaś mają z góry wyższość i ułatwienie nad Królewiakami w tem, że są rolnikami i do roli jakkolwiek innej niż w kraju rodzinnym, nie potrzebują się naginać, jak na to byli skazani robotnicy i rzemieślnicy z Królestwa.

O Kroatach czy Dalmatyńcach, przybyłych z prądem włoskim, i Czechach wiem tylko tyle, że są w bardzo małej liczbie. Jest 10 czeskich rodzin w kolonii polskiej Mateusz nad Iguasem.

Żywiołu żydowskiego nie ma prawie wcale. Podobno po średniowiecznemu dawniej prześladowano, bito a nawet kaleczono starozakonnych w całej Brazylii. Z tego względu niby obawiają się oni osiadać w Paranie. Zanadto jednak są anegdotyczne te opowieści przeszłości, by ową nieobecność wytłumaczyć jedynie obawą powtórzenia się faktów podobnych, tem bardziej, że teraz nie ma nawet żadnego uprzedzenia względem żydów w Brazylii, a mimo to nie zjawiają się oni tam dotąd za chłopem polskim i rusińskim.

ROZDZIAŁ VII.

C. Handel i Przemysł (Mate herbata. — Rolnictwo i ogrodownictwo. — Hodowla. — Skarby mineralne i roślinne. — Płaca robotnika. — Narzędzie zw. fojsa. — Maszyna zw. Monjolo). — Przyroda. — Motyle. — Orchideje. — Miód i pszczoły. — Mrówki. — Papugi.

Handel.

Pod względem handlowym stan brazylijski Parana, jest dotąd przeważnie krajem dowozu wyrobów przemysłowych. Przy wzmagającej się kolonizacyi wraz z jej rozwojem, wzrastają potrzeby kolonistów ogólno-cywilizacyjne, jak dotyczące ubioru, wygód, narzędzi i maszyn. Rzeczy te nie mogą być zrazu przez osadników wytwarzane. Produkcya ogólna musi się rozpocząć od uprawiania płodów rolniczych lub hodowania bydła, albo też od płodów wyjątkowo podanych przez przyrodę n. p. herbaty zwanej Mate. Wywozi się więc ze stanu parańskiego głównie ten wytwór miejscowy oraz skóry — w ostatnich czasach cokolwiek wosku i drzewa — dowozi się zaś do niego wyroby przemysłowe zboże i mąkę (z Argentyny). Z czasem przy lepszych komunikacyach i podniesieniu się rolnictwa będzie się zeń wywoziło najniezawodniej płody ziemi inne, n. p. zboże i kawę i może wełnę — do hodowli owiec bowiem nadają się wielkie obszary ziemi, będące dotąd pustyniami.

Wielki handel parański znajduje się w ręku brazylijskim i niemieckim. Niemcy opanowali handel dowozowy i główny dowóz tedy płynie z Niemiec przeważnie z Hamburga. Swoją przewagę handlową zawdzięczają oni zamożności swej, wyrobieniu handlowemu i zapobiegliwości, większej niż u innych narodowości w Paranie, jak tego dowodzą fakta nastepujące.

Lud polski przywiązany jest do swego stroju; zwłaszcza kobiety lubią się wciąż przyozdabiać w czerwone husty i husteczki. Sprowadzał je im kupiec zawołany p. Bendaszewski z Galicyi. Lecz, myśląc loicznie i po kupiecku, wpadł na pomysł, że taniej mu wypadnie kazać je wyrabiać przez fabryki niemieckie na Ślązku. Chusty te staniały w Paranie na korzyść przemysłu niemieckiego, a wywóz ich z Galicyi do Parany ustał. Czy dzielny kupiec nie mógłby był ten sam towar obstalowywać w Łodzi, Warszawie, Białymstoku?

Drugi fakt znamienny. Lud nasz z okolic Kurytyby lubuje się w fajansach białych z ozdobami zielonemi; półmiski, talerze i t. p. o deseniach liści i kwiatów zielonych, znajdują się w każdym domu podkurytybskim. Zauważył gust taki naszych osadników p. Bendaszewski, obstalował towar ten w fabryce angielskiej i ta od kilkunastu lat zaopatruje lud polski w te serwisy. Cieszą się nasi, jak nadzy w pokrzywach, że mają tanio swoje polskie talerze, a obojętnie patrzą na to lub nawet nie wiedzą, kto ich uszczęśliwia temi wyrobami, a tymczasem towar ten angielski dostarcza im handel niemiecki: przywożą go im do Parany okręty niemieckie. Czyżby takich prostych wyrobów też nie można było obstalować w fabrykach Królestwa Polskiego?

Trzeci fakt zapobiegliwości niemieckiej.

Rozwój kolonizacyi sprawił, że dowóz towarów z Europy wzmógł się znacznie, skutkiem czego okazało się uciążliwem przeładowywać je wciąż z okrętów europejskich oceanowych na brazylijskie w Rio de Janeiro; zrozumiano w kołach kupieckich korzyść bezpośredniej komunikacyi z Europą. Zrozumiał to też i stanowy rząd parański. Skutkiem zabiegów tedy dwóch poddanych austryackich, p. Bendaszewskiego i Frejtana z Tryestu, powstało w Hamburgu towarzystwo przewozowe, dowożące towary z Hamburga wprost do Paranagua, bez przeładowywania ich w stolicy Brazylii. Takie samo towarzystwo mogłoby doskonale było powstać w Tryeście, z pomocą rządu i kupiectwa austryackiego... Wtedy dowóz z Austryi i Węgier powiększyłby się prawdopodobnie o tyle, o ile zwiększył się w ostatnich czasach dowóz ich

z Niemiec. Lecz z tego nie skorzystano, bo zrozumieniem spraw handlowo-kolonizacyjnych nie odznaczano się w Wiedniu przed nastaniem hr. Gołuchowskiego.

Rządy stanów Santa Catharina i Rio Grande do Sul płacą też wraz ze stanem Parana znaczne zasiłki przewozowemu towarzystwu „Frejtas“. Poparcie to stanów południowych brazylijskich postawiło je na nogi w r. 1892, lecz nie będzie ono długo obciążało ich budżety. Prawdopodobnie już przed upływem lat dziesięciu przedsiębiorstwo to będzie miało takie zyski z ożywienia się handlu z Europą, iż obędzie się doskonale bez powyższej pomocy.

Dr. Stanisław Kłobukowski.

(Ciąg dalszy nastąpi).

Ostatnie dramaty Ibsena.

(Dokończenie.)

III.

John Gabryel Borkman jest jednym z owych niezwykłych ludzi, których tak często spotyka się w utworach Ibsena. Dość przypomnieć mistrza Solnessa. Niezmierna ambicya i połączony z nią zanik, a raczej opanowanie, uczuć nieegoistycznych, oto zasadnicze rysy charakteru Borkmana. Do tych dwóch rysów, przypomniawszy, że ojciec Borkmana był górnikiem, doliczyć należy jeszcze symboliczne, fascynujące działanie bogactw kryjących się w podziemnych kruszcach, które mu tak, a nie inaczej postępywać nakazuje.

Te dane nakreśliły mu plan życia tak wielki, że pojąć go nie mogą zwykłe, filisterskie dusze. Pragnie on, by głębie ziemi stały się niewyczerpanem źródłem dobrobytu i szczęścia ludzkości oraz jego potęgi zarazem. By jednak tych skarbów mógł on z korzyścią dla swych celów używać, musi on dojść do wysokiego stanowiska, dającego mu w ręce olbrzymią władzę. Plan ten, w którym tonie cała jego dusza, nakazuje mu usuwać z drogi wszelkie przeszkody, nawet kosztem pogwałcenia wszelkich zasad etycznych. Przedewszystkiem poświęca on mu swą pierwszą miłość. Kochał on niegdyś Elię Rentheim, jedną z dwu

siostr bliźnich, i byłby prawdopodobnie z nią się ożenił, gdyby nie to, że jeden z jego wpływowych a bogatych przyjaciół stara się o jej rękę. Na ołtarzu ambicyi składa Borkman tę miłość, bo przyjaciel Borkmana znając jego uczucia względem Elli, ofiarowuje mu w zamian „odczepne“ w formie posady dyrektora olbrzymiego banku akcyjnego. Borkman dopiął swego, na wybitnem stanowisku dochodzi niemal do monarszej władzy, wszyscy korzą się przed nim, a on rozpoczyna genialne, lecz ryzykowne spekulacye, by wypełnić swe zamiary. Niedługo potem żeni się Borkman z Gunhildą, siostrą Elli, która znów nie przyjmuje oświadczyn byłego protektora Borkmana, kochała bowiem jego samego gorąco i szczerze. Borkman dochodzi do szczytu potęgi. Ale szczęście nie zawsze towarzyszy genialnym pomysłom. Borkman narusza depozyty bankowe, bo te mu są potrzebne chwilowo do przeprowadzenia genialnych operacyi finansowych, ale przyjaciel ów, który wystarał się dlań ongi o stanowisko dyrektora, odtrącony przez Ellę, znając tajemnice Borkmana, zdradza go... i Borkman dostaje się do więzienia. Po ośmiu latach więzienia powraca Borkman do domu i wiedzie życie samotnika, oddany rozmyślaniom o przeszłości i przyszłości, w którą mimo tych wszystkich wypadków wierzy.

Oto dyspozycya dramatu, utworzona na podstawie zdań oderwanych, słówek i półsłówek rzucanych w ciągu odgrywającej się na scenie akcyi, w czem jest Ibsen niepoślednim mistrzem, a co po nim przejęli w mniejszym lub większym stopniu, zależnie od indywidualnego talentu, niemal wszyscy współcześni dramatopisarze.

A teraz przystąpmy do samego dramatu.

Po podniesieniu zasłony poznajemy się z Gunhildą, żoną Borkmana, oczekującą niecierpliwie odwiedzin syna swego, Erharda, który dla studyów mieszka stale w pobliskiem mieście.

Gunhilda, jak wszystkie zresztą kobiety Ibsena, o charakterach niepołowicznych, kochała niegdyś Borkmana, po nieszczęśliwym jednakże wypadku, który go przed trybunał sądowy zaprowadził, odczuła tak dojmująco hańbę spadającą na męża, a przez to i na nią samą, że cała miłość jej zmieniła się w gorycz i bezlitosną, zimną nienawiść. Ale charaktery tak silne, jak Gunhilda, nie mogą zatonąć w nieczynnej rozpaczy i nienawiści. Gunhilda szuka wyzwolenia z obecnego położenia, nie zastanawiając się nad tem, czy jej zamiary opierają się na realnej podstawie, czy w iluzyi. Chodzi jej przedewszystkiem o to, by rodzina Borkmanów

odzyskała z powrotem szacunek, jakim się szczyciła przed uwięzieniem Johna Gabryela, by było jak wtedy, gdy Borkman był niemal królem i pozwalał, by mu się ludzie kłaniali z uniżoną czołobitnością, gdyby jakiemu monarsze.

Tym zaś, który ma świetność minioną domowi Borkmanów przywrócić, ma być jej syn, Erhard. Tej myśli uczepiła się Gunhilda jak deski ratunku, ona jest treścią jej życia, w tej myśli zatonęła cała jej dusza i uwierzyła tak fanatycznie we własną fikcyę, że inny obrót rzeczy zdaje się być dla niej niepodobieństwem.

I oto poczyna jej zamiarom grozić niebezpieczeństwo. Przybywa Ella, jej siostra, która po katastrofie i teraz jeszcze właściwie swymi funduszami utrzymuje Borkmanów, i u której, w czasie katastrofy i potem przez lat kilka wychowywał się Erhard. Na niego to przelała ona całą potęgę miłości, jaką czuła do Johna Gabryela — i teraz przybywa, czując się poważnie chorą, bliską zgonu według opinii lekarzy, by w pobliżu Erharda przepędzić ostatnie dni swego życia. Wskutek tego powstaje zacięta walka pomiędzy temi dwoma kobietami. Każda pragnęłaby w zupełności pozyskać sobie Erharda. Pragnienie Gunhildy objawia się w jakimś dziwnym, twardym, bezwzględnym despotyzmie i w wpieraniu w syna, że celem jego życia jest uwolnienie domu rodzinnego od hańby na nim ciążącej, Ella znów stara się go pozyskać dobrocią i wyrozumiałością.

Ale żadna z nich nie zwycięża. Ani despotyzm i wtłaczanie pojęć o obowiązku Gunhildy, ani cicha miłość Elli, nie mogą skłonić go do pozostania w domu. Ten młody chłopak rwie się do życia, do szczęścia, pragnie swobody i rozkoszy, którą poznać mu daje rozwódka pani Fanny Wilton, jedna z tych fascynujących swą miłością kobiet Ibsena. Z nią postanawia Erhard ruszyć w świat.

Odsłona druga odgrywa się w pokoju Borkmana, położonym tuż ponad pokojem Gunhildy. Od kilku lat, od czasu opuszczenia więzienia, przebywa w nim Borkman, nie opuszczając go ani na chwilę, zamknięty dobrowolnie, gdyby „ranny wilk w klatce“, oddany jedynie rozmyślanom o przeszłości i przyszłości. W czasie długiej samotności w więzieniu i w tem dobrowolnem odosobnieniu przemyślał on nieskończoną ilość razy cały bieg wypadków aż do chwili uwięzienia, ze stanowiska oskarżyciela i ze stanowiska obrońcy i zawsze dochodził do przeświadczenia, że jest nie tylko niewinnym, ale nawet pokrzywdzonym. Ten genialny „nad-

człowiek“ przejęty jest „manią wielkości“. Sumienie nic a nic mu nie wyrzuca. Potworną mu się jedynie wydaje zdrada, jakiej się wobec niego dopuścił przyjaciel. „Najhaniebniejszem jest, kiedy przyjaciel nadużyje zaufania przyjaciela“ — oto jego słowa. Co do samego siebie czuje się zupełnie niewinnym. „Gdyby mi dano tydzień tylko bodaj — powiada — jeden tydzień czasu na doprowadzenie wszystkiego do porządku. Wszystkie depozyty byłyby napowrót ściągnięte do kasy. Wszystkie papiery procentowe, po które sięgnąłem śmiałą dłonią, by je rzucić w obrót, byłyby już leżały napowrót na swojem miejscu, jak poprzednio. Włos zaledwie brakło tylko, a olbrzymie stowarzyszenia akcyjne byłyby przyszły do skutku. Żywa dusza nie straciłaby ani grosza... a wtedy „Wszystkie te kopalnie, które byłbym pozyskał! Nowe wytwarzał w nieskończoność! Wodospady zużytkowane! Kamieniołomy! Nowe drogi handlowe i komunikacye morskie, które połączyłyby świat cały! Wszystko, wszystko to byłbym przeprowadził!...“

Ale Borkman nie traci nadziei, wierzy w lepszą przyszłość, wierzy, że ludzie powrócą do niego i ukorzą się przed nim. „Skoro godzina zadośćuczynienia dla mnie wybije... Kiedy nabiorą przekonania, że się bezemnie obejść nie mogą... Kiedy przyjdą do mnie tu, do tej sali i czołgać się będę na kolanach i błagać i żebrać, abym ujął napowrót w ręce ster banku... Nowego banku, który oni ufundowali, a którym nie umieją kierować...“

Te słowa wypowiada on do jedynego przyjaciela swego, Foldala, który tak samo jak i Borkman łudzi się i obaj żyją tem złudzeniem: Borkman, złudzeniem, że przyszłość do niego należy, Foldal złudzeniem, że ma talent pisarza dramatycznego. To złudzenie jest nicią łączącą ich wzajemnie, gdy zaś Foldal poczyna powątpiewać w możliwość zwycięstwa Borkmana, Borkman zaś nie uznaje rzekomego talentu Foldala, muszą się rozejść, bo pękła jedyna nić, która ich łączyła...

Do pokoju Borkmana wchodzi Ella. Zjawia się tu z życzeniem, by pozwolił, aby syn jego nosił jej a nie jego nazwisko, tym sposobem pragnie bowiem ochronić go od wpływu Gunhildy i zatrzymać go przy sobie. Przy tej sposobności, z długiego, przepysznego dyalogu dowiadujemy się o ich dawnej miłości, o odsprzedaniu tej miłości przez Borkmana swemu protektorowi i poznajemy gorącą, namiętną miłość Elli, twierdzącej: „Tyś zabił życie serca we mnie. Rozumiesz ty, co to znaczy? Biblia wspomina o tajemniczym grzechu, dla którego nie ma przebaczenia. Dawniej nie mogłem pojąć, o jakim to grzechu mowa. Teraz to

pojmuję. Ten wielki, niedarowany grzech popełnia się, zabijając w innym człowieku życie serca...“ Odsłonę tę kończy nagłe pojawienie się Gunhildy, usiłującej przeszkodzić zamiarom Elli.

W trzeciej odsłonie znów znajdujemy się w pokoju pani Borkman. Z rozmowy pomiędzy Borkmanem, jego żoną i Ellą dowiadujemy się o wielu momentach z życia przeszłego tych osób. Borkman przejrzawszy, że nadzieja jego, aby ludzie do niego przyszli i prosili go o przebaczenie, jest złudzeniem, zamierza „wyrwać się z tych marzeń“ i rozpocząć wszystko na nowo „od samych podstaw“. „Pracą — powiada — nieustanną pracą dla tego wszystkiego, co miałem przed oczyma w młodości, w com patrzył jak w życie samo“. Gunhilda zaś i Ella przywołują Erharda, by ten sam rozstrzygnął, przy której z nich ma pozostać. Ale Erhard rozstrzyga na niekorzyść obu, oraz ojca, który pragnie, aby z nim się sprzymierzył. „Jestem młody! — zaznacza. — Chcę także jak inni raz żyć i zakosztować życia. Chcę raz zacząć żyć własnem życiem!“ — i opuszcza dom rodzinny, by odjechać w towarzystwie pani Wilton.

A więc wszystko zburzone. Zniszczone marzenie Borkmana, zniszczona nadzieja pani Borkman i Elli. I nic dziwnego, że Borkman opuszcza dom, w którym bezskutecznie oczekiwał tak długo wymarzonej rehabilitacyi, byle być po za nim. I nic dziwnego, że w czwartej odsłonie, odgrywającej się w czasie burzy śnieżnej w ogrodzie obok domu Borkmana, gdy Borkman umiera nagle, skutkiem dotknięcia „dłoni ze spižu“, pani Borkman i Ella podają sobie ręce nad jego trupem. „My siostry bliźniacze — nad zwłokami człowieka, któregośmy obie kochały“ — mówi pani Borkman. „My, dwa cienie — nad umarłym“ — dodaje Ella...

Jak tych słów kilka przekonać mogło, „John Gabryel Borkman“ Ibsena należy do dzieł niepospolitych. Głęboka analiza dusz ludzkich, fascynujący półmrok, w którym się pławi cały utwór, smętność przenikająca go, lapidarność stylu i ciągłe napięcie, w jakiem wspomianymi środkami utrzymuje czytelnika, wywierają przedziwny, acz przygnębiający urok.

Przygnębiający? Tak. Bo wniknąwszy w ten utwór, ujrzymy wynurzającą się z tajemniczej jego głębi twarz autora, jego zaciśnięte boleśnie usta, na których wiecznie spoczywa ironia i zdaje się, że słyszymy cichy, szyderczy szept jego duszy: „Ludzie! wasze marzenia, zamiary, chęci — to bańki mydlane: wami rządzi mus, z pod którego władzy napróżno się wyrwać usiłujecie. Ludzie bezwolni życie nasze polega na... łudzeniu się“.

Ten mus, zasadniczy składnik swej filozofii, symbolizuje umysł genialnego starca już to fascynującą potęgą morza („Pani morza“), już to wreszcie tajemniczą potęgą podziemnego kruszcu, jak w utworze omawianym. „To tchnienie kruszcu — mówi Borkman — działa na mnie jak rozkosz życia. To tchnienie wieje ku mnie niby pozdrowienie podwładnych mi duchów. Czuję je, te spętane miliony; czuję tętno żył kruszcowych, co swe splątane, rozgałęzione, wabne ramiona, wyciągają ku mnie...“

Drugą zasadniczą cechą tego utworu jest kwestya samołudzenia się. Borkman łudzi się, że przyszłość do niego należy. Foldal, jego przyjaciel, łudzi się, że ma talent. Żona Borkmana łudzi się, że jej syn zmyje hańbę ojca — a ten syn, zawodzący nadzieje matki, rusza w świat, łudząc się, że znajdzie szczęście. Ale bieg wypadków zrywa opaski złudzeń z oczu tych ludzi, i to jest podstawą tragiczności wielu utworów Ibsena, bo osoby te żyły jedynie, oddechały tem złudzeniem, ono było koniecznym warunkiem ich bytowania.

W końcu, jeżeli ze stanowiska techniki pisarskiej przyjrzymy się „John Gabryelowi Borkmanowi“, uderzy nas przedewszystkiem koncentracya akcyi, a raczej brak akcyi w tym utworze. Cała ta akcya odbywa się w głębi dusz występujących osób, w rytmie tak przyspieszonym, że „przez ciąg zimowego wieczora“ prowadzi do prawdziwie tragicznej katastrofy. Zarodki i przyczyny tej katastrofy istniały już dawniej w duszach tych ludzi. Ibsen w utworze swym przedstawia chwilę, w której wzrósłszy do maximum, pędzą tych ludzi żywiołowo na dno przepaści. Żadnych zawikłań, żadnych wątpliwości: czujemy zaraz po podniesieniu zasłony, że ludzie ci skazani są na zagładę, że na duszach ich spoczęła „spiżowa ręka“ genialnej woli autora...

IV.

I snać to przeświadczenie, że szczęście ludzkie polega na złudzeniu, boleć musiało Ibsena bardzo, bo oto obudziło w duszy jego litość względem biednych, nieszczęśliwych ludzi, których on ongi smagał skorpionowym biczem satyry i oburzenia. I nic dziwnego, bo ten gniew Ibsena, to nie był gniew mizantropa lub hipohondryka, ten jego pesymizm nie był jedynie bezcelowym pasymizmem. Jego satyra była gdyby doświadczeniem lekarza-anatoma, który kraje ciała, ale na to, by poznać ich choroby

i wynaleźć odpowiednie leki; a jego gniew, to gniew z tego powodu, że jego chorzy tych chorób, nurtujących ich organizmy, nie widzą i leczyć ich nie chcą. Ale ten chirurg ma serce i w tem sercu obudziła się litość dla biednych chorych. Najszerszy wyraz dla tej litości znajdujemy w „Małym Eyolfie“ Ibsena.

* * *

Jest małżeństwo Alfred Allmers, właściciel dóbr, literat, były nauczyciel i Rita, której posag dozwala mu pędzić życie bez troski o byt swój i swej przyrodniej siostry Asty, i pracować spokojnie nad naukowem dziełem p. t. „Odpowiedzialność ludzi“. Rita ma temperament niezwykle bujny, gorący, kocha ona namiętnie, całą potęgą swych zmysłów Alfreda i tej miłości nie chce dzielić z nikim, z nikim bezwarunkowo. Ongi, przed laty, gdy szaleństwo miłości skuło ją z mężem w chwili zmysłowej ekstazy, ich maleńki synek, Eyolf, spadł ze stołu, złamał nogę i stał się kaleką na całe życie. I oto żyje pośród nich niewinny, nieszczęśliwy, widomy wyrzut sumienia. To zabija ich miłość. Alfred stara się ból zagłuszyć zatopieniem się w nauce, pracą nad swem dziełem, ale to mu się nie udaje i wtedy postanawia całe swe życie poświęcić opiece i wychowaniu syna. Kocha on również bardzo swą przyrodnią siostrę Astę, nie wiedząc wcale, że właściwie nie jest ona jego siostrą, gdyż jest owocem grzechu, popełnionego przez jego macochę jeszcze za życia ojca. To przelanie prawie całej miłości na małego Eyolfa i na Astę jest prawdziwym ciosem dla namiętnej Rity. Rita boleje i szaleje w głębi duszy, że utraciła dawną miłość męża — i w chwilach rozpaczy pragnie i pożąda w skrytości śmierci przeszkody tej miłości, śmierci swego własnego dziecka, kaleki Eyolfa. I oto „szczurołapka“ — postać, gdyby wyjęta z bajek Andersena, a według zwierzeń Ibsena utworzona na wzór starej kobiety, która do budynku szkolnego, za lat dziecinnych Ibsena w Skien, przychodziła, by niszczyć szczury — zjawia się, wywabia z domu małego Eyolfa na brzeg morski — i biedny Eyolf wpada do wody i tonie. Rozpacz matki i ojca bez granic. Otwarte, szklanne oczy nieżywego dziecka patrzą wciąż bezgłośnym, straszliwym wyrzutem w duszę matki. A wtedy staje Ibsen przy tych dwojgu nieszczęśliwych i podaje im deskę ratunku. Nie potrzebują się rozłączać. Spokój przynajmniej w części powróci, jeżeli przestaną myśleć jedynie o sobie, o swoim bólu, a pomyślą o nieszczęściu bliźnich. Altruizm niech

się stanie ich deską ratunku. Schronisko i sanatoryum dla tak niewinnych kalek, jak zmarły Eyolf, niech będzie celem ich życia.

A potem napisał Ibsen jeszcze jedno dzieło: „Zmartwychwstanie“, (w przekładzie polskim również tytuły: „A kiedy z martwych powstaniemy“, najwłaściwszy, — oraz „W dniu zmartwychwstania“), nazywając je „epilogiem dramatycznym w trzech aktach“. Snać przeczuł, że utwór ten jest zarazem epilogiem jego pisarskiej działalności.

I cóż nam powiada w tym „epilogu“?

W pełnym smutku utworze, poeta u schyłku swego życia, wiernym jest swej zasadzie, ongi wygłoszonej: „wszystko, albo nic“, tylko, że zamiast przedstawić walkę, dążenie do celu, on poważnie, smutnie a litościwie rozważa losy dwojga ludzi, którzy tej zasadzie się sprzeniewierzyli. Są to losy (znów przedstawione w swem tragicznem zakończeniu) profesora Arnolda Rubeka, ongi sławnego artysty-rzeźbiarza i Ireny, ongi jego modelki. Rubek ze względów filisterskich i z tchórzostwa, by nie zwichnąć swej karyery, nie połączył się z Ireną mimo obopólnej gorącej miłości. Ożenił on się z Mają, posażną panną, Irena zaś wyszła za właściciela kopalni złota, Satowa. Ale ten obopólny grzech podeptania miłości prawdziwej srodze się na nich pomścił. Umarły dusze w nich obojgu. Dusza jego, dusza artysty, stała się twórczo-bezpłodną, a jej okryła się mgłą obłędu. I oto przypadkowo zeszli się w sanatoryum kąpielowem, nad cichym, posępnym fiordem i dusze ich pragną i pożądają zmartwychwstania, ale zniszczone bolem życia sił już do tego nie mają. Wspólna śmierć jest dla nich jedynem wybawieniem. Nic dziwnego — zdaje się mówić Ibsen — tak być musiało. Trzeba być zawsze sobą, nie należy oszukiwać samego siebie. Należy być takim, jak w tym utworze „niedźwiedziobójca“ Ulfheim i żona Rubeka, Maja. Ci wierzą w życie i kochają je, i idą tam, gdzie ich niefałszowany głos wewnętrzny woła.

A więc i w ostatniem dziele jeszcze jeden protest przeciw fałszowi i kłamstwu, przeciw krępowaniu indywidualności. Ibsen wiernym sobie zostaje do końca...

Był najpierw laikiem, który w szeregu dramatów legendarnych i historycznych szukał formy, kolorytu i tonu dla swych utworów; potem szermierzem zwalniającym fałszywe bogi społeczne o glinianych podstawach; potem chirurgiem, który z wściekłą pasyą jakąś obnaża wszelkie choroby przed naszemi oczyma; potem heroldem ogłaszającym zbawcze leki — a wreszcie, w ostatnim swym

okresie, mędrcem — lekarzem siedzącym przy łożu człowieka nieuleczalnie chorego z własnej winy.

A dodajmy do tego, że równolegle z pogłębieniem treści i artystyczna budowa jego dramatów doskonali się i dochodzi do tej wspaniałości, że staje się wzorem niedoścignionym i kanonem artystycznym dla wszystkich niemal współczesnych pisarzy dramatycznych. Słusznie więc tych kilka słów zakończyć można twierdzeniem Aksel-Gardego, jednego z najlepszych krytyków duńskich, że Ibsen, ten lew Północy, to postać genialna mogąca stanąć w jednym szeregu z Eschylosem i Szekspirem, również jak on duchami wieczystej wartości.

Adam Stodor.

„Ostatni“ Z. Krasińskiego.

(Dokończenie).

Jeszcze jeden, nieznany dotąd, literacki czynnik wpłynął na przypomnienie Krasińskiemu losów skazańca i kto wie, czy na podjęcie tematu nie zaważył bezpośrednio i silniej, niż wpływ Mickiewicza: Zaraz po wybuchu rewolucyi zaczęło wychodzić w Warszawie kilkoćwiartkowe i kilkogroszowe, peryodyczne pisemko, 8⁰, p. t.: „Bard oswobodzonej Polski“[1]) (wyd. Królikowski). Drukowano w niem wyłącznie wiersze patryotyczne; obok przedruków (n. p. Woronicza, Mickiewicza...), także poezye nowe, dość często anonimowe. Jedną z takich jest „Głos więźnia z lochów podziemnych klasztoru Karmelitów“ (miesiąc grudzień, 1830, T. I. str. 148), wiersz, który choćby dla popularności wydawnictwa, musiał wcześniej czy później dostać się do rąk Krasińskiego. Musiał — twierdzę z całą pewnością, gdyż wystarczy dokładnie przeczytać oba utwory, aby wyraźne pokrewieństwo i zależność przyjąć za pewnik. Przedewszystkiem zaś fakt nazwania „Ostatniego“ przez samego poetę „Głosem“, jest dla mego twierdzenia argumentem, bijącym każdego oponenta: W liście z 15. października 1847 donosi Krasiński Sołtanowi o dziełku

[1]) Tytuł i intencya pisma wyrażały niejako antitezę „Barda Polskiego“ z r. 1795, autorstwa Adama Czartoryskiego, (który w r. 1830/1 piastuje najwyższą godność Prezesa Rządu Narodowego).

(rzekomo) Stanisława Koźmiana („Ostatnim“) temi słowy: „Głos, o którym Ci wspominałem, dojdzie Cię niepochybnie w tych czasach, jeżeli już nie doszedł. Zachowasz go jedynie dla wnętrza swego, jedynie“.

Wiersz przytaczam w całości:

Głos więźnia z lochów podziemnych klasztoru Xieży Karmelitów.

„Długoż jeszcze mam jęczyć nieszczęsna ofiara!
Czyliż już świat zepsuty, nie zna uczuć cnoty?
Nie zna co to jest Ludzkość: co jest święta Wiara?
Że mię tyraństwo męczy wśród ciemnoty.
— Boże! na Łono Twoje składam me cierpienia.
Wszakżeś przyrzekł nieszczęsnym podać swoją rękę;
Wpuść promień Łaski Twojej do tego więzienia,
Niechże już raz zakończę tę okropną mękę.
Oddzielony od ludzi już od lat dziesięciu,
Nie znam, co jest powietrze w tem srogiem zamknięciu,
Pędząc w pośród łez gorzkich me nieszczęsne lata.
Wszystkie zmysły stępiały, już znękane wiekiem
Pamięć tylko w mem sercu budzi jeszcze bicia,
Zapomniałem już nawet, że jestem człowiekiem,
I zaledwo czuć mogę iskrę mego życia.
— Za cóż jestem skazany na ten los mizerny,
Za co tą hańbą moją okryto siwiznę?
Za to, że powinnościom moim byłem wierny,
Żem kochał świętą Cnotę i drogą Ojczyznę.
— Ja was i tu uwielbiać nigdy nie przestanę,
Wolę ponieść sto razy okropniejsze ciosy.
To zadaje mej duszy najdotkliwszą ranę,
Że całej Polski takie, jak moje są losy.
— Ojczyzno! Długoż jeszcze przebrzydłe tyraństwo,
I podłość niesłychana będą cię uciskać?
Czyż żaden Syn nie żyje, albo żadne państwo,
Że dawnej swej świetności nie możesz odzyskać?
— Ten suchy kawał chleba pokropiony łzami,
Najmilszym by mi został, gdyby ów despota,
Nasycił się mem łkaniem, złagodził jękami,
By więcej nie cierpiała Ojczyzna i Cnota.
— Me próżne nadzieje, bo tyrańska dusza,
Zawsze niesytą jęków i krwi pozostanie,
Na widok nieszczęść ludzkich wcale się nie zwrusza.
Dokądże ma Ojczyzna w takim będzie stanie!
— Lecz słyszę!... O Nieba! Jakież głosy wieszcze!
Ten huk dział, szczęk oręża coś nowego wróży,

Może droga Ojczyzna ożyła nam jeszcze;
Otrzęsła się z tyraństwa przebydłej kałuży.
— Tak jest Boże! to pewnie wierni jej Synowie,
Wzięli się do oręża, by skruszyć kajdany,
Któremi obciążeni jęczą ich Ojcowie.
Cóż to za żywioł sercu dawno pożądany!
— Nie mylę się. to oni! to drodzy Sarmaci,
Mając duszę niebieskiem ożywioną tchnieniem,
Powstali na skruszenie kajdan swoich braci:
Obdarzając Ojczyznę szczęśliwem istnieniem.
O Polsko! Więc znów żyjesz na wolności łonie,
Co za rozkosz nieznana w mem sercu się budzi!
Mógłżem powziąść nadzieję, że przy moim zgonie,
Mogę być choć w kajdanach najszczęśliwszym z ludzi?
— Polacy! kiedy Nieba łaskawe sprawiły,
Żeście zrzucili z karków jarzmo okrucieństwa,
Połączcie teraz w zgodzie swe braterskie siły,
Bądźcie pewni przy cnocie nad zbrodnią zwycięstwa.
— Kiedy mnie los zawistny od świata oddziela,
Gdy już tylko chwil kilka pozostało z życia,
Doznając najwyższego w mej duszy wesela,
Umieram najszczęśliwszy wśród tego ukrycia."

(Bez podpisu autora).

Wiersz powyższy, równie szczery jak prosty, posiada prócz ogólnego podobieństwa do „Ostatniego", jak n. p. brak nazwania osoby,[1]) wiele szczegółowych wspólnych cech w zakresie formy i treści, które same się nasuwają podczas odczytywania: tertium comparationis na punkcie formy występuje tu bardzo silnie n. p. od wiersza 36-go, — na punkcie zaś motywów treściowych n. p. w wierszu 9-tym, odpowiadającym w „Ostatnim" XVI. 5-emu: „Już lat dwadzieścia..."

Silna różnica, wprawdzie nie zasadnicza, dotycząca raczej sposobu przedstawienia. leży w zakończeniach.

Autor „Głosu więźnia", — przypuszczam — jakiś wychowanek szkoły podchorążych lub dawny filareta (cytujący „świętą Cnotę" obok „drogiej Ojczyzny"), nie przemyślał głębiej swego poematu. Widać jednak, że złożył na ołtarzyku poezyi, co miał najlepszego: i zapał, który wierszowi prostej żywości udzielił — i poświęcenie swej męki Bogu i Ojczyźnie — i morał, wreszcie pogodnie uśmiechniętego więźnia w chwili skonu. — Tymczasem Ostatni występuje jako tytan myśli. Poeta wyczuł i zgłębił sy-

[1]) Objaw deprawującego wpływu cenzury zaborców.

tuacye. Każdorazową zmianę toku myśli umotywował z szczegółową dokładnością. Towarzyszymy z przejęciem i współczuciem przebiegowi monologu i ruchów więźnia. niespokojni o zakończenie. w przeczuciu czegoś niezwykłego. Krasiński zatrzymał motyw śmierci, zapożyczony z „Głosu więźnia“ (wbrew prawdzie historycznej), lecz w obrobieniu wysoko stanął ponad „pierwowzorem“, zespalając siebie samego, stan duszy swojej, z cierpiącym więźniem. Samo zakończenie obciążył jednak późniejszymi dodatkami, osłabiając w ten sposób mimo woli wydatność dotychczasowego podobieństwa utworów.

Innych dowodów. przemawiających za datą 1831/2, dostarczy przegląd współczesnych literackich płodów Krasińskiego (ugrupowanych chronologicznie w wydaniu prof. Piniego). Na podstawie kolejnego rozpatrzenia możemy stwierdzić, że „Ostatni“ jest ich bezpośrednim ciągiem dalszym.

Dwudziestoletni Zygmunt, pełen patryotycznego zapału dla rewolucyi „warszawskiej“ — zaczętej przez 5 akademików. 4 podchorążych. 3 poetów i tyluż oficerów — otoczony (w Genewie) jak dziki zwierz w matni, sieciami, drżącemi z niecierpliwości, aby go pochwycić (VI. 248), tak kreśli ciemnemi barwami swą rozpacz i niemoc: („U r y w e k“, VI. 60.) „Zmuszony był (on sam) złożyć sztandar wojenny i zamienić pole sławy na łoże boleści, podczas gdy dokoła niego rozbrzmiewały pieśni zwycięskie i okrzyki sławy, podczas gdy bracia jego pili z kielicha wojny napój. przesączony przez zemstę. podczas gdy każdy oddawał swą krew i dawał swój głos za swobodę“. — W tytule współczesnego utworu „W i o s n a i w i ę z i e ń“ już tkwi nasz temat. — Myśl zemsty nad ciemiężcą Ojczyzny. (którą wypiastował tak owocnie 1830/1, choć tragicznie dla siebie. major sławnych Czwartaków), opanowała Krasińskiego — „A d a m a S z a l e ń c a“ i była dlań rozkoszną. jeżeli mówi (o sobie) (str. 246): „Cieszył mię widok Rzymu w glinie ziemi i w błocie; bo w dzieciństwie mojem zaprzysiągłem zemstę innemu Rzymowi i depcąc jeden, marzyłem, że kiedyś tak samo będę deptał drugi. Nocą idąc z Colloseum ku grobowi Cecylii. z uśmiechem ironii brałem w ręce odłamki porfiru. jaspisu. ciskałem je o kamienie i cieszyłem się, że w proch się rozpryskują. Tak będzie kiedyś z dumą Północy — wołałem; a echo sarkofagów powtarzając te słowa, przeciągało je dźwiękiem ponurym i już śniłem, że jestem na pogrzebie tyranów“. — Ztąd jeden tylko krok: po „Adamie Szaleńcu“ napisać „Ostatniego“. Bezpośredniego sąsiedztwa tych utworów, a następstwa

„Ostatniego“ dowodzi coraz doskonalsze stopniowanie pomysłów: po ochłonięciu z rozpaczy i chęci zemsty („Adam Szaleniec“) — zdolność rozpatrywania się w szczegółach wielkiej katastrofy narodowej.

Czy są też i reminiscencye z „Szaleńca“? — Najbardziej namacalna (prócz innych): („Ostatni“ XXXV. 11.):

— Co się ze mną dzieje?
Wiem — znam — rozumiem — czuję: że szaleję!

Dalszych dowodów dostarczy korespondencya:

List do Gaszyńskiego 17. marca 1832: „Napisałem tego roku dużo rzeczy, wszystkie gorączką i rozpaczą napiętnowane“. Wprawdzie wymienia je w liście następnym: (2. kwietnia): „Innych (?) rzeczy dużo napisałem: Ułomki o Szwajcaryi i Włoszech, Adama Szaleńca, Przeora, Maryę Carową poema prozą, ale to wszystko krom ostatniego teraz drukiem nie wybiją, bo pełne przekleństw na Moskali“. Z łatwo zrozumiałych względów nie wymienił „Ostatniego“, on, który nawet później przemilczał o swem autorstwie n. p.: „Trzech myśli“ wobec Gaszyńskiego, „Ostatniego“ przed Sołtanem... Jedyny z przytoczonych „Adam Szaleniec“ mógł być pisany w rozpaczy, gorączce, lecz takich utworów miało być „dużo“. Wyszczególniona zaś część „Ostatniego“ odpowiada najzupełniej tym warunkom, jeżeli zwrócimy uwagę na ustosunkowanie, jakość i przebieg akcyi, z kulminacyjnym punktem w ust. XXXIV.

Następnie należy też podnieść ważny fakt, że w r. 32 podlegał poeta chorobie oczu, co bezwiednie musiało zwracać jego myśl, fantazyę twórczą, na funkcye tego organu — spełniającą niepoślednią rolę w jednej ze wstępnych „zwrotek“ pierwszej całości: (XXIV. ostatnie wiersze):

„Widzę ich — widzę — dotykam ich wzrokiem —
Zda się — ach, jednym tylko stąpnąć krokiem,
A ręką dotknę! — Nie, nie już nie boli —
Niech się napatrzę — napatrzę do woli!“

Najważniejszym argumentem dla oznaczenia daty 32. była dla prof. Antoniewicza misterna kombinacya chronologiczna, na podstawie tekstu:

XVI. 5. „Już lat dwadzieścia — —
Jak martwy padłem na to śmierci łoże!“

Krasiński urodzony w r. 1812, więc 1812 + 20 = 1832. a w odwodzie jeszcze jeden argument, cytat z listu (do Gaszyńskiego) 2. kwietnia 1832: „Przebolałą mam duszę, choć dopiero dwadzieścia lat na tej ziemi przebyłem“. — „Ustęp ten — pisze autor — jest dla mej hipotezy największej wagi a przychyli się ku memu zdaniu chyba największy sceptyk, jeżeli sobie przypomni równoległy ustęp w „Ostatnim“: Lat już dwadzieścia... Że tu Krasiński siebie samego ma na myśli, a nie jakiegoś więźnia, który przez lat 20 jęczy w więzieniu, każdy zrozumie, kto sobie przypomni, że często nazywał życie więzieniem, a człowieka więźniem“.

Temu rzekomo bijącemu dowodowi sprzeciwia się jednak myśl wierszy poprzednich:

„Toć w duszy mojej jest jeszcze zakątek,
Gdzie nie zagasła gromnica pamiątek?
Coś we mnie jeszcze ludzkiego zostało?
Lat już dwadzieścia — nie wiem — Ty wiesz Boże!
Jak martwy padłem na to śmierci łoże!“

Poeta nie wspomina tu o dniu swoich urodzin, których chyba nie pamiętał i które nie były dlań gromnicą pamiątek. Mojem zdaniem należy odnieść wspomniany okres lat 20-stu między: rok 1827/9 — sąd sejmowy ze smutnym epilogiem dla młodego Krasińskiego, a r. 1847 — ostatnią redakcyę utworu, od której datują się powyżej przytoczone wiersze.

1847 minus 1827/9 = 20. Tak więc musi odpaść „najważniejszy“ dotąd argument za rokiem 1832, dla nas bardzo nawet wygodny, bo prawie usuwał potrzebę oglądnięcia się za innymi dowodami.

Minęło lat kilka. Rękopis spoczywał w tece, czekając na swoją kolej, co było losem i innych poezyi. Wydobył go z pomiędzy papierów i pracował nad nim Krasiński dopiero w roku 1836/7.

Co było powodem podjęcia pracy na nowo?

W pierwszych miesiącach roku 36 (podczas pobytu we Florencyi) otrzymuje smutne wiadomości o losach swoich najbliższych: Uwięzienie Jaroszyńskiego w Schlüsselburgu i wywiezienie dzieci Ad. Soltana do korpusu kadetów w Moskwie (Kallenbach, II. 299). Fakt pierwszy przypomniał mu zarzucony utwór o losie więźnia-męczennika, drugi zaś złożył się na rzekomy epizod z ży-

cia Romana Sanguszki: XI.—XIV. — Za powyższą datą przemawia też ten epicki, wolny od wszelkiej mglistości, prostota treści i wyrażeń, najbardziej zbliżona do części pierwszej. Przypuszczenie prof. Antoniewicza, że treść omawianych obecnie ustępów odnosi się do nagłej deportacyi młodego Sanguszki, który mimo błagań matki i właśnie za to otrzymał od Mikołaja karę zdwojoną i musiał iść pieszo na Sybir (jesień 31 r.), przypuszczenie, oparte na bardzo spóźnionym przypisku Gaszyńskiego (z r. 1861, Revue de deux Mondes, nr. 36, str. 128), nie wydaje mi się trafnem tem bardziej, iż przemawiają przeciw niemu poszczególne wiersze, wskazujące na tego samego bohatera (t. j. Łukasińskiego):

(XI. 5.). „Myślim ostatniej nie wierzył nikomu“

(nagle aresztowany w toku rozwiniętych przygotowań do spisku);

lub słowa Moskala:

„W dniu szczęścia skonasz i zginiesz w dniu zwycięstwa“,

(wyraźna zapowiedź daty powstania, r. 1830).

Pod koniec marca 1836 roku wyjeżdża Krasiński z Florencyi do Rzymu i tak się złożyło, że mógł stanąć w tem samem mieszkaniu, które zajmował podczas swej bytności w r. 30. Dawne wspomnienia opadły go tłumem, przypomniały mu wrażenie tej chwili, kiedy doszła go pierwsza wieść o wybuchu powstania... i to dalsza przyczyna podjęcia twórczej pracy. 5. grudnia (1836) pisze do Sołtana (z Wiednia do Rzymu) list z prośbą o zniszczenie pewnego rękopisu (prawdopodobnie drukującego się właśnie w Paryżu „Irydiona“), z dopiskiem: „inne papiery zostaw u Alexandra“, co dowodzi, że były złożone w Rzymie jakieś inne jeszcze papiery, czyli utwory, dawniej skreślone (Kallenbach, II. 329). W r. zaś 1837 (do Gaszyńskiego o sobie): „Kilka rzeczy on zaczął, ale dalej ich ciągnąć nie umie, nie chce mu się“. Słowo „zaczął“ interpretuję dosłownie, jako dorabianie początkowych ustępów „Ostatniego“: (mniej więcej) I.—XV. Do najpewniej napisanych w tym czasie należą: (stanowiące pewną całość) XI.—XIV. i niektóre z poprzedzających — I. III. VI. VII. IX... O dokładny podział i oznaczenie poszczególnych absolutnie nie można się pokusić, tem bardziej, że ogólny podkład myślowy i przygnębiający nastrój jest wszystkim wspólny; Krasiński zaś

posiadał specyalną zdolność łączenia takich fragmentarycznych całostek — jak n. p. tutaj: o sobie, więźniu, Polsce, giełdzie Europy...

Następnej, t. j. już trzeciej kreacyi (po napisaniu „Przedświtu“) są ustępy od (mniej więcej) XVI-go do (również z tem samem określeniem) XXIII-go, z treścią messyanistyczną, zakończone myślą o Słowiańszczyźnie (XXII. końcowe). Przejściem do części najdawniejszej i łącznikiem jest ust. XXIII.

Kreacyą ostatnią są cztery końcowe ustępy XXXVIII.—XLI., również z treścią przedświtową, wykazujące niedwuznacznie wpływ „Psalmów“. I ta całość ma epilog — skon więźnia. — Poeta pracuje nad utworem jeszcze w r. 1847. (List do Gaszyńskiego 13. marca): „Jak mogę dozwalam Wyzwolenia“ (tak bowiem swoim zwyczajem ukrywał tytuły dzieł przed ewentualnem otwarciem listu przez czarną pocztę); — 14. kwietnia: „raczej zważaj na całość, wrażenie przez nią zostawione, niż na szczegóły“.

Aby wreszcie gruntownie zmodyfikować klasyfikacyę i myśl przewodnią prof. Antoniewicza, musimy dokonać jeszcze kolejnego rozbioru poszczególnych ustępów części obecnie początkowej. Pracę mamy już znacznie ułatwioną przez dotychczasową analizę prof. Antoniewicza, który — chociaż opierał się na błędnem założeniu — jednak drogą raczej intuicyi, niż literackich dowodów, dochodził często do bardzo trafnych, szczegółowych wyników.

Ustęp I. domaga się samą treścią, aby go umieścić na rok 1837-my — w którym to czasie ulegał Krasiński silniejszemu niż kiedykolwiek przygnębieniu moralnemu i fizycznemu, pesymizmowi i chorobie oczu (początek r. 1837). Słusznie też mógł pisać o swej nędzy życiowej, chorobie, ciemnościach, milczeniu, bo to wszystko właśnie przechodził.

W. 5. „Od kochających coraz mniej kochany,
Aż teraz pewno całkiem zapomniany!“

Wyraźna wskazówka czasu napisania: W r. 1836 ojciec zmusza Zygmunta do zerwania stosunku z p. Bobrową.

Potulny syn kapituluje przed terroryzmem ojcowskim, lecz serce — nie sługa, — odezwało się raz jeszcze rozpaczliwem westchnieniem. W liście z (kwietnia) 1837 r. wyznaje: „Ale są

chwile, w których wszelka nadzieja mnie opuszcza, w których coś niewieściego rodzi się w duszy mojej i muszę westchnąć ku tym, których kocham. Prócz miłości kilku, szczęściam żadnego nie doznał na ziemi". — On, syn światła, siewca natchnionej pieśni, pogrzebany jest pod czarnem sklepieniem. Bardzo misterna kombinacya: Mówi o sobie i nawiązuje do gotowej już części o Łukasińskim — on przygnębiony, chory na oczy mistrz słowa — a więzień, który na ziemi pracował nad sercami Rodaków, by równem jemu zakwitły natchnieniem. Zwrotce tej — jak widać — już w akcie tworzenia było przeznaczone otwierać poemat i do niej właśnie odnoszę wyjątek z listu do Gaszyńskiego z r. 1837: „Kilka rzeczy on (Krasiński) zaczął, ale dalej ich ciągnąć nie umie, nie chce mu się". Ciąg dalszy tej samej redakcyi zdradzają nastrojem i treścią ustępy: III. VI. VII..., lecz są autocharakterystyką już wyłącznie Krasińskiego.

Ustęp II. wcześniejszy. (Antoniewicz: z r. 1832 — z powodu podobieństwa do myśli zawartych w listach do Gaszyńskiego), słabszy w kompozycyi, nie łączy się z sąsiednimi i odbija od nich wierszami, które psują nastrój, mający być naszym udziałem, jak w. 3.

„kto pognębiony — w tego bij — a wygrasz:"

lecz następny:

„— jeśli pysznie z pychą władzców igrasz",

lub w. 1.

Byłem ja dumny — lecz damny z dumnemi" —

każą przypuszczać przeróbkę późniejszą, z okresu „Przedświtu", kiedy spotykamy często podobne wyrażenia.

IV. Motyw, który występuje w 3. w. — trzeci ranek zmartwychwstań — musimy odnieść na czas po r. 1840: wiersz 1. — „anioł, co groby odwala" — byłby dalszem snuciem wątku przerwanego w „Śnie Cezary" (r. 40): zamknięcia głazu, prowadzącego do wnętrza grobów, kryjących umęczony Naród.

V. Antoniewicz: Motywy z Bajrona każą przypuszczać rok 1832: wiersz „Duch Twój albowiem..." zaczyna interpelacyę, której niespoistość nie jest zatarta.

VI. VII. VIII. mają się rzekomo odnosić do rzezi galicyjskiej, czego nie widzę tu ani śladu; (za datą późniejszą od r. 1837 przemawiałoby chyba wyrażenie (VI. 10) „z wszystkich bolów

ten najbardziej boli“, równe przedświtowemu „to dopiero bolów ból“); z ustępu n. p. VI-go przeziera tylko niezwykły pesymizm: poeta wspomina o walce z samym sobą, o umysłowej śmierci: — 3 ostatnie VII. odnoszą się specyalnie do losów męczennika-więźnia.

Cały IX. jest rozwinięciem i powtórzeniem ust. XXXI. i XXXII., a wiersz 7. wspólny jest wymienionym ustępom prawie w dosłownem brzmieniu.

X. mówiący o: książętach ziemi i ziemi handlarzach, którym potrzeba tylko (VIII. 7.) „nienaruszonej handlu spokojności“, mógł powstać również przed r. 1840, równocześnie z pomysłami (lub po ich utrwaleniu — co możnaby oprzeć na stanowczem sformułowaniu myśli) „Nieboskiej komedyi cz. I.“ Dla braku stanowczego kryteryum trudno powiedzieć, czy w tym właśnie ustępie mamy streszczenie końca „Snu“: giełda bez Boga, a ponad nią cień szatana — olbrzyma Północy, — czy też jest to zarodek rozszerzonego później pomysłu. Nadzwyczaj ciekawe zakończenie, od słów „A oni wszyscy...“ wygląda na krytykę i dosadną ocenę rządu królestwa kongresowego i jego handlarzy-ekonomistów.

XI.—XIV. połączył prof. Antoniewicz w całość — epizod z życia (1831 r.) Romana Sanguszki, napisaną przed r. 1847. XI. dotyczy wypadków, daleko jeszcze przed powstaniem 31 r. — uwięzienia; (Łukasiński był uwięziony w r. 1822): w. 4.

„Tak, jak śmierć nagła, wróg mnie pojmał — zdradnie...“

połączenie zaś z poprzednim przez wstępny dwuwiersz o kramarzach kongresowych, każe przypuszczać współczesność wypadków i przeczyć — mimo zeznania Gaszyńskiego (Antoniewicz), jakoby ten ustęp przedstawiał losy młodziutkiego Sanguszki. Z drugiej strony czytamy tu o zsyłce, której — jako zbyt lekkiej karze — Łukasiński nie podległ. Być może, iż poeta, aby bohatera zrobić bardziej niepoznawalnym, każe mu iść na posilenie i tam w północne lody wysyła narodowe hufce powstańcze, by przy uwalnianiu więźniów stanu jego pominęły. Dający wiele do myślenia termin „wnuk rzeczypospolitej i swobody“ — rozumiem jako trzecie pokolenie: Polski kongresowej — po pokoleniu Księstwa Warszawskiego i czteroletniego sejmu; przycisk widzę na połączeniu: wnuk swobody, a nie: wnuk Rzeczypospolitej, — przynajmniej historya Polski w rozbiorach o żadnym sławnym Sanguszku nie wspomina. Nadto prof. Tarnowskiemu wydaje się niepewnem,

„jakoby „Ostatni“ miał być pisany z myślą o księciu Romanie Sanguszce“.

XIII. XIV. Droga na Sybir: Kat wiedzie konia przed rzeszą i nie siada na niego: idzie pieszo, bo na siodle sterczy jak krzyż knut, przed którym przywodnik zmusza do upodlenia się, do bicia pokłonów, a na błagania znękanego więźnia:

„Daj mi, człowieku, wytchnąć na tem siodle!“

odpowiada:

„Umrzyj, przeklęty Polaku,
Umrzyj, a nie tknij praw cesarskich znaku!“

Ten ponury obrazek, jeden z nielicznych podówczas w naszej literaturze — martyryologii, przypomina nam inny, nieco podobny, w pierwszym syberyjskim utworze, „Anhellim“. Jeżeli zważymy, że pod koniec 1837 r. Słowacki (po ukończeniu „Anhellego“), przebywa we Florencyi i przez dłuższy czas utrzymuje serdeczne stosunki z bawiącym tam Krasińskim, to możemy przypuścić tę mimowolną zależność i lekkie zapożyczenie z obrazka syberyjskiego, który przedstawił Słowacki w „Anhellim“, rozdz. III.: Sytuacya i tło — te same: zsyłka. Postać kacapa z koniem podobna, tylko rodzaj upodlenia inny: zgłodniałe pacholęta, gnane na Sybir, przymilają się do siedzącego na koniu przewodnika zsyłki i żebrzą o chleb, „powiadając, że car jest głową wiary i że w nim jest Bóg i że nic nie może rozkazać przeciwko Duchowi świętemu, nakazując nawet rzeczy podobne zbrodniom...“

XV. To samo możemy powiedzieć, co i o X-tym. Wspomnienie kraju rodzinnego w takich jak tutaj wyrazach znachodzimy częściowo w „Dniu dzisiejszym“ i wcześniej, a formę już n. p. w „Irydionie“ (35 r.):

IV. „Gdzie postacie, które tak dumnie kroczyły?... Gdzie patrycyusze twoi... Gdzie Westalka... Gdzie mowcy twoi... Gdzie żołnierze legionów?...“

XVI. z r. 1847 (jak wyżej).

XVII. (wtóra) aluzya do (trzeciej) epoki Ducha św., z którą spotykamy się u Krasińskiego (począwszy od r. 38) w „Traktacie o Trójcy“ 1840/1.

Cały cykl ustępów XVII.—XXI. o treści messyanistycznej — wizya przyszłej Polski, wzięta z „Przedświtu“: Powtórna postać Messyasza bez krwi na ręku, cudna pięknością Polska, staje nad

progiem Syonu, z orężem Cherubinów w dłoni, wiodąc ze sobą do królestwa Chrystusa wszystkie Narody, śpiewające jej hymn. Tutaj zwraca uwagę ust. XXI. przez swój układ odwrotny w porównaniu z „Przedświtem" — stanowi bowiem zakończenie tej grupy „zwrotek", gdy treść jego czerpana jest z początku „Przedświtu" (widzenie przesuwającego się tłumu zwycięzców i braci zmartwychwstałych, białych świetlanych postaci...). Ztąd też można określić pewną datę — r. 1842/3 = wiersz „Na skale" i „Przedswit".

XXII. jakby epilog powyższej wstawki; myśl wstępna łączy się z podobną w XXIV-tym.

XXIII. — przejście do (omówionej powyżej) części najdawniejszej, poświęconej Łukasińskiemu.

Do niej dołączył poeta, jako zakończenie, cztery (ostatnie) ustępy XXXVIII.—XLI., nakrywające się z „Psalmami". Pochodzą bezwarunkowo z r. 1846/7 (Antoniewicz). Ich charakter modlitewny, może za miękki w stosunku do poprzedniej katastrofy, jest jednak najzupełniej na miejscu.

„Święta Twoja wola!" jest dewizą zakończenia.

Przedświtowe:

„Łaska Boża nas wegnała w te bezdroża,
Niechaj będzie pochwalona!" —

powtarza się innemi tylko słowy (XLI.):

„Otoś mi dał w darze,
Że ludu mego ja zamknę cmentarze.
Polski-m ostatni trup w carskiej pieczarze!
Dzięki Ci Panie!"

Tu mamy też genezę tytułu, który od początku był tym samym, — nigdy „Wyzwoleńcem", jak czytamy w korespondencyi z r. 1847.

W ustępie przedostatnim — modlitwa za Ojczyznę; wiersz 13:

„Daj jej na wieki wszechmiłości siłę",

wskazuje na „Psalm miłości". Myśl o przodowaniu Polski Słowiańszczyźnie, powtórzona obecnie wyraźniej i w takiem samem, jak poprzednio, miejscu, wzięta jest z „Przedświtu". — Skon.

Wykazane dorobki a szczególniej końcowa, bo finis coronat opus, tak obciążyły główną myśl pierwotworu, iż ugięła się pod niemi i zamiast pozostać według założenia, artystycznem odtwo-

rzeniem mąk, nadziei i rozpaczy więźnia, a pewnem ukojeniem własnych cierpień 20-letniego poety, powstańca dusza — przybrała postać wcielenia w czyn najtrudniejszej cnoty, rezygnacyi chrześcijańskiej.

Aby wyczerpać wszystko i zamknąć całość, dodam, że Krasiński nawet po wydrukowaniu poematu pod obcem nazwiskiem, trzymał w tajemnicy swoje autorstwo przed najbliższymi przyjaciółmi, — w tym wypadku przed Sołtanem, do którego w ten sposób pisał (24. lutego 1848): „Pytasz się o nowe dzieła wyszłe, godne czytania? Staś Koźmian napisał „Do Mistrzów słowa“ — i pod tym tytułem: Przez autora wiersza „Do Mistrzów słowa“ wydał dwa poematy „Ostatni“ i „Dzień dzisiejszy“. Przeczytaj, wiele tam poczciwych rzeczy.“

Karol Kwieciński.

ODP. REDAKTOR ADAM KRECHOWIECKI. — NAKŁAD „GAZETY LWOWSKIEJ“.

Województwo Ruskie wobec rokoszu Żebrzydowskiego.

(Ciąg dalszy).

Miał też król i senatorów skłonić do usprawiedliwienia się a i sądy na czas trwania indagacyi miały pozostać w zawieszeniu. Rozpisano uniwersały i rozesłano je po grodach królestwa, nad którego koroną zawisło największe niebezpieczeństwo.

Było ono tem większe, że hasła rokoszowe znalazły odgłos w społeczeństwie szlacheckiem, i to tak dalece, że zamilkli pod Lublinem nawet obrońcy królewscy, których tam była garstka z Rusi.

Nie można powiedzieć, żeby król bezczynnie przypatrywał się rozwijającemu się coraz groźniej ruchowi i zmienionemu teraz pod Lublinem w rokosz. Mamy wskazówki, że w przewidywaniu tego smutnego obrotu rzeczy, przygotowywał on środki ratunku zagrożonej powagi królewskiej. Najpierw bowiem ujął sobie król Stanisława Żółkiewskiego, męża, który nie tylko że dzielnie siłą zbrojną Rzpltej dowodził, ale nadto wielkiej zażywał powagi, szczególniej we wschodniej połowie królestwa. Nowo mianowany kanclerz, Maciej Pstrokoński, od lat kilku biskup przemyski był tym, który zbliżył Żółkiewskiego do króla; dawniej bowiem podejrzywał król hetmana dla wielkiej jego z Zamoyskim przyjaźni.[1]) Wnet też

---

[1]) Łubieński in vita Pstrokoński p. 422, cf. De motu 65.

król widząc, że się zanosi na burzę, a pragnąc upewnić bezpieczeństwo swej osoby, zawezwał do siebie hetmana i pomimo że wielu wątpiło w wierność hetmana, miał bowiem rodzoną siostrę Zebrzydowskiej, Herburtównę za żonę, podjął bardzo uprzejmie hetmana i zaczął z nim rozważać, coby w tak trudnem położeniu czynić należało. Pochlebiło Zamoyskiemu to zaufanie w nim położone, przedstawił swoje wnioski, zapewnił, że pomówi z Zebrzydowskim, że będzie się starał odwieść go od knowań, że w razie gdyby szwagier nie chciał go usłuchać, będzie się starał przeciąć zamachy i bronić króla i ojczyzny.

Stanowisko męża, o którym powiedziano trafnie, że na drugi dzień po walce nie rumieniąc się i niczego nie potrzebując odwoływać, mógł podać dłoń przeciwnikowi, nie było łatwem w podjętej sprawie. Najpierw bowiem działalność jego ograniczała się tylko na wschodnią część Korony, powtóre i on był wychowańcem Zamoyskiego, i on był do niedawna przeciwnikiem króla i jeszcze na Proszowickim sejmiku starała się szlachta ująć go sobie, polecając krwawe jego zasługi szczególniejszemu baczeniu króla — a jako taki był za mało stanowczy do użycia środków gwałtownych, których jednak użyto ze strony rokoszan. Zresztą i na Rusi, gdzie głównie imię jego było znanem, sytuacya nie była sprzyjającą zamiarom hetmana. Przypatrzmy się bowiem bliżej stosunkom tych wschodnich ziemi Rzpltej.

Województwo i ziemie Ruskie miały złą tradycyę konfederacyi i rokoszów; tutaj w ziemi Lwowskiej zawiązano konfederacyę w 1464 r. przeciwko wojewodzie swemu, tutaj pode Lwowem odbywała się wojna Kokosza z Rusi i dawniejszy rokosz Spytka z Melsztyna liczył ztąd wielu zapaśników. A i ruch obecny w Koronie czerpał zasiłek z Rusi, uniwersał bowiem Lubelski, w którym napiętnowano króla jako „śrubującego się do absolutyzmu“, podpisali z Rusi Dyabeł Stadnicki, Samuel Trojecki stolnik przemyski, Krzysztof Drohojowski, Jan z Przybysławia minor, Jan Herburt z Fulsztyna chorąży lwowski, Jerzy Stano stolnik sanocki, a wielu innych jak Broniewski, jak podczaszy lwowski Leśniowski, jak Jakób Sienieński, pochodzili z Rusi.[1]) Pamiętał dobrze hetman, że jeszcze za życia Batorego na sejmiku w Wiśni 1589 r., wspomniany chorąży lwowski, Jan Herburt, szeroko przez kilka godzin dowodził, że król nie czyni zadość paktom poprzysiężonym na koronacyi, że senatorowie nie pamiętają na powinność i przysięgi

[1]) Pisma Żółkiewskiego, str. 11.

i że poleganie króla na zdaniu jednego (Zamoyskiego), podało go w ohydę u poddanych. Tutaj w Wiśni dziękowano królowi w 1592 r., że dał znać szlachcie o podejrzeniach co do praktyk austryackich, ale proszono o inkwizycyę i dodawano, że jeśliby się kto praktykantem okazał takiego skarać, ochraniając w tem dostojeństwo króla, a równocześnie żądano wznowienia procesu przeciwko tym, którzy nie szanują konfederacyi dyssydenckiej.[1]) W szczególności w województwie bełzkiem występowali surowo na sejmikach przeciwko królowi stronnicy Zamoyskiego, jak to widzieliśmy w owej instrukcyi sejmikowej z 1605 r., w której słusznie nauka upatruje podstawę rokoszu, gdyż zaatakowano w niej króla na podstawie artykułu de non praestanda oboedientia, objaśniono, że jako *rex legitimus* a nie absolutny król, nie ma praw innych, jak tylko te, które poprzysiągł a których nie dochowuje. Już jednak po burzliwym sejmie z 1603 r., na którym to biskup Baranowski nazwał posłów wyrodkami, bełzki poseł Zygmunt Niszczycki tak na sejmie jak i potem w Bełzie protestował przeciwko sejmowi i to z tej przyczyny, że nie zniesiono na nim dziesięcin, tudzież że się zanosiło na rozpisanie uniwersału poborowego, kiedy już mało było posłów obecnych na sejmie.[2]) Że od posłów z sejmiku Wisieńskiego nie napotkano na owym burzliwym sejmie na żywszą opozycyę, zawdzięczyć należało wystąpieniu biskupa przemyskiego Pstrokońskiego, który tak ujął sobie w Wiśni szlachtę swem roztropnem przemówieniem, że nawet pewna reforma w obradowaniach sejmikowych na skutek tego nastąpiła. Gdy bowiem przedtem — mówi historyk współczesny — senatorowie wypowiedziawszy swe zdanie, opuszczali miejsce obrad, odtąd szlachta dzięki biskupowi, któremu w zupełności dowierzała, obradowała przy senatorach.[3]) Charakterystycznym jest jednak ten szczegół z życia biskupa, a od tego sejmu z 1603 roku podkanclerzego koronnego, że wnet po sejmiku wyjechał do Jaślisk, pogranicznego miasta biskupiego, i jakby w przeczuciu burzy od Węgier grożącej, kazał opasać murem miasteczko. Może też przewidywał i burze i swawole domowe, jakie wnet potem w niepamiętny sposób zawieruszyły podkarpackie powiaty.[4]) Nie-

[1]) Artykuł ten ostatni powtórzono na sejmiku w Wiśni 1593 r.

[2]) Protestacya z 30. kwietnia 1603 r. Castr. Bełz. 195, p. 1014 por. p. 1012 o podwójnej na skutek tej protestacyi elekcyi poborców.

[3]) Łubieński in vita Pstrok. p. 419.

[4]) Uniw. króla z 17. listopada 1604 w Castr. San. 141, p. 762.

wiadomo za czyim powodem uchwalono na sejmiku Wiszyńskim z lutego 1606 r. protestacyę przeciwko zamierzonej inkwizycyi co do rozdanych przez króla danin, przywilejów, starostw itp., [1]) dość że odtąd zaznacza się działalność hetmana, na skutek której historyk tej epoki, opisując rokoszowe wypadki, mógł mówić o wybitnej wierze szlachty ruskiej ku swemu królowi. [2]) Bo też istotnie na sejmie burzliwym marcowym 1606 r. tylko posłowie województwa ruskiego uchwalili pobory, inni posłowie wzięli pobory do braci.

Przedewszystkiem należało tamę położyć swawoli żołnierskiej, całe bowiem kupy z Inflant nadeszłego żołnierstwa z pretensyami do skarbu, niszczyły dobra królewskie, duchowieństwa i szlachty w Lwowskiem i Przemyskiem. Król polecił był staroście miejscowemu, Jerzemu Mniszkowi, rozpędzić kupy, [3]) ale ostatecznie, jak już wiemy, załatwił sprawę hetman, wzywając rycerstwo na Ukrainę na służbę Rzpltej i obronę granic od Tatarów. Należało zażegnać niebezpieczeństwa zjazdu Lubelskiego, na który wzywali rokoszanie uniwersałami równocześnie, kiedy król ze swej strony po owym burzliwym sejmie uniwersałami swymi zwoływał na sejmiki, mające potwierdzić żądane na sejmie pobory. Taki sejmik rozpisano także na 3. czerwca do Wiśni, co nie było zgodnem z dotychczasową praktyką, albowiem ziemiom, które przyzwoliły na pobór, nie rozpisywano sejmików. Czy tedy przez omyłkę kancelaryi go rozpisano, lub też z rozmysłu, aby i tutaj zaagitować przeciwko rokoszanom, dość, że ci natychmiast wyzyskali omyłkę kancelaryi na swą korzyść. Znany Dyabeł Stadnicki zwołał swoich na 19. maja do Przemyśla i tutaj założył w grodzie protestacyę przeciwko sejmikowi, jako nieprawnie zwołanemu, o którym „nic wiedzieć nie chcemy", grożąc „każdemu, któryby nań a nie pod Lublin przybył i stanowić co na nas ważył się, że go za nieprzyjaciela ojczyzny mieć chcemy". Ciekawą jest argumentacya protestujących, których zresztą nie było wiele, a ze znaczniejszych tylko Samuel Trojecki stolnik przemyski, gdyż rzucają podejrzenie na regalistów, iż z rozmysłu sejmik zwołano, „a to aby zjazd

[1]) Laudum z 13. lutego 1606.

[2]) Łubieński, De motu civili: egregia in regem nobilium Russiae fides.

[3]) Obacz uniwersały z 7. kwietnia, 21. lipca i 1. września 1605 r. Castr. Leop. 360; p. 476, 881, 1194. Castr. Prem. 321, p. 1351. Castr. Sanoc. 141, p. 1154, 1156.

Lubelski dla zabieżenia złym radom i skutkom ich zwołany, za którymi ostatnia zguba praw i wolności naszych następuje rozerwać i nas pomieszać i te rzeczy, które się w Stężycy odkryły, tak jako to już na sejmie uczyniono, zatłumić i zatrzeć". [1])

Sejmik w Wiśni wobec groźby rokoszan nie przyszedł do skutku, co oczywiście dodało im nieco otuchy i wzmocniło słabe ich na Rusi stanowisko. Na zjeździe lubelskim nie brakło szlachty z Rusi, jak to widać z recesu, który podpisali: Paweł Orzechowski podkomorzy chełmski, Stanisław Stadnicki starosta zygwulski, Samuel Trojecki stolnik przemyski, Jan Herburt z Fulsztyna chorąży lwowski, Jerzy Stano stolnik sanocki, Krzysztof i Stanisław Matiasz Drohojowski, Piotr Gorayski, Jan Fredro, Adam Leśniowolski, Hieronim Orzechowski i inni. [2]) Nawet w podgórskiej Sanoczczyźnie, zkąd tylko stolnik jeden wyjechał na zjazd, poczęła się ruszać szlachta a surogator Zabawski zwołał nawet zjazd do Sanoka, co prawda już po niewczasie, aby obesłać zjazd lubelski i upewnić braci, „żeśmy tego pozostania doma na ten czas nie z gnuśności uczynili, ale propter legalia impedimenta, co łatwo nacta occasione weryfikować". [3]) Najliczniej zjawili się w Lublinie chełmscy ziemianie, którzy utworzyli tam osobno koło i uchwałą tegoż zawiesili nawet sądzenie roków sądowych w swej ziemi na czas rokoszu, grożąc, że gdyby kto przeciwko tej uchwale postępował, przeciwko takiemu stać chcemy i bronić panów sądowych. [4]) Oni to przyczynili się do owej smutnej pamięci uchwały zwołania zbrojnego rokoszu na 6. sierpnia pod Sandomierz: zawezwać króla, aby się na nim stawił bez wojskowej asystencyi. Szlachcie grożono karami, gdyby na zjazd nie przybyła.

Było to już wypowiedzenie posłuszeństwa królowi, a bawiący na zjeździe Żółkiewski, którego misya do Zebrzydowskiego na niczem spełzła, musiał się od razu wszystkiego dorozumieć, gdyż tego samego dnia, a było to 10. czerwca, „dla nowin od nieprzyjaciela" odjechał wraz ze swoimi z Lublina, oświadczając przez Pawła Orzechowskiego, podkomorzego chełmskiego, że cokolwiek dla uleczenia ran i wolności naszych uchwalą, przy tem stać będzie. Odjazd jego szlachta nieprzychylnie przyjęła. [5]) Nie

---

[1]) Castr. Prem. 141, p. 1839—40.

[2]) Castr. Sanoc. 141, p. 1944 i nn. akt z 15. czerwca 1606.

[3]) Ibidem, p. 1892.

[4]) Cytowany wyżej reces z 10. czerwca pod Lublinem.

[5]) Bibl. Krasińskich 9—12, p. 21.

wiedziała o tem, że hetman pchnął do króla z Lublina gońca z oznajmieniem, dokąd rokoszanie zmierzają i doniesieniem, że nie tylko usiłowania skłonienia wojewody do opuszczenia zgubnych zamiarów były bezskuteczne, ale że Zebrzydowski w uporze swym dąży do wyzucia króla z Korony a najpierw dąży do tego, aby napaść na króla nieprzygotowanego albo odciąć go od Krakowa. Zdaniem hetmana powinien był król jak najśpieszniej zdążyć do Krakowa, albo gdyby sądził, że niebezpiecznem byłoby wykonać ten zamiar, niechaj się cofnie do której z twierdz, gdy tymczasem hetman postara się zebrać siły wojenne. Na naradzie, którą król zaraz potem zwołał, radzili niektórzy senatorowie wprost do Prus się schronić, podczas kiedy biskup Pstrokoński zachęcał do podróży do Krakowa i do pokrzyżowania tym sposobem zamysłów rokoszan. Natychmiast też wyruszono do Krakowa. Wielu senatorów opuściło króla, natomiast w drodze ku stolicy połączyli się z orszakiem królewskim Stefan Potocki, starosta Feliński, a w pobliżu Krakowa marszałek Myszkowski, obaj z licznymi hufcami. Za przybyciem królewskiem do Krakowa, gdzie go solennie przyjmowano, ustąpiły się ztąd oddziały zbrojnych, które utrzymywał wojewoda. Celem uspokojenia wzburzonych umysłów, rozesłał już na wyjezdnem z Warszawy król odezwę,[1]) w której zwracał uwagę na szkodliwą odmianę zamierzoną przez rokoszan i wzywał do dochowania wiary królowi. Z Krakowa zaś celem odpowiedzi na niesłuszne zarzuty Stężyczan i celem przedsięwzięcia środków przecięcia wzrastającego w siły buntu, zwołał król konwokacyę senatorów.

Równocześnie rozwinął Żółkiewski wydatną w skutki czynność we wschodnich województwach. Szło bowiem o to, aby zahamować ze wschodnich województw napływ szlachty do rokoszan, powtóre, aby zebrać siły orężne zarówno na obronę granic jakoteż dla obrony króla i obmyśleć jego obronę. Pomocą w planach Żółkiewskiego był strażnik koronny Jan Zamojski, który stale ostrzegał ziemian, zwłaszcza z wschodnich powiatów województwa ruskiego, „że carewicz tatarski zamyśla o wtargnięciu do Korony, że i na czarnym szlaku spotkały straże koronne Tatarów, że ci, którzy byli w Węgrzech, przeszli już przez Majak“,[2]) a w miarę tego, jak wewnętrzne zaburzenia koronne się wzma-

[1]) Z daty 13. czerwca 1606.

[2]) Obacz uniwersały strażnika z 28. kwietnia, 4. maja i 22. maja 1606. Gr. Trembow. 106, p. 740, 747, 772.

gały, donosił, „że już co tylko nie widać tych, którzy wraz z Turkami pod Tehinią nieco pobili Wołochów, i że car krymski wielkie siły gromadzi“.[1]) Nie był i król obojętny na głos tych ostrzeżeń, przeto nakazywał rotmistrzom swoim wywieść wybrańców z całego województwa ruskiego i stawić je pod rozkazy hetmana.[2]) Na skutek tych zarządzeń zwiększyły się siły obronne na granicach Rzpltej, jakoteż z drugiej strony zahamowany został nadpływ szlachty ruskiej do obozu rokoszan. Na rokach świętojańskich we Lwowie również były namowy w gronie senatorów i urzędników o niebezpieczeństwach tatarskich. Ale wniesiono tamże także i pisma ze zjazdu lubelskiego i oburzano się, że rokoszanie uzurpując sobie władzę pod winami na nieobecnych, wzywali do zjazdu pod Sandomierz, a co gorsza, że niektórzy z rokoszan poczynili zaciągi ludzi cudzoziemskich, z którymi na zjazd ów zjechać zamierzają. Postanowiono przeto zbrojno zademonstrować przeciwko rokoszanom. Żeby tedy na nas mimo wolę naszą czego szkodliwego i wolnościom przeciwnego nie wniesiono — mówi wojewoda bełzki a starosta halicki Stanisław Włodek z Hermanowa w swym uniwersale[3]) — wzywam na 30. lipca pod Wisnię konno i zbrojno, o ile że i Turcy i Tatarzy po tej stronie Dunaju w polu gotowi leżą. Takież uniwersały rozesłali wojewodowie podolski, Jazłowiecki tudzież ruski, Stanisław Golski, któryto w dodatku przypominał dawną tradycyę takich zjazdów: abyśmy według dawnych związków naszych w kupie będąc, spólną radą, pomocą i gotowością zabiegali.[4])

Oprócz złożenia zjazdu pod Wisnią uchwalono nadto składać pobory i deponować je na ratuszu we Lwowie, zażądać od sąsiednich ziemi halickiej i chełmskiej, aby tak samo postąpiły, wreszcie uchwalono wysłać do króla o aprobacyę zjazdu, gdyż bez jego woli żadnych zjazdów nie chcą czynić.[5]) Dodać należy, że w owych obradach z roczków świętojańskich brali udział prócz Jana Zamojskiego, arcybiskupa lwowskiego, także i wojewoda

---

[1]) Ibid. p. 843, 898 i 923, uniwersały z 19. czerwca, 15. i 27. lipca 1606.

[2]) Mandaty króla do rotmistrzów z 9. kwietnia i 10. lipca 1606. Gr. Buskie 11, p. 1227, Gr. Bełzkie 196, p. 916 i Gr. Tremb. 106, p. 893.

[3]) Castr. Bełz. 196, p. 867, uniw. z 5. lipca 1606.

[4]) Castr. Sanoc. 141, p. 1931—1933.

[5]) Uchwały z dnia 7. lipca 1606. Castr. Leop. 361, p. 987 i n.

trocki Aleksander Chodkiewicz, Żółkiewski hetman. Jan Ostroróg kasztelan poznański, Jakób Pretficz kasztelan kamieniecki. Adam Sieniawski, Sebastyan Sobieski, a marszałkował kołu rycerstwa pisarz ziemski lwowski, głośny w owych czasach jurysta Jan Swoszowski. Duszą obrad był niezawodnie Żółkiewski, który też uprzedził króla o owym zjeździe świętojańskim we Lwowie i oczekiwał nań instrukcyi królewskiej, a donosząc o grożących od Tatarów i Turków niebezpieczeństwach dodawał że to jedno pewna, że tu w tym kraju ludzie są z najlepszymi chęciami ku królowi, dla zabiegania temu straszliwemu zapałowi Rzpltej.[1])

Chlubne dla ziemiaństwa ruskiego województwa świadectwo hetmana nie było przesadzonem. Pod Wiśnię gromadziło się istotnie wiele dygnitarzy i szlachty. Prócz wzmiankowanych już wyżej zjechali się kasztelanowie Rawski, Halicki, krajczy koronny Jan Daniłowicz, Jan Potocki starosta halicki, Sebastyan Żołczyński starosta żydaczewski, Mikołaj Daniłowicz starosta drohobycki, który przywiózł od króla aprobacyę zjazdu, Jakób i Jan Potoccy, Dzieduszyccy, Tarnowski Jan Gratus, Swiętosławski, Fredro, Narajowscy, słowem reprezentanci wybitniejszych rodów województwa. Uchwalono wysłać posłów pod Sandomierz „do braci“, z wezwaniem, aby ludzi cudzoziemskich rozpuścili, aby przestrzegali wiary królowi i „nic na nas bez nas“ nie uchwalali. Hetmana zaś Żółkiewskiego upraszano, aby się z wojskiem bliżej granicom do króla pomknął.[2]) Była to w całem tego słowa znaczeniu zbrojna obrona króla i groźba dla rokoszan, tak ze strony wojska jak i od ziemian znacznej części Rzpltej, z wezwaniem do upamiętania się. Podawano nawet sposób oryginalny zgody z królem, do której wzywali rokoszan,[3]) żeby mianowicie z całym senatem, który teraz jest przy królu i ze wszystkiemi stany ujeli się za poprawą wolności. Dodano dowcipnie, że dlatego szlachta pod Wiśnią zgromadzona nie jedzie ku Sandomierzowi, gdyż pomyka się pod Kraków, gdzie będzie im łatwiej z królem i senatem z bliska konferować, do których to konferencyi zaprasza i rokoszan, obiecując ku temu celowi pomoc.

---

[1]) List Żółkiewskiego do króla w Pismach p. 467; data domniemana powinna brzmieć koniec czerwca.

[2]) Uchwały z 31. lipca 1606. Castr. Prem. 322. p. 107—110.

[3]) Instrukcya dla posłów wiszyńskich do Sandomierza wysłanych u Schmitta p. 205.

Nie da się zaprzeczyć, że mądre zarządzenia króla niemniej jak i akcya hetmana wielce pomieszały szyki rokoszanom. Na 6. sierpnia zwołany był zjazd pod Sandomierzem a dopiero 12-go podpisano konfederacyę przy wolności i prawie pospolitem przeciwko każdemu, którVby na nie następować i one gwałcić chciał. Z województwa ruskiego podpisali ją Dyabeł Stadnicki i chorąży lwowski Jan Herburt. I znowu tydzień minął, zanim uchwalono sądy kapturowe, a dopiero pod koniec miesiąca wysadzono komisye do spisania grawaminów. Zjazd był bardzo liczny, co było również powodem bezwładności machiny rokoszańskiej, ale już z oburzenia, jakie wywołała wiadomość o nadejściu hetmana z wojskami, widoczna, co było najważniejszym powodem zamieszania w obozie rokoszowym i przyczyną, dla której musiał się liczyć bądź co bądź z powagą królewską. Król zresztą sam zapraszał rokoszan do zgody, zapewniając, że nie uraża się wolnymi głosami zjazdów, wie bowiem, że pochodzą one u jednych raczej z gorliwości o wolność albo też z nieświadomości rzeczy u drugich, a nie z jakich innych przyczyn, dlatego proponuje, aby wysadzili z pośród zgromadzenia swego pewne osoby, któreby się z posłami króla umawiały. Ale długie tygodnie minęły, zanim rokoszanie dali odpowiedź na to żądanie. Mieli wprawdzie marszałka Janusza Radziwiłła, mieli wodza Zebrzydowskiego, ale brak im było głowy, którąby umiała pokierować ruchem, brak ducha, któryby sprzągnął jednomyślnością bezradne i anarchiczne zgromadzenie. Regaliści, mimo że zgromadzenie liczyło w drugiej połowie sierpnia z górą 50 tysięcy głów, urządzali sobie zabawy z bezradności rokoszan, wysyłając kresową trochę rubaszną i zacofaną szlachtę do koła rokoszan. I tak weszli do koła posłowie szlachty podolskiej,[1]) „ze skargą na ucisk wojewody ruskiego, że ich w niewolę obrócił jako chłopów, prawa im połamawszy i bierze dziesięciny z owiec, bydła i domostwa a ledwie że i żon naszych nie obraca na robocizny. Tu nam kazał jechać w 300 koni. Dowiedziawszy się, że macie tu rokosz, przystępujemy doń i zaręczamy, że uczynimy cokolwiek od nas zażądacie“. Oczywiście cała scena posłów podolaków, skarżących się na wojewodę ruskiego przed rokoszem, a mimo to pozostających w obozie królewskim, wywołała tylko żarty i śmiechy. Natomiast posłów sejmiku wiszyńskiego przyjęto z oburzeniem i despektem. Zaledwie

[1]) Schmitt, 287. Niemcewicz Panow. Zygmunta III., tom II., 80.

skończyli swe stanowcze a znane nam wezwanie do rokoszan, a wnet powstała niesłychana wrzawa w kole.[1]) Nazywano posłów i tych, którzy ich wyprawili zdrajcami i pochlebcami króla, z kilku stron wołano, by ich roznieść na pałaszach i już niektórzy rwali się do nich. Wtedy Radziwiłł z biedą uciszył wrzawę i otoczywszy posłów swymi ludźmi, wyprowadzić kazał z koła. W parę dni przedtem, 12. sierpnia, odpowiedział rokosz na zarządzenie hetmańskie co do sprowadzenia wojska ukrainnego listem pełnym niechęci.[2]) że kiedy oni o naprawie Rzpltej praw i wolności obmyśliwają, hetman uporowi dopomaga do znieważania nas, praw i wolności naszych, że nie na ten cel kwarcianego żołnierza ustanowiono i że hetman powinien o przysiędze swej pamiętać. Natomiast do żołnierzy kwarcianych odezwali się rokoszowi, jako do braci szlachty, która zaciągnęła się celem obrony granic pod chorągwie i że żołnierza nigdy do takich zaciągów, w jakich obecnie kwarciani pozostają, nie zaciągano.[3]) Dodać należy, że odpowiedzi tak hetmana jak i wojska kwarciannego, jakkolwiek w uprzejmym tonie, były jednak stanowczè.[4]) Hetman przypomniał, że pod Lublinem jeszcze ofiarował gotowość swą dopomódz do zgody i że na to stawił się tutaj wspólnie z wieloma senatorami i ludźmi ze stanu rycerskiego, którzy w zgodzie chcą radzić. Żołnierza zaś sprowadził z rozkazu króla i senatu i ze zgodnych namów obywatelów ruskich w Wisni zgromadzonych, że pilnuje, gdzie się większe niebezpieczeństwa Rzpltej pokazują i w niczem nie uwłóczył przysiędze. Zarazem atoli dał przestrogę, aby ku spokojowi rady swe skłaniali, aby Rzpltę nie wtrącili w niebezpieczeństwo. Jeszcze wyraźniej na to niebezpieczeństwo wskazali wodzowie i rotmistrze wojska kwarcianego, skoro podnosili, że Rzplta przez rokoszan jest wstrząśnioną, żołnierz cudzoziemski do Korony wwiedziony, dlatego proszą rokoszan, by nie było jakiej odmiany, która szkodliwą jest i niebezpieczna.

I podczas kiedy tak regaliści odpowiedziami swemi, jakoby zdrojem zimnej wody oblewali rozgorączkowane zgromadzenie, które z jednej strony podburzał Zebrzydowski, judzeniem, że jeszcze więcej praktyk austryackich odkryje na króla, z drugiej zaś strony Stadnicki Dyabeł wołaniem o rugi, tymczasem szlachta

---

[1]) Niemcewicz, II. 74.
[2]) Pisma Żółkiewskiego, p. 468 dopisek.
[3]) Bibl. Krasińskich, 9—12, p. 127, N. IX.
[4]) Ib. Nr. VIII. i X.

znudzona wyczekiwaniem zaczęła się rozjeżdżać i pozostawiła rokosz bez obrony, podczas kiedy obok króla zgrupowała się z bitnego kresowego wojska przeszło dziesięciotysięczna armia. Co bardziej, w Wiślicy utworzyła się konfederacya „przy królu" celem jego obrony i obrony ojczyzny, a konfederacya ta miała świetną tradycyę i przykład takiego Zbigniewa Oleśnickiego, biskupa krakowskiego, który przy jej pomocy starł rogi Melsztyńskich, Zbąskich, słowem rokoszu z 1439 r. Jakkolwiek już zagrożeni przewagą układają jednak rokoszanie artykuły, przypominające o tyle rokosz husyckich niegdyś stronników Spytka, że aż dwa artykuły poświęcają obronie różnowierców. Natomiast inne artykuły wskazują,[1]) że zgromadzenie szło zarówno jak i rokoszowi zwanemu wojną kokoszą o dobra ziemskie, których posiadanie król na podstawie metryki koronnej każdej chwili mógł sobie windykować, że innym szło o zupełne wyzwolenie się z pod jurysdykcyi starościńskiej np. ziemianom podolskim o sól wolną, o wolność od opłat mostowych, celnych, wreszcie by mieszczanie i chłopi nie piastowali beneficyów katedralnych, słowem egoizm stanowy przebijał z postanowień i trudnoby przyszło wskazać bodaj jedną myśl o kierunku wyższym, o zasadniczej reformie Rzptej. Skrajniejsi, naśladując węgierskie powstanie, żądali wydalenia Jezuitów cudzoziemców z Polski, ograniczenia liczby kollegiów, wreszcie jednak zgodzono się na artykuł (28) z żądaniem usunięcia ich z dworu królewskiego. Wśród ścierania się stronnictw widocznem było to jedno, że jedni dążą do jakiejś naprawy Rzptej bez odmiany króla, drudzy z odmianą, wreszcie byli inni, jak Janusz Ostrogski niezdecydowani, chylący się na stronę króla, to znowu na stronę rokoszan.

Naprawy żądali także i stronnicy królewscy, zebrani w Wiślicy i na artykuły Sandomierskie odpowiedzieli Wiślickimi 11. września. Jedrnie określono warunek wolnej elekcyi, że król ani prawa do tronu nikomu ustępować ani otwarcie lub tajemnie następcę podawać na królestwo nie może; ilekroć króla nie stanie, mają sobie go wolno obierać. O mieszkaniu senatorów obostrzono konstytucyę Henrykową, postanawiając, że senatorowie nie czyniący zadość powinności tej mają być złożeni z godności. Wyznawcom wschodniej wiary zapewniono zachowanie przy dawnych prawach. Król przyrzekał nie używać pieczęci pokojowej, rozdawać kaduki ludziom zasłużonym a wójtostw nie przyłączać do

[1]) Są to §. 1—3, §. 20, 29, u Schmitta w dodatkach N. 1.

starostw a i konstytucyę o niewydawaniu wakancyi wiecznością na najbliższym sejmie do skutku przywieść. Podając do wiadomości rokoszan te artykuły oświadczono jednak, że gdyby koło rokoszowe odrzuciło te propozycye, dalej na dostojeństwo króla nastawało i władzę Rzptej sobie przywłaszczało, podatki nakładało, wojska zbierało przyjmowało poselstwa cudzoziemskie, natenczas zgromadzeni przy królu będą go i ojczyznę krwią swą i majątkiem bronić.

Mimo pogróżkę żądają rokoszanie od króla ponowienia przysięgi, stawienia rękojmii z senatu, aby na wypadek, gdyby król przeciwnie postępował, my z inszej miary o Rzpltej radzić musieli. Na tak nietaktowną odpowiedź upomniano rokoszan, by się do domu rozjechali, rozpuściwszy zaciągi, a co do artykułów swoich spokojnie na sejm oczekiwali, inaczej bowiem król ze stanami w Wiślicy zgromadzonemi będzie musiał użyć środków, aby pokój, bezpieczeństwo i porządek w Rzpltej przywrócić. Następnie w odpowiedzi na uniwersał rokoszan z wezwaniem tych, co do domu odjechali, aby w myśl zobowiązań jako na gwałt znowu pod Sandomierz spieszyli, zabronił król uniwersałem z 25. września dotrzymać zaciągniętych zobowiązań, uwiadamiając, że przeciwko nieposłusznym wystąpi po myśli prawa, dawnych związków i kapturów. Natychmiast też wydano rozkaz do dalszego pochodu. Przed opuszczeniem Wiślicy urządzono demonstracyę wojsk: hetman roztoczył w szyku bojowym chorągwie, na których czele stali tacy wodzowie kresowi, jak Stanisław Golski, Stefan Potocki, Janusz Zbaraski, złożone z żołnierza obywałego w wojnach, dobrze uzbrojonego i dzielnie się przedstawiającego: w dniu pogodnym, pięknym, wyruszono naprzeciwko rokoszanom. Rokowano wszakże z rokoszanami za pośrednictwem Janusza Ostrogskiego, który jakkolwiek widział, że ci nieszczerze postępują i tylko zwłoki pragną, po spełzłem bez skutku pośrednictwie, wbrew obowiązkowi senatora postępując, cofnął się ze swemi chorągwiami z obozu królewskiego. Co gorsza, kiedy już znajdowano się w kilkumilowej od rokoszan odległości, zachorował Żółkiewski, a król musiał oddać dowództwo Januszowi Zbaraskiemu, wojewodzie bracławskiemu. Było to już pod Janowcem, kędy już Dyabeł Stadnicki, cofający się na czele rokoszan, zdołał ze swymi Sabatami przejść przez Wisłę. Reszcie jednak rokoszan przeszkodził wódz przednich straży królewskiego wojska, Stanisław Golski wojewoda ruski, przejścia przez Wisłę. Nie uderza jednak wojewoda na zmięszane, rozdzielone a tem samem i podupadłe na duchu zastępy

przeciwników, czeka na rozkaz samego króla; senatorowie proszą go, by się skłonił do wrodzonej sobie łaskawości — i oto król zezwala na konferencyę z rokoszanami, dano glejty bezpieczeństwa Zebrzydowskiemu, Radziwiłłowi i innym, z wyjątkiem Stadnickiego, który po drugiej stronie Wisły będąc, dbał o swój los a nie o towarzyszy. Wśród konferencyi wprawdzie Adam Stadnicki, kasztelan kaliski, wytykał Zebrzydowskiemu zdradę króla i ojczyzny, wprawdzie pobito Zebrzydowskiego jego własnymi argumentami, dowodząc mu, że łudził tylko szlachtę obietnicami odkrycia praktyk, których nie wykazał, ale ostatecznie nawet dowódzcy rokoszu wyszli z tych konferencyi zupełnie bez kary. Skończyło się na tem, że obu dowódców rokoszu, Zebrzydowskiego i Radziwiłła, dopuszczono do ucałowania ręki królewskiej, przyczem pierwszy zapewnił, że jak dotąd niczego przeciwko królowi i ojczyźnie nie wykroczył, lecz dobro ich ubezpieczyć pragnął, tak i teraz przyrzeka to samo dalej czynić, jeżeli król będzie raczył według praw panować i wykonać to, czego się wszyscy od króla domagają. Wszelkie starania senatorów, by Zebrzydowski odkrył owe praktyki, któremi rozbudził namiętności szlachty, by wyznał, że pobłądził i że dla błahych powodów zawichrzył Rzpltą, okazały się daremnemi. Zaledwie po kilkudniowych układach zdołano odeń otrzymać na dniu 7. października pisemne zapewnienie, że rozpuści chorągwie i więcej ich podnosić nie będzie, zaniecha zjazdów i konwokowania szlachty i do uspokojenia Rzpltej dążyć będzie, tudzież że we wszystkiem tem, co podawał w Stężycy o praktykach austryackich i o dążeniu do absolutyzmu, nie działał w złej wierze o instygowaniu nie myśląc.

Tak tedy w niesposobnem zdrowiu hetmana polnego, w niepewnem i dwójznacznem stanowisku kasztelana krakowskiego i w prośbach całego senatu, odzywającego się do łaskawości królewskiej, upatrywać należy przyczyny, dla których król przystał na to połowiczne załatwienie sprawy pod Janowcem. W całem postępowaniu hetmana widzieliśmy, że rozwinął on energiczną czynność celem stłumienia ruchu, który jako zgubny dla ojczyzny uważał, ale wrzodu na ciele matki ojczyzny wycinać nie chciał i z tej zapewne przyczyny zaniemógł przed Janowcem. Może miał na myśli przestrogę Skargi, każącego, że na takiej domowej wojnie i zwycięstwo złe i przegrana nie dobra i nazywającego łaskawym onego hetmana, który staczając bitwę bratobójczą, wołał do żołnierzy, szanujcie braci, a okrutnikiem nazwał onego, który w głowę kazał wymierzać ciosy i wygrał nieszczęsne z krwi bra-

terskiej wygranie. W każdym razie Żółkiewski uczynił zadość obowiązkowi wodza i obrońcy króla; on przestrzegł przed zamachem na Kraków, on głównie we wschodnich województwach poparł sprawę króla, on podprowadził siły wojenne, on wyznaczył Wiślicę na punkt zborny wojsk i stronników króla i już tem samem szachował przeciwników z dwóch stron i w krytyczne ich wcisnął położenie. Jemu też głównie zawdzięczyć należy ubezwładnienie rokoszan.

A jednakowoż lubo w rezultacie stronnicy królewscy przecięli rokosz na poły, tak, że żywioły skrajne ze Stadnickim straciły obecnie styczność swą z rokoszem, lubo zahamowano także i związek rokoszan z ruchem węgierskim, lubo król powracał do stolicy jako ten, który przebaczył sprawcom rokoszu, to jednakowoż rezultat całej akcyi pod Janowcem był połowicznym. Z jednej strony wodzowie rokoszowi nie przebłagali srodze przez nich dotkniętego majestatu królewskiego, w sposób, jak tego wymagała sprawa, z drugiej zasię strony uważali rokoszanie ugodę jako wymuszoną orężem, a więc tymczasową, byli z jej rezultatu niezadowoleni i w duchu zamyślali na nowo przy sposobności podnieść oręż.

Obóz rokoszan był rozbitym i do akcyi zbiorowej niezdolnym. Okazało się to najdowodniej na Rusi, dokąd tacy główni partyzanci, jakimi byli Dyabeł Stadnicki, Jan Szczęsny Herburt i Jakób Sienieński, byli rzuceni na ich grunt ojczysty, a gdzie jednak tak stanęli odosobnieni, tak każdy z nich zdany na własne siły, że nie tylko iż żadnej pomiędzy nimi nie widzimy łączności, żadnej akcyi ku wspólnemu celowi, ale co nadto każdy z nich otoczony był i zachęcony do walki z przemożnymi, stronnikami królewskiego obozu. I tak zdany był na nierówną walkę Stadnicki z Opalińskim, Herburt z kasztelanem Stadnickim, starostą przemyskim, a Sienieński z Dersznìakiem z Rokietnicy, posiłkowanym przez ziemiaństwo całego powiatu przemyskiego. Pomnożył się bowiem tutaj na Rusi zastęp stronników królewskich, a to na skutek tak działalności dostojników tutecznych i wyrozumiałego a umiarkowaniem nacechowanego postępowania króla z przeciwnikami, a z drugiej strony na skutek wyzywającej i anarchizmem przeniknionej działalności przywódców rokoszan na Rusi. Już nie tylko możniejsi, ale jak obaczymy, szlachta całego powiatu, i to tak obszernego, jakim był przemyski, stanie do walki z wyzywającym ją do boju zagorzalcem Jakóbem Sienieńskim.

III.

Spór Myszkowskiego z Zebrzydowskim. — Szlachta krakowska i wielkopolska za rokoszem. — Warunki ustąpienia od rokoszu. — Objawy anarchii. — Sejmik bełzki. — Odezwa koła lwowskiego. — Poparcie wiślickich artykułów przez halicki i wiszyński sejmiki. — Ubezwładnienie Dyabła Stadnickiego. — Jan Szczęsny Herburt przystępuje do rokoszu. — Uznanie niewinności króla. — Upor na zjeździe Jędrzejowskim. — Zwycięstwo nad rokoszanami pod Guzowem. — Akcya hetmana pokojowa. — Wrażenie klęski na Rusi. — Landa antyrokoszowe na Rusi. — Hetman za Zebrzydowskim. — Zebrzydowskiego wahanie. — Brak widoków. — Przeproszenie króla.

Ponowny ruch rozpoczął się, niebawem już po mniemanem jego zażegnaniu, od niezgody marszałka Myszkowskiego z Zebrzydowskim. Ten ostatni. który teraz osiadł w Zamościu, gdzie w charakterze opiekuna Tomasza Zamojskiego postanowił był nieco odetchnąć po doznanych stratach materyalnych. naruszył był cześć Myszkowskiego, na którego w kole rokoszowym powoływał się jako na tego. który o praktykach austryackich króla wiedział, a nawet krolowi miał niemi grozić. Myszkowski, który tak wysoko stanął był w radzie królewskiej, wystąpił teraz z deklaracyą przeciwko wojewodzie, zarzucając temuż, że go niewinnie osławił, aby zmyśleniem swojem znaleźć wymówkę na wzniecenie zamieszek. Gdy na to Zebrzydowski odpowiedział. że pismo jest pełnem kłamstw. zaczęto obrzucać się paszkwilami. Ale właśnie wśród tej walki. wojewoda zapomniał o danem przyrzeczeniu nie wznawiania zamieszek i z prywatnego sporu usiłując sprawę uczynić publiczną. zaczął w paszkwilach swych srogie czynić zarzuty senatorom i alluzye rzucać do „absolutyzmu, do którego niektórzy teraz wrota otworzone sobie być rozumieją". Alluzye takie odbiły się głośnem echem w województwie własnem Zebrzydowskiego, t. j. w krakowskiem. gdzie na rokach trzykrólskich zebrana szlachta nie dopuściła do odprawowania sądów, a co bardziej wysłała posłów do króla, z żądaniem zwołania sejmu. Biorąc niejako w obronę sprawców rokoszu, z którymi się solidaryzowała, przypominała szlachta owem poselstwem, że król jest ściśle prawami, których przestrzegać musi, ograniczony, że nie śmie prywatnie sądzić, (alluzya do zamiarów oddania sprawy Zebrzydowskiego pod sąd pod Janowcem), że miecz dzierży tylko na karanie występnych (alluzya do naciskania na rokoszan z bronią

w ręku) i że to są wolności nasze. tych strzedz i domagać się należy. Nie daliśmy się sądzić królowi, gdyż tego zabrania nam prawo, którego nam bronić należy.

Jeszcze jaskrawiej w kierunku otwartej opozycyi wystąpiono w Wielkopolsce na zjeździe w Kole, zkąd uniwersałami zwołano rycerstwo na 20. marca pod Jędrzejów wśród narzekań na ucisk swobód i wolności, co jawnie na zjazdach rokoszowych odkryto, na zawód z powodu niedotrzymania objetnic w Wiślicy uczynionych, gdyż ostatecznie artykuły rokoszan zostały zganione i odrzucone, a kaptur na nich uchwalony. W deputacyi, wysłanej z Koła do kardynała Maciejowskiego sformułowano warunki odstąpienia od dalszego rokoszu: żądano niemi, by senatorowie ze zwykłym orszakiem na sejm przybyli, aby król nie zaciągał posiłków, ani też ich używał na pognębienie stanu szlacheckiego, by zatwierdzono na sejmie uchwały rokoszowe i by sprawcy zjazdu rokoszowego nie doznawali prześladowania. Uspakajająca rokoszan odpowiedź kardynała nie zadowolniła zgromadzonych w Kole.

W taki to sposób rozpoczęły się ponowne zamieszki w całej Koronie wśród objawów wielkiej anarchii, której powodem wszędy w pierwszej linii byli rokoszowi, że tu tylko wspomniemy o nieprawnym najeździe ze strony rokoszanina Jakóba Sienińskiego, wojewodzica podolskiego, na Rokietnicę. Barbarzyński ten zajazd na dobra Stanisława Derszniaka Rokietnickiego spowodował, że szlachta przemyska natychmiast (a było to 2. lutego 1607 r.) zawiązała konfederacyę dla dania ratunku i obrony pogwałconemu ziemianinowi, zwłaszcza w czasie, „w którym majestat i powaga króla zostały nadwyrężone i zachwiane“. Król wierny zasadzie leczenia uraz Rzpltej przez samychże poddanych wydał uniwersały na sejmiki przedsejmowe, aby ostatecznie sejm odpowiedział na żądania rokoszan. I znowu jak zeszłej wiosny zakotłowało na sejmikach, na których ścierają się opinie rokoszan, ich dążenia i życzenia ze zdaniem innych obywateli, trzymających stronę znieważanego majestatu. Nawet w województwach wschodniej połowy Rzptej, które dotąd bardziej trzymały stronę króla aniżeli rokoszan, odezwała się dawna gotowość do udziału w zamieszkach. Tak było na sejmiku w Bełzie, gdzie wysłano posłów zarówno na sejm jak i pod Jędrzejów, a pierwszym polecono wręczyć królowi i radom jego artykuły Bełzkie z 1605 r. z instrukcyą, aby się im zadosyć stało i by ich w niczem nie odstępowano. Polecono nadto posłom pilnować i popierać artykuły zeszłoroczne Sandomierskie,

aby król przysiędze, paktom zatwierdzonym konstytucyami zadość uczynił, w razie przeciwnym mieli uczynić protestacyą z upomnieniem: de non praestanda obocdientia. Co bardziej wysłanym pod Jędrzejów posłom pogrozić kazali, że chcą odmiany lub poprawy pana z powodu wykroczeń przeciwko wolności i że żądania tego zdrowiem, majątkiem i krwią poprzeć gotowi.[1]) Nie były groźby Bełżan bardzo zastraszające, wiemy bowiem zkądinąd, że gorącość ta sejmikowa była przemijającą i że wcale bez skutków przeminęła, tak dalece, że na sejmiku, złożonym na 22. kwietnia, gdzie porządek wyprawy, a oraz pobór potrzebny uchwalono, wcale jej nie było.[2]) W każdym jednak razie Bełżanie chwilowo marsową pokazali minę.

Inaczej w województwie ruskiem, gdzie król uniwersałami i orędziami szedł na rękę władzom, aby zahamować rozruchy, zaciągi nieprawe wojsk i gdzie na 7. marca zjechała się do Lwowa wielka część najznakomitszych dygnitarzy, aby dać ochronę majestatowi i wolności zagrożonej. Byli to arcybiskup lwowski Jan Zamojski, hetman Żółkiewski, wojewoda bełzki Stanisław Włodek, kasztelan poznański Jan Ostroróg, Jakób Potocki i inni, a Kołu marszałkował jak zeszłego roku Jan Swoszowski. Uniwersałem zwołano szlachtę, „jako na gwałt bieżeć pod Wisnię konno i zbrojno, a ztąd pod Wiślicę na zagaszenie pożaru, ponieważ nowymi zjazdami wzruszają niektórzy fundamenta Rzpltej, władzę sobie, nad sejmem uzurpując, a ani powolnością króla, ani artykułami Wiślickimi nie dali się zahamować.“ Zjazd naznaczono na 23. marca, na który to czas i sejmiki były naznaczone, a podobnie jak zeszłego roku tak i obecnie zgromadzeni we Lwowie dostojnicy i szlachta uprosili hetmana, „aby na takowe niebezpieczeństwa pilne miał oko i jeśliby co gwałtownego i nagłego przypadło, żeby nas obwieścił“ do stawienia się pod jego dowództwo na miejsce, które nam naznaczy. Była to przestroga dla rokoszan, którzy nie dopuszczali biegu sprawiedliwości i to zbrojno, wśród krwi rozlewu, jak to się stało w Poznaniu, a i na Rusi, jak wspomniano, teroryzmem usiłowali zdobyć sobie znaczenie. Po myśli też instrukcyi królewskiej wybrano na sejm posłów po-

---

[1]) Akta Grodzkie Bełzkie tom 196, p. 1412 i nn. Instrukcya z 7. marca 1607 r.

[2]) Obacz odpowiedź Jana Lipskiego, podkomorzego bełzkiego, przeciwko odezwie szlachty bełzkiej z 25. czerwca 1607 r. do niego adresowanej, aby objął nad nią komendę, Gr. Bełz. 196, p. 1655 i n.

ważnych obywateli, jak n. p. z lwowskiej ziemi sędziego ziemskiego Piotra Ożgę i pisarza Jana Swoszowskiego, z przemyskiej podkomorzego Jana Świętosławskiego i podsędka ziemskiego Andrzeja Bireckiego, z sanockiej Jana Mieleckiego i Jerzego Stana. Na halickim sejmiku 19. marca odbytym pod laską Adama Tyrowskiego, podsędka ziemskiego, uchwalono wydać pobór z przeszłego sejmu, a nadto uchwalono nowy, za który miano zaciągnąć żołnierza powiatowego dla obrony majestatu, a jeśliby była potrzeba i żołnierz nie wystarczał, zobowiazała sie szlachta sama zbrojno wyruszyć za obwieszczeniem wojewody lub kasztelana. Do króla wysłali Haliczanie Jakóba Potockiego, Adama Tyrawskiego z podziękowaniem za łaskawość objawioną w artykułach wiślickich i z prośbą, aby dalej wiódł umysły do zjednoczenia już na poły do zgody przywiedzione. Posłom zaś polecali Haliczanie stać przy konkluzyi artykułów wiślickich, niczego nie ustępować i owszem starać się, aby uchwałą sejmu były potwierdzone.[1]) I sejmik generalny w Wiśni, na który przybył arcybiskup lwowski i hetman, kończąc obrady swe 27. marca pod laską wojskiego żydaczewskiego, Krzysztofa Leśniowskiego, dziękował królowi za zadośćuczynienie, które się nam stało według artykułów w Wiślicy namówionych, któremi się jako na fundamencie starych praw i swobód chcą kontentować", niemniej jak i za obietnice tego wszystkiego, coby do poprawy i pomnożenia praw i wolności należało. Ale zarazem zaprotestowano przeciwko prywatnym zgromadzeniom rokoszan grożąc, że gdyby nie odstąpili od swego zamiaru i na dostojeństwo królewskie, na prawa i pokój pospolity gromadnie następowali, „natenczas nam nielża, jeno uciec się do tego, co ucisk taki wyciąga". Proszono też króla, aby na taki wypadek uwiadomił wojewodę ruskiego, do którego zgromadzeni wysyłają posłów, aby się bliżej do Lwowa przymknął i tutaj na rozkazy króla oczekiwał. Hetmana też proszono, aby z żołnierzem, pomnożonym przez przysłanie listów przypowiednich dla rotmistrzów, tam się obrócił, gdzie tego wymagać będzie potrzeba, sejmik zaś naznacza zapłatę żołnierzowi z poboru i to nie tylko jeden, ale ileby ich było potrzeba, pozwalają, dając moc posłom na nie zezwolić. Znamienny to rys owych ziemian, że uchwalają poprzeć u króla i na sejmie prośbę mieszczan lwowskich około zaczętej municyi a także i mieszczan przemyskich i rohatyńskich, z warunkiem oczywiście wiernych szafunków i liczby z prowen-

[1]) Laudum i instrukcya z 19. marca 1607 r.

tów.[1]) Było to poparcie groźby okazanej także rokoszanom miejscowym, jak Jakóbowi Sienińskiemu, jak Dyabłowi Stadnickiemu, którzy już utrzymowaniem poważnego zastępu zaciężnych wojsk stawali się dla ziemi niebezpiecznymi. Najradykalniejszy na rokoszu pod Stężycą i pod Sandomierzem Stadnicki, swojem zbyt rychłem cofnięciem się za Wisłę pod Janowcem odciął się niejako od Zebrzydowskiego, co mu nie przeszkadzało być rokoszaninem na własną rękę, tem niebezpieczniejszym, że utrzymywał całe wojsko Sabałów i siał teroryzm z Łańcuta w ziemi przemyskiej. Z tej przyczyny powrót jego do obozu rokoszan, w każdej chwili, a zwłaszcza teraz, gdy ponownie regaliści ze wschodnich województw poczęli grozić, mógł być pożądanym. Atoli zbieg wypadków uniemożliwił Dyabłowi czynny udział w ponownym ruchu rokoszowym. Główną do tego przeszkodą, a zarazem i powodem ubezwładnienia Dyabła był starosta leżajski Łukasz Opaliński, wierny królowi wielkopolanin, magnat, żarliwy katolik. Wysłał był król Opalińskiego na wspomniany wyżej sejmik wiszyński, a Stadnicki podburzał szlachtę przeciwko Opalińskiemu i nakarmił go despektem. Prowokowany jednak tymi i innymi sposobami Opaliński dąży do sąsiedzkiej z Stadnickim zgody. Jednali ich tacy jak referendarz koronny Świętosławski, jak marszałek nadworny Wolski, jak podczaszy lwowski Leśniowski, jak wreszcie kasztelan poznański Ostroróg. Stadnicki jednak nie odstępuje od prowokacyi, zajeżdża wsie, następują utarczki, a w czasie kiedy rokosz powtórnie wybuchnął niemal nieustanne, wreszcie w listopadzie w formalną zamieniły się wojnę. Streszczamy wypadki za historykiem owych lat smutnych, który świetnem piórem skreślił anarchię głęboko wkorzenioną w społeczeństwo,[2]) przyczem wypadnie nam nieco zboczyć od głównego tematu.

Opaliński uderzył na Łańcut, pod Łukowem znowu Stadnicki zadał w kwietniu 1608 r. klęskę Opalińskiemu, przesławszy mu odpowiedź pieniackiemi poprzetykaną kruczkami. Niebawem żołnierze Opalińskiego zdobywają Łańcut, rabują skarby tam nagromadzone. Stadnicki ponawia wojnę, wśród której niszczeją dziesiątkami wsi ludne, a teroryzm panuje taki, że szlachta w Wiśni zgromadzona prosi króla, by pod zagrożeniem kar wezwał Siedmiogrodzian, Szeklerów, Wołoszynów i Multańczyków do opu-

[1]) Laudum wiszyńskie z 27. marca 1607 r. Castr. Hal. 111, p. 806—810.

[2]) Łoziński, Prawem i Lewem, 2 wyd.

szczenia chorągwi Stadnickiego. Wreszcie zajął Stadnicki Leżajsk, pograbił wieśniaków, dzierżawców ponapędzał, dziesięć kościołów sprofanował, 150 ludzi zabił i zabrał dziewięć tysięcy sztuk bydła. Wobec tego Opaliński musiał albo sromotnie odbieżeć majątku żoninego i starostwa leżajskiego, albo też bronić się do upadłego. Bodźcem do dalszej walki była Opalińska, biorąca żywy udział w zbrojeniu się męża. Napróżno król, przebaczywszy Stadnickiemu za udział w rokoszu, o czem jeszcze niżej wspomnieć przyjdzie, nakłaniał go do zgody z Opalińskim. Wprawdzie Opaliński, pragnąc raz zakończyć sprawę, wyzwał zapalczywego przeciwnika na pojedynek, ten atoli nie stanął do rozprawy orężnej, za to zjechał w sześćset koni na trybunał lubelski i tak się tam urządził, że Opaliński prawie cudem ocalał, chociaż wnet potem i Stadnickiego z despektem wyparto z miasta. Lata całe, gdyż od początku 1607 r. do sierpnia 1610, kiedy to poległ Stadnicki, trwa ta wojna, w ciągu której posługuje się on Sabatami, a przeciwnik jego wyraźnie w sądzie i po za nim mówi, że to są ludzie Gabryela Batorego, że Stadnicki jest zdrajcą stanu — król już po przeprosinach przestrzega Stadnickiego a senat upomina, by się nie kusił o zdradę. Nawet po śmierci Stadnickiego, kiedy to Sabatowie przybyli mu na pomoc po niewczasie, zaczęli zemstę wywierać w Samborskiem, na sejmiku w Wiśni szlachta skarząc się na rozbójniczy najazd Sabatów, uchwala mścić się na Batorym, jeżeli nie da zadośćuczynienia.

Takie to wojny ubezwładniały i wreszcie odcięły zupełnie Dyabła Stadnickiego od rokoszu, dodać jednak należy, że miał on tam godnego sobie zastępcę, a był nim Jan Szczęsny Herburt z Dobromila, niegdyś dworzanin kanclerza Zamojskiego, trochę poeta, uczony wydawca, magnat anarchista, którego oryginalną postać i dziwne losu koleje skreślił również wspomniany wyżej nasz historyk. Niestały to charakter, dziwnie zmienny, który już Zamojski odgadł i trafnie ocenił, a Herburt, dorozumiewając się, że został poznany, cofnął się z dworu kanclerskiego. Ze Stadnickim Dyabłem podzielał Herburt chciwość dostojeństw i niską mściwość na sprawcach zawodu. Zrobiono mu widoki na otrzymanie starostwa przemyskiego po wuju Drohojewskim (zabitym przez Stanisława Stadnickiego z Liska, i wtedy to Herburt nie tylko, że ostrem piórem zwalczał stężyckie zamysły Zebrzydowskiego, ale pierwszy doniósł królowi o zamiarach wojewody i oświadczył gotowość niesienia pomocy. Król okazał nieco nadziei Herburtowi, ale nieufając niestałemu jego charakterowi, nadał

starostwo Adamowi Stadnickiemu (bratu zabójcy Drohojowskiego). Zawrzał gniewem Herburt, chętnie byłby ofiarował usługi swe wojewodzie krakowskiemu, ale że wiedział, iż tenże go podejrzywa, zamiar odłożył na później, a tymczasem wszedł w stosunki z Batorym. Ten w Polsce wychowany przy stryju swym kardynale, po tegoż śmierci udał się na Węgry do krewnego swego Batorego Esethiego, gorliwego zwolennika aryanizmu i gdy przyjął kalwinizm, został przez tegoż adoptowany. Niezmiernych skarbów próżnego a ambitnego młodzieńca miał Herburt użyć na niekorzyść ojczyzny; ofiarował on bowiem Batoremu usługi w utorowaniu mu drogi do tronu polskiego i w tym celu utrzymywał dziewięćset ludzi na żołdzie. Nie pozostał on bynajmniej wiernym Batoremu, a raczej zdradzał go, gdy celem pozyskania łaski króla, posłał temuż dwa listy Batorego, dowodzące o zamysłach tegoż osiągnięcia korony, a dodawał ze swej strony, że i dowódcy rokoszu nie są obcy tym zamysłom, lecz że raczej z ich strony wyszła zachęta do owładnięcia królestwa i zapewniając, że on tymczasem będzie udawać przyjaźń z Batorym, aby tym sposobem mieć go w ręku.

W czasie kiedy król był pod Wiślicą, Herburt jeszcze się do żadnego stronnictwa nie przychylił, wreszcie zawiedziony w nadziei osiągnięcia starostwa, a palony zemstą przeciwko Stadnickiemu, staroście przemyskiemu a kasztelanowi kaliskiemu, przystał do rokoszan. W czasie kiedy rokosz na nowo odżył i kiedy to Stadnicki rozpoczął zażartą wojnę z Opalińskim, Herburt podobnąż wojnę rozpoczyna ze Stadnickimi. W Chotyńcu pojmał on kasztelana Stadnickiego i uprowadził do Lwowa, ale napadnięty przez większe wojska pod dowództwem brata tegoż wypuszcza kasztelana z więzów, a gdy nieoględnie pod Przemyśl podstąpił, sam dostaje się do niewoli i pod surowemi kondycyami, które podpisał a których nie dotrzymał, odzyskuje wolność.

Miano teraz dowody, że Herburt następował zbrojno z zaciężnymi Węgrzynami na władzę, miano też przez niego dostarczone dowody zdradzieckich knowań z wrogami królestwa, a jednakowoż nie nastąpiono na niego i pozostawiono go w spokoju, z którego to korzystając Herburt, wyruszył zbrojno do rokoszan i zaciężnymi znacznie pomnożył ich siły. Było to w czasie kiedy rokosz ponownie z orężem w ręku stanął przeciw swemu królowi.

W Jędrzejowie, dokąd rokoszanie zwołali zjazd, tłumacząc się, że niedotrzymującemu słowa królowi również nie należy słowa dotrzymać, radzono przez cały miesiąc pod laską Radziwiłła, który

hardym listem dał znać królowi, że na powszechne życzenie braci konfederacyi sandomierskiej jedzie sterować obradami. Zjeżdżano się pomału, nawet Zebrzydowski nie pospieszył. Królowi, który wezwał rokoszan do odłożenia wszelkich spraw na sejm, gdzie stany obradować będą, a król zgodzi się na wszystko, co mu zgodnie przedłożą, odpowiedziano obietnicą czekania z konkluzyą rokoszu do 28. maja. Na ten zaś termin uniwersałem zwołali rokoszanie szlachtę bez wyjątku, a osobliwie tych, którzy po województwach roty przypowiednie mają, poborców z poborami wojewódzkimi, aby praktykom szkodliwym zabieżeć i wolność ubezpieczyć.

Antoni Prochaska.

(Dokończenie nastąpi).

MATERYAŁY
do historyi polskiej XIX. wieku.

Działalność emigracyi z roku 1831 na terenie Turcyi do pokoju Paryskiego.

(Ciąg dalszy).

Do Michała Czaykowskiego.

Paryż, 17. czerwca 1842.

Kochany P. Czayko. Dwa słowa tylko piszę. Już trzeci statek przychodzi i nie przynosi mi listów. Mam w Bogu nadzieję, że wrócisz cały i co dzień o to wnoszę modły, aby cię Bóg prowadził, ochronił i błogosławił wszelkim dobrym naszym usiłowaniom. Dosyć przyjemną rzecz donoszę. Ks. Sadowski porzucił swoje odstąpienie i jedzie do Stambułu. Spodziewam się, że przyszłym statkiem puści się. Jeśliby cię już nie zastał, zostaw mu dokładną instrukcyę, nie jest bardzo bystrego ani obszernego rozumu, ale spodziewam się, że będzie gorliwy, wyrozumiały, z czasem pojętny — i nie jest bez wiadomości, bywał profesorem w swoim klasztorze, bywał na misyach, rozumie po moskiewsku i po rusku, okaże się do wszystkiego ochoczym.

Radbym, żebyście wyrachowali, wiele przeznaczyć by trzeba l'un dans l'autre, na jednego biedaka z niewoli wykupionego i osa-

dzonego albo przynajętego do folwarku, tak, aby mu sposób do życia zapewnić. Coby to kosztowało na jednego człowieka? Sądzę, że powiedziawszy niejednemu, można ocalić człowieka za taki pieniądz. toby go łatwiej zachęciło do sięgania do kieszeni, jak pozostając w ogólnikach. Byłem u p. de Pontois [1]) i znalazłem go bardzo uprzejmego. mówił nader uprzejmie o Lazarystach, a nawet o koloniach. chwaląc szczególnie, że wszystko się robi cicho i gładko. Ciebie także chwalił, że jesteś przydatny Lazarystom bardzo. których ceni wysoko, mówiąc, że takich właśnie ludzi nam trzeba: zdaje się, że ministeryum poznaje. że powinno wspierać katolicyzm i że Francya na jego czele ma stanąć. Mówiłem o potrzebie funduszów. nie wiem czy co z tego będzie. P. Pontois rozumie, że mu dadzą cokolwiek może pieniędzy. Do Wukaszyna mocno się interesuję: jeżeli on takim, jak go sobie wystawiam, to będzie z niego niezmierna pociecha i on się stanie sławnym człowiekiem przez święte dzieło.

Ks. Sad. przywiezie resztę jego publikacyi: nie można było zwyczajną drogą więcej posłać. Z niewymowną niecierpliwością czekam doniesienia o waszym powrocie do Stambułu i proszę Boga, aby był pomyślny. — Moja żona i dzieci kłaniają serdecznie Dotąd żaden kandydat na miejsce Królikowskiego nie znalazł się; szukamy go. Napisz, coby mógł mieć nauczyciel w Bebek i czy ta szkoła już w ruchu.

(Bez podpisu).

Do Michała Czaykowskiego.

Paryż, 27. czerwca 1842.

Nie było tym razem listu, co się daje wytłumaczyć twoją, Panie, podróżą: może też jeszcze nie oddany. Twoje Panie bowiem listy zawsze później, nie wiem dla czego, mnie dochodzą. Przeszłą także razą doszedł mnie wasz list z drogi po odejściu już mojego listu. Ucieszyłem się niezmiernie, kochany P. Czayko, dowiaduję się, żeś zdrów choć zmorzony i że się dotąd nic złego nie stało. Obiecujesz drugi list z Ruszczuku napisać, może nie mógł jeszcze

[1]) Ambasador francuski w Konstantynopolu.

dojść do Stambułu. Przez wiele trudu, niebezpieczeństw nawet przechodziłeś. Na to się nikt nie puszcza bez żadnego osobistego widoku, tylko go prowadzą miłość Ojczyzny, obowiązek, wzniosłe poświęcenie. Będziesz miał pociechę przez użytek różnego rodzaju, który z tego trudu wyniknie. A pożytek pewny będzie przez dokładne poznanie tych krajów, zaprowadzenie stosunków, przez możność wysyłania tam i osadowiania naszych i t. p. Prosisz o pozwolenie powrotu, skoro wrócisz, jużem po kilkakrotnie napisał, że zezwalam na twój powrót i że porę powrotu zostawiam własnej twojej decyzyi, możesz więc wyjechać i wrócić, skoro zechcesz. Sam jesteś interesowany zostawić wszelkie rozpoczęte rzeczy w dobrym, ile być może, stanie tak, aby się nie popsuły i nie upadły. Ks. Sadowski jeszcze tą razą się nie wybierze, różne detaliczne zaszły trudności, ale przyszłym statkiem spodziewam się z pewnością, że wyjedzie. Lękam się, że go się nie doczekasz. Choć tego żałować będę, nie chcę cię jednak wstrzymywać dla czekania na niego. Zostawisz mu obszerną instrukcyę i zarekomendujesz panu Leleu. Bogu resztę oddać, Bóg, w którym położyłeś ufność, nazad cię z niebezpiecznej drogi przyprowadzi. Szczegóły tej drogi są nader ciekawe, a będą jeszcze i ciekawsze, gdy będą uzupełnione. Wukaszyn najmocniej mię interesuje. Ks. Sadowski powiezie resztę odezw. Trzeba, żeby się z sobą dobrze poznali. O podróży przez Scodra także już pisałem i radbym, żebyś tamtędy pojechał z owym Arnautem, zezwalam na kilkasetne pomnożenie expensy, ale jeśli bardzo zmożony jesteś, jeśli potrzeba spocznienia silno (tak) daje się czuć, nie wymagam, abyś sam tam jechał, wracaj zaraz: zobowiązany przymus mógłby cię do szczętu wycięczyć; nie warto dla tego zdrowia położyć. P. Wład. w Londynie. Ks. Jadwiga jest tu i wraca do Galicyi. Ks. Wurt(tak) w Wiedniu. Ks. Sap. wkrótce odjeżdża, moja żona bardzo kłania. Zrazu nie mogłem wszystkiego w ostatnim liście wyczytać. Teraz widzę, że w nim piszesz, iż XX. Lazaryści ofiarowali li mieszkanie dla żony i dzieci i opiekę w twojej nieprzytomności. Toby oznaczało zmienioną opinię co do dłuższego pobytu na Wschodzie. Czekać będę niecierpliwie na pierwsze listy po powrocie do Stambułu i na zdanie, które wówczas otworzysz o sobie i sprawach sobie powierzonych. Teraz proszę Boga, żeby ochronił od wszelkiego złego i oświecił poświęcających się szczerze wierze i Ojczyźnie. Bywaj zdrów kochany P. Czayko.

(Bez podpisu).

Do Michała Czaykowskiego.

Paryż, 7. lipca 1842.

Moment, w którym wrócisz z swojej naddunajskiej drogi i po przeczytaniu licznych moich listów zbierzesz myśli swoje i oświadczysz mi swoje chęci, swoje przekonania o położeniu rzeczy naszych w słowiańszczyźnie i o potrzebie pozostania twojego ciągle przy tej robocie, aby nie spełzła i wydała swoje owoce, będzie ważnym momentem. Czuję i ja ważność decyzyi, którą mam wziąć, czy nastawać, abyś tam pozostał, czy nie zmieniać danego już bezwzględnego pozwolenia powrotu. Napisałeś w przedostatnim, na samym wyjeździe wyprawionym liście, że wróciwszy napiszesz, czy korzyści z wysłania Zwierkowskiego i ze stosunków z kozakami naddunajskimi nie będą wymagać dłuższego bawienia w Stambule, dodałeś, że p. Leleu ofiarował dać mieszkanie Pani Czayk. i dzieciom i że szare siostry będą się nią trudnić w razie odjazdu twojego. Dłuższy pobyt w Stambule, chyba żeby przez obce i Moskwy podejrzenia stał się szkodliwym, ze wszelkich innych względów jest użytecznym. A (wyrwane) — jak jeśli żona i dzieci do pana pojadą. Przychodzi mi na myśl wysłać ich, nie czekając na twoją Panie odpowiedź (brak), zdaje mi się, że jest lepiej doczekać się pierwszego listu ze Stambułu. Lękam się kosztu, nie naraz tylko, kosztu ciągłego utrzymania, kiedy żadnej pewności regularnych wpływów nie ma. Nie lubię hałasu, który wyniknie od takiej determinacyi — choć można to pokryć wieścią, żeś znalazł tam posadę korzystną i twoim gustom przyjemną. Ale czy Lazaryści dadzą pewnie potrzebne mieszkanie? Pewności na to zupełnej trzeba. To znaczyłoby, że bardzo życzą ciebie Panie tam przetrzymać. Jakieżby było wówczas wasze utrzymanie? Wiele rocznie toby trzeba plus minus wyrachować. Folwark dla czegoby nie posłużył do zmniejszenia sumy utrzymania? Nie rozumiem, dlaczego nie chcesz mieć jawnego stosunku z folwarkiem. Owszem folwark i kolonia będą dobrym pretekstem twojego osadowienia się w Stambule, daleko lepszym, jak agentostwo; bardzo radzę, aby kolonię wziąć za powód i przedmiot przedłużonego pobytu. Sam z familią, identyfikując się z L. L. i z siostrami, wielkiego bezpieczeństwa, ile mi się wydaje, nabieracie. X. Sadowski już ma paszport, ale na przyszły statek dopiero jedzie do Marsylii. Gdyby się już można było decydować, byłby to doskonały kom-

pan dla familii Pana, wszelako nie myślę go wstrzymywać do pierwszych ze Stambułu listów. Nadejdzie jakaś okoliczność, która pokaże, jak się zdecydować. Wyznam, że wysłanie matki z trzema dziećmi i sługą mam za wielką dla nas decyzyę, wielką w oczach wszystkich, jak się o niej dowiedzą, dla tego trzeba umieć ją pokryć. A przecie niewiadomo, jakby Pani Czayk. to wzięła. Pokryć ją trzeba miłosiernym powodem i znalezioną niezłą i pewną posadą. — X. Sadowskiego proszę dobrze tam zarekomendować. Jest to człowiek prostego serca i rozumu, chcący dobrze, który się pokaże, mam nadzieję, poświęconym, czynnym, gorliwym, więcej, niż z pozoru zdaje się obiecywać. Trzeba go zachęcać dobrym przyjęciem i ułatwieniem danego mu obowiązku, który trzeba mu jasno wystawić w instrukcyi podrobnej, [1]) którą mu dasz lub zostawisz — ma chęć misye odprawiać między Słowianami, którą raczej miarkować jak rozniecać przyjdzie. Z Wukaszynem go poznać trzeba, nie wiem wszelako, czy ich rozumy będą jednej miary, czy Sadowski wydoła i dogodzi tamtemu, ale z prostemi ludźmi powinno mu się udawać. — Żałuję bardzo, że Bourguenoy odjeżdża; będzie (wydarte), zaczynamy cokolwiek podejrzywać szczerość jego następcy może (wydarte) przyczyny, ale co pewna, że ma mniej rozumu i mniej zatem (wydarte) się rzecz ma, że on także jest zdania, iż dla dobra i powiększenia (wyrwane) i lepiej było, żebyś tam jeszcze pozostał; że zresztą o tem naj (wyrwane) do p. Leleu i że jego zdanie powinno by być w tej mierze po (wydarte) gającym i rozstrzygnąć twoje i nasze wahania się. W tej chwili odbieram trzy listy z Ruszczuku i z Filipopoli, które zaledwie przebiedz mam czas. Wiele zawierają ciekawych szczegółów. O L. Zw. nie mogę dziś nic napisać; jako widz i donoszący może być użytecznym, ale więcej nie należy mu poruczać, jakem już dawniej pisał. Na drugi raz dłużej pisać będę, gdy przeczytam i wydecyfruję twój list.

Exarcha już znamy i widujemy — Bóg miłosierny opiekuje się tobą Panie i zdrowego nazad przyprowadzi. Bądźże wdzięcznym za jego łaskę i nigdy nie wątp o niej. Liczne stosunki, które zawiązałeś po różnych miejscach, teraz zachować i pielęgnowaćby trzeba. Trzeci list przywiozła siostra Marya i o niej jest, jeszcześmy jej nie widzieli. Będziemy się starali ją i p. Carere poznać i zachęcać do wysłania sióstr do Polski. — Jak wrócisz, będziesz miał wiele listów moich do odczytania, gdzie różne znajdziesz

[1]) Wyraz rossyjski = szczegółowej.

postrzeżenia i zdanie czasem przeciwne sobie, najważniejszą rzeczą jest zostawiona ci wolność wrócenia, gdy znajdziesz i ułożysz rzeczy, by w twojej nieobecności nie zatrzymały się. Staramy sie na wszystkie strony w kraju zaprowadzić składki na kolonię. Jeśli będzie skutek, czas pokaże. Staramy się ująć dla siebie towarzystwo de la propagation de la foi, które już tyle wspiera X. L. L. w tem także spodziewam wspierać będzie.

Skoro staniesz w Stambule, powracaj natychmiast: urządziwszy wszystko jak można dobrze i zostawiwszy instrukcyę dla X. Sadowskiego, albo też przekonawszy się z p. Leleu, że twój pobyt jest konieczny dla dobra sprawy i rozpoczętych stosunków pisz natychmiast, aby żona przyjeżdżała. To by było pewniej i korzystniej dla interesów: jednak prócz innych niedogodności bez których się nie obejdzie, gdy się zastanawiam nad trudnościami niezbędnemi, gdy przyjdzie nam Panią Czayko, z dziećmi wyprawiać, wyznam, że cofam się rad nie rad od tego projektu i wolę już, abyś wrócił tymczasowo, to będzie łatwiej choć mniej korzystnie. Gdybyś jednak siłą wszystkich okoliczności przynaglony, przedstawiał mi decyzyę sprowadzenia żony, napiszże zaraz wszystkie ułatwiające środki i układy do tego i także pamiętaj o oszczędności, szczególnie co do waszego rocznego utrzymania i osadowienia się w Stambule, do czego folwark możeby swemi produktami mógł być pomocą. — Bywaj zdrów kochany P. Czayko Prośmy Boga, aby nas oświecił i prowadził. Wierz szczerej niezmiennej przyjaźni; moja żona oświadcza wiele ukłonów; p. Wł. Za. w Londynie dotąd. Tu są p. Zdzisław i ks. Jadwiga, która jutro odjeżdża do Wiednia, gdzie moja siostra jeszcze bawi. Jeżelibyś potrzebował cokolwiek pieniędzy na powrót, niech p. Leleu zaawansuje potrzebną sumkę. A jak (wydarte) zwrócę.

(Bez podpisu).

Do Michała Czaykowskiego.

Paris, 17. lipca.

Odebrałem razem listy z Adryanopola i ze Stambułu. Najprzód podziękowałem Bogu, żeś szczęśliwie i bez szwanku wrócił z niebezpiecznej podróży. Zdecydowałeś się tedy natychmiast wra-

cać i dziś właśnie siadasz na okręt w Stambule. Czujesz jednak, że w październiku ktoś powinien być znowu na miejscu w Stambule, aby rzeczy rozpoczęte w niwecz nie poszły, aby podjęte starania i koszta nie były potracone. Nikt lepiej, kochany P. Czayko, nie poprowadzi i nie utrzyma rozpoczętych rzeczy, jak ten, który już zaczął pomyślnie, który już zna ludzi, kraj zwiedził, związki utworzył. Mojem zdaniem trzeba, żebyś wrócił i był przez jakiś czas ciągłym agentem w Stambule.

Mając wrócić, po co aż do Paryża przyjeżdżać, gdzie zjawienie się Twoje a potem wyjazd, na tysiączne zgadywania, baśni, obmowy by nas naraziły. Teraz wszystko cicho, zapomniano Bogu chwała o tobie, czem innem języki się bawią; na co siebie na pastwę im rzucić?...

Dla uniknienia wiele niedogodności, którym przyjazd aż do Paryża byłby przyczyną i dla zmniejszenia kosztów taki byłby mój plan.

Z Malty natychmiast napiszesz do żony, aby z dziećmi z mamką lub boną przyjechała dla widzenia się z tobą na ten a ten dzień do tego a tego miejsca. Do Lyonu naprzykład przez Marnę, lub do Avignonu lub do Marsylii. (W Marsylii jest więcej podobno Polaków i masz znajomych. Z tego względu Lyon lepszy i można może ciszej przebywać). Trzeba, żebyś władzą mężowską i władzą afektu żonie nakazał, aby wyjechała mówiąc, że na wieś jedzie; co jest bardzo naturalne; i sama żona nie powinna wiedzieć, że daleko i aż do Stambułu ma jechać, ale tylko że jej dasz rendez-vous, chcąc prędzej ją zobaczyć i spokojnie z nią i z dziećmi posiedzieć i spocząć sobie daleko od zgiełku Paryża tem bardziej, że mnie w on czas tu nie będzie. — Gdyby Pani Czaykowska mogła aż do Malty sama popłynąć, to może byłoby to najlepiej. Wszystkiemu by się dogodziło, ale lękam się, że bez męża lub kogoś, któryby z nią popłynął, rzecz jest niepodobną. Sam to zdecydujesz, znając najlepiej żonę. Czy Głębocki nie mógłby z nią popłynąć i odprowadzić do Malty? Wiesz teraz o co mi chodzi. Wracać aż tu, a potem znowu jechać, jest wcale niedogodnem. Sam ułóż najgładziej, gdzie z żoną masz się zjechać. Zdaje mi się także prawie niepodobnem, abyś wyjechał znowu, nie biorąc z sobą żonę i dzieci; ona podobno na to nie zgodzi się. Ale nie trzeba o tem przed czasem jej donieść, bo by się mogło rozgłosić i rzecz byłaby ciężko utrudzona. Sam jej powiesz za zobaczeniem się co zechcesz, że ją z sobą bierzesz. Układy do drogi też same. Rzeczy, któreby tu zostawiła, mogą być albo przecho-

wane albo sprzedane. Kosz(tów) na drogę dostarczę. Exkuza przyjazdu. kiedy się o nim dowiedzą będzie, żeś przyjechał. aby zabrać żonę z dziećmi. że bez twojej przytomności bałaby się sama na morze puszczać. — X-a Sap-a odjeżdża za kilka dni, my wybierzemy sie ztąd do kąpieli morskich na końcu tego miesiąca do Normandyi lub Brytanii. Jeżeli przybędziesz aż do Lyonu. bardzo mi żal będzie. nie widzieć cię Panie i nie nagadać się razem, ale co zrobić. ta ofiara jest potrzebną. Radbym przynajmniej, aby ktoś, P. Zam. lub Woronicz lub Bystrzon.(owski). pojechał tam, gdzie będziesz we Francyi. aby wziąść wszystkie raporta. które chcesz przywieźć i tysięczne słowne dodatki i objaśnienia o rzeczach i osobach. To się będzie mogło ułożyć. skoro napiszesz, gdzie i kiedy na żonę oczekiwać będziesz. Jeśli wysiądziesz w Marsylii. zaraz tam staraj się o paszport do Turcyi. oświadczając. żeś tylko przybył po żonę i dzieci. List do żony przyszlij jak dotąd na moje ręce. zdając mi wszędzie dokładnie, w jakich co do słowa wyrazach wzywasz jej do siebie.

P. de Pontois podobno nie pojedzie do Stambułu i mówią, że p. de Bourguenoy pozostanie tam. Do Rzymu nie wypada jeszcze teraz pojechać: będzie pora drugi raz fałsze tam rozgłoszone sprostować, jeśli potrzeba będzie, teraz to zajęcie poplątałoby główną czynność. która jest zobaczyć się z żoną i z nią (bo bez niej nie uda się) wrócić do Stambułu i to uczynić najciszej i najgładziej, a przytem dać mi wszelkie potrzebne raporta i oświecające wiadomości.

Gdy masz pojechać i mieszkać w Stambule z żoną i z dziećmi, trzeba przypuszczonym sposobem zrobić zaraz obrachunek utrzymania; to co trzeba, ale z należytą oszczędnością, nakazaną przez szczupłości wpływów. X. L. L. dają mieszkanie, jak to oświadczyli, to jest wielka rzecz, bo tem samem jesteś z całą rodziną pod ich opieką, a zatem pod opieką francuską. — Już nie masz żadnej obawy dla żony zaprzyjaźnionej z siostrami. (Czy te mieszkanie będzie gratis? — Prócz tego co trzeba na same utrzymanie prócz podróży itp.). Mieszkając z Lazarystami. możesz swoje przebywanie pokryć zajęciem się kolonią i innymi ich zakładami.

Żałuję niezmiernie, że X. Sadowski nie może wstąpić do Malty. Spodziewam się. że mu zostawiłeś obszerną instrukcyę. jeśli nie. to teraz ją poszlij z Malty i poleć go X. Leleu i Wukaszynowi, któremu wiezie resztę litografowanych odezw, o których ani słowa nie napisałeś, nie wiem, czy doszły. Bardzobym rad,

aby X. Sadowski choć tylko prostym rozumem potrafił podobać się Wukaszynowi i dodać mu mocy i oręźów w jego wielkim i pobożnym przedsięwzięciu. Po serbsku X. Sadowski chce nauczyć się i wkrótce się nauczy — o Zwierkowskim nic nie piszę, nie miałem czasu jego listy przeczytać, ale jeśli takim jest, jak go opisujesz, to jest do swej powinności ściśle (do przesady jeśli być może) przywiązany, to taki człowiek jest zawsze pożądany i szacowny. — Co innego jest mała pieniężna pomoc, co innego utrzymanie — przeciw niedostatkowi skarbu naszego nie ma rady.

Zdaje się, że co do kolonii będziemy mieli wsparcie od potężnej instytucyi *de la propagation de la foi*, która do wielkiej siły wzrosła. Tam uczyniliśmy kroki z X. Etienne i spodziewam się, że będę skuteczne tak dla kolonii i dla wykupienia niewolnika, jak dla rozszerzenia wiary w całej Słowiańszczyznie. Czy przy tem fundusz publiczny się wesprze, tego jeszcze nie wiem. Szczupłość funduszu i niepewność wpływu każą być bardzo oszczędnym i ostrożnym szczególnie w zabieraniu trwających na przyszłość zobowiązań. Dlatego z niecierpliwością czekać będą odpowiedzi na ten mój list, który cię w Malcie dojdzie. Pomiarkujesz, jakimi wydatkami będziesz mógł się obejść, a ja pomiarkuję, czy takiej expensy na jeden rok wystarczy. Trzeba rzeczy ułożyć nie jak najlepiej absolute, co nie podobno, ale jak najlepiej, względnie do naszej dzisiejszej możności. — X. Sadowski wypłynie z Marsylii dnia 1. sierpnia. — Nie pisz do żony, ani do nikogo nic takowego, coby z niedogodnością mogło być połączone.

Kończąc, winien jestem oddać zupełną sprawiedliwość wszystkiemu, coś zrobił od wyjazdu swego z Paryża: dobra, gorliwa wola była prawie zawsze skutkiem uwieńczona, z małemi zasobami wiele zrobiłeś, nic nie opuściłeś, co mogło jakimkolwiek sposobem prowadzić do użytku sprawy; nie szczędziłeś ani pracy, ani zdrowia: takie jest moje przekonanie, z radością go oświadczam i wyrażam moją wdzięczność, że na moje wezwanie poświęciłeś się, nic oglądając się na nic i z tak niezmordowaną gorliwością służbie sprawy Ojczyzny naszej. Może Bóg da, że wdzięczność krajowa nie już o samych słowach da się wyrazić. O różnych punktach listu ostatniego nie wspominam, bo one są już umówione i tylko wykonania dalszego potrzebują. W jednym, jak piszesz, punkcie przestąpiłeś swoje upoważnienie. Przyznaję, że z tego ustąpienia nie nastąpiło żadne złe, owszem, że w istocie dobrze się stało, choć przeciwna porządkowi i skutki co raz lepsze. Piszesz do mnie, że gdybyś pozostał w Paryżu, zająłbyś się różnemi

robotami. Czy tego nie możesz uczynić, wróciwszy do Stambułu, kiedy, zda mi się, mniej będziesz miał nagłych robót? — Malta jest dobry punkt dla porozumienia się o wszystkiem podczas kwarantanny, a nawet potem zatrzymując się tam kilka dni dłużej; zamierzam jeszcze drugi raz tam napisać, jeśli będzie co. Bywaj zdrów, kochany P. Czayko, mamy za co Bogu dziękować, za dotychczasowe łaski. Niechże Cię i dalej ta łaska pokrzepia i oświeca.

Z szczerą nieodmienną przyjaźnią

A. C.

(monogram)

FR. RAWITA-GAWROŃSKI.

(Dokończenie I. części nastąpi).

Stosunek muzyki polskiej do zachodniej w XV. i XVI. wieku.

(Ciag dalszy).

Humanizm i jego wszelkie objawy nie były obce muzyce polskiej XV. wieku. Dość wspomnieć Grzegorza z Sanoka i tendencye Mikołaja z Radomia. Szczególniej zastanowimy się nad humanizmem w muzyce naszej XV. stulecia, gdy ukaże się nasza Historya teoryi i nauczania muzyki w Polsce, gdy będzie mowa o teoretykach: Szydłowicie i Stanisławie z Krakowa, o studyach Alberta z Opatowa nad Hucbaldem i Bernonem, o studyach Jana z Elkusza nad Boecyuszem i Janem z Muris i o dwóch anonimowych traktatach. Już u Felsztyńskiego znajdziemy w „Opusculum“ dowody, że do średniowiecznej scholastyki muzycznej przeciskają się promienie humanizmu, czego dowodzą jego estetyczne wywody nad muzyką. Po Kalimachu Celtisie i ich polskich zwolennikach ruch humanistyczny rośnie. W muzyce objawia się on się rozmaicie. Jak dalece rozkwit humanizmu był związany z muzyką, tego dowodzi n. p. fakt, że Marcin Kromer, choć historyk, uzupełniał w r. 1534 „Opusculum“ Felsztyńskiego. Typowym, dotychczas przez nikogo nie wspomnianym, a wielce charakterystycznym objawem humanizmu muzycznego w Polsce jest: „Martini Gallinij Prossoviensis, ad Venera (bilem uirum, M. Benedictum Cosminium epistola: qua in rebus musicis bonas horas, atque adeo an) nos plerosque, uale dicto turpi sacratioribus studijs, male se collo

casse quaeritur)". (Cracoviae. Hieronymi Vietoris 1535). Czem różne „discorsi" i „dialoghi" dla Włoch XVI. stulecia. tem owa „epistola" Marcina Gallina dla Polski. Znajdziemy w niej wiele styczności z owymi popularnymi estetycznymi wykładami o istocie, celu i znaczeniu muzyki. których przedewszystkiem wiele we włoskiej, najmniej w niemieckiej literaturze muzycznej XVI. wieku spotkać można. Ogólne zainteresowanie się muzyką. tak typowe w renesansie, musiało zwłaszcza w drugiej połowie tegoż stulecia wzrosnąć, gdy przeczytano w „Dworzaninie" Castigliona-Górnickiego (1566) zdanie autora, że „nie jest zadowolony ze szlachcica, jeśli nie jest muzykiem, gdyż nietylko musi muzykę rozumieć i wykonywać ją z nut, lecz także grać na różnych instrumentach. Gdyż nie znajdziemy żadnej innej osłody po znojach i żadnego lekarstwa na smutek, które byłoby szlachetniejsze i chwalebniejsze. niż muzyka". „Muzyka jest nietylko ozdobą szlachcica, lecz i koniecznością." [1]) Ogólnie rzecz biorąc to samo znajdziemy u Felsztyńskiego i Marcina Gallina z Proszowic, oraz w traktacie Jerzego Libana z Lignicy: „De musicae laudibus oratio" (Kraków 1540). Była to epoka, w której wogóle, a zwłaszcza we Włoszech, przesadzano się w produkowaniu pochwał na cześć muzyki. Z jednej strony zwalczano kalumniatorów muzyki, z drugiej strony szukano sposobności do pochwalenia się, że się zna starożytną literaturę (objaw humanizmu!) muzyczną i filozofów, zajmujących się estetyką i teoryą tej sztuki. Takiej publicystyki i u nas nie brakło — jak widzieliśmy. Jak we Włoszech, tak w Niemczech i Polsce pojawiali się i wrogowie muzyki — objaw renesansowy. Ztąd dyskusye często dyletanckie, lecz świadczące o ogólnem zainteresowaniu się tą sztuką, owe „invettivy", „ragionamenti", „discorsi", „dialoghi". przedstawiające zapatrywania „pro" i „contra". Rolę wroga muzyki, coprawda spóźnionego, odegrał Bartoszewicz w „Biesiadzie karczemnej i skrzypkach" (Wilno 1619). W Niemczech znajdziemy sporo Bartoszewiczów, którym odpowiadali przeciwnicy. często naiwnie a zbytecznie.

Typowym muzykiem renesansowym jest Wacław z Szamotuł — nietylko dlatego, że szedł ze swą epoką ręka w rękę i przejmował „novitates" z Niemiec i Włoch. Jego humanistyczne wykształcenie, które podniecało jego ambicyę do szukania kontaktu i uznania i u obcych, u których wydawał swe dzieła (w No-

---

[1]) Przekład ten nie jest oczywiście cytowany z przekładu Górnickiego, którego wśród pisania tej pracy nie miałem pod ręką.

rymberdze), jego oczytanie w klasykach starożytnych, których wyrażenia naśladuje, jego wreszcie typowa renesansowa żyłka polityczna — oto cechy, które znajdziemy w „Carmen nuncupatorium", poprzedzającem jego nie znane przez dotychczasowych historyków muzyki polskiej dzieło: Quatuor parium vocum Lamentationes Hieremiae prophetae. Tempore Quadragesimali in Templis cantari solitae, numeris Musicis redditae: A. Venceslao Samotulino Polono, Serenis. Regis Poloniae Sigismundi Augusti Musico. Quibus adiunctae sunt Exclamationes Passionum" (Cracoviae Lazarus Andreę excudebat, M. D. L. III)[1]) W „Carmen nuncupatum" wypowiada wprost polityczną mowę do króla, wzywając go do wojny przeciw Turkom, jak to czynili Krzycki, Janicki, Orzechowski, Skarga i t. d. Dla poznania poetyckich zdolności Szamotulskiego przytaczamy wyjątek z „Carmen„:

...„Ullum nec dabis angulum per orbem,
Quem Mavors ferus, horrida atque bella
Intactum fremitu suo relinquant.
Jam Germania sensit hos tumultus,
Sensit Gallia, Pontifexque summus
Praeses Italiae: fuitné tanti
Quaeso Parma? neces virum cruentes
Quis siccis poterat genis uidere?
        Et quis non lachrymans, propinquioris
Casus Pannoniae potest referre?
Quantum sanguinis haec humus virorum
Hausit, funera quot putas aperto
Vidit aequore, quot domi sub ipsis
Vidit moenibus: heu nimis misellos
Quo discordia, perfidumque pectus
Perduxêre, quid inde sit futurum,
Scit ille, omnia cui patent futura."

Sekunduje Szamotulskiemu jego przyjaciel Andrzej Trzycieski, w dołączonem „Carmen": Ad studiosam iuventutem", w którem zwracając się do Szamotulskiego, pisze:

„Tu quoque non alia motus ratione fuisti,
Maxima pars animae Vencislae meae.
Helciadae planctus, et lamentabile vatis,
Cum faceres tristes, carmen, habere modos."

---

[1]) Niestety zachowały się te historycznie (a niezawodnie i artystycznie) ważne „Lamentacye" i „Passye" w jednym egzemplarzu i to nie w całości, lecz jako książeczka dla głosu tenorowego w bibliotece nadwornej i państwowej w Monachium (Mus. pr. 4-o 145).

Jeśli zatrzymujemy się dłużej przy tej charakterystycznej stronie indywidualności Szamotulskiego, to czynimy to dla wskazania, do jakiego stopnia Sz. utrzymuje łączność z muzykami Renesansu, którzy swą sztukę oddawali często na usługi polityki. Dość przypomnieć motet Binchoisa p. t. „Lamentatio Sanctae matris ecclesiae Constantinopolitanae", napisany po zdobyciu Konstantynopola przez Turków (1453); jak w „Lamentacyach" Binchoisa, tak i Felsztyńskiego „cantus firmus" jest oparty na znanych melodyach kościelnych lamentacyi Jeremiasza. Współczesny niemal Szamotulskiemu Henryk Izaak napisał również motet („Optime divino date munere pastor"), w którym zachęca papieża i cesarza przeciw Turkom.

Obok humanizmu rozpowszechnianie muzyki zachodniej zapomocą druków stało się czynnikiem pobudzającym i ułatwiającym polskim kompozytorom poznanie tego, co współcześnie tworzono. Dzięki drukom włoskim, francuskim i niemieckim poznano dzieła Josquina des Près, Willaerta, Jannequina, Klemensa „non Papa", Gomberta, Jacheta z Mantui, Breitengrasera, Phinota, J. Maillarda, Nicolasa de la Marle, J. Herrissanta, J. Bastona, C. Festy, Verdelota, Arcadelta, V. Ruffa, Glareana, B. Lupacchina da Vasto, Certona, Cl. Sermissy, Cadeaca, W. Samina, Palestriny, C. Porty, obydwu Naninów i Aneriów, Vittorii, Merula, Marenzia, Massainiego, G. Bellego, Orlanda di Lasso, Cl. Goudimela, Lindnera i t. d.[1])

Nietylko u nas, ale i w całej Europie wpływ rozpowszechnienia kompozycyi wielkich mistrzów był wielki. Hugo Riemann trafnie i krótko określa go, jak następuje: „Te uwagi (sc. dotyczące ówczesnych drukarń na Zachodzie) wystarczą do wyobrażenia sobie, jak wielką była produkcya druków muzycznych, które

[1]) Por. „Monumenta" (I.) ks. dr. J. Sarzyńskiego. — Znaczna liczba ksiąg chórowych (druków) z archiwum rorantystów krakowskich przeszła niewiadomym sposobem przed niedawnym czasem w posiadanie drezdeńskiego antykwaryusza C. Bertlinga. (!!) Dzięki staraniom szan. Grona konserwatorów krakowskich odzyskano napowrót rękopisy (!) z dziełami Felsztyńskiego, Szadka i t. d. — Lwią część druków z archiwum rorantystów i z Warszawy zrabowali Szwedzi. W szwedzkich bibliotekach (zwłaszcza w Upsali, Lund i Strängnäs) znajdziemy nawet krakowskie druki muzyczne (unikaty). Do „popularności" kilku kompozytorów niederlandzkich w Polsce przyczynił się Bacfart przez aranżowanie tychże na lutnię (Arcadelt, Clemens „non Papa", Gombert i Josquin de Près). Zawarte są w „Harmoniae musicae" (Kraków, 1565).

w pierwszej połowie XVI. wieku zalewały świat. Że przez to produktywność kompozytorów również wzrosła, jest rzeczą zrozumiałą; z jednej strony zachęcało ich zainteresowanie się nakładców, żądających nowych kompozycyi i możliwość szybkiego ich rozpowszechnienia, z drugiej strony wzmożona sposobność poznania odrazu w większej ilości dzieł mistrzów żyjących w dalszej odległości musiała oddziaływać zachęcająco, produktywnie. Ztąd rozwój techniki kompozycyjnej stał się uniwersalnym, międzynarodowym. Pierwsza publikacya Petrucciego odrazu nabrała charakteru międzynarodowego i objęła dzieła francuskich, niederlandzkich, hiszpańskich i niemieckich kompozytorów obok włoskich. Dopiero po przeprowadzonej decentralizacyi druku muzycznego przez powstawanie wielkich firm nakładowych w Paryżu, Lyonie, Antwerpii, Norymberdze i t. d. nastąpiły narodowe ugrupowania się tychże, przynajmniej o ile większe zbiory dzieł tego samego kompozytora, albo zbiory tylko francuskich lub tylko niemieckich kompozytorów występują obok międzynarodowych antologii" (por. „Handbuch der Musikgeschichte", Zweiter Band, Erster Teil, Lipsk 1907. str. 215). Zdanie wielkiego uczonego lipskiego, oparte na wielkiem doświadczeniu, czerpanem ze specyalnych studyów na historyą druków muzycznych, nabiera tem większej siły, że można je z pewną modyfikacyą zastosować do muzycznej kultury polskiej XVI. wieku nie bez chwały dla tej ostatniej.

Niedawno podniesiono z mało kompetentnej strony zarzuty, że nasza kultura muzyczna XVI. stulecia była niższą niż w XVII. wieku, gdyż mało druków posiadamy z tego pierwszego. Otóż nietylko, że było przeciwnie, ale nawet lepiej stosunkowo niż w XVIII. i XIX. wieku. Pominąwszy już, że interesowano się tem wszystkiem, co na Zachodzie się działo, że sprowadzano druki kompozycyi i traktatów i starano się iść ręka w rękę i równym szeregu z Europą — wystarczy porównać ilość naszych drukowanych publikacyi z XVI. stulecia z XVII. wiekiem muzyki polskiej, aby dojść do odwrotnego i przeciwnego poglądu.

Pierwsza połowa XVI. wieku jest epoką, w której kultura muzyczna polska gromadzi materyały zużytkowane dopiero w drugiej części tego stulecia. Jestto epoka przygotowywania się do czynów, epoka uczenia się. Ztąd największą ilość druków muzycznych zajmują traktaty teoretyczne, polskie i obce (po części oryginalne, po części przedruki). W Krakowie, jako stolicy politycznej, naukowej i literacko-artystycznej, drukarnie przesadzają

się w publikacyach traktatów muzycznych i wydają je stosunkowo nie mniej niż drukarnie norymberskie.[1]) Serye rozpoczyna „opusculum“ Felsztyńskiego, którego pierwsze wydanie (s. l. e. a.) wyszło między r. 1510 i 1514 u Hieronima Wietora.

Następne wydania ukazały się w latach: 1515, 1518, 1519, 1522, 1534 i 1539, oraz kilkakrotnie (2 razy?) bez roku i miejsca, drukowane u Fl. Unglera, H. Wietora i J. Hellera. Zainteresowanie się muzyką i teoryą było tak znaczne, że nawet dzieła przybyszów bądź ze Szlązka i Niemiec, bądź z Węgier znajdują nakładców w osobach ówczesnych potentatów czernidła drukarskiego. Fl. Ungler wydaje wspomniane „Epithome“ Stefana Monetariusa z Kremnic (1514), J. Heller zaś, wymieniony wyżej, panegirylk Jerzego Libana z Lignicy (1540). Krakowskie przedruki „Rudimentów“ Spangelnberga znajdują tak wielkie rozpowszechnienie, że dziś je jeszcze można widzieć w bibliotekach polskich (dzikowska, kórnicka, krakowska, Zamoyskich, Świdzińskich i t. d.). Historyk Kromer złożywszy dowody gruntownego wykształcenia teoretycznego w dziełku „De concentibus musices“ (1530), przyjmuje czy narzuca swe współpracownictwo w „Opusculum“ Felsztyńskiego z r. 1534 i 1539, powtarzając w znacznej części

[1]) Błędnem jest mniemanie p. A. Polińskiego w „Dziejach muz. polsk.“ 44 i nast.), jakoby na wszechnicy jagiellońskiej „traktowano naukę muzyki po macoszemu, przygodnie, nie zaś systematycznie, jak to miało miejsce na uniwersytetach zagranicznych“, jakoby w niej „trzymano się po dawnemu podręczników mocno przestarzałych, zgoła już nie odpowiadających potrzebie“ i „wykładano w akademii krakowskiej teoryę muzyki jeszcze podług Hucbalda z XV. wieku i Bertnona Augiensis, teoretyka niemieckiego z pierwszej połowy XI. wieku“ i że „dopiero w początkach wieku XVI. użyto do wykładu muzyki „Tractatus (?!) de Musica“ Jana de Muris, teoretyka francuskiego (?!)... z początku wieku XVI. (!!??).“ Naprzód tych podręczników nie używano do nauki kompozycyi, lecz z potrzeb spekulatywnych i humanistycznych, nawet historycznych; a więc raczej dla celów teoretyczno-historycznych niż praktycznych. Powtóre już kompozycye Mikołaja z Radomia dowodzą, że ten mistrz nie potrzebował uczyć się u Hucbalda i Bernona, aby pisać... kanony. Felsztyński odnosi się do Jana de Muris (ubocznie mówiąc: angielskiego Jana de M. nie francuskiego i z XIV. a nie XVI. wieku), z czcią należną, pomimo, że jego „Opuscula“ opierają się na współczesnych mu traktatach, jak sam pisze: „Etiam nostra aetate viri celeberrimi, quorum et nos sequaces fore haud dedignabimus.“ Że akademia krakowska bynajmniej nie stała w tyle poza obcymi uniwersytetami, tego dowodzi kodeks papierowy biblioteki jagiellońskiej (nr. 1927 BB XXV. 14 i 4-o, zawierający wykłady z r.

to, co sam Felsztyński wyłożył, zapewne w imię łatwo zrozumiałej maksymy: „Usus enim artium magister“, umieszczonej na końcu swej przyczepionej „Musica Figurativa“. Obok Libana dysputował o sławie muzyki wspomniany Martinus Gallinus z Proszowic w swej „Epistoli“ (N. Wietor 1535). Obok „opusculum musices choralis“ zajmował się jego autor, Felsztyński, chorałem gregoryańskim w „Modus regulariter accentuandi lectiones matutinales etc.“ (N. Wietor 1525 i 1518?), oraz Jerzy Liban w „De accentuum ecclesiasticarum exquisita ratione“ (1539, M. Scharffenberg). Do estetyczno-panegirycznych traktatów Libana i Marcina Gallina, skłaniających się ku prądom renesansowym dołączył Felsztyński wydanie traktatu św. Augustyna „De musica dialogi VI.“ (1536, N. Wietor), przedstawiciela scholastycznej estetyki muzycznej. Tych trzynaście traktatów muzycznych z pierwszej połowy XVI. wieku, oraz liczne ich wydania i przedruki nie dowodzą chyba niskiego stanu kultury muzycznej. Norymberga mogła przeciwstawić w tejże epoce zaledwie cztery traktaty, kolonia trzy, Witemberga ośm — a porównanie to nie jest dla Krakowa tak niekorzystnem. Dowodzi ono, że jak na Zachodzie, tak i w środkowej Europie, w sercu Polski, w niczem nie chciano ustępować

1444/45, dotyczące matematyki i astronomii i zawierający „Musicam Johannis de Muris“ spisaną „per manus Johannis baccalarij de Elkusz, in dies. Marci 1445“. Inny kodeks pap. z końca XIV. wieku z tejże biblioteki (nr. 1970, BB XXIII. 13, in 4-o) dowodzi, że u nas już przed XV. stuleciem zajmowano się Janem de Muris i porównywano go z... Boecyuszem. Jeśli przeczytamy statut słynnego uniwersytetu w Löwen z r. 1426, a mianowicie następujący ustęp: „Statuimus et ordinamus, quod in mathematicalibus legentur tractatus de sphera liber Euclidis, aliquis tractatus de arithmetica et Joannes de Muris de musica“ — wtedy dojdziemy do wprost przeciwnego zdania niż autor „Dziejów muzyki polskiej“. Jak wszędzie, tak i u nas czytano „Muzykę“ Jana de M. jako klasyczne dzieło teoretyczne jeszcze w XV. w. Objaw humanizmu — nie zacofania! Obok tego dzieła kształcono się na podręczniku Felsztyńskiego (ok. 1510—14) oraz Ornitoparcha-Vogelsanga, którego popularny „Micrologus musicae activae“ był w użyciu uniwersytetu ok. r. 1539 według badań prof. dr. Stanisława Estreichera nad „Acta rectoralia“ (pow. H. Opieńskiego „Bekwark lutnista“ w „Bibliotece warszawskiej“, 1906, zeszyt czerwcowy, str. 468 i nast.). A więc i w XVI. wieku nie było zacofania, jakkolwiek brakło samoistnych badań teoretycznych. (Dla dokładności należy uzupełnić te uwagi wzmianką, że już Łukaszewicz w „Historyi szkół“, III., 422, wspomina o tem że Jan de Muris był u nas powszechnie znany w XV. wieku).

Zachodowi, nawet w tak charakterystycznym objawie jak hyperprodukcya traktatów teoretycznych w pierwszej połowie XVI. wieku, i to traktatów popularnych. To jednak należy zaznaczyć, że o ile w Niemczech kultura muzyczna jest zdecentralizowaną, tak że nawet w małych miastach (Landshut, Görlitz i t. p.) istnieje większe zainteresowanie się muzyką, o tyle w Polsce potęga Krakowa pociąga wszystkich muzyków polskich: Sebastyana z Felsztyna, Wacława z Szamotuł, Marcina ze Lwowa, Tomasza z Szadka i t. d. Kraków nie wydaje żadnego kompozytora — rzecz dziwna — w XVI. stuleciu. Dziełom teoretycznym nie może nadążyć drukowanie dzieł twórczych — niestety! Mimo to nie można wydać sądu stanowczego już dziś, gdy poszukiwania bibliograficzne dalekie są jeszcze do wyczerpania, zwłaszcza, że prócz Żegoty Paulego, a przedtem Janockiego i Juszyńskiego prawie wszyscy bibliografowie byli dla druków muzycznych dość obojętni; niemniej jednak dziś już można stwierdzić bezpowrotną zgubę wielu druków muzycznych bądź też egzystencyę samych tytułów. I tak z drukowanych dzieł Felsztyńskiego, prawdopodobnie na zawsze zaprzepaszczonych, wymienić należy: „Aliquot hymni ecclesiastici, vario melodiarum genere editi per...“ (Cracoviae, apud Hier, Vietorem, A. D. 1522, 4-o [por. Janociana I., 78]; prawdopodobnie najstarszy druk menzuralny polski[1]), „Directiones musicae ad cathedralis Ecclesiae Premisliensis usum“ („Excudebat Hier. Vitor regius chalcographus, Cracoviae, A. D. 1544, Cal. Octobris“, 4-o, por. Janociana, I. 78). Prócz „pojedynczych druków“, głównie 1—4-głosowych pieśni, wydanych przez Siebeneychera i Wietora nie znamy żadnych innych z przed r. 1550. Niejaki „Arnoldus Juliani Cansin de Ath ex Hannonia“, zapisany w r. 1525 na uniwersytecie jagiellońskim, a zarazem „magnus musicus Jusquini discipulus“ (cf. ms. 5359 bibl. jagiell.) miał zdaniem Żegoty Paulego wydać 4—5-głosowe motety między r. 1539 a 1556 (w Krakowie?). Bardzo prawdopodobnem jest, że w Polsce przedrukowywano obce kompozycye (zapewne popularniejsze), lecz nie mamy na to poważniejszych dowodów. Po r. 1550 zdarzają się częste druki pojedyncze, które przedostają się do śpiewników katolickich i dyssydenckich; większych jednak wydań (n. p. mszy, motetów i t. p.) nie znajdziemy w wielkiej

---

[1]) Najstarszym drukiem muzycznym w Polsce (w Krakowie) wydanym jest zapewne „ośmioklaśnik“, hymnologiem Jana Damasceńskiego (Swantopełk-Sweipolda Fiola, Kraków 1491, fol.).

ilości. Ten nieliczny poczet druków o większej objętości rozpoczął Wacław z Szamotuł swemi „Lamentacyami“ (z r. 1553 druku Łazarza; patrz wyżej),[1] z których jakby na ironię losu zachował się tylko głos tenorowy. Prócz tychże i prócz pojedynczych pieśni z tekstami polskimi nic więcej nie wydrukowano w kraju z kompozycyi Wacława, szukającego nakładcy aż w Norymberdze. Tak znaczny mistrz jak Marcin Leopolita mało był uwzględniony przez nakładców krakowskich, którzy woleli wydawać tańszy towar mający łatwy zbyt, jak właśnie pojedynczo drukowane piosenki („nihil novi....“) i nawskróś popularne utwory, nie zawierające zawiłych tajników teoryi menzuralnej. Tym sposobem nie Wacław ani nie Leopolita lecz Mikołaj Gomółka przychodzi do rozgłosu, wraz z plejadą kompozytorów „minorum gentium“ znających się lepiej na smaku szerszej publiczności, nie ubiegających się zbyt o laury, skoro ukrywali swe imiona i nazwiska i to bynajmniej nie dlatego, że obawiali się przykrych następstw z powodu dyssydenckiej propagandy: drukarze bowiem byliby w pierwszym rzędzie pociągani do odpowiedzialności za druk dyssydenckich pieśni — to zaś nigdy ich nie spotykało. Leopolita wydał „Pieśni choralno-figuralne na cały rok“ (kiedy? u kogo?), których podobnie jak dzieł Felsztyńskiego wyżej wspomnianych nie posiadamy[2]). W r. 1565 ukazały się „Harmoniae musices in usum testudinis“ Bacfarta u Łazarza Andrysowicza, w r. 1580 u tegoż „Melodie na psałterz“, Mikołaja Gomółki, w r. 1586 (?) „Pieśni łacińskie i polskie“ Jana Brandta I. J. (w Warszawie?). Bacfart nie był polskim kompozytorem. „Pieśni“ Brandta zginęły; pozostały psalmy Gomółki. Historya muzyki poniosła nieobliczalne straty z powodu tych wszystkich zgub. Mimo to wiek szesnasty może się poszczycić wydaniem trzynastu traktatów i licznymi przedrukami tychże i wydaniem 7—10 tomów kompozycyi, oraz licznych pojedynczych druków. Wiek XVII., choć jest epoką wielkiego rozkwitu muzyki u nas, nie może się bynajmniej równać w tym kierunku z XVI. Wydano 5—6 traktatów teoretycznych, nieco pojedynczych pieśni, śpiewniki przeważnie z dawniejszemi kompozycyami i kilka tomów większych utworów. Kult obcych

[1]) Inny uczeń Josquina, Damiao de Goës, Portugalczyk, bawił w r. 1529 w Krakowie (w celach dyplomatycznych).

[2]) Nie ulega wątpliwości, że o ile nie zostały zniszczone w Puławach przy rabunku w r. 1831, znajdą się w Petersburgu lub Moskwie.

był tak wielki, że Zieleński, Jakób Polak, Długoraj, Chyliński i Mielczewski drukowali swe dzieła u obcych: obcy natomiast w Polsce (Liliusze, Diomedes Cato, Marenzio, Hakenberger, Pacelli, Elert i t. d.). Inaczej było w XVI. wieku, choć jeszcze nie odczuwano tej konieczności, aby w kraju produkować dla siebie, który to błąd nie jest do wybaczenia XVII. i XVIII. wiekowi. Oglądając druki muzyczne polskie z XVI. i XVII. wieku nie można znaleźć dość słów dla uznania ich precyzyi (a zwłaszcza dla Siebeneychera, Wierzbięty, Wietora i Łazarza). Podołać mogły najtrudniejszemu zadaniu. Mimo to mszały, brewiarze i t. p. księgi liturgiczno-muzyczne zamawiano u Liechtensteina i Pozzana w Wenecyi, u Schöffera w Moguncyi, u Chotina w Kolonii, u Moreta w Antwerpii, drukarniach lipskich, norymberskich i mechlińskich, później w Paryżu i Leodyum. Wystarczy jednak przelotnie poznać „Missale“ Wietora z r. 1545, Agendę Łazarza z r. 1591, „Cantionale“ Wierzbięty z r. 1569, „Psalterium“ Piotrkowczyka z r. 1599 i t. p., aby dojść do przekonania, że pomoc obca była zbyteczną — nawet po reformie potrydentyńskiej. Głównie klasztory popierały obcych; wystarczy przestudyować biblioteki klasztorne, aby się o tem przekonać. Nic dziwnego, że dyssydenci mieli wielu zwolenników, skoro wskazywali na niezawisłość myśli polskiej, a w myśl tego zakładali drukarnie w Kaliszu, Brześciu, Słucku, Lublinie, Poznaniu, Lubczu, Rakowie, Warszawie, Wilnie, Królewcu, Gdańsku, Elblągu, Szamotułach, Toruniu i t. d., gdzie wydali wiele śpiewników i pojedynczych druków (t. zw. „fliegende Musikblätter“): te ostatnie głównie na wzór niemiecki.

Przyznawać d y s s y d e n t y z m o w i polskiemu wpływ na muzykę polską jest przesadą, a z historycznego punktu widzenia błędem. Naprzód już w XV. wieku w sporej liczbie posiadaliśmy pieśni śpiewane w polskim języku. Wciągu XV. wieku ilość ich wzrosła niezmiernie szybko; Bracia czescy, protestanci i kalwini przejęli znaczną część tychże do swych śpiewników! Nie było więc mowy o propagandzie wiary w drodze muzycznej, jakkolwiek Conzenius twierdził że „hymni Lutheri animos plures quam scripta et declamationes acciderunt“. Bez wątpienia jednak wpłynęła propaganda dyssydencka na to, że więcej niż przedtem tworzono pieśni religijnych w języku polskim względnie nieliturgicznym, a przedewszystkiem, stworzono w i e l o g ł o s o w ą p i e ś ń r e l i g i j n ą z t e k s t e m p o l s k i m. Mimo to nie można przypisać tego włącznie dyssydentyzmowi, lecz może w pierwszym rzędzie wpływom zachodnim i to niemieckim. Wiemy że znacznie wcze-

śniej niż u protestantów i kalwinów powstała pieśń religijna wielogłosowa z tekstem nieliturgicznym w muzyce katolickiej. Wystarczy wymienić obydwu Fincków, Hofhaimera, Pamingera, Senfla, Mahu, Isaaka, Stoltzera. Nie trzeba było aż protestantyzmu na to, aby wprowadzać pierwiastek quasi-ludowy do pieśni religijnej. A. Poliński zalicza do protestanckich, wogóle dyssydenckich kompozytorów: Wacława z Szamotuł, monogramistów C. S., I. S., oraz Czerwonkę, Freitaga i innych („Dzieje muzyki polskiej“, 70 i nast.). Nieporozumienie aż nadto jasne. Szamotulski pisał motety i msze nawskróś wzorowane na katolickich kompozytorach — o czem będzie mowa niżej.

Pieśni jego, napisane do słów poetów dyssydenckich, nie zawierające żadnych wykroczeń przeciw religii rzymsko-katolickiej są i dziś jeszcze śpiewane, jak to p. Poliński słusznie spostrzega (op. c. 72). Ów monogramista C. S. także nie był protestantem, gdyż jest autorem 4-głosowej mszy — czego p. Poliński prawdopodobnie nie wie. Pozostają więc mało znaczący, gdyż mało utalentowani kompozytorowie, jak K. Gessner [1]) i inni, którzy żadnego wpływu nie wywarli na rozwój polskiej muzyki. Błędnem byłoby przypuszczenie, że znaczenia ich muzyki o „tendencyach protestancko-kalwińskich“ polegało na tem, że muzykę tworzyli do słów dyssydentów (Reja!), ponieważ te pieśni z tymisamymi tekstami były i są w katolickich kościołach i domach śpiewane. Były one przeznaczone do użycia katolików i protestantów tak samo, jak psałterz Gomółki do słów Kochanowskiego, o którym nie wiadomo, jakoby miał protestanckie skłonności. Mimo to nie ulega wątpliwości, że pomiędzy monogramistami i poetami dyssydenckimi znaleźli się i polemiści-satyrycy, którzy i muzyką posługiwali się w celach propagandy, jak tego dowodzi pieśń „o łotrowskim (!) stanie obłudnych mnichów y mniszek“ na dyskant, alt,

---

[1]) A. Poliński przeczy (na str. 259), jakoby istniał jakiś monogramista C. G.; twierdzi, że druga część monogramu, t. j. „G.“, jest niekształtną literą gotycką S, nie zaś „G“, przyczem powołuje się na pieśni: Lubelczyka „Dobrotliwość pańska“, Trzecieskiego „Ojcze nasz“ i Zofii Oleśnickiej (?) „Z ochotnem sercem“. Co do tej ostatniej, to rzeczywiście w podpisie są wyraźnie uwidocznione litery C. S., w tamtych jednakże: C. G. Istnieli więc obok siebie dwaj monogramiści: C. G. i C. S. — Tym „C. G.“ był Caspar Gessner, a monogram C. G. jest najwidoczniejszy na psalmie 36, 79, 127 i 129, wydanych u Andrysowicza (sine l. et a.), w „Pieśni nowey, w którey yest podziękowanie Panu Bogu i t. d.“ (u Andrysowicza, 1556), w psalmie 70. wyd. u Andrysowicza (s. l. 1556).

tenor i bas (s. l. c. a.), będąca jednym z objawów spotykanych też w Niemczech, nawet u tak katolickiego kompozytora jak Orlando di Lasso. Że nasi dyssydenci posługiwali się chorałami i tekstami gregoryańskimi, tego dowodzą przekłady: widzimy to z „pieśni Augustyna y Ambrożego Biskupów Świętych“ (na nutę „Te Deum“), „Oratio dominika“ (polski przekład), z „Pyosnki na dzień Narodzenia Bożego“ (na nutę „Dies est laetitiae“) i t. d. Później fala dessydentyzmu muzycznego cofnęła się na zachód i północ: ku Wrocławiowi i Królewcowi, gdzie połączyła się z protestantyzmem niemieckim, którego przedstawicielami w muzyce byli G. Lange (Wrocław), S. Besier (Brzeg), J. Eccard (Królewiec), J. Stobäus (Grudziądz), Weyda (Gdańsk), Rephulm (Elbląg), J. Lang (Iława), J. Celscher (Toruń), P. Dulichius (Szczecin) i t. d. Mimo tego odwrotu Marco Scachi nadworny kapelmistrz polski, nawskróś katolicki kompozytor napisał w r. 1647 żałobny motet „Cantilena V vocum et lackrymae sepulczales“ na śmierć protestanckiego kompozytora Dulichiusa. Minęła epoka, w której istniały obawy przed niebezpieczeństwem rozdwojenia religijnego; cenionio i protestantów, jeśli byli dobrymi artystami. Śpiewano pieśni napisane i skomponowane przez dyssyden-

---

[1]) Do niezupełnego spisu pieśni polskich religijnych, zawartego w „Dziejach muzyki polsk.“ Polińskiego (str. 70—78) dodać należy: „Pieśń o bożem umęczeniu teraz nowo przełożona“ (H. Wietor 1532), „Przykazanye Boże“ (H. Wietor, 1545), „Modlitwa powsyednya do Trojce Swyętey przeciwko nieprzyacyelom Kośćyoła Świętego“ (1532 i 1549, u Hier. Wietora), „Pyeśń o przeciwnościach żywota człowieka krześcyańskyego“ (u wdowy po H. Wietorze 1550), „Pyeśń o narodzyeniu pańskim na śwyat“ (1550, Łazarz Andrysowicz), „Pyeśń druga o przysciu Pańskim z ciała“ (1550, Andr.), „Pyeśń Nowa o nawrócenin grzesznego człowieka ku Panu Bogu“ (Andr., 1556), „Druga pyeśń o śmierci“ (Andr., 1556), „Pomożysz mi z grzechu mego“ (Andr., s. a.), „O daremne świeckie ucieszenie“ (Andr., s. a.), „Pyeśń nowa, która w sobie zamyka modlitwę ku Panu Bogu“ (Andr., s. a.), „Pyeśń o zmartwychwstaniu Pańskim“ (Andr., s. a.), „Druga pyeśń o zmartw. P.“ (Andr., s. a.), „Krzyczym k' Tobie, wieczny miły Panie“ (Andr., s. a.), „Modlitwa ludu pospolitego za pany krześcyańskimi (Andr., s. a.), „Przestrach na złe sprawy ludzkiego żywota“ (Andr., s. a.), „Pyeśń nowa, w którey yest podzyękowanye Panu Bogu Wszechmogącemu, że malutkim a prostakom raczył obiawić tajemnice królestwa swoiego z r. 1556 monogramisty C(aspara) G(esnera), (znajduje się też w luterskim kancyonale z r. 1636 i kalwińskim z r. 1675), „Pyeśń przy pogrzebie człowieka krześciańskiego“ Wacława z Szamotuł (Andr., s. a.), „Grates, to yest Dzyękowanie z Narodze-

tów, o ile były artystyczne i nienaganne co do treści. Jak w literaturze, tak i w muzyce zwalczano i zwalczano dyssydentyzm jego własnymi środkami. Stąd Brant, Leopolita i Diomedes Cato pisali pieśni polskie religijne. Majestat zaś włoskiej muzyki religijnej niemało pomógł do zwycięstwa.

Opieka nad muzyką, właściwa królom polskim była opiewaną długo przez kronikarzy i pisarzy muzycznych niemieckich, cytujących Kromera i Fincka („Musica practica") i zaczynających poczet pochwał od królowej Anny, żony Kazimierza W. Założona i ufundowana przez Zygmunta Augusta kapela śpiewacza rorantystów w r. 1543 [1]), a obok niej prywatna kapela królewska. przeniesiona później do Warszawy, były ostoją kompozytorów polskich. którzy też ciągnęli do Krakowa. licząc na to, że usłyszą swe kompozycye. Rorantyści w przeciwieństwie do warszawskiej nadwornej kapeli. z chęcią zatrudniającej cudzoziemców i kultywującej modną muzykę (choć kościelną), byli przez długie lata bo prawie do połowy XVIII. stulecia, piastunami czystego stylu kościelnego; i to właśnie, a nie co innego, czyni ich instytucyę podobną kapeli rykstyńskiej — choć na bardzo znaczny dystans. Błędne są mniemania pisarzy zajmujących się histo-

---

nia na swyat Syna Bożego" (1556, Andr.), „Processya Wielkanocna" (s. a., l. e. a.), „Podobieństwo żywota człowieka Chrzescyańskiego" (Andr., s. a.), „Allejuja" Wacława Szamotulskiego (Andr., s. a.), „Pyeśń nowa o krewkości wyelkyey każdego człowyeka" (Andr., s. a.), CXIII. psalm Wacława z Szamotuł (Scharfenberg i Andrysowicz, 1553), psalm XLV. anonima (Andr.. s. a.). psalm CIII. (Wacława z Szamotuł? — 1554, Andr.), psalm L. monogramisty C. G.? — 1556, Andr.). „Pyeśń o narodzeniu Pańskiem" (Andr., s. a.) i t. d. — Wynika z początkowych słów tej uwagi, że mylnem jest zdanie A. Polińskiego. jakoby dopiero w pierwszych latach drugiej połowy XVI. wieku zaczęły ukazywać się pieśni religijne polskich dyssydentów (s. c. 70). Również pieśń monogramisty M. H., której tytuł rozpoczyna się od słów: „Pieśń nowo-uczyniona na wesele Wielmożnego Pana a Pana Kostki z Scymburku i t. d." nie ukazała się w r. 1558, lecz 1556. Dla dokładniejszego poznania tej partyi z dziejów muzyki polskiej należy zaznajomić się z dziełem Efraima Oloffa „Polnische Lieder-Geschichte" (Gdańsk 1744), będącem jednak niezbyt krytycznie opracowaną monografią; znajduje się wiele błędnych notatek powtarzanych aż do naszych czasów. lecz także sporo jednostronnych zapatrywań na źródła polskiej pieśni religijnej.

[1]) Akt fundacyjny rorantystów znajdziemy w odpisie w papierach po Żegocie Bulim w bibliotece jagiellońskiej (ms. 5541, fol. 1).

rya muzyki polskiej, jakoby rorantyści byli tem dla muzyki polskiej, czem kapela syktyńska dla włoskiej. Ta ostatnia nie miała wyłącznie włoskiego charakteru, lecz uniwersalny, tak jak właśnie uniwersalnym pod każdym względem był repertuar rorantystów. Ta uniwersalność polegała na tem, że nie pielęgnowano muzyki wyłącznie nowożytnej, lecz i dawniejszą, t. j. wybierano dzieła wszelkich epok, byle styl ich był czystym, bez przymieszek niereligijnych. Stąd nic dziwnego, że katedralny kanonik krakowski ks. Starowolski pamięta o Felsztyńskim, Szamotulskim i Leopolicie, trzech przedstawicielach czystego stylu kościelnego, lepiej niż o ich następcach z XVII. wieku (por. ΕΚΑΤΟΝΤΑΣ). Że czystość stylu była rzeczywiście cechą rorantystów, przekonać się można analizując kompozycye Pękiela i Gorczyckiego, od których bardzo widocznie odbija mało czysty styl Mielczewskiego i Szarzyńskiego[1]). Na styl rorantystów względnie ich dyrygentów jako kompozytorów wpłynął w znacznym stopniu i ten niemałej wagi fakt, że w Krakowie nie zajmowano się w XVII. wiaku operą, która w Warszawie zawsze znajdowała opiekę dworu. Nie bez znaczenia jest i to, że w Krakowie styl a capella mniejszym wpływom ulegał niż w Warszawie[2]) Niestety rorantyści nie mogli oddziaływać korzystnie na całą muzykę polską koscielną, ponieważ ich dzieła nie były publikowane w druku. Rzecz dziwna — obok rorantystów, dyssydenci pielęgnowali najwięcej w XVII. wieku dawną religijną muzykę śpiewając i wydając ciągle na nowo w swych kancyonałach pieśni Wacława z Szamotuł i innych klasyków z XVI. wieku. Gomółka nie doczekał się tej popularności; wie-

---

[1]) Ubocznie należy sprostować błędny sąd, jakoby kompozycye S. S. Szarzyńskiego miały cokolwiek wspólnego z... Buxtehudem, Reinkenem, Frobergerem i Kuhnau'em. Primo: Buxtehude prawie nic nie wydał za życia i nawet w Niemczech nie wiedziano o nim prawie nic, a więc tem bardziej w Polsce., Secundo: wszyscy byli protestanckimi kompozytorami i wątpić należy, aby Benedyktyn Szarzyński miał do nich szczególne sympatye. Kompozycye Frobergera wyszły dopiero w r. 1693, gdy O. Szarzyński znajdował się już w toku obfitej twórczości, gdyż już w r. 1698 przepisano kompozycye tego ostatniego (por. Poliński. op. c. 260). Żadna zaś z form, uprawnianych przez Szarzzyńskiego, nie znajdzie się w wydanych w r. 1693 i 1698 dziełach Frobergera, używającego innych zespołów, niż Sz. Również Kuhnau aż do r. 1700 wydał same fortepianowe kompozycye; Sz. zaś nic na fortepian nie napisał. Wreszcie Reinken nic niemal nie wydał za życia. Tak więc upada ten sąd, „szerzący mylne pojęcia o rzeczy samej“. Dzięki załączonemu przez A. Polińskiego w „Dziejach“ (str. 148

dziano o nim jeszcze w pierwszej połowie XVII. wieku, potem zapomniano o nim nawet u protestantów, w czem nie pomógł nawet wierszyk A. Trzycieskiego na wstępie do „Melodyi na psałterz". O Wacławie pamiętano jeszcze w XVIII. wieku.

* * *

Najwybitniejszym a bezpośrednio po Felsztyńskim tworzącym kompozytorem polskim był Wacław z Szamotuł († 1572). Niestety prócz dwóch motetów „In Te Domine speravi" (psalm) i „Ego sum pastor bonus" (wydany przez ks. dra Surzyńskiego w „Monumenta m. s. in P.", II.), prócz trzech pieśni „Kryste dniu naszej światłości", „Już się zmierzcha nadchodzi noc" i „Ach mój niebieski Panie" wydanych przez Al. Polińskiego w „Echu muzycznem" (1881 Warszawa. nr. 19), „Piosnki na dzień Narodzenia Bożego" (na temat „Dies est laetitiae), wydanej przez ks. dra Surzyńskiego w „Muzyce kościelnej" (Poznań 1885, nr. 1—2 i tenoru „Lamentacyi" nie znam żadnej kompozycyi Wacława, gdyż żadna nie została wydaną. Jednak te sześć względnie siedm kompozycyi wystarczą do poznania wartości i indywidualności Szamotulskiego. A warto gruntowniej zastanowić się nad znaczeniem Wacława, zwłaszcza że w ostatnich czasach spotkał się z dwoma jadowitemi i lekceważącemi, jakkolwiek sprzecznemi sądami — dziwnie sprzecznemi ze sobą i z tem, co współcześni Szamotulskiemu pisali na jego cześć, a na co my dzisiejsi musimy z nieznaczną modyfikacyą zgodzić się. Autor broszurki „Mu-

---

i nast.) dłuższemu urywkowi z triowej sonaty Szarzyńskiego na 2 skrzypiec i organy możemy odnaleźć w nim wpływy wyłącznie włoskie, właściwe zresztą całej ówczesnej muzyce polskiej, którym nie oparli się i czterej wymienieni niemieccy kompozytorowie. We Włoszech bowiem powstała i najpiękniej rozwijała się triowa sonata. Szarzyński niewątpliwie znał trzowe sonaty Legrenziego, Vitalego, Corellego, Bassaniego, Veraciniego, Caldary i ich kierunki, najprawdopodobniej jednak triowe sonaty Marka Uccelliniego, którego styl imitacyjny, kanoniczny ma wiele wspólnego z załączoną przez Polińskiego (l. c.) częścią sonaty. Nie bez znaczenia jest i to, że Sz. jako kompozytor mszy i motetów nie mógł się wzorować na powyższych czterech protestanckich kompozytorach.

[2]) Zwłaszcza w drugiej połowie XVII. wieku rozpoczyna się rozkład w muzyce kościelnej warszawskiej po wyjeździe utrzymującego (choć bardzo słabo) tradycye rzymskie Scacchiego.

zyka w Polsce" (1907) odmawia Szamotulskiemu (i Leopolicie) „większej sprawności technicznej", A. Poliński w „Dziejach" (str. 76—77) twierdzi, że „Wacław był kontrapunkcistą uczonym, ale zbyt pedantycznym, lubiącym się chwalić mądrością techniczną, która jako ciężka, nieujawniona melodyjnie, większą robiła przyjemność oku śledzącemu partytury[1]) jego utworów, robotą przeciążonych, aniżeli słuchowi" (sic!). Trudno pogodzić sądy wzajemnie się wykluczające, pozostawiamy je bez komentarzy, a takie „lugubria carmina" możemy „placido vultu accipere" — jak pisze Trzycieski w długim wierszu na wstępie do „Lamentacyi". Dość chłodno lecz z wielkim respektem wyraża się o Szamotulskim ks. dr. Surzyński w „Muzyce figuralnej" (Poznań 1889, str. 8—10) w „Monumentach" (I., str. V.; II., str. VII.), osadzając go więcej jako artysta, niż jako historyk muzyki, co zresztą jest tem wymowniejszem. Najlepszym dowodem, jak Szamotulskiego ceniono poza Polską jest to, że kompozycye jego znalazły nabywców w osobach słynnych norymberskich drukarzy-wydawców: J. Montana i U. Neubera. Dwuczęściowy motet (psalm) rozpoczynający się od słów: „In Te Domine speravi" i „Quoniam Fortitudo mea" umieścili ci wydawcy w słynnej publikacyi: „Psalmorum selectorum a praestantissimus huius nostri temporis in arte musica artificibus in harmonias... quatuor et plurium vocum... tomus quartus" (Norymberga 1554)[2]), umieszczając go obok psalmów Phinota, Claudina, Klemensa „non Papa", Crecquillona, Gombertha, Maistre'a, Verdelota i Willaerta, a więc mistrzów „primae qualitatis". Czy Szamotulski był w Norymberdze, jednem z ówczesnyzh ognisk niemieckiej sztuki i muzyki, tego mimo poszukiwań w archiwach norymberskich nie mogłem sprawdzić. Być może, iż jego wydane w r. 1553 „Lamentacye" przedostały się z Krakowa do Norymbergi — obydwa miasta właśnie wtedy utrzymywały ze sobą ścisły kontakt... nietylko handlowo-przemysłowy — i że w Norymberdze zrobiły wrażenie (nie zapominajmy że właśnie Bawarya posiada jedyny choć niekompletny egzemplarz „Lamentacyi"): dość, że „collegae" Montanus i Neuber drugi raz zaprosili Szamotulskiego do udziału w wydawnictwie „Thesauri musici tomus quintus et ultimus continens sacras harmonias quatuor vocibus compositas" (Norymberga 1564)[2]). Wa-

---

[1]) Te wówczas w każdym razie jeszcze nie isniały.

[2]) Tytuły znajdują się na księgach tenorowych.

cław znalazł się nietylko w towarzystwie poprzednio wymienionych mistrzów, lecz także Jana de Orto, Jacqueta, Josquina, Orlanda di Lasso, Meilanda, Pamingera, Vaeta i innych. Historycy muzyki (Ambros, Eitner i t. d.) stwierdzili, że te publikacye Neubera i Montana cieszyły się wówczas wielką sławą. Nic dziwnego, że panegirysta posunął się do następującego wiersza na cześć wielkiego kompozytora:

„Dicitur Amphion cantu flexisse canoro
Immotas rupes, saxaque dura satis.
En novus Amphion septem subiecta Trioni
Pectora, dulcissima flectere voce solet.
Dumque Samotulius prefert syntagmata legum,
Mentis duritiem saevo Aquilone movet".

Nic też dziwnego, że Starowolski zwie go „talis ac tantus", że wyraźnie zaznacza, iż swymi utworami „patriam suam ignotam nobilitavit", a nie omylił się dla swych i naszych czasów, wskazując na Wacława, „quem coaetanei in Polonia non caperent fere omnes". A jeśli przesadza pisząc: „Quem si diutius stare superi permisissent, esset, cur Italis Praenestinos, Lappos, Viadanos Poloni non invideremus", jednak to można mu bardziej wyrozumieć niż sądy dzisiejsze.

Jakkolwiek daleko jest jeszcze do gruntownego i wyczerpującego zbadania muzyki XVI. wieku, to jednak dość wydano kompozycyi wielkich kontrapunktystów, aby można było zbadać stosunek Szamotulskiego do nich, do Zachodu. Oczywiście zdanie Eitnera jakoby Polacy „szli osobną drogą i doszli do tych samych rezultatów w końcu XVI. stulecia co Włosi" wyrażone w „Monatshefte für Musikgeschichte" jest mylne i pod każdym względem przesadne, gdyż polscy kompozytorowie XVI i XVII wieku nie posuwając się do daleko idącej zależności więcej interesowali się Zachodem niż wielu, bardzo wielu ich „kolegów" polskich z pierwszej i zwłaszcza drugiej połowy XIX. stulecia.

Adolf Chybiński.

(Dokończenie nastąpi).

Zarys dziejów edukacyjnych Polski porozbiorowej na obczyźnie.

(Ciąg dalszy).

Komisya, przyznając pomoc naukową, kładła warunek, aby stypendyści po ukończeniu studyów wracali do kraju. Tego warunku nie wszyscy dotrzymywali. W roku 1868 żaliła się Komisya, że wielu osiedla się na obczyźnie.

Zresztą przy rozdawaniu stypendyów zważano tylko na prowadzenie się kandydatów i na ich postępy w nauce.

Komisya działała jeszcze w r. 1876. Sprawozdanie za r. 1875 z dnia 2. lutego 1876, podpisane przez Platera i Landolta, świadczy o „smutnym objawie braku solidarności“ ze strony Polaków dla instytucyi. Przyszłość jej wprawdzie zabezpieczona przez wielki zapis hr. Ostrowskiego, ale na chwilowe potrzeby nie ma Komisya środków. Instytucya trzyma się tylko ofiarami cudzoziemców, głównie Szwajcarów.

W roku 1875 Komisya mogła udzielić tylko trzem uczniom subsydya.

Komisya w r. 1875 miała tylko 2676 fr., w tem pozostałości z 1874 roku 1866 fr.

Nie licząc na znaczniejszy przypływ, pozostawiła z powyższej kwoty na 1876 rok 2140 fr.

Literatura i źródła. Appel aux Polonais de la Commission de subsides pour les jeunes élèves polonais, Zurich 18. paźdz. 1866; toż po niemiecku. — Bolesławita B.: Z roku 1869 Rachunki, rok II., część 2. Poznań 1868. — Compte rendue de la Commission de subsides pour les élèves polonais à Zurich za rok 1865 i następne; toż po niem. — Dankadresse der polnisch. Studierenden in Zürich 1866. — Odezwa Komisyi wsparcia dla uczniów polskich do mieszkańców Galicyi i Księstwa poznańskiego, 1866 — Odezwa Komisyi, 1865. — Słów kilka o młodzieży polskiej, kształcącej się w Szwajcaryi w Przeglądzie polskim 1867, III. — Zdanie sprawy Kom. Pom. nauk dla uczącej się młodzieży polskiej na rok 1865 i następne.

10. Zakres działania Komisyi pomocy naukowej zurychskiej wziął na siebie Wydział pomocy naukowej Muzeum narodowego polskiego w Raperswilu (1870).

Aby skromne zasoby pieniężne tego Wydziału, pochodzące głównie z obczyzny, powiększyć i byt jego zabezpieczyć, Krystyn hr. Ostrowski, zmarły w Lozanie 1882 roku, zapisał kapitały swoje na stypendya dla młodzieży polskiej.

Dochody tego znacznego funduszu miały iść na wsparcia dla uczniów pochodzenia polskiego, którzy, kształcąc się w pobliżu Muzeum, przedewszystkiem w Politechnice zurychskiej, mogli być przedmiotem baczniejszej opieki zarządu muzealnego.

Wybór stypendystów, oznaczenie ich liczby i wysokości stypendyum miały należeć do dyrekcyi Muzeum.

Według statutu stypendyjnego, zatwierdzonego przez Radę muzealną r. 1891, mogą pobierać stypendya zarówno studenci jak studentki, na emigracyi lub w kraju urodzoni, bez względu na wyznanie religijne z warunkiem, że będą pracować dla kraju w duchu narodowym.

Podania należycie udokumentowane wnosi się na ręce dyrektora, lub na ręce kustosza Muzeum w Raperswilu.

Od kilku lat Wydział pomocy naukowej Muzeum załatwia podania o stypendya w porozumieniu z zarządem Zjednoczenia Towarzystw młodzieży polskiej zagranicą, oraz Związku młodzieży polskiej postępowej, o ile ten istniał.

Inwentarz spadku po ś. p. Krystynie Ostrowskim wykazywał kwotę 489.805 fr., z których na fundusz stypendyjny przypadło około 450.000 fr. Ale koszta procesowe, wynikłe ze sporu z władzami szwajcarskiemi o nadmierny wymiar podatków i wyegze-

kwowany przez nie podatek spadkowy, uszczupliły fundacyę Ostrowskiego znacznie. W roku administracyjnym 1905 z funduszu stypendyalnego im. Krystyna hr. Ostrowskiego otrzymano razem 23.189 fr., a wydano 22.863 fr.

W latach 1890—1892 fundacya ta zasilona została anonimowym zapisem w kwocie 43.000 fr.

Na rok administracyjny 1906 przyznano stypendya z tego funduszu 33 stypendystom, a mianowicie 3 po 50 fr. miesięcznie, 9 po 40 fr., również 9 po 30 fr. i 12 po 25 fr.

Muzeum raperswilskie rozporządza prócz tego innymi mniejszymi funduszami stypendyalnymi.

W roku 1897 wiceprezes Rady muzealnej Henryk Bukowski zainicyował z upoważnienia Rady zbieranie składek na pomoc naukową dla młodzieży polskiej kształcącej się za granicą. Zaczął go zbierać pomiędzy Polakami, licznie przybylymi do Stockholmu na wystawę powszechną. Ten fundusz stypendyjny nosi imię Tadeusza Kościuszki, ale jest jeszcze mały.

Od sierpnia r. 1899 zaczęto gromadzić Fundusz stypendyjny historyczno-literacki, przeznaczony dla osób, oddających się studyom nad literaturą i historyą polską, zwłaszcza nad historyą porozbiorową.

Przychody tego funduszu wynosiły w 1906 roku 2016 fr., a rozchody 365 fr.

Prócz tego są jeszcze fundusze po części anonimowe, których dochody w pewnej kwocie idą na wsparcia uczącej się młodzieży.

Takim jest fundusz anonimowy z roku 1894 wartości około 32.000 fr.: dochody tego funduszu przeznaczone są w części na utrzymanie Muzeum, a w części na stypendya. Ofiarodawca umarł we Lwowie r. 1900, a był nim Antoni Drążkiewicz.

Wymienić trzeba tu także fundusz anonimowy, zatytułowany: „Cicha Kasa litewska", a wynoszący z końcem 1905 r. 3842 fr. Procenta od tej sumy obracane być mają na zapomogę dla dzieci fundatora aż do ukończenia nauk a po uwolnieniu od zobowiązań wobec dzieci fundatora na cele, mające się wskazać przez Radę.

Literatura i źródła. Posłannictwo Muzeum narodowego pol. w Rapperswylu, Rapperswyl 1876. — Sprawozdania z zarządu Muzeum rapperswylskiego za rok 1889 i dalsze.

11. W czasach ostatnich przytuliła się do wolnej ziemi Szwajcarów instytucya, o której tu także trzeba wspomnieć. Jest nią Uniwersytet fryburski z Katedrą języków i literatur słowiańskich i przywiązanemi do niej stypendyami polskiemi.

Uniwersytet fryburski, założony w październiku r. 1889 przez rząd kantonalny pod protektoratem Leona XIII., miał się stać ogniskiem naukowem młodzieży wszelkiej narodowości i punktem zbornym na gruncie wspólnych przekonań katolickich. Otwarto go na razie z dwoma wydziałami, prawniczym i filozoficznym; teologiczny przybył dopiero na wiosnę r. 1890. Wydział teologiczny objęli księża Dominikanie na wyraźne życzenie papieża Leona XIII.

Katedra języków i literatur słowiańskich, od razu objęta program rządu fryburskiego, stała się przez to, że powołano na nią profesora Polaka, przeważnie katedrą literatury polskiej, schronieniem myśli i uczuć polskich.

Objął ją od samego początku istnienia uniwersytetu t. j. od jesieni 1889 roku prof. dr. Józef Kallenbach. Z początku katedra ta miała mało słuchaczów; cały uniwersytet liczył ich w pierwszem półroczu swego istnienia (1889/90 h) dwudziestu siedmiu. Pierwszym słuchaczem prof. Kallenbacha był Bułgar. W lecie r. 1890 zjawili się pierwsi Polacy na uniwersytecie fryburskim w liczbie dwóch. Odtąd zwolna lecz stale rozrastała się liczba Polaków w Fryburgu: w r. 1894 było ich już około 20.

Społeczeństwo nasze w sferach inteligentnych zrozumiało doniosłość katedry polskiej na dalekim Zachodzie. Osobny komitet, utworzony w Krakowie, dostarczył Bibliotece Uniwersytetu fryburgskiego sporo książek; księgarnie polskie ofiarowały swe nakłady, Akademia Umiejętności swe wydawnictwa, Biblioteka kórnicka część swych publikacyi, wiele prywatnych osób pospieszyło z darami. Książek zebrało się sporo, czytelników było mniej.

Młodzież polska, zalegająca tłumami uniwersytety niemieckie i szwajcarskie, omijała Fryburg, jako katolicki instytut. Do niedawna w sferach niektórych katolicyzm był równoznaczny z ignorancyą, zacofaniem i t. p.

Wśród ludzi zasłużonych dla fryburskiego uniwersytetu, takich, którzy od pierwszej chwili czynnie krzątali się w Polsce, aby młodzież wierząca kierowała swe kroki do młodej instytucyi katolickiej, należy wymienić w pierwszym rzędzie ks. dra Stefana

Pawlickiego, profesora Uniw. Jagiell. i ś. p. księcia Władysława Czartoryskiego.

Aby młodzieży ułatwić studya ufundowano anonimowo stypendyum o 500 fr.

W r. 1892 książę Władysław Czartoryski utworzył stypendyum fryburskie w kwocie 1200 fr. rocznie.

O stypendyum fryburskie im. Czartoryskich mogą się ubiegać Polacy wyznania rzymsko-katolickiego, którzy poświęcają się naukom historyczno-filozoficznym lub filozoficzno-literackim.

Młodzież polska w uniwersytecie fryburskim widziała zawsze w katedrze literatury ojczystej ważny czynnik ożywczy. Słowo Jana Kochanowskiego, Skargi, Mickiewicza miało dla niej na obcej ziemi urok, nietylko jako pamiątka minionych stuleci, lecz także jako żywe źródło otuchy na przyszłość.

Do najpilniejszych słuchaczów profesora Kallenbacha w czasie ostatnich lat jego pobytu w Fryburgu należeli Litwini. Nie był to widocznie dla nich przedmiot obowiązkowy, a mimoto były lata, gdzie trzy czwarte audytoryum składało się z Litwinów. Objawiła się w tem szczera sympatya dla polskiej myśli i polskich uczuć, dla tego wszystkiego, co wspólna wiekowa uświęciła dola i niedola.

Pomiędzy słuchaczami, niekiedy licznymi, było też sporo Bułgarów, z których kilku doktoryzowało się. Z Polaków doktoryzował się Wielkopolanin Pyszkowski.

Oprócz literatury polskiej wykładał profesor Kallenbach i ustępy z literatury rosyjskiej i starosłowiańską gramatykę.

Wykłady odbywały się w języku francuskim, lub gdy audytoryum było wyłącznie polskie, po polsku, raz tylko przy wykładzie gramatyki starosłowiańskiej w języku niemieckim.

Gdy profesor Kallenbach opuszczał w r. 1901 Fryburg, było w bibliotece około 3000 tomów, ale ten zbiór książek, nie dostosowany ściśle do katedry, nie wystarazał do rozlegleszych samodzielnych studyów, i to była i jest jedna z bardzo ujemnych stron katedry.

Profesor Kallenbach utrzymywał z młodzieżą tamtejszą bardzo serdeczne i miłe stosunki. Był z wyboru młodzieży przez szereg lat prezesem tamtejszego Kółka polskiego akademickiego, które założył wnuk Zygmunta hr. Adam Krasiński.

Stosunki te zaczęły się psuć, gdy po założeniu wydziału przyrodniczego młodzież z zabarwieniem socyalistycznem zaczęła napływać do Fryburga. Młodzieży tej nie podobały się wykłady

się wykłady profesora, w których on, mówiąc n. p. o Nieboskiej komedyi, zwalczał ostro socyalizm. Niezadowolenie tej młodzieży odbiło się echem w korespondencyach do „Teki“, organu młodzieży galicyjskiej, i innych. Reszta młodzieży odzywała się o tych samych wykładach z rzetelnem uznaniem.

Pozycya profesora Kallenbacha była i ważna i trudna. Ważna i odpowiedzialna, bo trzeba było wysoko dzierzyć sztandar nauki polskiej wśród obcych, trudna i niemiła, bo trzeba było zdala od swoich przy braku źródeł wyrzec się samodzielnej pracy i to w latach najlepszych życia, które się włokły „w tęsknocie i szarpaniu wewnętrznem“.

Profesor Kallenbach spełnił obowiązki na tym posterunku dobrze i zyskał zupełne uznanie władz kantonalnych, u których też miał mir i znaczenie. Za jego wpływem sprowadzono na katedrę filologii klasycznej profesora dra Adama Miodońskiego, który jednak tylko rok był w Fryburgu, bo go zabrał Kraków na miejsce zmarłego Iskrzyckiego. Potem dostał się za pośrednictwem prof. Kallenbacha na katedrę fizyki prywatny docent z Berna Józef Kowalski, który dotąd w Fryburgu działa.

Że placówka przez profesora Kallenbacha, przez lat 11 zajmowana, nie należała do łatwych i przyjemnych najlepszy dowód w tem, że kiedy odchodził, nie mieli odwagi lub ochoty objąć po nim katedry ci, do których się kolejno zwracał, ani prof. Windakiewicz ani prof. Zdziechowski ani prof. Bruchnalski i inni. Objął ją nareszcie i zajmuje dotąd prof. Dobrzycki.

Literatura i źródła. Listowne informacye Profesora dr. J. Kallenbacha, za które tu składam gorące podziękowanie. — Organizacya stypendyum im. książąt Czartoryskich dla Uniwersytetu w Fryburgu, w sierpniu 1892 (rękopis Muzeum XX. Czartoryskich w Krakowie. — Przegląd akademicki, Kraków 1890.

12. Na ziemi wolnej Szwajcaryi organizowała się swego rodzaju instytucya: „Uniwersytet Mickiewicza“ pomysłu dra Wincentego Lutosławskiego. Na siedzibę wybrano Morges. Inicyator zorganizował osobne towarzystwo. O celu instytucyi daje nam wyczerpujące wyjaśnienia uchwalony dnia 9. marca 1902 roku i ogłoszony drukiem Statut Stowarzyszenia: „Uniwersytetu Mickiewicza“.

Uniwersytet Mickiewicza, a raczej stowarzyszenie tego imienia miało na celu pielęgnowanie literatury, sztuki, historyi i filozofii polskiej, a mianowicie za pomocą publikacyi, ogłaszanych w języku polskim lub w językach obcych, przez tworzenie katedr polskich, oraz przez założenie fakultetu nauk wyzwolonych i umiejętności społecznych polskich w kraju, w którym myśl narodowa polska nie jest narażona na prześladowanie.

Na czele Stowarzyszenia stanął Komitet wykonawczy, który przyjmował członków. Zgromadzenie generalne członków oznaczało wysokość wkładki.

Członkom zwyczajnym Stowarzyszenia zapewniał Statut prawo bezpłatnego pobierania publikacyi, prawo kontroli spraw administracyjnych, prawo udziału w rozdawnictwie stypendyów stowarzyszenia i prawo bezpłatnego korzystania z wykładów, urządzanych staraniem Stowarzyszenia..

Dalekonośnym ideałom p. Lutosławskiego brakło środków materyalnych. Uniwersytet Mickiewicza, nie znalazłszy trwałych podstaw w Szwajcaryi, przeniósł się do Anglii, do Londynu. Tu otworzył p. Lutosławski zakład, w którym umieściło się kilku uczniów Polaków. Sam p. Lutosławski, o ile wiemy, wykładał w r. 1904 w angielskim University College dzieła Mickiewicza.

L i t e r a t u r a i ź r ó d ł a. S t a t u t s de la Société; Uniwersytet Mickiewicza.

12. Z ziemi szwajcarskiej przejdźmy do krajów dzisiejszej Rzeszy niemieckiej. Gdy ucisk szkolny w dzielnicy rosyjskiej po r. 1863 stawał się coraz sroższym, wiele rodzin zamożniejszych chroniło się z dziećmi za granicę. Zatrzymywano się z reguły w Saksonii, kraju związanym tak blisko z Polską. Rząd saski, o ile mógł, nie odmawiał emigrantom gościny. Zwłaszcza Drezno było celem emigrantów. Tu też zgromadziły się większe zastępy młodzieży polskiej. I dla niej to próbowano ze strony polskiej w rozmaitych czasach organizować polskie nauczanie i polskie pensyonaty.

W maju r. 1868 ks. Bońcy Jastrzębski, eksbernardyn z Królestwa polskiego, ogłosił p r z y w a t n e w y k ł a d y r e l i g i i k a t o l i c k i e j d l a m ł o d z i e ż y p o l s k i e j w D r e ź n i e z a m i e s z k a ł e j, a mianowicie w dwu kursach: w początkowym dla

dzieci niedorosłych a w wyższym dla dorastającej młodzieży płci obojga, na każdym w dwu godzinach w tygodniu z wyjątkiem dni uroczystych. Za naukę mieli uczniowie płacić po 4 talary kwartalnie. Ksiądz Jastrzębski podejmował się też lekcyi prywatnych po domach.

Antoni Karbowiak.

(Dokończenie nastąpi).

Z życia Kajetana Węgierskiego

Pamiętniki i listy

WYDAŁ

Dr. Stanisław Kossowski.

(Ciąg dalszy).

---

15. Nov.

Après bien de retards, le bâtiment. qui devait nous mener à Rhode-Island, mit à la voile. Un vent très-fort de nord-ouest, et la marée montante nous poussa avec une rapidité étonnante. Nous filions quatorze noeuds par heure. Pour entrer dans un bras de mer. appellé communément Est-River il faut traverser un passage très étroit et extremement dangereux. appellé

---

15. listopada.

Po wielu opóźnieniach, statek, który miał nas zawieść do Rhode Island, rozpiął żagle. Bardzo silny wiatr półn.-zachodni i przypływ morza niosły nas z prędkością zadziwiającą. Pędziliśmy z szybkością 14 węzłów na godzinę. Aby dostać się do odnogi zwanej pospolicie Est-River, trzeba przebyć przejście bardzo wąskie i nadzwyczaj niebezpieczne, zwane Hell-Gate (Wrota

Hell-Gate (Porte d'enfer). Outre que les hauts fonds et les rochers resserrent infiniment cette sortie, il y a des courants d'eau, qu'il faut éviter avec soin. Notre pilote redoubla d'attention et nous passâmes à côté de ces dangereux écueils, avec confiance et sans crainte. Il ne manque rien qu'un poête fameux pour éterniser ce passage, qui est infiniment plus dangereux que Scylla et Charybde, qui jouissent injustement du droit d'effrayer l'esprit de ceux, qui en entendent parler. Mais il se passera bien de temps, avant que les environs de New York acquièrent la célébrité de ceux de Messine — avant que la liberté y apelle les Muses; cet endroit ne sera connu que de ceux, qui y ont passé. Vous ne vous imaginez pas, qu'après avoir passé les portes de l'enfer, nous entrâmes presque dans un paradis. Nous cotoyâmes Long-Island et mille objets passant rapidement devant nos yeux tenaient continuellement notre attention en suspens et nous laissaient à peine le temps de sentir nos jouissances. A cinq heures le vent devint nord, et souffla avec une telle violence que notre petit sloop fut obligé de se refugier dans un havre de l'isle longue, appellée Huntington. Je ne fus pas fâché de cette relâche: je commençais à sentir déja cette émotion désagréable,

---

piekła). Prócz tego, że wysokie dno i skały utrudniają nadzwyczaj to wejście, są jeszcze wiry wodne, które trzeba starannie ominąć. Nasz sternik podwoił uwagę i przejechaliśmy obok tych niebezpiecznych raf, pewni siebie i bez obawy. Brakowało tylko sławnego poety, aby uwiecznić ten przejazd, który daleko większe niebezpieczeństwo przedstawia, niż Scylla i Charybda, które niesłusznie cieszą się prawem straszenia wyobraźni tych, którzy o nich słyszą. Ale przejdzie wiele czasu, nim okolice New Yorku zdobędą sławę okolic Messyny, i nim wolność przywabi tam muzy; miejsce to będzie znane tylko tym, którzy je przebyli. Zapewne nie wyobrazisz sobie, że po przebyciu wrót piekielnych weszliśmy prawie do raju. Płynęliśmy wzdłuż brzegów Long-Island i tysiące przedmiotów, przesuwających się szybko przed naszemi oczyma, utrzymywały wciąż naszą uwagę w napięciu, dając nam zaledwie nieco czasu na odczucie naszych rozkoszy. O piątej godzinie wiatr stał się północnym i dął z taką gwałtownością, że nasz mały okręcik był zmuszony uciec do portu długiej wyspy, zwanej Huntington. Byłem zadowolony z tego przestanku: zaczynałem bowiem już doznawać tego nieprzyjemnego

qui précède le mal de mer. La moindre agitation m'ôte absolument toutes les forces. Dès que la lune fut levée, nous appareillâmes — et à sept heures du matin, nous passâmes les bouches de la rivière de Connecticut et de la Tamire. Nous vimes New-Heven, les tours de New London, et Groton, la partie du brave Sassacus, ancien roi du Connecticut. C'est la patrie du continent américain la plus peuplée et la mieux établie: c'est celle, qui s'est toujours le plus signalée par son „whiggisun" et par son indépendance. C'est celle, qui a le plus contribuée à la guerre, en fournissant une quantité étonnante de milice guerrière, mais on a remarqué aussi que les deux seuls prisonniers, qui ont quitté la cause commune, et qu'on apelle ici traitres, sont de cet état.

Nous comptions diner à New Port; mais comme il ne faut compter sur rien, ils changent tout d'un coup et nous fumes obligés de mouiller à Stonington.

Stonington est un petit bourg, situé sur la baie de Nasrangaset Comme nous ne ne voulions pas risquer d'être retardés, par les vents contraires, nous primes des chevaux, et nous continuâmes notre chemin par terre. C'etait dimanche; à peine

---

uczucia, które poprzedza morską chorobę. Najmniejszy ruch odejmuje mi absolutnie wszystkie siły. Skoro tylko zeszedł księżyc, rozwinęliśmy żagle i o 7 z rana minęliśmy ujścia rzek Connecticut i Tamiry. Ujrzeliśmy New-Heven, wieże New-London i Groton, ojczyznę dzielnego Sassacusa, dawnego króla Connecticut'u. Jest to część kontynentu amerykańskiego, najbardziej zaludniona i najgęściej osiedlona. Ona to właśnie odznaczyła się najbardziej swoim „whiggisun" i dążnością do niepodległości. Ona to łożyła najwięcej na sprawy wojenne, dostarczając zadziwiającej ilości milicyi wojennej, jednak zauważono, że dwaj jedyni więźniowie, którzy odstąpili wspólnej sprawy i których nazywają tu zdrajcami, pochodzą z tego stanu.

Spodziewaliśmy się spożywać obiad w New-Port; ale że to nie można na nic liczyć, zmiany następują nagłe i byliśmy zmuszeni przybić do Stonington.

Stonington jest małem miasteczkiem, położonem nad zatoką Nasrangaset. Ponieważ nie chcieliśmy narażać się na spóźnienie przez przeciwne wiatry, wzięliśmy konie i puściliśmy się

avions-nous fait quelques milles, qu'à un endroit où la rivière Pakatuk sépare l'etat de Connecticut de Rhode-Island, nous fumes arrêtés par les habitants, qui nous reprochaient vivement de profaner le sabat, en voyageant le jour du Seigneur. Nous eûmes bien de la peine à nous tirer de leurs mains, et ce n'est qu'en les assurant que nous étions porteurs de depêches publiques, qu'ils nous laissèrent continuer notre chemin. Il serait difficile de vous dire, combien le peuple de New-England est superstitieu, indépendant, et imbu des principes républicains et religieux de Cromwell. Leurs anciennes lois, connues sous le nom de Blues Laws se distinguent par des absurdités d'un genre si singulier, que vous ne serez pas fâché d'en avoir quelque détail.

1-o. Les gouverneurs et les magistrats élus par l'assemblée générale sont le seul pouvoir suprême, auquel cette puissance doit obéir, après Dieu.

2-o. On ne peut appeller de la détermination de l'assemblée nationale.

3-o. Quiconque dira, qui'il y a un pouvoir au dessus ou hors cette puissance doit subir la mort.

---

w dalszą podróż lądem. Była to niedziela: zaledwo zrobiliśmy kilka mil, gdy w miejscu, gdzie rzeka Pakatuk oddziela stan Connecticut od Rhode-Island, zatrzymali nas mieszkańcy, którzy nam wymawiali żywo profanacyę sabatu, że podróżujemy w dzień poświęcony Bogu. Z wielką trudnością zdołaliśmy się wyrwać z ich rąk i wtedy dopiero puścili nas w dalszą drogę, gdyśmy im zaręczyli, że jesteśmy roznosicielami publicznych depesz. Trudnem byłoby wyrazić jak dalece naród Nowoanglików jest przesądny, niezależny i przeniknięty zasadami republikańskiemi i religijnemi Cromwella. Ich dawne prawa, znane pod nazwą Blues Laws, odznaczają się tak dziwnymi nonsensami, że zechcecie zapewne mieć o nich jakie takie wyobrażenie:

1-o. Gubernatorowie i urzędnicy, wybrani przez stany generalne, są najwyższą władzą, której winno się posłuszeństwo zaraz po Bogu.

2-o. Nie można apelować od orzeczenia zebrania narodowego.

3-o. Ktokolwiek powie, że istnieje wyższa lub inna władza od tej potęgi, winien będzie kary śmierci.

4-o. Personne ne doit avoir la voix dans l'assemblée, ni être Freeman à moins, qu'il ne soit pleinement de la communion de l'eglise établie dans l'état.

5-o. Chaque homme libre doit jurer sur Dieu, d'obéir pleinement à l'état, et ne reconnaître que Jesus pour roi.

6-o. On ne donnera ni logement, ni nourriture à un quaker, à un adamite ou autre hérétique.

7-o. Personne ne doit passer la rivière, sans un batelier, Ferryman autorisé.

8. Personne ne peut voyager ni se promener dans son jardin le jour du sabat, excepté en allant et en revenant de l'eglise.

9-o. Personne ne peut cuire à manger, faire son lit, balayer sa maison, se couper les cheveux, ou se raser, le jour du sabat.

10-o. Aucune femme ne doit embrasser, ni baiser son enfant le jour du sabat.

11-o. Le sabat doit commencer au coucher du soleil le samedi.

12. Un ivrogne doit avoir un tuteur ou un maître, qui le privera de la faculté d'acheter et de vendre.

4-o. Ten tylko może mieć głos na zebraniu i posiadać godność Freeman'a, kto poddaje się w zupełności społeczności kościoła, ustanowionego w państwie.

5-o. Każdy wolny człowiek musi przysiądz na Boga, że będzie w zupełności posłuszny państwu i tylko Jezusa będzie uważał za króla.

6-o. Nie wolno użyczyć ani mieszkania ani żywności quakrowi, adamicie albo innemu heretykowi.

7-o. Nikt nie powinien przepływać rzeki bez przewoźnika, Ferryman'a upoważnionego.

8-o. Nikt nie powinien podróżować ani przechadzać się w swoim ogrodzie w dzień sabatu, z wyjątkiem kiedy idzie lub wraca z kościoła.

9-o. Nie można gotować jedzenia, pościełać łóżek, zamiatać swego domu, obcinać sobie włosów, albo golić się, w dzień sabatu.

10-o. Żadna kobieta nie powinna całować ani ściskać swojego dziecka w sabat.

11-o. Sabat powinien zaczynać się z zachodem słońca w sobotę.

12-o. Pijak powinien mieć opiekuna albo pana nad sobą, który może go pozbawić możności kupowania i sprzedawania.

13. Quiconque fabrique un mensonge au détriment de son voisin, doit recevoir quinze coups de fouet.

14-o. Quiconque apporte des désordres... dans l'état est condamné à 5 shellings d'amende.

15-o. Personne ne peut lire des prières, faire Noël, ou les fêtes, faire des pâtes, danser, jouer aux cartes, ou de quelque instrument de musique excepté le tambour, la trompette et la gaimbarde.

16-o. Aucun prêtre ne doit se mêler de marier: les magistrats seulement auront ce droit.

17-o. La fornication doit être punie par un mariage forcé, et l'adultère de la mort.

18-o. Un homme, qui bat sa femme, doit payer dix pounds, une femme qui bat son mari, doit être punie au gré des juges.

19-o. Deux personnes mariées doivent vivre ensemble, ou aller en prison.

20-o. Chaque homme doit couper ses cheveux en rond.

Ces loix étranges attestent bien le fanatisme et la barbarie du siècle où elles ont été faites; mais il y a longtemps qu'elles

---

13-o. Ktokolwiek kłamie na szkodę swego sąsiada, powinien dostać piętnaście batogów.

14-o. Ktokolwiek sprowadza nieporządki... w państwie, jest skazany na 5 szelingów kary.

15-o. Nikomu nie można odmawiać modlitwy, obchodzić Bożego Narodzenia, albo święta, robić ciasta, tańczyć, grać w karty, albo na jakim instrumencie muzycznym z wyjątkiem bębna, trąby i drumli.

16-o. Żadnemu księdzu nie wolno wdawać się w kojarzenie małżeństw, tylko urzędnicy sądowi mają do tego prawo.

17-o. Spółkowanie powinno być karane przymusowem małżeństwem, a cudzołóstwo śmiercią.

18-o. Mężczyzna, który bije swoją żonę, musi płacić dziesięć funtów, żona zaś, która bije męża, ma być karana według woli sędziów.

19. Dwie osoby złączone węzłem małżeńskim powinny żyć razem albo iść do więzienia.

20-o. Każdy człowiek powinien dookoła obcinać włosy.

Te dziwne prawa świadczą o fanatyzmie wieku, w którym były postanowione; ale od dawna już one nie istnieją i nigdy

n'existent plus, et n'ont jamais été imprimées. Vous voyez par là que le peuple de Connecticut n'a jamais été moins libre qu'il n'est actullement et que les premiers fondateurs de cette colonie, expatriés après la restauration de Charles II. ont porté dans ce pays, et ont transmis à leurs ancêtres une haine contre toute autorité et un amour d'indépendance, qui s'est toujours soutenu. Les conversations de ce peuple ne roulent, que sur la réligion et la politique. Leur lecture n'est que la bible et les gazettes. Il n'y a pas de ville, où, il n'y ait quelque fois trois gazettes d'imprimées; il n'y a pas de maison, où il n'y ait plusieurs bibles.

Les femmes sont aussi instruites dans ce métier, que les hommes; et elles défieraient à disputer les plus habiles théologiens et les plus rafinés politiciens.

Après nous être debarassé des zélés sectateurs du sabat, nous continuâmes notre chemin par un pays extrêmement pierreux, mais parfaitement ouvert et bien établi. Nous entrâmes dans le Township de Charles-Town de l'etat de Rhode-Island. L'auberge où nous couchâmes, est excellente, et l'aubergiste un des plus curieux questionneurs de New-England. En général, le

---

nie były drukowane. Widzicie przez to, że naród Connecticut'u nigdy nie był mniej swobodny, jak teraz, i że pierwsi założyciele tej kolonii, wygnani po ponownem wstąpieniu na tron Karola II., zanieśli do tego kraju i przekazali swoim potomkom nienawiść ku wszelkiej władzy i miłość niezależności, która się zawsze utrzymała. Rozmowy tej ludności odnoszą się tylko do religii i polityki. Poprzestają tylko na czytaniu biblii i dzienników. Niema miasta, w którem by nie drukowano przynajmniej trzech dzienników, niema domu, w którym by nie było kilka biblii.

Kobiety są równie wykształcone w tym kierunku jak mężczyźni, i sprostałyby w dyspucie najlepszym teologom i najbardziej wyrafinowanym politykom.

Pozbywszy się gorliwych sekciarzy sabatu, odbywaliśmy dalej naszą podróż krajem nadzwyczaj kamienistym, ale bardzo otwartym i gęsto zasiedlonym. Weszliśmy do Township Charles-Town, w stanie Rhode-Island. Zajazd, gdzieśmy nocowali, jest doskonały, a oberżysta jeden z najciekawszych „zapytywaczy“ Nowej Anglii. Wogóle naród Nowej Anglii jest nadzwyczajnie

peuple de la nouvelle Angleterre est extrêmement questionneur. Quand vous leur demandez, d'où vous venez? où vous allez? ce que vous avez à faire? ce que vous avez fait dans l'endroit d'où vous venez? quel temps que vous vous proposez de rester? — et puis: ce qu'on dit de nouveau? — et vous ne pouvez racheter la connaissance de votre chemin que par des réponses à toutes ces questions.

La conversation en général ne roule que sur deux objets, la politique et la religion. Ces deux sujets fournissent des absurdités très-curieuses. Les nouvelles les plus singulières circulent avec la plus grande rapidité et toutes les gazettes repètent comme l'écho les anectodes les plus singulières.

17. Nov.

L'état de Rhode-Island que nous traversâmes, est plat, découvert et extrêmement peuplé. Nous passâmes les deux ferry.[1])

[1]) On passe deux Ferrys, l'un de trois milles, l'autre de deux; la mer est interrompue par une isle, apellée Connoniast-Island.

skłonny do zadawania pytań. Gdy się ich o co pytacie, spytają się zaraz was skąd przybywacie, dokąd dążycie, co macie na celu, co robiliście w miejscu skąd przychodzicie, jak długo macie zamiar zatrzymać się, a następnie, co słychać nowego? i tylko za cenę odpowiedzi na te wszystkie pytania jesteście w stanie zasięgnąć wiadomości o waszej drodze.

Rozmowa wogóle obraca się około dwu przedmiotów: około polityki i religii. Te dwa tematy dostarczają bardzo ciekawych niedorzeczności. Najdziwaczniejsze nowiny rozchodzą się z największą szybkością i wszystkie gazety powtarzają jak echo najbardziej dziwaczne anegdotki.

17. listopada.

Stan Rhode Island, który przebyliśmy, jest płaski, odkryty, niezwykle gęsto zaludniony. Przebyliśmy obie ferry[1]).

[1]) Musi się przejść przez obie ferrys, jedną trzymilową, drugą dwumilową; wyspa zwana Connoniast-Island przecina wszerz morze.

Nous arrivâmes à New Post, vers les deux heures; c'est une petite ville très jolie, quoique bâtie en bois. Son port est commode. Vous savez que l'armée française y a residée longtemps, et qu'elle a mis cette ville et l'isle entière dans un état respectable de défense, mais tous ces ouvrages sont abandonnés. La baie est très commode et belle. Lord Hove y a fait une manoeuvre en 78, qui seule lui acquérerait la réputation du plus grand homme de mer. Nous ne pûmes rester que 24 heures à la ville, et quoique nous eussions des lettres, nous ne vîmes personne. Les femmes de Rhode Island passent pour être les plus jolies du continent. Une coutume très singulière prévaut dans ce pays-ci, comme dans le Connecticut, et dans une grande partie de New Hampshire et de Mashashushetbey. Quand un voyageur arrive dans une maison, la plus grande civilité qu'il peut faire aux filles de la maison — c'est de leur proposer de „bundle", c'est à dire, de passer la nuit avec elle dans un même lit. Il y a des bornes que le voyageur ne peut passer dans les civilités, et les colonnes d'Hercule l'arrêtent. S'il use de violence il est en danger, d'être jeté par la fenêtre; mais si par la persuasion il obtient des faveurs, elles sont couvertes par l'obscurité de la nuit. Cependant

---

Około godziny drugiej dotarliśmy do New Post; jest to małe miasteczko, bardzo ładne, chociaż budowane z drzewa. Jego port jest bardzo wygodny. Wiecie, że armia francuska przebywała tam długo i obwarowała bardzo starannie miasto i całą wyspę, ale wszystkie te prace są dziś zaniedbane. Zatoka jest bardzo wygodna i piękna. Lord Hove urządził tam w 78 r. manewry, które same wystarczyłyby, żeby wyrobić mu sławę najpotężniejszego człowieka na morzu. Mogliśmy pozostać w mieście tylko 24 godzin, a chociaż mieliśmy listy, nie widzieliśmy nikogo. Kobiety z Rhode Island uchodzą za najładniejsze na kontynencie. Bardzo dziwny zwyczaj panuje w tym kraju, jak i w Connecticut i New Hampshire i w Masahushetbey. Gdy podróżny przybywa do domu, największą grzecznością, jaką może okazać córkom tego domu, stanowi zaproponowanie którejś „bundle", to znaczy spędzenia z nią nocy w jednem łóżku. Są jednak granice grzeczności, których podróżnemu nie można przekroczyć i kolumny Herkulesa zatrzymują go. Jeżeli użyje siły, naraża się na niebezpieczeństwo, że będzie wyrzucony oknem; ale jeżeli dzięki perswazyi otrzyma względy, ciemność nocy zakrywa je. Jednakże upewniają tu w ogóle.

on assure ici généralement, que rien n'est plus rare, qu'un mauvais effet de cette bonne coutume; et il n'y a pas d'étranger asser vain, qui eut pu se vanter d'avoir passé les bornes prèscrites. Quoiqu'elle soit connue de tout ceux, qui ont voyagé en Amérique elle est trop singulière pour n'être pas appuyé du temoignage d'un auteur. Je m'en vais vous rapporter les propres mots d'un respectable ecclesiastique, auteur d'une Histoire de Connecticut, imprimée à Londres en 1781. „Les femmes de Connecticut sont vertueuses dans la force du terme, dit ce respectable ecclesiastique, et elles peuvent être appellées prudes avec beaucoup plus de justice, que quelques femmes européennes. Il ne leur est pas permis de lire de comédies, de parler de whisky, d'hombre, d'opéra, mais elles causent très-bien sur l'histoire, la géographie, les mathématiques; elles sont versées dans la théologie polémique, et j'en ai connu plusieurs asser versées dans le grec et le latin pour embarasser un homme savant.' Quoique la modestie des dames soit telle, qu'ils regarderaient comme un homme grossier celui, qui parlerait devant elles de jarretières, de genou, de cuisses etc., c'est pourtant une grande politesse que de leur demander de „b u n d l e": — c'est une coutume aussi an-

---

że do największych rzadkosci należy przykre następstwo tego dobrego zwyczaju; i nie ma cudzoziemca na tyle próżnego, któryby mógł się pochwalić, że przeszedł przepisane granice. Chociaż zwyczaj ten jest znany wszystkim, którzy podróżowali po Ameryce, jednak jest on nadto osobliwym. aby nie oprzeć go na świadectwie któregoś z autorów. Zacytuję wam własne słowa szanownego duchownego, autora historyi Connecticut'u, drukowanej w Londynie w r. 1781. „Kobiety z Connecticut'u są cnotliwe w całem tego słowa znaczeniu, mówi ten szanowny duchowny, i mogą być nazwane cnotliwemi daleko sprawiedliwiej, niż wiele kobiet europejskich. Nie wolno im czytać komedyj, rozmawiać o whisky, o grze „hombre", o operze, ale rozprawiają zato bardzo dobrze o historyi, geografii i naukach ścisłych; obeznane są z teologią polemiczną, i poznałem kilka na tyle w grece i łacinie biegłych, że mogły śmiało wprowadzić w kłopot człowieka uczonego. Mimo, że skromność tych pań sięga tak daleko, że uważałyby za grubianina tego, któryby mówił przy nich o podwiązkach, kolanach, udach i t. p., należy to jednak do wielkiej grzeczności prosić ich o „b u n d l e": jest

cienne chez eux, que le premier établissement de la colonie en 1634.

Cette coutume est innocente, vertueuse et prudente; et les puritains n'en auraient jamais permis la pratique à leurs descendants, pour lesquels ils se seraient laissés crucifier. Les enfants, élevés dans les idées les plus chastes, et avec autant de religion, qu'ils croient que Dieu tout puissant les voit dans l'obscurité, et que les anges les gardent, quand ils ne sont pas sous les yeux de leurs parents, ne voudraient et ni oseraient de permettre une action deshonnête. Ceux qui sont gouvernés plus par la concupiscence, que par la vraie foi en Dieu, qui ne permettrait jamais une iniquité, n'oseraient jamais „bundle". Si un homme étranger à l'amour de la vertu de Dieu, bundlant avec une jeune fille, se comporte comme il ne convient pas, il faut premièrement qu'il allume dans son coeur une passion et qu'il chasse de son esprit le ciel, la mort, et l'enfer, où il subira le châtiment des Nègres fols: les Indiens chez qui cet usage de courtiser les dames, était etabli, en 1634, lorsque les premiers Anglais arrivérent, sont le peuple le plus chaste du monde. La fornication et l'adultère ne sont pas connus chez eux: excepté quand ils

---

to zwyczaj tak dawny u nich, jak pierwsze założenie kolonii w 1634 r.

Zwyczaj ten jest niewinny, cnotliwy i przezorny; i purytanie nie zezwoliliby nigdy na wykonywanie go przez swoje dzieci, dla których daliby się ukrzyżować. Dzieci wychowane w pojęciach najskromniejszych, i z taką religijnością, że wierzą, iż Bóg wszechmocny widzi je w ciemnościach i że aniołowie strzegą je, gdy nie spoczywają na nich oczy rodziców, nie chciałyby ani śmiałyby pozwolić na czyn nieuczciwy. Ci, którzy kierują się bardziej pożądliwością, niż prawdziwą wiarą w Boga, którąby nigdy na nieprawość zezwolić nie mogła, nie ośmieliliby się nigdy na „bundle". Jeżeli człowiek, daleki od cnoty miłości Boga, śpiąc w jednem łóżku z młodą dziewczyną zachowuje się jak nie powinien, musi wzniecić najpierw namiętność w swoim sercu i oddalić od siebie myśl o niebie, śmierci i piekle, gdzie otrzyma zasłużoną karę szalonych murzynów; Indyanie, u których ten zwyczaj zalecania się do kobiet głęboko się zakorzenił, począwszy od r. 1634, aż do chwili przybycia tam Anglików, byli najcnotliwszym ludem na świecie. Lubieżność i cudzołóstwo nie są im znane, z wyjątkiem kiedy odstępują od prawa Hobbamocków i stają się chrze-

quittent la loi de Hobbamockow et qu'ils deviennent chrétiens. Les sauvages ont amené quelque fois de femmes prisonnières 800 milles dans le pays, et les ont tenus pendant plusieurs années et il n'y a jamais eu aucun exemple de viol. On ne pourrait pas en dire autant des Français et des Anglais. Je ne prêche pas pour la tentation, mais je dois dire, que le „bundling“ a prévalu dans la nouvelle Angleterre depuis plus de 160 ans, et je suis plus persuadé que cet usage est plus chaste que celui d'être assis sur un sopha. J'ai des filles et je parle après une expérience de quarante ans. Le „bundling“ n'a lieu que dans la saison froide, et le sopha en été est plus dangereux que le lit en l'hiver. En 1756 New Post, Boston et New-York défendaient à leur filles de „bundle“ avec les jeunes gens. et introduisaient le sopha comme un usage plus délicat et plus turque. Quoi qu'il en soit, soit que le sopha ou d'autres raisons en soyent la cause, il se répandit un bruit qu'il en resultât une des conséquences plus naturelles que du „bundling“. Après tout, j'ai des filles, et je leur permettrais de „bundle“ sur un sopha, ou dans un lit. Avec de l'éducation qu'elles ont reçue elles seraient plus en sureté que les filles espagnoles, qu'on fait parler d'amour devant

---

ścianami. Dzicy sprowadzali niekiedy kobiety niewolnice o 800 mil do kraju i trzymali je po kilka lat, a nigdy nie wydarzył się żaden wypadek zgwałcenia. Nie można by tego powiedzieć o Francuzach i Anglikach. Nie staję bynajmniej w obronie pokusy, ale muszę powiedzieć, że „bundling“ przeważał w Nowej Anglii od 160 lat i jestem mocno przekonany, że zwyczaj ten jest daleko więcej skromny od zwyczaju siedzenia na sofie. Mam córki i mówię z czterdziestoletniego doświadczenia. „Bundling“ ma tylko miejsce w zimnej porze roku, a sofka latem jest niebezpieczniejsza od łóżka w zimie. W 1746 r. New Post, Boston i New York zabroniły swoim dziewczętom spać w jednem łóżku z młodymi ludźmi i zaprowadziły sofę jako zwyczaj bardziej delikatny i bardziej turecki. Zresztą mniejsza o to, czy to sofa, czy coś innego stało się przyczyną rozejścia się pogłoski, że poczęły wypływać z tego konsekwencye, bardziej przyrodzone niż z „bundlingu“. Zresztą mam córki i pozwoliłbym im na „bundle“ na sofie albo w łóżku. Dzięki wykształceniu, jakie otrzymały, byłyby bezpieczniejsze od panien hiszpańskich, którym każą mówić o miłości w obecności ich matek“. Cóż po-

leurs mères". Que dites-vous de cette pièce d'éloquence américaine? — Elle m'a paru trop curieuse pour être omise: le révérend s'étend beaucoup plus sur cette matière, mais il en parle trop ennuyeusement.

18. Now.

Rien de curieux entre Rhode-Island et Providence, qu'un pays ouvert, bien établi et extrêmement cultivé. Providence est une assez jolie ville et assez commerçante.

Nous arrêtâmes une voiture et nous arrivâmes à Boston.

20. Nov.

Me voilà donc à la fin de mon voyage d'Amérique. Je compte m'embarquer pour l'Europe, après avoir fait une excursion jusqu'à Portsmouth et Castle-Bay. J'irai dans une saison orageuse affronter les perils de la mer, et la rigueur du climat.

---

wiecie o tej próbce amerykańskiej wymowy? — Wydała mi się nadto ciekawa, aby pominąć ją milczeniem. Wielebny ojciec rozwodzi się daleko więcej nad tą kwestyą, ale mówi o niej zanadto nudnie.

18. listopada.

Nie ma nic ciekawego między Rhode-Island a Providence; kraj jest otwarty, gęsto zasiedlony i świetnie uprawiany. Providence jest dość ładnem i handlowem miastem.

Zatrzymaliśmy powóz i przybyliśmy do Bostonu.

20. listopada.

Oto jestem przy końcu mojej podróży po Ameryce. Zamierzam wsiąść na okręt do Europy, uczyniwszy jeszcze wycieczkę do Portsmouth i Castle-Bay. Pojadę w porze burzliwej, by wystawić się na niebezpieczeństwa morza i na surowość klimatu.

Je m'embarquerai pour Cork et je traverserai l'Irlande, l'Ecosse et l'Angleterre; j'ai courtisé la fille ingrate, il faut voir la mère éplorée.

Wsiądę na okręt zdążający do Cork'u i przejadę Irlandyę, Szkocyę i Anglię; zalecałem się do niewdzięcznej córki, trzeba jeszcze zobaczyć matkę zrozpaczoną.

(Dokończenie I. części nastąpi).

Wycieczka do Parany

(stanu rzeczypospolitej Brazylii).

Dziennik podróży.

(Ciąg dalszy).

Pod koniec roku 1895 okręty towarzystwa „Frejtas“ zawijały dwa razy miesięcznie do zatoki Paranagua i odjeżdżały ztamtąd do Hamburga przez porty katarzyńskie i riograndzkie. Niezadługo mają zaprowadzić już zupełnie regularny ruch tygodniowy.

Hamburg dla południowej Brazylii staje się gwiazdą handlową coraz jaśniejszą. Nawet towary z Anglii i Francyi idą do południowej Brazylii przeważnie na statkach niemieckich rodem z Hamburga; tamtędy też prawie zawsze obierają sobie drogę towary z Wiednia i z pod Tryestu tak, że uchodzą wszystkie za hamburskie. Kupiec brazylijski nie bada głęboko statystycznie właściwego pochodzenia towaru; stara się o najtańszy i najlepszy: wystarcza mu wiedzieć, że pochodzi z Hamburga i okrętów niemieckich i zwie go hamburskim, choćby pochodził z Chin lub Australii.

Mały handel wewnętrzny, zwłaszcza w głębi kraju i w nowo powstałych koloniach, przychodzących do zamożności, jest w południowej Brazylii zyskownym środkiem zarobkowania i nie potrzebuje wielkiej wprawy. Jest tam brak kapitałów i ludzi inteligentnych, co zdarza się zwykle na ziemiach nowych. Złotym

interesem jest tak zwana „wenda“ czyli sklep, sklepik, karczma. Ma się najmniej 40 procent zarobku na zakupionym w Kurytybie pieprzu, cynamonie, perkalach, niciach i t. d., a 100 procent i więcej na trunkach gorących, jak piwo, wino, wódka. Małe kapitaliki, użyte w handlu w tym kierunku, mogą się znakomicie rentować. Przytem, skoro nowo przybyły jest rzetelnym człowiekiem i wyrobi sobie taką opinię, ma wtedy kredyt ogromny, iście nieograniczony, co często niedoświadczonych gubi.

Gdy stan ekonomiczny ogólny się pogarsza, wenda przestaje być dobrym interesem, kredyt ustaje, kapitały się mniej rentują, ale zawsze więcej, niż wogóle w Europie, zwłaszcza małe kilkutysięczne.

Każdy kupiec musi udzielać kredytu mimo wszelkiej zapowiedzi, że sprzedaje tylko za gotówkę; lecz wytrawna znajomość ludzi i stosunków polega właśnie na tem, żeby wiedzieć, komu go udzielić. Kupiec płynie miedzy dwoma niebezpieczeństwami: gdy nie udziela wcale kredytu, wtedy będzie mało kto u niego kupował, a skoro nieostrożnie szafuje swem zaufaniem, wtedy pożarywają go bez litości; w ten sposób włożone pieniądze można stracić szybko. Jest to zwykły uniwersytet amerykański, po którego ukończeniu nabywa się wprawy do robienia pieniędzy: ale nie ma potrzeby kończyć go sumiennie aż do utraty ostatniego grosza. Przezornie postępując, można podwoić kapitalik (n. p. tysiąca lub paru tysięcy rubli) w ciągu trzech miesięcy: lecz w ciągu tego podwajania pamiętać należy, że jeszcze łatwiej go stracić całkiem w ostatniej chwili.

Przemysł w stanie Parana jest bardzo mało rozwinięty; nie znajduje się jednak w powijakach.

Tam, gdzie ludność jest mała i rozproszona bez dogodnych komunikacyj, przeważać musi mały handel i mały przemysł pierwotny. W krajach ludnych o dobrych połączeniach komunikacyjnych musi brać górę przemysł wielki nad małym; wszystko tam opłaca się wytwarzać na coraz większą skalę coraz taniej: maszynowo, szybko i w wielkiej ilości wytworzone wyroby, mogą być tedy natychmiast rozesłane i dostarczone do wszystkich zakątków. Kapitały mniejsze nie wytrzymują współzawodnictwa z większymi.

Już w krajach polskich w Europie przedsiębiorstwo kilko-, kilkonasto-, a nawet kilkodziesięcio-tysięczne nie bardzo się zwykle opłaca — i upada wobec konkurencyi większych przedsiębiorstw zagranicznych lub krajowych, mogących wytwarzać i dostarczać towar taniej.

Przeciwnie dzieje się w krajach, jak Parana, gdzie nowo założone kolonie i miasta jeszcze nie zaludniły gęsto kraju i są przedzielone oddaleniem i złemi drogami. Małe przedsiębiorstwo kilkunasto, kilkodziesięcio, a nawet kilkotysięczne nie obawia się współzawodnictwa wyrobu maszynowego, wytwarzanego na wielką skalę i taniego. Trudna komunikacya podraża towar, którego przeto nie można dostarczać tanio z odległych stron. Opłaca się wtedy małe przedsiębiorstwo na miejscu.

I tak: dość znaczną ilość browarów, zwłaszcza w miasteczkach parańskich, utrzymują Niemcy; mnożą się one wciąż, mimo że z Europy sprowadza się jęczmień i słód. Gorący klimat, wzbudzający pragnienie, przyczynia się do rozpowszechniania piwa nawet pomiędzy Brazylianami Kaboklami. Coraz większe podwyższanie ceł od piwa zabija coraz doszczętniej wszelki niemal dowóz piw, prócz najdroższych, z Europy i pomaga rozwojowi małych przedsiębiorstw browarnianych.

Obfitość i taniość bydła rogatego, następnie fakt, że istnieje dość znaczny z Parany do Europy wywóz skór nieobrobionych, wreszcie ilość i różnorodność krzewów garbarskich, jak krzak mangué, kory drzew araça, catigua, grammamonia, (rodzaj dębu) i t. p. naprowadzają na prawdopodobieństwo rentowności garbarni. Istnieje ich też istotnie kilka małych w różnych miejscach, lecz za mało na wzrastającą potrzebę skór obrobionych dla przemysłu rymarskiego i szewskiego.

Obecne przedsiębiorstwa rymarskie (głównie siodlarstwo) też nie zaspakajają dostatecznie potrzeb ludności, nie mogącej się obyć bez uprzęży i rzędów dla koni i mułów, które są jedynymi środkami komunikacyjnymi w przeważnej części kraju.

Dla szewców Brazylia jest istnym rajem. Cło wysokie od obuwia chroni przemysł szewski nad miarę wszelką od współzawodnictwa dowozu gotowego towaru z Europy. Traci na tej protekcyi celnej ogół ludności, potrzebującej obuwia, bo zmuszony jest płacić drogo za lichy wyrób miejscowy. Trudność i drogość komunikacyi jest taka, że mało się nawet opłaca sprowadzanie do Parany obuwia maszynowego już nietylko z północnej Ameryki, ale z wielkich fabryk obuwia w Rio de Janeiro, S. Paulo i Rio Grande do Sul, które bez ceł swe wyroby dowozić mogą do każdej miejscowości w Brazylii.

Fabryki kotłów, maszyn i drobnych wyrobów żelastwa, istnieją w Kurytybie trzy niemieckie i jedna francuska. Każda z nich operuje małym kapitałem około 50.000 rubli.

Przemysł żelastwa jest dość zyskownym, mimo że wiele półfabrykatów a nawet materyałów surowych sprowadza się dotąd z Europy. Opłaciłoby się zakładać huty żelazne i fabryki wyrobów żelaznych n. p. gwoździ, siekier i t. p. Siekiera kosztuje obecnie 5 do 6-ciu milrejsów (franków), graca $1^1/_2$ do 3-ech milrejsów, kilo gwoździ około 2-ch milrejsów, drut do płotów długi 450 do 500 metrów powyżej 30-tu milrejsów.

Wobec drożyzny papieru sprowadzanego z Europy, opłaciłoby się założyć papiernię z liści kukurydzianych, których jest wszędzie wielka obfitość, a to pierwszorzędny materyał w tej mierze.

Huty szklane (których nie ma wcale w Brazylii) zbogaciłyby przedsiębiorcę tam, gdzie istnieje odpowiedni piasek: nad morzem (zatoką Paranagua pod miastem tego imienia lub Antoniną) i w wielu innych miejscach; wielką jest drożyzna towaru tak łatwo tłuczącego się przez przewóz, jak szkło.

Korzystnym przedstawia się też wyrób nawozów sztucznych wobec ich zapotrzebowania pod Kurytybą. Od kilkunastu a nawet od kilkudziesięciu lat założone tam osady polskie zdążyły wyczerpać ziemię; jałowieć bowiem musi każdy, nawet najżyźniejszy grunt, po tak długoletniej uprawie. Istnieje bardzo wielka obfitość kości zwierzęcych tak w Kurytybie, jak i w koloniach okolicznych. Rzeźnicy muszą je wywozić poza miasto lub poza osadę. Chętnie oddaliby je darmo, aby uniknąć trudu i kosztów pozbywania ich.

Obliczano mi, że wystarczyłby kapitał 7.000 milrejsów na założenie małej fabryczki nawozu sztucznego (zakupno kotłów, wybudowanie pieców i t. p.). Kapitalik ten zwróciłby się już w pierwszym roku w obec wielkiego zapotrzebowania i głośnego żądania wszelkich nawozów sztucznych ze strony polskich kolonistów właścicieli ziemi. Tak Szlązacy, jak i Galicyanie tamtejsi, doskonale rozumieją korzyści podniesienia wydajności gruntów swoich w ten sposób.

Przemysł nabiałowy niewątpliwie istnieje. Gdyby nie okoliczne kolonie polskie i włoskie, Kurytyba nie miałaby ani mleka, ani masła, ani sera i nie mogłaby się rozrastać w tak pokaźne miasto, jakiem jest obecnie. Lecz artykuły te są drogie i nie dostarczane w ilości i jakości należytej. Ktoby się odważył trzymać z jakie 30 krów na oborze (rzecz niesłychana w Brazylii, gdzie bydło używa cały rok świeżego powietrza i swobód republikańskich), zrobiłby niewątpliwie majątek na dostarczaniu towaru

tak pożądanego w rosnącej szybko jak na drożdżach stolicy parańskiej.

Niewyzyskane wielkie ilości łoju dawałyby podstawę do wyrobu świec i margaryny, na co zbyt byłby pewny prawie w każdem miasteczku stanu parańskiego.

Niewyczerpane zasoby drzewa sosnowego (araukaryi) w całym stanie mogłyby się stać, jako drzewo i popiół, materyałem pierwotnym do fabrykacyi zapałek i prochu. W całej Brazylii mało jest fabryk zapałek — fabryka prochu bodaj jest jedna rządowa na całym jej obszarze. Artykuły te użytku najniezbędniejszego są dotąd drogie, bo sprowadzają je prawie wyłącznie z Europy *).

Po miasteczkach parańskich, a nawet po koloniach kwitnie elegancya. Zawsze znajduje się spore grono osób zamożniejszych, łożących na stroje. Gdzieby takich nie było? Zresztą cała Ameryka jest zeuropeizowaną częścią świata i sama cywilizacya europejska wymaga pewnej skali porządku i strojności. Skala wymagań pod tym względem w Paranie nie jest w cale niższą od przeciętnej europejskiej. Ubranie zaś i stroje są bardzo drogie, bo przeważnie sprowadzają się z Europy. Kwiaty sztuczne, zatem modniarstwo i krawiectwo, dawałyby niezły zysk tym, którzyby się wzięli do tego przemysłu z jakąkolwiek znajomością fachową i trafnem obrachowaniem popytu.

Zbyteczne prawie wspomnieć, jak byłby pożądany wyrób lodu sztucznego, dokonywany na wielką skalę w środowisku ludzkiem 30-sto tysięcznem, pod niebem tak gorącem jak greckie, egipskie, sycylijskie lub algierskie. A nie ma dotąd znaczniejszej fabryki lodu w Paranie.

Z średnio-wielkich przedsiębiorstw, wymagających kapitału około 50.000 rubli lub nawet poniżej, przedstawia się parostatkowe na rzekach Rio Negro i Iguasu. Istnieją parostatki niemieckie i brazylijskie; nie ma żadnego polskiego; niemieckie na tej rzece mają z przodu chorągiew niemiecką, z tyłu obowiązkowo brazylijską.

Istniejące środki komunikacyjne na powyższych rzekach, wcale nie czynią zadość rosnącemu ruchowi osobowemu i towarowemu, choć niemal każdy parowczyk wlecze za sobą wielką łódkę

*) Tak było w 1907 r. kiedy te słowa były pisane — od tego czasu powstały w Paranie fabryki zapałek, które eksportują swój produkt do sąsiednich stanów brazylijskich.

zwaną „lansza“, pełną towaru (głównie herbaty Mate). Ceny biletów osobowych nie są wprawdzie wygórowane, lecz parowce nie odznaczają się urządzeniami wygodnemi dla podróżnych, rzadko i nieregularnie kursują tak, że czasem o cały tydzień lub znacznie więcej się spóźniają i trzeba wyczekiwać w porcie cierpliwie ich nadejścia.

Stan parański doszedł do jednego wielkiego przemysłu, wskazanego mu przez przyrodę: do wyrobu herbaty M a t e na wielką skalę. Handel tym towarem zajmuje stanowisko, przodujące w całej południowej Ameryce, a zwłaszcza Uruguayu, Argentynie, Chili, Paraguayu i południowej Brazylii. Znaną ona jest dotąd w świecie zwykle jako herbata paraguayska (ilex paraguayensis, ostrokrzew paraguayski), albowiem prawie tylko rzeczpospolita Paraguay ją wytwarzała i wywoziła do sąsiednich krajów: Argentyny, Brazylii, Boliwii i Uruguayu, gdzie 12 milionów ludzi zapija się nią obficie przez cały dzień niemal bez przerwy.

Wojna długa i zaciekła Paraguayu z Brazylią, Argentyną i Uruguayem, doprowadziła pierwszą rzeczpospolitę w 1865 r. do całkowitego prawie wyludnienia z mężczyzn. Klęska taka musiała sprawić zastój w dostarczaniu tak rozpowszechnionego napoju. Ponieważ drzewko Mate rośnie w ilości nieprzebranej także w argentyńskiem terytoryum Missiones i w całej niemal południowej Brazylii, a zwłaszcza w stanach Matto Grosso i Parana, (sąsiednich Paraguayowi), wzięto się wszędzie tam do jego wyzyskania współzawodniczącego z Paraguayem.

Szczególniej od czasu rozwinięcia się kolonizacyi polskiej, która osiadła w głębi stanu parańskiego tam właśnie, gdzie rośnie Mate, Brazylia teraz wytwarza i wywozi tej herbaty tyle co Paraguay. Herbata brazylijska, przeważnie z Parany pochodząca, opanowała cały rynek w Montewideo (uruguayski) i do połowy Buenosayreński (argentyński). Z każdą nowo założoną kolonią w Paranie, powiększa się wyrób i wywóz Mate; jest ona bowiem prawie wszędzie i jej przyrządzanie daje odrazu zarobek, czasem nie wielki, ale pewny. Wielka ilość robotników żyje z tej pracy w Paranie. Jest to jakby olbrzymia fabryka, zatrudniająca bez ustanku znaczną większość robotników parańskich, zwłaszcza w czasie wolnym od robót w polu. Jak dotąd, stan Parana wywozi już więcej niż 20 milionów kilogramów Maty, za jakie 12 milionów franków [1]).

[1]) 27,489.449 kg. w 1905 r. i 39,197.809 kg. w 1906 r.

Złorzeczą wyrobowi Mate fabrykanci, którzy przez to nie zawsze mają taniego robotnika, oraz ekonomiści, którzy chcą koniecznie, aby kolonista polski był przedewszystkiem rolnikiem. Stanie się on nim niezawodnie, skoro przy lepszych komunikacyach rolnictwo będzie się lepiej opłacało. Ale na razie Mate jest istną matką żywicielką przeważnej części ludności; jedynym przemysłem, dającym zarobek całemu niemal zaludnieniu parańskiemu, a zwłaszcza świeżo przybyłym emigrantom naszym.

Wytwarzanie tej herbaty w niczem nie będze przeszkadzało rolnictwu, skoro ono będzie miało możność wywożenia i dobrego spieniężania swych płodów. W każdym razie śmiesznem jest po moralizatorsku przyganiać naszym osadnikom, że nie opierają się pokusie doraźnego i namacalnego zarobku, który mają z wyrobu Maty. Nakład bowiem pracy w roli obiecuje zysk nie natychmiastowy, lecz dopiero w przyszłości. Zaniedbywane są przeto niestety gospodarstwa rolne, zwłaszcza tam, gdzie płody rolnicze z powodu braku komunikacyi koloniści muszą sprzedawać za bezcen.

Istnieje wszędzie kilka gatunków Maty, lecz ta, którą się używa do wyrobu herbaty, jest prawie jednakową. Na gruntach lepszych, n. p. w Paranie i Missiones argentyńskich wyrasta ona w dość pokaźne drzewo, dochodzące do 6-ciu metrów wysokości, podobne do pomarańczowego; w Paraguayu zaś i w brazylijskim stanie Matto Grosso jest to tylko krzak lub coś pośredniego między krzakiem a drzewkiem. Właściwie są jej tylko dwa gatunki: lakierowany liść jednego jest przy osadzie biało zielony, drugiego cokolwiek czerwonawy: oba gatunki znajdują się wszędzie obok siebie, pierwszy jest podobno lepszy. W lasach dziewiczych niemal zawsze, pośrodku drzew, wyższych od niej, jest jej takie mnóstwo, że dotąd nikomu do głowy nie przychodzi zabawiać się jej sadzeniem. Tylko nasi koloniści życzyliby sobie posiadać ją w swych ogródkach, aby uniknąć konieczności oddalania się z domu po nią.

Prof. dr. Caminhoa z Akademii medycznej w Rio de Janeiro wyciąga wnioski następujące z analiz herwy Mate:

1. Mate zawiera mniej olejków lotnych niż herbata i kawa, przeto na nerwy działa nie tak silnie, jak one:

2. ma w sobie więcej części smolistych niż herbata i kawa, przeto silniej działa diuretycznie i podniecająco, niż herbata zielona.

Wnioski powyższe potwierdzili uczeni: dr. Lancaster, dyrektor Muzeum brytyjskiego, dr. Schnapp, inspektor wód mineralnych w Bonn, dr. Cuothy we Francyi i wielu innych.

Skutki używania Maty są tak hygieniczne, że dziwić się należy, iż tylko w południowej Ameryce powszechnie ją piją. Właściwości jej zdrowotne dla organizmu ludzkiego, są wyższe od słusznie zachwalanych przymiotów kawy, herbaty, koli, koki; te działają raczej pobudzająco, ona zaś nie tylko pobudza, lecz trwale wzmacnia siły i wytrzymałość nerwów i mózgu, nie zostawiając po sobie reakcyi znużenia, jak powyżej wymienione narkotyki. W jednym kilogramie Maty znajduje się według najnowszych prób 8.75 gr. alkaloidu, zwanego kofeiną. Kofeina z Maty jakby miała układ wewnętrzny, różny od kofein kawy i herbaty chińskiej. Inaczej bowiem niż one, działa na organizm zwierzęcy, a między innemi nie przyspiesza bicia serca. Jest to ostatecznie albo inny alkaloid albo ten sam, tylko inaczej działający w związkach herbacianych.

Mate zawiera też gumy i żywice, oraz ciała białkowate, które organizm ludzki z łatwością sobie przyswaja. Zaspakaja ona przeto pozornie głód, oszukuje żołądek, a pozwala n. p. wojsku dokonywać bardzo forsownych marszów. Równocześnie jednak nie przeszkadza trawieniu i przeciwnie pobudza bardzo apetyt; przy jej spożywaniu można znacznie więcej spożyć darów Bożych, szczególnie tłustych mięsiw bezkarnie. Zwalnia ona, lecz zupełnie nieszkodliwie, wymianę materyi w organizmie. Działając w sposób dobroczynny na żołądek, wpływa dodatnio na mózg, który, jak wiadomo, jest w ciągłem porozumieniu telefonicznem z żołądkiem; usuwa zmęczenie fizyczne ludzi czuwających w nocy i choć odświeża ich umysł i pobudza do pracy, nie powoduje bezsenności; po jej użyciu można zasnąć snem pokrzepiającym; obniża temperaturę ciała i gasi pragnienie tak, jak zdaje się nic na świecie. Dwie szklanki Maty, jak zapewniał mnie jeden inżynier budowniczy, wystarczają aby ugasić pragnienie przy pracy fizycznej od 6-tej rano do 12-tej w południe, w słońcu tropikalnem Brazylii. W podróżach moich, dokonywanych w skwarze słonecznym, przekonałem się, że lepsze w tym względzie wyświadcza usługi, niż lekkie i kwaskowate wino czerwone lub pomarańcze.

Koloniści nasi, zwłaszcza muzykanci na weselach, zapewniali mnie o innym jeszcze jej przymiocie, a z własnego doświadczenia wykrytym: mocna Mate orzeźwia pijanych w jednej chwili i leczy skutecznie alkoholików.

„Wpływ, jaki wywiera Mate na organizm, pisze Montegazza, jest specyalny i trudny do określenia. Po użyciu jej następuje w bardzo krótkim czasie silna pobudka do wykonania pracy i uczucie, że się pozbywa zmęczenia“.

Dr. Doublet zauważył przy jej używaniu powiększenie apetytu, błogi spokój moralny, poczucie siły fizycznej i potrzebę ruchu. „Dla mnie, pisze dr. Doublet, najważniejszym skutkiem działania Maty jest właściwość podwajania wszelkich czynności życiowych tak umysłu jak ruchu fizycznego. Wszystko to przejawia się w łatwości pracowania umysłowo, elastyczności i giętkości fizycznej ciała, w poczuciu siły i dobrym wyglądzie, którymi to przymiotami odznaczają się organizmy silne i dobrze funkcyonujące. Nadmiar życia, oto jest formuła, która wyraża działanie fizyologiczne Maty bez sprawiania w następstwie uczuć zmęczenia i przygnębienia“.

Indyanie pierwsi odkryli niezrównane jej zalety i z początku żuli tylko jej liście. „Mate“ i „Caaguasu“ są wyrazami języka indyjskiego Guarani, oznaczającymi tę roślinę. Dostawszy się pod opiekę OO. Jezuitów, Indyanie wyjawili zalety tej rośliny. OO. Jezuici ich nauczyli liście suszyć i pić z nich napar. Odtąd rozpowszechniło się zapijanie jej za pomocą rurek zwanych „bombilias“; te zakończone są kulką siatkowatą, chroniącą od połknięcia pyłku. Koniec z kulką zanurza się do tykwy, gdzie znajduje się Mate rozproszkowana i zaparzona wodą gorącą. Tak podana herbata nazywa się w Brazylii „Chimaraô“ (wym. szymarą).

OO. Jezuici prowadzili pierwsi wielki handel tą herbatą. Zużytkowali ten miejscowy produkt i miejscowe siły robocze indyjskie do wzbogacenia zakonu swego.

Mimo upływu dwu stuleci od tego czasu, sposób suszenia i przyrządzania Maty jest dotąd nad wyraz pierwotny. Co 4 lata obcina się liście i małe gałązki drzewa matowego. Jeden z wyższych urzędników parańskich przedstawił mi nawet, jako rzecz zwykłą i praktyczną, zbieranie liści i małych gałązek herbaty Mate przez proste ścinanie drzewa; albowiem „puszcza ona z korzenia“; nie wstydził się zalecać tego sposobu, jak istny dzikus typowy, podany jako przykład w tym względzie przez autora Esprit des lois, Monteskiusza.

Obcięte liście z gałązkami oparza się w ogniu (w którym trzeszczą jak wilgotne drzewo), aby zwiędły; przez to niszczy się wszelkie robactwo. Następnie wtedy kilka dni można czekać, zanim nadejdzie czas i sposobność dokładnego jej wysuszenia, po-

czem liście wciąż zachowują barwę zieloną. Wreszcie wznosi się altanę (ramada) kwadratową, z trzciny, na którą kładzie się oparzoną Mate: pod nią zapala się ogień. Gorąco i dym podnoszą się ku Macie, suszą ją i wędzą. Ususzoną w ten sposób t. j. prawie przypieczoną kruszy się za pomocą toporka.

Pakuje się Mate do tak zwanych suraos (wym. surońs) t. j. mokrych skór, zeszytych w kwadratowe worki i zawierających mniej więcej 60 kilogramów. Wysuszone na słońcu skóry zbiegają się i ściskają silnie zawartość swoją tak, że worki pełne Maty twardnieją istnie na kamień. W takim stanie przedsiębiorca przewozi Mate do młynów, gdzie ją mielą na proszek (dla Argentyny), albo na grubą kaszę (dla Chile), lub na kwadraciki. Proszkować pono zaczęli OO. Jezuici w tym celu, aby kupujący nie domyślali się z jakiej rośliny te ziółka dobroczynne pochodzą, przez co zachowywali dla siebie monopol jej dostarczania. Z drobno pokruszonego liścia, który jest twardy i niezbyt cienki, lepiej się też wyciąga treść przez wygotowanie lub zaparzanie gorącą wodą, niż z grubo pokawałkowanego.

Za przyrządzenie 15 kilo (arroby) Maty robotnik (bardzo często nasz kolonista) otrzymuje 1—2 milrejsów i jest wstanie przy pewnej wprawie przygotować jej dziennie do 120 kilo, czyli do 8 arrób, t. j. może zarobić do 16 milrejsów (franków). Zarobek to niezgorszy.

Zmielenie na młynie kosztuje przedsiębiorcę około 2 milrejsów od arroby (15 kilo).

Przesyłka do Europy kosztowałaby:

lądem z głębi Parany do portu morskiego Paranaguy lub Antoniny około $1^1/_2$ milrejsa od 15 kilo:

morzem z Paranaguy lub Antoniny do Hamburga lub Gdańska nie więcej, jak 50 milrejsów od tonny, czyli tysiąca kilo, t. j $^1/_2$ franka (50 centymów) od 10 kilo, czyli 75 cent. od 15 kilo;

lądem z portu niemieckiego do Galicyi lub Warszawy $1^1/_2$ franka.

Rachunek wypadłby:

przyrządzenie 15 kilogr. Maty	2·—	frank.
zmielenie	2.—	„
przewóz	3·75	„
razem .	7·75	frank.

Przeto dostarczenie 1 kilogramu Maty do krajów polskich kosztowałoby 52 centymy (½ franka), czyli około 25 centów austryackich (20 kopiejek). Dołączając ewentualne koszta przeładowań, przepakowań i pośrednictw kupieckich, 1 kilo (2 funty) Maty nie powinienby kosztować więcej niż 40 centów. Tak tanią nigdy nie będzie herbata chińska, której sam wyrób, wedle obliczeń Stan. Szczepanowskiego, kosztuje 75 centów.

Od używania Maty odstręcza w pierwszej chwili smak i zapach spalenizny, pochodzące nie od rośliny samej, lecz od niedbałego jej suszenia. Powszechnie w Paranie ją przydymiają z wyjątkiem, jak widzieliśmy, w suszarni Passo de Meio (pp. Marquez i Mazgałło) pod Rio Claro. Lepiej jeszcze ją suszą w Paranaguayu, gdyż zupełnie bez dymu; ale właściwie jestto dotąd zagadką przyszłości, jak ją przyrządzać w sposób podatny dla użytku europejskiego. Nie byłoby to małą zasługą wynaleźć go czy to za pomocą przegrzanej pary, czy przez wędzenie drzewem pachnącem „sasafras", jak to gdzieniegdzie jest w użyciu, czy przez domieszkę innej rośliny rosnącej obok Maty, czy przez oddzielanie gałązek od liści, albo właściwe skombinowanie liści z gałązkami. Ale już nie czekając takiego wynalazku, bezdymną Matę możnaby sprowadzać z niezawodnym skutkiem do naszych szpitali i do herbaciarni ludowych.

Dotychczasowe usiłowania zaaklimatyzowania Maty w polskich krajach wydały wyniki bardzo połowiczne. Około 1890 r. była ona dość używaną w Warszawie, dzięki przesyłkom i propagandzie p. Edmunda Zaporskiego, następnie rozpowszechniało ją w Warszawie i w Galicyi towarzystwo handlowo-geograficzne. Niestety wysokie cła rossyjskie i austryackie stoją na przeszkodzie jej taniości, a przez to rozpowszechnieniu. Może z czasem, z racyi jej zalet hygienicznych dałoby się ją dostawać z ominięciem ceł pod postacią wygotowanej silnej esencyi, do czego się nadaje przez to, że nie zawiera, jak herbata chińska, garbników.

Akcya rozpowszechnienia Maty przez wynalezienie odpowiedniego sposobu suszenia jej, przewiezienia i rozreklamowania mogłaby być podjęta na wielką i na małą skalę i podniosłaby cały brazylijski stan Parana więcej, niż odkrycie złota; dostarczyłaby bowiem naszym krajom taniego i bardzo hygienicznego napoju, a kolonistom naszym w Paranie większego niż dotąd zarobku.

Przemysł sporządzania herbaty Maty wywołał wyrób beczek na większą skalę. W beczułkach bowiem rozmaitej wielkości pakuje się Maty na wywóz. Obfitość materyału surowego jest nie-

mała: lasy araukaryi znajdują się wszędzie. Lecz już jest ich brak w pobliżu bezpośredniem Kurytyby i stacyi kolei żelaznych podkurytybskich. Sprowadza się drogą żelazną drzewa tego najwięcej ze stacyi Campo de Tenente, znajdującej się o 6 godzin koleją od Kurytyby między Lapą a Rio Negro. Przemysł ten bednarski rozwija się w miarę rozwoju wywozu herbaty Maty i zależy zupełnie od niego.

Roślina Maty oprócz powyższych zalet jako zioła (herbaty) do picia, ma jeszcze przymiot ten, że jest pierwszorzędnym barwnikiem zielonym. Różne gatunki drzew jej pokrewnych odznaczają się mniej lub więcej tą zaletą. W fabrykach sukna brazylijskich używają jej jako silnego i niespożytego takiego barwnika roślinnego i w tym celu też wywożoną jest do Anglii. Z Maty niezawodnie możnaby dobywać barw od bronzowej aż do jasno-zielonej w przeróżnych cieniowaniach iście nie zniszczalnych, przynajmniej na bawełnie, wełnie i płótnie.

Dowóz Maty i w tym ostatnim celu do fabryk naszych możeby się opłacił.

R o l n i c t w o w Paranie pod niebem tak różnem od naszego nie powinnoby przedstawiać najmniejszego podobieństwa do stosunków rolnych północno-europejskich. Jest z góry prawdopodobne, że korzystniej jest tam uprawiać mnóstwo roślin sfer gorących niż europejskie. Lecz przyzwyczajenie jest drugą naturą i kolonista nasz nie odrazu przyucza się do roślin, których nie znał w kraju ojczystym; uprawia zatem z początku zboża mu swojskie.

Przytem najzyskowniejsze rośliny stref gorących, jak kawa, bawełna. kakao, wanilia i t. p. możnaby z powodzeniem pewnem sadzić tylko w niżej położonych i cieplejszych częściach stanu parańskiego; górne i chłodniejsze okolice n. p. Kurytyba lub nad rzeką Iguasu, gdzie najwięcej jest osadników naszych. nie nadają się do tych kultur.

Lecz zato niby najmniej żyzne i najchłodniejsze ziemie parańskie bardzo odpowiednie są do uprawy wszelkiego rodzaju z i e m n i a k ó w p o ł u d n i o w o - a m e r y k a ń s k i c h, jak: kartofle, bataty (słodkie kartofle) i różne mandjoki. Kartofle nie potrzebują nawet trzech miesięcy. aby się rozrodzić wspaniale; można je więc uprawiać kilka razy do roku.

B a t a t y muszą rosnąć pół roku, m a n d j o k nawet do dwu lat, lecz wszystkie one rozrastają się w korzenie wielkich rozmiarów; plon ich jest znaczny i niechybny. Dogodną jest ich uprawa:

sadzi się w ziemię głęboko na pół stopy ich choćby pomięte i pokaleczone łodygi i bez potrzeby pielęgnowania ich troskliwie potem: same bowiem zagłuszają wszelkie chwasty silnym pędem rozrostu swego.

Mandjoka biała „mansa“ (łagodna) ma korzenie w postaci świec prostych, długich i grubych; nawet w środku samym korzeni są włókna jakby nici, które jeszcze więcej czynią je podobnemi do świec. Jest mączysta, biała i w smaku podobna do kartofli, tylko delikatniejsza. Łodygę ma wysoką z początku jak proso, później jak młoda leszczyna, liście jasno-zielone.

Mandjoka ciemna „brava“ (dzika) rozrasta się w korzenie wielkie, jak noga ludzka, rośnie równie wysoko, jak mandjoka biała, liście ma ciemno-zielone. Korzenie jej gniecie się na mąkę, od której wszakże trzeba odprowadzić sok trujący. Z niej to się wyrabia tapioka, rodzaj przeźroczystego makaronu, znanego na zachodzie Europy.

Zwyczajny nasz kartofel (zwany batata inglez — ziemniak angielski) znajduje się dziko w całej Ameryce południowej, która jest jego właściwą ojczyzną. Mimoto mało go uprawiają w Brazylii i jest on tam do tego stopnia drogi, że się opłaca przywozić go z Portugalii i Francyi. Dlaczego nasi koloniści nie sadzą kartofli w większej ilości, jest dla mnie zagadką, którą sobie mogę wytłumaczyć jedynie albo nieświadomością z ich strony, że można je sprzedać bardzo drogo, lub też brakiem komunikacyj dogodnych, umożliwiających dowóz ich do miejsc dobrego zbytu.

Te same przyczyny sprawiają, że i pszenicy nie sieją nigdzie na większą skalę, choć wszędzie udałaby się doskonale. Koloniści twierdzą, że ptactwo jakieś nieznane wywiaduje się o niej w chwili dojrzewania ziarna i zlatuje się gromadnie, aby ją zjeść doszczętnie na pniu. Czcza to wymówka! Ludzie nasi nałogowo przyzwyczajeni są do uprawy żyta i zaniedbują pszenicę. Trzeba im zato przyznać, że dobrze chodzą około niego. Udaje im się ono szczególnie na nowinach, a potem na gruncie bardzo lekko unierzwionym: wiedzą już z praktyki, że mocno nawieziona rola nic nie wyda, słońce tamtejsze bowiem wtedy spali wszelkie zboże. Urodzaje żyta nasi koloniści miewają wprost bajeczne. Ale poco je uprawiać z trudem, kiedy mało dochodu przynosi i lepiej od naszych zbóż opłaca się uprawa kukurydzy i fasoli czarnej?

Pierwsza wyrasta na wysokość końskiego zęba i bodaj jest nim samym lub gatunkiem bardzo mu pokrewnym. Ziarno kukurydzy wydaje jedną roślinę o prostej i wysokiej łodydze, na któ-

rej tworzą się jedna, a czasem dwie baśki, zawierające każda około 400 ziarn wielkości nasienia końskiego zęba. Pokarm to dla zwierząt (koni, mułów, krów, kur) i dla ludzi, którzy go spożywają albo w postaci mąki, albo tylko wprost gotowany w wodzie, lub wreszcie pod sztucznemi postaciami (mamałyga rusińska, pollenta włoska i t. p.).

Urodzaj kukurydzy nie zależy od wielkiej ilości ziarn, lecz od ich wielkości. Mała niewyrosła baśka ma ziarnka małe, niepożywne i niesmaczne. Ludzie nasi przynoszą ze sobą nałóg jak największego wyzyskania ziemi na najmniejszym jej kawałku. Sieją przeto z początku przez nieświadomość kukurydzę gęsto: ta wyrasta wtedy, jak mur i paszy dostarcza, jak koński ząb, lecz owoc jej jest wtedy marny, baśki i ziarna są lilipucie, nic nie warte. Dopiero po niejakim czasie dochodzą do tego, że nie trzeba żałować ziemi w Brazylii, bo tania i sadzić kukurydzę szeroko o cały metr ziarnko od ziarnka. Wtedy urodzaj mają prawdziwy i pewny.

Największymi szkodnikami kukurydzy są małpy i papugi. Pierwsze umieją w krótkim czasie nabrać mnóstwo basiek na ramię i rękę, jakby drzewa na opał i umknąć. Papugi siadają sobie wygodnie na samej baśce i sumiennie dziobem wydłubują z niej wszystkie ziarna. Dla tego też, skoro tylko kukurydza zaczyna dojrzewać, należy ją nakłaniać tak, aby baśka zwisła. Nie przeszkadza to dojrzewaniu, a papuga nie może na niej usiąść i odlatuje.

Pożywieniem ludzkiem, najbardziej rozpowszechnionem w Brazylii, jest f a s o l a c z a r n a. Dlatego też o przymiotach tej rośliny, jak też o jej uprawie, wypada mi w tem miejscu krótko wspomnieć.

Na stole cesarskim Don Pedra, ostatniego monarchy amerykańskiego, nie brakowało jej nigdy, jako potrawy narodowej brazylijskiej, tak przy najświetniejszych ucztach, jak też i w każdy dzień powszedni. I dotąd dwa razy dziennie, na drugie śniadanie i obiad, jest ona wszędzie w Brazylii podstawowem pożywieniem, pièce de resistance w najzamożniejszych i w najbiedniejszych rodzinach, w wielu miejscach nawet pokarmem wyłącznym, podczas gdy chleb często równocześnie prawdziwą rzadkością lub kołaczem prawie nieznanym. Gdyby tam była powstała modlitwa Pańska „Ojcze nasz“, najniezawodniej inaczej brzmiałby jej ustęp środkowy.

Przyczyną powszechnego używania w Brazylii fasoli czarnej jest jej smak wyborny, plenność i niezrównany przymiot, że przy zajadaniu się nią codziennem wcale się nie przykrzy, lecz prze-

ciwnie, smakuje coraz lepiej. Ta ostatnia szczególna jej właściwość pochodzi ztąd, że prawdopodobnie nie zawiera kwasu pruskiego i jemu podobnych. Uczony angielski Pensold znalazł go podobno w bardzo małej ilości we wszystkich grochach i fasolach, a nie dopatrzył się go w czarnej fasoli brazylijskiej. Łatwo sprawdzić wyniki badań uczonego syna Albionu t. j. rozebrać potrawy te chemicznie. Zwykle grochy i fasole po kilku dniach używania tak się znudzą, że się w końcu dostaje jakby spazmatycznego ściskania gardła. Sama natura odpycha pożywienie, które zaczyna być szkodliwe dla organizmu ludzkiego, kwasy szkodliwe zaczynają działać jako trucizna. Właśnie brak kwasu pruskiego czy innego jemu pokrewnego sprawia, że fasolę tę można spożywać bezkarnie w wielkiej ilości, bo nie brzydnie i nie odyma; wyjątkowo tylko niektóre organizmy jej podobno nie znoszą.

Doświadczałem sam na sobie dobroczynnego skutku tego pożywienia i uważam sobie za powinność podać do publicznej wiadomości polskiej swe spostrzeżenia i swój niezachwiany wniosek rozpowszechniania fasoli czarnej brazylijskiej u nas w Europie, obok lub raczej w miejsce ziemniaków — kartofli.

Dostarczenie milionom naszym taniego a lepszego pożywienia, niż ziemniaki, w postaci czarnej fasoli brazylijskiej, równałoby się zaopatrzeniu ich w pożywienie mięsne i przyprawieniu o energię życiową podobną do tej, jaką posiadają ludzie, najadający się do syta mięsem. Jarosze (wegetaryanie) święciliby u nas zupełne zwycięstwo swej idei.

Otóż, zajadając ją wciąż dwa razy dziennie przez trzy miesiące od października do stycznia, ani razu nie uczułem obrzydzenia lub nawet przesytu do niej, choć raz nawet przez parę tygodni nic innego nie miałem w ustach. Spożywając ją przy większych utrudzeniach podróży, czułem, jakby zdrowie i siły wstępowały we mnie.

Widziałem też skutki tego pożywienia u naszych włościan, osiadłych w Brazylii. Najniezawodniej żołądki ich mało różnią się od chłopskich w Polsce; trudno bowiem przypuścić, żeby przez przystosowywanie się do klimatu tamtejszego w ciągu kilku lat już były tak bardzo odmienne jedne od drugich. Wszędzie, nawet u nowo przybyłych, spotykałem się z pochwałami o „fiżonie“ (czarnej fasoli) i zdaniami takiemi, że gdyby nie „fiżon“, nigdyby nie mieli dosyć sił, aby tu tyle ściąć „piniorów“ (sosien), tam takich robót kolejowych dokonać i t. p. Zwykle przy robotach tych żywią się tą fasolą i czują się dobrze, a gdy do domu po-

wracają na żury i barszcze swych bab (które zawsze są żywiołem zachowawczym), wtedy dopiero zapadają na zaburzenia żołądkowe.

Wymienić też mogę kilka wypadków wyleczenia się z kataru żołądka za pomocą fasoli u świeżo przybyłych szlachciców z Królestwa Polskiego.

Cena fasoli czarnej na targu Kurytyby jest bardzo rozmaita. Zaraz po zbiorze tj. z końcem stycznia lub z końcem września jeden jej alkier czyli 40 kilo. t. j. blisko $2^1/_2$ puda (100 funtów), kosztuje 6 milrejsów (franków) czyli dwa ruble. Tuż przed zbiorem tj. z początkiem stycznia lub września podskakuje ona w cenie do 24-ech (6 rb.) a nawet 30 milrejsów; przeciętnie zaś t. j. w czasie między datami dwu zbiorów płaci się za 10 funtów ros. czyli $2^1/_2$ puda około 12-tu milrejsów (4 ruble).

Dowodzi to nieuregulowania handlu tym produktem i nieporządku produkcyi. Dziwne jest bardzo, że nasi koloniści mało dotąd uprawiają tej rośliny, tak poszukiwanej i pożytecznej, a zatem tak pewnej dobrego spieniężenia.

Trud sadzenia fasoli czarnej jest taki sam, jak kukurydzy: ostrym kijem na jeden metr długim robi się w ziemi dziury, odległe o długość kija jedne od drugich, w każdą wsypuje się jedno, dwa lub trzy ziarnka fasoli, zależnie od urodzajności gruntu i zadeptuje się je nogą. Fasola po $3^1/_2$ miesiącach dostaje wielką ilość strączków i wkrótce część gotowa jest do zbioru, podczas gdy połowa zakwita i szykuje się do drugiego zbioru.

Przymrozek jej nie szkodzi. Jest bardzo plenna. Przeciętnie wydaje z jednego ziarnka 250, przy najlepszych warunkach zaś nie więcej niż 600, lecz często 500.

Gdy jej dać tyczki, pnie się po nich; nie ma wąsów, co dowodzi, że z natury swej jest „piechotą“ i pokrywa ziemię swym bujnym liściem, dusząc wszelkie chwasty.

Skoro Brazylianowi ziarno fasoli da tylko 100 ziarn, wtedy narzeka na nieurodzaj i dowodzi, że ona „naô presta“ t. j. nie opłaciła mu się w tem półroczu.

Sadzi się ją zwykle dwa razy rocznie na wiosnę w listopadzie, ze zbiorem w styczniu i zimą w lipcu, ze zbiorem we wrześniu.

Uprawa kukurydzy i fasoli czarnej nadaje się w samych początkach osiedlenia. Kolonista wtedy obejmuje w posiadanie zwykle pewien obszar (dwu włókowy, 25 hektarów) lasu dziewiczego i pierwszem jego staraniem jest las ten ściąć i spalić: w porze

roku suchej to zniszczenie drzewa dokonywa się mniej lub więcej doszczętnie, lecz tak nie jest, gdy spadną deszcze.

Niedopalone kłody grubych drzew wówczas leżą sobie w miłym nieporządku, ale to nieprzeszkadza uprawie. W najlepsze wtedy osadnik obchodzi swój kawałek ziemi z kijem jednometrowym ostro zatemperowanym i sadzi kukurydzę i fasolę w sposób powyżej wspomniany. Po zbiorze, gdy nadejdzie szereg dni pogodnych, usiłuje dopalić resztki zwalonego boru, aby mieć wolną od drzewa rolę.

Rolnictwo i hodowla cokolwiek postępowa dałyby przezornemu przedsiębiorcy, któryby nie wymagał natychmiastowego wielkiego zysku, wielkie rezultaty w pobliżu miast, szczególnie chów racyonalny bydła, nierogacizny, koni i owiec.

Bydło używa w Brazylii wolności nieznanych w Europie. Brazylianie nie więżą go w oborach, chodzi ono po polach i lasach swobodnie: gdy zaś nastają słoty, chroni się do lasów a do zabudowań gospodarza zjawia się, kiedy mu się podoba. Raczy zaś przybywać, gdy tenże głośno potrząsa kukurydzą w koszykach krzycząc: tom, tom, tom.

Brazylianie wprost wyśmiewają się z używania nawozu, a bydło uważają, jako źródło dostarczania mięsa. O innych produktach zwierzęcych n. p. o maśle wiedzieli tylko tyle, o ile sprowadzali je z Francyi w puszkach blaszanych; masło takie pod względem smaku nie wiele się różni od smarowidła do wozów; jest ohydne. Obecnie lepsze masło mają od polskich kolonistów podkurytybskich oraz sprowadzają je też z Argentyny i z Blumenau (kolonii niemieckiej w stanie Santa Catharina).

Zauważyłem zwyrodniały gust wielu Brazylian i Brazylianek: im więcej zachwalają, że jest ono „muito bom“ (bardzo dobre), tem więcej trzeba się strzedz jego skosztowania, bo często już kwaśny zapach starej skóry garbarskiej uderza wtedy twe powonienie i zwiastuje smak gorzki i jełki. Do kawy zrana podają zawsze masło wszędzie w Brazylii: lecz rzadko kiedy mogłem je używać do jedzenia.

Krowy w Brazylii raczą dawać mleko tylko wtedy, kiedy widzą swe cielę. Urządza się tedy przy dojeniu następująca komedya: cielę tak się przywiązuje, żeby matka widziała co najmniej jego tył lub ogon i była w mniemaniu, że ono ją ssie podczas doju, skoro zaś tylko spostrzega, że ręka ludzka a nie rodzimy pyszczek dotyka się jej wymion, wtedy zabieraj się gospodarzu z kobiałką do domu, mleka więcej już nie dostaniesz! Krówka

umie całkiem powstrzymać swój pokarm dla rabusia człowieka. O oddzieleniu cielęcia od krowy mowy jeszcze nie ma w Brazylii: cielątko dwuletnie wciąż ssie mamę i niekiedy rogami dziurami jej brzuch przy natarczywem skradaniu się do mleka.

Jedynie koloniści polscy, niemieccy i włoscy posiadają sztukę dojenia mleka i wyrobu masła. W okolicach Kurytyby mają nawet obory i zbierają mierzwę, którą używają nie do palenia, lecz do uprawy roli. Nabiał w Kurytybie jest drogi, kilo masła kolonista nie sprzeda taniej jak za 5 milrejsów czyli niemal dwa ruble. Trzymając kilkadziesiąt krów na oborze pod miastem w szałasach drewnianych i trzcinowych, bardzo tanich do wzniesienia, i żywiąc je lucerną (alfafą), która się tam wszędzie prześwietnie udaje, możnaby zalać mlekiem Kurytybę, a każdą rodzinę, choćby najbiedniejszą, omaścić suto masłem.

Kwaśne mleko jest tam zupełnie nieznane, jako pokarm dla ludzi... uchodzi za coś zepsutego i niejadalnego. Zaprowadzenie mleczarni z siadłem mlekiem w klimacie goretszym od polskiego miałoby prawdopodobnie niezłe powodzenie.

Paszy i ziemi jest wielka obfitość. Nierogacizna znajduje po lasach jakieś grzyby i korzenie, na których świetnie się tuczy, szczególnie dobrze się hodują pewne małe świnki chińskie.

Uderzającym faktem jest brak owiec. A przecież rozległe stepy aż proszą się o nie. Nawet w Australii chyba nie ma warunków więcej sprzyjających hodowli owiec, jak w niektórych częściach stanu parańskiego: możeby tylko brak zupełny soli na owych stepach stawał jej na przeszkodzie, co nie jest wcale prawdopodobnem.

Przed 20 laty próbowano zaprowadzić tę hodowlę. Zajął się tem bogaty Brazylianin, który sprowadził barany z Anglii; ale nieszczęsna przytrafiła się okoliczność ta, że zjedzono jednego tłustego barana dla dokumentnego przekonania się, czy warto rozpocząć wypas owiec. Próba udała się aż nadto dobrze. Nie utrzymano miary w łakomstwie i gościnności... zjadano co parę tygodni jedną sztukę aż zostało ich tak mało, że nie opłaciłaby się hodowla i spożyto resztę co do jednego.

Bezmierne stepy na płaszczyźnie kurytybskiej pod pasmem gór Serrinia i niemniej na dalszej między pasmem Serrinia a górami Nadziei (Serra de Esperança) bardzo patrzą na dawne łożyska morza: były one niem niewątpliwie. Przeto i pastwiska muszą tam być słone i dobre dla owiec. A zresztą możnaby sól sprowadzać, aby one ją sobie lizały, jak to się dzieje w tylu gospo-

darstwach europejskich i jak to już i w Paranie się praktykuje dla mułów.

Co się tyczy bogactw mineralnych Parany, to natura kraj ten bardzo szczodrze wyposażyła i trzeba tylko umieć po te skarby sięgnąć. Wielkie słowo „sięgnąć“ znaczy, że aby do nich się dobrać, trzeba wciąż, jak we wszystkich wielkich przedsiębiorstwach ekonomicznych, rozporządzać dwiema rzeczami, t. j. fachowym rozumem i wielkim kapitałem. Bez tego czekają śmiałka zawody i rozczarowania. Wypadkiem tylko udaje się małemu kapitaliście urzeczywistnić marzenia o milionach i dopłynąć do brzegu obiecanego. Zato wielki kapitał przepływa rzekę trudów i kosztów z małym wysiłkiem i spokojnie.

Podając wiadomości o bogactwach mineralnych stanu Parana, byłoby zupełnie niewłaściwem zachęcać małych kapitalistów naszych do dobywania ich własnemi odosobnionemi siłami. Wielcy zato niechby spróbowali szczęścia. Kraj parański nie byłby im więcej obcy niż wiele innych, gdzie się mieszczą miliony naszych bogaczy, jak: banki londyńskie, przedsiębiorstwa południowo-afrykańskie lub kaukazkie; skupiliby w silną falangę robotników słowiańskich i praca, którąby poruszyli i podtrzymywali, byłaby równie swojską, jak w kraju rodzinnym.

Bogactwa mineralne w Paranie przeważnie drzemią nie wykryte, kraj objeżdżają wysłannicy angielscy firm zawsze bardzo ruchliwych; zwykle syn Albionu przybywa do jakiej okolicy nieludnej i siedzi tam tygodniami i miesiącami, próżnując pozornie; robi tylko wciąż nudne wycieczki z kijaszkiem, toporkiem lub szpadlem, a wszyscy w głowę zachodzą, co on takiego wysiaduje.

Góry nadmorskie zawierają wielkie skarby. Jest to więcej, niż prawdopodobne, lecz nie zupełnie pewne; bo nie przeprowadzono w nich nawet najpowierzchowniejszych badań. Wiadomo tylko, że pod Antoniną, Paranagua i Morretes znajdują się kopalnie złota, zarzucone przez Portugalczyków, którzy w wieku zaprzeszłym żółty kruszec dobywali nad morzem za pomocą płuczek a eksploatacyi tej stanął na przeszkodzie brak dostatecznego kapitału. Złoto znajduje się też pod Kurytybą, Campo Largo, S. Jose dos Pinhaes, nad rzekami Rio Negro i Iguasu, oraz w głębi kraju nad rzeką Tibagy. Że tak jest, świadczy uderzający fakt, że tam wszędzie w aptekach zakupują rtęć w zdumiewająco wielkich ilościach. Żywe srebro służy do odczyniania złota. Robi się to potajemnie, albowiem jest nałożony wielki podatek na pozwolenie (koncesyę) dobywania kruszczów. Wielu, zwłaszcza Niem-

ców. omija w ten samowolny sposób podatek ów kopalniany, istotnie zbyt wygórowany.

Miedzi świetne okazy znajdują się w „Górach Nadziei" (Serra da Esperança) blisko rzeki Ivahy, a niemniej na północy nad Paranapanamą i rzeką Tibagy, oraz pod miasteczkiem Guarapuawą w samym środku geograficznym stanu.

Żyły srebra odkryto przypadkiem w górach zwanych od tego kruszcu srebrnemi Serra da Prata nad morzem między Paranaguą a Guaratubą.

Rudy żelazne wielkiej ilości i znakomitej jakości w obwodach: Antonina, Morretes, Kurytyba i Tibagy. Dr. Capanema analizował je pod Antoniną i Morretes i znalazł, że mają 40 do 60% żelaza. Posiada on przywilej eksploatacyi tych pokładów od czasów cesarstwa i radby go sprzedać (traktował w tej mierze z firmą Borsig i Com. z Berlina). W Antoninie pokłady leżą w pobliżu rzeki Cachoeira, spławnej na 6 kilometrów ku północy. Rudy żelazne w obwodzie Morretes nad rzeką Maromby 20 metrów szeroką i bystro płynącą ku południowemu zachodowi. Maromby ma wiele wodospadów, które można zużytkować. Podobne pokłady w obwodzie Tibagy są bogatsze od nadmorskich i w ich pobliżu jest wiele siły wodnej i drzewa. Jeden z inżynierów Polaków w liście do przyjaciela w Galicyi ubolewa, że nad rzeką Antas, dopływem rzeki Tibagy, „bogate syderyty walają się bezużytecznie po ziemi; szpaty żelaziste zupełnie zoksydowane widziałem na jej brzegach". Ale niestety nie ma tam komunikacyi i Tibagy jest bardzo oddalona od głównych targów Parany.

W obwodzie miasta Tibagy i pod Ponta Grossa są węgle kamienne. „Leżą zewnętrznie wychodzące fletry najpyszniejszego węgla kamiennego", jak nas zapewnia p. inżynier Radziszewski. Podobno jakieś towarzystwo angielskie zamierza kopalnie te eksploatować wobec kolei, mających się budować na różne strony od Ponty Grossy i już wybudowanej do Kurytyby. Węgiel kamienny znajduje się też i w górach nadmorskich.

W Mateuszu, kolonii przeważnie polskiej, są łupki przeróżnej barwy, a na wodzie pojawiają się tłuste plamy wonne. Zjawiska te dowodzą sąsiedztwa nafty — prawdopodobnie znajduje się ona tam w większej ilości. Nad morzem pod Antoniną spotyka się w skałach wosk białawy, woniejący naftą; pali się on białym i długim płomieniem; jest to rodzaj wosku ziemnego.

Od Kurytyby na północ 6 kilometrów pod osadami polskiemi Lamenha, Gabriela i Batiatuva, rozpoczynają się olbrzymie po-

kłady wapienne (bryły 5—20 metrów kubicznych i całe pagórki wapienne ciągną się w kierunkach północno-wschodnim i zachodnim ku jeziorom Serrinhas i Serraô Geraes pomiędzy rzekami Capivari, Rio pardo i Assunguy-Riberaô. Wapno wyrabiane jest hydraulicznie. Są tam też pyszne pokłady marmurowe i cokolwiek rudy żelaznej.

Znajduje się też w Paranie kaolin i glinka ogniotrwała. Nim jednak z nich skorzystają, p. Bendaszewski pod firmą Antonio Eugenio sprowadza kaolin ze Stassfurthu z (Niemiec) i sprzedaje go naszym chłopom. Nawóz ten sztuczny niszczy mrówki. które są wielką plagą wszelkiego rolnictwa i ogrodnictwa w Brazylii

Nad rzeką Tibagy odkryto około 1869 r. dyamenty i szmaragdy; znajdują się one w jej łożysku. obfitość ich okazała się taka, że zaczęto je eksploatować na dość wielką skalę. Eksploatacyę tę jednak zarzucono po kilku latach. Z robotników wszakże, oraz przedsiębiorców dyamentowych w pięknej i żyznej okolicy utworzyła się kwitnąca kolonia rolnicza.

Rolnictwo i hodowla bydła. choć prowadzone są bardzo pierwotnie, opłacają się lepiej niż łowienie dyamentów: nasuwa się więc przestroga. aby przedwcześnie nie szyto w Warszawie, Poznaniu lub Lwowie worków do zbierania tych szlachetnych kamieni. Sancta simplicitas t. j. ta sama naiwna ograniczoność umysłu, która zaprzecza wszelkim odkryciom i wynalazkom. dowodzi przez usta naszych półinteligentów w samej Paranie, że tam wcale nie ma dyamentów, a nawet, że ich tam nigdy nie było. Dyamenty są jednak. lecz do ich zyskownego wydobywania trzeba wciąż jednych i tych samych czynników, co przy dobywaniu złota i wogóle w wielkich przedsiębiorstwach: najnowszej wiedzy technicznej i wielkich kapitałów.

Bogactwa roślinne, zwłaszcza drzewne. stanu Parana i sąsiednich są niezmierne. Równają się one zwrotnikowym nad Amazonką, a może je nawet przewyższają różnorodnością skutkiem większej rozmaitości gatunków ziemi i klimatów. Rozróżnićby należało w Paranie przedewszystkiem florę nadmorską i ziem położonych nisko nad poziomem morza od flory krain górzystych i płaskowzgórza. Pierwsza, sycona większą wciąż wilgocią i gorącem. wybujała wspanialej dla oka, druga o klimacie suchszym i chłodniejszym jest surowsza i mniej potężna, lecz więcej urozmaicona. Trudno obydwom ściśłe naznaczać granice, bo jedne i te same rośliny znajdują się niemal wszędzie, prócz Araukaryi, która

króluje tylko na wyżynach i jedyna może występuje wielką masą zwartą, zalegając ogromne przestrzenie; nigdy jednak drzewa araukaryjne bardzo gęsto obok siebie nie stoją i gdy wstąpisz do boru takiego sosnowego, odkrywasz często wielkie mnóstwo innego pomniejszego drzewa, n. p. herbaty Mate.

Wogóle lasy parańskie nie są jednostajne i panuje w nich bardzo wielka różnorodność drzew i krzewów. Spotyka się w nich wszystko, nawet najmniej spodziewane odmiany tak, że byłoby bardzo ryzykownem przesądzać z góry, że jakiegoś tam gatunku niedostaje.

Z grubsza tylko możnaby na pierwszy rzut oka nieraz ocenić las jako przeważnie araukaryjny, iglasty, albo jako przeważnie liściasty wawrzynowy (laurowy). Wawrzyn (lauro) w różnych swych gatunkach upodobał sobie stoki gór; drzewa wawrzynowe w przenajrozmaitszych postaciach tam porastają, zieloność ich liści też jest bardzo różna. Do tej rozmaitości barwy zielonej przyczyniają się miliardy lian (cipos) czyli powoi różnej grubości, obwijających (często na śmierć) najgrubsze drzewa, oraz różne pasożyty drzewne (n. p. orchideje). Spód takiego lasu, wyglądającego jak pochyłe morze zieloności, zarasta drzewem mniejszem oraz krzakami gęstymi nie do przebycia dla podróżnika.

Wawrzyny południowo-amerykańskie mało się różnią od europejskich, choć specyaliści zapewne powynajdowali wiele ich odmian oryginalnych. Liście mają pachnące i bardzo się nadają do stolarstwa.

W drzewostanie brazylijskiem trzeba też inną ważną różnicę zaznaczyć, t. j. między lasem prawdziwie dziewiczym lub przynajmniej od setek lat nienawiedzanym przez człowieka cywilizowanego a takim, który odrasta po swem zniszczeniu i zaniku w postaci coraz większych krzaków i wreszcie drzew. Zwie się on wtedy po portugalsku „capoeira“ (krzak, małe i cienkie drzewo). Z czasem na tem miejscu wzrasta taki sam bór, lecz nie zawsze, bo zdarza się, że zamiast krzaków i drzew, krzewi się z bajeczną bujnością „trawa tłusta“, po portugalsku capim gordura (tristegis glutinosa).

Bogactwo roślinne w Brazylii jest dotąd mało wyzyskane; powiedziałbym nawet, że je systematycznie zatracają. Każde osadnictwo rozpoczyna od wycinania i palenia drzew najcenniejszych a nawet z tych, z których ludzie najwięcej mogliby korzy-

stać, jak araukarya i Mate, nie dobywa się pierwiastków najszacowniejszych.

I tak: pominąwszy pierwotny sposób suszenia Maty, która niezawodnie doczeka się lepszego sposobu przyrządzania, uderzającem jest, że z araukaryi wcale nie wypalają smoły, która jest w Paranie bardzo droga i sprowadzana z Norwegii. Tymczasem araukarya posiada bardzo wiele żywicy w korzeniach i w $^{2}/_{3}$ wysokości swej od góry, gdzie jest pełno sęków; jedna trzecia od ziemi do $^{2}/_{3}$ jest drzewem niezrównanem do stolarstwa wolnem zupełnie od sęków i żywicy. Ta część tylko jest brana w rachubę i ztąd rozpowszechnione jest mniemanie, że z araukaryi niepodobna dobywać smoły. Faktycznie jednak sosna ta mogłaby dostarczać wielką jej obfitość w najlepszym gatunku.

Araukarya jest tępiona nielitościwie. Wszyscy ją ścinają, a nikomu do głowy nie przychodzi jej sadzić. Istnieje tylko ptak zwany „grala“, którzy przyczynia się do jej zachowania: żywi się mącznymi owocami trójkątowymi jej szyszek i ciągle robi zapasy ich w ziemi, zapominając wciąż o nich. Jest tedy gajowym rozsadzającym człowiekowi niezmordowanie to drzewo pożyteczne.

W lasach parańskich uderza swoją pięknością p a l m a - p a p r o ć zwana S a m a m b a i a. Wygląda zupełnie tak, jakby nasza paproć, tylko wyrosła w drzewo. Liście czy też zbiór liści paprociowych, tworzących olbrzymie wachlarze jasno zielone, wychylają się z kadłuba drzewnego na wszystkie strony, ocieniając przestrzeń niekiedy do 50 metrów kwadratowych. Liście zwiędłe i zeschłe barwy szaro-brunatnej wiszą prostopadle z pod tych liści, ozdabiając szczyt drzewa jakby firankami, zwą się one starą brodą (barba velha). Rdzeń drzewa tego jest bardzo miękki, lecz elastyczny i trwały. Koloniści nasi mówią, że siekierę wbija się w nie jak w masło. Mosty z niego pobudowane trwają całą wieczność i gdy się przejeżdża po nich, ma się uczucie, że się suwa po gumelastyce. Rdzeń drzewa brunatny jest miękki jak wełna. Podobno z niego możnaby wypełniać poduszki, gdyby go chemicznie oczyścić z roślinnego brudu i robaków. Wtedy z brunatnego stałby się białym.

Wogóle, w wielkich ilościach rozrzucone są po lasach p a l m y odmian niezrównanie pięknych. Ozdabiają one puszcze leśne w sposób, przypominający najładniejsze i najstaranniej prowadzone oranżerye europejskie i to jeszcze widziane przez szkła powiększające. Odróżniają się gatunki „palmit“ (palmita — mała palma) swoją elegancyą, cienkiem i niezbyt wysokiem drzewem. Palmita

wypuszcza u samego swego czubka niezbyt bujny lecz rozłożysty pęk liści wachlarzowatych. Jądro czubka tego, zkąd liście się rozwijają, ma podobieństwo do zwiniętej mapy żółtawej: jest miękie i jadalne — zwie się palmito. Jeść je można na surowo i przegotowane: jest to i jarzyna i sałata. Smak jego doskonały przypomina szparag, kapustę, karczochy.

Païna, czyli Samauma (bombax spinosa), piękne i wysokie drzewo z korą zaopatrzoną w kolce, rośnie odosobnione w miejscach górzystych i na płaskowzgórzach (n. p. pod samą Kurytybą nad drogą). Wydaje ono owoce w postaci ziarna owiniętego bawełną, białą jak śnieg i miękką, oraz gładką jak jedwab. Robią z niej jakby z edredonu poduszki. Podobno nie bardzo się nadaje do wyrobu nici i tkanin — nie bardzo starano się pewnie o jej zużytkowanie w ten sposób. Ale zato ma być niezrównaną do wyrobu filcu, zwłaszcza na kapelusze zadziwiające lekkością.

Odznaczają się bardzo silnym zapachem drewna drzew cynamonowych (canela), przykrym n. p. Canela da merda, przyjemnym i zupełnie podobnym do kadzidła kościelnego Canela Sassafras. Miłą woń ma też Cabriuva.

Bardzo rozłożyste, piękne i dające wiele cieniu są: Figueira (figowe), Umbu, Uba. Do olbrzymich rozmiarów wyrasta Massuranduba (mimusops elata), rzadka w Paranie.

Pierwszorzędne znaczenie w garbarstwie mają kora i drewno Guaramirim, które zasłynęło w świecie pod nazwą Quebracho, jak je nazywają w Argentynie, zkąd masami się rozeszło po całej kuli ziemskiej, oraz kory drzew: Aroeira, Angico (od których się puchnie gwałtownie choć nieszkodliwie przy ich obdzieraniu, a nawet po kilkogodzinnem spoczęciu pod ich cieniem), Araça (rodzaj wiśni na płaszczyznach), Catigua, Grammamunia (rodzaj dębu w górach), Mangué biały, tudzież lepszy Mangué czerwony (Riziphora Mangle). Tych Mangué mnóstwo jest nad morzem, zwłaszcza pod Paranagua; do garbastwa używają najwięcej jego liści.

Z mnóstwa leczniczych drzew i krzaków pozwalam sobie wymienić tylko krzak rycynusu zwany Mamona. Wydaje on ziarnka piękne szaro-fioletowe wielkości fasoli, z których wyciska się słynny olejek — Cabriuvę (cabriuva microcarpus fastigiatus), której żywica znakomitą jest na rany, oraz korę Kanżerany (Canjerana) i liście Karoby (Caroba) podobno nieocenione jako środki na przeczyszczenie, a tych używa się często w klimacie gorącym.

Jeden Brazylianin, cierpiący na astmę, w głębi lasu dziewiczego, daleko od siedzib ludzkich, zaklinał mnie na wszystkie świętości, abym mu dostarczył czemprędzej liści i kwiatu drzewa Açouta Cavallo (bicz koński). Herbata z nich ma istotnie sprawiać wielką ulgę w tem cierpieniu.

Dr. Stanisław Kłobukowski.

(Dokończenie nastąpi).

ODP. REDAKTOR ADAM KRECHOWIECKI. — NAKŁAD „GAZETY LWOWSKIEJ“.

Województwo Ruskie wobec rokoszu Żebrzydowskiego.

(Dokończenie).

Król tymczasem zostawiwszy żonę i syna w Krakowie pod dobrą zasłoną, sam na czele wojska wyruszył na sejm, który też zagajono 7. maja po nabożeństwie, na którem Skarga upominał do zgody i jedności, by król usunąwszy przyczynę podejrzeń urazy Rzpltej według obietnicy danej leczył. Arcybiskup lwowski ostro natarł zaraz na pierwszem posiedzeniu na rokoszan, a i hetman Żółkiewski potępił ich działalność. Nie przyznawał wprawdzie hetman ani wiślickim ani rokoszowym artykułom uprawnienia, gdyż niczego tam *in vim legis* nie ustanawiano, a tylko do zgody sejmowej referowano — ale z drugiej strony dodawał: Byłbym niewolnikiem, gdybym miał podpadać postanowieniom rokoszowym! [1]) Podobnież surowo występowali przeciwko rokoszanom kasztelan Stadnicki, wielki marszałek koronny, kanclerz litewski. Skoro rokoszanie odprawili swoje poselstwo, wysadzono 12. maja komisyę, celem porównania artykułów wiślickich i rokoszowych. Przybył na sejm i kasztelan krakowski książę Ostrogski z kupą zbrojnych, a wystąpienie jego dodało otuchy rokoszanom. Oświadczył bowiem, „że jakkolwiek gotów jest stanąć w obronie

---

[1]) Pisma Żółkiewskiego p. 472.

pana, to jednak na pognębienie braci nie zezwoli; raczej szyję stracić, aniżeli patrzeć na uszczerbek wolności". Wezwano wreszcie 20. maja Zebrzydowskiego, aby przybył i odkrył praktyki królewskie — na co odpowiedział, że jeśli gruntowniejsze ze strony krola obwarowanie nie przyjdzie do skutku, natenczas on gotów i „to więcej" pokazać. Rokoszanom oświadczył sejm, że od swego zamiaru nie odstąpi a zjazdów żadnych, które są nowością dla ojczyzny szkodliwą, nie ścierpi. Woźni sejmowi codziennie przywoływali tych, którzyby pragnęli króla lub senatorów oskarżyć, a kiedy przez dni ośm ani Zebrzydowski ani w ogólności nikt z oskarżycieli się nie zjawił, oświadczył król z tronu, że źli ludzie targnęli się na jego dostojeństwo, i że czuje się niewinnym, aby miał w czem przeciwko przysiędze wykroczyć. Natychmiast powstali senatorowie z miejsc z oświadczeniem, że nigdy nie wątpili w niewinność królewską, która teraz tryumf odnosi, skoro potwarcy nie śmieli publicznie wystąpić w obliczu Rzptej. Usiłowania prymasa, biskupa Tylickiego, wojewody Wileńskiego, by rokoszan skłonić do zgody z królem, spełzły na niczem. Pomimo to obradowano na sejmie, gdzie objaśniono artykuł *de non praestanda oboedientia,* obradowano nad artykułami Wiślickimi, nad niektórymi rokoszowymi, i tak 28. maja odrzucono jednomyślnie artykuł co do zniesienia Jezuitów — natomiast zatwierdzono zapatrywania dyzunitów na unią, przez co dano prawną podstawę do ataków na nią. W końcu wyznaczono komisyę sejmową przy królu celem uspokojenia Rzpltej. Pogroził też król, po tej na sejmie dokonanej pacyfikacyi, wszystkim tym, którzyby mimo to zbierać gromady i wojska do kupy zwodzić zamierzali.

Groźby te były zresztą koniecznością, gdyż, jak trafnie pisał ówczesny kanclerz litewski, [1]) rokoszanie nie byli zadowoleni z namówionych na sejmie artykułów, chcą co innego, idą *per extrema.* Jeszcze 16. czerwca obwołali oni rug na króla i Zebrzydowski wystąpił z aktem oskarżenia, zarzucając królowi praktyki o ustąpienie królestwa i dążenie do samowładztwa. Były to powtarzania trącące anachronizmem, po czem z pod Jezierny przesłano wypowiedzenie posłuszeństwa królowi. Jasnem było, że sprawę tylko miecz rozstrzygnąć zdoła, dlaczego też kardynał Maciejowski 27. czerwca rozesłał uniwersały, [2]) wzywając ziemian, aby stojąc przy prawach i wolnościach, którym się gwałt dzieje, stanęli przy po-

---

[1]) Arch. Radziwiłł. (p. 240) list Sapiehy z 24. czerwca 1607 r.
[2]) Gr. Bełz. t. 196.

mazańcu i niewinności jego byli obrońcami. Także i do województwa ruskiego wysłał Stanisław Golski, wojewoda, podobnyż uniwersał,[1]) wzywając do pogotowia i do oczekiwania na dalsze rozkazy, gdyż rokoszanie wypowiadają posłuszeństwo królowi, następują na prawa Rzptej. na wolności nasze i do obrony innego pana przystępują. Król zas w swojej odezwie, w której zapowiedział zbrojne przeciwko wrogom wewnętrznym wystąpienie, wypowiedział ufność w wierność ziemian, a nadzieję w Bogu, który będzie obrońcą jego sprawy.

A jednakowoż kiedy przyszło do wyruszenia w pochód wojska okazały się wyraźne oznaki niezadowolenia w szeregach wojsk, nie mających widocznie ochoty do rozprawy orężnej. Żółkiewski pozwolił rycerstwu wysłać posłów do rokoszan, ci jednak najgorzej przyjęli posłów i nie dopuścili nawet przemawiać do rokoszan. Ale i rokoszanie starali się uniknąć orężnego spotkania i 30. czerwca zwinąwszy obóz pod Warszawą, puścili się do Krakowa. Gdy król tegoż dnia puścił się za nimi i kiedy oba wojska stanęły pod Warką, o ośm mil od Warszawy, wysłali rokoszanie do króla, by na nich nie następował, lecz by za wzajemnem porozumieniem się załatwiono sprawę.[2]) Oczywiście rokowania całodzienne spełzły na niczem, ale wśród wojska zapanował duch rokoszański i widocznem było, że żołnierze bić się nie chcieli, lubo Jakób Potocki spędził był rokoszan, broniących przeprawy wojskom królewskim przez Pilicę. Skoro Żółkiewski ustawił szyk bojowy, okazało się, że nawet hasło wydał niejaki Leśnicki rokoszanom, i hetman musiał złożyć sąd wojenny, aby przywrócić karność w wojsku. Wtedy to rokoszanie w obawie napadu cofają się do odległego o mil siedm Radomia. Hetman, ukarawszy zdrajcę Leśnickiego, puścił się w pogoń za rokoszanami, których dosięgnął pod Guzowem na polach Orańska. Tutaj wyprawił posłów do Zebrzydowskiego z upomnieniem, by prosił króla o dobrowolną ugodę, ale wojewoda, pyszny z otrzymanej wiadomości o posiłkach wojennych, które nadejść miały aż z Inflant, kazał posłów oddać pod straż.

Na polach pomiędzy Orańskiem a Guzowską Wolą spotkały się wojska królewskie z rokoszanami. Ochoty do walki nie było i tem się tłumaczy przebieg walki, gdzie po jednej stronie stali tacy wodzowie, jak dowodzący prawem skrzydłem Karol Chodkie-

[1]) Castr. Sanoc. 142 p. 303.

[2]) List Sapiehy z 5. lipca 1607. Arch. Radz. 240—241.

wicz, jak wódz centrum Jakób Potocki, jak wreszcie hetman Żółkiewski, dowodzący lewem skrzydłem, a mający stanowczą przewagę liczebną, a nadto i żołnierza obywałego w wojnach. Pomimo to atak Chodkiewicza został odparty przez zwycięskie na chwilę lewe skrzydło rokoszan, i to w taki sposób, że sam król, będący w odwodzie, znalazł się w niebezpieczeństwie, wielu senatorów odbiegło go, którzy zaledwie o mil kilka od pobojowiska ochłonęli z przestrachu. Zimna krew króla i jego męstwo powraca żołnierzowi równowagę[1]) i przyczynia się do zwycięstwa, zwłaszcza, gdy Żółkiewski przełamał roty Łaszcza: Herburt uciekł z posiłkami — pogrom rokoszan był dokonany; na polu leżało około tysiąca trupów, a kilkaset dostało się do niewoli. Radziwiłł z Herburtem cofnęli się w Lubelskie, Zebrzydowski w Krakowskie. Do rąk królewskich dostał się akt z wypowiedzeniem posłuszeństwa, jak niegdyś na polach pod Grotnikami dostał się do rąk zwycięskich wojsk królewskich akt spisku Spytka Melsztyńskiego: nadto dostała się także i korespondencya Batorego Gabora z Herburtem. Król przestał na tym pogromie rokoszan, nie szukając zemsty, jak to podnosi w uniwersale z 6. lipca na pobojowisku Orańskiem wydanym. — Zahamowaliśmy ludzie nasze od dalszego poparcia, nie skwapiając się na krew ludzi niewinnych, niewiadomie zawiedzionych od autorów tych mieszanin.[2])

Uniwersałem z 7. lipca zabronił król dalsze gromadzenie się do kupy i potępił znoszenie się z panem cudzoziemskim, zapowiadając, że przedłoży te dowody zdrady Rzptej na sejmie. Sam zaś podziękowawszy u Świętego Krzyża, jak niegdyś zwykł był czynić Jagiełło za otrzymane zwycięstwo, udał się król do Krakowa, gdzie go uroczyście powitano i radowano się z upadku jego wrogów.

Ich zaś zupełny upadek zawisł był od hetmana Żółkiewskiego, który wyruszył w ślad za rozbitkami z Guzowskiej potrzeby. Szczęście sprzyjało dalej Żółkiewskiemu, gdyż jego poddowódzca Struś, puściwszy się w pogoń za Janem Szczęsnym Herburtem, który jak drugi Tatarzyn haraczem złupił był miaso Lublin, rozbił jego oddziały i samego Herburta pojmał i odesłał królowi. Pozostało jeszcze niemało rozbitków, którym dodał otuchy Radziwił.

---

[1]) Maskiewicza Dyar. w II. tomie Pam. Niemcewicza p. 248.

[2]) Castr. Prem. 323 p. 836 i inn. Uniwersał pod Orańskiem 7. lipca 1607.

Bawiącego w Opatowie kasztelana krakowskiego, ks. Ostrogskiego, zaprosił Radziwiłł listownie, aby jako pierwszy senator w królestwie spowodował zjazd, na którymby deputaci obustronni regalistów i rokoszan ustanowić mogli w warunki zgody. Ostrogski przedłożył królowi to żądanie. a w liście do Żółkiewskiego, którego również o tym planie zawiadamiał, użył ostrych wyrazów przeciwko zwolennikom króla. Wprawdzie Żółkiewski odpowiedział kasztelanowi krakowskiemu wśród wyrzutów i skarg na upor rokoszan, że nie poprze u króla propozycyi nowych rokowań. ale czyny hetmana wskazywały, że nie wytrwa na stanowisku odmowy. Jak bowiem trafnie Łubieński mówi.[1]) Żółkiewski ganił pismami i edyktami rokoszan. których raczej bronią ścigać należało, a w archiwach pozostały dowody prawdziwości słów historyka rokoszu. Cały szereg pism z lipca tego nieszczęsnego roku zamieszek świadczy wymownie. że hetman, który nie tylko w sztuce wzjennej był biegłym, czynił piórem wysiłki celem doprowadzenia stron do zgody. Ludzi służebnych przy rokoszanach służących upominał po ojcowsku. aby nie dali sobie oczu zamydlać i opuścili zbuntowanych, inaczej bowiem wystąpi przeciwko nim jako przeciwko wichrzycielom pokoju.[2]) Chełmian wymownie przekonywał hetman, że rokoszanie, którzy z tej głównie ziemi pragnęli do swego obozu ściągnąć ludzi, pod płaszczem wolności chcieli z gruntu wywrócić fundamenta jej, albowiem zamierzając złożyć króla z jego królestwa, narzucić nam chcieli innego według swej myśli pana. o czem są listy ich, jakie z cudzoziemskimi panami praktykowali. Węgierskie to i wołoskie obyczaje, przez które tamte państwa poginęły, wnoszą w nasz naród, który zawsze królom swym wiary dochował. Niemniej i do Bełzan wskazywał hetman na praktyki rokoszan, wzruszające zasadę wolnej elekcyi i wyłuszczał zadanie swoje, z którem w te strony przybył, aby pokój wewnętrzny utrzymać, zwolennikom nie dać się kupić, a ludzi. mieszczan i szlachtę od krzywd bronić. Wprawdzie nie można wątpić. że hetman obowiązkowi z wojskowym lakonizmem przez się wyłuszczonemu zadość czynił, niemniej jednak skłaniał się ku pokojowemu załatwieniu domowych tych zamieszek i wojen. jak to widoczne z listu jego[3]) pisanego do księcia Ostrogskiego

[1]) De motu 135.

[2]) Pisma 473, 476, 478, list przed 12 lipca 1607.

[3]) Pisma 481—3.

z 20. lipca, w którem wskazywał sejm jako jedyny gościniec, wiodący do pożądanego uspokojenia Rzpltej.

To umiarkowanie hetmana, posiadającego ogromną przewagę wojenną w ręku, jego wreszcie cofnięcie wojsk z pod Zawichostu w głąb Rusi pozwoliło odetchnąć rokoszanom po doznanych klęskach. A dodać należy, że i szlachta po województwach miała już dosyć zamieszek domowych i chętnie chciała widzieć koniec rokoszu. Nawet w Proszowicach na sejmiku obrano deputatów do króla i powinszowano odzierzonego zwycięstwa nad domowym nieprzyjacielem. Tak samo postąpiły sobie i inne sejmiki, a tylko tu i ówdzie wołano jeszcze aby dygnitarze ziemscy naznaczyli miejsce i czas ściągania się do kupy na pomoc rokoszanom. [1]) Tak było w Bełzie w przedchwili guzowskiej potrzeby, ale po bitwie przycichnięto i tutaj, a na Rusi witano radośnie wieść o klęsce. Sanoczanie zjechali się wraz z Przemyślanami 8. sierpnia w Wiśni na sejmik za uniwersałem sejmu przeszłego warszawskiego dla uchwalenia poborów i wybrania poborcy, nietylko że zadość uczynili obowiązkowi, ale nadto uchwalili podziękować królowi „że stawieniem na szanc zdrowia swego niebespieczny ogień zagasił i Rzptę uspokoił“ i prosić aby dalsze bezpieczeństwo nasze i wszystkiej korony obmyśliwać i wykonywać raczył. [2]) Wniósł wprawdzie przeciwko uchwale tej protest Dyabeł Stadnicki, ale Sanoczanie nie przyjęli jej od tego, który ze Sabatami swymi toczył zażartą wojnę z Opalińskim, uciemiężając i niepokojąc oba wielkie powiaty. Toż na elekcyi deputata w pierwszych dniach września wzięto pod rozwagę te uciśnienia od niektórych, którzy z żołnierzami swymi pomykając się po królewszczyznach i dobrach szlachty wielkie szkody czynią, na zjazdy publiczne następują, dział i kopii z urazą prawa pospolitego używają... Proszono też króla przez posła tegoż ks. sekretarza Sułowskiego, by oswobodził ich od takich niepokojów i gwałtów a starostę przemyskiego uproszono, aby w porozumieniu z hetmanem, zasiągnąwszy rady króla, opatrzyli bezpieczeństwo, aby już raz ziemia ciężaru tego pozbyć się mogła. [3])

W takim stanowisku ziemian mógł chyba hetman zaczerpnąć otuchy do spełnienia całego swego zadania, o ile że i Potoccy za-

---

[1]) Protestacya z 25. czerwca w Bełzie Castr. Bełz. 196 p. 1655.
[2]) Laudum z 8. sierpnia 1607 C. San. 142 p. 366 i nast.
[3]) Laudum z 10. września.

jęli Lanckoronę, własność Zebrzydowskiego, który ukrywał się w klasztorze Bernardynów Opatowskich, tak że długi czas nikt nie wiedział o miejscu schronienia jego. A jednak Żółkiewski cofnąwszy wojska z pod Zawichosta w głąb Rusi skłonił się ku pogodzeniu Zebrzydowskiego z królem. Ten bowiem korzystając z tego, że Potoccy wydalili się do Mołdawii celem popierania na tron młodych Mohyłów i z cofnięcia się Żółkiewskiego w głąb Rusi, wydał uniwersały z zapewnieniem, że zjazd zapowiedziany przez Radziwiłła odbędzie się, do senatorów zaś rozpisał listy, aby spory jego z królem przez obopólnych delegatow załatwiono. Żółkiewski otrzymawszy odezwę Zebrzydowskiego postąpił sobie, używając słów Łubieńskiego, jako mąż uwzględniający węzły pokrewieństwa wiążące go z wojewodą[1], którego też prośbę poparł u króla. Niepotrzebujemy dodawać, że król przyjął prośbę niełaskawie, wytknąwszy słusznie, że hetman położył niejako na równi godność królewską z godnością wojewody. Wspomniany ks. Sułowski przywiózł Żółkiewskiemu wyraz niezadowolenia królewskiego z powodu cofnięcia wojsk z pod Zawichosta, przez co uzuchwalił rokoszan do zbierania nowych kup, również jak z powodu popierania prośby Zebrzydowskiego, gdyż ubliżyłby dostojeństwu królewskiemu, gdyby uchwały sejmu i własne czynności oddawał pod ocenę sędziów, przez zbuntowanych wybrać się mających. Pomimo to hetman dalej pośredniczył pomiedzy królem a wojewodą, wstawiał się za ostatnim, przedkładał warunki tegoż ostatniego, pomiędzy innemi by mu król darować raczył niezapłaconą kwartę ze starostw posiadanych przez wojewodę: na co król słusznie a znacząco odpowiedział: że prywatną władzą nie może tego stanowić, co także do sejmu należy, gdyżby to zakrawało na absolutyzm, na który i tak już ludzie utyskują.[2] Żółkiewski radził tedy wojewodzie pojechać na konwokacyę, którą król zwoła, i warunki króla spełnić.

Ku temu pokojowemu zakończeniu wojny domowej wiodło i duchowieństwo. Kardynał Maciejowski zwołał był synod prowincyonalny do Piotrkowa, celem ułożenia niektórych spraw zachodzących pomiędzy stanem świeckim a duchownym, tych mianowicie, o które na sejmie warszawskim stan świecki wnosił żałoby. Gdy w tymże czasie wojewoda pod Warszawą na nowo

[1]) De motu 140.

[2]) Pisma Żółkiewskiego, list z 20. grudnia 1607.

zaczął był zbierać kupy, duchowieństwo postanowiło upomnieć w jego osobie wszystkich rokoszan. Przedstawiono im, że przez ich winy ojczyzna wtrąconą jest w bratobójczą wojnę, podczas której wróg tryumfuje zająwszy Biały Kamień w Inflantach. Duchowieństwo zawsze stało w obronie wolności obywatelskiej, ale teraz widzi łagodniejsze środki jej obrony, dlatego też upomina do umiarkowania i do zgody. Rookszanie zapominając, że przez Żółkiewskiego starali się już o warunki przebłagania króla, przez swych dowódców odpowiadają z wezwaniem, by kardynał na mocy swego urzędu zwołał zjazd w celu obmyślenia środków uspokojenia Rzptej, żądano uwolnienia Pękosławskiego i Herburta, powrotu dóbr skonfiskowanych, amnestyi dla wszystkich rokoszan. Kardynał wyłuszczył, że nie ma prawa do zwołania żądanego zjazdu, a nie myśli być sprawcą rzeczy nowych.

Niepozostało tedy Zebrzydowskiemu jak tylko przyjąć warunki, które król dyktował, do których przyjęcia nakłaniali go senatorowie, w szczególności także hetman, gdyż król mógłby cofnąć łaskawość. A jednak odezwa duchowieństwa do rokoszan zamiast przyspieszyć spokój w Rzptej oddaliła nieco pożądaną chwilę zgody. Zebrzydowski, który wśród duchowieństwa liczył wielu przyjaciół, zaczerpnął w odezwie otuchę do dalszego uporu. Wnet już wystąpił krakowski kasztelan ks. Ostrogski jako orędownik wojewody, żądając wprost od króla, by wypuścił rokoszan z więzienia i puścił wszystkie przeszłe sprawy w niepamięć, inaczej bowiem przewidywał rychły upadek Rzptej. Król przedstawiwszy swawolę, deptanie prawa i wszelkiej powagi przez rokoszan, oświadczył pod koniec swej odpowiedzi księciu, że jako senator zechce inaczej tę krzywdę króla i ojczyzny poważać i przeciwnej stronie nie pobłażając, więcej o króla dostojeństwo aniżeli o cudze preteksty, więcej o całość ojczyzny aniżeli o prywatne zaciągi zechce się zastawiać.

Liczył Zebrzydowski, że kasztelan zwoła jakąś konwokacyę, liczył na życzliwość wielką kilku innych senatorów zwłaszcza hetmana, a może i liczył na jakiś przygotowywany rozruch, którego dróg krętych dziś trudno wyśledzić, dość że trwał dalej w uporze. Rokosz bowiem, jakkolwiek orężem pognębiony w skutkach swych ujemnych trwał w społeczeństwie. Jak długo wodzowie rokoszu nie zerwą zupełnie z hasłami przewrotu, tak długo każdej chwili rokosz mógł być odnowionym. Nawet na Rusi, gdzie jak wspomniano najmniej popleczników liczyli rokoszanie, skutki rokoszu trwały w całej pełni a niepokój panował od połonin kar-

packich po podolskie stepy. Zwołują szlachtę w Sanoku celem obmyślenia środków przed grożącem od kup niebezpieczeństwem.[1]) Zbrojne swawolne oddziały nakładają ssacunki na miasta, wyciskają podatki, sieją gwałty i mordy nawet w Lwowskiem.[2]) Ratuje się szlachta obracając pobory na zapłacenie kwarcianych żołnierzy.[3]) Zaledwie Żółkiewski uspokoił trochę województwo Ruskie a już całe Mazowsze jak na gwałt woła na skwirk i na ucisk ludzi wojennych, nalewajkowskim obyczajem uciskających całą prowincyę.[4]) Ułatwiało to Zebrzydowskiemu, bawiącemu w Stężycy, jego dalsze knowania, którem, jak mówi Łubieński, zdawał się szydzić z Żółkiewskiego i zapowiadał nowy jakiś zjazd w Lublinie, mimo że hetman odradzał mu i przez miłosierdzie Boskie i na miłość ojczyzny zaklinał go, by odstąpił od zamiaru i odwodził innych od tego, co niechybnie do zguby ojczyznę doprowadzić może[5]). Wtedy to arcybiskup lwowski postanowił zreflektować zarówno Zebrzydowskiego jak i kasztelana krakowskiego, najpotężniejszej obecnie podpory rokoszanina. W liście do tego ostatniego[6]) położył nacisk na potrzebę i zacność bronienia króla. Zgadzał się na myśl konwokacyi senatorów, ale z warunkiem, by ją nie część odprawowała — co do wszystkich należy. Króla należy nakłaniać do łaskawości, ale drugą stronę należy wieść do skruchy. Uprosimy wszystko — zaręczał sędziwy arcybiskup — ale środkami takimi, jakoby powaga króla w całości zostawała. W liście do Zebrzydowskiego, zganił mu nieprzybycie na sejm, na który według umowy miał przybyć, zaczem poszły zamieszki dalsze, a co gorsza zły przykład ludziom i wiekom potomnym. Sam początek sprawy był nieodpowiedni, rzucono się bowiem na powagę króla, prawem Bożem i ziemskiem umocowaną, tudzież na senat. Jeżeli wojewoda chce wytrwać przy swojem, arcybiskup tego pochwalić nie może. I przodkowie nasi upominali królów nawet ostro, ale nie wszczynali rozruchów. Senat upominał i przedstawiał ich złe skutki, a niestety są one już widoczne z ujmą naszego narodu...."

---

[1]) C. San. 142 p. 456. Uniwersał podkomorzego z 13. listopada 1607.

[2]) Orędzie króla z 4. grudnia 1607. Gr. Przem. 323 p. 1715.

[3]) Laudum Wiszyńskie z 10. stycznia 1608.

[4]) Pisma 409 i 451.

[5]) Pisma 488, list z 3. stycznia 1608.

[6]) Bibl. Kras. l. c. p. 162—166.

Pod koniec lutego Zebrzydowski, którego zaciężnych przepłoszono w Stężyckiem cofnął się do obronnego Zamościa, podczas gdy z jednej strony Poniatowski, znany rotmistrz, który się w parę lat później ożenił z wdową po Dyable Stadnickim, zebrawszy zaciężnych nadciągał z Prus w kierunku ku Lublinowi — z drugiej zasię strony przestraszające wieści szerzyły się o zamiarach Batorego Gabora.

Ten ostatni mający zostać wojewodą Siedmiogrodzkim, przysposabiał, jak donosił hetman [1]) wojska celem najazdu Polski i ściągał nawet Tatarów do siebie. Wprawdzie hetman mniemał, że niewiele jest wyrodków, którzyby Batoremu sprzyjać chcieli, ale przestrzegał do gotowości na granicach, gdyby tenże chciał dokonać przedsięwzięcia. Tak samo przestrzegł przed najazdem Poniatowskiego, wzywając szlachtę do kupienia się przy wojsku, gdyż ono zbrojnie występuje przeciwko wszelkim swawolnikom. [2]) Niepotrzebujemy dodawać, że król również wezwał szlachtę do wzmocnienia wojsk królewskich i do poparcia hetmana. [3]) Dla Zebrzydowskiego nie było ratunku musiał się upokorzyć. Ułatwił mu drogę do łaski królewskiej senat, zwołany przez króla na 24. kwietnia, przesyłając mu 4. marca warunki ugody przez sędziego lwowskiego, Piotra Ożgę, do Zamościa. Miał on przeprosić króla i ponowić przysięgę wierności, przez wypowiedzenie posłuszeństwa naruszoną, w obec senatu w oznaczonym czasie stawiając się przed oblicze króla bez chorągwi i wojennej drużyny. Żadnych zjazdów, którymi do zamieszek przywiódł ojczyznę nie będzie składał i owszem przeciwko nim występować będzie a zajścia swe z senatorami odda pod rozstrzygnięcie króla i senatu. Wreszcie obiecywał król przebaczyć i innym rokoszanom, którzy posłuszeństwo wypowiedzieli względnie wypuścić z więzienia pod warunkiem jeżeli o łaskę starać się będą i przysięgę ponowią.

Sędzia lwowski zastał Zebrzydowskiego złamanego ciężką chorobą na łożu boleści, nie zaraz tedy mógł wojewoda spełnić podane sobie warunki zgody. Stało się to dopiero gdy wojewoda powrócił do zdrowia, na konwokacyi senatorów 9. czerwca przy bytności także i arcybiskupa lwowskiego i hetmana ale zarazem i Adama Stadnickiego kasztelana kaliskiego, Baltazara Stanisław-

---

[1]) Pisma 185 i 490, list z 9. kwietnia 1608.

[2]) Pisma 183.

[3]) Uniwersały z 22. lutego i 27. lutego 1608. Castr. Prem. 324 p. 355 i Castr. Bełz. 197 p. 87.

skiego kasztelana sanockiego i kilku innych stanowczych przeciwników rokoszan. Zaraz też król otworzył i innym rokoszanom drogę do łaskawości swej nakazując zarazem postąpić według prawa z tymi, którzyby dalej zamieszki czynić się poważali.[1]) Kanclerz litewski, który asystował przy tych przeprosinach króla, przesłał zaraz potem radę swemu szwagrowi Januszowi Radziwiłłowi, aby rozpuścił zaciągi i „czem prędzej tem lepiej zrobi, jeżeli przeprosi króla".[2]) W parę dni później już donosił, że i wojewoda Rawski Zygmunt Grudziński i głośny Łaszcz, ten ostatni z wielką pokorą, przepraszali króla i przysięgę wierności wykonali. Z takąż pokorą przepraszał też i Jan Szczęsny Herburt i ponawiał złamaną przysięgę.

Prócz Radziwiłła ociągającego się jeszcze jakiś czas z upokorzeniem się przed majestatem, pozostał z głównych wodzów rokoszańskich jeszcze Stadnicki nietylko w uporze trwający, ale co nadto zawieruszający wojną swoją z Opalińskim całe województwo a można powiedzidć i całe Podkarpacie. Główne niebezpieczeństwo leżało w tem, że Dyabeł sprowadzał hufce wojsk z zawieruszonych wojną Węgier a na skutek takich pochodów wojskowych po całem Podkarpaciu bezpieczeństwo publiczne było niemal całkiem podkopane. Napróżno wzywał król starostów i szlachtę by rozpędzali kupy swawolne, które niektórzy obywatele powiatu przemyskiego gromadzą,[3]) napróżno wojewoda Trocki, Aleksander Chodkiewicz, starał się uspokoić i przywieść do równowagi Dyabła Stadnickiego, ten ściągał dalej Sabatów z Węgier, zgody z Opalińskim nie dotrzymał a połączywszy się z oddziałami Poniatowskiego,[4]) stał się plagą województwa. Wreszcie i on pod wpływem groźnych uniwersałów króla, pod wpływem skarg szlachty sejmikowej i jej wołań do odwetu, jakoteż jej uchwał przeciwko zbójcom i łupiezcom, gdy także hetman wzywał do spokoju, gdyż na mocy konwokacyi krakowskiej ma władzę i obowiązek zbrojnego przeciwko swawolnikom wystąpienia, musiał i Stadnicki, walkami z Opalińskim wycieńczony, upokorzyć się i króla przeprosić, przyczem musiał odwołać ubliżające o królu mowy i uwagi czynione niejednokrotnie na zjazdach rokoszowych.

---

[1]) Uniwersał z 9. czerwca 1608. Castr. Tremb. 108 p. 482.
[2]) List Sapiehy z 9. czerwca 1608. Arch. Radziwiłł. 243 i 244.
[3]) C. Prem. 325 p. 719, 721 odezwy z 6. maja 1608.
[4]) List Sapiehy z 6. sierpnia 1608. Arch. Radz. 245.

IV.

Udział województw ruskich w rokoszu i znaczenie tego udziału. — Polityka króla w tych stronach, rozdawnictwa urzędów. — Król uczy lojalności i otwiera oczy na anarchię. — Obrona godności królewskiej przez Zygmunta nauką dla narodu. — Powody, dla których pod Janowcem nie zniszczył rokoszan. — Leczenie ran społecznych przez społeczeństwo. — Przewrotność rokoszan i znieprawianie sumień. — Król nie dąży do absolutyzmu. — Czyja wina? — Skutki rokoszu. — Zadania wskazane przez króla. — Naprawa Rzpltej.

Nie da się zaprzeczyć, że województwo ruskie zajmowało bardzo ważne nieraz rozstrzygające stanowisko w całej sprawie rokoszowej, począwszy od pierwszych zjazdów rokoszowych aż do ostatecznego uspokojenia Rzptej. Widzieliśmy, że tutaj w pobliżu ogniska działalności sławnego kanclerza Zamojskiego i pod jego kierunkiem utworzono owe artykuły Bełzkiego sejmiku z 1605 r., tworzące podstawę dla artykułów rokoszowych, a i koniec rokoszu, przez zupełne zniszczenie Dyabła Stadnickiego przez ubezwładnienie popieranego od Batorego Jana Szczesnego Herburta, miał miejsce na Rusi. Tutaj od Spytka z Melsztyna czasów było źródło sił rokoszowych w kresowej pochopnej do nierządnej wolności szlachcie, tutaj były ogniska wielkich jej ruchów przeciwko królowi zwróconych, tutaj wreszcie najlepiej przyjęły się zgubne doktryny Zamojskiego, przynajmniej u wielu stojących na czele ziemiaństwa, którzy jednak zaszczytu stanowi swemu bynajmniej nie czynili. Większość ziemian nie rozumiała zamiarów rokoszańskich, ale że je wiązała z tradycyą popularnego u niej Zamojskiego, łatwo szła na lep haseł, które zresztą w całej Rzptej znalazły posłuch wśród szlachty.

Ale żywszy udział województwa Ruskiego w ruchu rokoszowym objaśnia się bliskością tej ziemi granic korony węgierskiej, gdzie jak wiemy powstał ruch rokoszowy, zwrócony zarówno przeciwko katolicyzmowi jakoteż i przeciwko dynastyi Habsburskiej. Odbił się on najpierw na całem Podkarpaciu, skąd Boczkaj i jego dowódcy zbierali zaciężne kupy, gdzie schronienia przed wojskami cesarskiemi szukali dowódcy rokoszu węgierskiego i skąd tajną agitacyą, jak siecią obrzucali Węgry. Oba te kierunki rokoszu węgierskiego wywołały silny odgłos na Rusi, i nie jest to wcale przypadkiem, że z chwilą wybuchu rokoszowych dążeń i ruchów

na Węgrzech, z chwilą haseł przeciwko kościołowi zwróconych w Polsce nastają posłowie na sejmach 1603, 1605 i 1607, aby król złożył z godności unickich biskupów! Zapewne, że wichrzył tutaj teroryzm Konstantego Ostrogskiego, ale ostatecznie nie byłby on tak wydatnym w ujemne skutki, gdyby hasła węgierskie nie znalazły posłuchu u ziemian województw podkarpackich. Podatny też był w tych stronach grunt dla wzrostu doktryn przeciwko królowi zwróconych w obronie wolności stanowej, o ile że król Zygmunt pozostawał w stosunkach przyjaźni z dynastyą, przeciwko której wystąpili Węgrzy. Po tej i po tamtej stronie Karpat od lat wielu wszczepiano nienawiść do dynastyi, która usiłowała wyprzeć z Węgier Turków, na całej linii wschodniej i południowej swych dzierżaw ustawiczną wiodła wojnę w obronie Krzyża a nieufność tak wielce wszczepiła się w Polsce, że jak wiemy z tego głównie powodu projekta ligi antytureckiej upadły w Koronie właśnie w przedchwili rokoszu węgierskiego. Po tej i po tamtaj stronie Karpat sprawcy rokoszu wołają o pokój z Turcyą, doprowadzają go do skutku, unicestwiają potężną myśl, która mogła się stać przyczyną odrodzenia narodów... uwolnienia ich tu od jarzma tureckiego tam od tatarskiego.

Jeżeli w końcu dodamy, że położeniem swem wschodnie prowincye, najbardziej zagrożone były od wroga, i dlatego tutaj w pobliżu na kresach załogowały główne siły pod dowództwem hetmana zostające, zrozumiemy i ostateczny powód, dla którego województwo ruskie tak ważną odegrało rolę w rokoszu. Opozycya musiała wysilać się, ażeby w pobliżu zastępów hetmańskich mieć własne wojska i przez ciąg cały rokoszu wojska z obu stron nie ustępują z Rusi, lub jeżeli ustąpią na chwilę, to tym celem,[1] aby nowym zaciągom dać miejsce. Obie strony wojujące pilną baczność zwracają na Ruś, a hetman niemal przez czas cały rokoszu przebywa w stolicy województwa lub w jej pobliżu i pilnuje stąd ruchów przeciwników, którzy w Łańcucie i Dobromilu mają ogniska swych sił zbrojnych, a z ruchem węgierskim przez Sabatów i dowódców zaciężnych w stałym pozostają związku przyjaźni. Sabatowie ci i ich wodzowie stoją też na straży, aby przyjaźń króla z cesarzem, a raczej z hetmanami, nie stała się żywszą i temsamem dla węgierskiego rokoszu niebezpieczną.

Wypływa też z archiwalnych badań ten niewątpliwy pewnik, że jak król Zygmunt odgadnął odrazu ważne stanowisko województw wschodnich, tak też z drugiej strony użył tutaj głównie wszelkich sposobów i środków, jakiemi tylko rozporządzał, aby

niebezpieczeństwa z tej grożące strony, odwrócić od Korony. Właśnie sztuki rządzenia, zastosowanej przez króla na Rusi, a występującej nie tylko w rozlicznych uniwersałach, mandatach, zarządzeniach i poselstwach, któremi formalnie przepełnione są księgi lat owych, ale i w faktach spowodowanych przez te pisma, można odgadnąć owe łagodne, zręczne, a w skutkach wydatne przeciwdziałanie króla przeciwko niebezpieczeństwu, grożącemu wprost wywrotem ojczyźnie. Ma już król ręce bardzo związane, władza jego jest mocno „ocerklowaną“, przytem każdy krok jego, każde zarządzenie jest pilnie baczone i cenzurowane przez zbuntowaną opinię. Nadto nie jest on przez naród lubiany i nie ma całkiem sobie oddanych, nawet wśród tych, którzy już się przy nim nauczyli majestat królewski szanować. Jego małomowność, powolność, upor wreszcie odrażają od niego wolnych w słowie żywych i łatwo dających się powodować poddanych, skoro tylko zbytkiem zamiłowania wolności nierządnej ująć ich kto usiłował.

Zygmunt jednakże nie pochlebiał nigdy swawoli i właśnie z zarządzeń jego do wschodnich województw można się pouczyć, jak bacznie troskliwość swą rozdzielał pomiędzy wszystkie stany. On to zakazuje uciskać poddanych i broni wszędy ludu od chciwości starostów i dzierżawców i ich ekonomów, on nawet zabrania wyciągać od ludu pieniądze, które wyciskano przy wybieraniu wybrańców, zabrania uciskać podwodami przy sposobności przejazdów posłów obcych monarchów, sam łożąc z własnych dochodów na to, co już jako prawo zwyczajowe było brzemieniem ludu, reguluje robocizny i ciężary jego, słowem stara się o polepszenie losu najuboższych poddanych.

Historycy począwszy od Łubieńskiego oddają słuszne pochwały królowi za trafny dobór najwyższych dostojników, doradców, senatorów. Istotnie nie można odmówić Zygmuntowi trafności w doborze senatu, ale zarazem podziwiać można zręczność, z jaką umiał nim rządzić przy pomocy tak niewinnego na pozór środka, jakiem było rozdawnictwo wakansów i urzędów. Był to zresztą jeden z niewielu środków władzy, jakie po ocerklowaniu przez elekcye i konfederacye pozostały jeszcze królowi. I tutaj na Rusi właśnie widzimy, z jaką zręcznością król środek ten władzy zastosowuje, jak trafnie obsadza starostwo przemyskie i kasztelanią przemyską Stadnickimi, przez co wprawdzie zaostrza ku sobie nienawiść Dyabła Stadnickiego, a obudza mściwość Herburta, ale z drugiej strony wychowuje tak oddanych sobie urzędników, że ci bez względu na węzły krwi spełniają wiernie rozkazy, powinność

urzędu, nawet w tym tak rokoszem wzburzonym czasie i kraju. Do liczby tych wiernych należą wojewodowie Ruski i Bełzki, Golski i Włodek, podolski Jazłowiecki, który to ostatni z całą ówczesną rubasznością sam pierwszy umiał otwarcie Dyabłowi Stadnickiemu prawdę cisnąć w oczy, należą Potoccy i inni. Przyczem uważać należy, że nie baczy król na ród i chętnie wywyższa na godność senatorską członków mniej znanych rodów: nie uważa król i na wyznanie, o ile że jeszcze w gronie szlachty zwłaszcza rodów starszych przeważnie panuje aryanizm, kalwinizm, a właśnie wspomniane rody, z małym wyjątkiem, należały do dyssydenckich. W szczególności na Rusi trudnym jest wybór, a przecież i tutaj rzadko kiedy pomyli się król przy dokonaniu nominacyi, a i hetman Żółkiewski jest właśnie mężem wyboru króla.

Społeczeństwo jednak jest na wskróś przejęte ówczesnemi dążeniami do złotej wolności, a król, dokonawszy wyboru, musiał niejako wychowywać swoich nominatów w kierunku poszanowania władzy i należytego majestatowi uszanowania. Król wie i uwzględnia te przekonania, ocenia ich wpływ na rokosz, dlaczego też ustawicznie nakłania nawet takich, jak Żółkiewskiego do zmiany zdań i przekonań, których zgubny wpływ na państwo jest dlań aż nadto widoczny. W sposób łagodny, nie mniej jednak stanowczo daje on poznać swe głębokie niezadowolenie z tego lub owego dowodu sprzyjania rokoszanom, brania ich w obronę z ujmą godności władzy, napomina, karci nawet, ale zawsze wyrozumiale i w końcu przekonywuje, zniewala do posłuszeństwa i poszanowania majestatu. Uwzględnia król węzły pokrewieństwa, przyjaźni, wiążące oba obozy chwilowo rozdzielone, a jednak wskazywaniem na niskie instynkta, na poziome prywaty, na chciwość, butę, drapieżność obozu przeciwników odciąga od tego obozu powoli, ale stanowczo cały zastęp nowych mężów, których chce użyć i używa do reformy przekonań i sumienia społeczeństwa. Chce wysoko wynieść powagę majestatu, o ile że tak dotkliwie przez okres zwłaszcza bezkrólewi ją nadszczerbiono, a jest przytem konsekwentnym i nikomu bezkarnie nie puści najmniejszego, chociażby i jak nieznacznego ubliżenia majestatowi. Duchowieństwo nawet najwyższe nie jest wolne od upomnień i znanem jest zajście z kardynałem Maciejowskim, który również otrzymał od króla nauczkę o wysokości dostojeństwa monarszego, a i w Kuryi przegrał swoją sprawę.

Uważając bacznie na stosunek wybitniejszych osobistości do króla, na ich korespondencyę z królem, na ich wyrażenia o królu

przed i po rokoszu, widzi się stanowczą różnicę, dowodzącą, że i całej sprawy rokaszowej użył król jako sposobności, prawda, że smutnej i nad wyraz nieszczęsnej, ku upamiętaniu całego społeczeństwa. Ażeby zaś tego celu bodaj w części dokonać, trzeba było zwracać uwagę na bezkarność, gwałty, na niesłowność, fałsz i obłudę po stronie rokoszan, należało zrazić społeczność szlachecką do wad ich braci, które jednak były tak powszechnemi, tak na porządku dziennym będącemi, że ich nie widziano, nawet za wady nie uznawano. Cóż dopiero mówić o pieniactwie, o nieuszanowaniu władzy, co o bezkarności, jaka zawieruszała społeczeństwem, a którą za zaletę sobie poczytowano, co o deptaniu imienia królewskiego. Największy obrońca rokoszan, historyk Schmitt,[1]) mówił o dziwacznych uprzedzeniach społeczeństwa do króla, o nieusprawiedliwionych zarzutach, o zaślepieniu rokoszan namiętnością i fanatyzmem, jak tam ludzie złej wiary szukali w zamieszaniu Rzpltej osobistych zysków, jak rozmyślnie fałszywie o królu i jego zamiarach rozsiewali wieści, a potwarczemi oskarżeniami i przewrotnem tłumaczeniem doprowadzali rzeczy do ostateczności. Trafnym jest ten sąd i na głębokiem źródeł badaniu oparty, ale dodać potrzeba, że wielka część społeczeństwa do tegoż przekonania wśród anarchii doszła i ocknęła się — a zasługę tego należy przypisać nie komu innemu, jak tylko królowi, jego umiarkowanej rozsądnej, a jeden cel na oku mającej działalności. Wszystko, nawet zdrowie, życie swe stawiał on, by przyśpieszyć chwilę ocknienia się narodu z pośród anarchii. Nie kamaryla, której nie było, nie Jezuici, jak to trafnie dowiódł na podstawie niezbitych dowodów autor „Jezuitów w Polsce", ale król sam, ten ponury i uparty Szwed, to nieme dyable, jak go z przekąsem znamionującym ducha czasu nazwał Zamoyski, ten praktykant religijny, który zawsze swoją szedł drogą, on to rządził i on też sprawił, że społeczeństwo ocknęło się, że spostrzegło, iż jest anarchicznem i że należy dążyć do zmiany. Zapewne, że słuchał Zygmunt w sprawach rządów zdań senatorów, gdyż było to jego obowiązkiem na się przyjętem, a od obowiązków nigdy się nie uchylał, ale cała sztuka rządzenia jego polegała na doborze najtrafniejszego środka, z pośród tych, jakie właśnie doradzano. Środek jest ten zazwyczaj tego rodzaju, że tylko bardzo leniwie i po uboczach przykrych prowadzi do celu, ale nie tego, jaki chwilowo przyświeca senatowi, lecz

[1]) Rokosz 199.

do celu. ocknienia wszystkich poddanych. zwrócenia z drogi, na którą od lat wkroczył naród, a która wiodła do ogólnej anarchii. Taki cel mając na oku, a nie chwilowe polityczne korzyści, nie zniszczenie i zdeptanie przeciwnika, dopuszcza Zygmunt narzucających się mu z pośród senatu na pośredników zgody pomiędzy kupą, a obrażonym majestatem, jakkolwiek w głębi duszy czuje całą nieodpowiedniość tego środka. Toż dozwalając i Ostrogskiemu i Żółkiewskiemu na rokowania z dowódcą rokoszu Zebrzydowskim, Firlejowi i innym z Radziwiłłem, niejednokrotnie daje on wyraz niezadowolenia, daje do poznania, że przez takie konferencye legalizuje się rokosz, uznaje jego wodzów. Co bardziej, skoro rokosz wszedł już w fazę wojny z królem, a mimo to senatorowie radzą układy i z wodzem rokoszan, który po raz drugi oręż na króla podniósł, toczyć pragną rokowania, Zygmunt wyraża naganę, daje do poznania, jak obrażającym majestat jest taki zamiar wchodzenia w układy z buntem, dowódcami tegoż. Nawet całemu stanowi, jak duchowieństwo, nie broni król rokowań, lecz skoro senatorowie lub pełnomocnicy stanu ubliżające majestatowi chcą przyjąć warunki, natychmiast Zygmunt występuje z naganą. W taki sposób cały naród dowiaduje się, że i Ostrogski i Żółkiewski i kardynał Maciejowski ze znaczną liczbą duchowieństwa, jedni mniej, drudzy więcej, wszyscy jednak ubliżają majestatowi, skoro za zbuntowanymi ujmują się bardziej i więcej, aniżeliby na to obrażony majestat pozwalał. W taki sposób poucza Zagmunt naród, w najwyższych jego przedstawicielach, o godności królewskiej, którą w czasach częstych elekcyi nauczono się nieszanować. Cały naród w gęstych uniwersałach, w których szczegółowo opisywać każe swą łaskawość względem zbuntowanych, których nadużycia, ucisk poddanych, grabienie mienia, nakładanie podatków w wymownych przedstawia się słowach, coraz bardziej widzi, że przecież ten król potępiany ma słuszność, że jest nawet wyrozumiałym, że z łagodnością występuje wobec braci szlachty, która nieco popędliwie z nimi sobie poczęła. W miarę postępu ruchu rokoszowego cała akcya króla poucza, że mniemane zapomnienie się przeciwników jest buntem, dowodzi, że prawo i prawość jest po jego stronie, że wszystko, co o jego zamiarach nieprzychylnych dla szlachty głoszą przeciwnicy, jest fałszem, celem zbałamucenia tłumów użytym, że rokosz jest podkopywaniem społeczeństwa, ruiną ojczyzny i wtedy to następuje rozdwojenie w łonie rokoszu. Zapewne, że niektóre artykuły rokoszan miały racyę bytu, były roztropnie pomyślane i miały dobro

powszechne na celu, lecz i tutaj trafnie odpowiadano imieniem króla. wykazując sejm jako forum. które nad żadaniami takiemi obraduje; niektóre też zarzuty przeciwko królowi wymierzone. były ugruntowane, ale i tutaj jakże zawstydzono przeciwników zwrotem: czemuż teraz dopiero tak poczuwanie pilne. czemu przez lat ośmnaście, których własna ta powinność była, nie brali się tak gorąco za to![1] I Żołkiewskiego poucza król, że nie król ubliża prawom Rzpltej. ale ubliżają tym prawom senatorowie. skoro jak to hetman uczynił, wstawiają się do króla o podarowanie kwarty, co wszakże od wszystkich stanów sejmowych zależy.

Osobę swą, dotknięty srodze zarzutami majestat, broni król silnymi argumentami, lecz i tutaj nie spuszcza z oka potrzeby pouczenia poddanych swoich. Najpopularniejsze w całej Koronie i po Litwie powtarzane zarzuty. którymi usiłowano nie już sponiewierać, ale w nienawiść publiczną podać osobę króla, to były zarzuty co do małżeństwa powtórnego i praktyk rakuskich. Z powodu tych zarzutów wynikł ostatecznie rokosz, a Zebrzydowski, który niemi tylko wojował, urosł chwilowo na wielkiego rokoszanina. Dzisiaj dziwimy się błahości tych zarzutów, z których ten drugi był i dla rokoszan nieco dziwnym. gdyż pomijając brak dowodów. przy użyciu jego popełniono gruby anachronizm. przypominając wypadek niejasny, który w dodatku miał miejsce przed kilkunastoma laty. Król objaśniając błahość pierwszego zarzutu co do ożenienia się z siostrą przyrodnią zmarłej żony, zasłaniał się całkiem słusznie pozwoleniem papieskiem. ale dawał zarazem odpowiedź i dyssydentom. od których zarzut pochodził. Zakaz żenienia się w tym stopniu pokrewieństwa jest *iuris pontificii,* a skoro Klemens VIII. dał zezwolenie, przeto katolik nie ma się obawiać, tem mniej ewangelik. bo tego ewangelia nie zakazuje a Stary Zakon nawet nakazuje.[2] Co do praktyk rakuskich, to Zebrzydowski sam widząc ich nikłość, rozszerzył zarzut dawniejszych praktyk na czasy rokoszowe, twierdząc gołosłownie, że Zygmunt spuszcza Polskę Rakuszanom. Odpowiedziano tedy całkiem trafnie w obronie króla, „że gdyby sam anioł to powiedział,[3] tedybyśmy mu nie uwierzyli, bo się to nie zda z rozumem państwa nie dać synowi, a dać go szwagrom. Sam Zamojski na inkwizycyi nie twierdził. żeby król miał chcieć ustąpić państwa po dobrej woli...“

[1] Bibl. Kras. l. c. p. 383.
[2] Bibl. Kras. l. c. p. 378.
[3] Bibl. Kras. l. c. p. 277.

Przez takie wykazanie sprzeczności w samymże tkwiącej zarzucie, wykazał król całą nikłość zarzutu. A jednakowoż rokoszanie wojowali nim dalej, gdyż był to najpopularniejszy zarzut, sam Zamojski wkorzenił go w społeczeństwo, utrzymując, „że Rakuszanie niechcącego oszukiwali króla“! Dlatego to Zygmunt ciągle napiera na Zebrzydowskiego, aby to więcej praktyk rakuskich wykazał i dowiódł, i jak wiemy, tem właśnie skompromitował wojewodę, który dowodów żadnych nie miał i dlatego też nie stawił się na sejmie nie tylko on, ale nawet żaden z jego adherentów, celem wykazania tych praktyk. Naród widział tedy jasno niewinność króla, ale król nie tylko że dowiódł swego, ale jak we wszystkich fazach rokoszu, tak i teraz pod koniec jego zarzut przeciwko sobie skierowany, obrócił jako ciężkie obwinienie przeciwników. Natychmiast bowiem po potrzebie Guzowskiej, gdzie — jak nam wiadomo — dostano korespondencyę Herburta z Batorym, król przesłał skargę z powodu zdradzieckich z rokoszanami stosunków i niecnych zamiarów najazdu na Polskę Batorego.[1]) To wprost druzgocące rokoszan obwinienie było nauką dla narodu niesłusznie podejrzywającego rakuskie praktyki. Wykazując dowodnie, że rokoszanie, bezpodstawnie zarzucający mu praktyki, sami spiskują z wrogami, król tutaj dowodnie wskazuje wszystkim uwiedzionym, że Austrya to historyczny sojusznik Polski, dlatego ostrzedz ją należy o spiskach Batorego!

Nie mając ani stronników całkowicie sobie oddanych, ani sił do natychmiastowego stłumienia rokoszu, nie dziwna, że Zygmunt oddał się załatwieniu wojny domowej raczej środkami pokojowymi aniżeli przez miecz jakkolwiek — jak wiadomo — w ostateczności i niem mężnie bronił majestatu swego i ojczyzny. Ganiono mu, że nie przeciął wrzodu pod Janowcem i nie zniszczył tam rokoszu, mając rokoszan prawie całkiem w ręku. Ależ zapominają, że rokosz nie tylko był pod Janowcem ale w całem kraju, w Koronie i w Litwie, w całem społeczeństwie szlacheckiem, nawet wśród duchowieństwa pokutowały niektóre zasady rokoszan, istniało silne zsolidaryzowanie się z rokoszem. Pokonany pod Janowcem rokosz, w drobnej ilości rokoszan przez olbrzymie przemagające siły królewskie, mógł był wywołać chęć odwetu i jeszcze sroższy wywołać zamęt. Zresztą nawet pod Guzowem, kiedy już społeczeństwo w znacznej części przekonało się o niewinności królewskiej a o winie przeciwników, nie mógł król liczyć na bez-

[1]) Lubieński. De motu 137.

względną wierność wojowników. Wydano wrogowi wszakże hasło bitwy, senatorowie wśród bitwy odbiegli od króla! W podminowanem nawskróś anarchicznemi zasadami społeczeństwie droga leczenia społeczeństwa przez toż społeczeństwo samo nie była potępienia godną. Zamiast wyciąć wrzód, coby mogło spowodować nie dające się przewidzieć skutki w zbolałem już organizmie Rzptej, Zygmunt — jak to trafnie powiedziano — był tym lekarzem, który dopomógł do pęknięcia wrzodowi, ale leczenie rany pozostawił odporności samego organizmu i czasowi. Społeczeństwo samo, na widok szpetnej rany w ciele Rzptej musiało zająć się gorliwie leczeniem jej. Tem się tłumaczy owo szorstkie występowanie Myszkowskiego przeciwko Zebrzydowskiemu, Chodkiewicza przeciwko Radziwiłłowi, Opalińskiego przeciwko Stadnickiemu Dyabłowi, Stadnickich przeciwko Herbutowi i tylu tylu innych. Dopomagali oni królowi bezwiednie, pchnięci przez siłę zasad, które cenić i ochraniać się nauczyli, do zwycięstwa; wskazywali oni na owe rany Rzptej, byli oni jakoby wykonawcami wyroku historyi, która nie mogła uznać dążeń rokoszan jako dodatnich dla społeczeństwa, jako postępowych w cywilizacyi. W zręcznem wysuwaniu osobistości przeciwko rokoszanom, w zniewoleniu tych osobistości do służby zasadom porządku i rządnej wolności, w pilnem przestrzeganiu, by przez owe wojny domowe, w których jedni po drugich rokoszanie upadali, nie urosło niebezpieczeństwo dla całości Rzptej, można widzieć chyba dalszy dowód, że król pozostał wiernym zasadzie leczenia społeczeństwa zbolałego przez nie same: musiało być powolne, gdyż rany tkwiły głęboko w organizmie. Leczenie to przedewszystkiem winno się było odbyć na drodze narodowego prawodawstwa, gdyż właśnie w tym kierunku sumienie narodu było najbardziej spaczone.

Jeżeli bowiem wyżej kilkakrotnie podniesiono jak to fałszem i przewrotnością walczono przeciwko majestatowi, jak to anachronizmem i sprzecznościami w argumentacyi posiłkowano się walcząc przeciwko prawowitej władzy, to z drugiej strony dodać należy, że z całą świadomością złego użycie środków niegodziwych w walce, musiało zdeprawować sumienie narodu. Ażeby wskazać na dobitniejszy przykład niesumienności rokoszan we wskazanym kierunku, należy podnieść ich argumentacyę, o legalności ich postępowania. Uniwersałem z 15. czerwca 1606 r. usprawiedliwiali swe zjazdy w Stężycy i Lublinie nietylko na prawie przyrodzonem, ale na zwyczajach dawnych i na prawie pisanem w kapturach wyrażonem. Ale argumentacya takowa była równie fałszywą

jak i inne sposoby użyte w walce przez rokoszan. Prawa pisanego na usprawiedliwienie rokoszów i konfederacyi wcale nie znano w Polsce. Uważano wprawdzie związek konfederacyi zbrojnej za obowiązek przekazany tradycyą, ale dodać należy, że ta tradycya znała i usprawiedliwiała tylko konfederacye przy królu przeciwko wichrzycielom, husytom i nowatorom zawiązywane, a potępiała wszystkie związki przeciwko królowi, senatowi, władzy skierowane a nawet wskazywała na przykłady karania takich przeciwko władzy królewskiej wymierzonych rokoszów. Znawcy prawa polskiego natychmiast na rokoszu wskazywali bezprawność tego i dawniejszych temu podobnych konfederacyi i rokoszów i wskazywali na Spytka z Melsztyna i na rokoszowców z wojny kokoszej, jako na potępionych zarówno przez prawo jak i przez społeczeństwo. Tenże sąd ujemny o rokoszu wydaje współczesny prawie historyk owej wojny domowej,[1]) a tak samo oceniał król wyraźnie kilkakrotnie zaznaczając, że nielegalność zjazdów jego przeciwników leży już w samem bezprawnem ich zwoływaniu, albowiem przywilej zwoływania zjazdów przysługuje wyłącznie królowi. Toż kiedy związek w dalszym nieszczęsnym rozwoju przemieniać się począł w rokosz, sami rokoszanie w poselstwie swem lubelskiem nie mogąc już bronić legalności zjazdu mówią, że gdy sejmiki i sejmy uprzywilejowane sprawić nie mogły poprawy króla, przyszło do zjeżdżania się extra ordinem...

Wobec społeczeństwa jednak, wobec szlachty pismem i nazbyt wolnem słowem broniono legalności zjazdów, nicowano w tym kierunku przeszłość, fałszowano tradycyę, z całą świadomością uciekano się do silnie przez Skargę napiętnowanego matactwa prawdy,[2]) aby zbudować na niem prawną podstawę do swych dążeń. Zwodząc mowami i broszurami gmin szlachecki i zaszczepiając w nim swe doktryny, deprawowali oni środkiem swym sumienie narodu, i w tem właśnie leżało największe niebezpieczeństwo rokoszu. Tem wyżej przeto cenić należy legalne przeciwdziałanie króla, który właśnie na zwoływanych przez się sejmikach i na sejmie z 1607 r. dowodził faktami, gdyż przez tamże uchwalone środki ustawodawcze swej dążności do reform, ale z drugiej strony zapobiegał równocześnie znieprawianiu sumień i fałszowaniu przeszłości, dając na tych legalnych zjazdach sposobność zie-

[1]) Łubienski p. 79. Vetus in Polonia mos etc.

[2]) Przeciwko prawdzie mataczami nie bądźcie. Kazania sejmowe. Wyd. Turowskiego p. 16.

mianom do poznania przewrotności i nieprawości w działaniu przeciwników. Na skutek tego roztropnego postępowania sami ziemianie ustawodawstwem potępili rokosze. Był to tryumf nad złem największem, jakie groziło z dążeń i doktryn rokoszowych, a należy stwierdzić fakt, że w przeważnej części do tego rezultatu przyczynił się król Zygmunt. Tryumf ten dodajmy, miał swe dodatnie strony. Oto, jak już zaznaczono, wiąże się szlachta przemyska w czasie rokoszu, ale wiąże jedynie w tym celu, aby odeprzeć najazdy anarchisty rokoszanina, Sienińskiego. Ten zwyczaj starodawny popierania związkami rzadu prawowitego, odżył w województwie, widzimy wiążących się ziemian Lwowskich 1611 r. przeciwko swawoli żołnierstwa i znowu w parę lat później związek Sanockiej i Przemyskiej szlachty z tegoż czasu z powodu najazdu Siedmiogrodzian, a nieda się zaprzeczyć, że osiągały one cel zabezpieczenia pokoju ziemiom, w czasie kiedy rząd zajęty innemi ważnemi sprawami, nie mógł skutecznie pomódz i rozciągnąć swej opieki. Ale kiedy ziemianie Sanoccy uchwalają nadto pobór w swej ziemi na odparcie wroga i donoszą królowi o uchwale — król natychmiast odpowiada, że się pochybiło i że za prywatnym zjazdem pobór nie bedzie mógł wziąść skutku... Tak to poucza król, że jak sprawa zwoływania zjazdów tak też i pobory należą do zakresu jurysdykcyjnego króla i sejmu walnego. Toż coraz bardziej i na Rusi na tutejszych sejmikach szerzy się przekonanie, że materye status, pobory należą do sejmu i że nie należy uzurpować sóbie dla sejmików praw, które tylko zebranym na sejmie walnym przysługują stanom. Coraz też częściej odwołują się ziemianie do sejmu walnego, stamtąd żądają pomocy, dyrektywy, przyczyniają się sami przez wysłanie energicznych posłów do owych konstytucyi z 1609 i 1611 r., mających stanowczo zapobiedz rozruchom, gromadzeniu zbrojnych kup i t. p. zametom na przyszłość. Niezawodnie, że w skutkach tych dodatnich upatrywać należy wiele wpływów i pracy Zygmunta III., króla którego pomawiano o zachcianki do absolutyzmu.

Samo już postępowanie króla w całym okresie rokoszu jak je szczegółowo poznaliśmy, jego wyrozumiałości i powolności wobec skrajnych częstokroć żądań przeciwników, jego łagodność w użyciu środków przeciwdziałania, jego łaskawość względem tych, którzy z pokorą prosili o przebaczenie, jego taktowność w przyjmowaniu do łaski, oświadczał bowiem, że wykluczał zawsze złą wolę jako czynnik działania, te wszystkie cechy tak znamienne w postępowaniu król Zygmunta stanowczo wykluczają, jakoby król

dążyć miał do absolutyzmu. o co go pomawiali wszyscy rokoszanie. a nimi i niektórzy z historyków. W czasie. kiedy zaprzysiągłszy formę rządu. na skutek elekcyi gęstych niemal w swawolę zmienionego, zraził się do królestwa a mając dziedziczną Szwecyę chciał opuścić pierwsze. być może, że w czasie owym monarchia absolutna przyświecała Zygmuntowi jako ideał, ale okres ten nie mógłby trwać długo. Ze śmiercią Jana III. a następnie zmianą stosunków w Szwecyi. musiałby był król porzucić zamiary samowładcze. gdyby był je nawet w głębi duszy żywił. Zresztą przymioty charakteru króla, jego roztropność. umiarkowanie godne wielkiego króla, o którem z podziwem mówi Łubieński.[1]) dziewicza wstydliwość, pobożność, wreszcie umiarkowanie i łagodność — te wszystkie przymioty same przez się hamowały drogę do absolutyzmu. gdyby nawet czas jakiś był się z nim król nosił — co zresztą jest bardzo wątpliwe. Usunięcie Zamojskiego z pod boku swego, było niezawodnie przyczyną owych pomawiań o absolutyzm. o ile że kanclerz był przedstawicielem wolności szlacheckiej. jej rzecznikiem. a wreszcie anarchicznym orendownikiem. Zbliżenie się do dworu austryackiego i owe praktyki, które według badan archiwalnych tak niewinnie się przedstawiają, obudziły podejrzliwość, zwłaszcza gdy ją podniecił taki Zamojski.

Rezultaty powyżej przywiedzione nie stwierdzają jednak poglądów nowszych badaczy, jakoby na królu tylko ciężyła w całym stosunku jego do rokoszu wina kunktatorstwa, braku decyzyi bezpotrzebnego wysuwania senatu, paktyzowania z rokoszanami.[2]) Winy te cięża bardziej na senacie aniżeli na królu, bardziej na społeczeństwie szlacheckiem aniżeli na senacie. słowem ciężar winy rozłożyć należy na całe społeczeństwo, najmniej zaś obwiniać króla. Zapewne, że rokosz przeszło dwa lata wichrzył Rzpltą i wiadomo, że król nie przystąpił jak drugi Alba do wytępienia i zdeptania ruchu i wdawał się w rokowania, ale też z drugiej strony do rokowań tych. do zwłok, do układów nakłaniali wszyscy senatorowie, nie wyjmując tego. który dowodząc wojskiem dzierżył egzekucyę w swym ręku. Zygmunt niemiał wojska, jak Filip II., a niemiał też i wiernych senatorów. których dopiero do wierności przyuczać musiał: pozostawali oni pod wpływem teroryzmu rokoszan a i w wojsku samem byli zdrajcy i w bitwie bez zapału walczyli, senatorowie zaś w chwili niebezpieczeństwa opuszczal

[1]) Opera posthuma: oratio funebris 479.
[2]) Załęski, Jezuici I. 665.

króla, który jednak nie tylko że nie zadrżał przed niebezpieczeństwem. ale męstwem swem dodał innym ducha do walki.

Prawda jest, że ujemne skutki rokoszu fatalnie odbiły się na Polsce. Prawdą jest, że jak to świadczy Żółkiewski.[1]) domy i majętności były splądrowane, miasta złupione, drogi łotrowstwem napełnione, prawda że było zamieszanie takie, którego siła zgubiła państwo. Prawda jest, że współcześni widząc co się na okół działo, tracili nadzieję lepszej przyszłości, lub jak ks. Skarga prorokowali ojczyźnie upadek, jeżeli nie zwróci się społeczeństwo z obranej drogi. ale z drugiej strony dodać należy. że i tutaj w umniejszaniu brzemienia złych skutków widoczna jest działalność króla. Bez wątpienia. że ustępstwami zażegnywano domową klęskę, ale właśnie za przyczyną króla poznawano w czem leżało zło, którego większa część społeczeństwa nie widziała a mniejsza widzieć nie chciała; faktem jest. że rokowaniami torowano drogę do zgody. ale i tutaj dzięki królowi budowało samo społeczeństwo na sejmikach i sejmach zapory przeciwko przyszłym rokoszom, nie wątpliwie, że z butą ziemian obszedł się Zygmunt bardziej aniżeli łaskawie. ale z drugiej strony otworzył drogę do odsługiwania win przeciwko ojczyźnie i społeczeństwu popełnionych i on to żywiołowe siły i bujny temperament rycerstwa zwraca w kierunku przerwanych na wschodzie prac, tak dzielnie przez Jagiellonów popieranych i jeszcze tu i ówdzie rokoszowe zaburzenia tliły. gdy Żółkiewski po zwycięstwie Kłuszyńskiem zajął Moskwę, gdy krol zdobył Smoleńsk. Zachwiał rokosz powagą królewską a jednakże dzięki wyrozumiałości króla. jego stanowczości i wyższym dążeniom. wznoszącym się ponad mizeryę wojny domowej, wnet już powaga królestwa odzyskuje znaczenie w Europie a kraj, który z własną niekorzyścią odchylał się od zachodnich sąsiadów. podejmuje szereg zadań na wschodzie a później nieco i walkę z Turcyą. zadanie wiążące zawsze Koronę silnymi węzłami z zachodem w kierunku rozwoju cywilizacyjnego na wschodzie. co było po owe czasy znamienną cechą i przeznaczeniem ludów Rzpltej.

I w tym zwrocie właśnie upatrywać należy istotne znaczenie rokoszu. nie zaś w mniemanych dążeniach do reform wewnętrznych ze strony rokoszan; cała doniosłość dziejowa zgnieconego ruchu polega bowiem na zwrocie dokonanym na rzecz poprawy

---

[1]) Pisma 478.

Rzpltej na drodze legalnej przez sameż społeczeństwo w skierowaniu polityki z drogi wspólnej z malkontentami węgierskimi i ruchem zwróconym przeciwko Habsburgom, na drogę wspólnego z tą potęgą dynastyczną działania w sprawie wschodniej. Cały zrąb zadań i prac społecznych stoi w ścisłym związku z dokonanym zwrotem po upokorzeniu rokoszu, który dążąc do zupełnego złamania powagi królewskiej, do chwycenia steru rządów przez możnowładztwo, do związania się z ruchem węgierskim, mógł tesame smutne skutki wywołać, jakich doświadczano w Węgrzech, a więc wtrącić kraj w walkę rodów i w walkę z władzą legalną, słowem w anarchię i w zawisłość od Turcyi. „Patrzcie na upadki królestw wołał Skarga... na bliską sąsiedzką ziemię Węgrów, niegdy bogatych i możnych, na owe złote jabłko królestwa ich, jako na obleciały dom, jako na dąb, z którego liście opadły... lud w niewolę pobrano, szlachtę wybito na zamkach, Turczyn co dzień więcej się wzmacnia, co dzień ziemię i wszystko psuje...” Niebezpieczeństwo takie zostało odwrócone a z tem ułatwiono podjęcie zadań wziętych w spadku po przeszłości, a więc zadanie sprzężenia ludów Rzpltej ściślejszym węzłem, rozszerzanie praw jednego stanu na coraz szersze warstwy społeczne, słowem pogłębianie i szerzenie cywilizacyi zachodniej, a w dalszym ciągu i zadania polityczne jak kwestye szląska i bałtycka, a przedewszystkiem walka przeciwko ciemięzcom cywilizacyi chrześciańskiej, wrogom Krzyża. — To ostatnie bowiem zadanie, od pojęcia którego rokoszanie odpychali Rzpltę, było nietylko zadaniem cywilizacyjnem w spadku po świetnej przeszłości wziętem, ale nadto jednym z najdzielniejszych środków odrodzenia narodów Rzpltej.

Do tego poglądu na rokosz uprawnia nas rozbiór szczegółowy stosunku wschodnich województw do rokoszan. W dwóch głównie kierunkach zaznaczyła się działalność tak znaczniejszych mężów wschodnich województw jakoteż i reprezentantów stanu szlacheckiego wybranych na sejmikach wojewódzkich. W ziemiach, w których wolnościowe dążenia szlachty odbiły się głośnem echem, poparto silnie zalecany przez króla środek naprawy Rzpltej na legalnej drodze sejmu a nie przez nielegalny środek rokoszu, i powtóre, stąd też po daremnych próbach uspokojenia rokoszan najenergiczniej podano pomoc do stłumienia rokoszu. I w tem wszystkiem upatrywaliśmy zasługę niemałą króla, który w stronach, w których najbujniej urosło w potęgę anarchiczne możnowładztwo, w stronach, które służyć miały rokoszanom za łącznik z rewolu-

cya węgierską z zadaniem odcięcia się od zachodu, stworzenia nowych ognisk walki przeciwko władzy legalnej, że tutaj właśnie utworzył król podpory prawowitej władzy, skierował możnowładcze rody w kierunku walki z anarchią i popierania dążeń w najbliższej styczności z postępem cywilizacyi zachodniej stojących, słowem stworzył podstawy odrodzenia Rzpltej.

Antoni Prochaska.

MATERYAŁY
do historyi polskiej XIX. wieku.

Działalność emigracyi z roku 1831 na terenie Turcyi do pokoju Paryskiego.

(Ciąg dalszy).

Do Michała Czaykowskiego.

Paris, 27. Nov. 1848.

Mon cher Czayka. Je vous envoie une lettre pour S. M. I. le Sultan. Prenez connaissance de son contenu. S'il y avait quelque chose qui manquât dans la forme ou le fond, je vous prierais de m' en' avertir. Je crois bien faire en adressant cette lettre à S. M. Ma démarche confirme en quelque sorte votre résolution patriotique relative au bienfait que vous avez reçu. Je ne puis vous refuser d'accepter l'offre généreuse que vous faites pour les besoins de la cause commune et qui vieudra fort à propos nous tirer des fâcheux embarras du moment. Recevez, mon cher Czayka, les remerciements qui vous sont dus de la part de Votre pays, pour cette novelle preuve de votre dévouement à sa cause et d'un patriotisme digne d'être imité par vos concitoyens

et qui doit vous assurer toute leur estime. La mienne vous est acquise depuis longtemps, ainsi que ma constante et sincère amitié.

(Signé).

A. C. (monogram).

Do Michała Czaykowskiego.

Paris le 17. Mai 1849.

Mon cher Czayka! Vos rapports gagnent en intérêt, à mesure que les circonstances deviennent plus importantes. Jamais il n'y en a eu de plus graves pour l'Empire ottoman. J'apprends avec joie qu'on s'y arme, que l'on met en bon état les forteresses qui bordent la Mer Noire, le Bosphore, les Dardanelles et le Danube. Les positions de cette dernière frontière sont-elles suffisament occupées? La Porte doit absolument se mettre sur un pied de défense formidable, capable de repousser toute agression qui voudrait ajouter une seule violence à celles déjà accomplies; Elle doit même être en mesure de prendre l'offensive si les circonstances le rendront nécessaire. Mais pour accomplir en réalité et dans toute son étendue cette tâche devenue indispensable, il faut de l'argent. Je vois dans les journaux qu'on s'en est préoccupé à Constantinople. Vous me le confirmez: et poussé par un zèle, que j'approuve, vous m'adressez diverses questions sur cette matière importante. J'aurais souhaité que vous ayez pu me dire plus clairement quels sont à ce sujet les voeux et désirs des ministres Ottomans. Sentant cependant combien le temps était précieux, je me suis décidé, sans attendre de plus amples informations, de parler à Mr Ardoin (que vous connaissez sûrement de réputation) sur la possibilité d'un emprunt à la Turquie. Il a reçu favorablement cette ouverture, et s'est offert d'écrire à ses amis de Londres, et de me donner dans quelques jours une réponse plus précise. Je ne pourrai vous la faire connaître que le courrier prochain. Sur ma question si la garantie de l'un des gouvernements d'occident serait nécessaire pour faire réussir l'opération, il m'a répondu que cela lui semblait inutile. Que celui d'Angleterre n'était pas à présent dans l'habitude de se mêler de ces sortes d'affaires, mais qu'il pourrait indi-

rectement l'encourager ou l'entraver. que celui de France était lui-même dans de trop grands embarras pécuniers. Que ce serait plutôt la stabilité du Ministère turc, sa politique, sa manière d'agir, les ressources de l'Empire etc. etc. qui faciliteraient l'emprunt. Cela n'en vaudra peut-être que mieux si l'on peut se passer de la garantie d'un gouvernement quelconque. Néanmoins je crois qu'il est bon de s'assurer de ce qu'on aurait à attendre sur une telle proposition de la part du gouvernement français et j'ai écrit a Lord Dud. Stuart en le priant de sonder le terrain soit dans la Cité, soit près du Ministère. En somme il est utile d'avoir plusieurs cordes à son arc. Tefels a aussi écrit à Mr Rodokonakin, négociant ayant une maison à Constantinople et à Londres, au fait des deux Pays. et lui a demandé son avis sur le projet d'un emprunt de cent millions de francs pour le compte de la Turquie.

Je supose que le gouvernement turc veut être prèt à faire tête à toutes les exigences de ces temps difficiles, dans ce ces il n'y a pas de doute sur la convenance, sur la nécessité même d'un emprunt à l'étranger.

Je ne saurais surtout douter que la volonté de S. M. le Sultan ne vienne en aide dans cette occasion à ses Ministres pour leur donner l'activité, la vigueur, nécessaires à l'accomplissement d'une mesure indispensable pour la guerre, avantageuse pour la Paix afin de la rendre plus assurée, et qui pourrait dans ce dernier cas faciliter bien des entreprises d'utilité politique. Vous pourrez communiquer ce que je vous écris à S. A. Reschid Pascha; il y verra une preuve de plus de l'extrême intérêt que je prends à la securité et à la gloire de l'Empire ottoman. Le même sentiment m'engage a ajouter que l'emprunt. et son emploi le mieux dirigé, ne suffiront pas pour que la Porte se croie garantie de toute mauvaise chance; il faut en outre qu' Elle commence d ê s à p r é s e n t ses réformes bienfaisantes dans les Pays slaves; il faut quelques actes, qui fassent croire aux populations que le turc veut sincèrement adoucir leur sort et avoir égard à leurs voeux. Si la Porte n'entre pas dès ce printemps dans cette voye, elle s'en repentira: des faits, et des mesures même isolées dans ce sens, feront un excellent effet: prouveront les bonnes dispositions de la Porte, y feront croire (ce qui n'existe pas dans ce moment), arrèteront les effets de insinuations russes. et seront une manière de réunir des renseignements plus précis sur ce qu'il y a à faire intérieurement pour les pays chrétiens sujets de l' Empire.

Je finis mon cher Czayka en assurant de toute l'amitié que vous me connaissez pour vous depuis si longtemps

A. Czartoryski.

Memoryał X. Adama Czartoryskiego złożony Sułtanowi Abdul-Medgid'owi.

A Sa Majesté Impériale Le Sultan Abd-ul-Medgid Empereur des Ottomans.

Sire!

Le Ministère Ottoman vient de déclarer à l'Agence polonaise de Constantinople qu' Il lui retire le secours promis et généreusement accordé par Votre Majesté Impériale.

Permettez-moi, Sire, d'en appeler de cette décision au jugement éclairé et suprême de Votre Majesté Impériale.

Ce n'est pas d'aujourd'hui que, plein de confiance dans les sentiments magnanimes de Votre Majesté Impériale, je ne Lui ai pas caché l'impossibilité où j'étais de soutenir, par mes seules ressources, les Agences Polonaises distribuées dans l'Empire Ottoman. Lorsque pour la première fois, j'en fis l'aveu devant Votre Majesté Impériale, ces Agences existaient depuis dix ans; et pendant ce laps de temps, je n'avais épargné ni soins, ni travail, ni frais, selon les faibles moyens dont je dispose, pour que les Polonais employés en Orient, tout en faisant connaître et en plaidant la cause de leur Patrie, s'efforçassent aussi toujours de se rendre utiles et serviables au Gouvernement de Votre Majesté Impériale. Je puis affirmer en toute conscience que ce résultat a été obtenu. Il était dans la nature même des choses qui unissent les meilleures espérances de la Pologne à la défense et au solide progrès de l'Empire turc.

La gracieuse approbation de Votre Majeste Impériale, manifestée en plusieurs occasions à l'Agence Polonaise, et enfin l'ordre donnée par Votre Majesté Impériale de protéger l'Agence et de contribuer aux moyens qui peuvent garantir sa durée, furent la plus douce récompense de notre zèle et des efforts que nous faisions pour nous rendre utiles au Gouvernement qui, seul presque, nous avait franchement accueillis et qui avait compris quels services nous pouvions lui rendre.

La dernière notification faite au Comte Kościelski, — et c'est ce qui la rend si pénible, — ne peut s'expliquer que par un changement complet d'opinion du Gouvernement Ottoman à notre égard.

Si nous avons eu le malheur de perdre la faveur et la confiance dont Votre Majesté Impériale avait daigné quelquefois nous honorer; si Elle ne croit plus que nous puissions lui rendre d'utiles services, et cesse d'attacher quelque intérêt à leur continuation, alors, comment pourrions-nous prétendre à les prolonger.

Ayant à lutter contre tant d'ennemis puissants, sans aucun soutien étranger, nous ne pouvons continuer nos travaux en Orient qu'en étant assurés de la protection efficace et souveraine de Votre Majesté Impériale.

L'Agence Polonaise, pour rester utile au Gouvernement Ottoman, doit, avec l'appui de Votre Majesté Impériale, conserver le caractère de sa nationalité, de son action distincte et pour ainsi dire indépendante. Sous cette forme, les sujets chrétiens de Votre Majesté Impériale prêteront l'oreille à notre influence loyale. C'est ce qu'a compris Méhemed Sadyk Bey Effendi lorsque, cédant à des circonstances impérieuses et à son dévouement sans bornes pour la personne de Votre Majesté Impériale, il n'hésita pas à quitter l'Agence en se plaçant sous la souveraineté de l'auguste Chef des musulmans.

L'Agent qui a succédé à Méhémed Sadyk n'a pas son expérience, et n'a pas jusqu'ici égalé sa capacité, bien rare, en effet, au même degré: mais, il est animé du zèle le plus sincère pour le bien de l'Empire turc, et a eu le bonheur d'en donner des gages avant même que d'occuper saplace actuelle. Ce fut même l'un des motifs qui le firent choisir pour remplir ce poste lorsqu'il devint vacant.

Dans une circonstance aussi décisive, lorsqu'il s'agit de continuer ou de faire cesser les services dévoués que les Polonais se flattaient de pouvoir rendre à la Turquie et à son Souverain, je crois remplir mon devoir en m'adressant directement à Votre Majesté Impériale.

Je dépose ce peu de mots qui dépeignent suffisamment la position pénible et difficile dans laquelle nous nous trouvons, aux pieds de Votre Majesté Impériale, afin que Sa décision suprême à l'égard de l'arrêté de Son ministère, nous apprenne, d'une manière précise, ce qu' Elle veut que nous fassions.

Si la volonté de Votre Majesté Impérale ne nous est pas favorable, j'en serai douloureusement affecté; mais, en m'y soumettant avec respect, je ferai des voeus ardents pour que la prospérité de Son règne n'en soit point diminuée.

Daignez voir, Sire, dans la démarche que j'ôse faire aujourd'hui auprès de Votre Majesté Impériale, une preuve de plus de mon attachement réel et dévoui à Sa Personne Auguste et de mon désir de Lui prouver qu'il ne saurait jamais varier.

Je suis avec le plus profone respect

Sire de Votre Majesté Impériale

retres humble et tres obeïssant et devoui serviteur

A. Czartoryski.

Paris, 26. Avril 1851.

Do Michała Czaykowskiego.

D. 31. marca 1855.

Kochany Panie. Dowiaduję się, że już jesteś w drodze do Stambułu i że wkrótce tam będziesz. Muszę ci wyrazić, ile mnie ta wiadomość cieszy, gdyż wiem dobrze, iż tam wiele przez swoją bytność poprawisz, sprostujesz i uskutecznisz: na dobro razem Turcyi, sprawy polskiej i formacyi polsko-kozackiej. — Chodzi mi bardzo o to, żebyś wiedział, iż ja znam doskonale stan wcale nie dogodny agencyi stambulskiej; ale nie chcę go ruszać, nie mając coś pewnie lepszego na to miejsce. Drozd jest poczciwy człowiek, ale niestosowny do tego miejsca. Wybór innych agentów, jak naprzykład Żukowskiego jest dla mnie zupełnie obojętnym i bardzo życzę, żeby był czyniony z twojej ręki, dla porządku służby i dlatego, że znasz ludzi i wiesz, jakich najlepiej użyć. — Obejrzawszy się w Stambule, spodziewam się, że do mnie napiszesz i oświecisz mnie co do prowadzenia interesów naszych w Stambule, i co do tyle nas obchodzącej spólnej formacyi. Odebrałem od Pani Sadykowej kopię podanego projektu o cywilnem i wojskowem urządzeniu Dobruczy. Komunikowałem go Ministrowi; a w tych dniach poniosę go samemu Cesarzowi w nadziei, że się doń zainteresuje. Odebrałem także sekretne udzielenie listu

cyfrowanego względem G. N. i z tego także uczynię użytek, u samego tylko Cesarza, nic nie kompromitując. Doniosę potem o skutku mojej audyencyi. Mówiąc tu o listach Pani Sadykowej, muszę wyrazić moją prawdziwą wdzięczność za niezmordowaną pracę, którą utrzymuje tu z nami, swoją bardzo nam użyteczną i potrzebną korespondencyą. Jest w tej pracy wiele serca i poświęcenia, których wartość umiem czuć. Nim sam pospieszę moje podziękowania jej powtórzyć, proszę, abyś chciał być ich tłumaczem. Pewny także jestem, iż bytność Pana w Stambule utwierdzi jedność i zgodę, którą zetknięcie się w Maksimeni. Zamojskiego z Panem zaprowadziło. To jest mojem najszczerszem życzeniem; byle to życzenie, jak nie wątpię, było równie twoje jak Zamojskiego, to nic porządku służbowego i harmonii nie rozprzęże. Nic nam potrzebniejszego być nie może; za każdą plotkę lub burdę podrzędną, za niezgrabność lub głupstwo naprędce wysłanego pod-agenta, odpowiedzialni być nie możemy.

Obwódka czarna papieru, przypomni ci Panie stratę mojej dobrej siostry, która do ostatnich czasów życia swego zawsze o Panu wspominała. Potem pomyślniejszy nastąpił i wcale niespodziewany wypadek, małżeństwo mego syna Władysława. Wierzę i spodziewam się, że smutki i wesela mojej rodziny podzielasz teraz jak dawniej. Nie dziw się, że Zamojski troszcze się trochę szczególniej 2-gim pułkiem. To bardzo naturalne. Ale ty Panie, troszczyć się powinieneś obu pułkami, gdyż oba do twego korpusu należą i razem walczyć będą; będzie da Bóg i więcej pułków. Dłużej czas nie dozwala mi pisać, kończę z pospiechem, ponawiając wyraz prawdziwego poważania i nieodmiennej przyjaźni

A. C. (w monogramie).

Do Michała Czaykowskiego.

Paryż, d. 4. sierpnia 1855.

Kochany Panie. Przez parę tygodni oddaliłem się z Paryża, i z żoną i z córką zwiedziłem Holandyę. Wróciwszy zastałem kilka długich i pełnych ważności listów od Pana. Ostatni był z...,[1]) za które mocno mu dziękuję. List w krórym po francusku opisujesz swoją rozmowę z P. Thouvenel „in natura“, posłałem do Ministra, a wyciągi z listów polskich będą dziś dodane. Zamachy

[1]) W oryginale przerwa.

dyplomatyczne Austryi są tu mniej więcej znane. Ale P. Walew.(ski) rozumi, że Turcya nie śmiałaby zerwać z zachodem, i osobno przez Austryę z Moskwą się pogodzić. Zresztą są ostrzeżeni i wiadomości w ostatnim liście, zawarte o generalizimusie i w bilecie Aleona, będą do reszty wyciągów dodane. Jesteś dobrze i jak należy uważany u P. Walewskiego. Plan twój, o mogącej być rozpoczętej kampanii nad Dunajem i Prutem, jest teraz w jego ręku, gdyż zdaje się, iż o tem seryo myślą, nie wiem tylko czy tego roku, czy też na przyszłą wiosnę, co bym prawie wolał, lękając się źle, i w późnej porze rozpoczętej operacyi, lepiej może poczekać, i przedsięwziąć rzecz dobrze przygotowaną, z potrzebnemi siłami. Są tu już przekonani, że powrót Reszyd P. do władzy jest potrzebny; ale P. ma to sam czuć i nie życzy pozostać W. Wezyrem. Postępowanie Omer P. jest niesłychane; nie można wytłumaczyć sobie tego człowieka, i czem on się teraz zrobił, i jak spadł do teraźniejszego swego stanu; czy ten upadek jest momentalny czy też na zawsze takim zostanie. O dwóch Ministrach są z twoich listów uwiadomieni. Spodziewam się, że względem nich będą stosownie działać. Thouvenel pokazał się całkiem stronnikiem austryackim. Mówią jednak, że on jest także stronnikiem X. Napoleona, który ma ten przymiot, że nie cierpi Austryę; chwalił się, iż ma bilety, które dowodzą, że Thouvenel jeszcze ją bardziej nie cierpi. Zdaje się, że Thouvenel ma dwie cięciwy u swego łuku i że chce być gotowym na wszelkie odmiany. Im się bliżej patrzy na ludzi, tem mniej ich cenić, i mniej na nich rachować można. Tu gotują się dosyć na dalszą wojnę, a jednak myślą, że pokój przed zimą nie jest niepodobnem i zostają w tem oczekiwaniu. Cesarz osobiście jest szczery i nam przychylny. Ale on tylko jeden. Wszystkie figury, co go otaczają prócz może P. Walewskiego, są przeciwne, niechętne, zatrzymujące wszystko, nic nie rozumiejące, życzące byle jakiego pokoju i może jemu w gruncie przeciwne, a przynajmniej bez gorliwości i bez prawdziwego przywiązania do niego i do swego kraju. Patryotyzm jest tu rzeczą prawie nie znaną w wyższych klasach; znaleźć go można tylko w ludzie, który dba o honor Francyi. Wyżsi dbają tylko o rozkoszne i spokojne życie, o pieniądze, o Bursę; szerzy się zatem zniewieściałość, brak zupełny moralności i z gruntu zepsucie.

P. Zamojski jest w Londynie. Znajduje Ministrów równie jak tu odwołujących się na Austryę, bojących się, aby się za Moskwą nie zdecydowała i nieśmiejących nic zrobić, coby jej się nie podobało. Jednak Ministrowie zdają się gotowi wziąć na siebie

wydatki. potrzebne na uzbrojenie i postawienie na nogach 3-go pułku: bez żadnej atoli gwarancyi politycznej na przyszłość. P. Zamojski trzyma się odpornie, na nic jeszcze nie przystał. Rzecz ma się ułożyć za przybyciem Lda Clarandon z królową do Paryża. Nazwa kozacka podobno zostanie, bo polskiej jeszcze nie chcą. Fundusz będzie angielski, ale pułk będzie w służbie tureckiej; to może lepiej będzie i do twojej Panie myśli przypadnie, póki imię i sztandar narodowy nie będzie dozwolonym. Tu może za przybyciem królowy, między obu rządami rzecz ta się wyświeci, może więcej na naszą korzyść. Tymczasem Rosyanie zaczynają czynić do nas różne kokieterye, wabią nas naprzód osobistemi koncesyami, które mało kogo znęcą; ale ja myślę, że przyjdą potem ogólniejsze dla kraju i dla narodowości oświadczenia, które mogą w coraz większy ambaras wprowadzić. Jest to zgodne z ich polityką, i tylko z a w z i ę t o ś ć u p a r t a M i k o ł a j a b y ł a p r z y c z y n ą, że oni prędzej tego nie użyli s p o s o b u, m i e s z a n i a t u s z y k ó w i k o r z y s t a n i a z a p a t y i i n i e r o z u m u z a c h o d n i c h p a ń s t w, k t ó r e n i c d o t ą d n i e z r o b i l i, a b y z a c h o w a ć d l a s i e b i e u f n o ś ć i p r z y w i ą z a n i e P o l a k ó w. Czekam z wielką ciekawością na opis rozmowy drugiej z Thouvenelem, która miała być w piątek. Witold jest prawdziwie słaby; z żoną także słabą kąpie się w Ostendzie; ten fryszt jest mu potrzebny. Wkrótce wróci i wybierze się na wschód niebawem; nie miej mu za złe to odkładanie. On temu nie winien: ułoży się to jak można dobrze i będzie na czas na swem miejscu. Boję się, że ten list już Pana nie zastanie w Stambule. Bywaj zdrów. Dobry i niezmienny przyjaciel

A. C. (w monogramie).

Do Michała Czaykowskiego.

Paryż, d. 8. września 1855.

Kochany Generale. Odebrałem twój list z Burgas, dnia 24. sierpnia pisany; czytałem go ze smutkiem i niespokojnością; w kilka godzin korzystałem z niego w rozmowie, którą miałem z Cesarzem, i której krótki opis ci posyłam. Ja jeszcze mam nadzieję, że nasze tu starania nie będą bezskuteczne i że przeniesienie kozaków do Azyi nie przyjdzie do skutku, że się odwlecze

i nareszcie będzie odwołane. Witoldowi, dla zdrowia bardzo niepewnego i dla upadłych nadziei i dla wydanych rozkazów wbrew im szkodzących, zakazałem udać się w tej chwili do pułku, a zatem musiałem prosić dla niego o dymisyę. Z tą prośba wysyłam do Stambułu jego brata, dla oświadczenia mojej wdzięczności rządowi tureckiemu i mojego żalu, iż Witold nie może dziś korzystać z okazanej mu uprzejmej czesci. Władysław pojedzie potem do obu pułków, gdziebądź one znajdywać się będą. Będzie miał ukontentowanie ciebie kochany generale uściskać i powie ci wszystko, co listownie nie podobna wyrazić. Wiezie z sobą liczne efekta dla ubrania nagich żołnierzy. Może Bóg da, że przejdziemy bez wielkiego szwanku przez teraźniejsze okropne trudności i że rzeczy pójdą potem składniej. Wszystko to jest nam nasłane przez Austryę, której Cesarz nie wiele wierzy, ale myśli, iż musi dogadzac, w czem Anglia czy z złej woli, czy z zaślepienia najwięcej działa. Ja myslę, że wszędzie jest niesłychane zaślepienie, które się w sprzymierzonych okazuje nietylko względem nas, ale względem wszystkiego, coby im pomagaćby mogło, a nawet względem Szwecyi najlepiej usposobionej. Czy to zaślepienie kiedy z ich oczu spadnie! Mocno się stroskałem obrazem stanu 2-go pułku. Najgorsze skutki mogą wyniknąć Może się dadzą twojem staraniem odwrócić. O czas tylko chodzi. Ale ten przeciąg czasu jakże będzie trudnym! Zamojski pospieszył do Londynu. Spostrzeżesz z rozmowy z Cesarzem, że on żąda, aby układów z Anglią nie żrywano. Zamojski będzie się starał najlepiej ile można je zawrzeć, tak aby jego formacya kozacka pozostała osobną w służbie tureckiej, pod komendą polską i chyba z rozkazu Seraskiera poszła pod rozkazy jakiego generała angielskiego. Piękne jest i przykładne twoje żołnierskie postanowienie iść, gdzie każą i wszędzie honor oręża utrzymać bez skazy. To uczynisz z chwałą dla siebie i dla imienia polskiego. Ale ja zawsze mam nadzieję, że nie pójdziesz do Azyi, a jeśli pójdziesz, to Bóg da, że wrócisz ocalony ze swojemi. Bo tam wkrótce śnieg i zima wszystkiemu położy koniec. Twoją kasę rezerwową chciałem założyć datkiem od Cesarza, czy się uda, nie wiem: czy przed wyjazdem mego syna? bo wola nawet najlepsza Cesarza bardzo opieszale się wykonywa. Moja rozmowa z nim jest tylko dla generała i niech nie będzie nikomu pokazywana. Spuszczam się w tej mierze na jego dyskretność. Wszystkie tu słowa i działania P. Zamojskiego dowodzą mi, że on jest z najlepszą wolą i sercem dla ciebie, kochany generale, że jest przejęty ważnością formacyj kozackich pod twojem dowódz-

twem, że wszystko uczyni dla pomagania im szczerze; że wszyscy jemu bliżsi, nawet i Kalinka, są w tem samem przekonaniu i usposobieniu. Bądź tego pewnym. Niepisał bym tego, jeślibym nie widział to oczywiście. Nie wątp o tem i bądź pewny, że ja dopilnuję, aby tak było zawsze. To wiedzą oni wszyscy. Niech Bóg osłania i prowadzi. Niezmienny przyjaciel

A. C. (w monogramie).

Do X-cia Władysława Czartoryskiego.

Paryż, d. 3 lipca 1855.

Mój Władysiu. Z wielkiem zadowoleniem czytałem twój list z dnia 21. p. m., pisany, zaraz wysiadłszy z okrętu i w którym mi piszesz o rozkazie odebranym od Sadyka i wypełnionym natychmiast, jak porządek służby wymagał. Ja wiem, że szkodzić Sadykowi na własną szkodę bynajmniej nie chcesz i że w zgodzie z nim chcesz działać, bo to jest i przyzwoitem i z pożytkiem i koniecznem dla dobra sprawy. Jego różne okoliczności wyniosły na pole, na którem się znajduje: ty na to pole wstąpiłeś i bierzesz go z chęcią za to, czem on już jest i gdzie on na świecie, szczególnie kozackim, nam przychylnem i tyle potrzebnem, a teraz po zajęciu Azowskiego morza wzrastającem w ważność, znaczne usługi sprawie ogólnej i naszej oddać może. Starajmy się więc pomagać mu ile możemy. Jesteśmy w trakcie układów z rządem angielskim, o czem już donosiłem, posyłając ci listy Lda Hamowley, o czem ci Władzio[1]) z gruba i pokrótce dziś pisze. Ja te traktowania przeciągnę aż do twojego przyjazdu; chwalę ten zamiar i życzę, abyś go zaraz dopełnił, porozumiawszy się o wszystkiem z Sadykiem. Wy najlepiej doprowadzicie do praktycznego skutku, podług miejscowych okoliczności, cały ten zakrój przychylniejszych nieco usposobień obu rządów zachodnich, i które się objawiają przez szczodre dostarczanie rekwizytów, broni, ubrania i t. d. dla kozaków, o co się Witold bardzo czynnie i pracowicie dopominał i miał do zwalczenia wszelkie biurowe tu trudności. Spodziewam się, że mu w tej mierze oddasz sprawiedliwość. Anglicy ofiarowali chorągiew, teraz ją odmawiają nawet w Azyi i tylko znaki oznaczające narodowość dozwalają, w hufcach naszych będących na ich

---

[1]) Zamoyski.

żołdzie. Nie wchodzę już w żadne rozprawy względem tego, bo rozważymy rzecz za twoim przyjazdem. Przybędziesz z praktycznemi swojemi i Sadyka myślami, które nas z różnych wykonania wątpliwości wyprowadzą. Ja myślę, że ten list zastanie cię jeszcze w Stambule, bo może będą trudności w uzyskaniu urlopu. Przewiduję jednak, że ciebie list nie zastanie, dodam na kopercie, że go Sadyk może otworzyć. Spodziewam się, że Kalinkę przywieziesz. Pisałem już o nim. Zapewne przed wyjazdem stara się porozumieć z generałami francuskimi i angielskimi. Tych ostatnich zdanie będzie wpływać na nich. Piszę w pospiechu i w odmęcie nadchodzących wizyt. Starałem się pomódz wszędzie. Interes jego jeszcze mniej tutaj zajmuje jak nasz. Austrya i tu na przeszkodzie. Ostrzegam o Thouvenelu, iż mówią o nim, że jest raczej Austryi przychylny i jej wierzący. Może to niezupełnie prawdą. Ściskam was serdecznie.

(Bez podpisu).

Do Adama Mickiewicza.

Cha...py, (nieczytelne) *d. 2 listopada 1855.*

Posyłam Panu dwa listy. Pani Sadykowej listu nie przysłałeś i zapewne dobrze uczyniłeś. Utyskiwania, jak sam mówisz, są próżne. I cóż się istotnie stało? Oto za wdaniem się, nawet za nastawaniem Cesarza, rząd angielski pierwszy raz nareszcie wszedł w układy z Polakami i chce ich formacyę uzbroić, utrzymywać, powiększyć; tego Cesarz nie chce jeszcze sam czynić, choć on jeden nam niewątpliwie w sercu najlepiej życzy. Czyż dlatego Sadyk jest stracony i już nie ma w swoim obszernym zakresie dalej swe dzieło prowadzić? Wiem, że pomoc Francyi dla niego teraz była by właśnie konieczną. Czyż o nią, nietylko teraz, ale od dawna i wciąż nie staram się? Czyż się godzi mnie winić za to, że moje usiłowania nie miały dotąd pomyślnego skutku? Ja tych usiłowań nie zaprzestanę i myślę, iż w końcu bezskutecznemi nie będą. Jakiś pęd i łańcuch okoliczności wpędził nas w położenie przykre i trudne. Z niego cofnąć się nie jest w naszej mocy. Starajmyż się z tego położenia, jakiebądź ono jest, najlepsze lub najmniej złe następstwa dla sprawy polskiej wyciągnąć. Nie psujmy, jak krzykliwe dzieci, nie zrywajmy sami nici naszych losów, dla-

tego, że są chwilowo przykro zaplątane. Sadyk ma po sobie Turków nam przyjaznych; niech z swego wpływu korzysta, aby swoją formacyę pomnożyć: to mu tem prędzej Francyę zjedna; niech broni przed Turkami P. Zamojskiego; niech P. Zamojski z swojej strony, który po sobie ma Anglików, a nawet Francuzów, pomaga we wszystkiem Sydykowi podług możności. Co pomoże, że oni, a raczej ich stronnicy będą się gryść i zajadać między sobą? Odkomenderowanie 2-go pułku, na którego Sadyk od początku złem okiem patrzał i prawie, za swój nie miał, czyż powinno mu być tak dotkliwem? kiedy go może zastąpić innym pułkiem, swoim wpływem i pod swoim okiem sformowanym. Ja we wszystkiem szukam powodów do zgody, bo w tem widzę jedyne godło i drogę zbawienia. Nic gorszego, jak wszędzie postrzegać same kłamstwa, podejścia i zdrady, bo to prowadzi tylko do zniechęcenia i rozpaczy. Francya, Anglia i Turcya zrobiły nam teraźniejsze położenie, a P. Aleon na nas wkłada całą winę, jakbyśmy mogli rządami podług każdej naszej woli kierować. Chybia się z prawdą względem pobytu P. Zamojskiego w Węgrzech, gdzie on pojechał, aby bronić Słowian i przekonać Madyarów, że powinni łącznie z nimi działać. Równie i w innych oskarżeniach mija się z prawdą.

Niech Pan we wszystkiem udaje się do Pana Morawskiego z zupełnem zaufaniem, gdyż on jest prawdziwie człowiek bezstronny i mający jedynie sprawę kraju na widoku. Spieszę się kończyć, ponawiając ci kochany Panie wyraz stałej zawsze i szczerej przyjaźni

A. C. (w monogramie)

List do mego syna proszę mu odesłać prosto do niego, pod kopertą tylko ambasady.

Koniec I. części.

FR. RAWITA-GAWROŃSKI.

Stosunek muzyki polskiej do zachodniej w XV. i XVI. wieku.

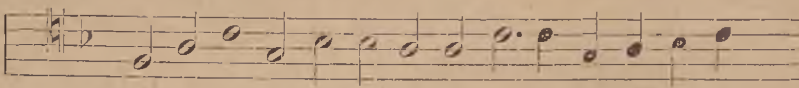
(Dokończenie.)

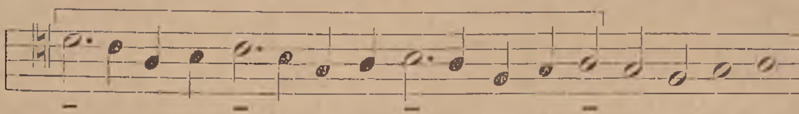
Przeglądając bezpośrednio po Felsztyńskim kompozycye (zwłaszcza motety) Wacława, spotrzegamy natychmiast różnicę i postęp — różnicę, która sprawia, że Wacławowi z historycznego punktu widzenia przyznać możemy pierwszorzędne stanowisko w rozwoju naszej muzyki. Polega ono na wprowadzeniu ścisłego stylu imitacyjnego do muzyki polskiej, stylu polegającego na kontrapunktycznem przeprowadzaniu motywów w imitacyach przez wszystkie głosy. Mniej prawdopodobnem jest, iż nastąpiło to pod wpływem Okeghema, raczej dzięki temu, że uczeń tegoż, Josquin des Prés, należał do znanych u nas mistrzów. Śpiewano jego kompozycye w Krakowie, a dwóch jego uczniów przebywało w stolicy polskiej: mianowicie wspomniany Arnoldus i Jean Baston. Tego ostatniego znał Wacław bez wątpienia osobiście, gdyż w czasie jego pobytu w Krakowie (1552—1553) kolegował z Bastonem w kapeli królewskiej. Jeszcze w r. 1565 transponował Bacfart canzonę „Faute d'argent“ Josquina w „Harmoniae musicae“. Josquin cieszył się w XVI. wieku tak wielką sławą europejską jako „princeps musicae“, że wrażliwy na zachodnie prądy Wacław nietylko zapoznał się z jego dziełami (choćby jako śpiewak królewskiej kapeli) lecz także z kompozycyami jego uczniów, z jego

t. j. z trzecią niederlandzką szkołą, najlepiej i najwięcej wówczas u nas znaną. Kompozycye Wacława wykazują bardzo ścisłą łączność z nią, pomimo, że jeszcze nie zrywają zupełnie z tradycyą współczesnych Josquinowi starszych Niederlandczyków. W swych psalmach nie wyemancypował się z pod ich wpływu. Tenor śpiewa długie nuty (najkrótsza: semibrevis!), t. zw. „Haltenoten“ lub „Pfundnoten“ cantus firmi, co jest dowodem, że nie szedł zbyt za tymi, którzy już wówczas żądali, aby główną melodyę umieszczano w dyskancie, zwłaszcza w pieśniach, mających bądźcobądź jako cel propagandy śpiewanie pieśni religijnych w nieliturgicznym języku. Pod tym względem oddziaływał na Szamotulskiego Isaak, Senfl i Mouton. Interpretacya tekstu w kompozycyach Wacława jest nieskazitelną[1]) — pod tym względem Josquin był najlepszym wzorem. Nowe zdanie tekstu rozpoczyna nowym motywem, nawet wtedy, gdy zdanie jest powtórzone. Także powtarzanie kilkakrotne słów tekstu jest archaizmem u Szamotulskiego. Pod względem tematycznym posługiwał się Wacław nawet w inkryminowanych mu dyssydenckich psalmach motywami gregoryańskimi, nieznacznie je upraszczając: a czynił to bynajmniej nie „w myśl surowej modły chorałów protestanckich“ (jak sądzi A. Poliński, op. c. 71), lecz z tej prostej przyczyny, że psalmy, przeznaczone do ogólnego użytku, nie mogły zawierać melismatycznych trudności, możliwych do pokonania przez wprawnych śpiewaków. Ale i w tych pieśniach nie składa Szamotulski ofiary duchowi popularności i piętrzy trudności, jak to widać z głosów dyskantowych, a zwłaszcza altowych, które na stary sposób najwięcej mają u niego do śpiewania. Zwłaszcza w motetach gromadzi Szamotulski frazy koloraturowe, wstrzymujące wprost oddech śpiewaka. Wystarczy dla objaśnienia zacytować wyjątek z tenorowej partyi „Lamentacyi“ (fol. 10 a. i b.):

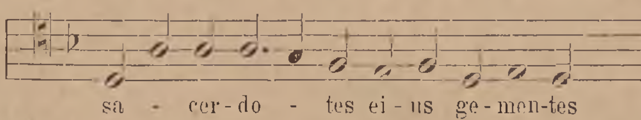
---

[1]) Starowolski pisze (l. c.), że „Venceslaus (vero) ita proportionibus ex Mathematices studio delectatus, ut aeque sonos Musicos ac metra componeret...“ Wynikałoby z tego, że Szamotulski podobnie, jak kilku ówczesnych niemieckich mistrzów (Senfl, Hofhaimer etc.) tworzył utwory o rytmice, naśladującej antyczne poezye metryczne. Być może, iż to echo działalności Celtesa w Krakowie. Ten bowiem humanista wpłynął w tym kierunku na Senfla i Hofhaimera.

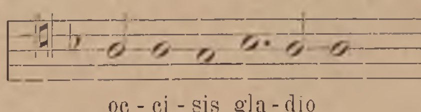




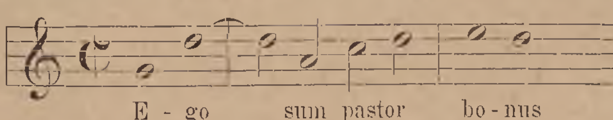
W przeciwieństwie do Felsztyńskiego melodyjność Wacława posiada wielką gładkość i politurę, wolna jest od szorstkich i nienaturalnych interwalów.[1]) Linie jego melodyi mają w sobie więcej falistości niż u Felsztyńskiego, choć Leopolita go pod tym względem przewyższa. Znacznie więcej niż Felsztyński zwraca Wacław uwagę na zgodę rysunku melodyi z treścią tekstu. Jak pełnym wyrazu jest smętny motyw z „Lamentacyi“ (fol. 3 a.):



lub nad słowami „Melius fuit occisis gladio“ (l. c. fol. 16 b.):



Jak wyrazistym w swej łagodności motyw pierwszy z motetu „Ego sum pastor bonus“ („Monumenta“ II. 14):



Przy słowach „Allejuja“ ruchliwość rytmiczna i melodyjna koloraturowych fraz wyraża radość. Gdy w tymże motecie Chrystus mówi: „Pono Animam Meam pro ovibus Meis“, powtarzają się łagodne, a pełne oddania równoległe współdźwięki pod słowami „pro ovibus“, jakby z bukolicznej villanelli wyjęte:

---

[1]) Bardzo charakterystyczne są u Wacława ciągłe skoki tercyowe w melodyi,



Z pewnością celowo użył tu Szamotulski równoległych kwint, których zawsze starannie unika.[1])

Faktura utworów Wacława jest absolutną w swej polifonii. Nawet tam, gdzie jak w ostatnim cytacie na chwilę unika imitacyi, nie mamy do czynienia z pomysłami harmonicznymi, lecz wyłącznie kontrapunktycznymi. Homofonii unika Wacław niemal zupełnie. Żaden z głosów nie jest dominującym, żaden nie trzyma innych w zależności, nawet tenor nie jest niczem innem, jak szkieletem... niewidocznym (niesłyszalnym) całej kompozycyi, okrytym żywemi figuracyami.[2]) Na wzór ówczesnych kontrapunktystów przeciwstawia w 4-głosowej fakturze dwa głosy przeciw dwom. Nie jest obojętnym na wyzyskanie kontrastów brzmień wysokich i niskich. W motecie „Ego sum pastor bonus“ alt, tenor i bas zstępują terasowo w coraz niższe pozycye, dyskant pauzuje; po chwili odzywa się w wysokiej pozycyi i łączy z resztą głosów.[3]) Również skłonnym jest do rytmicznych i kontrapunktycznych parallel dwóch głosów (zazwyczaj w decimach, leżących między tenorem i basem). Imitacye urozmaica Wacław w ten sposób, że raz zaczyna je od najwyższego głosu, wprowadzając je kolejno,

---

[1]) NB. Takich paralel nie należy osądzać z fortepianowego punktu widzenia: w zespole wokalnym brzmią bardzo interesująco.

[2]) Zwłaszcza u Josquina, Pipelare'a etc., a „cantus firmus“ nie posiada żadnego melodyjnego znaczenia. Znika wprost dla ucha. Inaczej u Fincka, Felsztyńskiego i t. d.

[3]) Niewątpliwie nauczył się Wacław tych kontrastów barw wokalnych u Willaerta, na wzór którego pisał także msze na dwa chóry (por. spis kompozycyi po Jasińczycu, † 1572, kapelmistrzu nadwornym polskim, podany w „Dziejach“ A. Polińskiego, str. 58). Nie bez wpływu pozostał Phinot, Gombert i Klemens „non Papa“. — Podobny efekt, jak w „Ego sum Pastor“ znajdziemy bardzo często u Cypryana de Rore. Trzy głosy niższe wykonują „motum rectum“, dyskant zaś „motum contrarium“.

drugi raz od najniższego. Ztąd powstaje różnorodność kontrapunktów. W kadencyach przestrzega starannie tonacyi kościelnych. W końcowych kadencyach lubi używać nuty stałej, leżącej w jednym głosie, na którym trzy inne budują urozmaiconą tkaninę kontrapunktyczną.[1]) Na dwa takty przed końcem następuje oryginalny efekt, znowu polegający na kontraście. Przedtem „nuta stała“ znajdowała się w jednym głosie, gdy trzy inne wykonywały figuracye: obecnie trzy głosy spoczywają, jeden zaś wykonuje melismat, będący złamanym trójdźwiękiem. U Josquina, a przedewszystkiem u Klemensa „non Papa“ są melodyjne i kontrapunktyczne sekwencye, jakich Wacław używa przed zakończeniem utworu. Z „Lamentacyi“ przytoczyliśmy już wyżej jeden przykład (fol. 10 a. i b.); w temże dziele są jeszcze bardziej charakterystyczne na karcie 3 a., 15 b. i t. d. Dawniej używali kontrapunktyści tego efektu dla podniesienia wyrazu motywu. Polifonia Wacława odznacza się niezwykłą ruchliwością, właściwą tylko wybitnym talentom. Cechuje ją lekkość, b r a k wszelkiej k a n o n i n i c z n e j p e d a n t e r y i (czego dowodem jest swoboda imitacyi), przejrzystość budowy, doskonałe brzmienie, wystudyowane tylko na muzyce włoskich szkół (Willaert w pierwszym rzędzie!), szerokie przeprowadzenie tematycznych przemian, kunsztowne fioritury w ruchu prostym i wstecznym (por. zwłaszcza motety „In Te Domine speravi“ i „Ego sum p. b.“), kunsztowne splatanie symoistnych motywów, logika budowy połączona ze swobodą tektoniki. Surowa powaga, której nie należy identyfikować z „pedanteryą“ jest główną cechą jego indywidualności, której nie zatracił, mimo, iż wiele nauczył się od wielu mistrzów. Niewymuszona łatwość w konstruowaniu faktury polifonicznej sprawia, iż Szamotulski należy obok Zieleńskiego i Chylińskiego do najwybitniejszych mistrzów kontrapunktu w Polsce. Żałować nam trzeba, że zaginęły jego dwuchórowe msze zapewne przekonalibyśmy się, że był największym.

M a r c i n L e o p o l i t a (* 1540 we Lwowie, † 1589), o którym Starowolski pisze, że „praeter domesticam disciplinam, hoc est Academiae Cracoviensis praeceptores nullum alium magistrum extraneum habuerit“, był zdaniem dotychczasowych naszych pisarzy muzycznych uczniem Sebastyana Felsztyńskiego. Jestto je-

[1]) Oczywiście nie jest to harmoniczny „Orgelpunkt“, gdż harmonii Wacław nie czuje, skoro jest absolutnym kontrapunktystą i przestrzega tonacyi kościelnych.

dnak w wysokim stopniu wątpliwem. Leopolita pobierał pierwsze nauki we Lwowie, zkąd przeniósł się celem studyów akademickich do Krakowa. Mogło to nastąpić najwcześniej w r. 1550. Wtedy już Felsztyńskiego w Krakowie nie było, ponieważ był plebanem sanockim, a może już nie żył. Wątpić należy, aby przed r. 1555 mógł Leopolita rozpocząć studya nad kontrapunktem. Również słowa Starowolskiego: „domestica disciplina“ i „praeceptor nullus“ nie odnoszą się do samej muzyki wyraźnie, lecz wogóle do studyów na uniwersytecie jagiellońskim, zwłaszcza, że Starowolski wspomina o „poetices atque musices studio“. Nasuwa się pytanie, czy Leopolita nie był przypadkiem uczniem — Szamotulskiego, który nietylko że był o 11—15 lat starszy, ale także w czasie, gdy Leopolita miał lat zaledwie 10, t. j. w r. 1550, już był zajętym tworzeniem słynnych „Lamentacyi“, jak tego dowodzi data, umieszczona pod „feria quarta“ Eksklamacyi („Lamentacyi“): mianowicie:

S
W
Crac. 20. Mar. 1550.

Przypuszczenie moje, któremu nie można odmówić pewnej racyi, nabiera prawdopodobieństwa wobec tego, że faktura utworów Leopolity jest podobna do dzieł Szamotulskiego. Gdyby Leopolita kształcił się u Felsztyńskiego, nie udawałby się do Krakowa, lecz do Sanoka, czy też do Kalisza lub Samborza.

W Krakowie zaś Szamotulski był w latach piećdziesiątych najwybitniejszym muzykiem i kompozytorem. Wobec braku dowodów nie mogę mego przypuszczenia uznać za kategoryczne, w każdym razie wykluczonem jest, aby Leopolita miał być uczniem Felsztyńskiego. Ważnym jednak argumentem są kompozycye Leopolity.

Prócz wspomnianych zagubionych „Pieśni... na cały rok kościelny“ pozostały po Leopolicie trzy msze pięciogłosowe (z sześciogłosowymi epizodami): „Missa Rorate“, „Missa de Resurrectione“ i „Missa Paschalis“ (wydana przez ks. dra J. Surzyńskiego w „Monumenta m. s. i. P.,“ III.). Jakkolwiek głos basowy w „Credo“ tej ostatniej mszy jest dwukrotnie uszkodzony, to jednak ta kompozycya jest zupełnie wystarczająca dla zdania sobie sprawy ze znaczenia i wartości dzieł Leopolity.

O ile Szamotulski posługiwał się przeważnie 4-głosową fakturą, jako ogólnie przyjętą w połowie XVI. wieku, o tyle Leo-

polita niemal wyłącznie tworzył utwory na 5—6 głosów. Jest to znak nowego czasu, w którym kontrapunktyści coraz częściej wzbogacali środki muzyczne, coraz więcej komplikowali fakturę wielogłosową przy równoczesnem dążeniu do uproszczenia tektoniki kontrapunktystycznej. Widzimy to u Leopolity. Znajdziemy u niego mało tak ścisłych imitacyi jak u Wacława. Oczywiście konsekutywne wprowadzanie głosów na początku utworu w imitacyach, utrzymuje się jeszcze u Zieleńskiego; ale już u Leopolity jest ono więcej niż swobodne i odbywa się tylko na mały dystans, poczem następuje wolny kontrapunkt, wreszcie pojedyncza („nota contra notam“), niemal homofoniczna faktura (zwłaszcza w „Gloria“ i „Credo“). Najczęściej jednak używa pojedynczego kontrapunktu ożywiając głosy koloraturami, analogicznemi z temi, które u Orlanda di Lasso ciągle się powtarzają.

Kontrastowania polegającego na przeciwstawianiu wyższych i niższych lub mniejszych i większych grup wokalnych, tak jak je widzimy u Szamotulskiego nie spotykamy u Leopolity. U obydwu kompozytorów znajdziemy rytmiczno-melodyjne korespondencye między dwoma głosami (w decymach), lecz równie skąpo u obydwu. I Leopolita przestrzega tonacyi kościelnych, jednak już widoczną jest skłonność do nowożytnego poczucia tonalności. Niektóre opóźnienia harmoniczne z mszy pasterskiej mogłyby się znaleźć w dzisiejszym podręczniku do nauki harmonii. O chromatyce nic jeszcze nie wie ani Leopolita ani Wacław. Wynagradzają nam to obydwaj pełnem i doskonałem brzmieniem swych kompozycyi; zwłaszcza Leopolita celuje w tem dzięki użyciu 5- i 6-głosowej faktury, odznaczającej się nadzwyczajną czystością. Kwarty równoległe są pokryte innymi głosami i nie dochodzą w wykonaniu utworu do wyraźnego brzmienia. Jest to niewątpliwie wpływ włoski i francuski, który u Leopolity jest widoczny zwłaszcza w pełnem polotu i elegancyi prowadzeniu głosów (Gombert!) i w wielkiej ich ruchliwości. Subtelne, wprost harmoniczne współbrzmienia głosów i osiągane za ich pośrednictwem efekty przy zupełnym braku chromatyki również przypominają Gomberta, jak i liczne fioritury. Niemniej i poprzedników rzymskich Palestriny, nawet Goudimela, którego elegijność, łagodność rafaeliczną i wykwint musiały być Leopolicie szczególnie sympatyczne. Być może, iż pod wpływem słynnego motetu Gomberta „Diversi diversa orant“, w którym każdy z 4 głosów śpiewa inny tekst, wyjęty z pieśni maryańskich, wpadł Leopolita na kapitalny pomysł zużytkowania tematycznego czterech pieśni wielkanocnych w pasto-

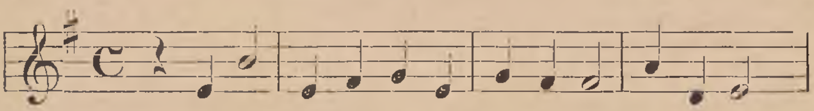
ralnej mszy: jakkolwiek u niego diversi unum orant. Pomimo poszukiwań skrzętnych nie udało mi się znaleźć podobnego pomysłu u innego kompozytora. W wyższym stopniu niż u Wacława podziwiamy u Leopolity mistrzowstwo tematycznej roboty i silnie rozwinięty zmysł urozmaicania tektoniki kontrapunktycznej zapomocą elementów waryacyjnych. W mniejszym lub większym stopniu lubi Leopolita używać równoczeénie ruchu prostego i przeciwnego w grupach głosów; w każdym razie czyni to częściej niż Szamotulski. U obydwu mistrzów jest widoczna doskonała forma. Jakkolwiek Leopolita więcej i subtelniej cyzeluje szczegóły niż Szamotulski, to jednak po mistrzowsku zachowuje stosunek części do całości, czego brak n. p. Tomaszowi Szadkowi.

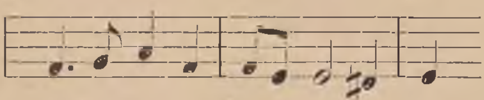
Szamotulski i Leopolita stoją na granicy między epoką niederlandzką i włoską. U obydwu są widoczne wpływy niederlandzkie i włoskie: u Wacława przeważają pierwsze, u Leopolity drugie w połączeniu z francuskimi. Zasługą Szamotulskiego jest wprowadzenie do nas faktury imitacyjnej, którą Leopolita doprowadził do najwyższej doskonałości i swobody. Wraz z Leopolitą rozpoczyna się u nas epoka bezwzględnego panowania szkoły rzymskiej i weneckiej. później neapolitańskiej (w drugiej połowie XVIII. wieku).

Pierwszym kompozytorem, którego twórczość jest wzorowaną na szkole rzymskiej jest Tomasz Szadek (* w 1550), twórca trzech zachowanych mszy, z których mszę „in melodiam moteti Pisne me“ wydał ks. dr. Surzyński w „Monumenta“ I. Datowana jest na rękopisie liczba: 1580. Prawdopodobnie Szadek pisał wyłącznie na 4 głosy i wątpić można czy jego styl i technika pozwoliłyby mu na większe komplikacye. W porównaniu z Leopolitą i Szamotulskim oznacza Szadek uproszczenie faktury polifonicznej. Bardzo często nawet jeden z czterech głosów pauzuje (zazwyczaj bas), tak że cała msza zawiera mnóstwo trzygłosowych epizodów. Oczywiście w „Credo“ przy słowach „unam sanctam catholicam et apostolicam Ecclesiam“ śpiewają wszystkie cztery głosy, co było wówczas regułą, przestrzeganą zwłaszcza przez rzymską szkołę. Mniej ściśle przestrzegał tego Leopolita każąc contratenorowi swej mszy w odnośnem miejscu zbyt długo pauzować. Nie znając innych mszy Szadka, nie mogę właśnie przy tym kompozytorze mówić o wielkich zaletach. Ponieważ jednak powyższa msza nosi datę 1580, a inne msze są wcześniejsze (1578), przeto jest ona na ogół miarodajną w ocenie znaczenia historycznego i wartości utworów Szadka. Niestety nie mogę podzielać zdania

ks. dra Surzyńskiego, jakoby Szadek był „genialnym kompozytorem“ („Monumenta“ I., str. XII.). Do genialności pierwszym stopniem jest poprawność faktury i to tembardziej poprawność czterogłosowego „Satzu“. U żadnego z genialnych mistrzów, u żadnych choćby drugorzędnych wielkości nie znajdziemy równoległych oktaw w czterogłosowym utworze, choćby w tempie szybkiem przeznaczonych do śpiewania: u Szadka znajdują się one w „Sanctus“, gdzie wydawca bardzo subtelnie i bardzo trafnie oznaczył „larghetto“. Można darować mu ukryte kwinty i oktawy, znajdą się one nawet u Palestriny w takiem arcydziele niedoścignionem jak „Missa Papae Marcelli“ („Credo“), znajdą się w psalmach Orlanda di Lasso, znajdziemy je u Bacha i Händla, ale żaden z nich w realnej kontrapunktycznej fakturze (i to czterogłosowej) nie popełni oktawowych paralel, które nietylko ówczesna teorya uznawała już od dawna za wielki błąd. Inna rzecz równoległe kwinty z tercyami w środku, wogóle równoległe trojdźwięki. Są one bardzo charakterystyczne dla epoki, w której żył Szadek: przedewszystkiem szkoła rzymska i jej mistrz Palestrina, tworzyła sobie z nich monopol, dzielony później przez włoskich i niemieckich Palestryńczyków. O ile u dawniejszych kompozytorów polskich rzadko spotykaliśmy się z epizodami równoległego prowadzenia głosów i to tylko dwóch głosów tercyami, sekstami lub decymami, u Szadka istnieje kilka paralel trzygłosowych i to bez synkopowania w jednym z głosów jak to ma miejsce w wyjątkowem iście miejscu (wyżej wspominanem) w motecie „Ego sum pastor bonus“ Wacława z Szamotuł. Dążność do homofonii, poczucie harmoniczne, mógł Szadek podsłuchać nietylko w rzymskiej szkole, ale choćby u Cl. Sermisy'ego, posługującego się tymi samymi niemal środkami technicznymi, ale mimo to cechy rzymskie u Szadka dominują. Cały charakter mszy jest nawskroś palestrinowski. Ta miękkość harmoniczna, rzewność melodyi, prostota kontrapunktycznego przeprowadzania motywów i niemal mistycyzm harmoniczny, przejrzystość budowy i jednolitość stylistyczna, polegająca — jak często w rzymskiej szkole — na posługiwaniu się jednym tematem w całej mszy („varietas in unitate“ — „unitas in varietate“), szczerość, wylewność i niemal ekstaza religijnego uczucia, spokój natchnienia, kontrastowanie polegające na tem, że raz szczegóły są wykończone w opracowaniu, drugi raz niemal zbyte w sposób bardzo bezpretensyonalny, ciepły koloryt i szczerość i prawdziwość wyrazu; wszystko to u Szadka spotykamy w wielkiej, bardzo wielkiej dozie, a źródłem tego nie jest

nikt inny, tylko Palestrina i jego szkoła. Jedna jeszcze wada razi u Szadka obok kilku bardzo niepozornych. Mianowicie zbyt mały horyzont myśli. Nie znajdziemy u niego tak szeroko wyprowadzonych fraz jak u Szamotulskiego lub Leopolity, a nawet Felsztyńskiego. Nie zastąpi tego żywa rytmika, mająca w sobie coś z pieśni, nawet z madrygału. N. p.:

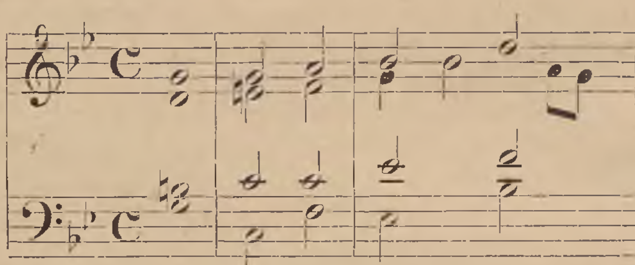




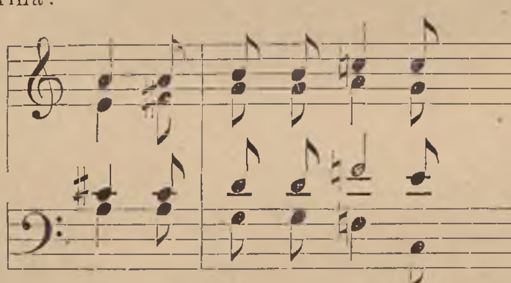
Nie zastąpi również zdolność do waryacyi, która jest bardzo widoczna w „Credo“, gdzie w małych basowych ostinatach umie Szadek nadać reszcie głosów odrębność harmoniczną (wogóle Szadek ma skłonność do ostinat, czego nie należy sobie tłumaczyć dodatnio wobec małych zdolności do tematycznej rozmaitości). Monotonii trudno u Szadka nie spostrzedz; wina leży w samym temacie mającym w sobie mało danych do rozmaitości i przeinaczania go. Usiłuje to zastąpić Szadek zręcznem harmonizowaniem: mimo to siła kontrastów jest zbyt słaba, aby mogła utwór uratować od jednostajności, którą wyjątkowo trafnie zauważył A. Poliński w „Dziejach muzyki polskiej“ (str. 83). Znaczenie Szadka polega na tem, że on prawdopodobnie pierwszy jest przedstawicielem rzymskiej szkoły u nas i że — podobnie jak rzymska szkoła w muzyce europejskiej, tak Szadek w muzyce polskiej oznacza tendencyę i zrealizowanie uproszczenia faktury, tak jeszcze skomplikowanej u Szamotulskiego, Leopolity i Borka Krzysztofa). Kierunek szkoły rzymskiej reprezentowali u nas: ks. Jan Brandt (* 1551), który kształcił się w Rzymie i wydał w Warszawie (?, 1586) zaginione „Pieśni łacińskie i polskie“, zapewne bardzo proste w fakturze, skoro się cieszyły popularnością w całej Polsce; następnie uczeń Palestrińczyka Francesca Suriana w Rzymie, Krzysztof Kicker (por. „Monumenta“, I., str. VI.), o którym nie wiadomo czy był tylko organistą, czy też i kompozytorem; Marcin Paligoniusz, twórca pięciogłosowego motetu „Rorate coeli“, o którym ks. dr. Surzyński wyraża się z wielkiem uznaniem („Monumenta“, I. str. VI.). O Paligoniuszu Kickerze i Brandcie

pisze Starowolski w „Hecatontas“ jako o znakomitych twórcach. Niestety dzieła ich prawie wszystkie zginęły, stąd nie można stwierdzić o ile Starowolski ma racyę. A. Poliński podaje w „Dziejach“ (str. 101—103) wiadomość o dwóch tabulaturach z XVI. wieku, w których zawarte są kompozycye dwóch monogramistów N. C. i N. Z.. Wyjątek z mszy („Kyrie“) tego ostatniego załączony w „Dziejach“ (str. 102), wskazuje na zupełnie zdecydowany wpływ rzymskiej szkoły; wszystkie szczegóły są nawskróś identyczne z rzymską fakturą. Najsubtelniejszymi utworami polskimi, napisanymi pod wpływem szkoły rzymskiej są pieśni Diomedesa Catona. wydane p. t. „Rytmy łacińskie dziwnie sztuczne, y nabożeństwem swym a starodawnością dosyć wdzięczne... Przekładania X. Stanisława Grochowskiego... y z tabulaturą na Lutnię Diomedesa Catona“ (W Krakowie, 1606). Cztery z nich wydał na nowo ks. dr. Surzyński w dodatkach do „Muzyki kościelnej“ (1889—1890). Sam początek pieśni „Memento salutis auctor“ uderza każdego, kto zna słynny motet Palestriny „Vox dilecti mei“, podobieństwem do jednej z fraz tego motetu:

Diomedes Cato:



Palestrina:



Zresztą zwrot ten przeniknął całą szkołę rzymską. Analizując formę tych pieśni łatwo spostrzegamy jej peryodyczną budowę,

która wskazuje na willanelle i na włoskie canzonette spirituale (z tekstem łacińskim lub włoskim — u Catona łacińskim i polskim). Czystość faktury czterogłosowej jest nieskazitelna: wyłączone są zupełnie szczegóły obce religijnemu charakterowi kompozycyi i tekstu. Na ogół faktura jest homofoniczną, mimo, że tu i owdzie (zwykle na początku utworu) znajdą się mniej lub więcej swobodne imitacye bynajmniej nie naruszające doskonałej obserwancyi praw prozodyi, tak surowo przestrzeganych przez szkołę rzymską. Czyim uczniem był Cato, sprowadzony do Polski w bardzo młodziutkim wieku — tego nie wiemy, ale jego tendencye rzymskie są niezatarte. Z kompozytorów polskich swej epoki wyróżnia się, że w małej formie, mistrzowskiej w swej prostocie, kryształowej w czystości stylu i faktury wypowiedział wiele. Właściwą jest mu dojrzałość stylu, a ztąd spokój klasyczny, którego brakło Mikołajowi Gomółce. Prawdopodobnie nie jest Cato pierwszym kompozytorem u nas, którego ujęła prostota rzymskiej szkoły, a więc jedna z jej najcharakterystyczniejszych cech. A. Poliński podaje w „Dziejach“ (str. 106) wyjątek (chór 4-głosowy) z „dyalogu“ Marcina Łaskiego, poety pułtuskiego, p. t. „O drzewie żywota“ (1578), który w istocie jest typową włoską canzoną zwrotkową z tekstem polskim, silnie homofoniczną. We Włoszech w podobnych wypadkach madrygał miał wdzięczne pole do błyszczenia elegancyą faktury — rzadko willanella, częściej canzona z instrumentalnem towarzyszeniem, w pastorałkach jednak willanella. Jakkolwiek i utwory Diomedesa były przeznaczone „dla naszych prostych domaków“, to jednak ich twórca umiał pogodzić prostotę stylu i faktury z poprawnością artystyczną i unikał starannie błędów, które są dowodem dyletantyzmu lub niedbalstwa. Inaczej G o m ó ł k a, autor antologii psalmów p. t. „Melodje na psałterz polski przez Mikołaia Gomółkę uczynione“, wydanej w r. 1580 w Krakowie u Łazarza. Utwory należą do najczęściej dziś wymienianych z pośród XVI. wieku, mimo, że w porównaniu z wszelkimi utworami polskimi tejże epoki nie wytrzymują krytyki ani porównania z dziełami tych kompozytorów polskich, o których potomość łatwo zapomniała. Dystans między Gomółką a Wacławem z Szamotuł lub Leopolitą jest tak wielki, że porównywanie go z nimi byłoby dowodem lekceważenia ich. Nie ulega wątpliwości, że psalmy Gomółki musiały cieszyć się powodzeniem i popularnością; nie dorównywały jednakże Wacławowym psalmom także pod tym względem, ponieważ mamy dowody, że Wacława śpiewano jeszcze w XVIII. wieku (na pocz.), czem Gomółka

nie może się poszczycić. Z tych wszystkich powodów nie można przyznać słuszności sądowi p. Z. Jachimeckiego, iż „mimo wszystkich zarzutów były psalmy Gomółki największem i najpoważniejszym dziełem muzycznem, wydanym drukiem w Polsce w XVI. wieku“ (por. „Sprawozdania z czynności i posiedzeń Akademii Umiejętności w Krakowie“ tom XII., nr. 4, str. 4). Żaden pisarz nie stwierdza popularności Gomółki; inaczej rzecz się ma z Brandtem i Leopolitą, których dzieła według Starowolskiego i innych obiegły całą Polskę. Czy największem były „Psalmy“ Gomółki dziełem co do rozmiarów, tego nie wiemy, gdyż i „Hymny Felsztyńskiego i „Pieśni“ Brandta i Leopolity zginęły — ztąd brak możności porównania. Najpoważniejszem jednak dziełem być nie mogły, gdyż Gomółka w stosunku do Szamotulskiego zarówno co do talentu i wiedzy jest wielkim dyletantem. Nie ulega wątpliwości, że prócz zabawnego brzmienia nazwiska, łatwego do zapamiętania i prócz promiennego nazwiska Kochanowskiego, opromieniającego Gomółkę-„współpracownika“, nazwisko tego kompozytora łatwiej utrzymało się na powierzchni pamięci społeczeństwa. Jeśli dobroduszni polscy raczej krytycy niż historycy szukali podobieństwa między Gomółką a... Palestriną, to zapewne nie wiedzieli, co czynili, porównując dwa pojęcia, z których jedno na porównaniu nietylko wszystko straci, ale i samo stopnieje. Palestrina a Gomółka — to dwa odrębne style: jeden kościelny, drugi domowo-nabożny — jeden okazały jako wcielenie potęgi i misteryum kościoła, drugi wyraz cichego, choć często głębszego westchnienia duszy pobożnej, odmawiającej przy i po pracy pacierze. Mimoto są u Gomółki ustępy w psalmach, które dawnych „historyków“ muzyki zanosiły myślą do... Palestriny. Jestto prostota faktury i niektóre szczegóły stylistyczne, jak n. p. równoległe trójdźwięki, uwzględnianie czystych trójdźwięków w głównej pozycyi, homofonia ciągnąca się często długimi ustępami i t. d. W istocie wiele łudząco podobnych szczegółów znajdziemy u Gomółki. Mówiąc, że jego psalmy są przeznaczone „...nie dla Włochów, dla Polaków“ daje do poznania, że znał Włochów i musiał ich podziwiać, stawiając ich tak wysoko. Oczywiście mógł znać też uproszczone wydanie psalmów Goudimela z r. 1565 (lub następne wydania), na co dowodów nie ma, lecz co możemy przypuścić, ponieważ w sąsiednich Czechach był znany nieszczęśliwy francuski kompozytor, którego psalmy (tekst Marota i de Bèze'a) przetłumaczył Jerzy Streyc (1586). Jednakże styl palestrinowski poza szczegółami jest odmienny z natury rzeczy; następnie niedbała

faktura Gomółki nic nie ma wspólnego z Palestriną; również surowość Palestriny, z jaką przestrzega prawideł deklamacyi muzycznej, stoi z daleka od Gomółki. A więc nic prócz małych i nic nie znaczących szczegółów nie ma Gomółka z szkołą rzymską wspólnego. Nie można nte wspomnieć, że chromatyka, której próby i usiłowania znajdziemy u Gomółki, jest obcą rzymskiej szkole, a zwłaszcza Palestrinie. Niektóre psalmy Gomółki są identyczne z formą willanelli, inne są wzorowane na canzonette spirituale: frottoli jednak nie znajdziemy, ponieważ nawet we Włoszech nie była już wówczas znaną i nigdzie ani psalmów, ani wogóle żadnych pieśni religijnych nie tworzono na frottoli. Ztąd przypuszczenie dr. Z. Jachimeckiego (l. c.) jest błędne. Z pośród kompozytorów polskich z końca XVI. wieku Gomółka jest najbardziej interesującym pod względem harmonicznym. To nie ulega wątpliwości. Jednakże większość jego pomysłów osiągnięta jest wprost przypadkowo wśród mocowania się z 4-głosową fakturą. Pomysły harmoniczne są przeplatane wybujałością dyletanckiej nieporadności. Są miejsca w psalmach, których nie popełniłby dojrzały kompozytor, a których nie można usprawiedliwić żadną tendencyą do prostoty i popularności, jeśli się weźmie jako przykład tej ostatniej uproszczone wydanie psalmow Marota-Goudimela. Programowe cechy nie są obce psalmom Gomółki: jest to wpływ madrygału i francuskiej chanson, które były wówczas najtypowszemi formami programowej muzyki. Świadczą o tym wpływie sporadycznie się pojawiające u Gomółki świeckie pierwiastki — w psalmach. Dopatrywać się u niego narodowych cech byłoby zbyt daleko idącym subjektyzmem. Prostota faktury bowiem nie jest jeszcze ani narodową, ani ludową cechą. Nawet w XVII. w., w którym nie brak tych tendencyi, znajdziemy ludowo-narodowy pierwiastek tam, gdzie jego najodpowiedniejsze miejsce: w tańcach, które i obcy (zwłaszcza Niemcy, w XVIII. wieku także Francuzi) naśladowali.

Wpływ szkoły rzymskiej, rozpoczynający się u nas między r. 1570 i 1580, przetrwał XVIII. wiek. Pierwiastki rzymskie połączyły się z weneckimi (chwilowo ukazującymi się u nas u Wacława z Szamotuł), później z neapolitańskimi, tak, że cały wiek XVII. jest u nas epoką wyłącznego panowanie włoskiego stylu. Pierwszym dowodem równorzędnego oddziaływania Rzymu i Wenecyi są wydane w r. 1611 „Offertoria“ i „Communiones“ Mikołaja Zieleńskiego. Jest to początek nowej epoki muzyki kościelnej w Polsce, a zarazem epoki panowania generałbasu, jak to już za-

znaczyłem w „Przeglądzie powszechnym“ 1907, (contra dr. Jachimecki), a co potwierdził dr. Hugo Leichtentritt w swej „Geschichte der Motette“, Lipsk 1908). Wiek XVII. oznacza w naszej muzyce także komplikowanie faktury polifonicznej przez pomnożenie ilości głosów wokalnych i instrumentalnych. Pierwszym pod tym względem był Andrzej Staniszewski, którego motet ośmiogłosowy „Beata es virgo Maria“, wydano w publikacyi „Melodiae sacrae“ Liliusza (Kraków 1604, u B. Skalskiego). Niestety i tu towarzyszy nam zawód: jedyny egzemplarz tego dzieła, znajdujący się w Ratysbonie w bibliotece biskupiej im. Proskego, jest bardzo zdekompletowany, tak, że nie można przekonać się, o ile prawdopodobnem jest, że Staniczewski należy do XVI. stulecia, ani też o ile znajdziemy u niego cechy właściwe także Zieleńskiemu. Wymownem jest jednak, że z pośród 15 kompozytorów reprezentowanych, w „Melodiae“, Staniczewski jest jedynym Polakiem. To jakby zapowiedź ogólnego panowania obczyzny w muzyce polskiej XVII. wieku. Dzięki temu dostosowaniu się naszych muzyków do obczyzny była jedyna epoka, w której nasi kompozytorowie byli znani zwłaszcza w Niemczech w większej ilości: Długoraj, Jakób Polak, Diodemes, Mielczewski i Pękiel. Trwało to do początków XVIII. stulecia. Nowsze badania wykazały, że podczas pobytu Bacha w Lüneburgu (1700—1703) znajdowały się w bibliotece tamtejszej Michaelisschule: 6 utworów Marcina Mielczewskiego i 2 Bartłomieja Pękiela (por. Sammelbande der internationalen Musikgesellschaft“, Jahrg. IX., Heft 4, str. 610 i nast.). Jako uczeń tej szkoły mógł Bach znać te utwory choćby dlatego, że był wówczas chórzystą. Że J. S. Bach znał polskę muzykę ze swej epoki, o tem sam zaświadczył w memoryale, wystosowanym do rady miasta Lipska w dniu 23 sierpnia 1730: „Es ist ohne dem etwas Wunderliches, da man von denen teutschen Musicis praetendiret, Sie sollen capable sein... allerhand von Musik, sie komme nun aus Italien oder Frankreich England oder Pohlen, sofort ex tempore zu musicieren...“ Był to koniec wielkiej epoki muzyki polskiej, w której najbujniejszym był wiek XVII., najwznioślejszym jednak XVI., wiek Wacława z Szamotuł i Marcina Leopolity.

* * *

Nie było moim zamiarem pisać historyę muzyki polskiej do czasów Zieleńskiego. Ograniczyłem się do wskazania stosunku

polskiej muzyki do zachodniej na podstawie bądź wydanych zabytków tejże, bądź też na podstawie przypadkowego zaznajomienia się z niewydanymi utworami naszych mistrzów z XV. i XVI. stulecia. Że w szczegóły wchodzić było rzeczą niemożliwą, wynikało z założenia: „Sic enim rem ipsam postulare intelligebam“.

Adolf Chybiński.

Zarys dziejów edukacyjnych Polski porozbiorowej na obczyźnie.

(Dokończenie).

P e n s y o n a t otwierał w D r e ź n i e od wielkiej nocy r. 1870 Wacław Mazurkiewicz, pedagog prywatny w znaczniejszych domach obywatelskich, zachęcony do tego, jak sam mówi, „od mężów, stojących u steru opinii".

Zamierzał wychowywać młodzież polską „w zasadach jej wiary, a zarazem pielęgnować jej język, by zdobywane... skarby nauki tem obfitsze na przyszłość mogły przynosić korzyści".

Nauki mieli uczniowie pobierać w jednym z drezdeńskich zakładów naukowych, lub przygotowywać się w samym Pensyonacie do zdania w nich egzaminów wstępnych.

Wyłącznie w Pensyonacie mieli wszyscy uczyć się: religii, języka, literatury i dziejów ojczystych, jakoteż języka rossyjskiego.

Rodowity Francuz, zamieszkały stale w Pensyonacie, miał pensyonarzy ćwiczyć w języku francuskim.

Roczna opłata od jednego ucznia miała wynosić 450 talarów, za co uczeń miał mieć nie tylko całkowite utrzymanie i naukę, lecz oprócz tego lekarza, gimnastykę, kąpiele, naczynie stołowe i pranie bielizny. Opłata szkolna w szkołach publicznych i opłata za naukę muzyki nie była tem objęta.

Do rzędu efemerycznych zakładów naukowych drezdeńskich należy także Zakład naukowo-wychowawczy młodzieży polsko-katolickiej.

Po zgermanizowaniu polsko-katolickiego gimnazyum św. Maryi Magdaleny w Poznaniu i po rozbiciu internatu ks. Kaźmierza Jastrzębskiego podsunięto bawiącemu pod owe czasy w Dreźnie p. Czesławowi Pieniążkowi myśl założenia internatu polskiego w stolicy Saksonii.

Inicyatorami byli ks. Bonifacy Jastrzębski, eksbernardyn z Królestwa polskiego, i Wawrzyniec hr. Engeström, opiekun Polonii drezdeńskiej. Oni też objęli protektorat nad mającym się założyć internatem.

Pan Czesław Pieniążek ogłosił z końcem r. 1870 odezwę, zawiadamiając o otwierającym się instytucie.

Wszyscy uczniowie mieli w zakładzie pobierać obowiązkowo w języku polskim naukę religii, historyi świętej i kościelnej, oraz naukę języka polskiego, literatury i historyi polskiej.

Co do innych nauk, to mogli je pobierać albo w zakładzie według programu szkół niemieckich publicznych, albo chodzić na naukę do tychże szkół.

Prócz tego mogli się uczniowie za opłatą osobnego honoraryum uczyć muzyki, malarstwa, tańców, języków: włoskiego, czeskiego i rossyjskiego.

Za zupełne utrzymanie ucznia, opiekę, pomoc lekarską, używanie pościeli, pranie, drobniejszą naprawę bielizny, światło, usługę, tudzież za naukę religii, za naukę języka, literatury i historyi polskiej żądano rocznie 400 talarów. Pan Pieniążek liczył na znaczniejszą frekwencyę.

Nadzieje zawiodły. Zamiast spodziewanych 40 internistów, zgłosiło ich się zaledwie trzech. Internat upadł po 1½ roku istnienia, naraziwszy założyciela na znaczne straty.

Powodem niepowodzenia były niepomyślne dla tego rodzaju przedsiębiorstw warunki. W Dreźnie były po owe czasy liczne szkoły prywatne niemieckie tak męskie, jak żeńskie, a były to szkoły i pensyonaty zasobne, które mogły niezagospodarowanemu młodemu zakładowi robić znaczną konkurencyę, zwłaszcza, że dokładano wszelkich starań, aby zapewnić w nich młodzieży polskiej naukę przedmiotów polskich.

L i t e r a t u r a i ź r ó d ł a. I n f o r m a c y e listowne p. prof. Cz. Pieniążka, za które Mu tu gorąco dziękuję. — M a z u r k i e w i c z Wa-

cław: Program pensyonatu dla młodzieży męskiej w Dreźnie. Drezno 1869. — Ogłoszenie, tyczące się nauki religii katolickiej dla rodzin polskich w Dreźnie przebywających, Drezno 30. kwietnia 1868 r. — Program zakładu naukowo-wychowawczego młodzieży polsko-katolickiej w Dreźnie, odezwa, Drezno (1870).

13. W obrębie dzisiejszej Rzeszy niemieckiej powstały dwie katedry, które z wypadkami politycznymi w Polsce pozostają w najściślejszym związku. Powstanie jednej z nich wyprzedziło rok 1863. ale ostateczne przeznaczenie obu skonsolidowało się dopiero w tym roku.

Już w roku 1840 utworzono w Wiedniu katedrę dla starożytności słowiańskich, a w Paryżu profesurę dla słowiańskiego języka i literatury.

W ślad za tem wyszło rozporządzenie gabinetowe krola Fryderyka Wilhelma IV. z dnia 15. stycznia 1841 roku. które, „aby młodzieży polskiego pochodzenia. odbywającej studya. dać sposobność dla wydoskonalenia się w mowie ojczystej", zarządzało utworzenie katedr języka i literatury słowiańskiej w Wrocławiu i w Berlinie.

Na katedrę wrocławską upatrzono znanego Czecha Pawła Šafařika, który jednak oferty nie przyjął, a tylko nakreślił na prośbę pruskiego ministeryum oświecenia program dla obu katedr wrocławskiej i berlińskiej; zalecił dla nich mianowicie porównawcze badanie języków słowiańskich. oraz studyum starożytności i realiów słowiańskich. Proponował też wydawnictwo dla filologii słowiańskiej takie, jakie urzeczywistnił od r. 1876 Jagič. W ten sposób pierwotne przeznaczenie obu katedr berlińskiej i wrocławskiej zostało rozszerzone i oparte na rozległej podstawie słowiańskiej. zamiast na ciaśniejszej polskiej.

Z polecenia Šafařika oraz profesora fizyologii w uniwersytecie wrocławskim Purkyniego powołano dnia 11. kwietnia r. 1842 na katedrę słowiańską w Wrocławiu w charakterze profesora zwyczajnego Franciszka Władysława Čelakovský'ego. głośnego poetę czeskiego i pilnego badacza języków słowiańskich.

Wykłady Čelakovský'ego nie miały w Wrocławiu powodzenia. Liczba słuchaczów była bardzo mała. Bywało, że się nikt nie zapisał, a bywało też, że profesor nie ogłaszał żadnych wykładów.

Z końcem półrocza letniego r. 1846 porzucił Čelakovský katedrę slawistyki w Wrocławiu i przeniósł się na takąż katedrę w Pradze.

Na życzenie rządu pruskiego ustępujący profesor zdał sprawę z poczynionych na katedrze spostrzeżeń i doświadczeń. Čelakovský, idąc za wskazówkami ministra polskiego Eichhorna, wykładał w Wrocławiu słowiańską filologię bez wyróżniania pewnych języków, wnet przekonał się jednak, że uczniowie nie byli należycie, a częściowo wcale przygotowani do umiejętnych badań filologii słowiańskiej, że studenci narodowości niemieckiej nie zapisywali się wcale, lub zapisywali się co najwyżej na wykłady historyczno-literackie. Wobec tego Čelakovský, aby słuchaczów zyskać, musiał z konieczności coraz bardziej uwzględniać język i literaturę polską, i w referacie do ministra zaznaczył, że na katedrze tylko polski uczony może zdziałać coś pożytecznego i jako takiego wskazał berlińskiego prywatnego docenta slawistyki Wojciecha Cybulskiego.

Minister oświaty przychylił się do tego poglądu, nie uwzględnił zaś propozycyi wydziału filozoficznego uniwersytetu wrocławskiego, który radził zwinąć profesurę, a kreować tylko lektorat slawistyki. Wydział dostał zarazem polecenie przedstawienia odpowiednich kandydatów. Proponowany przez wydział slawista Franciszek Miklosich nie przyjął posady wrocławskiej; zamianowano go profesorem slawistyki w Wiedniu. Nie miała też powodzenia kandydatura profesora Kaubeka z Pragi.

W takich okolicznościach zgłosił dnia 21. lipca r. 1850 do wydziału kandydaturę swoją docent berliński Wojciech Cybulski. Wydział zawiadomił o tem ministra oświaty, ale nominacya odwlokła się na czas bardzo długi. Zachodziły jakieś przeszkody rodzaju nieznanego, jakieś oskarżenia natury politycznej. Petycya studentów słowiańskich, wystosowana w r. 1850 do senatu, pozostała bez skutku. Cybulskiego powołano na katedrę dopiero w styczniu r. 1860, na której pozostał aż do śmierci († w lutym 1867 r.).

Wykłady Cybulskiego miały nierównie lepsze powodzenie, aniżeli wykłady jego poprzednika. Liczba słuchaczów na prelekcyach prywatnych wynosiła przeciętnie 15, prelekcye publiczne miały większą liczbę słuchaczów, zwłaszcza prelekcye z dziedziny literatury polskiej. Ćwiczeń seminaryjnych Cybulski nie organizował; seminaryum slawistyczne zamarło.

Po śmierci Cybulskiego, ministeryum, pominąwszy kandydaturę dr. A. Leskiena, prywatnego docenta z Jeny, proponowaną przez większość fakultetu wrocławskiego, oraz kandydaturę profesora Bronisława Trzaskowskiego z Galicyi, zaleconą przez Schleichera, zamianowało profesorem slawistyki w Wrocławiu dr. Władysława Nehringa, nauczyciela gimnazyalnego w Poznaniu, którego zaleciło kilku profesorów wydziału filozoficznego w Wrocławiu. Nominacya profesora Nehringa nastąpiła dnia 15. lipca 1868 roku.

W działalności profesorskiej rozróżniał dr. Nehring uczniów i słuchaczów. Dla uczniów nielicznych, przystępujących do studyum filologii słowiańskiej, aby z czasem doktoryzować się z tego zakresu jako przedmiotu głównego, wykładał co 4—6 półroczy gramatykę języka starosławiańskiego jako podstawę wszelkich studyów słowiańskich, a obok gramatykę porównawczą języków słowiańskich i główniejsze języki słowiańskie zwłaszcza czeski.

Zaś dla t. zw. słuchaczów, którym chodziło tylko o dyplom nauczania języka polskiego lub którzy pragnęli tylko coś z slawistyki wciągnąć w zakres swego ogólnego wykształcenia, miewał profesor Nehring wykłady przedewszystkiem z dziedziny literatur głównych szczepów słowiańskich, a zwłaszcza z dziedziny literatury polskiej, a nadto wykładał im takie przedmioty, jak starożytności słowiańskie, mitologia słowiańska, poezya ludowa słowiańska i t. p. W gruncie rzeczy jednak nie zachodziła pomiędzy uczniami a słuchaczami różnica, bo profesor Nehring tylko w wyborze tematów do prelekcyi stosował się do każdorazowej potrzeby i liczby zapisanych, zresztą niektóre ważniejsze prelekcye musiały się powtarzać co cztery do sześć półroczy. Zwartej grupy slawistów profesor Nehring nie miał nigdy.

Dopóki jeszcze uczono w szkołach pruskich języka polskiego, miewał profesor Nehring uczniów, którzy się ubiegali o dyplom nauczycielski do nauczania języka polskiego, z tego też powodu musiał uwzględniać w szerszym zakresie język i literaturę polską. Na ogół biorąc liczba zapisanych na wykłady prof. Nehringa zawisła była od przypadkowych okoliczności. Zresztą wykłady trwały bez przerwy i miały, jak na ówczesne stosunki wrocławskie, dobre powodzenie, dość liczną frekwencyę.

Profesorowi Nehringowi należy się zasługa przywrócenia seminaryum slawistycznego, które za Cybulskiego zaprzepaściło byt swój. Seminaryum to, otwarte na nowo w r. 1891, dzieliło się na dwa oddziały. Jeden oddział przeznaczony dla specyalistów filolo-

gii słowiańskiej, zajmował się czytaniem i eksegezą tekstów starosłowiańskich. w drugim oddziele, przeznaczonym dla amatorów, czytano i objaśniano staropolskie teksty. polskich i rossyjskich autorów oraz studyowano staroczeskie średniowieczne oryginalne dokumenty. W ćwiczeniach seminaryjnych zwłaszcza w drugim oddziale seminaryum brała udział. jak na stosunki wrocławskie. dość znaczna liczba młodzieży. Przy seminaryum zebrał prof. Nehring wcale pokaźną liczbę książek. głównie podarowanych przez rozmaite instytucye i osoby.

Profesor Nehring zamknął swą działalność jako profesor slawistyki w Wrocławiu z końcem półrocza letniego r. 1907.

Od r. 1849 mianowano także lektorów dla języka polskiego i rossyjskiego. Pierwszy lektor. nauczyciel szkoły realnej wrocławskiej Fritz (1849/50 do 1859) nie miał powodzenia. Młodzież ówczesna wyraziła się o nim. że wykładał bez większego pożytku mimo dobrej woli.

Od r. 1851 był czynny jako lector honorarius mansyonarz katedralny wrocławski. były sędzia apelacyjny kaliski. ks. dr. Kraiński.

Po śmierci Kraińskiego. dzięki staraniom profesora Nehringa, utworzono lektorat etatowy dla polskiego i rossyjskiego języka i zamianowano pierwszym etatowym lektorem (1884) dra Löwenfelda, znanego autora prac o J. Kochanowskim i Łukaszu Górnickim. Löwenfeld. zniechęcony małą frekwencyą, porzucił po trzech latach stanowisko lektora, by objąć kierownictwo teatru Schillera w Berlinie.

Od r. 1892 powierzono lektorat wrocławski pilnemu badaczowi na polu filologii słowiańskiej, pastorowi drowi Abichtowi, który się w r. 1907 habilitował jako docent prywatny dla filologii słowiańskiej.

L i t e r a t u r a i ź r ó d ł a. N e h r i n g Wł.: Geschichte des Lehrstuhls für slavische Philologie (Rękopis przysłany mi uprzejmie z pozwoleniem Czcigodnego Autora przez Jego ucznia i prywatnego docenta uniw. wrocł. prof. dra Abichta. Obu uczonym gorące składam podziękowanie). — Z n i c z. Pismo zbiorowe młodzieży polskiej. Poszyt I. Wrocław 1851. str. 86.

14. K a t e d r a s l a w i s t y k i w B e r l i n i e miała być kreowana jednocześnie z katedrą wrocławską. Rząd pruski wahał się jednak długo. Od r. 1841/2 wykładał filologię słowiańską w Ber-

linie docent prywatny dr. Wojciech Cybulski przez blisko 20 lat, nie doczekawszy się nominacyi na profesora. Po odjeździe prof. Cybulskiego na katedrę wrocławską nie było w Uniwersytecie berlińskim wykładów slawistyki, chociaż uczyło się w Berlinie sporo młodzieży polskiej.

Dopiero wskutek nalegania posłów polskich, aby wobec braku uniwersytetu polskiego w Poznańskiem bodaj w Berlinie uwzględniono potrzeby kulturalne młodzieży polskiej, uchwalił sejm r. 1871 katedrę slawistyki w stolicy Prus. Upłynęło jednak jeszcze kilka lat, zanim nastąpiło zrealizowanie uchwały. Rząd nie mógł się długo zdecydować na kandydata. Między innymi wysunięto kandydaturę dra A. Maleckiego.

Nareszcie w r. 1874 Uniwersytet berliński otwierając po raz pierwszy katedrę filologii słowiańskiej, powołał na nią Watrosława Jagiča, profesora nadzwyczajnego gramatyki porównawczej języków indoeuropejskich w Odesie, głośnego już wtedy slawistę.

Na katedrze w Berlinie pozostał Jagič lat sześć do r. 1880. W tym czasie, w r. 1876, założył pismo poświęcone filologii słowiańskiej p. t. „Archiv für slavische Philologie“.

Wykłady Jagiča nie miały szczególnego powodzenia: młodzież polska stroniła od nich, a profesor przestał całkiem uwzględniać literaturę polską. Z tego powodu posłowie polscy w Berlinie wnieśli interpelacyę do rządu.

Prof. Jagič, pragnąc się uwolnić od zarzutu, jakoby dzieje piśmiennictwa polskiego zupełnie pomijał milczeniem, uważał za stosowne dać kilka uwag objaśniających. Powiedział, że małej frekwencyi winni byli sami Polacy: żaden z nich dawniej na prelekcye o polskiej literaturze nie chodził. Prof. Jagič ogłosił na nowo wykłady z zakresu tego przedmiotu, potem wykłady o gramatyce polskiej, w których dał historyczno-krytyczny pogląd na rozwój gramatyki naszej od najdawniejszych aż do najnowszych czasów, zatrzymując się dość długo przy gramatyce Małeckiego. Wykłady te zainteresowały akademików polskich.

Z Berlina powołano Jagiča do Petersburga, również na katedrę filologii słowiańskiej, opróżnioną przez śmierć J. Srezniewskiego.

Po Jagiču objął w r. 1881 katedrę berlińską dr. Aleksander Brückner ze Lwowa, który dotąd posterunek ten zajmuje, rozwijając przytem powszechnie znaną doniosłą działalność w dziedzinie lingwistyki słowiańskiej i literatury polskiej.

Literatura i źródła. Rocznik Towarzystw akademickich w Berlinie, Dreźnie, Lipsku, Monachium i Pruszkowie, r. 1876/7, Poznań 1877. — Informacye listowne profesora dra A. Brücknera, za które tu serdecznie dziękuję.

15. Te same plany polityczne, które dzielnicy pruskiej odmawiały wyższych zakładów naukowych, podcinały byt tymże zakładom w dzielnicy rossyjskiej lub przesuwały je w głąb Rossyi.

Cesarz Mikołaj I. rozkazał r. 1842 przenieść Akademię duchowną rzymsko-katolicką z Wilna do Petersburga, nadał jej tytuł Cesarskiej rzymsko-katolickiej Akademii duchownej, potwierdzając jej przytem wszystkie dawniejsze prawa i przywileje. Do zarządu akademii wprowadzono także profesorów świeckich Rossyan. W r. 1844 pomieściła się Akademia w własnym gmachu.

Organizacya zakładu nie zmieniła się, zmienił się tylko zakres jej władzy, bo zamiast jednem seminaryum wileńskiem Akademia zarządzała teraz wszystkiemi seminaryami w Cesarstwie. Tak było do r. 1848, w którym na mocy konkordatu, zawartego między rządem a stolicą apostolską, seminarya dyecezyalne wróciły znów do jurysdykcyi swoich biskupów. Akademia sama dostała się wtedy pod zarząd arcybiskupa mohilewskiego, zamieszkałego stale w Petersburgu, któremu przyznano nad nią te same prawa, jakie na mocy praw kanonicznych przysługują biskupowi dyecezyalnemu odnośnie do swojego seminaryum. Tym sposobem cały zarząd Akademii pod względem naukowym, gospodarczym i karnym spoczął w rękach arcybiskupa. Od niego też zależały nominacye profesorów i całego personalu Akademii, rząd mógł jednak odmówić zatwierdzenia ze względów policyjnych i politycznych. Rząd zastrzegł sobie także prawo zatwierdzania programu wykładów. Były i inne zastrzeżenia. Zresztą warunków układu nie dotrzymywano ze strony rządu dość często. Wbrew zastrzeżeniu wprowadzał rząd do Akademii pomiędzy profesorami świeckimi osoby wyznania prawosławnego.

Ukaz cara Aleksandra II. zniósł konkordat, mimo to jednak arcybiskupi mohilewscy utrzymali się przy władzy nad Akademią. Nowa sankcya konkordatu nastąpiła w r. 1882, a w r. 1886 papież Leon XIII. przyznał arcybiskupom mohylowskim prawo potwierdzania stopni naukowych, nadawanych przez Akademię.

Akademia utrzymywała na koszcie funduszowym 40 alumnów do r. 1866, aż do kasaty dyecezyi kamienieckiej; odtąd

tylko 30 alumnów. W r. 1867 po zwinięciu Akademii duchownej warszawskiej utworzono 12 stypendyów dla alumnów dyecezyi Królestwa polskiego, dodano nadto dwóch alumnów dla dyecezyj saratowskiej. Prócz funduszowych kształcili się w Akademii alumni, utrzymujący się własnymi środkami.

Alumni i profesorowie duchowni mieszkają w jednym gmachu akademickim.

Kurs nauk trwa cztery lata. Wykłady przedmiotów teologicznych, między nimi homiletyki i filozofii odbywają się w języku łacińskim, reszta w rossyjskim. Ćwiczenia w wymowie kościelnej odbywają się w języku polskim lub żmudzkim. Klerycy z Saratowa ćwiczyli się w kazaniach niemieckich.

Rektorami Akademii byli kolejno ks. Ignacy Hołowinski (1842—1855), ks. Ant. Jakukielski (1857—1860), ks. Aleks. Bereśniewicz (1860—1864), ks. Dominik Stacewicz (1864—1876), ks. Szym. Kozłowski (1877—1883), ks. Fr. Albin Simon, ks. Longin Żarnowiecki.

L i t e r a t u r a i ź r ó d ł a. A c a d e m i a e Ecclesiasticae Romano-Catholicae origo et fata. Rocznik Akad. pet. z r. 1885 i dalsze. Zob. też Wielka Encyklopedya p. t. Akad. duch. rz.-kat. w Petersburgu.

Antoni Karbowiak.

Z życia Kajetana Węgierskiego

Pamiętniki i listy

WYDAŁ

Dr. Stanisław Kossowski.

(Dokończenie części pierwszej).

IV. Listy do różnych osób. [1])

1. (Z I. tomu listów str. 7).

Filadelfia, 7. września 1784.

Do J. E. Pana Prezydenta rady Pensylwanii Jana Dickinsona.

Byłem u kilku księgarzy, aby nabyć listy osadnika z Pensylwanii (the Letters of a Pensylvanian Farmer),

---

J'ai été chez plusieurs libraires, pour faire aquisition de lettres d'un fermier de Pensylvanie (the Letters of a Pen-

---

[1]) Z rękopisu p. t. Kilka listów K.(ajetana) W.(ęgierskiego) przełożonych z angielskiego przez Jana Węgierskiego, posła na sejm województwa podlaskiego

ale losem dobrych utworów jest, że są sprzedane natychmiast po wydrukowaniu. Pouczają one i oświecają ludzi, podczas gdy mierne

---

s y l v a n i a n F a r m e r) mais le sort des bons ouvrages est d'être aussitôt vendus qu'imprimés. Ils instruisent, ils éclairent le monde,

---

zachowały się jedynie szczątki. Rękopis ten był w dwóch tomach, a o treści jego poucza „spis rzeczy“ w nim zachowany. Ponieważ spis ten zawiera pewne wskazówki o sprawach, które poeta w korespondencyi swej poruszał, a zarazem rzuca światło na całość rękopisu, przeto podaję go w przedruku:

	Tom	Stron.
Albert, książę elektoralny Saksonii	II.	54
Ameryka niepodległa	I.	10—25
Anglia chyli się do upadku	I.	124
— jej dobre prawa	II.	12
Baliviere otrzymuje od księdza tysiąc talarów . . .	II.	29
Biblioteka, jak ją utworzyć	I.	114
— kosztuje 1.000 luidorów	I.	132
Bukaty mianowany ministrem plenipotentem Polski w Londynie	II.	61
Cagliostro	II.	91
Cantarella Papieża Aleksandra VI.	II.	16
Delfino, ambasador Wenecyi w Paryżu otrzymuje 200 luidorów	II.	32
Trawienie złe, przyczyna niełaski	I.	143
Dublin roi się od żebraków	I.	42
Hostia kłuta w Brukseli	II.	37
Józef, o małym żarcie	II.	37
Irlandya, zamieszania w	I. 34	II. 115
Necker	I.	100
O r g a n y, poemat K. W.	II.	20
Filadelfia	I.	2
Polska nieszczęśliwa przez swoje głupstwa . . .	I. 25, 35	II. 13, 69
Potocka uwięziona	II.	18
— umiera z głodu	II.	60
Quirini, senator wenecki	II.	66
Stany zjednoczone, ich rząd wychwalany	II.	70
Środki	I.	150
Rogaliński złajany	II.	90, 91, 98
Ryx	II.	15—17
Burza, opisanie	I.	19—26
Pani Tyszkiewicz, ...	II.	59
Washyngton, generał angielski	I.	9
Zenobio, szlachcic wenecki	II.	44.

zażywają błogiego spokoju i same przez się chronią się przed chciwemi rękoma ludzkiemi. Jakąkolwiek jednak wartość mogłoby mieć wasze dzieło, największą byłoby otrzymać je od samego autora. Wybaczycie więc śmiałość, z jaką pozwalam sobie prosić o nie was samych. Pragnę, aby ten podarunek mógł być tem, czem było „tessera“ dla starożytnych, i żeby był on dalej zakładem gościnności, z jaką mnie przyjęliście i przyjaźni, którą szczerze życzę sobie z wami zawiązać. Jeżeli następnie zechcecie pozwolić, aby obywatel rzeczypospolitej umierającej pisał od czasu do czasu do was dla poparcia rzeczypospolitej powstającej, uważałbym się za bardzo szczęśliwego. Jednakże korzyść tej korespondencyi będzie wyłącznie po mojej stronie, bo podczas gdy wy będziecie mi mówić o zaletach i postępach świata nowego, ja będę tylko w stanie zawiadamiać was o upadku i występkach starego. (Dickinson wydał wiele pism politycznych. Między innemi: „Farmers Letters to the inhabitants of the British colonies itp. *Przyp. Red.).*

---

tandis que les mediocres jouissent d'une tranquillité parfaite, et sont à couvert des mains avides des hommes. Mais quel merite que le vôtre puisse avoir, il ne pourra jamais égaler celui de le recevoir de l'auteur. Vous pardonnerez donc la liberté que je prens de le demander à Vous-même. Je désire que ce present puisse ressembler à la tessera des anciens, et qu'il soit un gage de l'hospitalité, avec laquelle Vous m'avez reçu, et de l'amitié que je souhaite sincerement d'établir avec Vous. Si dans la suite Vous voulez permettre qu'un citoyen d'une republique mourante, Vous écrive de temps en temps pour l'appui d'une republique naissante, je me croirai trop heureux. Cependant l'avantage de cette correspondance sera toujours de mon côté, car tandis que Vous me parlerez des vertus et des progrés du nouveau monde, je ne serai à même que de vous informer de la decadence et de vices — de l'ancien.

2. (Z I. tomu, str. 8). Rocky-hill.

Prince Town, 18. października (1784).

Do generała Washingtona.

Spodziewam się, że czas pozwoli Waszej Ekscelencyi przybyć tu jutro, gdyż cieszę się nadzieją, że ujrzę Was raz jeszcze.

Przejechałem kilka tysięcy mil, aby zobaczyć i poznać twórców wolności amerykańskiej, ale nie tylko po to, by módz pochwalić się, że ich widziałem, lecz aby nauczyć się od nich sposobu zachowywania dla narodu jego najdroższych praw.

Jestem obywatelem nieszczęśliwego kraju, ongiś wolnego i silnego, obecnie słabego i bezrządnego. Jak dalece czułbym się szczęśliwym, gdybym rozmawiając z Panem lub przysłuchując się bacznie jego słowom, mógł sobie wyobrazić, że kiedyś będę w stanie, idąc Pańskimi śladami, być użyteczny mojej ojczyźnie! Takiego rodzaju marzenia są do przebaczenia. Wprawdzie oko-

---

2. Rocky-hill.

Prince Town, 18. Oct.

Au General Washington.

J'espère, que le temps permettra à Votre Excellence de venir ici demain, car je me flatte de l'espérance de Vous revoir encore.

J'ai voyagé quelques milliers de lieues pour voir et connaître les fondateurs de la liberté amériquaine, mais non seulement pour pouvoir me vanter de les avoir vûs, mais pour aprendre d'eux la methode de conserver au peuple ses plus precieux droits.

Je suis citoyen d'un pays infortuné ci-devant libre et puissant, maintenant faible et anarchique. Qu'il aurait été consolant pour moi, en conversant avec Vous, ou prêtant l'oreille à Vos discours, d'avoir pû m'imaginer, qu'un jour je pourrais, en suivant Vos traces, être utile à ma patrie! — Ces sortes d'illusions sont pardonnables. Mais puisque les circonstances ne me permet-

liczności nie pozwalają mi dłużej pozostać z Panem. nie wątpię jednak, że kiedyś ujrzę Pana w jego schronieniu w Wirginii i jestem pewien, że zobaczenie Washingtona żyjącego w swoim futorze będzie dla mnie tak zajmujące, jak gdybym ujrzał Fabrycyusza albo Cyncynnata.

3. (Z I. tomu, str. 9).

3. grudnia (1784).

Do J. E. Jana Dickinsona w Bostonie.

Od chwili rozstania się z Panem przebywałem ustawicznie pod gołem niebem i mój umysł zajęty był rozmaitymi przedmiotami, a ciało moje zmęczone podróżą. Tu dopiero zaczynam trochę odpoczywać i sądzę, że lepiej nie mógłbym użyć czasu, jak pisząc do Pana. Muszę również powinszować Panu wyboru, a jeszcze więcej tego, że wojska angielskie opuściły Nowy York. Pańskie zalety i zachowanie się patryotyczne zapewnią Panu

---

tent pas de rester plus longtemps avec Vous, je ne désespére pas de Vous voir un jour dans votre retraite en Virginie; et je suis sûr, que de voir Washington vivant dans sa metairie me sera aussi intéressant, que de voir Fabricius ou Cincinnatus.

3.

3. Dec.

Au S. E. Jean Dickinson à Boston.

J'ai été sans cesse en l'air depuis que je Vous ai quitté, mon esprit occupé par différents objets, et mon corps fatigué par le voyage. Ce n'est qu'ici que je commence à respirer un peu et je ne crois pas pouvoir mieux employer mon temps qu'en Vous écrivant. Je dois de même Vous feliciter sur Votre election, et encore plus sur ce que les troupes anglaises ont evacué New York. Votre merite, et votre conduite patriotique Vous feront

zawsze. pierwszeństwo. Pańskie zadowolenie byłoby z pewnością wielkie na widok wilka opuszczającego młode owce: nie znaczy to, żebym chciał przyrównywać Amerykanów do owiec... jeżeli są oni równie niewinni pokazali, że nie są równie bezbronni. Ale teraz, gdy jesteście zupełnie spokojni i panami u siebie, co uczynicie moi drodzy panowie? Jakie będą wasze polityczne widoki? Jakie zajmiecie stanowisko ze względu na siebie? Do jakiego stopnia posuniecie wasze wzajemne zawiści? Kto będzie miał moc uspokojenia ich? Czy przeniesiecie dobro ogólne kontynentu nad szczęśliwość poszczególnych waszych stanów? A czy bogaty mieszkaniec Georgii, przedając drogo swoje indygo i swój ryż, zwróci na to uwagę, że mieszkaniec Hampshire nie sprzeda swego budulca i swego potasu? Czy ten zmysł patryotyczny, którym odznaczyliście się podczas rewolucyi, utrzyma się długo wobec handlowego powodzenia? A zbytek, który mu towarzyszy i insynuacye waszych nieprzyjaciół, którzy starają się zerwać wasz związek? Czy wasz wędrujący kongres zdolny będzie wzbudzić poważanie, jakie się należy przedstawicielom najwyższej władzy, a które niezbędne jest w Rzeczypospolitej? A czy obywatele, szanowani dzięki swoim zdolnościom i gorliwości, ze-

---

toujours donner la préférence. Votre satisfaction serait surement grande de voir le loup quitter les jeunes brebis; ce n'est pas, que je veuille comparer les Ameriquains aux brebis... s'ils sont aussi innocents, ils ont fait voir qu'ils ne sont pas de même — sans defense. Mais à présent, que Vous êtes parfaitement tranquils, et maîtres chez vous, que ferez-vous, mes chers Messieurs? Quelles seront vos vues politiques? Quelle sera votre conduite privée? A quel point pousserez vous vos jalousies reciproques? Qui aura le pouvoir de les calmer? Voudriez vous préférer le bien général du continent à la felicité de vos propres etats? Et le riche habitant de Géorgie, en vendant cher son indigo et son ris, observera-t-il bien, que celui de Hampshire ne vendra pas son bois de charpente, et son potash? Cet esprit patriotique par lequel vous vous êtes signalé pendant la revolution, se soutiendra-t-il longtemps contre la prosperité du commerce? Le luxe, qui l'accompagne et les insinuations de vos ennemis, qui s'evertuent à rompre votre union? Votre congrès ambulant inspirera-t-il le respect dû aux réprésentants de la souveraineté absolument nécéssaire dans une republique? Et des citoyens respectables par leurs talents et leur zèle, vont-ils quitter leurs maisons, risquer

chcą porzucić swoje domy i narazić się na utratę wpływu i kredytu, po to tylko, aby módz brać udział w zgromadzeniach kongresu i ujrzeć swoje nazwiska wydrukowane w dziennikach?

Czy możecie istnieć bez floty? A jeżeli ją macie, kto ją opłaci? A jeżeli jej nie macie, kto będzie ochraniać wasz handel na odległych morzach? Kto was pomści, jeżeli jakiemuś zuchwałemu kapitanowi okrętu, Anglikowi, Francuzowi lub Holendrowi, przyjdzie na myśl zatopić w pobliżu stron swoich jeden z waszych okrętów zdążających do Chin, Indyi albo Archipelagu? Rzutkość waszego narodu jest wielka; jaśnieje ona młodością i silnem zdrowiem; ale kto was zapewni, że mocarstwa, które dotąd was ochraniały, nie poczną wam zazdrościć waszego powodzenia i nie poszukają sposobów, aby was zdusić? Głaszcze się młodego lwa, lecz gdy on dojdzie do swojej siły, wkłada się mu obroże lub zamyka się go, pozostawiając mu tylko tyle swobody, by mógł kąsać swoich nieprzyjacioł lub budzić grozę.

Oświadczam wam, że według mego zdania nie ma innego kraju, któryby się mógł stawić na równi z waszym co do objawów pomyślności: nie ma żadnego, ja o tem wiem, gdzieby dobra furtuny były rozdzielone z większą równością. Podróżując po oddalonych krajach wa-

---

de perdre leur influence et leur crédit, pour avoir l'avantage de suivre le congrès et de voir leurs noms imprimés dans les journaux?

Pouvez-vous exister sans une flotte? Et quand vous en avez, qui la payera? Et quand vous n'en avez pas, qui protegera votre commerbe dans les mers éloignées? Qui vous vengera, s'il vient à quelque insolent capitaine de vaisseau, Anglais, Français ou Hollandais, en tête de couler à fond chacun dans sa contrée un de vos vaisseaux, allant à la Chine aux Indes, ou dans l'Archipel? L'activité de votre nation est grande; elle brille par une jeunesse et santé vigoureuse; mais qui vous assurera, que les puissances, qui vous ont protégé, ne deviendront jalouses de votre prosperité et ne chercheront des moyens, pour vous étrangler? On caresse un jeune lion, mais quand il atteint sa force, on lui met une muselière, ou on l'enferme et on ne lui donne cette liberté, que pour mordre ces ennemis ou pour faire peur.

Je vous declare, qu'à mon avis, il n'existe aucun pays, qui puisse se mettre en parallele avec le vôtre pour les apparences de prosperité; il n'y en a aucun, je le sais, où les biens de la fortune soient partagés avec plus d'égalité. Voyageant dans les

szego kontynentu, uczę się przyrównywać życie farmerów do życia patryarchów. Tutaj odnajduje się wiek złoty, tak chwalony w starożytności. To prawda, że m l e k o n i e p ł y n i e t a m s t r u m i e n i a m i, ale rzeki są szerokie i głębokie; p a g ó r k i n i e s k a c z ą j a k f r y g i, ale są za to urodzajne i żyzne a biedny farmer europejski osiedlając się tu, rozporządza środkami, które pozwalają mu zmienić swoją niewolę na swobodę, a niezbędne potrzeby na dobrobyt. Dwa lata nie upłyną, a on rozszerzy swoje pojęcia; staje się człowiekiem i wkrótce obywatelem. Musi on porzucić swoje zwyczaje, swoje przesądy i wady, a przyjąć uczucia i cnoty swoich sąsiadów. Tak, Panie, widziałem tu poddanych biskupa, myślących liberalnie w kwestyach religijnych i słyszałem rozumujących, pochodzących z Szampanii. Oto są, Panie, pojęcia, jakie sobie wytworzyłem o waszym kontynencie.

Jeżli będziesz Pan łaskaw wyjaśnić mi niektóre wątpliwości, dołączysz nowe względy do tych, któremi już mię zaszczyciłeś. Ponieważ zawsze mam na oku moją ojczyznę, proszę wszędzie o wskazówki, nie dla mego osobistego zadowolenia, lecz po

---

pays éloignés de votre continent, j'aprens à comparer la vie de fermiers à celle des patriarches. Ici on retrouve l'age d'or, si vauté dans l'antiquité. Il est vrai, que le l a i t n'y c o u l e p a s e n r u i s s e a u, mais les rivieres sont larges et profondes; l e s c o l l i n e s n'y s a u t e n t p a s c o m m e d e s t o u p i e s, mais elles sont fertiles et abondantes et un pauvre fermier européen trouve des moyens, en s'etablissant ici, de changer son esclavage en liberté, ses besoins en aisance. Rarement il passe deux années ici, que ses idées ne s'elargissent: il devient homme et bientôt citoyen. Il est forcé de quitter ses coutumes, ses prejugés et ses vices, et de prendre les sentiments et les vertus de ses voisins. Oui, Monsieur, j'ai vû ici les sujets d'un evêque penser librement, en matière de religion et j'ai entendu raisonner les natifs de la Champagne. Voilà, Monsieur, les idées, que je me suis formées de Votre continent.

Si vous voulez avoir la bonté de m'éclaircir sur mes doutes, Vous ajouterez de nouvelles faveurs à celles, dont, Vous m'avez honoré. Comme j'ai toujours ma patrie en vue je demande partout des instructions, non pas pour ma satisfaction

to, by z czasem módz się wywiązać zaszczytnie z moich obowiązków obywatela.

Gdy myślę, Panie, że z trzema milionami ludzi i bez pieniędzy zrzuciliście jarzmo takiej potęgi, jak Anglia, i zdobyliście ogromny teren, i że Polska dała sobie zabrać 5 milionów dusz i kraj rozległy, wyznaję, że jestem nieświadom przyczyny tak odmiennego postępowania. Mówiąc jednak między nami, od dawna starożytni Sarmaci są już tylko — Polakami.

Ale podczas gdy my staramy się odzyskać nasze prawa, wy swoje strzeżcie i pamiętajcie o maksymie Cycerona: „Respublica res est Populi, cum bene ac iuste geritur, sive ab uno Rege, sive a paucis optimatibus, sive ab universo populo. Cum vero iniustus est Rex (quem Tyrannum voco), aut iniusti optimates (quorum consessio factio est), aut iniustus ipse populus, cui nomen usitatum nullum reperio, nisi ut illum Tyrannum appellem, non iam vitiosa, sed omnino nulla Respublica est... Quoniam non est res populi, cum Tyrannus eam factione capessat: nec ipse populus; iam Populus sit, si sit iniustus, quia non est multitudo iuris con-

---

personelle, mais pour être capable de remplir, avec le temps mes devoirs de citoyen avec honneur.

Quand je pense, Monsieur, qu'avec trois millions d'hommes et sans argent, vous avez séconé le joug d'une puissance telle, que l'Angleterre, et acquis un terrain immense, et que la Pologne s'est laissé prendre cinq millions d'ames et un pays étendu, j'avoue mon ignorance sur ce qui peut être la cause d'une conduite si différente. Mais entre nous, il y a longtemps, que les anciens Sarmates ne sont plus — que des Polonais.

Mais tandis que nous cherchons à recouvrer nos droits, tâchez de conserver les vôtres et souvenez-vous de la maxime de Ciceron: „Respublica res est Populi, cum bene ac juste geritur, sive ab uno Rege, sive a paucis optimatibus, sive ab universo populo. Cum vero iniustus est Rex (quem Tyrannum voco) aut iniusti optimates (quorum consessio factio est) aut iniustus ipse populus, cui nomen usitatum nullum reperio, nisi ut illum Tyrannum appellem, non iam vitiosa, sed omnino nulla Respublica est... Quoniam non est res populi, cum Tyrannus eam factione capessat; nec ipse populus; iam Populus sit, si sit iniustus, quia non est multitudo iuris consensu, et civitatis communione

sensu, et civitatis communione agitata.“ (Fragm. Cicer. de Republ. apud S. Augustinum de Civitate Dei).

Jeżeli moja ojczyzna pozostanie ciągle w takim samym stanie, jeżeli bogowie nie okażą litości nad jej losem, powiem moim współrodakom. Przejdźcie morza i zapewnijcie waszym dzieciom swobodę i własność!

Jeżeli moi współrodacy nie posłuchają mnie, powiem mojej rodzinie: Chodźcie. Jeżeli moja rodzina odmówi, pójdę sam i umrę wolny z wami. „Certe ego libertatem, quae mihi a parente meo tradita est, experiar“. Chociaż czułbym się bardzo szczęśliwy ujrzeć Pana, gdyby to jednak nie mogło się stać, jak tylko ze szkodą mojej ojczyzny, obyście nigdy nie ujrzeli swojego przyjaciela!

4. (Z I. tomu, str. 74). *Bez daty.*

Do J. K. W. księcia Wallii.

Musiałem pozostawać w moim pokoju, od chwili opuszczenia Kew, co nie zgadza się wcale ani z porą roku ani też z moją cierpliwością.

---

agitata.“ (Frag. Cicer. de Republ. apud S. Augustinum de Civitate Dei.

Si ma patrie reste dans le même état, si les Dieux n'ont pas pitié de son destin, je dirai à mes compatriotes: Passez les mers et assurez à vos enfants la liberté et la proprieté!

Si mes compatriotes ne m'écoutent pas, je dirai à ma famille: Venez. Si ma famille le refuse, j'irai moi-même et je mourrai libre avec vous. „Certe ego libertatem, quae mihi a parente meo tradita est, experiar“. Mais quoique je me croirai heureux de Vous voir — si cela pourtant ne pourra se faire, que par la disgrace de ma patrie, que vous ne revissiéz jamais votre ami!

4.

à Son Altesse Royale le Prince de Galles.

J'ai été confiné à ma chembre depuis que j'ai quitté Kew, ce qui ne convient guères à la saison, ni à ma patience.

Ten przeklęty katar daje się odczuwać czasem w uchu a czasem w czole, męczy mnie w dzień i trzyma moje oczy otworem, kiedy już niema nic do widzenia. Klnę i biorę co chwila lekarstwa, ale ani dyabeł ani doktor Turton nie potrafiliby mnie chyba od niego uwolnić. W chwili kiedy to piszę, wchodzi pan Jan Dyer i zapytuje o moje zdrowie w imieniu Waszej Król. Wysokości; przyjąłem to miłe poselstwo z wdzięcznością pełną uszanowania. Byłbym nawet oddał głębokie ukłony, gdyby to było możliwe.

Wielką radością napawa mię wiadomość, że Wasza Królewska Wysokość wrócił zupełnie do zdrowia. Spodziewam się, że zdrowie Księcia i dobroć jego dla mnie będą trwać tak długo, jak moje przywiązanie do Waszej Królewskiej Wysokości.

5. (Z I. tomu, str. 127). *Bez daty.*

Bilet do panny Mathew.

Spodziewam się, żem dość dobrze poprawił Pani wachlarz, ale boję się, że Pani nie poprawi tak łatwo złej opinii, jaką wczo-

---

Ce maudit rhume, m'attaquant quelquefois à l'oreille, quelquefois au front, me tourmente le jour... et tient mes yeux ouverts, quand il n'y a rien à voir. Je jure, et prends des remedes à tout moment: mais ni le diable, ni le dr. Turton ne sauraient m'en délivrer. En écrivant ceci. Mr. Jean Dyer entre et demande de mes nouvelles de la part de votre Altesse Royale; je reçus ce message agréable avec la plus respectuense reconnaissance. J'aurais même fait de profondes reverences — si cela était possible.

Ce qui me console, beaucoup, c'est d'aprendre, que Vous êtes entierement rétabli. J'espére que Votre santé et Votre bonté pour moi dureront aussi longtemps, que mon attachement pour Votre Personne Royale.

5.

Billet à Miss Mathew.

J'espére d'avoir passablement raccommodé Votre eventail, mais je crains, que Vous ne raccomodiez pas si aisément la mau-

raj wieczór o mnie Pani powzięłaś. Nie przypominam sobie dokładnie tego, co Pani powiedziałem, ale przypominam sobie dokładnie, żeś była Pani nadzwyczaj piękną. Jeżeli dobre wino Stepney zostawiło mi jakąś resztę rozsądku, twoje wdzięki odjęły mi ją zupełnie — a kto może odpowiadać za następstwa podwójnego upojenia? Czuję, że przyszedłem zupełnie do siebie po upiciu się winem, ale tamto drugie ma coś w sobie tak miłego, że bardzo wątpię, abym mógł stać się kiedykolwiek trzeźwym.

6. (Z I. tomu, str. 136).

Bath, 19. grudnia.

Do Pana Bukatego, Rezydenta Polski w Londynie.

Z prawdziwą przyjemnością odebrałem list pański ubiegłego piątku. Myśl, że będę musiał procesować się w sprawie tak lichego majątku, jaki nabyłem, sprawia mi mniej przykrości, niż wiadomość, że sejm zakończył się, nie wynagrodziwszy pańskiej

---

vaise opinion que Vous avez conçue hier le soir de moi. Je ne me souviens pas exactement de ce que je Vous ai dit, mais je me souviens exactement de ce que Vous étiez extremement jolie. Si le bon vin de Stepney m'a laissé quelque reste de raison, Vos charmes me l'ont enlevé — et qui peut repondre des suites d'une double ivresse? Je me sens entierement guéri de celle du vin: mais l'autre a quelque chose de si agréable, que je doute beaucoup, de devenir jamais sobre.

7.

Bath, 19. Decembre.

à Mr. Bukaty, Résident de Pologne à Londres.

J'ai reçu avec bien du plaisir la vôtre du Vendredi passé. L'idée d'être exposé à un procés, pour une chétive acquisition, que j'ai faite, me fait moins de peine, que d'aprendre que la diéte s'est terminée, sans recompenser Votre mérite et Vos ser-

zasługi i pańskich usług. Proszę bardzo, bądź Pan łaskaw donieść mi, co król zamierza uczynić dla Pana; i bądź Pan pewien, że nikt na świecie nie odczuwa więcej przykrości odemnie z powodu pańskich nieudałych zamiarów, ani większych przyjemności wobec pańskich powodzeń.

Jestem tu od trzech tygodni, nic nie robiąc, tylko dla dobra mego zdrowia, które z każdem dniem się poprawia. Il fare niente jest najlepszem lekarstwem na zrujnowany organizm. Spodziewam się, że pańskie zdrowie nie ucierpiało wiele podczas podróży i że Pana ujrzę równie grubym, ale bogatszym niż kiedy rozłączyliśmy się. Mówiono nam, że żenisz się Pan z piękną właścicielką wielkiego majątku, zamiast urządzać polowania na dzikie niedźwiedzie na Litwie. Z niecierpliwością oczekuję od Pana słowa odpowiedzi i życzę Panu wszelkiego rodzaju pomyślności.

---

vices. Je Vous prie, de grace, dites-moi, ce que le roi est intentionné de faire pour Vous; et soyez sûr, que personne au monde, que moi, peut sentir plus de peine à vos entreprises manquées, ni goûter plus de plaisirs à vos succés...

Je suis ici, pendant trois semaines — a ne rien faire, pour le bien de ma santé, qui va de jour en jour mieux. Il fare niente est le meilleur remede pour une constitution délabrée. J'espére que la vôtre n'aie pas souffert par le voyage et que je vous reverrai aussi gros, mais plus riche, que lorsque nous nous sommes quitté. Que nous entendions parler, que Vous vous mariez avec une jolie héritiere, bien riche: au lieu que Vous vous amusez à la chasse des ours sauvages, dans la Lithuanie. Je suis impatient d'avoir un mot de reponse de Vous; et Vous souhaite toute sorte de felicité.

7. (Z I. tomu, str. 141).

Bath, 22. grudnia.

Do dra Turton.

Ponieważ staję się tak ogromnie tłusty, że byłbyś Pan narażony na to, że mnie nie poznasz, uważam za stosowne uprzedzić Pana, że powinieneś przypatrywać się każdemu otyłemu człowiekowi, którego spotkasz.

Ale, aby oszczędzić Panu tego trudu, powinienem Pana przestrzedz, abyś nie pokazywał się przed 12-tym stycznia, dniem, który naznaczyłem na mój wjazd tryumfalny do Londynu. Prawdą jest, że używanie wód czy życie religijne, jakie tu prowadziłem, zapełniły głębokie doły w miejscu, gdzie były zapadły się moje policzki, gdym opuszczał miasto, ale mój Pan żołądek — i ja, nie jesteśmy jeszcze całkiem dobrymi przyjaciółmi. Nie mogę zaliczyć jeszcze do moich cnót dobrego trawienia, które z cnotą czystości powinno być umieszczone pomiędzy głównemi cnotami. Trudno jest zrozumieć, jaki wpływ posiada zdolność trawienia w dziejach

---

7.

Bath le 22. Dec.

Au Dr. Turton.

Comme je deviens si prodigieusement gras, que Vous risquerez de ne pas me reconnaître, je trouve à propos de Vous avertir, que vous devez regarder fixément tout homme corpulent que vous rencontrerez.

Mais pour vous epargner cette peine, je dois vous prevenir, de ne pas vous présenter avant le 12. Janvier, jour le quel j'ai fixé pour mon entrée triomphale dans Londres. La verité en est, c'est que l'usage des eaux ou la vie religieuse, que j'ai menée ici, ont rempli les profondes vallées, où mes joues étaient enfoncées, en quittant la ville, mais Mr., mon estomac et moi, nous ne sommes pas encore tout à fait bons amis. Je ne puis encore compter parmi mes vertus une bonne digestion, laquelle, avec la chasteté, doit être placée au nombre des vertus cardinales. Il est difficile à comprendre, quelle influence la vertu digestive a dans

świata. Jeżeli chcemy poznać historyę sekretnych przyczyn, znajdziemy ku naszemu wielkiemu zdziwieniu, że wiele kobiet straciło swoją cnotę, wiele wojen zostało przedsięwziętych, wiele nudnych kazań wypowiedzianych, wielu ministrów poszło w niełaskę — a to tylko w następstwie złego trawienia; i nie mogę, mówię to w zaufaniu, przypisać innej przyczynie oschłości naszych nowoczesnych poetów, jak waporom, które unoszą się z ich żołądków i sięgają aż do głowy, a które oni biorą za rozum — lub za natchnienia Apolla. Spodziewam się, że Pan i wszyscy pańscy przyjaciele trawicie dobrze. Czy będzie Pan na tyle łaskaw i wyrazi moje uszanowanie Mylordowi Mansfield? — Boję się, żeby moja długa nieobecność nie zatarła mnie w jego pamięci i jestem zazdrosny o ciągłość takiej znajomości.

Pański przyjaciel P. Buller był przez te trzy dni tutaj; miałem zatem sposobność często wspominać o Panu i o wielkiej ilości dowodów dobroci, jakie Pan mi wyświadczyłeś.

---

les affaires du monde. Si nous voulons savoir l'histoire des causes secrettes, nous trouverons, à notre grand étonnement, que beaucoup de femmes ont perdu leur vertu, beaucoup de guerres ont été entreprises, beaucoup d'ennuyeux sermons prêchés, beaucoup de ministres disgraciés — à la suite d'une mauvaise digestion; et je ne puis, en confiance, attribuer à d'autre raison, l'insipidité de nos poetes modernes, qu'aux fumées, qui s'élevent de leurs estomacs jusqu'à leurs têtes, et qu'ils prennent pour esprit, ou pour des inspirations d'Apollon. J'espére que vous et tous vos amis digerez bien. Voudriez-vous avoir la bonté de presenter mes respects à Mylord Mansfield? — Je crains, que ma lonque absence ne m'efface dans son souvenir, et je suis jaloux de cultiver une pareille connaissance.

Votre ami Mr. Buller, a été ces trois jours ici: cela m'a donné souvent occasion de faire mention de vous et du grand nombre de boutés que Vous m'avez temoignées.

8. (Z II. tomu listów, str. 9). *(Londyn — 1785).*

Do Pani Tudor w Bostonie.

Hrabia Castiglioni, który będzie miał zaszczyt wręczyć Pani ten oto list, pochodzi z szlacheckiej rodziny włoskiej, a powodowany nadzwyczajną chęcią kształcenia się, zjeżdża w wasze strony. Główne jego poszukiwania dotyczą zakresu botaniki; wiadomości jego pod tym względem będą mu wielką pomocą w wynajdywaniu leczniczych ziół: ale chciałbym mieć zasługę zapoznania go z najmilszemi i najpiękniejszemi paniami Ameryki.

Przyzna to Pani, że nie potrzeba mieć nadzwyczajnej pamięci, aby nigdy nie zatracić wspomnienia osoby Pani. Co do mnie, gdybym mógł sobie przypominać wszystko to, co widziałem, z tą samą łatwością, z jaką przypominam sobie Twój obraz, Pani, byłbym najmędrszym człowiekiem na ziemi. Trzeba jednak przyznać, że jest pewną niekorzyścią widzieć coś nadto doskonałego, gdyż przedmioty, które ukazują się w dalszym ciągu naszym oczom, cierpią skutkiem porównania i tracą wiele ze swej wartości. Jestem jednak skłonny przebaczyć Pani przykrość, jaką ponoszę

---

8. *(1785).*

A Mad-e Tudor à Boston.

Le Comte Castiglioni, qui aura l'honneur de Vous présenter celle ci, est un gentilhomme italien qui porté par un desîr extraordinaire de s'instruire, passe dans vos contrées. Le principal objet de ses recherches est la botanique; ses connaissances dans ce genre lui seront d'un grand secours pour trouver des herbes salutaires, mais je voudrais avoir le mérite de lui faire connaître les plus aimables et les plus belles dames amériquaines.

Vous sentez bien, Madame, qu'il ne faut pas avoir une memoire extraordinaire, pour ne jamais perdre le souvenir de votre persone. Pour moi, si je pouvais me rapeller de tout ce que j'ai vû avec la même facilité, comme je me rapelle votre image, je serais l'homme le plus savant sur la terre. Il faut avouer cependant, qu'il y a un inconvenient d'avoir vû quelque chose de trop parfait, c'est que les objets, qui se présentent dans la suite à nos yeux, souffrent par la comparaison et perdent beaucoup de leur valeur. Je suis néamoins porté à Vous pardonner, pour la peine

obecnie, a to ze względu na to, że miałem przyjemność widzieć Panią pierwej. Muszę zazdrościć cokolwiek szlachcicowi, który odda Tobie, Pani, ten list; pochlebiam sobie jednak, że mam dość wiele dobrego smaku, aby dopuścić się zawsze podobnego występku w takich okolicznościach. Samo słowo występek. być może, zgorszy Panią, ale w naszej zepsutej Europie jesteśmy przyzwyczajeni do wyrazu i do samej rzeczy. Od mego powrotu z Ameryki przebywam stale tutaj, nie podzielając wcale uczuć Anglików dla sprawy buntowników; to też nie powinnaś mieć Pani żadnych podejrzeń co do uczuć, z jakiemi mam honor być i t. d...

9. (Z II. tomu. str. 15). *Londyn, 8. kwietnia 1785.*

Do P. Rogalińskiego.

Ostatni list pański zrobił mi wiele przyjemności, tembardziej, że nie spodziewałem się go wcale otrzymać.

---

présente en égard au plaisir de Vous avoir vû auparavant. Je ne peux m'empêcher de porter quelque envie au gentilhomme qui Vous remettra cette lettre; je me flatte d'avoir le goût assez bon. pour me rendre toujours conpable d'un pareil vice en ces occasions. Le seul mot de vice pourra peut-être, Vous choquer, mais dans notre Europe corrompue, nous sommes accoutumés au mot et à la chose. Depuis mon retour de l'Amérique, j'ai été toujours ici, sans avoir part à l'affection des Anglais pour les rebelles; ainsi Vous ne devez pas avoir des soupçons dans les sentiments, avec les quels j'ai l'honneur d'être etc...

9. *Londres, 8. Avril 1785.*

à Mr. Rogaliński.

Votre dernière lettre m'a fait beaucoup de plaisir, d'autant plus que je n'avais aucun espoir d'en recevoir.

Proszę bardzo, abyś zechciał Pan być akuratnym w pisaniu do mnie, a upewniam, że nic Pan na tem nie stracisz. Gdy się może zdobyć albo utrzymać przyjaciela, poświęcając trochę atramentu i papieru, szaleństwem jest zaniedbywać to; i śmiem powiedzieć, że pańskie zajęcia nie są ani tak liczne ani tak pilne, aby nie zostawiały czasu na napisanie do mnie co tygodnia kilku wierszy, a przynajmniej co dwa tygodnie. Niepodobieństwem jest mi z tak daleka wydać sądu stałego w sprawie tak skomplikowanej, jak sprawa Ryxa. Ale już na pierwszy rzut oka spostrzegam wiele sprzeczności i dużo nieprawidłowości tak z jednej jak i z drugiej strony. Niedorzecznem jest nie chcieć przypucić hr. Stanisława jako świadka, kiedy oni mają zeznania Taylor'a i domowników p-t-e. Dziwi mię, że doświadczenie nie nauczyło ich, że we wszystkich gwałtownych postępowaniach sądowych pozory muszą być zachowane. Pan twierdzisz, że proszki znalezione w kieszeni Ryxa były konfostatywą. Ale powinien Pan wiedzieć, że słynna contarella, którą papież Aleksander VI. pobożnej pamięci, umiał tak dobrze się posługiwać, nie była niczem innem

---

Je Vous prie beaucoup d'être exact à m'écrire; vous n'y perdrez pas, je vous en assure. Quand on peut gagner, ou conserver un ami, en sacrifiant un peu d'encre et de papier c'est une folie de le negliger; et j'ose dire, que Vos occupations ne sont ni si nombreuses, ni si pressantes, pour ne pas vous laisser le temps, de m'écrire quelques lignes chaque semaine, ou au moins, chaque quinzaine de jours.

Il m'est impossible, à telle distance, d'asseoir un jugement solide sur une affaire aussi compliquée, que celle de Ryx. Mais au premier coup d'oeil, j'aperçois beaucoup de contradiction et beaucoup d'illégalité de part et d'autre. Il est absurde de ne pas admettre le Compte Stanislas, comme témoin, quand ils ont les dépositions de Taylor et des domestiques de la p-t-e.

Je suis étonné que l'experience ne leur a pas apris, que dans toutes les procédures violentes les apparences doivent être sauvées. Vous dites, que les poudres trouvées dans la poche de Ryx, étaient confortatives. Mais vous devez savoir, que la fameuse contarella, dont pape Alexandre VI. de piense memoire, savait si bien se servir, n'était autre chose qu'une dose de cantharides,

jak dożą cantharid'y, przyrządzoną w pewien sposob. Pan mówisz następnie, że to były środki przeczyszczające...

Gdyby to tak było i jeżeli istnienie tych proszków jest dowiedzione, Ryx powinien być uwolniony od wszelkiego podejrzenia.

Nie rozumiem, co mówisz Pan o notatce P. du Cachet i jak sąd w sprawie kryminalnej może się odnosić do rady nieustającej. Sądzę jednak, że nasz rozum nie powinien się mieszać do tego, co dzieje się w naszej drogiej ojczyźnie.

Dziękuję Panu za nowiny i anegdotki. Niektóre są mi już znane; ale nie wiedziałem o wyjeździe Trembeckiego do Królewca... Powiedz mi Pan, jakie są przyczyny tej ucieczki i czy płacą mu zawsze jego pensyę? Bardzo radbym wiedzieć, w jaki sposób można przesłać mu list.

Pisałem do Burmingham w sprawie wiadomych rzeczy natychmiast i możesz się Pan spodziewać, że prasę będziesz miał w bardzo krótkim czasie.

Bukaty zdaje się być zadowolony ze swego położenia, byleby tylko był płacony regularnie. Chodzi co dwa tygodnie na

---

preparée d'une certaine façon. Vous dites ensuite que c'étaient des laxatifs...

Si cela était ainsi, et si l'existence de ces poudres est prouvée, Ryx doit être libre de tout soupçon.

Je ne comprends pas ce que Vous dites sur la note de Mr. du Cachet; ou comment un jugement en cause criminelle peut se raporter au conseil permanent. Mais je reconnais que notre esprit ne doit pas se mêler de ce qui se passe dans notre chere patrie.

Je vous remercie de vos nouvelles et anecdotes. Quelques-unes me sont déjà connues, mais je ne savais pas le départ de Trembecki pour Koenigsberg... Dites-moi, quelles sont les raisons de cette fuite et si on lui paye toujours sa pension? Je serais bien-aise de savoir, comment lui faire parvenir une lettre.

J'ai écrit à Burmingham, touchant les effets en question et vous pouvez compter d'avoir la presse en tres peu de temps.

Bukaty paraît être content de sa situation, pourvû qu'il fut payé regulierement. Il va toutes les deux semaines à la confe-

konferencyę, ażeby załatwiać z wielką zręcznością ważne sprawy wielce potężnego królestwa polskiego.

Pani Potocka była przez cztery miesiące w domu pewnego sierżanta. Obecnie znajduje się ona, jak się zdaje, w więzieniach Newgate. Nie miałem o niej wiadomości w tych trzech tygodniach; wyczerpała moją sakiewkę i moją cierpliwość.

Otrzymałem dwa szalone listy od Hylzena, ostatni z Marsylii z wiadomością o jego wyjeździe do Nicei i Genui.

Opuszczam przy końcu tego miesiąca Anglię, ażeby wyjechać do Niderlandów i pozostać parę tygodni w Spa a skończyć na Paryżu.

Książę Walii ma zawsze te same względy dla mnie. Obiecał mi swój portret. Ma on zamiar sam podróżować tego lata, ale to ze wszystkich jego projektów, najniepewniejszy.

Fortuna była dla mnie w grze bardziej sprzyjająca: wygrałem w przeciągu roku około 5.000 funtów szterlingów i wydałem z tego połowę. Posłałem w tym miesiącu część moich pieniędzy, ładną karetę, dwa rzędy i inne rzeczy do Polski, ale nie mogę powiedzieć, czy będą tam wkrótce. Sądzę, że nie powrócę, dopóki nie będę miał niezależnej, pięknej fortuny, którejby nikt

---

rence pour régler les affaires importantes du Très-puissant Royaume de Pologne, avec une grande habileté.

Mad-e Potocka a été pendant quatre mois dans la maison d'un sergeant. Elle est apparement dans ce temps ci dans les prisons de Newgate. Je n'ai eu de ses nouvelles, ces trois semaines-ci; elle avait épuisé ma bourse et ma patience.

J'ai reçu deux folles lettres de Hylzen — la dernière de Marseilles, sur son départ pour Nice et Gênes.

Je quitte l'Angleterre vers la fin de ce mois, pour faire un tour dans les Provinces-Unies et les Pays-bas, pour rester un couple de semaines à Spa et finir pas Paris.

Le Prince de Galles a toujours les mêmes amitiés pour moi. Il m'a promis son portrait. Il a l'intention de voyager lui-même cet été, mais c'est de tous ses projets le plus incertain.

La fortune au jeu m'a été plus favorable à moi; j'ai gagné dans le cours de l'anée environ 5.000 livres sterling et j'en ai depensé la moitié. J'ai envoyé, dans ce mois, une partie de mes livres, un joli carosse, des harnois et autres choses en Pologne, mais je ne saurais dire, si j'y serai bientôt. Je crois, que je ne retournerai pas, jusqu'à ce que je possede une jolie fortune in-

zachwiać nie mógł, aby wówczas poświęcić wszystek mój czas i zdolności służeniu ojczyźnie i umieszczeniu się w świątyni chwały. Ale nie ułożyłem jeszcze stanowczego planu. Kilka dróg znajduje się przedemną, a okoliczności zadecydują. Prawdą jest, że starałem się o czerwoną wstęgę orderową; pomogłoby mi to do zrobienia dobrej partyi... Odmówili mi jej; nie smucę się tem jednakże: tych rzeczy nie zabraknie mi później i czuję, że urodziłem się do czegoś więcej.

Gniewa mnie to, że wydrukowano tę lichotę: „Organy“.

Miałem zaledwie 18 lat, kiedy to napisałem. Śmiem powiedzieć, że wydawcy musieli dodać wiele błędów do błędów autora, ale to mnie wcale nie obchodzi. Ośm lat już prawie mija od czasu, kiedy wcale nie piszę wierszy i z tego powodu Pan i pańscy przyjaciele omylą się bardzo, jeżeli oczekują odemnie poezyi. Niech Bóg będzie dla Pana łaskaw! Niech Plutus i Wenera Pana wspomagają. Adresuj Pan z łaski swojej listy dla mnie do p. Hope w Amsterdamie.

---

dépendante, qui ne pourrait être troublée par personne et de sacrifier alors tout mon temps et mes capacités à servir ma patrie et de me placer au temple de la gloire.

Mais je n'ai pas encore formé un plan fixe. Plusieurs routes se trouvent devant moi et les circonstances décidéront. Il est vrai, j'ai sollicité le cordon rouge: cela m'aurait aidé à faire un bon parti... Ils me l'ont refusé; je ne suis pas fâché pour cela; ces choses ne peuvent me manquer dans la suite et je me sens né pour quelque chose de plus.

Je suis fâché, que l'on a imprimé cette misere: Les Orgues.

J'avais à peine 18 ans, quand je l'ai composé. J'ose dire, que les editeurs doivent avoir ajouté beaucoup de fautes à celles de l'auteur, mais cela ne m'importe guères. Il y a à présent huit ans à peu près, que je ne fais plus de vers et par conséquent vous et vos amis se tromperont beaucoup, s'ils attendent de la poesie de moi. Dieu vous soit propice! Que Plutus et Venus vous protegent. Adressez, s'il vous plait, vos lettres pour moi à M-rs Hope à Amsterdam.

10. (Z II. tomu, str. 61).

Akwizgran.

Do Pana Bukatego, Ministra Pełnomocnego w Londynie.

Przewiduję, że nim mój list dojdzie do Londynu, Pan już tam będzie. Jesteś Pan zanadto przekonany o szczerości moich uczuć i mego przywiązania, aby nie czuć, jak bardzo mnie to ucieszyło, gdym się dowiedział, że zostałeś Pan wreszcie zamianowany ministrem pełnomocnym.

Król sam winien był to uczynić z powodu Pańskich zasług, ale nie słyszałem, aby pensya Pańska była stosownie podwyższona i boję się bardzo, że z trudnością tylko podołasz wzrostowi wydatków, które nowa godność Pańska prawdopodobnie za sobą pociągnie. Ale to zawsze lepsze niż nic i nie odbyłeś Pan przynajmniej daremnej podróży, płacony przez Rogalińskiego, który mi pisze, że wkońcu uiścił się.

10.

(Aix de Chapelle).

A Monsieur Bukaty, Ministre Plenipot. à Londres.

Je presume, qu'avant ma lettre arrive à Londres, vous y serez déjà. Vous êtes trop convaincu de la sincérité de mes sentiments et de mon attachement, pour ne pas sentir, combien j'ai eu du plaisir à apprendre que Vous avez été enfin nommé ministre plenipotentiaire.

Le roi lui-même devait cela à vos services, mais je n'ai pas entendu encore, que Votre pension fusse augmentée à proportion, et je crains beaucoup, que Vous ne souteniez qu'avec difficulté, le surcroit des depenses, que votre nouvelle dignité doit probablement attirer. Mais cela vaut mieux que rien, et vous n'avez pas fait au moins un voyage, inutile... ne fut-ce que d'avoir été payé de Rogalinski, qui m'ecrit qu'il s'est enfin éxécuté.

-Zdaje mi się, że jesteś Pan szczęśliwym chłopcem. ale trzeba powiedzieć równocześnie, że zasługujesz na to. Jestem bardzo zmartwiony, że nie będę mógł przydłużyć mego pobytu w Anglii aż do Pańskiego tu powrotu, ale spodziewam się, że nie opuścisz Pan jej przed wiosną; bo ja przeprawię się przez kanał z pewnością w miesiącu kwietniu. Przez ten czas powinnibyśmy utrzymać regularną korespondencyę i wymieniać wiadomości Paryża z Londynem. Oprócz tego musisz mi Pan powiedzieć, co słyszałeś, że mówią o mnie w Polsce; jaką opinię mają o Pańskim przyjacielu. Zobowiążesz mnie Pan prawdziwie, nie ukrywając niczego przedemną i pisząc nagą prawdę, jaka dociera do Pańskich uszu.

Zdanie, jakie mam o sobie samym, ustalone jest na zawsze i oparte na niewzruszonych zasadach, których krytyki popularne nie zdołają obalić. A jednak sprawia mi przyjemność poznanie pojęć powziętych przez ludzi, na taką odległość o kim, który nie postępuje utartym szlakiem i wysila się, aby znaleźć nową drogę, którąby mogła zaprowadzić go do celu. Ponieważ wszyscy wiedzieli, że spędziłem jakiś czas w Anglii, przedtem nim Pan ją opuściłeś, pytali się Pana zapewne, co dzieje się ze mną

- Il me parait, que vous êtes un heureux garçon, mais il faut vous dire en même temps que vous merités de l'être. Je suis beaucoup en peine, que je ne pourrai prolonger mon sejour en Angleterre, jus qu'à votre retour ici. mais j'espére, que vous ne la quitterez avant le printemps, car je traverserai à coup sur le Cañal au mois d'avril. En attendant nous devrions établir une correspondance reguliere, et changer les nouvelles de Paris contre celles de Londres. Outre cela vous devez me dire ce que vous avez entendu dire de moi en Pologne; quelle opinion on a de votre ami. Vous m'obligerez vraiment, en ne me déguisant rien; mais en écrivant la verité nue, come elle parvient à vos oreilles.

L'opinion. que j'ai de moi-même, est fixée à jamais, fondée sur des principes inaltérables, que les clameurs populaires ne pourront point ébranler. Mais j'ai du plaisir à connaître les idées, que conçoivent les gens à telle distance de quelqu'un qui ne suit pas le chemin battu, et qui s'efforce de trouver une nouvelle route, qui puisse le mener à son but. Comme tout le monde savait, que j'ai passé quelque temps en Angleterre, avant que vous

i musiałeś Pan wysłuchać przy tej sposobności mnóstwo zdań o mnie.

Moje zdrowie było w czasie tych sześciu tygodni mniej niż mierne; jestem naprawdę pod tym względem nieszczęśliwy. Życie umiarkowane i uregulowane, jakie prowadzę, nie zabezpiecza mnie przed nowymi objawami, które wzbudzają we mnie obawę. i przed skomplikowanem chorobami, które są nieznane doktorom. To przygnębia umysł znacznie i powstrzymuje mnie w planach najlepiej obmyślanych. Spodziewam się, że Pański silny organizm nie ucierpiał wiele z powodu trudów długiej podróży i z powodu młodej żony. Radzę Panu troszczyć się o swoje ciało. które jest jedynem źródłem naszych uciech.

Pogoda jest tutaj zarówno zła jak i towarzystwo. Przyjechałem tu przeszłej niedzieli i jadę tego rana do Spa, gdzie zostanę dwa lub trzy dni.

Pani Potocka przybyła tu niedawno ze swoim młodym małżonkiem i szwagrem. (który się ożenił z młodą księżniczką Lubomirską).

---

l'eussiez quitté, on vous aura surement questionné sur mon compte. et vous étiez à portée d'entendre leurs divers jugements.

Ma santé a été moins que passable pendant ces six semaines; je suis vraiment malheureux à cet egard. La vie moderée et reglée, que je mene, ne me garantit pas de quelques nouveaux symptômes, qui m'allarment, et des maladies compliquées qui echappent à la connaissance des medecins. Cela abat l'esprit considérablement, et m'arrête dans les plans le mieux combinés. J'espére que votre bonne constitution n'a point souffert par les fatigues d'un long voyage et par la jeune femme.

Je vous conseille de prendre soin de votre corps, qui est l'unique source de nos jouissances.

Le temps est aussi mauvais ici que la compagnie. Je suis venu ici dimanche passé et je pars ce matin pour Spa, où je resterai deux ou trois jours.

Made Potocka est arrivée ici, l'autre jour, avec son jeune époux et son beau-frère (qui s'est mariée avec la jeune Princesse Lubomirska).

Z końcem miesiąca postanowili wyjechać do Anglii w towarzystwie hrabiny Tyszkiewiczowej, której zdrowie widocznie jest nadwątlone.

Będziecie mieli w przyszłej jesieni liczną kolonię Sarmatów, jeżeli hrabia Ogiński pojedzie do Londynu, jak mnie zapewniał, kiedy go widziałem w Hadze. Na 17-go będę z pewnością w Brukselli. Będzie Pan łaskaw adresować listy do P. Danvot. syn i Spółka, bankierzy.

11. *Cork w Irlandyi, 7. lutego 1784.*

Do Pani hrabiny de Boufflers w Paryżu. [1])

Nie wiem, jaki los spotkał list, który miałem zaszczyt napisać do Pani wyjeżdżając z Filadelfii. Od tego czasu widziałem

[1]) List ten ma w rękopisie błędną datę 1804 r. Pochodzi on z innego zbioru, z którego zachował się jedyny; należały tu także według wszelkiego prawdopodobieństwa dwa następne listy do króla Stanisława Poniatowskiego, przechowane tylko w streszczeniu, a pochodzące — co jest pewne — z czasu powrotu poety z podróży amerykańskiej.

Ils sont résolus d'aller en Angleterre, vers la fin du mois, en compagnie avec la Comtesse Tyszkiewicz dont la santé est visiblement déchue.

Vous aurez pour le prochain automne une nombreuse colonie de Sarmates; si le Comte Ogiński part pour Londres, comme il me l'a assurê, quand je le vis à la Haye. Je serai pour sûr le 17. à Bruxelles. Vous voudriez bien adresser vos lettres à Mr. Danvot, fils et Comp., banquiers.

11. *Cork en Irlande, 7. Fevrier 1784.*

A Mme la Comtesse de Boufflers à Paris.

Je ne sais quelle aura été la destinée de la lettre, que j'ai eu l'honneur de Vous écrire à mon départ de Philadelphie. De-

wiele a wycierpiałem jeszcze więcej, i memu przyjazdowi z Ameryki towarzyszyło tyle okoliczności nadzwyczajnych, rzecby można, nie do uwierzenia, iż sądzę, że nie będę drobiazgowy, jeśli przedstawię Pani całą rzecz szczegółowo. Jakkolwiek wspomnienie niebezpieczeństwa, na które byłem narażony, stoi mi jeszcze w pamięci, opowiadanie moje nie będzie przesadne i czytając to, może Pani oddać się w zupełności współczuciu, jakie podobny wypadek może wzbudzić w czułem sercu. Obiecywałem sobie, że po ukończeniu mojej amerykańskiej podróży powrócę spokojnie do Europy, nie znajdując jednak sposobności, by dostać się do Francyi, zdecydowałem się udać do Irlandyi, przejechać następnie Szkocyę i Anglię i zwiedzeniem tych trzech królestw powiększyć korzyść mojej podróży. Wszystko mnie zachęcało do wypełnienia tego zamiaru; okret, na który miałem wsiąść, cieszył się opinią najlepszego żaglowca w porcie, kapitan był jednym z najzręczniejszych i najdoświadczeńszych marynarzy. Jedynym moim towarzyszem podróży był człowiek łagodny, miły i wykształcony, który wycofawszy się ze spraw politycznych i porzuciwszy kłopoty trybunału, którego był wybitnym członkiem, udawał się do Anglii, aby pozakładać tam domy handlowe i oddać

---

puis cette epoque j'ai beaucoup vu et souffert d'avantage, et mon passage d'Amérique est accompagné de tant de circonstences extraordinaires, pour ne pas dire incroïables, que je ne crois pas être minutieux en Vous en parlant avec détail. Quoique le souvenir du danger, que j'ai couru, est présent à ma mémoire, mon recit ne sera pas éxageré et en lisant ceci Vous pouvez Vous livrez Madame à toute la compassion, qu'un événement pareil peut exciter dans un coeur sensible. Je me promettais après avoir fini mon voyage d'Amérique de retourner paisiblement en Europe et ne trouvant pas d'occasion pour la Françe, je me suis décidé à passer en Irlande de traverser de la l'Ecosse et l'Angleterre et de joindre la vue de ces trois roiaumes, aux profits de mon voyage. Tout m'invitait à éxécuter ce déstin: le vaisseau sur le quel j'allais m'embarquer était réputé le meilleur voilier du port, le capitaine un des plus habiles, et experimentés navigateurs, j'avais pour seule societé, un homme doux, aimable, instruit, qui ayant quitté ces affaires politiques et les embaras du agré, dont il avait été membre distingué, passait en Angleterre, pour y former des maisons de commerce, et se livrer aux vastes spécula-

się rozległym spekulacyom, do których przeznaczały go jego zdolności i majątek. W chwili naszego wyjazdu czyniono zakłady, że podróż nasza nie będzie trwała trzech tygodni, ale wszystkie te pochlebne pozory, wszystkie te zadowalające prawdopodobieństwa zostały zniszczone wyrokami tego, co starożytni nazywali przeznaczeniem losu, a co nowożytni uważali za stosowne nazwać opatrznością.

Po 42 dniach żeglugi, w której musieliśmy walczyć bez ustanku albo z gwałtownością przeciwnych wiatrów, albo z nudną ciszą morską, zjawiskami w tej szerokości i podczas zimy bardzo rzadkiemi, z któremi przez pięć dni z rzędu mieliśmy do czynienia, spostrzegliśmy wreszcie ziemię 15. stycznia o zachodzie słońca. Był to najbardziej na zachód wysunięty punkt Irlandyi, nazwany Misenhead; jest to łańcuch skał stromych, okropnych i bardzo wysokich, ale po ciężkiej przeprawie widok najokropniejszego wybrzeża jest bardzo rozkoszną perspektywą. Oczy nasze wpiły się w tę ziemię, póki[1] słońcu podobało się ją oświecać, i położyliśmy się spać pełni radości i nadziei. Dął chłodny wiatr północno-zachodni. O 8-mej godzinie zrana kapitan nadał okrętowi kierunek poprzeczny, aby dostać się do brzegu,

---

tions. aux quelles sa capacité et sa fortune le déstinaient. Il se fit au moment de notre depart des paris, que notre voyage ne durerait pas trois semaines, mais toutes ces apparences flatteuses, toutes ces satisfaisantes probabilités furent renversées par les décrets de ce,. que les anciens appellaient fortune destinées. et qué les modernes ont jugé apropos de nommer providence.

Après 42 jours de navigation, ou nous eumes à lutter sans cesse, ou contre la furie des vents contraires, ou contre l'ennuyeuse insipidité des calmes, phénoménes tres rare en hiver dans ces latitudes, et que nous avons éprouvé cinq jours de suite, nous aperçûmes la terre le 15. de Janvier au coucher du soleil; c'était la pointe la plus occidentale de l'Irlande appellée Misenhead; c'est une chaine des rochers éscarpés hideux, et très élévés, mais après une pénible traversée, la vue de la cote la plus affreuse, est une bien delicieuse perspective. Nos yeux demeurent fixés sur cette terre, tant qu'il plût au soleil de l'éclairer, et nous nous couchâmes pleins de joie et d'esperance. Il soufflait un vent frais N. O. Le capitaine mit en travers à huit heures de matin d'échouer sur une cote qu'il ne connaissait pas parfaitement, à 10 heure

którego dobrze nie znał. O dziesiątej wiatr ustał zupełnie, a o północy począł dąć przez cały kwadrans od strony ziemi, ale nagle okrążywszy kompas, przeskoczył na nowo na północny zachód i to z taką gwałtownością, że uniósł maszt przedni, jeden z najgłówniejszych żagli. Bliskość zatem ziemi stała się teraz dla nas przedmiotem strachu, i co nas radowało dnia poprzedniego, przynosiło obecnie rozpacz. Pędziliśmy prosto na skały, nie mając żadnej nadziei uratowania się: widzieliśmy śmierć pewną i straszną, a wysiłki, które robiliśmy, aby opóźnić bieg okrętu albo nadać mu inny kierunek, nie pozbawiały nas świadomości niebezpieczeństwa. Z brzaskiem dnia byliśmy już tylko o niecałe dwie mile od ziemi i pierwszy obraz, jaki rzucił się nam w oczy, był widok wielkiego statku rozbitego o skały i jego załogi pogrążonej w falach. Wtedy rozpacz ogarnęła cały okręt i dały się słyszeć płaczliwe krzyki.[1] . . . .

. . . .

---

[1]) Rękopis zdefektowany; dokończenia listu niema.

---

le vent tomba tout-à-fait et à minuit il souffla de terre pendant un quart d'heure, mais tout d'un coup faisant le tour du compas il sauta de nouveau au N. O. mais avec tant de violence, qu'il emporta la misene, une des voiles les plus essentielles. La proximité de la terre devint alors pour nous un objet d'éffroi, et ce qui nous avait mis la veille la joie dans l'ame, y porta maintenant le désespoir. Nous étions emportés droit sur des rochers sans aucune esperence de salut; nous voyons une mort certaine et affreuse, et les efforts, que nous faisions, pour retarder la marche du vaisseau ou lui donner une autre diréction, ne nous dérobaient pas la connaissence du peril. A la pointe du jour nous n'étions pas à deux miles de terre et le premier spectacle, qui frappa nos yeux, fut celui d'un navire considerable fracassé contre des rochers et l'équipage engloutit dans les flots. Le désespoir s'empara alors du bord et des cris lamentables se firent entendre. . . . .

. . . .

12. *Londyn, 8. czerwca (niezawodnie 1785 r.)*

Do króla.

I. Donosi w nim w swej treści, że nie mogąc się spodziewać, by, z powodu spóźnionej pory, mógł zostać wybrany posłem na sejm z Bielska, jak prosił o to Jego Kr. Mość zaraz po swoim przybyciu do Londynu; załącza usilne prośby, by mógł otrzymać jakie dochody lub odznaczenia, tem bardziej, że dowody przyjaźni, jakie otrzymuje od księcia Wallii, zmuszają go do przedłużenia swego pobytu w Londynie.[1])

II. Dziwi się z powodu opóźniania się listów królewskich; donosi, że niepewne powodzenie jego zamiarów zatrzymuje go jeszcze w Londynie: że byłby bardzo niezadowolony, gdyby wracając do kraju nie otrzymał dowodów życzliwości Jego Kr. Mości; że życzyłby sobie tymczasem urząd w komisyi skarbowej na dwa lata następne.

---

[1]) Tej samej sprawy dotyczył list niedochowany, a znajdujący się ongiś w tym samym zbiorze — jak świadczy wzmianka — na str. 75.

---

12. *Londres, 8. Juin.*

Lettre au roi.

I. Elle porte en substance, que ne pouvant espérer à cause du temps avancé d'être elu nonce de Bielsk pour la diète, comme il en avait prie Sa Majest d'abord à son arrivée à Londres; il fait des sollicitations solt procurer autant d'avantages que de distinctions, d'autant plus que les témoignages d'amitie, qu'il recevait du prince des Galles, l'obligeait de prolonger son séjour à Londres etc.

II. Il est etonné du retard des lettres du prince; que le succés equivoque des ses projets le retient encore à Londres; qu'il ne serait gueres satisfait de reparaître dans son pays sans avoir reçu des marques de la bienveillance de S. M.; qu'il désirerait en attendant, une place dans la commission du trésor pour les deux années suivantes.

V. Szczątek dziennika z r. 1785.

Przedwczoraj wieczór wpadłem dopiero na ten sposób, który chciałbym, żeby się dał wykonać, przynosząc przynajmniej połowę tych pomyślnych wyników, jakich się po nim spodziewam.

17. października.

Popełniłem kilka nierozważnych kroków w ciągu dnia, poszedłem zobaczyć kaskadę Pisse-vache w dolinie: przybywszy do Bex, zjadłem na obiad zbyt wiele niezdrowych rzeczy. Spotkałem tam dwóch ludzi, z których jeden był szlachcicem z Franche-Comté a nazywał się markiz Ponave, drugi pan Burrit, syn owego Burrita, znanego ze swoich wycieczek, z dzieł o Alpach i z dokładnych rysunków, jakie tam robi. Mieli jechać konno do kaskady, ale zaproponowałem im, że zawiozę ich tam w moim powozie; oni zgodzili się na to. Z Bex jedzie się do Saint Maurice, które jest wejściem do doliny; wodospad jest stąd oddalony o 2

C'est avant-hier au soir que j'ai imaginé ce moyen, que je desirerais pouvoir remplir au moins la moitié des vues que je m'y propose du bien que j'en attends.

Le 17. Octobre.

J'avais fait plusieurs inconséquences dans la journée, j'étais allé voir la cascade de Pisse-vache dans le valais; en arrivant â Bex, je dinai beaucoup trop des choses malsaines, j'y rencontrai deux hommes dont l'un était un gentilhomme franc-comtais, qui s'appellait le marquis de la Ponave, l'autre Mr. Bourrit, fils de ce Bourrit, connu par ses courses, ses ouvrages sur les Alpes, par les desseins fidèles qu'il en fait. Ils devaient aller à Cheval à la cascade, je leur proposai de les mener dans ma voiture, ils y consentirent. On va de Bex à St. Maurice, qui est l'entrée du valais; la chûte d'eau est à deux lieues de là: elle est d'une

mile; jest on bardzo piękny i zachwycająco malowniczy: spada przynajmniej z' wysokości stu stóp i wywołuje wiele różnorodnych wrażeń: tylko półtora dnia drogi jest od Pisse-vache do lodowców Chamonix; jest to podróż, którą mógłbym przedsięwziąć nawet w tej porze roku, gdybym się czuł zdrowszy. Powróciliśmy do Bex, przebywszy znowu Rodan, który w tej porze roku jest bardzo mały; byłem tak nierozsądny, żem wszczął spór z mymi towarzyszami podróży w kwestyi religii: jest to wielkie głupstwo spierać się wogóle, ale spory religijne są już szczytem głupoty. Nie udało się jeszcze nigdy przekonać nabożnisia, a daje się mu sposobność, by źle myślał o naszym charakterze: ponieważ pierwszą zasadą tych ludzi jest zdanie, że nie można być uczciwym człowiekiem, skoro czuje się niedorzeczności swojej religii i gdy się ich nie szanuje. Tego wieczora zjadłem kolacyę i powiększyłem tylko moje zło, które już czuję od dawna; w nocy nie spałem i dyarya moja powiększyła się. Koło Bex znajdują się saliny Bevieux, jedyne w Szwajcaryi, kanton berneński eksploatuje je i wydobywa z nich 8.000 centnarów rocznie, co jednak nie wystarcza na potrzeby kraju; resztę sprowadzają z . . . .

. . . .

---

grande beauté et d'un pittoresque charmant; elle tombe au moins de cent pieds, et produit des effets très variés; il n'y a qu'une journée et demie de Pisse-vache aux glacieres de Chamonie: c'est un voyage, que j'aurais pû entreprendre même dans cette saison, si je m'étais mieux porté. Nous revinmes à Bex après avoir repassé le Rhône, qui est très petit dans cette saison: j'eu la bêtise de disputer sur la réligion avec mes compagnons de voyage: c'est une grande sottise que la dispute en général, mais celles sur la religion en sont le comble. On n'a jamais convaincu un bigot, et l'on lui fait toujours penser mal de son caractère; parceque le premier principe de ces gens là est de croire, qu'on ne peut pas être honnête homme, quand on sent les absurdités de sa réligion et qu'on ne les révére pas. Ce soir j'ai soupé et j'ajoutai un nouveau mal à celui que je sentais déjà; je ne dormis pas de la nuit et ma diarhée en augmenta. Près de Bex sont les salines de Bevieux, les seules en Suisse, le canton de Berne les exploite et en tire 8.000 quintaux par an, ce qui ne suffit pas à la consommation du pays; le reste est fourni par . . .

. . . .

VI. Dziennik z dni ostatnich.

13. października (1786).

Przeczuwam, że mój koniec zbliża się; im więcej czuje się źle, tem bardziej jestem nieostrożny.

14., 15., 16. października.

Moje zdrowie z dnia na dzień pogarsza się, nie mogę jednak poddać się rozsądnej dyecie

17., 31. października.

Tych piętnaście dni. jak sądzę, zadecydowało o mojem życiu. Uchybienia w dyecie zostały posunięte do najwyższego stopnia, plucie krwią i odczuwanie silnego gorąca w piersiach. które nastąpiły potem, odjęły mi wszelką nadzieję wyzdrowienia; żołądek jest

---

13. Octobre.

Je sens que ma fin s'approche; plus je me vois mal, plus je suis inconséquent.

14., 15., 16. Octobre.

Ma santé va tous les jours plus mal et je ne puis me soumettre à un régime raisonable.

17., 31. Octobre.

Ces quinze jours ont, je crois, décidé ma vie. Le défaut de régime a été porté à son comble, un crachement de sang et un échauffement de poitrine, qui me sont survenuer à la suite m'ont ôté toute espérance de guerison; l'estomac est dans le dernier

w ostatniem rozstrojeniu, a chudnienie i niknięcie, które były tego następstwem, są widoczne i tak znaczne, że niepodobna już wątpić, iż ustrój jest zasadniczo zaatakowany. Jestem więc przeznaczony na śmierć i umieram z własnej winy, nie żałowany przez nikogo, zapoznany nawet przez najlepszych znajomych; umieram nie oddawszy żadnej usługi mojej ojczyźnie, rodzajowi ludzkiemu, moim rodzicom, nie załatwiwszy interesów w sposób najdogodniejszy dla moich spadkobierców; przyzwyczajony od dzieciństwa dogadzać swoim kaprysom i zachciankom, przeżyłem trzydzieści lat bez systemu, bez planu, oddany namiętnościom, które jednakże nie były gwałtowne. Biada człowiekowi, który szczęścia swego nie zdołał ująć w system, wedle którego mógłby postępować i odnosić wszystkie czynności swego życia, i przez to o ileby to mu było możliwe, zapanować nad wypadkami, które jego dotyczą i obchodzą: ten, który płynie, zdawszy się na łaskę fal, musi zawsze utopić się.

Ta choroba osłabiła moje zdolności umysłowe: straciłem całkiem pamięć, moje czytanie staje się bezowocne i męczy tylko ciało i oczy, nie dając nic w zamian umysłowi; mówię językami z mniejszą łatwością i jestem niezdolny do żadnego rodzaju pracy.

---

délabrement et l'amaigrissement et le dépérissement, qui en ont été la suite, sont visibles et si marqués qu'il m'est impossible de douter que la machine est attaquée essentiellement. Je suis donc destiné a mourir, et je meurs par ma faute, n'emportant les regrets de personne, méconnu même des connaissances les plus intimes: sans avoir rendu aucun service a ma patrie, au genre humain, à mes parents, sans avoir arrangé mes affaires de la manière la plus convenable pour mes héritiers; accoutumé dès mon enfance à ne suivre que mes fantaisies et mes caprices, j'ai passé trente ans, sans système, sans plan, abandonné aux passions, qui pourtant n'ont pas été violentes. Malheur à l'homme, qui de bonheur ne se forme pas un systeme, suivi de conduite au quel il doit rapporter toutes les actions de sa vie, et se rendre maitre autant qu'il lui est possible des événements, qui le touchent et le regardent: celui qui nage au gré des flots finira toujours par être noyé.

Cette maladie a affaibli mes facultés intellectuelles; elle m'a fait perdre totalement la mémoire, mes lectures son sants fruit, et ne servent, qu'à fatiguer mon corps et mes yeux, sans nourrir mon esprit; Je parle les langues avec moins de facilité, et je

Nie nauczyłem się niczego, coby było warte pamięci, prócz tego, że w Portugalii minister finansów jest pierwszym ministrem. Z pewnością dlatego, że rządzi finansami „in globo“; inni sekretarze stanu nie mają nic oznaczonego dla swoich departamentów; każdy pułk armii, każdy pisarz biurowy, każdy oficer marynarki, są płatni wprost ze skarbu; widzi się z tego olbrzymie znaczenie ministra finansów.

1. stycznia 1787.

Myślałem i taki był mój zamiar, aby położyć kres moim niedorzecznościom wraz z zakończeniem nieszczęśliwego roku, który właśnie do końca dobiegł, ale niestety, rozsądek jest słabym ratunkiem przeciw nawyknieniom — gdy charakter nie przyjdzie mu w pomoc.

2. stycznia.

Dzisiaj opuściłem Avignon i oto jestem w Akwizgranie; podróż zmęczyła mnie, noc, którą przebyłem, nie pokrzepiła wcale moich sił; czuję się niesłychanie przygnębiony i słabszy.

---

suis incapable d'aucune espéce de travail. Je n'ai rien appris qui mérite d'être retenû — excepté qu'en Portugal le ministre des finances se trouve être le 1-er ministre. Nécessairement parce qu'il régit les finances „in globo“: les autres sécretaires d'état n'ont rien de déterminé pour leur département; chaque regiment de l'armée, chaque commis des bureaux, chaque officier de la marine; sont payér directement du trésor; on voit par la le crédit immense du ministre des finances.

Le 1-er Janvier 1787.

Je croyais, et c'étais mon intention de finir mes inconséquences avec l'année malheureuse, qui vient de se terminer, mais-hélas-la raison est un faible secours contre les habitudes — quand le caractère ne vient pas à son appui.

2. Janvier.

Aujourd'hui j'ai quitté Avignon et me voilà à Aix: le voyage m'a fatigué; la nuit que je viens de passer n'a pas reparé mes forces; je me trouve extrêmement abbattû et plus faible.

3., 4. stycznia.

Zastałem w Akwizgramie P. de Thiars, który właśnie wyjeżdżał; ksiądz de L'Ille odjeżdżał z nim. Kuryer. przybyły tej nocy z Paryża. przywiózł rozkaz intendentowi, aby udał się do Paryża na zebranie stanów generalnych czyli na zebranie notablów.

Francuzi. którym nie czyni się nigdy tego zaszczytu. by zasiegac ich rady w sprawach państwa, są dumni z tej inowacyi, i obiecują sobie po niej znacznych korzyści dla narodu, podczas gdy tu chodzi tylko o pożyczkę albo o podatki. Akwizgran jest dość ładnem miastem, posiadającem kilka pięknych budynków: ulica, którą nazywają „le cours", godną jest uwagi; kilka wodotrysków upiększa to miasto. które jest siedzibą parlamentu. Oliwa, którą robią czy to w Akwizgranie czy w okolicach, jest najlepsza z całej Prowancyi. Biblioteka, którą pan Mejeanner zebrał i która go kosztowała, jak mówią, 500.000 franków, została zapisana przez niego testamentem miastu Akwizgranowi.

Akwizgran jest kolonią rzymską, zbudowaną przez Sextiusa Kalwiniusa, którego Rzymianie wysłali z wojskiem na pomoc Marsylia-

---

3., 4. Janvier.

J'ai trouvé à Aix Mr. le Thiars, qui était sur son départ; l'abbé de l'Ille s'en allait avec lui. Un courier. arrivé de Paris cette nuit, a apporté l'ordre à l'intendant de se rendre à Paris pour une convocation d'états généraux ou assamblée de notables.

Les français, à qui l'on ne fait jamais l'honneur de les consulter sur des matières d'état, sont fiers de cette innovatien, et se promettent des grands avantages pour la nation, tandis que cela ne cour qu'un emprunt, ou un impôt. Aix est une assés jolie ville, où il y a plusieurs beaux batiments: la rue, qu'on appelle „le cours", est remarquable; plusieurs fontaines embellissent cette ville, elle est le siege du parlement; l'huile, que l'on fait à Aix ou dans les environs. est la meilleure de toute la Provence. La bibliothèque, que Mr. Mejeanner a rassemblé et qui lui a couté à ce que l'on dit 500 mille francs, a été laissée par son testament à la ville d'Aix.

Aix est une colonie romaine, bâtie par Sextius Calvinius, que les Romains avaient envoyés avec une armée au secours des Marseillais, attaqués par les Salyer, peuple qui occupait le diocèse

nom, napadniętym przez Salyerów, lud, który zajmował okolice Akwizgranu. Konsul rozłożył swój obóz na brzegach małej rzeczki Arc; obóz ten stał się z czasem miastem, kolonią rzymską, słynną ze swoich wód mineralnych, które nazywano *„aquae sextiae“*. Kąpiele te, tak sławne za czasów rzymskich, zostały pogrążone w zupełnej niepamięci przez szereg wieków... Dopiero w początku naszego stulecia robotnicy burząc dom natrafili na dawne źródło; wykopano tam również kolumny, napisy, medale i inne starożytne pomniki. Miasto Akwizgran kazało budować tam domy dla pomieszczenia chorych: ale dotąd wody nie odzyskały jeszcze dawnego swego rozgłosu.

5. stycznia.

Dosyć złe drogi, jak zwykle w Prowancyi, szczególnie w tej porze roku, a to dzięki tłustemu i błotnistemu terenowi, jak też dzięki wielkiemu zaniedbaniu w wyłożeniu ich kamieniami i w naprawie, zawiodły mnie do Marsylii, miasta Francyi najbardziej handlowego i czynnego; handel jego jest ogromny i wy-

---

d'Aix. Le consul assit son camp sur les bords de l'Arc petite riviere: ce camp devint ville, colonie romaine, célébre par ses eaux thermales, qu'on appellait *„aquae sextiae“*. Ces bains, si célébres du temps des Romains, furent ensévelis dans l'oublie pendant plusieurs siecles. Ce n'est qu'au commencement de celui-ci que des ouvriers en démolissant une maison retrouvèrent l'ancienne source; on y déterra des colonnes, des inscriptions, des médailles et d'autres monuments antiques. La ville d'Aix y a fait bâtir des maisons pour loger les malades; mais les eaux n'ont pas encore pu parvenir a leur ancienne réputation.

Le 5. Janvier.

D'assez mauvais chemins, qui sont communs en Provence surtout dans cette saison, a cause que le terrein y est gras et faugeux et qu'on met beaucoup de négligence a les ferrer et a les réparer m'ont conduit à Marseille, la ville de France la plus commerçante et la plus active; son commerce est immense et

nosi 15 do 20 milionów obrotu na tydzień. Prócz handlu z krajami wschodnimi, który Marsylianie prowadzą wyłącznie, i handlu z wyspami, którym dzielą się z miastem Bordeaux i Nantes, prowadzą jeszcze handel hurtowny, ponieważ największa część holenderskiego pieprzu z hiszpańskiej cochenilli bywa tam składana i zamieniana.

Marsylia posiada prócz tego znaczne fabryki, z których najważniejsze są fabryki mydła: pochłaniają one za 12 milionów oliwy i około 7 do 8 milionów beczek sody. . . . .

. . . .

---

roule de 15 a 20 millions par semaine — outre le commerce de Levant, que les Marseillais font exclusivement, et celui des isles, qu'ils partagent avec Bordeaux et Nantes, il s'y fait un commerce d'entrepôt considérable la plus grande partie du poivre des Hollandais, de la cochenille d'Espagne y est déposée et échangée.

Marseilles a outre cela des manufactures considérables les plus fortes sont celles de savon: elles consomment pour 12 millions d'huile et environ 7 à 8 millions de barils en soude. . .

. . . .

(Koniec I. części).

Wycieczka do Parany

(stanu rzeczypospolitej Brazylii).

Dziennik podróży.

(Dokończenie).

Nie brak w Paranie drzew gumowych i gutaperkowych. Często się spotyka Paô de leite (krzak i drzewo mleczne). Z przełamanego liścia lub gałązki tegoż wypływa w wielkiej obfitosci sok biały i tłusty jak śmietana. Do gutaperkowych należy Massaranduba, z której dobywa się obficie sok: ten, gdy świeży, używa się jako mleko do kawy lub herbaty (w północnej Brazylii). Gdy się zeschnie, staje się znakomitą gutaperką. Są niektóre drzewa, wydające sok gumowy ostry i gryzący jak np. Mata Olho (niszczyoko), przezwane tak z powodu, że wielu istotnie straciło oczy, gdy nieostrożnie uderzyli weń siekierą, a ono zemściło się, pryskając kroplą jasno-żółtą do oczu.

Jak dotąd, nikomu się nawet nie śni robić jakikolwiek użytek z tej właściwości gumowych drzew powyższych.

Drzewa niesłychanie lekkie a trwałe są: Caroba i Timbouva (Enterolobium Timbouva); bardzo nadają się one przeto do konstrukcyi statków i łódek oraz stolarstwa.

Twarde zaś jak żelazo i niezdarte są: Ipé (Tecoma Ipé), może najtwardsze w świecie, Batinga (Eugenia durissima), Grun-

dahy czyli Pao ferro (drzewo-żelazo). Guajuvira (Patagonula americana). Jacaranda czyli palisander, Imbuya, Guaramirim czyli Quebracho. Odpowiednie one są też do wyrobu mebli, kul do kręgli i do różnych budowli.

Do robót ciesielskich i stolarskich, oprócz powyższych oraz wspomnianych Araukaryi i Wawrzynów, nadają się wyśmienicie: Açouta Cavallo, Anjico, zwane przez naszych kolonistów Andzik, Araça, Batinga, Cabriuva, Caroba, Canjerana Grapiapunia (apuleïa precox). Peroba.

Aby dać znawcom lekkie pojęcie o drzewach parańskich, podaję następującą tabliczkę ich ciężaru gatunkowego i wytrzymałości. (Dane te czerpane są przeważnie z dzieła portugalskiego: „Estudos sobre materiaes de construccaô“ inżyniera dr. Adolfa Józefa del Vecchio).

Nazwa drzew:	Ciężar gatunkowy:	Wytrzymałość przy zgniataniu centymetra kubicznego:
Aroeira (schinus terebentefolius)	1.219	1.005
Angico (acacia angico) . .	0.907	755
Araça (psidium araça) . .	0.997	735
Batinga branca (biała) .	0.997	—
Cabriuva	0.751	719
Canela preta, cynamonowe czarne (nectranda mollis)	0.877	676
Canela Sassafras	1.080	792
Canjerana (cabrala cangerana)	0.824	546
Caroba (jacaranda procera)	0.570	—
Cedr (cedrela brasiliensis)	0.596	467
Cedr czerwony	0.638	—
„ biały	0.538	—
Grapiapunia	0.855	860
Guajuvira czarna (patagonula americana) . . .	0.811	—
Guajuvira biała	0.803	—
Guabiroba	0.747	611
Ipé (tecoma speciosa) . .	1.057	—
Jacaranda Cabiuna . . .	0.872	791

Nazwa drzew:	Ciężar gatunkowy:	Wytrzymałość przy zgniataniu centymetra kubicznego:
Jacaranda rosa	1.196	777
Peroba żółta	0.794	668
„ różowa	0.929	804
Pao ferro (krzew żelazo) .	1.270	951
Pomarańczowe drzewo . .	0.795	—
Sosna parańska (araucaria)	0.585 do 0.865	549
Timbauva	0.350	—
Uba biała	0.926	—
Wawrzyn, loro (laurus) .	0.923	681
„ czarny	0.695	—
Sosna europejska	0.310 do 0.760	600
Dąb europejski	0.690 „ 1.030	800
Jodła	0.370 „ 0.750	500
Jesion	0.570 „ 0.940	660

W sprawie oceny drzew przytaczam następujące ustępy wyjęte z broszurki: „Opis stanu Parana“, Lwów 1896, str. 27.

Spółka Dyle & Bacalan w Leodyum (Louvain w Belgii), dokonała szeregu doświadczeń na drzewie brazylijskiem maszyną Kirkoldy'ego celem rozpoznania jego mechanicznej wytrzymałości.

Wynik był następujący:

Drzewo	Ciężar gatunkowy:	Przełam na 1 mm. kw. obciążenia:	Granica wytrzym. przy rozerwaniu:
Araukarya (sosna braz.)	0.865	6.8 kg.	4.20 kg.
Tapinhoa	0.946	8 7 „	7.00 „
Imbuia	1.029	6.3 „	5.30 „
Sosna szwedzka czerwona	0.586	4.6 „	3.50 „
„ „ biała . .	0.470	4.3 „	3.10 „

Doświadczenie zrobiono ze sztabami długości 1 metra przy 10 cm. w kwadrat. Okazało się, że drzewo araukaryowe jest o 20% wytrzymalsze od sosny szwedzkiej. będącej w użyciu powszechnem, zwłaszcza w Anglii.

Choć próby wykazały wyższość drzewa araukaryjnego. trudno mu wytrzymać współzawodnictwo na targu w Rio de Janeiro

z hurtownikami nadbałtyckimi i północno-amerykańskimi. Kupcy ci mogą dostarczyć handlarzom drzewa swój towar szybciej i taniej. dając im nawet komisowego 15.2%... Dowodzi to lepszego zorganizowania handlu ze strony szwedzkiej i północno-amerykańskiej, niż ze strony stanu Parana. Taką organizacyą zwykle się dzieje. że mnóstwo gorszych i droższych nawet towarów szerzy się w świecie. a lepsze i tańsze nie mają zbytu. nie są znane.

O płacy robotniczej wspomnę tylko. że robotnik prosty pobiera mniej więcej 3 milrejsy (1 rubla) dziennie. robotnik wykwalifikowany. uczony, miewa zarobku dwa razy tyle i więcej. Są przemysły, w których potrzebni są specyalnie wyrobieni robotnicy, gdzie płacą około 10-ciu milrejsów dziennie. Oprócz płacy zwykle robotnik otrzymuje pożywienie — przeważnie czarną fasolę — która mu daje siły takie. jak gdyby jadł mięso. Jest to niesłychanie ważna rubryka w zarobku.

Towar taki. jak praca robotnicza. ma cenę zmienną i z tego względu szczegóły wahań tych nie nadają się do ogłoszenia w treściwym szkicu niniejszym. Cena podana powyżej wraz ze zwyczajem dodawania robotnikowi „życia". daje pojęcie wystarczające i jasne płacy robotniczej w Paranie. Robotnicy polscy z pod panowania rossyjskiego oceniają płacę 3-milrejsową, wedle monety. do której są przyzwyczajeni, na rubla.

Narzędzie zwane „foisa" jest kombinacyą sierpu i kosy. Przy żniwie w Europie niewątpliwie tak sierp jak kosa, pojedynczo wzięte. są podatniejsze od owej kombinacyi. która prawdopodobnie w samej Brazylii jest tylko czasową, póki bory dziewicze nie przemienią się w pola uprawne. co może potrwać jeszcze bardzo długo. Główna czynność rolnicza nie przestanie tam być karczunkiem lasu dziewiczego przedewszystkiem. a następnie tak zwanej „capoeira", t. j. zagajnika zapuszczanego wciąż po karczunku na roli odpoczywającej. Niesłychanie bujnie i szybko zarasta wycięty las dziewiczy. Żadne zaś narzędzie tak znakomicie się nie nadaje do karczowania „kapoery". jak foisa i z tego względu przepowiadać jej można w Brazylii. jeżeli nie wieczność. to w każdym razie życie długie.

O maszynie „Monjolo" (wym. monżolo) wspomniałem przy zwiedzeniu kolonii Rio Claro. Jest to prosty drąg, a raczej niezbyt gruba belka, zakończona z jednej strony wanienką, do której leje się woda bez ustanku, z drugiej zaś grubym kołkiem. jakby hakiem sterczącym ku ziemi i wchodzącym w drugą wanienkę, która go obejmuje. Drąg w pośrodku jest umocowany na zawiasie.

Stawia go się pod strumień wody tak, aby wlewała się wciąż do wanienki pierwszej a. Gdy ta się wypełni, drąg traci równowagę i obniża się po tejże stronie A i podnosi po stronie B, przy której beleczka jest zakończona kołkiem. Woda potem wylewa się nagle przy pewnem obniżeniu wanienki a, i maszynerya, powracając do pierwotnego położenia, sprawia, że kołek wali w środek wanienki b w regularnych odstępach czasu i z jednostajną zawsze siłą. Do wanienki tej b kładzie się kukurydza, ryż lub mandjoka do wyłuszczenia i pokruszenia. Gdy się podróżuje po puszczy, z dala zalatujący odgłos pracującego „manjolo" wskazuje na pobliską siedzibę ludzką.

Do bogactw przyrodzonych, które można spieniężać, trzeba zaliczyć okazy, nadające się do zbiorów. Anglik jeden pod Pontą Grossą zajmuje się wyłapywaniem i hodowlą motyli, które sprzedaje różnym muzeom, szkołom i osobom prywatnym w Europie i Ameryce północnej. Ma on z tego źródła 7.000 milrejsów rocznego dochodu.

Istotnie Brazylia ma niewątpliwie najpiękniejsze motyle na kuli ziemskiej. Rozmaite ich gatunki masami się znajdują w pewnych ściśle określonych okolicach. Np. pod Lapą w Paranie są roje wielkich motyli z przeważającą błękitną i lila barwą. W Kurytybie widziałem wielki prywatny zbiór białych motyli, z których niektóre były podwójnych rozmiarów jaskółki. Wszędzie zaś spotykają się mniejsze o barwach jaskrawszych, bardzo rozmaitych na górnej stronie skrzydeł, z wyraźnym znakiem 88 na spodniej części skrzydła.

Ćmy łapią się nocą w dwa równoległe prześcieradła, w środku których znajduje się latarnia. Lecz sposób najlepszy dostania najpiękniejszych okazów motyli bez zniszczenia barwy skrzydeł, jest zaprowadzić formalną ich hodowlę i chwytać je w chwili wykłucia z poczwarki. Nie otrząsa się wtedy wcale pyłku zabarwiającego ich skrzydła.

Prowadzi się też handel orchidejami. Pasożyty te drzewne w wielkiej ilości zakupywane są przez ogrodników od Brazylian „Caboclo" i wyprawiane z zyskiem dziesięć razy większym do Europy.

Trudno sobie wyobrazić pod słońcem kraj, gdzie mogłaby być taka obfitość miodu, jak w południowej Ameryce. Np. w Paranie, pszczoły roją się ośm razy do roku, podczas gdy w krajach polskich w Europie, tylko najwyżej trzy razy. To też każdy ko-

lonista mateuszowski obfituje w ule, wosk, miód i napój staropolski.

Bogactwa tego wcale jeszcze nie wyzyskano pieniężnie. Tylko już spekulacya niemiecka skupuje za bezcen wosk od kolonistów i wyprawia do Hamburga.

Lecz jeżeli oprócz tego artykułu, który przy lepszej komunikacyi i organizacyi handlu mógłby sam jeden dawać zysk niezgorszy, to, jako istna kopalnia złota dla naszych osadników, przedstawia mi się rozpowszechnienie w Brazylii dobrego miodu polskiego do picia. Brazylianie wogóle bardzo lubią słodycze, piją chętnie mocne wina hiszpańskie i portugalskie (malage, portwein), a gorący klimat przyprawia o pocenie się i pobudza do pochłaniania wielkiej ilości płynów. Trunek ten miałby więc powodzenie. Sprawę tę potrzebaby naturalnie umiejętnie podjąć. Koloniści nasi posiadają pszczoły i ule europejskie, które okazały się bardzo praktyczne na gruncie amerykańskim.

Pszczoły dzikie, których jest 210 gatunków, (z nich najwięcej znane tak zwane Mirim i Mandasaya) nie mają żądeł i składają miód nie do kwadracików z wosku, jak europejskie, lecz dziury w drzewie oblepiają woskiem i wypełniają miodem jasnym, klarownym, wonnym, wybornym, lekko i przyjemnie kwaskowatym, zawsze chłodnym, nawet w największe upały. Fabrykacya patoki z ich strony jest olbrzymia w lasach Brazylii. Wyrabiają one nieprzebrane ilości słodkiego syropu, o którego istnieniu nie domyślają się zwierzęta i ludzie w najbliższem sąsiedztwie. Mało kto z najbieglejszych znawców lasu umie wynaleźć gniazda tych pszczół. Budują sobie bowiem mieszkania i składy miodu w drzewie na pozór zupełnie zdrowem i pełnem życia, nie zdradzającem zewnątrz istnienia wygniłych w niem dziur

Przedziwny ich instynkt odgaduje je głęboko w drzewie. Małe, niedostrzegalne kurytarze prowadzą do nich głęboko. Instynkt zachowawczy każe im tworzyć tunele mylne, pełne wosku, odprowadzające nieprzyjaciół, np. mrówki, od składów głównych. Sama pszczółka jest mała i znika w otworze drobnym, jak punkcik, ukrytym dowcipnie w załomach gałęzi i gałązek, lub w wąwozach pękniętej kory.

Roje pszczół dzikich, zwanych Mandasaya, nieszkodliwie człowiekowi obsiadają każde miejsce ciała nie przykryte, szczególnie kark, czoło, oczy. Muszą być łakome potu, bo nie obawiają się ruchu ludzkiego, ani też mordowania towarzyszek dziesiątkami za każdym klapsem. Ziewnięcie, odetchnięcie głębsze, zajadanie,

nie obywają się bez połknięcia kilku pszczółek przy najstaranniejszem nawet oszczędzaniu tych stworzeń niewinnych. Oblepienie się rojów tych na twarzy, szyi i karku nie jest bardzo przykre, choć nieprzyzwyczajonego przeraża i drażni: chroni zaś znakomicie od ukąszenia innych owadów, jak komary, moskity, mrówki.

Miód wyrabiają z kwiatów, których jest mnóstwo, tylko są one nie bardzo widoczne, bo zielone, małe, nie odróżniające się od liści na pierwszy rzut oka.

Nieprzyjaciółką pszczół jest mrówka, którą nazywają słusznie królową Brazylii. Istnieje jej wiele gatunków różnej wielkości, wszystkie tworzą społeczeństwa dziwnie prawidłowo zorganizowane. Majstrowi szewskiemu w Mateuszu, mrówki w ciągu nocy wyniosły o półtora kilometra pszczoły z dwu uli. Każda niosła daleko większe od siebie stworzenie, jakby zwyczajem portugalskim i hiszpańskim na głowie.

Inne mrówki zajadają z upodobaniem wszelkie rośliny, zwłaszcza zboże, warzywa i winnice: plaga ta jest nieodłączna od pobliża lasu: ustaje ona cokolwiek po latach, gdy las się wykarczuje i korzenie drzew zgniją. W mniejszym stopniu grasuje ona na stepach bezdrzewnych: tam często nie ma jej wcale.

Są też i dobroczynne po swojemu mrówki... tak zwane wędrowne, gdyż w pochodzie swym niszczą wszelkie owady. Gdy napadną na dom, najlepiej wynieść się z niego na kilka godzin: wyczyszczą go z wszelkich niepotrzebnych mieszkańców domowych, jak karaluchy, pluskwy, myszy, szczury i t. p. Przechodząc, człowiekowi nie wyrządzają najmniejszej szkody, lecz nieprzyjemnie zbudzić się wśród takiego najazdu. Pułki mrówcze zalegają łóżka, ściany, stoły, dachy i gryzą nielitościwie, lecz nieszkodliwie. Jedyny sposób odwrócenia zalewu takiego jest: pod domem rozpalić ognisko przed pierwszą strażą pochodu wojska mrówczego. Niektóre bywają skrzydlate przez pewien peryod swego rozwoju.

Przedziwna jest ich organizacya wojskowa. Wyraźnie występuje w tej armii służba wywiadowcza i porozumiewawcza. Adjutanci biegają od jednego oddziału do drugiego i udzielają rozkazów przez dotknięcie czy pocałunek — wątpię bowiem, żeby przez głos jaki. Mrówka, zwykle większa, nieruszająca się lub posuwająca się poważnie, pędzi natychmiast szybko, niby poruszona prądem elektrycznym, skoro tylko dotknie się jej adjutant czy posłaniec.

Plagą dla kolonistów bywają poetyczne papugi, szczególnie chciwe kukurydzy. Jest ich wiele gatunków, głównie zaś trzy.

zielone: małe zwane piqueri, średnie i większe. W okolicach nieco cieplejszych są bardzo wielkie, zwane Arara od dźwięku, jaki wciąż wydają, barwy zielono-szafirowo-żółto-czerwono-białej, z strasznym dziobem i pióropuszkami na głowie. Nad rzeką Iguasu w górnym jego biegu trafiają się rzadziej, przeważnie w lecie.

Aby im utrudnić karmienie się kukurydzą, upatrzyć trzeba chwilę, kiedy baśki tej rośliny są już wykształcone, lecz ziarnka na samem dojrzewaniu. Wtedy się łodygę kukurydzy nadłamuje tak, aby baśka nie sterczała do góry, lecz zwisła. Rozrastaniu i dojrzewaniu ziarna to nie szkodzi, a papuga nie może się uczepić i stanąć dogodnie do operowania baśki i odlatuje.

Papugi skrzecząc, przelatują stadami licznemi jak u nas wrony i wróble. Niektóre ciągną w 4 lub 8, jakby zaprzężone do wozu. Trudno je podejść. Skoro słońce grzeje, zrywają się z daleka. Lecz gdy z rana mgła pokrywa ziemię, co prawie zawsze ma miejsce do 9-tej lub 10-tej godziny, nie płoszą się wcale, spokojnie siedzą na gałęzi rzędem i spoglądają z ufnością na dół ku człowiekowi, mierzącemu do nich ze strzelby. Skoro strzał padnie i która wywinie koziołka z gałęzi na ziemię, sąsiadki jej z jednej i drugiej strony spoglądają filozoficznie na dół z zaciekawieniem, jakby pytały: a co to takiego się stało?

Mięso papugi jada się w potrawce z sosem kwaskowatym.

ROZDZIAŁ VIII.

Siedm miesięcy (od 1. stycznia do 30. lipca) i $2^1/_2$ tysiąca kilometrów drogi z Curityby do Posadas. — Z Posadas do okolic ujścia Iguassu. — Prof. Bertoni. — Ocoy (wym. Okoji). — Wodospad Guayra czyli Sete Quedas. — Porto Frances. — Wodospad Iguasowy Santa Maria. — Tacurupucu w Paraguayu. — Sprawa polska w południowej Ameryce.

Stan Parana jest bezludny, wielki i trudny do zwiedzenia w całej swej rozciągłości. Jest to, jakby kto chciał przebiedz Włochy za czasów królów rzymskich. Postanowiłem wszakże bezwarunkowo zwiedzić części jego najciekawsze m. i. zachód parański, graniczący z Paraguayem i Argentyną, pociągający dziwami natury, wspanialszymi od Niagary (wodospady Guayra czyli Sete

Quedas i Santa Maria), a przedewszystkiem ujście Iguassa do rzeki Parany.

Odkładając Północ Parańską na później, spieszyłem do ujścia Iguasowego, punktu bardzo ważnego politycznego (zbiegu granic 3 państw) i handlowego. Rzeką Parana do tego punktu dochodzą okręty z oceanu Atlantyckiego, a skoro będzie usunięty próg Apipé między Corrientes i Posadas w Argentynie i Paraguayu, wtedy do ujścia Iguasowego będą mogły zawijać największe okręty handlowe i wojenne.

Lecz 400 kilometrów przez puszcze niedostępne od najdalej posuniętych kolonij polskich nad Iguassem koło Porto da Uniaô aż do ujścia Iguasowego, to jest przestrzeń z Berlina do Wiednia za czasów Tacyta; wydała mi się ona zbyt uciążliwą do przebycia głównie ze względu na koszta. Trzebaby było nająć kilku przewodników i wziąć zapasów żywności na kilka miesięcy. Za ten sam grosz mogłem dotrzeć do tego samego miejsca drogą wprawdzie 6 razy dłuższą ($2^1/_2$ tysiąca kilometrów), ale przez kolonie polskie w stanach brazylijskich Santa Catharina i Rio Grande do Sul i przez ciekawe obszary Argentyny. Tych nie można też było ominąć, będąc już raz w południowej Ameryce z misyą poznania okolic, podatnych do kolonizacyi polskiej.

Miesięcy 7 zeszło mi faktycznie na objeżdżaniu tego olbrzymiego półkola (do Europy jedzie się mniej niż miesiąc).

Wycieczki po osadach polskich w Santa Catharina i Rio Grande do Sul podobne były do podróży w Paranie. Stany te bowiem w znacznej swej części położone są na tem samem płaskowzgórzu olbrzymiem, co Parana. Polacy są tam więcej zmięszani z Włochami i Niemcami. Czysto polską osadę wielką widziałem tylko jedną S. Feliciano, złożoną z Polaków gubernii grodzieńskiej, a położoną w południowej płaskiej części stanu Rio Grande. Inne były w najlepszym razie do połowy lub w $^3/_4$ włoskie lub niemieckie.

Argentyna, kraj przeważnie płaski i bezleśny (prócz kresów zachodnich podandyjskich, północnych i południowych), przedziwny, urodzajny, wielkiej przyszłości, w wysokiej kulturze, obszaru Europy bez Rossyi z ludnością 5-ciu milionów, połowy Królestwa Polskiego, nadawałaby się w pewnych okolicznościach do kolonizacyi polskiej. Wszakże utrudnia ją brak komunikacyi, zwłaszcza do głębi kraju podandyjskiego w Patagonii.

Pod koniec lipca 1896 r. przedsięwziąłem z Buenos Ayres podróż na północ do terytoryum Missiones, które pod względem

geograficznym jest dalszym ciągiem brazylijskiego stanu Parana. Ze stolicy Argentyny do argentyńskiego Posadas, stolicy Missiones, jazda trwa dniem i nocą 8 dni parostatkiem pod wodę drugiej pod względem wielkości (po Amazonce) rzeki wspaniałej Parany.

Podróż z Posadas (30. lipca 1896) górną Paraną (alto Parano) jest tak malowniczą i piękną, jak sobie tylko można wyobrazić. Pod Posadas rzeka ta, choć zwężona przez poczynające się górzyste fale ziemi, jest jednak szeroka około 5 kilometrów. Minut 10 przebiega się parowczykiem z połową szybkości pociągu pospiesznego do naprzeciwka, t. j. do Encarnacion, miasteczka rzeczypospolitej Paraguay, zwanego po indyjsku Itapua.

Im więcej się od Posadas oddalać pod wodę na północ, tem mniejsza jest szerokość rzeki. Okolica po obu brzegach argentyńskim i paraguayskim staje się coraz więcej lesistą i górzystą. Niepodobna się czasem oryentować w odległościach, w których przedmioty ogromnie maleją: kilka kilometrów wydaje się bliższe niż 1 kilometr. Drzewa, pagórki i skały drobne i widoczne pokazują się we właściwej wielkości dopiero, skoro się do nich przypływa blisko. Oddycha się jakby w krainie alpejskiej lub tatrzańskiej, a uczyć się trzeba patrzeć nie tylko w dzieciństwie, kiedy to się chciało księżyc objąć rączkami. Pod wieczór stanęliśmy w Candelaria, jednej z dawnych stolic państwowego ustroju Jezuickiego. Nie widać najmniejszego śladu siedziby stołecznej.

Po 7-godzinnej przejażdżce stanęliśmy na noc już wśród dość wysokich gór w San Juan. Bezwarunkowo nocować trzeba już w tej części Parany górnej. Od Buenos Ayres szerokość rzeki i mniej wężowy jej bieg po płaszczyźnie pozwalały na jazdę przez dobę bez przerwy. Odtąd zakręty nagłe przy górzystych brzegach rzeki uniemożliwiają jazdę po zachodzie słońca. Codzienna mgła ranna nie pozwala też tu parostatkowi wyruszyć przed 9-tą.

Nazajutrz, 31. lipca 1896, czekały nas najładniejsze widoki, a nazwy miejscowości, które mijaliśmy wywołują w pamięci dzieje Zakonu. Są to: Santa Anna, San Ignacio, Loreto, Corpus.

Wszędzie znajdują się pamiątki panowania Wielebnych OO. Pod San Ignacio marnieją okazałe zwaliska m. i. brama wewnętrzna i lewy front kościoła oraz lewy środek jego fasady wraz z drzewem, które zapuściło korzenie w szpary muru, brama szkoły przy kościele z drzewem, którego korzeń włazi w kolumnę lewą. Najlepiej się one tam zachowały, lecz znikają coraz więcej, zagłu-

szane przez przyrodę puszczy leśnej. Szkoda byłaby, żeby ich żadna ręka kulturalna nie ocaliła dla dziejów tamtejszej ludzkości.

Jedziemy nowem łożyskiem Parany przez dzień cały — łożysko to tworzy olbrzymie półkole. Dawne koryto rzeki jest drugiem półkolem jeszcze większem, zamykającem koło potworne wraz z owem nowem korytem rzeki. Dawne łożysko nie zupełnie wyschło, przeciwnie stało się rynną dla 2 rzeczek, spływających do potężnego prądu Parany. Rzeka przed wiekami, t. j. geologicznie niedawno, zdobyła sobie przejście szturmem na przełaj przez łańcuch gór dosyć wysokich i opuściła dawną więcej krętą drogę.

To też, mimo wyniosłych brzegów, rzeka jest fantastycznie szeroka. Narzuca ona oczom rozległe widoki jakby Dunajów, Renów i Wiseł zlanych w prąd rzeczny na poprzek Karpat. Miejscami zdaje ci się, że wjeżdżasz do jakiegoś jeziora genewskiego lub morza bez bałwanów o barwie błękitnej. Gdy zbliży sie do ciebie brzeg, wypatrujesz zamku nadreńskiego: góry i skały przypominają Siebenburgen, Remogen, Bingen.

Drugi dzień podróży zakończyliśmy noclegiem w Y a g u a r a z a p a po stronie paraguayskiej.

Dzień trzeci, 1. sierpnia 1896, płynęliśmy między górami, które wydawały się nam tem większe, że Parana rozdziela się na 2 rzeki, tworząc niezmiernie długą wyspę w swem łonie. Z boku wlewają się do niej rzeczki jak strumyki z krętych i tajemniczych jaskiń, przystrojonych bujną roślinnością w około. Inne spadają z wysokości i tworzą kaskady alpejskie. Odległości są takie, że wodospady te z' początku wydają się małemi siklawami. Tymczasem za zbliżeniem się parowca miarkujesz, że w Europie odbywanoby do nich pielgrzymki.

Minęliśmy miejscowości obfitujące w herbatę Mate o indyjskich nazwach, jak T a v a ý, P i r a ý, G u a r a p a ý, gdzie statek nasz przenocował — każdy z tych „portów" wywozi jej rocznie 300 do 500 tysięcy kilo do Buenos Ayres i Montewideo.

W 4-tym dniu podróży, 2. sierpnia 1896, pomykaliśmy między wysokościami, wyjątkowo gęstą, jak nam się zdawało, pokrytemi roślinnością. Raz lub parę razy do roku woda Parany nabrzmiewa do wysokości 40 metrów ponad najniższy swój poziom i to bardzo szybko. Wtedy cześć brzegów jest zalaną i wtedy krajowcy żeglują dawnym sposobem indyjskim, bardzo oryginalnym. Zamiast wioseł używają drągów mocno zakrzywionych na końcu. Wąskie ich łódki prześlizgują się między zatopionémi drzewami i krzakami. Drągi służą do zahaczania i odpychania gałęzi.

Na statku korzystałem najwięcej z rozmowy dr. Bertoniego. uczonego paraguayskiego, pochodzenia szwajcarskiego, profesora Rolniczej Akademii w Asuncion. Majątek ma nad Paraną przy rządowej paraguayskiej stacyi doświadczalnej rolniczej Y e r m o n t e l. W klimacie ciągłej wiosny, umiarkowanego opadu i egipskiej żyzności ziemi górzystej, wyniki doświadczeń przewyższają oczekiwania najśmielsze. Prof. Bertoni słusznie się uważa za najlepszego znawcę górnej Parany, którą bada przeszło 20 lat. Łatwo mnie przekonał. że na świecie nie ma zdrowszego powietrza, jak w pobliżu rzeki tej. Gdy mu powiedziałem. że prawdopodobnie raj nie był w Azyi, lecz przy ujściu rzeki Iguasu. odrzekł mi, że istotnie taka legenda żywa chodzi dotąd pomiędzy ludem. Serdecznie pożegnaliśmy się z profesorem w Yermontel, gdzie statek nasz przenocował.

Nazajutrz. 3. sierpnia 1896, z biciem serca wypatrywałem po prawej stronie statku u j ś c i a r z e k i I g u a s s u. Jest to punkt wolny trzech granic państwowych i o niego się opiera mnóstwo kombinacyj politycznych i ekonomicznych. Od źródeł swych, położonych blisko Atlantyku, do połowy swego biegu, Iguassu, obsadzony jest przez kolonie polskie z obu stron i prawdopodobnie do samego ujścia zostanie zaludniony przez żywioł polski. Przezeń ma iść kolej żelazna z Asuncion, stolicy Paraguayu do Atlantyku. wyzwalająca Paraguay od zależności argentyńskiej w handlu, a po połaczeniu z kolejami boliwijskiemi. stanie się ona międzyoceanową. Od Buenos Ayres aż poza ujście Iguassu. rzeka Parana jest spławna dla sporych okrętów. Nie dziwić się, że ze strony polskiej i niepolskiej pomysły przeróżne wciąż obracają się około tego punkciku.

Nadjechaliśmy wreszcie do ujścia Iguassu przed południem w dzień słoneczny. Widok jego nie zawiódł mnie: piękna rzeka wymyka się niby z wysokich nieskalistych Karpat. Jak na jej długość, wynoszącą około 800 kilometrów, t. j. mniej więcej Niemna. można było się spodziewać, że przy ujściu będzie co najmniej jak Wisła pod Warszawą, t. j. szeroką z 600 metrów. Tymczasem szerokość ujścia Iguasowego nie dochodzi 300 metrów. Mały stosunkowo rozmiar ten tłumaczy się ścieśnieniem koryta rzeki przez góry.

Wzrok i tu mylił. Wzgórza tworzące brzegi Iguassa zdawały mi się porosłe krzakami. Po 10-ciu dniach przekonałem się naocznie, że były to dość wysokie drzewa.

Minęliśmy brazylijską Colonia Militar, pilnującą baeznie ujścia Iguasowego, Porto Valo, Porto Frances, Tacurupucu (po stronie paraguayskiej i około 5-tej stanęliśmy w brazylijskiem Ocoley (wymawiaj Okoji) czyli Bella Vista.

Poza Porto Frances brzegi Parany stały się coraz więcej skaliste, aż doznawało się wrażenia, że cała rzeka płynie w wydrążonem przez siebie korycie potwornej skały, tworzącej inną część świata. Żegluga stawała się niebezpieczną z powodu bystrości mas wodnych Parany oraz wysokich brzegów kamiennych, coraz więcej krętych.

Głębokość i bystrość wody powoduje dziwne zjawisko. W dzień upalny widzi się wyraźnie Paranę, jakby zamarzłą. Spostrzegasz wielkie dziury w wodzie. Poziom tejże w niektórych miejscach niższy bywa o przeszło metr od poziomu jej ogólnego, jakby w lodzie wyrąbane zostały ścianki wielkich przerębli. Są to ogromne wiry na toni: parostatek nasz ich nie odczuwał, ale łódek wiry nie przepuściły by płazem, lecz ściągnęłyby je na dno kamienne.

Głębokość rzeki daremnie mierzyliśmy łańcuchem żelaznym 50-metrowym — dna nie dosięgnął. Wtedy przypomniały się nam słowa prof. Bertoniego, który dowodził z zapałem, że Parana musi miejscami mieć do 250 metr. głębokości, bo inaczej sobie niepodobna wyobrazić, gdzie się podziały masy wodne tuż z przed wodospadu Guayra i zkądby się one wzięły pod Posadas. Albowiem oprócz Iguassu, Parana nie ma żadnego większego dopływu na tej przestrzeni, wynoszącej 400 kilometrów.

Zawinięcie do portu Ocoley było oryginalne. Ponieważ brzegi to sama skała w dosłownem tego słowa znaczeniu, niepodobna było wbić żadnego drzewa i żelaza, o które mogłaby się owiązać lina statku. Łapano więc liną na arkan czyli lasso ostrzej sterczące części skały. Parę razy arkan ośliznął się i statek ostro pracował, płynąc pod wodę prawie całą swoją szybkością, lecz stojąc właściwie na miejscu. Wreszcie uchwycono jakiś łeb piaskowcowy. Stanęliśmy bezpieczni od rozbicia.

Ocoley jest ostatnią stacyą, do której dochodzą parostatki. Już do niej dostęp przedstawia niebezpieczeństwo wyraźne: rwąca rzeka może cisnąć parowiec o brzeg skalisty. Leży ona na 60-ym kilometrze na północ od ujścia Iguassu. Jeden z podróżnych moich towarzyszy, Uruguayczyk, przybył do Ocoley w ważnym interesie herbaty Maté i cały statek naładował tym towarem. Jest to kres ostatni północny, dokąd po Maté zawijają parowce.

Dalej na północ od Bella Vista urządzają się wyprawy tylko w grudniu aż do S. Francisco. Wtedy kwitnie Maté i w niej się wcale nie pracuje, lecz korzysta z chwili kwitnięcia, aby odkrywać przy tej ostatniej miejscowości nowe gaje herbaciane. S. Francisco jest w Brazylijskim Stanie Parana i oddalone o 100 kilometrów od kolosalnego wodospadu Sete Quedas. Niepodobna zupełnie płynąć dalej pod wodę.

Znaleźli się jednak śmiałkowie, którzy parostatkiem podpłynęli jeszcze 50 kilometrów dalej za S. Francisco, ale przy najniższej wodzie i z największym wysiłkiem. Do monstrualnego więc wodospadu Sete Quedas czyli Guayra bardzo utrudniony jest dostęp. Nikt nigdy nie dopłynął do wodospadu, którego Niagara jest miniaturą. Wysoki brzeg ze skały z obu stron tworzy t. zw. Cassion i nie pozwala łódki holować a lądem brazylijskim lub paraguayskim do króla wodospadów trzebaby sobie torować drogę przez gęstą puszczę leśną.

Cudowne to zjawisko przyrody opisuje Azara, historyk hiszpański Paraguayu, najgłówniejszego w XVIII. wieku kraju południowo-amerykańskiego, w sposób następujący:

„Jest to straszny wodospad, godny pióra Homera lub Wirgilego. Mowa tu jest o rzece Paranie, która tam jest bardzo głęboka i ma szerokości 4.900 war hiszpańskich (wara = 0.8359 metra) czyli metrów 4.095.91 — jest to przeszło 4 kilometry i mniej więcej mila hiszpańska.

„Rzeka zawiera więcej wody, niż wiele razem wziętych większych rzek europejskich. Szerokość jednak nagle znika i rzeka płynie wąskim kanałem 70 war (60 metrów), przez który pędzą wszystkie wody, strącając się w dół z piekielną wściekłością, jakby miały zarozumienie, że ich wielki ogrom i szybkość zmienią oś ziemi, zauważoną przez astronomów. Lecz wody nie spadają prostopadle, jak z okna lub balkonu, lecz po płaszczyźnie pochyłej 50 stopni, by zakończyć spadem (prostopadłym zupełnie) wysokim 20 war i 1 stopa. Opary wznoszą się od uderzenia fal o ściany skał gładkich lub sterczących po bokach i w dole przepaści. Spostrzega się mgłę o kilka mil w postaci słupa i kto się w nim znajduje, widzi mnóstwo żywych i drżących tęcz, sięgających do ziemi, która drży pod jego stopami.

„Te pieniące się wody i opary wytwarzają ciągły i obfity deszcz w okolicy. Huk wodospadu słychać o 6 mil. W pobliżu nie spotyka się ptaka ani czworonoga... Należałoby tam postawić zbrojny hufiec konny przeciw dzikim Indyanom leśnym, którzy

nie dają pardonu. Zbliżając się do wodospadu, trzeba się obnażyć zupełnie, bo wielki deszcz wciąż pada.“ (Descripcion é Historia del Paraguay por Felix de Azara, T. I, pag. 50 e sequentes. Asuncion del Paraguay 1896).

Opis ten trąci starożytnością, choć jest na ogół tak trafny, że mnóstwo podróżników, zwłaszcza Niemców, z powodzeniem blaguje o swojem zwiedzeniu kaskady Sete Quedas na wiarę Azary i po szczegółach zaczerpniętych z Azary, można poznać, że turysta opowiadający „osobiste swe wrażenia“, nigdy tam nie był. Poznałem 3 takich w Paranie, którym się zwieść nie dałem i sam wprowadzać kłamstwa do swych opisów się nie pokuszam... mając zresztą bardzo dokładne szczegóły od prof. Bertoniego, który robił zdjęcia topograficzne Parany w tem miejscu.

Wedle niego Parana przed spadem jest szeroka 5 kilometrów, po spadzie koryto jej zwęża się do 600 metrów — nieco dalej do 300 metrów. Różnica poziomu wód tuż przed i tuż po wodospadzie jest 100 metrów. Cały wodospad dzieli się na 36 kaskad, z których ostatnia zbiera wszystkie wody, strącając je z wysokości 25 metrów przy małej wodzie rzeki — przy wielkiej i przy wylewach cały wodospad przedstawia płaszczyznę pochyłą, stworzoną przez obrus zlatujących wód, jak opisuje Azara. W pobliżu są wielkie opary, które tak, jak woda spadająca, tworzą tęcze. Papugi różnokolorowe, przeważnie czerwone, wielki gatunek Arara, szybują w wodach i mgłach. Nie ma wiecznego deszczu ani bezlitośnych Indyan.

Przenocowawszy w „porcie“ Ocoley, odpłynęliśmy nazajutrz z powrotem. Jechaliśmy mocno wzruszeni. Niby nic nie było nadzwyczajnego i nierozgarnięta niższa służba okrętowa ani odczuwała niebezpieczeństwa, w którem wszyscy byliśmy na statku. Każdego z zastanawiających się uderzało, że pędziliśmy taką pełną parą, jakiej nigdy nie dawano parostatkowi, choć jechaliśmy z bystrą wodą. Dla czego? Szalenie szybka jazda była jedynym sposobem zapanowania nad prądem wody, który rozniósłby okręt o skałę nadbrzeżną, jeżelibyśmy płynęli wolniej od niego. Kapitan usiłował szybować samym środkiem rzeki szerokiej 300 do 400 metrów. Mimo tych wysiłków przelecieliśmy na zakrętach kilka razy dosyć blisko jednego brzegu ze skały, aby zaraz ledwie nie musnąć tyłem okrętu brzeg przeciwny, równie bezlitośny.

Dopiero w południe ustała ta piekielna denerwująca jazda, bo brzegi coraz mniej skaliste i kręte zwiastowały, że opuściliśmy skałę i powróciliśmy do części świata ziemnej.

Stanęliśmy w Porto Frances, zwanym tak z powodu, że spółka francuska „Blosset“ tam założyła i prowadziła tartak, obróbkę i spław drzewa. Skoro mnie kapitan, Niemiec, przedstawił rządcy kolonii, tenże zapytał się, czy nie jestem Francuzem. Gdym mu odparł, żem Polak, wybuchnął radością udaną czy szczerą w słowach: „Witam pana, jako syna narodu bohaterskiego, który nam Francuzom daje nieustanny przykład zgody i miłości wzajemnej. Jesteście, Wy Polacy, wielcy i niezwyciężeni przez tę waszą jedność bratnią. Nie cierpię swych własnych rodaków z powodu ich charakteru niezgodnego i kłótliwego, który doprowadza Francyę do upadku. Gdzie jest dwu Francuzów, tam są odrazu trzy głowy krytykujące, wydrwiwające i podejrzywające. Wy Polacy zaś jesteście wzorem zgody.“ I zaprosił mnie do siebie na najdłuższy pobyt.

Przemowa jego dowodzi, że znał Francuzów a mniej Polaków. W każdym narodzie cywilizowanym musi być różnorodność zdań. Gdy się znajdujesz w jednem mrowisku, nie widzisz walk w jądrze drugiego, ale może oceniasz sprawiedliwiej całość obcą niż własną, nie będąc bezpośrednio pod wpływem tych sporów wewnętrznych.

Parostatek mój Iguasu popłynął ku Posadas. Zostałem w osadzie francuskiej. Od brzegu do domu mieszkalnego i tartaku piąć się trzeba na brzeg wysokości 20 piątr. Drogę tę można sobie ułatwić windą, która podnosi wagoniki po kolejce żelaznej prawie prostopadłej. Z tej wysokości jest widok na również wysoki brzeg przeciwległy paraguayski, nie bardzo górzysty i na rzekę przeszło pół kilometra szeroką i w lekkich załomach znikającą za górami, pośród których utorowała sobie drogę.

Tartak Blosseta już wiele belek, desek i okrąglaków spuścił Paraną do Buenos Ayres i przeto las w jego pobliżu rzednieje; a nawet większe okazy drzew sprowadza się do niego z odległości kilkukilometrowej. W miejscu wyciętego wokoło boru dziewiczego, puścił się samorodny zagajnik. W gąszczu młodego lasu wycięte wyręby (pikady) stały się alejami wśród cudów świata botanicznego. Przechadzasz się po nich, jakby wśród olbrzymiej oranżeryi raju ziemskiego. Po drodze spotykasz wiszące wysoko na pozostałych większych drzewach gniazda pszczół, ós i szerszeni. Przebiegnie ci drogę nieznany dziki zwierz z dziwacznym pyskiem spiczastym (mrówkojad). W korach drzew, po ziemi i w wodach zbierzesz łatwo całe muzeum owadów, zwłaszcza chrząszczy.

Francuzi, pracujący w tartaku i ich goście, byli wszyscy dość wykształceni, bardzo pracowici, ściśli, weseli i dowcipni — wciąż urozmaicając pracę zabawą — zupełnie po francusku i nowożytnemu. Uprawialiśmy tedy zawzięcie sporty strzelania, polowania i wycieczek.

Jeden z gości, przyrodnik, nazwiskiem Wagner, był mi nieocenionym tłumaczem przyrody i stosunków argentyńskich. Wszystko ganił, zacząwszy od ludzi a skończywszy na przyrodzie. Gdy mu się zwierzyłem, że czuję się bardzo zdrowym a nawet zdrowszym, niż w Europie i usposobionym do bystrego myślenia i energicznego działania, zapuszczał mi jad podejrzenia, że pewnie trawi mnie jakaś miejscowa gorączka, podniecająca mnie przyjemnie, ale niszcząca mój organizm. Argentyńczycy wydawali mu się skończonymi leniuchami i przewrotnymi demagogami. Wszystko, co europejskie, było u niego lepsze. Nawet wyznał, że po matce, z domu Mickiewicz, jest Polakiem, tylko nie miał sposobności nauczyć się po polsku.

Odwdzięczyłem mu się może niesprawiedliwie za to, co mi się wydawało uroczą blagą francuską, wyznając, że choć nie cierpię Niemców, jednak po matce pochodzę z rodziny sławnego muzyka niemieckiego, który swego czasu takie miał sympatye dla Polski, że niemal polską muzykę tworzył i w Warszawie, jako kapelmistrz, uchodził prawie za Polaka.

Namiętny myśliwy „rodak" najwięcej cenił polowanie na kozła. Zwierz ten, gdy się czuje wytropionym, stara się przedewszystkiem dobiedz do rzeki i przepłynąć na drugą jej stronę. Kilkakrotnie w ciągu 10 dni „rodak" zdołał kozła wspaniałego o bogatych rogach wypłoszyć z gór i lasów i trafnie upatrzyć, gdzie buchnie do wody. Tam wyczekiwał z łódką nieszczęsnego rogacza, dopędzał po wodzie i ostry grot zatapiał mu w kark. Nie cierpieliśmy braku zwierzyny do stołu.

Po południu godzinami całemi strzelaliśmy z różnej broni do rozmaitych celów. Mannlicher, Mauser, Winczester, Lebel i inne amerykańskie i angielskie strzelby współzawodniczyły o lepsze w naszych rękach. Wystające z wody gałęzie na wiadomej dokładnie odległości były najczęściej metą strzałów naszych: ulubiony taki cel upatrzyliśmy w 3 rosochatych grubych konarach wielkiego drzewa,. zatopionego w odległości 800 metrów. Austryackiemu Mannlicherowi najwięcej się poszczęściło w ręku p. W. i mojem.

Wieczorem w obszernych pokojach mieszkalnego domu pouczaliśmy się nawzajem ciąć i pchnięć pałaszem, szpadą, rapirem i nożem — tym ostatnim lewą ręką podczas gdy prawa władała dłuższą bronią. — Na te turnieje średniowieczne czy zbójeckie przychodzili Paraguayczycy. Szczególnie jeden czerwonoskóry i ospowaty przypatrywał się im z nabożeństwem. Zręczność i siła fizyczna mają wielkie poszanowanie u ludzi trochę dzikich. Wzbudziłem podziw i zapał oryginalnemi dla nich uderzeniami. Nazwali je szkołą polską, najlepszą jaka istniała.

Mając takich dużych dzieciaków przed sobą, nie skąpiłem sławy imieniowi polskiemu i uczyłem ich wiatraczków Wołodyjowskiego, uderzenia Sobieskiego, kośby Kościuszki i krzyżowej sztuki polskiej. Dziwy te zwały się po hiszpańsku: Los molinos de Wołodyjowski, el golpe de Sobieski, la segada de Kościuszko, las cruzes polonicas.

Jeden z Paraguayczyków dowodził, że szermierka jest najpotrzebniejszą nauką w życiu i naparł się, abym koniecznie jego odwiedził w Tacurupucu i wyuczył jego synów szermierki polskiej. On zaś za to obiecał zawieść mnie do Itaquiry o 20 mil w głąb Paraguayu do miejsca, gdzie najlepiej przyrządzają herbatę Maté. Skończyła się ta wzajemność na obietnicach, bom go nie zastał w Tacurupucu, gdzie ważnym jest urzędnikiem.

Synowie bohaterskiego Paraguayu, bojownika za narodową niepodległość o barwie trójkolorowej polskiej, nie przedstawili mi się bynajmniej, jako zwykli zbóje. Określenie wieszcza Adama: „Brody ich długie, kręcone wąsiska, wzrok dziki, suknia plugawa, noże za pasem, miecz u boku błyska, w ręku ogromna buława“, wcale się do nich nie stosuje. Niemniej odkryłem w nich bandytów nowoczesnych, znajdujących się w zaszczytnej spółce z mymi Francuzami i z niejednym moim istotnym rodakiem. Odkrycie to wymaga kilku słów objaśnienia.

Ujście Iguassu i cały kraj brazylijski na 500 kilometrów na wschód i przeszło na 1.000 kilometrów na północ jest zupełną pustynią, prawie wcale nieznaną, do tego stopnia, że dróg żadnych, pikad i ludzi tam nie ma wcale. Na mapie urzędowej Parany, najnowszej 1896 r., obszary te oznaczone są słowy Sertaô desconhecido (puszcza leśna nieznana) i terenos devolutos (ziemie niezaludnione, pustynne). Z największym trudem i kosztem przedzierać by się trzeba w ciągu 2 miesięcy przez nie. Mowy nie ma tam o drodze turystowskiej a cóż dopiero handlowej. Po utorowaniu sobie drogi 500 kilometrów wprost na wschód spotkać można

dopiero pierwsze kolonie polskie, najbardziej wysunięte w głąb kraju od oceanu Atlantyckiego na zachód, jak Jangada, Porto da Uniaõ, Prudentopolis. Od nich jeszcze posuwać się trzebaby bardzo niewygodnemi pikadami — nie drogami — kilkaset kilometrów do najbliższej drogi żelaznej. Ledwie marzyć można o drogach handlowych w przyszłości przez dzikie i dalekie części brazylijskich Stanów Parana, S. Paulo i Matto Grosso. Tymczasem olbrzymią tętnicą komunikacyjną rzeki Parany od Buenos Ayres i Europy dochodzą statki pełne soli, konserw, jedwabi, koronek, galanteryi i wogóle wyrobów przemysłowych. Brazylia bowiem ogłosiła ujście Iguassu portem wolnym od wszelkiego cła, głównego dochodu państwowego. Mieszkańców brazylijskich do konsumowania tych kosztowności nie ma. Dawne miasta jezuicko-indyjskie w Paranie, jak Santa Maria nad Iguassu, stołeczną Guayre nad Paraną i Piquiry, Villa Rica nad Ivahy, zalała od 300 lat bujna roślinność drzew, tworząc pod sobą całe warstwy odpadków swych, przegniłych w najlepszą ziemię urodzajną.

Gdzie więc ta masa towarów nowoczesnego zbytku się podziewa? Czy do jakich podwodnych i podziemnych grodów Świtezi? Czy redukcye jezuickie odżyły lub nie zostały doszczętnie zniszczone przez Mameluków w ciągu 3 stuleci? Cudów nie ma. Cały import wali w stronę odwrotną na zachód do Paraguayu, którego rząd bardzo pilnie strzeże kontrabandy. Cło jest niemal jedynym dochodem i środkiem istnienia biednej rzeczypospolitej, otoczonej przez wrogów nieprzejednanych, którzy rozszarpać ją między sobą usiłowali, jakby jaką Polskę. Cło jest ochroną rodzącego się przemysłu paraguayskiego.

Obróbka i wysyłka drzewa dają wielkie dochody, lecz bodaj czy nie większy zarobek wykwita z przemytnictwa. O tej sprawie nic mi nie chciano naturalnie mówić. Ukrywano mi to wszystko starannie a nawet zaprzeczano głośno faktom, które podpatrywałem.

Z wycieczek moich najważniejsza była do wodospadu rzeki Iguassu Santa Maria, w pobliżu miasta jezuicko-indyjskiego tej samej nazwy, opuszczonego 1638 r., a od tego czasu zaginionego i zapadłego w ziemię. O milę przed zmięszaniem swych wód z parańskiemi, Iguassu przestępuje próg wysokości blisko 100 metrów i toczy swe wody w przepaść do 90 metrów głęboką. 3 kilometry po 2 stronach w podkowę zakrzywionych długą i 300 metrów szeroką. Gdyby nie ta ogromnej wysokości przeszkoda, sto razy wyższa od dnieprowych porohów, rzeka byłaby prawdopodobnie

z obu stron osiedloną przez całą swoją długość, a nie tylko w połowie swego biegu przez ludność polską. Po niej płynęłyby jak po Niemnie, Wiśle i Dnieprze tratwy i parowce. Z Brazylijskiego Stanu Parana zbyt herbaty Maté, drzewa i skór kierowałby się prawdopodobnie dogodniejszą od morskiej drogą rzek spławnych z wodą do wielkich miast nad Paraną i La Platą. Prawdopodobnie kiedyś sztuka inżynierska naprawi psotę Przyrody, głuchej i ślepej na tak ważną potrzebę ludzką, jak komunikacya.

Wodospad ten, choć nie dorównywa Guayrze, jest jednak większy od Niagary. Najlepsza pora zwiedzenia go była właśnie z początkiem sierpnia, kiedy wody były najmniejsze i przeto można było najdalej do środka zjawiska się posunąć. Pan W., który co tylko zwiedził był ten cud przyrody, zachęcał mnie usilnie do tego i podał mi mnóstwo praktycznych wskazówek i objaśnień.

Wybrałem się łódką z zapasem żywności na 5 dni wraz z 3-ma przewodnikami i psem, mającym na imię Barroso i bardzo do mnie przywiązanym. W tem towarzystwie przeważała narodowość polska, bo jeden z przewodników był chłopek polski z Płockiego. Jak mógł się nie znaleźć na ziemi parańskiej! Nie stykając się przez 5 lat z żadną duszą polską, popsuł sobie mowę ojczystą. Gdym wstąpił do łódki, powiedział mi: „Niech pan nie siada na tej ławce, bo jest zesużona“. Chciał powiedzieć zabrudzona, polszcząc słowo portugalskie sujar, brudzić.

Dwaj inni towarzysze przedstawiali typy indyjskie. Jeden Brazylianin niskiego wzrostu, z oczami naciętemi ukośnie i czerwonoskóry, miał twarz podługowatą, brodę spiczastą i usposobienie przyjacielskie. Zresztą był zwinny i szybki w ruchach, jak Japończyk. Trzeci towarzysz, także czerwonoskóry, wysoki, szczupły, był Korrentyńczykiem (z prowincyi argentyńskiej Corrientes). Wciąż niepokojąco ponury i milczący, miał nieciekawy stosunek z towarzyszem brazylijskim, który pono zabił jego brata w bójce po pijanemu gdzieś w Argentynie i schronił się na terytoryum brazylijskie do tartaku francuskiego, jako robotnik. W te pędy też, jako robotnik, zjawił się Korrentyńczyk w Porto Frances. Brazylianin przez całe lata nie pozbywał się myśli, że tylko w tym celu wynajął się do ciężkiej pracy, aby pomścić brata. Obydwaj ciągle pracowali razem i byli pozornie w jak najlepszej zgodzie. Jednak wciąż względem siebie zachowywali się bardzo przezornie. Baraszkując ze sobą, nie zaniedbywali środków ostrożności, jak zasłanianie się, choćby ręką, odskakiwanie a niewydawanie nigdy

noża w ręce przeciwnika. Nigdy żaden z nich nie był całkiem bezbronny w obecności drugiego.

Z takimi to drabami miałem przepędzić 5 dni w puszczy, niedotykanej nogą ludzką. Odwagi i pewności siebie dawał mi czwarty towarzysz Barroso. Nie odstępował mnie, jakby rozumiał, że przez kilka dni będę jego panem i odgadywał niemal myśli moje. A było to psisko potworne o okropnych zębach z kości słoniowej.

Wypłynęliśmy z Porto Frances o 9-tej po opadzie mgły rannej; pomykając z wodą, byliśmy już o 12-tej pod Colonia Militar, siedzibą władzy brazylijskiej federalnej (nie stanowej), a około 1-szej dotarliśmy do ujścia Iguassu. Wpłynęliśmy pod wodę mniej bystrej i szerokiej rzeki i o brzegach wyższych a piękniejszą zielenią przyozdobionych. Gąszcz leśny gór, w które oprawiony jest Iguassu, jest żywego koloru zielonego a wody jego ciemniejsze i spokojniejsze od parańskich. Oko mile się rzeźwi i sił nabiera, spoczywając na ciemnej zieloności zwierciadła wodnego i jego ramek.

Dopłynęliśmy do miejsca, gdzie pono Hiszpanie 1777 r. po raz pierwszy zawitali i łódki swe uwiązali. Popasaliśmy na lewym brzegu Iguassa argentyńskim i to z tak wielkim rozmachem, że pochłonęliśmy większą część zapasów, zwłaszcza wódek i win. Humory i fantazya były takie, że gotowi byliśmy iść na armaty, a cóż dopiero pod wodospad. Płynęlismy pod wodę spokojną i czystą, jak kryształ, wiosłując energicznie. Po paru godzinach ujechaliśmy do takich zakrętów, że co chwila rzeka nam się kończyła. Dotychczasową ciszę przerwał szelest i ujrzeliśmy progi rozszerzonej rzeki na 1 metr i $^1/_2$ metra wysokości, przez które Iguassu opadał malowniczo i łamał się w zielono-białe bałwany morskie.

Nie były to wprawdzie armaty do zdobycia, ale nielada przeszkoda do przezwyciężenia. Ocenili ją towarzysze (camarades) i zażądali pokrzepienia z reszty szczupłych zapasów. Ryzykowną była odmowa a bodaj czy nie ryzykowniejsza zgoda na takie żądanie. Brazylianin upił się i wszczął zwadę z Płoczaninem, wypytując się go z bardzo uprzejmym uśmiechem, czy może ma co przeciwko niemu. Chłopek polski zrozumiał, co to znaczy i zaczął go bardzo chwalić, twierdząc pociesznie, że on jest z nas wszystkich najzręczniejszy i silniejszy — przeto powinien zeskoczyć na ląd i holować naszą łódkę pod próg. To poskutkowało.

Przybliżyliśmy się do prawego (brazylijskiego) brzegu rzeki — po tej stronie bowiem wydały się nam progi niższe, choć obfitsze w wodę. Brazylianin, jak szympans, zeskoczył do wody, pociągnął łódkę, brodząc w wodzie i zaczął ją holować, stąpając po brzegu oślizłym. Przewrócił się biedak kilka razy i o mało co się nie zabił, uderzając komicznie głową o kamień, czem spowodował dziki wybuch śmiechu u Korrentyńczyka. My pomagaliśmy mu, wiosłując silnie przy gramoleniu się na próg i wielkiem nachyleniu łódki. Przebrnęliśmy. Brazylijczyk lekko już holował nas o 20 kroków powyżej. Jednak przepadły nam puszka z konserwami mięsnemi i 2 wiosła.

Po takich burzliwych przeprawach powiosłowaliśmy dalej po zieleni wód iguassowych. Gdy było blisko zachodu słońca, znaleźliśmy się w miejscu, gdzie góry pozwoliły rzece rozszerzyć się na 1 kilometr. Skoro przybiliśmy do lewego (argentyńskiego) brzegu nagle się ściemniło i trzeba było przenocować na zielonej murawie.

Rozbiliśmy namiot, spożyliśmy niemal ostatki naszych zapasów, zakropiwszy je herbatą Maté i ułożyliśmy się spać zbrojnie. Przy jednym krańcu namiotu spoczywały dubeltówka i karabin z odwiedzionymi kurkami, obok nich ku środkowi Brazylianin, przedzielony Płoczczaninem od Korrentyńczyka. Na drugim krańcu namiotku ja zająłem miejsce, owinięty w pled i z ręką w kieszeni na rewolwerze. Bez ceremonii położył się obok mnie Barroso.

Ogrzał mnie swojem cielskiem; zasnąłem, czując się zupełnie bezpiecznym w jego sąsiedztwie. Raz tylko w nocy coś go zainteresowało, szczeknął, zerwał się, poleciał na zwiady, powrócił i zaraz ułożył mi się w nogach. Przypomniały mi się opowiadania p. W., że Indyanie przy Iguassu czasem napadają na turystów i że przed paru tygodniami pono to miało miejsce w Argentynie. To mnie rozbudziło. Noc była ciemna, zmieszana z białą mgłą, podobną do światła biblijnego w żywiołach przed stworzeniem słońca. Rosa padła jak deszcz ulewny i dokuczliwie zakradła się pod namiot. Słyszałem tajemnicze szmery w naturze, lecz nie miałem zarozumiałości dorównać Barrosowi w czujności i uspokojony zasnąłem aż do rana.

W ciągu pół godziny od pierwszego brzasku dzień powstał nagle, jakby nastało południe, a była to 6-ta rano. O 7-mej wyruszyliśmy po skromnem śniadaniu dalej pod wodę. W ciągu godziny koryto rzeki bardzo się zwęziło. Z Wisły pod Warszawą stała się Pełtew lwowska, t. j. ledwie 20 metrów szeroka. Znów

uderzyły moją pamięć słowa prof. Bertoniego o bajecznej głębokości rzeki Parany. Ledwiem oku swemu wierzył, że tak ogromna rzeka, jak Iguassu, mogła zmieścić się w tak wązką rynnę skały.

Od argentyńskiego brzegu odsłoniło się nam parę wodospadów, przednie straże wielkiego wodospadu Maryańskiego. Niezadługo spotkaliśmy inne oznaki jego pobliża w postaci kilku progów, przez które przeprawiliśmy się szybciej i zręczniej niż przez pierwszy w przededniu.

Góry przybrzeżne przemieniły się zupełnie na skały prostopadłe. Iguassu zaczął płynąć w jednolitej skale i zbiegł do 10 metrów. Coraz trudniej było holować łódkę pod wodę już gwałtowniej rwącą. Skalisty i stromy brzeg nie pozwalał kroczyć nad rzéką. Trzeba było zabastować z holowaniem i przeprawić się na brzeg brazylijski. Zdawało się, że przeskoczymy Iguassu, jak rów. Jednak przeprawienie się przez kilka metrów na jego drugą stronę cofnęło naszą łódką o 50 metrów.

Dobiliśmy do miejsca, zkąd najdogodniej podejść pod górę do środkowej części wodospadu. Zaczęliśmy tedy drapać się po gołej skale, prawie stromej, lecz pełnej jam i wypukłości, co jedynie umożliwiało wspinanie się po niej. Na wysokosci 25 piątr zaczęły się krzaki, drzewa i gąszcz leśny.

Wśród gaju liściastego ustał głośny szmer rzeki pod stopami, lecz za to po chwili ciszy, czy prawdopodobniej nieuwagi, ucho odkrywało inną muzykę, basowy ryk grzmotów podziemnych, jednostajny, głęboki straszny, głuchy i tępy — ćmił formalnie jak ból zęba trzonowego, który ogarnia głowę i wzniecа niepokój w całem ciele. Nieustanny łoskot oddalonych piorunów odczuwałem nie tyle uchem, ile wszystkiemi kośćmi — ziemia drżała w malignie od wodospadu Maryańskiego.

Obuto mnie w łapcie dla lepszego chodzenia po górach — ostatni raz wzięto mnie na ten przesąd. Jest to najgorsze obuwie do tego celu i dowodzi raczej biedy niż sprytu u górali całego świata. Noga, w zwykłe elastyczne kamaszki uzbrojona, wytrzyma 2 razy tyle trudu, co zniedołężniona oprawą w łapcie. Ledwie mogłem, jak kaleka, zdążyć za swymi przewodnikami. Wciąż plątałem nogi po powojach, jakby po łapkach na lisy, przewracając się co chwila w śmiesznym pospiechu.

Po 2-godzinnym takim biegu i coraz większym hałasie, usunęła się nagle zasłona lasu i ujrzałem przed sobą wodospad Niagary, szeroki w nieskończoność. Iguassu w tem miejscu napada na kotlinę formy podkowy, szeroką co najmniej 300 metrów,

a długą 3 kilometry, rozszczepia się. okala ją obficie swemi wodami ze wszech stron i ze wszech stron zlewa się do niej prostopadle z wysokości przeciętnej 80 metrów. W paru miejscach potworzyły się progi. przepoławiające spad ten na 2 kaskady po 40 metrów. Wodospad jest ciągły, biały. pieniący się — ledwie gdzie wówczas podczas małych wód można było zauważyć nieznaczną czarną przerwę jego, spowodowaną brakiem potopu. Nie wiedzieć, kiedy zjawisko jest najwspanialsze, czy wtedy, kiedy wody są niższe i spad największy. czy wtedy. gdy obfitość wód jest największa.

Zlew największy przewala się na samym początku kotliny. Strącają się tu istne 3 rzeki, 3 pękate promienie wodne, przeszło 5 metrów grube. w otchłań. Dwa zlatują równolegle, trzeci od strony argentyńskiej w poprzek im, zataczając półkole, jakby wypadał z lewiatanowej rynny poziomej podczas potopu świata — wszystkie 3 dopadając do otchłani, stają się jednym odmętem bezkształtnym piany i oparu. Wielkość każdego z 3 promieni wydaje się taką, jak dopiero co widzianego całego Iguassu w miejscu najwęższem.

Aby ujrzeć tę najwspanialszą część wodospadu. trzeba od strony brazylijskiej podczas wód najniższych, suchą nogą podejść tuż z boku nad otchłań, do której te 3 rzeki wpadają z największą wściekłością. Niestety spóźniłem się. Woda już trochę przybrała i zalała miejsca, z których widok jest najlepszy. Zrozpaczony postanowiłem brodzić w wodzie i koniecznie coś zobaczyć. Nie mogłem zrezygnować się na to, żeby być w Rzymie i papieża nie ujrzeć.

Lecz drogo mnie ta namiętna ciekawość mogła była kosztować. Ponad wodą rwącą ku przepaści sterczały co jakie 10 kroków wyższe części skały jak głazy. Przedostawałem się z jednego takiego wywyższenia na drugie, brnąc w wodzie po pas. Spadło mi pince-nez do wody... krótkowidz oślepłem do reszty... nie warto już było właściwie podchodzić do widoku. dla którego przejechałem setki mil. Lecz w tejże samej sekundzie instynktowo rzuciłem się naprzód, płynąc szybko jak szczupak z bieżącą wodą kilkanaście kroków i złowiłem ręką w głębokiej wodzie jakiś przedmiot podłużny, niby rybkę... Okazało się, że to mój nanośnik. Skąpałem się po szyję i przez chwilę nie wiedziałem, czy mnie prąd wody nie unosi bezpowrotnie w otchłań.

Lecz dostałem się na płaz i ujrzałem widoki opisane już powyżej. Oryentowałem się z początku zupełnie dobrze. Wyraźnie widziałem przed sobą drzewko zwane odludek (misantropo) oraz

klomby nad samym brzegiem, z którego woda się stacza z wysokości 70 metrów. Lecz nasyciwszy wzrok, straciłem pamięć, kędy wracać. Walczyłem dopiero co z porywającym mnie prądem i prawie nieprzytomny rzucony zostałem na skałę, jak na deskę ratunku. Krzyczeć na towarzyszy, by pospieszyli mi z pomocą lub zawołali, którędy się cofnąć, byłoby wobec ciągłego ogłuszającego grzmotu dziecinnem, jak sięganie palcami po słońce. Strzałów armatnich nie słyszałbym, a cóż dopiero głos ludzki! Dawałem rękoma rozpaczliwe znaki. Wreszcie kij, niezbędny przyjaciel w mojem położeniu, wyleciał mi z ręki wysoko jak z procy, aby zoczono, gdzie się znajduję. Kij popłynął sto kroków i... zjechał. Kwadrans wyczekiwania był mi kilkugodzinną torturą. Już zdawało mi się, że nagle, jak zawsze w Brazylii, słońce zajdzie i ściemni się tak, że przed wschodem jego niepodobna mi będzie wydostać się z niewoli. Układałem sobie, jak noc spędzić: miejsca na głazie nie było, aby się położyć, co najwięcej można było siedzieć szczęściem może dla śpiocha bardzo niewygodnie na spiczastych kończynach kamiennych. Gdy rozpamiętałem przytem, że woda wzbierała i mogła zalać całą wysepkę, jedyne me schronisko, ogarnęło mnie silne przerażenie, jak przed nagłą i mało spodziewaną śmiercią. Lecz w tej chwili poczułem, że mnie ktoś z tyłu chwyta za ramiona. Był to Korrentyńczyk. Za nim wydostałem się łatwo z fatalnej wyspy przeskakując napowrót z jednego kawałka skały na drugi, aż do suchego lądu.

Była godzina 3 czy 4 po południu. Głód nam dokuczał mocno; ale choćbyśmy mieli co wcinać, musielibyśmy zaniechać posiłku i spoczynku, aby czemprędzej przed zachodem słońca podążać do miejsca, gdzie była nasza łódka. Istotnie ledwie zdążyliśmy przedrzeć się przez las. Już ciemniało, gdy zaczęliśmy po skale schodzić na dół do naszego obozu, którego pilnował Brazylijczyk. Było prawie zupełnie ciemno, gdyśmy tam zeszli. Wkrótce ciemności zapanowały, nierozświecone księżycem. Był to nów 10-go sierpnia.

Nocleg na skale bardzo nierównej nie zapowiadał się ponętnie. Z tego powodu przewodnicy moi, jakby oszaleli, żądając groźnie, byśmy koniecznie spuścili się powrotnie dalej po wściekłym prądzie Iguassa w taką noc. Odpowiedziałem stanowczo nie! Jak dzikim bestyom z menażeryi. Przejażdżkę z pieca na łeb w ciemnościach po progach, kiedy nic się nie widziało na odległość paru kroków, można było zaryzykować, gdyby nam zagrażało wielkie niebezpieczeństwo życia. Przytem błysła mi myśl, że może

Korrentyńczyk i Brazylianin zamierzali pokończyć rachunki ze sobą. Z wielką niechęcią, jak pokonane wzrokiem lwy, towarzysze zastosowali się do mej woli.

Po pokrzepieniu się sucharami i herbatą Maté, położyliśmy się spać, jak który mógł najwygodniej, wyzyskując dla swego ciała jamy i wypukłości, jakby skamieniałych dziwacznie fal morskich. Ja ułożyłem się z prawdziwie królewskim komfortem i doleżałem bez ruchu do rana, niby w najwygodniejszem łożu.

Zbudziliśmy się nazajutrz trochę głodno i chłodno, lecz wesoło. Słońce z za gór i skał rozlało jasność promienną po wszechświecie. Opuściliśmy z fantazyą obozowisko skaliste. Szumiący prąd wąskiej, jak strumień, lecz głębokiej, jak studnia, rzeki porwał nas z siłą wichru. Trzeba było wiosłami z obu stron odpychać brzeg skalny, by o niego nie uderzyć silnie. Przyszło nam niezadługo zjeżdżać z kilku progów.

Wedle żeglarskiej umiejętności moich towarzyszy, najbezpieczniej jest zlatywać łódką tam, gdzie spływa najwięcej wody. Wtedy prawdopodobnie łódź nie huknie o żadną rafę podwodną. Ale w tem miejscu spadek jest wyższy. Tam, gdzie progi przestępywaliśmy, była wysokość niemal powyżej metra. Dla nerwów europejskich jest to sport przykry, ale podobno nie tak bardzo karkołomny: wzruszający jednak był należycie dla nas wszystkich. Ja się atawistycznie żegnałem, jakbym spadał z Niagary. Towarzysze moi, zwłaszcza Korrentyńczyk, wyli przeraźliwie z pustoty czy też aby sobie dodać odwagi. Barroso szczekał, jakby pędził za zwierzyną i rzucał się w łódce w sposób ryzykowny dla jej równowagi. Trzeba go było silnie przytrzymywać, a był najmocniejszy z nas wszystkich. Brazylianin i Korrentyńczyk wyglądali, jak szatani. Zbudziła się w nich dzika dusza indyjska.

Po kilku takich przeprawach wśród skał ukoronowanych często gromadami bobrów, które daremnie wabił Korrentyńczyk, wpłynęliśmy do znanych nam od wczoraj wód iguassowych cichych, rozległych, ciemno-zielonych i w ciemno-zielone ramki górskie osadzonych. Spokój i wspaniała zieloność po silnych wrażeniach, gwałtownym szumie i łoskocie oraz biało-szaro-jaskrawej barwie skał, oddziaływał kojąco na wszystkich nas. Czuliśmy, że nerwy nasze odpoczywają; widok taki uleczyłby istotnie najostrzejsze zapalenie ócz.

Około godziny 2 po południu dopłynęliśmy do ujścia Iguassowego. Odpoczywaliśmy 2 godziny, zajadając przewlekle ostatnie resztki zapasów, t. j. bardzo małą ilość ryżu i czarnej fasoli.

Szczęściem wspaniała ryba, zwana Pakú, była tak dobra dać się złowić przez Płocczanina na wędkę, z której drwiono, że niepotrzebna. Płaska, pół metra długa, niemal tej samej szerokości, prawie okrągła, miała mięso jasno-różowawe, przeźroczyste, łupkie i bardzo smaczne. Była to żywność na kilka dni.

Biesiadę z niej trzeba było przerwać, aby zdążyć do Colonia Militar jeszcze przed zachodem słońca. Po parogodzinnem wiosłowaniu i holowaniu łódki pod wodę Parany, przybyliśmy do górzystego brzegu o ludzkich siedzibach, których ledwie można było się domyślać z dołu nad wodą. Wycieńczenie moje z sił dochodziło do nieprzytomności. Pamiętam tylko, że Korrentyńczyk i Brazylianin pozostali z rybą przy łodzi, ja zaś z Płocczaninem ledwie zawlokłem się pod górę krętemi dróżkami wśród drewnianych domostw do Hiszpana, znajomego towarzysza podróży z parostatku, który mnie przyjął z wielkimi honorami, przedstawił mi swoją rodzinę, usadowił mnie na pierwszem miejscu przy stole... odemnie zaczynano obnosić potrawy, które wracały przed moje oblicze, abym ich dobierał. Dziwiło mnie to nawet, bo okropne znużenie zrobiło mnie skończonym niedołęgą w chodzie i mowie, lecz nie w jedzeniu. Plątała mi się portugalszczyzna z hiszpańszczyzną. Ale mi to wyrozumiano.

Poczułem się bodaj przeniesiony do zacofanej Europy pod względem wyróżnienia mojej osoby od towarzysza. Zwykle wszyscy zasiadają do jednego stołu w Brazylii, a szczególnie w podróży ze wszystkimi obchodzą się, jak z równymi. Hiszpan zaś nie dopuścił do stołu mego Płocczanina, który musiał siąść w innym pokoju, jakby z czeladzią. Rzecz była wprawdzie w porządku, lecz tak już przywykłem do stosunków wolnej Ameryki, że postąpienie Hiszpana wydało mi się nieludzkiem względem towarzysza, który szczęściem żadnej krzywdy, zdaje się, nie odczuwał. Nazajutrz zwiedzałem kolonię wojskową. Przedewszystkiem nie zauważyłem żadnego wojska, ale to nie dowodzi, żeby go nie było. Osada ta, tak ważna dla największego państwa południowej Ameryki, przedstawia się jako wieś o bardzo nieregularnych ulicach i placach. Nie widziałem ani jednego domu murowanego. Nawet siedziba dyrektora, pana życia i śmierci, nie czyniła wyjątku. Istotnie najprzyjemniejsze mieszkania w tamtejszym klimacie są drewniane, bo najsuchsze i przewiewniejsze. Sam dyrektor przyjął mnie w stroju, nie odróżniającym go od najprostszego robotnika. Nie potrzebowałem się i ja wstydzić swych łachmanów wycieczko-

wych. Poczułem się znów w Ameryce wolnej, nie zważającej na strój.

Dyrektor oznajmił mi, co już wiedziałem przedtem, że ziemie położone nad granicą obcych państw, należą do rządu federalnego centralnego w Rio de Janeiro, a nie do rządów stanowych... przeto rząd parański w Kurytybie wcale niemi nie rozporządza... Nadgraniczny pas federalny zaś szeroki jest 6 mil brazylijskich, t. j. 30 kilometrów. Zakupić ziemie w tym pasie można więc tylko w stolicy federalnej brazylijskiej, t. j. w Rio de Janeiro. Kolonia wojskowa nad Iguassu rozporządza strefą tą na długość 15 mil, 75 kilometrów, nad brzegiem tej rzeki, a 30 mil, 150 kilometrów, nad brzegiem Parany. Kupić tej ziemi od „Colonia militar“ niepodobna, lecz można ją tylko zadzierżawić.

Usłyszawszy takie wyjaśnienie stosunków, miałem chwilę wielkiego rozczarowania. Pierzchły mi z wyobraźni plany utworzenia kolonii polskiej. Widząc moją zadumę, dyrektor chciał, abym dobrze zrozumiał, że wszystko tu zależy od niego; dodał, że Dyrekcya kolonii chętnie wydzierżawia swe ziemie pod pewnymi warunkami „niepotwierdzonymi w Rio de Janeiro“. Zmiarkowałem, że one nigdy nie doczekają się potwierdzenia w stolicy Brazylii. Rząd tam podejrzliwie patrzy na ten kraj swego panowania i chce mieć zupełnie wolną rękę nawet pod względem ekonomicznego władania ziemią. Obawia się, żeby jakie energiczne towarzystwo kolonizacyjne nie założyło kiedy tu coś w rodzaju niezależnego państwa... kosztem Brazylii. Wszechwładztwo dyrektora jednak daje możność porozumienia się z nim i utworzenia ważnej kolonii w tej miejscowości, a to mimo wszelkich formalnych przeszkód. Dobrze o tem wiedzieć. Szanowny kierownik kolonii wojskowej powtórzył, że bardzo chętnie Dyrekcya będzie wydzierżawiała ziemię kolonistom pracowitym. Ci będą mogli dostać po 150 hektarów a nawet więcej, wraz z wszelkiemi narzędziami i nasionami potrzebnemi, ale pod warunkiem, że pewną część ziemi co roku obrobią i że wogóle będą pracowali; kilka razy powtórzył słowo pracować (travalhar), jakby ze złością, pokazując białe zęby. Gdy go się zapytałem, czy wydzierżawiłby ziemię towarzystwom, odpowiedział, że to byłoby mu wszystko jedno, byle robota szła i ziemia była uprawiona. Najniezawodniej szanowny dyrektor-pułkownik chciałby orać w nowo przybyłych kolonistów, lecz z pewnością nie zadzierałby się z towarzystwem kolonizacyjnem, któreby można doskonale utworzyć. Powodzenie materyalne tegoż byłoby niewątpliwe, a żaden dyrektor kolonii militarnej ani ża-

den rozsądny minister brazylijski nie zarzynałby kury, niosącej złote jaja. Mamy niewątpliwe dane, że szczególnie kolonizacyi polskiej nie czynionoby żadnych poważnych przeszkód.

Po południu wróciliśmy do Porto Frances.

Z innych wycieczek, odbytych z tego miejsca, wspomnę tylko o kilkumilowej pieszej do Takurupuku. Słowo to znaczy w języku guarani mrowisko wielkie. Tak przezwano lichą wioskę paraguayską, zaliczoną do „miast“. Okoliczne ziemie „miejskie“, tak zw. municypalne, noszą tę nazwę, jakby przezwisko. Albowiem co kilkanaście kroków spotykasz mrowiska dziwacznego kształtu: wielkiego naparstka sterczącego, jak kula największych armat fortecznych, do wysokości piersi człowieka. Wielka część ich jest bez mieszkańców i tworzy katakumby mrówczane, stwardniałe na spoisty kamień czerwono-żółty, jak ziemia, z której powstały. Urocze są tam gaje pomarańczowe, wiecznie kwitnące i wiecznie noszące owoc. Całe nieprzejrzane bory tego nieamerykańskiego drzewa pozostały po obu brzegach rzeki Parany, jako pamiątka po OO. Jezuitach. Powietrze zawsze przesiąknięte jest boskim zapachem kwiatu pomarańczowego. Owoce zaś wielkie, jak dwie pięście ludzkie, bywają zwykle gorzkie, choć spotykają się często i słodkie smaku wykwintnego. Do konfitur i wódek lepsze są gorzkie. Masy pomarańcz opadają wciąż i gniją, użyźniając ziemię. Może kiedy przemyślność ludzka potrafi zużytkować tę wartość i zakląć w jakie konserwy, wina i likiery.

Pewnego pochmurnego południa, 17. sierpnia 1896, usłyszałem basowy gwizd parostatku Iguassu. Trzeba było rozstać się z gościnnymi Francuzami w Porto Frances. Parowiec mnie zabrał i popłynąłem z biegiem rzeki Parany do Posadas, Buenos Ayres, Patagonii, Ziemi Ognistej, Kurytyby, ziem kawowych północnej Parany, S. Paulo, Rio de Janeiro... wreszcie do Europy.

Unosząc w sercu piękności Stanu Parana, muszę na zakończenie wspomnąć, że ważny jest ten kraj nie tylko dla polskich celów praktycznych, t. j. kolonizacyi i rozrostu, lecz też ewentualnie dla fantazyi i przeżytego romantycznego politykowania. Jak naród polski rozwija się w prądzie postępu ludzkiego niezależnie od przepowiedni Wernyhory i pani Le Normand, przyjaciółki Mickiewicza, tak też i lud nasz się osadza w południowej Ameryce i na osadnictwo to niewielki wpływ wywiera, co o nim wróżą politycy swojscy i obcy. Lecz nomen omen. I, jak dla ducha i sztuki dobrze jest, że żyje legenda Wernyhory, tak też opłaci

się wspomnąć o pewnym wniosku, postawionym przez rodowitego Brazylianina w parlamencie Rio de Janeiro.

Kiedy w Brazylii i Argentynie zaczęto przywiązywać większą wagę do ziem, nawet jeszcze niezaludnionych, powstał spór między temi dwiema republikami o obszar położony na wschód od argentyńskiego terytoryum Missiones. Spór rozstrzygnął sąd rozjemczy Stanów Zjednoczonych północnej Ameryki na korzyść Brazylii i obszar ten stanowi obecnie południowo-zachodnią część stanu Parana czyli okręg Palmas.

Po obu stronach była niechęć do wojny, lecz wielkie rozdrażnienie. Otóż wspomniany poseł dowodził w parlamencie ogólno brazylijskim, że sporna ziemia nie powinna należeć do żadnego z pretendentów, bo każdy z nich będzie się czuł pokrzywdzony i krzywdy swej nie zapomni, gdy jej nie będzie posiadał. Minęło niedołęstwo ludów i rządów w południowej Ameryce i wiecznem będzie to zarzewie nieporozumienia między sąsiadami. Mówca wywnioskował, że sporny kraj winien być przysądzony jakiemu sympatycznemu narodowi. Komu więc? Francyi? Włochom? Sympatyczni oni są, lecz niebezpieczni, bo każdy z nich ma potężną flotę i wojsko. Najwłaściwiej byłoby więc oddać przedmiot fatalnego sporu komuś, którýby nie zagrażał nikomu w południowej Ameryce, mianowicie Szwajcaryi, a jeszcze lepiej Polakom. Pierwsza nie ma floty, drudzy pozbawieni są niezależności i wojska, a mogliby stworzyć w środku lądu amerykańskiego coś w rodzaju Belgii lub Szwajcaryi, jądro cywilizacyjne w nieporównanie pięknej okolicy, na śladach dawnej kultury jezuicko-indyjskiej, w komunikacyach wodnych i sąsiedztwach, rokujących świetny rozwój ekonomiczny i kulturalny.

Tyle poseł. Kolonizacya polska dotarła do okręgu Palmas na innej drodze, niż dyplomatycznej.

Dr. Stanisław Kłobukowski.

ODP. REDAKTOR ADAM KRECHOWIECKI. — NAKŁAD „GAZETY LWOWSKIEJ“.